



KEN
FOLLETT
FILARY ZIEMI



KEN FOLLETT

FILARY ZIEMI

(The Pillars of the Earth)

Tłumaczenie Grzegorz Sitek

TMN

Wydanie polskie: 2011

Wydanie oryginalne: 1989

*Marie-Claire,
żrenicy mojego serca.
I dla mojej ukochanej Mańci.*

W nocy dwudziestego piątego listopada 1120 roku koło Barfelur zatonął w drodze do Anglii „Biały Korab”, a z ludzi znajdujących się na pokładzie uratował się tylko jeden człowiek... Żaglowiec ten był największym osiągnięciem ówczesnego szkutnictwa, doskonale wyposażonym... Wiadomość o dramatycznym wydarzeniu odbiła się głośnym echem, gdyż na pokładzie było wielu dostojników – oprócz królewskiego syna, następcy tronu, byli tam także dwaj królewscy bastardi, kilku hrabiów i baronów oraz przedstawiciele królewskiego dworu... Historyczne znaczenie tej katastrofy polega na tym, że zginął w niej naturalny następca tronu... Ostatecznym zaś jej wynikiem był okres anarchii, jaki nastąpił po śmierci Henryka.

A. L. Poole, *Od Księgi Praw do Wielkiej Karty*

PROLOG

1123

Na egzekucję chłopcy wybrali się wcześniej.

Było jeszcze ciemno, kiedy pierwsi trzej czy czterej wysunęli się z szop; w filcowych łapciach stąpali cicho jak koty. Cienka warstwa śniegu pokryła miasteczko niczym świeża farba i ich ślady splamiły tę idealną biel. Przemykali między drewnianymi chatami po zamrożonym błocie w stronę cichego targowiska, gdzie już czekała szubienica.

Mieli w pogardzie wszystko, co cenili starsi. Odrzucali piękno i drwili z dobroci. Pokładali się ze śmiechu na widok kaleki, a kiedy dojrzeli ranne zwierzę, kamienowali je na śmierć. Przechwalali się ranami i bliznami, szczególnie zaś dumni byli z wszelkich okaleczeń – chłopiec bez palca mógłby zostać ich królem. Kochali przemoc i by obejrzeć walkę, przebywali całe mile, a już nigdy nie przepuścili uśmiercania przez powieszenie.

Jeden z wyrostków zakradł się pod rusztowanie, inny wspiął się po schodach, chwycił za gardło i zaciskał palce, wykrzywiając twarz w ponurej parodii duszenia, a pozostali zachłystywali się z podziwu. Przez targowisko, ujadając, przebiegły dwa psy. Młodszy chłopak wyjął jabłko i zaczął je jeść, ale starszy towarzysz walnął go pięścią w nos i zabrał owoc. Zatakowany wyładował złość, rzucając ostrym kamieniem w psa, który skomląc, pobiegł do domu. Potem nie było nic do roboty, więc stłoczyli się na suchym bruku w przedsionku

kościół, czekając, aż coś zacznie się dziać.

Za okiennicami z grubych desek w otaczających targowisko drewnianych i kamiennych domach zamożnych rzemieślników i kupców zapalały się światła świec. To kuchenne dziewczki i terminatorzy rozniecali ogień i grzali wodę na owsiankę. Kolor nieba z czarnego zmienił się w szary. Mieszkańcy zakutani w ciężkie opończe z surowej wełny wychodzili przez niskie drzwi i trzęsąc się z zimna, schodzili do rzeki po wodę.

Wkrótce na targowisko ściągnęła grupa młodych mężczyzn – parobków, wyrobników i terminatorów. Szturchańcami i kopniakami wyrzucili chłopców z kościelnego przedsionka, po czym zaczęli rozprawiać o śmierci przez powieszenie, przeciągając się, drapiąc i plując na podłogę z udawaną pewnością siebie. Jeden z nich stwierdził, że jeśli skazany będzie miał szczęście, to kark mu trzaśnie od razu, jak tylko zawisnie, i umrze śmiercią szybką i bezbolesną. Jeśli jednak szczęście mu nie dopisze, to sczerwienieje na twarzy, a usta będą mu się otwierały i zamykały jak rybie wyjętej z wody, dopóki nie zadławi się na śmierć. Inny dodał, że takie umieranie zajmuje tyle czasu, ile przebycie mili, a trzeci rzekł, że może być jeszcze gorzej, bo on widział kiedyś powieszonoego, którego szyja w chwili śmierci była długa na stopę.

Stare kobiety zgromadziły się po drugiej stronie targowiska, trzymając się jak najdalej od młodzieńców, którzy mieli zwyczaj wywrzaskiwać pod adresem swych babek wulgarne uwagi. Te stare kobiety zawsze wstawały wcześniej, nawet kiedy nie było już dzieci i niemowląt do pilnowania, rozpały ogień, a serca miały otwarte, gotowe do wzruszeń. Ich znaną przywódczynią była muskularna wdowa piwowarka, która dołączyła do grupy, tocząc beczkę piwa z taką łatwością, z jaką dziecko toczy kółko. Zanim zdjęła pokrywę, chętni z dzbankami i kubkami już zdążyli skupić się wokół niej.

Strażnik otworzył główną bramę, dostrzegłszy chłopców mieszkających na podgrodziu, w domach przyklepionych do muru miejskiego. Niektórzy przynieśli jajka, mleko i świeże masło na sprzedaż, inni przyszli, by kupić piwa lub chle-

ba, a jeszcze inni stanęli na targowisku, czekając na egzekucję.

Co chwila ludziska zadzierali głowy, popatrując na górujący nad miastem zamek. Widzieli dym unoszący się równo z zamkowej kuchni i od czasu do czasu błysk pochodni w otworach strzelniczych kamiennej wieży. Kiedy słońce zaczęło wyglądać spoza grubej warstwy szarych chmur, otworzyły się potężne drewniane wrota i wyłonił się niewielki pochód ludzi. Otwierał go szeryf na czarnym rumaku, a za nim jechał wóz z więźniem zaprzężony w wołu. Za wozem postępowali trzej jeźdźcy i chociaż z daleka nie było widać ich twarzy, po szatach można było poznać, że to rycerz, ksiądz i mnich. Dwaj zbrojni mężowie zamykali pochód.

Wszyscy uczestniczyli w rozprawie, która odbyła się poprzedniego dnia w nawie kościoła. Ksiądz złapał złodzieja na gorącym uczynku, mnich rozpoznał srebrny kielich kościelny jako własność klasztoru, rycerz był panem złodzieja i wskazał go jako zbiega, a szeryf wydał wyrok śmierci.

Podczas gdy orszak wolno opuszczał wzgórze, koło szubienicy zgromadzili się mieszkańcy miasta. Najpóźniej przybyli czołowi obywatele miasta: masarz, piekarz, dwu grabarzy, dwu kowali, płatnerz i wytwórca strzał, wszyscy z żonami.

Nastrój panował osobliwy. Zazwyczaj ludzi cieszyło wykonywanie wyroku. Skazaniec zwykle był złodziejem, a oni złodziei nienawidzili tak, jak mogą nienawidzić ludzie pracujący w pocie czoła, aby dojść do jakiegoś majątku. Ten złodziej był jednak inny. Nikt go nie znał, nie wiadano, kim jest i skąd pochodzi. Nie okradł nikogo z nich, ale klasztor odległy o dwadzieścia mil, a przedmiotem kradzieży okazał się zdobiony klejnotami kielich o wartości tak wielkiej, że nie udałoby się go sprzedać. To nie była szynka, nowy nóż ani dobry pas, nie była to rzecz, której strata mogłaby dotknąć kogoś boleśnie. Nie sposób nienawidzić człowieka za tak bezsensowną zbrodnię. Kiedy wóz z więźniem wjechał na targowisko, rozległo się kilka gwizdów i okrzyków, ale obelgi nie były wyrazem żywionych uczuć. Chłopcy po prostu drwili ze skazańca.

Większość mieszkańców miasta nie oglądała procesu, bo dni sądowe nie były dniami wolnymi od pracy i wszyscy musieli zarabiać na życie. Dopiero teraz widzieli złodzieja po raz pierwszy. Był całkiem młody, gdzieś tak między dwudziestką a trzydziestką, przeciętnej budowy i średniego wzrostu, lecz wyglądał jakoś obco. Skórę miał białą jak śnieg na dachach, jaskrawozielone przenikliwe oczy, a jego włosy były koloru obranej marchwi. Panny uznały, że jest brzydki, staruchy mu współczuły, chłopcy zaś na jego widok śmiali się tak, że aż tarzali się po ziemi.

Szeryf był postacią znaną, ale tych trzech mężczyzn, którzy doprowadzili do skazania złodzieja, mieszkańcy ujrzeli po raz pierwszy. Rycerz, potężny mąż o żółtych włosach, był najwidoczniej osobą ważną, bo jeździł na koniu bojowym, wielkim bydlęciu kosztującym tyle, ile wynosiły dziesięcioletnie zarobki cieśli. Mnich był znacznie starszy, miał lat pięćdziesiąt, a może więcej, wysoki, szczupły; kołysał się w siodle, jakby życie było zbyt nużącym dla niego ciężarem. Postać księdza przykuwała uwagę wszystkich. Był młodym mężczyzną o ostrym nosie, ulizanych czarnych włosach, odziany w czarne suknie. Jechał na kasztanowym ogierze. Miał czujny, groźny wygląd kota, który wywachał gniazdo myszy.

Mały chłopak starannie wycelował i splunął na więźnia.

Dobry strzał: dokładnie między oczy. Więzień wykrzyknął przekleństwo i pochylił się w stronę plującego, ale powstrzymały go liny przymocowane do boków wozu. Incydent ten nie byłby wart uwagi, gdyby nie to, że więzień wypowiedział swe słowa w normańskiej francuszczyźnie, języku panów. Czyżby zatem był wysoko urodzony? Czy tylko przebywał daleko od domu? Nikt nie wiedział.

Zapręg zatrzymał się pod szubienicą. Strażnik wspiął się na platformę wozu ze stryczkiem w ręku. Skazany próbował walczyć. Chłopcy wznieśli okrzyki – byliby rozczarowani, gdyby więzień zachował spokój. Jego ruchy krępowały linki przywiązane do kostek i przegubów, ale wykręcał głowę w róż-

ne strony, uchylając się przed pętlą. Po chwili strażnik, człek silny, odsunął się o krok i walnął skazańca pięścią w żołądek. Ten zgiął się wpół, a kiedy jął się prostować, strażnik zarzucił pętlę na jego szyję i zacisnął węzeł. Potem zeskończył na ziemię, naciągnął linę i przywiązał jej drugi koniec do haka wbitego w belkę szubienicy.

Był to punkt zwrotny. Gdyby więzień teraz zaczął walczyć, tylko przyśpieszyłby swoją śmierć.

Uzbrojeni mężczyźni rozwiązali więźniowi nogi, ale ręce pozostawili skrepowane. Teraz skazaniec stał sam na platformie wozu. W tłumie zapadła cisza.

W takiej chwili często zdarzały się kłopoty: matka więźnia mogła zacząć krzyczeć, czasami żona podejmowała desperacką próbę ratowania męża. Nieraz więzień wzywał Boga, prosząc o wybaczenie win, albo obrzucał oprawców krwawymi klątwami. Zbrojni obstawili wóz ze wszystkich stron na wszelki wypadek, gotowi do działania.

I wtedy więzień zaczął śpiewać.

Miał wysoki tenor, bardzo czysty. Słowa były francuskie, ale nawet ci, którzy nie znali tego języka, mogli poznać po żalostnej melodii, że to smutna pieśń o rozstaniu...

W siatkę ptasznika złapany słowik

Śpiewa piękniej niż kiedykolwiek,

A kiedy piosenka zanika,

Rozluźnia się sidło ptasznika.

Śpiewał, patrząc na kogoś w tłumie. Stopniowo wokół tej osoby robiło się pusto i wszyscy mogli ją zobaczyć.

Była to piętnastoletnia dziewczyna. Widząc ją, ludzie zastanawiali się, dlaczego wcześniej jej nie zauważyli. Miała długie ciemnobrązowe włosy, obfite i gęste, zbiegające się u nasady szerokiego czoła, co mieszkańcy nazywali dia-

belskim pazurem. Rysy twarzy były regularne, usta pełne, o zmysłowym wyrazie. Staruchy dostrzegły grubą talię i ciężkie piersi, odgadły, że jest w ciąży, i domyśliły się, kto jest ojcem nienarodzonego jeszcze dziecka. Wszyscy natomiast zwrócili uwagę na jej oczy. Były głęboko osadzone, o intensywnym spojrzeniu i wstrząsającym kolorze złota, tak jasne i dociekliwe, że kiedy spojrzała na kogoś, to wydawało się, iż patrzy mu prosto w serce i obserwowany odwracał wzrok w obawie, iż pozna wszystkie jego tajemnice. Okrywały ją łachmany, a lzy strumieniami płynęły po policzkach.

Woźnica spoglądał wyczekująco na strażnika, ten zaś czekał, aż szeryf da mu znak gestem. Młody ponury ksiądz trącał szeryfa niecierpliwie łokciem, ale urzędnik nie zwracał na to uwagi. Pozwolił skazańcowi śpiewać dalej. W przerażającej ciszy pieśń brzydkiego człowieka płynęła w dal:

O zmierzchu ptasznik swoje wziął,

A słowik był w niewoli.

Ptakom i ludziom przychodzi kres,

Lecz piosenka się wyzwoli.

Kiedy skazaniec skończył, szeryf skinął głową. Strażnik krzyknął „hop!” i smagnął liną bok wołu. Woźnica w tej samej chwili uderzył zwierzę z drugiej strony. Wół szarpnął wóz i skazaniec zawisł w powietrzu. Lina się naprężyła, kark pękł z trzaskiem.

Rozległ się przeraźliwy jęk i wszyscy spojrzeli na dziewczynę.

Nie ona jednak jęknęła, lecz stojąca za nią żona płatnerza. Zrobiła to z powodu dziewczyny, która padła na kolana przed szubienicą i wyprostowała ręce w geście, który zebrany kojarzył się z klątwą. Ludzie odsuwali się w strachu; wszyscy wiedzieli, że klątwa rzucana przez niewinnie cierpiących bywa szczególnie skuteczna, a wszyscy podejrzewali, że z tym uśmierceniem nie całkiem było w porządku. Chłopcy stali jak sparaliżowani.

Dziewczyna zwróciła swe hipnotyczne oczy na trzech obcych: rycerza, mnicha i księdza. Potem dźwięcznym głosem wypowiedziała straszne słowa:

– Przeklinam was! Dotknięci będziecie chorobą i smutkiem, głodem i boleścią; wasze domy zostaną strawione przez ogień, a wasze dzieci pomrą na szubienicy; wasi wrogowie będą żyli w dostatku, a wy będziecie się starzeć w smutku i opuszczeniu, a umrzecie w głupocie i męczarniach... – Kiedy mówiła ostatnie słowa, sięgnęła po worek leżący za nią na ziemi i wyjęła z niego żywego koguta. W jej ręku nie wiadomo skąd pojawił się nóż, jednym pociągnięciem obcięła kogutowi łeb.

Ociekającego krwią bezgłowego ptaka dziewczyna cisnęła w czarnowłosego księdza. Rzut był za słaby, ale księdza, mnicha i rycerza, którzy stali obok siebie, spryskała jucha. Trzej mężczyźni odwrócili się z odrazą, krew jednak dosięgła każdego z nich, plamiąc twarze i szaty.

Dziewczyna odwróciła się i uciekła.

Tłum rozstał się przed nią, a potem zamknął. Na chwilę zapanowało wielkie zamieszanie. Wreszcie szeryfowi udało się przyciągnąć uwagę przybocznych i ze złością rozkazał ścigać dziewczynę. Jęli przedzierać się przez ciżbę, szorstko rozpychając mężczyzn, kobiety i dzieci, by zrobić sobie drogę, ale dziewczyny nie było już w zasięgu wzroku. Szeryf nakazał kontynuowanie pościgu, lecz wiedział, że jej nie znajdzie.

Odwrócił się poirytowany. Rycerz, mnich i ksiądz nie patrzyli na pościg. Utkwili wzrok w szubienicy. Martwy złodziej wisiał na stryczku, jego błada twarz zaczynała sinieć, podczas gdy pod lekko kołyszącym się ciałem rzucał się oszalały kogut, bez głowy, ale niepozbawiony życia, znacząc krwawe kółka na śniegu.

CZEŚĆ PIERWSZA
1135-1136

Rozdział 1

I

W rozległej dolinie, u stóp wzgórza, obok wartko płynącego potoku Tom stawiał domostwo.

Ściany miały już trzy stopy wysokości i szybko rosły. W promieniach słońca dwu najętych murarzy pracowało statecznie, a kiedy ich kielnie robiły „nabierz-rzuć-klep-klep”, pomocnicy pocili się pod ciężarem wielkich kamiennych bloków. Syn Toma, Alfred, mieszał zaprawę. Głośno liczył szufle, sypiąc piasek do kasty. Cieśla, pracujący obok Toma przy warsztacie, uważnie ociosywał toporem kawał buczyny.

Alfred miał czternaście lat i prawie dorównywał wzrostem Tomowi, który przecież przewyższał o głowę większość mężczyzn. Chłopak był na razie o kilka cali niższy, ale wciąż jeszcze rósł. Byli do siebie bardzo podobni: obaj mieli jasnobrązowe włosy i zielonkawe oczy dające brązowe refleksy. Mówiono, że tworzą piękną parę. Różnica polegała między innymi na tym, że Tom nosił kędzierzawą kasztanową brodę, podczas gdy Alfredowi zaledwie kiełkował blond meszek. Kiedyś chłopak miał takie włosy na głowie, przypomniał sobie z uśmiechem Tom. Teraz, gdy stawał się mężczyzną, Tom życzyłby sobie, aby

syn okazywał większe zainteresowanie pracą. Gdyby bowiem wzorem ojca miał zostać murarzem, powinien się jeszcze wiele nauczyć. Na razie Alfreda nudziły i odpychały nauki o zasadach stawiania budowli.

Dom, który budowali, powinien okazać się najbardziej luksusowym budynkiem w promieniu kilku mil. Łukowato sklepiony parter, odporny na ogień, stanowiłby przestronne pomieszczenie do przechowywania dóbr. Do położonej nad nim komnaty, gdzie zamieszkają ludzie, będzie się wchodziło zewnętrznymi schodami. Z tej wysokości łatwo się bronić w razie ataku. Pod ścianą wielkiej sali stanąłby komin wyciągający dym z paleniska, zwykle znajdującego się na środku. Była to prawdziwa innowacja. Tom do tej pory tylko raz widział domostwo z kominem, ale tak bardzo spodobał mu się ten pomysł, że postanowił zbudować go w tym domu. W następnej części, nad wielką salą, powinna znaleźć się mała komnata sypialna dla hrabiowskich córek, zbyt delikatnych, by spać, jak wszyscy, w wielkiej sali wraz z mężczyznami, służebnymi dziewczkami i psami do polowania. Kuchnię zaś umieści oddzielnie, gdyż w każdej kuchni prędzej czy później wybucha pożar, a sposobu na to, poza oddaleniem jej od budynku głównego, nie znaleziono. Za bezpieczeństwo wszak płaciło się tylko letnimi potrawami.

Tom robił wejście do domu. Ościeżnice boczne miały być zaokrąglone, by uzyskać efekt kolumnowy – posmak wytworności dla tych, którzy tutaj mieli zamieszkać. Ukośnie przyłożył żelazne dłuto do kamienia i patrząc na drewniany szablon, lekko uderzał młotkiem. Deszczyk kamiennych odprysków spadł z powierzchni zaokrąglającej się powoli w pożądaną kształt. Popukał jeszcze. Nadawałaby się nawet do katedry.

Budował już katedrę, to było w Exeter. Z początku traktował tę pracę jak każdą inną. Zezłościł się, kiedy mistrz budowniczy go ostrzegł, że nie wystarczy, by jego praca była taka jak zwykle. Tom wiedział, że jest bardziej staranny niż przeciętny murarz. Potem jednak zrozumiał, o co chodzi – ściany katedry nie mogą być po prostu dobre, to za mało. One muszą być doskonałe. A to dla-

tego, że katedrę stawia się Bogu, ale także dlatego, że najmniejsze odchylenie od pionu i poziomu może źle odbić się na konstrukcji tak wielkiego budynku. Niechęć Toma przekształciła się w zafascynowanie. Połączenie ogromu budowli z niesamowitą dbałością o najmniejszy nawet szczegół otwarło Tomowi oczy na cudowność tego rzemiosła. Od mistrza w Exeter dowiedział się, jak ważne są proporcje, nauczył się symboliki różnych liczb i niemal magicznych formuł do obliczenia wymiarów ścian czy kątów w spiralnych schodach. Pociągały go te sprawy... i wciągnęły. Nie rozumiał, dlaczego wielu murarzy uważało takie rzeczy za niezrozumiałe.

Po pewnym czasie Tom stał się prawą ręką mistrza budowniczego, gdy zaczął rozumieć stosowane przez niego terminy. Ten człowiek był wspaniałym rzemieślnikiem, lecz kiepskim organizatorem. Kiedy trzeba było zamówić właściwą ilość kamienia, w miarę postępowania prac murarskich, upewnić się co do odpowiedniej liczby narzędzi wytwarzanych przez kowali, wielkości dostawy i wypalania wapna, dostarczania piasku na zaprawę, przydzielania drewna cieślom, a także pobierania pieniędzy od kapituły na płace i opłaty – stawał się bezradny.

Jeśli Tom został w Exeter do śmierci mistrza, mógłby zająć jego miejsce, ale kapituła wydała wszystkie pieniądze, częściowo wskutek złego zarządzania, więc rzemieślnicy musieli odejść i poszukać pracy gdzie indziej. Tomowi zaproponowano, by został budowniczym exeterskiego kasztelana. Jego praca polegałaby na doglądaniu napraw i powiększaniu fortyfikacji miejskich. Mógł to robić całe życie, o ile nic by się nie zdarzyło. Tom jednak odrzucił tę ofertę, gdyż pragnął budować drugą katedrę.

Jego żona Agnes nie potrafiła pogodzić się z tą decyzją. Mogli przecież mieć porządny kamienny dom i służbę. Mieliby dość pieniędzy i żywności i jedliby codziennie na obiad mięso. Agnes nigdy nie wybaczyła Tomowi odrzucenia tej szansy. Nie rozumiała, czym dla Toma było budowanie katedry. On zaś widział w tej pracy absorbujące zajęcie, pociągało go zmaganie się z oblicze-

niami, wielkością murów, a wreszcie podziwiał piękno zapierające dech w piersiach i ogrom ukończonego już budynku. Kiedy raz spróbował tego wina, nie mógł zaspokoić pragnienia niczym lichszym.

To było dziesięć lat temu. Od tej pory nigdzie nie zagrzali miejsca. Tom projektował nowy budynek dla kapituły klasztoru, przez rok czy dwa pracował na zamku, budował w mieście dom bogatemu kupcowi, a gdy zaoszczędził trochę pieniędzy, zabierał żonę i dzieci w drogę, udając się na poszukiwanie katedry w budowie.

Spojrzał ponad warsztatem na Agnes stojącą na skraju placu budowy. Trzymała koszyk z jedzeniem w jednej ręce, a drugą podtrzymywała oparty na biodrze dzbanek z piwem. Było południe. Tom czule patrzył na żonę. Nikt nie mógł nazwać jej śliczną, ale za to twarz zdradzała osobę silną: duże czoło, wielkie brązowe oczy, prosty nos i mocno zarysowana szczęka. Ciemne, wijące się włosy rozdzielała na środku głowy i wiązała z tyłu. Była jego duchową podporą.

Nalała piwa Tomowi i Alfredowi. Przez chwilę stali przy niej, popijając z drewnianych kubków, gdy nagle w podskokach wybiegł z pola pszenicy czwarty członek rodziny – siedmioletnia Martha, śliczna jak żonkil, ale z brakującym płatkim, bo szczyrby po dwu mlecznych zębach nie zdążyły się jeszcze wypełnić. Podbiegła do Toma, ucałowała jego zapyloną brodę i poprosiła o łyk piwa z jego kubka. Objął jej kościste ciało i powiedział:

– Nie pij za dużo, bo wlecisz do rowu.

Martha zaczęła się kołysać i chwiać na nogach, obchodząc grupę w kółko, udając pijaną.

Usiedli na stosie drewna. Agnes podała Tomowi pajdę pszennego chleba, gruby płat gotowanego boczku i niedużą cebulę. Dała jedzenie dzieciom i wreszcie zaczęła jeść sama. Tom pomyślał, że może odrzucenie propozycji pracy w Exeter było nierozważne. „Przecież pomimo mojej lekkomyślności zawsze będę zobowiązany do wykarmienia ich wszystkich”.

Wyjął nożyk z przedniej kieszeni skórzanego fartucha, uciął plasterek cebuli i zjadł z kęsem chleba. Poczł w ustach jednocześnie słodycz i szczypanie.

– Znów będę miała dziecko – odezwała się Agnes.

Tom przestał żuć i wpatrzył się w nią. Przeniknął go dreszcz zadowolenia. Nie wiedząc, co rzec, po prostu niemądrze się do niej uśmiechał.

– To nie jest aż taką niespodzianką – dodała po chwili, zarumieniona.

Uściskał ją.

– No, no – odparł z wyrazem zadowolenia. – Malec, który będzie mnie ciągnąć za brodę. A już myślałem, że będzie to robić dzieciak Alfreda.

– Nie ciesz się jeszcze tak bardzo – ostrzegła go. – Mówienie o dziecku, zanim się urodzi, przynosi pecha.

Tom pokiwał głową. Agnes miała już kilka poronień, jedno dziecko zmarło w chwili urodzenia, a była także dziewczynka, Matilda, która umarła, mając za ledwie dwa lata.

– Chciałbym jednak chłopaka – stwierdził. – Bo teraz Alfred jest taki duży. Kiedy to ma być?

– Po Bożym Narodzeniu.

Tom zaczął liczyć. Kamienne mury dałoby się skończyć przed pierwszym przymrozkiem, potem trzeba będzie pokryć je słomą dla ochrony przed zimą. W czasie chłodnych miesięcy murarze przygotowaliby kamienie na okna, sklepienia, odrzwia i paleniska, a cieśle deski na podłogi oraz wykonaliby drzwi i okiennice. On sam wzniosłby rusztowanie do robót na górze. Wiosną byłby czas na zrobienie sklepienia nad parterem, ułożenie podłogi w wielkiej komnacie i pokrycie budynku dachem. Dzięki tej pracy powinien wykarmić rodzinę do Wielkanocy, a tymczasem dziecko miałoby prawie pół roku. Wtedy mogliby ruszać dalej.

– Doskonale – mruknął. – Doskonale. – Zjadł następny plasterk cebuli.

– Jestem za stara na dzieci – oznajmiła Agnes. – To musi być ostatnie.

Tom myślał i o tym. Nie był pewny, ile właściwie lat ma Agnes, na pewno

nie umiałby wyrazić tego w liczbach, ale sporo kobiet w jej wieku rodziło dzieci. Prawda, że im były starsze, tym bardziej cierpiały, a dzieci nie przychodziły na świat najsilniejsze. Bez wątplenia miała rację. Co jednak ma zamiar zrobić, by mieć pewność, że znów nie pocznie? – zastanawiał się. Nagle uświadomił sobie co i chmura zasnęła jego słoneczny nastrój.

– Może znajdę pracę w mieście – powiedział, próbując ją uspokoić. – Katedrę albo zamek. Potem będziemy mogli mieć wielki dom z drewnianymi podłogami, a także dziewczynę do pomocy przy dziecku.

– Możliwe – rzekła sceptycznie, a jej twarz przybrała surowy wyraz. Nie lubiła słuchać gadania o katedrach. Gdyby Tom nie zaczął pracować przy budowie katedry, mogłaby już mieszkać w miejskim domu i mieć zaoszczędzone pieniądze, bezpiecznie zakopane pod paleniskiem, i żyć bez żadnych zmarnięć.

Tom odwrócił wzrok i zajął się następnym plasterkiem cebuli. Mieli z czego się cieszyć, i nagle ta niezgoda. Ogarnęło go przygnębienie. Żuł jeszcze twarde mięso, gdy nagle usłyszał tętent końskich kopyt. Przez zagajnik, omijając wioskę, by skrócić sobie drogę od traktu, pędził jeździec.

W chwilę później młody człowiek przycwałował na górę i zsiadł. Wyglądał na giermka.

– Twój pan przybywa – oświadczył.

– Masz na myśli pana Percy'ego? – Tom wstał. Percy Hamleigh był jednym z najważniejszych ludzi w kraju, właścicielem tej doliny oraz wielu innych, poza tym płacił za budowę tego domu.

– Jego syna – wyjaśnił giermek.

– Młody lord William.

Syn Percy'ego miał zamieszkać w nowym domu po swych zaślubinach z lady Alieną, córką hrabiego Shiring. Był z nią zaręczony.

– We własnej osobie. Na dodatek wściekły.

Tomowi serce zamarło. Nawet w sprzyjających okolicznościach trudno

było porozumieć się z właścicielem budowanego domu. Z wściekłym właścicielem to było niemożliwe.

– Czemu się złości?

– Narzeczona go zostawiła.

– Ta córka hrabiego? – spytał zaskoczony Tom. Targnął nim niepokój. Właśnie rozmyślał nad tym, jak się zabezpieczyć na przyszłość... – Sądziłem, że to już postanowione.

– Wszyscy tak myśleliśmy, z wyjątkiem lady Alieny – odpowiedział giermek. – Jak tylko go spotkała, oznajmiła, że nie wyjdzie za niego za skarby świata.

Zmartwiony Tom zmarszczył brwi. Nie chciał, by okazało się to prawdą.

– Ten chłopak wcale nie wygląda tak źle, o ile sobie przypominam.

– To nie ma znaczenia. Gdyby hrabiowskim córkom wolno było poślubić tych, którzy im się spodobają, byłibyśmy rządzeni przez minstreli i ciemnokochanych banitów – stwierdziła Agnes.

– Dziewczyna może zmienić zdanie – powiedział Tom z nadzieją.

– Zmieni, jeśli jej matka użyje brzozy rózgi – rzekła Agnes.

– Jej matka umarła – oświadczył giermek.

– To wyjaśnia – skinęła głową Agnes – dlaczego córka nie zna życia. Nie rozumiem jednak, dlaczego ojciec jej nie zmusi.

– Powiadają, że obiecał kiedyś nie wydać jej za męża za kogoś, kto jej się nie spodoba – rzekł giermek.

– Co za głupie przyrzeczenie! – zezłościł się Tom. – Jak mógł potężny pan w taki sposób uzależnić się od dziewczęcego kaprysu? Jej małżeństwo może mieć wpływ na aliance militarne, na majątek... nawet na budowę tego domu.

– Ona ma brata, więc nie jest aż tak ważne, kogo poślubi – odparł giermek.

– Nawet w takim wypadku...

– A hrabia jest stanowczym człowiekiem – ciągnął giermek. – Mówią, że nie złamie raz danego przyrzeczenia, jeśli nawet złożył je dziecku. – Wzruszył

ramionami.

Tom patrzył na zręby przyszełego domu. Nie zdołał jeszcze zaoszczędzić wystarczającej ilości pieniędzy, by rodzina mogła przetrwać zimę. Wstrząsnął nim dreszcz.

– A może młody lord znajdzie inną pannę, która zechce dzielić z nim ten dom. Może szukać w całym hrabstwie.

– Na Chrystusa, zdaje się, że to on! – zawołał Alfred załamującym się głosem dojrzewającego chłopca.

Idąc za jego spojrzeniem, popatrzyli na drogę. Przez wieś galopował koń, wzbijając wielką chmurę kurzu i grudek ziemi. To właśnie widok olbrzymiego pędzącego konia spowodował niepokój Alfreda. Tom widywał podobne bestie, ale Alfred prawdopodobnie nigdy nie widział bojowego rumaka. Takich koni nie hodowano w Anglii, lecz sprowadzano zza mór i kosztowały niezwykle drogo.

Tom wrzucił resztę chleba do kieszeni fartucha, po czym mrużąc oczy, spojrzał pod słońce na pole. Koń miał stulone uszy, a chrapy rozdęte. Mocno uniesiona głowa zwierzęcia pozwalała przypuszczać, że koń nie poniósł. Kiedy się zbliżyli, jeździec ściągnął wodze, odchylając się do tyłu, a wierzchowiec zwolnił nieco. Teraz Tom poczuł drgania ziemi, w którą bębniły kopyta. Rozejrzał się za Marthą, chcąc ją zabrać z drogi, gdzie mogłaby zostać poturbowana. Agnes pomyślała o tym samym. Marthy jednak nie było w pobliżu.

– W pszenicy! – krzyknęła kobieta, ale Tom już podązał przez plac budowy na skraj pola. Zdjęty strachem, przebiegł wzrokiem kołyszący się łąn, lecz nie zobaczył dziecka.

Jedyne, co mu zostało, to spróbować zatrzymać konia. Wkroczył więc na ścieżkę, rozłożył szeroko ramiona i jął zbliżać się do szarżującego rumaka. Koń uniósł łeb i wyraźnie zwolnił. Wtedy, ku przerażeniu Toma, jeździec spiął go ostrogami.

– Cholerny durniu! – ryknął Tom.

W tej samej chwili, kilka jardów przed nim, wyszła z pola Martha. Na moment obezwładnił go paniczny lęk. Potem rzucił się do przodu, krzycząc i wymachując rękami – bez skutku. Koń, wyćwiczony do atakowania wyjących hord, nie zwracał uwagi na przerażonego ojca. Martha stała na środku wąskiej ścieżki i jak zahipnotyzowana wpatrywała się w pędzącą na nią ogromną bestię. Tom uświadomił sobie z rozpaczą, że nie zdoła zapobiec nieszczęściu. Biegając, zboczył w pole. Niemal w ostatniej chwili koń skręcił w bok po przeciwnej stronie. Strzemię musnęło delikatne włosy Marthy, kopyto wybiło okrągłą dziurę w ziemi tuż obok jej bosej stopy. Rumak minął ich, obsypując oboje kurzem. Tom porwał córkę w ramiona i przycisnął mocno do łomoczącego serca.

Stał tak, nie czując rąk i nóg, słaby jak mucha, oddychając z ulgą. Nagle ogarnęła go złość na myśl o lekkomyślności tego głupiego młodzika na potężnym wierzchowcu. Spojrzał gniewnie w górę. Lord William właśnie powstrzymywał konia. Siedział w siodle odchylony do tyłu, zapierając się na wypchniętych do przodu strzemionach i z całej siły ciągnąc wodze. Koń skręcił w stronę budowy, rzucił głową, wierzgnął, ale William utrzymał się w siodle. Przeszedł w cwał, a potem idąc truchtem, zatoczył szerokie koło po placu.

Martha płakała. Tom podał dziewczynkę Agnes i czekał na Williama. Młody pan był wysokim, dobrze zbudowanym dwudziestolatkiem o żółtych włosach i wąskich oczach, które wyglądały tak, jakby wciąż patrzył w słońce. Miał na sobie krótką czarną tunikę i czarne pończochy, na nogach skórzane buty z paskami wiązаныmi krzyżowo aż do kolan. Siedział wyprostowany i nie sprawiał wrażenia poruszonego tym, co zaszło. Ten głuptak nawet nie zdaje sobie sprawy z tego, co zrobił, pomyślał z goryczą Tom. Należałoby skrócić mu kark.

William zatrzymał konia przed stosem drewna i spojrzał w dół na budowniczych.

– Kto tu rządzi? – spytał.

Tom chciał powiedzieć: „Gdybyś zranił moją małą, zabiłbym cię”, ale stłumił złość i z trudem przełknął gorycz wypełniającą mu usta. Zbliżył się do ko-

nia i chwycił uzdę.

– Ja jestem mistrzem – powiedział, zaciskając zęby. – Nazywam się Tom Budowniczy.

– Ten dom nie będzie już potrzebny – oznajmił William. – Zwolnij swych ludzi.

Tego właśnie Tom obawiał się najbardziej, ale łudził się nadzieją, że William da się przekonać do zmiany zdania, kiedy ostygnie jego gniew. Starając się nadać przyjazny ton głosowi, odezwał się rozsądnie:

– Tyle pracy wykonano do tej pory, że szkoda marnować to, co już wydano na budowę. Kiedyś ten dom się przyda.

– Nie mów mi, jak mam się zajmować swoimi sprawami, Tomie Budowniczy. Wszyscy jesteście zwolnieni. – Szarpnął wodze, Tom jednak trzymał uzdę.

– Puść mego konia – rzucił groźnie jeździec.

Tom przełknął ślinę. Za chwilę William spróbuje poderwać wierzchowca. Wyjął z kieszeni fartucha kromkę chleba i podsunął ją koniowi, który wyciągnął łeb i ugryzł kawałek.

– Panie mój, są sprawy, o których trzeba porozmawiać, nim odjedziesz – powiedział łagodnie.

– Puść mego konia albo zetnę ci głowę – zagroził lord.

Tom patrzył mu prosto w oczy, próbując nie okazać tego, że się boi. Był większy od Williama, ale to nie będzie miało znaczenia, jeśli młody pan wyciągnie miecz.

– Och, mężu, zrób to, co nasz pan ci każe – lękliwie mruknęła Agnes.

Zapadła śmiertelna cisza. Robotnicy stali w milczeniu, nieruchomo jak posągi. Obserwowali. Tom wiedział, że powinien wykonać polecenie, ale William omal nie stratował jego córeczki. Ta myśl doprowadziła Toma do szaleństwa. Z bijącym sercem powiedział:

– Musi nam pan zapłacić.

William pociągnął silniej wodze, lecz Tom trzymał uzdę krótko, a koń,

zdezorientowany, trącał nosem kieszeń fartucha w poszukiwaniu chleba.

– Po pieniądze zgłoś się do mego ojca! – ze złością prychnął William.

– Tak zrobimy, panie, i dziękujemy bardzo – przerażonym głosem odezwał się cieśla.

Nędzny tchórz, pomyślał Tom, ale sam zadrżał. Mimo to zmusił się do powiedzenia:

– Jeśli chcesz nas zwolnić, panie, to musisz nam zapłacić zgodnie ze zwyczajem. Dom twego ojca, panie, jest o dwa dni drogi stąd, a kiedy tam dojdziemy, możemy go nie zastać.

– Za mniejsze rzeczy ludzie ginęli! – krzyknął William, a policzki poczerwieniały mu z gniewu.

Kątem oka Tom dostrzegł, że giermek podniósł rękę do rękojeści swego miecza. Wiedział, że powinien się teraz poddać, upokorzyć, ale skręcała go wściekłość i był tak przestraszony, że nie potrafił zmusić się do puszczenia uzdy.

– Wpierw nam zapłać, a potem mnie zabij – oświadczył lekkomyślnie. – Możesz za to zawisnąć albo nie; umrzesz i tak, prędzej czy później, a wtedy ja będę w niebie, a ty w piekle.

Szyderstwo zamarło na twarzy Williama, zbladł. Tom był zaskoczony. Cóż mogło tak wystraszyć tego młodzieńca? Na pewno nie słowa o powieszeniu. Do czego to podobne, by mieli wieszać pana za zabójstwo rzemieślnika. Czyżby tak przeraził się piekła?

Patrzyli na siebie przez kilka chwil. Tom ze zdumieniem i ulgą obserwował, jak w twarzy Williama wyraz gniewu połączonego z pogardą ustępuje miejsca panicznemu lękowi. W końcu wyjął zza pasa skórzaną sakiewkę i rzucił giermkowi, mówiąc:

– Zapłać im.

W tym momencie Tom postanowił jeszcze raz spróbować szczęścia. Kiedy William znowu pociągnął wodze, a koń uniósł silną głowę, odstępując w bok,

Tom ruszył wraz z nim i wciąż z ręką na uździe powiedział:

– Za zwolnienie płaci się pełną tygodniówkę, taki jest zwyczaj. – Tuż za sobą usłyszał ostry oddech Agnes i wiedział, że pomyślała, iż musiał zwariować, skoro przeciąga tę sprawę. Brnął jednak dalej: – To znaczy po sześć pensów dla robotnika, dwanaście dla cieśli i każdego murarza, a dwadzieścia cztery dla mnie. Razem sześćdziesiąt sześć pensów. – Potrafił dodawać pensy szybciej niż ktokolwiek spośród ludzi, których znał.

Giermek pytająco spoglądał na swego pana. William warknął ze złością:

– Bardzo dobrze.

Tom rozluźnił chwyt i puścił uzdę. Odsunął się.

Koń zawrócił i William spiął go mocno. Rumak pognał naprzód ścieżką przez pole pszenicy.

Tom usiadł na stosie drewna. Zastanawiał się, co go napadło, by tak wyzywająco przeciwstawić się lordowi Williamowi. Toż to szaleństwo. Czuł, że miał szczęście, iż jeszcze żyje.

Tętent kopyt cichł w oddali niczym odległy grzmot, a giermek wysypał zawartość sakiewki na ławę. Na widok srebrnych pensów lśniących w słońcu Tom uśmiechnął się triumfalnie. Oszalał, ale to poskutkowało. Zapewnił sobie i swym pracownikom zapłatę.

– Nawet panowie muszą się podporządkować zwyczajom – powiedział na pół do siebie.

– Teraz tylko miej nadzieję, że nigdy nie będziesz potrzebował prosić o pracę lorda Williama – odezwała się ponuro Agnes, która usłyszała jego słowa.

Tom się do niej uśmiechnął. Rozumiał, że jej szorstkość jest wynikiem strachu.

– Nie rób takiej kwaśnej miny, bo całe mleko w piersiach zsiądzie ci się i oseskowi dasz twaróg.

– I tak nie uda mi się nakarmić nas w zimie, jeśli nie znajdziesz pracy.

– Do zimy jeszcze daleko – odparł Tom.

II

Lato spędzili w wiosce. Później tę decyzję ocenili jako straszliwy błąd, na razie jednak wydawała się rozsądna, gdyż Tom, Agnes i Alfred mogli zarobić pensa dziennie, pracując w polu przy żniwach. Kiedy nadeszła jesień, musieli odejść, ale mieszek mieli ciężki, pełen srebrnych pensów, a oprócz tego prowadzili upasioną świnię.

Pierwszą noc spędzili na ganku wiejskiego kościoła, drugiego zaś dnia trafili do klasztoru i skorzystali z gościnności zakonników. Trzeciego dnia znaleźli się w sercu Chute Forest, rozległej przestrzeni pokrytej gęstwiną zarośli i dzikiego lasu, przez który prowadził trakt, nie szerszy niż woli zaprzęg, wysadzany po obu stronach starymi dębami.

Tom niósł mniejsze narzędzia w kalecie, a młotki zawiesił przy pasie. Ciąsno zwiniętą opończę umieścił pod lewą pachą, łatę zaś trzymał w prawej ręce, wykorzystując ją jako podróży kostur. Cieszył się, że znowu jest w drodze. Następną pracą może być budowa katedry, gdzie zostanie mistrzem i będzie miał robotę na resztę życia, a kościół, który zbuduje, okaże się tak piękny, że Tom z pewnością pójdzie do nieba.

Nieliczne przedmioty domowego użytku, jakie mieli, Agnes schowała do kociołka, który przywiązała na plecach. Alfred niósł parę narzędzi niezbędnych do prac budowlanych: siekiere, toporek ciesielski, piłę, mały młotek, szpikulec do robienia dziur w skórze i drewnie oraz łopatę. Martha była za mała, by nieść coś więcej niż swój kubek i nożyk, przytroczone do pasa, i zimowe okrycie przymocowane do pleców. Poza tym miała obowiązek prowadzenia na sznurku świni, dopóki jej nie sprzedadzą na targu.

Kiedy tak szli przez niekończące się lasy, Tom przyglądał się Agnes. Minę-

ła już połowa okresu ciąży, więc to, co dźwigała z przodu, już dawało się porównać z tym, co miała na plecach. Nie wydawała się jednak zmęczona. Alfred też wyglądał dobrze; był w wieku, w którym chłopcy mają więcej energii niż wiedzy na temat tego, jak ją spożytkować. Męczyła się tylko Martha. Jej szczupłe nóżki nadawały się do wesołej gonitwy, a nie do długich marszów, dlatego nieustannie zostawała z tyłu, tak że reszta musiała zatrzymywać się i czekać, aż dziewczynka dogoni ich, ciągnąc świnię. Tom rozmyślał też o katedrze, którą kiedyś wybuduje. Szkicował w myślach arkady. To było łatwe: dwie proste połączone łukiem. Potem wyobraził sobie kilka następnych, by uformować jeden większy element. Później dodawał kolejne, aż miał ich cały rząd, wszystkie uporządkowane jedna za drugą, tworzące tunel. Oto istota jego budowli: chroniący od deszczu dach i dwie ściany podtrzymujące go. Kościół to po prostu udoskonalony korytarz.

Tunel był ciemny, więc pierwszym ulepszeniem powinny być okna. Jeśli ściany okażą się wystarczająco silne, to można robić w nich otwory. Będą one górą zaokrąglone, o prostych bokach i płaskich parapetach – kształt ten sam, co arkada. Ustalenie form okien i drzwi było pierwszą zasadą projektowania pięknej budowli. Drugą była ich powtarzalność: wyobraził sobie dwanaście jednakowych okien, równo rozmieszczonych wzdłuż obu ścian tunelu.

Tom spróbował wymyślić jeszcze wyprofilowanie otworów, ale nie mógł się skupić, czuł bowiem, że ktoś go obserwuje. To głupie – obruszył się na siebie, przecież stale był obserwowany przez ptaki, lisy, koty, myszy, łasice, wieńcówki, nornice i gronostaje, które żyły w lesie.

Po południu Martha opadła z sił. W pewnej chwili została ze sto jardów za nimi. Stojąc i czekając, aż dołączy, Tom przypomniał sobie, jaki był w jej wieku Alfred – ładny złotowłosy chłopiec, krzepki i śmiały. Zadowolenie mieszało się z irytacją, kiedy patrzył na Marthę strofującą świnię za zbyt wolny marsz. Raptem jakaś postać wyszła z krzaków tuż przed nią. Krzyk przerażenia rósł Tomowi w gardle. Wszystko stało się tak szybko, że trudno mu było w to uwie-

rzyć. Człowiek, który nagle pojawił się na trakcie, uniósł maczugę. Zanim Tom zdołał wydać okrzyk, Martha, uderzona w bok główki, padła na ziemię jak porzucona szmaciana lalka. Usłyszał mdlący dźwięk.

Uświadomił sobie, że biegnie, a jego stopy wałą w twardej gruntu jak kopyta wierzchowca lorda Williama, i chciał, by nogi niosły go jeszcze szybciej. Czuł się tak, jakby oglądał obraz namalowany wysoko na ścianie kościoła – widział, co się dzieje, i nie mógł nic zrobić, aby cokolwiek zmienić. Atakujący bez wątpienia był banitą. Bosonogi, niski, krępy mężczyzna w brązowej tunice. Przez chwilę spoglądał prosto na Toma, który mógł dzięki temu przyjrzeć się jego twarzy. Miał odcięte wargi, co świadczyło o tym, że najprawdopodobniej został ukarany za kłamstwo. Jego usta otoczone ściągniętą bliznami skórą były odpychająco wykrzywione. Ten obrzydliwy widok powstrzymałby Toma, gdyby nie kruche ciało Marthy leżące na ziemi.

Napastnik odwrócił wzrok od Toma i zatrzymał go na świni. W mgnieniu oka schylił się, porwał kwiczące zwierzę i błyskawicznie zaszył się w splątanych gąszczu, z którego wyskoczył. Zabrał ze sobą jedyną wartościową rzecz, jaką Tom i jego rodzina posiadali.

Tom padł na kolana obok Marthy. Położywszy szeroką dłoń na jej piersi, wyczuł, że serce bije równo i mocno, co odsunęło najgorsze podejrzenie. Oczy jednak miała zamknięte, a jasne włosy plamiła krew.

Chwilę później uklękła przy nim Agnes. Dotknęła piersi dziecka, przegubu ręki i czoła, po czym twardo spojrziała na męża.

– Będzie żyć. Sprowadź tę świnię z powrotem – powiedziała ze ściśniętym gardłem.

Tom szybko odwiązał kaletę z narzędziami i rzucił ją na ziemię. Lewą ręką wyciągnął zza pasa ciężki, żelazny młot. W prawej trzymał łatę. Widział stratoswane krzaki, które dy złodziej wszedł na drogę i które dy uciekł, słyszał także świnię kwiczącą w lesie. Zanurkował w gąszczu.

Banita był mocno zbudowany, uciekał, trzymając pod pachą wyrywające

się zwierzę, więc w leśnym poszyciu zostawiał szeroką ścieżkę podeptanych kwiatów, połamanych krzewów i młodych drzewek. Trop był wyraźny. Tom parł do przodu, pędzony żądzą zemsty. Przenarł się przez brzozowy zagajnik i zbiegł w dół po zboczu, aż plasnął w małe bagienko, skąd wychodziła wąziutka ścieżynka. Tam się zatrzymał. Złodziej mógł pójść w lewo lub w prawo, tutaj nie było już śladów w postaci zniszczonych roślin. Tom zaczął nasłuchiwać, z lewej strony dobiegł go kwik świni. Zdołał także usłyszeć, że ktoś podąża drogą, którą przebył – prawdopodobnie Alfred. Ruszył dalej.

Ścieżka prowadziła w dół, potem raptownie skręcała i zaczynała się wznosić. Teraz usłyszał wyraźnie kwiczenie świni. Wbiegł na wzgórze, oddychając z trudem. Lata wdychania kamiennego pyłu osłabiły mu płuca. Dróżka nagle się wyrównała i zobaczył złodzieja, zaledwie dwadzieścia, trzydzieści jardów dalej, zmykającego, jakby gonił go diabeł. Tom zerwał się do biegu, odległość między nimi wciąż malała. Z pewnością go dogoni, jeśli tylko zdoła utrzymać tempo, bo człowiek obciążony swinia nie może biec szybko. Teraz jednak czuł w piersiach ból. Od złodzieja dzieliło go piętnaście jardów, potem dwanaście. Tom podniósł łatę nad głowę, jakby to była włócznia. Jeszcze parę kroków i rzuci. Jedenaście jardów, dziesięć...

I wtedy kątem oka dostrzegł chudą twarz pod zieloną czapką, wylaniającą się z krzaków obok ścieżki. Za późno na unik. Ciężki pał wylądował tuż przed nim i Tom potknął się i runął na ziemię.

Upuścił łatę, ale wciąż jeszcze trzymał młot. Przetoczył się i podniósł na kolano. Zobaczył, że jest ich dwóch – ten pierwszy w zielonym kapeluszu i drugi, łysy z potarganą białą brodą. Rzucili się na niego.

Zrobił krok w bok i zamachnął się w stronę zielonego kapelusza. Ten się uchylił, ale wielki, żelazny młot spadł ciężko na bark mężczyzny, który zakrzeczał z bólu i upadł na ziemię, trzymając ramię, jakby było złamane. Tom nie miał czasu, by ponowić miażdżący cios, zanim zbliżył się ten łysy, więc pchnął młot w twarz nadbiegającego i rozłupał mu szczęki.

Obaj napastnicy zaczęli się wycofywać. Tom widział, że żaden z nich nie pali się do dalszej walki. Rozejrzał się dookoła. Złodziej uciekał ścieżką. Lekceważąc ból w piersiach, pobiegł za nim. Przebył jednak zaledwie kilka jardów, kiedy usłyszał za sobą znajomy głos.

Alfred.

Zatrzymał się i obejrzał. Używając pięści i nóg, Alfred walczył z tymi dwoma. Uderzył mężczyznę w zielonym kapeluszu kilka razy w głowę, potem kopał po gołeniach łysego. Ale napastnicy napierali na niego, biorąc go między siebie, tak że nie mógł się bronić. Tom nie wiedział, czy kontynuować pościg, czy pomóc synowi. Wtedy łysy podstawił Alfredowi nogę. Kiedy chłopiec padł na ziemię, skoczyli na niego, obsypując gradem uderzeń.

Zawrócił.

Zaatakowany ciałem, łysy runął w krzaki, a Tom wykonał obrót i zamierzył się młotem na mężczyznę w zielonym kapeluszu. Ten już poczuł ciężar niezwyklej broni i mógł posługiwać się tylko jedną ręką. Uchylił się więc od ciosu i zniknął w gąszczu, zanim Tom zdążył uderzyć drugi raz.

Odwróciwszy się, zobaczył, że łysy ucieka ścieżką w dół. Spojrzał w stronę przeciwną – złodzieja nie było widać. Wyrzucił z siebie gorzkie przekleństwo – ta świnia była równo wartością połowy zaoszczędzonych przez lato dochodów rodziny. Opadł na ziemię, oddychał ciężko.

– Pobiliśmy trzech! – zawołał podniecony Alfred.

– Ale uciekli z naszą świnia – rzekł Tom, patrząc na syna. Gniew palił go w żołądku niczym skwaśniały cydr. Kupili prosię na wiosnę, gdy tylko oszczędzili dość pieniędzy, potem przez całe lato ją tuczili. Tłusta świnia była warta sześćdziesiąt pensów. Mając kapustę i worek ziarna, mogliby przez zimę całą rodziną z tych pieniędzy się wyżywić. Ze skóry można byłoby zrobić parę butów i sakwę lub nawet dwie. Strata świni to katastrofa.

Z zazdrością spoglądał na syna, który już otrząsnął się po pogoni i walce, a teraz stał, czekał i niecierpliwił się. Jak to już było dawno, gdy potrafiłem biec

jak wiatr i wcale nie czułem przyśpieszonego bicia serca? Od czasu kiedy byłem w jego wieku, minęło... dwadzieścia lat. Dwadzieścia lat! A wydaje się, że to było wczoraj.

Wstał.

Ruszyli z powrotem. Tom objął ramieniem szerokie plecy Alfreda. Chłopiec był jeszcze niższy od ojca o długość męskiej dłoni, ale wkrótce go dogoni, a może nawet przerosnie. Mam nadzieję, że bystrość jego rozumu także się wzmoże, pomyślał Tom.

– Każdy głupi umie wdać się w bójkę, ale mądry człowiek wie, jak ich unikać – powiedział, a Alfred popatrzył na niego bez wyrazu.

Zeszli ze ścieżki, przecięli bagnistą polankę i jęli się wspinać po pochyłości, idąc po wydeptanych śladach w odwrotną stronę. Kiedy przedzierali się przez brzoźki, znowu poczuł pieczenie w żołądku. Myślał o córeczce. Ten baniata nie musiał uderzyć dziecka, nie było ono dla niego żadnym zagrożeniem.

Tom przyśpieszył kroku i w chwilę później wyłonili się z Alfredem na trakcie. Martha nieporuszona leżała w tym samym miejscu. Oczy miała zamknięte, a krew schła na jej włosach. Agnes klęczała przy niej, a nad nimi stali nieznani ludzie. Zaskoczony Tom pomyślał, że nie dziwota, iż wcześniej czuł się obserwowany. Ten las bowiem wydawał się pełen ludzi. Nachylił się i położył rękę na piersi Marthy. Oddychała normalnie.

– Ocknie się wkrótce – pewnym siebie głosem powiedziała obca kobieta. – Potem zwymiotuje. Wkrótce będzie zdrowa.

Tom popatrzył na nią z ciekawością. Klęczała nad Martha. Była całkiem młoda, może jakiś tuzin lat młodsza od niego. Krótka skórzana tunika odsłaniała smukłe, opalone nogi. Miała ładną twarz, ciemnobrązowe włosy zbiegające się nad czołem w diabelski pazur. Tom poczuł nagły przyptyw pożądania. Kiedy spojrzała na niego, drgnął: jej osadzone głęboko oczy o wnikliwym wyrazie miały niezwykle kolor złotego miodu, co nadawało całej twarzy czarodziejski wygląd. Tom był pewny, że ta kobieta zna jego myśli.

Odwrócił od niej wzrok, by ukryć zakłopotanie, i pochwycił spojrzenie Agnes. Patrzyła z niechęcią.

– Gdzie świnia?

– W lesie było jeszcze dwóch banitów – zaczął Tom.

– Pobiliśmy ich, ale ten ze świnia uciekł – dokończył Alfred.

Agnes sposepniała, ale nie powiedziała nic więcej.

– Powinniśmy przenieść dziewczynkę w cień, byle delikatnie – odezwała się nieznajoma.

Wstała. Tom zauważył, że jest niewysoka, tak że stopę niższa od niego. Pochylił się i ostrożnie podniósł Marthę. Dziecięce ciało w jego rękach było niemal nieważkie. Przeniósł ją kilka jardów wzdłuż traktu i położył na splechietku trawy w cieniu starego dębu. Dziewczynka wciąż była nieprzytomna.

Alfred zbierał narzędzia porozrzucane na drodze. Chłopak obcej kobiety popatrywał wytrzeszczonymi oczami, usta miał otwarte, ale nic nie mówił. Był ze trzy lata młodszy od Alfreda. Tom zwrócił uwagę na jego osobliwy wygląd, niemający nic wspólnego ze zmysłowym urokiem matki. Cera blada, pomarańczowoczerwone włosy i niebieskie, trochę jakby wyłupiaste, oczy. Wydawało się, że chłopak ma wygląd czujny i głupi jednocześnie, jak tępak; jak dziecko, które albo w dzieciństwie wczesnie umiera, albo dorasta, stając się wioskowym idiotą. Alfredowi spojrzenie chłopca wyraźnie przeszkadzało.

Kiedy Tom go obserwował, dzieciak wyrwał z rąk Alfreda piłkę i przyglądał się, jakby była to jakaś zdumiewająca rzecz. Urażony Alfred odebrał piłkę, którą chłopak obojętnie oddał.

Nieznajoma zwróciła mu uwagę:

– Jack, zachowuj się! – Wydawała się zakłopotana.

Tom spojrzał na nią. Chłopiec nie był do niej podobny w najmniejszym stopniu.

– Jesteś jego matką?

– Tak. Na imię mi Ellen.

– Gdzie jest twój mąż?

– Nie żyje.

Zaskoczyło go to.

– Podróżujesz sama? – spytał niedowierzająco. Las był groźny nawet dla takiego mężczyzny jak on. Samotna kobieta nie mogła mieć nadziei na przetrwanie.

– Nie podróżujemy – odpowiedziała Ellen. – Mieszkamy w lesie.

To już nim wstrząsnęło.

– Chcesz powiedzieć, że... – przerwał, by jej nie urazić.

– Jesteśmy banitami, tak – dokończyła. – Czy myślisz, że wszyscy banici są podobni do Faramonda Otwartogębego, który ukradł waszą świnię?

– Tak – odparł Tom, chociaż chciał powiedzieć: „Nigdy nie przypuszczałem, że banita może być piękną kobietą”. Nie mogąc pohamować ciekawości, zapytał: – Jakie popełniłaś przestępstwo?

– Przekląłam księdza. – Odwróciła wzrok.

Tomowi nie wydawało się to ciężką zbrodnią, ale może ten ksiądz był bardzo potężny albo bardzo drażliwy; albo też Ellen nie chciała powiedzieć prawdy.

Spojrzał na Marthę. Dziewczynka otworzyła oczy, trochę oszołomiona i trochę zalekniona. Agnes uklękła przy niej.

– Jesteś bezpieczna. Już dobrze, wszystko w porządku.

Martha siadła wyprostowana i natychmiast zwymiotowała.

Agnes przytrzymała ją, póki nie minęły skurcze. Tom był pod wrażeniem: stało się tak, jak powiedziała Ellen. Stwierdziła też, że Martha wyzdrowieje, prawdopodobnie i to się spełni. Poczul ulgę i zdziwił się sile własnych emocji. Nie wytrzymałby straty swojej małej, pomyślał i musiał powstrzymać łzy. Pochwyił pełne współczucia spojrzenie Ellen i po raz kolejny miał wrażenie, że jej jasne złote oczy potrafią zajrzeć mu do serca.

Ułamał gałąź z dębu, oberwał liście i wytarł nimi Marcie twarz. Była blada.

– Potrzebuje wypoczynku – rzekła Ellen. – Pozwólcie jej poleżeć tak długo, jak długo mężczyzna przechodzi trzy mile.

Tom spojrział na słońce. Przed nimi jeszcze kawał dnia. Usadowił się. Agnes łagodnie kołysała Marthę w ramionach.

Jack zwrócił teraz uwagę na dziewczynkę i gapił się na nią z tą samą idiotyczną intensywnością. Tom pragnął dowiedzieć się czegoś więcej o Ellen. Zastanawiał się, jak ją namówić, aby opowiedziała o sobie. Nie chciał, by odeszła.

– Jak się to wszystko stało? – zapytał niejasno.

Patrzyła mu znowu w oczy. Potem zaczęła mówić.

Ojciec jej był rycerzem, wielkim, silnym i skłonny do przemocy mężem. Pragnął mieć synów, z którymi mógłby jeździć na polowania i turnieje, którzy byliby kompanami do wypitki i nocnych hulanek. W tych sprawach jednak miał pecha tak wielkiego, jaki tylko może mężczyznę spotkać: żona urodziła mu Ellen, a następnie zmarła. Ożenił się po raz drugi, ale ta kobieta okazała się bezpłodna. Jął więc nią pogardzać, aż wreszcie odesłał do matki. Musiał być człowiekiem okrutnym, ale wobec Ellen tego nie okazywał, ta zaś uwielbiała go i dzieliła jego pogardę w stosunku do macochy. Po jej odejściu Ellen dorastała w otoczeniu pozbawionym kobiet. Włosy obcinała krótko i nosiła sztylet, nie nauczyła się bawić z kociętami ani opiekować starymi ślepyimi psami. Kiedy miała tyle lat, ile obecnie ma Martha, pluła na podłogę, zjadała ogryzki jabłek i kopła konia w brzuch tak silnie, że wstrzymywał oddech, co pozwalało na porządne podciągnięcie popręgów – o dziurkę dalej. Wiedziała, że wszyscy mężczyźni, którzy nie należą do kompanii ojca, zwani są koniosysami, a wszystkie kobiety, które z nimi nie chadzają, zwie się knurojebkami, aczkolwiek nie była całkiem pewna – i nie interesowało jej to zbytnio – co te obelgi właściwie oznaczają.

Tom słuchał z zamkniętymi oczyma, poddając się ciszy łagodnego jesien-

nego popołudnia. Wyobraził sobie Ellen jako dziewczynkę o płaskiej piersi i brudnej twarzączce, siedzącą przy długim stole wśród zbirowatej kompanii ojca, pijącą mocne piwo, słuchającą i śpiewającą piosenki o bitwach, grabieżach, gwałtach, koniach, zamkach i dziewicach, dopóki nie zasnęła, położywszy ostrzyżoną główkę na twardym blacie.

Gdyby jej pierś pozostała na zawsze płaska, miałyby życie szczęśliwe. Przyszedł jednak czas, kiedy mężczyźni zaczęli patrzeć na nią inaczej. Już nie zarykiwali się ze śmiechu, gdy mówiła: „Zejdź mi z drogi, bo obetnę ci jaja i nakarmię nimi świnie!”.

Niektórzy gapili się na nią, kiedy zdejmowała wełnianą tunikę i w długiej płóciennej koszuli kładła się spać. Gdy w lesie robili odpoczynek, chętnie się o nią opierali, jak nigdy dotąd.

Któregoś dnia zobaczyła ojca rozmawiającego z proboszczem ich parafii – co było nader rzadkim wypadkiem – przy czym obaj patrzyli na nią tak, jak gdyby mówili właśnie o niej. Następnego poranka ojciec rzekł: „Idź z Henrym i Everardem i zrób, co ci każą”. I pocałował ją w czoło. Zastanawiała się, co go naszło – może miękł na stare lata? Wsiadła na swego siwka, dzielnego rumaka – nie chciała jeździć na koniu stosownym dla kobiety ani na kucyku – i wyjechała z dwoma zbrojnymi mężczyznami.

Zawieźli ją do żeńskiego klasztoru i tam zostawili.

Cały klasztor rozbrzmiewał jej wulgarnymi przekleństwami, aż ściany drżały, kiedy mężczyźni odjeżdżali bez niej. Pchnęła ksienię sztyletem i pieszo przeszła całą drogę do domu ojca. Ten zaś odesłał ją z powrotem. Skrępował jej ręce i nogi i przywiązał do osiodłanego osła. Mniszki zamknęły ją do karnej celi i trzymały tam, dopóki nie zagoiła się rana ksieni. W pomieszczeniu było zimno, wilgotno i ciemno jak w nocy. Poza tym podawano jej tylko wodę, nie dostawała nic do jedzenia. Kiedy ją wypuszczono, znowu uciekła do domu. Ojciec ponownie ją odesłał, tym razem jednak zanim trafiła do celi, ukarano ją chłostą.

W końcu ją złamali. Otrzymała habit nowicjuszki, podporządkowała się regule i nauczyła modlitw. Głęboko w sercu skryła nienawiść do mniszek, pogardę dla świętych i brak wiary w Boga. Nauczyła się jednak czytać i pisać, opanowała liczby oraz pobierała naukę rysunku i muzyki, a do francuskiego i angielskiego, którymi mówiła w domu ojca, doszła łacina.

Zresztą życie w konwencie nie było aż takie złe. Ta jednopłciowa wspólnota miała własne dziwne reguły i rytuały, a do czegoś takiego przecież przywykła. Wszystkie mniszki musiały wykonywać jakieś roboty fizyczne, a Ellen przydzielono do koni. Wkrótce zaczęła sprawować pieczę nad stajnikami.

Ubóstwo nigdy jej nie doskwierało. Posłuszeństwo przychodziło niełatwo, ale i tego się nauczyła. Trzecia reguła, czystość, nie kłopotowała jej zbyt, aczkolwiek od czasu do czasu, tylko po to, by zrobić na złość ksieni, wprowadzała którąś z nowicjuszek w przyjemności...

W tym momencie podniosła się Agnes, by wraz z Marthą udać się na poszukiwanie strumienia, w którym można by było umyć twarz i oczyścić tunikę. Zabrała ze sobą Alfreda dla bezpieczeństwa, choć mówiła, że nie odejdą dalej niż na odległość głosu. Jack wstał, by pójść z nimi, ale Agnes sucho kazała mu zostać i chyba zrozumiał, bo znowu usiadł. Tom zauważył, że żonie udało się zabrać dzieci tam, gdzie nie mogły usłyszeć bezbożnej i nieprzyzwoitej opowieści. Dla towarzystwa zostawiła Toma.

Któregoś dnia – podjęła Ellen – kiedy były w drodze, okulał koń ksieni. W pobliżu znajdował się klasztor, więc matka przełożona pożyczyła konia od przeora. Po powrocie poleciła Ellen odprowadzić zwierzę i zabrać okulałego wierzchowca.

Tam, w stajni klasztornej stojącej opodal rozpadającej się katedry Kingsbridge, Ellen spotkała młodego człowieka wyglądającego jak zbity psiak. Przypominał szczeniaka o płaczącym się nogach i zabawnej czujności, lecz jednocześnie był zalękniony i zastraszone, jak gdyby ta jego zabawność została w nim stłumiona. Kiedy odezwała się do niego, nie rozumiał jej słów. Spróbo-

wała łaciny, ale nie był mnichem. W końcu powiedziała coś po francusku, a jego oblicze przepelniła radość i odezwał się w tym samym języku.

Ellen nie wróciła do klasztoru.

Zamieszkała odtąd w lesie, najpierw w skleconym naprędce szałasie z gałęzi i liści, potem w suchej jaskini. Nie zapomniała żadnej z męskich umiejętności nabytych w domu ojca; potrafiła zapolować na jelenia, schwytać w sidła królika i ustrzelić łabędzia z łuku. Umiała patroszyć dziczyznę oraz oczyścić i ugotować mięso. Wiedziała nawet, jak ściągać skórę i wyprawić ją, by uszyć odzienie. Podobnie jak dziką zwierzyną, umiała żywić się dzikimi owocami, orzechami i korzeniami. Inne rzeczy niezbędne do życia – wełnianą odzież, siekierę czy nowy nóż – musiała ukraść.

Najciężej było wtedy, kiedy urodził się Jack...

Tom chciał zapytać o Francuza. Czy był ojcem Jacka? Kiedy umarł? Jak to się stało? Poznał jednak po wyrazie jej twarzy, że nie ma zamiaru mówić o tej części swego życia. Ponieważ wyglądała na osobę, której nie można przekonać, jeśli sama tego nie zechce, więc swoje pytania zachował dla siebie.

W tym mniej więcej czasie zmarł jej ojciec i jego kompania się rozproszyła. Nie miała na świecie żadnych krewnych czy znajomych. Kiedy Jack miał przyjść na świat, przygotowała zapas drewna na całą noc i rozpałała ogień przy wejściu do swej jaskini. W zasięgu ręki ułożyła przygotowaną żywność i wodę, a także łuk, strzały i nóż do obrony przed wilkami. Miała nawet, ukradzioną biskupowi, ciężką czerwoną pelerynę, w którą zamierzała owinać dziecko. Nie była jednak przygotowana na ból i lęk związany z porodem i przez długi czas myślała, że umrze. Mimo wszystko dziecko urodziło się silne i zdrowe, a ona przeżyła.

Ellen z Jackiem wiedli proste i skromne życie przez następne jedenaście lat. Las dawał im wszystko, czego potrzebowali, jeśli tylko byli dość przezorni, by na zimowe miesiące robić zapasy jabłek, orzechów i solonej lub wędzonej dziczyzny. Ellen często myślała, że jeśliby nie było królów, panów, biskupów

i szeryfów, to wtedy każdy mógłby żyć w ten sposób i być zupełnie szczęśliwy.

Tom spytał, jak dawała sobie radę z banitami, ludźmi pokroju Faramonda Otwartogębego. Co by się stało, gdyby podkradli się nocą i spróbowali ją zgwałcić? – zastanawiał się i na samą myśl o tym poczuł podniecenie, aczkolwiek nigdy w życiu nie posiadał kobiety wbrew jej woli, nawet własnej żony.

Inni banici bali się jej, wyjaśniła Tomowi, patrząc na niego świetlistymi jasnymi oczyma, a on już wiedział dlaczego: myśleli, że jest wiedźmą. A ludzi żyjących w zgodzie z prawem, podróżujących przez las, ludzi, którzy wiedzieli, że mogą rabować, gwałcić i bezkarnie mordować banitów, po prostu unikała. Dlaczegoż tedy nie skryła się przed Tomem? Bo widziała ranne dziecko i chciała pomóc. Sama przecież ma dziecko.

Nauczyła Jacka wszystkiego, czego w ojcowskim gospodarstwie nauczyła się o broni i polowaniu. Potem uczyła go tego, co wyniosła z klasztoru: czytania i pisania, muzyki i liczb, francuskiego i łaciny, a nawet historii biblijnych. Wreszcie, w czasie długich zimowych wieczorów, przekazała mu spadek po Francuzie, który znał więcej poematów, wierszy i pieśni, niż ktokolwiek na świecie...

Tom nie wierzył, że ten chłopak, Jack, umie czytać i pisać. Sam Tom potrafił napisać swoje imię i kilka słów, takich jak „pens”, „jard” czy „buszel”; Agnes zaś, będąca córką księdza, potrafiła więcej, chociaż pisała powoli i mierzwi, wysuwając język w kąciку ust. Alfred nie umiał napisać ani słowa i zaledwie rozpoznawał swoje imię, a Martha nie potrafiła nawet tego. Czy to możliwe, by taki niedorozwinięty umysłowo dzieciak był bardziej wykształcony niż jego rodzina?

Ellen kazała Jackowi coś napisać, a on wygładził kawałek ziemi i wydrapał na niej zdanie. Tom rozpoznał tylko pierwsze słowo „Alfred”, i poczuł się jak dureń; Ellen wybawiła go z zakłopotania, czytając głośno całość: „Alfred jest większy niż Jack”. Chłopak szybko narysował dwie postacie, jedną większą niż drugą i, chociaż były tylko z grubsza zaznaczone, jedna miała szerokie ramiona

i ociążały raczej wygląd, a druga była mniejsza i uśmiechała się. Tom, który sam miał trochę talentu do szkicowania, był zdziwiony prostotą i siłą wyrazu rysunku wydrapanego na piasku.

A przecież ten dzieciak wyglądał jak idiota.

Ellen, domyśliwszy się wątpliwości Toma, wyznała, że z czasem zaczęła sobie z tego zdawać sprawę. Jack nigdy nie miał towarzystwa innych dzieci albo raczej innych istot ludzkich poza matką i w rezultacie rósł jak dzikie zwierzątko. Nie wiedział, jak zachować się między ludźmi. To z tego powodu milczał, gapił się i wyrywał przedmioty.

Kiedy to mówiła, po raz pierwszy było widać, że łatwo ją zranić. Aura niedostępności i samowystarczalności znikła i Tom ujrzał kobietę zatroskaną, prawie zrozpaczoną. Ze względu na Jacka powinna ponownie włączyć się w życie społeczności, ale jak? Gdyby była mężczyzną, mogłaby przekonywająco wyłumaczyć jakiemuś panu, by dał jej rolę do uprawiania, czy gospodarstwo do prowadzenia, zwłaszcza gdyby zdołała skłamać, że wróciła z pielgrzymki do Jerozolimy czy Santiago de Compostela. Co prawda spotkała kilka samotnych kobiet, uprawiających ziemię, ale na ogół były one wdowami mającymi dorosłych synów. Żaden pan nie wydzierżawi gospodarstwa samotnej kobiecie z małym dzieckiem. Nikt też nie weźmie jej na służbę ani w mieście, ani na wsi; a poza tym nie ma gdzie mieszkać, a praca dorywcza rzadko wiąże się z zapewnieniem dachu nad głową. Nie miała wyjścia.

Tom współczuł jej. Dała dziecku wszystko, co potrafiła, lecz to nie wystarczało. Nie mógł jednak znaleźć rozwiązania jej problemu. Jakkolwiek piękna, rozumna i silna, skazana była na krycie się przez resztę życia w lesie wraz ze swym niezwykłym synem.

Agnes, Martha i Alfred wrócili. Tom z niepokojem przyjrzał się dziewczynce, ale wyglądało na to, że wszystko, czego jej było potrzeba, ograniczało

się do obmycia twarzy. Przez pewien czas zaabsorbowały go sprawy Ellen, lecz teraz przypomniał sobie, w jakich tarapatkach sam się znalazł: nie miał pracy, a świnie mu ukradziono. Dzień się kończył. Zaczął zbierać pozostałe części dobytku.

– Gdzie się wybieracie? – spytała Ellen.

– Do Winchesteru – odpowiedział jej Tom. – Jest tam zamek, kilka klasztorów i, co najważniejsze, katedra.

– Salisbury jest bliżej – stwierdziła Ellen. – A kiedy ostatnio tam byłam, przebudowywali katedrę, powiększali ją.

Tomowi zabiło serce. Właśnie czegoś takiego szukał. Jeśli tylko dostałby pracę przy rozbudowie katedry, wierzył, że w końcu zostałby mistrzem budowniczym.

– Jak tam iść? – zapytał z ożywieniem.

– Musicie cofnąć się jakieś trzy czy cztery mile. Czy pamiętasz to rozwidlenie dróg, na którym skręciłeś w lewo?

– Tak... przy stawie pełnym cuchnącej wody.

– Właśnie tam. Prawa odnoga prowadzi do Salisbury.

Zaczęli zbierać się do odejścia. Agnes nie polubiła Ellen, ale umiała jednak powiedzieć z wdzięcznością:

– Dziękuję za pomoc przy Marcie.

Ellen uśmiechnęła się, a gdy odchodzili, spoglądała ze smutkiem. Po kilku minutach marszu Tom obejrzał się. Ellen wciąż za nimi patrzyła, stała na rozstawionych nogach, osłaniając oczy od słońca. Osobliwy chłopiec stał obok niej. Tom jej pomachał, a ona zrobiła to samo.

– Interesująca kobieta – powiedział.

Agnes milczała.

– Ten chłopiec był dziwny – rzekł Alfred.

Szli prosto w niskie jesienne słońce. Tom zastanawiał się, jakie jest to Salisbury, nigdy tam nie był. Czuł podniecenie. Oczywiście marzył o tym, by bu-

dować nową katedrę, od fundamentów po dach, ale zdarzało się to niezwykle rzadko. Bardziej powszechne było ulepszanie lub powiększanie starej świątyni, czyli częściowa przebudowa. Nawet to by mu wystarczyło, o ile w końcu mógłby budować według własnych projektów.

– Dlaczego ten człowiek mnie uderzył? – spytała Martha.

– Bo chciał ukraść naszą świnie – odpowiedziała jej Agnes.

– Powinien mieć swoją własną świnie – orzekła Martha z oburzeniem, jakby dopiero teraz zauważyła, że banita zrobił coś złego.

Problem Ellen byłby rozwiązany, gdyby umiała wykonywać jakieś rzemiosło, rozmyślał Tom. Murarz, cieśla, tkacz czy garbarz nigdy nie znalazłby się w jej sytuacji. Zawsze mógłby pójść do miasta i poszukać pracy. Bywały niekiedy jakieś kobiety trudniące się rzemiosłem, zwykle jednak wdowy lub żony rzemieślników.

– Ona potrzebuje jednego – powiedział Tom głośno – męża.

– Cóż, nie może mieć mojego – rzekła sucho Agnes.

III

Dzień, w którym stracili świnie, był ostatnim dniem ładnej pogody. Po nocy spędzonej w jakiejś stodole wyszli na poranek.

Niebo miało kolor ołowianego dachu, a zimne uderzenia wiatru – siłę zacinającego deszczu. Rozwinęli zapakowane peleryny z grubej, spilśnionej tkaniny i włożyli je, zapinając ciasno pod szyję i głęboko naciągając kaptury, by uchronić twarze przed deszczem. Wyruszyli w ponurym nastroju, cztery posępne postacie jak duchy w nawałnicy, a ich drewniaki grzęzły w mlaskającej, rozmięklej błotnistej ziemi.

Tom znowu rozmyślał o tym, jak też wygląda katedra w Salisbury. W zasadzie katedra to kościół, jak każdy inny, tyle że biskup miał tam swój tron i to

stanowiło różnicę. A jednak kościoły katedralne rzadko okazywały się prostymi korytarzami zaopatrzonymi w okna, były natomiast największe, najbogatsze, najwspanialsze i najpiękniej zdobione. Większość składała się jakby z trzech tuneli: wielkiego i dwu mniejszych w kształcie głowy i ramion, tworzących nawę główną i dwie boczne. Ściany głównej nawy sprowadzały się do dwu ciągów filarów połączonych łukami tworzącymi arkady. Boczne nawy, gdzie odbywały się procesje – w kościołach katedralnych bardzo wystawne – mogły także być wykorzystywane do urządzania kapliczek poświęconych poszczególnym świętym. Dawało to możliwość ściągnięcia dodatkowych datków. Katedry to najkosztowniejsze budowle świata, są dużo droższe od zamków.

Do Salisbury było bliżej, niż się spodziewał. Wkrótce wspięli się na wznie-sienie i zobaczyli drogę opadającą długim łagodnym łukiem. Wśród pól smaganych deszczem wyrastało niczym łódź na niwie warowne wzgórze miasta Salisbury. Choć widok przesłaniał welon deszczu, Tom zdołał dojrzeć kilka wież, cztery czy pięć, wznoszących się wysoko ponad murami grodu. Perspektywy roboty murarskiej rozradowały go ogromnie.

Zimny wiatr śmigał przez równinę, mroził twarze i ręce, kiedy szli traktem w stronę wschodniej bramy. U stóp wzgórza schodziły się cztery drogi, a między porozrzucanymi domostwami, wypchniętymi z ciasnego miasta, napotkali innych podróżnych. Z pochylonymi ramionami i opuszczonymi głowami zmagali się z wichurą, by jak najszybciej znaleźć schronienie wśród murów.

Pokonując pochyłość prowadzącą do bramy, szli obok wozu zaprzęzonego w woły, załadowanego kamieniem – nader obiecujący widok dla murarza. Woźnica zgięty wpół wspomagał dwa woły, pchając ciężar, a i tak posuwali się w górę cal po calu. Tom dojrzał szansę pozyskania przyjaciela. Skinął na Alfreda i obaj podeszli do wozu i pomogli go pchać.

Ogromne drewniane koła zaturkotały na belkowym moście, łączącym brze-gi głębokiej suchej fosy. Roboty ziemne były potężne. Wykopanie fosy i wyrzucenie urobku tak, by uformować wały obronne, wymagało pracy setek ludzi,

pomyślał Tom. Znacznie większa robota niż przy kopaniu fundamentów pod katedrę. Most, po którym jechali, skrzypiał i trzeszczał pod ciężarem wozu i dwu potężnych zwierząt, które go ciągnęły.

Pochyłość się skończyła i wóz potoczył się dużo łatwiej, gdy docierali do bramy. Woźnica się wyprostował. Tom i Alfred uczynili to samo.

– Uprzejmie wam dziękuję – rzekł.

– Po co ten kamień? – zapytał Tom.

– Na nową katedrę.

– Nową? Słyszałem, że tylko powiększają starą?

– Tak mówili – skinął głową woźnica – dziesięć lat temu. Teraz jest więcej nowego niż starego.

To kolejna dobra wiadomość.

– A kto jest mistrzem budowniczym?

– John z Shaftesbury, chociaż biskup Roger także ma wiele wspólnego ze sporządzaniem planów.

Normalne. Biskupi rzadko pozwalali projektantom robić swoje. Jednym z problemów, z jakim mistrz budowniczy się stykał na co dzień, było studzenie rozpalonej wyobraźni duchownych i wyznaczanie praktycznych granic dla ich wybujałych fantazji. No, ale to John z Shaftesbury będzie tym, który przyjmuje ludzi do pracy.

Woźnica kiwnął głową w stronę kalety, w której Tom miał narzędzia.

– Murarz?

– Tak. Poszukujący pracy.

– Możesz ją znaleźć – powiedział woźnica obojętnie. – Jeśli nie przy katedrze, to może na zamku.

– A kto zarządza zamkiem?

– Także Roger. Jest jednocześnie biskupem i kasztelanem. Zgadza się, pomyślał Tom. Słyszał przecież o potężnym Rogerze z Salisbury. Był blisko króla od tak dawna, że chyba od zawsze.

Przeszli przez bramę. Plac był przepelniony budynkami, ludźmi i zwierzętami. Wydawało się, iż za chwilę pękną otaczające go obwałowania i wszystko wpadnie do fosy. Drewniane domostwa tłoczyły się jedno przy drugim, rozpychając się jak gapie podczas wykonywania wyroku śmierci przez powieszenie. Najmniejszy nawet kawałek ziemi był do czegoś wykorzystany. Jeśli między dwoma domami pozostawał jakiś odstęp, to zabudowano go w połowie na mieszkanie, które nie miało nawet okien, bo drzwi zajmowały prawie cały front. Jeśli miejsca było za mało na pomieszczenie mieszkalne, to postawiono kram, gdzie sprzedawano piwo, chleb czy jabłka, a jeśli nawet na to było go za mało, przeznaczano je na stajnię, chlew czy beczkę wody albo robiono gnojowisko.

No i ten zgiełk. Nawet deszcz nie był w stanie przytłumić dźwięków dochodzących z warsztatów rzemieślniczych, okrzyków straganiarzy zachwalających swe towary, ludzi pozdrawiających się nawzajem, targujących czy kłócących, jak również głosów wydawanych przez zwierzęta.

– Co tak śmierdzi? – zapytała Martha.

– To zapach ludzi – uśmiechnął się Tom. Mała już dawno nie była w mieście.

Chociaż ulica okazała się niewiele szersza od zaprzęgu, woźnica nie zamierzał zatrzymywać zwierząt. Bał się, że nie zechcą ruszyć ponownie, a on nie zdoła ich zmusić. Pogonił je więc, nie patrząc na przeszkody, a woły ruszyły na oślep, spychając na bok rycerza na bojowym koniu, myśliwego z łukiem, tłustego mnicha na kucyku, dziewczki czy gospodynie domowe.

Wóz mijał starego pasterza, który starał się utrzymać swe niewielkie stadko w kupie. To zapewne dzień targowy, uświadomił sobie Tom. W tym momencie jedna z owiec wpadła przez otwarte drzwi do piwiarni, a po chwili było tam już całe stadko. Becząc w popłochu, przewracały stoły, stołki i kufle.

Grunt pod stopami był morzem śmieci i błota. Tom spojrzał na dachy. Deszczowa woda zbierała się w rynnach i stamtąd ściekała do rynsztoka. Jego

uwagę zwróciła szerokość kanału zbiorczego. Cały opad w tej części miasta spływał właśnie tą ulicą. W czasie potężnej ulewy trzeba chyba łódki, by dostać się na drugą stronę, pomyślał.

Kiedy zbliżyli się do zamku wzniesionego na szczycie wzgórza, ulice się poszerzyły. Stojące przy nich kamienne domy należały do rzemieślników i kupców, którzy swoje sklepy i składy towarów umieścili na parterze i w piwnicach, a sami mieszkali na piętrach. Spoglądając doświadczonego okiem na budynki, Tom stwierdził, że miasto rozwija się pomyślnie, sądząc przynajmniej po tym, czym handlowano. Każdy musiał mieć noże i garnki, ale tylko ci, którym dobrze się powodziło, kupowali haftowane szale, zdobione pasy i srebrne zapinki.

Przed zamkiem woźnica skierował zaprzęg w prawo, a Tom z rodziną podążyli za nim. Ulica wiodła łukiem u podnóża wałów zamkowych. Przeszedłszy przez następną bramę, zostawili za sobą miejski harmider, lecz dostali się w inny rodzaj zamieszania – gorączkowy, acz uporządkowany ruch wielkiego placu budowy.

Znajdowali się na otoczonym murami dziedzińcu katedralnym, zajmującym północno-zachodni kwartał miasta. Tom przystanął na chwilę, chłonąc ruch. Samo patrzenie, nasłuchiwanie i wężanie przyprawiało go o wzruszenie. Właśnie odjeżdżały dwa opróżnione wozy. W dobudowanych wzdłuż ścian kościoła szopach murarze obrabiali bloki kamienia, by uzyskać cokoły, kolumny, trzony, przypory, łuki, okna, kapitele, parapety, progi... Pośrodku dziedzińca stała kuźnia. Przez otwarte drzwi widać było blask ognia. Brzęk młota o kowadło niósł się po dziedzińcu, oznajmiając, że kowal przygotowuje nowe narzędzia, które zastąpią zużyte. Dla większości ludzi wszystko to byłoby obrazem zupełnego chaosu, ale Tom dostrzegał w tym wielki, złożony mechanizm. Wiedział, co tu robi każdy człowiek, i potrafił ocenić, jak postępuje praca. Właśnie budowali część wschodnią.

Rusztowania, wysokie na dwadzieścia pięć do trzydziestu stóp, biegły wzdłuż wschodniej ściany kościoła. Murarze schronili się w kruchcie, by prze-

czekać deszcz, ale pomocnicy śpieszyli na górę, nosząc na barkach kamienie. Wyżej, na belkowaniu przyszłego dachu, krzątali się dekarze, którzy, niczym pająki, wspinali się po olbrzymiej drewnianej kratownicy, by mocować ołowiane płachty blach, instalować rury odpływowe i rynny.

Tom z żalem spostrzegł, że budynek jest już niemal na ukończeniu. Gdyby nawet przyjęto go do pracy, mógłby tu zatrzymać się najwyżej kilka lat, a to zbyt krótki okres, nie tylko na osiągnięcie pozycji mistrza budowniczego, ale nawet na zdobycie stanowiska mistrza murarza. A jednak powinien postarać się o tę robotę, przyjąć, co mu dadzą, bo nadchodziła zima i stracili świnie.

Zatrzymali się na dziedzińcu do składu kamienia. Woły z wdzięcznością zanurzyły głowy w wodzie.

– Gdzie jest mistrz budowniczy? – zawołał woźnica do przechodzącego murarza.

– Na zamku! – odkrzyknął tamten.

Woźnica skinął głową i odwrócił się do Toma.

– Znajdziesz go u biskupa, jak sądzę.

– Dziękuję.

– Ja tobie również.

Tom opuścił dziedziniec, a Agnes i dzieci podążyły za nim. Znaną już sobie drogą szli zatłoczonymi wąskimi ulicami prowadzącymi na zamek. Tu także była sucha fosa i drugi wał ziemny otaczający wewnętrzne umocnienia. Przeszli przez zwodzony most. W strażnicy usytuowanej po jednej stronie bramy siedział na stołku przysadzisty mężczyzna w skórzanej tunice i patrzył na deszcz. Do pasa miał przytroczony miecz. Tom zwrócił się do niego:

– Dzień dobry! Nazywają mnie Tom Budowniczy. Chcę się widzieć z Johnem z Shaftesbury.

– Jest u biskupa – odrzekł strażnik obojętnie.

Weszli do środka. Podobnie jak w większości zamków, za obwałowaniami mieściła się zbieranina różnorodnych budynków. Naprzeciw bramy, wystając

wysoko ponad wały, stała masywna twierdza, ostatnie umocnienie w razie ataku. Po lewej stronie tłoczyły się bezładnie niskie budynki, głównie drewniane: długie stajnie, kuchnia, piekarnia i kilka składów. Studnię wykopano na środku. Po prawej stronie twierdzy, od północy, stał obszerny kamienny zamek. Zbudowany w tym samym stylu co katedra, miał dwie kondygnacje, a także zaokrąglone ościeża drzwi i okien. Z pewnością był nowy – murarze wciąż jeszcze pracowali w jednym z jego rogów, najwidoczniej stawiając wieżę. Pomimo deszczu na dziedzińcu znajdowało się wielu ludzi, wchodzących i wychodzących, starających się jak najprędzej pokonać odległość między budynkami. Byli to zbrojni mężowie, księża, kupcy, robotnicy budowlani i zamkowi słudzy.

Tom dostrzegł kilka wejść, wszystkie otwarte mimo ulewy. Nie za bardzo się orientował, co robić dalej. Jeśli mistrz budowniczy przebywał z biskupem, to może nie należało mu przeszkadzać. Ale przecież biskup to nie król; Tom jest wolnym człowiekiem i murarzem z uprawnieniami do wykonywania zawodu, a nie jakimś uniżonym sługą przychodzącym na skargę. Postanowił być odważny. Nakazał czekać Agnes i Marcie, i wraz z Alfredem przeszedł błotnisty dziedziniec i wszedł w najbliższe drzwi.

Znaleźli się w małej kapliczce o sklepionym stropie i oknie nad ołtarzem. Przy wejściu siedział ksiądz za wysokim stolikiem i szybko coś pisał na weliście. Spojrzał na nich.

– Gdzie jest mistrz John? – żywo zapytał Tom.

– W zakrystii – odrzekł ksiądz, wskazując głową w stronę drzwi w bocznej ścianie.

Tom nie poprosił o spotkanie z mistrzem. Założył, że działając tak, jakby był oczekiwany, straci mniej czasu. Przeciął kapliczkę kilkoma dużymi krokami i wszedł do zakrystii.

Był to niewielki kwadratowy pokój oświetlony świecami. Prawie całą powierzchnię podłogi zajmowała płaska piaskownica. Drobny piasek był doskonale wyrównany przymiarem. W pokoju znajdowali się dwaj mężczyźni. Obaj

przelotnie spojrzeli na Toma, po czym ponownie swą uwagę zwrócili ku piaskowi. Biskup, pomarszczony starzec o błyszczących czarnych oczach, zaostrzonym kijkiem rysował coś na piasku. Mistrz budowniczy w skórzanym fartuchu przyglądał się cierpliwie i nieco sceptycznie.

Tom czekał w milczeniu. Niepokoił się. Musi zrobić dobre wrażenie, powinien być uprzejmy, ale nie służalczy, musi wykazać się wiedzą i umiejętnościami, lecz nie może to wyglądać na samochwalstwo. Szef rzemieślników chce, by jego pracownicy byli posłuszni i przygotowani do zawodu, o tym Tom wiedział z własnego doświadczenia.

Biskup Roger szkicował dwukondygnacyjny budynek o dużych oknach z trzech stron. Kreślił proste linie i prawidłowe kąty. Narysował plan i rzut boczny budynku. Tom, przyjrawszy się uważnie, pomyślał, że takiego budynku postawić nie można.

– Otóż i to – powiedział biskup, skończywszy.

– No i co? – spytał John, odwróciwszy się do Toma.

– Nie można zrobić takich wielkich okien w tej krypcie. – Tom udawał, że uwagę mistrza potraktował jako pytanie o swoją opinię.

– To nie krypta, lecz skryptorium. – Biskup spojrzał z irytacją.

– I tak się zawali.

– On ma rację – rzekł John. – Ale tam musi być światło, żeby można było przepisywać. – Wzruszył ramionami i zwrócił się do Toma: – Kim jesteś?

– Na imię mi Tom, jestem murarzem.

– Tego się domyśliłem. Co cię tu sprowadza?

– Poszukuję pracy. – Tom wstrzymał oddech.

– Nie mogę cię przyjąć. – John pokręcił głową.

Tomowi ścisnęło się serce. Miał ochotę odwrócić się na pięcie, ale poczekał na wyjaśnienie.

– Budujemy już od dziesięciu lat – ciągnął John. – Większość murarzy ma domy w mieście. Zbliżamy się do końca i teraz mam na placu więcej murarzy,

niż naprawę potrzebuję.

– A na zamku? – Tom wiedział, że to beznadziejne.

– Podobnie – odrzekł John. – Gdyby nie inne zamki biskupa Rogera, już bym zwalniał murarzy.

Tom skinął głową i obojętnym głosem, starając się, by nie zadźwięczała w nim rozpacz, powiedział:

– Czy słyszałeś o jakiejś pracy? Gdziekolwiek?

– W Shaftesbury na początku roku budowali coś w klasztorze. Może budują w dalszym ciągu. To o dzień drogi stąd.

– Dzięki. – Tom odwrócił się, by odejść.

– Przykro mi – zawołał za nim John. – Wydajesz się dobrym człowiekiem.

Tom wyszedł bez odpowiedzi. Był przybity. Za wcześniej pozwolił sobie na wybuch nadziei, bo w tym, że nie dostał pracy, nie było nic zaskakującego. Lecz rozochocił się na myśl o możliwości budowania katedry. Przecież mogło się zdarzyć, że będzie musiał pracować przy nudnej budowie wału miejskiego albo przy stawianiu brzydkiego domu dla złotnika. I to robiącego w srebrze.

Wyprostował ramiona i przeszedł przez dziedziniec zamkowy do Agnes i Marthy. Nigdy nie okazywał żonie swego rozczarowania. Starał się zawsze robić wrażenie panującego nad sytuacją, a to, że tutaj nie ma dla niego pracy, to nic, bo pewne jest, że w następnym mieście znajdzie zajęcie, a jak nie, to znajdzie je w kolejnym. Wiedział, że jeśli ujawni poczucie klęski, to Agnes zacznie nalegać na osiedlenie się w najbliższym możliwym miejscu, a to mu się nie uśmiechało, chyba że chciałaby się osiedlić w mieście, w którym miałby do zbudowania katedrę.

– Dla mnie nic tutaj nie ma – powiedział do Agnes. – Ruszajmy.

– Nie uważasz, że tam, gdzie jest w budowie katedra oraz zamek, powinno być miejsce dla murarza? – Była przygnębiona, prawie załamana.

– Oba budynki są już prawie na ukończeniu. Mają więcej ludzi, niż im potrzeba.

Rodzina przeszła przez zwodzony most, wtapiając się ponownie w uliczny tłok miasta. Weszli do Salisbury przez bramę wschodnią, powinni zaś wyjść przez zachodnią, bo tamtędy prowadziła droga do Shaftesbury. Tom skręcił w prawo, w nieznaną im część miasta.

Zatrzymał się przed kamiennym domem, gwałtownie domagającym się reperacji. Zaprawa, jakiej użyto do jego budowy, była za słaba i budynek kruszał i chylił się ku upadkowi. Zamróz wsączył się w szczeliny, powodując pęknięcie kamieni. Pozostawienie domu w takim stanie przez następną zimę spowodowałoby jeszcze gorsze szkody. Postanowił powiedzieć o tym właścicielowi.

Parterowe wejście tworzył szeroki łuk. Za wrotami z drewna znajdował się przedsionek, w którym siedział rzemieślnik trzymający w prawej ręce młotek, a w lewej przecinak. Rzeźbił wzór na drewnianym siodle. Tom zauważył na zapleczu zapasy drewna i skóry. Chłopiec z miotłą sprzątał ścinki.

– Dzień dobry, mistrzu rymarzu.

Siodlarz popatrzył na Toma i pojął, że należy on do tego rodzaju ludzi, którzy, gdy im będzie to potrzebne, zrobią sobie siodło własnymi rękoma. Powitał go krótkim skinieniem.

– Jestem budowniczym – przedstawił się Tom. – Widzę, że potrzebujecie moich usług.

– Dlaczegoż to?

– Kruszy się wasza zaprawa, a kamienie pękają i dom może nie wytrzymać najbliższej zimy.

– W tym mieście jest wielu murarzy – siodlarz potrząsnął głową. – Czemu miałbym zatrudniać obcego?

– Bardzo słusznie. Bóg z wami.

– Mam nadzieję – odrzekł siodlarz.

– Gbur – mruknęła Agnes do Toma, gdy odchodzili.

Ulica zaprowadziła ich na plac targowy, gdzie na pólakrowym morzu błota chłopi z okolicznych wsi wymieniali niewielkie nadwyżki mięsa, ziarna, mleka i jajek na rzeczy, których nie mogli sami zrobić, głównie garnki, lemiesze, sznury i sól. Targi były zazwyczaj kolorowe i hałaśliwe; udawano rywalizację między kramarzami i przylegającymi kramami, sprzedawano tanio ciasteczka dla dzieci. Czasami minstrel albo grupa linoskoczków pokazywali swoje umiejętności. Przewijało się tam mnóstwo wymalowanych wyzywająco ulicznic, a niekiedy żołnierz kaleka opowiadał historie o wschodnich pustyniach i hordach Saracenów. Ci, którzy dobili dobrego targu, często nie mogli się oprzeć pokusie świętowania z powodu zrobienia dobrego interesu i wydawali zarobione pensy na mocne piwo. Dlatego zawsze około południa panował tu hałaśliwy i trochę awanturniczy nastrój. Inni tracili pensy podczas gry w kości, a to często kończyło się bójkami. Teraz jednak, gdy tegoroczne zbiory zostały już sprzedane albo złożone w spichrzach, a poranek był wilgotny, targ sprawiał wrażenie przytłumionego. Ociekający deszczem chłopi załatwiali szybko swoje sprawy z trzęsącymi się z zimna kramarzami, a każdy patrzył tylko, by jak najszybciej pójść do domu i zasiąść przy płonącym palenisku.

Tom z rodziną przepychali się przez tłum, nie zwracając najmniejszej uwagi na sprzedawcę kiełbasek i ostrzyciela noży, którzy bez przekonania zachwalali swój towar. Prawie dotarli do przeciwległego końca placu, gdy Tom spostrzegł swoją świnię.

Zaskoczyło go to tak bardzo, że w pierwszej chwili nie chciał wierzyć własnym oczom. I właśnie wtedy Agnes zawołała:

– Tom! Popatrz! – Wiedział już, że ona też ją poznała.

Nie było wątpliwości. Znał swoją świnię, równie dobrze jak Alfreda i Martę. Teraz trzymał ją mocno rumiany i zażywny mężczyzna, ktoś, kto zjada tyle mięsa, ile mu trzeba, a często i więcej; niewątpliwie rzeźnik. Oboje, Tom i Agnes, stali i wpatrywali się w niego, a kiedy zastąpili mu drogę, nie mógł już ich nie zauważyć.

– No? – spytał, zdezorientowany ich spojrzeniami, pragnąc oddalić się w swoją stronę.

Martha odezwała się pierwsza.

– To nasza świnia!

– Zgadza się – rzekł Tom, spokojnie patrząc na rzeźnika.

Przez moment na twarzy mężczyzny pojawiło się ukradkowe spojrzenie. Tom zdołał je dostrzec i zrozumiał, że rzeźnik też zdaje sobie sprawę z tego, że świnia była kradziona. Mimo to powiedział:

– Właśnie zapłaciłem za nią pięćdziesiąt pensów, jest moja!

– Nieważne, komu dałeś te pieniądze, ta świnia nie była na sprzedaż. Bez wątplenia właśnie dlatego dostałeś ją tak tanio. Od kogo ją kupiłeś?

– Od chłopca.

– Znałeś go?

– Nie. Jestem rzeźnikiem grodowej załogi. Nie mogę żądać od każdego chłopca, który mi sprzedaje świnie albo krowę, by mi sprowadził tuzin świadków potwierdzających, że to jego zwierzę.

Odwrócił się, jakby chciał odejść, ale Tom złapał go za ramię i zatrzymał. Przez chwilę rzeźnik wyglądał na zagniewanego, lecz uświadomił sobie, że jeśli wda się w szarpaninę, to upuści świnie, a jeżeli ktoś z Toma rodziny ją pochwyty, to jego pozycja osłabnie i on sam stanie przed koniecznością udowodnienia, że świnia jest jego. Pohamował się więc i powiedział:

– Jak chcecie złożyć skargę, idźcie do szeryfa.

Tom szybko odrzucił pomysł. Nie miał żadnego dowodu. Zapytał więc:

– Jak wyglądał ten człowiek? Ten, który sprzedał ci moją świnie.

Rzeźnik odpowiedział przebiegle:

– Jak każdy.

– Czy zasłaniał usta?

– Teraz, jak o tym myślę, to wydaje mi się, że tak.

– To był banita, ukrywał okaleczenie – rzekł Tom z goryczą. – Przypusz-

czam, że o tym nie pomyślałeś.

– Przecież leje jak z cebra – zaprotestował rzeźnik. – Każdy się osłania jak może!

– No to powiedz mi, jak dawno temu z nim się rozstałeś.

– Przed chwilą.

– A gdzie poszedł?

– Myślę, że do piwiarni.

– Wydać moje pieniądze – powiedział oburzony Tom. – Dobra, idź już sobie. Może któregoś dnia i ciebie ktoś obrabuje, a wtedy zapragniesz, by nie było tak wielu pełnych zapału kupców do dobicia targu bez zadawania pytań.

Rzeźnik wyglądał na rozzłoszczonego, zawahał się, jakby chciał jakoś odparować, ale zastanowił się i po chwili umknął.

– Czemu go puściłeś? – spytała Agnes.

– Bo jego tu znają, a mnie nie. Jeślibym zaczął się z nim bić, to ja zostałbym obwiniony, a nie on. Świnia nie ma na tyłku wypisanego mego imienia, więc nikt nie może potwierdzić, czy jest moja.

– Ale nasze wszystkie oszczędności...

– Jeszcze możemy odzyskać pieniądze za świnię. Zamknij się i pozwól mi myśleć. – Starcie z rzeźnikiem zeźliło Toma, a ostre odezwanie się do Agnes przyniosło pewną ulgę. – Gdzieś w tym mieście jest człowiek bez warg, z pięćdziesięcioma srebrnymi pensami w kieszeni. Musimy go znaleźć i odebrać mu pieniądze.

– Racja – rzekła stanowczo Agnes.

– Ty wrócisz drogą, którą tu przyszliśmy. Na dziedzińcu katedry na mnie zaczekasz. Ja dojdę do świątyni inną drogą. Potem wrócimy tutaj jeszcze inną uliczką i ponownie przepatrzymy teren. Jeśli go nie ma na zewnątrz, jest w piwiarni. Jak go gdzieś zobaczysz, to pozostań tam, a Marthę przyslij po mnie. Ja pójdę z Alfredem. Postaraj się, żeby banita cię nie spostrzegł.

– Nie bój się – ponuro powiedziała Agnes. – Potrzebuję tych pieniędzy, by

wykarmić dzieci.

Tom dotknął jej ramienia.

– Jesteś lwicą, Agnes.

Popatrzyła mu w oczy przez chwilę, potem niespodziewanie stanęła na palcach i pocałowała go w usta, krótko, lecz mocno. Odwróciła się i, ciągnąc za sobą Marthę, ruszyła przez targowisko. Tom zaniepokojony jej odwagą patrzył za nią, póki nie znalazła się poza zasięgiem jego wzroku, i ruszył w przeciwną stronę, zabierając Alfreda.

Złodziej zapewne myślał, że jest zupełnie bezpieczny. To oczywiste, bo kiedy kradł świnie, Tom zmierzał do Winchesteru. Udał się więc w kierunku przeciwnym, do Salisbury, by tam świnie sprzedać. Gdy banitka Ellen powiedziała o przebudowie katedry w Salisbury i Tom zmienił plany, przypadkiem natknął się na złodzieja, który nie przypuszczał, że kiedykolwiek w życiu jeszcze się spotkają.

Tom szedł powoli grząskimi ulicami, obojętnie przyglądając się drzwicom budynków. Pragnął prezentować się skromnie i przyzwoicie, epizod bowiem mógł skończyć się użyciem siły. Nie chciał więc, by mieszkańcy zapamiętali wysokiego murarza przeszukującego miasto. Większość domów stanowiły proste szopy z drewna, gliny i trzciny, ze słomą na podłodze, paleniskiem pośrodku i kilkoma meblami własnej roboty. Beczka i parę stołów tworzyły piwiarnię, łóżko w kącie za zasłoną było miejscem dziwki, zgiełkliwy tłumek przy pojedynczym stole wskazywał na grę w kości.

Kobieta o czerwono pomalowanych ustach obnażyła przed Tomem piersi, lecz on potrząsnął głową i pośpiesznie ją minął. Sekretnie myślał, jak by to było z zupełnie obcą kobietą, i do tego za pieniądze, ale przez całe życie nawet nie spróbował.

Znów przypomniał sobie Ellen. Coś go w niej pociągało. Wyglądała przyjemnie, lecz te głęboko osadzone, intensywnie patrzące oczy onieśmiały. Zapraszający gest dziwki na chwilę rozstroił Toma. Urok Ellen jeszcze z niego nie

wyparował, więc nagle zapragnął wrócić biegiem do lasu, znaleźć ją i lec na niej.

Doszedł do klasztornej dziedzińca, nie dostrzegłszy banity. Popatrzył na dekarzy pokrywających ołowianą blachą drewnianą konstrukcję trójkątnego dachu nad główną nawą. Jeszcze nie zaczęli kryć dachów nad nawami bocznymi i można było oglądać półłuki łączące ścianę zewnętrzną budowli ze ścianą nawy głównej. Pokazał je Alfredowi.

– Bez tych podpór ściana nawy odchyliłaby się na zewnątrz i wykrzywiła, a to z powodu ciężaru kamiennych sklepień wewnątrz – tłumaczył. – Widzisz, jak w nawach bocznych półłuki i przypory ścian łączą się w szereg? Identyczny szereg tworzą arkady wewnątrz nawy. Kształt okien zaś jest taki sam jak łuki arkad. Silne równa się z silnym, a słabe ze słabym.

Alfred wyglądał na zaskoczonego i dotkniętego. Tom westchnął. Wtedy ujrzał Agnes nadchodzącą z przeciwnej strony, skierował więc myśli ku zasadniczemu problemowi. Kaptur zasłaniał jej twarz, ale rozpoznał ją po chodzie – szła z podaną do przodu głową, pewnym krokiem. Pracujący mężczyźni o szerokich barkach odstępowali o krok, by zrobić dla niej przejście. Pomyślał z zawziętością, że jeśli by Agnes natknęła się na złodzieja i wywiązała się walka, to szanse byłyby całkiem wyrównane.

– Widziałeś go?

– Nie. Ty oczywiście też nie. – Tom miał nadzieję, że złodziej nie zdążył jeszcze opuścić miasta. Bez wydania przynajmniej części pieniędzy z całą pewnością nie powinien tego uczynić. W lesie z nich niewiele pożytku.

– On gdzieś tutaj jest. Szukajmy dalej. – Agnes myślała podobnie.

– Wróćmy innymi ulicami i spotkajmy się na targowisku.

Tom i Alfred ponownie przeszli przez dziedziniec i wyszli bramą. Deszcz przemoczył im odzież i Tom poczuł przelotną chęć na garniec piwa i michę rosołu przy ogniu w piwiarni. Potem pomyślał, jak ciężko pracowali na tę świnię, przed oczyma ujrzał obraz człowieka bez warg, walącego pałą w głowę Marthy,

w małą niewinną główkę. Rozgorzał w nim gniew, który sprawił, że zrobiło mu się ciepłej.

Poszukiwania były utrudnione ze względu na gmatwaninę ulic. Wędrowali tu i tam, natykali się na ostre zakręty i ślepe zaułki. Jedyłą prostą ulicą była ta od bramy wschodniej do zwodzonego mostu wiodącego na zamek. Przedtem Tom trzymał się blisko murów, teraz sprawdzał przyległości, chodząc tam i z powrotem. Znajdujące się tu domostwa były biedniejsze, większość chyliła się ku upadkowi, piwiarnie bardziej hałaśliwe, a dziwki starsze. Przedmieście leżało niżej niż centrum, więc odpadki z bogatszej części sływały ulicami i zbierały się pod murami. W kwaterach ulicznych mieszkało dużo więcej kalek i żebraków, głodnych dzieci, posiniaczonych kobiet i bezradnych pijaków.

Człowieka bez warg nigdzie nie było widać.

Dwukrotnie Tom wypatrzył mężczyznę o podobnej posturze, ale przyjrząwszy się bliżej, przekonywał się, że ma normalną twarz.

Poszukiwania zakończył na targowisku, gdzie oczekiwała już Agnes. Była spięta, a jej oczy lśniły.

– Znalazłam go.

– Gdzie? – Toma ogarnęło podniecenie zmieszane z niepokojem.

– Wszedł do jadłodajni, niedaleko wschodniej bramy.

– Prowadź mnie tam.

Obeszli zamek i od mostu zwodzonego ruszyli ulicą do bramy wschodniej, a potem skręcili w płataninę uliczek w pobliżu murów. Jadłodajnię dostrzegł w chwilę później. To nawet nie był dom, po prostu spadzisty dach wsparty na czterech słupach, przylegający do muru. W głębi znajdowało się palenisko, nad którym obracał się na rożnie baran, a obok bulgotał kocioł. Było południe, więc siedziało tam dużo ludzi, głównie mężczyzn. Zapach mięsa wywołał u Toma burczenie w brzuchu. Przeczesał wzrokiem tłumek, obawiając się, że w ciągu krótkiego czasu, nim tu dotarli, banita mógł sobie pójść, ale dostrzegł go niemal natychmiast. Siedział na stołku trochę z boku, jadł z miski łyżką jakąś gotowa-

na potrawę, zasłaniając twarz szalem, by ukryć usta.

Tom odwrócił się szybko. Teraz musiał zdecydować, co począć dalej. Był dostatecznie wściekły, żeby walnąć banitą o ziemię i zabrać mu sakiewkę. Tłum jednak nie pozwoliłby mu odejść. Musiałby się tłumaczyć, nie wobec zebranych, ale przed szeryfem. Miał prawo to zrobić, a fakt, że złodziej jest banitą, oznaczał, że nie mógłby powołać nikogo na świadka swej uczciwości, podczas gdy Tom był człowiekiem godnym szacunku i murarzem. Wszelako ustalenie tego wszystkiego wymagałoby dużo czasu, być może ciągnęłoby się tygodniami, gdyby się okazało, że szeryf wyjechał do innej części hrabstwa; poza tym mogłoby paść oskarżenie o pogwałcenie prawa królewskiego, gdyby doszło do bójki.

Nie. Mądrzej będzie rozprawić się ze złodziejem bez świadków.

Ten człowiek nie może zostać w mieście na noc, bo nie ma domu, a nie dostanie noclegu bez okazania, że jest uczciwym człowiekiem. Dlatego będzie musiał opuścić miasto, zanim zamkną bramy przed zmrokiem.

A bramy były tylko dwie.

– Prawdopodobnie wróci tą drogą, którą my przyszlismy – powiedział Tom do Agnes. – Zaczekam na zewnątrz wschodniej bramy. Alfred niech pilnuje zachodniej. Ty zostań w mieście i obserwuj. Dobrze pilnuj, by banita nie zauważył Marthy. Gdybyś chciała przekazać nam jakąś wiadomość, wyślij dziewczynkę.

– W porządku – rzekła krótko.

– Co ja mam zrobić, gdyby się okazało, że wychodzi zachodnią bramą? – spytał podekscytowany Alfred.

– Nic – odrzekł Tom stanowczo. – Popatrz, którą wybiera drogę, potem razem go dogonimy. – Alfred wyglądał na rozczarowanego, więc Tom dodał: – Zrobisz, jak ci mówię. Nie chcę stracić syna, tak jak straciłem świnie.

Alfred niechętnie kiwnął głową.

– No to rozdzielmy się, zanim zobaczy nas razem. W drogę.

Tom odszedł natychmiast, nie obejrzawszy się nawet. Na Agnes mógł polegać, że podporządkuje się jego planowi. Pośpieszył do bramy wschodniej i opuścił miasto, przechodząc po klekoczącym moście. Prosto przed nim, jak strzełił, biegła droga do Winchesteru, na wschód. Wyglądała jak długi dywanik rozwinęty na wzgórzach i dolinach. Na lewo prowadziła droga zwana Portway, którą Tom – i prawdopodobnie także banita – przybył do Salisbury. Złodziej prawie na pewno skieruje się właśnie tędy.

Tom zszedł ze wzgórza, mijając zabudowania na skrzyżowaniu traktów, potem skręcił w Portway. Potrzebna mu była kryjówka. Maszerował wzdłuż drogi, szukając odpowiedniego miejsca, lecz uszedł ze dwieście jardów i nie znalazł nic odpowiedniego. Obejrzawszy się, stwierdził, że jest za daleko: nie mógł rozróżnić twarzy ludzi na rozdrożu, nie potrafiłby więc dostrzec, czy człowiek bez warg już opuścił miasto i czy nie skierował się do Winchesteru. Jeszcze raz przyjrzał się krajobrazowi. Wzdłuż drogi biegły rowy, w których można by się ukryć, gdyby było sucho, ale teraz wypełniała je wartko płynąca woda. Za każdym z rowów był nasyp. Na polu od południowej strony drogi pasło się na rzysku kilka krów. Zauważył, że jedna z nich położyła się na miedzy. Częściowo zakrywał ją nasyp, więc można było jej nie zauważyć. Tom westchnął, potem ruszył z powrotem, przeskoczył przez rów i kopnął krowę. Wstała i poszła sobie. Położył się na suchym, wygrzanym miejscu. Naciągnął kaptur i usadowił się do czekania żałując, iż nie pomyślał, by wziąć ze sobą trochę chleba.

Był niespokojny i odczuwał lekki strach. Banita był od niego niższy, ale ruszał się szybko i zwinnie. Tom nieco obawiał się, że może narazić się na szwank, bardziej jednak martwiło go, że mógłby nie odzyskać pieniędzy.

Miał nadzieję, że Marcie i Agnes nic nie zagraża. Agnes potrafiła się o siebie zatroszczyć, o tym wiedział, a jeśli nawet banita ją rozpozna, to co? Najwyżej będzie bardziej czujny.

Ze swego stanowiska Tom mógł widzieć wieże katedry. Chciałby na chwilę móc zajrzeć do środka. Ciekawił go sposób zamocowania trzonów arkad. Zwy-

kle stanowiły je grube filary, a z ich szczytów wychodziły łuki: na północ i na południe po jednym, łączącym filary sąsiednie, i jeden łuk na zachód lub na wschód, w poprzek nawy bocznej. Dawało to brzydki efekt, bo w łuku strzelającym ze szczytu okrągłej kolumny coś było nie tak. Gdyby Tom budował, to każdy filar byłby zestawem trzonów, z których wyrastałyby łuki. Układ logiczny i piękny.

Zaczął wyobrażać sobie zdobienia łuków. Najprostsze były formy geometryczne. Wykonanie zygzaków i rombów nie wymagało specjalnych umiejętności. Tom jednak wolał liścianki, użyczające twardemu kamieniowi miękkości natury.

Wyimaginowana katedra zajmowała mu myśli prawie przez całe popołudnie aż do chwili, gdy spostrzegł niewielką sylwetkę i blond główkę Marthy przebiegającej w podskokach po moście i między domami na rozstajach. Na skrzyżowaniu zawahała się, po czym skierowała się we właściwą stronę. Tom przyglądał się, jak idzie w jego kierunku, widział, jak się marszczy i zastanawia, gdzie też może być tata.

– Martho! – zawołał stłumionym głosem, kiedy go mijała.

Pisnęła cichutko, potem go zauważyła i podbiegła, przeskakując rów.

– Mama ci to przysłała – wyjęła coś spod peleryny.

Był to gorący pasztecik.

– Na Boga, twoja matka jest dobrą kobietą! – zawołał Tom i ugryzł duży kęs. Pasztecik z wołowiny z cebulą smakował niebiańsko.

Martha skuliła się na trawie obok Toma.

– Powiem ci, co się działo z człowiekiem, który ukradł nam świnie. – Zadarła głowę i skupiła się na tym, co kazano jej powiedzieć. Wyglądała tak słodko, że Tomowi aż zapierało dech w piersiach. – Wyszedł z jadalni i spotkał panią, co miała wymalowaną twarz, i poszedł do niej do domu. My czekałyśmy na zewnątrz.

A banita tracił nasze pieniądze na dziwkę, pomyślał Tom.

– Mów dalej – nakazał.

– W domu tej pani nie siedział długo, a kiedy wyszedł, to udał się do piwiarni. Jest tam teraz. Nie pije dużo, ale gra w kości.

– Mam nadzieję, że wygrywa – ponuro mruknął Tom. – To wszystko?

– To wszystko.

– Jesteś głodna?

– Zjadłam słodką bułeczkę z rodzynkami.

– Powiedziałaś już Alfredowi?

– Jeszcze nie. Teraz mam do niego iść.

– Powiedz mu, żeby się starał trzymać sucho.

– Starać się trzymać sucho¹ – powtórzyła. – Mam mu to powiedzieć przed czy po tym, jak będę mówić o złodzieju?

To nie miało oczywiście znaczenia.

– Po – rzekł Tom, bo Martha potrzebowała jednoznacznej odpowiedzi. Uśmiechnął się do niej. – Jesteś mądrą dziewczynką. Idź już.

– Podoba mi się ta zabawa – powiedziała.

Gdy odchodziła, pomachał jej ręką. Dziewczęce nóżki zamigotały, kiedy przeskakiwała zgrabnie rów i pobiegła z powrotem do miasta. Tom z miłością patrzył na córkę, a w jego sercu wrzał gniew. On i Agnes tak ciężko pracowali na wyżywienie dzieci. Teraz był gotów zabić, by odzyskać pieniądze, które im ukradziono.

Banita także może zabić. Banici to ludzie wyjęci spod prawa, prowadzili życie wolne od jego ograniczeń. Bardzo możliwe, że dla Faramonda Otwartogębego nie będzie to pierwsze spotkanie z własną ofiarą. Z pewnością to człowiek niebezpieczny.

Światło dnia przygasło niespodziewanie wcześniej, jak to się często dzieje

¹ Pieśń I *Pieśni o Rolandzie*, według rękopisu oksfordzkiego w opracowaniu Józefa Bediera, przekład Tadeusza Boya-Żeleńskiego, PIW, Warszawa 1981.

w wilgotne jesienne popołudnia. Tom zaczynał się martwić, czy w deszczu zdoła rozpoznać złodzieja. W miarę jak zbliżała się noc, ruch na trakcie słabł, większość bowiem przybyłych do miasta ludzi wychodziła wcześniej, by przed zmrokiem znaleźć się w swych rodzinnych wioskach. W wysokich miejskich domach, a także w szopach podmiejskich zapalały się światła świec i latarni. Tom pełen złych przeczuć zastanawiał się, czy złodziej nie zostanie jednak w mieście na noc. Może mieć tu znajomych przestępców, a oni, nawet wiedząc, że jest banitą, mogą go przez noc przechować. Chyba że...

Zobaczył mężczyznę w szaliku osłaniającym twarz.

Szedł przez drewniany most, parę kroków za dwoma innymi mężczyznami. Tomowi wydało się nagle, że są to pomocnicy złodzieja – łysy i człowiek w zielonym kapeluszu. Mogli przecież przyjść razem z nim do Salisbury. Co prawda w mieście Tom żadnego z nich nie widział, ale przecież mogli się rozdzielić i spotkać dopiero przed wyjściem. Zaklął pod nosem. Nie sądził, by udało mu się pokonać trzech mężczyzn naraz. Im bliżej jednak podchodzili, tym bardziej grupa się rozdzielała i z ulgą dostrzegł, że nie byli razem.

Idący z przodu, prawdopodobnie ojciec z synem, byli chłopami o ciemnych, głęboko osadzonych oczach i haczykowatych nosach. Skierowali się w Portway, a człowiek z szalikiem za nimi.

Tom obserwował złodzieja. Wydawał się trzeźwy. Szkoda.

Spoglądając za siebie, w stronę miasta, dostrzegł kobietę i dziewczynkę, wyłaniające się na moście. Agnes i Martha. Przestraszył się. Nie przewidział obecności kobiet podczas spotkania oko w oko ze złodziejem. Skądinąd uświadomił sobie, iż nie polecił im, by się nie pojawiały.

Zebrał się w sobie, gdy mężczyźni zbliżali się do niego. Tom był mocno zbudowany. Zazwyczaj podczas jakichś starć z nim przeciwnicy się poddawali, ale banici to desperaci i nie dawało się przewidzieć, co się może zdarzyć w trakcie walki.

Obaj chłopci przeszli, dosyć rozbawieni, mówili o koniach. Tom wyjął młot

zza pasa i ścisnął go w prawej ręce. Nienawidził złodziei, bo nie pracowali, lecz zabierali chleb porządym ludziom. Nie powinien mieć skrupułów, kiedy uderzy młotem tego tam.

Miał wrażenie, że złodziej zwalnia, jakby przeczuwał niebezpieczeństwo. Tom zaczekał, dopóki nie podejdzie na cztery, pięć jardów – za blisko, by mógł uciec, za daleko, by przyśpieszyć i minąć. Przetoczył się przez nasyp, skoczył przez rów i stanął mu na drodze.

Mężczyzna zamarł.

– Czego? – spytał nerwowo.

Tom pomyślał, że nie został rozpoznany.

– Wczoraj ukradłeś mi świnię i sprzedałeś ją dzisiaj rzeźnikowi.

– Ja nigdy...

– Nie zaprzeczaj. Po prostu oddaj mi pieniądze, które za nią dostałeś, a nie zrobię ci nic złego.

Przez chwilę wydawało mu się, że złodziej właśnie tak postąpi. Tom wyczuwał jego wahanie i rozczarowanie. Nagle złodziej obrócił się na pięcie i ruszył... prosto na Agnes.

Nie rozpędził się dostatecznie, by ją przewrócić – trzeba było wiele, by tego dokonać – i oboje przepychali się, przez chwilę trwając w niezgrabnym tańcu. Złodziej zauważył, że celowo zagradza mu drogę, i odepchnął ją. Wystawiła nogę, kiedy chciał ją minąć; jej stopa trafiła między jego kolana i przewrócili się oboje.

Tom pędził do nich z sercem w gardle. Złodziej podnosił się, opierając kolano o plecy Agnes. Tom złapał go za kołnierz i poderwał do góry. Zaciągnął na skraj traktu i zanim zaatakowany odzyskał równowagę, wrzucił go do rowu.

Agnes wstała. Martha podbiegła do niej.

– W porządku? – spytał szybko Tom.

– Tak.

Dwaj chłopcy przystanęli i odwróciwszy się, obserwowali rozgrywającą się

scenę. Złodziej klęczał w rowie.

– To banita! – krzyknęła do nich Agnes, aby zniechęcić ich do ewentualnego mieszania się. – Ukradł naszą świnie.

Chłopi nie odpowiedzieli, dalej patrzyli, czekając, co będzie się działo.

– Daj mi moje pieniądze i idź sobie – przemówił Tom do złodzieja.

Mężczyzna wylażł z rowu z nożem w ręku. Jak szczur rzucił się Tomowi do gardła. Agnes krzyknęła. Tom zrobił unik. Nóż musnął jego twarz i poczuł pieczenie wzdłuż szczęki.

Odstąpił o krok i, kiedy nóż błysnął ponownie, machnął młotem. Złodziej odskoczył. I nóż, i młot przecięły wilgotne powietrze, nie dosięgając celu.

Przez chwilę obaj mężczyźni stali nieruchomo naprzeciw siebie, oddychając ciężko. Toma palił policzek. Uświadomił sobie, że teraz szanse się wyrównały, bo jakkolwiek Tom był większy, to złodziej miał nóż, a to była bardziej śmiertelna broń niż młot murarza. Tom poczuł zimny uścisk lęku na myśl o tym, że minął się ze śmiercią o włos. Nagle zapało mu oddech.

Kątem oka pochwycił nagły ruch. Złodziej też to spostrzegł i rzucił okiem na Agnes, po czym pochylił głowę, by uniknąć ciśniętego przez nią kamienia.

Tom zareagował z szybkością człowieka walczącego o życie. Machnął młotem w chwili, gdy złodziej podnosił głowę. Żelazny obuch uderzył w czoło u nasady włosów. Cios był zbyt pośpieszny i Tom nie użył całej swojej siły. Złodziej się zachwiał, ale nie upadł.

Tom zamachnął się po raz drugi.

To uderzenie było lepiej wymierzone. Tom miał czas, by staranniej wycelować, kiedy oszołomiony złodziej próbował się otrząsnąć. Opuszczając młot, pomyślał o Marcie. Rąbnął z całej siły i przeciwnik padł na ziemię.

Tom był zbyt napięty, by odczuć jakąś ulgę. Ukląkł przy złodzieju, przeszukiwał go.

– Gdzie sakiewka? Gdzie, do diabła, jest jego sakiewka?

Bezładne ciało niełatwo dawało się przekręcić. Wreszcie położył je pła-

sko na plecach i rozsunął opończę. Wielka skórzana sakwa była przytroczona do pasa. Rozwiązał ją. Wewnątrz znalazł miękki wełniany worek ściągnięty sznurkiem. Wyszarpnął go. Był lekki.

– Pusty! Musi mieć jakiś inny.

Wyciągnął opończę spod ciała mężczyzny i uważnie ją obmacał. Nigdzie żadnych ukrytych kieszeni, żadnych twardych miejsc. Ściągnął buty. Puste. Wyciągnął swój nożyk i przeciął podeszwy... nic.

Wsadził niecierpliwie nożyk pod tunikę złodzieja i rozciął ją od szyi aż do dołu. Nie było żadnego ukrytego pasa.

Złodziej leżał na środku błotnistej drogi, nie mając na sobie nic oprócz pończoch. Obaj chłopcy patrzyli na Toma, jakby zwariował. Rozwścieczony rzekł do Agnes:

– On nie ma żadnych pieniędzy!

– Musiał przegrać wszystko w kości – odparła gorzko.

– Mam nadzieję, że pójdzie za to do piekła! – zawołał Tom.

Agnes uklękła i przez chwilę obserwowała złodzieja.

– Właśnie tam jest. Zabiłeś go.

IV

Zaczęli głodować przed Bożym Narodzeniem.

Zima nadeszła wcześniej, twarda i nieustępliwa jak dłuto kamieniarza. Kiedy zaczął brać pierwszy przymrozek, jabłka nie opadły jeszcze z drzew. Ludzie mówili, że to mroźny klaps, że taki chłód długo nie potrwa, lecz tak się nie stało. Wieśniacy, którzy opóźnili trochę jesienne orki, łamali teraz lemiesz na skamieniałej nagle ziemi. Chłopcy śpieszyli ze świniobiciami i solili mięso na zimę, a panowie rozpoczęli rzeź swych trzód, bo zimowa pasza nie mogła wykarmić tej samej liczby zwierząt co letnia. Niekończące się podmuchy wiatru

wysuszyły trawy, więc wiele zwierząt padłoby i tak. Wilki szalały z głodu, zakradały się o zmierzchu do wiosek i porywały wychudłe kurczęta i osłabłe dzieci.

Na placach budów w całym kraju, jak tylko pokazał się pierwszy zamróz, mury wzniesione latem czym prędzej pokrywano słomą i nawozem, aby ochronić je przed większym mrozem, zaprawa bowiem nie wszędzie zdążyła dokładnie wyschnąć, a gdyby woda użyta do zaprawy zamarzła, zaczęłoby się pękanie. Aż do wiosny nie mogły być prowadzone żadne prace z użyciem zaprawy. Niektórzy murarze, wynajęci tylko na lato, wrócili do swych rodzinnych wiosek, gdzie znano raczej mistrzów niż zwykłych murarzy, i zimą robili pługi lub sochy, siodła czy uprzęże, wozy, szopy, drzwi i w ogóle wszystko, co wymaga ręki doświadczonej w używaniu młota, dłuta i piły. Inni murarze pracowali w szopach na swych budowach, gdzie przycinali kamienie w skomplikowane kształty, wykorzystując każdy promyk dziennego światła.

Tom i jego rodzina wędrowali z Salisbury do Shaftesbury. Potem odwiedzili: Sherborne, Wells, Bath, Bristol, Gloucester, Oksford, Wallingford i Windsor. Wszędzie płonęły ognie wewnątrz szop, gdzie trwały prace, a dziedzińce kościelne i zamkowe rozbrzmiewały pieśnią żelaza i kamienia. Mistrzowie budowniczy z wielkim kunsztem rzeźbili wzory na łukach i sklepieniach dzięki swym wprawnym dłoniom okrytym rękawicami bez palców. Niektórzy z nich bywali niecierpliwi, szorstcy czy nieuprzejmi, inni spoglądali na Toma ze smutkiem, widząc jego chude dzieciaki i ciężarną żonę, rozmawiali z nimi uprzejmie i okazywali współczucie, wszyscy jednak powtarzali to samo: „Nie, nie ma dla ciebie tutaj pracy”.

Gdzie mogli, korzystali z gościnności klasztorów. Tam podróżujący zawsze dostali jakiś posiłek i nocleg, lecz tylko na jedną noc. Kiedy w zaroślach jeżynowych dojrzewały owoce, żywili się jagodami, niczym ptaki. W lesie Agnes mogła rozpalić ogień pod kociołkiem i zagotować owsiankę. Najczęściej jednak byli zmuszeni kupować chleb od piekarzy i marynowane śledzie od kupców

albo jadać w piwiarniach i jadłodajniach, co było znacznie droższe niż przyrządzanie posiłków własnymi rękami. W ten sposób pieniądze topniały za każdym wydatkiem.

Martha od urodzenia była szczupła, lecz teraz sprawiała wrażenie bardzo chudej. Alfred rósł wciąż, jak zielsko na ugorze, i stał się kościsty. Agnes jadła oszczędnie, ale rosnące w niej dziecko było żarłoczne i Tom często dostrzegał, że jest głodna. Czasami nakazywał jej jeść więcej, a wtedy żelazna wola Agnes podporządkowywała się autorytetowi męża i nienarodzonego jeszcze dzieciaka. Tak tedy nie stawała się rumiana i pulchna, jak w poprzednich ciążach. Wyglądała natomiast na wycieńczoną i pomimo wyduętego brzucha przypominała za biedzone dziecko w czasie klęski ogólnego głodu.

Po opuszczeniu Salisbury wędrowali, zataczając wielkie koło, i przeszli trzy czwarte tej trasy, a pod koniec roku znaleźli się z powrotem w rozległym lesie, ciągnącym się od Windsoru do Southampton. Kierowali się do Winchesteru. Tom sprzedał narzędzia murarskie, lecz mimo to zostało im zaledwie kilka pensów. Gdyby znalazł teraz jakąś pracę, będzie zmuszony pożyczyć narzędzia albo pieniądze na ich nabycie. Nie wiedział, co począć, jeśli w Winchesterze nie dostanie roboty. W rodzinnym mieście miał braci, ale to było na północy, droga zabrałaby kilka tygodni i rodzina musiałaby głodować, zanim dotarliby na miejsce. Agnes była jedynaczką, lecz jej rodzice umarli. W środku zimy żadnych prac rolnych nie było. Może Agnes udałoby się zarobić kilka pensów jako pomywacze w jakimś bogatym domu w Winchesterze. Z pewnością nie mogła dłużej błąkać się po traktach, jej czas nadchodził.

Do Winchesteru pozostało jeszcze ze trzy dni marszu. Byli głodni. Jagody się skończyły, a w najbliższej okolicy nie było żadnego klasztoru. Agnes nie miała już ani ziarenka owsa w kociołku dźwiganym na plecach. Poprzedniej nocy sprzedali nóż, by kupić bochen żytniego chleba, cztery miski rosółu bez mięsa i miejsce do spania przy ogniu w chłopskiej szopie. Do tej pory nie napotkali żadnej wioski. Późnym popołudniem Tom dojrzał jednak słup dymu uno-

szący się nad drzewami i znaleźli dom samotnego gajowego, jednego z królewskich strażników leśnych. Dał im worek rzepey w zamian za siekierkę.

Zdołali przejść zaledwie trzy mile, gdy Agnes powiedziała, że jest za bardzo zmęczona, by wędrować dalej. Jej słowa zaskoczyły Toma. Przez wszystkie te lata, kiedy byli razem, nie słyszał nigdy, żeby kiedykolwiek była za bardzo zmęczona.

Usiadła obok wielkiego kasztana. Tom wykopał płaski dołek wysłużoną drewnianą szuflą – jednym z niewielu narzędzi, jakie mu się ostały, bo nikt nie chciał ich kupić. Dzieci nazbierały gałęzi i Tom rozpałił ognisko, a potem poszedł poszukać strumienia. Wrócił z kociołkiem pełnym lodowatej wody i postawił go przy ogniu. Agnes pokroiła parę rzep. Martha znalazła trochę kasztanów i matka pokazała jej, jak je obierać i utrzeć miąższ na grubą mąkę, by zagęścić zupę z rzepey. Tom posłał Alfreda po więcej drewna, podczas gdy sam chodził dookoła, dźgając kijem opadłe liście w leśnym poszyciu z nadzieją, że natknie się na zimującego jeża lub wiewiórkę, by wrzucić je do wrzątku. Nie powiodło mu się.

Usiadł przy Agnes, kiedy zapadła już noc.

– Zostało nam jeszcze trochę soli?

– Jadłeś owsiankę bez soli już od tygodni – potrząsnęła głową. – Nie uważałeś?

– Nie.

– Głód jest najlepszą przyprawą.

– No, tego mamy mnóstwo. – Tom nagle poczuł się strasznie zmęczony. Przygniatał go miazdzący ciężar nawarstwiających się napięć i rozczarowań, narastający od czterech ostatnich miesięcy, i nie potrafił już dłużej tego znieść.

– Co poszło źle, Agnes? Gdzie tkwił błąd? – zapytał z porażką w głosie.

– Wszystko było nie tak – odpowiedziała. – Ostatniej zimy nie miałeś pracy. Dostałeś ją na wiosnę, a potem córka hrabiego odwołała ślub, a lord William odwołał budowę domu. Potem zdecydowaliśmy się zostać i pracować przy

zniwach... i to był błąd.

– Z pewnością łatwiej byłoby mi znaleźć pracę na budowie w lecie aniżeli jesienią.

– A zima przyszła wcześniej. Mimo wszystko jednak dalibyśmy sobie radę, ale złodziej zabrał nam świnie.

Tom ze znużeniem pokiwał głową.

– Jedynym moim pocieszeniem jest pewność, że on, nawet w tej chwili, cierpi piekielne męki.

– Mam nadzieję.

– Wątpisz?

– Księża nie wiedzą tak wiele, jak mówią i udają. Pamiętaj, że mój ojciec był jednym z nich.

Tom pamiętał o tym bardzo dobrze. Jedna ze ścian parafialnego kościoła jej ojca skruszyła się i wynajęto go do odbudowy. Księżom nie pozwalano się żenić, ale ten ksiądz miał gospodynię, a gospodyni miała córkę i było publiczną tajemnicą we wsi, że ojcem jest ksiądz. Agnes nie była piękną, ale jej cera lśniła młodością, a ona sama wydawała się buchać energią. Rozmawiała z Tomem podczas jego pracy, a czasami wiatr przyciskał jej sukienkę tak, że Tom mógł oglądać kształt jej ciała, nawet jej pępek, całkiem jakby była naga. Pewnej nocy przyszła do małej chaty, gdzie sypiał, położyła mu rękę na ustach, by się nie odzywał, i zdjęła sukienkę. W świetle księżycy ujrzał ją nagą, a potem wziął ją w silne ramiona.

– Oboje byliśmy niewinni – powiedział na głos.

Wiedziała, o czym mówi. Uśmiechnęła się, potem twarz jej posmutniała znowu i szepnęła:

– To się wydaje tak dawno temu.

– Możemy już jeść? – spytała Martha.

Zapach zupy spowodował, że Tomowi zaburczało w brzuchu. Zanurzył swoją miskę w bulgoczący kociołek i wyciągnął kilka skrawków rzepy w cien-

kim kleiku. Tępą stroną nożyka sprawdził rzepę. Nie była jeszcze do końca ugotowana, ale zdecydował, że nie pozwoli im czekać. Dał po pełnej misce każdemu dziecku, a potem podał miskę Agnes.

Wyglądała na zamyśloną, była wymizerowana. Podmuchała na zupę, by ją ochłodzić, potem podniosła miskę do ust.

Dzieci szybko wypili swoje porcje i chciały więcej. Tom odciągnął kociołek od ognia, chwytając go przez materiał opończy, by uniknąć poparzenia, po czym wylał wszystko do naczyń dzieci.

– A ty co? – spytała Agnes, gdy odwrócił się do niej.

– Zjem jutro – odrzekł.

Wyglądała na zbyt zmęczoną, aby się kłócić.

Tom i Alfred dołożyli do ognia, by palił się dużym płomieniem, i nazbierali drewna na całą noc. Potem wszyscy zawinęli się w swe opończe i ułożyli do snu na ściółce z liści.

Tom spał lekko i kiedy Agnes jęknęła, natychmiast się obudził.

– Co jest? – spytał szeptem.

Jęknęła znowu. Twarz miała bladą, a oczy zamknięte. Po chwili powiedziała:

– Dziecko idzie.

Serce Toma na chwilę przestało bić. Nie tutaj, pomyślał, nie tu, na zamarznętej ziemi w głębi lasu.

– Ale to jeszcze nie pora – rzekł bezradnie.

– To wcześniak.

– Wody odeszły? – Tom starał się mówić spokojnie.

– Jak tylko opuściliśmy chatę leśniczego – odparła Agnes z wysiłkiem, nie otwierając oczu.

Tom przypomniał sobie, że Agnes nagle skoczyła w krzaki, jakby musiała pilnie załatwić naturalną potrzebę.

– A bóle?

– Od tamtej pory.

To było do niej podobne... cierpieć w milczeniu. Alfred i Martha obudzili się.

– Co się dzieje? – spytał Alfred.

– Dziecko idzie – wyjaśnił Tom.

Martha wybuchnęła płaczem. Tom zmarszczył brwi.

– Czy zdołałabyś dojść z powrotem do chaty leśniczego? – zapytał Agnes. Tam przynajmniej znalazłby się dach i słoma, na której można byłoby się położyć, i ktoś, do kogo można by się zwrócić o pomoc.

– Dziecko już właśnie wychodzi – potrząsnęła głową.

– No to już niedługo.

Znajdowali się w głuchym lesie. Nie widzieli żadnej wioski od wczorajszego rana, gajowy zaś mówił, że nie zobaczą wsi jeszcze przez następny dzień. Oznaczało to, że nie znajdą kobiety, która mogłaby być akuszerką. Tom musiał tedy przyjąć dziecko sam, na zimnie, mając do pomocy jedynie dzieci, a gdyby coś poszło źle, nie miał ani lekarstw, ani wiedzy...

To moja wina, pomyślał, wziąłem ją z dzieckiem i doprowadziłem do skrajnej nędzy. Zaufała mi, że ją będę utrzymywać i zadbam o jej życie, a teraz musi rodzić pod gołym niebem w środku zimy. Zawsze pogardzał mężczyznami, którzy narobili dzieci, a potem zostawiali je na głód i poniewierkę. Teraz nie był lepszy od nich. Wstydził się.

– Taka jestem zmęczona. Nie wierzę, że uda mi się wydać dziecko na świat. Chcę odpocząć. – Jej twarz lśniła w świetle ognia, powleczona mgiełką potu.

Tom uświadomił sobie, że musi się wziąć w garść. Musi wesprzeć Agnes.

– Pomogę ci – zdecydował.

W tym, co miało się dziać, nie było nic nadzwyczajnego. Przyglądał się porodom swoich dzieci. W położu pomagały zwykle kobiety, bo wiedziały, jak się czuje w takiej chwili położnica, i to sprawiało, że były bardziej pomocne, ale

nie istniał powód, dla którego mężczyzna, skoro zaszła taka konieczność, nie mógł być równie przydatny. Najpierw musi coś zrobić, żeby jej było wygodnie, potem zorientować się, jak rozwija się poród, poczynić właściwe przygotowania, wreszcie zapewnić jej spokój i opiekę w trakcie oczekiwania.

– Jak się czujesz? – spytał.

– Zimno mi.

– Przysuń się bliżej ognia. – Zdjął opończę i rozścielił na ziemi, o jard od ognia. Agnes próbowała się dźwignąć, ale Tom podniósł ją lekko i usadowił delikatnie na opończy.

Ukląkł obok. Wełniana tunika, jaka okrywała Agnes, miała z przodu guziki od góry do dołu. Odpiął dwa z nich i wsadził rękę do środka. Agnes zapało dech.

– To boli? – odezwał się zaskoczony i zatroskany.

– Nie – powiedziała z nieznacznym uśmiechem. – Masz zimne ręce.

Wyczuwał kształt jej brzucha. Obrzmienie się powiększyło i wyostrzyło w porównaniu z nocą poprzednią, kiedy spali we dwójkę na słomie w chłopskiej szopie. Tom nacisnął troszkę mocniej, wyczuwając nienarodzone jeszcze dziecko. Odszukał wyraźną wypukłość tuż pod pępkiem, ale nie potrafił odnaleźć drugiej.

– Czuję jego pupę, ale nie wiem, gdzie jest głowa.

– To dlatego, że szykuje się do wyjścia.

Okrył ją peleryną. Powinien szybciej zabrać się do tych przygotowań. Spojrzał na dzieci. Martha pociągała noskiem. Alfred wyglądał na przestraszonego. Dobrze byłoby dać im coś do roboty.

– Alfred, weź kociołek i biegnij do strumienia. Wymyj go i przynieś świeżej wody. Martha, zbierz trochę źdźbeł trawy i zrób mi dwa kawałki sznurka, długości mniej więcej naszyjnika. Tylko szybko. Do świtu będziecie mieć braciszka albo siostrzyczkę.

Odeszli. Wziął mały twardy kamień i zaczął ostrzyć swój nożyk. Agnes

jęknęła znowu. Tom odłożył nóż i wziął ją za rękę.

Siedział tak przy niej także wtedy, kiedy rodziły się inne dzieci: Alfred, potem Matilda, która zmarła po dwu latach, Martha, i to dziecko, które urodziło się martwe, chłopiec, którego chciał nazwać Haroldem. Za każdym razem był ktoś, kto się nią opiekował podczas porodu – matka Agnes przy Alfredzie, wioskowa akuszerka przy Matildzie i Haroldzie, a przy Marcie ni mniej, ni więcej jak pewna lady. Tym razem musi zrobić to sam. Nie wolno mu jednak okazać niepewności. Agnes powinna czuć zaufanie i radość.

Kiedy minął skurcz, rozluźniła się.

– Pamiętasz, kiedy rodziła się Martha, akuszerką była lady Isabella – powiedział Tom.

Agnes się uśmiechnęła.

– Budowałeś kaplicę dla lorda i poprosiłeś panią, by wysłała służącą po wioskową akuszerkę...

– A ona oświadczyła: „Tę starą pijaną wiedźmę? Nie pozwoliłabym jej przyjmować pomiotu wilczura!”. I wzięła nas do własnej komnaty, a lord Robert nie mógł pójść do swojego łóżka, dopóki Martha się nie urodziła.

– To była dobra kobieta.

– Nie ma wielu takich jak ona.

Alfred wrócił z pełnym kociołkiem. Tom ustawił go przy ogniu, nie za blisko, by woda nie kipiała, lecz się ogrzewała. Agnes sięgnęła po opończę i wyjęła mały płócienny worek, w którym miała przygotowane szarpie.

Martha przyniosła pełne garście trawy, usiadła i zaczęła splatać źdźbła.

– Na co ci te sznurki?

– Zobaczysz, to bardzo ważne – odrzekł Tom. – Zrób je starannie.

Alfred wyglądał na niespokojnego i zakłopotanego.

– Idź i zbieraj drewno. Zrobimy większe ognisko.

Chłopiec odszedł rad, że ma się czym zająć.

Twarz Agnes wykrzywiła się z wysiłku. Znowu zaczynała przecę. Wypycha-

jąc dziecko z macicy, wydawała dźwięki jak pękające drzewo podczas wichru. Tom wiedział, że ten wysiłek kosztuje jego kobietę bardzo wiele, pochłania ostatnie resztki sił. Z całego serca chciałby ją zastąpić, nawet sam się napinał, pragnąc jej ulżyć. W końcu ból wydawał się ustępować i Tom wreszcie znów złapał oddech. Zdało się, że Agnes pogrąża się w omdleniu.

Chłopak wrócił z naręczem patyków.

– Tak mi zimno – wyszeptała, odzyskując przytomność.

– Alfred, dołóż więcej do ognia. Martha, połóż się obok mamy i ogrzewaj ją – polecił Tom.

Oboje, trwożliwie spoglądając, posłuchali. Agnes objęła córkę i przytuliła, drżąc z zimna.

Tom był chory ze zmartwienia. Ognisko huczało, ale powietrze stawało się coraz chłodniejsze. Może się zrobić tak bardzo zimno, iż mróz zabije dziecko przy jego pierwszym oddechu. Zdarzało się dzieciom przychodzić na świat pod gołym niebem, było to częste podczas żniw, kiedy wszyscy mieli bardzo dużo roboty i kobiety czekały do ostatniej minuty. W czasie żniw jednak ziemia była sucha, trawa miękka, a powietrze ciepłe. Nigdy nie słyszał o kobiecie rodzącej pod gołym niebem zimą.

Agnes uniosła się na łokciach i rozłożyła szerzej nogi.

– Co jest? – spytał przerażonym głosem Tom.

Parła za mocno, by odpowiedzieć.

– Alfred, klękniij za matką, aby mogła się o ciebie oprzeć – nakazał Tom.

Kiedy Alfred zajął pozycję, Tom rozsunał opończę Agnes i rozpiął jej suknię. Klękając między jej nogami, widział, że otwór rodny trochę się powiększył.

– Już niedługo, kochanie – mruknął, walcząc, by jego głos nie łamał się od lęku.

Rozluźniła się znów, zamknęła oczy i oparła się całym ciężarem o Alfreda. Otwór jakby nieco się skurczył. Las stał cichy, tylko ogień trzaskał. Nagle Tom

pomyślał o kobiecie banitce, o Ellen, która rodziła w lesie sama. To musiało być potworne. Mówiła, że bała się, iż wilki przyjdą, kiedy ona będzie bezradna, i porwą nowo narodzone dziecko. W tym roku wilki były bardziej agresywne niż zazwyczaj, ale chyba nie zaatakują czworga ludzi.

Agnes napięła się znowu, świeże krople potu pojawiły się na jej zastygłej w skurczu twarzy. To jest to, pomyślał Tom. Bał się. Obserwował otwór – znowu się powiększał – i tym razem w blasku ogniska dostrzegł wilgotne włosy na główce dziecka wypychanego na zewnątrz. Pomyślał o modlitwie, ale nie było na nią czasu. Agnes łapała powietrze krótkimi, szybkimi haustami. Otwór rozciągnął się niemożliwie szeroko i główka zaczęła przechodzić, twarzą do dołu. Chwilę później Tom dostrzegł pomarszczone uszy, przytulone do boków dziecięcej główki, potem zobaczył pofałdowaną skórę karczku. Do tej pory jeszcze nie potrafił dojrzeć, czy dziecko jest normalne.

– Głowa wyszła – oznajmił, ale Agnes już o tym wiedziała. Oczywiście poczuła to i teraz odpoczywała. Dziecko powoli obróciło się, Tom mógł już zobaczyć zamknięte oczy i usta, mokre od krwi i lepkich płynów macicznych.

– Och, popatrzcie, jaką ma maleńką buzię! – krzyknęła Martha.

Agnes usłyszała ją i przez chwilę na jej twarzy pojawił się uśmiech, ale zaraz znowu się napięła. Tom pochylił się do przodu, między jej uda i podtrzymywał lewą ręką główkę, kiedy wychodziły ramiona, wpierv jedno, potem drugie. Nagle wysunęła się reszta ciała, a Tom podłożył prawą rękę pod bioderka dziecka i przytrzymał, kiedy szczuplutkie nóżki wyslizgnęły się na ten zimny świat.

Otwór Agnes zaczął szybko zamykać się wokół pulsującego niebieskiego sznura, biegnącego do pępka noworodka.

Tom podniósł dziecko i obejrzał je z niepokojem. Całe było we krwi i w pierwszej chwili obawiał się, że coś mu jest, ale gdy się przyjrzał bliżej, nie dostrzegł żadnego uszkodzenia. Popatrzył między nogi – chłopak.

– Wygląda okropnie! – powiedziała Martha.

– Jest wspaniały – stwierdził i poczuł, że słabnie z ulgi. – Wspaniały chłopak.

Dziecko otwarło usta i krzyknęło.

Tom popatrzył na Agnes. Ich oczy się spotkały, oboje się uśmiechnęli. Tom przytulił dziecko do swej piersi.

– Martha, przynieś mi miskę wody z kociołka. Dziewczynka poderwała się, by wykonać polecenie.

– Gdzie są te szarpie, Agnes?

Wskazała płócienną torbę leżącą przy jej ramieniu. Alfred przesunął ją w stronę Toma. Twarz chłopca była zalana łzami. Po raz pierwszy widział, jak rodzi się dziecko.

Tom zanurzył szmatkę w misce z ciepłą wodą i delikatnie zmył krew i śluz z twarzy maleństwa. Agnes odpięła górę sukni i Tom ułożył dziecko w jej ramiona. Ciągle popiskiwało. Popatrzył teraz na niebieski sznur biegnący od pępka dziecka do łona Agnes – przestał pulsować i zadrżał, zaczął szybko bieleć.

– Daj mi te sznurki, które zrobiłaś. Teraz zobaczysz, do czego się przydadzą – powiedział do Marthy.

Podawała mu dwa kawałki splecionych źdźbeł. Zawiązał je na pępowninie w dwu miejscach, ciasno zaciskając węzły, a potem nożem przeciął pępowninę między węzłami.

Usiadł ciężko na ziemi. Udało się. Najgorsze za nimi, a dziecko jest zdrowe. Rozpierała go duma.

Agnes przesunęła dziecko tak, że główka dotykała jej piersi. Usteczka znalazły powiększoną sutkę, a maleństwo przestało płakać i zaczęło ssać.

– Skąd on wie, że ma to zrobić? – zdziwiła się Martha.

– To tajemnica – oświadczył Tom. Podał miskę Marcie i rzekł: – Idź i przynieś mamie świeżej wody do picia.

– O tak – odezwała się Agnes z wdzięcznością, jakby właśnie teraz zauważyła, że jest okropnie spragniona. Martha przyniosła wodę, a Agnes osuszyła

miskę. – To było cudowne. Dziękuję ci.

Popatrzyła na ssące dziecko, potem na Toma.

– Jesteś dobrym człowiekiem – powiedziała spokojnie. – Kocham cię.

Tom poczuł, że łzy napływają mu do oczu. Uśmiechnął się do niej, potem opuścił wzrok. Zobaczył, że żona strasznie krwawi. Sznur pępowiny powoli wychodził na zewnątrz i leżał poskręcany w kałuży krwi na pelerynie Toma, między nogami Agnes.

Znowu podniósł wzrok. Dziecko przestało ssać i zasnęło. Agnes naciągnęła na nie swoją opończę, potem jej oczy się zamknęły.

Po chwili Martha zapytała ojca:

– Czekasz na coś?

– Na łożysko – odpowiedział jej.

– Co to takiego?

– Zobaczysz.

Matka i dziecko drzemali niedługo. Agnes otworzyła oczy i mięśnie napięły się znowu, a otwór nieco się rozszerzył. Pojawiło się łożysko. Tom podniósł je i obejrzał. Wyglądało jak pokrojone przez rzeźnika. Przyglądając się bliżej, spostrzegł, że zostało jakby rozdarte, jakby brakowało jakiejś części. Nigdy jednak wcześniej nie widział go z bliska i przypuszczał, iż wszystkie są takie jak to, bo zawsze muszą oderwać się od macicy. Wrzucił je w ognisko. Płonąc, wydzieliło nieprzyjemny zapach, ale gdyby Tom zostawił je gdzieś w pobliżu, to mogłoby przyciągnąć lisy, a nawet wilka.

Agnes krwawiła. Tom pamiętał, że przy wydalaniu łożyska zawsze było sporo krwi, ale nie przypominał sobie, żeby aż tyle. Pomyślał, że to jeszcze nie koniec kłopotów. Na chwilę poczuł się słabo z powodu napięcia i głodu, lecz zdołał się jakoś wziąć w garść.

– Ciągle trochę krwawisz – rzekł do Agnes, starając się nie okazywać zmartwienia.

– Powinno wreszcie przestać – powiedziała. – Okryj mnie.

Tom zapiął spódnicę, potem owinał pelerynę dokoła jej nóg.

– Czy teraz mogę odpocząć? – zapytał Alfred.

Wciąż klęczał za Agnes, podpierając ją. Musiał zeszywnieć od utrzymywania tej samej pozycji przez tak długi czas.

– Zajmę twoje miejsce – stwierdził Tom. Agnes będzie wygodniej z dzieckiem, gdy będzie miała głowę wyżej, pomyślał. Poza tym zasłoni ją swym ciałem od wiatru i ogrzeje. Objął ramionami żonę i dziecko.

– Jak się czujesz?

– Po prostu zmęczona.

Dziecko zapłakało. Agnes poruszyła się, nim znalazło sutkę. Kiedy zaczęło ssać, wydawało się, że matka, zmęczona porodem, znowu zasnęła.

Tom był niespokojny. To normalne, że jest zmęczona, ale w jej śnie było coś letargicznego, dręczyło go to. Jest zbyt zmęczona.

Dziecko zasnęło, a po chwili sen zmorzył starsze dzieci. Martha skuliła się przy matce, Alfred wyciągnął się po przeciwnej stronie ognia. Tom trzymał Agnes w ramionach, głaszcząc ją lekko. Całował ją w czubek głowy co jakiś czas i czuł, jak jej ciało odpręża się, w miarę jak zasypia głębiej. Prawdopodobnie to dla niej najlepsze, zdecydował. Dotknął jej policzka. Skórę twarzy miała wilgotną i zimną, pomimo jego wysiłków, by ją ogrzać. Sięgnął pod opończę i dotknął piersi niemowlaka. Był ciepły, a serce biło mu mocno. Tom uśmiechnął się.

Twardy dzieciak, pomyślał, przeżyje.

– Tom? – przez ciało Agnes przebiegł dreszcz.

– Tak.

– Czy pamiętasz tę noc, kiedy przyszłam do ciebie, do szopy, gdy pracowałeś u mego ojca?

– Oczywiście – odrzekł i poklepał ją lekko. – Jak mógłbym zapomnieć?

– Nigdy nie żałowałam tego, co się wtedy stało. Nigdy, ani przez chwilę. Kiedy tylko myślałam o tej nocy, czułam się bardzo rada.

Uśmiechnął się. Dobrze było wiedzieć coś takiego.

– Ja też. Cieszę się, że tak uważasz.

Drzemała przez chwilę, potem odezwała się znów.

– Mam nadzieję, że zbudujesz tę swoją katedrę.

Zaskoczyło go to.

– Myślałem, że jesteś temu przeciwna.

– Byłam, ale myliłam się. Zasłużyłeś na coś naprawdę pięknego. – Nie wiedział, o co jej chodzi. – Zbuduj dla mnie piękną katedrę – powiedziała.

Te słowa nie miały sensu. Kiedy zasnęła, poczuł się zadowolony. Tym razem jej ciało stało się zupełnie bezwładne, a głowa odchyliła się na bok. Tom musiał podtrzymać dziecko, żeby nie spadło z jej piersi.

Leżeli w ten sposób przez dłuższy czas. W końcu dziecko przebudziło się i zapłakało. Agnes nie zareagowała. Płacz obudził Alfreda, który przetoczył się zza ogniska i spojrzał na brata noworodka.

Tom łagodnie potrząsnął żoną.

– Obudź się, dziecko chce jeść.

– Ojcze! – zawołał Alfred przestraszonym głosem. – Popatrz na jej twarz!

Toma ogarnęło złe przeczucie. Krwawiła tak bardzo.

– Agnes! Obudź się!

Nie doczekał się odpowiedzi. Była nieprzytomna. Wstał, łagodnie opuszczając jej plecy, dopóki nie spoczęła płasko na ziemi. Jej twarz zbladła upiornie.

Śmiertelnie bojąc się tego, co zobaczy, odwinął fałdy opończy z jej ud. Krew była wszędzie.

Alfred zachłysnął się i odwrócił.

– Jezu Chryste, ratuj nas – wyszeptał Tom.

Płacz dziecka obudził Marthę. Ujrzała krew i zaczęła przeraźliwie krzyczeć. Tom podniósł ją i spoliczkował. Ucichła.

– Nie krzycz – powiedział uspokajającym tonem i postawił z powrotem.

– Czy matka umiera? – spytał Alfred.

Tom położył rękę tuż pod lewą piersią Agnes. Nie czuł żadnego uderzenia serca.

Serce Agnes przestało bić.

Nacisnął mocniej. Jej ciało było ciepłe, lecz nie oddychała i nie mógł wyczuć pulsu.

Chłodne odrętwienie ogarnęło go jak mgła. Odeszła. Wpatrywał się w jej twarz. Jak to może być, że jej nie ma? Chciał, by się poruszyła, otworzyła oczy, wzięła oddech. Trzymał rękę na jej piersi. Czasami się zdarza, że serce zaczyna znowu bić, ludzie mówili... ale straciła tyle krwi...

Popatrzył na Alfreda.

– Matka nie żyje – wyszeptał.

Chłopak wpatrywał się w niego osłupiały. Martha zaczęła płakać. Maleństwo płakało także. Muszę się nimi zająć, myślał Tom. Muszę być silny dla nich.

A jednak pragnął zapłakać, objąć jej ciało i trzymać w ramionach, póki nie ostygnie, i zapamiętać ją jako dziewczynę, ich wspólny śmiech i kochanie się. Chciał załkać z wściekłości i pogrozić pięścią bezlitosnym niebiosom. Zebrał się w sobie. Powinien się opanować, powinien być silny dla dzieci.

Oczy miał suche.

Co mam zrobić najpierw?

Wykopać grób.

Muszę wykopać głęboki dół, położyć ją w nim, żeby uchronić przed wilkami, i zachować kości na dzień sądu. A potem trzeba zmówić modlitwę za jej duszę.

Och, Agnes, dlaczego zostawiłaś mnie samego?

Niemowlę wciąż płakało. Oczka miało zaciśnięte mocno, a buzia rytmicznie otwierała się i zamykała, jakby pragnęła zaczerpnąć pożywienia z powietrza. Należało je nakarmić. Piersi Agnes wypełniało ciepłe mleko. Dlaczego

nie? – pomyślał Tom. Przysunął dziecko do jej piersi. Znalazło sutkę i ssało. Owinął ciaśniej opończę Agnes wokół maleństwa.

Martha przyglądała się szeroko otwartymi oczami, ssała kciuk. Tom zwrócił się do niej:

– Mogłabyś przytrzymać je tak, by nie spadło?

Pokiwała głową i uklękła przy dziecku.

Tom podniósł łopatę. Agnes wybrała to właśnie miejsce na odpoczynek, pierwsza usiadła pod gałęziami kasztanowca. Niech więc to będzie miejsce jej ostatniego spoczynku. Przełknął z trudem ślinę, walcząc z ogarniającym go pragnieniem, by sięść i płakać. Zaznaczył prostokąt kilka jardów od pnia, gdzie nie powinno być korzeni tuż pod powierzchnią ziemi, następnie zaczął kopać.

Stwierdził, że to pomaga. Kiedy skupiał się na wbijaniu łopaty w twardą ziemię i wyrzucaniu jej na zewnątrz, wszystkie myśli odpływały i odzyskiwał panowanie nad sobą. Zmieniali się z Alfredem, by on także mógł się pozbierać w trakcie pracy. Kopali szybko, nie oszczędzając się, i pomimo ostrego powietrza obaj spocili się, jakby to było w południe.

Nadszedł czas, kiedy Alfred zapytał:

– Czy to wystarczy?

Tom uświadomił sobie, że stoi w dole głębokim niemal na jego wysokość. Nie chciał wcale, by ta praca się skończyła. Niechętnie pokiwał głową.

– Powinno. – Wygramolił się na górę.

Mijała północ, kiedy kopali. Martha wzięła dziecko i usiadła przy ognisku, kołysząc je w ramionach. Tom podszedł do Agnes i ukląkł. Owinął ją ciasno w opończę, pozostawiając odkrytą twarz, potem wziął na ręce. Przeszedł z nią do grobu i złożył obok. Sam zsunął się do dołu.

Uniósł nieznacznie ciało i delikatnie ułożył na ziemi. Długą chwilę wpatrywał się w twarz Agnes, klęcząc obok niej w zimnym grobie. Pocałował w usta jeden raz. Potem zamknął jej oczy.

Wydostał się na górę.

– Chodźcie tutaj, dzieci. – Alfred i Martha podeszli, stanęli każde obok niego. Martha trzymała dziecko. Tom objął ich ramionami. Zajrzeli do grobu. – Powiedzcie: „Boże, błogosław matkę”.

– Boże, błogosław matkę – powtórzyli oboje.

Martha pociągnęła nosem, a w oczach Alfreda pojawiły się łzy. Tom przyciągnął dzieci do siebie i stłumił szloch.

Puścił je i wziął do rąk łopatę. Kiedy rzucał pierwsze grudy ziemi, Martha zanosła się płaczem. Alfred objął siostrę. Tom zasypywał grób. Nie mógł zdobyć się na to, by rzucać ziemię na jej twarz, więc przykrył najpierw jej stopy, potem nogi i tułów, a w końcu powstał kopiec tak wysoki, że każda następna szufla ziemi ześlizgiwała się w dół i w końcu ziemia pojawiła się na szyi, potem przykryła usta, które całował, wreszcie twarz Agnes znikła na zawsze.

Szybko uporał się z resztą ziemi. Wyprostował się i popatrzył na mogiłę.

– Żegnaj, najdroższa – wyszeptał. – Byłaś dobrą żoną, kocham cię.

Odwrócił się z wysiłkiem.

Jego opończa leżała na ziemi tam, gdzie spoczywała na niej Agnes podczas porodu. Cały dół był przesiąknięty krzepnącą krwią. Wziął nożyk i z grubsza przeciął pelerynę na pół. Skrwawioną część wrzucił do ogniska.

Martha ciągle trzymała dziecko.

– Daj mi je.

Spojrzała na niego z lękiem w oczach. Owinął płaczącego synka w czystą połowę peleryny i położył na grobie.

Odwrócił się do dzieci. Wpatrywały się w niego tępo.

– Nie mamy mleka, by utrzymać go przy życiu, musi więc zostać tutaj, z matką.

– Ale on umrze! – krzyknęła Martha.

– Tak – odrzekł Tom, panując nad swym głosem. – Cokolwiek zrobimy, umrze.

A maleństwo płakało.

Zebrał wszystkie rzeczy i włożył do kociołka, po czym przypiął go do pleców, jak to robiła Agnes.

– Chodźmy – oznajmił.

Martha zaczęła szlochać. Alfred zbiełał na twarzy. Wyszli na drogę w szarym brzasku zimnego poranka. Płacz dziecka w końcu zamilkł.

Pozostanie przy grobie nie byłoby dobre, dzieci nie mogłyby przy nim spać, a czuwanie nie przyniosłoby niczego dobrego. Poza tym ruch im wszystkim dobrze zrobi.

Tom narzucił szybkie tempo, ale myśli krążyły bezustannie i nie mógł nad nimi zapanować. Poza marszem nie miał nic do roboty i nic do oglądania oprócz posępnego lasu i niespokojnych cieni rzucanych przez pochodnie. Chciał rozmyślać o Agnes, podążać szlakiem wspomnień, uśmiechnąć się do siebie, potem odwrócić do niej i opowiedzieć, co mu przyszło do głowy, kiedy nagle wstrząsnęła nim świadomość śmierci Agnes, powodując niemal fizyczny ból. Był oszołomiony, jakby zdarzyło się coś całkowicie niepojętego, choć oczywiście była to zwyczajna sprawa: kobieta w wieku Agnes, umierająca w połogu, i mężczyzna w jego wieku, stający się wdowcem. Poczucie straty było jednak bardzo bolesne. Słyszał, że ludzie z obciętymi palcami u jednej stopy nie potrafili utrzymać się w pozycji stojącej, lecz stale się przewracali, dopóki nie nauczyli się chodzić na nowo. Tak właśnie się czuł, nie mógł przywyknąć do myśli, że Agnes odeszła na zawsze.

Próbował nie rozpamiętywać, ale bez przerwy widział ją tuż przed śmiercią. Wydawało się niewiarygodne, że jeszcze parę godzin temu żyła. Przywoływał na pamięć obraz jej napiętej twarzy, gdy dawała życie, a potem dumny uśmiech, kiedy patrzyła na dopiero co wydanego na świat chłopczyka. Przypominał sobie jej ostatnie słowa: „Mam nadzieję, że zbudujesz swoją katedrę”, a potem: „Zbuduj dla mnie piękną katedrę”. Mówiła, jakby wiedziała, że umiera.

Im dalej szedł, tym więcej myślał o porzuconym dziecku, zawiniętym

w skrawki opończy, leżącym na świeżym grobie. Prawdopodobnie wciąż żyło, o ile nie zwęszył go jakiś lis. Przed wschodem słońca zapewne umrze i tak. Popłacze chwilę, potem zamknie oczka, a życie pomału wyślizgnie się z niego podczas snu na mrozie.

Chyba że wyczuje go lis.

Tom nie mógł nic zrobić dla synka. Potrzebował mleka, którego nie miał, a w okolicy nie było żadnej wsi, gdzie mógłby znaleźć mamkę, ani żadnej owcy, kozy czy krowy, które mogłyby ją zastąpić. Musiałby go nakarmić jedynie rzepą, a ta zabiłaby dziecko tak samo skutecznie, jak mogą je zabić lisy.

W miarę jak nastawał dzień, porzucenie dziecka przerażało go coraz bardziej. Wiedział, że w gruncie rzeczy było to zjawisko dość pospolite: chłopci mający duże rodziny i małe pola często porzucali nowo narodzone dzieci, by umarły, a księża czasami przymykali na to oczy. Tom jednak nie należał do tego rodzaju ludzi. Powinien nieść je w ramionach, dopóki by nie umarło, a potem pochować. Nie było w tym oczywiście sensu, jednakże właśnie tak należało postąpić.

Zorientował się, że to już dzień.

Zatrzymał się nagle.

Dzieci stały nieporuszone i patrzyły na niego wyczekująco. Gotowe były na wszystko. Teraz już nic nie było normalne.

– Nie powinienem zostawiać dziecka.

– Nie potrafimy go wyżywić. Musi umrzeć – odezwał się Alfred.

– Mimo to nie powinienem go zostawiać – odpowiedział Tom.

– Wracajmy, tato – rzekła Martha.

Tom nie mógł się zdecydować. Powrót był przyznaniem się do tego, że źle postąpił, zostawiając dziecko.

A jednak taka była prawda. Źle postąpił.

Odwrócił się.

– Wracamy – oświadczył.

I nagle wszystkie niebezpieczeństwa, które wcześniej próbował pomniejszać, wydały się bardziej prawdopodobne. Z pewnością właśnie w tej chwili lis wyniuchał dziecko i ciągnie do swego legowiska. Albo nawet wilk. Dziki też były niebezpieczne, mimo że nie żywiły się mięsem. A sowy? Sowa nie da rady podnieść dziecka, ale może wydziobać mu oczy...

Szedł coraz szybciej, chociaż czuł zawroty głowy z wyczerpania i głodu. Martha musiała biec, by za nim nadążyć, ale się nie skarżyła.

Przerażała go myśl o tym, co może zastać po przybyciu na miejsce. Drapieżniki potrafią być bezlitosne, kiedy żywa istota jest bezradna.

Nie był pewny, jak długo szli; stracił poczucie czasu. Las po obu stronach wyglądał nieznajomo, choć chwilę temu przechodzili tędy. Z niepokojem rozglądał się za miejscem, gdzie był grób. Ognisko z pewnością jeszcze się tliło, dołożyli przecież tyle chrustu... Przebiegał wzrokiem drzewa, szukając liści kasztanowca. Minęli zakręt, którego nie mógł sobie przypomnieć, i w przypływie szaleństwa już zaczął się zastanawiać, czy czasami nie przeszli obok grobu, nie zauważwszy go. Wtem dostrzegł przed sobą pomarańczowe światło.

Zdało mu się, że jego serce straciło rytm. Przyśpieszył kroku i przymrużył oczy. Tak, to było ognisko. Zaczął biec. Słyszał płacz Marthy, więc zawołał przez ramię:

– Jesteśmy na miejscu!

Dotarło do niego, że dzieci biegną za nim.

Na wysokości kasztanowca zwolnił, serce waliło mu młotem. Ognisko paliło się wesoło, obok leżał stos drewna. Dojrzał plamę krwi w miejscu, gdzie Agnes wykrwawiła się na śmierć. Grób – kopczyk świeżo kopanej ziemi, pod którym leżała. Lecz na mogile nie było dziecka.

Tom rozglądał się, czując w głowie zamęt. Po dziecku ani śladu. Łzy napłynęły mu do oczu. Nie było nawet peleryny, w którą owinął maleństwo. Grób zaś pozostał nienaruszony. Nie dostrzegł żadnych śladów zwierząt na miękkiej ziemi, żadnej krwi ani znaków, które mogłyby wskazać, że dziecko ciągnięto...

W oczach mu pociemniało. Zrozumiał, że popełnił coś strasznego, porzucając żywe dziecko. Gdyby było martwe, to pochowałby je. Mógłby wtedy odpocząć. Ono jednak mogło być wciąż żywe, gdzieś niedaleko. Musi je odszukać.

– Gdzie idziesz? – spytał Alfred.

– Musimy odnaleźć dziecko – odpowiedział, nie oglądając się.

Obszedł skraj niewielkiej polany, zaglądał pod krzaki. Ciągłe czuł się trochę oszołomiony i słaby. Nie dostrzegł niczego, nawet wskazówki, w jakim kierunku wilk mógłby powlec dziecko. Nabral przekonania, że to na pewno był wilk. Legowisko tego zwierza musiało znajdować się w pobliżu.

– Trzeba zataczać większe kręgi – powiedział do dzieci.

Poprowadził je znowu dookoła ogniska, poruszając się w większym oddaleniu, rozgarniając krzaki i poszycie. Chwilami tracił orientację, ale udawało mu się utrzymać myśli skupione na jednej sprawie, na potrzebie znalezienia dziecka. Nie czuł teraz żadnego żalu, lecz palącą, wściekłą determinację, ale w głębi jego myśli kryła się pewność, że to wszystko jest jego winą. Przedzierał się przez las, przeszukując ziemię oczami, co kilka kroków zatrzymywał się, nasłuchując kwilenia noworodka. Ale las pozostawał cichy.

Zatracił poczucie czasu. Zataczane kręgi prowadziły go na trakt. Później uświadamiał sobie, że ten trakt przecinali strasznie dawno. W jakimś momencie zastanowił się, dlaczego jeszcze nie natknęli się na chatę leśniczego. Zaczęło mu świtać, że się zgubił i wcale nie krążą wokół grobu, lecz błądzą po lesie. To jednak nie miało znaczenia, póki szukali.

– Ojczy – odezwał się Alfred.

Tom spojrzął na syna. Był zirytowany, gdyż chłopak przerwał mu próbę skupienia się na tym, co właśnie robili. Alfred niósł Marthę, a ta, jak się okazało, zasnęła mu na plecach.

– Co?

– Możemy odpocząć?

Tom zastanowił się. Nie chciał się zatrzymywać, ale Alfred wyglądał tak,

jakby miał zaraz paść.

– Niech tak będzie – rzekł niechętnie. – Ale nie za długo.

Stanęli na zboczu pagórka. U podnóża mógł być strumień.

Tomowi chciało się pić. Wziął Marthę z pleców Alfreda i począł schodzić, tuląc dziewczynkę w ramionach. Tak jak się spodziewał, znaleźli mały czysty strumyk. Położył Marthę na brzegu. Nie obudziła się. Tom i Alfred uklękli, by nabrać lodowatej wody.

Alfred położył się obok Marthy i zamknął oczy. Tom rozejrzał się wokół siebie. Byli na polanie pokrytej opadłymi liśćmi. Dookoła rosły stare, mocne przysadziste dęby, których nagie konary plątały się ponad jego głową. Tom obchodził polankę, szukając dziecka, ale poczuł dziwną słabość w nogach i musiał nagle usiąść.

Mglisty dzień nie wydawał się wcale cieplejszy od nocy. Tomem wstrząsały dreszcze. Zauważył, że cały czas chodzi odziany jedynie w tunikę. Zastanawiał się, co się stało z jego opończą, ale nie mógł sobie przypomnieć. Czy coś dziwnego przydarzyło się jego oczom, czy też zgęstniała mgła? Nie mógł dojrzeć dzieci po przeciwnej stronie polany. Chciał wstać i iść do nich, lecz z jego nogami było coś nie w porządku.

Po pewnym czasie słońce przedarło się przez chmurę, a w chwilę potem pojawiła się anielska postać.

Szła przez polanę od wschodu, w długiej zimowej pelerynie z blanszowanej wełny, prawie białej. Obserwował jej zbliżanie się bez zdziwienia i zainteresowania. Ciekawość i lęk opuściły go całkowicie. Wpatrywał się w tę postać tępy, pustym i pozbawionym uczuć wzrokiem, takim jakim obdarzał masywne pnie otaczających go dębów. Owalną twarz otaczały bujne ciemne włosy, a peleryna kryła stopy, możliwe więc, że przepływała ponad opadłymi liśćmi. Zatrzymała się dokładnie naprzeciw niego. Bładozłote oczy zaglądały w głąb jego duszy, jakby rozumiały ból. Wydawała się znajoma, może z wizerunku anioła w jakimś kościele, który niedawno odwiedził. Odchyliła pelerynę. Pod nią była

naga. Miała ciało ziemskiej kobiety między dwudziestką i trzydziestką, jasną skórę i różowe sutki. Tom sądził, że ciała anielskie nie mają włosów, lecz to miało.

Postać przyklękła przed nim, kiedy tak siedział ze skrzyżowanymi nogami, pod dębem. Pochyliwszy się nad nim, pocałowała go w usta. Zbyt oszołomiony po przeżytych wstrząsach, nie zdziwił się i tym. Popychała go łagodnie, dopóki nie położył się płasko na ziemi. Potem rozchyliła pelerynę i położyła się na nim, przyciskając nagie ciało do niego. Przez tunikę czuł ciepło jej ciała. Po kilku chwilach przestał się trząść.

Wzięła jego brodatą twarz w dłonie i znowu go pocałowała, jak ktoś, kto po długim upalnym dniu pije zimną wodę. Po chwili przesunęła rękami po ramionach, znalazła jego przeguby i dłonie, podniosła je do piersi. Były miękkie i jędrne. Odruchowo chwycił sutki, które nabrzmiewały pod jego dotykiem.

Gdzieś w głębi mózgu rodziła się myśl, że nie żyje. Wiedział, iż o niebie nie mówiono, by miało wyglądać właśnie tak, ale wcale go to nie obchodziło. Jego zdolność krytycznej oceny od wielu godzin jakby nie istniała, a reszta racjonalnego rozumowania, jaka mu jeszcze została, też znikła; pozwolił, by dowodzeniem zajęło się ciało. Naprężył się i podniósł, przyciskając się do niej, z jej ciepła i nagości czerpiąc siłę. Otworzyła usta i wcisnęła język w usta Toma, poszukując jego języka, a on odpowiedział z zapalem.

Uniosła się trochę nad nim. Oszołomiony patrzył, jak podciąga i zwija na biodrach dół jego tuniki. Przenikliwym spojrzeniem zajrzała mu w oczy i opadła na niego. Drażliwy moment zetknięcia się ciał, chwila zawahania i nagle poczuł, że jest w niej. Wrażenie było tak przejmujące, jakby zaraz miał spłonąć z rozkoszy. Poruszyła biodrami, uśmiechając się do niego i całując go.

Zamknęła oczy i zaczęła dyszeć. Tom zrozumiał, że traci opanowanie. Obserwował ją z rosnącą fascynacją. Wydawała ciche rytmiczne okrzyki, poruszając się coraz szybciej, a jej ekstaza sięgała w głąb poranionej duszy Toma, tak że nie wiedział, czy chce płakać z rozpacz, czy krzyczeć z radości, czy też

śmiać się histerycznie. Wtem wybuch rozkoszy wstrząsnął obojgiem jak zamieć drzewami, znów i znów, dopóki w końcu ich namiętność nie opadła. Osunęła się na jego pierś.

Leżeli tak długo. Ciepło jej ciała rozgrzało go na wskroś. Zapadli w dziwny sen. Wydawało się, że trwa krótko i że to raczej rodzaj snu na jawie, kiedy jednak otworzył oczy, umysł miał już jasny.

Patrzył na leżącą na nim piękną młodą kobietę. Od razu zrozumiał, że to nie anioł, ale Ellen, kobieta banitka, którą spotkał w tej części lasu, kiedy ukradziono mu świnie. Poczula jego poruszenia i uniosła powieki, przyglądając mu się z mieszaniną wzruszenia i pożądania. Nagle pomyślał o swych dzieciach. Zsunął delikatnie Ellen z siebie i usiadł. Alfred i Martha leżeli na liściach owinięci w peleryny, a słońce oświecało ich śpiące twarze. Stopniowo wydarzenia tej nocy wróciły i w napadzie przerażenia przypomniał sobie, że Agnes umarła, a dziecko, jego syn, zniknęło; ukrył twarz w rękach.

Usłyszał, jak Ellen wydaje dziwny, dwutonowy gwizd. Podniósł wzrok. Z lasu wyłoniła się mała postać, Tom rozpoznał w niej dziwacznie wyglądającego syna Ellen, Jacka, bladokórego i pomarańczowowłosego, o oczach błękitnych i okrągłych jak u ptaka. Wstał, doprowadził ubranie do porządku, Ellen także się podniosła, owijając peleryną.

Chłopiec niósł zawiniątko – tak, to była połowa opończy, którą owinął dziecko, zanim położył je na grobie Agnes.

Nie pojmując nic, Tom wpatrywał się w chłopca, potem w Ellen. Wzięła jego ręce w swoje i, spojrzawszy mu w oczy, rzekła:

– Twój syn żyje.

Nie wierzył. To byłoby zbyt cudowne, za dużo szczęścia jak na ten świat.

– Niemożliwe.

– Żyje.

– Naprawdę? Naprawdę? – W sercu Toma poczęła rodzić się nadzieja.

– Naprawdę. Zabiorę cię do niego. – Pokiwała głową.

Zrozumiał, że mówi to poważnie. Nagły napływ ulgi zmył z niego cierpienie, robiąc miejsce na uczucie szczęścia. Padł na kolana i wstrząsnął nim długo tłumiony szloch.

V

– Jack usłyszał płacz dziecka – opowiadała Ellen. – Szedł do rzeki, na północ stąd, gdzie można kamieniami zabić kaczkę, jeśli się trafi. Nie wiedział, co począć, więc przybiegł po mnie. Kiedy udaliśmy się razem do tego miejsca, zobaczyliśmy księdza na wierzchovcu, trzymającego na rękach dziecko.

– Muszę go znaleźć... – zaczął mówić Tom, ale mu przerwała.

– Nie bój się. Wiem, gdzie jest. Ksiądz skręcił niedaleko grobu. Tam jest ścieżka wiodąca do małego klasztoru ukrytego w lesie.

– Dziecko potrzebuje mleka.

– Mnisi mają kozy.

– Dzięki Bogu! – powiedział żarliwie Tom.

– Zaprowadzę cię tam, jak tylko coś zjecie – obiecała. – Ale... – zmarszczyła brwi – nie mów jeszcze dzieciom o klasztorze.

Tom spojrzał na drugą stronę polany. Alfred i Martha wciąż spali. Jack stał nad leżącymi i po swojemu gapił się na nich.

– Dlaczego nie?

– Nie jestem pewna... Myślę, że mądrzej będzie poczekać.

– Ale twój syn im powie.

Potrząsnęła głową.

– Widział księdza, ale nie sędzę, żeby orientował się w całości sprawy.

– W porządku – powiedział Tom z namaszczeniem. – Jeślibym wiedział, że jesteś w pobliżu, to może mogłabyś pomóc uratować Agnes.

Ellen potrząsnęła głową, ciemne włosy zatańczyły wokół jej twarzy.

– Nic nie można było zrobić poza tym, by trzymać ją w ciepłe, a to uczyni-
łeś. Kiedy kobieta krwawi wewnętrznie, to albo krwawienie ustaje i ona czuje
się lepiej, albo nie ustaje i umiera.

Tomowi łzy napłynęły do oczu.

– Przykro mi – rzekła Ellen.

Tępo skinął głową.

– Żyjący muszą zająć się żyjącymi, a ty potrzebujesz żywności i nowej
opończy – stwierdziła, wstając.

Obudzili dzieci. Tom powiedział im, że niemowlę żyje, że Ellen i Jack wi-
dzieli, jak niósł je jakiś duchowny. Pójdzie wraz z Ellen poszukać tego księdza,
ale najpierw coś zjedzą. Te zaskakujące wieści dzieci przyjęły spokojnie, nic te-
raz nie było w stanie nimi wstrząsnąć. Tom zresztą też był otumaniony. Życie
biegło dla niego zbyt szybko, by mógł się połapać w tych wszystkich wydarze-
niach. Przypominało to jazdę na koniu, który poniósł. Wypadki następują po so-
bie tak błyskawicznie, że nie ma kiedy się nad nimi zastanowić. Trzeba tylko
trzymać się mocno, by nie oszaleć. Agnes rodzi dziecko w zimową noc pod go-
łym niebem; cudownym zrządzeniem losu maleństwo jest zdrowe; wszystko
wydaje się w porządku, a wtem Agnes, bratnia dusza Toma, w jego ramionach
wykrwawia się na śmierć, a on traci rozum; dziecko skazane na zagładę naj-
pierw porzuca w lesie, a potem próbuje odnaleźć je i to mu się nie udaje; póź-
niej pojawia się Ellen, a on sądzi, że to anioł, i kochają się, jakby we śnie;
wreszcie od banitki dowiaduje się, że noworodek żyje i ma się dobrze. Czy ży-
cie wreszcie kiedyś zwolni choć w takim stopniu, by Tom mógł przemyśleć te
okropne zdarzenia?

Wyruszyli. Zawsze sądził, że banici żyją w brudzie i nędzy, lecz w Ellen
nie było nic plugawego i zaczął się zastanawiać, jak też wygląda jej dom. Pro-
wadziła ich zygzakowatym szlakiem przez las i mimo że Tom nie widział żad-
nych znaków, nie było też ścieżki, ona nigdy się nie wahała przy wyborze dro-
gi, kiedy przekraczała strumienie, schylała się pod gałęziami, pokonywała za-

marznięte mokradła, gęste krzaki czy ogromny pień zwalonego dębu. W końcu skierowała się w stronę gąszczy jeżyn i wydawało się, że w nim znikła. Idąc za nią, zobaczył, że wbrew pierwszemu wrażeniu w zaroślach było wąskie przejście. Podążał dalej. Jeżyny zamknęły się nad jego głową i znalazł się w półmroku. Stał bez ruchu, czekając, aż oczy przyzwyczają się do skąpej ilości światła. Stopniowo uświadomił sobie, że jest w jaskini. Powietrze wydawało się ciepłe. Przed sobą, w obudowie z kamienia, zobaczył żarzący się ogień. Dym się unosił – gdzieś musiał być naturalny komin. Dookoła wisiały wilcze i jelenie skóry, przymocowane do ścian drewnianymi kołkami. Wędzona ćwiartka sarniny zwisała z pułapu. Dostrzegł skrzynię pełną dzikich jabłek, na występach skalnych świeczki o knotach z sitowia, a na podłodze suchą trzcinę. Na skraju paleniska stał kociołek. Tak samo stałby w każdym zwykłym gospodarstwie i, sądząc po zapachu, była w nim podobna polewka, jaką jadali wszyscy inni – jarzyny gotowane z mięsem i ziołami. Zdumiało go to. Ten dom był wygodniejszy od wielu innych.

Za paleniskiem leżały dwa materace z jeleniej skóry, najprawdopodobniej wypchane trzciną; na skraju każdego z nich zauważył porządnie zwinięte wilcze skóry. Tam spali Ellen i Jack, mając ogień między posłaniami a wyjściem z jaskini. W głębi mieścił się ogromny zbiór broni i przyborów łowieckich: łuk, trochę strzał, siatki, pułapki na króliki, kilka strasznych sztyletów, starannie wykonana drewniana dzida z ostrzem opalonym w ogniu, a pośród tych prymitywnych narzędzi leżały trzy księgi. To go oszołomiło: nigdy nie widział ksiąg w żadnym domu, nie mówiąc o jaskini; miejsce ksiąg było w kościele.

Jack wziął drewnianą miskę, napełnił ją polewką z kociołka i zaczął pić. Alfred i Martha patrzyli na niego głodnymi oczyma. Ellen spojrzała na Toma przepraszająco i powiedziała:

- Jack, kiedy mamy u siebie gości, jedzenie podajemy najpierw im.
- Dlaczego? – chłopiec spojrzał na nią, nie rozumiejąc, o co jej chodzi.
- Bo tak trzeba. Daj dzieciom polewki.

Jack nie był przekonany, ale posłuchał matki. Ellen podała trochę zupy Tomowi. Usiadł na podłodze i wypił ją. Pachniała mięsem i rozgrzała go od środka. Kiedy wypił rzadkie, palcami wyjmował jarzyny i mięso. Tygodnie minęły, od kiedy jadł coś takiego. Prawdopodobnie była to kaczka ustrzelona przez Jacka kamieniem z procy.

Jedli, dopóki nie opróżnili kociołka, potem Alfred i Martha położyli się na trzcinie. Zanim zasnęli, Tom oznajmił im, że idą poszukać księdza, a Ellen dodała, że Jack zostanie tutaj i zaopiekuje się nimi. Wyczerpane dzieci pokiwały tylko głowami potakująco i zamknęły oczy.

Tom i Ellen wyszli. Skoro tylko znaleźli się poza płataniną jeżynowych zarośli, Ellen zatrzymała się, stanęła twarzą do Toma, przyciągnęła jego głowę do swojej i pocałowała w usta.

– Kocham cię – powiedziała żarliwie. – Pokochałam cię w czasie naszego pierwszego spotkania. Zawsze chciałam mężczyzny, który byłby silny i łagodny, i myślałam już, że taki nie istnieje. Potem zobaczyłam ciebie. Pragnęłam cię. Widziałam jednak, że kochasz żonę. Mój Boże, jak ja jej zazdrościłam. Przykro mi, że umarła, naprawdę przykro, bo dostrzegam w twoich oczach żal i wstrzymywane łzy, które czekają, byś mógł je wylać, i boli mnie serce, gdy widzę, jak ci smutno. Ale ona już odeszła i teraz pragnę mieć cię dla siebie.

Tom nie wiedział, co powiedzieć. Trudno było uwierzyć, że taka piękna, mądra i niezależna kobieta mogłaby się zakochać w nim od pierwszego wejrzenia, a jeszcze trudniej było mu rozeznaczyć się we własnych uczuciach. Był przybity utratą Agnes – Ellen miała rację mówiąc o niewylanych łzach, czuł ich ciężar pod powiekami – a jednocześnie pożądał tej kobiety, pociągało go jej cudowne gorące ciało, podziwiał złote oczy. Czuł się straszliwie winny z tego powodu, bo przecież Agnes dopiero od kilku godzin spoczywała w grobie.

Patrzył na Ellen, jej oczy zajrzały znów w głąb jego serca i powiedziała:

– Nie mów nic. Nie musisz się wstydzić. Wiem, że ją kochałeś. Jestem pewna, że ona wiedziała o tym. Ty ciągle ją kochasz, oczywiście, że tak. Za-

wsze będziesz ją kochał.

Kazała mu nic nie mówić, a on nie miał nic do powiedzenia. Ta nadzwyczajna kobieta po prostu ogłupiła go. Zdawała się robić doskonale wszystko, czego dotknęła. Fakt, że jawiła mu się jako osoba dobrze wyczuwająca to, co się dzieje w jego sercu, w jakiś sposób dodawał mu ducha, jakby już nie miał się czego wstydzić. Westchnął.

– Tak już lepiej – orzekła.

Wzięła go za rękę i razem oddalili się od jaskini. Przedzierali się przez dziewiczy las ponad milę, potem weszli na trakt. Tom nie przestawał popatrywać na twarz Ellen idącej obok niego. Przypomnił sobie, że kiedy po raz pierwszy ją ujrzał, to pomyślał, że z powodu tych dziwnych oczu czegoś brakuje tej twarzy do bycia piękną. Teraz nie rozumiał, jak mógł tak uważać. Widział, że te zadziwiające oczy są absolutnie doskonałym wyrazem jej niepowtarzalnej duszy. Cała wydawała mu się absolutnie doskonała, jedynie zdumiewało go to, że jest z nim.

Przeszli ze trzy mile. Tom wciąż był zmęczony, mimo że polewka dodała mu sił. Chociaż całkowicie wierzył Ellen, dręczyło go pragnienie zobaczenia syna na własne oczy.

Kiedy zza drzew już mogli dostrzec klasztor, Ellen stwierdziła:

– Nie pokazujmy się mnichom od razu.

– Dlaczego? – zdziwił się.

– Porzuciłeś dziecko. To liczy się jako morderstwo. Przyjrzyjmy się najpierw z ukrycia, by się zorientować, co to za ludzie.

Tom, ze względu na okoliczności, w jakich się wszystko działo, nie pomyślał, że może mieć kłopoty, ale ostrożność nie zaszkodzi, kiwnął więc potakująco głową i podążył za Ellen. Kilka chwil później leżeli na skraju polany.

Klasztor był bardzo mały. Tomowi zdarzało się budować domy zakonne, domyślił się więc, że ten mógł być tylko filią wielkiego klasztoru lub opactwa. Dostrzegł dwa kamienne budynki – kaplicę i dormitorium. Inne były z drewna

i plecionki obrzuconej gliną: kuchnia, stajnia, stodoła i kilka mniejszych pomieszczeń gospodarczych. Miejsce było czyste, wyglądało na zadbane. Prawdopodobnie mnisi tyle samo uwagi poświęcali gospodarzeniu, co modlitwom.

W obejściu nie było wielu ludzi.

– Większość mnichów poszła do pracy – poinformowała Ellen. – Budują stodołę na szczycie wzgórza. – Popatrzyła w niebo. – Przyjdą około południa na obiad.

Tom przyjrzał się polanie. Nieopodal, po prawej stronie, zobaczył dwie postacie, częściowo zasłonięte małym stadkiem kóz.

– Spójrz – zwrócił się do Ellen. A kiedy przypatrywali się im, spostrzegł jeszcze coś. – Ten człowiek, który siedzi, to ksiądz. On...

– Trzyma coś w objęciu.

– Podejdźmy bliżej.

Przeszli skrajem polany, kryjąc się między drzewami, by dotrzeć na tę stronę, gdzie pasły się kozy. Tomowi serce podchodziło do gardła, kiedy patrzył na księdza siedzącego na stołku. Trzymał on na rękach dziecko. To było Toma dziecko. Poczul skurcz wzruszenia. Naprawdę tam było, naprawdę! Żyło. Pragnął rzucić się do księdza z wyciągniętymi ramionami, uściskać i jego, i maleństwo.

Obok księdza stał młody mnich. Przyjrzawszy się dokładniej, Tom zauważył, że młodzieniec zanurza szmatkę w skopku z mlekiem – najpewniej kozim – po czym jej nasączony róg wtyka w usta dziecka. To było wspaniałe.

– No cóż – rzekł Tom z pewną obawą. – Pójdę i przyznam się do tego, co zrobiłem, i zabiorę dziecko z powrotem.

Ellen spokojnie popatrzyła na niego.

– Pomyśl przez chwilę. Co zrobisz potem?

Nie rozumiał, do czego ona zmierza.

– Poproszę mnichów o mleko. Potrafią dostrzec, że jestem biedny. Dadzą jałmużnę.

– A potem?

– No, mam nadzieję, że dadzą mi dość mleka na trzy dni, póki nie dojdę do Winchesteru.

– A potem? – upierała się. – Jak potem wykarmisz dziecko?

– No, poszukam pracy...

– Szukasz pracy od czasu, kiedy cię ostatnio widziałam, a było to pod koniec lata. – Wyglądała, jakby się trochę na niego złościła, a on nie rozumiał, z jakiego powodu. – Nie masz pieniędzy ani narzędzi. Co będzie z dzieckiem, jeśli nie dostaniesz pracy w Winchesterze?

– Nie wiem. – Tom poczuł się dotknięty szorstkim potraktowaniem. – A co mam robić? Żyć jak ty? Nie umiem trafiać do kaczek kamieniami, jestem mura-
rzem.

– Możesz zostawić dziecko tutaj.

W Toma jakby grom uderzył.

– Zostawić je? – zawołał. – Właśnie teraz, kiedy je odnalazłem?

– Będziesz miał świadomość, że zapewnię mu ciepło i jedzenie. Nie będziesz musiał go nosić, szukając pracy. A jak ją znajdziesz, zawsze możesz wrócić tutaj i zabrać dziecko.

Tom wewnętrznie buntował się przeciw takiemu rozwiązaniu.

– Nie wiem – rzekł. – Co mnisi pomyślą o porzuceniu dziecka?

– Już wiedzą, że to uczyniłeś – odpowiedziała niecierpliwie. – Pytanie tylko, czy wyznasz to teraz, czy później.

– A mnisi umieją opiekować się dzieckiem?

– Wiedzą tyle samo, co ty.

– Wątpię.

– No, ale mają sposób na karmienie noworodka, który potrafi tylko ssać.

Powoli docierało do niego, że to ona ma rację. Chociaż tak chciał owo małe zawiniątko trzymać w ramionach, nabierał przekonania, że mnisi są bardziej niż on zdolni do opieki nad dzieckiem.

– Znow go zostawić – odezwał się ze smutkiem. – Chyba muszę. – Stał i wpatrywał się w malutką figurkę na rękach księdza. Dziecko miało czarne włosy, podobne do włosów Agnes. Tom podjął decyzję, ale nie potrafił ruszyć się z tego miejsca.

Nagle na drugiej stronie polany wyłoniła się spora grupa mnichów, było ich piętnastu czy dwudziestu, nieśli siekiery i piły. Tom i Ellen weszli głębiej w zarośla, aby nikt nie odkrył ich obecności. Teraz Tom nie mógł już widzieć dziecka. Przemykali pośpiesznie przez krzaki. Kiedy doszli do drogi, puścili się biegiem. Pokonali tak ze trzysta jardów, potem Tom się zmęczył. Gdy wreszcie znaleźli się w bezpiecznej odległości, zeszli z traktu i poszukali zacisznego miejsca na odpoczynek.

Usiedli na porośniętym trawą zboczu oświetlonym promykami słońca. Tom popatrzył na Ellen, która leżała wyciągnięta na plecach, głęboko oddychając. Miała zaróżowione policzki, a jej wargi uśmiechały się do niego. Spojrzał na obnażoną szyję i wypukłą pierś. Nagle zapragnął zobaczyć jej nagość raz jeszcze, a pożądanie to było znacznie silniejsze niż poczucie winy. Pochylił się nad nią, by ją pocałować, ale powstrzymał się, bo tak pięknie wyglądała... Kiedy przemówił bez zastanowienia, zaskoczyły go własne słowa:

– Ellen, czy zostaniesz moją żoną?

Rozdział 2

I

Peter z Wareham był urodzonym intrygantem. Przeniesiono go do tej małej wspólnoty w lesie z macierzystego domu zakonnego w Kingsbridge. Nietrudno było dociec, dlaczego przeor Kingsbridge tak bardzo chciał się go pozbyć. Peter był wysokim, dobrze zbudowanym mężczyzną pod trzydziestkę. Silna osobowość i pogardliwe maniery doprowadziły do tego, że żył w poczuciu oburzenia na wszystko i na wszystkich. Kiedy pojawił się tu i zaczął pracować w polu, nadawał wściekłe tempo, a potem oskarżał mnichów o lenistwo i obijanie się. Ku jego zaskoczeniu, większość braciszków przyznała mu rację i okazali się zdolni dotrzymać mu kroku, a w końcu młodsi nawet go wyprzedzili. Znalazł sobie wówczas inną wadę mnichów. Wybór padł na obżarstwo.

Zaczął jeść połowę swego przydziału chleba i nie spożywał wcale mięsa. W ciągu dnia pił tylko wodę ze strumienia, piwo rozcieńczał i odmawiał wina. Nakrzyczał na młodego, zdrowego braciszka, kiedy poprosił o repetę owsianki, i doprowadził do łez innego, który dla żartu wypił wino z cudzego kubka.

Mnisi wcale nie dawali żadnych dowodów obżarstwa – myślał przeor Philip, kiedy schodzili ze wzgórza, śpiesząc na obiad. Młodzi byli szczupli i mu-

skularni, a starsi krzepcy i opaleni. Żaden z nich nie miał tej bladej krągłości, pojawiającej się wówczas, gdy się za dużo je i niewiele, albo nic, nie robi. Jego zdaniem mnisi powinni być szczupli. Otyli braciszczkowie wyzywali zawiść i niechęć zwracające się przeciwko sługom bożym. Peter, co charakterystyczne, swe oskarżenia przedstawiał w formie wyznania. „Popelnilem dzisiaj grzech obżarstwa – powiedział rano, gdy odpoczywali na pniach drzew, które sami ścięli, posilając się żytnym chlebem i pijąc piwo.

– Sprzeniewierzyłem się Regule świętego Benedykta, która mówi, że mnichom nie wolno jeść mięsa i pić wina. – Obrzucił spojrzeniem pozostałych braci; głowę zadzierał wysoko, a ciemne oczy błyszcząły dumą, w końcu zatrzymał wzrok na Philipie. – I wszyscy tutaj mają na sumieniu to samo przewinienie” – zakończył. To bardzo smutne, że Peter zachowuje się w ten sposób, pomyślał przeor. Ten człowiek poświęcił się służbie bożej, ma Bogu wiele do zaoferowania. Wygląda jednak na to, że bardzo chce poczuć się kimś wyjątkowym i zwracać na siebie uwagę innych. Stąd te ciągłe sceny. A przecież Philip kochał go tak samo jak innych. Wiedział, że pod arogancją i pogardą kryje się zbolęła dusza, niedowierzająca, że ktokolwiek mógłby się nią naprawdę zająć.

– A jak brzmią słowa świętego Benedykta? Czy możesz je zacytować, Peterze? – poprosił przeor.

– Powiada tak: „Wszyscy poza chorymi winni powstrzymać się od mięsa”, a potem: „Wino w ogóle nie jest napojem dla mnichów” – odparł Peter.

Philip skinął głową. Zgodnie z oczekiwaniami, Peter nie znał reguły tak dobrze jak on.

– Z małą poprawką – rzekł. – Święty nie mówi o mięsie, ale o „ciele czworonożnych zwierząt”, i czyni wyjątki, nie tylko, jak powiedziałaś, dla chorych, lecz również dla słabych. A cóż rozumie przez pojęcie „słabi”? Tutaj, w naszej małej wspólnoty, przyjmujemy, że ludzie wykonujący pracę wymagającą wysiłku są osłabieni i z tego powodu mogą posilać się mięsem, by odzyskać utracone siły.

Peter słuchał. Jego czoło zmarszczyło się w wyrazie dezaprobaty, czarne krusze brwi ściągnęły się u nasady wielkiego, zakrzywionego nosa, twarz zdradzała tłumiony opór.

– W kwestii wina święty mówi: „Czytamy, że wino nie jest napojem mnichów” – ciągnął Philip. – Użycie słowa „czytamy” implikuje, że święty nie w pełni aprobuje zakaz. Powiada przecież także, że pół kwarty wina powinno wystarczyć każdemu na cały dzień. I ostrzega, byśmy nie gasili pragnienia całkowicie. Czy jest tedy jasne, czy też nie, że święty Benedykt nie oczekuje od mnichów zupełnego wyrzeczenia się wina?

– Ale rzecze też, że we wszystkim powinno być zachowywane umiarkowanie.

– Czy chcesz przez to powiedzieć, że my tutaj jemy bez umiaru?

– Tak – oznajmił dźwięcznym głosem.

– „Niech ci, których Bóg obdarzył abstynencją, wiedzą, że otrzymają właściwą nagrodę” – zacytował Philip. – Jeśli uważasz, że nasze posiłki są dla ciebie zbyt obfite, możesz jeść mniej. Lecz pamiętaj, co jeszcze mówi święty. Cytuje Pierwszy list do Koryntian, w którym święty Paweł oznajmił: „Istnieje różnorodność darów łaski, lecz jeden i ten sam Duch... Jednemu bywa dany dar mądrości, innemu zaś dar umiejętności” i tak dalej. I dlatego powiada święty Benedykt, nie można bez wahania określić ilości jedzenia potrzebnego innym. Proszę, pamiętaj o tym, kiedy pościsz i medytujesz nad grzechem obżarstwa.

Potem wrócili do pracy. Peter roztaczał aurę męczeństwa. Można go było bez trudu uciszyć, doszedł do wniosku Philip. Z trzech ślubów zakonnych, takich jak ubóstwo, czystość i posłuszeństwo, tym, który sprawiał Peterowi trudności, był ślub posłuszeństwa.

Oczywiście istniały sposoby postępowania z nieposłusznymi mnichami: izolacja, chleb i woda, chłosta, a w końcu ekskomunika i wyrzucenie z klasztoru. Zazwyczaj nie wahał się przed użyciem takich kar, szczególnie wówczas, gdy mnich starał się nadszarpnąć jego autorytet. Dlatego sądzono, że utrzymuje

rygor. W rzeczywistości jednak nienawidził stosowania kar – powodowały one dysharmonię w zakonnej wspólnocie i unieszczęśliwiały wszystkich. Jeśli chodzi o Petera, to kara i tak byłaby nieskuteczna, z pewnością uczyniłaby tego człowieka jeszcze bardziej próżnym i nieustępliwym. Philip musiał znaleźć sposób na to, by jednocześnie zapanować nad Peterem i ułagodzić go. Nie będzie to łatwe. Ale, pomyślał, gdyby wszystko było proste, człowiek nie potrzebowałby Bożego wsparcia.

Dotarli do zabudowań klasztornych. Kiedy wyszli na otwartą przestrzeń, Philip zauważył, że z zagrody dla kóz macha do nich energicznie brat John. Zwano go Johnny Osiem Pensów, bo był trochę ograniczony umysłowo. Zastanawiał się, co też go mogło tak podniecić. Razem z Johnnym był jeszcze mężczyzna w szatach księdza. Wyglądał jakoś znajomo i Philip przyśpieszył kroku.

Ksiądz był niskim, krępyim mężczyzną w wieku około dwudziestu pięciu lat, miał krótko przycięte czarne włosy i jasne niebieskie oczy, iskrzące się żywą inteligencją. Patrzenie na niego było dla Philipa jakby spoglądaniem w lustro. Ten ksiądz, uprzytomnił sobie z lekkim wstrząsem, to jego młodszy brat, Francis.

Francis trzymał noworodka.

Philip nie wiedział, kto stanowi większą niespodziankę, Francis czy dziecko. Mnisi stłoczyli się dookoła. Francis wstał, podał dziecko Johnny'emu. Philip objął brata.

– Co tutaj robisz? – rzekł z radością. – I skąd masz to dziecko?

– O tym, dlaczego tutaj jestem, powiem ci później – odrzekł Francis. – Jeśli chodzi o dziecko, to znalazłem je w lesie, leżało samo niedaleko żarzącego się ogniska.

– I... – przynaglił go Philip.

– Nie potrafię więcej powiedzieć. – Francis wzruszył ramionami. – To wszystko, co wiem. Miałem nadzieję, że dotrę do was wczoraj wieczorem, ale musiałem zanocować w chacie strażnika królewskich lasów. Wyruszyłem dzi-

siaj o świcie. Jechałem traktem, kiedy usłyszałem płacz dziecka. W chwilę później je dostrzegłem, zabrałem ze sobą i przyniosłem tutaj. I to cała opowieść.

Philip patrzył z niedowierzaniem na zawiniątko w objęciach Johnny'ego. Niepewnie wyciągnął rękę i podniósł róg koca. Miał przed sobą pomarszczoną różową twarzyczkę, otwarte bezzębne usteczka i małą głowinę – miniaturę staro-
mucha. Zajrzał głębiej i zobaczył małe delikatne barki, wymachujące ramionka i zaciśnięte piąstki. Przyjrzał się z bliska kawałkowi pępowiny dyndającej przy brzuszku dziecka. To wzbudzało niesmak. Czy to coś normalnego? – zastanawiał się. Wyglądało na to, że rana goi się dobrze i najlepiej będzie nie ruszać tego. Odsunął koc jeszcze bardziej.

– Chłopiec – powiedział z zakłopotanym kaszlnięciem.

Jeden z nowicjuszy zachichotał.

Nagle Philip poczuł się bezradny. Cóż, u licha, mam z nim zrobić? Nakarmić?

Dziecko zapłakało, a dźwięk ten poruszył go jak bliska sercu pieśń.

– Jest głodne. – Gdzieś w zakątku myśli jawiło się pytanie: Skąd ja to wiem?

– Nie potrafimy go nakarmić – odezwał się jakiś mnich.

Przeor już miał powiedzieć: „Dlaczego nie?” – ale uświadomił sobie, że przecież w promieniu wielu mil nie ma kobiet.

Jednakże Johnny już rozwiązał ten problem. Siadł na stołku, trzymając dziecko. W rękę miał chustę z jednym końcem skręconym. Zanurzył go w skopku mleka i pozwolił, by nasiąknął dobrze płynem, a potem wsadził namoczony róg w usta noworodka. Dziecko zaczęło ssać.

Philip miał ochotę krzyknąć z radości.

– To sprytne, Johnny – pochwalił go.

Brat John uśmiechnął się.

– Robiłem to już, kiedy karmiąca koza zdechła, zanim odstawiła swoje małe – oświadczył z dumą.

Wszyscy mnisi patrzyli z zainteresowaniem, a Johnny powtarzał proste czynności, po czym dziecko zaczynało ssać. Gdy dotykał usteczek noworodka, niektórzy bracia zakonni otwierali własne usta, z rozbawieniem zauważył Philip. Takie karmienie było powolne, ale przecież dzieci karmi się wolno.

Peter z Wareham, który nie mógł się oprzeć powszechnemu zachwytowi i w konsekwencji zapomniał, że ma być zawsze krytycznie do wszystkiego nastawiony, teraz się pozbierał i rzekł:

– Mniejszym kłopotem byłoby znaleźć dziecku matkę. Najlepiej jego własną.

– Wątpię, czy to możliwe – stwierdził Francis. – Matka jest prawdopodobnie niezamężna i obciążona moralnym występkiem. Podejrzewam, że to młoda kobieta. Może udało się jej utrzymać ciążę w tajemnicy, a kiedy zbliżył się jej czas, poszła do lasu, rozpałała ognisko, urodziła bez pomocy i potem porzuciła dziecko na łaskę wilków, by wrócić tam, skąd przyszła. Upewniła się, że nie zostanie zdradzona.

Dziecko zasnęło. Philip odruchowo wziął je od Johnny'ego i przycisnął do piersi.

– Biedactwo, biedactwo – szeptał – nieszczęsna mizerotka.

– Odczuł nagłą potrzebę zaopiekowania się maleństwem. Zauważył, że mnisi wpatrują się w niego, zdumieni okazywaniem czułości. Nigdy nie widzieli u niego ukazywania uczuć; coś takiego było w klasztorze surowo zabronione. Najwidoczniej uważali go za niezdolnego do czułości. No cóż, pomyślał, wobec tego znają prawdę.

– Będziemy musieli zawieźć dziecko do Winchesteru i tam znaleźć mu zastępczą matkę – przemówił znów Peter z Wareham.

Gdyby powiedział to ktokolwiek inny, Philip nie śpieszyłby się tak bardzo z przeciwstawieniem się temu pomysłowi, ale że to właśnie Peter zgłaszał sprzeciw, przeor szybko zaprotestował... Ta chwila miała w decydujący sposób zmienić jego życie.

– Nie oddamy go do żadnej zastępczej matki. To dziecko jest darem od Boga. – Popatrzył po wszystkich. Szeroko otwarte oczy mnichów śledziły jego usta. – Zajmiemy się dzieckiem sami. Będziemy je karmić, uczyć i wskażemy drogę do Boga. Potem, kiedy wyrośnie na mężczyznę, sam zostanie mnichem. Tym sposobem zwrócimy go Panu.

Zapadła martwa cisza.

Peter przerwał ją, mówiąc ze złością:

– To niemożliwe! Dziecko nie może być wychowywane przez mnichów!

Philip pochwycił spojrzenie swego brata i uśmiechnęli się obaj do wspólnych wspomnień. Kiedy znów przemówił, jego głos był przytłumiony ciężarem przeszłości.

– Niemożliwe? Mylisz się, Peterze. Przeciwnie. Jestem tak samo jak mój brat całkowicie przekonany, że mnisi to potrafią. Znamy to z własnego doświadczenia. Nieprawdaż, Francis?

Pamiętał tamten dzień, jakby to było wczoraj. Jego ojciec wrócił do domu ranny. Philip pierwszy dostrzegł, jak wijącą się ścieżką wspinał się na koniu do położonej na wzniesieniu niewielkiej osady w górzystej Walii Północnej. Sześcioletni Philip wybiegł mu na spotkanie, jak zwykle, tym razem jednak tatko nie dźwignął swego malucha, by posadzić go przed sobą na koniu. Jechał powoli, to zsuwając się z siodła, to poprawiając, wodze trzymał w prawej ręce, lewa zaś zwisała bezwładnie. Twarz miał bladą, a odzież poplamioną krwią. Dzieciak był zarówno zaciekawiony, jak i przestraszony, bo dotychczas nigdy nie widział ojca słabego.

– Idź po matkę – rzekł tatko.

Kiedy wprowadzili go do domu, mama rozcięła ojcu koszulę. Philip przeraził się – widok matki, zawsze tak oszczędnej, a teraz niszczącej odzież, był bardziej wstrząsający niż krew.

– Nie martw się o mnie – powiedział tatko. Jego zwykły mocny bas osłabł do pomruku. Nikt nie zwrócił uwagi na to kolejne wstrząsające spostrzeżenie; słowo ojca było prawem.

– Zostawcie mnie i zabierajcie się wszyscy do klasztoru na górze – powiedział. – Ci przekłęci Anglicy wkrótce się tu zjawią.

Na wzgórzu stał kościół i klasztor, ale Philip nie pojmował, dlaczego mają tam iść, skoro nie była to niedziela.

– Jeśli stracisz jeszcze trochę krwi, nie będziesz w stanie nigdy i nigdzie pójść – odparła mama, a ciotka Gwen powiedziała, że podniesie alarm, i wyszła.

Wiele lat później, kiedy myślał o wydarzeniach, jakie potem nastąpiły, uświadomił sobie, że wszyscy zapomnieli wtedy o nim i o jego czteroletnim bracie Francisie i nikomu nie przyszło do głowy, by zabrać ich do bezpiecznego klasztoru. Zapewne rodzice myśleli o dzieciach i spodziewali się, że nic im się nie stanie, bo są z nimi, ale tatko wykrwawiał się na śmierć, a mama próbowała go ratować i w ten sposób Anglicy przyłapali ich czwórkę razem.

Nic w dotychczasowym krótkim życiu Philipa nie przygotowało go na pojawienie się dwu zbrojnych mężów, którzy kopniakami otwarli drzwi i wpadli do jednoizbowego domu. W innych warunkach nie daliby się zastraszyć, bo przecież napastnicy byli tylko wielkimi niezgrabnymi podrostkami, którzy kpili ze starych kobiet i wymyślali Żydom, a o północy w piwiarniach wszczynali bójki na pięści. Teraz jednak (Philip zrozumiał to wiele lat później, kiedy wreszcie zdołał myśleć o tym dniu obiektywnie) tych dwu młodych opanowała żądza krwi. Byli w bitwie, słyszeli rycerzy wyjących w agonii i widzieli przyjaciół padających trupem. Lecz bitwę wygrali i udało im się nie polec, a teraz ogarnęła ich gorączka pościgu za wrogami i nic nie mogło ich nasycić. Pragnęli więcej krwi, więcej wrzasku, więcej ran i śmierci... Mieli to wypisane na powykrzywianych twarzach, kiedy wdarli się do izby jak lisy do kurnika.

Poruszali się szybko, lecz Philip zapamiętał na zawsze każdy szczegół, jak-

by wszystko trwało bardzo długo. Obaj nosili lekkie zbroje, kolczugi zrobione z metalowych oczek, i skórzane hełmy, wzmocnione żelaznymi taśmami. Trzymali w rękach wyciągnięte miecze. Jeden, brzydki, zezowaty i z wielkim złamanym nosem, obnażył zęby w małym przerażającym grymasie. Drugi miał lśniąca brodę, posklejaną kroplami krwi, prawdopodobnie cudzej, bo sam nie wyglądał na rannego. Omiotli wzrokiem izbę, nie zatrzymując go na niczym. Ich bezlitosne, chytne oczy nie zatrzymały się na Philipie i Francisie, zauważyły mamę i skierowały się na tatka. Natarli na niego, zanim ktokolwiek zdołał się poruszyć.

Mama pochylała się nad tatkiem, wiążąc bandaż na jego lewym ramieniu. Wyprostowała się i odwróciła ku intruzom, w jej oczach płonęła odwaga i determinacja. Tatko zerwał się na nogi, sięgnął po miecz. Philip wydał okrzyk strachu.

Ten brzydki podniósł miecz nad głowę i uderzył rękojeścią w głowę mamy, po czym odepchnął ją, ale nie wykonał pchnięcia, pewnie z tego powodu, że nie chciał, by miecz utkwiał w jej ciele, podczas gdy tatko jeszcze żył. Philip odtworzył to wiele lat później: biegł wtedy do mamy, nie rozumiejąc, że ona już nie może go obronić. Mama potknęła się, ogłuszona, a ten brzydki minął ją, wznosząc miecz ponownie. Philip pochwycił jej spódnicę, gdy się zatoczyła w oszłomieniu, nie potrafił jednak przestać patrzeć na ojca.

Tatko dobył miecza i uniósł w pozycji obronnej. Brzydki uderzył z góry i ostrza brzęknęły przy zetknięciu. Niczym dzwonek. Tak jak wszyscy mali chłopcy, Philip uważał, że ojciec jest niezwyciężony, a tu nagle okazało się, że prawda jest inna. Tatko osłabł wskutek utraty krwi. Kiedy ostrza się spotkały, ojcowski miecz opadł; atakujący szybko uniósł swoją broń i uderzył ponownie. Cios trafił w miejsce, w którym wielkie mięśnie szyi łączą się z barkami. Philip zaczął przeraźliwie krzyczeć na ten widok. Brzydki cofnął rękę, złożył się do pchnięcia i wbił miecz w brzuch tatka.

Sparaliżowany przerażeniem Philip patrzył na matkę. Ich oczy spotkały się

w momencie, kiedy ten drugi, brodaty, powalił ją ciosem z góry. Padła na podłogę. Krew płynęła strumieniem z rany na głowie. Brodaty obrócił swój miecz sztychem w dół i, trzymając oburącz, podniósł go jak najwyżej, niemal jakby chciał się sam przebić, i opuścił gwałtownie. Rozległ się mdlący trzask pękających kości, kiedy sztych wdzierał się w pierś mamy. Wszedł głęboko, tak głęboko (zauważył Philip, mimo że znajdował się w kleszczach ślepego histerycznego strachu), iż musiał przejść na zewnątrz przez plecy i wbić się w ziemię, przybijając mamę do podłogi, tak jak gwóźdź.

Philip dziko wpatrywał się w ojca. Zobaczył, jak pada pod ciosem miecza, a z ust chlusta mu krew. Jego zabójca odstał i szarpnął, chcąc uwolnić swoją broń. Tatko potknął się, robiąc krok w stronę mordercy. Brzydki krzyknął i obrócił miecz w brzuchu ojca. Udało mu się go wyszarpnąć. Tatko padł na podłogę, a jego ręce powędrowały do otwartych wnętrzności, jakby chciał zakryć ranę. Philip zawsze wyobrażał sobie, że ludzkie wnętrze jest jednolite, widok tego, co wypadło z ojca, zaskoczył go i przyprawił o mdłości. Napastnik podniósł swój miecz wysoko, ponad ciałem tatka, jak brodaty nad ciałem mamy, i zadał ostatni cios.

Obaj Anglicy spojrzeli na siebie i zupełnie nieoczekiwanie Philip wyczytał w ich twarzach ulgę. Odwrócili się razem, popatrzyli na przerażone dzieci. Jeden skinął głową, drugi wzruszył ramionami i Philip pomyślał, że oni chcą zabić jego i brata cięciami tych swoich ostrych mieczy, a kiedy jeszcze uświadomił sobie, jak bardzo będzie to boleć, zdrętwiał ze strachu.

Ten z krwią na brodzie schylił się lekko i chwycił Francisę za kostkę u nogi, podniósł go. Trzymał chłopca do góry nogami, a on wołał mamę, nie rozumiejąc, że jest martwa. Brzydał wyciągnął miecz z ciała tatka i cofnął ramię. Zamierzył się na Francisę.

Cios nie padł. Rozległ się rozkazujący głos i obaj mężczyźni zamarli w bezruchu. Zapadła cisza. Philip uświadomił sobie, że przestał krzyżeć. Spojrzał na drzwi i zobaczył opata Petera z drewnianym krzyżem w ręku, jakby to był

miecz. Jego oczy wyrażały oburzenie.

Kiedy Philip przeżywał w koszmarach sennych ten dzień i budził się spocyny, krzycząc w ciemności, to zawsze przywoływał obraz człowieka z krzyżem, bez broni. Wtedy uspokajał się i w końcu zasypiał.

Opat przemówił. Philip nie rozumiał jego słów, bo mnich mówił po angielsku, pojął jednak ich znaczenie, gdyż obaj napastnicy zawstydzili się, a brodaty położył Francisa na ziemię. Nie przestając mówić, mnich wkroczył pewnie do chaty. Zbrojni cofnęli się o krok. Opat odwrócił się lekceważąco i kucnął, by porozmawiać z Philipem. Głos brzmiał rzeczowo:

– Jak cię zwa?

– Philip.

– Aha, pamiętam. A twój brat to...?

– Francis.

– Właśnie. – Opat popatrzył na krwawiące ciała na podłodze. – To jest twoja mama, tak?

– Tak – powiedział Philip. Zaczęła go ogarniać panika, kiedy wskazywał okaleczone ciało ojca, mówiąc: – A to jest mój tatko!

– Wiem – uspokajająco rzekł mnich. – Przestań płakać i odpowiedz na moje pytania. Czy rozumiesz, że oni nie żyją?

– Nie – odrzekł Philip żałośnie. Widział zdychające zwierzęta, ale żeby coś takiego przydarzyło się mamie i tatkowi?

– To tak, jak pójść spać – wyjaśnił opat.

– Ale mają otwarte oczy! – krzyknął Philip.

– Ciii... Lepiej więc je zamknijmy.

– Tak – zgodził się Philip. Poczuł, że to może coś rozwiązać.

Mnich wstał, wziął Philipa i Francisa za ręce i poprowadził przez izbę do ciała ich ojca. Ukląkł przy nim i ujął w swoją dłoń prawą rękę Philipa.

– Pokażę ci jak. – Pociągnął rękę Philipa, przesunął ją nad twarz ojca, ale nagle Philip zaczął odczuwać lęk, bo ciało tatka wyglądało obco i było ohydnie

poranione. Wyrwał więc rękę i z niepokojem spojrzął na opata Petera, którego wszyscy słuchali, lecz on nie wydawał się rozgniewany. – Chodź – powiedział łagodnie i wziął ponownie rękę chłopca. Tym razem Philip się nie opierał. Trzymając palec Philipa między swym kciukiem i palcem wskazującym, mnich spowodował dotknięcie przez chłopca powieki ojca i przesunięcie jej w dół, aż zakryła przerażająco wytrzeszczoną gałkę oczną. Wtedy opat puścił rękę Philipa i rzekł: – Zamknij drugie oko.

Tym razem bez pomocy Philip sięgnął, dotknął powieki ojca i zamknął ją. Poczul się lepiej.

– To samo zrobimy z oczami mamy, dobrze? – zaproponował opat.

– Tak.

Uklękli przy jej ciele. Opat wytarł z jej twarzy krew swoim rękawem. Philip zapytał:

– A Francis?

– Może on też mógłby pomóc.

– Zrób to, co ja, Francis – zwrócił się Philip do brata. – Zamknij mamie oczy, tak jak ja tatkowi, żeby mogła spać.

– A oni śpią? – spytał Francis.

– No, nie, ale to jest jak spanie – odparł autorytatywnym tonem – więc ona musi mieć zamknięte oczy.

– No to dobrze – zgodził się Francis i bez wahania wyciągnął pulchną dłoń, i uważnie zamknął oczy matki.

Potem opat wziął ich obu na ręce i, bez jednego spojrzenia na żołnierzy, wyniósł małych z domu i zaniósł stromą ścieżką na górę, do klasztoru.

Nakarmił ich w klasztornej kuchni; później zaś, by nie zostawiać ich sam na sam z myślami, beczynn timer, polecił im pomóc kucharzowi w przygotowywaniu kolacji dla mnichów. Następnego dnia pokazał dzieciom ciała rodziców, umyte i ubrane, z ranami oczyszczonymi, zaszytymi i częściowo ukrytymi. Leżały w trumnach obok siebie w nawie kościoła. Przyszło jedynie kilkoro spo-

śródm ich krewnych, bo nie wszyscy ze wsi schronili się w klasztorze przed armią najeźdźców. Opat Peter zabrał chłopców na pogrzeb i dopilnował, aby byli obecni przy złożeniu dwu trumien do jednego grobu. Kiedy Philip zapłakał, Francis zapłakał także. Ktoś zaczął ich uciszać, ale opat Peter powiedział:

– Pozwól im szlochać.

A kiedy oswoili się z myślą, że rodzice odeszli i nigdy już nie wrócą, zaczął mówić o przyszłości.

Wśród ich krewnych nie było ani jednej rodziny, która by kogoś nie straciła – w każdej albo matka, albo ojciec zostali zabici. Nie było też nikogo, kto mógłby zająć się chłopcami. Pozostawały dwie możliwości. Można było oddać lub sprzedać braci jakiemuś kmieciowi, który mógłby ich wykorzystywać do niewolniczej pracy, póki nie dorośli na tyle, by uciec. Albo mogli zostać oddani Bogu.

Umieszczanie małych chłopców w klasztorach nie było niczym nowym. Zazwyczaj oddawano ich w wieku jedenastu lat, a dolna granica wynosiła lat pięć, bo mnisi nie byli po to, by dzieci niańczyć. Do klasztoru trafiały sieroty, bywało, że przebywający tam chłopcy nie mieli jednego z rodziców, a czasem ich rodzice mieli za dużo synów. Zazwyczaj rodzina wraz z dzieckiem przekazywała jakiś wartościowy dar, wiano, gospodarstwo, kościół, a czasami całą wioskę. W razie skrajnej nędzy dar nie był wymagany. Ponieważ ojciec Philipa zostawił skromne gospodarstwo na wzgórzu, więc chłopcy nie musieli korzystać z miłosierdzia. Opat Peter zaproponował, że klasztor weźmie chłopców i przejmie gospodarstwo, na co ci krewni, którzy przetrwali, zgodzili się; umowa została zatwierdzona przez księcia Gwynedd, Gruffyda ap Cynana. Został on wprawdzie pobity, ale nie obalony przez żołnierzy króla Henryka, tych, którzy zabili ojca Philipa.

Opat wiedział wiele o smutku, ale mimo całej swej wiedzy nie był przygotowany na to, co spotkało Philipa. Mniej więcej po roku, kiedy wydawało się, że żal już przeminął, a obaj chłopcy okrzepli w klasztornym życiu, Philip po-

padł w jakiś rodzaj nieuzasadnionej złości. Warunki życia wspólnoty na szczycie wzgórza nie były aż tak złe, by jego gniew usprawiedliwić: mieli jedzenie, odzież, zimą w dormitorium płonął ogień, a nawet było trochę miłości i przywiązania. Ostra dyscyplina i pieczołowicie dopełniane rytuały w końcu miały służyć utrzymaniu porządku i równowagi. Philip jednak zaczął zachowywać się, jakby zamknięto go w więzieniu, i to niesprawiedliwie. Nie słuchał poleceń, przy każdej okazji podważał autorytet przełożonych, kradł żywność, tłukł jaja, spuszczał konie, przedrzeźniał słabszych i obrażał starszych. Ale w końcu wyrósł z tego. W Boże Narodzenie rozmyślał o minionych dwunastu miesiącach i uświadomił sobie, że nawet jednej nocy w tym roku nie spędził w celi pokutnej.

Trudno powiedzieć, co sprawiło, że powrócił do normalności. Prawdopodobnie pomogło to, że interesował się przedmiotami, których się uczył. Matematyczna teoria muzyki zafascynowała go, a nawet sposób koniugowania łacińskich czasowników miał pewną satysfakcjonującą logikę. Został skierowany do pomocy klucznikowi klasztornemu, mnichowi, którego pieczy powierzono wszystkie zapasy i całe zaopatrzenie, od sandałów do ziarna na siew, i to także wzbudziło zainteresowanie Philipa. Rozwinęło się w nim uczucie uwielbienia dla brata Johna, przystojnego, krzepkiego mnicha, który wydawał się chłopcu wcieleniem uczoności, świętobliwości, mądrości i uprzejmości. Czy to przez naśladownictwo Johna, czy z powodu własnych skłonności, czy też z obu powodów naraz, zaczął znajdować pociechę w codziennej modlitwie i nabożeństwach. I tak wkroczył w dorastanie, z umysłem naszpikowanym wiedzą o organizacyjnych sprawach klasztoru i sercem pełnym religijnego natchnienia.

W nauce bracia wyprzedzali znacznie swych rówieśników. Myśleli, że to dlatego, iż mieszkając w klasztorze, mają lepsze możliwości zdobywania wiedzy. Wówczas nie uświadamiali sobie jeszcze, że są wyjątkowi. Nawet wtedy, kiedy zaczęli nauczać w małej klasztornej szkółce – a sami, zamiast od pedantycznego starca, mistrza nowicjatu, brali lekcje od opata – przypuszczali, że to

wyprzedzanie bierze się z ich wcześniejszego startu.

Gdy tak zastanawiał się nad swoją młodością, wydawało mu się, że właśnie wtedy przeżywał swój krótki złoty wiek, rok, a może mniej, między zakończeniem buntu a zaciekłym atakiem cielesnej żądzy. Nadszedł wówczas pełen męczarni okres myśli nieczystych, zmasz nocnych, przerażająco kłopotliwych sesji ze spowiednikiem (był nim opat), niekończących się pokut i umartwień przez samobiczowanie.

Żądza nigdy całkowicie go nie opuściła, ale w końcu stała się mniej ważna, dokuczająca mu z rzadka, gdy jego umysł i ciało pozostawały beczynne, podobna do starej rany, która odzywa się przy złej pogodzie.

Francis toczył swą walkę nieco później. Jakkolwiek nie zwierzał się na jej temat Philipowi, ten odnosił wrażenie, że jego brat walczył ze zmysłowym pożądaniem nieco mniej dzielnie, a porażki przyjmował trochę zbyt radośnie. Najważniejsze, że sprawa została ostatecznie rozstrzygnięta: obaj po bitwie z namiętnościami, tym największym wrogiem życia klasztornego, osiągnęli pokój.

Kiedy Philip współpracował z klucznikiem, Francis pracował dla przeora, zastępcy opata Petera. Po śmierci klucznika Philip miał dwadzieścia jeden lat i mimo młodego wieku przejął jego obowiązki. Kiedy zaś Francis ukończył dwadzieścia jeden lat, opat zaproponował utworzenie specjalnie dla niego nowego urzędu subprzeora. Propozycja ta jednak przyspieszyła kryzys. Francis błagał, by go zwolnić z odpowiedzialności. A skoro nadarzyła się taka okazja, poprosił także o zgodę na opuszczenie klasztoru. Pragnął bowiem przyjąć święcenia kapłańskie i służyć Bogu po drugiej stronie klasztornych murów.

Philip zdumiał się tym i przeraził. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że któryś z nich może chcieć opuścić klasztor, więc wiadomość ta wprawiała go w takie zakłopotanie, jakby się dowiedział, że jest następcą tronu. Jednakże stało się. Mimo próśb i gróźb Francis pożegnał mnichów, a niedługo potem został kapelanem hrabiego Gloucesteru.

Zanim wydarzyło się to wszystko, Philip widział swą przyszłość bardzo

zwyczajnie. Będzie wiódł pokorne i posłuszne życie mnicha, a na starość, być może wzorem ojca Petera, zostanie opatem. Teraz zastanawiał się, czy też Bóg nie przewidział dla niego innego losu. Przypomnił sobie przypowieść o talentach: Bóg nie chce jedynie zachowania bogactwa, ale jego powiększenia. Podzielił się swymi myślami z opatem Peterem, gotowy na reprimendę za uleganie grzechowi pychy.

Ku jego zaskoczeniu opat powiedział:

– Zastanawiałem się już, jak wiele czasu zajmie ci zauważenie tego. Oczywiście, że jesteś przeznaczony do czegoś innego. Urodzony w pobliżu klasztoru, stałeś się sierotą w wieku sześciu lat, wychowany przez mnichów, zostałeś klucznikiem, mając dwadzieścia jeden lat. Bóg nie zadawałby sobie tyle trudu, by ukształtować człowieka, który ma spędzić resztę życia w małym klasztorze na ponurym szczycie wzgórza w zapadłym księstwie. Nie masz tu pola do popisu. Musisz opuścić to miejsce.

Philip osłupiał. Zanim jednak opuścił opata, przyszło mu do głowy pytanie, które musiał zadać:

– Jeśli ten klasztor jest tak nieistotny, dlaczego Bóg postawił tutaj ciebie?

Mnich uśmiechnął się.

– Być może, bym się tobą zajął.

W tymże roku opat pojechał do Canterbury, by złożyć wyrazy szacunku arcybiskupowi, a kiedy wrócił, powiedział Philipowi:

– Oddałem cię przeorowi Kingsbridge.

Philip poczuł się przytłoczony. Kingsbridge to jeden z największych i najbogatszych domów zakonnych w kraju. Jego kościół był katedrą, siedzibą biskupa, a biskup pełnił funkcję opata klasztoru, aczkolwiek w praktyce klasztorzem zarządzał przeor.

– Brat James jest moim starym przyjacielem. W ciągu ostatnich paru lat zaczął upadać na duchu, choć nie wiem dlaczego. Kingsbridge potrzebuje nowej, świeżej krwi. Przeor James w szczególności ma kłopoty z małą wspólnotą w le-

sie i rozpaczliwie potrzebuje kogoś, na kim mógłby całkowicie polegać, kto by przejął ten mały klasztor i ponownie wprowadził na drogę do Boga.

– Miałbym tedy zostać przeorem? – spytał zaskoczony Philip.

Opat skinął głową.

– Jeśli mamy rację, myśląc, że Bóg ma dla ciebie wiele pracy, możemy się spodziewać, że pomoże ci rozwiązać wszystkie problemy tej wspólnoty.

– A jeśli się mylimy, ojcze?

– Zawsze możesz tutaj wrócić i być moim klucznikiem. Ale my się nie mylimy, mój synu. Zobaczysz.

Pożegnania były pełne łez. Spędził tutaj siedemnaście lat, a mnisi byli jego rodziną. Znaczyli dla niego więcej niż rodzice, tak barbarzyńsko mu odebrani. Prawdopodobnie nigdy więcej tych mnichów nie zobaczy. Ogarnął go wielki smutek.

Kingsbridge w pierwszej chwili onieśmieliło go. Otoczony murem klasztor wydawał się większy niż jedna wieś, katedralny kościół stanowił rozległą, mroczną jaskinię, a dom przeora był małym zamkiem. Kiedy jednak oswoił się z tym rozległym miejscem, zaczął dostrzegać to, o czym wspominał opat Peter – zwątpienie przeora Jamesa i osłabienie moralne mnichów. Modlitwy klepano pośpiesznie, regułę milczenia stale łamano, zbyt wiele było sług, więcej niż samych mnichów, a kościół wyraźnie potrzebował poważnych napraw. Philip szybko przestał czuć onieśmielenie, natomiast ogarnął go gniew. Najchętniej złapałby przeora za gardło i potrząsnął nim, mówiąc: „Jak śmiałeś do tego dopuścić? Jak śmiesz dawać Bogu te trajkotane modlitwy? Jak śmiesz pozwalać nowicjuszom grać w kości, a mnichom trzymać pokojowe psy? Jak śmiesz mieszkać w zamku, otoczony przez sługi, kiedy dom Boży popada w ruinę?”.

Nic z tego oczywiście nic powiedział. Odbił krótką, formalną rozmowę z ojcem Jamesem, wysokim, szczupłym, przygarbionym mężczyzną, który wydawał się trzymać na swych pochylonych plecach ciężar zmartwień całego świata. Potem rozmawiał z subprzeorem ojcem Remigiusem. Powiedział mu, że

niezbędne są pewne zmiany w klasztorze, i oczekiwał, że Remigius zgodzi się z nim z całego serca, lecz ten popatrzył na Philipa przeciągle, jakby chciał rzec: „A ty kim jesteś?” i zmienił temat.

Subprzeor oznajmił, że małą wspólnotę Świętego Jana z Lasu ustanowiono trzy lata temu. Otrzymała trochę ziemi i ruchomości, i powinna już być samowystarczalna, a w rzeczywistości wciąż zależała od dostaw z macierzystego klasztoru. Były i inne problemy: diakon, który pewnego razu tam nocował, miał zastrzeżenia do sposobu prowadzenia nabożeństw; podróżni, którym zdarzyło się tamtędy przechodzić lub przejeżdżać, twierdzili, że zostali obrabowani przez mnichów; mówiono także o nieczystości... Fakt, że subprzeor nie chciał lub nie potrafił podać szczegółów, stanowił po prostu kolejną oznakę gnuśności, która ogarnęła wszystkie dziedziny klasztornego życia w tej wspólnotcie. Philip wyjechał, w napadzie furii. Klasztor winien głosić chwałę Boga, a jeśli tego nie czyni, jest niczym. Kingsbridge lekceważył Boga wskutek gnuśności mnichów. Cóż Philip mógł na to poradzić? Mógł jedynie poświęcić się zreformowaniu filii, którą miał kierować.

Podczas podróży do klasztoru Świętego Jana z Lasu zastanawiał się nad skąpyimi informacjami, jakie udało mu się otrzymać, i pobożnie rozważał charakter swojej posługi. Doszedł do wniosku, że powinien zaprowadzać porządek w sposób łagodny. Zazwyczaj przeor był wybierany przez mnichów tworzących dane zgromadzenie, ale w takich okolicznościach, jakie nastąpiły, mógł go po prostu naznaczyć przeor klasztoru macierzystego. Philip tedy nie musiał poddać swej kandydatury pod głosowanie, a to oznaczało, że w swojej posłudze nie będzie mógł liczyć na dobrą wolę mnichów. Powinien ostrożnie obrać drogę, a przede wszystkim dowiedzieć się więcej o miejscowych problemach, zanim się zabierze do ich rozwiązywania. Najważniejsze jest jednak zdobycie zaufania i szacunku mnichów, specjalnie zaś tych, którzy byli od niego starsi i mogli się spodziewać, że spośród nich zostanie wybrany przeor. Potem, kiedy już zbierze niezbędne informacje i zaakceptują go bracia, nadejdzie czas na rozpoczęcie

właściwej pracy.

Nie wyszło w ten sposób.

Słońce już gasło, gdy drugiego dnia skierował kucyka na skraj polany i przyjrzał się swemu nowemu domowi. W owych czasach stał tam tylko jeden kamienny budynek, kaplica. (Philip zbudował nowe kamienne dormitorium w następnym roku). Pozostałe zabudowania były drewniane: wyglądały jak rudery. Philipowi od razu się to nie spodobało; wszystko, co mnisi budowali, miało przetrwać lata, zarówno chlewy, jak i katedry. Kiedy tak się rozglądał, dowody niedbalstwa, podobnie jak w Kingsbridge, mnożyły się: brak było płotów, siano wypadło ze stodoły, a gnojowisko wykopano obok stawu rybnego. Twarz mu tężała w tłumionym gniewie. Mówił do siebie: „Spokojnie, tylko spokojnie”.

Z początku nikogo nie zauważył. Nie dziwiło go to, był to bowiem czas niesporów i większość mnichów powinna modlić się w kaplicy. Dotknął trzcinką boku kuca i skierował się przez polanę do budynku wyglądającego na stajnię. Młodziak o nieobecnych spojrzeniu, ze słomą we włosach, wytknął głowę znad drzwi i wytrzeszczonymi oczami patrzył zdziwiony na Philipa.

– Jak cię zwa... mój synu?

– Wołają mnie Johnny Osiem Pensów – odrzekł młodziak.

Philip zsiadł i podał mu wodze.

– Dobrze, Johnny Osiem Pensów, możesz rozsiodłać konia.

– Tak, ojczec. – Wziął wodze, okręcił je wokół kołka i skierował się do wyjścia.

– Gdzie idziesz? – ostro spytał Philip.

– Powiedzieć braciom, że przybył obcy.

– Musisz ćwiczyć posłuszeństwo, Johnny. Rozsiodłaj mego konia. Sam powiem braciom, że przybyłem.

– Tak, ojczec – niepewnie odparł chłopak i wziął się do roboty.

Philip rozejrzał się. Pośrodku polany znajdował się długi budynek, prawdo-

podobnie mieszczący główną salę. Obok stał mały budynek, okrągły, w jego dachu była dziura, przez którą unosił się dym. Pewnie kuchnia. Postanowił zobaczyć, co będzie na kolację. W klasztorach o ścisłej regule podawano tylko jeden posiłek dziennie, obiad w południe, tu jednak nie stosowano sztywnych przepisów i podawano także lekką kolację po niesporach, zapewne chleb z serem lub soloną rybą, a może miskę krupniku z ziołami. Jednakże w miarę zbliżania się do kuchni rozpoznał nieomylnie zapach pieczeni, tak apetyczny, że aż ślina napłynęła mu do ust. Zatrzymał się, zmarszczywszy brwi, i po chwili wszedł do pomieszczenia.

Dwu mnichów i chłopiec siedziało wokół centralnie zbudowanego paleniska. Philip dostrzegł, jak jeden z braci podał dzbanek drugiemu, a ten się napił. Chłopiec trzymał rożen, na którym rumieniło się prosię.

Kiedy Philip wstąpił w krąg światła, popatrzyli na niego zaskoczeni. Nic nie mówiąc, wziął dzbanek z rąk mnicha i powąchał.

– Dlaczego pijecie wino? – zapytał.

– Bo sprawia, że jestem kontent, przybyszu – powiedział mnich. – Masz, pociągnij sobie.

Jasne, nie byli uprzedzeni, że mają się spodziewać nowego przeora. Równie jasne było, iż nie obawiali się konsekwencji, w razie gdyby przejeżdżający mnich opowiedział w Kingsbridge o ich zachowaniu. Philip poczuł przemożną chęć rozbicia dzban z winem na głowie tego człowieka, ale wzięwszy głęboki wdech, odezwał się łagodnie:

– Dzieci biedaków głodują, abyśmy byli zaopatrzeni w mięso i napoje. Czynią to na chwałę Boga, nie po to, by cieszyć nasze serca. Koniec z winem na dzisiaj. – Odwrócił się, zabierając dzban.

Kiedy wychodził, usłyszał mnicha mówiącego:

– Myślisz, że kim ty jesteś?

Nic nie odpowiedział. Dowiedzą się niedługo.

Postawił dzbanek na ziemi obok kuchni i skierował się ku kaplicy: po dro-

dze próbując opanować gniew, ścisnął i rozwierał pięści. Nakazywał sobie, by nie przyspieszać, być uprzejmym, zyskiwać na czasie.

Tuż przed drzwiami kaplicy na chwilę przystanął, nabrał powietrza i delikatnie popchnął wielkie dębowe drzwi. Wszedł cicho.

Może tuzin mnichów i kilku nowicjuszy stało plecami do niego w nierównych rzędach, a zakrystian, zwrócony do nich twarzą, czytał z otwartej księgi. Odmawiał nabożeństwo pośpiesznie, a mnisi niedbale mruczeli coś w odpowiedzi. Na ołtarzu trzy różnej długości świeczki kapały na brudny obrus.

W głębi dwu młodych mnichów dyskutowało z ożywieniem, zupełnie ignorując nabożeństwo. Kiedy rozgniewany Philip starał się opanować, jeden z nich powiedział coś zabawnego, a drugi wybuchnął śmiechem zagłuszającym bełkotliwe słowa zakrystiana. Dla Philipa była to ostatnia kropla przepełniająca czarę goryczy i wszystkie myśli o łagodnym traktowaniu uleciały mu z pamięci. Otworzył usta i wrzasnął z całej siły:

– UCISZCIE SIĘ!

Śmiech się urwał. Zakrystian przestał czytać. W kaplicy zapadła cisza, a mnisi odwrócili się i szeroko otwartymi oczyma patrzyli na przybysza.

Philip podszedł do mnicha, który się śmiał, i złapał go za ucho. Byli w podobnym wieku. Mnich, choć wyższy, okazał się zbyt zaskoczony, by stawić opór, gdy Philip ciągnął jego głowę w dół.

– Na kolana! – zawołał. Przez chwilę wyglądało na to, że mnich się wyrwie, lecz zapewne zdawał sobie sprawę, że popełnił błąd, bo, zgodnie z przewidywaniem Philipa, opór jego został zniweczony poczuciem winy. Kiedy Philip mocniej pociągnął za ucho, mnich ukląkł. – I wy, wszyscy! – rozkazał Philip. – Na kolana!

Mnisi składali kiedyś śluby posłuszeństwa, a haniebny brak dyscypliny nie był aż na tyle silny, by wymazać wieloletnie przyzwyczajenie; połowa mnichów i nowicjuszy ukląkła.

– Złamaliście wasze śluby – oświadczył Philip, pozwalając, by jego wzgar-

da wyszła na jaw. – Jesteście bluźniercami, każdy z was. – Patrzył wokoło, nie unikając ich spojrzeń. – Wasza skrucha i żal za grzechy rozpoczyna się natychmiast – zakończył.

Powoli jeden za drugim klękali, z wyjątkiem zakrystiana, mężczyzny o zaspanych oczach, wysokiego. Mógł być ze dwadzieścia lat starszy od Philipa. Ten zbliżył się do niego, omijając klęczących braci.

– Daj mi księgę.

Zakrystian popatrzył wyzywająco i nic nie powiedział.

Philip sięgnął i delikatnie ujął wielkie tomisko. Zakrystian wzmocnił swój chwyt. Philip zawahał się. Dwa dni stracił na przekonanie siebie, że powinien postępować ostrożnie i spokojnie, a teraz, kiedy tu przybył, jeszcze okryty pyłem drogi, ryzykował wszystko w starciu z człowiekiem, o którym nic nie wiedział.

– Daj mi księgę i klękaj – powtórzył.

Cień szyderstwa przemknął przez twarz zakrystiana.

– Kim jesteś? – zapytał.

Philip znowu się zawahał. Oczywiście było, że jest mnichem – po habicie i ostrzyżonej głowie łatwo to poznać. Po zachowaniu wszyscy musieli się domyślić, że jest zwierzchnikiem; nie wiedzieli tylko, czy stoi wyżej od zakrystiana. Wystarczyłoby, gdyby rzekł: „Jestem nowym przeorem”, ale tego nie chciał. Nagle wydało mu się niezwykle ważne, by zwyciężył siłą autorytetu moralnego.

Zakrystian wyczuł jego niepewność i wykorzystał swą przewagę.

– Powiedz, proszę – rzekł z udawaną uprzejmością – kim jest ten, który każe nam klęczeć w swej obecności?

Wszystkie wahania nagle opuściły Philipa, pomyślał: Bóg jest ze mną, więc czego mam się bać? Wziął głęboki wdech, a słowa jego zagrzmiały, rozlegając się echem po kamiennym wnętrzu.

– To Bóg wam każe klęczeć w jego obecności! – ryknął.

Zakrystian jakby nieco stracił na pewności siebie. Philip wykorzystał okazję i pochwycił księgę. W tej chwili zakrystiana opuściła pycha i wreszcie, niechętnie, ukląkł.

Ukrywając ulgę, Philip popatrzył po wszystkich i powiedział:

– Jestem waszym nowym przeorem.

Kłęczeli przez cały czas, kiedy odprawiał nabożeństwo. Trwało to bardzo długo, ponieważ kazał im powtarzać odpowiedzi dopóty, dopóki nie mówili zgodnym chórem. Potem w ciszy wyprowadził ich z kaplicy przez polanę do refektarza. Nakazał zanieść prosię do kuchni, a przynieść chleb i słabe piwo i wskazał mnicha, który miał głośno czytać, kiedy jedli. Skoro tylko skończyli, powiódł ich bez słowa do dormitorium.

Polecił przenieść łoże przeora do dormitorium; będzie spał w tym samym pomieszczeniu, co mnisi. To był najprostszy i najskuteczniejszy sposób zapobiegania grzechom nieczystości.

Przez całą pierwszą noc nie spał w ogóle, lecz siedział przy świecy, cicho się modląc, aż nadeszła pora budzenia mnichów na jutrznię. Starał się nie przedłużać modlitwy, by im uświadomić, że nie jest tak zupełnie bezlitosny. Wrócili do łóżek, ale Philip nie mógł zasnąć.

Wyszedł o świcie, zanim się obudzili. Rozglądając się dookoła, myślał o nadchodzącym dniu. Jego uwagę przyciągnął masywny pień, który musiał być kiedyś potężnym dębem. To mu nasunęło pomysł.

Po prymarii i śniadaniu polecił wziąć liny i siekiery i wyruszyli na pole. Spędzili tam cały ranek na karczowaniu ogromnego kłoca. Jedni pracowali siekierami, inni ciągnęli liny, wszyscy pomagali sobie krzycząc: „Heej – rup! Heej – rup!”. Kiedy pień w końcu wydobyli z ziemi, Philip dał wszystkim chleba, piwa i po kawałku wieprzowiny, którą zabronił jeść na kolację.

Nie był to koniec problemów, ale początek rozwiązań. Poinformował, że nie będą jeść innego mięsa niż to, które wyhodują lub upolują. Zmusiło to mnichów do skrupulatnego i oszczędnego gospodarowania trzodą i zastawiania si-

deł na ptaki. Dawniej udział w nabożeństwie był ucieczką od pracy fizycznej, teraz cieszyli się, że Philip skrócił nabożeństwa, by mieli więcej czasu na pracę w polu.

Po dwu latach stali się samowystarczalni, a przez kolejne dwa ślali do opactwa Kingsbridge mięso, dziczyznę i ser z koziego mleka, który stał się przysmakiem. Klasztor prosperował, nabożeństwa odprawiano bez zarzutu, braciszkanie byli zdrowi i szczęśliwi.

Philip mógłby być zadowolony, gdyby nie to, że macierzysty dom, Kingsbridge, coraz bardziej podupadał moralnie.

Powinien stanowić jeden z wiodących ośrodków religijnych królestwa, prowadzić ożywioną działalność, przyjmować gości w swej wspaniałej bibliotece, a przeor winien być doradcą baronów. Trzeba, żeby relikwie ściągały pielgrzymów z całego kraju, trzeba, żeby wieść o klasztornej gościnności niosła się wśród szlachty, a wśród biednych znane było klasztorne miłosierdzie. Klasztor jednak popadał w ruinę, połowa budynków ziała pustką, a przeor zadłużył się u lichwiarzy. Philip bywał w Kingsbridge co najmniej raz na rok i zawsze podczas powrotu kipiał gniewem na wspomnienie tego, jak majątek zdobyty dzięki hojności pobożnych wiernych i pomnażany przez pełnych poświęcenia mnichów, był beztrąsko trwoniony, na podobieństwo postępowania marnotrawnego syna.

Część problemów wynikała z lokalizacji opactwa. Kingsbridge było małą wioską położoną przy bocznej drodze prowadzącej donikąd. Od czasu pierwszego króla Wilhelma, zwanego przez jednych Zdobywcą, przez innych Bastardem – zależnie od tego, kto się wypowiadał – prawie wszystkie katedry lokalizowano w większych miastach. Kingsbridge uniknęło takiego wstrząsu. To jednak, według Philipa, nie musiało doprowadzić do upadku – przedsiębiorczy klasztor z kościołem katedralnym mógł stanowić miasto sam w sobie.

Prawdziwym zmartwieniem był letarg starego przeora Jamesa.

Statek prowadzony przez słabego sternika jest zdany na przypadek. Dryfu-

je, póki się nie rozbije. Albo dopóki ktoś rozważny nie ujmie steru.

Bez względu na gorzkie ubolewanie Philipa, dopóki żył przeor James, klasztor Kingsbridge był skazany na stopniowy upadek.

Owinęli dziecko w czyste płótno i położyli w wielkim koszu do chleba, jak w kołysce. Maleństwo z brzuszkiem pełnym koziego mleka zasnęło. Do opieki nad nim przeor wyznaczył Johnny'ego Osiem Pensów, bo mimo że umysł miał ograniczony, potrafił sobie radzić z różnymi stworzeniami, szczególnie tymi małymi i kruchymi.

Philip niecierpliwie czekał na rozmowę z Francisem i wyjaśnienie przyczyn niespodziewanej wizyty. W czasie obiadu czynił aluzje, ale brat nie reagował i Philip musiał stłumić ciekawość.

Po obiedzie następowała godzina studiów. Ponieważ nie mieli odpowiednich pomieszczeń, jedni siadywali na ganku przed wejściem do kaplicy i tam czytali, inni przechadzali się po polanie, studiując teksty. Dozwolone było wchodzenie co jakiś czas do kuchni, by się ogrzać. Philip i Francis spacerowali na skraju polany, idąc obok siebie, tak samo, jak czynili to na krużganku klasztoru w Walii. Francis zaczął mówić.

– Król Henryk traktował Kościół zawsze tak, jakby stanowił część jego królestwa. Wydawał biskupom rozkazy, nakładał podatki i przeciwstawiał się temu, co stanowiło bezpośrednie konsekwencje władzy papieża.

– Wiem. I co z tego?

– Król Henryk zmarł.

Philip stanął jak wryty.

Francis ciągnął:

– Umarł w domku myśliwskim w Normandii, w Lyons-la-Forêt, po posiłku z krewetek, które bardzo lubił, aczkolwiek zawsze po nich chorował.

– Kiedy?

– Dziś jest pierwszy dzień nowego roku, a więc dokładnie miesiąc temu.

Philipem wstrząsnęła ta wiadomość. Śmierć króla zazwyczaj oznacza kłopoty, a bywa, że wojnę.

– Co się teraz stanie? – spytał z niepokojem.

Zatrzymali się. Francis rzekł:

– Problem polega na tym, że następca tronu wiele lat temu zginął na morzu. Ty możesz to pamiętać.

– Tak.

Philip miał wtedy dwanaście lat. Było to pierwsze wydarzenie o znaczeniu państwowym, które dotarło do jego chłopięcej wyobraźni i sprawiło, że zaczął myśleć o świecie istniejącym za murami klasztoru. Następca tronu zginął w katastrofie morskiej statku zwanego *Białym Korabiem*, tuż po wypłynięciu z Cherbourga. Opat Peter, który opowiadał o tym młodemu Philipowi, martwił się, że wojna i anarchia nastąpią po śmierci następcy. Jednakże król Henryk utrzymał władzę.

– Król oczywiście miał wiele dzieci – mówił dalej Francis. – W sumie dwadzieścioro, licząc mego pana, hrabiego Roberta z Gloucesteru, ale, jak wiesz, wszystkie są bastardami. Pomimo swej zdolności do płodzenia potomstwa, zdołał zostać ojcem tylko jednego syna z prawego łoża. Jest jeszcze córka, ale pozostawienie tronu kobiecie nie wróży nic dobrego, a potomkowie z nieprawego łoża nie mają prawa do dziedziczości tronu.

– Czy król Henryk wyznaczył następcę? – zapytał Philip.

– Tak. Wybrał Matyldę, swoją córkę. Ona ma syna, także Henryka. Było najserdeczniejszym życzeniem starego króla, by jego wnuk zasiadł na tronie, lecz chłopak ma dopiero trzy lata. Nakazał więc baronom złożyć przysięgę Matyldzie.

Philip nic nie rozumiał.

– Skoro król wyznaczył Matyldę, a baronowie przysięgali jej wierność... no to o co chodzi?

– Życie dworskie nie jest takie proste – powiedział Francis.

– Matylda poślubiła Geoffreya z Anjou. Anjou i Normandia rywalizowały ze sobą od całych pokoleń. Normañscy suzerenowie nienawidzą Andegawenów. Szczerze mówiąc, stary król zbyt optymistycznie liczył na to, że podadzą oni rękę Andegawenom. Złożyć przysięgę nie jest jednoznaczne z jej dotrzymaniem.

Philip czuł się nieco oszołomiony. Zaskoczyło go to, że jego młodszy brat zna tajniki życia dworu i nie ma szacunku dla najważniejszych ludzi w państwie.

– Skąd ty to wszystko wiesz?

– Baronowie zebrali się w Le Neoburg, żeby zdecydować o dalszym postępowaniu. Mój pan był wśród nich, a ja pojechałem z nim jako pisarz.

Philip spojrział na brata kpiąco, myśląc, jak bardzo różne pędzą życie. Po tem przypomniał sobie coś.

– Hrabia Robert jest najstarszym synem króla, nieprawdaż?

– Tak. I chociaż to człowiek bardzo ambitny, akceptuje ogólny pogląd, że bastardi powinni zdobywać swoje królestwa, a nie dziedziczyć.

– Kto jeszcze był na tym zjeździe?

– Król Henryk miał trzech siostrzeńców. Najstarszym jest Teobald z Blois, potem Stefan, najbardziej kochany przez zmarłego króla i obdarzony rozległymi posiadłościami w Anglii, a wreszcie najmłodszy z rodziny, Henryk, którego znasz jako biskupa Winchesteru. Baronowie wybrali Teobalda, najstarszego, zgodnie z tradycją, którą prawdopodobnie uznasz za całkiem rozsądną.

Francis patrzył na Philipa z uśmiechem.

– Zupełnie rozsądną. – Philip też się uśmiechnął. – Więc to Teobald jest naszym nowym królem?

Francis potrząsnął głową.

– On tak myślał, ale my, młodszy synowie, mamy sposoby, żeby pchać się do przodu. – Dotarli do krańca polany i zawrócili. – Kiedy Teobald wdzięcznie

przyjmował hołdy baronów, Stefan przepłynął kanał i pognał do Winchesteru, gdzie z pomocą ukochanego braciszka, biskupa Henryka, zajął tamtejszy zamek królewski i, co ważniejsze, królewski skarbiec.

Philip miał na końcu języka konstatację: „Czyli Stefan jest naszym nowym władcą?”. Powstrzymał się jednak. Powiedział już tak o Matyldzie i o Teobaldzie i za każdym razem się mylił.

– Stefan – ciągnął Francis – potrzebował tylko jednej rzeczy, by zapewnić sobie zwycięstwo: uzyskać poparcie Kościoła. Dopóki bowiem nie zostanie uhonorowany przez arcybiskupa, dopóty nie będzie faktycznie królem.

– Nic prostszego – rzekł Philip. – Jego brat jest jednym z najważniejszych dostojników. Biskup Winchesteru, opat Glastonbury, bogaty jak Salomon i niemal równie potężny jak arcybiskup Canterbury. Jeśli jednak biskup Henryk nie życzy sobie pomagać Stefanowi, to dlaczego ułatwił mu zajęcie Winchesteru?

Francis pokiwał głową.

– Muszę przyznać, że posunięcia biskupa w trakcie kryzysu były olśniewające. Rozumiesz, jego pomoc nie wynikała z miłości braterskiej.

– Cóż więc było motywacją?

– Zaczynając rozmowę, przypomniałem ci, jak król Henryk traktował Kościół. Biskup Winchesteru pragnie się upewnić, że nasz nowy król, ktokolwiek nim zostanie, będzie miał życzliwy stosunek do Kościoła. Zanim więc zagwarantuje poparcie, zmusi Stefana do złożenia uroczystej przysięgi, że zachowa wszystkie przywileje i prawa Kościoła.

Philip był pod wrażeniem. Stosunki Stefana z Kościołem zostałyby ustanowione zaraz na początku jego panowania, i to na warunkach Kościoła. Najważniejsze było stworzenie precedensu. Kościół musiał koronować królów, chociaż nie miał prawa do stawiania warunków. Mógł nadejść taki czas, że przejęcie władzy będzie zależało od dobicia targu z Kościołem.

– To dla nas znaczy bardzo wiele – stwierdził.

– Stefan może złamać swe obietnice, to oczywiste – rzekł Francis. – Ale

masz rację. Nie zdoła nigdy być tak bezwzględny wobec Kościoła jak król Henryk. Jest jednak inne niebezpieczeństwo. Dwu baronów poczuło się bardzo dotkniętych postępkami Stefana. Jednym z nich jest Bartholomew, hrabia Shiring.

– Znam go. Shiring jest tylko o dzień drogi stąd. Mówi się, że Bartholomew to pobożny człowiek.

– Może i tak. Wiem jednak, że jest obłudny i nieustępliwy i nie odwoła swej przysięgi lennej wobec Matyldy pomimo obietnicy wybaczenia.

– A ten drugi niezadowolony baron?

– Mój pan, Robert z Gloucesteru. Mówiłem ci, że jest ambitny. Duszę jego torturuje myśl, że jeśli byłby prawowitym synem, zostałby królem. Chce osadzić swą przyrodną siostrę na tronie, wierząc, że ona mocno oprze się na nim, działać będzie pod jego przewodnictwem i za jego radami i w ten sposób, choć bez tytułu, on będzie sprawować władzę.

– Sądziś, że zdecyduje się na działanie?

– Obawiam się, że tak. – Francis zniżył głos, mimo że nikogo w pobliżu nie było. – Robert i Bartholomew, wraz z Matyldą i jej mężem, chcą wzniecić bunt, by zapewnić tron Matyldzie.

– Ależ to zniweczy wszystko, co osiągnął biskup Henryk! – Philip aż się zatrzymał, chwycił brata za ramię. – Francis.

– Wiem, o czym myślisz. – Nagle cała buńczuczność opuściła Francisa, wyglądał na zaniepokojonego i przestraszonego. – Jeśli hrabia Robert dowiedziałby się, że ci powiedziałem choć słowo o tym, powiesiłby mnie. Ufa mi całkowicie. Lecz w pierwszym rzędzie pragnę zachować lojalność wobec Kościoła, tak musi być.

– Co w tej sytuacji możesz zrobić?

– Zamierzałem starać się o audiencję u nowego króla i powiedzieć mu wszystko. Obaj zbuntowani hrabiowie by się wyparli, mnie powieszono by za zdradę, ale nie doszłoby do buntu, a ja poszedłbym do nieba.

Philip potrząsnął głową.

– Uczono nas, że poszukiwanie męczeństwa to próżność.

– Myślę jednak, że Bóg przeznaczył mi znacznie więcej pracy na ziemi. Cieszę się zaufaniem w otoczeniu Roberta. Jeśli więc tam pozostanę i będę ciężko pracował, to wysunę się na czoło, a tym samym będę miał więcej możliwości do popierania racji Kościoła i zapewniania rządów prawa.

– Czy jest jakiś inny sposób?

Francis popatrzył na Philipa. Spojrzał mu prosto w oczy.

– Dlaczego tutaj jestem?

Philip zdrzął. Francis chce go prosić, by się przyłączył do jego planu. Nie było wszak innego powodu, dla którego zdradzałby ten przerażający sekret.

– Ja nie mogę zdradzić buntu, ale ty możesz – wyjaśnił Francis.

– Jezu Chryste i wszyscy święci, ratujcie mnie!

– Jeśli tutaj, na południu, spisek zostanie odkryty, to żadne podejrzenie nie padnie na Gloucester. Nikt nie wie, że tutaj jestem, nikt nie wie nawet, że jesteś moim bratem. Ty możesz wymyślić jakieś prawdopodobne wytłumaczenie, skąd dowiedziałeś się o wszystkim. Mogłeś widzieć zbierających się zbrojnych mężów albo mogło tak się zdarzyć, że ktoś z dworu hrabiego wyznał tajemnicę spisku księdzu, którego znasz.

Philip ciaśniej owinał się peleryną, drżał. Wydało mu się, że nagle się bardzo ochłodziło. To było niebezpieczne, bardzo niebezpieczne. Rozmawiali o mieszaniu się do królewskiej polityki, a ta regularnie zabijała nawet doświadczonych praktyków. Ludzie tacy jak Philip musieliby chyba zwariować, by się w to mieszać.

A przecież nie mógł stać z boku i przyglądać się, jak wybucha bunt przeciwko królowi wybranemu przez Kościół, nie wtedy, gdy miał okazję temu zapobiec. Dla Philipa było to niebezpieczne, dla Francisa byłoby samobójcze.

– Jaki jest plan buntu? – spytał.

– Hrabia Bartholomew właśnie wraca do Shiring. Stąd ma wysłać wieści do swych stronników w południowej Anglii. Hrabia Robert przybędzie do Glouce-

steru za dzień lub dwa i zacznie musztrować swe wojska w Kraju Zachodnim. Na koniec Brian Fitzcount, trzymający zamek walingfordzki, zamknie bramy, a cała południowo-zachodnia Anglia będzie należeć do buntowników, i to bez walki.

– Wydaje się, że już za późno!

– Niezupełnie. Mamy jakiś tydzień. Ale musisz działać szybko.

Philip z zamierającym sercem zauważył, że tak czy owak podjął już decyzję. Trzeba coś zrobić.

– Nie wiem, komu powiedzieć. Z takimi sprawami zwyczaj każe zwracać się do hrabiego, ale akurat on jest oskarżony. Szeryf jest pewnie po jego stronie. Musimy znaleźć kogoś, kto z całą pewnością będzie po naszej.

– Przeor Kingsbridge?

– Mój przeor jest stary i zmęczony. Najprawdopodobniej nic nie zrobi.

– Musi być ktoś!

– Może biskup. – Tak naprawdę to Philip nigdy nie rozmawiał z biskupem Kingsbridge, ale był pewien, że go przyjmie i wysłucha; powinien wziąć stronę Stefana, bo ten został wybrany przez Kościół; był wreszcie dość potężny, by coś z tą sprawą zrobić.

– Gdzie mieszka biskup? – spytał Francis.

– Półtora dnia drogi stąd.

– No to będzie najlepiej, jeśli wybierzesz się w podróż jeszcze dzisiaj.

– Tak.

Francis wyglądał na skruszonego.

– Wolałbym, by był to ktoś inny – westchnął.

– Ja też – wyznał szczerze Philip. – Ja też.

Zwołał mnichów do kapliczki i oznajmił im, że król umarł.

– Musimy się modlić o pokojowy wybór następcy tronu i o nowego króla kochającego Kościół bardziej niż ostatni król Henryk – tłumaczył. Nie zdradził im jednak, że klucz do pokojowej sukcesji dziwnym trafem znalazł się w jego

rękach. Powiedział natomiast: – Są jeszcze inne wieści, które zmuszają mnie do odwiedzenia naszych przełożonych w Kingsbridge. Muszę wyjechać natychmiast.

Polecił swemu zastępcy odprawiać nabożeństwa, a nad gospodarstwem nakazał czuwać klucznikowi. Wiedział jednak, że żaden nie jest w stanie poradzić sobie z Peterem, i dlatego obawiał się, że jeśli jego podróż się przedłuży, to Peter może narobić takich kłopotów, że nie zostanie nawet ślad po klasztorze. Nie zdołał jednak wymyślić nic, co pozwoliłoby kontrolować Petera bez naruszenia jego miłości własnej. Ponieważ nie miał już czasu, więc zdecydował się zrobić to, co wydało mu się najlepsze.

– Rankiem rozmawialiśmy o obżarstwie – przypomniawszy. – Brat Peter zasłużył na wdzięczność, iż zwrócił naszą uwagę na to, że skoro Bóg błogosławi naszemu gospodarstwu i daje nam dostatek, to nie powinniśmy ani obrastać w tłuszcz, ani wygodnie żyć, ale głosić jego chwałę. Częścią naszych świętych obowiązków jest dzielenie się bogactwem z biednymi. Aż do tej pory nie spełnialiśmy tej powinności, głównie dlatego, że tutaj, w lesie, nie ma nikogo, z kim możemy się podzielić. Brat Peter przypomniawszy nam, że trzeba szukać potrzebujących, aby ich wspomóc.

Mnisi byli zaskoczeni, gdyż wydawało im się, że temat obżarstwa został zamknięty. Sam Peter wyglądał niepewnie. Pochlebiało jego próżności to, że znowu jest w centrum uwagi, ale zastanawiał się, co też przeor wyciągnie z rękawa – zupełnie zresztą słusznie.

– Postanowiłem – ciągnął Philip – że co tydzień każdy mnich z naszej wspólnoty ofiaruje pensa na biednych. Jeśli z tego powodu będziemy mniej jędrli, poradzimy sobie z tym, bo mamy nadzieję, że w przyszłości Bóg nam to wynagrodzi. Ważniejsze jest jednak, byśmy byli pewni, że nasze pensy są wydawane prawidłowo. Kiedy daje się pensa biednemu, by kupić chleb dla swej rodziny, on może wydać go na piwo, upić się, a potem wrócić do domu i zbić żonę, która w takich okolicznościach wolałaby nie zaznać żadnego miłosier-

dzia. Lepiej dać mu chleb, a jeszcze lepiej będzie, jak chleb otrzymają jego dzieci. Dawanie jałmużny jest świętą pracą, która musi być wykonywana z takim oddaniem i tak przykładowo, jak leczenie chorego czy nauczanie młodzianka. Z tych to powodów wiele domów klasztornych wyznacza jałmużnika, mnicha odpowiedzialnego za rozdzielanie jałmużny. I my tak uczynimy.

Philip rozejrzał się dokoła. Wszyscy byli czujni i zaciekawieni. Peter wyglądał na zadowolonego, najwidoczniej uważając, że ta decyzja jest jego zwycięstwem. Nikt nie wiedział, czego się ma spodziewać.

– Sprawowanie czynności jałmużnika to ciężka służba. Musi on chodzić od wsi do wsi, odwiedzać okoliczne miasta, być może trzeba będzie pójść aż do Winchesteru, by przebywać wśród najędźniejszych, najbrudniejszych, najwstrętniejszych i najbardziej upośledzonych ludzi, bo tacy właśnie potrzebują najwięcej. Musi się za nich modlić, gdy oni będą bluźnić, odwiedzać ich, gdy będą chorzy, i wybaczać im, kiedy będą chcieli oszukać go lub obrabować. Będzie potrzebować siły, pokory i nieskończonej cierpliwości. I zacznie tęsknić za wygodami klasztoru, gdyż częściej niż tutaj będzie daleko stąd.

Jeszcze raz się rozejrzał. Teraz wszyscy patrzyli z obawą, bo zapewne nikt nie chciał tej pracy. Pozwolił swemu spojrzeniu zatrzymać się na Peterze z Wareham. Ten zorientował się, co go czeka, i twarz mu się wydłużyła.

– To Peter zwrócił naszą uwagę na zaniedbania w tej dziedzinie – Philip wolno dobierał słowa. – Zdecydowałem tedy, że on właśnie zostanie naszym jałmużnikiem. – Uśmiechnął się. – Peterze, możesz zaczynać od dzisiaj.

Twarz brata Petera pociemniała z wściekłości.

Będziesz daleko przez długi czas, nie sprawisz kłopotów, myślał Philip. Bliski zaś kontakt z podłymi, plugawymi i śmierdzącymi biedakami w Winchesterze utemperuje twą pogardę dla lżejszego życia.

Jednakże Peter z Wareham odbierał swą nominację jako zwyczajną karę i patrzył na przeora z wyrazem takiej nienawiści, że Philipa obleciał strach.

Oderwał wzrok od niego i spojrzał na innych.

– Po śmierci króla zawsze jest niebezpiecznie i niepewnie – kończył swą przemowę. – Módlcie się za mnie, kiedy mnie nie będzie.

II

W południe drugiego dnia podróży przeor Philip miał do przebycia jeszcze tylko kilka mil, dzielących go od biskupiego zamku. Czuł dotkliwe ściskanie w trzewiach, w miarę jak zbliżał się do celu. Przemyslał historyjkę o tym, w jaki sposób dowiedział się o planowanym buncie. Biskup jednak mógł w bajeczkę nie uwierzyć albo też uwierzywszy, mógł żądać dowodu. Co gorsza, możliwe też było – myśl ta przyszła Philipowi do głowy dopiero po rozstaniu z Francisem – że biskup mógł należeć do grona spiskowców lub popierać rebelię. Choć wydawało się to nieprawdopodobne, ale mógł się okazać zwolennikiem hrabiego Shiring, a zdarzało się przecież, że biskupi przedkładali własny interes nad dobro Kościoła.

Zastanawiając się nad tym, Philip pomyślał, że biskup może także poddać go torturom, by poznać źródło informacji. Nie miał oczywiście do tego prawa, ale nie miał go również do spiskowania przeciw królowi. Przypomniał sobie narzędzia tortur opisane w obrazach piekła. Były one inspirowane zawartością lochów baronów i dostojników kościelnych. Philip nie czuł w sobie dość siły, by znieść śmierć męczeńską.

Tak rozmyślając, dostrzegł nagle na tracie grupę idących podróżnych. Natychmiast postanowił, że musi uniknąć spotkania z nimi. Był w pojedynkę, a kilku rozbójników mogło się nie zawahać przed napadem na mnicha. Wtem spostrzegł, że jest wśród nich kobieta i dwoje dzieci. Grupa rodzinna nie stanowiła zagrożenia. Pogalopował, by ich dogonić.

W miarę zbliżania się widział ich coraz lepiej. Był tam wysoki mężczyzna, niska kobieta, młodzik dorównujący wzrostem mężczyźnie, no i dwoje dzieci.

Znać było po nich biedę: nieśli małe zawiniątka z cennymi dla nich rzeczami, a odziani byli w łachmany. Mężczyzna był kościsty i żyłasty, ale wychudzony, jakby nękała go wyniszczająca choroba lub po prostu głodował. Ostrożnie popatrzył na mnicha, skinięciem ręki i wymruczanym poleceniem przywołał do siebie dzieci. Philip w pierwszej chwili ocenił go na pięćdziesiątkę, teraz jednak dostrzegł, że może mieć ze trzydzieści pięć lat, choć twarz miał pooraną zmarszczkami.

– Hej! Ale mnich! – zawołała kobieta.

Philip spojrział na nią ostro. Nie było w zwyczaju, by kobieta mówiła, zanim jej mąż się odezwał. Jeśli nawet słowo „mnich” nie było określeniem niegrzecznym, to jednak więcej szacunku wyrażały zwroty „brat” lub „ojciec”. Kobieta była młodsza od męża o jakieś dziesięć lat i miała głęboko osadzone oczy o niezwykłym bladzielonym zabarwieniu, przyciągającym uwagę. Czuł, że ona może być niebezpieczna.

– Dzień dobry, ojcie – powiedział mąż, jakby przepraszając za nieuprzejmość swej żony.

– Niech cię Bóg błogosławi. Kim jesteś?

– Tom, mistrz budowniczy poszukujący pracy.

– Nie znalazłeś żadnej, jak się domyślam.

– To prawda.

Philip pokiwał głową. To zwyczajna historia. Rzemieślnicy budowlani zazwyczaj wędrowali, szukając pracy, i bywało, że jej nie znajdowali, czy to przez pecha, czy dlatego, że nie tak wielu ludzi stawiało budynki. Często korzystali z gościnności mnichów. Jeśli właśnie skończyli jakąś pracę, zostawiali klasztorowi dar, kiedy go opuszczali, aczkolwiek gdy przez pewien czas byli w drodze, mogli nie mieć nic do ofiarowania. Przyjmowanie i jednych, i drugich z jednakowym ciepłem czasami stanowiło próbę klasztornej miłosierdzia.

Ten budowniczy zupełnie nie miał pieniędzy, choć jego żona wyglądała do-

syć dobrze.

– No cóż, w moich jukach znajduje się jeszcze trochę jedzenia, a nadeszła już pora obiadu. Miłosierdzie jest w dalszym ciągu świętym obowiązkiem. Jeśli ty i twoja rodzina zjecie ze mną, to czeka mnie nagroda w niebie i towarzystwo przy jedzeniu.

– To uprzejmie z twojej strony, ojczy – rzekł Tom. Spojrzał na kobietę. Nieznacznie wzruszyła ramionami, po czym lekko skinęła głową. Niemal nie przerywając, dokończył: – Przyjmujemy twoje miłosierdzie i dziękujemy.

– Dziękuj Bogu, nie mnie.

Wtedy kobieta dodała:

– Dziękuj chłopom, których dziesięciny złożyły się na tę żywność.

Ma ostry język, pomyślał Philip, ale nic nie powiedział.

Zatrzymał się przy polance, gdzie jego klacz mogła skubać słabą zimową trawę. W duchu był rad, że w ten sposób opóźni przybycie na biskupi zamek i opóźni budzący lęk dyskurs ze zwierzchnikiem. Budowniczy mówił, że także kieruje się do siedziby biskupiej z nadzieją na to, że może będzie potrzebny do drobnych napraw albo nawet jakiejś rozbudowy. Podczas rozmowy przeor ukradkiem obserwował rodzinę. Kobieta wyglądała na zbyt młodą, aby być matką starszego chłopca, który przypominał mu cielaka – był silny, niezgrabny i patrzył głupawo. Drugi chłopiec był mały i miał osobliwe marchewkowe włosy, śnieżnobiałą cerę i błyszczące jasnoblękitne oczy. Sposób, w jaki patrzył z przejściem na otoczenie, przy nieobecnych wyrazie twarzy, przypominał mu nieszczęsnego Johnny’ego Osiem Pensów, z wyjątkiem tego, że – odmiennie niż Johnny – chłopiec ten potrafił spojrzeć bardzo dojrzałe i mądrze. Zapewne jest przyczyną niepokoju swej matki. Trzecie dziecko to sześciolatka dziewczynka. Popłakiwała od czasu do czasu, a ojciec rzucał jej spojrzenia pełne współczucia. Chwilami poklepywał ją uspokajająco, chociaż się do niej nie odzywał. Najwidoczniej był z niej dumny. Dotykał także czasami swej żony i Philip dostrzegł błysk żądy, kiedy ich oczy się spotykały.

Kobieta wysłała dzieci, by znalazły duże liście, które mogłyby posłużyć jako talerze. Philip otworzył juki.

– Gdzie mieści się twój klasztor, ojcze?

– W lesie, dzień drogi stąd na zachód. – Kobieta ostro spojrzała w górę, a budowniczy podniósł brwi. – Znasz ten klasztor?

Z jakiegoś powodu Tom wydawał się skrępowany.

– Musieliśmy go minąć, gdy szliśmy z Salisbury – stwierdził.

– O tak, na pewno go minęliście, ale to spory kawałek drogi od głównego traktu, więc pewnie go nie mogliście dostrzec.

– Ach, rozumiem – rzekł Tom, ale wyglądało na to, że jego umysł błądzi gdzie indziej.

Philipowi zaświtała pewna myśl.

– Powiedz mi, czy po drodze nie natknąłeś się przypadkiem na kobietę? Prawdopodobnie bardzo młodą, samą. Aha, i z dzieckiem.

– Nie – odrzekł Tom. Jego głos był ostrożny, ale przeor miał wrażenie, że jest tym ogromnie zainteresowany. – Dlaczego pytasz?

– Powiem ci. Wcześniej rano w lesie znaleziono maleństwo i przyniesiono do mego klasztoru. To chłopiec, nie przypuszczam, by miał więcej niż dzień życia. Musiał się urodzić tamtej nocy. Tak więc matka przebywała w tej okolicy w tym samym czasie, co ty.

– Nie widzieliśmy nikogo – powtórzył Tom. – A co zrobiliście z dzieckiem?

– Nakarmiliśmy kozim mlekiem. Wygląda na to, że mu służy.

Oboje patrzyli na niego z uwagą. To historia, która każdemu trafia do serca – pomyślał przeor.

Po chwili Tom spytał:

– A wy, ojcze, szukacie matki?

– O nie, pytam tak przy okazji. Gdybym ją spotkał, to oczywiście oddałbym jej dziecko, ale jest jasne, że ona go nie chce i zrobiła wszystko, by mieć pew-

ność, że nikt małości nie znajdzie.

– No to co się z nim stanie?

– Zatrzymamy je w klasztorze. Będzie dzieckiem Boga. Ja i mój brat zostaliśmy wychowani w ten sposób. Rodziców odebrano nam, kiedy byliśmy bardzo młodzi. Właśnie opat stał się naszym ojcem, a mnisi rodziną. Byliśmy syci, mieliśmy dach nad głową i pobieraliśmy nauki.

– I obaj zostaliście mnichami. – Kobieta wyrzekła te słowa z lekką domieszką ironii, jakby to, co im opowiedział, dowodziło, że miłosierdzie klasztorne w końcu okazuje się egoistyczne.

Philip rad był, że może się jej sprzeciwić.

– Nie. Mój brat opuścił zakon.

Dzieci wróciły. Nie znalazły wielkich liści – nie było to łatwe w zimie – jedli więc bez talerzy. Rozrywali jedzenie jak dzikie zwierzęta.

– Robimy ten ser w naszym klasztorze – wyjaśnił przeor. – Większość ludzi chętnie zjada go, kiedy jest świeży, jak ten, ale jest jeszcze lepszy, gdy dojrzeje.

Zbyt byli głodni, by zwrócić uwagę na jego słowa. Pochłonęli chleb i ser niemal natychmiast. Philip miał trzy gruszki. Wyłowił je z juków i podał Tomowi. Ten dał dzieciom po jednej.

Philip podniósł się.

– Będę się modlił, byś znalazł pracę.

– Jeśli sobie o tym przypomnisz, ojcze, to wspomnij o mnie biskupowi.

Wiesz, że jesteśmy w potrzebie i że uczciwi z nas ludzie.

– Wspomnę.

Tom przytrzymał konia, kiedy Philip wsiadał.

– Jesteś dobrym człowiekiem, ojcze – rzekł mężczyzna, a przeor, ku swemu zdumieniu, dostrzegł w jego oczach łzy.

– Niech Bóg będzie z tobą.

Tom przytrzymał łeb konia jeszcze chwilę.

– To dziecko, o którym nam opowiadałeś, ta znajda – mówił miękko i ci-

cho, jakby nie chciał, żeby usłyszały go dzieci – czy wy... czy już je ochrzcziliście?

– Tak. Daliśmy mu imię Jonathan, co oznacza dar od Boga.

– Jonathan. Podoba mi się. – Tom puścił konia.

Philip patrzył na niego przez chwilę z ciekawością, po czym spiął konia i ruszył kłusem.

Biskup nie mieszkał w Kingsbridge. Jego siedziba przylegała do południowej ściany wzgórza. Budynek postawiono w urodzajnej dolinie, o dzień drogi od zimnej, kamiennej katedry i ponurych zakonników. Był z tego zadowolony, bo przesadne uczęszczanie do kościoła mogłoby przeszkodzić w jego innych obowiązkach, takich jak zbieranie podatków, wymierzanie sprawiedliwości czy intrygowanie na dworze królewskim. Odpowiadało to także mnichom, bo im dalej od nich był biskup, tym mniej się mieszał do ich spraw.

Zrobiło się wystarczająco zimno, by spadł śnieg. Tego popołudnia, kiedy przybył Philip, ostry wiatr śmigał przez dolinę, a niskie szare chmury kłębiły się nad domostwem. Nie był to typowy zamek, lecz mógł pełnić funkcje obronne. Lasy wycięto na sto jardów z każdej strony. Dom otoczono palisadą z grubych pni, na wysokość męża słusznego wzrostu, i rowami z wodą na zewnątrz. Strażnik przy bramie wyglądał niechlujnie, ale miecz miał ciężki.

Rezydencja była ładnym kamiennym domostwem zbudowanym w kształcie litery „E”. Parter przypominał kryptę. W jej grubych ścianach tkwiło kilkoro ciężkich drzwi, ale nie było żadnego okna. Jedne z drzwi otwarto i Philip dojrzał w półmroku worki i beczki. Pozostałe były zamknięte i dodatkowo zabezpieczone łańcuchami. Przeor domyślał się, co mogło być za nimi: pomieszczenia dla więźniów.

Krótką pałeczka owego „E” miała zewnętrzne schody prowadzące do komnat mieszkalnych ponad kryptą. Główna komnata, czyli pionowa laska „E”, naj-

pewniej stanowiła wielką komnatę. Dwa pozostałe pomieszczenia w górnej i dolnej pałeczce „E” to sypialnia i kaplica, domyślał się Philip. Małe okiennice przypominały przymknięte oczy podejrzliwie patrzące na świat.

Wewnątrz dziedzińca znajdowały się kuchnia i piekarnia, zbudowane z kamienia, poza tym były jeszcze stajnie i stodoła.

Wszystkie te budynki wydawały się w dobrym stanie, co nie wróżyło pomyślnie Tomowi, osądził Philip.

W stajni stało kilka okazałych koni, wśród nich para rumaków. Po dziedzińcu kręciła się grupa uzbrojonych mężów zabijających czas. Może biskup miał gości.

Philip zostawił konia stajennemu i wszedł po schodach. Ogarnęło go dziwne przecucie. Cały plac miał wojskowy charakter. Gdzie się podzieli petenci ze skargami, matki z dziećmi po błogosławieństwo? Wchodził w obcy świat i strzegł niebezpiecznego sekretu. Może wiele czasu upłynąć, nim stąd wyjadę, pomyślał z obawą. Wolałbym, żeby Francis nie pojawił się u mnie.

Doszedł do szczytu schodów. Cóż za niegodziwe myśli, zganił się w duchu. Mam oto okazję przysłużyć się Bogu i Kościołowi, a martwię się o własne bezpieczeństwo. Niektórzy ludzie codziennie stawiają czoło niebezpieczeństwu w bitwach, na morzu, w czasie ryzykownych pielgrzymek czy krucjat. Nawet mnich musi przeżyć trochę strachu.

Wziął głęboki wdech i wszedł do komnaty.

Tonęła w półmroku. Wszędzie unosił się dym. Philip zamknął szybko drzwi, by nie wpuścić chłodu, potem popatrzył w głąb. Wielki ogień płonący pod przeciwległą ścianą i małe okna dawały trochę światła. Wokół paleniska zgromadziła się grupa ludzi, niektórzy w szatach duchownych, a inni w drogich, ale znoszonych odzieniach uboższej szlachty. Niskie rzeczowe głosy świadczyły o poważnej rozmowie. Zydle były przypadkowo porozstawiane po komnacie, wszyscy jednak zwróceni byli w stronę księdza siedzącego pośrodku jak pająk w swojej sieci. Był to szczupły mężczyzna o długich nogach, rozsta-

wionych szeroko. Długie ręce oparł na poręczy krzesła, co nadawało mu wygląd kogoś gotowego do skoku. Czarne jak smoła, gładkie włosy, blada twarz o ostrym nosie i czarny strój czyniły go jednocześnie przystojnym i groźnym.

To nie był biskup.

Służący wstał z krzesła przy drzwiach i zwrócił się do Philipa.

– Witaj, ojcie. Z kim chcesz się widzieć?

Właśnie w tym momencie pies leżący przy ogniu podniósł głowę i warknął. Człowiek w czerni szybko spojrział, zobaczył Philipa i podniesieniem ręki przerwał rozmowę.

– O co chodzi? – spytał obcesowo.

– Witam wszystkich. Przybyłem, by zobaczyć się z biskupem.

– Nie ma go tutaj – odpowiedział stanowczym tonem.

Philipowi ścisnęło się serce. Obawiał się tej rozmowy i tego, co mogło z niej wynikać dla niego, ale teraz zmartwił się. Co ma zrobić z tym potwornym sekretem? Zwrócił się do księdza.

– Kiedy spodziewacie się jego powrotu?

– Nie wiemy. Jaką masz do niego sprawę?

Głos duchownego był trochę za ostry i Philip poczuł się urażony.

– Boże sprawy – odrzekł krótko. – Kimże ty jesteś?

Ksiądz uniósł brwi, jakby zaskoczony takim wyzwaniem, a inni obecni uci-chli raptownie, oczekując wybuchu.

– Jestem archidiakonem. Nazywam się Waleran Bigod – odparł dość łagodnie.

– Mam na imię Philip. Jestem przeorem klasztoru Świętego Jana z Lasu. To filia klasztoru w Kingsbridge.

– Słyszałem o tobie. Jesteś Philip z Gwynedd.

A to niespodzianka. Nie przyszło mu do głowy, że archidiakon może z jakiegoś powodu znać imię kogoś, kogo nie poznał osobiście, i to kogoś zajmującego tak poślednie miejsce w hierarchii. A jednak jego ranga, jakkolwiek

skromna, wystarczyła do zmiany zachowania archidiakona. Irytacja znikła z jego twarzy.

– Podejź do ognia – rzekł. – Czy przyjmiesz łyk grzanego wina, by pobudzić krew po podróży? – Skinął na kogoś siedzącego na ławie pod ścianą i obszarpana postać skoczyła wykonać polecenie.

Waleran powiedział coś cichym głosem i wszyscy mężowie podnieśli się ze swoich miejsc. Philip usiadł przy ogniu i grzał ręce, zastanawiając się, o czym dyskutowali i dlaczego rozmowa nie zakończyła się modlitwą.

Obszarpany sługa podał mu drewniany kubek. Siorną gorącego wina zaprawionego korzeniami i zaczął rozmyślać nad następnym ruchem. Jeśli biskup był nieosiągalny, to do kogo powinien się zwrócić? Pomyślał o pójściu do hrabiego Bartholomew i błaganiu go o ponowne przemyślenie buntowniczej decyzji. Niedorzeczny pomysł – hrabia wtrąci go do lochu i wyrzuci klucz. Pozostawał szeryf, reprezentant króla w hrabstwie. Nie wiadomo jednak, czyją weźmie stronę, bo przecież ciągle nie było pewne, kto naprawdę zasiądzie na tronie. Muszę podjąć ryzyko – postanowił. Marzył o powrocie do prostego życia klasztornego. Tymczasem goście Walerana wyszli. Zamknięte drzwi stłumiły hałas dochodzący z dziedzińca. Archidiakon podszedł do ognia i przysunął sobie duże krzesło.

Philip był zaabsorbowany swoim sekretem i tak naprawdę to nie chciał rozmawiać z archidiakonem, czuł się jednak zobowiązany do uprzejmości.

– Mam nadzieję, że nie przerwałem spotkania.

Waleran machnął lekceważąco.

– Miało się już skończyć. Takie rzeczy zawsze trwają dłużej, niż to potrzebne. Omawialiśmy odnawianie umów dzierżawnych ziem diecezji. Te sprawy można załatwić w kilka chwil, jeśli tylko ludzie są zdecydowani. – Wykonał ruch kościstą dłonią, jakby chciał odegnać od siebie wszystkie dzierżawy diecezjalne i ich właścicieli. – No, słyszałem, że zrobiłeś sporo dobrego we wspólnocie w lesie.

– Jestem zaskoczony, że wiesz o tym, archidiakonie.

– Biskup jest *ex officio* opatem Kingsbridge, musi się interesować takimi sprawami.

Albo ma dobrze zorientowanego archidiakona – dodał w myśli Philip.

– Cóż, Bóg nam błogosławi – powiedział.

– Z pewnością.

Rozmawiali normańską francuszczyzną, językiem, którym porozumiewali się Waleran i jego goście, językiem urzędowym. W akcencie archidiakona było jednak coś obcego i dopiero po paru chwilach Philip uświadomił sobie, że powodem takiej wymowy było używanie języka angielskiego w dzieciństwie. Oznaczało to, że nie wywodzi się z normańskich arystokratów, że doszedł do wszystkiego własnymi siłami. Jak Philip.

Domysł ten potwierdził się, kiedy Waleran przeszedł na angielski:

– Chciałbym, by Bóg zesłał podobne błogosławieństwa na klasztor w Kingsbridge – oznajmił.

Tak więc Philip nie był jedynym, który martwił się stanem spraw w Kingsbridge. Archidiakon prawdopodobnie wiedział więcej o tym, co się dzieje, niż on.

– Jak ma się przeor James?

– Jest chory – rzekł krótko Waleran.

Najwyraźniej nie jest zdolny do zrobienia czegokolwiek w sprawie spisku hrabiego Bartholomew, pomyślał ponuro Philip. Będzie musiał udać się do Shiring, do szeryfa.

Przyszło mu do głowy, że archidiakon należy do tego rodzaju ludzi, którzy znają każdego, kto w hrabstwie coś znaczy.

– Jaki jest szeryf z Shiring?

– Bezbożny, arogancki, zachłanny i skorumpowany. – Waleran wzruszył ramionami. – Jak wszyscy szeryfowie. Dlaczego pytasz?

– Skoro nie mogę porozmawiać z biskupem, to prawdopodobnie powinie-

nem pójść zobaczyć się z szeryfem.

– Cieszę się zaufaniem biskupa, przeorze, wiesz o tym – odparł Waleran, lekko się uśmiechając. – Jeśli miałbym pomóc...

Philip zdążył się odprężyć, ponieważ krytyczna rozmowa odsunęła się na dzień lub dwa, ale teraz zadrżał znowu. Czy może zaufać archidiakonowi? Jego niedbałość jest wystudiowana, myślał. Udaje obojętność, a w rzeczywistości aż się pali, by poznać, co ważnego ma Philip do powiedzenia. Z drugiej strony nie było powodu, by mu nie zawierzyć. Wydawał się mądry. Czy był także dość potężny, by pomóc w sprawie rebelii? Jeśli nie osobiście, to mógł powiadomić biskupa. Nagle dostrzegł korzyści wynikające z wyznania tajemnicy archidiakonowi – biskup mógł się upierać przy poznaniu źródła informacji, a archidiakon nie miał na to dość władzy i będzie musiał się zadowolić historyjką opowiedzianą przez niego, bez względu na to czy w nią uwierzy, czy też nie.

Waleran uśmiechnął się znowu.

– Jeśli będziesz się jeszcze dłużej namyślać, jestem gotów przypuścić, że mi nie dowierzasz!

Philip rozumiał go. Waleran trochę przypominał jego samego; był młody, wykształcony, inteligentny, choć wywodzący się z niskiego stanu. Być może zbyt światowy, jak na gust przeora, ale to wybacalne u osoby duchownej, spędzającej wiele czasu wśród panów i dam, niekorzystającej z dobrodziejstw życia w ustronnym klasztorze. Przypuszczał, że w głębi serca Waleran był pobożny. Powinien czynić dobrze na rzecz Kościoła.

O krok od decyzji, Philip jeszcze się zawahał. Dotychczas tylko on i Francis znali tajemnicę. Kiedy powie komuś trzeciemu, może się wydarzyć wszystko. Nabrał powietrza.

– Trzy dni temu ranny mężczyzna pojawił się w naszej wspólnotie w lesie – zaczął, modląc się w duchu o wybaczenie kłamstwa. – Jechał na pięknym i szybkim koniu, z którego spadł jakąś milę czy dwie od klasztoru. Musiał cwałować, kiedy zdarzył się wypadek, bo złamał ramię i naruszył żebra. Kiedy zło-

zyliśmy mu ramię, okazało się, że nie poradzimy sobie z klatką piersiową. Pluł krwią, co oznaczało, że uszkodził sobie coś wewnątrz. – Philip bacznie obserwował twarz rozmówcy. Na razie nie dostrzegał niczego poza uprzejmym zainteresowaniem. – Poradziłem mu, by wyznał swe grzechy, gdyż obawiałem się, że może umrzeć. Powierzył mi swą tajemnicę.

Zawahał się, nie wiedząc, w jakim stopniu Waleran zna nowiny polityczne.

– Sądzę, że wiesz o Stefanie z Blois, który zgłasza pretensje do tronu Anglii z błogosławieństwem Kościoła?

– I został koronowany w Westminsterze trzy dni przed Bożym Narodzeniem. – Archidiakon wiedział więcej od Philipa.

– Już! – Francis jeszcze o tym nie wiedział.

– Co to za tajemnica, przeorze?

– Przed śmiercią ów jeździec powiedział mi, że jego pan, Bartholomew hrabia Shiring, spiskował z Robertem z Gloucesteru w sprawie wzniesienia rebelii przeciwko Stefanowi. – Wpatrywał się w twarz Bigoda z zapartym tchem.

Mizerne policzki archidiakona zbladły jeszcze bardziej. Pochylił się na krześle do przodu.

– Uważasz, że mówił prawdę? – spytał z naciskiem.

– Umierający zwykle mówi prawdę swemu spowiednikowi.

– Może powtarzał tylko plotki krążące w posiadłości hrabiego?

Philip nie oczekiwał sceptycyzmu. Pośpiesznie improwizował.

– O, nie. Wysłał go hrabia Bartholomew, by ćwiczył jego oddziały w Hampshire.

Inteligentne oczy Walerana pilnie przypatrywały się wyrazowi twarzy przeora.

– Czy miał jakieś pismo?

– Nie.

– Żadnej pieczęci lub glejtu hrabiego?

– Nic. – Philip zaczął się lekko pocić. – Przypuszczam, że ludziom, których

miał spotkać, był dostatecznie znany jako pełnomocny przedstawiciel hrabiego.

– Jak się zwał?

– Francis – odparł głupio i chciał odgryźć sobie język.

– Tylko tyle?

– Nie ujawnił więcej. – Philip czuł, jak ta bajeczka rozwiewa się pod podmuchem dociekliwości bystrego archidiakona.

– Jego broń i zbroja mogą pomóc ustalić tożsamość.

– Nie miał zbroi – oznajmił przeor z rozpaczą. – Pochowaliśmy go z bronią, mnisi nie używają mieczy. Możemy je wykopać, ale powiem ci, że były zwyyczajne, nie było w nich nic szczególnego. Nie sądzę, byś w ten sposób mógł znaleźć jakieś ślady... – Musiał spowodować zmianę kierunku badania. – Jak uważasz, co można zrobić, archidiakonie?

– Trudno wiedzieć, co uczynić, gdy się nie ma dowodu. Spiskowcy mogą po prostu zaprzeczyć oskarżeniu, a wtedy oskarżyciel zostanie skazany. – Nie powiedział, że zwłaszcza wtedy, gdy historyjka okaże się fałszywa, ale Philip domyślił się tego. – Czy wspomniałeś o tym komuś?

– Nie.

– Gdzie się udasz po wyjeździe stąd?

– Do Kingsbridge. Musiałem jakoś uzasadnić swoją nagłą podróż, więc powiedziałem mnichom, że wybieram się do domu macierzystego, teraz więc muszę to uczynić, aby kłamstwo stało się prawdą.

– Nie mów o tym nikomu.

– To oczywiste. – Philip nie miał zamiaru mówić, ale zastanawiał go nacisk, z jakim powiedział to Waleran. Może chodziło o własny interes: jeśli sam chciał podjąć ryzyko ujawnienia spisku, musiał mieć pewność co do kredytu zaufania. Ambitny. Tym lepiej dla celów Philipa.

– Zostaw to wszystko mnie. – Nagle archidiakon znowu stał się oschły, a kontrast z jego poprzednim przyjaznym zachowaniem uświadomił Philipowi, że ta uprzejmość może być sztuczna. – Jedź do Kingsbridge i zapomnij o szery-

fie. Zgoda?

– Tak. – Philip zaczął się pocieszać, że wszystko będzie w porządku, przynajmniej na jakiś czas, i ciężar spadł mu z barków. Nie zostanie wtrącony do lochów, nie czekają go tortury ani oskarżenie o działania wywrotowe. Poza tym złożył brzemię odpowiedzialności na kogoś, kto wydawał się z tego zupełnie zadowolony.

Wstał i podszedł do najbliższego okna. Było popołudnie, przez jakiś czas będzie jeszcze widno. Czuł silną potrzebę pozostawienia tego wszystkiego za sobą.

– Jeśli ruszę zaraz, to zdążę przebyć z dziesięć mil przed zmrokiem.

Waleran nie nalegał, by został na noc.

– Dojedziesz w ten sposób do wsi Bassingbourn. Znajdziesz tam nocleg. Jeśli wyruszysz wcześniej rano, to na południe staniesz w Kingsbridge.

– Tak.

Przeor odwrócił się od okna i spojrzał na Bigoda. Archidiakon ze zmarszczonym czołem patrzył w ogień, pogrążony w zadumie. Philip przyglądał mu się przez chwilę; chciałby poznać myśli kłębiące się teraz w jego głowie.

– Wyruszam.

Archidiakon wyrwał się z zamyślenia, uśmiechnął się i wstał.

– Dobrze – rzekł. Skierowali się razem do drzwi i udali się na dziedziniec.

Stajenny przyprowadził wierzchowca i osiodłał go. Archidiakon mógł się pożegnać i wrócić do ciepłej komnaty, ale czekał na zimnie. Philip domyślił się, że chce się upewnić, iż pojechał drogą na Kingsbridge, a nie do Shiring.

Wsiadł na konia. Czuł się o wiele szczęśliwszy, niż kiedy tu wjeżdżał. Już miał ruszać, gdy zobaczył w bramie Toma Budowniczego z rodziną. Zwrócił się do Walerana.

– Ten mężczyzna to budowniczy, którego spotkałem na trakcie. Wydaje się uczciwym człowiekiem, który popadł w tarapaty. Jeśli potrzebujesz jakichś napraw, będziesz z niego zadowolony.

Bigod nie odpowiedział. Wpatrywał się w rodzinę idącą przez dziedziniec. Cała jego równowaga i opanowanie opuściły go. Usta miał uchylone, a oczy szeroko rozwarte. Wyglądał na głęboko wstrząśniętego.

– Co się dzieje? – zapytał zaniepokojony Philip.

– Ta kobieta! – głucho zabrzmiała odpowiedź.

Philip popatrzył na nią.

– Jest piękna – rzekł, zauważając to wreszcie. – Ale uczono nas, że lepiej, aby duchowny pozostawał w czystości. Odwróć od niej oczy, archidiakonie.

Waleran nie słuchał.

– Myślałem, że nie żyje – wymamrotał. Nagle jakby przypomniał sobie o obecności przeora. Oderwał wzrok od kobiety i popatrzył na mnicha, zbierając myśli. – Przekaż me pozdrowienia przeorowi Kingsbridge – powiedział. Potem klepnął konia w zad, a zwierzę wyrwało galopem. Gdy Philip zdołał skrócić wodze i opanować konia, był już zbyt daleko, by się zegnąć.

III

Około południa następnego dnia Philip znalazł się w pobliżu Kingsbridge, zgodnie z przewidywaniami archidiakona Walerana. Wyszedł z lasu na zboczu wzgórza i spoglądał na pozbawione życia zamarznięte pola, ożywiane jedynie z rzadka pojawiającymi się szkieletami drzew. Jak okiem sięgnąć nie było ludzi, bo w środku zimy nie mieli nic do roboty w polu. Kilka mil za tym zimnym krajobrazem wyrastała katedra Kingsbridge, ogromna przysadzista budowla. Z tej odległości przypominała kurhan.

Podążał drogą w dół i wkrótce Kingsbridge zniknęło z pola widzenia. Łagodna klacz wybierała ostrożnie drogę pomiędzy zamarzniętymi koleinami i wybojami. Philip myślał o archidiakonie Waleranie, który wydawał się tak zrównoważony, pewny siebie i zdolny do wszystkiego, że przeor czuł się przy

nim młody i naiwny, aczkolwiek wiekiem nie różnili się zbyt. Bigod całkowicie panował nad przebiegiem spotkania. Uprzejmie pozbył się gościa, wysłuchawszy uważnie jego sprawy. Szybko się zorientował w niedostatkach opowieści i zrozumiał, że drażnienie ich jest bezowocne. A potem dosłownie wysłał go w drogę, nie dając żadnej gwarancji, że podejmie jakiegokolwiek działania.

Philip uśmiechnął się smutno, myśląc o tym, jak gładko został odprawiony. Waleran nawet nie obiecał, że przedstawi sprawę biskupowi. Mimo wszystko Philip był przekonany, że archidiakon wykorzysta przekazaną mu informację.

Sposób bycia Bigoda wywarł wielkie wrażenie na Philipie, dlatego zaintrygował go jedyny moment słabości, jaki zdołał zauważyć – reakcja na widok żony Toma Budowniczego. Archidiakon poczuł się zagrożony. Możliwe, że uznał tę kobietę za godną pożądania – to mogło przecież ujawniać się w ten sposób. Ale chodziło o coś więcej. Waleran musiał ją już kiedyś spotkać, bo powiedział: „Myślałem, że ona nie żyje”. Brzmiało to tak, jakby kiedyś z nią zgrzeszył, w odległej przeszłości. Archidiakon z pewnością poczuwał się do jakiejś winy. Świadczył o tym sposób, w jaki upewniał się, że przeor nie zatrzyma się gdzieś w okolicy, by się czegoś dowiedzieć.

To podejrzenie nie zmniejszyło uznania Philipa dla archidiakona. Przecież był on kapłanem, księdzem, a nie mnichem. Życie w czystości było istotą ślubów zakonnych, w wypadku księży normy tej nie przestrzegano bezwzględnie. Biskupi mieli kochanki, a księża parafialni – gospodynie. Celibat duchowieństwa był prawem zbyt surowym i nie zawsze się udawało być mu posłusznym. Podobnie bywa ze złymi myślami. Jeśli Bóg nie zdoła wybaczyć lubieżnym księżom, to w niebie będzie bardzo niewielu duchownych.

Kingsbridge pojawiło się znowu, gdy wjechał na następne wzniesienie. Pejzaż został zdominowany przez masywny kościół z zaokrąglonymi łukami i małymi, głębokimi oknami. Wioskę przytłaczał klasztor. Zachodnia część kościoła, na którą Philip patrzył, miała bliźniacze przysadziste wieże, z których jedną zwałił piorun cztery lata temu. Nie zdołano jej odbudować i okaleczony mur był

niczym niemy wyrzut. Ten widok zawsze denerwował Philipa. Stos gruzu przed wejściem do kościoła to zawstydzające przypomnienie upadku prawości w klasztorze. Białe wapienne budynki klasztorne otaczały kościół jak spiskowcy tron. Wzdłuż niskiego muru okalającego klasztor stały szopy sklecone z drewna i gliny, pokryte strzechą. Mieszkali w nich chłopcy uprawiający okoliczne pola i słudzy, pracujący dla mnichów. Wąska, rwąca rzeka płynęła przez południowo-zachodnią część wioski, dostarczając klasztorowi świeżej wody.

Philip wpadł w irytację, jak tylko przebył rzeczku po starym drewnianym moście. Kingsbridge przynosiło hańbę Bożemu Kościołowi i ruchowi zakonnemu, a on na to nic nie mógł poradzić. Gniew i bezsilność aż go skręcały.

Most był własnością klasztoru, więc zakonnicy pobierali myto. Jak tylko pod ciężarem konia zaskrzypiało belkowanie, z budki po przeciwnej stronie mostu wyłonił się stary mnich i podszedł, by podnieść wierzbową gałąź służącą za barierę. Poznał Philipa i pomachał mu dłonią. Przeor dostrzegł, że utyka, i zapytał:

– Co się stało, bracie Paulu?

– To odmrożenie. Minie na wiosnę.

Philip zauważył, że na nogach ma jedynie sandały. Brat Paul to stary, twarde wróbel, ale już zbyt stary, by o bosych stopach spędzać cały dzień poza domem przy tej pogodzie.

– Powinieneś palić ogień.

– Byłoby wspaniale i przyjemnie, ale brat Remigius powiada, że kosztowałyby to więcej, niż przynosi myto.

– Ile się pobiera?

– Pensa od konia, ćwierć pensa od człowieka.

– Czy dużo ludzi korzysta z mostu?

– O tak, dużo, całe mnóstwo.

– No to jakim cudem nie starcza na ogień?

– No, mnisi nie płacą oczywiście. Ani klasztorni słudzy, ani wieśniacy ze

wsi. Pobieram od przejeżdżającego rycerza albo druciarza, raz na dzień czy dwa. W święta, kiedy ściągają ludziska z całego hrabstwa na nabożeństwa w katedrze, wtedy zbieramy mnóstwo pensów.

– W takim razie wystarczyłoby obsadzać most tylko w święta i wtedy mógłbyś palić ogień.

Paul jakby się zaniepokoił.

– Nie mów nic bratu Remigiusowi, dobrze? Nie będzie zadowolony, gdyż pomyśli, że się skarżyłem.

– Nie martw się – odrzekł Philip.

Spiął konia, aby starzec nie dostrzegł wyrazu jego twarzy. Ten rodzaj głupoty budził w nim wściekłość. Brat Paul poświęcił swe życie Bogu i klasztorowi, a teraz, na stare lata, kazano mu cierpieć ból i zimno tylko po to, by zarobić pensa na dzień. To nie tylko okrutne, ale i bezsensowne. Jak można trwonić siły starego człowieka i skazywać go na cierpienie, zamiast przydzielić mu odpowiednie pożyteczne zajęcia – może chowania kurcząt – dzięki czemu dochody klasztoru byłyby wyższe. Przeor Kingsbridge był jednak zbyt stary i niedołężny, by dostrzec takie rzeczy, a jego zastępca wydawał się taki sam.

To ciężki grzech – pomyślał Philip gorzko – tak beztrąsko marnować ludzkie i materialne dobra, ofiarowane przecież Bogu z pełną miłości nabożnością.

Z zawziętością w duszy przejechał przez bramę, kierując konia do klasztornej furty. Pośrodku murów mieścił się kościół. Zabudowania wzniesiono tak, by te od północy i zachodu mogły być dostępne dla wszystkich – obszar świecki – podczas gdy rejon południowo-wschodni był zamknięty i przeznaczony tylko dla duchownych.

Wejście znajdowało się po stronie północnej, w samym rogu prostokątnie postawionego muru. Wrota stały otworem, a młody mnich pomachał Philipowi, kiedy ten przejeżdżał przez bramę. Po wewnętrznej stronie muru, tuż za bramą, od zachodu zbudowano stajnię, o przysadzistej drewnianej konstrukcji, znacznie porządniejszą niż siedziby ludzkie, które mijał, zbliżając się do klasztoru.

Dwu stajennych siedziało na snopach słomy. Nie byli oni mnichami, lecz klasztornymi sługami. Podnieśli się niechętnie, jakby jego przyjazd przydawał im pracy. Do nosa Philipa dotarł gryzący fetor i dostrzegł, że boksy nie były czyszczone od trzech czy czterech tygodni. Nie był dziś usposobiony do puszczenia tego płazem. Podał wodze i rzekł:

– Zanim uwiążecie mojego konia, macie oczyścić jeden z boksów i dać tam świeżą słomę. Potem to samo zrobicie w pozostałych. Jeśli ściółka będzie stale mokra, konie dostaną zapalenia kopyt albo im kopyta zgniją. Utrzymanie stajni w czystości nie wymaga wiele pracy. – Stajenni popatrzyli na niego posepnie, więc dodał: – Zróbcie, co mówię, bo możecie stracić dniówkę z powodu lenistwa. – Już miał odejść, kiedy coś sobie przypomniał. – W jukach jest ser. Zabierzcie go do kuchni i dajcie bratu Miliusowi.

Odszedł, nie czekając na odpowiedź. Klasztor zatrudniał sześćdziesięciu ludzi, by dbali o potrzeby czterdziestu mnichów. W jego opinii było to coś bezwstydного. Ludzie mający za mało obowiązków łatwo stają się leniwi i wykonują byle jak tę niewielką pracę, którą im przydzielono. Świadczył o tym przykład stajennych. Kolejny dowód na rozprężenie w klasztorze pod zarządem nieporadnego przeora Jamesa.

Philip szedł po dziedzińcu wzdłuż zachodniego muru, mijając dom gościny. Ciekawiło go, czy w klasztorze są goście. Jednoizbowy budynek był jednak zimny i nieużywany, a opadłe liście nawiane wiatrem zakrywały jego próg. Skręcił w lewo i ruszył przez szeroki pas rzadkiej trawy, oddzielający dom gościny – w nim przecież często nocowali niebogobojni ludzie, a czasem nawet kobiety – od kościoła. Zbliżył się do zachodniej bramy, tej publicznej. Potrzaśkane kamienie zniszczonej wieży leżały tak, jak runęły, na kupie wysokiej na dwa chłopa.

Jak większość kościołów, katedrę Kingsbridge zbudowano na planie krzyża. Zachodni szczyt otwierał się na nawę główną, tworzącą trzon krzyża. Część poprzeczną stanowiły dwa transepty na osi północ-południe po obu stronach oł-

tarza. Wschodnia część kościoła, za ołtarzem, to prezbiterium przeznaczone wyłącznie dla duchowieństwa. W najdalszej jego części umieszczono grobowiec świętego Adolphusa, przyciągającego przygodnych pielgrzymów.

Philip wkroczył do nawy głównej i jego spojrzenie pobiegło wzdłuż zaokrąglonych łuków i potężnych kolumn. Widok wzmógł ponury nastrój przeora. Budynek był wilgotny i mroczny, a jego stan jeszcze się pogorszył od poprzedniego pobytu. Okna niskich bocznych naw położonych po obu stronach nawy głównej przypominały wąskie tunele w niezmiernie grubych ścianach. Wyżej, bliżej dachu, rząd okien rzucał światło na pokryty malowidłami sufit jedynie po to, by ukazać, jak farby zdążyły już zblaknąć: apostołowie, święci i prorocy prawie nie dawali się odróżnić od tła. Pomimo chłodu – bo w oknach nie było szyb – słaby zapach gnicia szat sakralnych skażał powietrze. Z przeciwnego krańca kościoła dochodziły odgłosy odprawianej sumy, łacińskie zdania wypowiedane śpiewnym tonem i śpiewne odpowiedzi. Philip poszedł nawą główną. Podłogi nie wyłożono kamieniem, więc brud zbierał się na gołej ziemi, gromadził się w rogach i pod ścianami, gdzie sandały mnichów i chłopskie drewniaki stąpały rzadko. Spirale i rowki rzeźbione na masywnych kolumnach oraz zdobiące je nacięcia w kształcie litery „V”, niegdyś pomalowano i pozłożono. Teraz jednak pozostało z tego kilka płatków i plamy po farbie. Zaprawa kruszyła się między kamiennymi blokami i spadała, tworząc kopczyki pod ścianami. Philip znowu poczuł przyływ gniewu. Wnętrze katedry powinno przejmować ludzi potęgą majestatu Boga Wszchemogącego. Wieśniacy są przecież istotami prostodusznymi, oceniającymi rzeczy po ich wyglądzie. Przebywając w tej świątyni, mogą pomyśleć, że Bóg jest niechlujnym, marnym bóstwem, po którym nie mogą się spodziewać, iż uzna wartość ich modlitw czy oceni ich grzechy. W końcu wieśniacy pracują na kościół w pocie czoła i musi oburzać to, że nagrodą za ich trud jest rozpadający się grobowiec.

Wschodnie skrzydło kościoła, prezbiterium, podzielono na dwie części. W bliższej stały drewniane stalle, gdzie mnisi siadywali podczas nabożeństw.

Dalej znajdowało się sanktuarium, z grobowcem świętego. Philip przeszedł za ołtarz, z zamiarem wejścia do prezbiterium, gdy nagle drogę zagrodziła mu trumna.

Stanął zaskoczony. Nikt nie wspomniał nawet o śmierci któregoś z mnichów. Co prawda, rozmawiał jedynie z trzema osobami: bratem Paulem, starym i trochę nieobecny duchem, i z dwoma stajennymi, którym nie pozwolił się odezwać. Podszedł do trumny, by zobaczyć, kto w niej leży. Zajrzał do środka i serce w nim zamarło.

Był to przeor James.

Philip patrzył z otwartymi ustami. To zmienia wszystko. Będzie nowy przeor, nowa nadzieja...

To uniesienie nie było stosowne w obliczu śmierci czcigodnego brata, niezależnie od tego, jakie miał przewiny. Philip powściągnął swe myśli, a jego twarz przybrała wyraz skupienia, jak przystało w czasie żałoby. Przyglądał się zmarłemu. Przeor miał posiwiałe wąsy i wychudzone policzki. Jego znużony wyraz twarzy znikł, wydawał się ukojony. Philip ukląkł przy marach, szepcząc modlitwę, i jał się zastanawiać, jakież to wielki problem ciążył ojcu Jamesowi przez ostatnie lata jego życia: niewyznany grzech, nieodżałowana kobieta, a może zło wyrządzone niewinnemu. Cokolwiek to było, nie opowie o tym aż do sądu ostatecznego.

Pomimo postanowienia Philip nie potrafił powstrzymać się przed zwróceniem myśli ku przyszłości. Przeor James – niezdecydowany, pełen niepokoju, człowiek bez kręgosłupa – źle rządził klasztorem. Teraz jego funkcję powinien przejąć ktoś nowy, kto zdoła wyplenić lenistwo, dźwignąć kościół z ruiny, skorzystać wielkie dostatki płynące z majątku klasztorowego i sprawić, by to miejsce stało się skuteczną siłą w walce o dobro. Tymi myślami Philip tak się podkorytował, że z trudem mógł zachować spokój. Wstał od trumny, lekkim krokiem podążył do prezbiterium i zajął wolne miejsce w głębi stali.

Nabożeństwo odprawiał zakrystian Andrew z Yorku, wybuchowy człowiek

o czerwonej twarzy, sprawiający wrażenie zagrożonego apopleksją. Pełnił jedną z ważniejszych funkcji w klasztorze, związanych z obediencją. Odpowiadał za wszystko, co miało charakter sakralny, a więc nabożeństwa, księgi, relikwie, szaty liturgiczne, ozdoby ołtarza i większość budynków kościelnych. Pod jego zwierzchnictwem pracowali: kantor, kierujący sprawami muzyki, i skarbnik, dbający o zdobione złotem i srebrem świeczniki, kielichy i inne święte naczynia. Jeśli chodzi o władzę, nie było – poza przeorem i subprzeorem – nikogo nad nim. Po śmierci Jamesa przełożonym zakrystiana był jego przyjaciel i zwolennik brat Remigius.

Andrew odprawiał modły swym zwykłym tonem hamowanego z trudem gniewu. W umyśle Philipa panował zamęt, nie od razu zauważył, że zachowanie niektórych mnichów jest niestosowne. Grupka młodszych braci hałasowała, rozmawiała i śmiała się. Dostrzegł, że po prostu bawią się kosztem mistrza nowicjuszy, który zasnął. Jeszcze nie tak dawno podlegali temu starcowi, a teraz pstrykali w niego kulkami z kurzu. Za każdym trafieniem w twarz mistrz drgał odruchowo i poruszał się, ale nie budził. Andrew zdawał się tego nie zauważać. Philip rozejrzał się za mnichem odpowiedzialnym za porządek. Dostrzegł go poza prezbiterium, zagłębianego w rozmowie z jakimś bratem. Nie interesował się nabożeństwem i nie zwracał uwagi na zachowanie młodszych.

Philip przyglądał się jeszcze przez chwilę, ale trudno mu było powstrzymać się od reakcji. Dobrze wyglądający młodzieniec, chyba dwudziestojednoletni, o szelmowskim wyrazie twarzy, wydawał się przewodzić niesfornej grupie. Przeor zobaczył, jak zanurza on koniec nożyka w płonącej świecy i ciska stopionym gorącym tłuszczem w łysinę mistrza. Stary mnich obudził się ze skowytym, a młodzi wybuchnęli śmiechem.

Philip z westchnieniem opuścił swoje miejsce. Podszedł do młodzika z tyłu, złapał go za ucho i brutalnie wyprowadził z prezbiterium do południowej nawy. Zakrystian Andrew spojrzął sponad mszału z dezaprobatą.

Kiedy znaleźli się poza zasięgiem słuchu pozostałych mnichów, Philip za-

trzymał się, puścił ucho młodzieńca i spytał:

– Jak się nazywasz?

– William Beauvis, ojcze.

– Co za diabeł cię opętał w czasie sumy?

– Msza mnie znużyła – odrzekł nadąsany William.

Mnisi uskarżający się na swą dolę nigdy nie mogli liczyć na sympatię Philipa.

– Znużyłeś się? – lekko podniósł głos. – Cóżeś dzisiaj uczynił, co cię tak zmęczyło?

– Jutrznia i hymny w środku nocy, prymaria, potem tercja, msza kapitulna, studia, a teraz suma.

– Jadłeś coś?

– Śniadanie, ojcze.

– I chcesz zjeść obiad?

– Tak.

– Większość ludzi w twoim wieku wykonuje katorżniczą pracę na polach od świtu do nocy, by zapracować sobie na śniadanie i obiad, a jeszcze część swego chleba oddają tobie! Czy wiesz, dlaczego to czynią?

– Tak.

– Mów.

– Bo chcą, by mnisi odprawiali dla nich nabożeństwa.

– No właśnie. Ciężko pracujący chłopci dają ci chleb, mięso i zbudowane z kamienia dormitorium, ogrzewane w zimie, a ty jesteś znużony tak bardzo, że nie potrafisz wysiedzieć na sumie i modlić się za nich!

– Przykro mi, ojcze, przepraszam.

Philip przypatrzył się Williamowi przez chwilę. Nie był zanadto zepsuty. Prawdziwą winę ponoszą jego przełożeni, którzy lekko traktowali regułę zakonną, byli niedbali i przymykali oko na figle w kościele. Powiedział łagodnie:

– Jeśli nabożeństwa cię nudzą, dlaczego zostałeś mnichem?

– Jestem piątym synem.

– Niewątpliwie ojciec dał klasztorowi wiano, byśmy cię wzięli?

– Tak, gospodarstwo.

Oto zwykła historia: ojciec mający kilku synów daje jednego Bogu. Aby upewnić się, że Bóg daru nie odrzuci, i ochronić syna przed klasztorną biedą, dodaje do daru kawałek posiadłości. W ten sposób wielu młodzieńców bez powołania stało się mnichami, nieposłusznymi mnichami.

– Gdyby cię stąd zabrano, powiedzmy na folwark, czy do klasztoru Świętego Jana z Lasu, gdzie jest naprawdę sporo roboty w polu i raczej mało czasu na modlitwy, czy to by ci pomogło zachować pobożne skupienie podczas nabożeństw?

– Tak, ojcze, sądzę, że tak! – Twarz Williama rozjaśniła się.

– Też tak sądzę. Zobaczą, co się da zrobić. Ale nie zapalaj się zbyt, bo może się okazać, że trzeba poczekać na nowego przeora i dopiero jego prosić o twoje przeniesienie.

– I tak dziękuję!

Suma się skończyła. Mnisi w procesji jęli opuszczać prezbiterium. Philip przyłożył palec do ust, nakazując zakończenie rozmowy. Kiedy procesja przechodziła przez nawę południową, przeor wraz z Williamem dołączyli do niej i wyszli na krużganek po południowej stronie. Tutaj mnisi się rozeszli, a Philip skręcił w stronę kuchni. Drogę mu jednak zastąpił zakrystian. Stojąc na rozstawionych stopach, z rękoma wspartymi o biodra, powiedział:

– Bracie Philipie.

– Bracie Andrew – odparł Philip, myśląc: O co mu może chodzić?

– Dlaczego przeszkadzałeś podczas sumy?

– Przeszkadzałem podczas sumy? – spytał z niedowierzaniem. – Młodzieńiec źle się zachowywał. On...

– Potrafię sam zapanować nad zachowaniem braci w czasie nabożeństw, które odprawiam osobiście – rzucił podniesionym głosem. Znajdujący się w po-

blizu mnisi przystanęli, przysłuchując się rozmowie.

Philip nie mógł zrozumieć reakcji brata Andrew. Młodzi mnisi i nowicjusze czasami musieli być przywoływani do porządku przez swych starszych braci w trakcie nabożeństw i żaden przepis nie zakazywał tego komukolwiek ani nie pozostawiał takiej czynności jedynie w gestii zakrystiana.

– Ale ty, bracie Andrew, nie widziałeś, co się działo...

– A może widziałem, ale postanowiłem rozprawić się później!

– Cóż więc widziałeś? – wypalił Philip.

– Chyba nie przypuszczasz, że będziesz mnie wypytywał! – krzyknął Andrew. Jego czerwona twarz zaczęła purpurowieć.

– Możesz sobie być przeorem w tej filii w lesie, ale tutaj ja jestem zakrystianem od dwunastu lat i będę prowadzić nabożeństwa katedralne, jak mi się będzie podobało, bez pomocy ludzi z zewnątrz, i to o połowę młodszych!

Philip jął się zastanawiać, że może rzeczywiście źle postąpił, bo skąd ta furia brata Andrew? Lecz teraz należało skończyć tę kłótnię, bo nie była to budująca scena dla innych mnichów znajdujących się na krużganku. Stłumił więc żal, zacisnął zęby i skłonił głowę ulegle.

– Zostałem pouczony, bracie, i pokornie proszę o wybaczenie.

Zakrystian rozgrzał się. Pragnął ciągnąć ten pojedynek na krzyki i takie wczesne wycofanie się przeciwnika nie satysfakcjonowało go.

– Żeby mi się to więcej nie powtórzyło – powiedział gburowato.

Philip się nie odezwał. Ostatnie słowo musiało należeć do zakrystiana i jakakolwiek uwaga wywołałaby kolejną replikę. Stał tedy, patrząc w ziemię i zaciskając usta, podczas gdy Andrew przez kilka chwil przeszywał go pełnym wściekłości wzrokiem, aż w końcu obrócił się na pięcie i odszedł z podniesioną głową.

Mnisi wpatrywali się w Philipa. Było mu przykro, gdyż brat Andrew upokorzył go, ale musiał to znieść, bo dumny mnich to zły mnich. Nie odzywając się do nikogo, opuścił krużganek.

Cele mnichów zajmowały południowe skrzydło krużgankowego dziedzińca, dormitorium mieściło się w narożniku południowo-wschodnim, a refektarz w narożniku południowo-zachodnim. Philip poszedł w kierunku zachodnim, mijając refektarz. Ponownie znalazł się w dostępnej dla wszystkich części dziedzińca, w pobliżu stajni i domu gościnnego. Tutaj, w rogu południowo-zachodnim, mieścił się dziedzińczyk kuchenny z trzech stron otoczony przez kuchnię, piekarnię i browarek. Na dziedzińcyku stał wóz kopiasto wyładowany rzepą. Philip wspinał się po schodkach do drzwi kuchni i wszedł do środka.

Powietrze uderzyło go jak obuchem. Było gorące, ciężkie od zapachów. Wokół panował hałas od stukotu rondli i wykrzykiwanych poleceń. Trzej kucharze, czerwoni od gorąca i pośpiechu, przygotowywali obiad. Pomagało im sześciu czy siedmiu kuchcików. Dwa wielkie paleniska buzowały w rogach pomieszczenia. Spocony chłopak obracał nad każdym z nich po dwadzieścia albo więcej ryb nadzianych na rożny. Zapach sprawił, że Philipowi napłynęła do ust ślina. W wielkich żelaznych, napełnionych wodą garnkach, wiszących nad ogniem, gotowano całe marchwie. Dwu młodych ludzi stało przy pieńkach i kroilo długie na jard bochenki białego chleba w grube kromki zastępujące talerze. Nad tym pozornym chaosem panował jeden mnich: brat Milius, kuchmistrz mniej więcej w wieku Philipa. Siedział na wysokim stołku i obserwował gorączkową krzątanicę z niezmaconym uśmiechem, jakby wszystko było doskonale zorganizowane – tak też to wyglądało dla doświadczonego oka.

– Dzięki za ser, bracie – rzekł i uśmiechnął się do Philipa.

– A, tak. – Zapomniał już o tym, tyle się wydarzyło od czasu jego przybycia. – Robi się go wyłącznie z mleka z porannego udoju. Przekonasz się, że smakuje ciut inaczej.

– Już mi ślinka cieknie. No, ale ty wyglądasz ponuro. Czy stało się coś złego?

– Nie, nic. Trochę się starłem z bratem Andrew. – Philip machnął ręką lekceważąco. – Mógłbym dostać jakiś gorący kamień?

– Oczywiście.

Przy kuchennych paleniskach zawsze przygotowywano kilka kamieni, by używać ich do szybkiego podgrzewania niewielkich ilości wody czy zupy.

– Brat Paul ma odmrożenia – wyjaśnił – a Remigius nie pozwala na rozpalenie ognia. – Podniósł ze środka paleniska gorący kamień za pomocą długich żelaznych szczypiec.

Milius otworzył kredens i wyjął kawał starej skóry, kiedyś pewnie będącej fartuchem.

– Owiń go tym.

– Dzięki – położył kamień na środku płachty i szybko zawinął rogi.

– Pośpiesz się – rzekł Milius – obiad jest już gotowy.

Philip machnął ręką i opuścił kuchnię. Przeszedł dziedzińczyk i skierował się do bramy. Po lewej stronie, tuż przy zachodnim murze, stał młyn. Wiele lat temu, by doprowadzić wodę z rzeki do młyna, powyżej klasztoru wykopano kanał. Po wprawieniu młyna w ruch woda płynęła podziemnym kanałem do browaru, kuchni i fontanny w wirydarzu, gdzie mnisi myli ręce przed posiłkiem, a w końcu do latryny w pobliżu dormitorium, następnie kanał skręcał na południe i wracał do rzeki. Jeden z dawnych przeorów musiał być mądrym budowniczym, pomyślał Philip.

Zauważył, że przy wrotach leży kupa brudnej słomy, to znaczy, że stajenni podporządkowali się jego poleceniom i czyścili stajnię. Przeszedł przez bramę i skierował się ku mostowi.

Czy strofowanie młodego Williama Beauvisa było z mej strony zarozumiałością? – zastanawiał się, mijając chaty. Doszedł do wniosku, że źle by postąpił, gdyby nie zareagował.

Wsadził głowę do budki zajmowanej przez brata Paula.

– Ogrzej sobie tym stopy. – Podał mu gorący kamień zawinięty w skórę. – Kiedy wystygnie trochę, zdejmij tę skórę i połóż stopy na gołym kamieniu. Powinien być ciepły do zmierzchu.

Stary mnich podziękował gorąco. Zdjął sandały i nie zwlekając, położył stopy na zawiniątku.

– Już czuję, jak ból ustępuje.

– Jeśli wieczorem wsadzisz kamień do kuchennego ognia, to na rano będzie znowu gorący – powiedział mu Philip.

– A brat Milius nie będzie się sprzeciwiał? – zapytał Paul nerwowo.

– Ręczę za to, że nie.

– Jesteś dla mnie bardzo dobry, bracie Philipie.

– To drobiazg – odrzekł, odchodząc, nim podziękowania stały się krępujące. To przecież tylko gorący kamień.

Wrócił do klasztoru, wszedł na krużganek i umył ręce w kamiennym basenie, po czym udał się do refektarza. Jeden z mnichów czytał na głos, stojąc przy pulpicie. Mnisi powinni jeść w ciszy i słuchać lektora, ale hałas czyniony przez przeszło czterdziestu mnichów pozwalał na sprzeczne z regułą szept. Philip zajął wolne miejsce przy jednym z długich stołów. Mnich siedzący obok jadł z ogromnym smakiem. Mruknął:

– Dzisiaj świeża ryba.

Philip skinął głową. Widział rybę w kuchni. Zaburczało mu w brzuchu.

– Słyszeliśmy, że w klasztorze Świętego Jana z Lasu jadacie świeże ryby codziennie. – W głosie sąsiada zadźwięczała zawiść.

– Codziennie to mamy drób.

Mnich wydawał się jeszcze bardziej zazdrościć.

– Tutaj solona ryba jest sześć razy w tygodniu.

Posługujący położył gruby talerz z chleba przed Philipem i rzucił nań rybę pachnącą ziołami brata Miliusa. Przeor już miał odciąć apetyczny kąsek swym nożykiem, kiedy brat Pierre, siedzący przy drugim końcu stołu, wstał i wskazał na niego. Co tam znowu? – pomyślał Philip.

– Bracie Philipie! – przerwał regułę milczenia, do czego miał prawo, jako odpowiedzialny za porządek.

Mnisi przestali jeść i zapadła cisza.

Philip, z nożykiem nad rybą, podniósł z wyczekiwaniem wzrok.

– Reguła głosi, że dla spóźnionych nie ma obiadu – rzekł pedel.

Philip westchnął. Nic dzisiaj mu się nie udaje. Odłożył nożyk, podał chleb z rybą posługującemu, po czym skłonił głowę, by słuchać czytania.

Po obiedzie, w czasie przeznaczonym na odpoczynek, Philip poszedł do spiżarni pod kuchnią, by porozmawiać z bratem Cuthbertem, zwanym Białogłowy. Spiżarnia była wielką, ciemną jaskinią o niskich, grubych filarach i wąskich okienkach. Powietrze było suche i wypełnione wonią zgromadzonych zapasów: chmielu i miodu, pomarszczonych jabłek i suszonych ziół, sera i winnego octu. Brata Cuthberta, klucznika, zwykle można było znaleźć właśnie tutaj, zajęcie jego bowiem nie pozostawiało wiele czasu na udział w nabożeństwach, co odpowiadało jego usposobieniu: nie miał zbyt wielkiego zainteresowania dla spraw duchowych, natomiast zręcznie zajmował się sprawami przyziemnymi. Stanowił przeciwieństwo zakrystiana: zadaniem Cuthberta było gromadzenie plonów z gospodarstw klasztornych i dzierżaw oraz kupowanie wszystkiego, czego sami mnisi i ich słudzy nie mogli wytworzyć. Ta praca wymagała starannego planowania i rachowania. Cuthbert nie czynił wszystkiego sam. Brat Milius odpowiadał za przygotowanie posiłków według jego poleceń; był też mnich zajmujący się gośćmi odwiedzającymi klasztor; infirmer opiekujący się chorymi i starymi w oddzielnym budynku zwanym infirmerią, oraz kwestarz. Ci trzej ostatni byli jednak w znacznym stopniu niezależni. Mimo pomocników brat Cuthbert miał dużo pracy, a dodać trzeba, że wszystkie sprawy musiał zapamiętać, bo jego zdaniem wstydem byłoby marnowanie pergaminu i atramentu. Philip podejrzewał, że powodem tej oszczędności było to, iż Cuthbert nigdy nie nauczył się dobrze pisać i czytać. Włosy klucznika pobielały jeszcze w dzieciństwie, stąd przydomek Białogłowego. Teraz jednak, po sześćdziesiątce, pozostawał

stały mu tylko kępki włosów wyrastające z nosa i uszu, tak gęste, jakby miały kompensować łysinę. Ponieważ Philip pełnił kiedyś funkcję klucznika, rozumiał problemy Cuthberta i z sympatią traktował gderania. Wskutek tego Cuthbert lubił Philipa i okazywał mu zainteresowanie. Wiedząc, że pozbawiono go obiadu, wyjął z beczki pół tuzina gruszek. Były nieco pomarszczone, lecz smaczne i Philip jadł je z wdzięcznością, podczas gdy klucznik narzekał na finanse klasztoru.

– Nie potrafię zrozumieć, jak klasztor popadł w długi – rzekł Philip z pełnymi ustami.

– Nie powinien – odparł Cuthbert. – Ma więcej ziemi niż kiedykolwiek i dostaje więcej dziesięcin z kościołów parafialnych.

– No to czemu nie jest bogaty?

– Znasz system, jakim się tu posługujemy: majątek klasztoru jest w większości podzielony. Zakrystian ma swoje grunta, ja mam swoje, mniejsze działki przypadają mistrzowi nowicjuszy, opiekunowi gości, infirmerowi i kwestarzowi. Reszta należy do przeora. Każdy wykorzystuje dochody z przydzielonych mu części na zaspokojenie potrzeb w tej dziedzinie, którą się zajmuje.

– Gdzie tkwi błąd?

– No, o majątek trzeba dbać. Na przykład: puszczaemy w dzierżawę kawałek gruntu. Nie możemy tak po prostu oddać go temu, kto obieca najwięcej. Jesteśmy zobowiązani zatroszczyć się o dobrego dzierżawcę i doglądać, czy właściwie prowadzi gospodarstwo. W przeciwnym razie pastwiska nasiąkną wodą, ziemia się wyjałowi, a dzierżawca nie będzie w stanie zapłacić powinności, zwróci więc ziemię klasztorowi, ale wyjałowioną. To samo dotyczy folwarku, który uprawiany jest przez pracowników, a kierowany przez mnichów. Jeśli odwiedza się go tylko po to, żeby zabrać zyski, mnisi stają się niedbali i zepsuci, wyrobnicy kradną plony i folwark przynosi z każdym rokiem coraz mniej. Nawet kościół wymaga doglądania. Nie możemy tylko pobierać dziesięciny. Musimy skierować do niego księdza znającego łacinę i prowadzącego świątobliwy

tryb życia. W przeciwnym wypadku ludzie popadną w grzech, będą pobierać się, rodzić i umierać bez błogosławieństwa Kościoła, no i zaczną oszukiwać na dziesięcinach.

– Ci, którym powierzono majątek, powinni wywiązywać się ze swych obowiązków we właściwy sposób – rzekł Philip, kończąc ostatnią gruszkę.

Cuthbert nabrał kubkiem wina z beczki.

– Powinni, ale mają co innego na głowie. A swoją drogą, co taki mistrz nowicjuszy wie o gospodarstwie? Dlaczego infirmer miałby być zdolnym zarządcą nieruchomości? Oczywiście przeor mógłby ich jakoś zmusić, by po gospodarstwu podchodzili do tego, co daje im utrzymanie. Ale od trzynastu lat mamy słabego przeora i teraz brak nam pieniędzy na naprawę kościoła katedralnego, jemy solone ryby sześć razy w tygodniu, szkoła świeci pustkami, bo nowicjusz jest niewielu, a do domu gościnnego nikt nie zagląda.

Philip sączył wino w posępnym milczeniu. Trudno mu było myśleć spokojnie o tak jawnym marnowaniu darów bożych. Chciał złapać odpowiedzialnego za ten stan rzeczy, kimkolwiek był, i potrząsać tak długo, aż zrozumiałby, co uczynił, i znalazł właściwe wyjście. W tym jednak wypadku osoba odpowiedzialna leżała za ołtarzem w trumnie. Co zresztą dawało jakiś mały płomyk nadziei.

– Wkrótce będzie nowy przeor – powiedział. – Powinien wszystko doprowadzić do porządku.

Cuthbert rzucił mu zdziwione spojrzenie.

– Remigius? Do porządku?

– Remigius zamierza zostać nowym przeorem, tak? – Nie był pewien, co Cuthbert ma na myśli.

– Na to wygląda.

To Philipa przeraziło.

– Ależ on nie jest lepszy niż przeor James! Dlaczego bracia chcą na niego głosować?

– Cóż, są podejrzliwi wobec przybyszów, więc nie będą głosować na kogoś, kogo nie znają. Oznacza to, że przeorem musi zostać ktoś z nas. A Remigius był zastępcą przeora, najstarszym rangą mnichem.

– Nie ma przecież takiego obowiązku, by wybierać najstarszego – zaprotestował Philip. – Mógłby to być ktoś inny spośród zarządzających klasztorem. Na przykład ty.

Cuthbert kiwnął głową.

– Już mnie pytano. Odmówiłem.

– Ale dlaczego?

– Starzeję się, Philipie. Z pracą, którą wykonuję, już bym sobie nie poradził, gdyby nie moje doświadczenie. Odrobina odpowiedzialności więcej to już dla mnie byłoby za wiele. Z pewnością zaś nie mam dość energii na to, by reformować klasztor tak podupadły. Okazałbym się w końcu nie lepszy od Remigiusa.

Philip wciąż nie mógł uwierzyć.

– Są jeszcze inni: zakrystian, mistrz nowicjuszy...

– Mistrz nowicjuszy jest starszy ode mnie i bardziej jeszcze zmęczony. Opiekun gości jest żarłokiem i pijakiem. Natomiast zakrystian i pedel zobowiązali się do głosowania na Remigiusa. Dlaczego? Nie wiem, ale się domyślam. Powiedziałbym, że Remigius obiecał promować zakrystiana na swego zastępcę, a zakrystianem w nagrodę za poparcie zostanie ten drugi.

Philip oparł plecy o worki z mąką.

– Powiadasz mi więc, że w istocie Remigius już przeprowadził wybory.

Cuthbert nie odpowiedział od razu. Wstał i podszedł do ściany, pod którą stały: drewniana wanna pełna żywych węgorzy, kubek czystej wody, beczka z solanką.

– Pomóż mi. – Wyjął nóż, wybrał węgorza z koryta, uderzył jego łbem o kamienną podłogę i wypatroszył. Ciągłe jeszcze drgającą rybę podał Philipowi. – Oplucz ją w kuble, a potem wrzuć do beczki. To powinno zaspokoić nasze

apetyty w czasie Wielkiego Postu.

Philip jak najdokładniej przepłukał w kuble jeszcze półżywego węgorza, potem wrzucił go do beczki z solanką.

Cuthbert wypatroszył następnego i rzekł:

– Nie ma innej możliwości: kandydat musiałby dorównać rangą tym, którzy pełnią swoje funkcje na mocy obediencji, może z wyjątkiem subprzeora.

– Kogo masz na myśli?

– Ciebie.

– Mnie?! – Philipa tak zaskoczyło to stwierdzenie, że upuścił węgorza na ziemię. Rzeczywiście był równy rangą zgodnie z regułą obediencji, ale nie uważał siebie za równego zakrystianowi czy innym, bo przecież oni byli o wiele starsi. – Jestem za młody...

– Pomyśl o tym – rzekł Cuthbert. – Spędziłeś całe życie w klasztorze. Byłeś klucznikiem w wieku dwudziestu jeden lat. Potem zostałeś przeorem naszej małej wspólnoty i jesteś nim prawie pięć lat. Zreformowałeś ten klasztor. Dla każdego jest jasne, że ręka Boża ciebie wskazuje.

– Ręka Boża wskazuje nas wszystkich – powiedział Philip wymijająco. Oszłomiła go nieco opinia klucznika. To prawda, że chciał nowego, energicznego przeora w Kingsbridge, ale nie myślał nigdy o sobie. – Cóż, może byłbym lepszym przeorem niż Remigius – rzekł w zamyśleniu.

Cuthbert wyglądał na zadowolonego.

– Jeśli czegoś ci brakuje, Philipie... Nie, jeśli czymś grzeszysz, to niewinnością!

– Co masz na myśli?

– Nie widzisz niskich pobudek postępowania ludzi. Większość z nas, tak. Na przykład już teraz cały klasztor przypuszcza, że jesteś kandydatem i przybyłeś, aby ubiegać się o głosy.

– Na jakiej podstawie tak sądzą? – Philip oburzył się.

– Spróbuj przyjrzeć się temu, co robisz, tak jakby to czynił umysł podejrzli-

wy. Przybyłeś wkrótce po śmierci przeora Jamesa, więc wygląda na to, że masz kogoś, kto ci o tym doniósł.

– Jak mógłbym to zorganizować?

– Nie wiedzą jak, ale wierzą, że jesteś mądrzejszy niż oni. – Cuthbert zebrał wypatroszone węgorki. – I popatrz na swe dzisiejsze zachowanie. Przyszedłeś i kazałeś posprzątać stajnie. Potem poradziłeś sobie z psimi figlami podczas sumy. Rozmawiałeś z Williamem Beauvisem o przeniesieniu, a wszyscy wiedzą, że przeniesienia należą do kompetencji przeora. Pośrednio skrytykowałeś Remigiusa, zanosząc gorący kamień bratowi Paulowi. A w końcu przyniosłeś znakomity ser do kuchni, wszyscy po obiedzie dostali po kawałku. Chociaż nikt nie powiedział, skąd ten ser, wszyscy doskonale znają smak sera od Świętego Jana z Lasu.

Philip był wzburzony tym, że ktoś mógł w ten sposób tłumaczyć sobie jego posunięcia.

– Przecież to wszystko mógł zrobić każdy!

– Każdy mógł wykonać jedną z tych rzeczy. Żaden z nas nie zrobiłby wszystkich. Ty przyszedłeś i objąłeś dowództwo! Już zacząłeś reformować! I oczywiście zwolennicy Remigiusa zaczęli się bronić. Dlatego brat Andrew karmił cię na kruzganku.

– To wyjaśnia jego zachowanie! Zastanawiałem się, co go napadło. – Philip płukał węgorki w zamyśleniu. – Przypuszczam też, że wyrzucenie mnie z obiadu spowodowane było tym samym.

– W rzeczy samej. Sposób na poniżenie ciebie w oczach mnichów. Podejrzewam jednak, że oba wypadki odbiły się rykoszetem, a to dlatego, że żadna z nagan nie była usprawiedliwiona, a ty przyjąłeś je z pokorą.

– Tak samo jak święci.

– Bije dzwon na nonę. Resztę węgorki zostaw mi. Po nabożeństwie jest godzina studiów i dozwolona jest dyskusja na kruzganku. Wielu braci zechce z tobą pomówić.

– Nie tak szybko. Nie stanę do wyborów tylko dlatego, że ludziom się wydaje, iż ja chcę być przeorem. – Przeraziła go perspektywa wyborczych sporów, nie miał także pewności, czy chce porzucić swój dobrze zorganizowany klasztor w lesie i zabrać się do rozwiązywania ogromnych problemów Kingsbridge. – Potrzebuję czasu do namysłu – bronił się.

– Wiem – Cuthbert podniósł się i spojrzął mu w oczy. – Kiedy już zaczniesz myśleć, to proszę, byś pamiętał o tym, że nadmierna duma jest grzechem znajomym i powszechnym, ale człowiek równie dobrze może sprzeciwić się woli Boga przez nadmierną skromność.

– Zapamiętam – skinął głową. – Dziękuję.

Opuścił spiżarnię i ruszył w stronę krużganku. W głowie miał zamęt. Dołączył do innych i wszedł z nimi do kościoła. Bardzo go podniecała myśl o przyszłości Kingsbridge. Przez lata gniewało go nieporządne prowadzenie spraw klasztoru, teraz zaś, być może, będzie miał szansę poukładania ich samemu. Nagle pomyślał, że nie zdoła, że nie jest to jedynie kwestia dostrzeżenia zła i zaradzenia mu, ale coś więcej. Trzeba przekonać ludzi, zarządzać majątkiem, a pieniądze muszą się znaleźć. To praca dla naprawdę mądrej głowy. Odpowiedzialność może się okazać zbyt wielka.

Kościół, jak to zwykle bywało, uspokoił go. Po porannych harcach mnisi stali cisi i poważni. Kiedy słuchał znajomych fraz nabożeństwa, mruzczał odpowiedzi jak zawsze od tak wielu lat. I wtedy dopiero poczuł się dość czysty wewnątrz, by jeszcze raz wszystko spokojnie przemyśleć.

Czy chcę być przeorem Kingsbridge? – zapytał siebie, a odpowiedź przyszła błyskawicznie: „Tak!”. By pokierować tym niszczącym kościołem tysiąca wiernych mówiących *Ojciec nasz*. Już chociażby dlatego chciał zostać przeorem. Następnie sprawa własności klasztornej, którą trzeba na nowo ożywić i zreorganizować, uczynić dostatnią, zdrową i owocną, jak dawniej. Chciał widzieć gromadkę małych chłopców uczących się czytać i pisać. Chciał gościnnego domu pełnego światła i ciepła, by baronowie i biskupi przybywali z wizytą

i obdarowywali klasztor cennymi podarkami przed wyjazdem. Chciał utworzyć bibliotekę, gdzie wypełniłby półki książkami o mądrości i pięknie. Tak, chciał być przeorem Kingsbridge.

Czy mam jakieś inne powody? Czy w moim sercu czuję dumę, kiedy wyobrażam sobie siebie jako przeora Kingsbridge, dokonującego wszystkich tych ulepszeń na Bożą chwałę?

O tak.

Nie mógł się oszukiwać, nie tutaj, w chłodnej i pełnej świętości atmosferze kościoła. Głównym celem była chwała Boga, ale jego chwała też była przyjemna. Podobało mu się wydawanie poleceń, którym nikt nie mógł się przeciwstawić. Widział siebie podejmującego decyzje, czyniącego sprawiedliwość, dającego rady i dodającego ducha, wymierzającego kary i udzielającego łask. Wyobrażał sobie ludzi mówiących: „Philip z Gwynedd zreformował to miejsce. Przynosiło wstyd, kiedy obejmował ten urząd, a teraz popatrzcie!”.

Bo ja pragnę czynić dobro, pomyślał. Bóg dał mi umysł zdatny do zarządzania majątkiem i zdolności do kierowania ludźmi. Dowiodłem tego wcześniej jako klucznik i jako przeor klasztoru Świętego Jana. Kiedy ja poprowadziłem sprawy, ludzie stali się szczęśliwsi. W moim klasztorze starzy bracia nie będą mieli odmrożeń, a młodzi nie będą się zniechęcać i psuć z braku pracy. Zaopiekuję się ludźmi.

Z drugiej strony zarówno Gwynedd, jak Święty Jan z Lasu to drobnostka w porównaniu z klasztorem Kingsbridge. Gwynedd zawsze dobrze prowadzono, a jego klasztor miał kłopoty, ale to mała wspólnota, łatwa do opanowania, każdego można dobrze poznać. Reforma Kingsbridge to sprawa na całe życie. Tygodnie miną, zanim pozna źródła dochodów i dowie się, ile ma ziemi, jakie są grunty i gdzie się znajdują. Dotarcie do porzucanych majątków, rozpatrzenie ich spraw, uchwycenie błędów, potem ich poprawienie, a wreszcie doprowadzenie do rozkwitu – to może zająć lata. Wszystko, co zrobił w klasztorze Świętego Jana, polegało na wdrożeniu tuzina młodych ludzi do solidnej pracy

w polu oraz nauczaniu ich uczestnictwa w modlitwach i nabożeństwach.

No, zgoda, zastanawiał się, moje motywacje nie są czyste, a zdolności wątpliwe. Być może powinienem odmówić. W ten sposób mógłbym uniknąć grzechu pychy. Jednakże, jak to mówił Cuthbert? „Człowiek równie dobrze może sprzeciwić się woli Boga przez nadmierną skromność”.

W końcu spytał siebie, o co może chodzić Bogu? Czy Bóg może chcieć Remigiusa? Mam na pewno więcej predyspozycji niż on i moje motywacje raczej są czyste. Czy jest inny kandydat? Nie teraz. Dopóki Bóg nie przedstawi trzeciej możliwości, musimy przyjąć, że wybór jest jedynie między mną a nim. On naturalnie będzie prowadził klasztor dotychczasową drogą, jak wtedy gdy przeor James chorował. To znaczy, że będzie niedbały i opieszwały, a także pozwoli klasztorowi popadać w ruinę. A ja? Znadto ufam własnym siłom, mimo że moje zdolności nie zostały jeszcze dowiedzione; ja spróbuję zreformować klasztor, a jeśli Bóg da mi dość siły, to uda mi się!

Dobrze zatem, zwrócił się do Boga, kiedy nabożeństwo zmierzało ku końcowi. Przyjmę nominację i ze wszystkich swoich sił będę walczył o wygraną w wyborach. A jeśli mnie nie zechcesz, Boże, to musisz mnie powstrzymać jakimś swoim sposobem.

Philip nie znał zasad wyboru przeora. W mnisim życiu to było wydarzenie. Przede wszystkim dlatego, że wówczas stawali się sobie równi, nie obowiązywało ich posłuszeństwo.

Dawno, dawno temu, o ile legendom można ufać, mnisi byli równi we wszystkim. Jakaś grupa mężczyzn decydowała się na to, by odwrócić się plecami do świata żądz cielesnych i zbudować na odludziu świątynię, gdzie mogliby wieść życie na modlitwach i umartwianiu się. Wybierali kawałek jałowej ziemi, karczowali las lub osuszali bagno, wspólnie uprawiali rolę i razem budowali kościół. W tamtych dniach naprawdę byli jak bracia. Przeor był jedynie pierw-

szym wśród równych, a wszyscy przysięgali posłuszeństwo Regule świętego Benedykta, a nie urzędnikom klasztornym. Teraz z tamtej pierwotnej demokracji zostało jedynie wybieranie przeora i opata.

Niektórzy mnisi czuli się źle z tą nagłą koniecznością podjęcia samodzielnej decyzji. Zależało im na podpowiedzi, na kogo mają głosować, a nawet mówili, że sprawę wyborów należy zostawić konwentowi. Inni z kolei nadużywali swych przywilejów i bywali krnąbrni lub domagali się jakichś faworów w zamian za poparcie. Większość zaś niepokoila się o to, jaka decyzja okaże się właściwa.

Tego popołudnia na krużganku Philip rozmawiał z większością mnichów, czy to pojedynczo, czy to w małych grupach, otwarcie przyznając się, że pragnie zostać przeorem. Przekonywał, że mimo swej młodości okaże się lepszy niż Remigius. Odpowiadał na pytania, których większość odnosiła się do porcji pożywienia i napojów. Na zakończenie zwrócił się do swoich słuchaczy tymi słowami:

– Jeśli każdy z nas podejmie decyzję po przemyśleniu, a w modlitwie poprosi Boga o oświecenie, wówczas Bóg pobłogosławi owoc. – Było to roztropne i on również w to wierzył.

– Wygramy – cieszył się brat Milius następnego ranka w kuchni, kiedy wraz z Philipem jedli posiłek składający się z razowca i małego kubka piwa. Obok chłopcy do pomocy rozpalali ogień.

Brat Milius, protegowany Cuthberta i jego zwolennik, był bystrym i porywczym młodym mężczyzną. Twarz okalały mu proste ciemne włosy, rysy miał łagodne i regularne. Podobnie jak Cuthbert, szczęśliwy był, gdy mógł służyć Bogu konkretnym czynem, dlatego przedkładał pracę nad nabożeństwa. Do jego optymizmu Philip odniósł się podejrzliwie.

– Skąd taki wniosek?

– Wszyscy, którzy w klasztorze trzymają z Cuthbertem, popierają ciebie: infirmer, mistrz nowicjuszy, ja... bo my wiemy, że ty znasz się na zaopatrzeniu,

a w ostatnich czasach mamy z tym kłopoty. Spośród zwyczajnych mnichów wielu będzie za tobą z podobnych powodów; uważają oni, że lepiej poprowadzisz sprawy majątkowe klasztoru, co zaowocuje większą wygodą i lepszym jedzeniem.

Philip zmarszczył się.

– Nie chciałbym nikogo wprowadzać w błąd. U mnie pierwszeństwo będzie mieć naprawa kościoła i godna modlitwa.

– Właśnie, oni mają tę świadomość – powiedział Milius pośpiesznie. – Dlatego opiekun gości i jeszcze paru będą głosować na Remigiusa. Wolą niedbałe zarządzanie i spokojne życie. Inni popierający Remigiusa przewidują, że kiedy zostanie przeorem, otrzymają od niego jakieś specjalne przywileje, wiesz, chodzi o funkcje zakrystiana, pedela, skarbnika i tak dalej. Kantor jest przyjacielem zakrystiana, ale jeśli przyrzekniesz mu, że naznaczysz bibliotekarza, to weźmie naszą stronę.

Philip skinął głową.

– To w ogóle jest dobry pomysł. Potrzebujemy bibliotekarza, by powiększyć nasze zbiory.

Milius wstał ze stołka i zaczął ostrzyć kuchenny nóż. Rozpierała go energia, musiał czymś zająć ręce.

– Do głosowania jest uprawnionych czterdziestu czterech mnichów. Było czterdziestu pięciu, ale jeden zmarł. Według moich szacunków – mówił Milius – po naszej stronie mamy osiemnastu, a Remigius dziesięciu, co oznacza, że niezdecydowanych jest szesnastu. Potrzebujemy większości, czyli dwudziestu trzech. Wobec tego musisz przekonać jeszcze pięciu.

– Kiedy tak to przedstawiasz, wszystko wydaje się łatwe. Ile czasu nam zostało?

– Nie wiem. To my określamy termin, ale jeżeli zrobimy to zbyt pochopnie, biskup może nie zatwierdzić naszego wyboru. Jeśli zaś termin będzie zbyt odległy, może nam go narzucić. Biskup ma także prawo wyznaczyć kandydata.

Prawdopodobnie nie został jeszcze powiadomiony o śmierci przeora Jamesa.

– Czyli mamy dużo czasu.

– Tak. Gdy już się upewnimy, że mamy większość, ty musisz wrócić do klasztoru w lesie i pozostawać tam, dopóki wszystko się nie skończy.

– Dlaczego? – Philip był zbity z tropu tym projektem.

– Zbytnią zażyłość czyni człowieka niegodnym uwagi. Wybacz mi, jeśli zabrzmiało to bez poszanowania – Milius w podnieceniu wymachiwał nożem – ale sam zapytałeś. W tej chwili otacza cię podziw, jesteś szanowaną świątobliwą postacią, szczególnie dla młodszych mnichów. Dokonałeś cudów w swoim klasztorze, reformując go i czyniąc samowystarczalnym. Dbasz o dyscyplinę, ale karmisz dobrze. Jesteś urodzonym przywódcą, a jednak potrafisz skłonić głowę i przyjąć naganę jak najmłodszy nowicjusz. Znasz Pismo Święte i wyrabiasz najlepszy ser w okolicy.

– A ty przesadzasz.

– Niewiele.

– Nie wierzę, by mnisi mogli o mnie tak myśleć. To sprzeczne z moją naturą.

– Z pewnością – tę uwagę Milius przyjął wzruszeniem ramion. – Stracisz tę aureolę, kiedy tu zostaniesz. Zobaczą, jak dłubiesz w zębach i drapiesz się w tyłek, usłyszą, że chrapiesz i pierdzisz, dowiedzą się, jaki jesteś, gdy nie masz humoru albo się rozzłościsz, kiedy twa duma zostanie zraniona lub rozboli cię głowa. Nie chcemy, żeby tak się stało. Niech przyglądają się dzień po dniu, jak Remigius potyka się i płacze, podczas gdy twój obraz pozostanie w ich pamięci nieskazitelny i pełen blasku.

– Nie podoba mi się to – powiedział Philip z zakłopotaniem w głosie. – Jest w tym jakieś oszukaństwo.

– Nie ma w tym nic nieuczciwego! – zaprotestował Milius. – Jest to prawdziwy obraz twojej postawy w służbie Bogu i klasztorowi i słuszna ocena złego postępowania Remigiusa.

Philip potrząsnął głową.

– Nie będę udawał anioła. W porządku, nie zostanę tutaj, do lasu muszę wrócić tak czy owak. Ale z braćmi musimy być uczciwi. Prosimy ich o wybór niedoskonałego, omylnego człowieka, który będzie potrzebował ich pomocy i ich modlitw.

– Powiedz im to! – entuzjastycznie zawołał Milius. – To doskonale! Spodoba się im.

Niepoprawny, pomyślał Philip i zmienił temat.

– A co myślisz o tych braciach, którzy się jeszcze nie zdecydowali?

– Są konserwatywni – bez wahania odrzekł Milius. – Postrzegają Remigiusa jako starszego człowieka, który wprowadzi mniej zmian, a którego działania i reakcje można przewidzieć. Poza tym widzą w nim przełożonego.

– A na mnie patrzą ostrożnie, jak na obcego psa, który może ugryźć.

Zabrział dzwon na zebranie kapituły. Milius wypił resztę piwa ze swego kubka.

– Możesz się spodziewać teraz ataku, Philipie. Nie potrafię przewidzieć, jaką przybierze formę, będą się jednak starali przedstawić cię jako młodego, niedoświadczonego, zawziętego i niesolidnego. Musisz być spokojny, ostrożny i rozumny, a obronę zostaw mnie i Cuthbertowi.

Philip trochę się złął. To nowy sposób myślenia – zastanawiać się nad każdym ruchem i nad tym, co sądzą inni. Niechęć wkradła się do jego głosu, gdy mówił:

– Zwykle myślałem tylko o tym, jak Bóg oceni moje zachowania.

– Wiem, wiem – rzekł Milius niecierpliwie. – Nie jest jednak grzechem pomóc prostszym ludziom zobaczyć twe działania we właściwym świetle.

Philip znów się zmarszczył. Milius był niepokojąco wiarygodny.

Wyszli z kuchni i udali się na krużganek. Czy powinien stłumić gniew, by wydać się spokojnym i Bóg wie jeszcze jakim? Ale, jeśli tak zrobi, czy bracia nie pomyślą, że te kłamstwa zawierają prawdę? Postanowił pozostać sobą, no

może z lekkim tonem powagi i majestatu.

Sala kapitulna mieściła się w małym okrągłym budynku przylegającym do krużganku od wschodu. Jej umeblowanie stanowiły ustawione w krąg drewniane ławy. Nie było tam ognia, więc po kuchni wydawała się zimna. Światło wpadało przez wąskie okna, umieszczone powyżej poziomu wzroku – spoglądać tedy można było jedynie na innych mnichów, siedzących wokół.

To właśnie czynił Philip. Obecne było niemal całe zgromadzenie. Byli mni-si w różnym wieku, od lat siedemnastu do siedemdziesięciu, niscy i wysocy, ciemnowłosi i jasnowłosi, wszyscy w habitach z surowej wełny i skórzanych sandałach. Był opiekun gości – krągły brzuch i czerwony nos przypominał jego wady. Wady, które mogłyby być wybacalne, pomyślał Philip, gdyby kiedykolwiek miał gości. Był szambelan, zmuszający mnichów do zmiany szat i golenia się na Boże Narodzenie i Wielkanoc (kąpiel w tym czasie była wskazana, aczkolwiek nieobowiązkowa). Oparty o ścianę siedział najstarszy mnich, drobny, zamyślony, niezmordowany, o włosach bardziej szarych niż białych. Mówił z rzadka, ale rzeczowo i trafnie; prawdopodobnie sam powinien zostać prze-orem, gdyby nie usuwał się w cień. W sali był już także brat Simon, który wciąż uciekał wzrokiem i nie potrafił uspokoić dłoni; wyznawał na spowiedzi grzechy nieczystości tak często, że (Milius szepnął Philipowi na ucho) wydawało się, iż bardziej podoba mu się wyznawanie tego grzechu niż sam grzech. Byli też: brat William Beauvis, zachowujący się jak należy; brat Paul, niekulejący wcale; brat Cuthbert, wyglądający na opanowanego; brat John, zwany Małym, skarbnik; brat Pierre, pedel, który poprzedniego dnia skarcił Philipa, odmawiając mu obiadu. Philip zauważył, że wszyscy mu się przyglądają. Zakłopotany spuścił oczy.

Remigius przyszedł wraz z zakrystianem Andrew. Usiadł obok Pierre'a i Małego Johna. No cóż, pomyślał Philip, nie mają zamiaru nic ukrywać, pokazują, że stanowią odłam.

Zebranie kapituły rozpoczęło się czytaniem o Szymonie Słupniku, średnio-

wiecznym ascecie, którego dzień dziś właśnie przypadał. Pustelnik ten spędził niemal całe swe dojrzałe życie na szczycie słupa. Philip nie wątpił w jego umiejętność samoumartwiania, ale w sercu przechowywał tajoną wątpliwość co do rzeczywistej wartości takiego duchowego dziedzictwa. Tłumy przychodziły, by oglądać Szymona, ale czy przychodziły po to, by się duchowo wznosić, czy raczej, aby popatrzeć na dziwaka?

Po modlitwach przyszedł czas na lekturę Reguły świętego Benedykta. Wybrano rozdział wyznaczony na ten dzień i stosowny do miejsca; od niego właśnie wzięły nazwę i zgromadzenie, i budynek – rozdział poświęcony kapitule. Czytać miał sam Remigius. Kiedy wstał, Philip po raz pierwszy spojrzął na niego oczyma rywala. Widział człowieka o energicznych, zdecydowanych ruchach i mowie, nadających mu pozór osoby kompetentnej, co stało w jaskrawej sprzeczności z jego prawdziwym charakterem. Uważniejsze obserwacje pozwalały dostrzec to, co kryło się za ową fasadą – wypukłe niebieskie oczy błędziły niespokojnie, niezdecydowane usta poruszyły się kilkakrotnie z wahaniem, zanim zaczął czytać, a dłonie rozwierały się i zaciskały bezustannie, mimo że wydawał się spokojny. Posłuch, jakim się cieszył, brał się z arogancji, drażliwości i lekceważącego sposobu traktowania wszystkich, którzy stali niżej w hierarchii.

Philip zastanawiał się, dlaczego subprzeor zdecydował się na czytanie rozdziału osobiście. Zrozumiał to w chwilę później.

„Pierwszym stopniem pokory jest natychmiastowe posłuszeństwo – czytał Remigius. Wybrał rozdział piąty, traktujący o posłuszeństwie, by każdemu przypomnieć o swoim zwierzchnictwie. Taktyka onieśmiania. Chytrze. – Bracia nie żyją według swej woli, nie są posłuszni własnym pożądaniam ni przyjemnościom, lecz poddani rozkazowi i panowaniu innego, trwają w swych klasztorach, z pragnieniami swymi, rządzeni przez opata. Tacy bracia bez wątpienia żyją według Pana naszego. Przychodzę nie z woli własnej, ale z woli Tego, który mnie przysłał”. – Remigius, zgodnie z przewidywaniami, zbierał

się do natarcia: w tej walce on reprezentował ustaloną władzę.

Po odczytaniu rozdziału zwykle następowały pacierze za zmarłych, dzisiaj oczywiście modlono się za duszę zmarłego przeora, Jamesa. Najistotniejsza sprawa – dyskusja o obowiązkach, wyznawanie win i oskarżenia o złe sprawowanie – zamykała zgromadzenie kapituły.

Remigius rozpoczął słowami:

– Wczoraj w czasie sumy doszło do zakłócenia porządku.

Philip poczuł ulgę. Teraz już wiedział, że będzie atakowany.

Nie miał pewności, czy to, co zrobił wczoraj, było właściwe, ale wiedział, dlaczego tak postąpił, i był gotów bronić swej postawy.

– Nie byłem osobiście obecny, przebywałem w domu przeora zajmując się pilnymi sprawami, ale zakrystian opowiedział mi, co zaszło.

Przerwał mu Curthbert Białogłowy:

– Nie gań siebie, bracie Remigiusie, za to, że nie byłeś na sumie – rzekł łagodnym głosem. – W zasadzie wiemy, że interesy klasztoru nie zawsze muszą ustępować przed sumą, ale rozumiemy, że śmierć naszego umiłowanego przeora oznaczała dla ciebie konieczność zajęcia się wieloma sprawami z dziedzin dotychczas nieleżących w twojej kompetencji. Jestem pewny, że wszyscy się zgodzimy, iż nie trzeba wymierzać ci żadnej pokuty.

Przebiegły stary lis, pomyślał Philip. Oczywiście, że Remigius nie miał najmniejszego zamiaru wyznawania swojej winy. Ale słowa Cuthberta uzmysławiały każdemu, że wina była i została zauważona. Teraz zaś, jeśli uczynek Philipa uznają za błąd, można będzie mu zrobić jedynie to co Remigiusowi; Cuthbert stworzył obu podobną sytuację. Na dodatek podsunął myśl, że Remigius ma trudności z wypełnianiem obowiązków przeora, co podważa autorytet subprzeora, a wszystko to osiągnął kilkoma mile brzmiącymi słowami. Remigius wyglądał na rozwścieczonego. Philip czuł, że skurecz triumfu ścisną mu gardło.

Zakrystian Andrew spojrzał oskarżycielsko na klucznika.

– Jestem przekonany, że żaden z nas nie chciał krytykować naszego czci-

godnego brata Remigiusa. Jeśli idzie o zakłócenie, to wywołał je brat Philip z klasztoru Świętego Jana z Lasu.

Wyciągnął on młodego Williama z jego miejsca w stallach, zawiódł do południowej nawy i upominał go tam, podczas gdy ja celebrowałem mszę.

– Wszyscy uważamy, że brat Philip powinien poczekać, aż skończy się nabożeństwo. – Remigius nadał swej twarzy wyraz smutku i nagany.

Philip przyjrzał się mnichom. Nie sprawiali wrażenia zgadzających się ani niezgadających z tym stwierdzeniem. Śledzili wydarzenia niczym widzowie turniejowi, nie zajmując się tym, co dobre, a co złe, ale tym, kto zwycięży. Początkowo chciał protestować: „Jeślibym czekał, to zachowywaliby się źle przez całą sumę”, ale przypomniał sobie radę Miliusa i milczał. Milius odezwał się za niego:

– Ja również naruszyłem nakaz obecności na sumie. Nieszczęściem dla mnie, zdarza mi się to dość często, gdyż sumę odprawia się akurat tuż przed obiadem. Może tedy, bracie Andrew, powiesz, co działo się w stallach, zanim brat Philip podjął działanie. Czy wszystko było w porządku i przyzwoicie?

– Młodzi trochę zbyt kowali – odrzekł nadąsany zakrystian. – Chciałem z nimi o tym pomówić później.

– Jest zrozumiałe, że mogły ci umknąć szczegóły, przecież umysł twój skupiał się na nabożeństwie – rzekł litościwie Milius. – Na szczęście mamy pedela, którego obowiązkiem szczególnym jest zwracanie uwagi na nasze złe zachowania. Powiedz nam, bracie Pierre, co ty zaobserwowałeś.

Wezwany mnich spojrzał wrogo.

– Właśnie to, co przed chwilą powiedział brat Andrew.

– Wygląda na to, że musimy poprosić brata Philipa o wyjaśnienie szczegółów – stwierdził Milius.

Philip doszedł do wniosku, że Milius postąpił bardzo mądrze. Ukazał, że ani brat Andrew, ani brat Pierre nie widzieli, co wyczyniali młodzi mnisi podczas mszy. Mimo wszystko nie był przekonany, czy podjąć grę. Wybór przeora

to nie prześcigiwanie się w spryocie, ta sprawa dotyczy poszukiwania woli Boga. Zawahał się. Milius spoglądał na niego wzrokiem mówiącym: „Oto masz okazję!”. Philip miał jednak w sobie skłonność do uporów, który objawiał się zawsze, gdy ktoś chciał ustawić go w moralnie dwuznacznej sytuacji. Zerknął na kuchmistrza i rzekł:

– Było tak, jak mówili bracia.

Miliusowi twarz się wydłużyła. Patrzył na Philipa z niedowierzaniem. Otworzył usta, ale widać było, że nie wie, co powiedzieć. Philip poczuł się winny, że doprowadził go do takiego upadku ducha. Wytłumaczę mu to później – pomyślał – jeśli nie będzie za bardzo zły.

Remigius już miał na nowo ciskać oskarżenia, gdy rozległ się jakiś inny głos:

– Pragnąłbym coś wyznać.

Wszyscy zwrócili oczy w stronę, z której padły te słowa. William Beauvis, właściwy winowajca, stał i spoglądał ze wstydem na twarzy.

– Rzucałem kulkami z brudu w mistrza nowicjuszy i śmiałem się – powiedział niskim, czystym głosem. – Brat Philip zawstydził mnie. Błagam Boga o przebaczenie i proszę braci o wyznaczenie mi pokuty. – Usiadł pośpiesznie.

Zanim Remigius zdołał zareagować, inny młodzik wstał i rzekł:

– Muszę wyznać! Czyniłem to samo. Proszę o pokutę. – Usiadł.

Nagła potrzeba wyznawania win była zaraźliwa. Wstał trzeci młodzian, czwarty, potem piąty.

Prawda wyszła na jaw pomimo skrupułów Philipa, który nie potrafił opanować uczucia zadowolenia. Widział, jak Milius walczy, by stłumić triumfalny uśmiech. Wyznania jasno ukazały, że w trakcie nabożeństwa tuż pod nosem odpowiedzialnych mnichów doszło nieomal do buntu.

Winnym wyznaczono pokutę. W najwyższym stopniu rozczarowany brat Remigius nakazał im absolutne milczenie przez tydzień. Nie wolno im w tym czasie odzywać się do nikogo, a inni nie mogą zwracać się do nich. Taka kara

była gorsza, niż można byłoby sądzić. Philip odbył podobną kiedyś, za młodu. Nawet jeden dzień takiej kary jest uciążliwy, a cały tydzień to już straszliwa męczarnia.

Remigius w ten sposób dawał upust swemu gniewowi z powodu przegranej. Kiedy przyznali się do winy, nie miał innego wyjścia, jak tylko ukarać ich, aczkolwiek karząc młodych, przyznawał pośrednio rację Philipowi, którego działanie było, jak się okazało, całkowicie słuszne. Atak zupełnie się nie powiódł i Philip triumfował. Mimo lekkiego poczucia winy rozkoszował się tą chwilą.

Na tym jednak sprawa się nie zakończyła.

Ponownie przemówił brat Cuthbert.

– Doszło do jeszcze jednego incydentu, o którym powinniśmy porozmawiać. Chodzi mi o wydarzenie na krużganku, po sumie. – Philip zastanawiał się, co będzie dalej. – Brat Andrew zatrzymał brata Philipa i oskarżył o niestosowne postępowanie. – Oczywiście, że tak, myślał Philip, każdy o tym wie. – A przecież wszystkim nam wiadomo, że miejsce i czas na takie sprawy jest teraz i tutaj, w kapitularku. Przyczyny tego nakazu w naszej regule są uzasadnione. Przez noc nastroje stygną, rano skargi mogą być przedyskutowane w atmosferze spokoju i powściągliwości, a całe zgromadzenie swą zbiorową mądrością łatwiej rozwiązuje problemy. Z żalem jednak muszę powiedzieć, że brat Andrew zapomniał o tej rozsądnej zasadzie i spowodował scenę na krużganku, oskarżając w zdenerwowaniu i przeszkadzając innym. Zostawić takie zachowanie bez osądzenia byłoby nie w porządku wobec młodszych braci, ukaranych za swoje przewiny.

To było bezlitosne i znakomite, pomyślał Philip z uciechą. Kwestia, czy miał rację, wyprowadzając Williama ze stali podczas nabożeństwa, już nigdy nie będzie dyskutowana. Każda próba podjęcia tego tematu obróci się w analizę zachowania oskarżyciela. I tak właśnie powinno być, bo zarzuty wysunięte przez zakrystiana nie były uczciwe. W ten sposób Milius i Cuthbert zdyskredy-

towali Remigiusa i jego dwu głównych zauszników, brata Andrew i brata Pierre'a.

Czerwona zwykle twarz zakrystiana spurpurowiała z furii, a Remigius wyglądał na przestraszonego. Philipa to zadowalało – zasłużyli sobie na to – teraz jednak zaniepokoił się, czy upokorzenie nie posunie się za daleko.

– Nie wypada, aby bracia młodszy omawiali przewiny seniorów – rzekł. – Pozwólmy bratu Remigiusowi załatwić tę sprawę osobiście. – Spoglądając wokół, dostrzegł, że mnisi aprobuja jego wielkoduszność i że mimowolnie zadziałał na własną korzyść.

Wydawało się, że wszystko zakończone, że nastrój zgromadzenia sprzyja Philipowi, który uświadomił sobie, że pozyskał przychylność większości. Wtem Remigius oświadczył:

– Jest jeszcze jedna sprawa, którą muszę podnieść. – Philip studiował twarz subprzeora, który był zdenerwowany. Spojrzał na brata Andrew i brata Pierre'a i dostrzegł, że obaj są zaskoczeni. To coś niezaplanowanego. Czyżby Remigius chciał bronić straconej sprawy? – Większość z was zapewne wie, że biskup może wysunąć kandydatów na przeora i polecić nam, byśmy wzięli ich pod uwagę w rozważaniach. – Remigius zdołał stłumić gniew i znowu stał się spokojny i wyniosły. – Ma także prawo do odrzucenia naszego wyboru, a raczej do niepotwierdzenia go. Taki podział władzy może prowadzić do sporów między biskupem i klasztorem, co niektórzy starsi bracia znają z doświadczenia. W rezultacie może dojść do tego, że biskup nie zatwierdzi naszego kandydata ani my nie zdołamy przeforsować naszego. Tam, gdzie rodzi się konflikt, potrzebne są negocjacje, a rezultat zależy od zdecydowania i jedności wśród braci – szczególnie ich solidarności.

Philip jeszcze się nie zorientował, o co chodzi, ale jego wewnętrzna radość gdzieś się ulotniła.

– Wspominam o tej sprawie dlatego, że otrzymałem dziś dwie informacje – ciągnął Remigius. – Według pierwszej możemy wskazać spośród nas nie tylko

jednego kandydata. – To nikogo nie zaskoczyło, pomyślał Philip. – Druga głosi, że biskup wskaże swego kandydata.

Zapadło ciężkie milczenie. To zła wiadomość. Ktoś spytał:

– Czy wiesz, kogo chce biskup?

– Tak – odrzekł Remigius, a Philip był już pewien, że on kłamie. – Wybór biskupa padł na brata Osberta z Newbury.

Wszyscy byli przerażeni, a jednego czy dwóch aż zatkało. Znali Osberta (syna biskupa z nieprawego łoża), bo pełnił kiedyś funkcję pedela w Kingsbridge. Służbę bożą traktował jako drogę do życia w nieróbstwie i dostatku. Nigdy nie podjął poważniejszej próby dotrzymania swych ślubów, co najwyżej zachowywał pozory i opierając się na ojcowskich uczuciach, starał się unikać kłopotów. Perspektywa objęcia przez niego urzędu przeora była zatrważająca, nawet dla przyjaciół Remigiusa.

Remigius brnął dalej.

– Jeśli my wskażemy dwu kandydatów, bracia, biskup może powiedzieć, że jesteśmy podzieleni i niezdolni do podjęcia decyzji wspólną myślą i wysiłkiem, tedy on musi zadecydować za nas, a my powinniśmy podporządkować się. Jeśli natomiast chcielibyśmy przeciwstawić się wyborowi Osberta, dobrze byłoby, gdybyśmy mieli tylko jednego kandydata. Jednocześnie winniśmy być pewni swego kandydata, to znaczy pewni tego, że niełatwo będzie podważyć jego atuty, na przykład ze względu na młody wiek czy doświadczenie.

Przez zgromadzenie przebiegł pomruk aprobaty. Philip poczuł się przygnębiony. Chwilę przedtem był pewien zwycięstwa, a teraz wymykało mu się z garści. Wszyscy mnisi staną zapewne za Remigiusem, postrzegając go jako kandydata bezpiecznego, kandydata jedności, dzięki któremu odrzucą Osberta. Był pewny, że subprzeor kłamał w kwestii Osberta, ale to nie miało znaczenia.

Zanim ktokolwiek zdołał wypowiedzieć swoje zdanie, Remigius rzekł:

– Rozejdźmy się i pomódlmy o to, by Bóg pomógł nam w przemyśleniu tego problemu i w naszej dzisiejszej pracy. – Wstał i wyszedł, a za nim An-

drew, Pierre i John. Twarze trzech ostatnich zdradzały oszołomienie... i triumf.

Gdy tylko wyszli, rozległ się gwar rozmów.

Milius zwrócił się do Philipa:

– Nigdy nie podejrzewałem Remigiusa, że potrafi tak zręcznie zagrać.

– On kłamie – powiedział Philip z goryczą. – Tego jestem pewny.

Cuthbert podchodził do nich i usłyszał ostatnią uwagę Philipa.

– Nieważne czy skłamał, czy nie, prawda? Sama groźba wystarczy.

– Prawda w końcu wyjdzie na jaw.

– Niekoniecznie – zauważył Milius. – Przypuśćmy, że biskup nie wyznaczy Osberta. Remigius powie, że biskup wycofał się, by uniknąć konfrontacji ze zjednoczonym zgromadzeniem.

– Nie mam zamiaru się poddawać – stwierdził Philip z uporem.

– Cóż jeszcze moglibyśmy zrobić? – spytał Milius.

– Musimy wyjawić prawdę.

– Nie możemy – odpowiedział Milius.

Philip myślał intensywnie. Uczucie przygnębienia mijało.

– A czemuż by nie spytać?

– Spytać? Do czego zmierzasz?

– Można zapytać biskupa o jego zamiary.

– Jak?

– Możemy przekazać wiadomość do siedziby biskupiej, prawda? – Philip myślał głośno. Spojrzał na Cuthberta. Ten zastanawiał się.

– Tak. Stale wysyłam gońców. Jednego mogę skierować do zamku biskupa.

Milius rzekł sceptycznie:

– I goniec zapyta eksceleńcję o jego zamiary?

Philip zmarszczył brwi. To jest problem.

– Biskup nic nam nie wyjaśni. – Cuthbert zgodził się z Miliusem.

Philipa nagle olśniło:

– Nie. – Czoło mu się wygładziło, uderzył pięścią w dłoń, znajdując wyj-

ście. – Biskup nam nie powie, ale jego archidiakon zapewne tak.

Tej nocy Philip śnił o Jonathanie, owym porzuconym dziecku. Widział je na ganku kaplicy Świętego Jana z Lasu i siebie odprawiającego prymarię, kiedy wilk wyśliznął się z gąszczu i przemknął przez dziedziniec, gładko jak wąż, kierując się w stronę dziecka. Philip bał się, że spowoduje zakłócenia we mszy i dostanie naganę od Remigiusa i Andrew (w rzeczywistości nigdy się to nie zdarzyło), którzy odwiedzili filię w lesie. Chciał krzyknąć, ale pomimo usilnych prób nie wydawał żadnego dźwięku, jak to często dzieje się w snach. W końcu tak bardzo się natężył, by krzyknąć, że obudził się. Leżał drżący, nasłuchując oddechów mnichów śpiących wokół niego, i stopniowo, powoli, sam siebie przekonywał, że wilk nie był prawdziwy.

Od przyjazdu do Kingsbridge nie myślał wcale o dziecku. Zastanowił się, co też by uczynił z nim, jeśliby został przeorem Kingsbridge. Wówczas wszystko działałoby się inaczej. Obecność dziecka w klasztorze ukrytym w lesie nie groziła żadnymi konsekwencjami, choć taka sytuacja nie zdarzała się często. Dziecko w Kingsbridge, to samo dziecko, spowodowałoby zamęt. Z drugiej jednak strony, co w tym złego? Dawanie ludziom powodu do plotkowania to jeszcze nie grzech. Jako przeor mógłby robić, co mu się podoba. Mógłby wziąć Johnny'ego Osiem Pensów do Kingsbridge, aby zajmował się dzieckiem. Niezwykle go ten pomysł ucieszył. Tak właśnie uczynię, postanowił. Potem przypomniał sobie, że według wszelkiego prawdopodobieństwa przeorem nie zostanie.

W gorączce niecierpliwości przeleżał do świtu. Nic nie można było zrobić, by poprzeć i przyspieszyć jego sprawę. Rozmowy z mnichami były bezcelowe, gdyż ich myśli zdominowała obawa przed Osbertem. Kilku powiedziało nawet Philipowi, że przykro im, iż przegrał, jakby wybory już się odbyły. Oparł się pokusie nazywania ich ludźmi małej wiary. Uśmiechnął się do nich i oznajmił,

że jeszcze może ich spotkać niespodzianka. Jego przeświadczenie nie było tak głębokie, jak starał się to okazywać. Archidiakon Waleran mógł wyjechać z siedziby biskupa, mógł też przebywać w niej, ale z jakichś powodów nie chciał rozmawiać o planach biskupa. A jeśli wziąć pod uwagę charakter archidiakona, mógł on mieć własne plany.

Philip wstał o świcie wraz z innymi mnichami i poszedł na prymarię do kościoła. Potem skierował się do refektarza na wspólne śniadanie, ale zastąpił mu drogę Milius, ukradkowym gestem wskazując kuchnię. Philip podążył za nim, nerwy miał napięte. Zapewne goniec powrócił. Dostał odpowiedź natychmiast i wyruszył do Kingsbridge jeszcze wczoraj po południu. Też bardzo szybko. Philip nie przypominał sobie konia ze stajni klasztornych, który byłby tak rączy i zdolny do takiej wytrzymałości. Jak to wyjaśnić?

Kiedy wszedł do kuchni, okazało się, że nie oczekiwał nań goniec, lecz we własnej osobie archidiakon Waleran Bigod.

Zaskoczony Philip przyglądał mu się szeroko otwartymi oczyma. Szczupły, czarno odziany archidiakon usadowił się na stołku. Przypominał kruka na gałęzi drzewa. Koniuszek haczykowatego nosa szcerwieniał mu od chłodu. Kościste białe dłonie rozgrzewał, zacisnąwszy je wokół kubka z gorącym korzennym winem.

– Jak to dobrze, że przybyłeś – zdradził się Philip.

– Rad jestem, że do mnie napisałeś – chłodno odrzekł Waleran.

– Czy to prawda, że biskup wyznaczył Osberta?

Waleran podniósł dłoń, by go powstrzymać.

– Dojdziemy do tego. Teraz brat Cuthbert opowiada mi o wczorajszych wydarzeniach.

Philip starał się ukryć rozczarowanie. Nie była to jasna i prosta odpowiedź. Badał twarz archidiakona, starając się odgadnąć jego myśli. Waleran faktycznie miał własne plany, ale ich treści Philip nie potrafił się domyślić.

Cuthbert, którego w pierwszej chwili nie zauważył, siedział przy ogniu.

Maczając kawałki razowca w piwie, by ułatwić pracę swym starym zębom, kończył podsumowanie opisu wczorajszego zgromadzenia. Philip nie mógł znaleźć sobie miejsca. Ugryzł kęs razowca, ale wskutek zbytniego napięcia nie mógł go przełknąć. Wypił trochę rozwodnionego piwa, tylko po to, by zająć rękę.

– Tak więc – kończył Cuthbert – wydaje się, że jedyną naszą nadzieją jest rozeznanie intencji biskupa i na szczęście Philip zdecydował porozumieć się z tobą, wielebny. Przeto wysłaliśmy gońca.

– Czy powiesz nam to, co chcemy wiedzieć, archidiakonie? – niecierpliwie wtrącił się Philip.

– Tak, powiem. – Waleran odstawił wino, nawet go nie spróbował. – Biskup chciałby, aby przeorem Kingsbridge został jego syn.

– Więc Remigius powiedział prawdę.

– Jednakże biskup nie chce ryzykować kłótni ze zgromadzeniem.

Philip zmarszczył brwi. Właśnie to przewidywał Remigius, ale coś niezupełnie się zgadzało.

– Nie przybyłbyś tutaj, by nam tylko to powiedzieć – zwrócił się do Walerana.

Po pełnym szacunku spojrzeniu, jakie mu rzucił archidiakon, Philip zrozumiał, że domysł był słuszny.

– Nie. Biskup prosił mnie o wybadanie nastrojów w klasztorze. Uppełnomocnił mnie przy tym do działania w jego imieniu. W rzeczy samej, mam nawet przy sobie jego pieczęć. Mogę więc podpisać nominację i rozstrzygnąć sprawę w sposób formalny i obowiązujący. Jak widzicie, mam pełnię jego władzy w tej kwestii.

Zrozumienie istoty i wagi tego stwierdzenia zabrało Philipowi dobrą chwilę. Waleran był upoważniony do mianowania i przypieczętowania nominacji biskupią pieczęcią. Innymi słowy, biskup złożył całą sprawę w jego ręce. Reprezentował obecnie autorytet biskupa.

Wziął głęboki wdech i powiedział:

– Pojmujesz więc, że nominacja Osberta spowoduje sprzeciw, którego biskup chce uniknąć?

– Tak, pojmuję to.

– Nie wyznaczysz więc Osberta?

– Nie.

Philipowi głowa aż pękała od natłoku myśli. Uradowani uniknięciem nominacji Osberta, mnisi przyjmą jednogłośnie każdego, kogo Waleran wskaże.

Ustanowienie przeora zależało wyłącznie od archidiakona.

– Więc kogo mianujesz?

– Ciebie... albo Remigiusa.

– Zdolności Remigiusa...

– Znam jego zdolności, znam twoje – przerwał Waleran, jeszcze raz podnosząc szczupłą białą dłoń, by ponownie powstrzymać Philipa. – Wiem, który z was byłby lepszym przeorem. – Przerwał. – Jest jednak inna sprawa.

O co teraz chodzi? – zastanawiał się Philip. Co jeszcze trzeba rozważyć poza tym, kto będzie lepszym przeorem? Popatrzył po innych. Milius także był zdezorientowany, ale stary Cuthbert lekko się uśmiechnął, jakby wiedział, czego należy oczekiwać.

– Podobnie jak ty, niepokoję się o ważne stanowiska, na których Kościół potrzebuje energicznych i zdolnych ludzi, bez względu na ich wiek, a które zwykle dawano seniorom w nagrodę za długą służbę. Ich świątobliwość bywa większa niż umiejętność zarządzania.

– Oczywiście – niecierpliwie wpadł mu w słowa Philip, nie bardzo rozumiejąc, jaki związek ze sprawą ma ten wykład.

– Powinniśmy pracować razem... wy trzej i ja.

– Nie pojmuję, ku czemu zmierzasz, archidiakonie – wtrącił się Milius.

– A ja pojmuję – rzekł Cuthbert.

Waleran skierował ku niemu nikły uśmiech, potem znów zwrócił się do

Philipa:

– Pozwolę sobie na szczerość – powiedział. – Biskup jest stary. Któregoś dnia umrze, a wtedy będziemy musieli wybrać nowego biskupa, tak jak dzisiaj przeora. Mnisi Kingsbridge mają prawo wybierać nowego biskupa, bo jest on także opatem tego klasztoru.

Philip zmarszczył się, to nie należało do rzeczy. Wybierali przecież przeora, a nie biskupa.

– Oczywiście, mnisi nie mogą wypowiedzieć się rozstrzygająco, bo arcybiskup i król mogą mieć na ten temat swoje zdanie – kontynuował Waleran. – Ostatecznie jednak mnisi zatwierdzają wybór. A kiedy nadejdzie ta chwila, to wy trzej uzyskacie potężny wpływ na decyzję.

Cuthbert kiwał głową, jakby jego domysły potwierdzały się w pełni, a teraz Philip także przeczuwał, do czego wszystko zmierza.

– Chcecie, żebym ja wybrał Philipa na przeora Kingsbridge. Ja zaś chcę, żebyście wy uczynili mnie biskupem – zakończył archidiakon.

Więc o to chodziło!

Philip w milczeniu patrzył na Walerana. Jakie to było proste. Archidiakon chciał dobić targu.

Był wstrząśnięty. Nie można było tego nazwać sprzedawaniem i kupowaniem urzędów duchownych, znanym jako symonia, czyli świętokupstwo, ale w słowach archidiakona był jakiś nieprzyjemny handlowy ton.

Spróbował pomyśleć obiektywnie. Umowa oznaczała, że zostanie przeorem. Na tę myśl Philipowi mocniej zabiło serce. Niechętnie rezygnowałby z tej oferty. Umowa oznaczała również, że w jakimś stopniu gwarantuje się Waleranowi mianowanie na biskupa Kingsbridge. Czy byłby on dobrym biskupem? Z pewnością kompetentnym. Nie ujawniał żadnych poważnych wad. Do służby bożej miał raczej praktyczny stosunek, ale taki sam miał Philip. Wprawdzie wyczuwał w Waleranie rys bezwzględności, której jemu samemu brakowało, lecz miał wrażenie, że owa cecha łączyła się z pragnieniem wpływania na

interesy Kościoła i z dążeniem do ich ochrony.

Poza tym ktoś jeszcze mógłby zostać biskupem po śmierci obecnego? Prawdopodobnie Osbert. Hierarchii duchownej nie umknął problem jego pochodzenia, ale też, pomimo oficjalnie obowiązującego celibatu, sprawa przechodzenia duchownych urzędów z ojca na syna także nie była czymś nieznanym. Osbert oczywiście byłby dla Kościoła większym obciążeniem (także finansowym) jako biskup niż jako przeor. Warto byłoby więc poprzeć kandydata nawet mniej wartościowego od Walerana, byleby uniknąć osadzenia Osberta na biskupim tronie.

Czy ktoś jeszcze starał się o tę godność? Nie sposób było się dowiedzieć. Teraz zresztą to nieważne. Mogą przecież upłynąć lata, nim biskup umrze.

– Nie możemy ci zagwarantować, że będziesz mianowany – zwrócił się Cuthbert do Walerana.

– Wiem. Proszę tylko o waszą nominację. Właściwie to samo daję w zamian: nominacja za nominację.

– Zgadzam się. – Cuthbert skinął uroczyście głową.

– Ja także – powiedział Milius.

Archidiakon i obaj mnisi patrzyli na Philipa, którym targały wątpliwości. Wiedział, że nie jest to właściwa droga, ale stanowisko przeora było w zasięgu ręki. Nie należy handlować urzędami duchownymi, jeśli jednak odmówi, to w efekcie Remigius zostanie przeorem, a Osbert biskupem!

Akademickie spory wydały mu się nie na miejscu. Myśl o objęciu funkcji przeora Kingsbridge opanowała go całkowicie i musiał rozważyć wszystkie za i przeciw. Przypomniał sobie wczorajszą modlitwę, w której mówił Panu, że będzie walczyć o to stanowisko. Wzniósł więc oczy do Boga i prosił: „Jeśli nie chcesz, Boże, aby się to stało, spraw, żeby język mi kołkiem stanął i sparaliżuj me usta, a także wstrzymaj mi oddech w piersiach, bym nie wydobył głosu”.

Po chwili popatrzył na Walerana i rzekł:

– Zgadzam się.

Łoże przeora było ogromne, trzy razy większe od tych, w których kiedykolwiek Philip spał. Drewniana podstawa była na pół chłopa wysoka, a na niej piętrzyło się puchowe posłanie. Wokół obwieszono je kotarami, na których cierpliwie ręce nabożnych kobiet wyhaftowały sceny biblijne. Philip oglądał to wszystko z mieszanymi uczuciami. Dla niego wystarczającą ekstrawagancją był już osobny pokój do spania – nigdy w życiu nie miał oddzielnego pokoju. Dziś nadeszła pierwsza noc, którą miał spędzić poza dormitorium, w tak wielkim łóżku. Zastanawiał się nad siennikiem wypchanym słomą, którym zastąpiłby to puchowe posłanie. Przyniósłby go z dormitorium, a to łoże mógłby przekazać do infirmerii, gdzie stare kości któregoś z mnichów zażyłyby wygody. Jednakże to łoże miało służyć nie tylko Philipowi. Kiedy do klasztoru przybędzie jakiś szczególnie dostojny gość – biskup, możny pan czy nawet król – zajmie tę komnatę, a przeor prześpi się gdzie indziej. Tak naprawdę nie mógł się pozbyć łoża.

– Będziesz miał dzisiaj dobry sen – powiedział Waleran, nie bez cienia za wiści.

– Przypuszczam, że tak... – z powątpiewaniem rzekł Philip.

Wszystko stało się tak szybko. Waleran wystosował pismo do konwentu – napisał je od razu, w klasztornej kuchni. Nakazywał w nim nie zwlekać z wyborami i podał kandydaturę Philipa. Podpisał list nazwiskiem biskupa i opieczętował biskupią pieczęcią. Potem we czterech poszli do sali kapitulnej.

Jak tylko Remigius ujrzał wchodzących, zrozumiał, że walka skończona. Waleran przeczytał pismo, a kiedy wymienił imię Philipa, mnisi wznieśli okrzyki radości. Remigius miał jednak dość rozsądku, by darować sobie i zgromadzeniu formalności głosowania i pogodzić się z porażką.

I Philip został przeorem.

Poprowadził do końca zebranie w kapitulnarzu, a potem udał się do pomieszczeń przeora w południowo-wschodnim narożniku klasztornego dziedzińca. Teraz była to jego rezydencja.

Kiedy zobaczył łożo, pojął, że od tej chwili jego życie zmieniło się radykalnie i nieodwołalnie. Stał się inny, wyjątkowy, odseparowany od pozostałych mnichów. Miał władzę i przywileje. I odpowiedzialność. Musiał zapewnić tym czterdziestu pięciu braciom przetrwanie i rozwój wspólnoty. Jeśli przyjdzie im głodować, będzie to jego wina; jeśli ulegną deprawacji – odpowiedzialnym będzie on; jeśli zhańbią Kościół Boży, Bóg jego będzie rozliczać. Pragnął tego stanowiska, więc musi udźwignąć brzemień trosk.

Pierwszym jego obowiązkiem było zaprowadzenie braci na uroczystą sumę. Dziś obchodzono święto Trzech Króli, dwunasty dzień po Bożym Narodzeniu. Na mszy będą wszyscy mieszkańcy wioski, przybędą także ludzie z okolicznych miejscowości. Duża katedra z silnym zespołem mnichów, znana wszystkim z okazałych nabożeństw, mogłaby przyciągnąć z tysiąc albo i więcej wiernych. Nawet do ponurej katedry w Kingsbridge ściągnie większość miejscowej szlachty, bo nabożeństwo jest także okazją do spotkania sąsiadów i omówienia interesów.

Przed udaniem się na sumę pragnął porozmawiać z archidiakonem. Dopiero teraz byli sami.

– A co z informacją, którą ci przekazałem – zaczął – w sprawie hrabiego Shiring...

– Nie zapomniałem – skinął głową Waleran. – Zaprawdę, to może okazać się znacznie ważniejsze niż kwestia wyboru przeora czy biskupa. Hrabia Bartholomew już przybył do Anglii. Spodziewają się go w Shiring jutro.

– Co masz zamiar zrobić? – spytał z niepokojem Philip.

– Chcę wykorzystać sir Percy'ego Hamleigha. Spodziewam się go dzisiaj na nabożeństwie.

– Słyszałem o nim, ale go nigdy nie widziałem.

– Rozglądaj się za tłustym jegomościem z okropną żoną i urodziwym synem. Nie możesz się co do żony pomylić, bo jest szkaradna.

– Dlaczego przypuszczasz, że zwrócą się przeciw hrabiemu Bartholomew?

– Z całej duszy go nienawidzą.

– Dlaczego?

– Ich syn William zamierzał ożenić się z córką hrabiego, ale dała mu odpawę i małżeństwo nie doszło do skutku, co dla Hamleighów jest wielkim upokorzeniem. Wciąż cierpią z powodu obrazy i rzucają się głową naprzód, aby zemścić się na Bartholomew.

Philip pokiwał głową usatysfakcjonowany. Rad był, że ten ciężar spadł z jego barków. Kingsbridge zapewni mu wystarczająco dużo problemów do rozwiązania. Waleran mógł się zajmować światem za murami klasztoru.

Opuścił swoją rezydencję i udał się na krużganek, gdzie czekali mnisi. Philip poprowadził procesję.

Sprawiało mu przyjemność kroczenie na czele śpiewających mnichów. Podobowało mu się to bardziej, niż się spodziewał. Wmawiał sobie, że zostało mu to dane, by czynił dobro. Pozycja, którą osiągnął, symbolizowała moc czynienia dobra i to właśnie stanowi powód głębokiej dumy. Chciał, aby opat Peter z Gwynedd mógł go teraz widzieć – ale byłby z niego dumny.

Zajęli miejsca w prezbiterium. Większe nabożeństwa, takie jak to, często były celebrowane przez biskupa. Dzisiejsze miał odprawić archidiakon Waleran. Philip szybko przeszukał wzrokiem tłum. W kościele zgromadziło się około stu pięćdziesięciu osób. Stali w nawie głównej. Bogatsi mieli na sobie ciężkie zimowe okrycia, a na nogach skórzane trzewiki, chłopcy zaś nosili szorstkie kurtki i filcowe łapcie lub drewniaki. Z odnalezieniem Hamleighów istotnie nie miał kłopotu. Stali z przodu, blisko ołtarza. Najpierw zobaczył kobietę. Waleran nie przesadził: była odrażająca. Pomimo nasuniętego kaptura część twarzy była widoczna i nowo wybrany przeor zauważył, że jest usiana szpetnymi krostami. Obok niej stał dobrze zbudowany mąż około czterdziestki, zapewne Percy. Jego ubiór świadczył o tym, że jest człowiekiem o dużym majątku i władzy, ale nie wszedł jeszcze na sam szczyt, między hrabiów i baronów. Syn opierał się o jedną z masywnych kolumn. Obdarzony piękną męską sylwetką, miał bar-

dzo żółte włosy i wąskie harde oczy. Małżeństwo z córką hrabiego pozwoliłoby Hamleighom przekroczyć granicę dzielącą wiejską szlachtę od arystokracji. Nic tedy dziwnego, że źle przyjęli odwołanie ślubu.

Philip wrócił myślami do mszy. Miał wrażenie, że archidiakon odprawiał ją zbyt pośpiesznie. Zastanowił się raz jeszcze, czy dobrze zrobił, zawierając układ, na mocy którego Waleran w przyszłości zostanie biskupem. Niewątpliwie był on utalentowanym człowiekiem, ale chyba przywiązywał zbyt małą wagę do modlitwy. A przecież dostatek i władza Kościoła to tylko środki do osiągnięcia celu: celem zaś ostatecznym było zbawienie dusz. Philip postanowił nie przejmować się zbyt Waleranem. Sprawa postanowiona i załatwiona, a obecny biskup może pożyć jeszcze ze dwadzieścia lat, tak że Waleran będzie musiał poczekać na zaspokojenie swoich ambicji.

Wierni szemrali. Nikt spośród przybyłych oczywiście nie znał liturgii, jedynie księża i mnisi umieli czynnie uczestniczyć w nabożeństwie – wyjątek stanowiły najbardziej popularne modlitwy i słowo „amen”. Część parafian przysłuchiwała się nabożeństwu z pełną czci uwagą, ale inni kręcili się tu i tam, witając się i gwarząc ze znajomymi. To prości ludzie, pomyślał Philip, trzeba coś zrobić, by przyciągnąć ich zainteresowanie.

Pod koniec sumy archidiakon zwrócił się do zgromadzonych:

– Większość z was już wie, że nasz umiłowany przeor James z Kingsbridge zmarł. Jego ciało, znajdujące się w kościele, złożone będzie na wieczny spoczynek na cmentarzu klasztorным dziś po obiedzie. Biskup i mnisi wybrali jego następcę. Jest nim brat Philip z Gwynedd, który prowadził nas do kościoła.

Zamilkł. Philip już wstał, by znowu stanąć na czele procesji, kiedy Waleran odezwał się ponownie:

– Mam jeszcze jedną smutną wieść.

Zaskoczony Philip szybko usiadł z powrotem.

– Właśnie otrzymałem wiadomość.

Przecież nie było żadnych nowin! Cały ranek spędzili razem. Co ten prze-

biegły archidiakon teraz zamierza?

– Wiadomość ta zasmuciła mnie bardzo głęboko. – Znowu przerwał.

Ktoś umarł, ale kto? Waleran wiedział o tej śmierci, zanim jeszcze przyjechał, ale zachował to w sekrecie, a teraz udawał, że właśnie otrzymał wiadomość. Dlaczego?

Nasuwała mu się jedyna myśl, a jeśli jego podejrzenia okażą się prawdziwe... Oznaczało to, że Waleran był znacznie bardziej ambitny i miał znacznie mniej skrupułów, niż Philip sobie wyobrażał. Czyżby oszukał ich tak zręcznie i tak doskonale nimi wszystkimi manipulował? Czy Philip był tylko pionkiem w grze Walerana?

Ostatnie słowa archidiakona potwierdziły jego podejrzenia.

– Nasz umiłowany biskup Kingsbridge umarł – ogłosił uroczyście archidiakon.

Rozdział 3

I

– Ta suka tam będzie? – zwróciła się matka do Williama.

– Jestem pewna, że będzie.

William patrzył z mieszaniną lęku i tęsknoty na zniszczoną fasadę katedry Kingsbridge. Jeśli lady Aliena będzie w kościele, to ich wspólna obecność na mszy stanie się krępująca, a nawet żenująca. A jednak jego serce biło szybciej na myśl, że być może znów ją zobaczy.

Jechali drogą do Kingsbridge, William i jego ojciec na koniach bojowych, matka na pięknym rumaku, za nimi jako świta podążali trzej rycerze i trzej giermkowie. Razem czynili wrażenie godnego i nawet budzącego respekt towarzystwa, co sprawiało radość Williamowi, cieszyło go też, gdy chłopci idący drogą pierzchali na boki przed ich potężnymi końmi. Matka jednak wrzała gniewem.

– Oni wszyscy wiedzą, nawet ci nikczemni wyrobnicy – mówiła przez zaciśnięte zęby. – Opowiadają sobie o nas żarty: „Kiedy panna młoda nie jest panną młoda? Kiedy panem młodym jest Will Hamleigh!”. Wychłostałam jednego takiego, ale to nie pomogło. Chciałabym pochwyć tę sukę, obdarłabym ją ze

skóry i powiesiła tę skórę na sęku, a ptaki dziobałyby jej mięso.

William wolałby, aby matka się nad tym nie rozwodziła. Rodzinę upokorzono i to, jak mówiła matka, z jego winy, więc nie chciał, by mu o tym przypominała.

Przebyli nadwerężony drewniany mostek prowadzący do wioski Kingsbridge i popędzili konie po stromej głównej drodze wiodącej do klasztoru. Ze dwadzieścia lub trzydzieści koni już pasło się na rzadkiej trawie, ale żaden z nich nie był tak piękny i kosztowny, jak konie Hamleighów. Podjechali do stajni i zostawili wierzchowce klasztorным masztalerzom.

Kroczyli zwartą gromadką – William i jego ojciec po obu stronach matki, za nimi rycerze, a w tylnej straży giermkowie. Ludzie przed nimi się rozstępowali, ale William zdołał dojrzeć, że niektórzy poszturchują się i wytykają ich palcami. Wydawało mu się, że słyszał szept o niedoszłym ślubie. Zaryzykował rzut oka na matkę i dostrzegłszy wzburzenie malujące się na jej twarzy, mógłby przysiąc, że myśli ona o tym samym.

Weszli do kościoła.

William nienawidził kościołów. Zimne i mroczne, nawet podczas pięknej pogody miały zawsze nieuchwytny zapach stęchlizny, pełzający po ciemnych kątach i przemykający ciemnymi tunelami naw bocznymi i przejść. Co gorsza, kościoły przywodziły mu na myśl piekielne męki, a on bał się piekła.

Przebiegł wzrokiem po zgromadzonych. Z początku, ze względu na mrok, nie potrafił rozróżnić twarzy. Po kilku chwilach oczy mu się przyzwyczyły. Nie dojrzał Alieny. Przesuwali się do przodu nawą boczną. Wydawało się, że jej tu nie ma. Poczł jednocześnie ulgę i przygnębienie. Potem ją zobaczył i serce na chwilę przestało mu bić.

Stała w południowym transepcie na przedzie, towarzyszył jej rycerz, którego William nie znał, a otaczali ją zbrojni mężowie i damy dworu. Była odwrócona tyłem do niego, ale burza ciemnych, wijących się włosów nie pozostawiała wątpliwości. Gdy jej się przyglądał, odwróciła się, co pozwalało dostrzec

miękką linię policzka i ostry, władczy nos. Jej oczy, ciemne tak bardzo, że wydawały się czarne, spotkały się z oczami Williama. Przestał oddychać. Te ciemne wielkie oczy powiększyły się jeszcze na jego widok. Chciał ominąć ją spojrzeniem, jakby nie zauważył, ale nie potrafił oderwać od niej wzroku. Pragnął, aby się do niego uśmiechnęła, nawet gdyby ten uśmiech był tylko najlżejszym wygięciem jej pełnych warg, nic więcej poza uprzejmym potwierdzeniem, że go poznaje. Skinął jej głową. Twarz jej zeszywniała i odwróciła się w kierunku ołtarza.

William skrzywił się z bólu. Czuł się jak pies, którego ktoś usunął kopniakiem ze swej drogi, i chciał się zwinąć w kącie, gdzie nikt nie mógłby go znaleźć. Popatrzył dokoła, zastanawiając się, czy ktoś zwrócił uwagę na tę wymianę spojrzeń. W miarę przesuwania się z rodzicami nawet zauważał coraz więcej szturchnięć, po których następowały szepty, a oczy ludzi przenosiły się od niego do Alieny i z powrotem. Patrzył prosto przed siebie, by unikać ludzkiego wzroku. Musiał się zmuszać do trzymania głowy wysoko. Jak ona mogła nam to zrobić? Jesteśmy jedną z najdumniejszych rodzin w okolicy, w południowej Anglii nawet, a ona sprawiła, że czujemy się tacy mali. Ta myśl rozwścieczyła go, zapragnął wyciągnąć miecz z pochwy i kogoś zaatakować, wszystko jedno kogo.

Szeryf z Shiring przywitał się z ojcem Williama, uścisnęli sobie ręce. Ludzie patrzyli już gdzie indziej, poszukując nowego tematu do szeptów. William kipiał ze złości. Jacyś młodzi szlachcice zbliżyli się do Alieny, w nieustannym strumieniu przechodzących, i ukłonili się. Do nich raczyła się uśmiechnąć.

Nabożeństwo się zaczęło. William zastanawiał się, dlaczego wszystko poszło tak źle. Hrabia Bartholomew miał syna, który mógł dziedziczyć tytuł i fortunę, a zatem małżeństwo z córką zapewniłoby jedynie koligację. Aliena miała szesnaście lat i była dziewicą, nie okazywała żadnej skłonności do zostania mniszką, rozumiano więc powszechnie, że powinna być zachwycona możliwością poślubienia dziesięcioletniego, dobrze urodzonego młodzieńca.

Zwłaszcza że polityczne rachuby jej ojca mogły pchnąć ją w ramiona grubego, podagrycznego hrabiego po czterdzieście albo nawet łysiejącego barona po sześćdziesiątce.

Kiedy umowa została już zawarta, rodzice i sam William nie byli bynajmniej powściągliwi w mówieniu o tym. Z dumą rozgłaszali wieść we wszystkich okolicznych hrabstwach. Spotkanie Alieny z Williamem i jego oświadczenia wszyscy traktowali jako czystą formalność, jak się okazało, z wyjątkiem Alieny.

Oczywiście znali się od dawna. Pamiętał ją jako małą dziewczynkę, jej figlarną twarzyczkę z zadartym noskiem, niesforne krótko obcięte włosy. Zawsze przewodziła, uparta, śmiała i wojownicza, decydowała, w co będą się bawić i kto będzie w drużynie, rozsądzała spory i trzymała zapisy, sędziowała. Fascynowała go, kiedy organizowała zabawę, choć czuł niechęć do sposobu, w jaki uzyskiwała przewagę nad wszystkimi. Mógł wprawdzie zepsuć jej zabawę i samemu znaleźć się w centrum uwagi, choćby prowokując bójkę. Nie trwało to nigdy długo, bo w końcu ona i tak osiągała przewagę, pozostawiając go pobitego (jeśli nie fizycznie, to duchowo), zdruzgotanego, z pogardą odrzuconego, gniewnego, a mimo to zachwyconego – tak jak teraz.

Po śmierci matki wiele podróżowała z ojcem i William rzadziej ją spotykał. Jednakże widywał ją wystarczająco często, by spostrzec, że wyrasta na czarującą i zachwycającą piękną młodą kobietę i kiedy powiedziano mu, że ma ją poślubić, poczuł się uszczęśliwiony. Był pewien, że ona musi zostać jego żoną, czy jej się to podoba, czy nie, lecz poszedł poznać jej zdanie, by uprościć drogę do ołtarza.

Ona była niewinna, ale on nie. Kilka dziewcząt, które udało mu się oczarować, niemal dorównywały pięknosci Alienie. Żadna z nich jednak nie miała arystokratycznego rodowodu. Wiedział, że większość dziewcząt daje się oszłomić jego pięknymi szatami, ognistymi końmi i szerokim gestem w wydawaniu pieniędzy na słodkie wino i wstążki; kiedy zaś zdołał którąś zaciągnąć do

stodoły, zwykle mu się oddawały mniej lub bardziej chętnie.

Dziewczyny traktował bezceremonialnie. Z początku pozwalał im myśleć, że nie jest swą aktualną wybranką szczególnie zainteresowany. Sam na sam z Alieną pokazało mu jednak, że w jej obecności zawodzi go wiara we własne siły. Była ubrana w jasnoniebieską jedwabną suknię, luźną i fałdzistą, ale patrząc na nią, mógł myśleć jedynie o tym, że pewnie nie ma nic pod spodem, że wkrótce będzie oglądać jej ciało obnażone, ilekroć przyjdzie mu na to ochota. Zastał ją przy czytaniu książki. Zajęcie to dziwiło u kobiet, tym bardziej że nie była mniszka. Zapytał ją, co czyta, próbując w ten sposób oderwać myśli od widoku piersi poruszających się pod niebieskim jedwabiem.

„Nazywa się to *Opowieść o Aleksandrze*. To historia króla Aleksandra Wielkiego. Jest w niej mowa o tym, jak podbijał cudowne krainy na Wschodzie, gdzie drogie kamienie rosną w gronach na winoroślach, a rośliny potrafią mówić”.

William nie mógł sobie wyobrazić, dlaczego ktoś może tracić czas na takie głupoty, ale nie powiedział tego. Opowiadał jej o swych koniach, psach, polowaniach, o zapasach i potyczkach. Nie zrobiło to na niej takiego wrażenia, jak oczekiwał. Opisał domostwo, które ojciec dla nich budował; aby pomóc jej przygotować się do roli pani domu, opowiedział pokrótce, jak sobie wyobraża życie w tym domu. Czuł, że nie potrafi przyciągnąć jej uwagi. Siedział tak blisko niej, chciał ją objąć, poczuć, czyjej piersi są naprawdę takie duże, jak sobie wyobrażał, ale się od niego odsunęła, splatając ręce na piersiach i krzyżując nogi. Wyglądała tak niedostępnie, że musiał porzucić chęć objęcia jej, pocieszając się tylko myślą, że niedługo będzie mógł robić z nią, co zechce.

Kiedy rozmawiali, nie dała po sobie poznać, co ma zamiar zrobić później. Powiedziała spokojnie: „Nie wydaje mi się, abyśmy do siebie pasowali”. Wziął to jednak za wyraz uroczej skromności z jej strony i zapewnił ją, że ona jemu odpowiada jak najbardziej. Nie miał pojęcia, że kiedy tylko znalazł się poza granicami jej włości, natychmiast przystąpiła do szturmu i oświadczyła ojcu, że

nie ma zamiaru poślubić Williama. Nic nie było w stanie jej przekonać. Wołała raczej pójść do klasztoru. Mogą ją do ołtarza w łańcuchach zaciągnąć, ale nie wydobędą z niej ani słowa. Dziwka, myślał William, dziwka. Nie mógł zebrać się na odwagę, by protestować, kiedy matka spluwała za każdym razem, gdy tylko była mowa o Alienie. Nie chciał żywcem pasów z niej drzeć. Pragnął leżeć na jej gorącym ciele i całować jej usta.

Suma w Trzech Króli zakończyła się obwieszczeniem o śmierci biskupa. William miał nadzieję, że ta wieść usunie w końcu w cień zainteresowanie jego osobą. Procesja mnichów opuściła kościół, a wśród zgromadzonych podniósł się gwar podnieconych rozmów. Wielu spośród nich miało zarówno majątkowe, jak i duchowe związki ze zmarłym biskupem, na przykład dzierżawcy, poddzierżawcy czy pracujący w jego włościach. Każdy z nich wtedy interesował się, kto zostanie następcą i czy następca coś zmieni. Śmierć wielmoży zawsze spowodowała zagrożenie na jego poddanych.

Williama, podążającego w dół nawy za rodzicami, zaskoczyła postać archidiacona Walerana, który ku nim się kierował. Poruszał się zwinnie jak wielki, czarny pasterski pies, przemykający między krowami na pastwisku; zresztą podobnie jak krowa na psa, tak ludzie nerwowo spoglądali na niego przez ramię i odstępowali, by mu zrobić przejście. Chłopów ignorował, szlachcie rzucał słówko czy dwa. Po dotarciu do Hamleighów pozdrowił lorda Percy'ego, Williama zignorował i rozpoczął rozmowę z jego matką.

– To, co zrobiono z tym małżeństwem, przynosi wstyd! – powiedział.

William zapłonął rumieńcem. Czyżby ten dureń z tą swoją litością uważał się za uprzejmego?

Matka miała równie niechętny stosunek do tej rozmowy.

– Nie jestem kimś, kto żywi długo urazę – skłamała.

Waleran nie zwracał uwagi na jej słowa.

– Słyszałem coś o hrabi Bartholomew. To może was zainteresować. – Ściszył głos, by nikt ich nie zdołał podsłuchać. William wyteżył słuch, by nie uro-

nić ani słowa. – Wygląda na to, że hrabia chce złamać przyrzeczenie dane zmarłemu królowi.

– Bartholomew zawsze był hipokrytą o sztywnym karku – rzekł ojciec.

Waleran zrobił zbolalą minę. Chciał, by słuchali, a nie zajmowali się wygłaszaniem uwag.

– Wraz z hrabią Robertem z Gloucesteru nie chcą uznać króla Stefana, wybranego przez Kościół i baronów, rozumiecie?

William zastanowił się, dlaczego archidiakon opowiada ojcu o niesnaskach wśród baronów. Ojciec zaś stwierdził:

– Hrabio wie w tej sprawie nie mogą nic poradzić.

Matka podzielała niechęć Williama.

– Słuchaj! – syknęła do męża.

– Dowiedziałem się, że planują rokosz, by osadzić Matyldę na tronie i koronować na królową – ciągnął Waleran.

William nie mógł uwierzyć uszom. Czyżby naprawdę archidiakon postępował tak głupio i nieostrożnie, wypowiadając te słowa w nawie katedry Kingsbridge? Niezależnie od tego, czy to prawda, czy fałsz, może za to zawisnąć.

Ojciec też był wstrząśnięty, ale matka w zamyśleniu rzekła:

– Robert z Gloucesteru jest bliskim kuzynem Matyldy. To by miało sens.

William znowu się zastanowił, jak matka może być tak rzeczowa w tak haniebnej sprawie... w obliczu takich wieści! No, ale ona była przebiegła i zawsze miała rację, we wszystkim.

– Każdy, kto zrobi cokolwiek, co uniemożliwi zorganizowanie buntu, zaszkodzi sobie dożgonną wdzięcznością króla Stefana i Kościoła.

– Doprawdy? – oszołomionym tonem spytał ojciec, ale matka już mądrze przytakiwała.

– Bartholomew ma być w domu jutro. – Waleran rozejrzył się wokół, kiedy to mówił, i pochwycił czyjeś spojrzenie. Znowu skierował wzrok na matkę i rzekł: – Myślałem, że was to może zainteresować. – Skinął na pożegnanie, od-

szedł i przywitał się z kimś innym.

William patrzył za nim. Co on naprawdę chciał przez to powiedzieć?

Rodzice ruszyli w stronę drzwi. William podążył za nimi ku łukowato sklepionemu wyjściu. Wszyscy troje milczeli. Przez ostatnie pięć tygodni nasłuchiwał się dość opowieści o tym, kto będzie królem. Cała sprawa wydawała się rozstrzygnięta w chwili, gdy Stefan został ukoronowany w opactwie westminster-skim na trzy dni przed Bożym Narodzeniem. Jeśli Waleran się nie mylił, teraz wszystko może wrócić do punktu wyjścia. Ale dlaczego zwrócił się z tym właśnie do nich?

Szli trawnikiem do stajni. Kiedy tylko wydostali się z tłumu, kłębiącego się na ganku kościoła, i nie mogli zostać podsłuchani, ojciec w podnieceniu powiedział:

– Cóż za wspaniały uśmiech losu! Człowiek, który zhańbił naszą rodzinę, będzie sądzony za zdradę stanu!

Matka kiwała głową na znak zgody.

– Możemy go aresztować prawem miecza i powiesić na najbliższym drzewie – ciągnął ojciec.

William nagle dojrzał wszystko we właściwym świetle. Jeśli Bartholomew okaże się zdrajcą, można go zabić.

– Możemy się zemścić! – wypalił. – A zamiast kary, dostaniemy od króla nagrodę! – I będą mogli nosić głowy wysoko i...

– Wy durnie! – z gwałtowną pogardą oświadczyła matka. – Wy ślepe tępaki! Więc chcecie powiesić Bartholomew na najbliższym drzewie? A mam wam powiedzieć, co będzie potem?

Milczeli obaj. Kiedy wpadała w taki nastrój, lepiej było się nie odzywać.

– Robert z Gloucesteru zaprzeczy, że w ogóle był jakiś spisek, obejmie króla Stefana i przysięgnie lojalność. Na tym się skończy, ale wy zostaniecie powieszoni za morderstwo.

William zadrżał. Słowa matki przeraziły go. Śmierć przez powieszenie była

treścią jego koszmarów sennych. Jednakże wiedział, że matka ma rację: król mógł wierzyć albo udawać, że wierzy, iż nikt nie ośmieliłby się wystąpić przeciwko niemu, a dla potwierdzenia mógł poświęcić parę żywotów.

– Masz rację – rzekł ojciec. – Skrępujemy go jak wieprza do szlachtunku, zawieziemy do Winchesteru, tam go wydamy królowi i zażądamy nagrody.

– Dlaczego nie zaczniecie myśleć? – pogardliwie odpowiedziała matka. William zdołał dostrzec, że była napięta i podekscytowana, choć w inny sposób niż ojciec. – Czy archidiakon Waleran mówił wam o związaniu i dostarczeniu zdrajcy królowi? A czy on sam nie chce jakiejś nagrody? Czyżbyście nie zdawali sobie sprawy, że z całego serca pragnie zostać biskupem Kingsbridge? Dlaczego dał wam przywilej aresztowania zdrajcy? Dlaczego znalazł sposób, by spotkać nas niby przypadkiem w kościele, zamiast przyjechać do nas do domu w Hamleigh? Dlaczego rozmowa była tak krótka i pokrętna?

Zawiesiła głos, jakby chciała poczekać na odpowiedź, ale ani syn, ani jego ojciec się nie odezwali, bo wiedzieli, że nie oczekuje tego. William przypomniał sobie, iż księżom nie wolno przelewać krwi, i przypuszczał, że właśnie z tego powodu Waleran nie chce być zamieszany w uwięzienie hrabiego Bartholomew. Po namyśle doszedł jednak do wniosku, że takich skrupułów archidiakon raczej nie ma.

– Powiem wam dlaczego – ciągnęła matka. – Bo nie jest pewny, czy Bartholomew jest zdrajcą. Jego informacje są wątpliwe. Nie wiem, jakie jest ich źródło; może też być mało wiarygodnym szpiegiem. W każdym razie nie ma ochoty nadstawiać głowy. Nie chce otwarcie oskarżyć hrabiego o zdradę, bo może zdarzyć się, że oskarżenie okaże się fałszywe i zostanie napiętnowany jako oszczerca. On chce, żeby ktoś inny zaryzykował i wykonał brudną robotę, a kiedy tak się już stanie i zdrada zostanie dowiedziona, upomni się o swoją część. Jeśli jednak okaże się, że Bartholomew jest niewinny, Waleran po prostu zapomni, że cokolwiek nam dzisiaj powiedział.

Kiedy to tak przedstawiła, wszystko wydawało się oczywiste. Bez niej jed-

nak William i jego ojciec wpadliby w sidła Walerana. Działaliby dokładnie tak, jak sobie tego życzył archidiakon, wzięliby na siebie ryzyko. Polityczny osąd matki był naprawdę przenikliwy.

– Czy to znaczy, że mamy o tym zapomnieć? – spytał ojciec.

– Na pewno nie. – Oczy jej błyszczały. – Ciągłe mamy szansę zniszczenia ludzi, którzy nas upokorzyli. – Giermek przyprowadził jej konia. Wzięła wodze i odprawiła go ruchem ręki, ale nie od razu dosiadła wierzchowca. Stała obok niego, w zamyśleniu poklepywała końską szyję i mówiła półgłosem: – Potrzebujemy dowodu spisku, takiego dowodu, by nikt nie ważył się wątpić w jego prawdziwość ani zaprzeczyć naszym oskarżeniom. Musimy zdobyć ten dowód ukradkiem, aby nikt nie wiedział, o co nam chodzi. A kiedy już go będziemy mieli, wtedy aresztujemy hrabiego Bartholomew i postawimy przed królem. Po przedstawieniu dowodu hrabia wszystko wyzna i będzie błagał o litość. Wtedy poprosimy o naszą nagrodę.

– I zaprzeczmy, że Waleran nam pomagał – dodał ojciec, ale matka potrząsnęła głową.

– Niech ma swoją chwałę i swą nagrodę. Wtedy będzie nam coś zawdzięczał. A to nam wyjdzie tylko na dobre.

– Ale jak zdobyć ten dowód? – zaniepokoił się ojciec.

– Musimy znaleźć sposób, by rozejrzeć się po jego zamku. – Matka zmarszczyła brwi. – To nie będzie łatwe. Nikt nam nie uwierzy, że chcemy po prostu podtrzymywać sąsiedzkie stosunki, skoro wszyscy wiedzą o naszej nienawiści do Bartholomew.

Williama zaintrygowała pewna myśl.

– Ja mógłbym pójść – powiedział.

Rodzice wyglądali na nieco zaskoczonych.

– Przypuszczam, że ty wzbudziłbyś mniej podejrzeń niż ojciec. Ale pod jakim pretekstem? – zaczęła się zastanawiać matka.

– Mogę pojechać zobaczyć się z Alieną – rzekł, a jego serce zabiło mocniej.

– Mogę błagać ją, aby jeszcze raz przemyślała swoją decyzję. Przecież ona mnie w ogóle nie zna. Źle mnie oceniła przy pierwszym spotkaniu, a ja mogę być dobrym mężem. Może trzeba ją tylko bardziej nacisnąć. – Zrobił grymas, który miał być cynicznym uśmieszkiem, żeby nie poznali, że myśli tak naprawdę.

– Bardzo wiarygodny pretekst – oceniła matka. Popatrzyła twardo na Williama. – Na Chrystusa, zastanawiam się, czy kiedykolwiek ujawni się w tym chłopcu rozum odziedziczony po matce.

Kiedy następnego dnia po Trzech Królach wyruszył do zamku hrabiego, po raz pierwszy od miesiący nabrał otuchy. Ranek był zimny i jasny. Północny wiatr smagał uszy, a oszroniona trawa chrzęściła pod kopytami bojowego rumaka. Na szkarłatną tunikę narzucił popielatą opończę z delikatnego flandryjskiego sukna, podbitą króliczymi skórami.

Towarzyszył mu Walter. Kiedy William miał dwanaście lat, Walter został jego nauczycielem od oręża, uczył go jazdy konnej, polowania, szermierki i zapasów. Teraz został przybocznym kompanem i osobistą ochroną. Wzrostem dorównywał Williamowi, ale był mocniej zbudowany, wręcz potężny. Choć dziewięć lat starszy, okazał się wystarczająco młody, by popijać i uganiać się za dziewczynami, dostatecznie dojrzały, by w razie potrzeby trzymać Williama z dala od kłopotów. Był jego najbliższym przyjacielem.

Williama opanowało dziwne podniecenie na myśl o ponownym spotkaniu z Alieną, chociaż zdawał sobie sprawę, iż naraża się na kolejną odmowę i poniżenie. Tamto błyskawiczne spojrzenie w katedrze, kiedy przez chwilę patrzył jej prosto w oczy, ożywiło jego pożądanie. Niecierpliwie wyglądał momentu, gdy będzie mógł zbliżyć się do niej w rozmowie, patrzeć, jak podczas konwersacji potrzasa kędziorkami, i przyglądać się, jak porusza się jej ciało pod suknią.

Zarazem jednak możliwość zemsty wyostrzyła nienawiść Williama. Pełen napięcia myślał, że teraz ma okazję wziąć odwet za upokorzenia, jakich doznał on sam i jego rodzina.

Wolałby wiedzieć dokładniej, czego właściwie ma szukać. Był przekonany, iż zdobędzie dowód, że archidiakon Waleran miał rację. Z pewnością zauważy jakieś oznaki zbrojnych przygotowań: ćwiczenie rumaków, czyszczenie broni, być może robienie zapasów żywności, jeśli nawet te przygotowania będą czynione pod pozorem wyjazdu czy wyprawy, by zmylić przypadkowego obserwatora. Skądinąd przekonanie o spisku to nie to samo, co znalezienie nań dowodu. William nie potrafił wymyślić nic, co mógłby uznać za dowód. Zamierzał mieć oczy otwarte i wierzył, że dojrzy coś, co samo narzuci mu się jako dowód. Trudno to jednak było nazwać planem i doskwierało mu przeczucie, że możliwość zemsty wyslizgnie mu się z rąk.

W miarę zbliżania się do celu podróży rosło w nim napięcie. Zastanawiał się, czy mogą zabronić mu wjazdu do zamku, i przez moment ogarnęła go panika. Ulżyło mu dopiero wtedy, kiedy uświadomił sobie, że jest to niemożliwe. Zamek powinien być otwarty dla wszystkich, a zamknięcie go sprawiłoby, że miejscowa szlachta odebrałaby taki gest jako coś podejrzanego.

Hrabia Bartholomew mieszkał kilka mil za miastem Shiring, gdzie znajdowała się siedziba szeryfa hrabstwa. Osada nazywała się po prostu Earlscastle. William patrzył teraz na to miejsce oczami człowieka przygotowującego się do ataku.

Szeroka i głęboka fosa, która otaczała zamek, miała kształt ósemki: dolne kółko większe, a górne mniejsze, otoczone dwoma kręgami wałów. U podstawy ósemki znajdował się most nad fosą i wjazd na drogę do zamku. To było jedyne wejście. By dostać się do wyższych obwałowań, trzeba koniecznie przejechać dolny krąg i następny most nad fosą oddzielającą oba kręgi wałów. Ten wyższy był celem Williama.

Gdy zbliżali się do zamku, galopując przez otwarte pola, dostrzegli wielu

wchodzących i wychodzących. Dwu zbrojnych mężów na szybkich koniach przejechało przez most i ruszyło w przeciwnych kierunkach, a grupa czterech jeźdźców wyprzedziła Williama i Waltera, gdy wjeżdżali na most.

Na całej długości wału, w niewielkich odległościach od siebie, wznosiły się kamienne wieże, dzięki czemu obszar dokoła mógł być ostrzeliwany przez obrońców-luczników. Obleganie zamku byłoby długą i krwawą mitręgą, a Hamleighowie nie zdołaliby wyszkolić dość ludzi, by być pewnymi zwycięstwa – pomyślał ponuro.

A jednak wjazd był otwarty. William podał nazwisko strażnikom w bramie i przepuszczono go bez żadnych kłopotów. W niższym kręgu, chronionym przez ziemne wały, mieściły się zwykle zabudowania gospodarskie: stajnie, kuchnia, warsztaty, ustęp i kaplica. Można było wyczuć atmosferę podniecenia. Giermkowie, przybocznicy, służący i służące zwijali się jak w ukropie, pokrzykiwali, pozdrawiali się wzajemnie i żartowali. Zwykły obserwator wziąłby to zapewne za normalną krzątaninę przed przyjazdem pana, ale Williamowi kojarzyło się to inaczej.

Zostawił Waltera w stajni i przeszedł na drugą stronę dziedzińca, gdzie naprzeciwko strażnicy znajdował się most prowadzący nad fosą do drugiej części zamku. Kiedy wchodził na most, zatrzymał go strażnik i zapytał, w jakiej przybył sprawie.

– Przyszedłem zobaczyć się z lady Alieną.

Strażnik nie znał go, ale przyjrzał mu się dokładnie. Zauważył piękną opończę i czerwoną tunikę, i ocenił go jako pełnego nadziei zalotnika.

– Znajdziesz ją, panie, w wielkiej komnacie – powiedział z wymuszonym uśmiechem.

W środku wyższego kręgu stał budynek z kamienia, wysoki na trzy piętra, o bardzo grubych ścianach. Była to twierdza. Na dole mieścił się skład, a nad nim wielka sala. Można się było do niej dostać po drewnianych opuszczanych schodach. Na najwyższym piętrze prawdopodobnie znajdowała się sypialnia

hrabiego. Tam zapewne szukałby schronienia, gdyby Hamleighowie przyszli po niego.

Całe otoczenie wydawało się najeżone różnymi przeszkodami. Było to oczywiście ważne i William zastanawiał się nad sposobem ominięcia tych przeszkód w razie najazdu. Widział poszczególne elementy planu całkiem jasno. Jeśli nawet atakujący zdobędą dolny krąg, będą musieli pokonać drugą fosę i kolejną bramę, no i sforsować twierdzę. Będą zmuszeni dostać się na wyższe piętro, wykorzystując do tego drabinę, a i tam nie obejdzie się bez walki. Kolejnej potyczki można się spodziewać przy próbie dostania się do komnaty hrabiego. Jedynym sposobem wtargnięcia na zamek jest tedy podstęp, uświadomił sobie William i jął przemyślać, jak w takim razie można by tu się zakraść.

Wspiął się po schodach i wszedł do wielkiej sali. Pełno tam było ludzi, ale między nimi nie było hrabiego. W przeciwległym rogu po lewej stronie zauważył schody, a u ich stóp siedziało piętnastu czy dwudziestu rycerzy i zbrojnych mężów gwarzących przyciszonym tonem. To już było niezwykle, ponieważ rycerze i żołnierze tworzyli dwie odrębne klasy społeczne: rycerze byli posiadaczami ziemi, która przynosiła im dochód, a żołnierzom płacono dniówkę. Obie grupy zbliżały się do siebie tylko wtedy, gdy pachniało wojną.

William rozpoznał kilku z nich: Gilberta zwanego Kociogębym, starego złośliwego żołnierza z niemodną brodą i długimi wąsami – ukończył już czterdziestkę, ale w dalszym ciągu był twardy; Ralfa z Lyme, który bardziej dbał o strój niż panna młoda – dziś miał na sobie niebieską opończę lamowaną czerwonym jedwabiem; Jacka Gillaume'a, już pasowanego, choć nie był starszy od Williama. Kilka innych twarzy przypominał sobie jak przez mgłę. Skinął głową w ich kierunku, ale nie zwrócili na to uwagi; znano go dobrze, ale jeszcze był za młody, by być kimś ważnym.

Rozejrzał się po komnacie i dostrzegł Alienę.

Wyglądała dzisiaj zupełnie inaczej. Wczoraj do katedry ubrała się w jedwab, cienką wełnę i płótno, nałożyła pierścionki i wstążki oraz spiczaste trze-

wiki. Dzisiaj miała na sobie krótką tunikę, odpowiednią raczej dla chłopki czy dzieciaka, i bosa stopy. Siedziała na ławie, wpatrzona w planszę do jakiejś gry, na której leżały krążki w różnych kolorach. Kiedy William na nią spojrział, pociągnęła właśnie tunikę i założyła nogę na nogę, ukazując kolana, i w zamyśleniu zmarszczyła nos. Wczoraj sprawiała wrażenie ogromnie przemądrzałej, dzisiaj wydawała się słabym dzieckiem, ale Williamowi jawiła się jako jeszcze bardziej godna pożądania. Nagle poczuł wstyd, że takie dziecko zdolne było przysporzyć mu tyle zmartwienia i bólu, i zapragnął pokazać w jakiś sposób, że jednak nad nią zapanuje. To uczucie bardzo przypominało żądę.

Grała z chłopcem młodszym od niej o trzy lata. Wyglądał na niespokojnego i zniecierpliwionego – nie podobała mu się ta gra. William dostrzegł między nimi rodzinne podobieństwo. Chłopak wyglądał jak Aliena w dzieciństwie, ten sam zadarty nos i krótkie włosy. To musi być jej młodszy brat Richard, dziedzic hrabiowskiego tytułu i majątku – pomyślał.

William podszedł bliżej. Richard popatrzył na niego, po czym wrócił do gry. Aliena skupiła się. Malowana drewniana plansza miała kształt krzyża i podzielona była na kwadraty o różnych kolorach, a białe i czarne krążki wydawały się z kości słoniowej. Williama bardziej interesowała sama Aliena. Kiedy nachyliła się nad stołem, góra tuniki odchyliła się i mógł widzieć szczyty jej piersi. Były tak duże, jak sobie wyobrażał. Zaszło mu w ustach.

Richard przesunął krążki na planszy, a Aliena powiedziała:

– Nie, tak nie możesz.

Chłopiec się zbuntował.

– Dlaczego nie?

– Bo to wbrew regułom, ty głupi.

– Nie podobają mi się te reguły – upierał się.

– Musisz przestrzegać reguł!

– Niby dlaczego?

– Bo tak!

– A ja mówię nie! – Zrzucił planszę na podłogę, a krążki rozleciały się.
Szybka jak błyskawica, Aliena spoliczkowała go.

Krzyknął z bólu, ale przede wszystkim obraziła jego dumę.

– Ty... – zawahał się – ty diabelska dziwko! – wrzasnął, odwrócił się i uciekł. Po trzech krokach wpadł na Hamleigha.

William złapał go za ramię, przytrzymał w powietrzu.

– Uważaj, żeby jakiś ksiądz nie usłyszał, jak przeżywasz siostrę.

– To boli! Puść mnie! – Richard wił się i pisał.

William przytrzymał go jeszcze przez chwilę. Chłopiec przestał walczyć i zaczął płakać. Wtedy postawił go na ziemi, a on uciekł zapłakany.

Aliena patrzyła na Williama. Zapomniała o grze, a zakłopotanie zmarszczyło jej czoło.

– Po co tu przyszedłeś? – Miała spokojny i niski głos starszej osoby.

William siadł na ławie, zadowolony ze sposobu, w jaki poradził sobie z Richardem.

– Przyszedłem zobaczyć się z tobą.

– Dlaczego? – Na jej twarzy pojawił się wyraz czujności.

Usadowił się tak, by móc spoglądać na schody.

Czterdziestoletni mężczyzna, odziany w krótką tunikę z cienkiej tkaniny, w okrągłej czapce starszego rangą służącego, schodził właśnie do wielkiej sali. Wskazał kogoś ręką i rycerz ze zbrojnym mężczyzną udali się do komnaty na górze.

– Chcę z tobą pomówić – rzekł William.

– O czym?

– O tobie i o mnie.

Spoglądając ponad jej ramieniem, zobaczył zbliżającego się ku nim sługę. W jego chodzie było coś niewieściego. W jednej ręce trzymał brudnobrazową głowę cukru w kształcie stożka. W drugiej niósł skręcony korzeń, wyglądający na imbir. Najwyraźniej człowiek ten pełnił funkcję zarządcy domu.

– Witaj, Matthew – Aliena pobiegła oczyma za wzrokiem Hamleigha.

Zarządcza uśmiechnęła się do niej i ułamał kawałek cukru. William pomyślał, że Matthew jest z Alieny bardzo dumny. Coś w jej zachowaniu zaniepokoiło zarządcę, bo jego uśmiech znikł i zwrócił się do dziewczyny z pytaniem:

– Czy wszystko w porządku? – Jego głos był miękki i łagodny.

– Tak, dziękuję.

Matthew spojrzał na Williama i na jego twarzy pojawiło się zaskoczenie.

– Młody William Hamleigh, czyż tak?

William poczuł się zakłopotany.

– Zachowaj cukier dla dzieci – powiedział, chociaż nikt go nie częstował. – Nie bawi mnie to.

– Dobrze, panie. – Spojrzenie Matthew mówiło, że nie ma zamiaru tracić czasu na robienie przykrości synom okolicznej szlachty. Skierował wzrok na Alienę. – Twój ojciec przywiózł trochę cudownego miękkiego jedwabiu. Pokażę ci później.

– Dziękuję – odrzekła.

Matthew się oddalił.

– Zniewieściałą głupiec – skomentował William.

– Dlaczego byłeś wobec niego tak grubiański? – spytała Aliena.

– Nie pozwalałam sługom, by mówili do mnie „młody William”.

Nie był to najlepszy sposób na uwodzenie. Zauważył ze ściśniętym sercem, że bardzo kiepsko zabrał się do rzeczy. Powinien być czarujący. Uśmiechnął się więc i rzekł:

– Jeśli zostałąbyś moją żoną, służba nazywałaby cię „lady”.

– Czy przyszedłeś tutaj mówić o małżeństwie? – W jej głosie zabrzmiała nuta niedowierzania.

– Ty przecież mnie nie znasz – powiedział tonem protestu. Z rozpaczą uświadomił sobie, że traci kontrolę nad rozmową. Zamierzał wdać się z nią w lekką pogawędkę, ale ona zachowywała się tak szczerze i bezpośrednio, że

wbrew własnej woli zdradził, co go do niej przywiodło. – Żle mnie oceniasz. Nie wiem, co zrobiłem podczas ostatniego spotkania, nie wiem dlaczego zaczęłaś mnie nie lubić. Jakikolwiek miałaś powód, za bardzo się pośpieszyłaś.

Odwróciła wzrok, rozważając odpowiedź. Za jej plecami dostrzegł rycerza z żołnierzem, schodzących po schodach. Skierowali się do wyjścia, z wyrazem zaaferowania na twarzach. Chwilę później człowiek w księżowskich szatach, prawdopodobnie sekretarz hrabiego, pojawił się u szczytu schodów i po chwili znikł. Kolejnych dwu rycerzy wstało i poszło na górę: Ralf z Lyme, błyskający czerwonym lamowaniem peleryny, i jakiś starszy mąż, zupełnie łysy. Najwidoczniej mężczyźni przebywający w tym pomieszczeniu spotykali się z hrabią w jego komnacie po jednym albo po dwu. Ale w jakim celu?

– Po takim czasie – mówiła Aliena. Tłumiła uczucie, ale nie wiedział, czy to gniew, czy raczej śmiech – po tych wszystkich kłopotach, gniewie i skandalu, który wreszcie zaczął cichnąć, przychodzisz tutaj i mówisz mi, że popełniłam błąd?

– Nie wszystko zostało pogrzebane. Ludzie ciągle o tym gadają, moja matka wciąż się złości, a ojciec nie może pokazać się publicznie – zawołał bliski szaleństwa. – Dla nas się to nie skończyło.

– Wszystko, o co ci chodzi, to honor rodziny, prawda?

W jej głosie pojawiła się jakaś niebezpieczna nuta, lecz William zignorował ją. Właśnie uświadomił sobie, po co hrabia spotyka się z tymi wszystkimi rycerzami i zbrojnymi mężami. Wysyła wiadomości.

– Honor rodziny? – powtórzył roztargniony. – Tak.

– Ja też wiem, że powinnam myśleć o honorze, koneksjach rodzinnych, tych wszystkich sprawach. Ale to nie wystarcza do małżeństwa. – Zastanowiła się przez moment. – Sądzę, że powinnam ci powiedzieć o mojej matce. Nienawidziła mego ojca. Ojciec nie jest złym człowiekiem, właściwie jest wspaniały i kocham go, ale jest przerażająco poważny i nigdy nie rozumiał matki. Ona była radosna, nieco lekkomyślna, kochała zabawy, opowiadanie różnych histo-

rii i muzykę, a ojciec uczynił ją nieszczęśliwą. – W oczach Alieny pojawiły się łzy, William ledwie je dostrzegł, pochłonięty obserwowaniem posłańców hrabiego. – Dlatego umarła... nie pozwolił jej być szczęśliwą. Wiem to. I on też to wie, rozumiesz. To dlatego przyrzekł mi, że nigdy nie będzie mnie zmuszał do tego, bym poślubiła kogoś, kogo nie polubię. Teraz rozumiesz?

Ci posłańcy przekazują rozkazy, myślał William, rozkazy dla przyjaciół i sprzymierzeńców hrabiego, nakazujące przygotować się do walki. A gońcy to dowód.

Zauważył, że Aliena na niego patrzy.

– Poślubić kogoś, kogo nie lubisz? – powtórzył jej słowa. – Nie lubisz mnie?

– Nie słuchałeś, co mówiłam. – W jej oczach błysnął gniew. – Jesteś tak zapatrzony w siebie, że nie potrafisz myśleć o nikim innym ani przez chwilę! Kiedy byłeś tutaj ostatnio, to co robiłeś przez cały czas? Gadałeś i gadałeś o sobie, a mnie nie zadałeś nawet jednego pytania!

Głos jej rósł aż do krzyku, a kiedy umilkła, William zauważył, że mężczyźni po przeciwnej stronie komnaty ucichli i słuchali.

– Nie mów tak głośno – powiedział do niej.

Nie zwróciła na niego uwagi.

– Chcesz wiedzieć, dlaczego cię nie lubię? W porządku, powiem ci. Nie lubię cię, bo nie masz ani odrobiny ogłady. Nie lubię cię, bo nie umiesz czytać. Nie lubię cię, bo interesujesz się jedynie swoimi psami, swoimi końmi i samym sobą.

Gilbert Kociogęby i Jack Gillaume zarechotali rubasznie. William czuł, że się czerwieni. Ci ludzie nie byli kimś, byli nikim, rycerzami, a śmiali się z niego, syna lorda Percy'ego Hamleigha. Wstał.

– W porządku – powiedział prędko, chcąc powstrzymać Alienę.

To nie był dobry pomysł.

– Nie lubię ciebie, bo jesteś sobkiem, tępakiem i głupcem! – krzyczała. Już

wszyscy rycerze się śmiali. – Nie lubię ciebie, gardzę tobą, nienawidzę cię i czuję do ciebie wstręt! I to jest powód, dla którego za ciebie nie wyjdę!

Rycerze wznosili okrzyki i bili brawo. William skurczył się ze strachu. Ich śmiech spowodował, że czuł się mały, słaby i bezradny jak chłopczyk, a jako mały chłopiec stale się bał. Odwrócił się od Alieny, starając się zachować niewzruszony wyraz twarzy i ukryć miotające nim uczucia. Przeszedł przez komnatę tak szybko, jak potrafił, a śmiech wokół niego potężniał. Kiedy dotarł do drzwi, gwałtownie je otworzył i wypadł na zewnątrz. Zatrzasnął je za sobą i zbiegł po schodach, dławiąc się ze wstydu. Cichnący odgłos gromkiego śmiechu gonił go przez błotnisty dziedziniec aż do bramy.

Ścieżka wiodąca z Earlscastle do Shiring dochodziła do głównego traktu. Na skrzyżowaniu podróżny mógł skręcić na północ, do Gloucesteru i na walijskie wybrzeże, albo na południe, do Winchesteru i na wybrzeże angielskie. William i Walter skierowali się na południe.

Udręka Williama zamieniła się w furię. Ogarnęła go taka wściekłość, że nie mógł mówić. Chciał upokorzyć Alienę i zabić wszystkich tych rycerzy. Z rozkoszą wbijałby swój miecz w każde śmiejące się usta i ciął je aż do gardła. Rozmyślał nad tym, jak może zemścić się przynajmniej na jednym z tych rycerzy. Gdyby mu się to udało, tym samym zdobyłby upragniony dowód. Możliwość zemsty przynosiła mu dzikie zadowolenie.

Najpierw musi któregoś pojmać. Kiedy tylko trakt zagłębił się w lasy, zsiadł z konia i dalej ruszył pieszo, prowadząc wierzchowca. Walter podążał za nim w ciszy, z respektem odnosząc się do złego humoru swego pana. William doszedł do przewężenia odcinka drogi i zatrzymał się. Odwrócił się do Waltera:

– Kto jest lepszy na noże, ty czy ja?

– W bezpośrednim starciu ja jestem lepszy – odrzekł ostrożnie Walter. – Ty lepiej rzucasz, panie. – Zawsze, kiedy William był zły, mówił do niego „panie”.

– Przypuszczam, że potrafisz spowodować, by koń potknął się, poniósł i na koniec przewrócił? – spytał William.

– Tak, za pomocą drąga.

– Idź i znajdź małe drzewo, wyrwij je i ociosaj, będziesz miał mocny drąg.

Walter oddalił się.

William wprowadził oba konie pomiędzy drzewa i przywiązał je na polance z dala od traktu. Zdjął z nich siodła i wyciągnął z uprząży parę troków i popręgów – dosyć, by związać człowiekowi ręce i nogi, a nawet bardziej go skrepować. Plan miał opracowany tylko z grubsza, brakowało czasu na przemyślenie szczegółów, musiał tedy mieć nadzieję, że wszystko się powiedzie.

Wracając, znalazł solidną dębową gałąź, wyschniętą i twardą, doskonałą na pałę.

Walter już czekał ze swoim drągiem. William wybrał miejsce, gdzie jego przyboczny miał lec i czekać. Było ukryte za szerokim pniem buku rosnącego przy drodze.

– Nie wystawiaj drąga za szybko, bo koń może przez niego przeskoczyć – ostrzegł. – Ale też się nie spóźnij, bo możesz potraćić tylne nogi. Najlepiej byłoby trafić między dwie przednie.

I spróbuj wetknąć drugi koniec w ziemię, żeby koń nie odepchnął drąga.

– Widziałem już kiedyś, jak się to robi – skinął głową Walter.

William poszedł jakieś trzydzieści jardów z powrotem w kierunku Earlscastle. Musiał mieć pewność, że koń poniesie, że będzie biegł za szybko i nie zdoła uniknąć zetknięcia z drągiem. Ukrył się przy drodze, najbliżej jak się dało. Wcześniej czy później któryś z gońców hrabiego musi tędy przejeżdżać. William miał nadzieję, że wkrótce. Z niepokojem myślał o tym, czy się uda, i niecierpliwił się, pragnąc, by było już po wszystkim.

Tym rycerzom, gdy tak się śmiali ze mnie, nie przyszło do głowy, że ich szpieguję – ta myśl trochę go uspokoiła. Ale któryś niedługo się przekona. Pożałuje wtedy, że się śmiał. Zapraśnie paść na kolana i całować mi buty. Będzie

szlochać i błagać, abym mu wybaczył, a ja mu jeszcze dopiekę.

Pocieszał się tym, że jego plan doprowadzi do upadku hrabiego Bartholomew i odrodzenia Hamleighów. Wtedy wszyscy, którzy natrzęsali się z odwołanego ślubu, będą się trząść ze strachu, a niejednego czeka coś więcej niż trzęsionka.

Upadek Bartholomew stanie się także upadkiem Alieny. I to było najważniejsze. Jej nadętość i wyniosłe maniery będą musiały się zmienić, kiedy ojca powieszą jako zdrajcę. Jeśli zechce cienkich jedwabi i głów cukru, będzie musiała poślubić Williama. Wyobraził ją sobie, jak poniżona i zgnębiona, przynosi mu z kuchni gorący pasztecik, patrząc na niego tymi wielkimi, ciemnymi oczami, chętna, by mu sprawić przyjemność, i oczekująca pieszczot. Widział pełne wargi, lekko uchylone, błagające o pocałunek.

Jego fantazje przerwał tętent kopyt. Wyjął nóż i zważył go w rękę, przypominając sobie jego ciężar. Czubek naostrzył z obu stron, by lepiej wchodził. Stał wyprostowany, opierając plecy o kryjące go drzewo, trzymał nóż za ostrze i czekał, prawie nie oddychając. Był zdenerwowany. Obawiał się, że nie trafi nożem, że koń może się nie przewrócić, że jeździec zabije Waltera przypadkowym ciosem, a wtedy William musiałby z nim walczyć sam... Kiedy tętent się przybliżył, coś zaniepokoiło go w odgłosie uderzających kopyt. Dostrzegł, że Walter patrzy na niego. Raptem uświadomił sobie przyczynę: to więcej niż jeden koń. Musi błyskawicznie podjąć decyzję. Czy zaatakować dwu ludzi? To by przypominało uczciwą walkę. Postanowił ich przepuścić i poczekać na samotnego jeźdźca. Był trochę rozczarowany, ale tak nakazywał rozsądek. Przeczącym ruchem ręki pomachał Walterowi. Ten skinął głową na znak, że zrozumiał, i ponownie zaszył się w kryjówce.

W chwilę później pojawiły się dwa konie. William dostrzegł błysk czerwonego jedwabiu: Ralf z Lyme. Potem zobaczył łysą głowę jego kompana. Obaj mężowie galopem przejechali obok niego i zniknęli w dali.

Pomimo uczucia przykrego zawodu William pocieszał się słuszością swo-

ich podejrzeń – hrabia rozsyła ludzi z poleceniami. Zastanowił się jednak z pewnym niepokojem, czy czasami Bartholomew nie stosuje taktyki wysyłania po dwóch rycerzy. Byłoby to zrozumiałe zabezpieczenie. Jeśli to tylko możliwe, każdy dla bezpieczeństwa podróżuje w grupie. Z drugiej jednak strony Bartholomew miał ograniczoną liczbę gońców, zatem wysyłanie po dwóch ludzi z jedną wiadomością wydawało się pewną przesadą. Poza tym rycerze dadzą sobie radę ze zwykłym banitą, który przecież poza ciągami może od rycerza niewiele dostać. Rycerz nie nosi przy sobie nic wartego kradzieży. Jedyne miecz, którego nie można sprzedać bez odpowiadania na niewygodne pytania. Pokusą może być koń, ale ten z pewnością zaprowadziłby złodzieja prosto w ręce kata. W lesie rycerz był bardziej bezpieczny niż inni podróżni.

William podrapał się w głowę ręką noża. Powinno się udać.

Usadowił się wygodnie, by czekać. Las był spokojny. Słabe zimowe słońce powoli zachodziło, świeciło jeszcze chwilę przez gęstą zieleń, po czym znikło. Brzuch przypominał mu, że dawno minął czas obiadu. Kilka jardów dalej przeszedł jeleni nieświadom, że przygląda mu się głodny człowiek. William zaczął się niecierpliwić.

Jeśli nadciągnie następna para jeźdźców, ruszą do ataku. Rzykowne, ale ma przewagę. Jego atutem jest zaskoczenie i Walter, który świetnie wojuje. Poza tym to mogła być już ostatnia szansa. Wiedział, że może zostać zabity, i bał się. Lecz to pewnie lepsze niż życie w nieustannym poniżeniu. Przynajmniej z honorem poległby w walce.

Byłoby najlepiej, myślał, gdyby pojawiła się sama Aliena na swym białym kucu. Spadłaby z konia, raniąc ręce i nogi, a potem wpadłaby w kolczaste zarośla! Ciernie poraniłyby jej delikatną skórę i popłynęłaby krew. Wtedy skoczyłby na nią i przyszpilił do ziemi. Zostałaby upokorzona.

Igrał z tymi myślami, wyobrażając sobie jej rany, jej wznoszącą się i opadającą pierś, kiedy on siedziałby na niej okrakiem i marzył o wyrazie upokarzającego strachu na jej twarzy, gdy uświadomiłaby sobie, że jest całkowicie

w jego mocy. Wtedy znowu usłyszał tętent.

Tym razem był to tylko jeden koń.

Wyprostował się, wyciągnął nóż, oparł się o pień i nasłuchiwał.

To dobry koń, szybki koń, nie bojowy rumak, lecz mocny wierzchowiec. Niósł umiarkowany ciężar, jakby mężczyznę bez zbroi. Poruszał się wyrównanym długim kłusem. William napotkał wzrok Waltera i kiwnął głową. To ten, oto będzie dowód. Podniósł prawe ramię, trzymając nóż za czubek ostrza.

Z oddali dobiegło rzenie konia Williama.

Dźwięk niósł się przez cichy las, świetnie słyszany poprzez tętent zbliżającego się wierzchowca, który teraz wytracił prędkość. Jeździec zawołał: „Ho-ouua!” i zwolnił do stępa. William zaklął pod nosem. Teraz jeździec będzie ostrożny i wszystko się skomplikuje.

Kiedy koń szedł stępa, nie można było określić odległości. Powściągnął chęć wyrznięcia zza drzewa. W napięciu pilnie nasłuchiwał. Nagle do jego uszu dotarło parsknięcie, zaskakująco blisko, a jeździec pojawił się o jard od niego. Chwilę później został dostrzeżony przez konia, który stanął, a siedzący na nim człowiek wydał pomruk zaskoczenia. William zaklął. Uświadomił sobie natychmiast, że koń może się odwrócić i pobiec w przeciwnym kierunku. Zanurkował z powrotem pod osłonę drzewa i wychylił się z drugiej strony, za koniem, a ramię miał już uniesione. Rzucając nożem, nieoczekiwanie rozpoznał jeźdźca, który z groźnym marszem na brodatej twarzy ścigał gwałtownie wodze. Tak! To był stary, twardy Gilbert Kociogęby.

Doskonały rzut. Ostrze trafiło w koński zad i wbiło się w mięśnie na dobry cal.

Zwierzę wzdrygnęło się jak zaskoczony człowiek, a następnie, zanim Gilbert miał czas zareagować, ruszyło w panicznym galopie, pędząc wprost na Waltera.

William pobiegł za koniem. Ten w kilka chwil przebył odległość dzielącą go od pułapki. Gilbert nie podejmował żadnych wysiłków, by odzyskać pano-

wanie nad zwierzęciem – za bardzo był zajęty utrzymaniem się w siodle.

Dotarli do pozycji Waltera, William poganiał w myślach: Teraz, Walter, teraz!

Walter tak precyzyjnie wyliczył swe ruchy, że William nie zauważył drąga wyłaniającego się spod drzewa. Dostrzegł tylko, że przednie nogi konia załamują się, jakby ich cała siła nagle zniknęła. Potem tylne nogi zdawały się dołączać do przednich, tak że wszystkie się poplątały. W końcu ugięły się całkowicie, zad poszedł w górę i koń zwał się na ziemię.

Jeździec wyleciał w powietrze.

William musiał zatrzymać się na chwilę, gdyż drogę zagradzał mu leżący koń.

Gilbert wylądował zręcznie, przetoczył się i podniósł na kolana. William zląkł się, że zaraz wstanie i zdoła umknąć. Wtedy z zarośli wyłonił się Walter, rzucił się najeźdźca, uderzył go w plecy, powalając na ziemię.

Obaj mężczyźni upadli ciężko, lecz po chwili zaczęli się dźwigać. William z przerażeniem spostrzegł, że przebiegły Gilbert podnosi się z nożem w dłoni. Skoczył w stronę powalonego konia, wyciągnął dębowy drąg i ruszył na Gilberta. Uderzył. Kij trafił w ciemię i rycerz zachwiał się, lecz nie stracił równowagi. William przeklął go w duchu za jego twarde łeb i ponownie zamachnął się, ale Kociogęby okazał się szybszy i rzucił się na niego z nożem. Hamleigh był odziany na zaloty, a nie do walki, więc sztych przebił cienką wełnianą oponkę. Odskoczył jednak dość szybko, by ocalić skórę, lecz Gilbert w dalszym ciągu nacierał. William, zmuszony cofać się, zaczął już lękać się o swoje życie. Wtedy właśnie Walter zdołał podejść Gilberta od tyłu i kopnięciem podciął mu nogi.

William odetchnął z ulgą. Przez chwilę wydawało mu się, że już po nim. Dziękował Bogu za to, że dał mu takiego przybocznego.

Obalony rycerz próbował wstać, ale kopnął go w twarz. William jeszcze dołożył dwa razy kijem, dla dobrej miary, a potem Kociogęby już leżał spokoj-

nie.

Przetoczyli go tak, by twarz miał zwróconą ku ziemi i Walter usiadł na głowie Gilberta, a William związał mu ręce na plecach, następnie ściągnął długie czarne buty i skrępował nogi w kostkach mocnym rzemieniem z uprzęży.

Wstał. Skrzywił się do Waltera, a ten się uśmiechnął. Co za ulga, że ten ostry, stary wojownik jest bezpiecznie związany.

Teraz należało skłonić Gilberta do wyznań.

Walter obrócił go. Kiedy oczy Kociogębego spoczęły na Williamie, widać było, że go poznaje. Najpierw pojawił się w nich wyraz zaskoczenia, później strach. Hamleigh poczuł satysfakcję. Gilbert już pożałował swego śmiechu, pomyślał. Za chwilę będzie żałować jeszcze bardziej.

Koń Gilberta zdołał wstać, co było godne uwagi. Odbiegł kilka jardów, zatrzymał się i odwrócił głowę. Oddychał ciężko i był załęczniony. Hamleigh poszedł po swój nóż, a Walterowi nakazał schwytać konia.

William nasłuchiwał, czy nie rozlegnie się tętent oznajmiający kolejnych jeźdźców. Hrabia mógł przecież wysłać następnego posłańca. Gdyby tak miało być, należało Gilberta usunąć z widoku i pilnować, by był cicho. Ale nie słychać było żadnych odgłosów, a Walter bez większego trudu poradził sobie z koniem Gilberta.

Przewiesili jeńca przez siodło jego własnego wierzchowca, potem poprowadzili w głąb lasu, gdzie stały ich konie.

Rozejrzał się za drzewem, odpowiednim do tego, co chciał zrobić. Dostrzegł wiąz, którego konar wyrastał niemal poziomo nad ziemią, jakieś osiem, dziewięć stóp ponad nią. Wskazał go Walterowi.

– Chciałbym zawiesić Gilberta na tej gałęzi.

– Co masz zamiar mu zrobić, panie? – Grymas okrucieństwa zmienił rysy Waltera.

Ogorzała twarz Kociogębego zbieleła ze strachu. William przeciągnął linkę pod pachami jeńca, związał ją z tyłu i przerzucił przez konar.

– Podciągnij go – polecił Walterowi.

Wykonał polecenie. Gilbert jednak wywinął się i uwolniwszy z uchwytu, spadł na ziemię. Walter podniósł kij i walił nim w głowę Gilberta, aż ten stracił przytomność, a potem podniósł go znowu. William kilkakrotnie owinał wolny koniec linki dookoła gałęzi, po czym mocno zawiązał. Kiedy go puścił, zwiślał tuż nad ziemią. Kołysał się lekko.

– Zbierz trochę chrustu – rozkazał Walterowi.

Ułożyli drewno pod nogami Gilberta, po czym William skrzesał ognia. Po chwili płomienie strzeliły w górę. Gorąco obudziło Kociogębego z omdlenia.

Gdy zorientował się, co się z nim dzieje, zaczął jęczeć z przerażenia.

– Proszę – szepnął – proszę, opuśćcie mnie. Wybacz mi, że się z ciebie śmiałem. Błagam, miej litość.

William milczał. Słowa jeńca cieszyły go, ale nie o to mu chodziło.

Kiedy żar zaczął przypalać Gilbertowi palce stóp, podwinął je i, zgiąwszy nogi w kolanach, usunął stopy z zasięgu ognia. Po twarzy spływały mu strumienie potu, a w powietrzu rozszedł się lekki zapach spalenizny. William doszedł do wniosku, że nadeszła pora, by wypytać go o szczegóły.

– Po co przybyłeś na zamek?

Gilbert łypnął swymi szeroko rozstawionymi oczyma.

– Żeby się pokłonić. A bo co?

– Dlaczego poszedłeś się pokłonić?

– Hrabia powrócił z Normandii.

– Nikt cię nie wzywał?

– Nie.

To mogła być prawda. Wypytywanie jeńca nie było takie proste, jak sobie wyobrażał. Pomyślał chwilę.

– Co powiedział ci hrabia, kiedy rozmawiałeś z nim w jego komnacie?

– Pozdrowił mnie i podziękował, że przybyłem go powitać.

Czyżby jakaś ostrożność błysnęła z oczu Gilberta? William nie był pewny.

- Co jeszcze?
- Pytał o moją rodzinę i wioskę.
- Nic więcej?
- Nic. Co cię to obchodzi?
- Co mówił o królu Stefanie i Matyldzie?
- Nic!

Gilbert już dłużej nie potrafił utrzymać zgiętych kolan, jego stopy znowu znalazły się w płomieniach. Po sekundzie jęk śmiertelnej udręki wyrwał mu się z gardła, a ciało skręciło się konwulsyjnie. Poderwał stopy gwałtownie i uświadomił sobie, że może osłabiać ból, jeśli będzie kołysać się w przód i w tył. Jednakże za każdym wahnięciem płomienie lizały jego stopy i krzyczał.

William zastanawiał się nad tym, czy Kociogęby może mówić prawdę. Nie miał pojęcia, jak to sprawdzić. Sądził, że Gilbert cierpiał już tak bardzo, iż prawdopodobnie powiedziałby mu wszystko, co chciał od niego usłyszeć. Ważne więc, aby nie dać mu poznać, na czym mi zależy, by nie podejmował jakichś desperackich prób zmylenia mnie, myślał zmartwiony William. Kto mógł przypuszczać, że torturowanie ludzi może być takie trudne?

Odezwał się spokojnym głosem, jakby zamierzał prowadzić konwersację.

- Gdzie teraz podążałeś?

Gilbert jęknął z bólu i bezsilności.

- Co cię to obchodzi?
- Gdzie jedziesz?
- Do domu!

Zaczyna tracić opanowanie. William wiedział przecież, gdzie mieszka Gilbert. To miejsce leżało na północ stąd. Jechał tedy w złym kierunku.

- Gdzie jedziesz?
- Czego ty chcesz ode mnie?

– Wiem, kiedy kłamiesz. Po prostu powiedz mi prawdę. – Usłyszał ciche, pełne aprobaty chrząknięcie Waltera. Pomyślał, że radzi sobie coraz lepiej. –

Gdzie jedziesz? – spytał po raz czwarty.

Jeniec osłabł tak bardzo, że już nie był w stanie wprawiać swego ciała w ruch przynoszący ulgę. Jęcząc z bólu, zawisł nad ogniem i jeszcze raz zgiął nogi, by ochronić stopy przed żarem. Płomienie sięgały wystarczająco wysoko, by smalić mu kolana. William poczuł lekko mdlący zapach, jakby znajomy. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że tak pachnie pieczone mięso; woń ta kojarzyła mu się z obiadem. Skóra nóg i stóp Gilberta zbrązowiała i zaczęła pękać, włosy na goleniach zaczęły się przysuszać. Przyglądanie się cierpieniu fascynowało młodego Hamleigha. Każdy okrzyk bólu przyprawiał go o głęboki dreszcz. Miał władzę nad bólem tego człowieka i to dawało mu satysfakcję. Przypominało to trochę sytuację, kiedy był sam na sam z dziewczyną, przyciskał ją do ziemi i zadzierał spódnicę, wiedząc, że nic nie może go powstrzymać przed zniewoleniem jej.

– Gdzie jedziesz? – zapytał znowu niechętnym tonem.

– Do Sherborne – odrzekł Gilbert, tłumiąc jęk.

– Po co?

– Odetnij mnie, na miłość Chrystusa, powiem ci!

William czuł, że zwycięstwo jest w zasięgu ręki. Był bardzo zadowolony. Ale to jeszcze nie wszystko.

– Odciągnij trochę jego stopy od ognia – polecił Walterowi. Giermek złapał za tunikę Gilberta i pociągnął tak, że płomienie nie lizały już jego nóg.

– No...?

– Hrabia Bartholomew ma pięćdziesięciu rycerzy w Sherborne i okolicy – odparł Gilbert, tłumiąc szloch. – Miałem z nimi ćwiczyć i przyprowadzić ich do Earlscastle. William uśmiechnął się. Wszystkie jego domysły okazały się słuszne.

– W jakim celu?

– Nie wiem.

– Pozwól mu się jeszcze trochę popalić – rzekł do Waltera.

– Nie! Powiem!

Walter znieruchomiał w oczekiwaniu.

– Szybko! – ostrzegł Hamleigh.

– Mają walczyć dla Matyldy przeciwko Stefanowi.

O to mu chodziło. William triumfował.

– Kiedy zapytam cię przed obliczem mego ojca, czy odpowiesz tak samo?

– Tak, tak.

– A kiedy mój ojciec zapyta cię przed obliczem króla, czy wtedy też powiesz prawdę?

– Tak!

– Przysięgnij na krzyż.

– Przysięgam na krzyż, że będę mówił prawdę!

– Amen – zakończył zadowolony William i zaczął zadeptywać ogień.

Przywiązali Kociogębego do siodła i ruszyli stępą. Rycerz ledwie mógł utrzymać się prosto, a William nie chciał, by zmarł, bo nie miałby z niego żadnego pożytku, starał się więc nie traktować jeńca zbyt szorstko. Kiedy następnym razem mijali strumyk, polał zimną wodą jego spalone stopy. Jeniec zawył z bólu, ale chyba dobrze mu to zrobiło.

Williama ogarnęło cudowne uczucie triumfu, zmieszane z dziwnym rodzajem niemocy. Nigdy nie zabił człowieka, a bardzo chciał zabić Gilberta. Torturować człowieka, a nie zabić go, to tak, jakby obnażać dziewczynę i jej nie zgwałcić. Im bardziej o tym myślał, tym bardziej chciało mu się kobiety.

Może kiedy dojadą do domu... Nie, wtedy nie będzie czasu. Musi opowiedzieć wszystko rodzicom, a oni zechcą, by Gilbert powtórzył swe zeznanie przed nimi i przed księdzem, możliwe, że jeszcze przed innymi świadkami. Potem trzeba będzie zaplanować atak na Bartholomew, co koniecznie musi nastąpić jutro, zanim hrabia zgromadzi swych żołnierzy. A William wciąż jeszcze

nie wiedział, jak podstępnie dostać się na zamek, bez konieczności oblegania go...

Zrezygnowany myślał o tym, jak wiele czasu upłynie, zanim ujrzy jakąś po-
nętą kobietę, kiedy taka właśnie pojawiła się na drodze przed nim. Z przeciw-
ka szła grupa pięciu osób. Jedną z nich była może dwudziestopięcioletnia ciem-
nowłosa kobieta, już nie dziewczyna, ale wystarczająco młoda. W miarę jak się
zbliżała, William patrzył coraz bardziej zaciekawiony: była piękna, jej ciemno-
brązowe włosy opadały grzywką na czoło, a głęboko osadzone, intensywnie pa-
trzące oczy miały niespotykany złoty kolor. Miała schludną i gibką figurę,
a skórę gładką i opaloną.

– Zostań z tyłu – powiedział do Waltera. – Trzymaj rycerza z daleka, dopó-
ki z nimi nie pogadam.

Grupka stanęła i wszyscy ostrożnie popatrywali na niego. Najwyraźniej
byli rodziną: wysoki mężczyzna, prawdopodobnie mąż, wyrostek, ale jeszcze
bez brody, i parka skrzatów. Mężczyzna wyglądał znajomo, co z zaskoczeniem
zauważył William.

– Znam ciebie? – spytał.

– Ja ciebie znam, panie – usłyszał w odpowiedzi. – I znam twego konia, bo
obaj omal nie zabiliście mojej córki.

William przypomniał sobie to zdarzenie. Jego koń nie dotknął dziecka, ale
był blisko.

– Budowałeś mój dom, a kiedy cię zwolniłem, domagałeś się zapłaty i pra-
wie mi groziłeś.

Mężczyzna patrzył wyzywająco, nie przeczył.

– Teraz nie jesteś już taki kogut – William rzucił szyderczo. Cała rodzina
zdawała się głodować. Wszystko wskazywało na to, że nastał dzień doskonały
na regulowanie rachunków z osobami, które obraziły Williama Hamleigha. –
Jesteście głodni?

– Tak, jesteśmy głodni – odpowiedział budowniczy ponurym głosem.

William znów popatrzył na kobietę. Stała w lekkim rozkroku, z podniesioną twarzą, patrząc na niego bez strachu. Aliena go rozpałała, a teraz swą żądzą chciał zaspokoić z tą kobietą. Byłaby pełna wigoru, tego był pewny: wiałaby się i darła. Tym lepiej.

– Nie ożeniłeś się z nią, prawda? Pamiętam twoją żonę, taka brzydka krowa.

Skurcz bólu przebiegł przez twarz Toma.

– Moja żona zmarła.

– Ale tej kobiety nie zaprowadziłeś do kościoła, co? Nie masz pensa na zapłacenie księdzu. – Z tyłu rozległ się kaszel Waltera i konie niecierpliwie się poruszyły. – Przypuśćmy, że dam ci pieniądze na jedzenie – powiedział, chcąc podrażnić Toma.

– Przyjmę je z wdzięcznością – odrzekł mężczyzna, ale William wiedział, jak ciężko mu być uległym.

– Nie mówię o podarunku. Kupię twoją kobietę.

– Nie jestem na sprzedaż, chłopcze – ostro odezwała się Ellen.

Strzał był celny, William się rozszłościł. Pokażę ci, czy jestem chłopcem, czy mężczyzną, jak cię dorwę samą, pomyślał.

– Daję za nią funt srebra – zwrócił się do Toma.

– Ona nie jest na sprzedaż.

Gniew lorda narastał. Rozwścieczyło go, że ofiaruje fortunę takiemu głodomorowi, a ten ją odrzuca.

– Durniu, bierz pieniądze albo przeszyję cię mieczem, a ją zerznę na oczach dzieci.

Ramię mężczyzny wsunęło się pod opończę. On musi tam mieć jakąś broń, pomyślał William. Poza tym był duży i chociaż wychudł na wiór, to był zdecydowany walczyć.

Kobieta odsunęła opończę i oparła rękę na rękojęści niezwykle długiego sztyletu, który nosiła przy pasie. Starszy chłopak też był dość duży, by sprawić

trochę kłopotu.

– Panie, nie mamy na to dość czasu – Walter przemówił cicho, ponaglającym tonem.

William skinął głową niechętnie. Musi zabrać Gilberta do domu Hamleighów. To zbyt ważne w porównaniu z bójką o kobietę. Musi to jakoś ścierpieć.

Popatrzył na tych obdartych, głodnych ludzi, gotowych walczyć na śmierć i życie z dwoma wypasionymi mężczyznami na koniach, uzbrojonych w miecze. Nie mógł ich zrozumieć.

– No to zagłódźcie się na śmierć – spiął konia i ruszył galopem, a w kilka chwil potem nie było ich już widać...

II

Kiedy oddalili się o jakąś milę od miejsca spotkania z Williamem Hamleighem, Ellen spytała:

– Czy możemy już zwolnić?

Tom uświadomił sobie, że narzucił zbyt ostre tempo. Bał się. Przez moment w tamtym miejscu wyglądało na to, że on i Alfred będą musieli walczyć z dwoma zbrojnymi jeźdźcami. Nie miał żadnej broni. Sięgnął co prawda pod opończę po swój kamieniarski młotek, ale z przykrością przypomniał sobie, że kilka tygodni temu sprzedał go za worek owsa. Nie wiedział, dlaczego w końcu William dał za wygraną, ale na wszelki wypadek wołał, żeby ich dzieliła jak największa odległość. Mogło się przecież zdarzyć, że temu młodemu lordowi przyjdzie do głowy jakiś złośliwy pomysł.

Tom nie dostał pracy ani na zamku biskupa Kingsbridge, ani w żadnym innym miejscu, gdzie się starał. W bezpośrednim sąsiedztwie Shiring znajdował się kamieniołom, a w kamieniołomach, inaczej niż na placach budów, zatrudniano tyle samo ludzi i w zimie, i w lecie. Oczywiście jego praca należała do

znacznie lepiej płatnych i wymagających większych umiejętności niż kruszenie kamienia, ale już dawno zapomniał o takich drobiazgach. Kamieniołom w Shiring należał do hrabiego Bartholomew i Tomowi powiedziano, że jego zamek znajduje się kilka mil na zachód od miasta.

Od kiedy miał Ellen, był jeszcze bardziej zdesperowany. Wiedział, że porzuciła swą siedzibę i las z miłości do niego, nie zważając na następstwa. A zwłaszcza nie przypuszczała, jak bardzo trudne może być dla niego znalezienie pracy. Jeszcze nie uświadomiła sobie tego, że mogą nie przetrwać zimy, a on nie mógł zdobyć się na to, żeby pozbawić ją złudzeń, ponieważ pragnął, by z nim została. Kobieta jednak czuje się odpowiedzialna przede wszystkim za los swego dziecka i Ellen w końcu, czego się Tom obawiał, opuści go.

Byli razem od tygodnia – siedem dni rozpacz i siedem nocy rozkoszy. Co rano Tom wstawał szczęśliwy i pełen nadziei. Wraz z upływem dnia głodniał, dzieci się męczyły, a Ellen markotniała. Niekiedy się najadali, na przykład wtedy, kiedy spotkali mnicha z serem, a niekiedy żuli kawałki wysuszonej w słońcu dziczyzny, przygotowanej przez Ellen. Trochę to przypominało żucie jeleńniej skóry, ale było lepsze niż nic. Gdy zapadał zmrok, zmarznięci i wycieńczeni kładli się blisko siebie, by się nawzajem ogrzać, a po chwili zaczęli gładzić się i całować. Z początku Tom pragnął wchodzić w nią natychmiast, ale ona łagodnie odmawiała: chciała całować się dłużej i dłużej igrać. Spełniał więc jej życzenie i okazało się to zachwycające. Zuchwale badał jej ciało, pieścił w miejscach, gdzie nigdy nie dotykał Agnes, pod pachami, za uszami i między pośladkami. W niektóre noce chichotali i łaskotali się, schowawszy głowy pod opończe. Kiedy indziej obsypywali się czułościami. Pewnej nocy, gdy byli sami w domu gościnnym jakiegoś klasztoru, a wyczerpane dzieci zasnęły, Ellen stała się władczą i natarczywą w swych miłosnych uniesieniach, ale spełniał jej rozkazy, podniecony, oszołomiony jej bezwstydem. Kiedy skończyli, zapadli w głęboki, dobroczynny sen, zmywszy z siebie miłością dzienne strachy i gniewy.

Tom ocenił, że William Hamleigh jest dostatecznie daleko, postanowił więc zatrzymać się na odpoczynek. Dojedzenia nie mieli nic poza suszoną dziczyzną. Jednakże w znajdującym się na uboczu gospodarstwie udało się im dzisiaj rano wyżebrać trochę chleba, a gospodyni dała im też piwa w drewnianej butli bez korka i kazała ją zatrzymać. Ellen zaoszczędziła połowę napitku.

Tom siadł na wielkim pniu starego drzewa, Ellen przysiadła obok niego. Pociągnęła długi łyk i podała mu butelkę.

– Chcesz trochę mięsa?

Potrząsnął głową i napił się piwa. Wypiłby chętnie wszystko, ale zostawił trochę dla dzieci.

– Schowaj mięso. Na zamku powinniśmy dostać kolację.

Alfred przyłożył butelkę do ust i opróżnił do dna.

Jack był przybity, a Martha wybuchnęła płaczem. Jej brat paskudnie wykrzywił twarz.

Ellen popatrzyła na Toma. Po chwili powiedziała:

– Nie powinieneś puszczać płazem takich rzeczy.

– Jest większy, potrzebuje więcej. – Wzruszył ramionami.

– I tak dostaje więcej. Małe dzieci też muszą coś pić.

– Mieszanie się w kłótnie dzieci to strata czasu.

– Chcesz powiedzieć, że Alfred może znęcać się nad młodszymi, a ty nic na to nie poradzisz. – Głos Ellen stał się szorstki.

– On się nie znęca. Dzieci zawsze się kłócą.

– Nie rozumiem cię – potrząsnęła głową zakłopotana. – Jesteś dobrym człowiekiem, ale kiedy chodzi o Alfreda, stajesz się ślepy.

Tom uważał, że Ellen przesadza, ale nie chciał, żeby się zrobiło nieprzyjemnie, więc powiedział:

– No to daj mięsa małym.

Ellen otworzyła torbę. Nie wyglądała na zadowoloną. Ukroiła kawałek suszonej dziczyzny dla Marthy i drugi dla Jacka. Alfred wyciągnął dłoń po swoją

porcję, ale został pominięty. Tom pomyślał, że powinna mu trochę dać. Przecież Alfred nic takiego nie zrobił. Ellen po prostu go nie rozumiała. Chłopak jest duży, ma wielki apetyt i porywczy charakter, a jeśli to grzech, to wszyscy dorastający chłopcy na całym świecie powinni być przeklęci.

Odpoczywali jakiś czas, potem ruszyli dalej. Jack i Martha szli na przedzie, wciąż żując skórzaste mięso. Tych dwoje świetnie się dobrało pomimo różnicy wieku. Martha miała sześć lat, a Jack pewnie jedenaście lub dwanaście, ale dziewczynka uważała go za ogromnie zajmującego, a on zdawał się cieszyć nowym doświadczeniem, jakim było bawienie się z innym dzieckiem. Szkoda tylko, że Alfred nie polubił Jacka. Toma to zaskoczyło. Nie spodziewał się też, że Jack, któremu jeszcze daleko było do stania się mężczyzną, będzie patrzeć na Alfreda krytycznie. Alfred był oczywiście silniejszy, za to mały Jack okazał się mądry.

Tom odsunął od siebie te zmartwienia. To przecież tylko chłopcy. Miał na głowie zbyt wiele, by jeszcze przejmować się dziecięcymi sprzeczkami. Czasem zastanawiał się skrycie, czy w ogóle jeszcze kiedyś dostanie pracę. Mogą przecież tak wędrować po drogach, aż wymrą jedno po drugim. Któregoś mroźnego ranka znajdą jedno dziecko zimne i bez życia, następne okaże się zbyt słabe, by wytrzymać gorączkę, a Ellen może być sponiewierana i zabita przez jakiegoś łotra podobnego do Williama Hamleigha. Tom zaś będzie chudł i chudł, aż wreszcie okaże się za słaby, by się podnieść rano i zostanie tak, leżąc na ściółce leśnej, dopóki nie zaśnie snem wiecznym.

Oczywiście zanim do tego dojdzie, Ellen go opuści. Wróci do swej jaskini, gdzie pozostała beczułka jabłek i worek orzechów, zapas wystarczający dla dwojga na przetrwanie do wiosny, ale zbyt mały dla pięciorga. Jeśliby tak uczyniła, pękłoby mu serce.

Pomyślał o tym, co się teraz dzieje z maleństwem. Mnisi nazwali je Jonathanem. Tomowi podobało się to imię. Znaczyło podarunek od Boga, jak mówił ten mnich od sera. Wyobraził sobie małego Jonathana, czerwonego, pomarsz-

czonego i łysego, takiego, jak się urodził. Teraz już się pewnie zmienił. Tydzień to kawał czasu dla noworodka. Już na pewno jest większy, oczy otwiera szerzej i nie jest obojętny na otaczający świat: hałasu może się lękać, a kołysanie go uspokaja. Kiedy zechce mu się odbić, kąciki ust uniesie w górę. Mnisi prawdopodobnie nie będą mieli pojęcia, o co chodzi, i wezmą to za uśmiech.

Tom miał nadzieję, że dobrze się nim opiekują. Ten mnich z serem sprawiał wrażenie życzliwego i mądrego. Zresztą i tak zajmują się jego dzieckiem lepiej, niż uczyniłby to sam, bez domu i bez pieniędzy. Jeśli kiedykolwiek jako mistrz budowniczy będę kierował naprawdę dużą budowlą i zarabiał czterdzieści osiem pensów tygodniowo, plus dodatki, dam pieniądze temu klasztorowi – postanowił.

Wynurzyli się z lasu i wkrótce potem zobaczyli zamek.

Tomowi z radości zabiło mocniej serce, ale czym prędzej stłumił to uczucie, bo już od miesiący cierpiał rozczarowania i zrozumiał, że im bardziej obiecujący jest początek, tym boleśnieszce rozstanie z nadzieją.

Podchodzili do zamku ścieżką przez nagie pola. Martha i Jack natknęli się na zranionego ptaka i wszyscy się zatrzymali, by popatrzeć. Był to strzyżyk tak mały, że łatwo mogli go przeoczyć. Martha stanęła nad nim, a on próbował podskoczyć i odlecieć, lecz najwyraźniej tego nie umiał. Pochwyciła go ostrożnie i zamknęła w stulonych dłoniach.

– Drży cały, czuję to! Musi się bać.

Ptak nie podejmował prób ucieczki, siedział cicho w rękach dziewczynki. Błyszczącymi oczkami przyglądał się otaczającym go ludziom.

– Ma złamane skrzydełko – zauważył Jack.

– Daj mi popatrzeć – Alfred wziął ptaszka z rąk dziewczynki.

– Możemy się nim zaopiekować – powiedziała Martha. – Może mu się polepszy?

– Nie, nie polepszy się – stwierdził Alfred i szybkim ruchem swej wielkiej ręki skręcił mu kark.

– Na litość boską! – krzyknęła Ellen.

Martha po raz drugi tego dnia zapłakała.

Alfred zaśmiał się i cisnął ptaszka na ziemię.

Jack podniósł go.

– Martwy.

– Co się z tobą dzieje, Alfredzie? – spytała Ellen.

– Czego od niego chcesz? Ptak i tak by zdechł – wtrącił się Tom.

Ruszył dalej, pozostali za nim. Ellen znowu złościła się na Alfreda, a to nie podobało się Tomowi. Dlaczego tyle hałasu o jakiegoś cholernego strzyżyka? Pamiętał, jak czuł się w wieku czternastu lat, jako chłopiec z ciałem mężczyzny; życie doprowadzało go do szału. Ellen powiedziała: „Kiedy chodzi o Alfreda, jesteś zaślepiiony”, ale to ona nie rozumiała tych spraw.

Drewniany most prowadzący do zamku był słaby i chwiały się, lecz prawdopodobnie sam hrabia chciał, by taki był; most niby miał ułatwiać wjazd atakującym, a im szybciej się wówczas rozpadnie, tym bezpieczniej dla zamku. Zewnętrzny wał usypano z ziemi, na załamach postawiono dookoła kamienne wieże. Przed wędrowcami piętrzyła się kamienna strażnica w kształcie dwu baszt z łącznikiem. Mnóstwo tutaj roboty dla murarza, pomyślał Tom. To nie jest zamek z błota i drewna. Jutro może będę pracować. Przypomniał sobie, jak czuje się dobre narzędzia w rękach, oczyma wyobraźni widział odpryski spod dłuta, kiedy wyrównuje się kamienny blok, i poczuł suchy zapach pyłu w nozdrzach, gdy się wygładza lico kamienia. Jutro wieczorem mój brzuch może być zapełniony pożywieniem, na które zarobiłem, a nie wyżebrałem.

Kiedy podszedł bliżej, dojrzał swym murarskim okiem, że blanki na szczycie strażnicy są w złym stanie. Niektóre z kamiennych bloków odpadły, przez co pewne fragmenty muru były całkiem płaskie. W łuku nad wejściem także dostrzegł obłuzowane kamienie.

W bramie siedziało dwu strażników. Spoglądali czujnym wzrokiem. Może spodziewano się tu jakichś kłopotów. Jeden ze strażników zagadnął Toma,

w jakiej sprawie przychodzi.

– Jestem kamieniarzem, mam nadzieję na zatrudnienie w hrabiowskim kamieniołomie – odpowiedział Tom.

– Poszukaj zarządcy – poradził mu jeden ze strażników. – Nazywa się Matthew. Znajdziesz go zapewne w wielkiej komnacie.

– Dziękuję. A co to za człowiek?

Strażnik popatrzył na swego towarzysza i skrzywił się:

– Niezbyt męski. – I zaśmiali się obaj.

Tom pomyślał, że niedługo się dowie, o co im chodziło. Przeszedł przez bramę, a Ellen i dzieci za nim. Wewnątrz budynku w większości postawiono z drewna, chociaż niektóre miały kamienne fundamenty, a jeden zbudowano z kamienia – prawdopodobnie kaplicę. Przechodząc przez dziedziniec, zauważył, że wszystkie wieże wokół były uszkodzone i brakowało im blank. Przebyli drugi most wiodący wyżej i zatrzymali się w drugiej strażnicy. Tom powiedział strażnikowi, że szuka zarządcy Matthew. Przepuszczono ich. Weszli na wewnętrzny dziedziniec i zbliżyli się do kamiennej twierdzy w środku. Otwarte dębowe drzwi najniższej kondygnacji prowadziły do składu. Weszli po schodach na górę, do wielkiej komnaty.

Zarządcę i hrabiego dostrzegł zaraz po wejściu do sali. Po ubraniu poznał, kim byli. Hrabia Bartholomew nosił długą, zdobioną tunikę z rękawami o rozkloszowanych mankietach. Matthew miał na sobie krótką tunikę, taką samą jak Tom, ale z cieńszej tkaniny, a na głowie czapeczkę. Znajdowali się blisko paleńska – hrabia siedział, a zarządca stał. Tom zbliżył się do nich i zatrzymał na odległość głosu, czekając, aż go zauważą. Hrabia był mężczyzną po pięćdziesiątce, błądy i białowłosey, o szczupłej, wyniosłej twarzy. Nie wyglądał na człowieka wielkodusznego. Zarządca był młodszy, jego poza przywiodła Tomowi na myśl słowa strażnika: wydawał się zniewieściały. Tom nie bardzo wiedział, jak się do niego odnosić.

W komnacie było jeszcze kilka osób, ale nikt na niego nie zwrócił uwagi.

Czekał, przepelnięty i nadzieją, i lękiem. Rozmowa hrabiego z zarządcą zdawała się trwać wiecznie. W końcu zarządca skłonił się i odwrócił. Tom zrobił krok do przodu, serce miał w gardle.

– Czy ty jesteś Matthew?

– Tak.

– Nazywam się Tom. Mistrz murarski. Jestem dobrym rzemieślnikiem, a moje dzieci głodują. Słyszałem, że macie kamieniołom. – Wstrzymał oddech.

– Mamy kamieniołom, ale nie wydaje mi się, byśmy jeszcze potrzebowali kamieniarzy. – Spojrzał na hrabiego, który niemal niedostrzegalnie potrząsnął głową. – Nie, nie możemy cię przyjąć.

Szybkość, z jaką podjęto decyzję, załamała Toma. Gdyby ci ludzie porozmawiali z nim poważnie, namyślali się i potem odrzucili jego ofertę, zniósłby to łatwiej. Matthew nie chciał być okrutny, Tom widział to, ale się śpieszył do swoich zajęć, a on i jego głodująca rodzina stanowili kolejną pozycję na liście spraw do szybkiego załatwienia.

– Mógłbym poczynić naprawy tutaj, w zamku – rzekł desperacko.

– Mamy mistrza, który sam wykonuje wszystkie naprawy.

Takim „mistrzem” na ogół bywał „Johnny niby złota rączka”, zwykle wyuczony mistrz ciesielski.

– Ja jestem murarzem, moje ściany są mocne.

Matthew stropił się natarczywością przybysza. Wydawało się, że za chwilę rzuci jakieś gniewne słowo, ale popatrzył na dzieci i twarz znów mu złagodniała.

– Chciałbym ci dać robotę, ale cię nie potrzebujemy.

Tom kiwnął głową. Teraz powinien pokornie przyjąć słowa zarządcy, przybrać żalony wyraz twarzy i błagać o jedzenie i nocleg. Była jednak Ellen, a on się obawiał, że jeśli nie dostanie pracy, to Ellen odejdzie. Spróbował jeszcze raz. Powiedział dość głośno, żeby hrabia dosłyszał:

– Mam nadzieję, że nie spodziewacie się w najbliższym czasie żadnego ata-

ku.

Rezultat przeszedł jego najśmielsze oczekiwania. Matthew zmartwiał, a hrabia poderwał się na nogi i spytał:

– Dlaczego to powiedziałeś?

Zrozumiał, że trafił w czułe miejsce.

– Bo wasze mury obronne są w kiepskim stanie.

– Jak to? Mówże człowieku! – zawołał hrabia.

Tom wziął głęboki wdech. Hrabia zdenerwował się, ale słuchał uważnie. Murarz wiedział, że druga taka szansa mu się nie trafi.

– Zaprawa w strażnicach odpada płatami. To powoduje, że pojawiają się szpary, w które wejdzie łom. Dzięki temu wróg z łatwością może wyjąć kamień albo dwa, a gdzie jest dziura, tam łatwo zwalić mur. Poza tym – ciągnął bez tchu, nie pozwalając, by ktokolwiek mu przerwał, czy się z nim spierał – wszystkie blanki są uszkodzone. W niektórych miejscach są płaskie. To znaczy, że twoi łucznicy i rycerze nie mają się gdzie schronić...

– Wiem, po co są blanki – przerwał zirytowany hrabia. – Coś jeszcze?

– Tak. Twierdza ma drewniane drzwi do składów. Gdybym atakował tę twierdzę, to po prostu wlaźłbym przez te drzwi i podłożył ogień.

– A gdybyś był hrabią, to jak byś temu zapobiegł?

– Miałbym przygotowany stos dopasowanych zawczasu kamieni, surowce na zaprawę i murarza pod ręką, by w razie potrzeby zamurował wejście.

Bartholomew patrzył na Toma. Bładoniebieskie oczy zwięzły się, a białe czoło zmarszczyło w namyśle. Tom nie potrafił odczytać jego myśli. Czy gniewał się na jego ganieńnię stanu obronnego zamku? Nigdy nie można przewidzieć pańskich reakcji na krytykę, zazwyczaj najlepiej było pozwalać im na popełnianie błędów. Tom jednak był w rozpaczliwym położeniu.

W końcu wydawało się, że hrabia podjął jakąś decyzję. Odwrócił się do Matthew i rzekł:

– Weź go.

Tom stłumił okrzyk radości. Nie mógł uwierzyć. Spojrzał na Ellen i oboje się uśmiechnęli. Martha, która nie знаła i nie rozumiała powściągliwości dorosłych, krzyknęła:

– Huraaa!!!

Hrabia już rozmawiał z rycerzem stojącym opodal. Matthew uśmiechnął się do nich.

– Jedliście dzisiaj obiad?

Tom przełknął ślinę. Ogarnęło go takie szczęście, że niewiele brakowało, by się rozplakał.

– Nie, nie jedliśmy.

– Chodźcie do kuchni.

Podążyli za zarządcą. Kuchnia mieściła się w dużym drewnianym budynku na kamiennym fundamencie. Matthew kazał im poczekać na zewnątrz. W powietrzu unosił się cudowny zapach słodkich bułeczek. Tomowi burczało w brzuchu, a usta miał pełne śliny. Po chwili zarządca pojawił się z wielkim garnkiem piwa.

– Zaraz wam przyniosę trochę chleba i bekonu – powiedział i odszedł.

Tom pociągnął łyk i podał garnek Ellen. Ona zaś dała trochę Marcie, napiła się sama i podała Jackowi. Alfred wyciągnął rękę, zanim Jack zdążył się napić. Chłopak odwrócił się, usuwając garnek z zasięgu rąk Alfreda. Tom nie chciał kolejnej kłótni między dziećmi, kiedy wreszcie wszystko zaczynało się układać. Już miał interweniować, łamiąc w ten sposób swoją zasadę niemieszania się w dziecięce sprawy, kiedy chłopiec podał garnek Alfredowi, który natychmiast podniósł go do ust i zaczął pić. Tom upił tylko mały łyk, uważając, że garnek wróci do niego nieopróżniony, ale wyglądało na to, że młodzian wypije wszystko. Potem wydarzyło się coś dziwnego. Kiedy Alfred wycelował dnem garnka w niebo, by wysączyć resztki piwa, coś wypadło mu na twarz.

Wydał przerażony krzyk i upuścił garnek. Wycierał twarz nerwowo i z obrzydzeniem.

– Co to jest? – zaskrzeczał.

To coś upadło na ziemię. Spoglądał w dół, ze zbielełą twarzą, trzęsąc się z odrazy.

Był to martwy strzyżyk.

Tom spojrzął na Ellen, ich oczy się spotkały, po czym popatrzyli na Jacka. Jack wziął garnek od Ellen, odwrócił się na chwilę, jakby uchylając się od Alfreda, a potem mu go podał zdumiewająco chętnie... Teraz stał spokojnie, patrzył na przerażonego Alfreda z lekkim uśmiechem satysfakcji na swej mądrej, młodo-starej twarzy.

Jack wiedział, że to odcierpi. Alfred znajdzie sposób, żeby się zemścić. Pewnie, kiedy nikt nie będzie widział, walnie go w brzuch. To jego ulubione uderzenie, bardzo bolesne i nie zostawia śladów. Jack widział, jak parę razy bił Marthę. A jednak przerażenie malujące się na twarzy Alfreda, kiedy z piwa wypadł martwy ptak, warte było nawet kilku takich uderzeń.

To, że Alfred go nienawidzi, było dla Jacka nowym doświadczeniem. Matka zawsze go kochała, a nikt inny wobec niego nie żywił nigdy żadnych uczuć. Wrogie nastawienie Alfreda pozbawione było uzasadnienia. Wydawało się, że dokładnie to samo czuje wobec Marthy. Zawsze ją szczypał, ciągnął za włosy albo szturchał i wykorzystywał każdą okazję, by zniszczyć wszystko, co miało dla niej jakąś wartość. Matka Jacka widziała, co się święci, i nie cierpiała tego, ale ojcu Alfreda wydawało się, że to wszystko jest zupełnie normalne, mimo że sam był łagodnym i dobrym człowiekiem i bez wątplenia kochał Marthę. Sprawiało to pewien kłopot, ale nie było pozbawione uroku.

Wszystko zdawało się zachwycające. Jackowi nigdy w całym jego dotychczasowym życiu nie przydarzyło się nic równie fascynującego. Pomimo Alfreda, mimo nękającego głodu, pomimo bólu, jaki sprawiła mu matka, dostrzegając głównie Toma zamiast jego, był oczarowany ciągłym strumieniem dziw-

nych zjawisk i nowych doświadczeń.

Zamek stanowił ostatnie ogniwo w łańcuchu dziwów. Słyszał o zamkach: podczas długich zim w lesie matka uczyła go recytacji *chansons*, pieśni francuskich opowiadających o rycerzach i czarownikach, większość z nich miała około tysiąca linijek!

W tych historiach zamki jawiły się jako miejsca ucieczki i miłości. Nie widząc nigdy prawdziwego zamku, wyobrażał go sobie jako coś trochę większego od jaskini. Teraz ten prawdziwy oszołomił go. Taki wielki, tyle budynków, a w środku tylu ludzi! Wszyscy zajęci: kuli konie, nabierali wodę, karmili kurczęta, piekli chleb, przynosili różności. Zawsze dźwigali jakieś rzeczy, słomę na podłogę, drewno do ognia, worki z mąką, zwoje tkanin, miecze, siodła i kolczugi. Tom powiedział mu, że fosa i wał nie stanowią naturalnych elementów krajobrazu, ale w rzeczywistości zostały wykopane i zbudowane przez tuziny ludzi pracujących razem. Nie potrafił sobie wyobrazić, jak można było coś podobnego zrobić.

Po zachodzie słońca, kiedy robiło się za ciemno na pracę, wszyscy ludzie ściągali do wielkiej komnaty w tej twierdzy. Zapalano pochodnie i dorzucano do paleniska, a psy grzały się przy ogniu. Kilkoro mężczyzn i kobiet zносиło błądy i krzyżaki ze stosów pod ścianą. Ustawili z nich stoły w kształcie litery „T”, potem przy poprzeczce owego „T” ustawiali krzesła i ławy. Jack nigdy nie widział tylu ludzi pracujących razem i uderzyło go, jak bardzo ich ta wspólnota cieszyła. Śmiali się i uśmiechali, podnosząc ciężkie błądy wołali: „Opla” i „Ku mnie, ku mnie!” albo też „Powoli na dół!”. Zazdrościł im tego braterstwa i zastanawiał się, czy kiedyś mógłby przeżywać to samo.

Wkrótce wszyscy siedzieli na ławach. Służący rozdał spore drewniane miski i drewniane łyżki, potem raz jeszcze obszedł wszystkie miejsca i do każdej miski włożył grubą kromkę czerstwego ciemnego chleba. Inny sługa przyniósł drewniane kubki i nappełnił je piwem z kilku dzbanów, które nosili jego pomocnicy. Jack, Martha i Alfred, siedzący na skraju stołu, dostali po kubku piwa,

więc nie było się o co bić. Jack podniósł swój kubek, ale mama powiedziała mu, by poczekał na właściwy moment.

Kiedy wszystkim już nalano, w sali zapadła cisza. Jack czekał zafascynowany. Po chwili hrabia Bartholomew pojawił się na schodach prowadzących z jego izby do wielkiej komnaty. Schodził, a za nim szli: Matthew, trzech czy czterech dobrze odzianych mężczyzn, chłopiec, a wreszcie najpiękniejsze stworzenie, jakie Jack kiedykolwiek widział.

Była to dziewczyna. A może kobieta. Nie był pewien. Ubrana na biało, a rozszerzone rękawy jej tuniki ciągnęły się za nią, kiedy schodziła ze schodów. Włosy masą ciemnych kędziorów okalały twarz o ciemnych oczach. Dopiero teraz uświadomił sobie sens słów *chansons* o księżniczkach na zamkach. Nic dziwnego, że nawet rycerze płakali, kiedy umierały księżniczki tak piękne jak ta.

Kiedy zeszła ze schodów, Jack zorientował się, że jest całkiem młoda, trochę starsza od niego, ale głowę trzymała wysoko i podeszła do szczytu stołu jak królowa. Usiadła obok hrabiego.

– Kto to jest? – zapytał.

– To pewnie córka hrabiego – odrzekła Martha.

– Jak się nazywa?

Martha wzruszyła ramionami, ale dziewczyna o brudnej buzi, która siedziała obok Jacka, powiedziała:

– Wołają na nią Aliana. Jest cudna.

Hrabia uniósł kubek w stronę córki, potem powoli popatrzył na wszystkich siedzących przy stole i wypił. To na ten znak czekali. Powtórzyli gest, podnosząc kubki przed wypiciem.

Jedzenie wniesiono w parujących kotłach. Najpierw podano hrabiemu, potem jego córce, następnie chłopcu i mężczyznom siedzącym u szczytu stołu. Później każdy obsługiwał się sam. To była solona ryba w korzennym sosie. Jack napełnił miskę i pochłonął wszystko, potem zjadł z dna miski chleb na-

siąknięty tłustym sosem. Między kęsami patrzył na Alienę, podziwiając i zachwycając się wszystkim, co czyniła, oszołomiony rozkazującym tonem głosu, jakim wzywała służących i wydawała im polecenia. Wszyscy zdawali się ją lubić. Kiedy wzywała ich, przybywali szybko, uśmiechali się i śpieszyli, by wypełniać jej polecenia. Zauważył, że młodzi mężczyźni przy stole często spoglądali na nią, a kiedy myśleli, że patrzy w ich stronę, starali się zwrócić na siebie jej uwagę. Ona jednak była bardziej zajęta starszymi mężczyznami, siedzącymi z jej ojcem, dbała, by mieli dość chleba i napitku, zadawała im pytania i wysłuchiwała uważnie odpowiedzi. Jack zastanawiał się, jak to jest, kiedy się rozmawia z piękną księżniczką, spoglądającą tymi wielkimi ciemnymi oczami.

Po kolacji była muzyka. Dwóch mężczyzn i kobieta wygrywali melodie na owczych dzwonkach, bębenku i piszczałkach zrobionych z kości zwierząt i ptaków. Hrabia zamknął oczy i wydawał się zatopiony w muzyce. Ale Jackowi nie podobały się zawodzące, melancholijne melodie, które tu słyszał. Wolał radosne piosenki śpiewane przez matkę. Inni obecni zdaje się podzielali jego upodobania, bo wiercili się i szurali, a kiedy wreszcie muzyka ucichła, dało się odczuć wyraźną ulgę.

Jack miał nadzieję przyjrzeć się Alienie, ale, ku jego rozczarowaniu, po muzyce opuściła wielką salę, wracając na górę. Pomyślał, że pewnie ma tam swoją sypialnię.

Dzieci i kilku dorosłych grało w szachy lub w inne gry, a bardziej zapobiegliwi zabrali się do robienia pasów, czapek, skarpet, rękawic, gwizdków, kości, łopat i uprzęży. Jack zagrał kilka partii szachów, ale pewien mężczyzna bardzo się rozzłościł, że pobiło go dziecko, i po tym zajściu matka zabroniła mu grać. Chodził więc po sali, słuchając różnych rozmów. Niektórzy mówili o polach i zwierzętach albo o królach i biskupach, podczas gdy inni docinali drugim lub się chwalili i opowiadali zabawne historyjki. Uważał, że wszystkie rozmowy są ciekawe.

Wreszcie pochodnie się wypaliły, hrabia udał się do swej sypialni, a sześć-

dziesięcioro czy siedemdziesięcioro ludzi owinęło się w opończe, by ułożyć się do snu na pokrytej słomą podłodze.

Matka i Tom jak zwykle położyli się razem pod wielką opończę Toma. Ellen objęła Toma tak, jak zwykle tuliła Jacka, kiedy był jeszcze mały. Patrzył z zazdrością, jak spokojnie rozmawiają, a matka śmieje się przyzwalająco. Po chwili ich ciała zaczęły się poruszać rytmicznie. Gdy po raz pierwszy Jack zobaczył, jak to robią, okropnie się zmartwił, przekonany, że cokolwiek to jest, musi przerażająco boleć, ale kiedy zauważył, że się całują, pomyślał, że jest im dobrze, chociaż matka jęczała. Nie miał odwagi pytać o to, sam nie wiedział dlaczego. Teraz zaś, w blasku ognia, dostrzegł inną parę czyniącą to samo. Uznał więc, że takie zachowanie jest normalne. To jakaś kolejna tajemnica, pomyślał. Po chwili już spał.

Dzieci obudziły się bardzo wcześnie. Ranny posiłek był podawany dopiero po mszy. Jakiś sługa kazał im nanosić opału na cały dzień. Kiedy zimne powietrze wpadało przez stale otwierane drzwi, zaczęli wstawać dorośli. A potem zobaczyli Alienę.

Schodziła ze schodów, tym razem jednak wyglądała inaczej. Włożyła krótką tunikę i filcowe buty. Niesforne włosy ściągnęła wstążką z tyłu głowy, co pozwoliło podziwiać pełen wdzięku zarys twarzy, małe uszy i białą szyję. Ciemne oczy, które wczoraj wydawały się takie dorosłe i poważne, teraz rozświeślały iskierki radości. Za nią podążał chłopiec, który siedział z nią i hrabią u szczytu stołu. Sprawiał wrażenie starszego od Jacka, może o rok czy dwa, lecz nie był tak wyrosnięty jak Alfred. Z ciekawością patrzył na Jacka, Marthę i Alfreda, ale to dziewczyna spytała:

– Kim jesteście?

Odpowiedział Alfred:

– Mój ojciec jest murarzem, który ma naprawiać zamek. Ja jestem Alfred.

Mojej siostrze na imię Martha. A tamten to Jack.

Kiedy podeszła bliżej, Jack poczuł zapach lawendy, co go oszołomiło. Jak człowiek mógł pachnieć kwiatami?

– Ile masz lat? – Aliena zwróciła się do Alfreda.

– Czternaście. – Jego także oczarowała. Po chwili palnął: – A ty ile masz?

– Piętnaście. Chcecie coś zjeść?

– Tak.

– Chodźcie ze mną.

Podążyli za nią wszyscy.

– Przecież nie dają śniadania przed mszą – zauważył Alfred.

– Zrobią, co im każę – rzekła Aliena, podrzucając głowę.

Poprowadziła ich przez most na niższy dziedziniec, kazała poczekać przed kuchnią, a sama weszła do środka. Martha szepnęła do Jacka:

– Jest śliczna.

Jack tępo kiwnął głową. W chwilę później Aliena wyszła z dzbankiem piwa i bochenkiem żytniego chleba. Połamała chleb na kawałki, a potem puściła w obieg dzbanek.

– Gdzie jest twoja matka? – spytała po chwili wstydliwie Martha.

– Moja matka umarła.

– Nie jest ci smutno? – zaciekała się Martha.

– Było, ale to tak dawno temu – wskazała ruchem głowy na towarzyszącego jej chłopca. – Richard nawet jej nie pamięta.

Richard musi być jej bratem, wywnioskował Jack.

– Moja matka też umarła – Marcie łzy napłynęły do oczu.

– Kiedy? – spytała Aliena.

– W zeszłym tygodniu.

Jackowi się wydawało, że niezbyt ją poruszyły łzy Marthy, chyba że była na tyle opanowana, by ukrywać swój smutek.

– No to kim jest ta kobieta z wami? – spytała nagle.

– To moja matka – odrzekł Jack z zapalem. Dreszcz go przeniknął, że może coś powiedzieć w jej obecności.

Odwróciła się do niego, jakby go zobaczyła po raz pierwszy.

– To gdzie jest twój ojciec?

– Nigdy go nie miałem – oznajmił. Ekscytowało go to, że na niego patrzy.

– On także umarł?

– Nie, nigdy nie miałem ojca.

Na chwilę zapadła cisza, potem Aliena, Richard i Alfred buchnęli śmiechem. Jack nie wiedział, o co im chodzi, i patrzył na nich, nic nie rozumiejąc, a oni ryczeli ze śmiechu, dopóki się nie zmęczyli. Cóż zabawnego jest w tym, że się nie ma ojca? Nawet Martha się śmiała, zapomniawszy o łzach.

– Skąd więc się wzięłeś, skoro nie miałeś ojca? – drwiąco odezwał się Alfred.

– Z matki. Wszystkie małe wychodzą z matek – odpowiedział Jack, w dalszym ciągu nic nie pojmując. – Co do tego mają ojcowie?

Gruchnęli jeszcze większym śmiechem. Richard, ubawiony, skakał i drwiąco pokazywał palcem na Jacka.

– On nic nie wie, znaleźliśmy go w lesie – powiedział Alfred do Alieny.

Policzki Jacka zapłonęły ze wstydu. Tak się cieszył, że może mówić z Alieną, a teraz ona pomyśli, iż on jest kompletnym głupcem, leśnym dzikusiem, a najgorsze, że ciągle nie miał pojęcia, co ich tak rozśmieszyło. Chciało mu się płakać, a to by było jeszcze gorsze. Chleb stanął mu w gardle i nie mógł nic przełknąć. Spojrzał na Alienę, na jej rozbawioną twarz, rzucił chleb na ziemię i odszedł.

Nie patrząc, dokąd idzie, dotarł aż do zamkowego muru i wspiął się po stromych stopniach na jego szczyt. Usiadł tam i spoglądając w dal, użalał się nad sobą. Nienawidził Alfreda i Richarda, a nawet Marthy i Alieny. Księżniczka jest pozbawiona serca, zdecydował.

Zabrzmiał dzwon na mszę. Obrzędy religijne stanowiły dla niego jeszcze

jedną tajemnicę. Księża używali języka, który nie był ani angielskim, ani francuskim. Śpiewali i mówili do figur, obrazów, a nawet do jakichś niewidocznych istot. Matka Jacka unikała chodzenia na nabożeństwa, jak tylko mogła. Kiedy mieszkańcy zamku szli do kaplicy, Jack ukrył się, aby nikt go nie mógł dostrzec.

Zamek otaczały płaskie, nagie pola, a w dali widział lasy. Dwu porannych gości szło po równinie w stronę zamku. Niebo zasnuwały szare niskie chmury. Jack zastanawiał się, czy spadnie śnieg.

Następnych dwu wędrowców pojawiło się w zasięgu jego wzroku. Ci jechali na koniach. Posuwali się szybko i wyprzedzili pierwszą parę. Zwolnili do stępa dopiero na moście prowadzącym do niższej strażnicy. Przybysze będą musieli poczekać do końca mszy, niezależnie od tego, jaki interes ich tutaj przywiódł, wszyscy bowiem, poza strażnikami na warcie, uczestniczyli w nabożeństwie.

Nagły dźwięk tuż obok Jacka spowodował, że podskoczył.

– Tutaj jesteś! – To matka. Odwrócił się do niej, a ona błyskawicznie zorientowała się, że ma kłopoty. – Co się stało?

Chciał, by go pocieszyła, ale zaciął się w sobie i spytał:

– Czyja miałem ojca?

– Tak – odrzekła. – Każdy ma ojca. – Uklękła przy nim.

Odwrócił twarz. Został upokorzony i to była jej wina, bo nie powiedziała mu o ojcu.

– Co mu się stało?

– Umarł.

– Kiedy byłem mały?

– Zanim się urodziłeś.

– Jak mógł być moim ojcem, skoro umarł, zanim się urodziłem?

– Dzieci rosną z nasionek. Nasionko wychodzi z męskiego członka i osadza się w kobiecej dziurce. Potem nasionko rośnie i staje się powoli dzidziusiem

w jej brzuchu, a kiedy już jest dojrzałe, wychodzi na zewnątrz.

Jack przez chwilę w milczeniu trawił te wiadomości. Podejrzewał, że to ma coś wspólnego z tym, co mama robi z Tomem w nocy.

– Czy Tom ma zamiar zasadzić swoje nasionko w tobie?

– Może.

– To będziesz miała nowe dziecko.

– Twojego braciszka. Chciałbyś?

– Nie obchodzi mnie. Tom i tak już mi cię zabrał. Brat nie zrobi żadnej różnicy.

– Nikt nigdy ci mnie nie zabierze. – Wyciągnęła rękę i objęła go.

Trochę go to pocieszyło. Siedzieli przez chwilę razem, potem matka powiedziała:

– Zimno. Chodźmy już, posiedzimy przy ogniu do śniadania.

Skinął głową. Wstali i pojednani ruszyli murem zamkowym, a potem zeszli na dziedziniec. Po czterech wędrowcach nie było już śladu. Może poszli do kaplicy.

Kiedy przechodzili przez most, zapytał:

– Jak miał na imię mój ojciec?

– Jack, tak samo jak ty. Zwano go Jack Shareburg.

To było przyjemne, mieć takie samo imię jak ojciec.

– To, jakby w okolicy był drugi Jack, mogę powiedzieć ludziom, żeby na mnie mówili Jack Jackson.

– Możesz. Ludzie nie zawsze będą do ciebie mówili tak, jak będziesz sobie tego życzył, ale możesz spróbować.

Skinął głową. Poczuł się lepiej. Mógł myśleć o sobie jako o Jacku Jacksonie. Już się nie wstydził. W końcu dowiedział się, jak to jest z ojcami, i poznał imię własnego. Jack Shareburg.

Doszli do drugiej bramy. Tutaj nie było straży. Matka Jacka zatrzymała się, zmarszczywszy brwi.

– Mam przeczucie, że dzieje się coś złego – rzekła. Jej głos był spokojny i równy, ale drgała w nim nuta lęku, która zmroziła Jacka i udzieliło mu się przeczucie jakiejś katastrofy.

Matka weszła do niewielkiej stróżówki na dole baszty. Moment później Jack usłyszał, jak raptownie zachłystuje się powietrzem. Wszedł za nią. Zamarł z dłonią przy ustach, ze skierowanym w dół wzrokiem.

Strażnik leżał płasko na plecach, z rozrzuconymi bezładnie rękami. Gardło miał przecięte, a krew lała się strumieniem. Był niewątpliwie martwy.

III

William Hamleigh i jego ojciec wyruszyli konno w środku nocy, zabrawszy ze sobą setkę jeźdźców. Matka stanowiła tylną straż. Mnogość pochodni i twarze owinięte przed zimnem musiały przerażać mieszkańców miejscowości, przez które przejeżdżali w drodze do Earlscastle. Kiedy dotarli na rozstaje, zrobiło się jeszcze ciemniej. Dalej już szli, prowadząc konie krótko przy pyskach, by nie rżały i nie parskaly. O pierwszym brzasku zapadli w lasy na skraju pól otaczających zamek hrabiego Bartholomew.

William nie policzył dokładnie wojowników strzegących zamku i to był błąd, który bezlitośnie wytknęła mu matka, mimo że tłumaczył, iż wielu spośród tych, których widział, zostało wysłanych z poleceniami, a inni mogli przybyć po jego wyjeździe, czyli rachowanie nic by nie dało. Byłoby to więcej niż nic, jak powiedział ojciec. Oszacował w końcu, że było ze czterdziestu ludzi, tak więc Hamleighowie mieli przewagę.

Oczywiście w grę nie wchodziło oblężenie. Obmyślili plan zajęcia zamku bez zbrojnego oblegania. Trudność polegała jedynie na tym, by ukryć siły przed strażnikami.

Matka znalazła rozwiązanie.

– Potrzebujemy czegoś, co odwróci ich uwagę – powiedziała drapiąc krostkę na policzku. – Czegoś, co ich wystraszy... czegoś takiego jak pożar!

– Jeśli jakiś obcy zacznie podpalać, to dopiero ich zaalarmuje – rzekł ojciec.

– To musi być wykonane przebiegle – stwierdził William.

– Oczywiście. Zrobisz to ty, kiedy wszyscy będą na mszy – oznajmiła matka.

– Ja? – zdziwił się.

Postawiono go na czele straży przedniej.

Poranne niebo rozjaśniało się powoli. Williama ogarnęła nerwowa niecierpliwość. Wieczorem wraz z matką i ojcem omawiali szczegóły planu, ale było wiele rzeczy, które mogły się nie udać, a wtedy zostaną odkryci i pojmani, zanim cokolwiek zdziałają. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, czeka go prawdziwa bitwa, jego pierwszy bój. Będą ranni i zabici, a on sam może się znaleźć pośród tych, których opuściło szczęście. A jeżeli plan się nie uda i będą zmuszeni działać inaczej, niż przewidzieli, to mogą się znaleźć w niebezpieczniejszej sytuacji. Poczul ucisk w żołądku. Pomyślał o Alienie, o tym, że ona dowie się zarówno o jego porażce, jak i triumfie. Oczyma wyobraźni ujrzał siebie wpadającego do jej sypialni z zakrwawionym mieczem w ręku. Wtedy na pewno nie będzie jej do śmiechu.

Usłyszał dzwon bijący na poranną mszę.

William kiwnął głową. Dwóch mężczyzn zsiadło z koni i pieszo skierowało się do zamku. Byli to Ranulf i Raymond, obaj o twardych twarzach i jeszcze twardszych mięśniach, kilka lat od niego starsi. Osobiście ich wybrał; ojciec dał mu wolną rękę. Sam miał prowadzić siły główne.

William przyglądał się, jak idą zwawym krokiem przez zamrznięte pola. Zanim zbliżyli się do zamku, poderwał Waltera, dał koniowi ostrogę i razem ruszyli w ślad za nimi. Straże w bramie zobaczą dwie pary ludzi, jedną na piechotę, drugą na koniach, zbliżające się wczesnym rankiem do zamku; najbardziej

niewinny widok pod słońcem.

Wyliczenie czasu okazało się dobre. William i Walter wyprzedzili Raymonda i Ranulfa mniej więcej sto jardów przed bramą. Na moście zsiadli z koni. Czuł ucisk w gardle. Jeśli spartaczy tę część zadania, cały atak się nie powiedzie.

W strażnicy zamkowej siedziało dwu wartowników. Przyszła mu do głowy straszliwa myśl, że może to pułapka, że z ukrycia wyskoczy tuzin zbrojnych mężów, by go pociąć na kawałki. Strażnicy jednak wydawali się czujni, ale nie podejrzliwi. Nie nałożyli nawet zbroi. William i Walter mieli pod opończami kolczugi.

HamleIGHowi wnętrzości skręcały się ze strachu. Nie mógł przelykać. Jeden ze strażników rozpoznał go.

– Witaj, lordzie Williamie – zawołał jowialnie. – Znowu w zaloty, co?

– O mój Boże! – powiedział William słabym głosem, po czym wbił sztylet w brzuch strażnika, dżgając pod żebra, by sięgnąć serca.

Strażnik wciągnął haust powietrza, pochylił się nieco i otworzył usta, jakby chciał krzyknąć. Hałas mógł wszystko zepsuć. W panice, nie wiedząc, co zrobić, William wyrwał sztylet i wbił go w otwarte usta mężczyzny, wpychając aż do gardła, by nie wydał głosu. Oczy ofiary się zamknęły. Zamiast krzyku z jego ust wypłynęła krew. William wyjął sztylet, a strażnik zwałił się na ziemię.

Koń Williama odstąpił o krok, przestraszony nagłym ruchem. HamleIGH chwycił uzdę, popatrzył na Waltera, który pokonał drugiego strażnika, przecinając mu gardło, tak że nie wydał żadnego dźwięku. Muszę to zapamiętać, pomyślał William, kiedy następnym razem przyjdzie mi uciszać kogo, a potem zaczął napawać się własnym sukcesem: Udało się! Zabiłem człowieka!

Zauważył, że już się nie boi.

Podał wodze Walterowi i pobiegł spiralnymi schodami na wieżę strażniczą. Na górnym poziomie znajdowało się pomieszczenie z urządzeniem do podnoszenia zwodzonego mostu. William mieczem ciął linę; dwa uderzenia wystar-

czyły i wolny koniec wyrzucił przez okno. Upadł na brzeg blanki i miękko ześliznął się do fosy, nie czyniąc praktycznie żadnego hałasu. Teraz nie da się podnieść zwodzonego mostu przed nadejściem głównych sił prowadzonych przez ojca. To był istotny element planu wymyślonego ubiegłej nocy.

Raymond i Ranulf doszli do zamku, kiedy William schodził na dół. Ich pierwszym zadaniem było zniszczyć wielkie dębowe wrota, wzmocnione żelazem, zamykające bramę prowadzącą od mostu na dziedziniec. Obaj wyjęli drewniane młoty i dłuta i zaczęli wybijać zaprawę wokół potężnych żelaznych zawiasów. Uderzenia tępo dudniły w uszach Williama, brzmiały przeraźliwie głośno.

Hamleigh, jak mógł najszybciej, wciągnął oba ciała do wartowni. Zanim zostaną odkryte, zamek będzie już zdobyty.

Wziął wodze od Waltera i obaj skierowali się w stronę stajni. William zmuszał swe nogi do normalnego kroku, rozglądając się ukradkiem w poszukiwaniu strażników na posterunkach obserwacyjnych. Czy któryś z nich widział, jak lina od zwodzonego mostu ześlizguje się do fosy? Czy zwrócili uwagę na uderzenia młotów? Niektórzy popatrywali na nich, ale nie wydawali się zaniepokojeni, a dudnienie, już niedochodzące do Williama, dla strażników musiało być niesłyszalne. Poczł ulgę.

Wszystko przebiega zgodnie z planem.

Weszli do stajni. Luźno przerzucili wodze przez belkę, tak aby konie mogły uciec. William wyjął krzesiwo i skrzesał iskrę, kierując ją na słomianą ściółkę. Miejscami była zmoczona i zabłocona, ale zaczęła się tlić. Podpalił jeszcze w trzech miejscach, a Walter zrobił to samo. Przez chwilę stali i przyglądali się. Konie poczuły dym i nerwowo poruszyły się w boksach. Ogień się rozpałał, plan się udał.

Opuścili stajnię i wyszli na otwarty dziedziniec. W bramie Raymond i Ra-

nulf, ukryci przed niepożądanym spojrzeniem, w dalszym ciągu wybijali zaprawę. William i Walter skierowali się do kuchni, by stworzyć pozory, że chcą coś zjeść. Na dziedzińcu nie było nikogo: wszyscy udali się na mszę. Rzuciwszy ostrożnie okiem na obserwatorów, William zauważył, że nie patrzą na zamek, tylko na pola. Tego właśnie oczekiwał, a jednak niepokoił się, że w każdej chwili z któregoś budynku może się ktoś wyłonić, a wtedy będą musieli go zabić na miejscu, na otwartym terenie, co mogłoby zostać zauważone i gra by się skończyła.

Minęli kuchnię i szli dalej ku bramie wiodącej na górny dziedziniec. Z kaplicy dochodziły odgłosy mszy. Hrabia Bartholomew niczego nie podejrzewał. Williama na tę myśl przeszywał dreszcz. Hrabia nie miał pojęcia, że o milę stąd znajduje się armia, czterech wrogów już grasuje wewnątrz twierdzy, a na dodatek płoną stajnie. Aliena też jest w kaplicy, modli się, klęcząc. Wkrótce będzie na kolanach przede mną, przemknęło mu przez myśl i krew uderzyła mu do głowy.

Weszli na most. Niższy poziom pozostanie przejezdny, zapewnili to sobie, niszcząc bramę i przecinając linę. Ich armia dostanie się tu bez przeszkód. Hrabia może jednak schronić się w wyższej części twierdzy, dlatego teraz musieli unieruchomić drugi most.

Doszli do drugiej bramy. Ze strażnicy wyszedł wartownik.

– Co tak wcześniej? – zapytał.

– Mamy spotkanie się z hrabią – powiedział William.

Zbliżył się do strażnika, ale ten cofnął się o krok. William nie chciał, by za bardzo przesunął się do tyłu, bo znalazłby się poza osłoną bramy i stałby się widoczny dla strażników stojących na wyższych obwarowaniach.

– Hrabia jest w kaplicy.

– To poczekamy.

William wiedział, że strażnika trzeba zabić. Popatrzył na Waltera w poszukiwaniu rady, ale ten cierpliwie czekał i wydawał się zupełnie nieporuszony.

– Na górze jest ogień – rzekł strażnik. – Idźcie i ogrzejcie się. – William zawahał się, a strażnik popatrzył nań czujnie. – Na co czekacie? – spytał, a w jego głosie pojawiło się zniecierpliwienie.

William rozejrzał się, myśląc desperacko, co zrobić.

– Czy moglibyśmy dostać coś do jedzenia? – wpadł w końcu na pomysł.

– W twierdzy podadzą śniadanie dopiero po mszy – odrzekł strażnik.

Walter niedostrzegalnie przesunął się w bok. Jeśli strażnik odwróci się choć trochę, Walter znajdzie się dokładnie za nim. Hamleigh zrobił kilka niedbałych kroków w przeciwnym kierunku.

– Nie jestem zachwycony gościnnością hrabiego – stwierdził, kiedy minął strażnika. Ten zwrócił się w jego stronę. – Przebyliśmy długą drogę...

Wtedy Walter zaatakował.

Stanął za strażnikiem i przesunawszy lewą rękę ponad jego barkiem, mocnym uchwytem unieruchomił podbródek, a prawą poderżnął mu gardło.

William odetchnął z ulgą. To trwało tylko moment. Zabili już trzech ludzi! Przenikało go uczucie mocy. Po dzisiejszym dniu nikt nie ośmieli się kpić sobie ze mnie – myślał.

Walter zaciągnął ciało do strażniczej izby. Tu również spiralne schody wiodły do pomieszczenia z maszyną. William ruszył na górę, a za nim jego przyboczny. Nie zbadał tego miejsca podczas swego wczorajszego pobytu. Nie pomyślał o tym, ale i tak nie miałby wiarygodnego pretekstu, by się tu dostać. Liczył na to, że znajdzie koło do podnoszenia i spuszczenia mostu, przynajmniej zaś kołowrót z korbą, a okazało się, że urządzenie stanowi jedynie blok i lina.

Aby podnieść most, trzeba obciążyć linę. Obaj chwycili ją i pociągnęli z całej siły, ale most nawet nie zaskrzypiał. To zadanie dla dziesięciu ludzi!

Przez chwilę William poczuł się zbity z tropu. Przypomniawszy sobie, że do podnoszenia pierwszego mostu służyło olbrzymie koło. Lecz tamten most był podnoszony co noc, a ten tylko w nagłym wypadku.

Na nic się jednak nie zdało dumanie nad tym. Co zrobić? Jeśli nie mogą pod-

nieść mostu, w ostateczności mogą zamknąć bramę, to z pewnością powstrzyma hrabiego.

Zbiegł po schodach, Walter tuż za nim. Na dole zmartwił z przerażenia. Jak się okazało, nie wszyscy byli na mszy. Zobaczył, że z wartowni wychodzi kobieta i dziecko.

William rozpoznał kobietę. To przecież żona murarza, którą chciał kupić za funta. Teraz i ona dostrzegła ich, a jej przenikliwe miodowe oczy przejrzały wszystko na wylot. Williamowi nawet nie przeszło przez myśl, by udawać niewinnego gościa czekającego na hrabiego. Wiedział, że jej się nie da oszukać. Nie mógł dopuścić do zaalarmowania ludzi na zamku, musi ją zabić cicho i szybko, tak jak strażników.

Wszystkowidzące oczy kobiety wyczytały te myśli z jego twarzy. Chwyliła dziecko za rękę i odwróciła się. William spróbował ją złapać, ale była za szybka. Pobiegła przez dziedziniec w stronę twierdzy. Ruszyli za nią.

Biegła lekko, a oni byli obciążeni kolczugami i ciężką bronią. Dotarła do schodów prowadzących do wielkiej komnaty. Krzyczała głośno, wbiegając po stopniach. Krzyk zaalarmował co najmniej dwóch strażników. Ciężko dysząc, William zatrzymał się u stóp schodów, a za nim Walter. Dwu strażników, potem trzech, czterech, zbiegało z murów na dziedziniec. Kobieta znikła w twierdzy, ciągnąc za rękę chłopca. To już nie było ważne, skoro zostali zaalarmowani strażnicy. Jej śmierć przestała mieć znaczenie, pomyślał.

Dobyli mieczy i stanęli obok siebie, gotowi do walki o własne życie.

Ksiądz przed ołtarzem podnosił hostię, kiedy uświadomił sobie, że coś złego dzieje się z końmi. Słyszał rzenie i uderzenia kopyt, głośniejsze niż zwykle. Zaintonował coś po łacinie, gdy ktoś mu przerwał okrzykiem:

– Czuję dym!

Tom także poczuł dym, wszyscy inni też. Tom był wysoki i mógł popatrzeć

przez okno, wspiąwszy się na palcach. Kiedy to zrobił, zobaczył, że ze stajni buchają płomienie.

– Pożar! – zawołał, a zanim zdołał powiedzieć coś jeszcze, głos jego utonął w zgiełku.

Zaczęło się przepychanie do drzwi. Nikt nie pamiętał o nabożeństwie. Tom objął Marthę, obawiając się, że w ścisku może zostać poturbowana, Alfredowi zaś zabronił ruszać się od nich na krok. Zastanawiał się, gdzie podziali się Ellen i Jack.

Chwilę później w kaplicy zostali tylko oni i oszołomiony ksiądz.

Tom wyprowadził dzieci na zewnątrz, gdzie ludzie próbowali zaradzić sytuacji. Jedni odwiązywali konie, by mogły uciec, drudzy ciągnęli wodę ze studni i lali w ogień. Nie widział Ellen. Uwolnione konie miały się po dziedzińcu, przerażone pożarem i okrzykami biegających ludzi. Dudnienie ich kopyt było wstrząsające. Wsłuchał się w odgłos. Zmarszczył brwi; ten dźwięk był zbyt donośny, brzmiał, jakby kopytami biło ze sto koni, a nie dwadzieścia lub trzydzieści. Nagle ogarnęło go straszliwe podejrzenie.

– Martha, zostań tutaj na chwilę. Alfred, pilnuj jej.

Pobiegł pochylnią prowadzącą na mury. Była stroma i przed samym szczytem musiał zwolnić. Na wierzchołku, ciężko dysząc, rozejrzał się.

Jego serce ścisnęły lodowate palce strachu. Armia jeźdźców szarżowała na zamek. Straszny widok. Mógł dostrzec metaliczny połysk kolczug i obnażonych mieczy. Konie galopowały po równinie, widać było kłęby pary bijące z chrapów. Jeźdźcy jakby przypięci do sodeł zawzięcie parli do przodu. Nie było słyhać żadnych krzyków ani wrzasków, tylko grzmiący łomot setek kopyt. Obejrzał się na dziedzińcu. Dlaczego nikt poza nim nie usłyszał jeźdźców? Aha, mury tłumiły dźwięki, a wewnętrzny hałas także je zagłuszał. Czemu strażnicy nic nie widzieli? Bo porzucili swe stanowiska, by walczyć z ogniem. Ten atak został obmyślony po mistrzowsku, przez kogoś bardzo przebiegłego. Teraz Tom musiał podnieść alarm.

Ale gdzie jest Ellen?!

Jego oczy przeszukiwały dziedziniec, podczas gdy napastnicy zbliżali się coraz bardziej. Większa część dziedzińca była zasnuta gęstym, białym dymem. Nie potrafił nigdzie dojrzeć Ellen.

Zauważył hrabiego niedaleko studni. Tom zbiegł pochylnią i przepchał się przez dziedziniec do niego. Złapał hrabiego za ramię, bynajmniej nie delikatnie, i aby przekrzyczeć panujący zgiełk, wrzasnął mu w prawe ucho:

– To napad!

– Co?

– Atakują zamek!

– Atakują? Kto? – Hrabia był zaabsorbowany myślą o pożarze.

– Setka koni! – wrzasnął Tom.

Hrabia podniósł głowę. Tom patrzył, jak na jego bladej arystokratycznej twarzy powoli maluje się zrozumienie.

– Widziałeś?

– Tak.

– Kto...? Mniejsza o to kto! Setka koni?

– Tak!

– Peter! Ralf! – Hrabia odwrócił się od Toma i przywołał dowódców. – To najazd! Pożar miał nas zmylić, atakują nas!

– Podobnie jak hrabia, w pierwszej chwili nie mogli pojąć, potem słuchali, na koniec się przelękli. Hrabia wrzasnął: – Każcie ludziom brać się do mieczy, no dalej, dalej! – Zwrócił się znowu do Toma. – Kamieniarzu, jesteś silny, za mną! Razem zamkniemy bramę!

Pobiegł przez dziedziniec, Tom za nim. Jeśliby zdążyli podnieść most i zamknąć bramy na czas, mogli powstrzymać setkę ludzi.

Dotarli do strażnicy. Pod łukiem bramy widzieli nadciągających jeźdźców. Nie byli dalej niż o milę, rozwijali się w ataku, szybsi z przodu, maruderzy z tyłu.

– Wrota! – krzyknął hrabia.

Tom spojrział. Okute żelazem dębowe wierzeje leżały płasko na ziemi, zawiasy zostały wybite z muru. Napastnicy musieli wejść wcześniej, domyślił się. Ze strachu poczuł skurcz w żołądku.

Popatrzył za siebie na dziedziniec, ciągle szukając Ellen. Nie mógł jej dostrzec. Co się z nią stało? Teraz mogło się zdarzyć wszystko. Pragnął być blisko niej.

– Most zwodzony! – wrzasnął hrabia.

Najlepiej pomogę Ellen, jeśli nie dopuszczę tu napastników, uświadomił sobie Tom. Hrabia wbiegł na spiralne schody, a on z wysiłkiem dążył za nim. Jeżeli podniosą most, to wystarczy kilku mężczyzn, by utrzymać strażnicę. Na górze serca im się ścisnęły. Ktoś przeciął linę. Mostu nie można było podnieść.

Hrabia Bartholomew rzucił ostre przekleństwo.

– Ktokolwiek wymyślił ten plan, był przebiegły jak Lucyfer – powiedział zrozpaczony.

Toma uderzyła myśl, że ów człowiek, który przeciął linę, wybił zawiasy i podpalił stajnię, musi być ciągle gdzieś w zamku. Rozejrział się. Gdzie też on może być?

Hrabia wyrzwał przez otwór strzelniczy.

– Dobry Boże, są już prawie tutaj. – I ruszył w dół schodami.

Tom następował mu na pięty. W przejściu kilku rycerzy pośpiesznie zapinało pasy i wkładało hełmy. Bartholomew zaczął wydawać rozkazy:

– Ralf i John! Złapcie kilka luźnych koni i popędźcie przez most. Przynajmniej na parę minut opóźnią atak. Richard, Peter, Robin! Weźcie paru ludzi i stańcie tu na posterunku. – Brama była wąska i kilku obrońców mogło przez jakiś czas wstrzymać napastników. – Ty, kamieniarzu, przeprowadź sługi i dzieci przez tamten most za wyższe obwarowania.

Tom rad był z tego zadania, dzięki temu mógł szukać Ellen. Najpierw pobiegł do kaplicy. Martha i Alfred byli tam, gdzie ich zostawił, wydawali się

przestraszeni.

– Idźcie do twierdzy! – krzyknął do nich. – Każdemu dziecku, każdej kobiecie mówcie, by też tam szli. Biegiem!

Popędzili natychmiast.

Tom rozejrzał się dokoła. Pragnął popędzić za nimi, nie chciał, by go schwytano na dolnym dziedzińcu. Ale musiał wypełnić polecenie hrabiego. Pobiegł do stajni, gdzie wciąż gaszono ogień.

– Zostawcie to! – krzyczał. – Atakują zamek! Bierzcie dzieci do twierdzy.

Dym wciskał się do oczu, łzy mąciły mu wzrok. Otarł je i pobiegł do grupki na dziedzińcu. Wykrzyczał przerażające wieści. Nigdzie nie było jego kobiety.

Coraz gęstszy dym przyprawił go o kaszel. Dławiąc się, pobiegł do mostu. Zatrzymał się tam, by zaczerpnąć tchu, i rozejrzał się. Ludzie uciekali na wyższy dziedziniec. Tom był prawie pewny, że Ellen i Jack już są w twierdzy, ale przerażała go myśl, że mógł ich przeoczyć. Zdołał dostrzec rycerzy walczących w dolnej bramie, pierś w pierś. Raptem pojawił się przy nim hrabia Bartholomew z zakrwawionym mieczem i z twarzą zalaną łzami.

– Ratuj się! – krzyknął.

W tym momencie napastnicy, roztrącając obrońców, wdarli się na niższy dziedziniec. Tom odwrócił się i pobiegł przez most.

Piętnastu czy dwudziestu ludzi hrabiego stało w przejściu. Byli gotowi do obrony. Rozsunęli się, by przepuścić hrabiego i Toma. Kiedy zwierali szeregi, Tom usłyszał za sobą uderzenie końskich kopyt o drewniany most. Obrońcy nie mieli żadnych szans. Co z Ellen i dziećmi? Już niemal setka żądnych krwi, uzbrojonych mężczyzn wtargnęła do grodu. Pobiegł przez górny dziedziniec do twierdzy.

W połowie drogi do drewnianych schodów prowadzących do wielkiej komnaty rzucił okiem za siebie. Obrońcy zostali niemal natychmiast pobici przez atakujących konno napastników. Hrabia Bartholomew biegł tuż za Tomem. Mieli tylko tyle czasu, by wciągnąć za sobą schody. Gdy znaleźli się w komna-

cie, okazało się, że napastnicy byli jeszcze sprytniejsi.

Ci, którzy zniszczyli wrota, przecięli linę i podpalili stajnie, teraz znajdowali się w twierdzy i trzymali w pułapce wszystkich, którzy tu się schronili.

Tom ujrzał czterech mężów z twarzami wykrzywionymi paskudnymi uśmiechami. Wokół nich leżały krwawiące ciała martwych i rannych rycerzy hrabiego. Przywódcą awangardy był William Hamleigh.

Zaskoczony Tom szeroko otworzył oczy. To już koniec, pomyślał, ale zanim ogarnął go strach, jeden z napastników złapał go za ramię i popchnął w bok.

A więc to Hamleighowie napadli na zamek hrabiego Bartholomew. Ale dlaczego?

Wszystkie sługi i dzieci stały pośrodku sali zbite w stadko, zatem tylko uzbrojonych atakowano. Tom przebiegł wzrokiem twarze i z ogromną ulgą dostrzegł Alfreda, Marthę, Ellen i Jacka, wszystkich razem. Wyglądali co prawda na przestraszonych, ale byli żywi i najwyraźniej niepoturbowani.

Zanim zdołał przedostać się do nich, przy drzwiach wejściowych wybuchła potyczka. Bartholomew wraz z dwoma rycerzami wdarli się do sali i wpadli w pułapkę zastawioną przez żołnierzy Williama. Jednego z obrońców hrabiego zabili od razu, ale drugi zdołał zasłonić swego pana wzniesionym mieczem. Do komnaty przybyło kilku następnych rycerzy. Rozpoczęła się straszliwa walka na noże i pięści, bo w pomieszczeniu było za mało miejsca, by mogli posłużyć się mieczami. Przez chwilę wydawało się, że hrabiowscy ludzie będą górą, lecz nagle kilku rycerzy się odwróciło, by osłaniać tyły: widocznie nacierający zdołali przedostać się na górę i sforsowali drzwi do komnaty.

– ZATRZYMAJCIE SIĘ! – rozległ się potężny głos.

Walczący obu stron zajęli pozycje obronne. Znowu rozległ się ten sam głos:

– Bartholomew z Shiring, poddajesz się?

Tom widział, jak hrabia odwraca się i spogląda w kierunku drzwi. Rycerze rozstąpili się, by zejść mu z linii wzroku.

– Hamleigh – mruknął hrabia niedowierzającym, acz spokojnym tonem. Potem powiedział głośno: – Czy pozostawisz moją rodzinę i sługi całych i zdrowych?

– Tak.

– Przysięgniesz?

– Przysięgam na krzyż, jeśli się poddasz.

– Poddaję się – oświadczył hrabia.

Wielki okrzyk rozległ się na zewnątrz.

Tom odwrócił się. Martha przebiegła przez komnatę do niego. Podniósł ją, a potem objął Ellen.

– Uratowani – rzekła Ellen ze łzami w oczach. – Wszyscy uratowani.

– Uratowani – gorzko powtórzył. – Ale znów w nędzy.

William raptownie przestał wiwatować. Był przecież synem lorda, nie przystało mu pokrzykiwać jak prostemu żołnierzowi.

Twarz jego przybrała wyraz zadowolenia.

Wygrali. To on wykonał plan, nie bez przeszkód, ale skutecznie, i atak powiodł się głównie dzięki jego wcześniejszym przygotowaniom. Już nie wiedział, ilu zranił i zabił. Uderzyła go myśl, że jak na kogoś, kto nie jest ranny, na twarzy ma sporo krwi. Wytarł ją, ale miał wrażenie, że pojawia się znowu. To musi być moja, pomyślał. Pomacał ręką twarz, potem głowę. Brakowało mu trochę włosów, a kiedy dotknął czoła, poczuł piekący ból. Nie nosił hełmu, by nie wyglądać podejrzanie. Teraz, kiedy już wiedział o ranie, zaczynała dośkwierać. Nie przeszkadzało mu to. Rana jest świadectwem męstwa.

Jego ojciec wszedł po schodach i stanął twarz w twarz z hrabią Bartholomew. Ten podał mu swój miecz, rękojeścią naprzód, w geście poddania. Percy go przyjął, a jego ludzie zakrzyknęli znowu.

Gdy wrzawa ucichła, William usłyszał słowa hrabiego.

– Dlaczego to zrobiliście?

– Spiskowałeś przeciw królowi – odpowiedział ojciec.

Bartholomew zdziwił się, że stary Percy wie o tym, i zaskoczenie odbiło się na jego twarzy. William wstrzymał oddech, zastanawiając się, czy zrozpaczony przegraną hrabia przyzna się do spisku. Ten jednak opanował się szybko i rzekł:

– Mego honoru bronić będę przed królem, nie tutaj!

Ojciec skinął głową.

– Jak chcesz. Powiedz swym ludziom, by złożyli broń i opuścili zamek.

Hrabia półgłosem wydał polecenia, a jego rycerze jeden po drugim podchodzili do Hamleigha i rzucali przed nim miecze. Ten widok cieszył Williama. Pomyślał z dumą, że to wspaniale przyglądać się, jak ci wszyscy tutaj korzą się przed jego ojcem. Ten zaś mówił do jednego ze swych rycerzy:

– Zgromadź luźne konie w stajni, potem weź kilku ludzi i zabierzcie broń zabitych i rannych.

Broń i konie przegranych należały oczywiście do zwycięzcy; rycerze Bartholomew pójdą w rozsypkę, pieszo i bez broni. Ludzie Hamleigha mieli także opróżnić zamkowe spichlerze. Zdobyte konie objuczy się łupem i odprowadzi do rodzinnej wsi. Ojciec wydawał kolejne polecenia:

– Wybierz kilku spośród sług kuchennych i każ im przygotować obiad. Resztę odeślij, niech idą, gdzie chcą.

Po bitwie wszyscy byli głodni, teraz tu będzie uczta. Najlepsze jedzenie i wina hrabiego Bartholomew zostaną pochłonięte, zanim armia ruszy do domu.

Chwilę później rycerze otaczający Percy'ego i hrabiego rozstąpili się, czyniąc przejście. Wkroczyła matka Williama.

Wśród uzbrojonych po zęby mężów prezentowała się niepozornie, a kiedy odwinęła szarfę przysłaniającą twarz, każdy, kto widział ją po raz pierwszy, mógł paść porażony jej brzydota. Popatrzyła na ojca.

– Wielki triumf – oznajmiła z satysfakcją.

William chciał powiedzieć: „To dlatego, że dobrze wykonano czynności

przygotowawcze, czyż nie, matko?”. Ugryzł się jednak w język. Ojciec zaś oświadczył:

– To dzięki Williamowi, on nas tu wpuścił.

Matka zwróciła się ku niemu. W napięciu oczekiwał jej gratulacji.

– Naprawdę? – spytała.

– Tak – potwierdził ojciec. – Dobra robota.

– Może i tak – skinęła głową.

Williamowi zrobiło się ciepło koło serca od tej pochwały i uśmiechnął się głupawo.

Matka spojrzała na hrabiego Bartholomew.

– Powinien mi złożyć pokłon.

– Nie – odrzekł hrabia.

Po tych słowach wydała polecenie:

– Przywiedźcie córkę.

William rozejrzał się. Na chwilę zapomniał o Alienie. Przebiegł wzrokiem twarze sług i dzieci, dostrzegł ją od razu, stojącą przy Matthew, zniewieściałym zarządcy domu. Podeszedł do niej i przyprowadził do matki. Matthew podążył za nimi.

– Obetnij jej uszy – rozkazała matka.

Aliena krzyknęła przeraźliwie.

William poczuł dreszcz podniecenia w łędźwiach.

Twarz hrabiego poszarzała.

– Przyrzekliście, że nic złego jej nie zrobicie, jeśli się poddam – oznajmił. – Przysiągłeś – zwrócił się do Percy’ego.

– Nasza opieka będzie taka sama jak twoje poddanie – odparła matka.

To bardzo sprytne, pomyślał William. Zastanawiał się, kto mógłby obciąć uszy. Może on otrzyma to zadanie. Ten pomysł wydał mu się szczególnie podniecający.

– Uklęknij! – rzuciła matka do hrabiego.

Bartholomew opadł powoli na jedno kolano i pochylił głowę.

Młody Hamleigh poczuł rozczarowanie.

Matka podniosła głos:

– Popatrzcie na to! – krzyknęła do wszystkich obecnych. – Nie zapomnijcie nigdy tego widoku. Taki los czeka każdego, kto obraża Hamleighów! – Powiodła wyzywającym spojrzeniem dokoła, a Williamowe serce przepełniła duma.

Teraz dowództwo przejął stary Percy.

– Zaprowadźcie go do jego komnaty i pilnujcie dobrze.

Bartholomew wstał.

– Dziewczynę również – dodał ojciec, zwracając się do syna.

William mocno trzymał Alienę, lubił jej dotykać. Chciał zabrać tę upartą pannę do sypialni na górę. Nie wiadomo, co może się zdarzyć. Gdyby zostali sam na sam, mógłby z nią zrobić, co mu się podoba. Mógłby zedrzeć z niej szaty i oglądać jej nagość. Mógłby...

Hrabia Bartholomew odezwał się:

– Pozwól, by Matthew poszedł z nami i opiekował się nią.

Ojciec przyjrzał się Matthew.

– Nie wydaje się groźny, – stwierdził krzywiąc się. – W porządku.

William patrzył na Alienę. Była blada i wyglądała jeszcze piękniej, kiedy się bała. Podniecała go myśl o jej bezbronności. Pragnął miażdżyć ją swoim ciałem i widzieć przerażenie na jej twarzy, gdy będzie siłą rozwierać jej uda. Impulsywnie nachylił się do niej i powiedział zduszonym głosem:

– Ja w dalszym ciągu chcę cię poślubić.

Odsunęła się od niego gwałtownie.

– Poślubić? – zawołała głosem pełnym pogardy. – Raczej umrę, niż za ciebie wyjdę, ty odrażająca, nadęta ropucho!

Wszyscy rycerze szeroko się uśmiechnęli, a wśród służby rozległ się chichot. William poczuł, że twarz mu płonie.

Matka zrobiła nagły krok w przód i uderzyła Alienę dłonią w twarz. Bar-

tholomew ruszył na pomoc, ale rycerze go powstrzymali.

– Stul pysk – rzekła do Alieny – już nie będziesz piękną damą, ani przez chwilę. Jesteś córką zdrajcy, czeka cię poniżenie i głód. Teraz już nie jesteś dość dobra, by chciał cię mój syn. Zejdź mi z oczu i ani słowa.

Aliena odwróciła się; William rozluźnił chwyt, a dziewczyna podążyła za ojcem. Patrząc na nią, uświadomił sobie, że słodki smak zemsty zamienił się w gorycz.

Prawdziwa księżniczka z poematów, myślał Jack. Przejęty grozą patrzył, jak Aliena wchodzi po schodach z wysoko podniesioną głową. Wszyscy w komnacie milczeli, dopóki nie znikła z widoku. Jej wyjście to jak zgaśnięcie lampy, rozważał zasmucony.

– Który z was jest kucharzem? – zapytał jeden z rycerzy.

Kucharz zanadto się bał, by się ujawnić, ale ktoś go wskazał.

– Przygotujesz obiad. Wybierz pomocników do kuchni. – Kucharz wybrał z tłumu pół tuzina ludzi. – Reszta precz! – krzyknął rycerz. – Wynoście się z zamku, jak najszybciej, i nie próbujcie brać niczego, co nie wasze, jeśli wam życie miłe. Już mamy krew na mieczach i trochę więcej nie zrobi różnicy. Ruszać się!

Wszyscy skierowali się w stronę drzwi. Ellen ujęła Jacka za rękę, a Tom wziął Marthę. Alfred trzymał się w pobliżu. Mieli na sobie swe opończe. To był cały ich dobytek, nie licząc nożyków dojedzenia. Zeszli po schodach wraz z tłumem, a potem przebyli most, niższy dziedziniec i strażnicę, przekraczając bezużyteczne wierzeje, i bez zatrzymywania się opuścili zamek. Kiedy znaleźli się na polach po drugiej stronie fosy, napięcie pękło jak przecięta cięciwa i wszyscy zaczęli mówić podnieconymi głosami o swych czynach. Jack słuchał tego obojętnie. Wszyscy opowiadali, jacy to byli odważni. On sam nie czuł się dzielny – po prostu uciekał.

Aliena, tylko ona była naprawdę dzielna. Kiedy weszła do komnaty i stwierdziła, że zamiast w schronieniu znalazła się w pułapce, zaopiekowała się sługami i dziećmi, kazała im siedzieć cicho i trzymać się z daleka od walczących mężczyzn. Krzyczała na rycerzy Hamleighów, kiedy ci brutalnie traktowali jeńców albo gdy podnosili miecze na bezbronnych. Zachowywała się tak, jakby nie obawiała się ciosów.

Ellen potargała włosy Jacka.

– O czym myślisz?

– Zastanawiałem się, co będzie z księżniczką.

Wiedziała, o kogo mu chodzi.

– Z lady Alieną.

– Ona jest niczym księżniczka z poematów, mieszka na zamku. Ale rycerze nie okazali się tacy szlachetni i mężni jak w poematach.

– To prawda – rzekła Ellen.

– Co się z nią stanie?

– Naprawdę nie mam pojęcia – potrząsnęła głową.

– Jej matka nie żyje.

– No to czekają ją ciężkie chwile.

– Tak myślałem. Śmiała się ze mnie, bo nie wiedziałem o ojcach. Lecz i tak ją lubiłem.

– Przykro mi, że nie powiedziałam ci o tym. – Matka objęła go ramieniem.

Dotknął jej ręki, przyjmując przeprosiny. Szli w milczeniu. Co jakiś czas od gromady odłączała się jakaś rodzina, kierując się przez pola do domu przyjaciół lub krewnych, gdzie mogli dostać coś na śniadanie i zastanowić się, co począć. Większość trzymała się razem aż do rozdroża, gdzie się rozdzielili. Część poszła na północ lub południe, a niektórzy udali się w stronę targowego miasta Shiring. Matka puściła Jacka i położyła rękę na ramieniu Toma, zatrzymując go.

– Gdzie idziemy?

Wydawał się lekko zaskoczony tym pytaniem, jakby spodziewał się, że wszyscy bez zastanowienia podążą za nim, dokądkolwiek by się skierował. Jack zauważył, że matka często wywoływała ten wyraz zakłopotania na twarzy Toma. Może jego pierwsza żona była kobietą innego rodzaju.

– Do klasztoru w Kingsbridge – odrzekł.

– Kingsbridge! – Ellen wydawała się wstrząśnięta.

Jack zastanawiał się, co było tego powodem, ale Tom nie zwrócił na to uwagi.

– Ostatniego wieczoru słyszałem, że jest tam nowy przeor – rzekł. – A zazwyczaj nowy człowiek chce, żeby wykonać jakieś naprawy albo coś przebudować.

– To stary przeor zmarł?

– Tak.

Z jakiegoś powodu matce ta wiadomość ulżyła, pomyślał Jack. Musiała znać starego przeora i nie lubić go.

Dostrzegłszy nutę niepokoju brzmiącą w jej głosie, Tom spytał:

– Czy lękasz się czegoś w Kingsbridge? Nie chcesz tam iść?

– Byłam tam kiedyś. To ponad dzień drogi stąd.

Jack wiedział, że to nie odległość martwi matkę, lecz Tom tego nie pojmował.

– Trochę więcej – stwierdził. – Możemy tam dojść jutro po południu.

– Zgoda.

Poszli w stronę Kingsbridge.

W chwilę później Jack poczuł ból brzucha. Przez jakiś czas zastanawiał się, skąd ten ból. Na zamku nic mu się nie stało, a Alfred nie bił go od dwóch dni. W końcu domyślił się, dlaczego źle się czuje.

Znowu był głodny.

Rozdział 4

I

Katedra Kingsbridge na pierwszy rzut oka nie sprawiała miłego wrażenia. Była to niska, przysadzista i masywna budowla o grubych ścianach i maleńkich oknach. Zbudowano ją jeszcze przed narodzeniem Toma, a w tamtych czasach budowniczowie nie zdawali sobie sprawy, jak ważne są proporcje. Jego pokolenie już wiedziało, że dobrze wypionowane ściany, choćby były cieńsze, są mocniejsze niż te grube, a przy tym łatwiej w nich przebijać duże otwory okienne, o ile zadba się o dokładne wyprowadzenie wieńczących je łuków. Z daleka katedra wyglądała niezgrabnie, a kiedy Tom się zbliżył, dostrzegł powód: jedna z dwu bliźniaczych wież od strony zachodniej zawaliła się. Uradowało go to. Nowy przeor może zechce ją odbudować. Nadzieja na pracę popychała go do przodu, ale myśl o tym, że dopiero co znalazł zatrudnienie na zamku hrabiego, a potem widział nowego pracodawcę pokonanego w bitwie i wziętego do niewoli, przyprawiała o ból serca. Czuł, że nie potrafiłby przeżyć jeszcze jednego rozczarowania.

Rzucił okiem na Ellen. Uśmiechnęła się do niego, potem zmarszczyła brwi, patrząc na katedrę. Zaobserwował już, że źle się czuła w towarzystwie księży

i mnichów. Zastanawiał się, czy to nie z powodu poczucia winy, że nie są małżeństwem.

Na dziedzińcu klasztornym panowała krzątanina. Tom widział klasztorysty senne i ruchliwe, ale ten tutaj wydawał się wyjątkowy. Odnosiło się wrażenie, że robią wiosenne porządki o trzy miesiące przed terminem. Przed stajnią dwu mnichów ujeżdżało konie, trzeci sprawdzał uprzęż, a nowicjusze czyścili boksy. Większa grupa zajmowała się porządkowaniem domu gościnnego, stojącego w pobliżu stajni, a obok czekał wóz ze świeżą słomą gotową do rozścielenia na czyste podłogi.

Przy zwalonej wieży nikt nie pracował. Tom stał i patrzył na piętrzące się rumowisko. Wydawało się, że wieża musiała runąć kilka lat temu, bo krawędzie kamieni były wygładzone przez deszcz i mróz, skruszała zaprawa wymyta, a sam stos zapadł się na cal czy dwa w miękką ziemię. To, że z naprawą zwlekano przez kilka długich lat, było zastanawiające. Stary przeor musiał być niechlujny albo niekompetentny, albo obie te cechy były jego właściwościami. Tom przybył prawdopodobnie akurat w chwili, gdy mnisi planowali odbudowę. Miał szczęście, że się nie spóźnił.

– Nikt mnie nie poznał – odezwała się Ellen.

– A kiedy tu byłaś? – spytał.

– Trzydzieści lat temu.

– Nic dziwnego, że cię zapomnieli.

Zbliżyli się do bramy katedry i Tom otworzył jedno skrzydło wrót. Zajrzał do środka. Nawę, ponurą i ciemną, pokrywało wsparte na grubych kolumnach stare, drewniane sklepienie. Kilku mnichów szczotami na długich kijach bielilo ściany, a inni zamiatali klepisko stanowiące podłogę katedry. Nowy przeor najwidoczniej starał się przywrócić świątyni dawny blask. To dobry znak. Tom zamknął drzwi.

Na kuchennym podwórzu przy korycie pełnym brudnej wody grupa nowicjuszy oskrobywała brud z kotłów i innych naczyń kuchennych. Kostki palców

mieli otarte i czerwone od stałego zanurzania w lodowatej wodzie. Na widok Ellen chichotali i spuszczaali wzrok.

Rumieniącego się nowicjusza Tom spytał, gdzie może znaleźć klucznika. Właściwie powinien zapytać o zakrystiana, bo prace przy kościele należały do zakresu jego obowiązków, klucznicy jednak na ogół byli ludźmi, do których łatwiej było podejść. W końcu i tak przeor podejmie decyzję. Nowicjusz skierował go do piwnicy pod jednym z budynków otaczających dziedziniec. Tom wszedł przez otwarte na oścież drzwi, a Ellen i dzieci za nim. Wszyscy zatrzymali się przy wejściu i zajrzeli w mrok.

Ten budynek był nowszy i lepiej zbudowany niż kościół, Tom zauważył to od razu. Powietrze wydawało się suche, nie czuło się zapachu gnicia. Woń składowanej żywności przyprawiła go o bolesne skurcze żołądka, nie jadł bowiem już od dwu dni. Kiedy oczy przyzwyczały się do mroku, dostrzegł, że spiżarnia ma podłogę z płyt kamiennych, a sklepienie kolebkowe podpierają krótkie, grube filary. W chwilę później zauważył wysokiego, łysego mnicha, przesypującego sól z beczki do garnka.

– Czy ty jesteś klucznikiem, ojcze? – spytał Tom, ale mnich podniósł rękę, nakazując milczenie. Liczył. Tom czekał aż skończy.

– Dwie dwudziestki dziewiętnaście, trzy dwudziestki – powiedział mnich i odłożył łyżkę.

– Jestem Tom, mistrz budowniczy, szukam pracy. Mógłbym odbudować wieżę katedry.

– Jestem Cuthbert, zwany Białogłowym, klucznik klasztorny. Chciałbym zobaczyć tę odbudowę – odpowiedział mnich. – Lecz z tym musimy zwrócić się do przeora Philipa. Słyszeliście, że mamy nowego przeora?

– Tak. – To musi być przyjazny człowiek, ocenił Tom Cuthberta. Rozmowny i gładki w obejściu. – Nowy przeor, jak widać, przejawia chęć poprawienia wyglądu klasztoru.

Cuthbert kiwnął głową.

– Nie przejawia jednak nadmiernej chęci do płacenia za pracę. Zauważyłeś, że prawie wszystkie roboty wykonują mnisi? On nie chce zatrudniać więcej ludzi, mówi, że klasztor ma już zbyt wielu pracowników i służących.

To zła wieść.

– Co myślą o tym mnisi? – spytał Tom okrężnie.

Cuthbert uśmiechnął się, a jego pofałdowana twarz zmarszczyła się jeszcze bardziej.

– Jesteś taktowny, Tomie Budowniczy. Myślisz zapewne, że nigdy jeszcze nie widziałeś tak wielu mnichów naraz, pracujących tak ciężko. Cóż, nowy przeor nie zmusza nikogo. Interpretuje tylko Regułę świętego Benedykta w ten sposób, że ci, którzy wykonują pracę fizyczną, mogą spożywać czerwone mięso i wino, podczas gdy ci, którzy jedynie studiują i modlą się, muszą się zadowalać soloną rybą i słabym piwem. Potrafi oczywiście wskazać skomplikowaną tezę, która potwierdza jego zdanie, w efekcie ma mnóstwo ochotników do ciężkiej pracy, szczególnie spośród młodych. – Cuthbert nie wydawał się tego potępiać, bawiło go to.

– Ale mnisi nie potrafią stawiać kamiennych ścian, niezależnie od tego, co jedzą. – Kiedy to mówił, usłyszał płacz dziecka, płacz bardzo małego dziecka, tygodniowego czy dwutygodniowego. Dźwięk ten się zbliżał. Tom dostrzegł spojrzenie Ellen. Wyglądała na zaskoczoną. W drzwiach pojawił się cień.

– Zapytajmy przeora – rzekł Cuthbert.

Tom wciąż nasłuchiwał. W jego sercu zadrżały wszystkie struny. Dławiło go w gardle. I wtedy wszedł mnich niosący dziecko. Tom wiedział, że to jego dziecko.

Z trudem przełknął ślinę. Twarz dziecka była zaczerwieniona, piąstki ściśnięte. W otwartej buzi ukazywały się bezzębne dziąsła. Płacz nie mówił o bólu czy chorobie. Dziecko było zdrowe, to normalny płacz głodnego dziecka. Tom poczuł ulgę. Jego syn ma się dobrze.

Mnich niosący dziecko wyglądał dobrodusznie. Mógł mieć dwadzieścia lat.

Tom dostrzegł nieuczczesane włosy i szeroki, raczej niemądry uśmiech na twarzy. Inaczej niż pozostali mnisi, nie zareagował na obecność kobiety. Uśmiechnął się do wszystkich i powiedział do Cuthberta:

– Jonathan chce więcej mleka.

Tom starał się zachować nieporuszony wyraz twarzy, by nie ujawnić uczuć. Ukradkiem spojrzął na pozostałe swoje dzieci. Wiedziały, że porzucone maleństwo zostało znalezione przez jakiegoś księdza. Nie miały jednak pojęcia, że ksiądz zabrał je do klasztoru Świętego Jana z Lasu. Teraz ich twarze nie okazywały nic poza ciekawością. Nie kojarzyły tego dziecka z porzuconym niemowlęciem.

Cuthbert wziął chochlę i mały dzbanek, który napełnił mlekiem z wiaderka.

– Czy mogę potrzymać dziecko? – Ellen spytała młodego mnicha. Wyciągnęła ręce, a on podał jej chłopca.

Tom poczuł zazdrość. Marzył, by potrzymać to małe zawiniątko przy sercu. Ellen pokołysała dziecko i ucichło na chwilę.

Cuthbert popatrzył i powiedział:

– Johnny Osiem Pensów jest doskonałą niańką, ale nie ma kobiecej ręki.

Ellen uśmiechnęła się.

– Dlaczego nazywają cię Johnny Osiem Pensów?

Odpowiedział za niego Cuthbert.

– Bo tyle jest wart: brakuje osiem pensów do szylinga. – Postukał się w głowę na znak, że Johnny to nierozgarnięty młodzieniec. – Ale jeżeli chodzi o rozumienie potrzeb różnych małych biednych stworzonek, potrafi być lepszy niż każdy z nas, mądrali. Nieprzeniknione są wyroki opatrności – zakończył niejasno.

Ellen podała dziecko Tomowi. Czytała w jego myślach. Spojrzął na nią z głęboką wdzięcznością i wziął dzieciątko w swe wielkie łapy. Przez kocyk, którym było owinięte, wyczuwał bicie małego serduszka. Materiał był cienki, Tom zastanawiał się, skąd mnisi wzięli taką miękką wełnę. Przytulił dziecko do

piersi i pokołysał. Jego umiejętności nie dorównywały umiejętnościom Ellen, więc dziecko znowu zapłakało. To głośne, uparte zawodzenie było muzyką dla uszu Toma, oznaczało bowiem, że maleństwo porzucone w lesie było silne i zdolne do walki z losem. Doszedł do wniosku, że słusznie uczynił, decydując się na pozostawienie swego dziecka w klasztorze.

– Gdzie sypia to niemowlę? – spytała Ellen Johnny’ego.

– Z nami w dormitorium. Ma tam kolebkę. – Tym razem Johnny odpowiedział sam.

– To pewnie budzi mnichów w nocy.

– I tak wstajemy na jutrznię.

– Oczywiście! Zapomniałam, że mnisie noce są tak samo bezsenne jak matczyne.

Cuthbert podał Johnny’emu dzbanuszek mleka. Ten wprawnym gestem zabrał dziecko z rąk Toma i skierował się do wyjścia. Tom miał ochotę zawołać: „Stój, to mój syn, daj mi go!”. Ellen dyskretnie ścisnęła mu ramię w geście współczucia.

Tom uświadomił sobie, że nie powinien tracić dobrej myśli. Gdyby tutaj pracował, to mógłby widywać Jonathana cały czas, tak jakby go nigdy nie porzucił. To wydało mu się jednak nazbyt wspaniałe, by mogło się ziścić. Wołał o tym nie myśleć.

Cuthbert popatrzył wnikliwie na Marthę i Jacka, którzy na widok dzbanka z tłusciutkim mlekiem wytrzeszczyli oczy.

– Mogę dać skrzatom trochę mleka? – zapytał.

– Tak, ojcze, proszę – odrzekł Tom.

Mnich napełnił chochlą dwie drewniane czarki i podał je dzieciakom. Wypiły mleko szybko, malując sobie przy tym wielkie, białe wąsy wokół ust.

– Jeszcze?

– Tak – odpowiedziały cicho.

Tom popatrzył na Ellen. Wiedział, że czuje to samo co on, głęboką

wdzięczność...

Kiedy Cuthbert ponownie napełniał czarki, zapytał zdawkowo:

– Skąd droga prowadzi?

– Z Earlscastle, niedaleko Shiring. Wyszliśmy stamtąd wczoraj rano.

– Jedliście od tamtej pory?

– Nie – cicho odparł Tom. Wiedział, że mnich wypytuje ich z uprzejmości, ale nienawidził przyznawać się do tego, że nie zdołał sam nakarmić dzieci.

– Zjedzcie trochę jabłek, by jakoś przetrzymać do kolacji. – Cuthbert wskazał beczułkę przy drzwiach.

Alfred, Tom i Ellen podeszli do niej, kiedy Martha i Jack wypijali tę drugą czarkę mleka. Alfred chciał zabrać tyle jabłek, ile się da, ale ojciec trzepnął go po rękach i powiedział cichym głosem:

– Weź tylko dwa lub trzy. – Chłopak wziął trzy.

Tom zjadł swoją porcję z przyjemnością i poczuł się nieco lepiej, lecz nie umiał powstrzymać się, żeby nie myśleć o tym, kiedy też nadejdzie pora kolacji. Na szczęście przypomniał sobie, że mnisi zwykle jedli przed zmrokiem, by oszczędzać na świecach.

Cuthbert wciąż przypatrywał się Ellen.

– Czy ja ciebie kiedyś nie spotkałem? – spytał w końcu.

– Nie przypuszczam. – Wyglądała na zaniepokojoną.

– Wydajesz mi się znajoma – upierał się niepewnie.

– W dzieciństwie mieszkałam niedaleko stąd.

– To pewnie dlatego – rzekł – odnoszę wrażenie, że wyglądasz na starszą, niż powinnaś.

– Musisz mieć znakomitą pamięć.

– Nie tak dobrą, jak bym chciał – zmarszczył czoło, patrząc na nią uważnie.

– Myślę, pewny jestem, że... No, nic. Dlaczego opuściliście Earlscastle?

– Wczoraj o świcie zamek został zaatakowany i zdobyty. Hrabiego Bartholomew pojmano i oskarżono o zdradę – wyjaśnił Tom.

– Święci pańscy, chrońcie nas! – Cuthbertem wstrząsnęła wieść. Nagle zaczęła się zachowywać jak wystraszona stara panna.

– Zdradę?!

Zza drzwi dobiegł ich odgłos kroków. Tom odwrócił się i zobaczył mnicha wchodzącego do piwnicy.

– To nasz nowy przeor – powiedział Cuthbert.

Tom rozpoznał mnicha. To Philip, ten, którego spotkali, idąc do rezydencji biskupa, i który poczęstował ich wspaniałym serem. Teraz wszystko zaczęło się układać w całość: nowy przeor był kiedyś przeorem klasztoru w lesie i zabrał Jonathana ze sobą, kiedy przenosił się do Kingsbridge. W duszy Toma zaświtała nadzieja: Ten mnich to przyjazny człowiek, na pewno da mu pracę.

Philip również pamiętał Toma.

– Witaj, mistrzu budowniczy! Nie miałeś, jak widzę, zbyt wiele do roboty w siedzibie biskupa?

– Nie, ojcze. Archidiakon nie chciał mnie przyjąć, a biskupa nie było.

– No tak. Przebywał już w niebie, chociaż wówczas nie wiedzieliśmy o tym.

– To biskup zmarł?

– W rzeczy samej.

– To stare dzieje – wpadł mu w słowo niecierpliwy Cuthbert. – Tom i jego rodzina właśnie przyszli z Earlscastle. Hrabia Bartholomew został uwięziony, a jego zamek zdobyty!

– Już – mruknął spokojnie Philip.

– Już? – powtórzył Cuthbert. – Dlaczego powiedziałeś „już”? – Białogłowy zdawał się bardzo lubić Philipa, ale odnosił się do niego z ostrożnością, jak ojciec do syna, który przebywał daleko na wojnie, lecz powrócił z pasem i mieczem oraz nieco niebezpiecznym błyskiem w oku. – Ty wiedziałeś, że to ma się stać?

– Nie, niezupełnie – rzekł niepewnie przeor. – Słyszałem plotki, że hrabia

Bartholomew przeciwstawia się królowi Stefanowi. – Odzyskał pewność siebie. – Wszyscy będziemy za to wdzięczni – oznajmił. – Król przyrzekł popierać i ochraniać Kościół, podczas gdy Matylda szkodziłaby nam tak samo, jak czynił to jej ojciec. A jakże! To dobra wiadomość. – Wyglądał na tak zadowolonego, jakby sam wszystko załatwił.

Tom wolał rozmowę na inny temat.

– Dla mnie to nie była dobra wieść, bo hrabia zatrudnił mnie przy naprawianiu i wzmacnianiu swoich murów obronnych. Przez to, co się stało, nie dostałem dniówki.

– Współczuję ci. A kto napadł na zamek?

– Sir Percy Hamleigh.

– Aha – Philip kiwnął głową, a Tom po raz kolejny miał wrażenie, że ta wieść także tylko potwierdziła oczekiwania Philipa.

– Widzę, ojczu, że wprowadzasz tu trochę ulepszeń – Tom delikatnie zmienił temat.

– Próbuję.

– Zechcesz na pewno odbudować wieżę, ojczu?

– Odbudować wieżę, naprawić dach, wyłożyć podłogę kamieniem – tak, chcę to wszystko zrobić. A ty oczywiście szukasz pracy – dodał, najwidoczniej zrozumiałszy powód jego przybycia. – Nie pomyślałem o tym. Chciałbym cię zatrudnić. Lecz nie mam ci czym zapłacić. Obawiam się, że ten klasztor jest bez pieniędzy.

Tom poczuł się tak, jakby ktoś uderzył go pięścią w brzuch. Był przeświadczony, że dostanie tutaj pracę, wszystko na to wskazywało. Nie potrafił uwierzyć własnym uszom. Niewiarygodne, że ten klasztor nie ma pieniędzy. Klucznik wprawdzie mówił, że wszelkie prace wykonują sami mnisi, ale zawsze przecież można pożyczyć od Żydów. Poczuł, że to już koniec jego drogi. Wszystko to, co trzymało go na nogach całą zimę, jakby z niego wyparowało. Pomyślał, że już nie da rady iść dalej, że jest skończony.

Przeor dostrzegł jego przygnębienie.

– Mogę zaofiarować ci kolację i nocleg, a rano śniadanie – powiedział.

– Przyjmę to, ojcze – Tom poczuł przypływ złości – jeśli pozwolisz mi na wszystko zarobić.

Philip uniósł brwi, trochę rozgniewany, ale przemówił łagodnie:

– Prośba do Boga to nie żebrania, lecz modlitwa. – Po tych słowach wyszedł.

Widząc nieco załężnione twarze swych bliskich, Tom zorientował się, że nie zdołał ukryć irytacji. Ich spojrzenia sprawiały mu przykrość. Wyszedł z piwnicy, stanął na dziedzińcu i próbował, patrząc na kościół, opanować wzburzenie.

Po chwili Ellen i dzieci opuściły piwnicę. Ellen podeszła do Toma i objęła go w pasie uspokajającym gestem, co wywołało szepty i poszturchiwania wśród nowicjuszy. Tom pozostał na to obojętny.

– Pomodłę się – rzekł – pomodłę się o piorun, który zrówna z ziemią ten kościół.

W ciągu ostatnich dwu dni Jack poznał, co to lęk o przyszłość. Do tej pory myślał jedynie o jutrze. Jeśli nawet czasami zastanawiał się nad tym, co będzie jutro, to doskonale wiedział, co może go spotkać. W lesie każdy dzień przypominał następny, a pory roku zmieniały się powoli. Teraz wszystko stało się niepewne, nawet z dnia na dzień nie miał pojęcia, gdzie się znajdzie i co będzie jadł... czy w ogóle będzie jadł.

Najgorszy okazał się głód. Jack w tajemnicy podjadał trawę i liście, próbując złagodzić skurcze, ale i tak bolał go później żołądek i jakoś tak dziwnie się czuł. Martha często płakała z głodu. Jack i ona zawsze chodzili razem. Wpatrywała się w niego jak w obraz, a nikt inny przedtem tego nie czynił. To, że nie mógł pomóc dziewczynce, było dla Jacka gorsze niż jego własny głód.

Gdyby żyli w jaskini, mogliby upolować kaczkę, znaleźć orzechy czy wykraść z ptasiego gniazda jajka, bo znał właściwe miejsca. Miasta i wsie natomiast stanowiły dla niego nowość, drogi między nimi także były nieznajome i czuł się zagubiony. Wiedział jedynie, że Tom musi znaleźć pracę.

Całe popołudnie spędzili w domu gościnnym. Była to prosta jednoizbowa chata, gdzie podłogą było klepisko, a pośrodku znajdowało się palenisko; dokładnie taka, w jakich mieszkali chłopci. Jackowi jednak, który przez całe życie mieszkał w jaskiniach, wydawała się domem z bajki. Ciekawiło go, jak się taki dom robi, więc Tom mu opowiedział. Dwa młode drzewa ucina się przy ziemi, ociosuje, opiera jedno o drugie pod kątem i wiąże. Następnie dwa kolejne ustawia się tak samo, w trójkąt, a oba trójkąty u szczytów łączy żerdzią. Odstęp między nimi wynosi zwykle około czterech jardów. Równoległe do kalenicy mocuje się żerdzie, łączące te drzewa. Otrzymuje się w ten sposób dwuspadowy dach sięgający ziemi. Prostokątne maty z plecionej trzciny, zwane płytkami, kładzie się na żerdzi i uszczelnia gliną. Ściany oraz szczyt dachu robione są z palików powbijanych w ziemię, a szpary między nimi także wypełnia się gliną. W jednej ścianie wycina się drzwi, a okien nie ma wcale.

Matka Jacka rozesłała na podłodze świeżą słomę, a Jack rozpałił ogień za pomocą krzesiwa, które zawsze miał przy sobie. Kiedy w zasięgu głosu nikogo nie było, zapytał matkę, dlaczego przeor nie zatrudnił Toma, skoro wokół jest tyle roboty dla budowniczego.

– Pewnie chce nazbierać pieniędzy, ile się da, póki kościół jeszcze nadaje się do użytku – powiedziała Ellen. – Gdyby cały kościół się zawalił, musieliby go odbudować, ale skoro zniszczona jest tylko jedna wieża, mogą się pogodzić z tym ubytkiem.

Światło dnia łagodnie zamieniło się w zmierzch, pojawił się kuchcik z kociołkiem polewki i długim bochenkiem chleba. Polewkę zrobiono na kościach, z warzywami i ziołami, a na wierzchu połyskiwał tłuszcz. Chleb był komiśny, z żyta, jęczmienia i owsa, a także suszonego grochu i fasoli. To najlichszy ro-

dzaj chleba, jak powiedział Alfred, ale Jackowi, który dopiero od kilku dni po raz pierwszy jadł chleb, ten wydał się przewyborny. Zjadł go tyle, że rozboleł go brzuch wypchany do granic możliwości. Alfred natomiast jadł dopóty, dopóki pozostała choćby okruszyna.

Kiedy siedzieli przy ogniu, trawiąc tę ucztę, Jack zapytał Alfreda:

– A dlaczego ta wieża się zawaliła?

– Pewnie od uderzenia pioruna. Albo może wybuchł pożar.

– Przecież kościół jest z kamienia.

– Ale dach był z drewna, głupi – pogardliwie powiedział Alfred. – Dach robi się z drewna, nie z kamienia.

Jack myślał o tym przez chwilę.

– A jak się dach spali, to zawsze budowla runie?

– Czasami – wzruszył ramionami Alfred.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Tom i Ellen rozmawiali przyciszonymi głosami po drugiej stronie ogniska.

– To zabawne z tym dzieckiem – odezwał się znowu Jack.

– Co zabawne? – po chwili zapytał Alfred.

– No, wasze zgubiło się w lesie, o całe mile stąd, a tutaj, w klasztorze, też jest jakieś malutkie dziecko.

Ani Alfred, ani Martha nie wydawali się poruszeni i nie dostrzegli w tej zbieżności nic godnego zastanowienia.

Mnisi natychmiast po kolacji udali się na spoczynek, a ponieważ zwyczajnym wędrowcom nie dawali świec, Tom i jego rodzina siedzieli przy ogniu i patrzyli weń, póki nie zgasł. Wtedy położyli się na podłodze, na posłaniach ze słomy.

Jack nie spał. Rozmyślał. Czuł, że gdyby katedra tej nocy spłonęła, to ich problemy byłyby rozwiązane. Przeor przyjąłby Toma do pracy, mieszkaliby w tym domu i stale jedli polewkę na kościach i komiśniak...

Gdybym był Tomem, pomyślał, to podłożyłbym ogień pod kościół. Kiedy

wszyscy by spali, wstałbym po cichu i przekradł się z krzesiwem do kościoła i podłożył ogień, potem wśliznąłbym się z powrotem i udawał zaspanego, jak będą bić na alarm. A kiedy ludzie wodą z wiader polewaliby ogień, tak jak robili to u hrabiego Bartholomew, to pracowałbym z nimi, by ten pożar ugasić.

Alfred i Martha spali, poznał to po ich miarowych oddechach. Tom i matka robili to samo, co zawsze robią pod oponczką (Alfred mówił, że „grzeją się”), a potem też zasnęli. Na pewno Tom nie pójdzie podpalić katedry.

Ale co on zrobi? Czy rodzina będzie wędrować po drogach, aż wszyscy zagłodzą się na śmierć?

Kiedy już słyszał powolny, regularny rytm oddechów, wskazujący na bardzo głęboki sen, pomyślał, że przecież on sam mógłby podłożyć ogień.

Ta przerażająca myśl sprawiła, że serce zaczęło bić mu szybciej.

Musiałby wstać bardzo cicho. Prawdopodobnie umiałby odryglować drzwi i wyśliznąć się z domu bez obudzenia kogokolwiek. Drzwi kościoła pewnie byłyby zamknięte, ale on wiedziałby, jak dostać się do środka. Z pewnością jakaś droga by się znalazła. Potrafiłby także wspiąć się na strych. Przez te dwa tygodnie wiele się nauczył. Tom cały czas opowiadał o budowlach Alfredowi, którego to nie interesowało, ale Jack słuchał bardzo uważnie. Dowiedział się, że we wszystkich wielkich kościołach znajdują się schody, aby zapewnić dostęp do położonych wyżej części wymagających napraw. Odszukałby takie schody i po kłopotcie: wspiąłby się aż na dach.

Usiadł w ciemności, nasłuchując. Potrafi odróżnić oddech Toma po lekkim poświstywaniu, spowodowanym, jak mówiła matka, przez wdychany latami kamienny pył. Alfred raz głośno zachrapał, potem się odwrócił i dalej spał głęboko.

Po podłożeniu ognia musiałby szybciotko wrócić do domu gościnnego. Co by mu mogli zrobić mnisi, gdyby go złapali? W Shiring widział, jak złodzieja w jego wieku przywiązano i wychłostano za kradzież głowy cukru. Chłopiec wrzeszczał, a sprężysta różga siekła do krwi jego tyłek. To było straszniejsze

niż bitwa w Earlscastle. Obraz nieszczęsnego chłopca przeraził go bardzo. Groza ogarniała na myśl, że jego mógłby spotkać podobny los.

Jeśli to zrobię, postanowił, nikt nigdy nie może się o tym dowiedzieć.

Ułożył się ponownie, owinął opończą i zamknął oczy. Zastanawiał się, czy drzwi kościoła są zamknięte. Jeśli tak, to mógłby się dostać do środka przez któreś z okien. Od północnej strony dziedzińca nikt go nie zauważy. Dormitorium znajdowało się po południowej stronie i było zasłonięte krużgankiem, od północy zaś nie było nic poza cmentarzem.

Doszedł do wniosku, że powinien tylko sprawdzić, czy to możliwe.

Wahał się jeszcze przez chwilę, potem wstał.

Świeża słoma zatrzeszczała mu pod stopami. Zatrzymał się. Było bardzo cicho. Nawet myszy przestały się poruszać. Zrobił krok i nasłuchiwał znowu. Spali. Niecierpliwił się. Dał trzy szybkie kroki do drzwi. Kiedy się zatrzymał, usłyszał ciche szuranie myszy, ale nikt ze śpiących nie drgnął.

Czubkami palców dotknął drzwi, potem wsunął ręce pod rygiel. Była to dębowa belka osadzona na podwójnych hakach. Podparł rękami belkę, chwycił mocno i podniósł. Okazała się cięższa, niż myślał, więc, nie podniósłszy jej wyżej niż na cal, musiał ją upuścić. Głośno zadudniła o obejmę. Zastygł i nasłuchiwał. Pogwizd Toma ucichł. Co powiem, jak mnie złapią? – pomyślał desperacko. Że chciałem sobie ulżyć... Że chciałem wyjść, żeby sobie ulżyć, tak właśnie powiem, postanowił. Kiedy znalazł wymówkę, odprężył się trochę. Usłyszał, jak Tom przewraca się na drugi bok, czekał z drzeniem na jego głęboki, matowy głos, ale Tom zaczął znowu równo oddychać.

Drzwi okalała upiorna, srebrna poświata. Księżyc świeci, przemknęło mu przez głowę. Chwycił belkę, wziął głęboki wdech i napiął się, by ją podnieść. Tym razem przygotował się na jej ciężar. Zdołał ją unieść i przyciągnąć do siebie, nie na tyle jednak, aby się mogła wysunąć z haków. Podniósł jeszcze o cal... udało się. Przycisnął ją do piersi, zmniejszając nieco napięcie mięśni ramion, po czym powoli przyklęknął na jedno kolano, potem na oba, wreszcie

opuścił belkę na podłogę. Pozostał w tej pozycji przez chwilę, starając się uspokoić oddech i czekając, aż ustanie ból w mięśniach. Poza odgłosami snu nie dochodziły żadne dźwięki.

Jack ostrożnie uchylił drzwi. Żelazne zawiasy skrzypnęły, a przez szczelinę wleciał zimny podmuch. Zadrżał. Owinął się opończą ciaśniej i jeszcze trochę pchnął drzwi. Wyśliznął się na zewnątrz i zamknął je za sobą.

Chmury rozplływały się, a księżyc świecił na niespokojnym niebie. Wiał zimny wiatr. Jack natychmiast zapragnął wrócić do pełnej ciepła izby. Ogromny kościół ze zwaloną wieżą, srebrny i czarny w świetle księżyca, górował nad resztą klasztoru, a jego potężne ściany i niewielkie okna sprawiały wrażenie, że to nie kościół, lecz twierdza.

Wszędzie panował spokój i cisza. Za murami, w wiosce, pewnie byli ludzie, którzy nie spali, siedzieli do późna, pijąc piwo przy żarze ognia lub szyjąc przy luczywach. Tutaj jednak panowała niezmacona cisza. Przyglądał się kościołowi, wahał się. Wydawało mu się, że ta świątynia patrzy na niego oskarżycielsko, jakby wiedziała o jego zamiarach. Wzruszeniem ramion strząsnął z siebie to niesamowite wrażenie i przez rozległy trawnik pobiegł ku zachodniemu krańcowi budynku.

Drzwi były zamknięte na klucz.

Przeszedł na stronę północną i przyjrzał się oknom. W niektórych kościołach dla ochrony przed zimnem na otworach okiennych rozpinano płócienne płachty, ale tutaj takich osłon nie było, lecz wystarczająco duże okna, by się przez nie przecisnąć, umieszczone były zbyt wysoko. Zbadał powierzchnię muru palcami. Wyczuwał szczeliny, z których woda wymyła zaprawę, ale były za małe, aby mógł oprzeć palce stóp. Potrzebował czegoś, po czym mógłby się wspiąć.

Zaczął się zastanawiać, czy nie przynieść kamieni spod zwalonej wieży i nie zbudować czegoś podobnego do schodów, ale kamienne bloki miały za duży ciężar, połamane zaś były zbyt nierówne i mogły się obsunąć. Wydawało

mu się, że w ciągu dnia widział coś, co mogłoby mu się tu przydać, i gorączkowo szukał w pamięci, co to takiego było. Czuł się tak, jakby chciał zobaczyć coś kątem oka, a to zawsze pozostawało poza zasięgiem wzroku. Spojrzał w stronę stajni i nagle przypomniał sobie małe dwu-, trzystopniowe schodki przeznaczone dla niskich ludzi do wsiadania na konie. Widział przecież, jak jeden z mnichów stał na nich, kiedy czyścił konia i wyczesywał grzywę.

Przeszedł w stronę stajni. Takiej rzeczy mogli nie chować na noc, bo nie było warto jej kraść. Szedł cicho, ale konie i tak go usłyszały i jeden czy dwa z nich parsknęły. Zatrzymał się przestraszony. W stajni mogli spać masztalerze. Przez chwilę stał cicho, nasłuchując, czy ktoś się nie poruszy, ale wszędzie trwała cisza i konie uspokoiły się w końcu.

Nie widział jednak schodków. Może były bliżej ściany. Jack wpatrzył się w księżycowe cienie. Nic nie potrafił rozpoznać. Bardzo ostrożnie doszedł do stajni i przeszedł wzdłuż całej ściany. Konie usłyszały go znowu, teraz jego bliskość przestraszyła je i zdenerwowała, jeden z nich zarżał. Jack zastygł. Ktoś zawołał:

– Cicho, cicho!

Kiedy tak stał skamieniały z przerażenia, nagle dostrzegł to, czego szukał, tuż przed nosem, tak blisko, że po następnym kroku przewróciłby się o nie. Poczekał kilka chwil. Hałasy w stajni ucichły. Schylił się, podniósł schodki i oparł na ramieniu. W stajni trwała cisza. Pobiegł ku kościołowi.

Gdy wspiął się na schodki, okazało się, że jeszcze nie dosięgnie do okna. To go rozzłościło; nie mógł nawet zajrzeć! Jeszcze nie był pewien, czy popełnić ten czyn, ale nie chciał rezygnować z powodu błahych przeciwności. Pragnął sam podejmować takie decyzje. Chciałby być taki wysoki jak Alfred.

Wtedy przyszedł mu do głowy jeszcze jeden pomysł. Stał w pewnej odległości, rozpędził się, wskoczył z rozbiegu na najwyższy stopień i odbił się. Z łatwością sięgnął okna. Złapał za kamienną ramę, podciągnął się na rękach i przycupnął na parapecie. Kiedy jednak spróbował wpełznąć przez otwór, na-

potkał niespodziewaną przeszkodę: okno zamykała kratka z żelaza, której z zewnątrz nie dostrzegł. Zbadał ją rękami, klęcząc na parapecie. Nie uda się przejść. Kratę umieszczono po to, by nikt nie mógł wejść do środka, gdy drzwi były zamknięte.

Rozczarowany zeskoczył na ziemię. Podniósł schodki i zaniósł je na miejsce. Tym razem konie nie hałasowały.

Popatrzył na zwaloną wieżę, tę po lewej stronie głównego wejścia. Zaczął wspinać się ostrożnie po stosie kamieni, wpatrując w ciemne mury w poszukiwaniu przejścia przez gruz. Kiedy księżyc schował się za chmurę, czekał drżący, aż się znowu pokaże. Martwił się, że chociaż nie waży zbyt wiele, to pod jego ciężarem mogą osunąć się kamienie, które nie tylko wszystkich obudzą, ale i jego samego mogą zabić. A jednak jak księżyc znów się pojawił, postanowił zaryzykować. Wspinał się z sercem w gardle. Większość kamieni trzymała się mocno, ale jeden czy dwa drgnęły ostrzegawczo. Taki rodzaj wspinaczki radowałby go niesłychanie w dzień, gdy ma się pomocną dłoń w pobliżu i czyste sumienie... Teraz natomiast za bardzo się niepokoił i opuściła go zwykła pewność kroku. Pośliznął się na jakiejś gładkiej powierzchni i omal nie poleciał w dół. Przerwał wspinaczkę.

Znalazł się już dosyć wysoko, by spojrzeć z góry na dach nawy bocznej po północnej stronie. Miał nadzieję, że znajdzie dziurę w dachu albo może szparę między dachem i stosem kamieni, ale tak się nie stało. Nietknięty dach wnikał w ruiny wieży i nie dostrzegł żadnego miejsca, którym mógłby się wśliznąć do środka. Ogarnęło go rozczarowanie, lecz jednocześnie poczuł ulgę.

Schodził tyłem, przez ramię oglądając się w poszukiwaniu punktów zaczepienia. Im bliżej był ziemi, tym stąpał pewniej. W końcu zeskoczył, zręcznie lądując na trawie.

Wrócił na północną stronę kościoła i obszedł go dookoła. Przez ostatnie dwa tygodnie widział kilka kościołów i wszystkie miały mniej więcej ten sam kształt. Największą częścią była nawa, zawsze zwrócona na zachód. Dalej były

dwa ramiona, które Tom nazywał transeptami, skierowane na północ i południe. Wschodni kraniec nazywał się prezbiterium i zawsze był krótszy niż nawa. Kingsbridge tym się tylko wyróżniało, że miało dwie wieże przy zachodnim wejściu, po jednej z każdej jego strony, jakby miały współgrać z transeptami.

W północnym transepcie znajdowały się drzwi. Jack spróbował otworzyć je. Były zamknięte na klucz. Skierował się ku południowemu transeptowi. Wzdłuż wschodniej elewacji nie było żadnych drzwi. Stał, by popatrzeć na drugą stronę porośniętego trawą dziedzińca. W odległym, południowo-wschodnim narożniku, zamkniętym wewnątrz klasztornych murów, mieściły się dwa budynki: infirmeria i dom przeora. Wydawały się ciche i spokojne. Szedł dalej wzdłuż południowej ściany prezbiterium, póki nie doszedł do wysuniętego ramienia krzyża: transeptu południowego. Na jego końcu, jak dłoń przy ramieniu, stał okrągły budynek. Był to kapitułarz. Jack zauważył wąskie przejście prowadzące do krużganków. Postanowił iść tą drogą.

Znalazł się na kwadratowym dziedzińcu. Pośrodku rosła trawa, a wokół były zadaszone przejścia. Błady kamień arkad upiornie białł w świetle księżyca, podcienie zalewał nieprzenikniony mrok. Jack czekał, dopóki oczy nie przywykły do ciemności.

Przeszedł na wschodnią stronę kwadratu. Po lewej miał drzwi do siedziby kapituły, a dalej, przy południowym krańcu wschodniego przejścia, dostrzegł kolejne drzwi, prawdopodobnie wiodące do dormitorium. Po prawej zobaczył inne drzwi prowadzące do południowego transeptu. Szarpnął. Były zamknięte na klucz.

Poszedł dalej. Minął drzwi do nawy głównej, także zamknięte na klucz. Znalazł się na południowo-zachodnim narożniku, gdzie było wejście do refektarza. Ileż to trzeba żywności, żeby tych wszystkich mnichów codziennie wyżywić, pomyślał. Zauważył fontannę z basenikiem. Tam mnisi mogli umyć ręce przed jedzeniem.

Kontynuował swój marsz południowym przejściem. W połowie drogi był

łuk. Jack przeszedł pod nim i znalazł się w małym przejściu, mając refektarz po prawej, a dormitorium po lewej. Wyobraził sobie mnichów śpiących na podłodze tuż za kamienną ścianą. Przy końcu tego przejścia nie było nic poza oślizłym rynsztokiem pełnym błota, ściekającym do rzeki. Stał tam przez chwilę, wpatrując się w wodę płynącą sto jardów niżej. Bez żadnego szczególnego powodu przypomniał sobie opowieść o rycerzu, któremu obcięto głowę, a on i tak żył. Mimowolnie wyobraził sobie tego mężczyznę wynurzającego się z fal rzeki, z głową pod pachą, i zmierzającego ku niemu tym gliniastym zboczem. Ogarnął go lęk. Odwrócił się i pobiegł do krużganków. Tam poczuł się bezpiecznie.

Stojąc pod łukiem, przyglądał się zabudowie rozjaśnionej światłem księżyca. Musi być jakaś droga do takiego wielkiego budynku, droga, którą mógłby się wkraść, ale nie wiedział, gdzie jej szukać. W jakiś sposób był temu rad. Rozważał popełnienie czegoś okropnie niebezpiecznego, a kiedy okazało się to niemożliwe, tym lepiej. Z drugiej strony jednak myśl o konieczności opuszczenia klasztoru napawała go grozą. Znowu te różne drogi, niekończące się marsze, głód, rozczarowanie i gniew Toma, łzy Marthy. Tego wszystkiego można uniknąć, wystarczy tylko jedna iskierka z krzesiwa, które w małej sakiewce dynda mu przy pasie!

Coś poruszyło się w polu widzenia. Zamarł, a jego serce zabiło szybciej. Odwrócił głowę i – ku swemu przerażeniu – zobaczył widmową postać. Miała świeczkę i w ciszy przesuwiała się wzdłuż południowego przejścia ku kościołowi. Za pierwszą postacią podążała druga. W gardle narastał mu krzyk. Cofnął się, wsadził pięść w usta i gryzł, by powstrzymać się od głośnego wrzasku. Słyszał niesamowity, zawodzący dźwięk. Patrzył w napięciu, ogarnięty przerażeniem. Nagle zrozumiał – to procesja mnichów idących na nabożeństwo o północy, i śpiewających jakiś hymn. Strach trzymał go jeszcze przez chwilę, potem ulga obniżyła napięcie i zaczął się nieopanowanie trząść.

Prowadzący procesję otworzył drzwi do świątyni. Mnisi wpłynęli do środ-

ka. W stronę Jacka żaden nawet nie spojrział. Większość z nich wydawała się na pół śpiąca. Nie zamknęli drzwi...

Nagle zrozumiał, że teraz może dostać się do kościoła.

Nogi wydały mu się za słabe, by zrobić krok.

Mogę po prostu wejść, dodawał sobie otuchy. Kiedy już tam będę, nie muszę nic robić. Popatrzę tylko, jak wejść na dach. Mogę wcale nie podpałać... Tylko popatrzę.

Nabrał powietrza i ruszył powoli. Zawahał się przed drzwiami, wszedł. Na ołtarzu paliły się świece, stały też w stallach, gdzie byli mnisi. Oświetlały one jedynie małe fragmenty powierzchni, natomiast ściany i nawy boczne tonęły w głębokim mroku. Jeden z mnichów wyczyniał coś niezrozumiałego przy ołtarzu, a inni od czasu do czasu melodyjnie wymrukiwali jakieś murum-burum. Jackowi zdawało się zupełnie niewiarygodne, że ludzie wstają ze swych ciepłych posłań w środku nocy i robią coś takiego.

Wśliznął się przez drzwi i stanął przy ścianie.

Był w środku. Kryła go ciemność. Jednakże nie mógł pozostać tutaj, bo mogli go dostrzec. Przemknął dalej. Migoczące świece rzucały niespokojne cienie. Mnich przy ołtarzu mógłby dojrzeć Jacka, gdyby tylko podniósł wzrok, ale wydawał się zupełnie pochłonięty tym, co robi. Jack przesuwał się szybko od jednego potężnego filara w cień drugiego, co jakiś czas przystając. Kiedy zbliżył się do skrzyżowania, światło stało się jaśniejsze. Obawiał się, że mnich przy ołtarzu może nagle podnieść wzrok, dojrzeć go, złapać za kark i...

Dotarł do kąta i z wdzięcznością zwrócił się ku głębszym cieniom nawy. Na chwilę przystanął, poczuł nawet ulgę. Potem wycofał się wzdłuż bocznej nawy w stronę zachodniego krańca kościoła, ciągle nieregularnie przerywając ruch, jakby podchodził jelenia. Kiedy już dotarł do najdalszej, najciemniejszej części nawy, usiadł na cokole kolumny, by poczekać na koniec nabożeństwa.

Schował brodę pod opończę i chuchając na piersi, starał się ogrzać. Jego życie tak bardzo się zmieniło w ciągu ostatnich dwu tygodni, że wspomnienia

z lasu wydawały się odległe o całe lata. Wiedział, że już nigdy nie będzie się czuł taki niezagrożony jak wówczas. Teraz poznał, co to głód, chłód i niebezpieczeństwo, a także co to rozpacz.

Obszedł na palcach kolumnę. Tam gdzie światło było najjaśniejsze, udało mu się dostrzec wysoki, drewniany pułap. Nowsze kościoły miały sklepienie kamienne, to wiedział, ale Kingsbridge było stare. Ten drewniany pułap dobrze by się palił.

Nie zrobię tego.

Tom cieszyłby się, gdyby katedra spłonęła. Właściwie to nie wiedział, czy lubi Toma; był silny, imponujący i szorstki. Jack przywykł do łagodności obejścia matki. Tom jednak robił na nim wrażenie, a nawet go oszałamiał. Jedyńi mężczyźni, jakich Jack znał przedtem, to byli banici. Niebezpieczni, brutalni, czujący respekt jedynie przed siłą i podstępem. Mężczyźni, którzy myśleli tylko o tym, jak wsadzić komuś nóż w plecy. Tom okazał się inny. Był dumny i pozbawiony strachu, mimo że bez broni. Jack nigdy nie zapomni, w jaki sposób Tom stawiał czoło Williamowi Hamleighowi, kiedy ten dawał funta za matkę. Zauważył, że pan William przestraszył się. Powiedział wówczas mamie, iż nie przypuszczał, że Tom Budowniczy jest taki dzielny, że w ogóle człowiek może być taki dzielny. Matka odrzekła: „To jest powód, dla którego opuszczamy las. Musisz być z mężczyzną, by brać z niego przykład”.

Jacka zdziwiły te słowa, ale naprawdę chciał zrobić coś, co wywarłoby na Tomie duże wrażenie. No, podpalenie katedry nie było taką rzeczą. Lepiej będzie, by nikt nigdy nie dowiedział się o tym, przynajmniej przez kilka lat. Ale może kiedyś Jack mu powie: „Pamiętasz tę noc, kiedy spłonęła katedra w Kingsbridge i przeor przyjął cię do pracy przy odbudowie, a my wszyscy w końcu mieliśmy jedzenie i schronienie? No, to ja mam ci coś do powiedzenia, o tym jak się zaczął ten pożar.”. To mógłby być wspaniały moment.

No cóż, ale ja się nie odważę.

Śpiew zamilkł, rozległo się szuranie, kiedy mnisi opuszczali swe miejsca.

Nabożeństwo się skończyło. Schował się głębiej, by opuszczający kościół nie dostrzegli go.

Wychodząc, zdmuchiwali świece w stallach, ale tę na ołtarzu zostawili płonąca. Drzwi się zatrzasnęły. Jack poczekał chwilę, na wypadek gdyby w kościele jeszcze ktoś pozostał. Nie było słyhać żadnego dźwięku. Wreszcie wyszedł zza filara.

Szedł nawą ku ołtarzowi. To paskudne uczucie być samemu w wielkim, zimnym i pustym budynku – rozmyślał. Tak samo pewnie czuje się mysz, gdy chowa się po kątach, bo kręcą się wielkie postacie ludzi, a wychodzi, jak jest pusto. Sięgnął do ołtarza i zabrał świecę.

Przyglądał się wnętrzu kościoła. W miejscu, gdzie nawa główna spotykała się z południowym transeptem, tam gdzie najbardziej obawiał się odkrycia przez mnichów, znajdowały się drzwi zaopatrzone tylko w klamkę. Nacisnął ją. Drzwi się otworzyły.

W blasku świecy ujrzał kręte schody, zbyt wąskie, by mógł nimi iść grubas, za niskie, by mógł nimi iść Tom, nie zgiąwszy się wpół. Jack zaczął się wspinać.

Wynurzył się w wąskiej galerii. Z jednej strony rząd małych arkad zwracał się ku nawie. Sufit biegł skośnie od łuków do podłogi po drugiej stronie. Sama podłoga nie była płaska, ale obniżała się po bokach, wygięta ku górze. W jednej chwili zorientował się, gdzie jest. Znajdował się nad południową nawą boczną. Kolebkowe sklepienie bocznej nawy stanowiło wygiętą podłogę galerii, na której właśnie stał. Z zewnątrz wyglądała jak przybudówka z dachem i to właśnie był ten skos, pod którym stał. Nawa boczna była znacznie niższa od głównej, miał więc jeszcze daleko do głównego dachu.

Poszedł wzdłuż galerii, znalazł kolejne drzwiczki. Otworzył je i okazało się, że ma przed sobą wnętrze południowo-wschodniej wieży, tej niezwalonej. Pomieszczenie, w którym się znalazł, było surowe, nieukończone. Zamiast podłogi miało tylko belki, ze sporymi odstępami między nimi. Przy ścianie jednak-

że biegły drewniane schody bez poręczy i Jack wszedł na nie.

W połowie wysokości ściany dostrzegł mały łukowaty otwór. Schody przechodziły obok niego. Jack oświetlił go świeczką i spojrzął w głąb. Był między belkowym sufitem i właściwym dachem.

W pierwszej chwili nie potrafił się zorientować w płątaniu drewnianych belek, po chwili jednak spostrzegł, jak są połączone. Potężne dębowe legary, każdy na stopę szeroki, a gruby na dwie, spinały szerokość nawy, północ z południem. Nad każdym legarem dwie krokwie tworzyły trójkąt. Rząd regularnych trójkątów ciągnął się daleko poza zasięg światła świeczki. Patrząc pomiędzy belkami w dół, Jack widział spód malowanego drewnianego pułapu nawy, przymocowanego do belek poprzecznych.

Pod dachem na samym skraju znajdował się roboczy pomost. Jack przepelznął przez otwór na drewniany strop. Dla niego było dość miejsca, by mógł stanąć, ale mężczyzna musiałby się schylić. Przeszedł kawałek. Było dosyć drewna do wzniesienia pożaru. Pociągnął kilka razy nosem. Drewniany dach był wysmolowany. Będzie się palić jak słoma.

Nagły ruch zaskoczył go i spowodował przyśpieszenie tętna. Pomyślał o bezgłowym rycerzu w rzece i widmowych mnichach na krużganku. Potem pomyślał o myszach i poczuł się lepiej. Były to jednak ptaki, które miały gniazda pod okapem.

Przestrzeń pod dachem, zgodna z układem kościoła, rozdzielala się na transepty. Jack doszedł do skrzyżowania i stanął. Uświadomił sobie, że musi być teraz dokładnie nad krętymi schodami, które prowadziły na galerię. Tutaj powinien podłożyć ogień. Stąd pożar rozchodziłby się w czterech kierunkach: na zachód wzdłuż nawy głównej, na południe wzdłuż południowego transeptu, a za skrzyżowaniem na prezbiterium i północny transept.

Ponieważ główne legary zrobiono z rdzenia dębowych pni, więc mimo smolowania mogłyby nie chwycić ognia od płomienia świeczki. Jednakże pod okapem poniewierały się spore ilości trocin i wiórów, wystrzępione kawałki lin

i worków oraz porzucone ptasie gniazda. To wszystko stanowiło świetną podpałkę. Wystarczyło tylko zgarnąć śmieci na kupę i podpalić.

Świeczka już się dopalała.

Wydawało się to takie łatwe. Zebrać śmieci, przytknąć płomyk świecy i pójść sobie. Przejść niczym duch przez dziedziniec, wśliznąć się do domu gościnnego, zwinąć się w słomie i czekać na alarm.

A jak go ktoś zauważy...

Gdyby został złapany teraz, mógłby powiedzieć, że oglądał katedrę. Dostałby jedynie parę klapsów. Gdyby jednak przyłapano go na podpalaniu kościoła, to na laniu by się nie skończyło. Znowu przypomniawszy sobie złodzieja cukru w Shiring i jego tyłek ociekający krwią. Przypomniawszy sobie, jakie kary odcierpieli banicy, których znał – Faramond Otwartogęby miał odcięte wargi, Jack Płaski Kapelusznik stracił rękę, a Alan Kociogęby był wsadzony w dyby i kamienowany, po czym już nigdy nie zdołał poprawnie mówić. I przyszły mu jeszcze na myśl opowiadania o tych, którzy nie przetrwali swych kar: o mordercy przywiązany do beczki z kolcami i stoczonym po zboczu, aż wszystkie ostrza przeszły jego ciało; o żywcuem spalonym koniokradzie; o dziwce-złodziejce nabitej na pal. A co by zrobili chłopcu, który podpalił katedrę?

Zadumany zaczął zbierać łatwo palne śmieci i układać na kupkę pod jedną z potężnych krokwi.

Kiedy już tę kupkę ułożył, usiadł i patrzył na nią.

Płomień świecy zaczął mocno kopcić. Za chwilę Jack może stracić swą szansę.

Szybkim ruchem przytknął ogarek do strzępów worka. Zajął się. Płomień natychmiast przeniósł się na drewniane wiórki, potem zajęło się wysuszone i pokruszone gniazdo; po chwili małe ognisko paliło się wesoło.

Ciągle jeszcze mogę je zgasić, pomyślał.

Podpałka płonęła trochę za szybko – wypali się, zanim kalenica się zajmie, a już na pewno, nim zacznie się tlić legar. Pośpiesznie dorzucił więcej śmieci.

Płomienie rosły wyżej. Ciągle jeszcze mogę to zgasić, mówił do siebie. Smoła, którą nasycono belkę, zaczęła się topić i dymić. Śmieci spłonęły. Teraz mógłbym po prostu zostawić ten ogień, żeby sam zgasł, myślał. Wtedy spostrzegł, że zapalił się strop. Prawdopodobnie mógłbym zdusić ogień peleryną, rozważał, ale miast to uczynić, wrzucił w ogień kolejną garść śmieci i patrzył, jak rosna płomienie.

W ciasnym kącie strychu powietrze stało się gorące i pełne dymu, mimo że nocny chłód znajdował się zaledwie o cal – po drugiej stronie dachu. Cieńsze łąty, do których przybito ołowiane blachy dachu, zaczęły się palić. Wreszcie pokazał się mały, tańczący płomyk na masywnej belce głównej.

Katedra płonęła.

Zrobione. Nie ma odwrotu.

Przestraszył się. Nagle zapragnął szybko uciec i wrócić do domu gościnnego. Chciał – otulony opończą, zakopany w słomie, z zaciśniętymi powiekami – nasłuchiwać równych oddechów śpiących obok niego ludzi.

Zaczął się wycofywać.

Kiedy doszedł do znajomego otworu, spojrzął za siebie. Pożar rozprzestrzeniał się zadziwiająco szybko, prawdopodobnie z powodu smoły, którą było przesycone drewno. Wszystkie cienkie łąty stały w ogniu, główne belki zaczynały się palić, a ogień gonił go po stropie.

Jack odwrócił się, dał nura w wejściu do wieży i zbiegł po schodach, a potem przez galerię krętymi stopniami pośpieszył do nawy. Skierował się do drzwi, przez które wszedł.

Zamknięte na klucz.

Uświadomił sobie, że postąpił głupio. Mnisi musieli je zamknąć, podobnie jak otworzyli je, wchodząc.

Strach dławiał go w gardle jak wielka kula – podpalił kościół, a teraz był w nim zamknięty.

Stłumił przerażenie i zebrał myśli. Próbował otworzyć wszystkie drzwi

z zewnątrz – były zamknięte, ale może nie wszystkie na klucz, może któreś tylko na skobel. Mógłby wtedy otworzyć je od środka.

Pośpieszył do północnego transeptu i sprawdził drzwi w północnym ganku. Miały zamek.

Pobiegł w głąb ciemnej nawy głównej i na zachodnim krańcu sprawdził każde wejście. Wszystkie trzy zamykały się na zamki. Na koniec szarpnęła drzwiczki prowadzące do południowej nawy z północnego rogu wirydarza. Te także zamknięte na klucz.

Jack miał ochotę się rozplakać. Popatrzył na pułap. Czy mu się zdaje, czy rzeczywiście w świetle księżyca widzi smużki dymu przeciskające się tuż przy południowym transepcie?

Co ja mam robić?

Czy mnisi, gasząc pożar, mogą przeoczyć małego chłopaka, wyślizgującego się na zewnątrz? A może natychmiast go dojrzą i pochwycą, wykrzykując oskarżenia? A może się wcale nie obudzą, pozostaną w nieświadomości, dopóki cały kościół się nie zawali, a zmiądzony Jack będzie leżeć pod kupą zwalonych kamieni?

Łzy napłynęły mu do oczu. Chciałby wszystko cofnąć. Było jednak za późno.

Potoczył wokół błędnym wzrokiem. Czy ktoś by go usłyszał, gdyby wspiął się do okna i krzyczał?

Z góry dobiegł trzask pękającego drewna. Spojrzał i zobaczył pojawiającą się w drewnianym pułapie dziurę, tam gdzie belka pękała i przeszła go na wyłot. Czerwona plama na czarnym tle. Po chwili usłyszał kolejny trzask i potężna belka zgruchotała strop. Obracając się w powietrzu, runęła z łomotem i siłą, która wstrząsnęła potężnymi kolumnami nawy. Posypał się za nią deszcz iskier i płonących żagwi. Jack nasłuchiwał, oczekując krzyków, nawoływań o pomoc czy bicia w dzwony, nic takiego jednak nie nastąpiło. Katastrofa nie została zauważona. A jeśli to nie obudziło mnichów, z pewnością nie dosłyszeliby jego

krzyków.

Nie chcę tutaj umierać, nie chcę! Spalę się albo zostanę zmiążdżony, jeśli stąd nie ucieknę!

Przyszła mu na myśl zwalona wieża. Zbadał ją od zewnątrz i nie spostrzegł drogi do środka, wtedy jednak był bojaźliwy, lękał się upadku i lawiny kamieni. Może teraz, kiedy popatrzy raz jeszcze, tym razem od wewnątrz, dostrzeże coś, co przeoczył poprzednio; może w rozpaczy uda się przecisnąć tam, gdzie, jak się zdawało, nie ma żadnej szpary.

Pobiegł ku wschodniemu krańcowi. Łuna bijąca od sufitu, w połączeniu z blaskiem płomieni palącej się belki, dawała silniejsze światło od księżyca, a arkady nawy wydawały się powleczone złotem, a nie srebrem. Jack zlustrował stos kamieni, kiedyś będący wieżą północno-zachodnią. Jawiły mu się jako solidna ściana. Nie było przejścia. Otwarł głupawo usta i zawołał: „Mamo!” najgłośniej, jak umiał, i tak wiedząc, że nie usłyszy.

Raz jeszcze próbował stłumić strach. Gdzieś w głębi myśli plątało mu się coś o tej zwalonej wieży. Mógłby wejść do tej niezniszczonej, potem przejść przez galerię nad nawą południową, przejść do galerii nad nawą północną i wyjść z tej wieży zwalonej. To znaczy, gdyby mógł znaleźć w tym gruzie jakąś lukę niewidoczną z ziemi.

Wrócił do skrzyżowania północną nawą, chroniąc się przed spadającymi z góry strumieniami płonących szczątków. Tam powinny być drzwiczki i kręte schody. Podeszedł do rogu nawy głównej i północnego transeptu. Drzwiczek nie było! Obejrzał cały kąt. Z drugiej strony też nic. Nie potrafił uwierzyć w swego pecha. Niemożliwe! Musi być droga na tę galerię!

Zastanawiał się gorączkowo, z trudem zachowując spokój. Tędy nie ma wejścia do zwalonej wieży! Jest wejście, trzeba tylko je znaleźć. Mogę wrócić na poddasze, potem przejść przez niezrównaną wieżę, potem dotrzeć na drugą stronę poddasza. Tam powinno być jakieś małe wejście, dające dostęp do tej zwalonej wieży. To może mi pozwoli wydostać się na zewnątrz.

Spojrzał na pułap. Teraz tam jest piekło. Ale nic innego nie potrafił wymyślić.

Najpierw musi przeciąć nawę. Popatrzył jeszcze raz w górę. Raczej nie powinno się nic osunąć akurat w tej chwili. Westchnął głęboko, wziął wdech i przebiegł na drugą stronę. Nic nie spadło.

W południowej nawie pchnął drzwi i popędził po schodkach. Kiedy był już na górze i wkroczył na galerię, poczuł ciepło bijące od ognia szalejącego wyżej. Przebiegł galerię, wszedł przez drzwi do wieży, tej niezniszczonej, i ruszył biegiem po schodach. Przepelźnął przez otwór wiodący na poddasze. Pełno dymu i gorąca. Wszystkie środkowe belki stały w ogniu, a na samym krańcu paliły się już najgrubsze. Śwąd smoły wywołał kaszel. Jack wahał się tylko moment, potem wszedł na jeden z najgrubszych legarów i posuwał się wzdłuż niego. W mgnieniu oka spociał się od gorąca, a oczy zaczęły łzawić tak mocno, że nawet nie widział, dokąd idzie. Kaszlnął. Wtem noga mu się ześliznęła i poleciał w dół. Upadł, mając jedną nogę na belce, a drugą gdzieś poza. Prawa stopa nagle zsunęła się i, ku jego przerażeniu, przeszła na wylot przez zgniłe drewno. W głowie błysnął mu obraz wysokości nawy. Szarpnął się do przodu, wrzeszcząc. Obejmował drewno, jednocześnie widząc siebie spadającego, ciągle obracającego się w powietrzu na wzór tamtej pierwszej belki. A jednak nie spadł.

Tkwiał nieruchomo, zszokowany, wsparty na jednym kolanie, mocno obejmując belkę. Druga noga utknęła w dziurze. Podmuch gorąca podziałał na niego mobilizująco. Powoli wyciągnął nogę, stanął na czworakach i tak podążył przed siebie.

Kiedy wolno posuwał się do przodu, do nawy zważyło się kilka ogromnych żagwi. Cały budynek zdawał się trząść, a belka pod Jackiem drżała jak cięciwa naprężona do granic możliwości. Zatrzymał się i przytulił do niej. Drżenie ustało. Pełznął dalej, po chwili dotarł do stropu nad nawą południową.

Jeśli jego domysły okażą się błędne, będzie musiał wrócić tą samą drogą. Jeśli nie będzie otworu po tej stronie...

Wstał, wciągnął do płuc głęboki haust świeżego zimnego powietrza. Musi być jakaś luka. Czy okaże się dość duża dla małego chłopca?

Zrobił trzy kroki i zatrzymał się nagle. Jeszcze trochę i runąłby w przepaść.

Kolana się pod nim uginały na widok ruin oblanych światłem księżyca. Wyszedł z piekła.

Znajdował się jednak bardzo wysoko, na poziomie dachu, a szczyt kupy gruzu był zbyt nisko. Zdołał wydostać się z płomieni, ale czy zejdzie na ziemię, nie skręciwszy karku? Ogień gwałtownie się rozprzestrzenił, a dym kłębił się w otworze, przy którym stał.

Kiedyś w tej wieży były schody, takie jakie do tej pory ma jej bliźniaczka, ale większość z nich uległa zniszczeniu. Ponieważ drewniane stopnie osadzono w murze i umocniono zaprawą, kawałki drewna sterczały na cal czy dwa, czasem nawet więcej. Jack zastanowił się, czy da radę przejść po tych złomach. Zejście było bardzo niepewne, ale za chwilę może zacząć się palić jego opończa. Nie miał wyboru.

Usiadł, sięgnął do najbliższego kołka, chwycił go obiema rękami, potem powoli opuszczał nogę, aż znalazł dla niej oparcie. Wtedy zsunął drugą nogę. Przesunął się o krok. Sięgnął do następnego kawałka drewna i sprawdził jego wytrzymałość, zanim się na nim oparł. Ten zdawał się trochę luźny. Ostrożnie stanął na nim. Udało się. Każdy niebezpieczny i niepewny kołek przybliżał go stopniowo do kupy gruzu. W miarę jak schodził niżej, drewniane kikuty robiły się coraz mniejsze, jakby te niższe stopnie ucierpiały bardziej. Postawił nogę na kołku, nie szerszym niż palec jego stopy, a kiedy wsparł się na nim, stopa ześliznęła się. Próbował przerzucić ciężar na drugą nogę, ale wtedy kołek pękł. Nie zdołał utrzymać się na rękach i spadł.

Wylądował twardo na rękach i kolanach na wierzchołku kupy gruzu. Przez moment był tak wystraszony, że pomyślał, iż już po nim. Potem zauważył, że chyba nie był to groźny upadek. Ręce go bolały, a kolana musiały być potężnie zbite, ale poza tym nic mu się nie stało. Zaczął schodzić ostrożnie, a po chwili

zeskoczył na ziemię.

Był bezpieczny. Odetchnął z ulgą. Znowu zachciało mu się płakać. Powinien uciekać. I wtedy zaczęła wzbierać w nim duma. Ależ miał przygodę.

Tu, na zewnątrz, wyczuwał jedynie podmuch dymu. Trzask ognia, tak ogłuszający na poddaszu, teraz brzmiał jak odległy wiatr. Tylko czerwonawa luna świadczyła o tym, że w kościele szaleje pożar. Jednakże odgłosy spadających belek mogły zakłócić czyjś sen i w każdej chwili może pojawić się jakiś mnich o zamglonym wzroku, by sprawdzić, czy to, co usłyszał w dormitorium, było jawą czy snem. Jack podpalił kościół – dla mnicha to ohydna, haniebna zbrodnia. Trzeba szybko zmykać.

Pobiegł do domu gościnnego. Wokół panował spokój i cisza. Zatrzymał się, cały napięty. Jeśli wejdzie taki zadyszany, wszystkich pobudzi. Spróbował wyrównać oddech, ale to jeszcze pogorszyło sprawę. Powinien po prostu poczekać, dopóki się nie uspokoi.

Wtem zabrzmiał dzwon, przerywając ciszę. Bił, naglił, wzywał na alarm. Jack zamarł. Jeśli wejdzie teraz, wszyscy się dowiedzą. Ale jeśli nie...

Drzwi się otworzyły i wyszła Martha. Jack, przerażony, wybałuszył na nią oczy.

– Gdzie się podziewałeś? – spytała cichutko. – Pachniesz dymem.

Jackowi przyszło do głowy wiarygodne kłamstwo.

– Właśnie wyszedłem, usłyszawszy ten dzwon – rzekł desperacko.

– Kłamczuch – stwierdziła. – Nie było cię długo. Wiem, nie spałam.

Nie czas na wygłupy.

– Czy inni też nie spali? – spytał z obawą.

– Nie, tylko ja.

– Nie mów im, że mnie nie było, dobrze? Proszę.

Usłyszała w jego głosie lęk i powiedziała uspokajająco:

– W porządku, zachowam to w tajemnicy. Nie martw się.

– Dzięki ci!

W tym momencie z domu wyszedł Tom, drapiąc się w głowę.

Jack przestraszył się.

– Co się dzieje? – spytał rozespany Tom i pociągnął nosem. – Czuję dym.

Jack drżącą ręką wskazał katedrę.

– Myślę... – wydusił z siebie i przełknął ślinę. Wszystko będzie w porządku, uświadomił sobie. Poczul ulgę. Tom uzna, że Jack wstał po prostu chwilę wcześniej, jak Martha. Dokończył znacznie pewniejszym tonem. – Popatrz na kościół. Myślę, że się pali.

II

Philip w dalszym ciągu tęsknił do gęstego powietrza dormitorium, brakowało mu dźwięków, jakie inni śpiący wydają przez sen: poruszeń, przesunięć, chrapania, zamieszania. Kiedy starzy mnisi wychodzą kolejno do latryny, te ich procesje bawią młodych. Samotność nie martwiła Philipa o zmierzchu, bo zwykle czuł się wtedy śmiertelnie zmęczony, ale w środku nocy, po jutrzni. Ponowne zaśnięcie sprawiało mu trudność. Zamiast wracać do miękkiego, wielkiego łoża (żenowało go, jak szybko do tego przywykł), układał drewno, rozpałał ogień i czytał przy świecy albo klękał i modlił się, albo po prostu siedział i rozmyślał.

Do przemyślenia miał wiele. Finanse klasztoru były w gorszym stanie, niż przewidywał. Brakowało gotówki. Klasztor miał rozległe włości, lecz wiele gruntów wypuszczono za niskie renty dzierżawne, a kilka folwarków płaciło te renty w naturze: tyle a tyle worków mąki, tyle a tyle beczek jabłek, tyle a tyle wozów z rzepą. Niektóre gospodarstwa prowadzili mnisi, nigdy jednak nie zdarzyło się, by wyprodukowały więcej żywności. Następnym dużym majątkiem klasztoru były kościoły parafialne, z których klasztor otrzymywał dziesięcinę. Na nieszczęście większość z nich była pod zarządem zakrystiana, i Philip nie

mógł dowiedzieć się dokładnie, ile on dostaje i jak wydaje te pieniądze. Żadnych pisemnych rachunków nie prowadzono. Było jasne, że sposób zawiadywania majątkiem jest kiepski, a dochody zakrystiana zbyt małe, by naprawić katedralny kościół i doprowadzić do przyzwoitego stanu. A jednak przez lata zakrystian zdołał zgromadzić kolekcję świętych naczyń i innych kosztowności ze szlachetnych metali zdobnych klejnotami.

Philip nie wyjaśni tych spraw, dopóki nie znajdzie czasu na objazd wszystkich, nawet najdalszych posiadłości klasztoru, chociaż już mu się rysował obraz sytuacji: stary przeor na codzienne wydatki musiał pożyczać pieniądze od lichwiarzy w Winchesterze i Londynie. Kiedy Philip zrozumiał, jak jest źle, niemal się załamał.

Mimo wszystko sądził, że rozwiązanie okaże się proste. Wymyślił trzystopniowy plan. Powinien zacząć od osobistego zapanowania nad całością finansów klasztoru. Każdy z urzędników klasztornych kontroluje część majątku i dochód z niej zapewnia funkcjonowanie podporządkowanej mu włości. Wszyscy oni mają „swoje” gospodarstwa i kościoły. Naturalnie żadnemu z nich nawet się śniło, by przyznać, że ma za dużo. Przeor postanowił stworzyć urząd kwestarza, którego zajęciem byłoby zbieranie wszelkich pieniędzy wpływających do klasztoru, a potem dzielenie ich według potrzeb.

Kwestarzem powinien zostać zaufany mnich. W pierwszym porywie pomyślał o Cuthbercie Białogłowym, kluczniku. Potem jednak przypomniał sobie o jego niechęci do pisania. To nie był najlepszy pomysł. Wszystkie przychody i wydatki muszą być przecież zapisywane w wielkiej księdze. Postanowił uczynić kwestarzem brata Miliusa. Pozostałym urzędnikom nie spodoba się ta funkcja, niezależnie od tego, kto ją będzie pełnić, ale Philip jako przeor, a wraz z nim większość mnichów, którzy albo wiedzieli, albo podejrzewali, że klasztor jest w opłakanym stanie, byli za reformami.

Kiedy już opanuje sprawy pieniężne, przejdzie do drugiego etapu.

Wszystkie odległe gospodarstwa muszą płacić dzierżawę w gotówce. To

powinno położyć kres kosztownemu transportowi dóbr na wielkie odległości. W Yorkshire był taki folwark – własność klasztoru – który płacił należność w postaci dwunastu jagniąt. Rokrocznie wysyłał je do Kingsbridge, mimo że koszt przewozu przewyższał wartość jagniąt, a połowa z nich zdychała w drodze. W przyszłości tylko najbliższe położone gospodarstwa będą produkowały żywność dla klasztoru.

Planował także zmienić obecny system gospodarowania. Na każdym folwarku „produkowano” trochę ziarna, trochę mięsa, trochę mleka i tak dalej. Philip uważał to za marnotrawstwo. Chciał, by każde gospodarstwo skupiało się na jednej dziedzinie. Zboże może być zbierane z gospodarstw w hrabstwie Somerset, gdzie klasztor ma także kilka młynów. Bujne łąki na stokach wzgórz w Wiltshire znakomicie nadają się na wypas bydła. Mały klasztor Świętego Jana z Lasu powinien hodować kozy i warzyć ser.

Najważniejszym jednak zamiarem była zmiana charakteru gospodarstw o średniej wydajności – tych o ubogiej glebie, zwłaszcza na pagórkach – i przedstawienie ich na hodowlę owiec.

Philip spędził dzieciństwo w klasztorze prowadzącym hodowlę owiec i widział, jak cena wełny powoli, ale stale rosła.

Taki był etap drugi. Trzeci zakładał likwidację starego kościoła katedralnego i zbudowanie nowego.

Kościół był brzydki, stary i niepraktyczny. Zawalenie się północno-zachodniej wieży oznaczało, że cała budowla może okazać się słaba. Nowsze kościoły były wyższe, dłuższe i, co najważniejsze, lżejsze i pełne światła. Projektowano je z myślą o pokazaniu grobów osób ważnych i relikwii świętych. Coraz częściej w katedrach stawiano małe dodatkowe ołtarze i tworzone specjalne kaplice poświęcone poszczególnym świętym. Dobrze zaprojektowany kościół, zaspokajający mnożące się potrzeby i wymagania dzisiejszych zgromadzeń zakonnych, przyciągnie o wiele więcej wiernych i pielgrzymów niż obecnie Kingsbridge i w ten sposób nakłady zostaną po pewnym czasie spłacone z przy-

chodów nowej katedry i unowocześnionego klasztoru. Kiedy uda się oprzeć finanse klasztoru na solidnych podstawach, będzie można zbudować nowy kościół, symbol odrodzenia Kingsbridge.

To będzie dzieło życia przeora Philipa.

Przypuszczał, że za lat dziesięć będzie miał dość pieniędzy, by zacząć budowę. Ta myśl go nieco zniechęciła: stuknie mu bez mała czterdziestka! Niemniej w ciągu roku miał nadzieję rozpocząć naprawy, które uczyniłyby istniejącą świątynię godną szacunku, jeśli nie podziwu. Może na następną Wielkanoc... Po opracowaniu tego planu poczuł się podniesiony na duchu i pełen nadziei. Rozmyślał właśnie nad szczegółami, gdy do jego uszu dobiegł odległy łomot, jakby bardzo mocne trzaśnięcie wielkimi drzwiami. Przemknęła mu myśl, że może coś się stało na krużganku albo w dormitorium. Jeśli to coś ważnego, będzie szybko poinformowany. Powrócił do rozważania szczegółów planu. Ważnym źródłem klasztornych dochodów były wiana od ojców kierujących swych synów do klasztoru. Ale żeby przyciągnąć nowicjuszy, na których mu zależy, klasztor musi mieć kwitnącą szkołę...

Znowu rozległ się łomot, tym razem głośniejszy. To zdecydowanie nie było trzaśnięcie drzwiami, pomyślał Philip. Cóż tam się wyczynia? Podeszedł do okna i otworzył okiennice. Zimny podmuch przyprawił go o dreszcz. Popatrzył na kościół, kapitułarz, krużganki, dormitorium i położone dalej budynki kuchenne. Wszystko wydawało się spokojne w księżycowej poświacie. Powietrze było tak mroźne, że czuł drętwienie zębów. W powietrzu jednak coś jeszcze się unosiło. Pociągnął nosem. Dym.

Zaniepokojony zmarszczył czoło, nie widział jednak ognia.

Zamknął okno, pociągnął nosem, sądząc, że może to dym z jego paleniska, ale nie...

Zaalarmowany i zdezorientowany szybko włożył buty, narzucił opończę i wybiegł z domu.

Zapach dymu wzmocnił się, kiedy biegł przez murawę wirydarza. Niewąt-

pliwie paliła się jakaś część klasztoru. W pierwszej chwili pomyślał o kuchni, wszystkie pożary tam się właśnie zaczynały. Przebiegł między południowym transeptem i kapitułarzem, potem przez wewnętrzny dziedziniec. W ciągu dnia mógł skrócić sobie drogę przez refektarz do dziedzińca kuchennego, ale na noc jadalnia była ryglowana, więc przeszedł pod łukiem w południowym przejściu i skręcił w prawo, na zaplecze kuchni. Nie było śladu ognia, podobnie w browarku i piekarni, a zapach dymu był jakby słabszy. Pobiegnął trochę dalej, by dojrzeć dom gościnny i stajnię. Wszystko wydawało się w porządku.

Czyżby ogień w dormitorium? Dormitorium było ostatnim budynkiem wyposażonym w palenisko. Ta myśl budziła grozę. Podczas biegu ku krużgankom miał w oczach ponury obraz wszystkich mnichów leżących w swoich łóżkach, ogarniętych dymem i nieświadomych, że dormitorium płonie. Kiedy zbliżał się do drzwi, otworzyły się i wyszedł Cuthbert Białogłowy z pochodnią w ręku.

– Czujesz to? – zapytał prędko Philipa.

– Tak. Bracia w porządku?

– Tu nie ma ognia.

Philipowi ulżyło. Jego trzódka jest na szczęście bezpieczna.

– To gdzie?

– Kuchnia?

– Nie. Sprawdziłem. – Mając pewność, że nikomu nic nie zagraża, zaczął się martwić o majątek. Myślał przecież właśnie o finansach i zdawał sobie sprawę, że nie zdoła opłacić napraw budynków. Popatrzył na kościół. Czyżby jakiś odbłask łuny w oknach? – Cuthbert, weź od zakrystiana klucz od kościoła.

– Mam go już.

– Dobry jesteś!

Pośpieszyli wschodnim chodnikiem ku południowemu transeptowi. Cuthbert szybko odryglował zamek. Skoro tylko drzwi się rozwarły, buchnął dym.

Philipowi krew ścięła się w sercu. Jakim cudem kościół mógł się zapalić?

Wszedł do środka. Z początku trudno mu się było połapać w sytuacji. Na

podłódze kościoła, wokół ołtarza i w południowym transepcie paliło się kilka ogromnych kawałków drewna. Skąd się tu wzięły? Czy to one spowodowały tyle dymu? I co to za grzmiący odgłos, jakby ogień był dużo większy?

– Popatrz w górę! – krzyknął Cuthbert.

Philip spojrział i znalazł odpowiedź na wszystkie swoje pytania. Strop płonął gwałtownie. Przeor wpatrywał się przejęty grozą, wyglądało to jak piekło widziane od dołu. Większość malowanego sufitu już znikła, odsłaniając trójkąty krokwi dachu, szerniałe i ogarnięte ogniem. Dym i płomienie podskakiwały i kręciły się w diabelskim tańcu. Stał wstrząśnięty i osłupiały, aż kark zabolął go od patrzenia w górę. Wreszcie się jakoś pozbierał.

Pobiegł na środek skrzyżowania naw, stanął przed ołtarzem i rozejrzał się po kościele. Większa część stropu od wschodu do zachodu stała w ogniu, oba transepty także. W chwili paniki pomyślał: Jakim cudem uda nam się tam łać wodę? Wyobraził sobie rząd mnichów wzdłuż galerii, podających tam i z powrotem kubły. Doszedł do wniosku, że to niewykonalne. Gdyby nawet miał setkę ludzi, nie zdołaliby dostarczyć na górę takiej ilości wody, by mogła zdławić to ryczące piekło. Cały dach już, już miał się zawalić, zauważył ze ściśniętym sercem, a śnieg i deszcz padać będą do kościoła, zanim stać go będzie na nową odbudowę.

Trzask sprawił, że podniósł głowę. Tuż nad nim osuwała się przeogromna belka. Mogła spaść prosto na niego. Rzucił się w tył, w południowy transept, gdzie stał przerażony Cuthbert.

Część dachu i trzy trójkąty połączone łątami wraz z ołowianymi blachami powoli się waliły. Philip i Białogłowy, nie bacząc na niebezpieczeństwo, wpatrywali się, jak dach opada na jedną z wielkich arkad przy skrzyżowaniu naw. Monstrualny ciężar walącego się drewna i ołowiu rozbijał kamieniarskie dzieło wśród grzmienia podobnego do odgłosów nawałnicy. Wszystko to rozgrywało się bardzo wolno; powoli spadały belki, powoli łamał się łuk. Powoli też leciały w dół kawałki zdruzgotanego kamienia. Uwolniło to następne fragmenty dachu.

Wówczas, z odgłosem przypominającym przeciągły łoskot gromu, cała część nad północną ścianą prezbiterium poruszyła się i runęła na transept północny.

Philipa ogarnęła trwoga. Widok obracającej się w ruinę potężnej budowli był osobliwie wstrząsający. To tak jakby patrzeć na walącą się górę albo wysychającą rzekę. Nie mógł uwierzyć własnym oczom. Nie wiedział, co ma robić.

– Wychodź! – wołał Cuthbert, ciągnąc go za rękaw.

Philip nie potrafił się od tego oderwać. Przypomniał sobie, jak rozmyślał o latach wyrzeczeń i ciężkiej pracy koniecznej do uporządkowania finansów klasztoru. Teraz nagle musiał zbudować nowy dach i nową ścianę północną, i coś jeszcze, jeśli zniszczenia będą postępować... To diabelska robota, pomyślał. Jakże inaczej mógłby zapalić się dach w taką mroźną styczniową noc?

– Zginiemy! – wrzasnął Cuthbert, a nuta ludzkiego strachu w jego głosie poruszyła coś w sercu przeora. Odwrócił się od płomieni i obaj wybiegli z kościoła na wirydarz.

Zaalarmowani mnisi zaczęli wysypywać się z dormitorium. Wyszedszy, zatrzymywali się, aby spojrzeć na kościół. Milius, stojąc w drzwiach, poganiał ich, aby uniknąć zatoru, i kierował ku południowemu krużgankowi. W połowie drogi stał Tom Budowniczy i powtarzał wszystkim, by skręcali pod łukiem bramy i tędy uciekali. Philip słyszał, jak mówił:

– Idźcie do domu gościnnego, trzymajcie się z daleka od kościoła.

On przesadza, z pewnością na wirydarzu byliby bezpieczni, ocenił Philip. No, to nic nie szkodzi, a może nawet było mądre i przezorne, zreflektował się. Sam powinienem o tym pomyśleć.

Ostrożność Toma skłoniła go do zastanowienia się nad rozmiarem zniszczeń. Jeśli krużganki nie były bezpieczne, to co z kapitularem? Tam przecież, w bocznej izdebce o grubych ścianach bez okien, trzymali okuty kufer, gdzie mieściły się wszystkie ich pieniądze, liturgiczne naczynia i cenne patery oraz świadectwa własności. Dostrzegł brata Alana, skarbnika, i zawołał g^o.

– Skarbiec trzeba wynieść z kapitularza. Gdzie zakrystian?

– Poszedł gdzieś, ojczce.

– Idź i odszukaj go. I weź klucze, a potem wynieś skarbiec i zanieś do domu gościnnego. Ruszaj!

Alan pobiegł. Philip odwrócił się do Cuthberta.

– Ty idź za nim i upewnij się, że wykonuje moje polecenie.

Białogłowy skinął głową i podążył za Alanem.

Philip popatrzył na kościół. Przez ten czas, gdy zajmował się czym innym, ogień nasilił się i teraz płomienie świeciły jasno we wszystkich oknach. Zakrystian powinien myśleć o skarbcu, zamiast tak pośpiesznie ratować własną skórę. Czy było to tylko jedno przeoczenie? Przekonał się, że trudno mu składnie myśleć, kiedy wszystko dzieje się tak szybko. Zastanowił się. Mnisi w bezpiecznym miejscu, skarbiec pod opieką...

Zapomnieli o świętym!

Na wschodnim krańcu kościoła, za biskupim tronem, znajdował się kamienny sarkofag świętego Adolphusa, jednego z pierwszych angielskich męczenników. Spoczywały w nim doczesne szczątki świętego. Co pewien czas podnoszono wieko sarkofagu, by wierni oraz pielgrzymi mogli je zobaczyć. Obecnie jakby o nim trochę zapomniano, ale przed laty chorzy dotknąwszy trumny, a nawet samego sarkofagu, bywali cudownie uleczeni. Szczątki świętego znowu mogły być atrakcją kościoła. To wstyd, że relikwie, które kiedyś przyniosły klasztorowi sporo pieniędzy, trzeba było teraz zamykać, by nie zostały przez niektórych mnichów rozkradzione. Philip planował ożywić zainteresowanie świętym Adolphusem. Musiał ratować szczątki.

Będzie potrzebował pomocy, by podnieść wieko sarkofagu i wynieść trumnę. I o tym powinien był pomyśleć zakrystian. Nie było go jednak nigdzie widać. Jedynym mnichem, który wyłonił się z dormitorium i stanął przed Philipem, był Remigius, wyniosły subprzeor. Będzie musiał pomóc. Kiwnął na niego i rzekł:

– Pomóż mi ratować kości świętego!

Bladozielone oczy Remigiusa popatrzyły z lękiem na płonący kościół, lecz po chwili wahania ruszył za Philipem zachodnim przejściem w kierunku drzwi.

Philip zatrzymał się po wkroczeniu do świątyni. Upłynęło zaledwie kilka minut od jego wyjścia na zewnątrz, a pożar znacznie się rozszerzył. W nozdrza uderzył go smród palącej się smoły. Uświadomił sobie wtedy, że belki musiały być nią nasączone, by zapobiec gniciu. Pomimo żaru można było wyczuć mroźne podmuchy: dym uciekał przez powiększające się ciągle dziury, a przez okna napływało zimne powietrze, które podsycalo ogień. Płonące szczątki sypały się na podłogę, kilka większych belek w każdej chwili mogło runąć. Do tej pory niepokoił się najpierw o mnichów, potem o majątek klasztoru, teraz po raz pierwszy zaczął się bać o siebie i zawahał przed wejściem w to piekło.

Im dłużej będzie się wahać, tym większe ryzyko, a jeśli jeszcze będzie się nad tym zastanawiać, zupełnie straci panowanie nad sobą. Zakasał dół habitu i krzyżując „Za mną”, pobiegł przez transept. Omijał małe ogniska na podłodze, myśląc o tym, że zaraz przygniecie go spadająca kłoda. Biegł z duszą na ramieniu, mając ochotę krzyczeć z napięcia. Nagle znalazł się w bezpiecznym miejscu w bocznej nawie po przeciwnej stronie.

Na chwilę przystanął. Nawy boczne miały kamienne sklepienie, tu nie było ognia. Remigius stał tuż za nim. Philip z trudem łapał powietrze i kaszlał, zachłysnąwszy się dymem. Droga przez transept zajęła tylko kilka chwil, ale jemu się zdawało, że trwało to dłużej niż pasterka.

– Zginiemy! – krzyknął Remigius.

– Bóg nas ochroni! – zawołał Philip, a potem pomyślał: No to dlaczego się boję?

Nie czas na rozważania teologiczne.

Ruszył dalej transeptem, skręcił do prezbiterium, trzymając się wciąż nawy bocznej. Czuł gorąco bijące od stall, płonących w środku prezbiterium, i przeszył go ból straty – te stalle zostały kunsztownie wyrzeźbione w cennym drewnie. Porzucił myśl o nich i skupił się na tym, co miał zrobić. Pobiegł na

wschodnią stronę prezbiterium.

Sarkofag stał w połowie szerokości kościoła. Wielka kamienna skrzynia na niskim, prostokątnym cokole. Philip i Remigius powinni unieść kamienne wieko, odstawić je, wyjąć trumnę i wynieść ją do nawy bocznej, podczas gdy nad nimi rozpadał się płonący dach. Spojrzał na swego zastępcę. Wyłupiaste bladzielone oczy Remigiusa rozszerzał strach. Ze względu na niego starał się nie ujawniać własnych obaw.

– Chwytaj za ten koniec, ja uniosę tamten – zakomenderował i, nie czekając na zgodę, pobiegł do sarkofagu.

Remigius za nim.

Stanęli po przeciwnych stronach, chwycili kamienne wieko. Wytężyli wszystkie siły.

Wieko ani drgnęło.

Philip uświadomił sobie, że powinien był wziąć ze sobą więcej mnichów. Teraz już na to za późno, nim wyjdzie na zewnątrz i przywoła braci na pomoc, transept zdąży się zawalić i uniemożliwić ponowne przejście. Lecz szczątków świętego nie można tutaj zostawić. Płonąca belka może spaść na sarkofag i zmiążdżyć go, i wtedy drewniana trumna zajmie się, a popioły rozwieje wiatr. Okropne świętokradztwo i straszna strata dla katedry.

Wpadł na pomysł. Przeszedł na drugą stronę i stanął obok Remigiusa. Uklęknął, podłożył ręce pod wystający kawałek wieka i napierał z całej mocy. Dołączył do niego Remigius. Powoli udało im się unieść wieko. Philip postawił jedną stopę na ziemi, Remigius zrobił to samo i stopniowo obaj wyprostowali się, unosząc wieko. Kiedy znalazło się w pozycji pionowej, pchnęli je. Upadło obok sarkofagu, rozbijając się na dwie części.

Przeor spojrział do środka. Trumna trzymała się nieźle, jej drewno wydawało się jeszcze krzepkie, a żelazne uchwyty zardzewiały tylko powierzchownie. Stanął u szczytu, schylił się, złapał za dwa uchwyty. Remigius uczynił to samo z drugiej strony. Podnieśli trumnę na kilka cali, ale okazała się znacznie cięż-

sza, niż Philip się spodziewał. Remigius opuścił ją, stękając:

– Nie mogę, jestem starszy niż ty.

Stłumiwszy gniewną odpowiedź, Philip zastanowił się szybko. Trumna prawdopodobnie została od wewnątrz pokryta ołowiem. Teraz jednak, kiedy zniszczyli wieko sarkofagu, łatwiej uległaby zniszczeniu niż uprzednio.

– Chodź tutaj! – krzyknął. – Spróbujemy razem z jednej strony!

Remigius obszedł sarkofag i stanął obok Philipa. Każdy z nich chwycił za jeden zardzewiały uchwyt. Udało im się unieść trumnę względnie łatwo. Kiedy wystawała nieco ponad krawędź sarkofagu, obaj stanęli po jego bokach i następnie, każdy ze swojej strony, ruszyli do przodu, ciągnąc za uchwyt, aż ustawili trumnę pionowo! Na chwilę przystanęli. Przeor uświadomił sobie, że święty stoi teraz na głowie. Po cichu poprosił go o wybaczenie. Wokół nich roило się od płonących kawałków drewna, tak że przypalały nawet habity. Remigius gorączkowo tłumił tłący się materiał i co chwila spoglądał przerażony na płonący dach. Philip zrozumiał, że odwaga jego zastępcy topnieje w oczach.

Popchnęli trumnę tak, by opierała się o sarkofag, potem spuścili ją łagodnie, póki nie dotknęła podłogi. Przewrócili ją w ten sposób raz Jeszcze, dzięki czemu leżała teraz na ziemi właściwą stroną. Święte kości pewnie grzechoczą niczym kości do gry, pomyślał Philip. To, co zrobiłem, jest najbliższe świętokradztwu ze wszystkich moich dotychczasowych czynów, ale nie mam innego wyjścia.

Stanęli przy jednym końcu trumny, złapali za uchwyty i zaczęli ciągnąć ją do względnie bezpiecznej nawy bocznej. Żelazne okucia brzegów trumny rysowały małe koleiny w klepisku katedry. Niemal osiągnęli cel, kiedy kolejny kawał dachu, płonące belki i gorący ołów, runęły na otwarty przed chwilą sarkofag świętego. Rozległ się ogłuszający łomot, ziemia zatrzęsła się od uderzenia, a sarkofag rozleciał się na kawałki. Ogromna kłoda spadła na trumnę. Mało brakowało, a trafiłaby w obu mnichów. Dla Remigiusa było tego już za wiele.

– To sprawka diabła! – wrzasnął histerycznie i uciekł.

Philip najchętniej pobiegłby za nim. Jeśli naprawdę diabeł wdał się w tę sprawę, nie sposób przewidzieć, co może się zdarzyć. Sam nigdy nie widział diabła, ale słyszał wiele opowiadań o szatanie od ludzi, którzy go widzieli. Przecież mnisi są po to, aby się diabłu przeciwstawiać, a nie uciekać przed nim, skarcił się surowo. Popatrzył tęsknie na schronienie pod nawą boczną, zebrał się w sobie, ujął uchwyty trumny i...

Zdołał wyciągnąć ją spod żarzącej się belki. Drewno trumny trochę się osmolilo i popękało, ale, co godne uwagi, nie złamało się. Pociągnął ją trochę. Deszcz małych węgielków posypał się na niego. Popatrzył w górę na dach. Czy to dwunoga postać w szyderyczym tańcu, czy też po prostu smuga dymu? Spojrzał w dół i zobaczył, że brzeg jego habitu zaczął się palić. Ukląkł i rozłożywszy materiał na podłodze, zdusił ogień uderzeniami dłoni. Wtem usłyszał skrzywienie torturowanego drewna. A może to drwiący śmiech jakiegoś gнома?

– Święty Adolphusie, miej mnie w swoje opiece – wysapał i znowu złapał uchwyty trumny.

Cał po calu przeciągał ją po ziemi. Diabeł na chwilę o nim zapomniał. Philip już nie patrzył w górę. Lepiej na szatana nie spoglądać! Wreszcie dotarł do schronienia w nawie i poczuł się odrobinę bezpieczniej. Bolący kręgosłup zmusił go do zatrzymania się. Wyprostował się.

Do najbliższych drzwi w południowym transepcie było jeszcze daleko. Nie wiedział, czy zdoła przeciągnąć trumnę, zanim cały dach się zawali. Może właśnie na to liczył diabeł. Philip nie mógł się powstrzymać od ponownego spojrzenia w górę. Dymna dwunoga postać rzuciła się na ogarniętą ogniem krokiew właśnie w chwili, gdy dostrzegł ją kątem oka. Wie, że nie dam rady tego zrobić, pomyślał. Popatrzył wzdłuż nawy, pragnąc porzucić świętego i umknąć, by ratować życie, gdy nagle zobaczył Miliusa, Cuthberta Białogłowego i Toma, trzy bardzo cielesne postacie śpieszące mu na pomoc. Serce zabiło radośniej i nie był pewien, czy tam na dachu w ogóle był diabeł.

– Bogu dzięki! – powiedział. – Pomóżcie mi – dodał niepotrzebnie.

Tom rzucił jedno taksujące spojrzenie na płonący dach. Nie wyglądało na to, by ujrzał tam diabła, ale rzekł:

– Pośpieszmy się!

Unieśli trumnę i wsparli na ramionach. Stanowiła poważne obciążenie nawet dla czterech mężczyzn.

– Naprzód! – zawołał Philip i ruszyli najszybciej jak mogli, pochylając się pod ciężkim brzemieniem.

Kiedy osiągnęli południowy transept, Tom zawołał:

– Czekajcie!

Klepisko było teraz torem przeszkód: małe ogniska i bezustannie spadające kawałki płonącego drewna. Przeor gorączkowo wypatrywał jakiegoś przejścia w tym morzu płomieni. Nagle usłyszeli narastające dudnienie, dobiegające z zachodniego krańca kościoła. Philip, ogarnięty zgrozą, popatrzył w górę. Dudnienie przeradzało się w grzmot.

Tom Budowniczy rzekł enigmatycznie:

– Jest słaba, podobnie jak tamta.

– Co jest słabe?! – wrzasnął Philip.

– Wieża południowo-zachodnia.

– No, nie!

Grzmot narastał. Zachodnia część kościoła zdawała się przesuwać, jakby popychana pięścią Boga. Dziesięć albo i więcej jardów dachu runęło z łomotnięciem godnym trzęsienia ziemi. A po chwili południowo-zachodnia wieża w przeraźliwym łoskocie osunęła się lawinowo do kościoła.

Wstrząs sparaliżował Philipa. Jego kościół rozpadał się na jego oczach. Co miał robić? Jak klasztor może dalej trwać? Czyżby to był koniec Kingsbridge?

Z szoku wyrwało go drgnienie rogu trumny, tego na jego ramieniu. Pozostali trzej mężczyźni ruszyli do przodu. Tom wybierał drogę w gmatwaninie ognisk. Płonąca głownia spadła na trumnę, ale na szczęście ześliznęła się na klepisko, nie wyrządzając nikomu szkody. Wreszcie dotarli do drzwi po prze-

ciwnej stronie. Wyszli na zimne nocne powietrze.

Philip był tak załamany, że nie czuł żadnej ulgi. Pośpieszyli krążgankami do południowego łuku i przeszli pod nim. Kiedy znaleźli się dostatecznie daleko od budynków, Tom rzekł:

– Wystarczy.

Pełni wdzięczności postawili trumnę na zamarzniętą ziemię.

Przez kilka chwil Philip łąpał oddech. Uświadomił sobie, że nie czas tak stać w osłupieniu. To on jest przeorem, on tu dowodzi. Co powinien czynić dalej? Może mądrze byłoby się upewnić, czy wszyscy mnisi są bezpieczni. Jeszcze jeden głęboki wdech, wyprostował ramiona. Popatrzył po pozostałych.

– Cuthbert, zostań tutaj i pilnuj trumny świętego – zdecydował. – Reszta za mną.

Poprowadził ich ścieżką za budynkami kuchennymi, przeszli między browarem a młynem i przecięli trawnik. Mnisi, rodzina Toma i większość mieszkańców wioski stali w grupach przed domem gościnnym. Rozmawiali przyciszonymi głosami i szeroko otwartymi oczyma patrzyli na płonący kościół. Philip obejrzał się, by także tam spojrzeć. Widok sprawił mu ból. Zachodnia część kościoła zamieniała się w kupę gruzu, a wielkie płomienie strzelały w górę z tego, co przed chwilą jeszcze było dachem.

Oderwał wzrok.

– Czy są wszyscy?! – zawołał. – Jeśli komuś się wydaje, że kogoś nie ma, niech wykrzyknie jego imię.

– Brat Cuthbert – powiedział ktoś.

– On pilnuje relikwii. Ktoś jeszcze?

Cisza.

– Policz mnichów dla pewności! – polecił Miliusowi. – Powinno być czterdziestu pięciu z tobą i ze mną. – Wiedząc, że może mu ufać, przestał myśleć o tej sprawie i zwrócił się do Toma. – Czy twoja rodzina jest tutaj?

Tom przytaknął i wskazał ruchem głowy. Kobieta, wyrostek i dwoje ma-

łych dzieci stali przy ścianie domu gościnnego. Chłopiec był przestraszony, a w jego oczach widniała pustka. Dla nich musi to być naprawdę przerażające przeżycie, pomyślał Philip.

Nieco dalej, na okutym żelaznym kufrze, zawierającym skarbiec, siedział zakrystian. Przeor odetchnął spokojniej, widząc, że zasoby klasztoru są nienaruszone.

– Bracie Andrew – rzekł do zakrystiana – trumna świętego Adolphusa jest za refektarzem. Weź kilku braci do pomocy i zanieście ją... – Zastanowił się chwilę. Najbezpieczniejszym miejscem prawdopodobnie jest rezydencja przeora. – Zanieście do mego domu.

– Do twego domu? – zapytał Andrew kłótliwie. – Relikwie powinny być pod moją opieką, nie twoją.

– Więc twoim obowiązkiem było ratować je i wynieść z kościoła – wybuchnął. – Rób, co ci każe, i ani słowa!

Zakrystian podniósł się niechętnie, rzucając wściekłe spojrzenia.

– Pośpiesz się, człowieku, albo zdejmę cię natychmiast z urzędu! – zagroził przeor. Odwrócił się do Miliusa i spytał: – Ilu?

– Czterdziestu czterech plus Cuthbert. Jedenastu nowicjuszy. Pięcioro gości. Wszystkich policzyłem.

– Łaska boska. – Philip popatrzył na szalejący ogień. To, że wszyscy żyli i nikt nawet nie był ranny, graniczyło z cudem. Uświadomił sobie, że jest wyczerpany, ale nazbyt się martwił, by usiąść i odpocząć.

– Czy jest jeszcze coś cennego, co powinniśmy uratować? Mamy skarbiec i relikwie...

– Co z książkami? – przerwał mu brat Alan, skarbnik.

Philip jęknął. Oczywiście książki. Były zamknięte w kredensie na wschodnim kruzganku, obok drzwi do kapitułarza, gdzie mnisi mogli z nich korzystać w czasie przeznaczonym na rozważania. Byłoby zbyt niebezpieczne nosić książkę po książce. Może kilku silnych młodych braci zdołaloby podnieść cały

kredens i przenieść w niezagrożone miejsce. Rozejrzał się. Zakrystian i pół tuzina mnichów maszerowali przez trawę, podążając po trumnę z kośćmi świętego. Philip wybrał trzech młodych mnichów oraz trzech spośród starszych nowicjuszy i kazał im iść za sobą.

Już był za bardzo zmęczony, by biec. Przeszli między młynem i browarem, obeszlili tyły kuchni i refektarza. Brat Cuthbert i zakrystian już zajmowali się trumną. Philip poprowadził swoją grupę przez pasaż między refektarzem i dormitorium, a stamtąd do krużganków.

Czuli ciepło bijące od ognia. Wielki kredens z książkami zdobiła płasko-rzeźba wyobrażająca Mojżesza i kamienne tablice. Philip polecił młodym ludziom dźwignąć kredens tak, by oprzeć go na ramionach. Przenieśli go przez krużganki do południowego przejścia. Tutaj Philip zatrzymał się, a mnisi podążali dalej. Jego serce wypełnił smutek na widok zrujnowanego kościoła. Teraz było tam mniej dymu, a więcej płomieni. Całe połączenie dachu zniknęło. Kiedy tak patrzył, rozległ się grzmiący odgłos, głośniejszy niż cokolwiek przedtem, i cały dach południowego transeptu runął w dół. Philip odczuł niemal fizyczny ból, jakby to jego ciało płonęło. W chwilę później ściana transeptu zdawała się puchnąć nad krużgankami. Boże, miej nas w swojej opiece. To zaraz runie, westchnął Philip. Kiedy mur zaczął się walić, dotarło do niego, że znajduje się w zagrożonym miejscu, i zerwał się do ucieczki. Zanim jednak zrobił trzy kroki, coś uderzyło go w tył głowy i stracił przytomność.

Szalejący pożar niszczący katedrę w Kingsbridge był dla Toma światłem nadziei.

Patrzył na wielkie płomienie, strzelające wysoko ponad ruinami kościoła, ogarnięty jedną myślą: Robota!

Uzmysłowił to sobie już w chwili, gdy z zaspanymi oczyma wyszedł z domu gościnnego i zobaczył lekką, czerwoną lunę w oknach kościoła. Przez

cały czas, kiedy kierował mnichów ku bezpiecznym miejscom, kiedy pobiegł do płonącego kościoła, by szukać przeora Philipa, a także potem, gdy pomagał nieść trumnę, serce jego rozsadzał bezwstydnym, radosnym optymizmem.

Teraz zaś, mając trochę czasu na refleksję, zaczęło mu świtać, iż może nie powinien tak się cieszyć. Doszedł natychmiast do wniosku, że skoro nikomu nic się nie stało, skarbiec klasztoru został uratowany, kościół zaś był stary i już się walił, no to czemu się nie cieszyć?

Nadchodzili właśnie mnisi z ciężkim kredensem na ramionach. Wszystko, czego mi trzeba, to mieć pewność, że dostanę tę robotę, pomyślał Tom. Teraz trzeba pomówić z przeorem...

Philipa jednak nie było z niosącymi, którzy doszli już do domu gościnnego.

– Gdzie jest przeor? – spytał Tom.

Najstarszy z nich obejrzał się zaskoczony.

– Nie wiem. Myślałem, że idzie za nami.

Być może zatrzymał się, by popatrzeć na pożar, ale mógł też popaść w tarapaty, przyszło do głowy Tomowi.

Nie oglądając się na nic, pobiegł przez trawnik i okrążył zabudowania kuchenne. Miał nadzieję, że Philipowi nic się nie stało, nie tylko dlatego, że to dobry człowiek, ale także dlatego, że był opiekunem Jonathana. Bez niego nie wiadomo, jaki byłby los dziecka.

Odszukał mnicha w pasażu między refektarzem i dormitorium. Na szczęście przeor zdołał usiąść prosto. Był oszołomiony, ale nie ranny. Tom pomógł mu wstać.

– Coś uderzyło mnie w głowę – rzekł niepewnie Philip.

Tom rozejrzał się. Południowy transept zwałił się na krużganki.

– Ojczy, masz szczęście, że żyjesz. Bóg musi mieć jakieś zamiary wobec ciebie.

Przeor potrząsnął głową, żeby odzyskać jasność myślenia.

– Zaraz mi przejdzie. Już w porządku. Gdzie są książki?

– W domu gościnnym.

– Wracajmy tam.

Gdy ruszyli, Tom podtrzymał Philipa, na wszelki wypadek. Dostrzegł, że przeor nie jest ranny, ale rozstrojony.

Chociaż punkt kulminacyjny pożaru już minął i płomień nieco się zmniejszył, Tom widział wyraźnie twarze ludzi. Z lekkim zaskoczeniem uświadomił sobie, że już świta.

Philip znów zabrał się do organizowania pracy. Kazał bratu Miliusowi przygotować owsiankę dla wszystkich i upoważnił Cuthberta do otwarcia baryłki mocnego wina, aby wszyscy się rozgrzali. Poleciał rozpalić ogień w domu gościnnym, gdzie mieli schronić się starzy mnisi. Zaczęło padać. Siekące strugi zimnego deszczu sprawiły, że płomień na zgliszczach kościoła jęły szybko znikać.

Kiedy już wszyscy otrzymali konkretne zadania, Philip wyszedł z domu gościnnego i skierował się w stronę kościoła. Tom podążył za nim. Oto jego szansa. Jeśli dobrze sobie poradzi, to może pracować tutaj przez całe lata.

Philip z rozpaczą patrzył na to, co jeszcze wczoraj było zachodnim skrzydłem kościoła. Smutno potrząsał głową nad ruiną. Wydawało mu się, że to jego życie legło w gruzach. Tom w milczeniu stał za nim. Po chwili Philip ruszył przez cmentarz ku stronie północnej. Za nim szedł Tom, fachowo oceniając szkody.

Północna ściana nawy stała w dalszym ciągu, ale północny transept i część północnej ściany prezbiterium legły. Kościół wciąż miał wschodnie skrzydło. Obeszli je. Większość ścian południowej zwała się, a południowy transept runął na krążanki. Dom kapituły ocalał.

Przeszli do łukowego przejścia prowadzącego do wschodniego chodnika krążanków. Tam zatrzymał ich stos gruzów. Wyglądało to okropnie, ale doświadczony oko Toma dostrzegło, że krążanki nie zostały mocno uszkodzone i są tylko pogrzebane pod rumowiskiem. Wdrapał się na potłuczone kamienie,

by móc spojrzeć do wnętrza spalonego kościoła. Tuż za ołtarzem znajdowały się przysłonięte schody prowadzące do krypty. Sama krypta mieściła się pod prezbiterium. Wpatrzył się w podłogę pod kryptą, badając, czy nie ujrzy oznak popękania. Nie zauważył nic. To szczęście, że krypta pozostała nietknięta. Tę wieść zachowa na decydujący moment rozmowy z przeorem.

Philip skierował się do dormitorium. Tom pośpieszył za nim. Dormitorium nie poniosło uszczerbku. Także pozostałe budynki klasztorne – refektarz, kuchnia, piekarnia i browarek – wydawały się w dobrym stanie. Było to jakieś pocieszenie, ale twarz przeora pozostała posępna.

Zakończyli obchód tam, gdzie zaczęli, przed zrujnowanym zachodnim skrzydłem. Podczas przeglądu nie wymienili ani słowa. Philip przerwał ciszę głębokim westchnieniem.

– To wina diabła.

Tom pomyślał, że nadszedł właściwy moment. Wziął głęboki wdech i powiedział:

– To mogła być wola Boga, ojczce.

– Jak to? – Philip popatrzył zaskoczony.

– Nikt nie został ranny. Książki, skarbiec i święte relikwie uratowane. Zniszczony jest tylko kościół. Może to Bóg pragnie nowego kościoła.

– I pewnie Bóg chce, byś ty go budował? – uśmiechnął się sceptycznie. Nie był na tyle skołowany, by nie dostrzec w tym rozumowaniu osobistego interesu Toma Budowniczego.

Tom trwał przy swoim.

– Może i tak – rzekł z uporem. – To nie diabeł przysłał tutaj mistrza budowniczego akurat w noc, kiedy kościół się spalił.

Philip rozejrzał się dokoła.

– Cóż, będzie tu nowy kościół, ale nie wiem kiedy. A tymczasem co mam czynić? Jak może toczyć się życie w klasztorze? Jesteśmy tu po to, by się modlić i studiować.

Mnicha ponownie ogarnęła głęboka rozpacz. Oto chwila, w której trzeba rozbudzić w nim nadzieję.

– Mój chłopak i ja możemy oczyścić krużganki i przygotować do użytku w ciągu siedmiu dni – powiedział Tom pewnym głosem.

– Możecie? Ale co moglibyśmy wykorzystywać jako kościół?

– A krypta? Tam mógłbyś, ojcze, odprawiać nabożeństwa, prawda?

– Tak, tam byłoby dobre miejsce.

– Jestem pewny, że krypta nie została poważnie uszkodzona – stwierdził murarz pewnym głosem. To była niemal prawda.

Philip patrzył na niego, jakby był aniołem zbawienia.

– Usuwanie gruzu od krużganków do schodów krypty nie zajmie wiele czasu – ciągnął Tom. – Większa część kościoła z tej strony jest na szczęście całkiem zrujnowana, co oznacza, że nie ma niebezpieczeństwa dalszych zawałów. Będę musiał zbadać stojące ściany, być może niektóre rozbierzemy lub podeprzemy belkami. Oczywiście trzeba będzie codziennie sprawdzać, czy nie ma w nich nowych pęknięć, ale nie można wchodzić do kościoła w czasie wichury. – Było to bardzo ważne, ale dostrzegł, że Philip jakby go nie rozumiał. Mnich oczekiwał na dobre wiadomości, na coś, co podniesie go na duchu. A sposobem na otrzymanie pracy było dawanie mu tego, czego chciał. Tom zmienił ton: – Mając do pomocy kilku młodszych mnichów, mógłbym wykonać prace, dzięki którym możliwe byłoby zorganizowanie, o tyle o ile, normalnego życia klasztornego za jakieś dwa tygodnie.

Philip wpatrzył się w niego.

– Dwa tygodnie?

– Jeśli zapewnisz, ojcze, jedzenie i mieszkanie mnie i mojej rodzinie. Zapłacisz, jak będziesz miał gotówkę.

– Przygotujesz mi kościół za dwa tygodnie? – Philip powtórzył niedowierzająco.

Tom niezupełnie był przekonany, że zdoła, ale jeśli prace zajmą trzy tygo-

dnie, to nikt od tego nie umrze.

– Dwa tygodnie – zapewnił. – Później będziemy mogli rozebrać resztki ścian – to praca dla fachowca, ojczcie, jeśli ma być bezpieczna – potem przebrać gruz, odkładając na przyzmy kamienie do ponownego użytku. W tym czasie możemy obmyślać projekt nowej katedry. – Tom wstrzymał oddech. Zrobił swoje, jak umiał najlepiej. Teraz z pewnością otrzyma tę pracę!

– Myślę, że faktycznie przysłał mi cię Bóg – Philip skinął głową, po raz pierwszy się uśmiechając. – Zjedzmy jakieś śniadanie, potem zabierzemy się do roboty.

Tom odetchnął z drżącym westchnieniem ulgi.

– Dziękuję, ojczcie. – Głos mu się łamał, nie mógł tego opanować. Nagle jednak przestało go to obchodzić i tłumiąc szloch, rzekł otwarcie: – Nie potrafię wypowiedzieć, ile to dla mnie znaczy.

Po śniadaniu przeor bez żadnych przygotowań zwołał kapitułę do składu Cuthberta pod kuchnią. Mnisi byli rozstrojeni nerwowo. Uważali się za powołanych do życia cichego, bezpiecznego i bez niespodzianek, a wydarzenia ostatniej nocy zdeorientowały ich. Philip, patrząc na zgromadzenie, bardziej niż kiedykolwiek czuł się pasterzem, którego praca polega na opiece nad niemądrymi i bezradnymi stworzeniami. Tyle że to nie były nieme zwierzęta, lecz jego bracia, i bardzo chciał im pomóc. Musiał im przybliżyć przyszłość, aby wykorzystać tę ich nerwową energię do ciężkiej pracy i przywrócić ład najszybciej, jak to możliwe.

Pomimo niecodziennych warunków zadbał o zachowanie porządku. Nakazał czytanie fragmentu żywotów świętych męczenników, przeznaczonego na ten dzień, a potem przystąpili do modłów. Po to właśnie były klasztory: modlitwa usprawiedliwiała ich istnienie. Jednakże kilku mnichów sprzeciwiło się, więc polecił im czytać wybrany przez siebie rozdział dwudziesty Reguły świę-

tego Benedykta, zatytułowany *O czci godności modlitwy*. Potem zarządził modlitwy za zmarłych. Znajomy rytuał koił nerwy i przeor zauważył, że podekscytowanie powoli opuszcza twarze mnichów. Ich świat istnieje. Trzeba go tylko odbudować.

W pewnym momencie uznał, że należy przemówić do zgromadzenia.

– Katastrofa, która nas spotkała, była w gruncie rzeczy tylko fizycznej natury. – Philip wkładał w swój głos tyle ciepła i pewności, ile tylko zdołał. – Nasze życie ma jednak duchowy wymiar. Nasza praca to modlitwa, akty wiary i kontemplacja.

– Rozejrzał się po sali, spoglądając we wszystkie oczy, jakie napotkał, upewniając się, że przyciągnął ich całkowitą uwagę. Potem dodał: – Podejmemy tę pracę za kilka dni, przyrzekam wam to.

Przerwał, by te słowa zapadły w ich dusze. Niemal wyczuwało się, jak słabnie napięcie. Dał im jeszcze chwilę, po czym mówił dalej:

– W swej mądrości Bóg przysłał wczoraj mistrza budowniczego, by pomógł nam dźwignąć się z upadku. Tom Budowniczy zapewnił mnie, że pracując pod jego kierunkiem, możemy przywrócić krużganki do normalnego użytku w ciągu siedmiu dni.

Rozległ się stłumiony pomruk przyjemnego zaskoczenia.

– Obawiam się, że nie będziemy mogli odprawiać nabożeństw w naszym kościele. Oznacza to konieczność budowy nowego, a to zajmie, oczywiście, wiele lat. Tom Budowniczy jednakże przypuszcza, że krypta nie została uszkodzona. Ponieważ była poświęcona, przeto tam będziemy odprawiać nabożeństwa. Murarz twierdzi, że może przygotować ją w tydzień po skończeniu oczyszczania krużganków. Jak widzicie, będziemy mogli odprawiać normalne nabożeństwa od pięćdziesiątnicy.

Znów rozległo się westchnienie ulgi. Philip zauważył, że udało mu się ich uspokoić i pokrzepić. Przybyli tu przestraszeni i zagubieni, teraz byli spokojni i pełni nadziei.

– Bracia, którzy czują się zbyt słabi, by podołać pracy fizycznej – dodał Philip – zostaną zwolnieni. Bracia pracujący codziennie przy odbudowie mogą spożywać czerwone wino i mięso.

Przeor usiadł. Jako pierwszy odezwał się subprzeor:

– Ile będziemy musieli płacić temu murarzowi? – spytał podejrzliwie.

Na Remigiusie można było polegać – zawsze starał się znaleźć dziurę w całym.

– Na razie nic – zareplikował Philip. – Tomowi Budowniczemu znane jest nasze ubóstwo. Będzie pracował za jedzenie i mieszkanie, dopóki nie uzyskamy pieniędzy na jego wynagrodzenie.

To było dwuznaczne, mogło bowiem oznaczać, że Tom nie otrzyma zapłaty, dopóki klasztor nie zdoła zgromadzić pieniędzy, a przecież chodziło o to, że począwszy od dzisiaj, za każdy przepracowany dzień klasztor będzie mu winien pieniądze. Zanim jednak Philip mógł wyjaśnić tę umowę, Remigius odezwał się znowu:

– A gdzie będą mieszkać?

– Dałem im dom gościnny.

– Mogą mieszkać we wsi.

– Tom zaproponował nam szlachetną umowę – przeor zniecierpliwiał się – mamy szczęście, że tu jest. Nie chcę, żeby się tłoczył z cudzymi kozami i świniami, kiedy u nas stoi pusty przyzwoity dom.

– W tej rodzinie są dwie kobiety...

– Niewiasta i dziewczynka – poprawił go Philip.

– Niech będzie, niewiasta. Nie chcemy, żeby kobieta mieszkała w klasztorze!

Mnisi protestująco zamruczeli. Nie podobał im się kłótny nastrój subprzeora i jego przesadna dociekliwość.

– To całkiem zwyczajne, że kobieta mieszka w domu gościnnym – rzekł Philip.

– Nie ta kobieta! – wypalił Remigius, ale natychmiast zreflektował się i pożałował swego wybuchu.

Philip zmarszczył się.

– Znasz tę kobietę, bracie Remigiusie?

– Kiedyś mieszkała w okolicy – wymijająco odparł zapytany.

Zaintrygowało to przeora. Już drugi raz jest świadkiem, jak żona Toma wywołuje czyjś niepokój; Walerana Bigoda także zdenerwowała jej obecność.

– Co złego widzisz w niej?

Zanim Remigius odpowiedział, odezwał się brat Paul, stary mnich pilnujący mostu.

– Tak, tak, pamiętam – mówił z lekkim rozmarzeniem.

– To była dzika dziewczyna z lasu, która tu gdzieś mieszkała. Och, to musiało być z piętnaście lat temu. Ta przypomina ją, prawdopodobnie to jest ta sama osoba, tyle że już dorosła.

– Ludzie mówią, że to wiedźma! – wybuchnął niedoszły przeor. – Nie możemy pozwolić, żeby w klasztorze mieszkała wiedźma!

– Tego nie jestem pewien – rzekł wolno brat Paul z tym samym rozmarzeniem w głosie. – Każdą kobietę mieszkającą w dziczy prędzej czy później nazywa się wiedźmą. To, co ludzie mówią, nie stanowi dowodu. Ja jestem rad, że mogę zaufać mądrości przeora i jemu powierzyć decyzję, czy ona może nam zagrażać, czy nie.

– Mądrość nie przychodzi wraz z objęciem wysokiego urzędu klasztornego – palnął Remigius.

– Rzeczywiście, nie – powoli wyrzekł Paul i patrząc prosto na Remigiusa, dodał: – Czasami w ogóle nie przychodzi.

Mnisi wybuchnęli śmiechem na tę ripostę, tym zabawniejszą, że płynącą z nieoczekiwanego źródła. Philip musiał udawać, że jest niezadowolony. Zakłaskał w dłonie, by uciszyć ich.

– Dosyć! To poważne sprawy. Wypytam tę kobietę. Teraz ruszajmy do na-

szych obowiązków. Ci, którzy chcą być zwolnieni z pracy, niech udadzą się do infirmerii i tam się modlą i medytują. Reszta za mną.

Przeor opuścił pomieszczenie, zmierzając w stronę krużganków. Kilku mnichów poszło do infirmerii, wśród nich Remigius i zakrystian Andrew. Ucieszyło to przeora, chociaż pomyślał, że żaden z nich bynajmniej nie jest wątpły, ale prawdopodobnie sprawialiby kłopoty, gdyby pracowali w grupie. Większość braci podążyła za Philipem.

Tom już objął komendę nad klasztorными sługami i zaczął pracę. Stał na kupie gruzów i kawałkiem kredy znaczył kamienie swoim inicjałem, literą „T”.

Philip zaczął się zastanawiać, jak można poruszyć tak ogromne kamienne bloki. Z pewnością za wielkie, by jeden człowiek je udźwignął. Odpowiedź przyszła natychmiast. Dwa drągi położono na ziemi obok siebie i przetaczano na nie kamień. Potem dwu ludzi brało je za końce i podnosiło głaz. Tom musiał im pokazać, jak to należy robić.

Praca posuwała się szybko. Pomagała większość z sześćdziesięciu sług klasztornych, tworząc rzekę ludzi niosących kamienie i wracających po następne. Ten widok podniósł Philipa na duchu. Pomodlił się po cichu w intencji Toma Budowniczego.

Murarz zobaczył nadchodzącego przeora i zszedł z kupy gruzu. Zanim przemówił do niego, przywołał jednego z pracujących, krawca szyjącego mni-
chom habity.

– Zgromadź braci do noszenia kamieni – poinstruował go. – Upewnij się, że biorą tylko te kamienie, które zaznaczyłem, inaczej ta sterta runie i może kogoś zabić. – Odwrócił się do Philipa. – Zaznaczyłem tyle, że zajmie im to dosyć czasu.

– Dokąd przeniesiesz kamienie?

– Chodź ze mną, ojcze, to ci pokażę. I tak chciałem sprawdzić, czy układają je właściwie.

Kamienie przenoszono na wschodnią stronę klasztorного dziedzińca. Po

drodze Philip tłumaczył Tomowi:

– Część służby powinna stale wykonywać swoje zwykłe obowiązki. Stajenni muszą opiekować się końmi, kucharze przygotowywać posiłki, ktoś musi zbierać drewno na opał, karmić kury i chodzić na targ. Żaden z nich jednak nie jest przeciążony pracą, tak że połowę służby mogę ci przekazać. Oprócz tego masz trzydziestu mnichów.

– To wystarczy.

Minęli wschodnie skrzydło kościoła. Ludzie układali jeszcze ciepłe kamienie pod klasztornym ogrodzeniem, kilka jardów od infirmerii i domu przeora.

– Te stare kamienie trzeba zachować na nowy kościół – wyjaśnił Tom. – Nie nadają się na ściany, bo kamienie z odzysku źle znoszą niepogodę, ale będą dobre na fundamenty. Wszystkie pokruszone też musimy zatrzymać. Zostaną zmieszane z zaprawą i użyte do nowych ścian jako wypełnienie.

– Rozumiem – rzekł Philip, przyglądając się, jak Tom uczy ludzi układać kamienie tak, aby rosnący stos nie zawalił się. Doświadczenie mistrza budowniczego było niezbędne.

Kiedy Tom skończył, Philip ujął go pod ramię i powiodł wokół kościoła ku cmentarzowi. Deszcz przestał padać, ale kamienne nagrobki jeszcze były wilgotne. Mnichów chowano na wschodniej stronie cmentarza, mieszkańców wsi na zachodniej. Linia podziału przebiegała na przedłużeniu północnego transeptu, teraz leżącego w gruzach. Philip i Tom przystanęli. Słabe słońce przedzierało się przez chmury. W świetle dnia nie było nic złowieszczego.

– Niektórzy mnisi niepokoją się, że w obrębie klasztoru będzie mieszkała kobieta – powiedział Philip. Po tych słowach na twarzy Toma odbiło się uczucie silniejsze niż niepokój. Wydawał się przerażony. On ją naprawdę kocha, pomyślał przeor. Pośpiesznie ciągnął: – Ale ja nie chcę, byś mieszkał we wsi i dzielił chatę z inną rodziną. Aby uniknąć kłopotów, twoja żona musi być roztropna. Powiedz jej, niech się od mnichów, zwłaszcza młodych, trzyma z daleka, a kiedy będzie wychodziła na zewnątrz, niech ma twarz zasłoniętą.

W szczególności zaś nie wolno jej dać najmniejszych podstaw do podejrzeń o czary.

– To się da zrobić, ojczy – odparł Tom. W jego głosie pojawiła się nuta zdecydowania, choć wydawał się nieco zniechęcony.

Philip przypomniał sobie, że jego żona wygląda na kobietę o bystrym umyśle i silnej woli. Może nie zechce łagodnie przyjąć polecenia, by nie dawać powodów do podejrzeń. Skądinąd do wczoraj jej rodzina cierpiała nędzę, więc te ograniczenia może potraktować jako niewielką cenę za schronienie i bezpieczeństwo.

Poszli dalej. Ubiegłej nocy, widząc zniszczenia, Philip przeżywał straszliwą tragedię. Zdawało mu się, że siły nadprzyrodzone pobiły potęgę cywilizacji i religii. Był to cios godzący w dorobek całego jego życia. Teraz patrzył na to, jak na problem do rozwiązania. Straszny problem, naprawdę przytłaczający, ale nie nadludzki. Tę odmianę zawdzięczał w dużej mierze Tomowi. Był mu bardzo wdzięczny.

Doszli do zachodniego skrzydła kościoła. Przeor zobaczył, że właśnie stajenni siodłają wierzchowca, i zastanowił się, kto ma zamiar wyjeżdżać akurat dziś. Zostawił Toma, który skierował się ku kruzgankom, a sam podszedł do stajni.

Okazało się, że konia zamówił młody pomocnik zakrystiana, brat Alan, który uratował skarbiec klasztorny.

– A gdzież to się wybierasz, mój synu?

– Do biskupa, ojczy – odpowiedział Alan. – Brat Andrew wysłał mnie tam po świece, święconą wodę i hostię. Te rzeczy straciliśmy w pożarze, a powinniśmy zacząć nabożeństwa jak najszybciej.

To rozsądne. Zapasy trzymano pod kluczem w prezbiterium, a skrzynia z nimi spłonęła. Philipowi spodobało się, że choć raz zakrystian okazał się zapobiegliwy.

– To dobrze. Dam ci list do biskupa Walerana. – Przebiegły Waleran Bigod

był obecnie biskupem elektem, skutkiem raczej nieprzyzwoitych zabiegów. Philip jednak teraz nie mógł wycofać swego poparcia i musiał traktować Walerana jako biskupa. – Powinienem mu przesłać raport w sprawie pożaru.

– Dobrze, ojciec – odrzekł Alan. – Ale ja już mam list do biskupa od brata Remigiusa.

A to ci niespodzianka, pomyślał Philip. Remigius okazał się bardzo przedsiębiorczy.

– W porządku. Podróżuj ostrożnie i niech cię Bóg prowadzi.

– Dziękuję, ojciec.

Philip poszedł z powrotem do kościoła. Remigius bardzo się pośpieszył. Czemuż to on i zakrystian byli tacy prędcy? To wystarczyło, by się zaniepokoił. Czy list dotyczył tylko pożaru kościoła? A może było w nim coś jeszcze?

Zatrzymał się w połowie drogi i obejrzał się. Byłby całkowicie w prawie, gdyby zabrał list i przeczytał go. Za późno. Alan wyjeżdżał przez bramę. Patrzył za nim, trochę przybity. W tym momencie z domu gościnnego wyszła żona Toma z wiadrem w ręku. Philip obserwował ją. Sposób, w jaki się poruszała, sprawiał przyjemność, podobnie jak chód dobrego konia.

Jeszcze raz pomyślał o liście Remigiusa do biskupa. Nie umiał się jakoś otrząsnąć z kłopotliwego podejrzenia, że głównym tematem listu w rzeczywistości nie był pożar.

Bez żadnego rozsądnego powodu był przekonany, że list dotyczył żony mistrza budowniczego.

III

Jack obudził się na pierwsze pianie koguta. Otworzył oczy i zobaczył Toma wstającego z łóżka. Leżał cicho i tęsknił do wygrzanego miejsca u boku matki. Chciał przytulić się do niej.

Tom obudził Alfreda. Wspólnie wypili piwo, zjedli trochę szczerstwiełego razowego chleba i wyszli.

Alfred pracował na placu budowy z Tomem. Jack z matką czasami w ciągu dnia chodzili do lasu. Matka zakładała sidła, a Jack strzelał z procy. Cokolwiek upolowali, sprzedawali wieśniakom lub bratu Cuthbertowi. To stanowiło jedyne źródło gotówki, bo Tom jeszcze nie otrzymywał zapłaty. Za te pieniądze kupowali materiały, skórę lub łój. Kiedy nie szli do lasu, matka robiła buty, koszule, świece lub czapki, podczas gdy Jack i Martha bawili się z dziećmi ze wsi. W niedzielę po nabożeństwie Tom i matka lubili siadywać przy ogniu i rozmawiać. Czasami zaczęli się całować, a Tom wsadzał matce rękę pod suknię. Wtedy kazali dzieciom bawić się na dworze i ryglowali drzwi. To był najgorszy czas w całym tygodniu, bo Alfred miał wówczas zły humor i znęcał się nad młodszymi.

Jednakże dzisiaj był zwykły dzień i Alfred będzie zajęty od świtu do zmierzchu. Jack wstał i wyszedł na zewnątrz. Było zimno, ale sucho. Martha wyszła kilka chwil później. Ruiny katedry roiły się od ludzi noszących kamienie, odgarniających łopatami gruz i stawiających drewniane podpory pod niepewnymi ścianami. Rozbierali te, które zanadto były zniszczone, aby je pozostawić.

Zarówno mnisi, jak i wieśniacy byli zgodni co do tego, że pożar wywołał diabeł, i Jack prawie zapomniał, że to on podpalił. Kiedy jednak czasami przypominał sobie tę noc, wzdrygał się na moment, a potem zaczynał odczuwać zadowolenie. Podjął straszne ryzyko, ale dał sobie radę i uratował rodzinę przed głodowaniem.

– Chodźmy na podwórze kuchenne – zaproponował Marcie. – Może dadzą nam jakieś skrawki.

Martha zgodziła się, uważała bowiem, że Jack jest cudowny, i dla niego zrobiłaby wszystko.

Kiedy weszli na kuchenny teren, spotkali brata Bernarda, który sprawował

pieczę nad piekarnią. Jego pomocnicy byli zajęci przy budowie, więc drewno opałowe nosił sam. Nieco otyły, sapał i dyszał pod ciężarem polan.

– Przyniesiemy ci drewna, bracie Bernardzie – zaofiarował się Jack.

Mnich zrzucił ładunek obok pieca i podał mu szeroki płaski koszyk.

– Dobrze dzieciaki – wysapał. – Bóg was pobłogosławi.

Jack wziął koszyk i oboje pobiegli do stosu drewna, który znajdował się za kuchnią. Napełnili koszyk polanami, a potem razem dźwigali ten ciężar.

Kiedy przyszli do piekarni, w piecu już było rozpalone. Brat Bernard wrzucił to, co przynieśli, prosto w ogień i posłał ich po następną porcję. Jacka bolały ręce, ale pusty brzuch bardziej dawał się we znaki, pośpieszył tedy wykonać polecenie.

Po powrocie zastali brata Bernarda układającego małe kawałki ciasta na tacy.

– Przynieście mi jeszcze jeden kosz, a zjecie gorące bułeczki z rodzynekami – obiecał.

Jackowi napłynęła ślinka do ust.

Napełnili koszyk po raz trzeci. W drodze powrotnej spotkali Alfreda, który niósł kubek. Prawdopodobnie szedł po wodę. Alfred nienawidził Jacka od momentu, kiedy ten wrzucił mu martwego ptaka do piwa. Zwykle Jack przezornie schodził mu z drogi. Teraz też zastanawiał się, czy nie rzucić koszyka i nie uciec, lecz wyglądałoby to na tchórzostwo, a poza tym już czuł zapach świeżego pieczywa, dobiegający z piekarni, i był głodny, więc z sercem na ramieniu parł naprzód.

Alfred śmiał się z nich, że z trudem dźwigają koszyk, który on uniósłby z łatwością. Zrobili mu przejście, ale Alfred celowo zbliżył się do Jacka i popchnął go. Chłopiec przewrócił się, urażając boleśnie kość ogonową. Puścił pałąk koszyka i drewno wysypało się na ziemię. Z oczu popłynęły mu łzy, bardziej ze złości niż z bólu. To było nieuczciwe zagranie, przecież dali mu miejsce. Jack wstał i cierpliwie zebrał drewno, udając przed Marthą, że nic się nie

stało. Dźwignęli kosz i zanieśli go do kuchni.

Na kamiennej półce stygła taca z bułeczkami. Kiedy weszli, brat Bernard wziął jedną z nich, wsadził całą naraz do ust i przełknąwszy, powiedział:

– Są doskonale. Weźcie sobie, ale uważajcie, bo gorące.

Jack i Martha wzięli po jednej. Jack ugryzł swoją ostrożnie, aby się nie sparzyć. Okazała się znakomita i zjadł ją bardzo prędko. Popatrzył na tacę, a potem spojrzął na brata Bernarda, który uśmiechał się przyjaźnie.

– Wiem, czego chcesz. No, dalej, bierz więcej.

Jack podniósł brzeg swej tuniki i wsypał wszystkie pozostałe bułeczki.

– Zabierzemy je dla mamy – powiedział do Marthy.

– O, to jesteś dobrym synem – rzekł mnich. – Idźcie już.

– Dziękujemy, bracie Bernardzie.

Skierowali się w stronę domu gościnnego. Matka się ucieszy takim poczęstunkiem, myślał Jack. Miał straszną ochotę zjeść jeszcze jedną, ale oparł się tej pokusie; przyjemnie będzie dać jej tak dużo.

Kiedy przechodzili przez trawnik, znowu spotkali Alfreda.

Najwidoczniej napełnił swój kubek, wrócił na plac, opróżnił, a teraz ponownie szedł po wodę. Jack postanowił nie zwracać na niego uwagi w nadziei, że tamten go zignoruje. Jednak sposób, w jaki niósł bułeczki, zbyt jawnie wskazywał, że coś ma. Alfred zdecydował się podejść do nich.

Jack chętnie dałby mu jedną bułkę, ale wiedział, że Alfred natychmiast zabrałby wszystkie. Rzucił się więc do ucieczki.

Alfred popędził za nim i wkrótce go dopadł. Podstawił Jackowi nogę i ten runął. Gorące bułeczki rozsypały się po ziemi.

Alfred podniósł jedną, otarł z błota i wpakował do ust. Oczy szeroko mu się otwały z zaskoczenia.

– Świeże! – zawołał i zaczął zbierać pozostałe.

Jack podniósł się i spróbował chwycić choć jedną bułkę, ale Alfred palnął go na odlew otwartą dłonią. Chłopiec znów się przewrócił, a Alfred szybko po-

zbierał resztę bułek i odszedł, chrupiąc je po drodze. Jack zalał się łzami.

Martha patrzyła współczująco, ale on nie chciał współczucia. Czuł się upokorzony i z tego powodu cierpiał ból silniejszy niż od uderzeń. Odszedł, a kiedy podążyła za nim, krzyknął:

– Idź sobie!

Wyglądała na dotkniętą, ale pozwoliła mu odejść.

Skierował się ku ruinom, wycierając łzy rękawem. W jego duszy budziła się żądza zemsty. Zniszczyłem katedrę, to i jego mogę zabić – pomyślał.

Zauważył, że prace przy porządkowaniu placu wokół ruin bardzo się posuwały. Przypomniawszy sobie, że jakiś dostojnik kościelny ma przyjechać, by obejrzeć szkody spowodowane pożarem.

Przewaga Alfreda doprowadzała go do szaleństwa. Mógł sobie na wszystko pozwolić, bo był taki duży. Przepełniony gniewem, Jack chodził przez pewien czas wokół ruin. Żałował, że Alfred nie znalazł się w kościele, kiedy waliły się mury.

W końcu znów natknął się na Alfreda. Poszarzały od pyłu, ładował łopatą gruz na furmankę w północnym transepcie. Obok leżała belka z dachu, prawie nieuszkodzona, trochę osmolona i poczerniała od sadzy. Jack przejechał po niej palcem, pozostawiając jaśniejszy ślad. Potem napisał: Alfred jest świnią.

Zauważył to ktoś z pracujących i zaskoczony tym, że Jack umie pisać, pokazał innym.

– Co tu jest napisane?

– Zapytaj Alfreda – odrzekł Jack.

Ten z zakłopotaniem wpatrywał się w litery. Zmarszczył brwi. Jack wiedział, że umie przeczytać własne imię, ale nic ponadto. Alfred wpadł w gniew. Czuł, że został obrażony, ale nie wiedział jak, a samo to już upokarzało. Wyglądał raczej głupawo, natomiast wzburzenie Jacka trochę osłabło. Alfred mógł być większy, ale Jack był mądrzejszy.

Właśnie wtedy nadszedł jeden z nowicjuszy. Przeczytał tekst i uśmiechnął

się.

– Który to Alfred?

– On – wskazał Jack kciukiem.

Alfred wyglądał na jeszcze bardziej rozzłoszczonego, ale wciąż nie wiedział, jak ma postąpić.

Nowicjusz roześmiał się.

– Świnia, tak? Ta, co ryje i szuka żołądździ?

– Pewnie tak – Jack ucieszył się, że ma sprzymierzeńca.

Alfred rzucił łopatę i sięgnął, by go złapać.

Jack był na to przygotowany i wystrzelił jak puszczona z łuku strzała. Nowicjusz wystawił nogę, by Jack się potknął, jakby chciał pokazać, że obie strony nie są w porządku, ale Jack przemknął koło niego jak duch, przeskakując przeszkodę. Przebiegł wzdłuż tego, co kiedyś było prezbiterium, zręcznie omijając kupy gruzu. Słyszał za sobą ciężkie kroki Alfreda i jego chrapliwy oddech. Strach dodawał mu szybkości.

W chwilę później uświadomił sobie swoją pomyłkę. Z tej strony kościoła nie było wyjścia. Ze ściśniętym sercem zrozumiał, że zostanie pobity.

Nie mając innego wyjścia, Jack zaczął wspinać się na stos kamieni, przylegający do resztek ściany. Alfred następował mu na pięty. Dotarł do wierzchołka i znalazł się na krawędzi prostego, piętnastostopowego urwiska. Pełen strachu cofnął się. Było za wysoko, by skoczyć, nie raniąc się. Alfred chwycił go za kostkę. Jack zachwiał się. Przez moment stał jedną nogą na murze, a drugą machał w powietrzu. Poruszał gwałtownie ramionami, by odzyskać równowagę i oprzeć z powrotem drugą nogę. Alfred przytrzymał jeszcze chwilę. Jack poczuł, że spada. Leciał w dół, niezdolny do poprawienia pozycji, słysząc swój krzyk. Wylądował na lewym boku, twarzą uderzając o kamień.

W jednej chwili wszystko zasnęła czerń.

Kiedy otworzył oczy, ujrzał Alfreda, a za nim mnicha. Jack rozpoznał go. Był to brat Remigius, zastępca przeora. Mnich zobaczył, że Jack ma otwarte

oczy.

– Wstawaj, młodzieńcze – powiedział.

Jack nie był pewny, czy da radę. Nie mógł poruszać lewym ramieniem. Lewą stronę twarzy miał zdrętwiałą. Usiadł. Możliwość poruszania się zadziwiła go. Podpierając się prawą ręką, wstał, z trudem przenosząc ciężar na prawą nogę. Gdy minęło odrętwienie, poczuł ból.

Remigius chwycił go za lewe ramię, a drugą ręką złapał za ucho Alfreda. Jack wrzasnął. Zrozumiał, że mnich chce ukarać ich obu, za bardzo jednak cierpiał, by się tym przejmować.

– Teraz, młodzieńcze, powiedz, dlaczego chciałeś zabić swego brata? – zwrócił się Remigius do Alfreda.

– To nie jest mój brat.

Wyraz twarzy Remigiusa zmienił się.

– Nie twój brat? Czy nie macie tego samego ojca i matki?

– Ona nie jest moją matką – odrzekł Alfred. – Moja matka umarła.

Falszywy wyraz współczucia pojawił się na twarzy subprzeora.

– Kiedy zmarła twoja matka?

– Na Boże Narodzenie.

– Ostatnie Boże Narodzenie?

– Tak.

Pomimo bólu Jack zrozumiał, że z jakiegoś powodu brata Remigiusa niezwykle ciekawi ten temat.

– Więc twój ojciec zupełnie niedawno spotkał jego matkę? – Głos Remigiusa drżał od hamowanego podniecenia. – A od czasu kiedy są... razem, czy byli u księdza, by uroczyście przypieczętować swój związek?

– Uch... Nie wiem. – Alfred nie rozumiał słów, jakie do niego skierował mnich. Jack doskonale to wiedział, choć także ich nie rozumiał.

– No, czy był ślub? – niecierpliwie wyjaśnił Remigius.

– Nie.

– Rozumiem – wydawał się przyjemnie zaskoczony, chociaż Jack myślał, że będzie raczej zmartwiony. Na twarzy mnicha malowało się zadowolenie. Przez jakiś czas stał zamyślony, następnie, jakby przypomniał sobie o chłopcach, oświadczył: – Zatem, jeśli chcecie zostać w klasztorze i jeść zakonny chleb, nie bijcie się, mimo że nie jesteście braćmi. Mnisi są sługami bożymi i nie wolno im patrzeć na rozlew krwi, to jeden z powodów naszego odosobnienia się od świata.

Po tej krótkiej przemowie Remigius puścił ich i odszedł. Jack pobiegł do matki.

Upłynęły trzy tygodnie, a nie dwa, nim zdołano przysposobić kryptę do odprawiania nabożeństw. Dzisiaj miał przybyć biskup elekt, by celebrować w niej pierwszą mszę. Krużganki oczyszczono z gruzu, a Tom naprawił uszkodzenia. Wśród ruin i ścian grożących zawaleniem zdołano oczyścić drogę do schodów krypty.

Tom rozejrzał się wokół siebie. Krypta miała dobre wymiary, jakieś pięćdziesiąt stóp kwadratowych, mnóstwo miejsca na nabożeństwa. Pomieszczenie było raczej ciemne, miało ciężkie filary i niskie kamienne sklepienie. Zbudowano je mocno, dzięki czemu przetrwało pożar. Stół na krzyżakach będzie służył jako ołtarz, a ławy z refektarza zastąpią stalle. Kiedy zakrystian przyniósł zdobione obrusy i wysadzone kamieniami świeczniki, pomieszczenie zaczęło wyglądać całkiem dobrze.

Jak tylko mnisi będą odprawiać nabożeństwa, siła robocza, którą teraz dysponuje Tom, zmaleje mocno. Większość braci powróci do swego życia w modlitwie, do swoich rolniczych czy administracyjnych zajęć. Niemniej nadal będzie mógł wykorzystywać połowę klasztornych pracowników i sług. Przeor Philip przyjął wobec nich twardą postawę.

Klasztor winien był Tomowi zapłatę za trzy tygodnie pracy. Mistrz budow-

niczy dostawał cztery pensy dziennie, co dawało siedemdziesiąt dwa pensy. Z każdym dniem dług rósł. Za pół roku Tom będzie mógł prosić Philipa o pierwsze pensy. Wtedy jednak przeor będzie musiał znaleźć dwa i pół funta srebrem, by go spłacić. Ten dług dawał Tomowi poczucie bezpieczeństwa.

Możliwe nawet, że praca przeciągnie się do końca jego życia. Nie chciał jednak o tym myśleć. W końcu to kościół katedralny i jeśli przyszłe władze zdecydują, że ma stanąć nowa świątynia, mogłaby to być największa budowa tego typu w królestwie, a tuziny murarzy miałyby pracę na kilkadziesiąt lat.

To prawda, że nie powinien spodziewać się zbyt wiele. Rozmawiając z wieśniakami i mnichami, Tom słyszał, że Kingsbridge nigdy nie było ważną katedrą, a klasztor nie miał sławy ani pieniędzy. Nie cieszył się poważaniem. Niektóre zakony przyciągały uwagę królów i arcybiskupów hojną gościnnością, doskonałymi szkołami, wielkimi bibliotekami, rozprawami swych braci-filozofów czy erudycją przeorów i opatów. Najbardziej prawdopodobne było, że przeor Philip zbuduje mały kościół, skromnie zaprojektowany i wykończony, co zajmie nie więcej niż dziesięć lat.

Jednakże i to mu odpowiadało. Uświadomił sobie, zanim jeszcze ruiny wystygły, że jest to jego ostatnia szansa na to, by jako mistrz budowniczy mógł pracować przy budowie katedry.

Przeor Philip już został przekonany, że to Bóg przysłał budowniczego do Kingsbridge. Kierowanie pracami porządkowymi uczyniło z Toma osobę godną zaufania. We właściwym momencie powinien porozmawiać z przeorem Philipem o projekcie nowego kościoła. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z jego planem, to pewnie otrzyma polecenie przygotowania odpowiednich szkiców budowlanych. To, że kościół może być mały i skromny, powiększało jego szanse. Tom coraz bardziej krzepił się nadzieją.

Zabrział dzwon na zebranie kapituły. Oznaczało to również, że świeccy pracownicy powinni iść na śniadanie. Tom opuścił kryptę i udał się do refektarza. Po drodze spotkał Ellen.

Zatrzymała się przed nim. Wściekła wilczyca z dziwnym błyskiem w oczach. Wraz z nią byli Jack i Martha. Chłopiec wyglądał strasznie: jedno oko zamknięte, lewa strona twarzy opuchnięta i potłuczona, opierał się na prawej nodze, jakby lewa nie potrafiła unieść najmniejszego ciężaru. Tomowi zrobiło się żal nieszczęśnika.

– Co ci się stało?

– To sprawka Alfreda – odpowiedziała Ellen.

Tom wydał pomruk niezadowolenia. Przez chwilę czuł wstyd za syna. No, ale Jack też nie był aniołkiem. Może Alfred został sprowokowany? Tom rozejrzał się za synem i zobaczył go, jak cały okryty pyłem zmierza do refektarza.

– Alfred! – zawołał. – Chodź tutaj!

Chłopak obejrzał się, dostrzegł ich i powoli się zbliżył. Wyglądał na winnego.

– To ty to zrobiłeś?

– On spadł ze ściany – odrzekł Alfred niechętnie.

– Popchnąłeś go?

– Ja go goniłem.

– Kto zaczął?

– Jack mnie przezwał.

– Nazwałem go świnią – powiedział Jack przez spuchnięte wargi – bo zabrał nam bułki. Nasze bułki.

– Bułki? – zdziwił się Tom. – Skąd wzięliście bułki przed śniadaniem?

– Brat Bernard nam dał. Nanosiliśmy mu drewna.

– Powinieneś podzielić się z Alfredem.

– Chciałem.

– No to dlaczego uciekałeś? – spytał Alfred.

– Niosłem to matce do domu – zaprotestował Jack.

– Potem Alfred zeżarł wszystko.

Czternaście lat wychowania dzieci nauczyło Toma, że nie ma żadnych

szans na odkrycie, kto ma rację w dziecięcych sporach.

– Idźcie na śniadanie, wszyscy troje, a jeśli się dzisiaj zdarzy jakaś bójka, to ty, Alfredzie, skończysz z taką twarzą, jaką ma Jack. Ja będę tym, który się o to postara. A teraz... już was tu nie ma.

Tom i Ellen szli za nimi wolniejszym krokiem. Po chwili Ellen spytała:

– To wszystko, co masz do powiedzenia w tej sprawie? Tom rzucił na nią okiem. Ciągle była zła, ale na to nic nie mógł poradzić. Wzruszył ramionami.

– Jak zwykle winne są obie strony.

– Tom! Jak możesz coś takiego mówić?

– Jeden nie lepszy od drugiego.

– Alfred zabrał im bułki. Jack nazwał go świnią. To nie powód do krwawej bijatyki.

– Chłopcy zawsze się biją. Stracisz całe życie na rozsądzanie ich kłótni – potrząsnął głową. – Najlepiej pozostawić ich samym sobie.

– Tak nie można, Tom – powiedziała groźnym tonem. – Popatrz na twarz Jacka, a potem na twarz Alfreda. To nie jest wynik dziecięcej bójki. To złośliwy atak młodego mężczyzny na małego chłopca.

Tom niechętnie odniósł się do takiego postawienia sprawy. Alfred nie był w porządku, wiedział o tym, ale z Jackiem też było podobnie. Tom nie chciał, by Jack stał się ulubieńcem w rodzinie.

– Alfred nie jest dorosłym mężczyzną, ma czternaście lat. Ale pracuje. Pomaga w utrzymaniu rodziny, a Jack nie. Jack się bawi przez cały dzień jak dziecko. Moim zdaniem to oznacza, że Jack powinien odnosić się z szacunkiem do Alfreda. A on nic takiego nie czyni, jak sama zresztą widzisz.

– Nie obchodzi mnie to! – wybuchnęła Ellen. – Możesz gadać, co ci się podoba, ale mój syn jest dotkliwie poraniony, a może nawet poważnie okaleczony. Ja na to nie pozwolę! – zaczęła płakać. Po chwili spokojniejszym tonem, choć wciąż zdenerwowana, dodała: – Jest moim dzieckiem i nie mogę znieść, kiedy tak wygląda.

Tom współczuł jej i chciał ją jakoś pocieszyć, ale obawiał się poddać. Miał uczucie, że ta rozmowa może stać się punktem zwrotnym. Mieszkając w lesie tylko z matką, Jack zawsze otoczony był nadmierną troską. Tom chciał powiedzieć, że powinien nauczyć się przyjmować to, co niesie codzienne życie. Dziś się wydarzenie mogłoby, gdyby Tom inaczej zareagował, odbić się niekorzystnie w przyszłości. Zdawał sobie sprawę, że Alfred tym razem posunął się za daleko, i w duchu podjął decyzję, że nakłoni syna do tego, by zostawił Jacka w spokoju.

– Bójki są przecież częścią życia – powiedział do Ellen. – Jack musi się nauczyć walczyć albo unikać bójek. Nie mogę spędzić całego życia na bronieniu go.

– Możesz go ochronić przed swoim synem, który go tyranizuje!

Tom skrzywił się. Nienawidził nazywania syna tyranem.

– Mógłbym, ale tego nie zrobię – oświadczył gniewnie. – Jack musi nauczyć się bronić sam.

– Och, idź do diabła! – Ellen odwróciła się i odeszła.

Tom wkroczył do refektarza. Drewniana chata, gdzie jadali świeccy, została zniszczona upadkiem południowo-zachodniej wieży, teraz więc spożywali posiłki w refektarzu. Usiadł z daleka od wszystkich, nie czując potrzeby towarzystwa. Kuchcik przyniósł mu dzban piwa i kilka kromek chleba w koszyku. Powrzucał podrobione kawałki do piwa, by namiękły, i zaczął jeść.

Alfred jest duży i ma za wiele siły, pomyślał z dumą. Chłopak zachowuje się jak tyran, ale z czasem się uspokoi. Tom nie miał zamiaru skłaniać własnych dzieci do jakiegoś specjalnego traktowania przybysza. Musiały już wystarczająco dużo znieść. Straciły matkę, zostały zmuszone do wędrówki po drogach, groziła im niemal śmierć głodowa. Nie chciał wkładać im na barki dodatkowego ciężaru, jeśli mógł tego uniknąć. Należało im się trochę pobłażania. Jack powinien po prostu schodzić z drogi Alfredowi. Nie spadnie mu korona z głowy.

Sprzeczek z Ellen zawsze pozostawiał Toma z ciężkim sercem. Kłócili się

już kilka razy, zwykle o dzieci, lecz dzisiejsza wymiana zdań była ze wszystkich najgorsza. Kiedy miała taką zaciętą twarz i była tak wrogo usposobiona, nie potrafił sobie przypomnieć, jaką była kilka chwil wcześniej, nie czuł tej namiętnej miłości. Stawała się jakąś złą obcą osobą, intruzem w jego spokojnym życiu.

Z pierwszą żoną nigdy nie zdarzało mu się kłócić tak zaciekle. Wydawało mu się, że Agnes we wszystkich ważnych sprawach z nim się zgadzała, w każdym razie nigdy nie było między nimi gniewu. Tak powinno być między mężem i żoną, a Ellen powinna zrozumieć, że nie może być członkiem rodziny i w dalszym ciągu postępować na swój sposób.

Kiedy Ellen wpadała w największą złość, nie pragnął, by odeszła, ale myślał z żalem o Agnes. Była z nim tyle czasu. Za jej życia nie rozmyślał o tym, jakie szczęście go spotkało, że ją dostał, nie odczuwał też specjalnej wdzięczności. Teraz jednak, gdy umarła, tęsknił za nią i wstydził się, że posiadanie jej traktował jako rzecz oczywistą.

Prowadził czasami wyimaginowane rozmowy z Agnes. Przede wszystkim opowiadał o Jonathanie, ich malutkim synku. Tom widywał dziecko prawie każdego dnia, czasami w kuchni, czasami na krużgankach, a nawet w dormitorium. Chłopczyk zdawał się zupełnie zdrowy i radosny, a nikt – poza Ellen – nie podejrzewał, że Tom się jakoś specjalnie nim interesuje. Opowiadał Agnes o Alfredzie i przeorze Philipie, także o Ellen... Mówił o planach na przyszłość – o nadziei na pracę w Kingsbridge przez nadchodzące lata i swoim marzeniu, którym było projektowanie i budowanie nowej katedry. Wyobrażał sobie jej odpowiedzi i pytania. Czasami była rada, czasami dodawała odwagi, czasami zaciekawiona, podejrzliwa lub potępiająca. Gdyby komukolwiek wspomniał o tych rozmowach, pewnie by się rozeszło, że komunikuje się z duchem i skończyłoby się święconą wodą i egzorcyzmami. Wiedział jednak, że w tym, co przeżywa, nie ma nic nadprzyrodzonego. To po prostu dlatego, że dobrze znał Agnes i wiedział, co powiedziałaby w takiej sytuacji, a co w innej.

Tom zdawał sobie sprawę, że miał szczęście, trafiając na Ellen. W tym, iż wziął ją jak swoją, nie dostrzegając nic niebezpiecznego. Miała w sobie coś niezwykłego. Była jak magnes. Czuł wielką wdzięczność za to, że go pocieszyła w ten poranek po śmierci Agnes. Wolałby spotkać ją później, pozostać dłużej sam na sam ze swym złamanym sercem. Mógł nie zachowywać normalnego okresu żałoby, ale powinien mieć czas, by oswoić się z samotnością, zanim zacznie żyć z Ellen. Takie myśli nie pojawiały się w jego głowie, kiedy zagrożenie głodem zmieszane z erotyczną wizją Ellen wytworzyły w nim coś w rodzaju poczucia końca świata. Ale jak dostał pracę i poczuł się bezpieczny, zaczęły go nachodzić wyrzuty sumienia. Czasami zdawało mu się, że myśli o Agnes są nie tylko wyrazem tęsknoty do niej, lecz także żalem za własną młodością. Już nigdy nie będzie tak naiwny, tak zaborczy, tak pożądlivy...

Zjadł wszystko i opuścił refektarz przed innymi. Poszedł do krużganków. Był zadowolony z tego, co udało mu się tutaj zrobić, nie mógł nawet wyobrazić sobie, że zaledwie trzy tygodnie temu pokrywał je gruz. Jedyne ślady po katastrofie to kilka popękanych płyt chodnikowych, których nie dało się wymienić. Pozostało jeszcze mnóstwo pyłu. Powinien kazać pozamiatać krużganki jeszcze raz, a potem spryskać je wodą. Przeszedł przez zrujnowany kościół. W północnym transepcie dojrzał poczerniałą belkę z wypisanymi w sadzy słowami: „Alfred jest świnia”. Więc to go tak rozwścieczyło. W kilku miejscach leżały ledwie osmalone belki. Postanowił, że wydzieli grupę robotników, by je pozbierała i zaniosała do drewnutni. „Postaraj się, żeby plac budowy wyglądał czysto – mogłaby powiedzieć Agnes, kiedy ktoś ważny przyjeżdżał na wizytację. – Chcesz przecież, by czuli się radzi, że to ty tu rządysz”. Tak, kochanie, myślał Tom i uśmiechał się do siebie, idąc do pracy.

Orszak Walerana Bigoda widoczny był prawie na milę. Wszyscy sunęli równo przez pola. Sam Waleran jechał na przedzie, na karym wierzchovcu,

a jego czarna opończa powiewała na wietrze. Philip wraz ze starszyzną klasztorną czekał przy stajniach, by ich powitać.

Nie bardzo wiedział, jak traktować Walerana. Nie miał wątpliwości, że Waleran oszukał go, zatajając śmierć biskupa. Kiedy prawda wyszła na jaw, wcale nie wydawał się zawstydzony i przeor wciąż zastanawiał się, co o tym myśleć. Podejrzał, że wniesienie skargi niczego by nie zmieniło. Zresztą i tak cała ta sprawa usunęła się w cień, na skutek pożaru. Był natomiast przekonany, że musi strzec się Walerana w przyszłości.

Wierzchowiec, na którym jechał biskup elekt, wydawał się narowisty i zupełnie niezmużony mimo pokonania kilku mil. Wjeżdżając do stajni, Waleran musiał ostro spiąć wodze. Philip nie aprobował takich rzeczy, osoba duchowna nie powinna popisywać się na takim rumaku. Większość sług bożych wybierała spokojniejsze wierzchowce.

Bigod zgrabnie zeskoczył z konia i dał wodze stajennemu.

Philip powitał go oficjalnie. Waleran odwrócił się i spojrzał badawczo na ruiny. Chłodnym wzrokiem popatrzył na Philipa i powiedział:

– To bardzo kosztowny ogień, Philipie.

Ku zaskoczeniu przeora, nie wyglądał na strąpionego.

– To dzieło szatana, Ekscelencjo – pierwszy odpowiedział Remigius.

– Naprawdę? – rzekł Waleran. – Według mego doświadczenia, diabłu zwykle pomagają mnisi, którzy rozpalają ogień w kościele, by uniknąć zimna podczas prymarii, albo nieostrożnie zostawiają zapalone świece w dzwoniczach.

Philipa rozbawiła ta riposta, ale nie mógł pozwolić na dalsze insynuacje.

– Starąłem się dojść wszelkich możliwych przyczyn pożaru. Tej nocy nikt nie palił ognia w kościele, tego jestem pewien, bo byłem na prymarii. A na dach nikt nie wchodził od miesięcy.

– Jakie jest zatem wytłumaczenie... piorun? – spytał Waleran sceptycznie.

– Nie było burzy – Philip potrząsnął głową. – Zdaje się, że ogień zaczął się w pobliżu skrzyżowania naw. Po nabożeństwie, jak zwykle, zostawiliśmy zapa-

loną na ołtarzu świecę. Niewykluczone, że obrus na ołtarzu się zajął. Iskry mogły sięgnąć drewnianego pułapu, a ten był stary i suchy – wzruszył ramionami. – To wyjaśnienie nie jest zadowalające, ale jedyne, jakie mam.

Waleran skinął głową i rzekł:

– Przyjrzyjmy się dokładnie szkodom.

Ruszyli w stronę kościoła. Biskupowi elektowi towarzyszył Dean Baldwin, który razem z nim udał się w kierunku zgłiszcz. Kiedy szli przez murawę do kościoła, brat Remigius dotknął dłonią ramienia Walerana.

– Dom gościnny nie jest uszkodzony, Ekscelencjo.

Wszyscy stanęli i obejrzeni się. Philip z irytacją zastanawiał się, co też Remigius może mieć na myśli. Jeśli dom gościnny jest nieuszkodzony, to po co zatrzymywać wszystkich i przyglądać się mu? Przez dziedziniec klasztorny szła Ellen i wszyscy widzieli, jak wchodzi do domu. Spojrzał na Walerana. Wyglądał na lekko wstrząśniętego. Philip przypomniał sobie scenę z rezydencji biskupa, kiedy to Waleran na widok żony budowniczego wydawał się niemal przerażony. O co chodzi z tą kobietą?

Biskup elekt rzucił Remigiusowi krótkie spojrzenie i prawie niezauważalnie przytaknął ruchem głowy, po czym zapytał:

– Kto tam mieszka?

Philip był prawie pewny, że biskup ją rozpoznał, ale odpowiedział:

– Mistrz budowniczy z żoną.

Już wiedział, po co Remigius zwrócił uwagę na dom gościnny: chciał się upewnić, że Waleran widział tę kobietę. Przeor postanowił wypytać ją przy pierwszej nadarzającej się okazji.

Weszli w ruiny. Grupa siedmiu czy ośmiu ludzi, złożona z mnichów i klasztornych sług, podnosiła pod nadzorem Toma nadpaloną krokiew. Wokół panował ruch, ale widać było postępy w pracy. Philip czuł, że panująca tu atmosfera działa na jego korzyść, aczkolwiek było to zasługą budowniczego.

Tom podszedł, by się przywitać. Wzrostem przewyższał wszystkich obec-

nych.

– Oto nasz mistrz, Tom Budowniczy – rzekł Philip do Walerana. – Zdołał już się uporać z naprawą krużganków i przystosowaniem krypty do odprawiania mszy. Jesteśmy mu bardzo wdzięczni.

– Pamiętam ciebie – odparł Waleran, zwracając się do Toma. – Przyszedłeś do mnie zaraz po Bożym Narodzeniu, ale nie dałem ci pracy.

– To prawda – odrzekł Tom głębokim matowym głosem. – Może Bóg zachował mnie dla przeora Philipa, by pomóc w trudnej chwili.

– Murarz-teolog – kpiąco uśmiechnął się biskup elekt.

Twarz Toma lekko poczerwieniała pod warstwą pyłu. Philip pomyślał, że Waleran musi mieć mocne nerwy, by kpić z takiego wielkiego chłopca.

– Jak zaplanowałaś prace porządkowe? – spytał dostojny gość.

– Trzeba najpierw rozebrać resztki murów, aby to miejsce stało się bezpieczne – potulnie rzekł Tom. – Potem oczyścić plac i przygotować go do budowy nowego kościoła. Jak najszybciej powinniśmy znaleźć wysokie i potężne drzewa na krokwie nowego dachu. Im dłużej sezonuje się drewno, tym lepszy będzie dach.

Philip wtrącił się do rozmowy.

– Zanim znajdziemy drzewa, najpierw musimy znaleźć pieniądze, żeby móc za nie zapłacić.

– O tym porozmawiamy później – odparł enigmatycznie Waleran.

Ta uwaga zaintrygowała Philipa. Pragnął wierzyć, że biskup ma jakiś pomysł na zdobycie pieniędzy. Jeżeliby klasztor miał polegać jedynie na własnych źródłach dochodu, to nie będzie zdolny zapłacić jeszcze przez wiele lat. Budowa się odciągnie.

W minionych tygodniach nieraz myślał nad tym problemem, ale na razie nie znalazł żadnego rozwiązania.

Poprowadził grupę do krużganków ścieżką wśród ruin. Jedno spojrzenie wystarczyło Waleranowi, by się przekonać, że to miejsce jest już doprowadzo-

ne do porządku. Stąd przez murawę skierowali się do domu przeora.

Waleran zdjął wierzchnie okrycie i usiadł, wyciągnąwszy swe blade dłonie do ognia. Brat Milius podał gorące, zaprawione korzeniami wino. Waleran siorbnął ze swego kubka i rzekł:

– Czy wpadło ci do głowy, że Tom Budowniczy sam mógł podpalić, by dostać pracę?

– Tak, wpadło – odparł Philip. – Ale nie sądzę, by to zrobił. Musiałby wejść do kościoła, a ten był zaryglowany.

– Mógł tam wejść w ciągu dnia i ukrywając się, pozostać do nocy.

– Wtedy nie mógłby wyjść po podpaleniu – potrząsnął głową. Choć nie wiedział dlaczego, był pewien, że Tom jest niewinny. – Zresztą nie wierzę, żeby był do tego zdolny. Jest inteligentny, bardziej, niż to widać na pierwszy rzut oka, lecz nie przebiegły. Gdyby był winny, miałby to wypisane na twarzy w chwili, gdy patrzyłem mu w oczy i pytałem, czy wie, jak wybuchł pożar.

Wbrew oczekiwaniom Philipa, Waleran zgodził się z jego słowami.

– Wierzę, że masz rację. Nie mogę sobie go wyobrazić podpalającego kościół. To nie ten typ człowieka.

– Możemy nigdy się nie dowiedzieć, jak doszło do pożaru – stwierdził Philip – musimy jednak uporać się z problemem pieniędzy na budowę nowego kościoła. Nie wiem...

– Tak – przerwał Waleran i powstrzymał go gestem ręki. Zwrócił się do pozostałych: – Muszę porozmawiać z przeorem Philipem na osobności. Możecie nas opuścić.

To zaintrygowało Philipa. Nie umiał sobie wyobrazić, co też biskup Waleran ma do powiedzenia na ten temat.

– Zanim odejdziemy, Ekscelencjo, ośmielam się zadać jedno pytanie. Bracia mnie o to prosili – odezwał się Remigius.

Waleran podniósł brwi sceptycznie.

– A dlaczego prosili ciebie zamiast przeora?

– Bo przeor Philip był głuchy na nasze skargi.

Philip poczuł przyływ gniewu, nie wiedział jednak, o co chodzi. Nie składano żadnych skarg. Remigius próbuje mnie skompromitować przez wywołanie sceny przed biskupem elektem – wpadło mu do głowy. Dostrzegł pytające spojrzenie Walerana. Wzruszył ramionami i zrobił minę, jakby go to nie dotyczyło.

– Nie mogę się doczekać, by się dowiedzieć, na co byłem głuchy – oświadczył. – Proszę mów, bracie Remigiusie, o ile jesteś pewny, że sprawa jest dość ważna, aby zawracać głowę biskupowi.

– W klasztorze mieszka kobieta.

– Znowu to samo – rzekł Philip ze znużeniem. – Chodzi o żonę budowniczego. Mieszka w domu gościnnym.

– To wiedźma! – krzyknął subprzeor.

Philip nie wiedział, dlaczego Remigius drąży ten temat. Już raz się sparzył. Sprawa była sporna, to fakt, ale autorytetem był przeor i obowiązkiem biskupa Walerana było poprzeć przeora, jeśli nie chciał być wzywany za każdym razem, gdy zaistnieje różnica zdań między Remigusem i jego zwierzchnikiem. Znużony powiedział:

– To nie wiedźma.

– Czy wypytałeś tę kobietę?

Philip przypomniał sobie, że obiecał ją wypytać. Nie zrobił tego, widział się z jej mężem i polecił mu, aby zachowywała się stosownie do miejsca, sam osobiście z nią nie rozmawiał. Szkoda, bo dzięki temu Remigius zarabiał punkt, Philip jednakże miał przeczucie, że on coś ukrywa. Lekko się zaniepokoił.

– Nie wypytałem jej – przyznał się. – Lecz na czary nie ma żadnych dowodów, a cała rodzina to uczciwi chrześcijanie.

– Ona jest wiedźmą i cudzołożnicą! – Remigius zapłonął świętym oburzeniem.

– Czym?! – wybuchnął Philip. – Z kim cudzołoży?

– Z budowniczym.

– To jej mąż, głupcze!

– Nie, nie jest mężem! – triumfalnie zawołał subprzeor. – Nie są po ślubie, a znają się dopiero od miesiąca.

Philip poczuł się pobity. Tego nie podejrzewał. Remigius pokonał go przez całkowite zaskoczenie. Jeśli mówił prawdę, ta kobieta rzeczywiście była cudzołożnicą. Na ten rodzaj cudzołóstwa zwykle przymykano oko, bo wiele par żyło ze sobą bez ślubu. Swoje związki błogosławiły dopiero wtedy, gdy miały po temu okazję, często gdy pierwsze dziecko było już poczęte. Zdarzało się nawet, szczególnie wśród mieszkających w bardzo odległych i ubogich zakątkach kraju, że pary żyły ze sobą jak mąż i żona dziesiątki lat i wychowywały dzieci, a dopiero wstrząśnięte wizytą księdza prosiły go o poświęcenie ich związku. Coś takiego mogło być traktowane pobłaźliwie przez księdza w odległej parafii, jednakże nie można tolerować, aby pracownik służący Kościołowi żył w grzechu na terenie klasztoru.

– Skąd pewność, że nie są małżeństwem? – spytał sceptycznie, aczkolwiek czuł, że Remigius musiał sprawdzić fakty, zanim pośpieszył oznajmić o nich Waleranowi.

– Spotkałem ich synów podczas bójki i powiedzieli mi, że nie są braćmi. Wtedy wszystko wyszło na jaw.

Philip zawiódł się na budowniczym. Cudzołóstwo to grzech dość powszechny, ale szczególnie odrażający dla mnichów, którzy odrzucają wszelką zmysłowość. Jak Tom mógł się tak zachować? Powinien zdawać sobie sprawę, że może tym zrazić do siebie Philipa. Przeor bardziej rozżłościł się na Toma niż na swego zastępcę. A jednak Remigius był pełen jadu.

– Dlaczegoś mnie, przeorowi, o tym nie powiedział? – zwrócił się do Remigiusa.

– Dowiedziałem się o tym dopiero dziś rano.

Philip zgnębiony usiadł z powrotem na swym siedzisku. Oto zemsta Remigiusa. Wyszedł na durnia. Popatrzył na biskupa elekta. Za chwilę zapadnie wy-

rok.

Waleran się nie zastanawiał.

– Sprawa jest dosyć jasna – oświadczył. – Ta niewiasta musi wyznać swój grzech i uczynić publiczną pokutę. Musi opuścić klasztor i żyć z dala od budowniczego przez rok. Potem mogą się pobrać.

Rok rozłąki to ostra kara, lecz Philip był zdania, że zasłużyła sobie na to. Przecież zbezcześciła klasztor. Niepokoił się jednak, jak ona to przyjmie.

– A jeśli nie podporządkuje się twemu wyrokowi?

– To będzie się smażyć w piekle.

– Jeżeli opuści Kingsbridge, obawiam się, że Tom może odejść za nią.

– Są inni budowniczowie.

– Oczywiście. – Philipowi byłoby przykro rozstawać się z Tomem. Znów się zastanowił, dlaczego ta kobieta jest taka ważna.

– Teraz, bracia, wyjdźcie stąd i pozwólcie mi porozmawiać z waszym przeorem – odezwał się Waleran.

– Chwileczkę – ostro rzekł Philip. To był jego dom, a oni byli jego mnichami, on zatem może ich odsyłać, a nie Waleran. – Z budowniczym sam porozmawiam na ten temat. Żaden z was nie ma prawa nic mu wspominać. Za nieposłuszeństwo wobec mnie w tej sprawie zastosuję surowe kary. Czy to jasne, bracie Remigiusie?

– Tak.

Philip patrzył na niego w milczeniu. To była brzemienna cisza.

– Tak, ojcze – powiedział Remigius w końcu.

– W porządku, możecie odejść.

Remigius, Andrew, Milius, Cuthbert i Dean Baldwin wyszli razem. Waleran dolał sobie trochę wina i wyciągnął nogi ku ogniowi.

– Niewiasty zawsze powodują kłopoty. Kiedy klacz się grzeje, to ogiery zaczynają gryźć koniuchów i pojawiają się kłopoty. Nawet wałachy zaczynają dokazywać. Mnisi są jak wałachy: namiętność jest im zabroniona, ale potrafią wy-

czuć dupę.

Philip czuł się zażenowany. Nie było potrzeby, by tak dosadnie się wyrazić. Popatrzył na swoje ręce.

– Co z odbudową kościoła?

– No, tak. Zapewne już wiesz, że sprawa, z którą do mnie przyjechałeś – hrabiego Bartholomew i spisku przeciw królowi Stefanowi – obróciła się dla nas na dobre.

– Tak. – Philipowi wydawało się, że to było tak dawno, kiedy jechał do siedziby biskupa, drżąc ze strachu, aby opowiedzieć o spisku przeciw królowi wybranemu przez Kościół. – Słyszałem, że Percy Hamleigh zaatakował zamek hrabiego, a jego samego wziął do niewoli.

– To prawda. Bartholomew jest teraz w lochu w Winchesterze i oczekuje na wyrok. – Waleran wyrzekł te słowa z satysfakcją.

– A hrabia Robert z Gloucesteru? To był najpotężniejszy ze spiskowców.

– I dlatego otrzymał lżejszą karę. Właściwie wcale go nie ukarano. Złożył hołd królowi Stefanowi i jego udział w spisku został... przeoczony.

– Ale co to ma wspólnego z katedrą?

Waleran wstał i podszedł do okna. Kiedy tak patrzył na ruiny za oknem, w jego oczach pojawił się prawdziwy smutek. Przeor uświadomił sobie, że w głębi duszy biskupa elekta tkwi szczerą pobożność mimo jego światowych zachowań.

– Nasza rola w pokonaniu Bartholomew uczyniła z króla Stefana naszego dłużnika. Wkrótce pojedziemy do niego.

– Zobaczę króla! – Philip poczuł onieśmienie.

– A on nas zapyta, czego oczekujemy w nagrodę.

Philip zrozumiał nagle, o co chodzi Waleranowi.

– A my mu powiemy... – Waleran odwrócił się od okna i spojrzał na Philipa, a jego oczy błyszczały niczym czarne kamienie. – My powiemy mu, że chcemy nowej katedry dla Kingsbridge.

Tom wiedział, że Ellen wpadnie we wściekłość.

Była zła z powodu Jacka. Powinien ją ułagodzić, ale wieść o pokucie i tak spowoduje wybuch. Chciałby jakimś sposobem odwlec ten moment, lecz nie mógł, bo przeor Philip oświadczył, że Ellen musi opuścić klasztor przed zmierzchem. Powinien tedy powiedzieć jej wszystko natychmiast, a ponieważ rozmawiał z przeorem około południa, to z nią będzie musiał pomówić w czasie obiadu.

Kiedy mnisi zjedli, do refektarza weszli świeccy zatrudnieni w klasztorze. Przy stołach było pełno ludzi, ale Tom pomyślał, że może to i lepiej: obecność innych może nieco pohamować Ellen.

Wkrótce miał się przekonać, jak bardzo się mylił.

– Wiedzą, że nie jesteśmy małżeństwem – zaczął od tego, co wydawało mu się najmniej groźne.

– Kto im to powiedział? Jakiś intrygant? – spytała ze złością.

– Alfred. Ale nie miej mu tego za złe. Ten chytrus Remigius wyciągnął to z niego. Zresztą i tak nigdy nie przykazaliśmy dzieciom, by trzymały to w tajemnicy.

– Nie oskarżam chłopaka – rzekła spokojnie. – A co mówią?

Przechylił się nad stołem i wyszeptał:

– Mówią, że jesteś cudzołożnicą. – Miał nadzieję, że nikt tego nie słyszał.

– Cudzołożnica? – powtórzyła głośno. – A ty? Czy mnisi nie wiedzą, że do cudzołożenia trzeba dwojga?!

Siedzący obok zaczęli się śmiać.

– Ciszej! – upomniał ją Tom. – Powiedzieli, że mamy się pobrać.

Popatrzyła na niego twardo.

– Jeśli chodziłoby tylko o to, nie wyglądałbyś jak zbity pies, Tomie Budowniczy. Powiedz mi resztę.

– Oni chcą, byś wyznała swój grzech.

– Obludni nędznicy – rzekła z odrazą. – Noce spędzają jeden na drugim,

dorywając się do dziur, a potem mają czelność nazywać grzechem to, co my robimy!

Rozległy się głośne śmiechy, przerwano rozmowy, by posłuchać Ellen.

– Mów ciszej – poprosił Tom.

– Przypuszczam, że chcą także, bym odbyła pokutę. Przede wszystkim chodzi o upokorzenie. Co niby mam zrobić? No, dalej, powiedz mi całą prawdę, czarownicy nie okłamiesz!

– Nie mów tak, to jeszcze pogorszy sprawę! – syknął.

– Czego żądają?

– Mamy żyć oddzielnie przez rok, a ty masz pozostawać w czystości.

– Leję na to! – wrzasnęła Ellen.

Teraz wszyscy się przyglądali.

– Leję na ciebie, Tomie Budowniczy! – zawołała głośno. Uświadomiła sobie, że ma publiczność. – I na was wszystkich! – Większość się uśmiechnęła. Nie można było tego uznać za obrazę może dlatego, że wyglądała ślicznie, zarumieniona z gniewu, z szeroko otwartymi złotymi oczami. Wstała. – Leję na klasztor Kingsbridge! – Wskoczyła na stół, a aplauz dla niej buchnął ze wszystkich stron! Szła po stole, siedzący zaś przy nim zabierali miski i czarki piwa i odchyleni do tyłu, ryczeli ze śmiechu. – Leję na przeora! Leję na subprzeora, zakrystiana i kantora, na skarbnika i na wszystkie ich prawa i przywileje i na kufry wypchane srebrem! – Znalazła się przed małym stołem, za którym w czasie posiłków siedział lektor i czytał. Leżała tam otwarta księga. Ellen przeskoczyła na stolik.

Nagle Tom zrozumiał, co ona ma zamiar uczynić.

– Ellen! Nie!!

– Leję na Regułę świętego Benedykta! – zawyła najgłośniejszym głosem, jak umiała. Potem zakasała spódnicę, ugięła kolana i oddała mocz na otwartą księgę.

Mężczyźni pokładali się ze śmiechu, z uciechy walili pięściami w stoły, tupali i gwizdali. Tom nie był pewny, czy podzielali pogardę Ellen wobec reguły,

czy raczej wyrażali radość na widok obnażonej kobiety. W tej bezwstydney wulgarności było coś lubieżnego, ale podniecający był także widok tak otwartego lekceważenia tego, co mnisi chronili z pietyzmem. Zresztą, jakakolwiek była przyczyna, podobało im się ogromnie to, co zrobiła.

Ellen zeskoczyła ze stolika i wśród burzliwej aprobaty wybiegła z sali.

Wszyscy zaczęli mówić jednocześnie. Nikt do tej pory niczego podobnego nie widział. Tom był przerażony i zażenowany, wiedział, że skutki będą straszne. Coś w nim jednak szeptało: Co za kobieta!

Jack wstał i po chwili podążył za matką.

Tom popatrzył na dzieciaki. Alfred wydawał się zupełnie zdezorientowany, ale Martha chichotała.

– Chodźcie ze mną!

Kiedy znaleźli się na zewnątrz, Ellen nie było w zasięgu wzroku. Przeszli przez trawnik do domu gościnnego i tam ją zastali. Siedziała na stołku i czekała na nich. Włożyła już swą opończę, w rękę trzymała spakowany worek. Wyglądała spokojnie, chłodna i skupiona. Tomowi serce zamarło, kiedy zobaczył spakowany tobolek, ale udał, że go nie widzi.

– To będzie nas kosztowało piekielnie dużo.

– Nie wierzę w piekło.

– Mam nadzieję, że pozwolą ci to wyznać i odpokutować.

– Nie mam zamiaru się spowiadać.

Stracił panowanie nad sobą.

– Ellen, nie odchodź!

Wyglądała na zasmuconą.

– Posłuchaj, Tomie Budowniczy. Zanim mnie spotkałeś, miałam jedzenie i miejsce do życia. Byłam bezpieczna i samowystarczalna. Nikogo nie potrzebowałam. Od czasu kiedy jestem z tobą, otarłam się o śmierć głodową tak blisko, jak nigdy dotąd. Teraz masz pracę, ale w klasztorze nie ma bezpieczeństwa. Klasztor nie ma pieniędzy na budowę nowego kościoła, a ciebie znowu

czeka droga.

– Przeor zdobędzie jakoś pieniądze. Jestem tego pewny.

– Tego nie możesz wiedzieć na pewno.

– Nie wierzysz – powiedział gorzko. Zanim zdołał się powstrzymać, dodał:

– Jesteś taka sama jak Agnes, nie wierzysz w moją katedrę.

– Och, Tom, gdyby chodziło tylko o mnie, tobym została – odparła ze smutkiem. – Ale spójrz na mego syna.

Jack miał twarz fioletową od siniaków, spuchnięte nozdrza, pełne zaschniętej krwi, i złamany przedni ząb.

– Obawiałam się, że wyrośnie na zwierzę, wychowując się samotnie w lesie. A jednak cena nauki życia wśród ludzi jest za wysoka. Wracam do lasu.

– Nie! – rzekł Tom desperacko. – Pomówmy o tym. Nie podejmuj pochopnych decyzji...

– Nie jest pochopna, nie jest pochopna – powtórzyła pełna żalu. – Jestem zbyt przygnębiona, aby się kłócić. Naprawdę chcę być twoją żoną, lecz nie za taką cenę.

Gdyby Alfred nie gonił Jacka, nic by się nie wydarzyło. Ale przecież to była tylko bójka, nic innego, rozmyślał Tom. A może Ellen miała rację, kiedy mu mówiła, że jest ślepy na postęпки Alfreda? Mógł się mylić co do syna. Może powinien mieć twardszą rękę? Bójki to jedna sprawa, ale Jack i Martha byli przecież od Alfreda mniejsi. Może i był tyranem.

Teraz jednak było już za późno, by to zmienić.

– Zostań we wsi – prosił Tom z rozpaczą. – Poczekaj trochę, aby zobaczyć, co się stanie.

– Nie wydaje mi się, żeby mnisi na to pozwolili.

Miała rację. Wieś należała do klasztoru i wszyscy wieśniacy płacili klasztorowi należności, zwykle w postaci dniówek. Mnisi mogli nie pozwolić na to, by zatrzymał się w niej ktoś, kogo sobie nie życzyli. Nie można byłoby mieć za złe wieśniakom, gdyby nie przyjęli Ellen. Podjęła decyzję, a nawet sama doprowa-

dziła do tego, że nie może jej zmienić.

– A więc idę z tobą. Klasztor jest mi winien już siedemdziesiąt dwa pensy. Ruszemy znowu na trakt. Przetrwaliśmy do tej pory...

– A co z dziećmi? – przerwała mu łagodnie.

Tom przypomniał sobie, jak Martha płakała z głodu. Wiedział, że nie może wymagać od małej takiej ofiary. Ponadto tutaj, wśród mnichów, znajdował się jego syn Jonathan. Nie chcę go znowu opuścić, pomyślał. Raz to zrobiłem i znieawidziłem się za to.

A jednak nie mógł się zgodzić na utratę Ellen, nie zniósłby tego.

– Nie szarp się. Nie pójdę z tobą znowu na wędrownkę – stwierdziła Ellen spokojnie. – To nie jest rozwiązanie... w każdym razie byłoby nam gorzej niż teraz. Ja wracam do lasu, a ty nie pójdiesz ze mną.

Wpatrywał się w nią. Pragnął uwierzyć, że nie powiedziała tego poważnie, ale wyraz jej twarzy przekonał go. Nie wiedział, jak ją powstrzymać. Otworzył usta, lecz nie potrafił znaleźć żadnych słów. Poczul się bezradny. Ellen ciężko oddychała, a pierś jej falowała ze wzruszenia. Pragnął jej dotknąć, choć czuł, że ona tego nie chce. Może już nigdy jej nie obejmę, pomyślał. To było trudne do zniesienia. Przez ostatnie tygodnie co noc leżał przy niej i dotykał jej równie pewnie, jak dotykał siebie, a teraz nagle mu tego wzbroniono, a ona stawała się obca.

– Nie patrz tak żałośnie – powiedziała. Oczy miała pełne łez.

– Nie mogę. Jestem smutny.

– Przykro mi, że sprawiam ci ból.

– Niech ci będzie przykro, że kiedyś uczyniłaś mnie szczęśliwym. To rani, kobieto. To, że dałaś mi tyle szczęścia.

Z jej ust wyrwał się szloch. Odwróciła się i wyszła bez słowa.

Jack i Martha poszli za nią. Alfred zawahał się, popatrując ze skrupowaniem, potem wyszedł za nimi.

Tom wpatrywał się w stół, na którym przed chwilą siedziała. Nie, to nie-

możliwe, ona nie może mnie opuścić.

Usiadł na stołku. Jeszcze zachował ciepło jej ciała, tego ciała, które tak bardzo kochał. Zacisnął zęby, powstrzymując łzy.

Wiedział, że Ellen nie zmieni zdania. Nawet się nie zawaha. Ona nie cofa swoich decyzji.

Chociaż może się zdarzyć, że będzie żałować.

Pochwyił się strzępka nadziei. Wiedział, że go miłuje. To się nie zmieniło. Jeszcze tej nocy kochali się zapamiętali, jak ludzie straszliwie spragnieni, a potem, kiedy on był już zaspokojony, ona przetoczyła się na niego i całowała pożądliwie, dopóki rozkosz nie wyczerpała jej zupełnie. I nie chodziło tylko o to, by się kochać. Lubili przebywać ze sobą. Rozmawiali znacznie więcej, niż rozmawiał kiedykolwiek z Agnes. Będzie do mnie tęskniła tak samo, jak ja do niej, pomyślał. Po pewnym czasie, kiedy już ucichnie jej gniew i przyzwyczai się do nowego trybu życia, zatęskni do kogoś, z kim mogłaby porozmawiać, zapagnie ciała, którego mogłaby dotykać, brodatej twarzy, którą będzie chciała całować. Wtedy pomyśli o mnie.

Ale jest dumna. Może zbyt dumna, by wrócić.

Zerwał się ze stołka. Musi jej powiedzieć, co mu przyszło do głowy. Wybiegł z domu. Ellen stała jeszcze przy klasztornej furcie, żegnając się z Marthą. Porwał ją w objęcia.

– Żegnaj, Tom. – Uśmiechnęła się do niego smutno.

Pochwyił ją za rękę.

– Wrócisz kiedyś? Po prostu, by się z nami zobaczyć? Jeśli będę wiedzieć, że nie odchodzisz na zawsze, że jeszcze cię kiedyś zobaczę, choćby przez chwilę, to może jakoś to zniosę.

Zawahała się.

– Błagam.

– Zgoda – rzekła wreszcie.

– Przysięgnij!

- Nie wierzę w przysięgi.
- Ale ja wierzę.
- Dobrze. Przysięgam.
- Dziękuję.

Przygarnął ją łagodnie do siebie. Nie opierała się. Uścisnął ją i znowu stracił opanowanie. Łzy popłynęły mu po twarzy. W końcu się wyrwała. Niechętnie na to pozwolił. Skierowała się w stronę furty.

W tej chwili ze stajni dobiegł hałas, odgłosy wydawane przez narowistego konia, tupot i parskanie. Mimowolnie się obejrzeni. To był czarny ogier, którego biskup elekt właśnie dosiadał. Oczy Walerana Bigoda napotkały wzrok Ellen. Zastygł.

A Ellen zaczęła śpiewać.

Tom nie słyszał nigdy tej piosenki, choć często słuchał śpiewu Ellen. Melodia była straszliwie smutna. Słowa francuskie, ale całkiem dobrze je rozumiał.

*W siatkę ptasznika złapany słowik
Śpiewa piękniej niż kiedykolwiek,
A kiedy piosenka zanika,
Rozluźnia się sidło ptasznika.*

Tom spoglądał to na nią, to na biskupa. Waleran osłupiał ze zgrozy; usta miał otwarte, oczy wybaluszone, a twarz białą jak trup. Tom nie rozumiał, jak prosta piosenka może przerażać takiego człowieka?

*O zmierzchu ptasznik swoje wziął
A słowik był w niewoli.
Ptakom i ludziom przychodzi kres,
Lecz piosenka się wyzwoli.*

Ellen zawołała:

– Żegnaj, Waleranie Bigodzie! Opuszczam Kingsbridge, ale nie ciebie.

Będę z tobą w twoich snach!

I w moich, pomyślał Tom.

Przez chwilę nikt się nie poruszył.

Ellen odwróciła się i ujęła Jacka za rękę. Wszyscy patrzyli w milczeniu, jak przechodzą przez furtę i nikną w gęstniejącym zmierzchu.

CZEŚĆ DRUGA

1136-1137

Rozdział 5

I

Po odejściu Ellen niedziele w domu gościnnym stały się bardzo spokojne. Alfred grał w piłkę z wyrostkiem wiejskim na łące za rzeką. Martha, która tęskniła za Jackiem, bawiła się lalką, zbierała zioła, robiła polewki. Tom pracował nad projektem katedry.

Chyba ze dwa razy napomykał przeorowi Philipowi, że powinien zastanowić się nad tym, jaki kościół właściwie chce zbudować, ale przeor nie zauważał jego uwag, a może je ignorował, miał przecież tyle na głowie. Tom natomiast myślał o tym bez przerwy, szczególnie w niedziele.

Lubił usiąść w drzwiach domu gościnnego i patrzeć na ruiny za murawą. Czasem na dachówce łupkowej rysował szkice, ale przeważnie układał w myśli różne plany. Wiedział, że dla większości ludzi wyobrażanie sobie trójwymiarowych obiektów i wielkich przestrzeni było trudne, jeśli nie niemożliwe, ale jemu to nie sprawiało trudności.

Zyskał zaufanie i wdzięczność przeora dzięki sposobowi, w jaki poradził sobie z usuwaniem szkód po pożarze, ale przeor widział w nim wyłącznie murarza, który może pracować nad gotowym projektem. Musi więc przekonać

mnicha, że jest zdolny sam zaprojektować, a potem budować katedrę.

Pewnej niedzieli, jakieś dwa miesiące po tym jak odeszła Ellen, poczuł, że ma gotowy pewien zamysł.

Splótł matę z trzciny i giętkich gałązek, mniej więcej dwie stopy na trzy. Obudował ją ramką z miękkiego drewna, tak że przypominała bardzo płytką tacę. Potem uprażył kilka kawałków wapnia, domieszał trochę gęstego gipsu, wreszcie wypełnił tacę tą mieszaniną. Kiedy zaprawa twardniała, narysował na niej igłą linie. Posługiwał się przymiarem i kątownikiem, aby uzyskać linie i kąty proste. Za pomocą cyrkla narysował krzywe.

Miał zrobić trzy rysunki: przekrój, aby ukazać konstrukcję; plan elewacji, by zobrazować wspaniałe proporcje; oraz rzut poziomy. Zaczął od przekroju.

Wyobraził sobie katedrę jako długi bochenek chleba; po przecięciu go można przedstawić sobie to, co znajduje się w środku. Wziął się do rysowania.

To proste. Najpierw ciąg arkad o spłaszczonym łuku. To nawa. Powinna mieć płaski drewniany pułap, jak w spalonym kościele. Tom wolałby zbudować wygięty strop z kamienia, ale wiedział, że klasztoru nie stać na takie rozwiązanie.

Na szczycie nawy narysował trójkątny dach. Szerokość budynku była określona przez szerokość dachu, a tę z kolei determinowała długość odpowiednich krokwi. Znalezienie krokwi dłuższych niż trzydzieści pięć stóp było niezmiernie trudne, a poza tym niezwykle kosztowne. (Dobrą krokień ceniono sobie tak bardzo, że zaznaczano odpowiednie drzewo i sprzedawano, zanim osiągnęło pożądaną wysokość).

Nawa, którą sobie wyobraził, była wysoka, niemożliwie wysoka. Lecz katedry powinny być budowlami wywołującymi silne odczucia, budzącymi grozę swoją wielkością, a jednocześnie dającymi wrażenie lekkości, powodujące wznoszenie oczu ku niebu. Ludzie przybywali do katedr między innymi dlatego, że były one największymi budynkami na świecie. Kto nie odwiedził katedry, mógł przez całe życie nie widzieć nic większego od własnej chaty.

Tak wysoka budowla, jaką narysował Tom, zawałiłaby się. Ciężar dachu mógł okazać się za duży dla ścian, które mogłyby runąć. Musiały być jakoś podparte.

W tym celu Tom po obu stronach nawy zaznaczył dwa łukowo zwieńczone przejścia sięgające w górę do połowy jej wysokości. To nawy boczne. One będą miały kamienne sklepienia; ponieważ mają być niższe i węższe, więc wydatek na kamienne stropy nie będzie aż tak wielki. Każdą nawę boczną będzie pokrywał ukośny jednospadowy dach.

Boczne nawy, połączone z nawą główną kamiennymi sklepieniami, dadzą już ścianom trochę oparcia, ale nie sięgną dostatecznie wysoko. Powinien więc zbudować dodatkowe podpory.

Narysował jedną. Wysunięta do przodu klinowata część muru, wyrastająca ze szczytu ściany nawy bocznej ku ścianie nawy głównej. Tam, gdzie przypora spoczywała na ścianie nawy bocznej, Tom wzmocnił jej ankier masywną skarpą wystającą na zewnątrz. Na szczycie przypory umieścił wieżyczkę, by dodać ciężaru i uprzyjemnić wygląd.

Nie można zbudować tak wysokiego kościoła bez elementów wzmacniających nawy boczne, podpór i przypór. To jednak może być trudne do wyjaśnienia mnichowi, więc Tom narysował szkic, by ułatwić mu zrozumienie.

Zaznaczył także głębokie fundamenty. Laików zawsze dziwi głębokość fundamentów.

Oczywiście rysunek był zbyt prosty, by mógł się nim posługiwać budownicz, ale nadawał się do pokazania przeorowi Philipowi. Tom chciał, by przeor w pełni pojął jego projekt i ujrzał w wyobraźni budowlę, aby obudziło się w nim zainteresowanie. Trudno sobie przedstawić solidny, potężny kościół, kiedy ma się przed sobą tylko kilka kresek naskrobanych na gipsie. Przeor Philip będzie potrzebował jego pomocy.

Ściany, które narysował, widziane od zewnątrz wydawały się pełne, ale takimi by nie były. Teraz przystąpił do ukazania bocznej ściany nawy, widzianej

z wnętrza kościoła. Podzielona była na trzy poziomy. Najniższy z trudem tylko można było nazwać ścianą: stanowił ją po prostu rząd kolumn, których szczyty łączyły półkolisty łuki. To nazywano arkadą. Przez łuki arkad widać było też kolisty zwieńczone okna nawy bocznej. Musiały być ustawione dokładnie w linii arkad, by nie tamowały dostępu światła. Kolumnom w środku miały odpowiadać skarpy ściany zewnętrznej.

Nad każdym wielkim łukiem arkady zaznaczył rząd trzech małych łuków tworzących galerię. Przez te łuki nie miało wpadać światło, za nimi bowiem przewidział przylegający dach nawy bocznej.

Następnie zaznaczył rząd okienek-szwielików, biegnących nad galerią, nazywanych tak dlatego, że oświetlały górną część nawy.

W czasach kiedy budowano spaloną katedrę Kingsbridge, dla murarzy gwarancją wytrzymałości ścian była ich grubość. Dzisiejsi budowniczowie rozumieli już, że mury będą mocne, jeśli zostaną postawione prosto.

Tom zaprojektował trzy poziomy ściany nawy, w proporcji 3:1:2. Arkada miała połowę wysokości ściany, a galeria jedną trzecią reszty. Proporcje kościoła decydowały o wszystkim: dawały podświadome wrażenie prawidłowości całego budynku. Przyglądając się rysunkowi, pomyślał, że wygląda całkiem wdzięcznie. Czy jednak przeor Philip też tak pomyśli? Tom potrafił wyobrazić sobie rzędy arkad wzdłuż nawy głównej i naw bocznych, ich profilowania i rzeźby uwydatnione popołudniowym słońcem... ale czy Philip będzie umiał dojrzeć.

Przystąpił do trzeciego rysunku. Miał to być rzut poziomy kościoła. W wyobraźni zobaczył dwanaście łuków. Kościół zostanie podzielony na dwanaście części, zwanych przęsłami. W nawie będzie sześć przęseł, w prezbiterium zaś cztery. Między nimi, zajmując przestrzeń przęsła siódmego i ósmego, znajdzie się skrzyżowanie, skąd będą się ciągnąć transepty, a nad nimi wznosić się będzie wieża.

Wszystkie katedry i niemal wszystkie kościoły buduje się na planie krzyża.

Krzyż stanowił jedyny i najprostszy znak chrześcijaństwa – to jasne, ale istniał też bardziej prozaiczny powód: transepty dawały dodatkową przestrzeń na kaplice i inne miejsca sakralne, na przykład zakrystię.

Kiedy już ukończył prosty plan poziomy, wrócił do głównego rysunku, pokazującego wnętrze kościoła od zachodniego krańca. Rysował wieżę, wyrastającą z tyłu ponad nawę.

Wieża powinna być półtora albo dwa razy wyższa od nawy. Rozwiązanie pierwsze nadaje budynkowi przyjemny regularny kształt, gdzie nawy boczne, nawa główna i wieża rosną w stosunku 1:2:3. Wieża nadaje budowli bardziej dramatyczny wygląd. W tym rozwiązaniu nawa powtarza rozmiar naw bocznych, a wieża rozmiar nawy głównej; proporcja wynosi 1:2:4. Tom wybrał wersję dramatyczną – to ma być jego jedyna katedra, niech więc sięga nieba. Miał nadzieję, że przeor zgodzi się z nim.

Jeśliby przeor Philip zaakceptował projekt, Tom powinien narysować go ponownie – tym razem bardziej fachowo. A potem nadszedłby czas na kolejne rysunki, setki rysunków: plinty, kolumny, kapitele, kroksztyny, ościeżnice, krążyny, gzymsy, rzygacze, a także niezliczone inne detale – robota na lata. To jednak, co leżało przed nim, to istota jego budowli; wydawała się dobra – prosta, niedroga, pełna wdzięku i doskonale wyważona w proporcjach.

Nie mógł się doczekać chwili, gdy komuś to pokaże.

Planował wykorzystać stosowną okazję, by przedstawić plan przeorowi, ale teraz, kiedy już wykonał rysunek, miał ochotę zapoznać z nim przeora natychmiast.

Czy jednak mnich nie uzna go za zbyt pewnego siebie? Przeor nie prosił go o przygotowanie projektu. Może ma innego mistrza budowniczego, może słyszał o kimś, kto pracował już w jakimś klasztorze i wykonał dobrą robotę. Może wyśmiać aspiracje Toma.

Z drugiej strony, jeżeli mu nie pokaże swojej pracy, przeor może myśleć, że budowniczy nie ma zdolności do projektowania, i zechce wynająć kogoś, nie

rozważając nawet kandydatury Toma. Nie, na to nie może pozwolić, lepiej już niech uznają go za zbyt pewnego siebie.

Popołudnie ciągle było jasne. W krużgankach prawdopodobnie mnisi studiują księgi. Przeor Philip powinien być w swym domu, pewnie czyta Biblię. Tom postanowił pójść do niego i pokazać mu swój projekt.

Idąc ruinami, uzmysłowił sobie, ile kłopotów wiąże się z budową. Ci wszyscy rzemieślnicy, te kamienie, belki, te wszystkie lata. Musiałby nad tym zapamiętać, czuwać nad systematycznością dostaw, sprawdzać jakość kamienia i drewna, przyjmować i wyrzucać ludzi, sprawdzać ich pracę pionem i poziomnicą, robić szablony do profilowań, projektować i wykonywać urządzenia podnoszące: dźwigi, bloki, kołowroty... Zastanawiał się, czy rzeczywiście potrafiłby temu podolać.

I wtedy pomyślał o niesamowitym wrażeniu, jakie wywołuje zrobienie czegoś z niczego, o przejmującym dreszczu na widok nowego kościoła w miejscu, gdzie teraz leży wyłącznie gruz, kiedy będzie mógł powiedzieć: ja to uczyniłem.

A potem do jego myśli wkradła się Agnes. Trudno mu było przyznać się do tego, że jego żona umarła bez księdza i została pochowana w niepoświęconej ziemi. Pragnął wrócić do jej grobu z kapłanem, odmówić z nim modlitwy i może położyć jakiś nieduży kamień. Obawiał się jednak, że wtedy wyjdzie na jaw sprawa porzucenia dziecka. A porzucenie dziecka uważano za morderstwo. W miarę upływu czasu coraz bardziej martwił się o los duszy Agnes. Bał się zapytać księdza, bo musiałby podać szczegóły. Pocieszał się jedynie myślą, że jeśli zbuduje katedrę, to Bóg z pewnością będzie go chciał nagrodzić. Zastanawiał się, czy mógłby poprosić Pana Boga, by zamiast honorować jego, zechciał przyjąć duszę Agnes. Gdyby mógł ofiarować swoją pracę przy budowie katedry za duszę Agnes, czułby, że została zbawiona, a on może spocząć w spokoju.

Doszedł do domu przeora. Był to kamienny nieduży budynek. Choć było zimno, drzwi stały otworem. Zawahał się. Jestem znawcą, spokojnym,

pewnym siebie fachowcem, dodawał sobie otuchy. Mistrzem nowoczesnego budownictwa. Po prostu człowiekiem, któremu z radością można zaufać.

Wkroczył do środka. Była to tylko pojedyncza komnata. Pod jedną ścianą stało wielkie łóżce ze zbyt kownymi zasłonami, pod drugą ustawiono ołtarzyk z krucyfiksem i świecznikiem. Przy oknie dostrzegł przeora Philipa, który ze zmarszczonym czołem czytał jakieś pismo na welinowym papierze. Popatrzył na Toma i uśmiechnął się.

– Co tam masz?

– Rysunki, ojcie – odrzekł Tom, starając się mówić głosem głębokim i przekonywającym. – Rysunki nowej katedry. Mogę pokazać?

Philip wydawał się zaskoczony, ale i zaniekawiony.

– Oczywiście!

W kącie znajdował się duży pulpit do czytania. Tom przeniósł go bliżej okna i położył na nim swój model. Przeor Philip spojrział na schemat, a Tom przyglądał się jego twarzy. Nie wiedział, czy kiedykolwiek mnich oglądał coś podobnego. Twarz przeora ściągnęła się w zakłopotaniu.

Tom zaczął wyjaśniać.

– Stoisz, ojcie, pośrodku nawy, patrzysz na ścianę. Tu są filary arkad. Łączą je łuki. A tutaj widać okna nawy bocznej. Nad arkadami znajduje się galeria, a nad nią z kolei okienka-światliki.

Wyraz twarzy przeora powoli rozjaśniał się. Szybko pojmował. Popatrzył na rzut poziomy, a Tom zauważył, że to także sprawia mu kłopot.

– Kiedy chodzimy po placu i zaznaczamy, gdzie mają być mury, gdzie filary mają stykać się z ziemią, a gdzie będą miejsca na drzwi i przypory, musimy mieć plan taki jak ten.

Zrozumienie wróciło na twarz Philipa. Tom pomyślał, że nareszcie przedstawił się jako znawca sztuki budowania. W końcu przeor spojrział na przekrój.

– Tu w środku jest nawa główna pokryta belkowanym sufitem – wyjaśniał Tom. – Za nawą wieża. To są nawy boczne, po obu stronach. Przy zewnętrz-

nych ścianach naw bocznych są przypory.

– Wygląda wspaniale – rzekł Philip. Tom zauważył, że ta część projektu w szczególności przyciągnęła jego uwagę, bo ukazywała wizję wnętrza kościoła.

Philip przyjrzał się znowu planowi poziomemu.

– Czy w nawie jest tylko sześć przęseł?

– Tak, a cztery w prezbiterium.

– Czy to nie za mało?

– Stać cię na więcej, ojcze?

– Nie stać mnie wcale na budowę – odrzekł Philip. – Nie sądzę, abys miał jakieś pojęcie o tym, ile to wszystko może kosztować, mam rację?

– Wiem doskonale, jaki będzie koszt tej katedry. – Na twarzy mnicha pojawiło się zaskoczenie; nie sądził, że Tom potrafi liczyć. A Tom poświęcił wiele godzin na obliczenie kosztu swego projektu, aż po ostatniego pensa. Philipowi podał jednakże zaokrągloną liczbę. – Nie będzie kosztować więcej niż trzy tysiące funtów.

Philip zrobił niewesołą minę.

– Ostatnie kilka tygodni spędziłem na zapoznaniu się z rocznym dochodem klasztoru. – Pomachał kartą welinu, którą czytał z niepokojem, kiedy wchodził Tom. – Tutaj jest odpowiedź. Trzysta funtów rocznie. I wydajemy to co do pensa.

Toma to nie zaskoczyło. Słyszał o tym, że w przeszłości źle zarządzano klasztorem. Miał jednak zaufanie do reform przeora Philipa, wierzył, że dzięki nim finanse klasztoru ulegną poprawie.

– Ojcze, ty znajdziesz pieniądze. Z Bożą pomocą – dodał pobożnie.

– Jak długo potrwałaby budowa? – Philip znowu spojrzął na rysunki.

– To zależy od tego, ilu ludzi będzie pracowało. Jeśli zatrudnisz trzydziestu murarzy, ojcze, z dostateczną liczbą pomocników i terminatorów, a także cieśli i kowali, to może potrwać piętnaście lat: rok na fundamenty, cztery lata na pre-

zbiterium, cztery lata na transepty, a sześć na nawę główną.

Widać było, że zrobił wrażenie na przeorze.

– Chciałbym, by moi mnisi umieli tak liczyć i tak wybiegać myślą w przód.
– Patrzył zadumany na rysunki. – Czyli muszę znaleźć dwieście funtów rocznie.
Jeśli tak to ująć, to nie brzmi najgorzej. – Zadumał się. Tom poczuł podniecenie: Philip zaczynał myśleć o budowie jako zamiarze wykonalnym, a nie tylko abstrakcyjnym projekcie. – Przypuśćmy, że znajdę więcej pieniędzy, czy wtedy będziemy mogli budować szybciej?

– Do pewnego stopnia – odrzekł ostrożnie. Nie chciał, by przeor był nastawiony zbyt optymistycznie; to mogło prowadzić do rozczarowań. – Możesz, ojczy, przyjąć sześćdziesięciu murarzy i wznosić cały kościół od razu, zamiast budować go ze wschodu na zachód. To może zająć osiem do dziesięciu lat. Więcej ludzi na placu budowy o tych rozmiarach będzie wchodzić sobie wzajemnie w drogę, a to spowolni pracę.

Philip skinął głową. Zdawał się pojmować to wszystko bez trudności.

– Mogę ukończyć część wschodnią w pięć lat nawet z trzydziestoma murarzami – ciągnął Tom. – Będzie można wykorzystywać ją na nabożeństwa i umieścić w niej nowy relikwiarz na szczątki świętego Adolphusa.

– Rzeczywiście – Philip znowu się ożywił. – Myślałem, że dziesięciolecia upłyną, zanim będziemy mieli nowy kościół. – Popatrzył na Toma przebiegle. – A czy ty już kiedyś budowałeś katedrę?

– Nie, chociaż projektowałem i budowałem mniejsze kościoły, ale pracowałem przy katedrze exeterskiej przez kilka lat, pod koniec jako zastępca mistrza budowniczego.

– Sam chcesz budować tę katedrę, prawda?

Tom się zawahał. Z przeorem Philipem lepiej być szczerym, on nie pozwoli na krętactwa.

– Tak, ojczy, chciałbym, żebyś mnie wyznaczył na mistrza budowniczego tej katedry – rzekł tak spokojnie, jak tylko potrafił.

– Dlaczego?

To pytanie zaskoczyło Toma. Powodów było tak wiele... Dlatego że widziałem wiele katedr i kościołów źle wykonanych, a wiem, że umiałbym zrobić to lepiej, pomyślał. Dlatego że nie ma nic bardziej satysfakcjonującego dla rzemieślnika, niż sprawdzać i ćwiczyć swe umiejętności, może tylko z wyjątkiem kochania się z piękną kobietą. Bo to nadaje sens życiu. Jakiej odpowiedzi spodziewa się przeor Philip? Jaką chciałby usłyszeć? Pewnie wolałby, żeby powiedział coś pobożnego. Postanowił wyznać prawdę.

– Bo to będzie piękne.

Philip patrzył na niego dziwnie. Tom nie umiał odczytać z jego twarzy, czy jest zły, czy chodzi mu o coś innego.

– „Bo to będzie piękne” – powtórzył mnich. Tom zaczął czuć, że to głupi powód, i pragnął powiedzieć coś więcej, ale nie mógł się zdecydować. Raptem zauważył, że przeor wcale nie odnosi się sceptycznie do jego słów, lecz jest poruszony. Powód podany przez Toma chwycił go za serce. Skinął głową, jakby zgadzając się z jakąś swoją refleksją, i stwierdził: – Tak. Cóż może być lepszego, niż zrobić dla Boga rzecz piękną?

Tom czekał. Przeor nie powiedział: „Tak, będziesz mistrzem budowniczym”.

Mnich zdawał się dojrzewać do decyzji.

– W najbliższych dniach wybieram się z biskupem Waleranem do Winchesteru, by spotkać się z królem. Nie znam dokładnie planów biskupa, ale pewny jestem, że będziemy prosić króla Stefana o wsparcie budowy nowego kościoła katedralnego w Kingsbridge.

– Miejmy nadzieję, ojcze, że król spełni twoje życzenia.

– Jest nam winien przysługę – rzekł Philip, uśmiechając się enigmatycznie.

– Powinien nam pomóc.

– A jeśli tak?

– Myślę, Tomie Budowniczy, że Bóg miał jakiś zamiśl, przysyłając ciebie

do mnie. Jeśli król Stefan da nam pieniądze, możesz budować kościół.

Teraz Tom był poruszony. Nie wiedział, co powiedzieć.

Spełniło się marzenie jego życia, choć pod pewnymi warunkami. Wszystko zależało od tego, z czym Philip przyjedzie od króla. Skinął głową, przyjmując obietnicę i ryzyko.

– Dziękuję ci, ojcze.

Zabrział dzwon, wzywając na nieszpory. Tom położył rękę na gipsowym modelu.

– Potrzebujesz tę tablicę? – spytał przeor.

Tom uświadomił sobie, że zostawienie szkicu to niezły pomysł. Może przypominać przeorowi o podjętej decyzji.

– Nie, nie będę potrzebował. Mam wszystko w pamięci.

– Dobrze, chciałbym ją tu zatrzymać.

Tom kiwnął głową i poszedł do drzwi.

Przypomniało mu się, że pragnął zapytać o Agnes. Teraz była dobra chwila. Odwrócił się.

– Ojcze?

– Tak.

– Moja pierwsza żona... Miała na imię Agnes. Umarła bez księdza i nie jest pochowana w poświęconej ziemi. Ona nie grzeszyła, to tylko takie... okoliczności. Zastanawiam się... Czasem ktoś buduje kaplicę albo funduje klasztor w nadziei, że w przyszłym życiu Bóg będzie pamiętać jego pobożność. Czy myślisz, ojcze, że mój projekt może przysłużyć się do zbawienia duszy Agnes?

Philip ściągnął brwi.

– Abrahama poprosił Bóg o złożenie w ofierze jedynego syna. Nigdy więcej nie prosił o takie poświęcenie, bo ostateczna ofiara została dokonana. Z historii Abrahama wypływa lekcja, że Bóg wymaga od nas tego, co w nas najlepsze, tego, co dla nas najcenniejsze. Czy ten projekt jest najlepszą rzeczą, jaką możesz ofiarować Bogu?

- Poza dziećmi, tak.
- Pozostawaj więc w spokoju, Tomie Budowniczy. Bóg przyjmie twoją ofiarę.

II

Philip nie miał pojęcia, jaki cel przyświecał Waleranowi Bigodowi, który wyznaczył spotkanie w ruinach zamku hrabiego Bartholomew.

Aby tam dojechać, musiał wybrać się dzień wcześniej do Shiring i zanoćwać, a dopiero o świcie udać się do Earlscastle. Kiedy jego koń galopował w stronę zamku, przysłoniętego nieco poranną mgłą, przeor pomyślał, że stało się tak zapewne wskutek zbiegu okoliczności: Waleran prawdopodobnie był w drodze i było mu tu bliżej do Earlscastle niż do Kingsbridge, a zamek stanowi dobry punkt orientacyjny.

Przeor chciał poznać plany biskupa elekta. Nie widział go od dnia inspekcji po pożarze. Waleran nie wiedział, ile pieniędzy Philip będzie potrzebował na katedrę, a on nie miał pojęcia, o co właściwie biskup zamierza prosić króla, gdyż nie ujawnił swych planów. To Philipa denerwowało.

Rad był, że Tom Budowniczy powiedział, co jest niezbędne do budowy katedry, jakkolwiek nie były to pocieszające informacje. Chociaż Tom miał trudności z czytaniem i pisanem, ale umiał zaprojektować katedrę, narysować plany, zrobić konieczne obliczenia oraz przedstawić koszty. Poza tym sprawiał wrażenie spokojnego człowieka i miał wspaniałą prezencję – bardzo wysoki, o brodatej, ogorzalej twarzy, miłych, łagodnych oczach i wysokim czole. Philip czasami czuł się przy nim lekko onieśmielony i próbował to ukryć, przybierając serdeczne tony. Tom był bardzo skromny i w żaden sposób nie mógł wpaść na myśl, że onieśmiela Philipa. Rozmowa o żonie wzruszyła przeora i odkryła pokłady pobożności, o które Toma nie podejrzewał. Widać należał do tego rodza-

ju ludzi, którzy swą religijność noszą w sercu głęboko. Tacy niekiedy okazują się najlepsi.

Kiedy Philip zbliżał się do Earlscastle, czuł wzrastający niepokój. Niegdyś był to kwitnący zamek, który bronił okolicznych ziem, zatrudniał i żywił wielu ludzi. Teraz został zrujnowany, chaty, które tłoczyły się dokoła, opustoszały niczym gniazda na nagich gałęziach drzewa. On ponosił za to odpowiedzialność. Ujawnił zaplanowany tutaj spisek i spowodował wybuch gniewu Bożego, którego uosobieniem stał się Percy Hamleigh. Ściągnął gniew Boży na głowy mieszkańców zamku i na sam zamek.

Zauważył, że mury i brama nie zostały uszkodzone podczas walki. Prawdopodobnie napastnicy dostali się do środka, zanim zamknięto bramy. Poprowadził konia przez drewniany most i wszedł na pierwsze z dwu obwałowań. Tutaj ślady walki były wyraźne – poza kamienną kaplicą wszystkie budynki zostały zamienione w kilka sterczących z ziemi pieńków i niewielkie kupki popiołu, który wiatr zepchnął pod mury zamku.

Nic nie wskazywało na obecność biskupa. Przeor przejechał przez dziedzińiec, przebył most po przeciwnej stronie i dotarł do wielkiej kamiennej twierdzy z niepewnie wyglądającymi schodami prowadzącymi na piętro. Popatrzył na tę obronną budowlę, na małe, bezpieczne otwory strzelnicze – chociaż to wszystko było potężne, nie uratowało hrabiego Bartholomew.

Przez jeden z tych otworów mógłby przyjrzeć się okolicy i wyglądać biskupa, pomyślał. Przywiązał konia do poręczy i ruszył schodami w górę.

Drzwi otwarły się pod dotknięciem. Wszedł. Wielka komnata była ciemna i zakurzona, a sitowie na podłodze wyschło na wiór. Zobaczył schody wiodące wyżej, a także zimne palenisko. Podeszedł do okna. Kurz przyprawił go o kichanie. Przez okno niewiele widział, postanowił więc wejść na górę.

Kiedy znalazł się u szczytu schodów, ujrzał dwoje drzwi. Domyślił się, że te mniejsze prowadzą do ustępu, a większe do komnaty hrabiego. Otworzył te większe.

Komnata nie była pusta.

Philip zatrzymał się zmartwiały. Pośrodku pomieszczenia stała naprzeciw niego młoda kobieta nadzwyczajnej piękności. Przez chwilę sądził, że to wizja, i serce zabiło mu szybciej. Długie wijące się włosy okalały czarowną twarz. Wpatrywała się w niego wielkimi ciemnymi oczyma i zauważył, że, podobnie jak on, jest zaskoczona. Odprężył się. Już miał zrobić następny krok, kiedy raptem pochwyciły go od tyłu czyjeś ręce i poczuł na szyi zimne ostrze długiego noża.

– Kimże, u diabła, jesteś? – zapytał męski głos.

Dziewczyna ruszyła w jego stronę.

– Powiedz, jak się nazywasz, albo Matthew cię zabije – odezwała się królewskim tonem.

Jej maniery pozwalały przypuszczać, że jest z urodzenia szlachcianką, ale nawet szlachcie nie wolno grozić mnichom.

– Rozkaż Matthew, by zabrał swe łapy z przeora Kingsbridge, albo się to dla niego źle skończy – powiedział Philip spokojnie.

Poczuł, że zwolniono uścisk. Spojrzał do tyłu i dostrzegł szczupłego mężczyznę w swoim wieku. Ten Matthew prawdopodobnie właśnie wyszedł z ustępu, pomyślał.

Odwrócił się z powrotem ku dziewczynie. Wyglądała na siedemnaście lat. Pomimo wyniosłych manier strój miała wyświechtany. Kiedy przyglądał się jej, z kufra pod ścianą wygramolił się wyrostek o nieco ogłupiałej minie. Trzymał miecz. Leżał w kufrze, kryjąc się lub czekając.

– A kim ty jesteś? – zapytał Philip dziewczynę.

– Jestem Aliena, córka Bartholomew, hrabiego Shiring.

Córka! Nie przypuszczałem, że ona ciągle tu mieszka, zdziwił się przeor. Popatrzył na chłopca, miał jakieś piętnaście lat i był podobny do dziewczyny, z wyjątkiem zadartego nosa i krótkich włosów. Philip przeniósł pytające spojrzenie na niego.

– Jestem Richard, spadkobierca hrabiego – łamiącym się głosem podrostka przedstawił się chłopiec.

– A ja jestem Matthew, zarządca zamku – rozległ się męski głos za plecami przeora Kingsbridge.

Philip uświadomił sobie, że ta trójka ukrywa się tutaj od czasu uwięzienia hrabiego. Zarządca opiekował się dziećmi; musiał mieć dobrze ukryty schowek z żywnością albo pieniędzmi. Zwrócił się do dziewczyny.

– Wiem, gdzie jest wasz ojciec, ale co z waszą matką?

– Umarła wiele lat temu.

Przeszyło go poczucie winy. Te dzieci potencjalnie były sierotami, a on w pewnej mierze przyczynił się do tego.

– Nie macie krewnych, którzy by się wami zaopiekowali?

– Ja doglądam zamku, póki nie wróci ojciec – odrzekła.

Żyją we śnie, jakby w dalszym ciągu należeli do bogatej i możnej rodziny. Lecz jej ojciec był w niełasce, wtrącony do lochu, a ona była przecież taką samą dziewczyną jak inne. Hrabia Bartholomew nie wróci do swego zamku, chyba że król Stefan każe go powiesić właśnie tutaj. Żałował dziewczyny, ale też w jakiś sposób podziwiał siłę, z jaką wierzyła w swoje urojenia. Dzięki niej nakłoniła tych dwu do uwierzenia w jej fantazje. Pomyślał, że mogłaby być królową.

Rozległ się stukot kopyt; kilka koni przejeżdżało po drewnianym moście. Aliena zwróciła się do Philipa:

– Po co tu przybyłeś?

– Na spotkanie – odrzekł.

Odwrócił się i zrobił krok w stronę drzwi. Matthew zastąpił mu drogę. Przez chwilę stali spokojnie, twarzą w twarz. Czwórka ludzi w komnacie, w całkowitym bezruchu. Philip zastanowił się, czy będą chcieli powstrzymać go przed wyjściem. Zarządca jednak przepuścił go.

Ruszył do wyjścia. Podtrzymując habit, pośpieszył w dół po spiralnych

schodach. Kiedy już docierał do stóp, usłyszał za sobą szybkie kroki. Dogonił go Matthew.

– Nie mów nikomu, że tam jesteśmy, ojcze.

Zorientował się, że zarządca rozumie nierealność tej sytuacji.

– Jak długo tutaj zostanieiecie? – spytał go.

– Jak długo nam się uda.

– A jeśli będziecie musieli odejść? Co wtedy?

– Nie wiem.

– Dochowam tajemnicy – skinął głową.

– Dziękuję, ojcze.

Philip przeszedł przez zakurzoną wielką komnatę i wyszedł na zewnątrz. Zobaczył biskupa Walerana i dwu ludzi prowadzących konie, by przywiązać je obok jego wierzchowca. Biskup miał na sobie ciężką opończę podbitą czarnym futrem i czarną futrzaną czapę. Spojrzał do góry i dostrzegł przeora.

– Wasza Ekscelencjo – rzekł Philip z szacunkiem. Zszedł po drewnianych schodach. Obraz dziewczyny ciągle jeszcze zaprzętał jego myśli i miał ochotę potrząsnąć głową, by się go pozbyć.

Waleran zsiadł z konia. Towarzyszył mu Dean Baldwin i zbrojny przyboczny. Przeor skinął im głową, po czym ukląkł i pocałował biskupa w rękę.

Ten przyjął jego hold, ale go nie przedłużał. Zaraz cofnął dłoń. To władza, a nie jej oznaki, była tym, co kochał Waleran Bigod.

– Samotnie, Philipie?

– Tak, klasztor jest biedny, a eskorta dla mnie to zbędny wydatek. Kiedy byłem przeorem u Świętego Jana w Lesie, zawsze jeździłem sam i wciąż żyję.

Waleran wzruszył ramionami.

– Chodź ze mną. Chcę ci coś pokazać.

Pomaszerowali szybko w stronę najbliższej wieży. Weszli na jej szczyt i stanęli na blankach, oglądając okolicę.

– To jedno z mniejszych hrabstw w kraju – rzekł Waleran.

– Rzeczywiście. – Philipa przebiegł dreszcz. Wiał zimny, porywisty wiatr, a jego peleryna była przewiewna. Zastanawiał się, do czego zmierza biskup.

– Część z tych ziem jest urodzajna, ale większość to lasy i kamienne wzgórza.

– Tak. – Gdyby dzień był jasny, mogliby stąd dojrzeć wiele akrów lasu i ziem uprawnych, ale teraz, aczkolwiek wczesna mgła już się rozwiała, widzieli zaledwie skraj lasu na południu i płaskie nagie pola w pobliżu zamku.

– To hrabstwo ma także kamieniołom dający wapień pierwszej klasy – ciągnął Waleran. – Akry lasu mogą dostarczyć dobry budulec. Folwarki również wytwarzają niemało bogactw. Gdybyśmy mieli to hrabstwo, Philipie, moglibyśmy bez kłopotów zbudować twoją katedrę.

– Gdyby ciocia miała wąsy, toby był wujaszek.

– O, człowieku małej wiary!

– Mówisz poważnie, Ekscelencjo? – przeor spojrział podejrzliwie.

– Bardzo.

Philip odnosił się do tego sceptycznie, ale mimowolnie zaczęła świtać mu nadzieja. Gdybyż to się spełniło!

– Król potrzebuje militarnego wsparcia. Da hrabstwo temu, kto może poprowadzić rycerzy do walki – rzekł.

– Król Kościołowi zawdzięcza koronę, a jego zwycięstwo nad Bartholomew to zasługa twoja i moja. Rycerze nie są wszystkim, czego mu trzeba.

Waleran był poważny. Philip dostrzegł to. Czy jest to możliwe? Czy król mógł tak po prostu przekazać hrabstwo Shiring Kościołowi? Trudno było w to uwierzyć. Przeor nie mógł jednak odsunąć natrętnych myśli. Jakby to było cudownie mieć kamień, drewno oraz pieniądze na zapłatę dla rzemieślników. Wszystko podane na tacy! Przypomniał sobie ponadto słowa Toma Budowniczego, który powiedział, że można byłoby zatrudnić sześćdziesięciu murarzy i skończyć kościół za osiem, może dziesięć lat. Sama myśl już zapierała dech.

– A co z poprzednim właścicielem?

– Bartholomew przyznał się do zdrady. Nigdy nie zaprzeczał, że spiskował, ale przez jakiś czas utrzymywał, że to nie była zdrada, gdyż Stefan to uzurpator. Jednakże podczas tortur wyśpiewał wszystko.

Philip zadrzał i starał się nie myśleć o tym, co zrobili hrabiemu, aby złamać opór tego twardego człowieka.

Odsunął złe myśli.

– Hrabstwo Shiring – mrucał do siebie. To niewiarygodnie ambitne żądanie. Pomysł jednak ekscytujący. Poczul, że przepelnia go irracjonalny optymizm.

Waleran rzucił okiem na niebo.

– Ruszajmy. Król spodziewa się nas pojutrze.

William Hamleigh bacznie obserwował dwu duchownych ze swej kryjówki za blankami drugiej wieży. Znał ich obu. Ten wysoki, wyglądający jak kos z powodu wystającego nosa i czarnej opończy, był nowym biskupem Kingsbridge. Ten niższy, energiczny, o ogolonej głowie i jasnych niebieskich oczach to przeor Philip. Zastanawiał się, co też oni tutaj robią.

Zobaczył przeora, kiedy ten przybył na zamek. William nie wiedział, czy mnich spotkał kogoś z trójki zamieszkującej twierdzę. Był w środku tylko kilka chwil, a oni mogli się przed nim ukryć. Skoro tylko nadjechał biskup, przeor Philip wyszedł na zewnątrz i obaj udali się na wieżę. Teraz biskup gestem właściciela wskazywał okoliczne ziemie, a Williamowi wydawało się, że oddaje się rozmowie z wielkim zapalem, przeor zaś sprawiał wrażenie sceptycznego. To, że spiskują, było pewne.

A niech tam, przyszedł tutaj, by szpiegować Alienę.

Czynił to coraz częściej. Zawładnęła całkowicie jego umysłem. Wyobrażał sobie, że biegnie do niej, nagiej i związanej, przez pola pszenicy, widział ją zstraszoną w rogu jego sypialni. Te sny na jawie sprawiły, że musiał ją zoba-

czyć. Przyjeżdżał do Earlscastle wcześniej rano. Zostawiał Waltera, by pilnował koni w lesie, a sam szedł przez pola do twierdzy. Wkradał się do środka i, dobrze ukryty, obserwował. Czasami musiał długo czekać, nim ją mógł zobaczyć. Jego cierpliwość poddawana była srogim próbom. Kiedy wreszcie się pojawiała, gardło mu wysychało, serce biło szybciej, a dłonie się pociły. Często wychodziła z bratem albo ze zniewieściałym sługą, ale czasami była sama. Pewnego letniego popołudnia, kiedy czekał już od wczesnego ranka, podeszła do studni, wyciągnęła trochę wody, a potem zdjęła ubranie, by się umyć i wyprać rzeczy. Przypomnienie tego wydarzenia rozpałiło go na nowo. Miała duże, sterczące piersi, które poruszały się drażniąco, kiedy podnosiła ręce, by namydlić włosy. Jej sutki marszczyły się zachwycająco, gdy opryskiwała się zimną wodą. Widział też zaskakujący gąszcz ciemnych, kręconych włosów między jej nogami. Kiedy się podmywała, pocierając z wigorem namydloną ręką, William nie mógł się opanować i trysnął w ubranie.

Nic równie miłego nie powtórzyło się od tamtego czasu, chociaż zdarzyły się mniejsze przyjemności. Kiedy była sama, czasami śpiewała, czasami nawet do siebie mówiła. William widział, jak wiązała włosy, jak tańczyła, jak goniła, niczym małe dziecko, gołębice na murach. Podglądanie jej, gdy zajmowała się drobnymi osobistymi sprawami, dawało mu poczucie władzy nad nią, a to było smakowite.

Aliena nie wyjdzie, póki przeor i biskup są na zamku, to oczywiste. Na szczęście nie zostali długo. Opuścili blanki całkiem szybko, a w kilka chwil potem i oni, i ich towarzysze wyjechali z zamku. Czyżby zjawili się tylko po to, by podziwiać widoki? Jeśli tak, to niezbyt im się powiodło, bo pogoda była nie najlepsza.

Zarządca wychodził po opał wcześniej, zanim tamci przybyli. Gotował w twierdzy. Wkrótce będzie musiał pójść do studni po wodę. William domyślił się, że jadali polewkę, bo nie mieli piekarnika, żeby upiec chleb. W ciągu dnia zarządca nieraz opuszcza zamek, czasami zabiera ze sobą chłopca. Gdy już

wyjdą, to tylko kwestia czasu, by pokazała się Aliena.

Kiedy się nudził czekaniem, przywoływał w myślach obraz myjącej się Alieny. To było niemal tak przyjemne, jak samo zdarzenie. Teraz jednak nie był usposobiony. Wizyta biskupa i przeora jakoś skaziła atmosferę. Do dzisiaj panował tu nastrój zaklętego zamku, ale przybycie tych zupełnie niemagicznych mężczyzn na zabłoconych koniach sprawiło, że czar prysnął.

Przez chwilę znów zastanawiał się nad celem ich wizyty. Był pewny, że coś knują. Tylko jedna osoba mogła coś poradzić – matka. Postanowił „porzucić” Alienę i pojechać do domu zdać sprawę.

Do Winchesteru przybyli o zmroku następnego dnia. Wjechali Bramą Królewską w południowej części muru miejskiego, po czym skierowali się prosto na zamknięty dziedziniec katedry. Tam się rozdzielili. Waleran pojechał do rezydencji biskupa Winchesteru, znajdującej się na gruntach biskupa, przylegających do katedralnego podwórca, a Philip poszedł pokłonić się przeorowi i prosić go o nocleg w dormitorium.

Po trzech dniach drogi spokój i cisza klasztoru zdały mu się równie odświeżające jak fontanna w gorący dzień. Rumiany i białowłose przeor miał miłe obejście – zaprosił Philipa do siebie na kolację. W czasie posiłku rozmawiali o swoich biskupach, Winchesteru i Kingsbridge. Przeor z Winchesteru lękał się swego zwierzchnika i zupełnie mu się podporządkował. Philip zdawał sobie sprawę, że z człowiekiem o tak potężnych wpływach lepiej się nie kłócić, mimo wszystko jednak nie miał zamiaru poddać się całkowicie jego władzy.

Spał jak zabity i obudził się dopiero na jutrznię. Kiedy wszedł do katedry, poczuł się onieśmielony.

Przeor powiedział mu, że to największy kościół na świecie, a teraz mógł się przekonać, że to prawda. Miał chyba długość sięgającą jednej ósmej mili – widywał wioski, które zmieściłyby się wewnątrz. Kościół miał dwie wielkie wie-

że, jedną nad skrzyżowaniem, drugą nad zachodnim krańcem. Środkowa wieża trzydzieści lat temu runęła na grób Wilhelma, bezbożnego króla, którego przede wszystkim nie należało grzebać w kościele, ale ją odbudowano. Śpiewając jutrznię, Philip wyczuwał panującą w świątyni aurę dostojności i potęgi. Przez porównanie z tym kościołem, katedra zaprojektowana przez Toma wydawała się o wiele skromniejsza. Uświadomił sobie, że zaczyna wkraczać w najwyższe sfery. Ta myśl go zdenerwowała. Przecież jest tylko zwykłym chłopakiem z Walii, któremu przydarzyło się to szczęście, że został mnichem. Dzisiaj zaś ma mówić z królem. Czy ma do tego prawo?

Położył się, ale nie mógł zasnąć. Obawiał się, że może powiedzieć albo uczynić coś, co obrazi króla Stefana lub biskupa Winchesteru i nastawi ich nieprzychylnie do problemów Kingsbridge. Ludzie urodzeni we Francji często kpi-li ze sposobu, w jaki Anglicy mówili ich językiem. A co dopiero pomyślą o akcencie walijskim? W mnisim świecie oceniano Philipa według jego pobożności, posłuszeństwa i poświęcenia w służbie Bogu. Te rzeczy jednak nic nie znaczyły w stolicy jednego z największych królestw świata. Philip denerwował się coraz bardziej. Zaczęła prześladować go myśl, że jest kimś w rodzaju szalbierza, że udaje kogoś, choć jest nikim, i na pewno to kręctwo zostanie natychmiast odkryte, a on odesłany w niełasce.

Wstał o świcie i poszedł na prymarię, potem zjadł śniadanie w refektarzu. Mnisi spożywali biały chleb i pili mocne piwo – to był bogaty klasztor. Po śniadaniu udał się do biskupiej rezydencji, zbudowanej z pięknego kamienia, wyposażonej w wielkie okna i otoczonej pięknym ogrodem.

Waleran oczekiwał pewnego poparcia od biskupa Winchesteru w realizacji swego horrendalnego planu. Biskup był na tyle potężny, że mógł pomóc Waleranowi w osiągnięciu celu. Zwał się Henrykiem z Blois, był młodszym bratem króla. Cieszył się opinią najmożniejszego, najlepiej ustosunkowanego duchownego Anglii, a ponieważ pełnił też funkcję opata zasobnego klasztoru Glastonbury, uważano go za najbogatszego. Spodziewano się także, że zostanie nastę-

nym arcybiskupem Canterbury. Kingsbridge nie mogło mieć potężniejszego sojusznika. Może jednak się uda, dodawał sobie ducha Philip, może król wyrazi zgodę i wspomógł, byśmy mogli wybudować nową katedrę. Kiedy tak o tym myślał, czuł, że gdzieś w sercu na nowo rozpała się iskierka nadziei.

Zarządca domu biskupa Henryka poinformował, że Jego Ekscelencja później niż zazwyczaj pojawi się publicznie tego ranka. Philip czuł się zanadto niespokojny, by wrócić do klasztoru. Z uczuciem niecierpliwości wyszedł, by obejrzeć największe miasto, jakie kiedykolwiek widział.

Zamek biskupa mieścił się na południowo-zachodnim krańcu ogrodu. Philip szedł wzdłuż zachodniego muru przez tereny jeszcze innego klasztoru, opactwa Świętej Marii, i dotarł do miejsca, które wydawało się wyłożone skórą i wełną. Obszar ten przecinały strumyki. Przyjrawszy im się bliżej, mnich zorientował się, że nie są to naturalne ciekły, ale kanały wykopane przez ludzi, którzy w ten sposób wykorzystali wody rzeki Itchen do zasilenia warsztatów zajmujących się garbowaniem skór i praniem runa. Takie przedsiębiorstwa zwykle sytuowano w pobliżu rzek, a Philip nie mógł wyjść z podziwu, jak zdolny musi być człowiek, który umie doprowadzić wodę do swego warsztatu, zamiast podążać po nią do rzeki.

Mimo rozwiniętego rzemiosła miasto było znacznie cichsze i mniej zatłoczone niż którekolwiek z dotychczas mu znanych. Na przykład Salisbury czy Hereford wydawały się ściśnięte w swych murach jak tłuscioch w ciasnej tunicy; domy stały za blisko jeden drugiego, podwórka były za małe, place targowe zatłoczone, a ulice zbyt wąskie. Ludzie i zwierzęta przepychali się, by znaleźć sobie miejsce, wokół panowała atmosfera walki, a do potyczek mogło dojść w każdej chwili. Miasto Winchester sprawiało wrażenie dużego. Miejsca, jak sądził Philip, starczało dla wszystkich. Podczas spaceru zauważył, że odczucie przestrzenności po części bierze się z tego, że miasto zbudowano jak prostokątny ruszt. Ulice w większości biegły prosto i przecinały się pod kątem prostym. Nigdy i nigdzie wcześniej tego nie widział. Miasto musiało powstać według

planu.

Znajdowały się w nim tuziny kościołów, wszelkich kształtów i rozmiarów, drewniane i kamienne, każdy z nich służył swemu otoczeniu. Trzeba sporo pieniędzy, by utrzymać tylu kapłanów, pomyślał Philip.

Spacer Fleshmonger Street przyprawił go o lekkie mdłości. Nigdy nie widział w jednym miejscu takich ilości surowego mięsa. Krew wyciekała ze sklepów rzeźniczych prosto na ulicę, a między nogami klientów przemykały tłuste szczury.

Południowy kraniec tej ulicy wychodził w samym środku High Street, naprzeciw starej rezydencji króla. Nie była używana od czasu, kiedy wybudowano nowy zamek, ale w mennicy królewskiej w dalszym ciągu bito srebrne pensy, pod osłoną grubych ścian i okratowanych okien, za bramami o żelaznych antabach, z żelazną opuszczaną kratą. Philip patrzył przez chwilę na skry lecące za każdym uderzeniem młotów w sztance, przejęty tak jawnym bogactwem, które miał przed oczyma.

Kilkoro ludzi także przyglądało się temu widokowi. Niewątpliwie wszyscy odwiedzający Winchester przychodzili obejrzeć pracę w mennicy. Młoda kobieta stojąca niedaleko uśmiechnęła się do Philipa, a on odwzajemnił uśmiech.

– Za srebrnego pensa możesz zrobić ze mną, co ci się podoba.

Zastanowił się, o co jej chodzi, i niejasno uśmiechnął się w odpowiedzi. Wtedy rozsunęła poły opończy i, ku swemu przerażeniu, zobaczył, że jest pod nią zupełnie naga.

– Wszystko, co tylko chcesz, za srebrnego pensa – powtórzyła.

Targnęło nim uczucie nagłego pożądania, jakby przeniknął go duch pamięci żądy; wtedy zrozumiał, że to dziwka. Poczuł, iż twarz czerwienieje mu z zażenowania. Odwrócił się szybko i odszedł, byle znaleźć się jak najdalej.

– Nie bój się! – wołała. – Lubię takie miłe gładkie głowy. – Jej drwiący śmiech gonił za nim.

Czując gorąco i zmieszanie, skręcił szybko w boczną uliczkę odchodzącą

od High Street i znalazł się na targowisku. Nad straganami wyrastały wieże katedry. Pośpieszył przez tłum, nie zwracając uwagi na kramarzy, i odnalazł drogę powrotną do klasztoru.

Uporządkowany spokój klasztornej otoczenia odczuł niczym świeży powiew. Na cmentarzu przystanął, by zebrać myśli. Czuł się oburzony i zawstydzony. Jak ona śmiała zaczepiać człowieka w habicie? Najwidoczniej dostrzegła, że jest gościem w tym mieście... Czy to możliwe, by przebywający z dala od swych klasztorów mogli korzystać z jej usług? No, oczywiście, doszedł do wniosku, mnisi popełniają te same grzechy co inni ludzie. Wstrząsnęło nim bezwstydne zachowanie tej dziwki. Widok nagiego ciała pozostawał w nim, jak płomień świecy pozostaje w oczach, gdy przez chwilę patrzy się nań, a potem zamknie powieki.

Westchnął. Oto poranek mocnych wrażeń: strumienie wody płynące korytem zbudowanym ludzką ręką, szczury w rzeźniczych sklepach, stopy pensów w mennicy, a wreszcie intymne części ciała kobiety. Wiedział, że po pewnym czasie te obrazy będą przeszkadzać mu w godzinach medytacji.

Wszedł do katedry. Czuł się zanadto zbrukany, ale przejście przez nawę główną i potem przez transept południowy oczyściło go trochę. Terenem klasztornym podążył do siedziby biskupa.

Na parterze była kaplica. Philip wspiął się po schodach i zatrzymał się przy drzwiach. Stała tam mała grupka złożona ze służby i duchownych, niektórzy siedzieli na ławach ciągnących się pod ścianami. Przy stole po przeciwnej stronie sali dostrzegł Walerana i biskupa Henryka. Zarządca domu zwrócił się do Philipa.

- Wielebni biskupi właśnie jedzą śniadanie – jakby Philip tego nie widział.
- Przyłączę się do nich – odrzekł.
- Radzę poczekać – poradził zarządca.

Philip pomyślał, że zarządca wziął go za zwykłego mnicha.

- Jestem przeorem Kingsbridge.

Zarządca wzruszył ramionami i ustąpił z drogi.

Philip zbliżył się do stołu. Biskup Henryk siedział u szczytu, mając po prawej Walerana. Był niskim mężczyzną o szerokich barach, wojowniczej twarzy, mniej więcej w wieku Walerana, rok lub dwa lata starszy od Philipa, nie miał więcej niż trzydziestkę. Jednakże, w przeciwieństwie do śmiertelnie bladej twarzy Walerana i kościstej Philipa, jego twarz odznaczała się kwitnącą cerą i pełnymi policzkami rubasznego żarłoka. Oczy miał czujne i inteligentne i sprawiał wrażenie człowieka zdecydowanego. Jako najmłodszy z czterech braci prawdopodobnie przez całe życie musiał o wszystko walczyć. Philipa zaskoczyła ogolona głowa biskupa, znak, że kiedyś złożył śluby i wciąż uważa się za mnicha. Nie nosił jednak samodzielnego habitu, lecz był odziany we wspaniałą suknię z purpurowego jedwabiu. Waleran zaś pod swą zwykłą czarną sutannę wdział nieskazitelnie białą koszulę i przeor uświadomił sobie, że biskupi już się wystroili na wizytę u króla. Jedli zimną wołowinę i pili czerwone wino. Philip po spacerze zgłodniał, więc na widok jedzenia pociekła mu ślinka.

Waleran podniósł wzrok i zobaczył go. Cień irytacji przebiegł mu przez twarz.

– Witam, wielebni ojcowie – rzekł Philip.

– To jest mój przeor – zwrócił się Waleran do biskupa Henryka.

Philipowi nie spodobał się ten sposób przedstawienia. Powiedział więc:

– Philip z Gwynedd, przeor Kingsbridge, Ekscelencjo.

Przypuszczał, że będzie musiał pocałować upierścienioną dłoń biskupa Henryka, ale ten odrzekł zaledwie:

– Wspaniale. – Ugryzł następny kęs wołowiny.

Philip stał niepewnie. Czy nie mają zamiaru poprosić go, by usiadł?

– Wkrótce do ciebie dołączymy, Philipie – oznajmił Waleran.

Zrozumiał, że został odprawiony. Odwrócił się w poczuciu upokorzenia. Zarządca spojrzał na niego wzrokiem mówiącym: „A nie mówiłem?”. Philip stanął z dala od pozostałych. Nagle zawstydził się z powodu poplamionej

odzieży, którą nosił dzień w dzień przez pół roku. Benedyktyni często farbowali habity na czarno, ale w Kingsbridge zaprzestano tego wiele lat temu, by oszczędzać pieniądze. Zawsze sądził, że ubieranie się w cienkie szaty jest próżnością, która nie przystoi sługom Boga, niezależnie od ich rangi. Teraz jednak zrozumiał, że jest w tym jakiś sens. Gdyby miał na sobie jedwab i futro, może nie zostałby odprawiony.

Niech i tak będzie, mnich powinien być pokorny, pewnie to dobrze podziała na mą duszę, pomyślał.

Biskupi wstali od stołu i zmierzali ku drzwiom. Służący podał Henrykowi szkarłatną szatę obramowaną delikatnym haftem i jedwabnymi frędzlami. Ubierając się, Henryk rzekł:

– Nie powinieneś dzisiaj za dużo mówić, Philipie.

– Mówienie zostaw nam – dodał Waleran.

– Mówienie zostaw mnie – powiedział Henryk z lekkim naciskiem na owo „mnie”. – Jeśli król zada ci pytanie, odpowiadaj jasno, prosto i krótko; nie próbuj za bardzo koloryzować. On zrozumie, że potrzebujesz nowego kościoła, bez próśb i szlochów z twojej strony.

Philipowi nie trzeba było tego mówić. Biskup Henryk nie powinien być tak nieprzyjemnie protekcyjny. Philip skłonił głowę na znak zgody i skrył niechęć.

– Chodźmy już. Brat wcześniej wstaje i lubi szybko załatwić sprawy, by potem jechać na polowanie do New Forest.

Wyszli. Zbrojny mąż, niosący pastorał, stanął przed Henrykiem i poprzeczkał go przez całą drogę do High Street i dalej wzdłuż niej, a potem pod górę ku Bramie Zachodniej. Ludzie robili miejsce biskupom, ale nie Philipowi, skończyło się więc na tym, że siedł z tyłu. Stale ktoś prosił o błogosławieństwo, a Henryk czynił w powietrzu znak krzyża, nie zwalniając kroku. Tuż przed strażnicą skręcili w bok i przeszli po drewnianym moście spinającym zamkową fosę. Philip czuł niepokój; miał zobaczyć króla.

Zamek zajmował południowo-zachodni kraniec miasta. Południowe i zachodnie obwarowania stanowiły część murów miejskich, lecz te pozostałe, oddzielające zamek od reszty miasta, nie były wcale niższe ani słabsze niż zewnętrzne. Jakby król potrzebował takiej samej obrony przed mieszczanami jak przed światem.

Znaleźli się na wprost masywnej twierdzy górującej nad dziedzińcem. Stanowiła ją wielka kwadratowa wieża. Philip doliczył się czterech kondygnacji. Jak zwykle dół zajmowały składy, a do wyższych pięter wiodły zewnętrzne schody. Dwu wartowników skłoniło się na widok biskupa Henryka.

Weszli do wielkiej komnaty. Podłogę pokrywały maty z sitowia, w niszach wbudowano miejsca do siedzenia, obok stało kilka drewnianych ław, było też palenisko. Dwu zbrojnych w miecze pilnowało wiodących w górę schodów. Jeden z nich skłonił głowę i wspiał się po stopniach, zapewne po to, by powiadomić króla o przybyciu brata.

Philipa mdliło z niepokoju. W ciągu następnych kilku minut powinny zapadnąć decyzje mające wpływ na jego przyszłość. Wolałby czuć się lepiej w towarzystwie swych sprzymierzeńców. Chciał, aby cofnął się czas, aby mógł spędzić ranek na modlitwach, zamiast wędrować po Winchesterze. Chciałby przebrać się w czysty habit.

W komnacie było jakieś dwadzieścia lub trzydzieści osób, niemal sami mężczyźni. W większości rycerze, księża i bogaci mieszczanie. Nagle Philip wzdrygnął się nerwowo – przy ogniu stał Percy Hamleigh rozmawiając z kobietą i młodym mężczyzną. Co on tutaj robi? Tych dwoje to jego brzydka żona i brutalny syn. To oni pomogli Waleranowi skompromitować hrabiego Bartholomew. Ich obecność nie mogła być zbiegiem okoliczności. Czy Waleran spodziewał się ich?

– Czy widzisz... – zwrócił się do Walerana.

– Widzę ich – burknął biskup elekt, wyraźnie niezadowolony.

Dla Philipa ich obecność wróżyła nieszczęście, chociaż nie mógłby powie-

dzień dlaczego. Przyglądał się im. Ojciec i syn byli do siebie podobni: wielcy, krzepcy mężczyźni o żółtych włosach i posepnych twarzach. Żona wyglądała niczym demon torturujący grzeszników na wizerunkach piekła. Stale dotykała wrzodów na twarzy, jej kościste dłonie poruszały się niespokojnie. Była ubrana w żółtą suknię, w której wyglądała jeszcze brzydziej. Przeszła z nogi na nogę, bezustannie rzucając wokół spojrzenia. Kiedy napotkała wzrok Philipa, szybko odwróciła oczy.

Biskup Henryk czekał, przechadzając się po komnacie i pozdrawiając zgromadzonych ludzi. Witał znajomych, błogosławił nieznanym, ale zapewne baczyl na schody, bo skoro tylko wartownik pojawił się na nich, przerwał rozmowę.

Wkroczyli na stopnie, najpierw Henryk, za nim Waleran, a Philip, z duszą na ramieniu, zamykał pochód.

Komnata na drugim piętrze miała te same rozmiary i ten sam kształt, co ta niżej, lecz wyglądała całkiem inaczej. Ściany obito kosztownymi tkaninami, a na wyczyszczonej podłodze z desek leżały baranie skóry. Ogień buzował mocno, a pomieszczenie oświetlały jasno tuziny świec. Tuż przy drzwiach stał stół. Były na nim pióra, inkaust i stos welinu na listy. Za stołem siedział kleryk. Obok paleniska na wielkim drewnianym krześle pokrytym futrem zajmował miejsce król.

Pierwszą rzeczą, jaką Philip zauważył, był brak korony na głowie monarchy. Król miał na sobie purpurową tunikę i sztylpy. Wydawało się, że jest gotowy do jazdy konnej. Dwa wielkie psy myśliwskie leżały u jego stóp, jak najulubieńsi dworzanie. Przypominał swego brata Henryka, ale rysy twarzy Stefana były nieco delikatniejsze, co czyniło go bardziej przystojnym, włosy zaś miał bujne i brązowe. W oczach króla Philip dostrzegł błysk inteligencji, którą zaobserwował u jego brata. Wyglądał na odprężonego; nogi wyciągnął przed siebie, a ręce ułożył na oparciach siedziska. Wśród zgromadzonych wyczuwało się podekscytowanie, ale król był spokojny.

Kiedy biskupi i Philip byli już w komnacie, pojawił się jakiś człowiek w kosztownych szatach. Skinął głową biskupowi Henrykowi, ale zignorował Walerana. Philip pomyślał, że to pewnie jeden z baronów.

Biskup Henryk podszedł do króla, skłonił się i rzekł:

– Witaj, Stefanie.

– Nie widziałem jeszcze tego cholernego Ranulfa – odezwał się król Stefan.

– Jeśli się wkrótce nie pojawi, każę obciąć mu palce.

– Któregoś dnia ujrzysz go, przyrzekam ci, ale może warto obciąć mu te paluchy – odrzekł biskup Henryk.

Philip nie miał pojęcia, kim jest Ranulf i dlaczego król chce go zobaczyć, lecz mimo wyraźnego niezadowolenia króla zdawało się, że raczej nie ma zamiaru naprawdę go okaleczyć.

Zanim Philip zdołał pomyśleć o czymś innym, Waleran wysunął się naprzód i pokłonił królowi.

– Pamiętasz Walerana Bigoda, biskupa Kingsbridge? – zapytał Henryk.

– Tak – odrzekł Stefan. – A to kto? – Spojrzał na Philipa.

– To mój przeor – rzekł Waleran.

Niezadowolony Philip uzupełnił:

– Philip z Gwynedd, przeor Kingsbridge, miłościwy panie.

– Jego głos był donośniejszy, niż zamierzał. Skłonił się.

– Podejdź bliżej, ojczy przeorze – poprosił król. – Wydajesz się zalekniony.

Martwisz się czymś?

Philip nie umiał znaleźć słów. Martwił się o tak wiele rzeczy. Z rozpaczony powiedział:

– Jestem zdenerwowany, bo nie mam czystego habitu, miłościwy panie.

Stefan zaśmiał się, ale przyjaźnie.

– No to przestań się martwić. – Popatrzył na swego brata, doskonale odzianego, i dodał: – Lubię, kiedy mnich wygląda jak mnich, a nie jak król.

Philip poczuł się trochę lepiej.

– Słyszałem o pożarze w Kingsbridge. Jak sobie dajesz radę?

– Bóg zesłał nam budowniczego, właśnie w dniu, kiedy wybuchł pożar. Szybko naprawił niektóre szkody. Nabożeństwa odprawiamy w krypcie. Oczyszczamy ruiny i przygotowujemy wszystko do odbudowy. Budowniczy sporządził już plan nowego kościoła.

Waleran uniósł brwi na te słowa. Nie wiedział o projekcie.

– To godne pochwały – rzekł król. – Kiedy zaczniesz budować?

– Jak tylko będę miał pieniądze.

– To właśnie powód, dla którego biskup Waleran i przeor Philip tutaj przybyli – wtrącił się biskup Henryk. – Ani klasztor, ani diecezja nie ma źródeł na finansowanie tak wielkiego projektu.

– Ani Korona, drogi bracie.

Philip zadrżał. Niezbyt obiecujący początek.

– Wiem. Dlatego szukaliśmy sposobu, który mógłby umożliwić budowę katedry w Kingsbridge, a nie kosztował cię ani grosza – powiedział Henryk.

Stefan popatrzył sceptycznie.

– I powiodło się wam opracowanie takiej genialnej, by nie powiedzieć magicznej, łamigłówki?

– Tak. Proponuję, abyś ziemie hrabstwa Shiring dał diecezji Kingsbridge. Umożliwi to urzeczywistnienie planów.

Philip wstrzymał oddech.

Król się zamyślił.

Waleran otworzył usta, by coś rzec, ale Henryk powstrzymał go gestem ręki.

– To mądry pomysł. Chciałbym go zrealizować – rzekł król.

Serce Philipa zakołatało z radości.

– Na nieszczęście jednak już prawie obiecałem hrabstwo Percy’emu Hamleighowi.

Jęk wyrwał się z ust Philipa. Już myślał, że król powie „tak”. Rozczarowanie przeszło go jak dźgnięcie nożem.

Henryk i Waleran zbaranieli. Nie spodziewali się tego.

– Prawie? – pierwszy przemówił Henryk.

Król wzruszył ramionami.

– Mogę to wszystko zmienić, aczkolwiek nie bez ambarasu. Lecz chodzi o to, że Percy przywiódł zdrajcę Bartholomew przed oblicze sprawiedliwości.

– Nie bez mojej pomocy, miłościwy panie! – wpadł mu w słowa Waleran.

– Wiem, że grałeś w tym jakąś rolę...

– To ja powiedziałem Percy'emu Hamleighowi o spisku przeciw tobie, panie.

– Tak. A swoją drogą, jak się o tym dowiedziałeś? Właśnie ty?

Philip zaszurał stopami. Weszli na niebezpieczny grunt. Nikt nie może się dowiedzieć, że ta informacja wyszła od Francisa, który w dalszym ciągu pracował dla Roberta z Gloucesteru, należącego do grupy spiskowców, którym wybaczone.

– Wieść pochodziła z wyznania na łożu śmierci – odpowiedział Waleran.

Philipowi ulżyło. Waleran powtarzał jego wersję. Mówił jednak o wyznaniu tak, jakby było uczynione jemu, a nie Philipowi. Bardzo mu to odpowiadało, gdyż jego rola nie została ujawniona.

– Ale to Percy, a nie ty, zaatakował zamek Bartholomew, ryzykując życie lub kalectwo, a także schwycił zdrajcę.

– Możesz go nagrodzić w inny sposób – stwierdził Henryk.

– Percy jednak chce przejąć posiadłość. Zna te ziemie, będzie dobrze rządził. Miałem zamiar dać mu hrabstwo Cambridge, ale czyjego ludzie zechcą tam pójść?

– Powinieneś najpierw myśleć o Bogu, a nie o ludziach. To Bóg uczynił cię królem – upomniał go Henryk.

– A jednak to Percy ujął Bartholomew.

Henryk chciał zadać kres tej bezbożności.

– Bóg panuje...

– Nie naciskaj mnie – przerwał mu król, podnosząc prawą rękę.

– Oczywiście – rzekł Henryk, podporządkowując się.

Oto moc królewskiej władzy. Przez chwilę kłócili się niemal jak równi, ale Stefanowi wystarczyło jedno słowo, by przeciąć dyskusję.

Philip czuł się gorzko rozczarowany. Na początku myślał, że to żądanie jest niemożliwe do spełnienia, lecz potem stopniowo pojawiła się nadzieja. Teraz jednym zdaniem został przywołany do porządku.

– Miłościwy królu – odezwał się Waleran – dziękuję ci bardzo za chęć przemyślenia przyszłości hrabstwa Shiring i będę oczekiwał twej decyzji w niepokojach i modlitwie.

To było gładkie i zręczne. Brzmiało tak, jakby Waleran poddawał się. W rzeczywistości zaś oznaczało, że dla Walerana sprawa jest ciągle otwarta, mimo że odpowiedź króla była odmowna. I w oświadczeniu Walerana nie było nic obraźliwego. Muszę to zapamiętać, pomyślał Philip. Kiedy już trzeba przegrać, czasami warto się poniżyć.

Król zastanowił się przez chwilę, jakby podejrzewał jakąś manipulację, ale chyba odrzucił tę myśl.

– Dziękuję wam wszystkim, że do mnieście przybyli – powiedział.

Philip i Waleran odwrócili się, by wyjść, lecz Henryk wciąż stał.

– Kiedy usłyszymy twą odpowiedź, królu? – zapytał przytomnie.

Stefan znowu zdawał się zaambarasowany.

– Pojutrze.

Henryk uklonił się i we trójkę wyszli z komnaty.

Niepewność była równie zła jak decyzja negatywna. Philip nie wytrzymał czekania. Spędził popołudnie na przeglądaniu wspaniałej kolekcji książek, lecz nie zdołały one oderwać go od zastanawiania się nad ewentualnym biegiem królewskich myśli. Czy król zdoła cofnąć obietnicę daną Percy'emu? Jak ważną postacią jest Percy? Należał do szlachty o aspiracjach arystokratycznych. Jak bardzo chce król Stefan pomóc klasztorowi Kingsbridge? Zazwyczaj królowie

stają się pobożniejsi, kiedy się starzeją. Stefan był młody.

Philip wciąż na nowo rozważał ewentualne możliwości rozwiązania tej sprawy, wpatrując się w leżący przed nim tom *Pocieszenia filozofii* Boetiusa, kiedy podszedł do niego nowicjusz.

– Ktoś o ciebie pyta, ojcze. Jest na drugim podwórku – usłyszał szept.

Jeśli gość oczekiwał na zewnątrz, nie był to mnich.

– Kto?

– To kobieta.

W pierwszej chwili z przerażeniem pomyślał, że to przyszła dziwka, która go zaczepiła dziś rano. A jednak coś w głosie nowicjusza powiedziało mu, że nie. Dzisiaj spotkał przecież jeszcze inną kobietę.

– Jak ona wygląda?

Na twarzy chłopca pojawił się wyraz niesmaku.

Philip pokiwał głową.

– Regan Hamleigh... Co ona znowu knuje? Zaraz przyjdę.

Szedł powoli, zamyślony. Musi mieć rozum w pogotowiu, by uporać się z nią.

Stała przed klasztorną rozmównicą, owinięta w ciężką oponczę, ukrywając twarz w kapturze. Rzuciła Philipowi spojrzenie tak jawnej złej woli, że niemal chciał odwrócić się i odejść natychmiast. Wstyd byłoby uciekać przed kobietą, stanął więc przed nią twardo i spytał:

– Czego chcesz ode mnie?

– Dumny mnichu – prychnęła. – Jak możesz być taki głupi?

Poczuł, że twarz mu się rumieni.

– Jestem przeorem Kingsbridge i należy zwracać się do mnie „ojcze” – odrzekł, ale, jak zauważył ze smutkiem, zabrzmiało to raczej prosząco niż władczo.

– W porządku, ojcze. Jak możesz pozwolić na to, by wykorzystywali cię dwaj pazerni biskupi?

Philip wziął głęboki wdech.

– Mów jaśniej.

– Trudno znaleźć słowa dość jasne dla kogoś tak tępego jak ty, ale spróbuję. Waleran pragnie zagarnąć ziemie hrabstwa Shiring dla siebie, a pretekstem do tego ma być spalenie katedry. Czy to dość jasno powiedziane? Pojąłeś, o co chodzi?

Jej pogardliwy ton złościł Philipa, ale nie potrafił powstrzymać się od próby obrony samego siebie.

– Nie ma w tym nic ukrytego ani nic dziwnego. Dochód z ziem ma być użyty na odbudowanie kościoła.

– Co sprawia, że tak myślisz?

– Przecież na tym polega cały zamysł!

A jednak gdzieś w głębi duszy Philipa pojawiła się pierwsza wątpliwość.

Pogardliwy ton Regan zmienił się na tajemniczy.

– Czy nowe ziemie będą należeć do klasztoru, czy do diecezji?

Wpatrywał się w nią przez chwilę, potem odwrócił wzrok. Jej twarz była zbyt odrażająca, by patrzeć na nią z bliska. Przemyślał sposób zagospodarowania ziem, zakładając, że będą należały do klasztoru i będą pod jego kontrolą bardziej niż pod kontrolą diecezji. Teraz jednak przypomniał sobie, że kiedy byli u króla, biskup Henryk mówił o gruntach diecezjalnych. Philip pomyślał wówczas, że to potknięcie językowe. Ale nie miał racji... ani wtedy, ani teraz.

Patrzył na Regan podejrzliwie. Prawdopodobnie nie miała możliwości, by dowiedzieć się, co było treścią rozmowy u króla. Mogła mieć rację. Z drugiej jednak strony wyglądało to na intrygę. Doprowadzenie do kłótni między Philipem a biskupami dawało jej szansę wygrania sprawy.

– Waleran jest biskupem, musi mieć katedrę.

– Musi mieć mnóstwo rzeczy – odparowała. Kiedy przyszło do argumentowania, stała się mniej odpychająca, bardziej ludzka, ale przeor nie potrafił znieść jej widoku dłużej niż przez chwilę. – Dla niektórych biskupów piękna

katedra byłaby sprawą wagi pierwszorzędnej. Dla Walerana zaś... On ma inne potrzeby. Dopóki trzyma sznurki, dopóty będzie dawał tobie i twoim murarzom tylko tyle, ile on zechce.

Philip zrozumiał, że Regan ma rację. Gdyby to Waleran pobierał renty i czynsze, część z nich zachowywałby na własne wydatki i sam określał tę część. Gdyby zechciał, nic nie mogłoby go powstrzymać przed wydawaniem funduszy na rzeczy niemające nic wspólnego z katedrą. A Philip nigdy nie miałby pewności, że otrzyma dość pieniędzy, aby zapłacić budowniczym.

Nie było wątpliwości, że w interesie klasztoru leżało to, aby grunta stanowiły własność klasztorną. Philip jednak był pewny, że Waleran takiemu rozwiązaniu będzie się opierał, a biskup Henryk go poprze. Wtedy jedyną nadzieją Philipa stałoby się apelowanie do króla, lecz monarcha, widząc poróżnionych duchownych, rozwiąże problem w ten sposób, że da hrabstwo Percy'emu Hamleighowi.

A tego właśnie chce Regan, to jest jasne.

Philip potrząsnął głową.

– Jeśli biskup Waleran próbuje oszukać klasztor, dlaczego mnie tutaj przywiódł? Mógł przyjechać sam i uczynić wszystko, co zechce.

– Mógłby – skinęła głową. – Zapewne obawiał się dociekliwości króla. Ty miałaś uśpić podejrzenia, jakie mogłyby Stefanowi przyjść do głowy. – Znowu zaczęła być pogardliwa. – Wyglądasz tak patetycznie w podartym habicie, brudnym jak nieszczęście, że król się nad tobą lituje. Tak, Waleran bardzo mądrze zrobił, że cię zabrał ze sobą.

Philip ze zgrozą uświadamiał sobie prawdziwość jej słów, ale nie chciał tego przyznać.

– Ty zaś po prostu pragniesz hrabstwa dla swego męża.

– Gdybym mogła dać ci dowód, czy udałbyś się w półdniową drogę, by go zobaczyć?

Intrygi Regan Hamleigh były obrzydliwe, lecz Philip musiał się upewnić,

czy zarzuty, które przedstawiła, są prawdziwe. Niechętnie rzekł:

– Tak, pół dnia mogę jechać.

– Jutro?

– Tak. Dobrze.

– Bądź gotów o świcie.

Człowiekiem oczekującym Philipa był William Hamleigh, syn Percy'ego i Regan. Stał na dziedzińcu zewnętrznym następnego ranka, kiedy mnisi byli na prymarii. Wyjechali z Winchesteru przez Bramę Zachodnią, a potem, nie zwlekając, skierowali się na północ, ku Drodze Athelyńskiej. Philip zorientował się, że ta droga prowadzi do siedziby biskupa Walerana. Faktycznie, mniej więcej pół dnia drogi. Zapewne tam właśnie zmierzali. Ale po co? Nasunęły mu się pewne podejrzenia. Teraz Hamleighowie mogli podjąć próbę wykorzystania go do swoich celów. Zastanawiał się w jaki sposób. Może chodzić o jakiś dokument należący do biskupa, na przykład o akt prawny, który Hamleighowie pragną zobaczyć albo nawet ukraść. Młody lord oświadczył ludziom Walerana, że zostali przysłani po ten dokument. William mógł chować w rękawie tego typu niespodziankę. On, Philip, musi mieć się na baczności.

Był ponury, szary poranek, mżył deszcz. William narzucił szybkie tempo przez parę pierwszych mil, potem zwolnił do stępa, by konie odpoczęły. Po pewnym czasie odezwał się:

– No więc co, mnichu, chcesz hrabstwa dla siebie, chcesz mi je zabrać?

Philipa aż cofnęło. Na tak wrogie odezwanie niczym sobie nie zasłużył. Wskutek tego jego odpowiedź była ostra:

– Zabrać tobie? To nie ty masz je otrzymać, chłopcze. Ja mogę je dostać, twój ojciec może, może biskup Waleran. Ale nikt nie prosił króla, by dać je tobie. Sam pomysł jest żartem.

– Odziedziczę je.

– To się okaże. – Philip postanowił nie kłócić się z Williamem. – Nie chcę twojej krzywdy – powiedział pocieszająco. – Pragnę tylko wybudować nową katedrę.

– No to weź sobie inne hrabstwo. Dlaczego ludzie zawsze chcą czegoś od nas?

W głosie Williama brzmiała gorycz, więc Philip zapytał:

– Czy ludzie zawsze czegoś chcą od was? Pokazują palcami?

– Powinieneś, mnichu, pomyśleć o lekcji, jaką odebrał od nas hrabia Bartholomew. Obraził naszą rodzinę i patrz, gdzie teraz jest.

– Myślałem, że to raczej córka zawiniła.

– Ta suka jest tak samo arogancka i dumna jak jej ojciec. Ale ona dostanie za swoje, nie bój się, mnichu. Oni wszyscy będą przed nami klęczeć, zobaczysz.

Te słowa podyktowały uczucia nienormalne u dwudziestolatka. William mówił bardziej jak złośliwa i zawistna kobieta w średnim wieku. To zasmuciło przeora. Większość ludzi próbuje radzić sobie z nienawiścią, spojrzeć na nią racjonalnie, ale William jeszcze był na to zbyt naiwny. Philip powiedział więc:

– Zemstę najlepiej zostawić do dnia Sądu.

– To dlaczego, mnichu, nie zaczekasz z budową kościoła do tego dnia?

– Bo wtedy będzie za późno, by zbawić dusze grzeszników od piekielnych tortur.

– Nie zaczynaj o tym!! – wrzasnął William, a w jego głosie zabrzmiały histeryczne nutki. – To dobre na kazania!

Philip miał już na końcu języka kolejną ostrą replikę, ale się powstrzymał. W tym młodzieńcu było coś bardzo niedobrego. Wydawało mu się, że William w każdej chwili może wpaść w nieopanowaną furję, a w takim stanie mógł być śmiertelnie niebezpieczny. Nie, Philip nie bał się go. Nie bał się groźnych ludzi. Może dlatego, że jako dziecko widział najgorsze rzeczy, jakie potrafili uczynić, i przetrwał wszystko. Przez drażnienie jednak nie zyska niczego, zamiast więc

udzielić Williamowi reprimendy, powiedział łagodnie:

– Niebo i piekło są sprawami, z którymi obcuje. Cnota i grzech, wybaczenie i kara, dobro i zło. Obawiam się, że nie mogę przestać mówić na ten temat.

– No to gadaj do siebie – rzekł William, spał konia i popędził do przodu.

Po kilkudziesięciu jardach zwolnił ponownie, nie zawrócił jednak. Przez resztę poranka podróżowali oddzielnie.

Philip czuł niepokój i jakieś przygnębienie. Nie panował już nad swym losem. Pozwolił Waleranowi Bigodowi kierować sprawami w Winchesterze, a teraz pozwala na to, by William Hamleigh zabierał go w tajemniczą podróż. Oni wszyscy chcą się mną posługiwać, pomyślał. Dlaczego im na to pozwalam? Od tej chwili postaram się przejąć inicjatywę. Nie bardzo jednak mam możliwość, by zrobić coś konkretnego natychmiast. Poza zawróceniem do Winchesteru, ale to byłby tylko próżny gest. Podążał więc za Williamem, patrząc na podskakującego zad jego konia.

Nieco przed południem dojechali do doliny, gdzie mieściła się biskupia rezydencja. Philipowi przypomniało się, jak przyjechał tutaj na początku roku, pełen obaw i wątpliwości, z śmiercionośnym sekretem. Strasznie dużo od tej pory się zmieniło.

Ku jego zaskoczeniu William minął zamek i pojechał ku wierzchołkowi wzgórza. Trakt zwęził się do małej ścieżki między polami; według Philipa wiodła ona donikąd. Kiedy zbliżali się do szczytu, ze zdziwieniem zauważył, że rozpoczęto tu jakieś roboty budowlane. Trochę poniżej wierzchołka drogę przecinał wał ziemny, niedawno usypany. Philipa tknęło okropne podejrzenie.

Skręcili w bok i pojechali wzdłuż wału, póki nie znaleźli przejścia usypanego w suchej fosie.

– To mieliśmy zobaczyć? – spytał Philip.

William tylko skinął głową.

Podejrzenia mnicha potwierdziły się: Waleran budował zamek. Poczul się zdruzgotany i oszukany.

Uderzeniem pięty popędził konia, przejechał rów, a William za nim.

Rów i wał otaczały szczyt wzgórza. Po wewnętrznej stronie rowu zbudowano już mur kamienny, gruby na dwie, może trzy stopy. Nie został jeszcze wykończony, a, sądząc po grubości, miał być bardzo wysoki.

Waleran budował zamek, ale na placu nie było nikogo. Philip nie dostrzegł też żadnych narzędzi, nawiezonego kamienia czy przygotowanych belek. Sporo zrobiono w krótkim czasie, potem raptownie przerwano pracę. Najwidoczniej biskupowi zabrakło pieniędzy.

Philip zwrócił się do Williama:

– Podejrzewam, że nie ma żadnych wątpliwości co do tego, że biskup Waleran tutaj buduje?

– Czy Waleran Bigod mógłby pozwolić komukolwiek na budowę zamku tuż obok jego rezydencji?

Przeor poczuł ból i upokorzenie. Obraz przedstawiał się krystalicznie czysto: biskup Waleran chciał otrzymać hrabstwo Shiring, posiadające kamieniołom i lasy, by zbudować własny zamek, a nie katedrę. Philip stał się jedynie narzędziem. Pożar katedry jakże stosownym pretekstem. Rola Philipa polegała na pobudzeniu królewskiej pobożności, a ta miała dać Waleranowi hrabstwo.

Philip zobaczył siebie oczami Walerana i Henryka: naiwny, uczynny, uśmiechający się i potakujący, kiedy go na rzeź wiedli. Dobrze go ocenili! On im ufał i polegał na nich, przyjmował ich przycinki z dzielnym uśmiechem. Obaj go oszukiwali, a on myślał, że mu pomagają.

Wstrząsnął nim zupełny brak skrupułów biskupa. Przypomniał sobie smutne spojrzenie Walerana na zrujnowaną katedrę. Oceniał to wówczas jako głęboką, choć ukrytą pobożność. Bigod z pewnością uważa, że pobożne cele usprawiedliwiają nieuczciwe sposoby w służbie Kościołowi. Philip nigdy na coś takiego nie mógłby się zdobyć. Nigdy bym nawet nie spróbował zrobić Waleranowi tego, co on próbuje zrobić mnie, pomyślał.

Do tej pory nie postrzegał siebie jako człowieka łatwowiernego. Zastana-

wiał się teraz, gdzie popełnił błąd. Zrozumiał, że dał się omamić biskupowi Henrykowi w jedwabnych szatach. Oszłomiły go wspaniałości i wielkość Winchesteru, jego katedra, stos srebrnych pensów w mennicy i kawały mięsa w sklepach rzeźniczych, a wreszcie myśli o ujrzeniu króla. Zapomniał, że Bóg spogląda przez suknie jedwabne w głąb grzesznego serca, że jedynym bogactwem wartym posiadania jest skarb niebieski, że nawet król klęka w kościele. Na widok bogactwa i potęgi stracił z oczu prawdziwe wartości, zapomniał o krytycznym spojrzeniu, zaufał swym zwierzchnikom. W nagrodę otrzymał zdradę.

Jeszcze raz popatrzył na zmoczony deszczem plac budowy, po czym zawrócił konia. William podążył za nim.

– No i co ty na to, mnichu? – zaszydził.

Philip nie odpowiedział. Przypomnił sobie, że pomógł przecież Waleranowi zostać biskupem. Przypomnił sobie jego słowa: „Chcesz, bym uczynił cię przeorem Kingsbridge. Ja chcę, byś ty uczynił mnie biskupem”. Oczywiście, archidiakon nie ujawnił wtedy, że biskup już nie żyje, więc obietnica wydawała się odległą. Philip sądził wówczas, że bez tej obietnicy nie będzie przeorem Kingsbridge. To jednak tylko wymówki. Prawda jest taka, że wybór przeora oraz biskupa należało zostawić Bogu.

Nie podjął takiej pobożnej decyzji, za karę ma teraz Bigoda.

Kiedy rozmyślał o tym, jak go lekceważono – naciskano, manipulowano i oszukiwano – rozszłościł się. Posłuszeństwo jest cnotą klasztorną, ale poza jego murami ma swą drugą stronę, pomyślał gorzko. Świat władzy i majątku wymaga od człowieka podejrzliwości, łapczywości i uporu.

– Ci zakłamanı biskupi zrobili z ciebie durnia, co? – odezwał się William.

Philip ściągnął wodze, zatrzymując konia. Trzęsąc się z furii, wyciągnął palec w stronę Hamleigha.

– Zamknij się, chłopcze. Mówisz o świętych sługach Boga. Jeszcze jedno słowo, a spłoniesz za to w piekle, to mogę ci obiecać.

William zbiegał ze strachu.

Philip pogonił konia. Drwina Williama przypomniła mu, że Hamleighowie mieli własny interes w tym, by mu pokazać tę budowę. Chcieli wywołać kłótnię między nim i biskupem, by zapewnić sobie owo sporne hrabstwo. No, Philip nie pozwoli na żadne manipulacje, im także to się nie uda. Skończył z tym. Teraz on sam będzie manipulować.

Cóż jednak ma robić? Jeśli Philip pokłóci się z Waleranem, to Percy dostanie hrabstwo, jeśli będzie czekał, dostanie je Waleran.

Czego właściwie chciał król? Chciał pomóc budować nową katedrę. To było właśnie po królewsku: postępowanie prawidłowe, jakie będzie mu policzone w przyszłym życiu. Chciał – i powinien – nagrodzić Percy'ego za lojalność. Philipowi błysnęło nagle rozwiązanie, które zadowoliłoby zarówno jego, jak i Hamleigów, a królowi zdjęłoby kłopot z głowy.

To jest myśl.

Pomysł mu się spodobał. Sojusz między nim i Hamleigami jest najmniej spodziewaną rzeczą i nawet z tego tylko powodu może być skuteczny. Biskupi będą zupełnie nieprzygotowani na taki obrót sprawy. Może się łatwo okazać, że szli zbyt pewnie.

Byłoby to znakomite odwrócenie sytuacji.

Czy jednak może negocjować z zachłannymi Hamleigami?

Percy chciał bogatych, żyznych ziem i gospodarstw, tytułu hrabiego, a także władzy i prestiżu, siły rycerskiej pod swą komendą. Philip także pragnął bogatych gospodarstw, ale nie chciał rycerzy ani tytułu; myślał o lasach i kamieniołomie.

Zamysł kompromisu zaczął przybierać w umyśle Philipa bardziej konkretną formę. Pomyślał, że nie wszystko stracone.

Jakże słodko będzie wygrać teraz, po tym co się stało.

Ze wzrastającym podnieceniem rozważał sposób negocjacji z Hamleigami. Postanowił stanowczo, że nie będzie odgrywał roli petenta. Musi przedsta-

wić im propozycję nie do odrzucenia.

Docierali do Winchesteru. Opończa Philipa przemokła do cna, koń stracił siły, ale przeor wierzył, że ma rozwiązanie.

Kiedy przejeżdżali pod łukiem Bramy Zachodniej, zwrócił się do Williama:

– Chodźmy zobaczyć się z twoją matką.

To zaskoczyło młodzieńca.

– Myślałem, mnichu, że będziesz zaraz chciał pójść do biskupa Walerana.

Bez wątpienia to Regan powiedziała Williamowi, czego ma się spodziewać.

– Nie nudź mnie swoimi przypuszczeniami, chłopcze. Po prostu zabierz mnie do twej matki – rzucił Philip. Czuł się gotowy do starcia z Regan Hamle-
igh. Za długo był bierny.

William skręcił na południe i zaprowadził Philipa do domu na Gold Street, między zamkiem a katedrą. Stał tam spory budynek o kamiennych wysokich fundamentach i drewnianych ścianach. Wewnątrz znajdowała się duża izba, z której wchodziło się do kilku komnat. Hamleighowie prawdopodobnie tutaj stawali na nocleg: wielu mieszkańców Winchesteru wynajmowało mieszkania ludziom przybywającym na królewski dwór. Jeśli Percy zostanie hrabią, będzie mieć własny miejski dom.

William wprowadził Philipa do frontowego pomieszczenia, gdzie znajdowało się łóżko i palenisko. Siedziała przy nim lady Regan. Obok niej stał Percy. Z zaskoczeniem spojrzała na Philipa.

– No, mnichu, miałam rację?

– Myliłaś się najbardziej, jak to możliwe, głupia kobieto – odrzekł ostro Philip.

Gniewne słowa sprawiły, że zaniemówiła.

Poczuł zadowolenie, że tak poskutkowało zaaplikowanie jej własnego lekarstwa. Ciągnął tym samym tonem:

– Myślałaś, że doprowadzisz do kłótni między mną i Waleranem. Czyżbyś przypuszczała, że na to nie wpadnę? Jesteś podstępna lisica, ale nie jesteś jedy-

ną osobą na świecie, która potrafi myśleć.

Po zmianie wyrazu jej twarzy zorientował się, że już wiedziała, iż jej plan zawiódł, a teraz wściekle zastanawia się, co dalej. Naciskał, póki jeszcze nie odzyskała panowania na sobą.

– Przegrałaś, lady Regan. Teraz masz dwie możliwości. Jedna to siedzieć cicho i liczyć na najlepsze. Czekać na decyzję króla. Oprzeć szczęście na jego jutrzejszym nastroju. – Przerwał.

– A jaka jest alternatywa? – odezwała się niechętnie.

– Możemy zawrzeć umowę. Ty i ja. Dzielimy hrabstwo między ciebie i mnie, nic nie zostawiając Waleranowi. Idziemy osobiście do króla i mówimy mu, że osiągnęliśmy kompromis i otrzymamy jego błogosławieństwo, zanim biskupi zdążą się sprzeciwić. – Philip usiadł na ławie i udał uprzejmość. – To twoja najlepsza szansa. Nie masz faktycznie innego wyboru. – Popatrzył w ogień, aby nie zauważyła, jak bardzo jest napięty. Ta idea powinna do nich przemówić: pewność otrzymania czegoś cennego wobec możliwości nieotrzymania niczego. Lecz oni są chciwi, może wolą grę „wszystko albo nic”.

– Podzielić hrabstwo, ale jak? – pierwszy przemówił Percy.

Philip poczuł ulgę. Są zainteresowani.

– Chcę zaproponować wam tak szlachetny podział, że musielibyście oszałeć, by się nie zgodzić – odpowiedział. Zwrócił się do Regan ponownie. – Oferuję wam lepszą połowę.

Popatrzyli na niego, oczekując szczegółowej wypowiedzi, ale przeor nic więcej nie powiedział.

– Co masz na myśli, mówiąc „lepsza połowa”? – zapytała w końcu Regan, cedząc słowa.

– Co jest więcej warte: grunty orne czy lasy?

– Ziemia orna, oczywiście.

– No to wy bierzcie pola, a ja lasy.

Regan zwięzły się oczy.

– To da ci budulec na katedrę.

– Właśnie.

– A co z pastwiskami?

– Które wolicie: pastwiska dla bydła czy dla owiec?

– Dla bydła.

– No to ja wezmę gospodarstwa na wzgórzach i ich owce. Wolicie dochód z targu czy z kamieniołomu?

– Targowe... – zaczął Percy.

Regan mu przerwała.

– Przypuśćmy, że powiem „kamieniołom”?

Philip wiedział, że się zorientowała, o co mu chodzi. Chciał kamieniołom, by mieć materiał na katedrę. Wiedział, że ona nie zechce kamieniołomu. Targi dają pieniądze przy mniejszym wysiłku. Powiedział pewnym głosem:

– Nie chcesz go, prawda?

– Nie, weźmiemy targowe – potrząsnęła głową.

Percy przybrał minę oszukanego.

– Ja potrzebuję lasów, muszę polować. Hrabia musi polować.

– Możesz sobie polować – szybko odparł Philip. – Ja chcę tylko drewna na budulec.

– Na to można przystać – rzekła Regan.

Philipowi jej zgoda wydawała się zbyt szybka. Poczul skurecz niepokoju. Czyżby przeoczył coś ważnego? Albo też zniecierpliwiła ją dyskusja nad nic nieznaczącymi szczegółami. Zanim zdążył to przemyśleć, dodała:

– Przypuśćmy, że podczas przeglądu papierów w skarbcu eks-hrabiego Bartholomew znajdziemy coś, co ty, mnichu, będziesz uważał za swoją własność, a my za swoją?

To, że zajęła się takimi drobiazgami, oznaczało, iż była skłonna przyjąć propozycję umowy. Ukrył podniecenie i powiedział spokojnie:

– Możemy się zgodzić na arbitra. Może biskup Henryk?

– Książdz? – rzekła z pogardą. – Czy będzie obiektywny? Nie. A może seryf z Shiring?

Ten nie będzie bardziej obiektywny od biskupa, pomyślał Philip, ale, że nie umiał wymienić nikogo, kto mógłby zadowolić obie strony, kiwnął głową i rzekł:

– Dobrze, ale pod pewnym warunkiem. Gdybyśmy spierali się o jego decyzję, mamy prawo zwrócić się do króla. – To powinno być wystarczające zabezpieczenie.

– Zgoda – rzekła Regan. Potem spojrzała na Percy’ego i dodała: – Jeśli mój mąż tak uważa.

– Tak, tak – pośpiesznie przytaknął stary Hamleigh.

Philip czuł, że jest bliski sukcesu. Wziął głęboki wdech i powiedział:

– Jeśli najogólniej propozycja jest uzgodniona...

– Zaraz, zaraz – przerwała Regan. – Jeszcze nie.

– Przecież daję wam wszystko, czego chcecie.

– Moglibyśmy mieć całe hrabstwo, bez podziału.

– Albo nic.

Regan zawahała się.

– A jak zamierzasz załatwić tę sprawę?

Philip zastanawiał się już nad tym. Popatrzył na Percy’ego.

– Czy mógłbyś dzisiaj jeszcze zobaczyć się z królem?

Percy zdawał się zaniepokojony, ale odrzekł:

– Gdybym znalazł jakiś powód, to myślę, że tak.

– No to idź do niego i powiedz mu, że osiągnęliśmy porozumienie. Poproś go o ogłoszenie tego rano, jutro rano.

Upewnij go, że ty i ja okażemy zadowolenie z takiej decyzji. Powiedz to tak, by król zrozumiał, że skoro ja jestem zadowolony, to i biskupi też są usatysfakcjonowani.

– Jeśli jednak biskupi zaczną protestować po ogłoszeniu decyzji?

– To niemożliwe. Udają, że potrzebują hrabstwa, by zbudować katedrę. Podają wyłącznie ten cel. Waleran nie może protestować, bo wyszłoby na jaw, że chce wykorzystać uzyskane fundusze na coś innego.

Regan wydała krótki chichot. Dotarła do niej przebiegłość Philipa.

– To dobry plan – stwierdziła.

– Jest jeden istotny warunek – oświadczył Philip, patrząc jej prosto w oczy.

– Król musi ogłosić, że mój udział przypada klasztorowi. Jeśli tego nie uczyni dostatecznie jasno, ja go o to poproszę. A jeżeli powie coś innego, na przykład wymieni diecezję, zakrystiana, arcybiskupa, czy kogokolwiek, zrywam umowę. Nie chcę, aby w tej sprawie były jakieś wątpliwości.

– Rozumiem – powiedziała Regan, trochę rozdrażniona.

Jej irytacja dała Philipowi asumpt do podejrzeń, że korciła ją myśl przekazania królowi wersji nieco odmiennej od uzgodnionej. Rad był, że wyjaśnił wszystkie kwestie.

Wstał. Zależało mu na tym, by przed wyjściem jakoś przypieczętować ich układ.

– Tak więc umówiliśmy się? – Było to zarówno pytanie, jak i stwierdzenie.

– Mamy poważny pakt. – Popatrzył na oboje.

Regan kiwnęła lekko głową, a Percy rzekł:

– Mamy pakt.

Serce Philipa przyśpieszyło.

– Dobrze – rzekł krótko. – Zobaczymy się rano na zamku. – Nadał swej twarzy obojętny wyraz, gdy wychodził z komnaty, ale kiedy już znalazł się na ciemnej ulicy, pozwolił sobie na szeroki uśmiech triumfu.

Po kolacji Philip zapadł w niespokojny, pełen trosk sen. Wstał o północy na jutrznię, lecz po nabożeństwie leżał na sienniku, zastanawiając się, co przyniesie jutro.

Wydawało mu się, że król Stefan powinien przystać na propozycję. To rozwiązywało królewski problem. Nie przypuszczał jednak, by Waleran pogodził się z decyzją, mimo że sam zapewnił o tym Hamleighów. Bigod mógł znaleźć jakąś wymówkę, by nie dopuścić do sfinalizowania umowy. Takim pretekstem mogłoby być stwierdzenie, że część hrabstwa to za mało, aby zbudować tak okazałą katedrę, jakiej pragnął. Mógł wpłynąć na króla, żądając, by przemyślał to wszystko jeszcze raz.

Tuż przed świtem przyszło Philipowi do głowy, że Regan mogła go mimo wszystko oszukać, na przykład pójść do Walerana i z nim zawrzeć układ. Przypuścimy, że zaproponuje biskupowi taki sam kompromis? Waleran dostałby kamień i drewno, jakiego potrzebuje na budowę swego zamku. Ta możliwość rozdrażniła Philipa do tego stopnia, że kręcił się niespokojnie i gorączkowo myślał o tym, jak mógłby temu zapobiec. Chciałby móc pójść do króla sam, ale prawdopodobnie król by go nie przyjął, a poza tym Waleran zapewne dowiedziałby się o wszystkim. Doszedł do wniosku, że nie może nic zrobić, aby uchronić się przed oszustwem. Pozostało mu jedynie prosić Boga.

Modlił się do świtu.

Śniadanie zjadł z mnichami. Ich biały chleb nie sycił tak jak czarny, ale mimo to nie mógł wiele zjeść. Poszedł na zamek wcześniej, aczkolwiek wiedział, że król nie przyjmował o tej porze. Wszedł do komnaty i usiadł na kamiennym siedzisku. Czekał.

Pomieszczenie powoli wypełniało się urzędnikami i dworzanami. Niektórzy z nich odziani byli w bardzo jasne – białe, błękitne czy żółte – tuniki i pełeryny podbite gęstym futrem. Przypomniawszy sobie, że gdzieś na zamku przechowywana była sławna Księga Sądu Ostatecznego. Prawdopodobnie znajdowała się w komnacie na górze, gdzie król przyjął go wraz z biskupami. Philip uświadomił sobie to jakby mimochodem; zbyt napięcie bardzo rozpraszało jego uwagę. Pomyślał, że również tutaj znajdował się królewski skarbiec, ale pewnie na najwyższym piętrze, nad sklepieniem komnaty króla. To otoczenie znowu

oszołomiło go. Ci wszyscy dworzanie w pięknych cienkich sukniach, ci panowie, rycerze i kupcy, ci biskupi – oni wszyscy byli przecież ludźmi. Większość z nich potrafiła zaledwie napisać swoje imię. Co więcej, przybyli tutaj, bo chcieli czegoś dla siebie, a on, Philip, przybył z woli Boga. Jego misja i jego brudny brązowy habit stawiały go ponad tymi petentami, nie niżej.

Te myśli dodały mu odwagi.

Fala napięcia przeszła przez komnatę, kiedy na schodach prowadzących na górę pojawił się ksiądz. Każdy miał nadzieję, iż to oznacza, że król zacznie przyjmować. Ksiądz zamienił szeptem kilka zdań z wartownikiem, po czym znowu zniknął na górze. Wartownik odszukał w tłumie jakiegoś rycerza, który odłożył miecz i udał się do króla.

Philip pomyślał, jak okropne jest życie duchownych przy królu. Król oczywiście musiał mieć duchownych nie tylko po to, by odprawiali msze, ale także po to, by wykonywali zadania związane z zarządzaniem królestwem, wymagające umiejętności czytania i pisania. Nie było nikogo innego, kto mógłby to zrobić poza duchownymi; paru kształconych świeckich nie umiało biegle czytać ani pisać. W życiu duchownych w otoczeniu króla nie było nic świątobliwego. Brat Philipa, Francis, wybrał taki los i pracował dla hrabiego Roberta z Gloucesteru. Muszę go zapytać, jak takie życie wygląda, postanowił Philip.

Wkrótce po pierwszym petencie, który poszedł na górę, pojawili się Hamleighowie.

Philip musiał się powstrzymać, by natychmiast do nich nie podejść. Nie chciał, aby dostrzeżono, że mają jakieś powiązania. Patrzył na nich z napięciem, próbując odczytać ich myśli. Doszedł do wniosku, że William wydaje się pełen nadziei, Percy jest niespokojny, a Regan napięta jak cięciwa łuku. Po jakimś czasie wstał i przeszedł komnatę tak nieznacznie, jak tylko zdołał. Powitał ich uprzejmie, potem zwrócił się do Percy'ego.

– Widziałeś się z nim? – zapytał.

– Tak.

– I co?

– Powiedział, że przemyśli to przez noc.

– Ale dlaczego? – zaniepokoił się Philip. Poczł się rozczarowany i przybity. – O czym tutaj myśleć?

– Spytaj go – Percy wzruszył ramionami.

Philip zdenerwował się.

– No, jak wyglądał, zadowolony czy nie?

Odpowiedziała mu Regan.

– Domyślałam się, że był zadowolony, bo problem się rozwiązał, lecz także podejrzliwy, iż w tak prosty sposób.

To miało sens, a jednak Philip nie mógł zrozumieć, dlaczego król Stefan nie chwycił się tej możliwości obiema rękami.

– Lepiej nie rozmawiajmy dłużej – rzekł po chwili. – Biskupi nie mogą się domyślić, że sprzymierzyliśmy się przeciw nim. Przynajmniej dopóki król nie ogłosi swej decyzji. – Skinął uprzejmie głową i oddalił się.

Wrócił na swoje kamienne siedzisko. Próbował zabić czas myśleniem o tym, jak będzie wykorzystywał nowe dobra, jeśli plan się uda. Kiedy rozpocznie budowę? To będzie zależało od tego, jak szybko dostanie gotówkę ze swych nowych włości. Postara się, żeby w nich było mnóstwo owiec, aby latem mieć dużo wełny do sprzedania. Przed jesienią zbierze dość pieniędzy, by przyjąć leśnika i mistrza do pracy w kamieniołomie. Wtedy zacznie składować drewno i kamień. W tym czasie robotnicy będą mogli kopać fundamenty pod nadzorem Toma. Może uda się rozpocząć roboty kamieniarskie na przyszły rok.

Piękny sen.

Dworzanie chodzili tam i z powrotem z zatrwającą szybkością, król Stefan dzisiaj pracował ostro. Philip zaczął się martwić, że zanim przyjdą biskupi, król może zakończyć audiencję i pojechać na polowanie.

Zjawili się w końcu. Philip powoli wstał, kiedy wchodzili. Waleran wydał się napięty, ale Henryk po prostu znudzony. Dla niego ta sprawa nie miała

takiego znaczenia, pomógł biskupowi, ale decyzja była mu obojętna. Dla Walerana jednakże sposób załatwienia jego prośby przesądzał o budowie zamku, a zamek był tylko szczeblem do władzy.

Philip nie wiedział, jak się do nich odnosić. Próbowali go okpić, a on chciał im za to naurągać, powiedzieć, że odkrył ich zdradę. To jednak mogło ich tylko ostrzec i wzmóc czujność, a on pragnął, by niczego nie podejrzewali, dopóki król nie ogłosi kompromisu. W ten sposób zostaną zaskoczeni. Ukrył więc swe uczucia i grzecznie się uśmiechnął. Niepotrzebnie się martwił – zupełnie go zignorowali.

Niedługo potem zostali wezwani przez strażę. Henryk i Waleran podążyli schodami, Philip za nimi. Hamleighbowie z tyłu. Przeor miał duszę na ramieniu.

Król Stefan stał przy ogniu. Wydawał się dzisiaj bardziej rzeński i rzeczowy. To dobrze, na wszelkie kręctwa biskupów odpowie zniecierpliwieniem. Biskup Henryk wszedł i stanął przy ogniu obok brata, pozostali stanęli w szeregu pośrodku pokoju. Philip poczuł ból i zorientował się, że wbija paznokcie w dłonie. Zmusił się do ich rozluźnienia.

Król zwrócił się do biskupa Henryka cichym głosem, by nikt inny nie usłyszał. Henryk się zmarszczył i odpowiedział równie cicho. Rozmawiali kilka chwil, potem monarcha uniósł rękę i uciszył brata. Popatrzył na przeora.

Philip na pocieszenie przypomniał sobie, że król mile odniósł się do niego za pierwszym razem, uspokajając go, że lubi mnichów wyglądających jak mni-si.

Jednakże dzisiaj nie było uprzejmości. Król chrząknął i zaczął:

– Mój wierny poddany, Percy Hamleigh, od dzisiaj jest hrabią Shiring.

Kątem oka Philip zauważył, jak Waleran rzuca się do przodu, jakby w proteście, ale biskup Henryk powstrzymał go nieznacznym gestem.

– Z posiadłości poprzedniego hrabiego – ciągnął król – Percy weźmie zamek, wszystkie ziemie dzierżawione przez rycerzy oraz pozostałe grunty orne i nisko położone pastwiska.

Philip nie potrafił pohamować rosnącego podniecenia. Wyglądało na to, że król zaakceptował umowę! Rzucił okiem na Walerana: jego twarz zdradzała przykre napięcie emocjonalne.

Percy ukląkł na kolano przed królem i złożył ręce w modlitewnej pozie. Król położył swoje dłonie na rękach Percy'ego.

– Nadaję ci, Percy, godność hrabiego Shiring, byś posiadał te ziemie i cieszył się dochodami z tych dóbr.

– Przysięgam, miłościwy panie, być twym wasalem i walczyć za ciebie przeciwko każdemu – odrzekł Percy.

Król zdjął dłonie, a Percy wstał.

– Wszystkie pozostałe dobra – odezwał się monarcha – należące do poprzedniego hrabiego daję... – przerwał na chwilę, przenosząc spojrzenie z Philipa na Walerana i z powrotem – daję klasztorowi Kingsbridge, by zbudował nową katedrę. Philip stłumił okrzyk radości – wygrał! – nie umiał jednak powstrzymać się, aby, nim skłonił się nisko w stronę króla, z widoczną przyjemnością nie popatrzeć na biskupa Walerana. Ten był wstrząśnięty do głębi. Nie czynił wysiłków, by wykazać równowagę ducha, przynajmniej dla zachowania pozorów; usta miał otwarte i wytrzeszczone oczy, patrzył na króla ze szczerym niedowierzaniem. Jego spojrzenie przesunęło się na przeora Kingsbridge. Wiedział, że przegrał. Domyślił się także, że przegraną zawdzięcza temu mnichowi, nie potrafił jednak wyobrazić sobie jakim sposobem.

Król Stefan dodał:

– Klasztor Kingsbridge weźmie również bez ograniczeń prawo do kamienia z kamieniołomu hrabiego i drewno z jego lasów na budowę katedry.

Philipowi zaschło w gardle. Tak nie było w umowie! Kamieniołom i lasy miały należeć do klasztoru, a Percy miał mieć prawo polowania! A jednak Regan zmieniła umowę. Teraz Percy stał się właścicielem tego majątku, a klasztor mógł tylko zabrać drewno i kamień. Przeor miał jedynie kilka sekund na podjęcie decyzji, czy nie odrzucić umowy.

Król mówił:

– W razie niezgodności czy sporu arbitrem będzie królewski szeryf Shiring, ale strony mają prawo odwoływać się do mnie jako ostatecznej instancji. – Philip myślał: Regan zachowała się niegodnie, ale co to za różnica? Umowa i tak zapewnia mi większość tego, czego chciałem. – Potem król zakończył: – Wierzę, że porozumienie zostało już zdecydowane przez obie strony tutaj obecne.

Już nie było czasu.

– Tak, miłościwy królu – potwierdził Percy.

Waleran otworzył usta, by zaprzeczyć, lecz Philip wstał pierwszy.

– Tak, miłościwy królu – powiedział.

Biskup Henryk i biskup Waleran zwrócili głowy ku niemu i wpatrywali się w niego. Ich oblicza ukazywały wielkie zadziwienie, że Philip, młody przeor, który nie wiedział nawet o potrzebie włożenia czystego habitu, gdy się wybiera na dwór królewski, wynegocjował układ z królem za ich plecami. Po chwili twarz Henryka wypogodziła się, przybrała wyraz rozbawienia, ale Waleran spoglądał złowrogo. Philip czuł, że potrafi czytać w jego myślach. On właśnie sobie uświadamiał, że popełnił kardynalny błąd niedoceny przeciwnika, i czuł się upokorzony. Dla przeora zaś ta chwila była zapłatą za wszystko: zdradę, poniżenie i przycinki. Podniósł głowę, ryzykując, że popełni grzech pychy, po czym rzucił Waleranowi spojrzenie mówiące: „Musisz bardziej się wysilić, by przechytrzyć Philipa z Gwynedd”.

– Niech poprzedniemu hrabiemu, Bartholomew, przekaże się tę decyzję – nakazał król.

Bartholomew jest gdzieś niedaleko w lochu, domyślił się przeor. Przypomniał sobie dzieci mieszkające ze służącym w zrujnowanym zamku i poczuł wyrzuty sumienia na myśl, co je teraz czeka.

Król odprawił wszystkich z wyjątkiem biskupa Henryka. Philip przechodził przez komnatę, płynąc w powietrzu. Doszedł do schodów jednocześnie z Waleranem, zatrzymał się, by puścić go przodem. Biskup rzucił mu spojrzenie pełne

jadowitej złości. Kiedy przemówił, w jego głosie było tyle złości, iż pomimo swego uniesienia przeor odczuł przejmująco słowa Walerana. Z wyrazem twarzy przypominającym maskę nienawiści Bigod rzekł:

– Przysięgam na wszystko co święte, że nie zbudujesz tego kościoła. – Po-tem obciągnął swe czarne szaty na ramionach i zszedł ze schodów.

Philip zrozumiał, że uczynił sobie wroga na całe życie.

III

William Hamleigh nie pohamował swego podniecenia na widok Earlsca-
stle.

Było popołudnie następnego dnia po tym, jak król ogłosił swą wolę. Wil-
liam, wraz z Walterem, jechał wierzchem przez ponad dwa dni, ale nie był zmę-
czony. Czuł się tak, jakby mu serce urosło w piersi i zatykało gardło. Znowu
zobaczy Alienę.

Kiedys miał nadzieję ją poślubić, bo była córką hrabiego, a ona odrzuciła
go, i to trzy razy. Skrzywił się, kiedy przypomniał sobie jej pogardę. Spowodo-
wała, że poczuł się nikim. Zachowywała się, jakby Hamleighowie nie byli jej
godni. Ale role się odwróciły. Teraz jej rodzina nie ma żadnego znaczenia, a on
jest synem hrabiego. Aliena stała się niczym. Nie miała tytułu, pozycji, ziemi,
majątku. On miał objąć zamek i zamierzał ją z niego wyrzucić, czyli nie miała
także gdzie mieszkać. To było aż nazbyt piękne.

Zwolnił konia, kiedy zbliżali się do zamku. Nie chciał, by Aliena otrzymała
jakiś sygnał ostrzegający o jego przybyciu – pragnął, aby przeżyła nagły, prze-
rażający, druzgoczący wstrząs.

Hrabia Percy i hrabina Regan wrócili do swego starego dworu w Hamleigh,
by przygotować skarbiec, najlepsze konie i służących do przeniesienia się na
zamek. Zadaniem Williama było wynajęcie miejscowych ludzi do prac porząd-

kowych, aby uczynić to miejsce zdatnym do zamieszkania.

Ołowianoszare chmury kłębiły się na niebie tak nisko, że zdawały się dotykać blanków na murach. Będzie dziś padać. To jeszcze lepiej. Wyrzuci Alienę w nawałnicę deszczową.

Obaj z Walterem zsiadli z koni i przeprowadzili je przez drewniany zwozdzony most. Ostatni raz, kiedy tutaj byłem, zająłem zamek, pomyślał z dumą William. Na niższym dziedzińcu już wyrosła trawa. Przywiązali konie i pozostawili, by się pasły. William dał swojemu rumakowi garść ziarna. Siodła umieścili w kamiennej kaplicy, bo przecież nie było stajni. Konie parskały i tupały, ale porywy wiatru unosiły dźwięki. William i Walter podążyli na wyższy dziedziniec. Ani znaku życia. Nagle pomyślał, że Aliena mogła odejść. Ależ by to było rozczarowanie! Spędziliby wtedy z Walterem ponurą i głodną noc w zimnym i brudnym zamku. Weszli na górę po zewnętrznych schodach, pod drzwiami stanęli na chwilę.

– Cicho – rzekł William do przybocznego. – Jeśli tutaj są, chcę ich zaskoczyć.

Pchnięciem otworzył drzwi. Wielka sala była ciemna i pusta, a śmierdziała, jakby nie używano jej od miesięcy. Tak przypuszczał. Mieszkali na wyższym piętrze. William zaczął się skradać do schodów. Suche sitowie chrzęściło mu pod stopami. Walter podążył tuż za nim.

Wspięli się po stopniach. Nic nie słyszeli; grube mury twierdzy tłumiły każdy dźwięk. W połowie drogi na górę William zatrzymał się, odwrócił ku Walterowi i położył palec na ustach, a drugą ręką wskazał wejście do komnaty. Spod drzwi biegło światło aż na podest schodów. Ktoś tam był.

Weszli na górę i zatrzymali się przed drzwiami. Ze środka doleciał dźwięk dziewczęcego śmiechu. William uśmiechnął się radośnie. Znalazł klamkę, przekręcił ją łagodnie, potem kopnięciem otworzył drzwi. Śmiech przerodził się w okrzyk przestachu.

Sceneria w pokoju tworzyła piękny widok. Aliena i jej młodszy brat Ri-

chard siedzieli przy stoliku i grali w jakąś grę planszową, zarządca Matthew stał za dziewczyną, przyglądając się grze przez jej ramię. Twarz Alieny zarumieniła się od blasku ognia, a ciemne kędziory połyskiwały kasztanowato. Na sobie miała jasną płócienną tunikę. Zaskoczona, patrzyła na Williama z ustami niczym „o”, a raczej „O”. William przyglądał się jej w milczeniu, radował się jej strachem. Po chwili ocknęła się i wstała, mówiąc:

– Czego chcesz?

Tę scenę już wiele razy przećwiczył w wyobraźni. Podszedł do ognia, stanął, wyciągnął ręce, by je ogrzać, i rzekł:

– Ja tutaj mieszkam. Co ty tu robisz?

Aliena wodziła oczyma od niego do Waltera. Była przestraszona i zdezorientowana, ale odezwała się wyzywająco:

– Zamek ten należy do hrabiego Shiring. Przedstaw swoją sprawę i wynoś się.

William uśmiechnął się triumfująco.

– Hrabia Shiring jest mój ojciec – oznajmił. Zarządca chrząknął, jakby się przeląkł tego, co usłyszał. Aliena zdawała się zupełnie niczego nie rozumieć. – Wczoraj w Winchesterze król uczynił mego ojca hrabią. Zamek teraz należy do nas. Dopóki mój ojciec nie przybędzie, ja tu jestem panem. – Pstryknął palcami na zarządcę. – Jestem głodny, więc przynieś mi mięsa i chleba. Nie zapomnij o winie.

Zarządca zawahał się. Rzucił zakłopotane spojrzenie na Alienę. Obawiał się ją zostawić. Lecz nie miał wyboru. Ruszył w stronę drzwi.

Aliena zrobiła krok w tym samym kierunku, jakby chciała iść za Matthew.

– Ty zostań tutaj – rozkazał jej.

Walter stanął między nią i drzwiami, zastępując drogę.

– Nie masz prawa mi rozkazywać! – wyrzekła te słowa z odcieniem swej dawnej królewskośći.

Matthew powiedział przestraszonym tonem:

– Zostań, pani. Nie złość ich. Niebawem wrócę.

Aliena spojrzała na niego ze zmarszczoną brwią, ale nie ruszyła się z miejsca. Matthew wyszedł.

William usiadł na krześle Alieny. Ona przesunęła się w stronę brata. Młody hrabia przyglądał się im. Między nimi było podobieństwo, ale siła biła z twarzy dziewczyny. Richard był wysokim, niezgrabnym podrostkiem jeszcze bez zarostu.

– Ile ty masz lat, Richardzie?

– Czternaście – odpowiedział markotnie chłopiec.

– Zabiłeś kiedyś człowieka?

– Nie – odparł, próbując udać zucha. – Jeszcze nie.

Też pocierpisz, nadęty mały głupku, pomyślał William.

Zwrócił się do Alieny.

– A ty ile masz lat?

W pierwszej chwili zdawało się, że nie będzie z nim rozmawiać, ale potem zmieniła zdanie, może na wspomnienie słów Matthew: „nie złość ich”.

– Siedemnaście.

– No, no, cała rodzina umie liczyć. Czy jesteś dziewicą, Alieno?

– Oczywiście! – zbladła.

Nagle William sięgnął do jej piersi. Wypełniła jego wielką łapę. Ścisnął; twarda, ale poddająca się. Aliena rzuciła się do tyłu i wyslizgnęła z uchwytu.

Richard postąpił do przodu. Za późno, trafił z boku w ramię Hamleigha. Nic nie mogłoby sprawić Williamowi więcej przyjemności. Wstał z krzesła i z zamachem uderzył Richarda w twarz. Tak jak się spodziewał, chłopak był miękki: zapłakał, a ręce przyłożył do policzków.

– Zostaw go! – krzyknęła Aliena.

William spojrzał na nią z zaskoczeniem. Zdawało się, że brat bardziej ją obchodzi niż ona brata. Może warto to zapamiętać.

Matthew wrócił z drewnianą tacą, na której leżał bochen chleba, kawał

szynki i stał dzban wina. Zbladł, kiedy zobaczył Richarda przysłaniającego twarz rękoma. Postawił tacę na stole i podszedł do chłopca. Łagodnie odsunawszy jego dłonie, przyjrzał mu się. Oko już puchło i czerwieniało.

– Mówiłem ci, żebyś ich nie drażnił – mruknął, ale zdawał się czuć ulgę, że to nic gorszego.

William był rozczarowany. Liczył, że Matthew się rozwścieczy. Groźby ze strony zarządcy to śmiertelna gra.

Widok jedzenia spowodował napływ śliny do ust Williama. Przysunął siedzisko do stołu, wyjął swój nożyk i ukroił sobie płat szynki. Walter siadł naprzeciw niego. Z ustami pełnymi chleba i szynki William powiedział do Alieny:

– Przynieś kilka kubków i nalej wina. – Matthew poruszył się, by to zrobić.
– Nie, nie ty. Ona – rozkazał.

Aliena zawahała się. Zarządca spojrział na nią z niepokojem i skinął głową. Podeszła prosto do stołu i wzięła dzban.

Kiedy się nachyliła, William sięgnął w dół pod jej tunikę i szybko przesunął ręką w górę nogi. Czubki jego palców dotknęły najpierw smukłych łydek z miękkimi włoskami, potem mięśni pod kolanem, a potem delikatnej skóry wewnętrznej strony uda. Wtedy odskoczyła, okręciła się i opuściła ciężki dzban wina na głowę Williama.

Odbił dzban lewą ręką i spoliczkował ją prawą. Włożył w ten policzek całą siłę. Aliena krzyknęła. Kątem oka dostrzegł, że Richard się zaniepokoił. Miał nadzieję, że tak się stanie. Silnie odepchnął dziewczynę na bok. Richard ruszył na Williama jak jeleń na myśliwego, lecz ten uniknął ciosu i walnął chłopca w żołądek. Kiedy Richard zgiął się wpół, William kilkoma szybkimi uderzeniami trafił go między oczy i w nos. To nie było tak podniecające, jak bicie Alieny, ale także przyjemne. Po chwili całą twarz chłopca pokryła krew.

Nagle Walter krzyknął ostrzegawczo i zerwał się na nogi ze wzrokiem skierowanym nad ramieniem Williama. Ten obejrzał się i zobaczył Matthew ruszającego na niego z nożem gotowym do pchnięcia. Ogarnęło go zaskoczenie, nie

spodziewał się zuchwałości po zniewieściałym zarządcy. Walter nie mógł dosięgnąć Matthew, by zapobiec uderzeniu. Wszystko, co William mógł uczynić, to pochwycić dłonie Matthew. Przez straszliwy moment wydawało mu się, że w chwili triumfu zginie. Silniejszy napastnik mógłby odepchnąć jego ręce na bok, ale zarządca był osobą szczupłą i osłabioną przez przebywanie w zamkniętych pomieszczeniach, więc nóż nie sięgnął szyi Williama. Ten poczuł nagle ulgę, ale nie był jeszcze bezpieczny. Zarządca podniósł rękę do drugiego uderzenia. William odstąpił o krok i ujął miecz. W tym czasie Walter już zdążył obejść stół i długim, ostro zakończonym sztyletem pchnął Matthew w plecy.

Wyraz przerażenia pojawił się na twarzy zarządcy. William dostrzegł czubek sztyletu wystający z przodu klatki piersiowej, przez tunikę. Nóż wypadł z dłoni Matthew i stuknął o deski podłogi. Próbował złapać powietrze, ale z jego gardła wydobył się tylko jakiś gulgoczący dźwięk. Zgiął się; krew poszła mu z ust, oczy się zamknęły i runął. Kiedy ciało opadło na podłogę, Walter wyjął swój sztylet. W jednej chwili krew bluznęła z rany, ale niemal natychmiast zwolniła do małego strumyczka.

Wszyscy patrzyli na zwłoki leżące na podłodze: Walter, William, Aliena i Richard. Williamowi, który przed chwilą otarł się o śmierć, było lekko na duszy. Czuł, że jest zdolny do wszystkiego. Sięgnął i chwycił karczek tuniki Alieny. Płótno było miękkie i cienkie, bardzo kosztowne. Szarpnął ostro. Tunika się rozdarła. Ciągnął dalej, tak że rozerwał cały przód. Szeroki na stopę pas materii został mu w ręku. Aliena przeraźliwie krzyknęła i próbowała połączyć resztki szaty. Rozdarcia nie chciały się zejść. Williamowi zaschło w gardle. Jej naga bezradność była podniecająca. Dziewczyna wydawała się bardziej ekscytująca i bardziej przejmowała dreszczem, niż wtedy, gdy obserwował, jak się myje, bo teraz ona patrzyła i wstydziła się, a jej wstyd rozpałał w nim ogień. Zakrywała piersi ręką, a swój trójkąt drugą. William puścił strzęp płótna i złapał ją za włosy. Raptownym ruchem przyciągnął do siebie, odwrócił i zerwał resztę tuniki z jej pleców.

Miała delikatne, zachwycające białe barki, wąską talię i nieoczekiwanie pełne biodra. Przyciągnął ją do siebie, przyciskając się do jej pleców, trąc biodrami o jej pośladki. Przechylił głowę Alieny i mocno gryzł ją w szyję, dopóki nie posmakował krwi, a ona nie krzyknęła znowu. Zobaczył, że Richard się rusza.

– Zatrzymaj chłopca – polecił Walterowi.

Przyboczny chwycił Richarda i zamknął w uścisku.

Przytrzymując Alienę mocno przy sobie jedną ręką, drugą badał jej ciało. Pomacał piersi, zważył i ścisnął, uszczypnął małe sutki, po czym przesunął rękę po jej brzuchu i wsadził w trójkąt. W ten trójkąt między jej nogami, trójkąt włosów kędzierzawych i bujnych, jak te na jej głowie. Dźgnął palcami brutalnie. Zaczęła płakać. Czuł, iż jego członek jest tak naprężony, że może wybuchnąć.

Odsunął się trochę i pchnął ją. Z łomotem padła na plecy. Upadek pozbawił ją tchu i chciwie łapała powietrze.

William nie tak to sobie zaplanował i nie był pewien, jak ma to teraz wyglądać, ale nic na świecie nie mogło go już powstrzymać.

Podciągnął tunikę i pokazał jej swój członek. Patrzyła przerażona. Prawdopodobnie nigdy w życiu nie widziała sztywnego. Prawdziwa dziewica. Tym lepiej.

– Przyrowadź tu chłopca – powiedział do Waltera. – Chcę, żeby to wszystko widział. – Z jakichś powodów myśl o robieniu tego na oczach Richarda zdawała się szczególnie pikantna.

Walter popchnął Richarda do przodu i zmusił do ukłęknięcia.

William ukląkł na podłodze przed leżącą Alieną i spróbował rozewrzeć jej nogi. Dziewczyna broniła się. Opadł na nią, starając się nacisnąć tak, by się poddała, ale się opierała i nie mógł wejść w nią. Zirytował się; podniósł się na łokciu i wałnął ją w twarz pięścią. Krzyknęła, a policzek jej się zaognił, lecz gdy tylko spróbował wejść w nią, znowu broniła się zaciekle.

Walter by ją przytrzymał, ale pilnował chłopca.

Nagle William wpadł na pomysł.

– Obetnij chłopcu uszy – rozkazał Walterowi.

Aliena ucichła.

– Nie! – powiedziała chrapliwie. – Zostawcie go. Nie róbcie mu więcej krzywdy.

– No to rozłóż nogi.

Wpatrzyła się w niego oczyma szeroko otwartymi. Biła z nich groza potwornego wyboru, do jakiego została zmuszona. Jej udręka cieszyła go, napałwał się nią. Walter, odgrywając doskonale swoją rolę, wyciągnął nóż i przyłożył do prawego ucha Richarda. Zawahał się, potem niemal pieszczotliwym ruchem ciął małżowinę.

Richard krzyknął. Z niewielkiej rany buchnęła krew. Kawalek ucha padł na pierś Alieny.

– Przestań! – wrzasnęła. – Dobrze. Zrobię to. – Rozchyliła nogi.

William splunął na rękę, potem wtarł ślinę między jej nogi. Wepchnął palce do środka. Wydała okrzyk bólu. To go jeszcze bardziej podnieciło. Opuścił się na nią. Leżała cicho, napięta, z zamkniętymi oczyma. Ciało miała śliskie od potu wskutek walki, ale dygotała. William poprawił pozycję, potem zatrzymał się, napawając się chwilą i ciesząc oczekiwaniem i jej trwogą. Spojrzał na pozostałych. Chłopiec patrzył przerażony. Przyboczny przyglądał się ponuro.

– Ty będziesz następny, Walter.

Aliena jęknęła w rozpacz.

Nagle wdarł się w nią brutalnie, pchając tak mocno i tak daleko, jak tylko mógł. Poczuł opór błony dziewiczej – prawdziwa dziewica! – i wdarł się znowu, szorstko. Zabolalo go, aleją zabolalo bardziej. Zakrzyknęła. Wdzierał się jeszcze mocniej i mocniej... Twarz Alieny zbieleła, głowa opadła na bok, omdlała. Wtedy William trysnął w nią swoje nasienie i roześmiał się; śmiał się z triumfu i rozkoszy, dopóki nie wypompał się do cna.

Burza szalała przez większą część nocy, potem około świtu uspokoiło się. Ta nagła cisza obudziła Toma. Kiedy tak leżał w ciemności, słuchając ciężkiego oddechu Alfreda obok siebie i cichszego snu Marthy ze swej drugiej strony, wyrachował, że to powinien być jasny poranek, co oznaczało, że po raz pierwszy po dwu czy trzech chmurnych tygodniach mógł zobaczyć, jak wschodzi słońce.

Wstał i otworzył drzwi. Było ciemno. Miał mnóstwo czasu. Szturchnął stopą syna.

– Obudź się! Już zbliża się wschód.

Alfred jęknął i usiadł. Martha poruszyła się, lecz spała dalej. Tom podszedł do stołu i podniósł pokrywkę glinianego garnka. Wyjął z niego napoczęty bochenek i ukroił dwie grube kromki. Usiedli na ławie i zjedli śniadanie.

W dzbanku było jeszcze piwo. Pociągnął długi łyk i podał dzbanek Alfredowi. Agnes nakłoniłaby ich do używania kubków. Ellen również, ale teraz żadnej kobiety w domu nie było. Kiedy Alfred wypił swą porcję, wyszli z domu.

Czerń nieba przechodziła w szarość, gdy mijali klauzurę. Tom chciał pójść do domu przeora i obudzić Philipa. Jednakże myśli mnicha podążały tymi samymi ścieżkami, co myśli budowniczego, i był już w ruinach katedry. Ubrany w ciężką oponczę klęczał na mokrej ziemi pogrążony w modlitwie.

Ich zadaniem było ustalić dokładną oś wschód-zachód, na której postawiony zostanie budynek katedry.

Tom wszystko przygotował wcześniej. Na wschodnim krańcu umocował w ziemi żelazny drążek, z otworem na czubku niczym oczko w igle. Drążek ten miał długość równą niemal wzrostowi Toma, tak że otwór znajdował się na wysokości wzroku budowniczego. Umocnił go w ziemi za pomocą mieszaniny gruzu i zaprawy, by nie można było poruszyć go przypadkowo. Dzisiaj rano zrobi to samo z kolejnym drążkiem, na przeciwległym krańcu.

– Przygotuj trochę zaprawy – polecił synowi.

Alfred poszedł po wapno i piasek. Tom udał się do szopy z narzędziami, stojącej koło wirydarza, i zabrał stamtąd nieduży drewniany młot i drugi drążek. Potem udał się na zachodni kraniec placu budowy i stanął w oczekiwaniu na słońce. Philip skończył modlitwy i dołączył do niego, podczas gdy Alfred mieszał na desce piasek i wapno z wodą.

Niebo się rozjaśniło. Trójka mężczyzn oczekiwała w coraz większym napięciu. Wszyscy wpatrywali się we wschodnią ścianę klasztornego muru. Wreszcie czerwony krąg słońca pokazał się nad jego krawędzią.

Tom przesunął się i ustawiał, aż zobaczył rąbek słońca przez otwór w drążku na przeciwległym krańcu. Potem, kiedy Philip zaczął głośno modlić się po łacinie, trzymał palik przed sobą tak, by zasłaniał mu widok słońca. Również opuścił go na ziemię, zachowując pion. Wbił go mocno. Starał się utrzymać palik między sobą i słońcem, między swoim okiem i „okiem” ze słońcem. Ostrożnie wyjął młot zza pasa i uważnie stukał w drążek, dopóki otwór nie znalazł się na poziomie jego wzroku. Teraz, jeśli we właściwy sposób wykonał zadanie i ręce mu nie drgnęły, słońce powinno świecić przez otwory w obu drążkach.

Zamknął jedno oko i przybliżył do drążka; popatrzył w stronę drugiego. Słońce świeciło prosto w jego źrenicę przez oba otwory. Obydwa paliki stały dokładnie na linii wschód-zachód. Ta linia ustaliła położenie katedry.

Wy tłumaczył to Philipowi wcześniej, a teraz pozwolił przeorowi popatrzeć.

– Doskonale – rzekł przeor.

– Tak jest – skinął głową Tom.

– Czy wiesz, jaki dzisiaj dzień?

– Piątek.

– Jest to również dzień męczeństwa świętego Adolphusa. Bóg zesłał nam bezchmurny wschód słońca, byśmy mogli ustalić położenie kościoła w dniu naszego patrona. Czyż nie jest to dobry znak?

Tom uśmiechnął się. W jego doświadczeniu zawsze było tak, że dobre przygotowanie i dobra robota były ważniejsze niż dobre znaki. Ale cieszył się

radością Filipa.

– Tak, na pewno. To bardzo dobry znak, ojcze.

Rozdział 6

I

Aliena postanowiła nie myśleć o tym, co się stało.

Całą noc siedziała na kamiennej podłodze kaplicy, oparta plecami o ścianę, wpatrzona w ciemność. Przez jakiś czas nie potrafiła oderwać myśli od piekielnego wydarzenia, w którym musiała brać udział. Stopniowo jednak ból przycichł trochę i była już zdolna do wsłuchiwania się w odgłosy deszczu padającego na dach kaplicy i wiatru wyjącego na blankach opustoszałego zamku.

Z początku była naga. Po tym, jak dwu mężczyzn... Kiedy skończyli, wrócili do stołu, zostawiając ją leżącą na ziemi, a krwawiącego Richarda obok niej. Zaczęli jeść i pić, jakby o niej zapomnieli, i wtedy ona z Richardem wykorzystali okazję, by wynieść się z komnaty. Akurat zaczęła się burza, więc biegli przez drewniany most na niższy dziedziniec w strumieniach zacinającego deszczu. Lecz Richard niemal natychmiast wrócił do twierdzy. Udało mu się niepostrzeżenie dostać do pomieszczenia, w którym przebywali mężczyźni, i zabrać opończe – swoją i Alieny. Zerwał je z kołka na drzwiach i uciekł, zanim William i jego przyboczny zdążyli się połapać.

W dalszym ciągu jednak nie odzywał się do niej. Dał jej opończę i zawiązał

się w swoją, po czym usiadł o dobry jard dalej, opierając plecy o tę samą ścianę. Tęskniła, by ktoś, kto ją kocha, objął ją i pocieszył, ale brat zachowywał się, jakby to ona popełniła coś straszliwie haniebnego. Najgorsze było to, że sama myślała podobnie. Czuła się winna i dobrze rozumiała, dlaczego Richard nie pociesza jej, dlaczego nie chce jej dotknąć.

Rada była, że panował chłód. Pomagał w poczuciu oddalenia się od świata i tłumił ból. Nie spała, ale oboje zapadli w pewnego rodzaju trans i siedzieli bez słowa przez długi czas.

Nagle odejście burzy podziałało jak zdjęcie zaklęcia. Aliena zauważyła, że już może dostrzec okna kaplicy, małe szare plamy na tym, co przedtem było jednolitą czernią. Richard wstał i skierował się ku drzwiom. Przyglądała mu się, rozdrażniona przerwaniem bezruchu: chciało jej się tak siedzieć pod ścianą, póki nie zamrze na śmierć albo nie umrze z głodu. Nic innego nie potrafiła sobie wyobrazić, by móc zapomnieć o tym, co się wydarzyło. Richard otworzył drzwi i słaby brzask oświetlił jego twarz.

Wstrząs wyrwał ją z otępienia. Trudno było rozpoznać chłopca. Twarz miał opuchniętą, pokrytą zaschniętą krwią i siniakami. Widok ten sprawił, że się rozplakała. Jej brat zawsze był skłonny do brawury. Szalał po zamku na wyimaginowanym koniu, udając, że przebija ludzi nieprawdziwą kopią. Rycerze ojca zachęcali go jeszcze, udając, że boją się jego drewnianego miecza. W rzeczywistości zaś Richard bał się nawet prychającego kota. Zrobił to, co mógł zrobić, najlepiej jak umiał, i został za to okropnie pobity. Teraz powinna się nim opiekować.

Powoli się podniosła. Bolało ją całe ciało, ale ten ból nie był już taki silny jak wieczorem. Rozważała, co może dziać się w twierdzy. William i jego pomocnik pewnie wysączyli dzbanek wina i poszli spać. Prawdopodobnie obudzą się o wschodzie słońca.

Ona i Richard muszą już wtedy być daleko.

Podeszła do ołtarza. Stanowiło go proste drewniane pudło, pomalowane na

biało, bez ozdób. Oparła się o nie i nagłym ruchem odepchnęła.

– Co ty robisz? – przestraszonym głosem spytał Richard.

– To tajny schowek ojca – odparła. – Powiedział mi o nim, zanim go zabrali. – Na podłodze, pod ołtarzem, leżał zawinięty w materię pakunek. Aliena odwinęła go i okazało się, że jest tam miecz wraz z pochwą i pasem oraz zdradliwie wyglądający, długi na stopę sztylet.

Richard podszedł, by zobaczyć. Z mieczem jeszcze niewiele miał do czynienia. Od roku uczył się nim posługiwać, ale ciągle nie miał wprawy. Jednakże Aliena z pewnością nie mogła go ponieść, więc podała Richardowi. Owinął pas wokół talii.

Aliena popatrzyła na sztylet. Nigdy nie nosiła broni. Całe życie miała kogoś, kto się nią opiekował, kto ją chronił. Uświadamiając sobie, że będzie potrzebowała tego śmiertelnościanego narzędzia do samoobrony, poczuła się całkowicie opuszczona. Nie była pewna, czy potrafi go użyć. Udało mi się kiedyś drewnianą kopią zranić dziką świnię, pomyślała, dlaczego nie miałabym pchnąć tym mężczyzny, kogoś takiego jak William Hamleigh. Na tę myśl ogarnął ją wstręt.

Sztylet miał pochwę z pętlą do przymocowania do pasa. Ta pętla była dość duża, by wsunąć ją na szczupły przegub Alieny, jak bransoletkę. Nałożyła ją na lewą rękę, a sztylet w pochwie ułożyła wzdłuż przedramienia. Nie był długi; sięgał jej do łokcia. Nawet gdyby nie umiała nikogo przebić, może tym sztylitem straszyc.

– Uciekajmy stąd, szybko – powiedział Richard.

Aliena skinęła głową, ale kiedy już kierowała się w stronę drzwi, zatrzymała się; w świetle poranka dostrzegła dwa ciemniejące na podłodze przedmioty, których wcześniej nie widziała. Rozpoznała siodła: jedno normalnych rozmiarów, drugie wydało jej się ogromne. Wyobraziła sobie Williama i Waltera przybywających wieczorem na zamek, płonących triumfem i zmęczonych podróżą, niedbale rzucających siodła w kaplicy, by pośpiesznie podążyć do twierdzy.

Nawet nie przyszło im do głów, że ktokolwiek może je ukraść. Lecz rozpacz dodaje ludziom odwagi.

Aliena podeszła do drzwi i wyjrzała. Świtało. Wszystko było szare, bez kolorów, niebo bezchmurne. Wiatr się uspokoił. Kilka drewnianych gontów zerwała z dachu kaplicy mocna wichura. Na dziedzińcu poza dwoma końmi skubiącymi mokrą trawę nie było nikogo. Oba popatrzyły na Alienę, potem opuściły z powrotem głowy w dół. Jednym był ogromny koń bojowy: to wyjaśniało wielkie rozmiary siodła. Drugi to tarantowaty ogier, kiepsko się prezentujący, ale krępy i mocny. Aliena zatrzymała na nich wzrok, potem spojrzała na siodła i znowu na konie.

– Na co czekasz? – zaniepokoił się Richard.

Podjęła decyzję.

– Zabierzemy im konie – rzekła stanowczo.

– Zabiją nas! – Richard wyglądał na przestraszonego.

– Nie dadzą rady. Jeśli jednak nie zabierzemy koni, to wtedy uda im się nas doścignąć i zabić.

– A jak nas złapią, zanim uciekniemy?

– Po prostu musimy się pośpieszyć. – Nie była wcale taka pewna, lecz musiała dodać Richardowi odwagi. – Najpierw osiodłajmy mniejszego, wygląda przyjaźniej. Przynies to zwykłe siodło.

Ruszyła szybko ku koniom. Oba przywiązano na długich powrozach do kikutów pozostałych po spalonych budynkach. Aliena chwyciła powróż wierzchowca i pociągnęła łagodnie; to oczywiście koń giermka. Wolałaby jakiegoś mniejszego i bardziej bojaźliwego, ale uważała, że i z tym sobie poradzi. Richard musi wziąć konia bojowego.

Wierzchowiec spojrzał podejrzliwie i stulił uszy. Aliena, mimo desperackiej niecierpliwości, zmusiła się do tego, by zwracać się do konia łagodnie i spokojnie, jednocześnie lekko przyciągając powróż. Koń uspokoił się. Przytrzymała głowę i poklepała zwierzę po chrapach, podczas gdy jej brat nałożył

mu uzdę i wsadził wędzidło w pysk. Alienie ulżyło. Richard osiodłał wierzchowca szybkimi, pewnymi ruchami. Oboje przywykli do koni od dzieciństwa.

Po obu stronach siodła były przytroczone dwie torby. Aliena miała nadzieję, że znajdzie w nich jakieś pożyteczne rzeczy: krzesiwo, żywność, może ziarno dla koni, ale brakowało czasu na sprawdzenie. Rzuciła nerwowo okiem w stronę mostu wiodącego na wyższy dziedziniec i do twierdzy. Nie było niko-
go.

Koń bojowy przyglądał się siodłaniu i wiedział, czego oczekiwać, ale nie miał ochoty współpracować z zupełnie obcymi ludźmi. Po pociągnięciu linki parsknął i zaparł się.

– Cicho, cicho – uspokajała go Aliena. Trzymała powróż lekko napięty, równo pociągając, a koń, choć niechętnie, podchodził. Był bardzo silny, jeśli opierałby się, sprawiłby wielki kłopot. Aliena zastanawiała się, czy wierzchowiec zdołałby nieść ją razem z bratem, ale wiedziała, że wtedy William mógł gonić ich na koniu bojowym.

Gdy zwierzę było już blisko, zawięła linkę wokół pniaka, aby nie mogło odskoczyć. Richard spróbował nałożyć uzdę, lecz koń rzucił głową i chłopcu się nie udało.

– Spróbuj go najpierw osiodłać – poradziła Aliena.

Przemawiała do zwierzęcia i poklepywała jego potężną szyję, a w tym czasie Richard narzucił nań masywne siodło, po czym umocował je właściwie. Koń spuścił nieco z tonu.

– No, teraz już dobrze – powiedziała pewnie, ale zwierzę nie dało się oszukać: wyczuwało jej skrywaną panikę. Richard podszedł z uzdą, koń parsknął i rzucił się w tył. – Mam coś dla ciebie – rzekła Aliena i sięgnęła do pustej kieszeni swej opończy. Zwierzę tym razem dało się oszukać. Wyjęła pustą rękę, a koń opuścił głowę i niuchał w jej garści, poszukując żywności; poczuła szorstkość języka na wewnętrznej stronie dłoni. W tym czasie Richardowi udało się nałożyć uzdę.

Znów rzuciła pełne lęku spojrzenie na twierdzę. Wszędzie panował spokój.

– Wsiadaj – poleciła Richardowi.

Nie bez trudności wsadził nogę wysoko w strzemię i wskoczył na grzbiet rumaka. Aliena odwiązała powróż.

Koń zarżał głośno.

Serce Alieny załomotało. Rzenie było możliwe do usłyszenia w twierdzy, a William na pewno rozpozna głos swego konia. Ten dźwięk mógł go obudzić.

Starła się szybko rozsypać węzeł, ale zimne palce nie radziły sobie z tą czynnością. Myśl o przebudzeniu Williama wywoływała coraz silniejszy niepokój. Zaczął prześladować ją natrętny obraz: William otwierający oczy, siadający, rozglądający się wkoło i wzywający ją. Aliena wiedziała, że nie jest w stanie stanąć z nim ponownie twarzą w twarz. Ten bezwstydnym, brutalnym, potwornie bolesnym czynem, jakiego się wobec niej dopuścił, na nowo budził grozę.

– No chodź, Allie! – zawołał brat ponaglająco. Jego rumak stał się już niecierpliwy i jął się lekko narowić. Richard musiał usilnie się starać, by utrzymać go w ryzach. Koń potrzebował przegalopować z milę, dwie, by się zmęczyć, a wtedy łatwiej poddawałby się wodzom. Znów zarżał i zaczął chodzić na boki.

Udało się. Chciała porzucić powróż, ale pomyślała, że może się jeszcze przydać, więc w pośpiechu zwinęła go niestarannie i zaczepiła na lęku siodła. Teraz powinna dostosować do swoich nóg strzemiona, ale wyobraziwszy sobie Williama biegnącego po schodach, przechodzącego przez komnatę, wychodzącego na dwór.

– Nie utrzymam tego konia dłużej – powiedział napiętym głosem Richard.

Denerwowała się, podobnie jak ten bojowy koń. Wskoczyła wreszcie. Siedzenie w siodle sprawiało jej wewnętrzny ból, ale musiała wytrzymać. Richard skierował się ku bramie, a jej koń podążył za nim bez żadnego ponaglenia. Nie sięgała strzemion, musiała tedy pomagać sobie uściskiem kolan. Kiedy wyjeżdżali, usłyszała jakiś okrzyk. Jęknęła głośno:

– Och, nie!

Richard szturchnął rumaka piętami, potężne bydlę przeszło w kłus, a jej wierzchowiec zachowywał się tak samo. Za to powtarzanie ruchów była mu bardzo wdzięczna, bo sama nie czuła się na siłach zapanować nad zwierzęciem. Richard ponownie spiął konia i kiedy przejeżdżali pod łukiem bramy, przyśpieszyli. Aliena usłyszała ponownie okrzyk, znacznie bliżej. Obejrzała się przez ramię i zobaczyła Williama z Walterem. Biegli przez niższy dziedziniec w pogoni za nimi.

Skoro tylko koń Richarda zobaczył przed sobą otwarte pola, zaczął się denerwować, wreszcie opuścił głowę i pogalopował. Kopyta zadudniły na zwodzonym moście. Aliena poczuła na udzie szarpnięcie i kątem oka dojrzała męską rękę sięgającą ku popręgom. W następnej chwili ręka znikła i już wiedziała, że uciekli. Spłynęła na nią ulga, ale słabnące napięcie przestało łagodzić ból. Podczas galopu przez pola czuła się tak, jakby coś ją przebijało, jak wtedy gdy czynił to ten plugawy William. Coś ciepłego ciekło jej po udach. Przestała ściągać wodze i z bólu zacisnęła powieki. Nocna zgroza przejęła ją znowu, przypominając to, co się wydarzyło. Kiedy gnali przez pola, powtarzała śpiewnie w rytm tętentu:

– Nie pamiętam, nie pamiętam, nie pamiętam, nic a nic, nic a nic, nic a nic.

Koń skręcił w prawo i poczuła, że jadą lekko pod górę. Otworzyła oczy i zobaczyła, że Richard zjechał z błotnistej drogi i skierował się prosto do odległego lasu. Pomyślała, że chce się upewnić, czy koń się już dobrze zmęczył, zanim zwolni. Po ostrej jeździe zwierzęta będą łatwiejsze do opanowania. Wkrótce poczuła, że jej wierzchowiec osłabł, poprawiła się w siodle. Koń zwolnił do kłusa, potem do truchtu, wreszcie poszedł stępa. Rumak Richarda miał wiele energii, odsadzili się sporo.

Aliena popatrzyła za siebie ponad polami. Zamek był odległy o milę. Ich wrogowie będą musieli znaleźć sobie konie, a to potrwa trochę. Przez jakiś czas może czuć się bezpiecznie, myślała.

W dłoniach i stopach czuła pulsowanie. Rozgrzewała się. Z konia bił żar

jak od ogniska, spowijając ją w kokon ciepłego powietrza. Richard w końcu pozwolił swemu koniowi zwolnić i zawrócił w jej stronę. Jego rumak parował silnie, kiedy szedł stępa. Znali te lasy doskonale, przeżyli przecież tutaj swoje dzieciństwo. Skierowali się ku nim.

– Dokąd zmierzamy? – spytał chłopak.

Aliena zmarszczyła brwi. Rzeczywiście, dokąd? Co czynić? Bez żywności, bez picia i bez pieniędzy. Ona sama nie miała ubrania poza opończą – żadnej tuniki, koszuli, nakrycia głowy ani butów. Chciała opiekować się bratem, ale jak?

Teraz dopiero zdała sobie sprawę, że przez ostatnie trzy miesiące żyła jak we śnie. Gdzieś tam, w głębi duszy, świadoma była, że dawne życie się skończyło, ale nie śmiała spojrzeć prawdzie w oczy. William Hamleigh wyrwał ją z tego snu. Nie miała wątpliwości, że powiedział prawdę i król Stefan uczynił Percy’ego Hamleigha hrabią Shiring. Może jednak coś jeszcze postanowił. Może król Stefan przygotował dla nich jakieś zaopatrzenie. Jeśli zaś nie, to powinien o tym pomyśleć, a oni muszą go o to poprosić. W każdym razie trzeba pojechać do Winchesteru. Dowiedzieć się wreszcie, co z ojcem.

Och, ojcze, gdzie popełniłeś błąd?

Od śmierci matki otaczał ją szczególną opieką. Wiedziała, że poświęca jej więcej uwagi, niż zwykle czynią to ojcowie. Miał wyrzuty sumienia z tego powodu, że nie wprowadził do domu kobiety, która zastąpiłaby matkę. Tłumaczył to w ten sposób, że czuł się szczęśliwszy, żyjąc wspomnieniami. Nie chciał być z kimś, kto miałby zastępować im matkę. Aliena zresztą nie pragnęła drugiej matki. Ojciec opiekował się nią, ona Richardem i w ten sposób żadne nie czuło się pokrzywdzone.

Te dni odeszły na zawsze.

– Gdzie zmierzamy? – powtórzył Richard swoje pytanie.

– Do Winchesteru – odrzekła. – Pójdziemy do króla.

Richard zapalił się do tego pomysłu.

– Tak! A kiedy powiemy mu, co William i jego pacholek zrobili tej nocy, król z pewnością...

W mgnieniu oka Alienę ogarnęła furia.

– Zamknij pysk! – wrzasnęła. Konie wzdrygnęły się nerwowo. Pociągnęła wodze ze złością. – Nigdy tego nie mów! – Dławiła się z wściekłości, słowa z trudem dawały się wymawiać. – Nigdy nikomu nie powiemy, co oni zrobili! Nikomu! Nigdy! Nigdy! Nigdy!

W sakwach przy siodle Waltera znalazła wielką gomółę twardego sera, trochę wina w skórzanej butli, krzesiwo, kawałek hubki i jakiś funt czy dwa pomieszanych ziaren, pewnie dla koni. Aliena i Richard w południe zjedli ser i wypili wino, a konie w tym czasie pasły się na zmarzniętej trawie i wiecznie zielonych krzewach, popijając wodę z czystego strumienia. Dziewczyna przestała krwawić, lecz dolna połowa jej ciała była bez czucia.

Widzieli kilkoro podróżnych, ale zabroniła Richardowi odzywać się do kogokolwiek. Dla przypadkowego obserwatora tworzyli wspaniałą parę, szczególnie zaś Richard na wielkim bojowym koniu, przepasany mieczem. Kilka chwil rozmowy jednak ujawniłoby, że są po prostu parą dzieci bez opieki, a przez to bezbronni. Trzymali się tedy z dala od ludzi.

Zaczęło się ściemniać, więc jęli rozglądać się za noclegiem. Napotkali polankę nad strumieniem, jakieś sto jardów od traktu. Aliena dała koniom trochę ziarna, a Richard przygotował ognisko. Gdyby mieli jakiś garnek, mogliby ugotować polewkę z ziarna dla koni. Ponieważ nie mieli, będą żuli surowe. Znaleźli trochę słodkich kasztanów, które można upiec w ogniu.

Kiedy przygotowywała posiłek, a Richard zbierał drewno, przestraszył ją głęboki głos, dobiegający z bliska.

– A skądże to jesteście, panienczko?

Wydała okrzyk. Koń cofnął się przestraszony. Odwróciwszy się, ujrzała

odzianego w brązową skórę brudnego, brodatego mężczyznę, który zrobił krok w jej stronę.

– Z daleka ode mnie! – wrzasnęła.

– Nie trzeba się bać – odpowiedział.

Kątem oka dostrzegła brata wchodzącego na polanę za plecami intruza. Miał całe naręcze drewna. Stał i zaczął gapić się na nich. Wyjmij miecz! – pomyślała Aliena, ale wydawał się zbyt przestraszony i niepewny, by na cokolwiek mógł się zdecydować. Sama cofnęła się nieco, ale tak, by między nią a obcym pozostawał koń.

– Nie mamy pieniędzy – oświadczyła. – Nie mamy nic.

– Jestem królewskim gajowym.

Aliena z ulgi niemal upadła. Gajowy to sługa króla, dbający o przestrzeganie królewskich praw leśnych.

– Dlaczego od razu nie mówiłeś tego, głupcze? – powiedziała. Była zła, że się wystraszyła. – Wzięłam cię za banitę!

Wydawał się zmieszany i raczej urażony, jakby usłyszał coś nieuprzejmego, ale rzekł tylko:

– Czyli jesteś wysoko urodzoną damą.

– Jestem córką hrabiego Shiring.

– To ten chłopiec będzie jego synem – rzekł gajowy, choć miała wrażenie, że nie widział Richarda.

Teraz dopiero chłopak wyszedł zza jego pleców i rzucił naręcze drewna.

– To prawda. Jak się nazywasz?

– Brian. Czy chcecie spędzić noc tutaj?

– Tak.

– Zupełnie sami?

– Tak. – Aliena pojęła, że leśniczy zastanawia się, dlaczego podróżują bez eskorty, ale nie miała zamiaru mu nic mówić.

– I nie macie pieniędzy, jak powiedziałaś.

– Powątpiewasz w moje słowa? – zmarszczyła brwi.

– O, nie. Wasze szlachectwo umiem poznać po waszych manierach. – Czyżby w jego głosie zabrzmiała nutka ironii? – Jeśli jesteście bez pieniędzy i sami, to może wolelibyście spędzić noc u mnie w domu. To niedaleko.

Aliena nie chciała zdawać się na łaskę takiego prostaka. Już miała odmówić, gdy odezwał się znowu.

– Moja żona byłaby rada gościć was na kolacji. Poza tym mam ciepłą szopę, gdybyście woleli spać oddzielnie.

Żona – to już zmienia postać rzeczy. U rodziny, godnej szacunku, można zabawić w gościnie. To bezpiecznie. Jednak wciąż się wahała. Potem pomyślała o palenisku, o misce gorącej zupy, o spaniu na słomie pod dachem.

– Będziemy wdzięczni – rzekła. – Nie mamy nic, co moglibyśmy ci ofiarować. Powiedziałam prawdę, że nie mamy pieniędzy. Jednakże kiedyś wrócimy i nagrodzimy cię.

– Nieźle – odparł gajowy. Podeszedł do ogniska i rozkopał je. Aliena i Richard wsiedli na konie, nie zdążyli bowiem ich rozsiodłać. Gajowy przeszedł między nimi i stanąwszy na przedzie, zażądał:

– Dajcie mi wodze.

Niepewna co do zamierzeń przewodnika, podała mu jednak wodze, a Richard uczynił podobnie. Brian wyprowadził ich z lasu. Aliena wolałaby trzymać je sama, ale pozwoliła, by gajowy zrobił to po swojemu.

Było dalej, niż mówił. Przebyli trzy lub nawet cztery mile i zrobiło się ciemno, kiedy wreszcie dotarli do małego, drewnianego domku krytego strzechą, stojącego na skraju pól. Ponieważ jednak przez szpary w okiennicach przebłyskiwało światło i dolatywał zapach gotowanego jada, więc Aliena zsiadła z konia z wdzięcznością.

Hałas przed chatą zwrócił uwagę żony Briana. Stała w drzwiach. Gajowy powiedział do niej:

– Młody lord i lady, samotnie w lesie. Daj im coś do picia. – Zwrócił się do

córki hrabiego, mówiąc: – Wejdz do środka. Zajmę się końmi.

Alienie nie podobał się ten rozkazujący ton, wolałaby sama wydawać polecenia, ale nie chciało się jej rozsiodłać konia, weszła przeto do środka. Richard za nią. Dom był zadymiony i cuchnący, lecz ciepły. W kącie stała przywiązana krowa. Była rada, że leśniczy wspomniał o osobnej szopie, nigdy bowiem nie zdarzyło się jej spać z bydłem. Na ogniu bulgotał garnek. Usiedli na ławie, a kobieta dała im po misce zupy. Smakowała dziczyznę. Kiedy kobieta ujrzała w świetle twarz Richarda, przeraziła się.

– Co też ci się stało?

Richard już otwierał usta, by odpowiedzieć, ale Aliena powstrzymała go.

– Przydarzyło nam się kilka przykrości – rzekła. – Zdążamy do króla.

– Rozumiem – odparła kobieta. Była niewysoka, brązowoskóra, o ostrożnym spojrzeniu. Nie upierała się przy wypytywaniu.

Aliena szybko zjadła swoją porcję i miała chęć na więcej. Podsunęła miskę. Kobieta odwróciła wzrok. Aliena poczuła się zaskoczona: jak to, czyżby ta tam nie wiedziała, czego chce? A może więcej nie ma? Już miała coś ostro powiedzieć, kiedy gajowy wszedł do chaty.

– Pokażę wam stodołę, gdzie możecie spać. Chodźcie ze mną. – Wziął lampę z haka nad drzwiami.

Wstali. Aliena zwróciła się do kobiety.

– Chciałam cię jeszcze o coś prosić. Czy możesz dać mi jakąś swoją starą suknię? Pod opończą nic nie mam.

Z jakiegoś powodu stropiło to kobietę.

– Zobaczę, co znajdę – mruknęła.

Aliena podeszła do drzwi. Gajowy dziwnie na nią spoglądał. Wpatrywał się w opończę, jakby mógł ją przeniknąć wzrokiem, jeśli tylko dostatecznie mocno wbije w nią wzrok.

– Prowadź! – rzekła ostro.

Odwrócił się i wyszedł.

Poprowadził ich za dom, potem przez warzywny zagon. Chwiejne światło lampy ujawniło mały drewniany budynek, bardziej szopę niż stodołę. Otworzył drzwi. Uderzyły o beczkę na deszczówkę.

– Przypatrzcie się, czy będzie wam odpowiadać.

Richard wszedł pierwszy.

– Weź światło, Allie.

Aliena odwróciła się do gajowego, by wziąć od niego lampę. Kiedy to czyniła, ten popchnął ją potężnie. Zatoczyła się w bok, przelatując przez drzwi do środka i zbijając z nóg Richarda. Oboje z hałasem padli na podłogę. Zrobiło się ciemno, a drzwi zatrzasnęły się z hukiem. Potem jeszcze jakiś szurgot rozległ się na zewnątrz, jakby czymś ciężkim przyparto drzwi.

Aliena nie mogła uwierzyć w to, co się stało.

– Co się dzieje, Allie?! – krzyknął Richard.

Usiadła. Czy ten człowiek naprawdę był gajowym, czy może jednak banitą? Nie, nie mógł być banitą: dom świadczył o pewnej zamożności. A jednak, o ile naprawdę jest gajowym, czemu ich zamknął? Czyżby złamali prawo? Czy domyślił się, że konie nie należą do nich? Albo miał jakiś inny nieuczciwy powód?

– Allie, dlaczego on to zrobił?

– Nie wiem – odpowiedziała znużona. Już nie miała sił, by się złościć czy martwić. Wstała i pchnęła drzwi. Nie drgnęły. Domyślała się, że gajowy podstawił pod drzwi tę beczkę z deszczówką. Po omacku dotykała ścian. Do niższych, skośnych części dachu także mogła dosięgnąć. Szopę postawiono z ciasno zbitych belek. Była to bardzo solidna konstrukcja. Pewnie areszt gajowego, gdzie trzymał przestępców, zanim zabierał ich do szeryfa. – Nie damy rady wyjść – rzekła. Usiadła znowu. Podłoga była sucha, pokryta słomą. – Będziemy tu zamknięci, dopóki nas nie wypuści – stwierdziła z rezygnacją.

Richard usiadł obok niej. Po chwili położyli się plecami do siebie. Alienie wydawało się, że jest za bardzo maltretowana i przestraszona, by zasnąć, ale

przecież była także bardzo wyczerpana. W ciągu kilku chwil zapadła w pokrępowany sen.

Obudziła się, kiedy otwarto drzwi i światło dnia padło na jej twarz. Natychmiast wstała, przestraszona i zdezorientowana. Nie wiedziała, co się dzieje, gdzie jest, dlaczego śpi na twardej ziemi. Gdy wreszcie przypomniała sobie, przeraziła się jeszcze bardziej. Co gajowy ma zamiar im zrobić? Jednakże to nie on otworzył drzwi. Do szopy weszła jego niska żona. Mimo że, podobnie jak wczoraj wieczorem, twarz miała zimną, bez wyrazu, niosła spory kawał chleba i dwa kubki.

Richard usiadł również. Oboje przyglądali się kobiecie z ostrożnością. Nic nie powiedziała, tylko podała im po kubku, potem przełamała chleb i dała każdemu po połowie. Nagle dotarło do Alieny, że jest okropnie głodna. Zanurzyła chleb w piwie i zaczęła jeść.

Kobieta stała w drzwiach i przyglądała się im. Gdy skończyli, podała coś, co wyglądało jak sprana, pożółkła płócienna płachta, złożona w kostkę. Aliena rozwinęła. To stara suknia.

– Włóż to i wynoś się – powiedziała kobieta.

Mieszanina uprzejmości i szorstkich słów zbiła z tropu dziewczynę, ale nawet się nie zawahała przed wzięciem sukni. Odwróciła się tyłem, zrzuciła opończę, szybko przez głowę naciągnęła suknię i z powrotem nałożyła okrycie.

Poczuła się znacznie lepiej.

Kobieta podała jej także parę za dużych, znoszonych drewniaków.

– Nie dam rady jechać konno z czymś takim na nogach – rzekła Aliena.

– Nie będziesz jechała – chrapliwie zaśmiała się kobieta.

– Dlaczego nie?

– Zabrał wasze konie.

Serce Alieny zamarło. To okropne, że tyle nieszczęść wali się na nich.

– Gdzie je zabrał?

– Takich rzeczy mi nie mówi, ale domyślałam się, że do Shiring. Kiedy je sprzeda, dowie się, kim jesteście i czy można z wami zrobić coś jeszcze, by zarobić więcej.

– No to dlaczego nas puszczasz?

Kobieta przyjrzała się Alienie. Zmierzyła ją wzrokiem od stóp do głowy.

– Bo nie spodobało mi się, jak na ciebie popatrzył, kiedy powiedziałaś, że pod opończą jesteś goła. Może teraz tego nie rozumiesz, ale kiedy zostaniesz żoną, szybko się nauczysz.

Aliena już to rozumiała, ale nie przyznała się do tej wiedzy.

– A czy on cię nie zabije, kiedy zobaczy, że nas nie ma? – spytał Richard.

– Mnie tak bardzo nie przeraża, jak potrafi innych. Idźcie już – uśmiechnęła się cynicznie.

Wyszli. Aliena pomyślała, że ta kobieta nauczyła się żyć z takim brutalnym i pozbawionym serca mężczyzną, zachowując nawet jakieś resztki przyzwoitości i współczucia.

– Dzięki za suknię – powiedziała niezręcznie.

Kobieta nie chciała podziękowań. Wskazała na drogę i rzekła:

– Winchester jest tam.

Poszli bez oglądania się.

Nigdy nie nosiła drewniaków. Ludzie należący do jej klasy nie nosili czegoś takiego: zawsze mieli sandały lub trzewiki. Szło się jej w nich koślawo i niewygodnie. Lecz to lepsze, niż stąpać boso na tak zimnej ziemi.

Kiedy odeszli już od chaty leśniczego na tyle, że nie można ich było usłyszeć, Richard zapytał:

– Allie, dlaczego nam się to wszystko przydarza?

To pytanie rozbroiło ją. Każdy okazywał im okrucieństwo. Wszyscy mogli ich bić i ograbić, kiedy tylko przyszła im na to ochota. Jakby byli psami czy koźmi, a nie ludźmi. Nie mieli nikogo, kto by ich bronił. Byliśmy zbyt ufnymi, po-

myślała. Mieszkali i żyli trzy miesiące na zamku, nie zamykając nawet drzwi na skobel. Postanowiła na przyszłość nie ufać nikomu. Nigdy więcej nie pozwoli nikomu trzymać wodzy swego konia, nawet gdyby zakaz taki był grubiaństwem. Nigdy więcej nie pozwoli komuś stać czy iść za swymi plecami, tak jak pozwoliła gajowemu ostatniego wieczoru, gdy popchnął ją w głąb szopy. Nigdy nie przyjmie gościnności od obcego, nigdy nie zostawi niezamkniętych na klucz drzwi na noc, nigdy nie będzie pobieżnie oceniała uprzejmości.

– Chodźmy szybciej – powiedziała do Richarda – może dotrzemy do Winchesteru przed zmrokiem.

Podążyli ścieżką ku polanie, na której chcieli nocować i gdzie spotkali gajowego. Pozostałości po ich ognisku wciąż tam były. Stąd łatwo trafili na trakt. Kiedyś bywali w Winchesterze, znali więc drogę. Teraz poruszali się szybciej, bo błoto po burzy już się zdążyło utwardzić. Twarz Richarda wracała do normalnego wyglądu. Po wczorajszym myciu zeszła większość zakrzepłej krwi, która spłynęła leśnym strumykiem. W miejscu prawej małżowiny sterczał strzęp ucha, a opuchlizna twarzy, poza wargami, schodziła. Oczywiście wciąż miał paskudne siniaki, a ich jaskrawy kolor nadawał mu raczej przerażający wyraz. No, ale to nie zaszkodzi.

Aliena tęskniła za końskim ciepłem. Ręce i stopy bolały ją z zimna mimo rozgrzewki podczas marszu. Temperatura podniosła się odrobinę dopiero około południa. A teraz na dodatek pojawił się głód. Przypomniała sobie, że jeszcze wczoraj uważała, że to obojętne, czy się ogrzeje i naje. Nie chciała o tym myśleć.

Kiedy tylko usłyszeli konie albo zobaczyli z daleka jakichś ludzi, dawali susa w zarośla i przeczekiwali, póki podróżni ich nie minęli. Przez wioski przechodzili prędko, nie odzywając się do nikogo. Richard chciał wyżebrać trochę jedzenia, ale Aliena nie pozwoliła mu na to.

Po południu mieli tylko kilka mil do celu i nikt do tej pory ich nie zaczepił. Już zaczęła myśleć, że unikanie kłopotów nie jest takie trudne, kiedy na zupeł-

nie opustoszałym odcinku traktu jakiś mężczyzna wyszedł nagle z krzaków i stanął naprzeciw nich.

Nie mieli już czasu się schować.

– Idź dalej – powiedziała do brata, ale mężczyzna zastąpił mu drogę. Musieli się zatrzymać. Aliena obejrzała się, chcąc uciekać w tamtą stronę, lecz drugi człowiek pojawił się na trakcie jakieś dziesięć, piętnaście jardów z tyłu, zamykając drogę odwrotu.

– Cóż my tu mamy? – ten z przodu, tłusty, czerwonogęby, o wielkim wylewającym się brzuchu i zmierzwionych, brudnych kudłach, przemówił głośno. Miał w rękach ciężki kostur. Z pewnością to banita. Na podstawie wyrazu jego twarzy Aliena oceniła, że jest gotów użyć przemocy. Serce jej wypełniła zgroza.

– Zostaw nas – powiedziała błagalnym głosem. – Nie mamy nic, co mógłbyś ukraść.

– Nie jestem taki pewny – odrzekł mężczyzna. Zrobił krok w stronę chłopca. – To coś wygląda na piękny miecz, wart parę szylingów.

– Jest mój! – zaprotestował Richard, ale brzmiało to jak słowa przestraszonego dziecka.

Nie ma wyjścia, pomyślała Aliena. Jesteśmy bezsilni. Ja jestem kobietą, on jeszcze chłopcem, więc każdy może z nami zrobić, co mu się spodoba.

Zadziwiająco sprawnym i szybkim ruchem mężczyzna podniósł kij i zamachnął się w kierunku Richarda. Ten zrobił unik. Cios, wymierzony w głowę chłopca, trafił go w ramię. Tłuszcioch miał wiele siły i jego uderzenie przewróciło Richarda.

Nagle coś w niej pękło. Traktowano ją niesprawiedliwie, nikczemnie wykorzystywano i jeszcze rabowano, a ona marzła i głodowała. Teraz już nie umiała się opanować. Jej braciszka pobito niemal na śmierć dwa dni temu. Widok ponownego bicia przyprawił ją o szaleństwo. Straciła jakiegokolwiek poczucie rozsądku i ostrożności. Nie zastanawiając się, wyciągnęła broń z rękawa, skoczyła

do banity i wrzeszcząc, wsadziła mu sztylet w wielkie brzuszysko.

– Zostaw go, ty psie!

Pokonała go przez zupełne zaskoczenie. Opończa rozchyliła mu się podczas uderzenia, a w rękach wciąż ścisnął kostur. Nie strzegł się wcale; niewątpliwie nie spodziewał się ataku ze strony bezbronnej z pozoru dziewczyny. Czubek ostrza sztyletu przeszedł przez wełnę tuniki i płótno koszuli, zatrzymał się na naprężonej skórze brzucha. Aliena przez moment się zawahała, na sekundę ogarnął ją strach przed wdarciem się w głąb ciała żywego człowieka. Lecz groza spotęgowała jej zdecydowanie i pchnęła mocniej i głębiej. Nagle przełęknęła się, że może go nie zabije, że on przeżyje i zemści się, więc wbiła sztylet do oporu, aż po rękojeść.

Budzący strach, wyniosły i okropny człowiek stał się nagle przestraszonym rannym zwierzęciem. Krzyknął z bólu, upuścił drąg i wytrzeszczonymi oczyma patrzył na sterczącą rękojeść. Aliena pojęła w mig, że rana jest śmiertelna. Prerażona cofnęła się. Banita zachwiał się, wygiął do tyłu. Przypomniała sobie o drugim napastniku i ogarnęła ją panika: tamten z łatwością mógł straszliwie pomścić współnika. Złapała za rękojeść sztyletu i szarpnęła. Ranny odwrócił się nieco od niej, musiała więc ciągnąć trochę z boku. Wyczuwała, że ostrze przecina miękkie wnętrzności w trakcie wyciągania. Krew siknęła jej na rękę, a mężczyzna zawył przeraźliwie jak zwierzę i upadł na ziemię. Okręciła się szybko z nożem w krwawej dłoni ku temu drugiemu. Kiedy to czyniła, Richard zdołał się podnieść na nogi i wy dobył miecz.

Złodziej gapił się na nich oboje, wodząc oczyma od jednego do drugiego. Potem popatrzył na umierającego przyjaciela i bez dalszych korowodów odwrócił się i pognał w las.

Aliena patrzyła na to z niedowierzaniem. Przestraszyli go. Niewiarygodne.

Spojrzała na człowieka na ziemi. Leżał płasko na plecach, a z wielkiej rany wypływały wnętrzności. Oczy miał szeroko otwarte, twarz wykrzywił ból i strach.

Nie poczuła ani ulgi, ani dumy z tego, że obroniła siebie i brata przed bezwzględnyimi napastnikami.

Richard nie miał takich odczuć.

– Zaciukałaś go, Allie! – rzekł tonem wyrażającym i podniecenie, i histerię.
– Załatwiłaś ich!

Popatrzyła na niego. Musi dostać nauczkę.

– Dobij go! – rzekła.

– Co? – Richard wybałuszył na nią oczy.

– Dobij go – powtórzyła. – Skróć jego mękę!

– Czemu ja?

– Bo zachowujesz się jak chłopiec – z rozmysłem nadała swemu głosowi szorstki ton. – Ja potrzebuję mężczyzny. Nigdy nie uczyniłeś mieczem nic poza zabawą w bitwę, a kiedyś musisz zacząć. Co się z tobą dzieje? Czego się boisz? On i tak umiera. Nic ci nie zrobi. Użyj wreszcie miecza. Nabieraj wprawy. Zabij go!

Richard trzymał miecz w obu rękach i nie czuł się zbyt pewnie.

– Jak?

Mężczyzna znowu zajęczał.

– Ja nie wiem jak! – wydarła się. – Utnij mu głowę albo przebij serce! Cokolwiek! Zatkaj mu gębę!

Richard wydawał się zagoniony w kozi róg. Podniósł miecz, ale natychmiast opuścił.

– Jeśli tego nie zrobisz, zostawię cię samego, przysięgam na wszystkich świętych. Którejś nocy wstanę i pójdę sobie, a ty obudzisz się rankiem zupełnie sam. Musisz go natychmiast zabić!

Znowu podniósł miecz. Wtem, nie do wiary, mężczyzna przestał jęczeć i próbował wstać. Przetoczył się na bok i usiadł tak, by oprzeć się na łokciu. Richard wydał okrzyk, w połowie strachu, w połowie bojowy, i spuścił z całej siły miecz na odsłoniętą szyję zbója. Miecz ważył sporo, a ostrze nie było tępe,

więc wszedł dalej niż do połowy szyi tłuściocha. Gdy głowa przechyliła się śmiesznie na bok, bluznęła fontanna krwi. Ciało runęło na ziemię.

Aliena i Richard wpatrywali się w nie. Z gorącej krwi unosiła się para w chłodnym zimowym powietrzu. Oboje osłupieli na widok swego uczynku. Raptem Aliena zapragnęła oddalić się stamtąd jak najszybciej. Rzuciła się do ucieczki. Richard za nią.

Zatrzymała się, kiedy już nie mogła biec. Uświadomiła sobie wtedy, że szlocha. Ruszyła przed siebie powoli, nie dbając już o to, by brat nie widział jej łez. I tak wyglądał na niczym nieporuszonego.

Uspokoiła się stopniowo. Drewniaki poraniły jej stopy. Zatrzymała się i zdjęła je. Szła dalej bosą, niosąc je w rękę. Wkrótce dotrą do Winchesteru.

Po chwili Richard odezwał się:

– Aleśmy głupi.

– Dlaczego?

– Ten człowiek. Zostawiliśmy go, ot tak. Powinniśmy mu zabrać buty.

Aliena zatrzymała się przerażona i wlepiła wzrok w swego brata.

Obejrzał się na nią i zaśmiał lekko.

– Przecież nie byłoby w tym nic złego, no nie? – powiedział.

II

Kiedy o zmierzchu wkraczali przez Bramę Zachodnią do Winchesteru, Aliena zaczynała odzyskiwać nadzieję. W lesie czuła, że można ją bezkarnie zamordować i nikt się o tym nie dowie, a teraz wracała do normalnego życia. Oczywiście w mieście roiło się od złodziei i rzeźmieszków, ale oni nie mogli przecież popełniać bezkarnie przestępstw w biały dzień. W mieście obowiązywały prawa, a złoczyńców zamykano, okaleczano albo wieszano.

Przypomniała sobie, że jakiś rok temu przejeżdżała tymi ulicami z ojcem.

Jechali naturalnie wierzchem: tata na świetnym kasztanie, a ona na przepięknym siwku. Ludzie rozstępowali się przed nimi, kiedy przemierzali szerokie ulice. Mieli dom w południowej części miasta, a kiedy do niego przybywali, witało ich ośmioro czy dziesięcioro sług. Dom był posprzątny, a na podłodze rozrzucona świeża słoma i na wszystkich paleniskach rozpalony ogień. Podczas pobytu w mieście Aliena była zawsze pięknie ubrana: w cienkie płótno, jedwab i miękką wełnę, farbowane na wspaniałe kolory. Buty i pasy, których używała, były z doskonale wyprawionej mięciutkiej cielęcej skóry. Nosiła wysadzone szlachetnymi kamieniami wisiory i bransolety. Jej zadanie polegało na dopilnowaniu, by każdy, kto przychodzi spotkać się z hrabią, został mile powitany: mięso i wino dla zamożnych, chleb i piwo dla biedniejszych, dla każdego uśmiech i miejsce przy ogniu. Ojciec, hrabia Bartholomew, przywiązywał wielką wagę do gościnności, ale sam nie umiał jej okazywać; ludzie uważali go za chłodnego, wyniosłego i zadzierającego nosa. Aliena miała dać ludziom to, czego nie potrafił dać im hrabia.

Każdy szanował jej ojca, wiele osobistości często go zapraszało i bywało u niego na dworze: biskup, przeor, szeryf, kanclerz królewski i baronowie. Zastanawiała się, czy ktokolwiek z nich zdołałby ją rozpoznać, idącą High Street boso przez błoto i brud.

Ta myśl nie stłumiła jej optymizmu. Najważniejsze było to, że już nie czuła się jak ofiara. Znowu znalazła się w świecie, gdzie obowiązywały zasady, a ona miała możliwość odzyskania panowania nad swym życiem.

Znaleźli się przed swoim domem. Stał pusty i zamknięty; Hamleighowie jeszcze go nie przejęli. Przez chwilę Aliena miała ochotę tam wejść. To mój dom! – pomyślała. Ale to nie była prawda. Pomysł spędzenia w nim nocy przypominał jej dni przeżyte na zamku, z oczyma zamkniętymi na rzeczywistość. Minęła go, idąc zdecydowanym krokiem.

Dobrym miejscem w mieście były klasztory. Mnisi zawsze są w stanie zapewnić spanie każdemu, kto o to poprosi. Ona i Richard prześpią się dzisiaj pod

dachem, sucho i bezpiecznie.

Dotarli do katedry i weszli na dziedziniec klasztoru. Dwaj mnisi stali przy stole i rozdawali ciemny chleb i piwo. Alienie nie przyszło do głowy, że aż tak wielu może prosić mnichów o gościnę. Wraz z Richardem stanęli w kolejce. Zadziwiająco, zastanawiała się, że ludzie, którzy zwykle wobec możliwości darmowego jedzenia i picia przepychają się i szturchają, tutaj stoją spokojnie tylko dlatego, że jakiś mnich im tak kazał.

Otrzymali swe kolacje i zabrali je ze sobą do domu gościnnego. Był to wielki drewniany budynek podobny do stodoły, pozbawiony sprzętów, oświetlony słabo przez łuczywa, wypełniony silnym zapachem wielu ludzi słoczo-nych w zamkniętej przestrzeni. Usiedli na klepisku, by zjeść. Pokryte było sito-wiem, ale niezbyt świeżym. Aliena zaczęła rozważać, czy powinna powiedzieć mnichom, kim jest. Przeor mógłby ją pamiętać. W tak wielkim klasztorze na pewno mają jeszcze jeden dom gościnny, dla szlachetnie urodzonych gości. Do-szła do wniosku, że jest to jej obojętne. Nie chciała też wyznać mnichom, kim jest; może obawiała się poniżenia czy wyśmiania, ale czuła także, że w ten spo-sób oddałaby się dobrowolnie pod czyjąś władzę. Jakkolwiek ze strony przeora nie miała się czego bać, niemniej jednak bezpieczniej i wygodniej czuła się, po-zostając anonimowa i niezauważona.

Większość gości stanowili pielgrzymi, zmieszani z garstką wędrownych rzemieślników – można było ich poznać po noszonych ze sobą narzędziach pra-cy – a także kilkoma domokrążcami, chodzącymi od wsi do wsi, by sprzedać wieśniakom rzeczy, których ci nie mogli sami wytworzyć. Niektórym towarzy-szyły żony i dzieci. Te ostatnie, podniecone i hałaśliwe, pałętały się wszędzie, biły między sobą, przewracały nawzajem i robiły wszystko, na co im przyszła ochota. Co jakiś czas któreś wpadało na dorosłego, obrywało po głowie i zaczy-nało beczeć. Niektóre z nich nie wiedziały, jak mają zachowywać się w do-mach; Aliena zauważyła dzieci siusiające na ściółkę. Takie zachowanie nie przynosiło zapewne nic złego w domach, gdzie mieszkała określona liczba lu-

dzi, którzy mieli swoje miejsca, albo w domach, gdzie w tej samej izbie mieszkał żywy inwentarz, lecz w zatłoczonym budynku gościnnym coś takiego budziło odrazę... Pomyślała, że wszyscy potem na tych sikach będą musieli spać.

W pewnej chwili zaczęło jej się wydawać, że ludzie patrzą na nią tak, jakby wiedzieli, że została pozbawiona dziewictwa. To oczywiście było niepoważne, ale wrażenie nie chciało zniknąć. Sprawdziła, czy nie krwawi. Nie krwawiła. A jednak za każdym razem, kiedy się oglądała, napotykała przeszywające spojrzenia. Odwracali je dopiero wtedy, kiedy spotkali się z jej wzrokiem, ale po niedługiej chwili znów ktoś wpatrywał się w nią. Wmawiała sobie, że to głupstwo, po prostu normalne rozglądanie się po nowym miejscu, a nie żadne specjalne przypatrywanie się jej. Nie było się na co gapić, wyglądała tak jak wszyscy; tak samo brudna, źle ubrana i zmęczona. Uparte wrażenie jednak nie ustępowało i, wbrew swej woli, rozgniewała się. Znalazł się jeden taki pielgrzym z wielką rodziną, sam w średnim już wieku, który uparcie łapał jej spojrzenia. Wreszcie straciła cierpliwość i wydarła się na niego:

– Czego się gapisz? Przestań!

Wydał się zakłopotany i natychmiast odwrócił wzrok, bez odpowiedzi.

– Czemu to zrobiłaś, Allie? – zapytał Richard spokojnie.

Powiedziała mu, żeby się zamknął, i chłopiec już się nie odezwał.

Wkrótce po kolacji przeszli przez salę mnisi i zebrali łuczywa, aby ludziska zasypiali szybko. To trzymało ich z dala od piwiarni i burdeli, nocnego życia miasta, wskutek czego rano opuszczali klasztor odpowiednio wcześniej. Kilku samotnych mężczyzn wyszło z sali po zgaszeniu świateł, niewątpliwie w poszukiwaniu rondli, jakimi oznaczono nocne szynkownie, ale większość zwinęła się pod swymi opończami na podłodze.

Wiele lat upłynęło od czasu, kiedy Aliena sypiała na podłodze. Jako dziecko zazdrościła ludziom, że leżą tak obok siebie przed dogasającym ogniem, a psy ich strzegą: dawało to poczucie wspólnoty w pomieszczeniu tak odmiennym od przestronnych, pustych komnat rodziny hrabiego. Dlatego często na pa-

luskach zbiegała po schodach, by spać przytulona do którejś ze swych ulubionych służących, praczki Madge lub starej Joan.

Powoli dryfując w stronę snu, mając w nozdrzach zapach dzieciństwa, zaczęła marzyć o matce. Zwykle nie bardzo umiała sobie przypomnieć wygląd matki, teraz jednak, ku swemu zaskoczeniu, ujrzała wyraźnie twarz mamy ze wszystkimi szczegółami: drobne rysy, nieśmiały uśmiech, delikatny owal twarzy, wyraz niepokoju w oczach. Przypomniała sobie jej chód – z jednym ramieniem zawsze lekko przechylonym w bok, jakby chciała schronić się pod ścianą, a drugim, lekko wyciągniętym, utrzymywała równowagę. Aliena słyszała głos matki, nieoczekiwanie głęboki kontralt, gotowy do rozbrzmiewania w pieśni czy radosnym śmiechu, ale też niemal zawsze powściągany przez lęk przed takim czynem. We śnie ujrzała to, czego na jawie nie uświadamiała sobie jasno: że ojciec przerażał matkę i tłumił jej poczucie radości życia tak bardzo, iż przygasała i zwiędła jak kwiat podczas suszy. Wszystko to pojawiło się w jej myślach tak blisko, jakby było czymś codziennie oglądanym. Zdarzyła się także wstrząsająca rzecz – zaszła w ciążę. Matka wydawała się zadowolona, a nawet sprawiało jej to przyjemność. Siedziały razem w komnacie, a brzuch Alieny wystawał tak, że musiała mieć nogi z lekka rozchylone, a ręce trzymać złożone na podołku w odwiecznej pozie przyszłych matek. Wtem do komnaty wpadł William Hamleigh, trzymając w ręku sztylet o długim ostrzu. Aliena wiedziała, że chce przebić jej brzuch, tak jak ona przebiła tłuściocha banitę w lesie. Krzyknęła głośno i obudziła się w pozycji półsiedzącej. Wtedy powoli uświadomiła sobie, że tutaj nie ma Williama, a ona sama nawet nie pisnęła. Hałas słyszała jedynie we śnie.

Leżała, nie śpiąc, zastanawiając się, czy rzeczywiście zaszła w ciążę.

Przedtem taka możliwość nie wpadła jej do głowy, teraz zaś ta myśl torturowała jej duszę. Jakże ohydnie będzie nosić i urodzić dziecko Williama Hamleigha. Może nawet nie jego, ale tego giermka, Waltera. Nigdy zapewne nie uzyskałaby pewności. Jak będzie mogła je kochać? Każdym spojrzeniem, gło-

sem, przytuleniem przywiedzie na myśl tę potworną noc. Przysięgała sobie, że urodzi w tajemnicy i zostawi na mrozie, by umarło, skoro tylko ujrzy świat, tak jak to czynią obdarzeni zbyt licznym potomstwem chłopci. Z tym postanowieniem zasnęła ponownie.

Ledwie świtało, kiedy mnisi przynieśli śniadanie. Obudził ją czyniony przy tym hałas. Większość gości wstała wcześniej, ale Aliena nie była w stanie obudzić się sama.

Na śniadanie podano owsiany kleik z solą. Aliena i Richard łączywie go pochłonęli i żalowali, że nie mieli do niego chleba. Aliena przemyślała, co ma do powiedzenia królowi Stefanowi.

Wierzyła, iż król po prostu nie pamiętał, że hrabia Shiring miał dwoje dzieci. Wystarczy mu przypomnieć, pojawić się przed nim i na pewno chętnie pomyśli o jakimś zaopatrzeniu dla nich. Na wszelki wypadek, gdyby trzeba było go przekonać, miała parę słów w pogotowiu. Nie będzie się upierać, że ojciec jest niewinny, bo mogłoby to oznaczać, że podważa królewski osąd i król mógłby się poczuć urażony. Nadanie Percy'emu tytułu także nie może być podważane. Ludzie interesu nie lubią dyskutować o podjętych decyzjach. „Lepiej czy gorzej, postanowione” – mawiał jej ojciec. Powinna tłumaczyć, że ona i jej brat są niewinni, i prosić króla o nadanie im jakiejś rycerskiej posiadłości, by mogli się skromnie zaopatrzyć, a Richard przygotować do roli królewskiego wojownika w czasie najbliższych kilku lat. Taka mała posiadłość wystarczyłaby jej do zajęcia się ojcem, kiedy król zechce zwolnić go z więzienia. Przecież już nie stanowił zagrożenia: bez tytułu, bez popleczników, bez pieniędzy. Powinna przypomnieć, że ojciec służył wiernie staremu królowi Henrykowi, który przecież był dla Stefana wujem. Nie powinna nalegać, tylko mówić stanowczo, jasno, prosto i przyjąć postawę pokorną.

Po śniadaniu zapytała mnicha, gdzie może umyć twarz. Zaskoczyło go to; taka prośba najwyraźniej nie zdarzała się często. Jednakże mnisi cenili czystość, więc wskazał jej otwarty wodociąg z zimną wodą. Ostrzegł ją także przed

„nieprzyzwoitym” myciem, tak to ujął, żeby czasami nie mógł jej ujrzyć jakiś konfrater i widokiem skazić duszy. Mnisi czynili wiele dobrego, ale niekiedy zachowywali się irytująco.

Kiedy już spłukali kurz i brud ze swych twarzy, opuścili klasztor i udali się do zamku, tuż przy Bramie Zachodniej. Przychodząc tak wcześnie, Aliena miała nadzieję swym wdziękiem nakłonić do przyjaznego zachowania tego kogoś, kto decydował o przyjmowaniu petentów przez króla, a także upewnić się, że nie zostanie zapomniana w tłumie ważnych ludzi, którzy pojawiają się później. Na zamku było ciszej, niż tego oczekiwała. Czyżby król Stefan tak długo już tu przebywał, że pozostało niewielu ludzi czekających na posłuchanie? Nie wiedziała, kiedy może zacząć się audyencja. Podczas Wielkiego Postu król zwykle przebywał w Winchesterze, pomyślała, ale nie miała pewności, czy post już się rozpoczął, bo straciła rachubę czasu jeszcze na zamku z Matthew i Richardem, bez księdza, w wymyślonym świecie.

U stóp schodów wiodących do twierdzy stał krzepki strażnik o siwej brodzie. Aliena chciała go minąć, tak jak czyniła to zawsze w towarzystwie ojca, ale strażnik opuścił włócznię, zagradzając jej drogę. Spojrzała na niego z wyższością i spytała:

– Tak?

– A ty, dziewczyno, zapomniałaś, gdzie wchodzisz?

Zrozumiała, że ma do czynienia z człowiekiem, który lubi swą służbę, bo może przeszkadzać ludziom i nie wpuścić ich, gdzie pragną się dostać.

– Przyszliśmy tutaj z petycją do króla – rzekła lodowato. – A teraz nas przepuść.

– Ty? – odezwał się strażnik szyderczo. – W takich drewniakach, które moja żona wstydziłaby się nawet wyrzucić? Zmykaj!

– Zejdź mi z drogi, strażniku – powiedziała. – Każdy obywatel ma prawo prosić o posłuchanie.

– Lecz ci niższego stanu zwykle mają dość oleju w głowie, żeby z tego pra-

wa nie korzystać...

– Nie należymy do „niższego stanu”! – wybuchnęła Aliena. – Jestem córką hrabiego Shiring, a to jego syn, więc przepuść nas albo zginiesz w lochu.

Strażnik jakby nieco spuścił z tonu, ale powiedział bardzo z siebie rad:

– Nie możesz się zwrócić do króla, bo go tu nie ma. Jest w Westminsterze, co powinnaś wiedzieć, jeśli jesteś naprawdę tą, za którą się podajesz.

W Alienę jakby trafił piorun.

– Ale dlaczego tam pojechał? Miał przecież być tutaj na Wielkanoc!

Strażnik uświadomił sobie, że jednak Aliena nie jest włóczęgą.

– Na Wielkanoc dwór wyjeżdża do Westminsteru. Zdaje się, że król Stefan nie musi zachowywać się dokładnie tak samo, jak czynił to stary król, nieprawdaż?

Miał oczywiście rację. Pomyśl, że nowy król może inaczej spędzać czas niż stary, nigdy nie przyszedł Alienie do głowy. Była za młoda, by pamiętać czasy, kiedy Henryk wstępował na tron. Ogarnęła ją rozpacz. Uważała, że wie, co ma robić, ale się myliła. O mało się nie załamała.

Potrząsnęła głową, by uwolnić się od poczucia klęski. To porażka, lecz nie przegrana. Audyencja u króla nie jest jedynym sposobem na zapewnienie opieki sobie i bratu. Przyszła do Winchesteru także dlatego, że tu przebywał jej ojciec. Ten strażnik powinien wiedzieć, co ma teraz zrobić.

– Któż zatem jest obecny? – spytała. – Muszą być jacyś królewscy urzędnicy. Po prostu chcę zobaczyć się z ojcem.

– Na górze jest kleryk i zarządca – odrzekł strażnik. – Czy mówiłaś, że hrabia Shiring jest twoim ojcem?

– Tak. – Serce na chwilę stanęło. – Wiesz coś o nim?

– Wiem, gdzie jest.

– Gdzie?

– W więzieniu, właśnie tutaj, na zamku.

Tak blisko!

– Gdzie to więzienie?

Strażnik wskazał kciukiem za siebie.

– Trzeba zejść niżej. Omijając kaplicę, dojdiesz do miejsca naprzeciw głównej bramy. To tam. – Nie dopuściwszy ich do twierdzy, zaspokoił swe poczucie wyższości i teraz z chęcią udzielał informacji. – Lepiej spotkaj się z dozorcą więziennym. Nazywa się Odo i ma głębokie kieszenie.

Aliena nie pojęła tej uwagi o głębokich kieszeniach, ale zbyt podekscytowała ją myśl o ojcu, by to wyjaśnić. Do tej pory ojciec znajdował się w nieokreślonym miejscu zwanym więzieniem, lecz teraz nagle okazało się, że to tutaj, na zamku. Zupełnie zapomniała o posłuchaniu, pragnęła jedynie zobaczyć ojca. Myśl, że jest on tuż-tuż, gotów jej pomóc, sprawiła, że przeżycia ostatnich paru miesięcy wydawały się bardziej gorzkie. Chciała rzucić się w ramiona ojca i usłyszeć: „No, już dobrze, wszystko będzie dobrze”.

Twierdza stała w wyżej położonej części dziedzińca. Aliena odwróciła się i popatrzyła na resztę zamku. Pstrokata zbieranina drewnianych i kamiennych budynków, zamknięta wysokimi murami. Zejść niżej, mówił strażnik, i minąć kaplicę – wypatrzyła porządny kamienny budynek, który wyglądał na kaplicę – naprzeciw głównej bramy. Główne wejście stanowiła brama w zewnętrznym murze, pozwalająca królowi na wjazd do swego zamku bez uprzedniego przejeżdżania przez miasto. Naprzeciw tego wejścia, blisko muru oddzielającego zamek od miasta, stał mały kamienny budynek mogący mieścić więzienie.

Aliena i Richard pośpieszyli w dół. Aliena zastanawiała się nad tym, jak też teraz ojciec wygląda, jak się czuje. Czy w więzieniu dostaje właściwe jedzenie? Więźniowie jej ojca dostawali razowiec i polewkę, gdy przebywali w lochach jego zamku. Słyszała jednak, że gdzie indziej więźniów źle traktowano. Miała nadzieję, że ojciec ma się dobrze.

Kiedy śpieszyła przez dziedziniec, serce podchodziło jej do gardła. Zamek zajmował dużą przestrzeń, ale przecież było w nim tyle budynków. Teraz, wiedząc już, że króla nie ma, Aliena dostrzegła oznaki tej nieobecności i spogląda-

ła na nie z niesmakiem. Stadka gęsi i baranów przełaziły z przedmieść, rozgrzebywały i zanieczyszczały klepisko, zbrojni mężczyźni nudzili się, nie mając do roboty nic poza obraźliwymi uwagami, które rzucali za przechodzącymi kobietami, a na ganku kaplicy toczyła się jakaś gra hazardowa. Ta atmosfera niechlujstwa oburzała Alienę, a także budziła w niej lęk. Obawiała się, że w takiej sytuacji jej ojciec może nie być właściwie traktowany. Zaczynała się naprawdę bać, bać tego, co może zobaczyć.

Więzienie mieściło się w budynku z kamienia. Wyglądał tak, jakby kiedyś służył za mieszkanie jakiegoś dworskiemu urzędnikowi, kanclerzowi czy innemu przedstawicielowi władzy królewskiej, a po opuszczeniu niszczał. Wyższe piętro, gdzie kiedyś mieściła się wielka komnata, było zrujnowane wskutek zawalenia się dachu. Jedyne dolna część pozostała w jakim takim stanie. Nie było tam okien, tylko wielkie drewniane drzwi z żelaznymi okuciami, teraz lekko uchylone. Kiedy Aliena stała przed wejściem, minęła ją dobrze odziana kobieta w średnim wieku, otworzyła drzwi i weszła. Aliena i Richard podążyli za nią.

Ponure wnętrze cuchnęło zestarzałym brudem i zgnilizną. To pomieszczenie stanowiło kiedyś jednoizbowy magazyn, ale później pośpiesznie podzielono je ścianami z tłuźnia. Gdzieś w głębi tego budynku jakiś człowiek zawodził monotonnie, jak mnich śpiewający samotnie mszę w kościele. Zaraz za drzwiami był niewielki korytarzyk, w którym mieściło się krzesło, stół i palenisko pośrodku podłogi. Wielki, tęgą mężczyzna z mieczem u pasa machał miotłą. Spojrzał i powitał tę przystojną kobietę.

– Dzień dobry, Meg! – Dała mu pensa i zniknęła w mroku. Popatrzył na Alienę i Richarda. – Czego chcecie?

– Przyszłam zobaczyć się z ojcem. To hrabia Shiring.

– Nie, już nie. Teraz to po prostu Bartholomew – odrzekł.

– Do diabła z różnicami, dozorczo, gdzie on jest?

– Ile masz pieniędzy?

– Nie mam pieniędzy, więc nie kłopotcz się przymówkami o łapówkę.

– Jeśli nie masz pieniędzy, to nie zobaczysz się z ojcem. – Odstawił miotłę.

Aliena miała ochotę zawyć. Od ojca dzieliło ją kilka jardów, a nie chciano jej wypuścić. Mężczyzna był duży i miał miecz, nie mogła go pobić. Lecz nie miała także pieniędzy. Pomyślała o tym, kiedy zobaczyła, jak ta kobieta, Meg, dawała mu pensa, ale pocieszała się, że to mogło być za jakiś specjalny przywilej. Najwidoczniej jednak myliła się. Pens to cena przepuszczenia. Powiedziała:

– Przyniosę ci pensa, najszybciej jak tylko mi się uda. Pozwól jednak teraz, tylko na kilka chwil, byśmy go zobaczyli oboje, potem zaraz tu wrócę.

– Najpierw daj pensa – odrzekł dozorca. Odwrócił się i znowu wziął się do zamiatania.

Aliena stłumiła łzy. Bardzo chciała krzyknąć do ojca, by dodać mu otuchy, ale uświadomiła sobie, że mogłaby go tylko załamać lub przerazić. Podeszła do drzwi, czując się tak bezsilna, że mąciło się jej w głowie.

Zawróciła od progu.

– Jak on się czuje? Tylko tyle mi powiedz, proszę. Dobrze się czuje?

– Nie, wcale nie – oznajmił. – On umiera. A teraz wynoś się stąd.

Świat przed oczyma Alieny zamglili się łzami. Szła, nie patrząc, gdzie idzie, wpadła na kogoś czy na coś, może owcę albo świnię, niemal się przewróciła. Zaczęła szlochać. Richard złapał ją za ramię i podtrzymał. Wyszli z zamku przed główną bramę, w sam środek porzrzucanych nieporządnie chat i zaułków podgrodzia, a w końcu doszli do łąki i usiedli na zwałonym pniu drzewa.

– Nienawidzę twego płaczu, Allie – powiedział Richard z naciskiem.

Spróbowała się uspokoić. Znalazła miejsce, gdzie przebywał ojciec, to już coś. Dowiedziała się, że jest bardzo chory; dozorca był człowiekiem raczej okrutnym i prawdopodobnie przesadził w określeniu niemocy ojca. Musi zdobyć pensa, a wtedy zdoła porozmawiać z ojcem i sama się przekona, w jakim jest stanie, a także zapyta, co ma zrobić dla Richarda i dla ojca.

– Jak możemy zdobyć pensa, Richardzie?

– Nie wiem.

– Nie mamy nic do sprzedania. Nikt nam nie pożyczy. Ty nie jesteś dość twardy, by ukraść...

– Moglibyśmy wyżebrać.

To jest myśl. Ku zamkowi na krępym czarnym kucyku zmierzał zamożnie wyglądający kmieć. Aliena poderwała się i pobiegła ku traktowi. Kiedy się zbliżył, poprosiła:

– Proszę pana, czy nie dałby mi pan pensa?

– Zejdź mi z drogi – burknął i uderzeniem pięt popędził kucyka.

Podeszła z powrotem do drzewa.

– Żebracy zwykle proszą o coś dojedzenia albo do ubrania – rzekła strapiiona. – Nigdy nie słyszałam, by ktoś dawał im pieniądze.

– No tak, ale jak ludzie robią, że mają pieniądze? – spytał Richard. Prawdopodobnie to pytanie do tej pory nigdy nie przyszło mu do głowy.

– Król ma pieniądze z podatków – odrzekła Aliena.

– Panowie mają renty. Księża dziesięciny. Sklepikarze sprzedają rzeczy. Rzemieślnicy dostają zapłatę. Chłopi nie potrzebują pieniędzy, bo mają pola.

– Czeladnicy dostają zapłatę.

– Wyrobnicy także. Możemy pracować.

– Dla kogo?

– W Winchesterze jest dużo warsztatów, gdzie wyprawia się skórę i szyje ubrania – rzekła Aliena. Poczowała nowy przypływ optymizmu. Miasto to świetne miejsce, by znaleźć pracę. – Chodź, zaczynamy od razu.

– Ja nie mogę pracować jak zwykły prostak – Richard się wahał. – Jestem synem hrabiego.

– Już nie – szorstko odrzekła Aliena. – Słyszałeś, co powiedział dozorca. Lepiej wbij sobie do głowy, że teraz nie jesteś lepszy od nikogo.

Nadał się i nie odpowiedział nic.

– No cóż, ja idę. Ty zostań, skoro tak chcesz. – Odeszła od niego, kierując

się w stronę Bramy Zachodniej. Znała jego dąsy. Nie trwały długo.

Dogonił ją jeszcze przed miastem.

– Nie gniewaj się, Allie – poprosił. – Chcę pracować. Jestem całkiem silny, już zmęźniałem, będę doskonałym robotnikiem.

Uśmiechnęła się do niego.

– Oczywiście, że będziesz. – Nie myślała tak, ale nie było też powodu, by mu odbierać pewność siebie.

Szli w dół High Street. Aliena przypomniała sobie, że Winchester budowano według planu, który dzielił go w sposób przemyślany. Na prawo od nich, po stronie południowej, znajdował się obszar podzielony na trzy części: w pierwszej był zamek, drugą stanowiła dzielnica zamożnych domów, a trzecią, w południowo-zachodnim krańcu, zajmował klasztor i zamek biskupi. Tereny po stronie północnej także podzielono na trzy dzielnice: żydowską, sklepów i warsztatów oraz wytwórni, znajdujących się w części północno-wschodniej.

Aliena skierowała się ku wschodniej dzielnicy miasta, potem skręcili w lewo, w ulicę, wzdłuż której płynął strumyk. Po jednej stronie stały normalne domy, w większości drewniane, a kilka częściowo kamiennych. Z drugiej strony mieściły się byle jak postawione budy, wiele z nich to tylko dachy wsparte na słupach i wyglądały tak, jakby za moment miały się rozpaść. Gdzieś tam mostki albo kładki umożliwiały przejście z domu do warsztatu, ale niektóre budynki zbudowano okrzakiem nad strumieniem. W każdym z nich oraz na dziedzińcach i podwórzach mężczyźni i kobiety robili coś, co wymagało przeogromnych ilości wody: prali wełnę, garbowali skóry, folowali i farbowali, wazryli piwo, wykonywali także inne czynności, których Aliena i Richard nie umieli nazwać, bo ich nie znali. Różnorodność nieznanych woni biła w nozdrza Alieny: zapachy kwaśne, drożdżowe i siarkowe, swąd drewna i odory zgnilizny. Wszyscy ludzie zdawali się okropnie zajęci. Aliena wiedziała, że chłopcy mieli wiele pracy i wykonywali ją, pokonując trudności, ale ich czynności odbywały się w odmierzonej, wolnym rytmie i zawsze mieli dość czasu, by okazać tro-

chę ciekawości czy pogadać z przechodniem. Ci ludzie zaś nie odrywali oczu od swych zajęć. Zdawało się, że one pochłaniają całą ich energię i wymagają absolutnego skupienia. Poruszali się szybko, czy to niosąc worki, czy to nalewając wodę z wielkich kubłów, czy też wyciskając skórę lub odzież podczas prania. Kiedy przechodzili koło tych tajemniczych zajęć odbywających się w półmroku rozchwieutanych chat, Aliena przypominała sobie obrazki przedstawiające piekło, a w nim demony uwijające się przy kotłach.

Zatrzymała się obok miejsca, gdzie wykonywano czynności, które знаła – folowanie tkanin. Muskularna kobieta przynosiła wodę ze strumyka i nalewała ją do kamiennego koryta obramowanego ołowiem. Przerywała lanie co chwila, by dodać miarkę środka foluszniczego z worka obok. Na dnie koryta, całkowicie zatopiona, leżała rozwinięta bela samodziału. Dwu mężczyzn wyposażonych w długie drewniane żerdzie, zwane kijankami foluszniczymi, jak przypominała sobie Aliena, uderzało w tkaninę. Ten proces powodował, że samodział stawał się bardziej ściągnięty i grubszy, odporniejszy na wodę, a środek foluszniczy pozwalał na usunięcie łojowych substancji z wełny. W głębi podwórka ułożono w stosy bele surowej tkaniny, nowej i luźno splecionej, a także worki ze środkiem foluszniczym.

Aliena przeszła przez strumyk i zbliżyła się do pracujących przy korycie. Rzucili na nią okiem i pracowali dalej. Ziemia wokół nich była rozmiękła, pracowali boso, jak zauważyła. Kiedy uświadomiła sobie, że nie mają najmniejszego zamiaru przerwać i porozmawiać z nią, zapytała głośno:

– Czy wasz mistrz tu jest?

Ruchem głowy wskazującym zaplecze podwórka kobieta udzieliła odpowiedzi.

Aliena machnięciem przywołała Richarda i przeszli przez furtkę prowadzącą na dziedziniec, na którym na drewnianych ramach suszyły się tkaniny. Dojrzała postać mężczyzny pochylającego się nad jedną z ram.

– Szukam mistrza.

Wyprostował się i popatrzył na nią. Miał tylko jedno oko, lekko skrzywione plecy, jakby od ciągłego schylania się przez wiele lat nie mógł się już porządnie wyprostować. Był brzydki.

– Co jest?

– To ty jesteś mistrzem folusznikiem?

– Robię w tym niemal czterdzieści lat, jako chłopiec, i jako mężczyzna, to myślę, że jestem mistrzem. Czego chcesz?

Aliena pojęła, że ma do czynienia z człowiekiem, który zawsze musi udowodniać, jaki to jest mądry. Przyjęła pokorny ton i rzekła:

– Mój brat i ja chcielibyśmy pracować. Przyjmiesz nas? Przyglądał się jej wnikliwie przez chwilę.

– Chryste Panie i wszyscy święci, a co miałbym z wami robić?

– Możemy wykonywać wszystko – powiedziała rezolutnie. – Potrzebujemy pieniędzy.

– Nie jesteście dla mnie dość dobrzy – pogardliwie odrzekł mężczyzna i odwrócił się do swej pracy.

Aliena była jednak dociekliwa.

– Dlaczego nie? Nie jesteśmy żebrakami, chcemy zarobić! – rzuciła ze złością.

Odwrócił się znowu do niej.

– Proszę – dodała, choć nie znosiła proszenia.

Popatrzył na nią niecierpliwie, tak jak ona spojrzałaby na psa, zastanawiając się, czy go kopnąć, czy może to za dużo wysiłku. Dostrzegła jednak, że miał ochotę pokazać jej, jaką głupotą była ta prośba i jaki on jest rozumny, że jej odmówił.

– No dobrze – westchnął. – Pokażę ci. Chodź ze mną. Poprowadził ich do koryta. Mężczyźni i kobieta wyciągali tkaninę z wody, zwijając w belę. Mistrz zwrócił się do kobiety.

– Chodź no, Lizzie. Pokaż nam ręce.

Kobieta posłusznie podeszła i podniosła dłonie: szorstkie, czerwone, z otwartymi wrzodami w miejscach pęknięć i zadrapań.

– Pomacaj!

Aliena dotknęła. Poczuła, że są zimne jak lód i bardzo chropowate, ale najbardziej uderzyła ją ich twardość. Trzymając dłonie kobiety w swoich, mogła dostrzec różnicę. Jej dłonie były mięciutkie i białe. I bardzo małe.

Mistrz się odezwał:

– Ona od dziecka trzymała swoje ręce w wodzie, przywykła. Ty jesteś inna, nie wytrzymałabyś jednego poranka.

Aliena chciała się z nim pokłócić, powiedzieć, że się przyzwyczai, ale nie była tego zanadto pewna. Zanim zdążyła coś odpowiedzieć, wtrącił się Richard.

– A ja? Jestem większy od tych mężczyzn, mógłbym pracować.

Rzeczywiście wzrostem i szerokością barków górował nad tymi, którzy bili kijami. Aliena widziała, jak poradził sobie z koniem bojowym, pomyślała więc, że pewnie upora się z biciem kijami folusznicy.

Mężczyźni skończyli rolowanie tkaniny, jeden z nich zarzucił belę na ramię, gotowy do przeniesienia jej na dziedziniec suszarni. Mistrz zatrzymał go.

– Pozwól temu młodemu dźwignąć tę tkaninę, Harry.

Człowiek nazwany Harrym zdjął belę z ramienia i przełożył na ramię Richarda. Ten aż przysiadł pod ciężarem, z wielkim wysiłkiem wyprostował się, zbladł i opadł na kolana, a końce załamanego na ramieniu zwoju dotknęły ziemi.

– Nie uradzę tego – powiedział bez tchu.

Mężczyźni zaśmiali się, mistrz triumfował, a Harry wziął belę z powrotem, zarzucił na ramię i poniósł.

– To trochę inny rodzaj siły – rzekł mistrz. – Nabiera się jej dzięki pracowaniu. Przez to, że się musi pracować.

Alienę rozgniewało to. Kpili z niej, podczas gdy ona pragnęła uczciwie zarobić pensa. Wiedziała, że mistrz nie posiadał się z radości, że robi z niej głu-

pią. Wiedziała też, że nigdy nie zatrudni ani jej, ani Richarda.

– Dziękuję za twoją uprzejmość – oświadczyła złośliwym tonem, odwróciła się i odeszła.

Richard martwił się i wstydził.

– Bela była taka ciężka, bo materiał był mokry. Nie spodziewałem się tego.

Aliena uświadomiła sobie, że musi być dla niego miła i pełna otuchy, jeśli Richard ma zachować ducha.

– To nie jest jedyna robota tutaj – powiedziała, kiedy kroczyli błotnistą uliczką.

– A co jeszcze możemy robić?

Nie odpowiedziała od razu. Doszli do północnego muru i skręcili w lewo, kierując się na zachód. W tej części miasta znajdowały się najbiedniejsze, najbardziej rozchwiane domy, budowane jako przybudówki do muru, często jednospadowe najprostsze szopy. Nie miały dziedzińców, więc uliczki i przejścia były zaśmiecone i brudne, wręcz plugawe. W końcu odezwała się:

– Pamiętasz, były takie dziewczyny, niekiedy przychodziły na zamek, gdy w ich domach brakowało dla nich miejsca, a nie miały mężów. Ojciec zawsze je przyjmował. Pracowały w kuchni albo jako praczki, albo w oborach, a ojciec na święto dawał im po pensie.

– Myślisz, że moglibyśmy zamieszkać na zamku winchesterskim? – Richard powątpiewał.

– Nie. Nie mogą przyjmować nikogo, kiedy nie ma króla, teraz mają i tak więcej rąk do pracy, niż im potrzeba. W mieście jest jednak wielu bogatych mieszczan, a niektórzy z nich muszą zatrudniać służących.

– To nie jest robota dla mężczyzny.

Aliena chciała powiedzieć: „To dlaczego sam czegoś nie wymyślisz, zamiast tylko wynajdywać dziury w tym, co wymyśliłam ja?”. – Ugryzła się jednak w język i rzekła:

– Potrzeba nam tylko tego, by jedno z nas zarobiło pensa, potem już będzie-

my mogli zobaczyć się z ojcem i zapytać, co mamy dalej robić.

– W porządku. – Richard nie miał nic przeciwko temu, aby tylko jedno z nich pracowało, tym bardziej że wyglądało na to, iż tym kimś będzie jego siostra.

Znowu skręcili w lewo i weszli do dzielnicy żydowskiej. Aliena zatrzymała się przed wielkim domem.

– Tutaj muszą potrzebować służących.

Richardem wstrząsnęło.

– Przecież nie będziesz pracować dla Żyda?

– Dlaczego nie? Herezja to nie wszy. Nie łapie się jej od ludzi tak, jak łapie się wszy.

Chłopak wzruszył ramionami i wszedł za nią do środka.

Ten kamienny dom, podobnie jak większość innych w Winchesterze, miał wąską fasadę, ale sięgał daleko w głąb. Sień miała szerokość fasady, mieściło się w niej palenisko i kilka ław. Zapachy z kuchni sprawiały, że Alienie pociekła ślinka, pomimo że zawierały woń obcych przypraw. Dziewczynka, która ich powitała, wyszła gdzieś z głębi domu, miała ciemną skórę i brązowe oczy, a wyrażała się z szacunkiem.

– Chcecie się zobaczyć ze złotnikiem?

A więc to złotnik.

– Tak, proszę.

Dziewczynka znikła, a Aliena rozejrzała się. Złotnik musiał mieć dom kamienny, to jasne, musiał chronić złoto. Drzwi prowadzące z sieni na tyły domu zrobiono z ciężkich płycin dębowych, dobrze okutych żelazem. Okna były tak wąskie, że nawet dziecko nie mogło się przez nie prześlizgnąć do środka. Aliena pomyślała, że posiadanie całego majątku w srebrze i złocie, które można w mgnieniu oka ukraść i zostawić człowieka w nędzy, musi okropnie szarpać nerwy. Zreflektowała się natychmiast, bo przecież jej ojciec miał bogactwa bardziej zwyczajnego typu, ziemię i tytuł, i stracił wszystko w jeden dzień.

Wyszedł złotnik, niewysoki, ciemny mężczyzna. Wpatrywał się w nich ze zmarszczonym czołem, jakby właśnie oglądał niewielki klejnocik i próbował określić jego wartość. Po długiej chwili odezwał się.

– Macie pewnie coś do pokazania i sprzedania.

– Dobrze nas oceniłeś, złotniku – rzekła Aliena.

– Domyśliłeś się, że jesteśmy szlachetnie urodzonymi, którzy popadli w nędzę. Ale do sprzedania nie mamy nic.

To go zakłopotало.

– Jeśli chcecie pożyczki, to obawiam się...

– Nie oczekujemy od nikogo, że nam pożyczycy pieniędzy – przerwała mu Aliena. – Tak samo, jak nie mamy nic do sprzedania, nie mamy także żadnego zastawu.

Ulżyło mu.

– Jak tedy mogę wam pomóc?

– Czy nie przyjąłbyś mnie do pracy? Mogłabym być służącą. To nim wstrząsnęło.

– Chrześcijkę? Z pewnością nie! – Aż cofnął się na samą myśl.

To z kolei rozczarowało Alienę.

– Dlaczego? – spytała z żalem w głosie.

– Tak nie można.

Poczuła się trochę obrażona. Fakt, że ktoś mógł uznać jej wiarę za niewłaściwą, odebrała jako poniżenie. Przypomniała sobie zdanie wypowiedziane do Richarda.

– Nie zarazisz się cudzą religią, to nie wszy.

– Ludzie w mieście się sprzeciwia.

Aliena czuła, że owi „ludzie” to nie tylko wymówka, ale prawdopodobnie także i prawda.

– Przypuszczam, że lepiej będzie, jeśli poszukamy bogatego chrześcijanina.

– Warto spróbować – odrzekł powątpiewająco złotnik. – Pozwól jednak so-

bie coś szczerze powiedzieć. Mądry człowiek nie przyjmie ciebie jako służącej. Ty przywykłaś wydawać polecenia, do wykonywania ich będzie ci trudno się przyzwyczaić. – Otworzyła usta, by zaprotestować, ale uciszył ją podniesieniem ręki. – O tak, wiem, że chcesz. Lecz przez całe twoje życie inni służyli tobie, a ty nawet teraz w głębi serca czujesz, że wszystko powinno dziać się tak, by tobie było wygodnie i przyjemnie. Z dobrze urodzonych są kiepskie sługi. Bywają nieposłuszni, opieszali, bezmyślni, drażliwi i na dodatek uważają, że ciężko pracują nawet wówczas, gdy robią mniej niż inni. Przez to powodują zamieszanie wśród reszty służby. – Wzruszył ramionami. – Tyle wiem z doświadczenia.

Aliena zapomniała, że została urażona przez niechęć tego człowieka do jej religii. Ten mężczyzna był pierwszą osobą, która starała się być dla niej miła od czasu opuszczenia zamku. Spytała:

– To co my możemy robić? Do czego się nadajemy?

– Umiem powiedzieć jedynie to, co zrobiłby na twoim miejscu Żyd. Znalazłby coś do sprzedania. Kiedy ja przybyłem tutaj, do tego miasta, zaczynałem od kupowania klejnotów od ludzi potrzebujących gotówki. Potem oddzielałem srebro i sprzedawałem je mennicy.

– Skąd jednak wzięłeś pieniądze na klejnoty?

– Pożyczyłem od wuja. I zapłaciłem mu odsetki, jeśli o to chodzi.

– Ale nam nikt nie pożyczy!

Popatrzył w zamyśleniu.

– Co uczyniłbym, gdybym nie miał wuja? Myślę, że poszedłbym do lasu i zebrał orzechy, potem poszedłbym do miasta i sprzedawał je gospodyniom, które na takie pójście do lasu nie mają czasu ani nie hodują drzew na podwórku, bo jest za ciasne i zapaskudzone.

– To nie ta pora roku – rzekła Aliena. – Nic teraz nie rośnie.

– Niecierpliwość młodych. – Złotnik się uśmiechnął. – Powoli.

– Dobrze. – Nie było sensu opowiadać o ojcu. Złotnik pomógł im najlepiej, jak potrafił. – Dzięki za twą radę.

– Żegnajcie. – Mężczyzna odwrócił się i poszedł w głąb domu, zamykając okute drzwi.

Aliena i Richard wyszli. Złotnik okazał się miły, jednakże stracili już pół dnia w miejscach, gdzie ich nie chciano, i Alienie zaczynało doskwierać uczucie odrzucenia i pokonania. Nie wiedząc, dokąd się udać, przeszli przez dzielnicę żydowską i wyszli na High Street. Aliena czuła głód, nic dziwnego, pora obiadu, a wiedziała, że jeśli ona jest głodna, to i Richard pewnie zjadłby konia z kopytami. Szli bez celu ulicą, zazdroszcząc doskonale odżywionym szczyrom, które buszowały w odpadkach, aż dotarli w końcu do starego zamku. Zatrzymali się tutaj, jak wszyscy przybysze, i przyglądali się przez kraty pracy w mennicy. Wpatrywali się w sterty srebrnych monet, myśląc, że przecież oni potrzebują tylko jednego pensa i nie mogą go dostać.

Po chwili Aliena zauważyła dziewczynę mniej więcej w swoim wieku, która stała niedaleko i uśmiechała się do Richarda. Wyglądała przyjaźnie. Aliena zawahała się, znowu zobaczyła uśmiech nieznajomej, więc odezwała się do niej.

– Czy ty tutaj mieszkasz?

– Tak – odrzekła dziewczyna. Interesował ją Richard, a nie Aliena.

– Nasz ojciec jest w więzieniu – ciągnęła Aliena – a my próbujemy znaleźć sposób, by zarobić na życie i trochę pieniędzy na łapówkę dla dozorca. Czy nie wiesz o jakiejś pracy?

Dziewczyna odwróciła uwagę od chłopca i spojrzała na Alienę.

– Nie masz grosza i chcecie się dowiedzieć, jak trochę zarobić?

– Właśnie tak. Chcemy pracować. Możemy robić wszystko. Umiałabyś coś dla nas wymyślić?

Dziewczyna popatrzyła na nią długo i aprobująco.

– Tak – powiedziała w końcu. – Znam kogoś, kto może wam pomóc.

Alienę przeszedł dreszcz: oto pierwsza osoba w ciągu dnia, która mówi „tak”.

– Gdzie możemy się z nim zobaczyć? – spytała z zapalem.

– Z nią.

– Co takiego?

– To kobieta. A ty możesz się z nią zobaczyć od razu, jeśli ze mną pójdziesz.

Rodzeństwo wymieniło zachwycone spojrzenia. Alienie nie mieściło się w głowie, że wreszcie odmienia się im na lepsze.

Dziewczyna odwróciła się i poszła, a oni za nią. Poprowadziła ich do sporego drewnianego budynku na południowej stronie High Street. Głównej. Większość domów tutaj była parterowa, ale ten miał małe pięterko. Dziewczyna weszła na zewnętrzne schody i kiwnęła, by podążyli za nią.

Na pięterku mieściła się sypialnia. Aliena rozglądała się z oczyma rozszerzonymi zdziwieniem. U niej, na zamku, we wszystkich pokojach nie znalazłoby się tylu sprzętów i ozdób, nawet za życia matki. Ściany zakrywały kilimy, podłogę okrywały futra, a łóżko otaczały bogato zdobione kotary. Na krześle wyglądającym jak tron siedziała kobieta w średnim wieku we wspaniałej sukni. Aliena pomyślała, że w młodości jej uroda musiała być wielka, chociaż dzisiaj miała skórę pełną zmarszczek, a włosy przerzedzone.

– To jest pani Kate – rzekła przewodniczka. – Ta dziewczyna jest bez grosza, a ojca ma w więzieniu.

Kate uśmiechnęła się. Aliena odpowiedziała także uśmiechem, ale musiała się do tego zmusić, w kobiecie bowiem było coś, co jej się nie podobało.

– Zabierz chłopca do kuchni i daj mu piwa, a my w tym czasie porozmawiamy – oświadczyła.

Dziewczyna wyprowadziła Richarda. Aliena cieszyła się, że przynajmniej on dostanie trochę piwa, może dadzą mu też coś do jedzenia.

– Jak się nazywasz? – spytała gospodyni.

– Aliena.

– Niezwykłe imię, ale podoba mi się. – Wstała i podeszła bliżej, odrobinę

za blisko. Ujęła twarz Alieny w dłonie, dotykając policzków. – Masz bardzo ładną buzię. – Jej oddech pachniał winem. – Zdejmij opończę.

Alienę zdezorientowało to badanie, lecz poddała się mu: wydawało się nieszkodliwe, a po tych porannych niepowodzeniach nie chciała utracić pierwszej prawdziwej szansy tylko dlatego, że uznano by ją za niechętną do współpracy. Ruchem ramion zrzuciła okrycie, cisnęła je na ławę i stanęła w starej płóciennej sukni, którą podarowała jej żona gajowego.

Kate obeszła ją dookoła. Z jakichś powodów wydawała się poruszona.

– Moja kochana dziewczyno, nie powinno ci nigdy niczego zabraknąć, ani pieniędzy, ani czegokolwiek innego. Jeśli będziesz pracowała dla mnie, obie się wzbogacimy.

Aliena zmarszczyła brwi. To brzmiało dziwacznie. Chciała przecież jedynie pomagać przy praniu, gotowaniu lub szyciu: nie wyobrażała sobie, aby dzięki czemuś takiemu można było się wzbogacić.

– O jaką pracę chodzi?

Kate stanęła za nią. Przesunęła dłońmi po bokach Alieny, obmacując jej biodra, a stała tak blisko, że dziewczyna czuła jej piersi na swoich plecach.

– Masz cudowną figurę. A cerę zachwycającą. Jesteś szlachcianką, prawda?

– Mój ojciec był hrabią Shiring.

– Bartholomew! No, no, no. Pamiętam go, nie żeby był szczególnie częstym klientem. Bardzo cnotliwy mężczyzna z twego ojca. No, teraz rozumiem, dlaczego popadliście w nędzę.

A zatem miała klientów.

– Co sprzedajesz?

Kate nie odpowiedziała wprost. Przeszła obok Alieny, stanęła przodem do niej, popatrzyła jej w twarz.

– Czy jesteś dziewicą, kochanie?

Aliena spłonęła rumieńcem wstydu.

– Nie płosz się, widzę, że nie. To zresztą nie ma nic do rzeczy. Dziewice są

wiele warte, ale to nie trwa długo, prawda? To oczywiste. – Oparła ręce na biodrach hrabianki, nachyliła się do przodu i pocałowała ją w czoło. – Jesteś tak godna pożądania, że aż zapiera dech, lecz o tym nie wiesz. Na wszystkich świętych, nie można ci się oprzeć! – Przesunęła ręce w górę i delikatnie ujęła w dłoń jedną pierś Alieny, ważąc ją i lekko ściskając, potem nachyliła się znów i pocałowała ją w usta.

W mgnieniu oka Aliena zrozumiała wszystko: dlaczego dziewczyna uśmiechała się do Richarda przed mennicą, skąd Kate miała pieniądze, co ona sama miałyby robić, by zdobyć pieniądze, a wreszcie i to, kim jest Kate. Zrobiło się jej głupio, że nie zorientowała się wcześniej. Przez chwilę pozwoliła jeszcze całować się, to był pocałunek tak odmienny od tego, co czynił William Hamleigh, że nie spostrzegła od razu, o co chodzi. Wiedziała, że to nie jest sposób, w jaki chciałyby zarabiać. Wyrwała się z objęć.

– Chcesz, żebym była dziwką?

– Panią rozkoszy, kochanie – sprostowała Kate. – Wstawać późno, codziennie nosić przepiękne suknie, czynić mężczyzn szczęśliwymi i zostać bogatą. Zostaniesz jedną z najlepszych. Ten twój wygląd... wszystkich pobijesz, zdobędziesz wszystko, wszystko! Ja to wiem, uwierz mi!

Alienę przeszedł dreszcz. Na zamku zawsze była jakaś dziwka czy dwie, było to niezbędne w miejscu, gdzie przebywało tak wielu mężczyzn bez żon; uważano je za najniższe z najniższych, najpodlejsze z kobiet, gorsze nawet od zamiataczek. Lecz dreszcz obrzydzenia przeszył ją nie z powodu niskiego statusu. Spowodowała go świadomość, że mężczyźni podobni do Williama Hamleigha będą przychodzili, wchodzili w nią i robili to za pensa. Ta myśl przywiodła wspomnienie wielkiego cielska unoszącego się nad nią i opadającego, kiedy leżała na podłodze z rozwartymi nogami, wstrząsana dreszczami odrazy i strachu. Scena ta wywołała nową falę grozy, co pozbawiło ją odzyskanej pewności siebie. Poczwała, że jeśli choć przez chwilę pozostanie w tym domu, to wszystkie potworności raz przeżyte mogą się powtórzyć. Opanowała ją paniczna chęć wy-

dostania się stąd za wszelką cenę. Cofała się ku drzwiom. Obawiała się obrazić Kate, obawiała się, że ktoś może się na nią, Alienę, rozgniewać.

– Przepraszam – wybełkotała – proszę mi wybaczyć, ale naprawdę nie mogę tego zrobić, naprawdę...

– Przemyśl to! Przyjdź tutaj, gdy zmienisz zdanie. Ja tu będę.

– Dziękuję – powiedziała niepewnie Aliena. Wreszcie znalazła drzwi. Szarpnęła je i wypadła na zewnątrz. Wciąż wstrząśnięta, zbiegła ze schodów na ulicę i weszła do budynku frontowym wejściem. Otworzyła drzwi pchnięciem, ale za bardzo się bała, by wejść.

– Richard! Richard! Wyjdź stąd! – zawołała. Nie usłyszała odpowiedzi. Wnętrze słabo oświetlono, więc poza paru mglistymi postaciami kobiet w środku nie widziała nic. – Richard, gdzie jesteś?! – krzyknęła już histerycznie.

Zauważyła, że przechodnie zaczynają się jej przyglądać, a to niepokoiło ją jeszcze bardziej. Nagle pojawił się Richard, trzymając w jednym ręku kubek piwa, w drugim zaś udko kurczęcia.

– O co chodzi? – spytał, a usta miał pełne mięsa.

Złapała go za rękę i pociągnęła.

– Chodź stąd! To burdel!

Kilku przechodniów zatrzymało się wcześniej, kiedy wywoływała brata, teraz głośno się zaśmiali i zaczęli drwić.

– Mogłaś dostać trochę mięsa.

– One chciały, żebym została dziwką! – wybuchnęła.

– No dobrze, dobrze, już w porządku – dopił piwo, kubek postawił po wewnętrznej stronie drzwi, a resztę udka schował za koszulę.

– Chodź – Aliena szarpała go niecierpliwie, chociaż konieczność opieki o brata działała na nią uspokajająco. On zaś nie sprawiał wrażenia oburzonego pomysłem zrobienia dziwki ze swej siostry, raczej wydawał się żałować, że opuścili miejsce, gdzie na życzenie podawali mu kurczaka i piwo.

Większość przechodniów odeszła do swoich spraw, widząc, że zabawa

skończona, ale jedna osoba została. To była ta dobrze ubrana kobieta, którą widzieli w więzieniu. To ta, co dała dozorczy pensa, a on nazwał ją Meg. Patrzyła na Alienę z ciekawością pomieszaną ze współczuciem. Dziewczyna nie miała ochoty być przedmiotem obserwacji, więc odpowiedziała spojrzeniem pełnym złości. Wtem kobieta przemówiła do niej:

– Masz kłopoty, prawda?

Nuta sympatii w głosie Meg zmieniła nastawienie Alieny.

– Tak – odrzekła po chwili. – Mam kłopoty.

– Widziałam was w więzieniu. Jest tam mój mąż, odwiedzam go codziennie. Dlaczego tam byliście?

– Tam znajduje się nasz ojciec.

– Ale nie weszliście.

– Nie mamy żadnych pieniędzy, nie możemy zapłacić dozorczy.

Meg popatrzyła nad ramieniem Alieny na drzwi burdelu.

– A tutaj właśnie próbowaliście zdobyć pieniądze?

– Tak, aleja nie wiedziałam, co tam jest, dopóki...

– Biedactwo, biedactwo... Moja Annie byłaby w twoim wieku, gdyby żyła... Dlaczego nie mielibyście pójść razem ze mną do więzienia? Co wy na to? Razem spróbowalibyśmy przekonać Odonę, by zachował się jak na chrześcijanina przystało i wpuścił dzieci popadłe w nędzę do nieszczęsnego ojca, by okazał trochę litości?

– To, och, to byłoby cudowne – wzruszyła się Aliena. Nie mieli żadnej pewności, że to się uda, ale sam fakt, że ktoś chciał im pomóc, spowodował, iż napłynęły jej łzy.

Meg w dalszym ciągu uważnie na nią patrzyła.

– Jedliście obiad?

– Nie. Richard coś zjadł w. w tamtym domu.

– Lepiej chodźcie do mnie. Dam wam trochę chleba i mięsa. – Dostrzegła czujne spojrzenie i dodała: – I nie będziecie musieli za to nic robić.

Aliena uwierzyła jej.

– Dziękuję ci. Jesteś bardzo miła. Niewielu spotkaliśmy ludzi przychylnych nam. Nie wiem, jak ci dziękować.

– Nie trzeba. Chodźcie ze mną.

Mąż Meg był kupcem. Handlował wełną w domu w południowej części miasta, na targu w dni targowe, a także na corocznym wielkim jarmarku Saint Giles's Hill skupywał runo od chłopów z okolicy. Pakował strzyżę w wielkie worki, po czym składał je w szopie na zapleczu swego domu. Raz do roku, kiedy flamandzcy tkacze przysyłali swych przedstawicieli, by kupić miękką i mocną angielską wełnę, mąż Meg sprzedawał wszystko i organizował przewóz worków do portów, skąd przez Dover i Boulogne statki zabierały je do Brugii i Gandawy. Tam runo przetwarzano w najwyższej jakości tkaniny i sprzedawano całemu światu po cenach daleko wyższych, niż brali chłopci hodujący owce. Tak opowiadała Meg podczas obiadu. Na ustach miała stale ciepły uśmiech, uśmiech mówiący, że ludzie nie muszą być dla siebie niemili, że nie ma takiej potrzeby.

Mąż Meg został oskarżony o niedoważanie. Przestępstwo, które miejskie prawodawstwo traktowało nader poważnie ze względu na to, że dobrobyt miasta zależał w znacznej mierze od dobrej opinii o uczciwości przeprowadzanych tam transakcji. Aliena, słuchając Meg, uważała, że jej mąż zapewne był winny. Jego nieobecność nie wpłynęła jednak na przebieg trwających interesów. Miejsce męża zajęła żona. Zresztą w zimie i tak nie było zbyt wiele roboty. Wyjechała więc do Flandrii, upewniła zainteresowane osoby, że przedsiębiorstwo działa normalnie, a po powrocie przeprowadzała naprawy składu, jednocześnie trochę go powiększając. Kiedy zacznie się okres strzyży, będzie kupować wełnę tak samo jak czynił to mąż. Znała się na określaniu jakości i ustalaniu cen. Już ją przyjmowano w gildii pomimo plam na reputacji męża, a to dzięki tradycji

kupieckiej, zgodnie z którą każda należąca do gildii rodzina otrzymywała pomoc, jeśli znalazła się w kłopotach. Poza tym jeszcze nie dowiedziono winy jej mężowi.

Richard i Aliena zjedli i wypili, następnie usiedli przy ogniu i rozmawiali, dopóki nie zaczęło się ściemniać. Potem poszli do klasztoru na nocleg. Alienę znowu męczyły koszmary. Tym razem dotyczyły ojca. We śnie siedział w więzieniu na tronie, tak samo wysoki i blady jak zawsze, tak samo apodyktyczny, a kiedy do niego podchodziła, musiała się kłaniać nisko, jak królowi. Potem ojciec przemówił oskarżycielsko, twierdząc, że go opuściła w tym więzieniu i poszła mieszkać i żyć w burdelu. Oburzona tą niesprawiedliwością odparła, że to on ją opuścił. Pragnęła dodać, że pozostawił ją na łasce Williama Hamleigha, ale nie chciała przyznać, że ten ją brutalnie zgwałcił. Wtedy zobaczyła, że William też tam jest, siedzi na łóżku i wyjada wiśnie z miski. Wypluł pestkę w jej stronę i trafił w policzek, kłując go i plamiąc. Ojciec uśmiechnął się, a wtedy William zaczął rzucać całymi miękkimi wiśniami. Rozbryzgiwały się na jej twarzy i sukni. Zaczęła płakać, bo chociaż to była stara suknia, niemniej jedyna, jaką miała, a teraz wszędzie były plamy z tego soku i wyglądała jak zbryzgana krwią.

Sen spowodował uczucie nieznośnego smutku, smutku nie do wytrzymania. Obudziła się. Zrozumiałwszy, że to tylko sen, że to nie zdarzyło się naprawdę, poczuła ogarniającą ją przemożną falę ulgi, pomimo że w rzeczywistości, bezdomna i bez grosza, miała się gorzej niż będąc obrzucana miękkimi wiśniami.

Światło poranka przeciskało się przez szpary w ścianach domu gościnnego. Wszędzie wokół ludzie wstawali i zaczynali się kręcić. Wkrótce weszli mnisi, otwarli drzwi i okiennice, po czym podali śniadanie.

Rodzeństwo zjadło pośpiesznie i poszło do domu Meg. Także już była gotowa do wyjścia. Dla męża przygotowała zaprawioną mocno korzeniami polewkę wołową, by się rozgrzał gorącym obiadem. Aliena kazała Richardowi ponieść ciężki garnek. Chciałaby mieć coś dla ojca. Nie pomyślała o tym wcze-

śniej. Gdyby nawet pomyślała, to i tak nie miałyby za co kupić. Myśl, że nic dla ojca nie może zrobić, była okropna.

Podążali High Street, weszli do zamku tylną bramą, a potem minęli twierdzę i udali się w stronę więzienia. Aliena przypomniała sobie słowa Odon, kiedy spytała o zdrowie ojca. Powiedział wtedy: „Nie, nie jest zdrowy, umiera”. Uważała wówczas, że przesadza, bo chce być okrutny, ale teraz zaczęła się niepokoić. Zwróciła się do Meg:

– Czy z moim ojcem jest niedobrze?

– Nie wiem, dziecinko – odrzekła – nigdy go nie widziałam.

– Dozorca powiedział, że umiera.

– Ten człowiek jest podły. Powiedział tak pewnie po to, by cię zmartwić.

Zresztą dowiesz się wszystkiego za chwilę.

To jej nie pocieszyło pomimo jak najlepszych intencji Meg. Kiedy więc wchodziła do więzienia, wypełniała ją wielka groza, paskudna jak zapach i mrok tego pomieszczenia.

Odon grzał ręce przy płonącym ogniu. Skinął głową Meg i przyjrzał się Alienie.

– Masz pieniądze?

– Ja płacę za nich – rzekła Meg. – Patrz, to dwa pensy, jeden za mnie i jeden za nich.

Na twarzy Odon pojawił się przebiegły wyraz.

– Za nich dwa pensy. Po pensie od łebka.

– Nie bądź takim psem – rzekła Meg. – Pozwól obojgu wejść albo narobię ci kłopotów w gildii i stracisz robotę.

– Dobra, dobra, nie trzeba straszyć – zrzędził. Wskazał na łukowate przejście w kamiennej ścianie po prawej. – Do Bartholomew tędy.

– Będziecie potrzebowali światła – zauważyła Meg. Wyjęła z kieszeni dwie świece, zapaliła je od ognia, jedną podała Alienie. Miała zmartwioną twarz. – Mam nadzieję, że ojciec twój ma się dobrze. Wszystko będzie w porządku. –

Szybko pocałowała dziewczynę. Jeszcze szybciej odwróciła się i przeszła przez łukowate przejście naprzeciwko.

– Dziękuję ci za tego pensa! – zawołała za nią Aliena, ale Meg już znikła w mroku.

Aliena spojrzała w kierunku wskazanym przez dozorcę. Trzymając wysoko świeczkę, przeszła pod łukowatym sklepieniem i okazało się, że jest w kwadratowym korytarzyku. Światło świecy ukazało troje ciężkich drzwi, każde z nich zaparte belką od zewnątrz. Odo zawołał:

– Na wprost!

– Podnieś belkę, Richardzie.

Chłopak wyjął ciężką kłodę z obejm i postawił obok drzwi. Aliena popchnęła je i jednocześnie szybko zmówiła cicho modlitwę.

Celę oświetlało jedynie światło świecy. Zawahała się w drzwiach, wpatrując się w ruchliwe cienie. Cuchnęło jak w ubikacji. Jakiś głos spytał:

– Kto tam?

– Ojciec?

Dostrzegła na podłodze pokrytej słomą jakąś postać.

– Aliena? – W głosie pojawiło się niedowierzanie. – Czy to Aliena? – Brzmiało to jak głos ojca, ale bardziej ostro.

Podeszła bliżej, trzymając świeczkę wysoko. Popatrzył na nią, a gdy światło sięgnęło jego twarzy, zachłysnęła się ze zgrozy.

Zmienił się nie do poznania.

Zawsze był szczupły, teraz jednak wydawał się szkieletem. Był ohydnie brudny i odziany w łachmany.

– Aliena – rzekł. – To ty! – Twarz wykrzywiła się w uśmiechu przypominającym potworny grymas.

Wybuchnęła płaczem. Nic nie mogło jej przygotować na to, co zobaczyła, na wstrząs spowodowany zmianą, która zaszła w ojcu. Najgorsze z możliwych do wyobrażenia rzeczy. Natychmiast zrozumiała, że on umiera. Podły Odo po-

wiedział prawdę. Lecz żył jeszcze, jeszcze cierpiał i żałośnie cieszył się, że przyszła, że ją widzi. Postanowiła przed przyjściem, że będzie spokojna, ale całkowicie straciła opanowanie, padła przed nim na kolana, łkała i szlochała rozdzierająco, raniąc serce ojca.

Pochylił się, objął ramionami i zaczął poklepywać plecy córki tak samo, jak czynił to, by ją ukoić, kiedy jeszcze była dzieckiem i obtarła kolano czy zepsuła zabawkę.

– Nie płacz – powiedział łagodnie. – Nie teraz, kiedy sprawiłaś swemu ojcu taką radość.

Aliena poczuła, że ktoś wyjmuje jej z ręki świeczkę.

– A ten wysoki młody człowiek to mój syn, Richard?

– Tak, ojcze.

Objęła ojca i wyczuła jego żebra. Patyki w worku. Zupełnie wyniszczony, ani trochę mięśni, tylko skóra i kości. Chciała mu coś powiedzieć, znaleźć jakieś słowa o miłości i ukojeniu, ale przez te łkania nie umiała wykrztusić słowa.

– Richard! No, no – mówił ojciec. – Aleś wyrósł! Masz już brodę?

– Dopiero rośnie, ojcze, ale jest bardzo jasna i nie widać.

Aliena zauważyła, że Richard jest bliski płaczu i walczy, by zapanować nad sobą. Czułby się poniżony, gdyby zaczął płakać. Ojciec pewnie kazałby mu wziąć się w garść i zachowywać jak mężczyzna, a to jeszcze by pogorszyło sprawę. Martwiąc się o Richarda, przestała płakać, z wielkim wysiłkiem tłumiąc emocje. Uścisnęła raz jeszcze przejmująco chude ciało ojca, potem wycofała się z jego objęć, wytarła oczy i wydmuchała w rękaw nos.

– A co z wami, dzieci? – mówił wolniej niż zazwyczaj, poza tym czasami głos mu się załamywał. – Dajecie sobie radę? Gdzie mieszkacie? Nic mi o was nie mówiono, to była najgorsza z ich tortur. Zdaje się, że macie się dobrze, pięknie wyglądacie – i jesteście zdrowi! To wspaniale!

Wspomnienie o torturach sprowokowało Alienę do zastanowienia się nad tym, czy ojciec musiał cierpieć fizycznie, ale nie spytała go o to wprost: bała się

odpowiedzi. Zamiast pytać, skłamała:

– Z nami wszystko w porządku, ojciec. – Zdawała sobie sprawę, że prawda podziałałaby na ojca niszczycielsko, zniweczyłaby także ten moment szczęścia i radości ze spotkania, a potem wypełniłaby resztę jej życia poczuciem winy i samooskarżeniami. – Mieszkaliśmy w zamku, a Matthew opiekował się nami.

– No, ale już nie możecie tam mieszkać – rzekł ojciec. – Tego tłustego niezdarę, Percy’ego, król uczynił hrabią Shiring i to on zajmuje zamek.

A zatem wiedział o tym.

– W porządku, opuściliśmy zamek – odparła.

Dotknął jej sukni.

– A cóż to takiego? – spytał ostro. – Sprzedałaś ubrania? W dalszym ciągu spostrzegawczy, zauważyła Aliena. Niełatwo go oszukać. Postanowiła ujawnić mu część prawdy.

– Z zamku wyjeżdżaliśmy w pośpiechu, więc nie zabrałam rzeczy.

– A gdzie Matthew? Dlaczego nie z wami?

Obawiała się tego pytania. Zawahała się.

Pauza trwała krótko niczym okamgnienie, ale ojciec zauważył ją.

– No! Nie ukrywaj nic przede mną! – wypowiedział te słowa z cieniem swej dawnej władczości. – Gdzie Matthew?

– Zabity przez Hamleighów. Ale nam nie zrobili krzywdy. – Wstrzymała oddech. Może jej uwierzy?

– Biedny Matthew – rzekł ze smutkiem. – Nigdy nie był waleczny. Mam nadzieję, że poszedł prosto do nieba.

Przyjął jej wersję, poczuła ulgę. Trzeba sprowadzić rozmowę na inny, bezpieczniejszy temat.

– Postanowiliśmy przyjść do Winchesteru, żeby poprosić króla o jakieś zapotrzebowanie dla nas, ale on...

– To bez sensu – ojciec przerwał błyskawicznie, zanim zdołała wyjaśnić, dlaczego nie spotkali się z królem. – Nic dla was nie zrobi.

Alienę zranił ten karcący ton. Mimo wszystkich przeszkód robiła, jak umiała najlepiej, to, co wydawało się jej właściwe, i chciała usłyszeć słowa pochwały: „Dobry pomysł, dobrze zrobiłaś”, a nie „Strata czasu”. Zawsze szybciej i chętniej poprawiał i strofował, niż doceniał. Powinnam do tego przywyknąć, pomyślała. Poddając się, zapytała:

– To co teraz mamy czynić?

Starał się wygodniej usiąść, przy czym rozległ się szcęk. Wstrząśnięta Aliena uświadomiła sobie, że ojca zakuto w łańcuchy.

– Miałem jedną jedyną okazję, by ukryć pieniądze – oznajmił ojciec. – Niezbyt dobrą i niewielkie pieniądze, ale musiałem ją wykorzystać. Miałem pięćdziesiąt bezantów zaszytych w pasie pod koszulą. Dałem ten pas księdzu.

– Pięćdziesiąt! – To była niespodzianka. Bezant to złota moneta bita nie w Anglii, ale w Bizancjum. Do tej pory nie widziała nigdy więcej niż jedną naraz. Jeden bezant wart jest dwadzieścia cztery pency srebrne. Pięćdziesiąt to tyle... nie umiała wyliczyć.

– Któremu księdzu? – spytał praktycznie Richard.

– Ojcu Ralphowi, z kościoła Świętego Michała przy Bramie Północnej.

– Czy to dobry człowiek? – chciała wiedzieć Aliena.

– Mam taką nadzieję. W dniu, kiedy Hamleighowie przywieźli mnie tutaj, do Winchesteru, zanim mnie zamknięto w więzieniu, znalazłem się na chwilę z nim sam na sam i wiedziałem, że to moja jedyna okazja. Dałem mu pas i błagałem, by zachował go dla was. Pięćdziesiąt bezantów to pięć funtów srebrem.

Pięć funtów! Uświadomiła sobie szybko, że to zmienia ich życie. Już nie będą cierpieć nędzy, nie będą musieli żyć z dnia na dzień. Kupią sobie buty, które zastąpią te okropne, sprawiające ból drewniaki, przede wszystkim zaś będą mogli kupić chleba. A może nawet parę tanich kucyków. Pięć funtów wprawdzie nie rozwiąże wszystkich problemów, ale zlikwiduje owo przerażające uczucie, że żyje się z dnia na dzień, na granicy życia i śmierci. Już nie będzie musiała w każdej sekundzie kłopotać się o to, czy przetrwają. Zamiast snuć ta-

kie myśli, będzie mogła zastanowić się nad czymś praktycznym, na przykład jak wydobyć ojca z więzienia.

– A kiedy już będziemy mieć pieniądze, ojczy, to co mamy robić? Musimy cię uwolnić – powiedziała.

– Ja stąd nie wyjdę – odrzekł szorstko. – Zapomnij o takim pomysle. Jeśli nie byłbym umierający, to już by mnie powiesili.

Alienie zaparło dech. Jak ojciec mógł mówić w ten sposób?

– Czemu to tak tobą wstrząsnęło? – zapytał. – Król musi się mnie pozbyć.

– Ojczy, kiedy nie ma króla, to nie strzegą zbyt pilnie tego więzienia i zamku. Przy pomocy kilku ludzi mógłbym wydostać cię stąd bez specjalnych trudności, jak myślę – oświadczył Richard.

Aliena wiedziała już, że to niemożliwe. Jej brat nie miał ani zdolności, ani doświadczenia, by ratować ojca, poza tym był zbyt młody, aby przekonać dorosłego do wzięcia udziału w takiej wyprawie czy nakłonić do posłuszeństwa. Obawiała się, że ojciec może zranić dumę Richarda, pogardliwie wyrażając się o jego propozycji, ale ojciec powiedział jedynie:

– Nawet o tym nie myśl. Jeśli się tu wdrzesz, odmówię wyjścia.

Znała ojca – kiedy już podjął decyzję, nie było sensu się spierać. Jednakże myśl, że resztę swych dni miał spędzić w śmierdzącej celi, łamała jej serce. Wpadła na pomysł, że może przecież uczynić jego pobyt tutaj bardziej znośnym.

– Dobrze, jeśli chcesz tu zostać, to my oczyścimy ci tę celę, przyniesiemy świeżego sitowia. Codziennie będziemy ci przynosić gorące jedzenie. Przyniesiemy świeczki, żebyś mógł może pożyczyć od kogoś Biblię i poczytać. Będziesz miał palenisko...

– Dość! – przerwał. – Nie zrobicie nic! Nie chcę, żeby moje dzieci traciły życie na pętanie się koło więzienia w oczekiwaniu na śmierć ojca.

Alienie znowu napłynęły do oczu łzy.

– Ależ nie możemy tak cię zostawić!

Zignorował ją, jak to zwykle czynił wobec ludzi, którzy głupio mu się sprzeciwiali.

– Twoja kochana matka miała siostrę, ciotkę Edith. Mieszka ona w Huntleigh, przy trakcie do Gloucesteru, z mężem rycerzem. Macie tam się udać.

Aliena pomyślała, że dzięki temu i tak mogliby doglądać ojca.

I może tym powinowatym pozwoliliby na uczynienie swego życia tutaj bardziej znośnym. Spróbowała przypomnieć sobie ciotkę Edith, a także wuja Simona. Nie widziała się z nimi od śmierci matki. Miała jakieś mgliste wspomnienie szczupłej, nerwowej osoby, podobnej do matki, i wielkiego, dobrodusznego mężczyzny, który dużo jadł i wiele pił.

– Czy oni się nami zaopiekują? – zapytała niepewnie.

– Oczywiście, to krewni.

Miała wątpliwości, czy to wystarczający powód dla skromnej rodziny rycerskiej, by przyjąć pod swój dach dwoje wyrośniętych i głodnych młodych ludzi. Ojciec jednak powiedział, że tak, więc mu ufała.

– To co mamy robić?

– Richard będzie giermkim swego wuja i nauczy się sztuki rycerskiej. Ty będziesz damą do towarzystwa ciotki Edith, dopóki nie wyjdiesz za mąż.

Podczas tej rozmowy Aliena czuła się jak człowiek, który całe mile niósł wielki ciężar i nie zauważał bólu grzbietu, dopóki ciężaru nie złożył. Teraz, kiedy ojciec znowu decydował, odpowiedzialność, jaka na niej ciążyła, zdawała się jej zbyt wielka, by ją udźwignąć. Władczość ojca, zdolność do opanowywania sytuacji, mimo pobytu w więzieniu i ciężkiej choroby, dawały jej poczucie ukojenia, oddalały rozpacz, dlatego że ojciec przejmując przywództwo, nie widział miejsca na smutek. Teraz przybrał jeszcze bardziej rozkazujący ton.

– Zanim stąd wyjdziecie, chciałbym, byście złożyli mi uroczystą przysięgę.

Aliena była wstrząśnięta. Tato zawsze był przeciwnikiem takich rzeczy. „Złożenie przysięgi jest wystawieniem duszy na ryzyko – zwykł mawiać. – Nigdy nie składaj przysięgi, o ile nie jesteś pewny, że raczej życie poświęcisz,

niż ją złamiesz”. Teraz sam znalazł się w takiej sytuacji, bo złożył przysięgę. Inni baronowie złamali słowo i uznali Stefana królem, ale on odmówił. Raczej umrze, niż złamie słowo. I oto umierał.

– Daj mi swój miecz – rzekł do Richarda.

Chłopak dobył miecza i podał ojcu.

– Klęknij – rozkazał Bartholomew, trzymając broń za głównię.

Richard ukląkł przed ojcem.

– Połóż rękę na rękojęści – zamilkł na chwilę, jakby zbierając siły, potem jego głos zabrzmiał niczym dzwon. – Przysięgnij na Wszechmocnego Boga, Jezusa Chrystusa i wszystkich świętych, że nie spocziesz, dopóki nie zostaniesz hrabią Shiring i panem na wszystkich ziemiach, którymi ja władałem.

To zdumiało Alienę i trochę przejęło grozą. Spodziewała się, że ojciec zechce jakichś ogólnych deklaracji, na przykład o mówieniu zawsze prawdy i bojaźni bożej, a on dawał Richardowi bardzo konkretne zadanie, które mogło zabrać mu życie.

Richard wziął głęboki oddech i przemówił z drzeniem w głosie:

– Przysięgam Bogu Wszechmogącemu, Jezusowi Chrystusowi i wszystkim świętym, że nie spocznę, póki nie zostanę hrabią Shiring i panem wszystkich ziem, którymi ty władałeś.

Ojciec odetchnął, jakby wypełnił uciążliwe zadanie. Potem znowu zaskoczył Alienę. Odwrócił się i wyciągnął ku niej rękojęść miecza.

– Przysięgnij na Boga Wszechmogącego, Jezusa Chrystusa i wszystkich świętych, że będziesz opiekować się swym bratem Richardem, dopóki nie spełni swego przyrzeczenia.

Aliena była przybita. Oto jej los: brat miał pomścić ojca, a ona miała się nim opiekować. Dla niej oznaczało to zemstę, bo jeśli Richard miał zostać hrabią Shiring, to William Hamleigh powinien stracić dziedzictwo. Błysnęło jej w głowie, że nikt nie pyta jej o to, jak ona chciałaby przeżyć swe życie, lecz ta głupia myśl zniknęła tak szybko, jak się pojawiła. Oto jej przeznaczenie, odpo-

wiednie i właściwie. Zdawała sobie sprawę z wagi tej chwili, wiedziała, że w tym momencie zatrząskują się za nią drzwi i nieodwołalnie wkracza na wytyczoną drogę życia. Położyła rękę na rękojeści i składając przysięgę, dziwiła się sile i zdecydowaniu, jakie słyszała w swoim głosie.

– Przysięgam Bogu Wszchemogącemu, Jezusowi Chrystusowi i wszystkim świętym, że będę opiekować się moim bratem Richardem, dopóki nie spełni swego przyrzeczenia. – Zrobiła znak krzyża. Stało się. Przysięgła, zaklęła się. Musi raczej umrzeć, niż złamać słowo. Ta myśl dała jej jakąś gniewną satysfakcję.

– Nie wolno wam tu więcej przychodzić – rzekł ojciec, a jego głos brzmiał słabo. Aliena nie mogła uwierzyć, że naprawdę tak uważa.

– Wuj Simon może nas przywieźć tutaj, a my będziemy mogli się upewnić, że masz ciepło i nie jesteś głodny...

– Nie – powtórzył uparcie. – Macie do wypełnienia zadanie. Nie możecie tracić sił na odwiedzanie więzienia.

Usłyszała w głosie ojca ponownie tę nutę „nie kłóć się ze mną”, ale nie umiała się powstrzymać przed buntem przeciwko takiej ostrej decyzji.

– No to pozwól nam przyjść tutaj tylko raz, żeby ci jakoś złagodzić pobyt tutaj...

– Nie chcę nic takiego!

– Proszę...

– Nigdy.

Poddała się. W końcu wobec siebie zachowywał się równie twardo jak wobec innych.

– No, dobrze – westchnęła i zabrzmiało to jak szloch.

– Teraz już lepiej idźcie.

– Już?

– Tak. To miejsce rozpacz, zepsucia i śmierci. Teraz, kiedy was zobaczyłem i usłyszałem waszą przysięgę, jestem usatysfakcjonowany. Moje szczęście

może zniszczyć jedynie świadomość, że tracicie czas na odwiedzanie mnie w więzieniu. Idźcie.

– Tato, nie! – sprzeciwiła się, choć wiedziała, że to bezskuteczne.

– Słuchajcie – powiedział, a jego głos wreszcie złagodniał. – Przeżyłem uczciwe i zaszczytne życie, teraz mam umrzeć. Wypowiadałem się. Jestem gotowy na przeniesienie się do wieczności. Módlcie się za moją duszę. Idźcie.

Aliena nachyliła się i złożyła pocałunek na czole ojca. Łzy strumieniem płynęły jej po twarzy, nie wstrzymywała ich.

– Żegnaj, kochany ojcie – wyszeptwała.

Richard też się skłonił i pocałował ojca.

– Żegnaj, ojcie – powiedział niepewnie.

– Niech Bóg wam błogosławi i pomoże dotrzymać przysięgi. Chłopiec zostawił ojcu świecę. Podeszli do drzwi. Na progu Aliena odwróciła się i popatrzyła w migotliwym świetle na ojca. Jego wychudła twarz miała wyraz spokojnego zdecydowania, bardzo znajomy wyraz. Patrzyła, dopóki łzy nie zasłoniły jej widoku. Wtedy wycofała się do sieni i wyszła na powietrze.

III

Richard prowadził. Aliena z żalości popadła w odrętwienie. Było tak, jakby ojciec już umarł, lecz odczuwała to gorzej, bo on jeszcze cierpiał. Słyszała, jak Richard pyta o kierunek, ale nie zwracała na to uwagi. Nie poświęciła ani jednej myśli miejscu, do którego zmierzali, póki nie zatrzymali się przed małym drewnianym kościółkiem, z szopą-przybudówką. Zorientowała się, że są w dzielnicy ubogich, walących się domów i brudnych ulic, po których goniły gorączkowo psy, łowiąc szczury w zalegających dookoła śmieciach, a bosonogie dzieci bawiły się w błocie.

– To musi być ten Święty Michał – stwierdził Richard.

Przybudówka mogła być mieszkaniem księdza. Miała jedno okno z okiennicami. Drzwi stały otworem. Weszli.

Na środku izby zajmującej całość przybudówki palił się ogień. Umieblowanie składało się z grubo ciosanego stołu, kilku zydli i baryłki piwa w kącie. Podłogę kryły maty z sitowia. Przy ogniu siedział na krześle mały, pięćdziesięcioletni, szczupły mężczyzna o czerwonym nosie i przerzedzonych siwych włosach, który pociągał z wielkiego kubka. Miał zwykle proste ubranie, brudną koszulę i brązową tunikę oraz drewniaki.

– Ojciec Ralph? – spytał Richard powątpiewająco.

– A co, jeśli tak?

Aliena westchnęła. Czemu ludzie utrudniają życie, kiedy i bez tego na świecie dość jest kłopotów? Nie miała jednak zbyt wiele sił, by tracić je na zajmowanie się złym humorem księdza, i zostawiła sprawę w rękach brata.

– Czy to znaczy „tak”?

Odpowiedź nadeszła z zewnątrz, kiedy jakiś głos zawołał:

– Ralph, jesteś tam?

W chwilę później kobieta w średnim wieku weszła do środka i podała księdzu kawałek chleba, a na stole postawiła miskę z czymś, co pachniało jak gulasz. Pierwszy raz zapach mięsa nie spowodował, że Alienie pociekła ślinka. Była zbyt otępiła, by czuć głód. Ta kobieta pewnie należała do parafii księdza Ralpha, jej ubranie było tak samo kiepskiej jakości jak jego. Wziął się do jedzenia bez słowa. Kobieta spojrzała na Alienę i Richarda bez zaciekawienia i wyszła.

– Zatem, ojczy, jestem synem hrabiego Bartholomew, poprzedniego hrabiego Shiring – rzekł z naciskiem Richard.

Mężczyzna przerwał jedzenie i popatrzył na nich. W twarzy miał wrogość, a także coś jeszcze, czego Aliena nie umiała odczytać. Obawę? Strach? Poczucie winy? Powrócił do obiadu, ale wymruczał:

– Czego chcecie ode mnie?

Alienę tknęło złe przeczucie.

– Wiesz, czego chcę – odrzekł Richard. – Moich pieniędzy. Pięćdziesięciu bezantów.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz – oświadczył Ralph.

Aliena wpatrywała się w niego z niedowierzaniem. Tak nie mogło być. Ojciec zostawił im pieniądze u tego księdza, powiedział im to. W takich sprawach ojciec się nie mylił.

– Co to znaczy? – Richard zbladł.

– To, że nie wiem, o czym mówisz. A teraz uciekaj stąd. – I znowu sięgnął do miski.

On kłamie, to oczywiste, ale co mogą zrobić?

– Mój ojciec zostawił u ciebie pieniądze dla mnie, pięćdziesiąt bezantów. Miałeś je oddać! Gdzie są?

– Twój ojciec nic mi nie dał.

– Powiedział tak.

– No to zełgał.

Tego akurat ojciec nigdy by nie uczynił. Aliena odezwała się po raz pierwszy.

– To ty jesteś kłamcą, a my o tym wiemy.

– Złóżcie skargę u szeryfa.

Ralph wzruszył ramionami.

– Miałbyś kłopoty, gdybyśmy to uczynili. W tym mieście złodziejom ucina się ręce.

Cień lęku przemknął przez twarz Ralpa, ale szybko zniknął i ksiądz odrzekł wyzywająco:

– To będzie moje słowo przeciw słowu zdrajcy siedzącemu w więzieniu, o ile wasz ojciec pożyje dość długo, by zeznawać.

Aliena uświadomiła sobie, że on ma rację. Nie ma bezstronnego świadka, który potwierdziłby fakt przekazania pieniędzy księdzu, bo cały sens tej sprawy polegał na zachowaniu jej w tajemnicy. Chodziło przecież o pieniądze, których

nie zabrałby ani król, ani Percy Hamleigh, ani żaden ze ścierwojadów kręcących się zawsze w pobliżu kogoś rujnowanego. Sprawy toczyły się więc dokładnie tak samo, jakby w dalszym ciągu byli w lesie, zauważyła z goryczą Aliena. Ją i Richarda można było grabić, bo byli dziećmi upadłego szlachcica. Zastanowiła się gniewnie, dlaczego właściwie lęka się tego człowieka. Dlaczego to on się jej nie boi?

Richard popatrzył na nią i rzekł powoli:

– Ma rację, no nie?

– Tak – rzekła przez zaciśnięte zęby. – Nasza skarga u szeryfa nie ma sensu.

Myślała o tym jednym wypadku, kiedy mężczyzna bał się jej. To było w lesie, kiedy zasztyletowała tłuszczocha, a jego kompan umknął ze strachu. Ten ksiądz jest nie lepszy niż tamten banita. Poza tym jest stary i całkiem słaby, a pewnie liczył na to, że nigdy nie zetknie się twarzą w twarz ze swymi ofiarami. Może dałoby się go wystraszyć.

– No to co robimy? – spytał Richard.

– Spalimy ten dom. – Uległa raptownemu impulsowi wściekłości. Wkroczyła na środek pomieszczenia i kopnęła drewniakiem w ogień, rozrzucając płonące polana. Sitowie wokół paleniska zajęło się natychmiast.

– Hej! – wrzasnął Ralph.

Uniósł się na swym siedzisku, upuszczając chleb i wylewając gulasz, ale zanim się zdążył wyprostować, Aliena już go dopadła. Zupełnie straciła panowanie, działała, nie myśląc. Popchnęła go, spadł z zydła na podłogę. Zdziwiła ją łatwość zwycięstwa. Rzuciła się na niego, opadła kolanami na jego pierś i pozbawiła tchu. Oszalała z wściekłości, przysunęła twarz do twarzy księdza i wrzasnęła:

– Ty załgany złodziejski bezbożniku, spalę cię na popiół!

Wzrok Ralpha przeskakiwał z kąta w kąt, zdawał się jeszcze bardziej przeżony. Idąc za jego spojrzeniem, dostrzegła brata, który dobył miecza i przy-

gotował się do uderzenia. Brudna gęba księdza zbladła, wyszeptał:

– Jesteś diabłem...

– A ty złodziejem kradnącym pieniądze biednym dzieciom! – Kątem oka dojrzała płonący patyk. Podniosła go i przysunęła do jego twarzy. – Wypalę ci oczy, jedno po drugim. Najpierw lewe...

– Błagam, nie – wyszeptał. – Nie krzywdź mnie, proszę.

Szybkość, z jaką dał się złamać, wstrząsnęła Alieną.

Zauważyła, że maty wokół niej ogarniają płomienie.

– No, to gdzie są pieniądze? – zapytała niespodziewanie normalnym głosem.

– W kościele. – Ksiądz wciąż był przerażony.

– A dokładniej?

– Pod kamieniem za ołtarzem.

Popatrzyła na brata.

– Jak się ruszy, zabij go. Pilnuj, a ja pójde i sprawdzę.

– Allie, za chwilę cały dom się spali – przestrzegł Richard.

Aliena podeszła do kąta i podniosła przykrywkę baryłki. Do połowy wypełniało ją piwo. Chwyciła za brzeg i popchnęła. Piwo wylało się na podłogę, mocząc sitowie i gasząc ogień.

Wyszła. Wiedziała, że naprawdę mogłaby wypalić księdzu oczy, ale zamiast się tego wstydzić, czuła się dumna ze swej mocy. Przrzekła sobie, że nie pozwoli, by ludzie dłużej traktowali ją jak ofiarę, i dowiodła, iż potrafi wytrwać w postanowieniu. Wkroczyła na podest kościoła i pociągnęła za drzwi. Zamykał je mały zamek. Mogłaby wrócić do mieszkania księdza i wziąć klucz, ale zamiast tego wyjęła z rękawa sztylet, wsadziła ostrze w szparę w drzwiach i wyłamała zamek. Drzwi skrzypnęły i otwały się. Weszła do środka.

Był to bardzo biedny kościół. Bez sprzętów, bez zdobień poza kilkoma z grubsza naszkicowanymi rysunkami na bielonych wapnem drewnianych ścianach. W jednym rogu stało coś, co prawdopodobnie miało wyobrażać świętego

Michała, a przed czym płonęła świeczka. Triumf Alieny zmałił fakt, że pięć funtów oznaczało niesamowitą pokusę dla takiego biedaka, jakim był ojciec Ralph.

Podłogę stanowiło klepisko z wyjątkiem jednej kamiennej płyty za ołtarzem. Była to widoczna kryjówka, ale oczywiście nikt nie pomyślałby nawet o grabieniu tak nędznego kościoła. Aliena uklękła i spróbowała popchnąć kamień. Nie poruszył się, był zbyt ciężki. Zaczęła się niepokoić. Richard nie może zostawić Ralpha samego. Mógłby uciec i wołać ludzi na pomoc, a wtedy musiałaby dowieść swego prawa do pieniędzy. No, byłoby to ostatnie ze zmartwień; przecież zaatakowała duchownego i włamała się do kościoła. Targnął nią dreszcz niepokoju, kiedy uświadomiła sobie, że przekroczyła prawo.

Strach dodał jej sił. Przesunęła kamień o cal czy dwa. Płyta przykrywała dziurę głęboką na stopę. Zdołała przesunąć kamień jeszcze odrobinę. W środku zobaczyła szeroki skórzany pas. Wsadziła rękę i wyjęła go.

– No – powiedziała na głos – mam pas. – Sprawilo jej to ogromną satysfakcję. Pokonała nieuczciwego księdza i odzyskała pieniądze ojca. Gdy już się wyprostowała, zauważyła, że pas jest podejrzanie lekki. Rozsupłała koniec i wysypała monety. Było ich tylko dziesięć. Dziesięć bezantów wartych jednego srebrnego funta.

Co się stało z resztą? Ojciec Ralph przepuścił! Znowu zaczęła ogarniać ją wściekłość. To były pieniądze jej ojca, jedyne, jakie miała, jedyne jej pieniądze, a złodziejski ksiądz zabrał z nich cztery piąte. Wymaszerowała z kościoła, wymachując pasem. Na ulicy jakiś przechodzień na jej widok odwrócił wzrok, jakby poruszony paskudnym wyrazem jej twarzy. Nie zwróciła na to uwagi, weszła wprost do domu księdza.

Richard stał nad Ralphem, miecz przytknął mu do gardła. Aliena wrzasnęła od progu:

– Gdzie jest reszta!?

– Wyszły – wyszeptał ksiądz.

Uklękła przy nim i przyłożyła mu do twarzy swój sztylet.

– Dokąd wyszły?

– Wydałem – wyznał głosem ochrypłym ze strachu.

Aliena pragnęła go przebić albo stłuc, albo może wrzucić do rzeki, jednakże nic by to nie dało. Mówił prawdę. Popatrzyła na przewróconą beczkę. Pijus mógł większość przepuścić na piwo. Czowała, że musi dać upust wściekłości z zawiedzionej nadziei.

– Utnę ci ucho i sprzedam za pensa! – zaryczała w stronę księdza.

Popatrzył na nią, jakby było mu to obojętne.

– On wydał te pieniądze. Bierzmy, co zostało, i chodźmy stąd – rzekł Richard z niepokojem.

Aliena uświadomiła sobie z niechęcią, że ma rację. Gniew jej powoli ulatywał, a jego miejsce zajmowało uczucie goryczy. Przez straszenie księdza nie można było nic więcej osiągnąć, a im dłużej pozostawali w jego mieszkaniu, tym bardziej prawdopodobne stawało się to, że ktoś przyjdzie i będą kłopoty. Wstała.

– Dobrze – powiedziała. Włożyła złote monety z powrotem do pasa, a pas zapięła na sobie, pod opończą. Wyciągnęła palec w stronę księdza. – Być może któregoś dnia wrócę tu i zabiję cię.

Wyszła.

Kroczyła wąską uliczką. Dogonił ją Richard.

– Jesteś cudowna, Allie! – oznajmił podekscytowany. – Przestraszyłaś go prawie na śmierć, a na dodatek masz te pieniądze!

Skinęła głową.

– Tak, zrobiłam to wszystko – odparła sucho. Napięcie nie opuszczało jej, ale furia przygasła i teraz czuła się wyczerpana i nieszcześliwa.

– Co kupimy? – pytał z zapalem.

– Po prostu trochę jedzenia na drogę.

– A nie moglibyśmy kupić koni?

– Za funta nie kupimy.

– No, ale jakieś buty dla ciebie chyba możemy?

Zaczęła to rozważać. Drewniaki torturowały stopy, a ziemia była za bardzo zamarznięta, by iść bosy. Lecz buty są drogie, a poza tym nie chciała tak szybko wydawać pieniędzy.

– Nie – postanowiła. – Przeżyję jeszcze kilka dni bez butów, teraz musimy oszczędzać.

Poczuł się rozczarowany, ale uznał jej racje.

– A co kupimy do jedzenia?

– Razowca, twardego sera i trochę wina.

– Kupmy trochę ciasta, co?

– Za drogie.

– Och! – Zamilkł. Potem rzekł: – Jesteś w strasznie złym humorze, wiesz?

– Wiem – westchnęła.

Dlaczego tak to odczuwam? – zastanawiała się. Powinam być z siebie dumna. Przyprowadziłam nas z zamku tutaj, obroniłam brata, odnalazłam ojca, wydobyłam pieniądze. No tak, i jeszcze wsadziłam nóż w brzuch tłustego banyty i kazałam bratu go dobić, trzymałam płonący patyk przy twarzy księdza, gotowa wypalić mu oczy.

– Czy to z powodu ojca? – spytał współczująco.

– Nie – odrzekła Aliena. – To z powodu mnie samej.

Żałowała, że nie kupili butów.

Na trakcie do Gloucesteru miała na nogach drewniaki, dopóki stopy nie zaczęły krwawić. Potem szła bosy, a jak nie mogła dłużej znieść zimna, znowu wkładała drewniaki.

W pagórkowatej okolicy znajdowało się wiele małych gospodarstw, w których kmiecie mniej więcej na akrze uprawiali owies lub żyto oraz trzymali kilka

chudych zwierząt. Aliena stanęła na skraju wsi, by porozmawiać z jakimś chłopem. Przyszło jej bowiem do głowy, że mogą być już niedaleko Huntleigh. Dostrzegła mężczyznę strzygącego owcę na ogrodzonym podwórku przed domem o ścianach zrobionych z plecionki obrzuconej gliną. Nożem o długim ostrzu ścinał runo owcy, której głowa tkwiła w drewnianym urządzeniu przypominającym dyby. Dwie inne owce czekały obok niespokojnie, a jedna, już ostrzyżona, pasła się na łące. Wydawała się naga.

– Jeszcze za wcześnie na strzyżę – zauważyła Aliena.

Kmieć spojrzał na nią i uśmiechnął się dobrodusznie. Był młodym rudowłosym piegusem. Podwinął rękawy, odsłaniając owłosione ramiona.

– No tak, wcześnie, aleja potrzebuję pieniędzy. Lepiej niech owca się przeziębi, niżeli ja miałbym głodować.

– Ile bierzesz?

– Pensa za jedną. Ale muszę z wełną iść do Gloucesteru, żeby tyle dostać, czyli stracić dzień pracy w polu, właśnie na wiosnę, a w polu tyle roboty. – Pomimo pomrukiwania był dosyć sympatyczny.

– Co to za wioska?

– Obcy nazywają ją Huntleigh – odrzekł. Kmiecie nigdy nie używali nazwy swej wioski, mówili po prostu wioska. Nazwy były dla obcych. – Kim jesteście? – spytał ze szczerą ciekawością. – Co cię tu przyniosło?

– Jestem siostrzenicą Simona z Huntleigh – odparła.

– Zapewne. Znajdziesz go w wielkim domu. Zawróć i przejdź kilka jardów, a potem skręć w ścieżkę pośród pól.

– Dziękuję ci.

Wioska rozciągnęła się między zaoranymi polami. Jakieś dwadzieścia chat skupiło się wokół dworku, niewiele większego od chaty bogatszego kmiecia. Ciotka Edith i wuj Simon, jak widać, nie cieszyli się szczególną zamożnością. Jakaś grupa mężczyzn stała z paroma końmi przed dworkiem. Jeden z nich zdawał się panem – nosił szkarłatny płaszcz. Aliena przyjrzała mu się dokładniej.

Upłynęło dwanaście lub trzynaście lat, kiedy widziała po raz ostatni wuja, lecz miała wrażenie, że to właśnie on. Przypominała go sobie jako wielkiego męża, a teraz wydawał się mniejszy, ale to niewątpliwie dlatego, że ona dorosła. Włosy mu się przerzedziły, miał też drugi podbródek, którego nie pamiętała. Potem usłyszała, jak mówi:

– To bydlę jest bardzo wysokie w kłębie. – I wtedy rozpoznała ten chrapliwy, nieco zadyszany głos.

Zaczynała się odprężyć. Od tej chwili powinni już mieć opiekę, wyżywienie i ochronę. Koniec z razowcem, twardym serem, spaniem w stodołach i marszem po traktach, z ręką na sztylcie. Będzie miękkie łóżko, nowa suknia, a na obiad pieczeń wołowa.

Wuj Simon pochwycił jej spojrzenie. Z początku nie rozpoznał.

– Popatrz, popatrz – zwrócił się do jednego ze swych ludzi. – Foremna dziewczuszka i żołnierzyk przyszli w gości do nas. – Potem przyjrzał się dokładnie i Aliena domyśliła się, że zauważył, iż nie są mu obcy. – Znam cię, prawda? – spytał.

– Tak, wuju Simonie, znasz.

– Na wszystkich świętych! To głos ducha! – podskoczył przestraszony.

Aliena nie zrozumiała tej uwagi, ale wyjaśnił ją po chwili. Podeszedł do niej, wpatrując się w nią twardo, jakby patrzył w zęby koniowi, wreszcie powiedział:

– Twoja matka miała ten sam głos, jak miód lejący się z dzbana. Jesteś też tak samo piękna jak ona, na Chrystusa! – Wyciągnął rękę, by jej dotknąć, ale szybko cofnęła się o krok. – Ale masz taki sam sztywny kark, jak twój cholerny ojciec. Przypuszczam, że to on was tutaj przysłał? Tak?

Aliena zjeżyła się. Nie spodobało jej się określenie „twój cholerny ojciec”. Lecz gdyby zaprotestowała, wykorzystalby to jako kolejny dowód na jej „sztywny kark”, więc ugryzła się w język i odpowiedziała pokornie:

– Tak. Powiedział, że ciotka Edith się nami zajmie.

– No cóż, mylił się. Ciotka Edith nie żyje. A co więcej, skoro twój ojciec

jest w niełasce, straciłem połowę mych ziem na rzecz tego tłustego hultaja Percy'ego Hamleigha. Mamy tu ciężkie czasy. Możecie więc zrobić w tył zwrot i wracać do Winchesteru. Nie wezmę was, nawet nie wpuszczę do środka.

Aliena poczuła się dotknięta. To brzmiało tak twardo.

– Ale jesteś naszym krewnym!

Pozostało mu choć tyle przyzwoitości, że wyglądał na lekko zawstydzonego.

– Nie jesteście moimi krewnymi. Byliście siostrzeńcami mojej pierwszej żony. Kiedy Edith jeszcze żyła, nie widywała się ze swoją siostrą przez tego nadętego osła, za którego wyszła twoja matka.

– Będziemy pracować – prosiła. – Oboje jesteśmy chętni...

– Nie trać słów – odrzekł. – Nie biorę was.

Aliena zatrzęsała się. Tak ich odprawić! Stało się jasne, że nie ma najmniejszego sensu spierać się, przekonywać go czy żebrać. Wycierpiała jednak tyle rozczarowań do tej pory, że teraz czuła bardziej gorycz niż smutek. Tydzień temu w takiej sytuacji rozplakałaby się. Teraz miała ochotę go opluć.

– Zapamiętam to – rzekła – i przypomnę ci, kiedy Richard będzie hrabią i odzyskamy zamek.

– Czy tego dożyję? – zaśmiał się.

Aliena pragnęła jak najszybciej opuścić to miejsce, by nie narażać się na dalsze upokorzenia.

– Chodźmy – powiedziała do Richarda. – Sami się sobą zajmujemy.

Simon zdążył się już odwrócić i znowu patrzył na konia, tego wysokiego w kłębie. Ludzie stojący obok niego byli trochę zażenowani. Rodzeństwo odeszło.

Kiedy znaleźli się poza zasięgiem głosu, Richard żałośnie zapytał:

– Co my teraz zrobimy, Allie?

– Musimy pokazać tym ludziom bez serca, że jesteśmy od nich lepsi – odrzekła ponuro, ale wcale nie czuła się tak dzielna, po prostu serce miała wypeł-

nione nienawiścią do wuja Simona, do ojca Ralpa, do dozorczy Odon, do banitów, a najbardziej do Williama Hamleigha.

– Dobrze, że przynajmniej mamy trochę pieniędzy – stwierdził Richard.

Fakt. Lecz tych pieniędzy niebawem zabraknie.

– Nie możemy ich wydawać – powiedziała, kiedy szli ścieżką wiodącą z powrotem do głównego traktu. – Jeśli wykorzystamy je na żywność i takie rzeczy, to kiedyś się skończą i będziemy znowu nędzarzami. Musimy coś z nimi zrobić. Nie mamy pozycji, tytułu ani ziemi – wyjaśniła cierpliwie. – Król nam nie pomoże. Nie uda nam się nająć do pracy. Wiesz przecież, że próbowaliśmy w Winchesterze, a nikt nas nie chciał. Ale musimy jakoś zarobić na życie i na to, byś mógł zostać rycerzem.

– Aha, rozumiem.

Wiedziała, że nie wszystko pojmuje.

– Musimy znaleźć zajęcie, które nas wykarmi i da nam przynajmniej szansę zdobycia trochę pieniędzy na dobrego konia dla ciebie.

– Czy masz na myśli to, że powinienem zostać terminatorem u jakiegoś rzeźmieślnika?

Aliena potrząsnęła głową.

– Masz zostać rycerzem, a nie cieślą. Czy nie spotkaliśmy już kogoś, kto miał niezależne źródło dochodu, choć niczego się nie uczył?

– Tak – niespodziewanie trafnie odrzekł Richard. – Meg z Winchesteru.

Miał rację. Meg handlowała wełną, chociaż nigdy nie terminowała.

– Ale Meg ma kram.

Minęli rudowłosego kmiecia, który im wskazał drogę do wuja. Cztery owce, już ostrzyżone, pasły się na polu, a on upychał strzyże w tobołki, zawiązując je powrósem. Oderwał wzrok od swego zajęcia i pomachał im ręką. Należał do tych, którzy brali swą wełnę do miasta i wystawiali na sprzedaż kupcom... Kupiec zaś musi mieć jakieś miejsce...

Naprawdę?

Zawróciła raptownie.

– Gdzie idziesz? – zapytał Richard.

Za bardzo się podnieciła, by odpowiadać. Przechyliła się przez płot obejścia i zawołała do kmięcia:

– Ile, mówiłeś, mógłbyś dostać za swoją wełnę?

– Pensa za strzyże z jednej owcy.

– Ale stracisz cały dzień na drogę do Gloucesteru i z powrotem.

– W tym sęk.

– Przypuśćmy, że ja od ciebie kupię tę wełnę? Zyskasz na czasie.

– Allie, przecież nie potrzeba nam wełny! – wtrącił Richard.

– Zamknij się, braciszku. – Nie chciała tłumaczyć swego pomysłu teraz, niecierpliwiła się, by wypróbować go na kmięciu.

– To byłoby bardzo miłe – rzekł chłop. Patrzył jednak powątpiewająco, jakby węsząc jakąś sztuczkę.

– No, ale nie mogę ci zaoferować całego pensa za jedną.

– Aha, wiedziałem, że będzie jakiś haczyk.

– Mogę dać dwupensówkę za cztery strzyże.

– Ale one są warte po pensie! – sprzeciwił się.

– W Gloucesterze. Tutaj jest Huntleigh.

– Lepiej mieć cztery pensy i stracić dzień w polu, niż dostać dwa pensy i dzień zarobić – potrząsnął głową.

– Przypuśćmy, że dałabym ci trzy pensy za cztery strzyże.

– Tracę pensa.

– Oszczędzasz dzień.

– Nigdy o czymś takim nie słyszałem. – Wyglądał na zdezorientowanego.

– To tak, jakbym była woźnicą, a ty zapłaciłbyś mi pensa za dowiezenie twej wełny na targ w Gloucesterze. – Jego powolność doprowadzała ją do szału. – Chodzi o to, czy jeden dzień dodatkowy na pracę w polu wart jest dla ciebie pensa, czy nie?

– To zależy, co tego dnia będę robić. – Zamyślił się.

– Allie, a co my zrobimy z tymi czterema strzyżami? – spytał Richard.

– Sprzedamy je Meg – odparła niecierpliwie.

– Po pensie. W ten sposób zarobimy pensa.

– Nie, głuptasie. Kupimy wełnę od pięćdziesięciu kmieci i całość zabierzemy do Winchesteru. Nie rozumiesz? Możemy zarobić pięćdziesiąt pensów! Udam się nie tylko przeżyć, lecz także zbierać na dobrego konia!

Odwróciła się z powrotem do kmiecia. Jego dobroduszny uśmiech zniknął, drapał się w ryżą głowę. Alienie zrobiło się przykro, że wprawiała go w zakłopotanie, ale chciała, żeby przyjął jej ofertę. Jeśli tak, to uwierzy w możliwość zarobienia pieniędzy, które pozwolą im wypełnić przysięgę. Chłopi jednak są uparci. Miała wielką chęć złapać go za kołnierz i potrząsnąć. Zamiast tego sięgnęła po pieniądze. Złote bezanty wymienili na srebrne pensy u złotnika w Winchesterze, teraz więc wyjęła trzy srebrne, błyszczące monety pensowe i pokazała je kmieciowi.

– Oto są – rzekła. – Weź je albo nie.

Widok srebra pomógł w podjęciu decyzji.

– Przybite – powiedział i wziął monety.

Aliena uśmiechnęła się. Chyba znalazła rozwiązanie.

Tej nocy tobołek był jej poduszką. Zapach owiec przypominał dom Meg.

Kiedy się obudziła rankiem, odkryła, że nie jest w ciąży.

Wszystko zmierzało ku lepszemu.

Cztery tygodnie po Wielkanocy rodzeństwo wchodziło do Winchesteru, prowadząc starego konia, zaprzężonego do grubo ciosanego wozu, który był załadowany wielkim worem zawierającym dwieście czterdzieści strzyż, dokładnie tyle, ile powinien mieścić wór wełny, zgodnie z obowiązującymi w handlu miarami.

I tu po raz pierwszy zetknęli się z podatkami.

Poprzednio wchodzili do miasta, nie zwracając uwagi na to, co się dzieje wokół, teraz zaś dowiedzieli się, że bramy są wąskie i obsadzone strażą i celnikami. Myto wynosiło pensa za każdy załadowany wóz wjeżdżający do Winchesteru. Na szczęście, mieli jeszcze kilka pensów i mogli zapłacić, w przeciwnym wypadku musieliby zawrócić.

Większość strzyż kosztowała ich między połową a trzema ćwiartkami pensa za jedną. Za starego konia zapłacili siedemdziesiąt dwa pensy, a rozklekotany wóz znaleźli porzucony. Prawie wszystkie pozostałe pieniądze wydali na żywność. Dziś wieczorem jednak będą mieć funta srebrem, a oprócz tego konia i wóz.

Plan Alieny polegał na tym, by po dokonaniu transakcji ruszyć znowu w trasę, skupić kolejny worek runa, a potem następne, dopóki trwa sezon. Pod koniec lata chciała mieć pieniądze na silnego konia i nowy wóz.

Kiedy szła ulicami Winchesteru, nie opuszczało jej podniecenie. Po drodze myślała o tym, że wieczorem okaże się, iż potrafi zadbać o siebie i swego brata bez niczyjej pomocy. Ta myśl dawała jej poczucie dojrzałości i niezależności. A jednak potrafi zapanować nad swym losem. Nie dostała nic od króla, nie potrzebowała nic od krewnych i nie musiała mieć męża.

Wypatrywała, czy nie ujrzy Meg, która była dla niej wzorem. Meg, jedna z tych niewielu osób, które pomogły jej, nie próbując ograbić, zgwałcić czy wykorzystać. Chciała jej zadać wiele pytań w sprawie handlu wełną i w ogóle prowadzenia interesów.

Akurat był dzień targowy, zanim więc dotarli na miejsce, minęło sporo czasu. Aliena weszła do izby. Zobaczyła kobietę, której nigdy przedtem nie widziała.

– Och! – krzyknęła i stanęła jak wryta.

– O co chodzi?

– Jestem przyjaciółką Meg.

– Ona już tutaj nie mieszka – krótko odparła kobieta.

– O mój Boże! – Aliena nie rozumiała, dlaczego ta kobieta jest taka oschła.

– Gdzie się udała Meg?

– Wyjechała z mężem, który opuścił miasto w niesławie.

Rozczarowała ją ta wiadomość i poczuła lęk. Liczyła na Meg, na to, że ona ułatwi sprzedaż wełny.

– To straszne!

– On okazał się nieuczciwym kupcem, a gdybym była tobą, to nie rozgłaszałabym swej przyjaźni z Meg. A teraz wynoś się.

Alienę oburzyły te słowa.

– Nie obchodzi mnie, co narobił jej mąż. Meg to wspaniała kobieta, o wiele lepsza od złodziei i ladacznic zamieszkujących to śmierdzące miasto. – Wyszła, zanim kobieta pomyślała, co odrzec.

Poczucie zwycięstwa dało jej tylko chwilową pociechę.

– Złe wieści – zwróciła się do Richarda. – Meg wyjechała z Winchesteru.

– Czy ci, co tam teraz mieszkają, też skupują wełnę?

– Nie pytałam o to. Za bardzo byłam zajęta wymyślaniem kobiecie, z którą rozmawiałam. – Zrobiło jej się głupio.

– Co pocniemy, Allie?

– Musimy sprzedać ten worek – rzekła z niepokojem. – Lepiej chodźmy na targ.

Zawrócili i doszli do High Street, potem przepychali się przez tłum w kierunku targu, mieszczącego się w pobliżu katedry. Aliena prowadziła konia, a Richard szedł za wozem, popychając, kiedy było trzeba, czyli niemal cały czas. Plac targowy wypełniała ciżba tłocząca się w wąskich uliczkach między kramami, a ruch co chwila tamowały wozy podobne do ich wozu. Zatrzymała się i weszła na worek, by rozejrzeć się za jakimś kupcem. Zobaczyła tylko jednego. Zeszła i ruszyli zaprzęgiem w jego kierunku.

Ten człowiek robił doskonały interes. Miał rozległy plac otoczony ogrodze-

niem ze sznurów, a na zapleczu tego terenu stała buda zrobiona z plecionek, czyli posplatanych gałązek i trzcin, umieszczonych w ramach z lekkiego drewna. Widocznie ustawiano ją wyłącznie w dzień targowy. Smagły kupiec miał tylko jedną rękę, lewa kończyła się na łokciu. Do kikuta przymocował gręplę. Za każdym razem, gdy oferowano mu strzyże, wsadzał ramię do środka, gręplą wyciągał kłak runa, prawą ręką obmacywał, a potem podawał cenę. Wtedy, po dobiciu targu, używał i grępli, i prawej ręki naraz, by odliczyć pensy, które zgodził się zapłacić. Przy większych transakcjach odważał pieniądze na wadze.

Aliena przepchnęła się przez tłum do drewnianej lady. Jakiś kmieć zaoferował kupcowi trzy raczej mizerne strzyże związane skórzanym trokiem.

– Trochę rzadkie – rzekł kupiec. – Po trzy farthingi. – Farthing to ćwierć pensa. Kupiec odliczył dwa pensy, potem szybkim ruchem wziął toporek i z wprawą pociął trzeciego na ćwiartki. Dał kmeციowi dwa pensy i jedną ćwiartkę. – Trzy razy po trzy farthingi daje dwa pensy i farthinga. – Kmieć zdjął trok i podał runo kupcowi.

Następni byli dwaj młodzieńcy, którzy przydźwigali pełen worek i położyli go na kontuarze. Kupiec starannie się przyjrzał.

– To pełny worek, ale jakość kiepska. Dam wam funta.

Aliena zastanowiła się, jak on mógł mieć pewność, że worek jest pełny. Może to przychodzi w czasie praktyki. Przyglądała się, jak odważa funt srebrnych pensów.

Zbliżało się kilku mnichów z wielkim wozem wysoko załadowanym workami wełny. Aliena postanowiła załatwić swój interes przed nimi. Wróciła do Richarda, a on zdjął worek z wozu i przeniósł na ladę.

Kupiec zbadał jego zawartość.

– Jakość mieszana. Pół funta.

– Co? – z niedowierzaniem spytała Aliena.

– Sto dwadzieścia pensów.

Przeraziło ją to.

– Ale właśnie zapłaciłeś funta za worek!

– To z powodu jakości.

– Tyle dałeś za kiepską jakość!

– Pół funta – powtórzył z uporem.

Nadeszli mnisi i zrobiło się tłoczno przy kramie, ale Alienie ani się śniło ruszać; stawką było jej przeżycie i bardziej obawiała się nędzy niż kupca.

– Powiedz dlaczego? – upierała się. – Tu nie chodzi o wełnę, prawda?

– Tak.

– No to zapłać mi tyle, ile dałeś tym młodzieńcom.

– Nie.

– Dlaczego? – niemal krzyczała.

– Bo nikt nie płaci dziewczynie tyle, ile płaci mężczyźnie. Chętnie by go udusiła. Dawał jej mniej, niż ona płaciła chłopom. Oburzające! Jeśli zgodzi się na tę cenę, cała praca pójdzie na marne. Co gorsza, nie powiedzie się plan zarobienia na życie i wyprowadzenia Richarda na rycerza, a krótki okres niezależności i samowystarczalności skończy się nieodwołalnie. A dlaczego? Bo on nie zapłaci dziewczynie tyle, ile płaci mężczyźnie!

Starszy mnich popatrzył na nią. Nienawidziła, kiedy ludzie się jej przyglądali.

– Nie gap się! – wrzasnęła grubiańsko. – Ubijaj swoje z tym bezbożnym człowiekiem.

– Dobrze – odrzekł łagodnie mnich. Wrócił do braci i wytaszczyli worek.

– Allie, weź te dziesięć szylingów. Inaczej zostaniemy z workiem wełny – zaniepokoił się Richard.

Aliena patrzyła gniewnie na kupca, który badał wełnę przyniesioną przez mnichów.

– Jakość mieszana – orzekł. Aliena zastanawiała się, czy jemu kiedykolwiek zdarzyło się powiedzieć „dobra”. – Funt i dwanaście pensów za worek.

Dlaczego Meg musiała wyjechać? – pomyślała gorzko Aliena. Gdyby zo-

stała, wszystko potoczyłoby się dobrze.

– Ile macie worków? – spytał kupiec.

Młody mnich w sukniach nowicjusza odpowiedział:

– Dziesięć. – Starszy jednak poprawił go:

– Nie, jedenaście.

Nowicjusz wyglądał, jakby miał ochotę się sprzeczać, ale nie odezwał się.

– To znaczy jedenaście i pół funta srebrem i dwanaście pensów. – Kupiec zaczął odliczać pieniądze.

– Nie poddam się – powiedziała Aliena do Richarda. – Zabierzemy wełnę gdzie indziej, może do Shiring albo Gloucesteru.

– To kawał drogi! A jeśli tam będzie tak samo?

Miał rację. Wszędzie mogli natknąć się na takie same kłopoty. Prawdziwą trudnością było to, że nie mieli jasnego statusu, poparcia i ochrony. Kupiec nie ośmielał się obrażać mnichów, a nawet najbiedniejsi chłopcy mogli mu prawdopodobnie zaszkodzić, gdyby postępował w stosunku do nich niezgodnie z zasadami. Ale kiedy oszukuje dwoje dzieci niemających nikogo, kto by się za nimi ujął, może być pewny bezkarności.

Mnisi zanieśli swe worki do budy kupca, a on odważył pieniądze. Gdy wszystkie worki ułożono, kupiec rzekł:

– Było tylko dziesięć.

– Mówiłem, że dziesięć – powiedział nowicjusz.

– Ten jest jedenasty – mnich położył rękę na worku Alieny.

Spojrzała na niego zdziwiona.

Tak samo zdziwiony był kupiec.

– Dawałem jej pół funta.

– Ja kupiłem ten worek od niej – oświadczył mnich. – I sprzedałem tobie. – Skinął na konfratrów, a oni zanieśli jej worek do budy.

Kupiec zdawał się zdezorientowany, ale podał pieniądze za jedenasty worek. Mnich wręczył je Alienie.

Oślupiała. Wszystko już miało się zawalić, a tutaj zupełnie nieznaną mężczyzną ją ratuje, i to po tym, jak go grubiańsko zwymyślała!

– Dziękujemy ci za pomoc, ojcze – rzekł Richard.

– Skieruj podziękowanie do Boga – odrzekł mnich.

Aliena nie wiedziała, co powiedzieć. Drżała. Przyciskała sakiewkę do piersi. Jakże mu dziękować? Patrzyła na swego zbawcę. Niski, szczupły mężczyzna o przenikliwym spojrzeniu. Miał szybkie ruchy i wyglądał raźnie, podobny do małego ptaka o brudnym upierzeniu, ale jasnych oczach. Teraz w jego wzroku krył się jakiś smutek. Włosy wokół tonsury były szpakowate, ale twarz miał młodą. Alienie wydał się znajomy. Gdzież mogła go widzieć?

Myśli mnicha musiały biec tą samą drogą.

– Nie pamiętasz mnie, ale ja was znam. Jesteście dziećmi Bartholomew, poprzedniego hrabiego Shiring. Wiem, że spadło na was wielkie nieszczęście, i jestem rad, że miałem okazję się przydać. Zawsze kupię waszą wełnę.

Aliena chciała go wycalować. Nie tylko ją uratował dzisiaj, ale jeszcze przygotował jej zabezpieczenie na przyszłość! Wreszcie język jej się rozplątał.

– Nie wiem, jak ci dziękować, ojcze. Bóg świadkiem, jak bardzo potrzebujemy opiekuna.

– No to teraz macie dwu: Boga i mnie.

Aliena była głęboko wzruszona.

– Uratowałeś mi życie, ojcze, a ja nawet nie wiem, kim jesteś.

– Nazywam się Philip. Jestem przeorem Kingsbridge.

Rozdział 7

I

To był wielki dzień, gdy Tom Budowniczy powiódł swych ludzi do kamieniołomu.

Wyruszyli kilka dni przed Wielkanocą, w piętnaście miesięcy po pożarze katedry. Tyle zajęło przeorowi Philipowi zgromadzenie gotówki, by móc przyjąć rzemieślników do pracy.

Tom znalazł znawcę drewna i mistrza kamieniarza w Salisbury, gdzie już prawie ukończono zamek biskupa Rogera. Drzewiarz i jego ludzie pracowali od dwóch tygodni, wyszukując i szacując pnie wysokich sosen i dojrzałych dębów. Wysiłki skupili na drzewach rosnących blisko rzek, szczególnie zaś górnego biegu rzeki powyżej Kingsbridge. Transport bowiem kosztował wiele, gdy odbywał się po smaganych wiatrem błotnistych drogach. Można było sporo zaoszczędzić na zwykłym spławianiu do placu budowy. Tam bale przeznaczone na rusztowania ociosywano z grubsza, uważnie przycinano te na wzorce dla muraży i snycerzy, a najwyższe drzewa układano, by później obrobić na krokwie. Dobry budulec napływał teraz do Kingsbridge równomiernie, a Tom co sobota wypłacał ludziom ich ciężko zarobione pensy.

Kamieniarze przybyli w ciągu ostatnich dni. Ich mistrz, Otto zwany Czarnogębym, przyprowadził ze sobą dwu synów – obaj dokładnie cięli kamień – czterech wnuków, z których każdy pracował jako terminator, oraz dwu robotników; jeden był jego kuzynem, a drugi szwagrem. Takie kumoterstwo stanowiło zwyczaj, a Tom nie miał nic przeciw temu.

W Kingsbridge na placu budowy rzemieślnicy jeszcze nie pracowali. Okazało się jednak, że zrobienie zapasów z materiałów rozbiórkowych było dobrym pomysłem. Wkrótce Tom przyjmie murarzy. To oni będą kłaść kamień na kamieniu, by rosły ściany.

Wtedy rozpocznie się wielkie dzieło. Tom chodził sprężystym krokiem, gdyż o tym marzył przez ostatnie dziesięć lat.

Pierwszym murarzem, którego przyjmie do pracy przy budowie katedry, będzie jego syn, Alfred. Tak postanowił. Alfred miał prawie szesnaście lat i nauczył się już podstaw murarki – umiał równo ciąć kamień, zachowywać kąty proste i stawiać wypionowane ściany. Skoro tylko zacznie się przyjmowanie do pracy, Alfred będzie otrzymywał pensję.

Drugi syn Toma, Jonathan, miał już ponad piętnaście miesięcy i rósł szybko. Krzepkie dziecko było rozpieszczonym ulubieńcem całego klasztoru. Tom początkowo obawiał się o chłopca, którym opiekował się półgłówek Johnny. Ten jednak okazał się troskliwym opiekunem i poświęcał dziecku więcej czasu niż większość matek. Mnisi nie podejrzewali nawet, że Tom jest jego ojcem, i najprawdopodobniej nigdy na to nie wpadną.

Siedmioletnia Martha miała szparę między przednimi zębami i tęskniła za Jackiem. To o nią najwięcej się martwił, bo najbardziej potrzebowała matki.

Kobiet chcących poślubić Toma i zająć się jego córką nie brakowało. Nie był przecież nieatrakcyjny, wiedział o tym, i miał zabezpieczenie życiowe, skoro przeor Philip zaczynał poważne przedsięwzięcie budowlane. Tom przeprowadził się z domu gościnnego. Zbudował sobie we wsi piękny dwuizbowy budynek z kominkiem. W końcu jako mistrz budowniczy i szef wielkiej budowy

mógł spodziewać się zapłaty, która mogłaby być przedmiotem zazdrości wielu spośród drobnej szlachty. Nie potrafił jednak nakłonić się do tego, by poślubić kogokolwiek poza Ellen. Przypominał człowieka, który przywykł do najlepszego wina. We wsi mieszkała pewna wdowa, pulchna, ładna kobieta o uśmiechniętej twarzy, bujnym łonie. Miała dwójkę dobrze podchowanych dzieci, upiekała dla niego kilka ciast, a na Boże Narodzenie długo go całowała. Poślubiłaby go natychmiast, gdyby zechciał. Tom jednak zdawał sobie sprawę, że byłby z nią nieszczęśliwy, dlatego że wciąż zastanawiałby się nad podniecającym uczuciem małżeństwa z nieprzewidywalną, rozwścieczającą, wiedźmowatą i namiętną Ellen.

Ellen obiecała, że któregoś dnia przyjdzie w odwiedziny. Tom miał głębokie przekonanie, że tej obietnicy Ellen dotrzyma, wierzył w to uparcie, mimo że minął ponad rok od jej odejścia. A kiedy już przyjdzie, on poprosi ją o rękę.

Myślał, że teraz może go przyjmie. Już nie był nędzarzem: mógł wykarmić swoją i jej rodzinę. Czuł, że potrafiłby zapobiec walkom między Alfredem i Jackiem, musiał tylko trzymać ich krótko. Jeśli Jack poszedłby do pracy, Alfred nie odnosiłby się do niego tak podle, uważał Tom. Młodzik wykazywał zainteresowanie budownictwem, był bystry i dokładny, a za rok urośnie dosyć, by brać się do ciężkiej pracy. Wówczas Alfred nie będzie mógł już powiedzieć, że Jack się obija. Innym problemem było to, że Jack umiał czytać, a Alfred nie. Tom chciał prosić Ellen, by nauczyła Alfreda czytać i pisać. Mogłaby mieć z nim lekcje w niedzielę. Chłopcy powinni być równi, obaj wykształceni, obaj pracujący, a niedługo podobnego wzrostu.

Wiedział, że Ellen lubiła życie z nim pomimo wszystkich ciężkich prób, na jakie było ono wystawione. Podobało się jej. Lubiła jego ciało i jego rozum. Na pewno zechce do niego wrócić.

To, czy uda mu się ułożyć sprawy z przeorem Philipem, to inny problem. Ellen dotkliwie obraziła uczucia religijne przeora. Trudno było sobie wyobrazić coś równie obraźliwego. Tom nie mógł znaleźć rozwiązania tej kwestii.

Jego energia intelektualna znajdowała ujście w projektowaniu katedry. Otto ze swoją grupą kamieniarską urządzą sobie tymczasowe schronienie w kamieniołomie, gdzie będą nocować. Kiedy już osiądą, postawią prawdziwe domy, a żonaci sprowadzą rodziny.

W sztuce budowniczej kamieniarstwo wymagało najmniej przemyślności, a najwięcej siły mięśni. Robotę umysłową wykonywał mistrz kamieniarski: wskazywał rejon wydobycia i kolejność robót, ustawiał drabiny i urządzenia podnośnicze, jeśli zaś ściana była gładka, to on projektował rusztowania, to on wreszcie zapewniał stały dopływ narzędzi z kuźni. Samo dobywanie kamienia stanowiło najmniejszą trudność. Kamieniarz używał żelaznego kilofa, by zaznaczyć pierwszy zarys na skale, potem pogłębiano tę rysę młotem i dłutem. Kiedy bruzda miała wystarczającą głębokość, by osłabić łączność ze skałą macierzystą, kamieniarz wbijał drewniane kliny. Jeśli dobrze ocenił skałę, to wycinał łatwo, co tylko chciał.

Robotnicy będą wynosili kamienie z kamieniołomu, czy to na nosidłach, czy to za pomocą liny na kole. Snycerze obrobią kamienie z grubsza w pożądane kształty, wskazane przez mistrza budowniczego. Dokładne rzeźbienie i cyzelowanie rozpocznie się oczywiście na miejscu w Kingsbridge.

Największym problemem będzie transport. Kamieniołom mieścił się o dzień drogi od Kingsbridge, a przewoźnik pewnie zażąda czterech pensów za jeden przewóz. I tak nie weźmie więcej niż z osiem, dziesięć większych kamieni. Przecież mógł nie tylko połamać wóz, ale i zamęczyć konia na śmierć. Kiedy tylko kamieniarze się urządzą, Tom będzie musiał przepatrzeć teren w poszukiwaniu jakiejś drogi wodnej, pozwalającej na skrócenie przejazdu.

Wyruszyli z Kingsbridge o świcie. Kiedy szli lasem, widok drzew łukowato wyginających się nad Tomem pobudzał go do myślenia o filarach katedry. Właśnie zaczynały się pokazywać młode listki. Zawsze go uczono, by zdobić podstawy kapiteli kolumn wolutami lub zygzakami, ale teraz zaczęło mu się wydawać, że wzór liściasty mógłby robić większe wrażenie.

Mieli niezłe tempo, więc około południa znaleźli się w okolicach kamieniołomu. Ku swemu zaskoczeniu Tom usłyszał wyraźnie dźwięk metalu uderzającego w skałę, jakby ktoś tam pracował. Praktycznie rzecz biorąc, kamieniołom należał do Percy'ego Hamleigha, hrabiego Shiring, ale król dał klasztorowi prawo dobywania z kamieniołomu bloków potrzebnych do budowy katedry. Być może, pomyślał, Percy ma zamiar wydobywać kamień na sprzedaż w tym samym czasie, kiedy klasztor potrzebuje kamienia na budowę. Król wyraźnie nie zakazał tego, więc mogło wystąpić wiele nieporozumień.

Kiedy podeszli jeszcze bliżej, Otto, mężczyzna o smągłej cerze i prymitywnych manierach, na dźwięk dobiegający z kamieniołomu zmarszczył się, ale nic nie powiedział. Pozostali pomrukiwali między sobą niespokojnie. Tom zignorował ich, ale przyśpieszył, myśląc o tym, co też może napotkać.

Trakt zakręcał wokół zagajnika i kończył się u stóp wzgórza. Ono właśnie stanowiło kamieniołom. Poprzedni kamieniarze uszczknęli spory kęs tego wzgórza. Już na pierwszy rzut oka Tom stwierdził, że dobywanie kamienia powinno być stosunkowo proste. Wzgórze jest łatwiejsze do obróbki niż praca w kopalni odkrywkowej czy sztolni, bo zawsze łatwiej jest opuszczać kamień, niż go wyciągać w górę.

W kamieniołomie trwały prace, co do tego nie było wątpliwości. U podnóża postawiono tymczasowe schronisko, a zarazem warsztat. Mocne rusztowanie miało ze dwadzieścia stóp, a stos kamieni czekał na zebranie. Tom doliczył się dziesięciu kamieniarzy. Dojrzał także paru zbrojnych mężczyzn o groźnych minach, którzy siedzieli rozwaleni i zabawiali się ciskaniem kamieni w beczkę.

– Nie podoba mi się ten widok – rzekł Otto.

Tomowi też się nie podobał, ale udawał obojętność. Pomaszerował do kamieniołomu, jakby był jego właścicielem, zbacząc ku strażnikom. Poderwali się na nogi z wyrazem zaskoczenia i poczucia winy. Szybko zlustrował ich uzbrojenie; każdy miał miecz i sztylet, nosili ciężkie skórzane kaftany, ale byli bez zbroi. Tom miał przy sobie kamieniarski młotek, który zwisał mu u pasa.

Nie było żadnych szans na podjęcie walki.

Szedł bez słowa prosto na dwu wartowników, w ostatniej chwili skręcił i ominął ich, idąc dalej, ku warsztatowi. Zbrojni mężczyźni popatrzyli po sobie, niepewni, co mają czynić. Gdyby Tom był niższy albo nie miał młotka, może prędzej spróbowaliby zastąpić mu drogę, ale teraz było już za późno.

Tom wszedł do warsztatu. Stanowiła go przestronna szopa z drewna, pośrodku mieściło się palenisko. Czyste narzędzia wisiały na ścianach dokoła, a w kącie stał wielki kamień do ich ostrzenia. Dwu snycerzy stało przy blacie masywnej, drewnianej ławy. Przycinali kamienie toporkami.

– Pozdrowienie, bracia – rzekł Tom, używając formuły grzecznościowej popularnej wśród rzemieślniczej braci. – Kto jest szefem kamieniołomu?

– Ja nim jestem – rzekł jeden z nich. – Harold z Shiring.

– Ja jestem mistrzem budowniczym katedry Kingsbridge. Nazywam się Tom.

– Pozdrowienie, Tomie Budowniczy. Po co tu przyszedłeś?

Tom przez chwilę badał Harolda wzrokiem, zanim odpowiedział. Błady, pokryty pyłem człowiek o małych zapyłonych zielonych oczach, które wciąż przymykał, aby ochronić je przed wszechobecnym kamiennym pyłem, ostrożnie oparł się o ławę. Nie był wcale tak spokojny, jak udawał. Przeciwnie: był zdenerwowany, niepewny i czujnie się wszystkiemu przyglądał. Tom zdał sobie sprawę, że kamieniarz doskonale wie, dlaczego on się tutaj zjawiał.

– Przywiodłem swego mistrza kamieniarskiego, żeby tu pracował, oczywiście.

Za Tomem podążyli strażnicy, weszli do warsztatu, a za nimi Otto i reszta jego grupy. Teraz także jeden czy dwu ludzi Harolda wtoczyło się do środka.

– Kamieniołom należy do hrabiego – rzekł Harold. – Jeśli chcecie kamienia, to musicie rozmawiać z nim.

– Nie, nie muszę. Kiedy król dawał Hamleighom prawo do kamieniołomu, dał także prawo do kamienia klasztorowi Kingsbridge. Nie potrzebujemy żad-

nych zezwoleń.

– No, ale przecież razem nie damy rady pracować.

– Może byśmy i mogli. Nie chciałbym pozbawiać twoich ludzi zatrudnienia. Mamy całe wzgórze skały, dosyć na dwie katedry, albo i więcej. Powinniśmy znaleźć sposób, by zagospodarować kamieniołom tak, żebyśmy wszyscy mogli ciąć tutaj kamień.

– Nie mogę się na to zgodzić – rzekł Harold. – Przyjął mnie lord Percy i przed nim odpowiadam.

– Jestem zatrudniony przez przeora Kingsbridge, a moi ludzie zaczynają robotę jutro rano, czy to ci się podoba, czy nie.

– Nie będziecie pracować tutaj ani jutro, ani żadnego innego dnia – odezwał się strażnik.

Do tej pory Tom uważał, że aczkolwiek Percy nadużył ducha umowy i królewskiego postanowienia, to popchnięty we właściwym kierunku podporządkuje się umowie i pozwoli klasztorowi brać potrzebny kamień. Ten wartownik został jednak najwidoczniej poinstruowany, by zawrócić klasztornych kamieniarzy i wyprawić jak najdalej. To stawiało sprawę w odmiennym świetle. Uświadomił sobie, a serce ścisnęło mu się na tę myśl, że nawet jednego kamyczka nie weźmie stąd bez walki.

Niski, krępy dwudziestopięciolatek o wojowniczym wyglądem, który przemówił jako zbrojne ramię hrabiego, miał głupawy wyraz twarzy, lecz pełen uporczywości. Stanowił najgorszy rodzaj partnera do sporów. Tom rzucił mu wyzywające spojrzenie i spytał:

– Kim jesteś?

– Jestem zarządcą hrabiego Shiring. Kazał mi pilnować kamieniołomu, więc pilnuję.

– A jak to czynisz?

– Tym mieczem. – Dotknął ręką broni.

– A jak myślisz, co król ci zrobi, kiedy zostaniesz postawiony przed nim,

oskarżony o złamanie królewskiego postanowienia?

– Spróbuję szczęścia.

– Ale jest was tylko dwu. Nas jest siedmiu mężczyzn i czterech chłopców, a poza tym mamy królewską zgodę na pracę tutaj. Jeśli cię zabijemy, nie zawiśniemy.

Obaj strażnicy zamyślili się, lecz zanim Tom mógł wykorzystać swą przewagę, odezwał się Otto.

– Chwileczkę – rzekł. – Przyprowadziłem moich pomocników, żeby cię kamienie, a nie ludzi.

Tomowi zamarło serce. Jeśli kamieniarze nie mieli ochoty na obronę swych praw, to nie było nadziei.

– Nie bądź taki skrupulatny, czyżbyś wolał utracić pracę ze względu na dwu chłopaków do pilnowania?

Otto zdawał się posepnieć coraz bardziej.

– Nie mam zamiaru bić się z uzbrojonymi mężczyznami – odpowiedział. – Przez dziesięć lat zarabiałem regularnie, więc nie mam noża na gardle, jeśli chodzi o pracę. Poza tym ja nie wiem, kto tutaj ma rację, a kto nie, dla mnie to tylko twoje słowo przeciw jego słowu.

Tom przyjrzał się ludziom Ottona. Snycerze mieli taki sam oporny wyraz twarzy jak Otto. Oczywiście pójdą za nim; był dla nich zarówno mistrzem, jak i ojcem. Tom rozumiał postępowanie Ottona. Prawdopodobnie, gdyby był na jego miejscu, postąpiłby podobnie. Staralby się uniknąć starcia z uzbrojonymi, chyba że jego sytuacja byłaby rozpaczliwa.

A jednak to, że Otto zachowuje się rozsądnie, wcale go nie pocieszyło, przeciwnie, potęgowało zawód. Postanowił spróbować raz jeszcze.

– Nie będzie żadnej walki. Oni wiedzą, że jeśli nas tylko zranią, król ich powiesi. Rozpalimy własny ogień i przygotujemy nocleg, a rano weźmiemy się do pracy.

Wspomnienie o nocy okazało się błędem. Jeden z synów Ottona powie-

dział:

– Jak moglibyśmy spać, mając niedaleko tych żądnych krwi łajdaków?

Pozostali zamruczeli na znak poparcia.

– Postawimy warty – rzekł Tom, czepiając się ostatniej deski ratunku.

Otto zdecydowanie potrząsnął głową.

– Idziemy stąd. I to już.

Tom rozejrzył się dookoła. Został pokonany. Wyruszając rano, żywił wspaniałe nadzieje, a teraz nie potrafił uwierzyć, że zostały one obrócone wniwecz przez tych nędznych zbirów. To wprost nie do opisania. Choć to już nie miało większego znaczenia, rzucił na pożegnanie:

– Stajecie przeciw królowi, a to niebezpieczne zajęcie. – Zwrócił się do Harolda: – Powiedz o tym hrabiemu Shiring. Powiedz mu też, że ja, Tom, mistrz budowniczy katedry w Kingsbridge, jeśli kiedykolwiek pochwycę w swe ręce jego tłustą szyję, to ścisnę tak, że go zatknie.

Johnny Osiem Pensów uszył dla Jonathana miniaturowy habit, z szerokimi rękawami i kapturem. Mała postać wyglądała w tym stroju tak ujmująco, że chwyciła za serce każdego, kto ją ujrzał. Strój ten jednak był niezbyt praktyczny: kaptur spadał na oczy, a kiedy chłopiec raczkował, habit plątał mu się między nogami.

Po południu, kiedy Jonathan był już po drzemce (a mnisi po swojej), przeor Philip podszedł do dziecka bawiącego się z Johnnym w miejscu, gdzie niegdyś stała nawa kościoła, a teraz biegali nowicjusze. Była to pora, kiedy nowicjusze mogli trochę odetchnąć, a Johnny Osiem Pensów przyglądał się im, jak bawią się w berka. Jonathan w tym czasie badał kołki i sznurki, którymi Tom Budowniczy zaznaczył na ziemi plan przyszłego kościoła, a właściwie jego wschodniej części.

Philip stał obok Johnny'ego przez kilka chwil w przyjaznym milczeniu,

przyglądając się ganiającym młodzikom. Był bardzo zadowolony z tego chłopca, którego Bóg wynagrodził nadzwyczajnie dobrym sercem.

Jonathan stanął na nóżkach, opierając się o drążek, znaczący miejsce północnego ganku. Złapał się sznurka wychodzącego od tego palika i, mając to niepewne oparcie, zrobił kilka niezgrabnych, powolnych kroków.

– Wkrótce zaczniesz chodzić.

– Stale próbuje, ojciec. Jednak zazwyczaj upada na tyłek.

Philip kucnął i wyciągnął ręce do Jonathanana.

– Chodź do mnie, no, chodź!

Jonathan skrzywił się, ukazując rzadkie ząbki. Zrobił następny krok, ciągle trzymając się sznurka. Potem wskazał rączką na Philipa, jakby takie celowanie mogło pomóc, i w nagłym przypiływie dzielności trzema szybkimi kroczkami przebył przestrzeń dzielącą go od przeora.

Philip złapał go w ramiona i powiedział:

– Doskonale! – Uściskał dziecko, czując taką dumę, jakby to było jego własne osiągnięcie.

– Szedł! Szedł! – cieszył się Johnny.

Jonathan zaczął się wyrywać. Philip postawił go na nóżkach, żeby sprawdzić, czy znowu będzie chodzić, ale mały miał już dość, natychmiast opadł na kolana i poraczkował do Johnny'ego.

Kilku mnichów było oburzonych, że Philip przywiódł do Kingsbridge Johnny'ego wraz z dzieckiem. Jeśli jednak pamiętano o tym, że Johnny jest dzieckiem w dorosłym ciele, można się było do niego przyzwyczaić. Jonathan natomiast podbił niezadowolonych swoim wdziękiem.

Podczas tego pierwszego roku malec nie stanowił jedynej przyczyny niepokoju przeora. Mnisi czuli się oszukani, ponieważ Philip zarządził umiar, nakazał żyć skromnie, by zmniejszyć codzienne wydatki. Uraziło go ich niezadowolenie, bo przecież wyraźnie powiedział, że na pierwszym miejscu będzie budowa nowej katedry. Urzędnicy klasztoru opierali się także przed odebraniem im

ich niezależności finansowej, chociaż doskonale wiedzieli, co się stanie z klasztorem, jeśli zabraknie dogłębnych reform. A kiedy Philip wydawał pieniądze klasztoru na powiększenie stad owiec, niemal się zbuntowali. Mnisi jednak w większości rekrutowali się z ludzi lubiących otrzymywać polecenia, a biskup Waleran, który mógłby dodać buntownikom odwagi, przebywał w Rzymie, więc szemrania przycichły.

Philip przeżył kilka przykrych chwil, ale nie osłabiło to jego wiary w to, że wyniki nakłonią wszystkich do zmiany zdania i w końcu docenią go. Jego reformy już zaczynały przynosić owoce. Cena wełny wciąż rosła, a Philip właśnie rozpoczął strzyżenia; dlatego stać go było na drzewiarzy i kamieniarzy. W miarę jak zacznie rosnać katedra, a sytuacja finansowa będzie się poprawiać, jego stanowisko stanie się nienaruszalne.

Poklepał łagodnie głowę Johnny'ego Osiem Pensów i poszedł na plac budowy. Z niewielką pomocą nowicjuszy tudzież klasztornych sług Tom i Alfred rozpoczęli kopanie fundamentów. Budowniczy powiedział Philipowi, że wykoppy pod fundamenty powinny w niektórych miejscach sięgać dwudziestu pięciu stóp w głąb, a miały teraz zaledwie pięć czy sześć stóp głębokości. Potrzebni są robotnicy i kilka urządzeń podnośniczych, żeby kopać tak głęboko.

Nowy kościół miał być większy niż stary, ale nadal, jak na katedrę, będzie nieduży. Jakaś częśćka Philipa chciałaby, aby ten kościół był największy: najdłuższy, najbogatszy i najpiękniejszy w królestwie, ale tłumił to marzenie i nakazywał sobie być wdzięcznym za jakikolwiek kościół.

Wszedł do szopy Toma i popatrzył na drewniane konstrukcje leżące na ławie. Budowniczy większość zimy spędził właśnie tutaj. Wykonywał wzorce – drewniane modele dla murarzy – według których będą przycinać kamień, nadając mu właściwe kształty. Philip przyglądał się wzorcom z podziwem, tak jak z podziwem przyglądał się Tomowi, wielkiemu mężczyźnie o ogromnych dłoniach, kiedy ten starannie wycinał drewno w piękne krzywizny i kąty, o czystej linii. Podniósł jeden ze wzorców i przyglądał mu się. Miał kształt stokrotki,

ćwierćluk z kilkoma wygiętymi kreskami, jakby płatkami. Jakież to kamień da się wyciąć w taki kształt? Philip uświadomił sobie, że wciąż trudno mu pojąć takie rzeczy i stale jest pod wrażeniem wyobraźni Toma. Przyglądał się rysunkom wydrapanym na gipsowej płytce w drewnianych ramkach i wreszcie uznał, że trzymany przez niego wzorec odpowiada filarowi arkady.

Tom powiedział, że za pięć lat wschodnia część zostanie ukończona. Pięć lat i znowu będzie mógł celebrować nabożeństwa w katedrze, musi tylko znajdować pieniądze. W tym roku trudno będzie wskrobać nawet na skromny początek, bo reformy, które wprowadzał, przynoszą efekty powoli. Następny rok, kiedy już sprzeda wiosenną wełnę, pozwoli mu na przyjęcie większej liczby rzemieślników i budowa nabierze rozpędu.

Dzwon wzywał na nieszpory. Philip wyszedł z małej szopy i skierował kroki ku krypcie. Rzuciwszy okiem na klasztorną bramę, zdziwił się widokiem Toma Budowniczego nadchodzącego ze wszystkimi kamieniarzami. Dlaczego wrócili?

Tom mówił, że pojawi się za tydzień, a kamieniarze mieli zostać tam, w kamieniołomie. Philip pośpieszył im na spotkanie.

Kiedy podszedł bliżej, zobaczył, że wszyscy wyglądają na zmęczonych i pozbawionych ducha, jakby zdarzyło się coś, co zupełnie odebrało im wiarę.

– Co się dzieje? Dlaczego jesteście tutaj?

– Złe wieści – powiedział Tom Budowniczy.

Philip nie mógł się skupić przez całe nieszpory. To, co hrabia Percy Hamleigh poważył się uczynić, było oburzające. W tej kwestii doskonale wiadomo, gdzie prawda, gdzie fałsz, w instrukcjach królewskich nie było żadnych dwuznaczności. Hrabia osobiście był obecny, kiedy król je ogłosił, a prawo klasztoru do wydobywania kamienia widniało na decyzji. Stopa Philipa wybijała szybki, gniewny rytm na kamiennej podłodze krypty. Został ograbiony. Równie do-

brze Percy mógł ukraść pensy z kościelnego skarbcza. Takiego postępowania nie można niczym usprawiedliwić. Percy jawnie sprzeciwiał się woli Boga i króla. Najgorsze zaś jest to, że Philip nie może zbudować katedry, jeśli nie dostanie kamienia właśnie z tego kamieniołomu. Już i tak działał, opierając się na niewielkich zasobach, a jeśli zostanie zmuszony do płacenia rynkowych cen za kamień i ponoszenia kosztów transportu z większych odległości, może się okazać, że w ogóle nic nie zbuduje. Musiałby czekać jeszcze rok lub więcej, a to znaczy, że odprawiać nabożeństwa w nowym kościele będzie mógł dopiero za sześć czy siedem lat. Ta myśl była nie do zniesienia.

Zwołał nadzwyczajne obrady kapituły natychmiast po niesporach i powiedział wszystkim mnichom o złej wiadomości.

Wypracował już metody prowadzenia zebrań kapituły. Remigius wciąż nie mógł się pogodzić z przegraną i często ujawniał swą niechęć do Philipa w trakcie dyskusji o interesach klasztoru. Ten konserwatywnie nastawiony, pozbawiony wyobraźni, pedantyczny człowiek zawsze przeciwstawiał się ideom przeora. Bracia, którzy popierali kandydaturę Remigiusa w wyborach, skłonni byli brać jego stronę także na posiedzeniach kapituły: Andrew apoplektyczny zakrystian; brat Pierre, odpowiedzialny za dyscyplinę i porządek w klasztorze, którego ciasne poglądy i nieprzejednana postawa zdawały się wynikać z funkcji, jaką pełnił; a wreszcie brat John Mały, leniwy skarbnik. Podobnie najbliżsi zwolennicy Philipa byli także tymi, którzy za niego i o niego walczyli: Cuthbert Białogłowy, stary klucznik, oraz Milius, który został kwestarzem. Zwykle Milius ścierał się z subprzeorem. W takim układzie Philip mógł podsumowywać zebranie jako bezstronny arbiter i, jakkolwiek Remigius rzadko się z nim zgadzał, niektóre jego argumenty zostawały przez Philipa uznawane w części, by uzyskać poczucie ogólnego porozumienia i zachować wrażenie zgodnego zarządzania.

To, czego dopuścił się Percy, rozżłościło mnichów. Wszyscy ucieszyli się, kiedy król Stefan zapewnił klasztorowi nieograniczoną ilość kamienia i drewna, a dzisiejszy postępek hrabiego oburzył ich ogromnie. Percy poważił się wystą-

pić przeciwko decyzji króla.

Kiedy protesty ucichły, Remigius jednak znalazł coś dla siebie.

– Pamiętam, że kiedy rok temu o tym mówiliśmy – zaczął – oceniłem umowę, na podstawie której kamieniołom jest własnością hrabiego, a my mamy jedynie prawo do kamienia, jako niesatysfakcjonującą. Powinniśmy mieć pełne prawa własności.

To, że miał trochę racji, nie ułatwiło Philipowi przełknięcia uwagi. Pełne prawo własności do kamieniołomu było właśnie tym, co uzgodnił z lady Regan, ale ona w ostatniej chwili go oszukała. Bardzo chciał powiedzieć, że wynegocjował układ najlepszy z możliwych i że chciałby zobaczyć, czy Remigius poradziłby sobie lepiej na zdradzieckim gruncie dworu królewskiego, ale ugryzł się w język, bo ostatecznie był przeorem i to on ponosił odpowiedzialność, kiedy sprawy zaczynały iść źle.

– To znakomity pomysł – pośpieszył Milius z pomocą – żeby król dał nam pełne prawa własności do kamieniołomu, ale król tego nie uczynił. Dlatego musimy się zastanowić nad tym, co robić.

– Uważam, że to oczywiste – odrzekł Remigius. – Sami nie możemy wyrzucić z kamieniołomu ludzi hrabiego, więc musimy udać się do króla i prosić go, by on to zrobił. Należy wysłać do króla deputację i prosić go, by zmusił hrabiego do wypełnienia zapisu.

Rozległ się pomruk zgody. Brat Andrew oświadczył:

– Powinniśmy posłać do króla naszych najmądrzejszych i najbardziej elokwentnych mówców.

Philip zauważył, że Remigius i Andrew widzą siebie na czele tej delegacji.

– Kiedy król usłyszy o tym, co zaszło – rzekł Remigius – nie sądzę, by Percy pozostał długo hrabią Shiring.

Przeor miał wątpliwości, czy król tak właśnie postąpi.

– Gdzie teraz przebywa król? – spytał Andrew, jakby mu to dopiero wpadło do głowy. – Czy ktoś może wie?

Philip ostatnio był w Winchesterze i słyszał trochę o podróżach króla.

– Wyjechał do Normandii.

– Dużo czasu zajmie, by go dogonić – rzekł szybko Milius.

– Czynienie sprawiedliwości zawsze zajmuje wiele czasu – zaintonował z zadęciem subprzeor Remigius.

– Jednakże każdy dzień poświęcony na szukanie sprawiedliwości oznacza kolejny dzień zwłoki przy budowie katedry – zareplikował kwestarz. Jego głos ujawniał irytację spowodowaną gotowością Remigiusa do wstrzymania programu budowy. Philip dzielił z nim to uczucie. – I nie jest to nasz jedyny problem. Kiedy już znajdziemy króla, trzeba będzie go jeszcze przekonać, by nas wysłuchał. To może zająć całe tygodnie. A jeśli zechce dać szansę obrony Percy'emu, to dalsza zwłoka...

– A jak może Percy się bronić? – spytał powątpiewająco subprzeor.

– Nie wiem – odrzekł Milius – ale jestem pewny, że w końcu król musi dotrzymać swego słowa.

– Nie powiedziałbym – dał się słyszeć nowy głos. Wszyscy się odwrócili, żeby zobaczyć, kto się odezwał. Najstarszy mnich w zgromadzeniu, brat Timothy, niski, skromny człowiek, który rzadko się odzywał, ale kiedy już mówił, słuchali wszyscy. Czasami Philip myślał, że to on powinien zostać przeorem. Zazwyczaj w czasie obrad kapituły siedział wpółdrzemiąc, ale teraz pochylił się do przodu, a oczy mu płonęły. – Król jest osobą niepewną – ciągnął. – Stale znajduje się pod wpływem różnych zagrożeń, obawia się buntu we własnych granicach i agresji ze strony innych monarchów. Potrzebuje sojuszników. Hrabia Percy stanowi niemałą siłę z mnóstwem rycerzy. Jeśli akurat w tym momencie król będzie potrzebował Percy'ego, spotkamy się z odmową, bez względu na to, że słuszność leży po naszej stronie. Król nie jest doskonały. Tylko jeden sędzia jest doskonały, Bóg. – Usiadł, z powrotem oparł się o ścianę i przymknął oczy, jakby nie interesowała go reakcja na jego przemowę.

Philip ukrył uśmiech: Timothy precyzyjnie sformułował obawy przeora

i wątpliwości w kwestii odwoływania się do sprawiedliwości do króla.

Remigius niechętnie odnosił się do odrzucenia perspektywy długiej, podniecającej podróży do Francji i pobytu na dworze królewskim, lecz jednocześnie nie mógł znaleźć niczego, co mógłby przeciwstawić logice brata Timothy'ego.

– Cóż więc innego możemy uczynić? – spytał.

Philipowi brakowało pewności. Szeryf w tej sprawie nie był zdolny do interwencji. Nie chciał jednak siedzieć z założonymi rękoma. Na biskupie też nie mógł polegać. Jeśli zostanie do tego zmuszony, to własnymi siłami odbije kamieniołom...

Tak, to jest pomysł!

– Chwileczkę – powiedział.

Trzeba wszystkich sprawnych na ciele braci... trzeba starannie zorganizować, jak wyprawę rycerską bez broni... potrzeba na dwa dni żywności...

– Nie wiem, czy to się uda, ale warto spróbować. Posłuchajcie.

I przedstawił im swój plan.

Wyruszyli, nie zwlekając: trzydziestu mnichów, dziesięciu nowicjuszy, Otto i jego kamieniarze, Tom Budowniczy z Alfredem, dwa konie i wóz. Kiedy zapadła ciemność, zapalili latarnie, by widzieć drogę. O północy zatrzymali się na odpoczynek i zjedli przygotowany smakowity posiłek: kurczaki, biały chleb i czerwone wino. Philip zawsze twierdził, że ciężka praca winna być wynagrodzona dobrym jedzeniem. Kiedy znowu pomaszerowali, śpiewali nabożeństwo, jakie odprawiali w klasztorze.

W pewnym miejscu, o najciemniejszej godzinie, prowadzący ich Tom Budowniczy podniósł rękę, dając znak, by się zatrzymali.

– Do kamieniołomu jeszcze tylko mila.

– Dobrze. – Philip odwrócił się ku mnichom. – Zdejmijcie drewniaki i san-

dały, włóżcie buty filcowe. – Sam także zdjął sandały i wsunął stopy w miękkie filcowe obuwie, jakiego chłopcy noszą zimą.

Wybrał dwu nowicjuszy.

– Edwardzie i Philemonie, zostaniecie tutaj z końmi i wozem. Bądźcie cicho, zaczekajcie, aż się całkiem rozwidni, a potem do nas dołączcie. Zrozumieście?

– Tak, ojczy – odpowiedzieli razem.

– W porządku, teraz reszta. Ruszajcie, proszę, za Tomem Budowniczym w całkowitej ciszy.

Podążyli dalej.

Wiał lekki zachodni wiatr, a szum drzew tłumiał odgłosy oddechów pięćdziesięciu mężczyzn i szuranie pięćdziesięciu par filcaków. Philip czuł wzrastające napięcie. Teraz jego własny plan wydawał mu się zupełnie szalony, właśnie teraz, kiedy już, już miał go wprowadzić w życie. Modlił się cichutko o powodzenie.

Droga zakręcała w lewo. Migotliwe światło latarni wydobyło z mroku drewnianą szopę, stos częściowo obrobionych kamiennych bloków, kilka drabin i rusztowanie na tle ciemnej ściany wzgórza, zniekształconej przez ludzi wycinających kamień. Philip z nagłą zastanowił się, czy śpiący w pracowni ludzie mają psy. Jeśli tak, to straci efekt zaskoczenia, a cały plan będzie wystawiony na ryzyko. Było jednak za późno, by zawrócić.

Cała gromada przemaszerowała obok szopy. Przeor wstrzymał oddech, spodziewając się w każdej chwili kakofonii psich głosów. Ale psów nie było.

Zatrzymał ludzi u stóp rusztowania. Przepelniała go duma, że są tak cisi. Tak trudno im przecież zachować milczenie nawet w kościele. Może za bardzo się bali, by hałasować.

Tom Budowniczy i Otto zaczęli po cichu rozmieszczać kamieniarzy wokół placu. Podzielili ich na dwie grupy. Jedni stali na ziemi przy zboczu, inni wspięli się na rusztowanie. Kiedy wszyscy zajęli swoje miejsca, Philip skiero-

wał mnichów, by stanęli lub usadowili się w pobliżu pracowników. Sam zaś stanął w pewnej odległości od pozostałych, w połowie drogi między szopą i zboczem wzgórza.

Wyliczenie czasowe okazało się znakomite. Kilka chwil po tym, jak się rozstawili, nastał świt. Philip wydobył z kieszeni opończy świecę i zapalił ją od latarni. Był to umówiony sygnał. Każdy z czterdziestki mnichów i nowicjuszy wyjął świeczkę i zapalił. Efekt był niezwykły. Dzień wdzierał się nad kamieniołom witany przez ciche, widmowe postacie, z których każda trzymała małe migoczące światełko.

Zwrócił się twarzą ku szopie. Do tej pory nie dochodził stamtąd żaden znak życia. Usadowił się. W czekaniu mnisi są doskonali. Spokojne stanie przez całe godziny to część ich życia. Pracownicy jednakże nie byli do czegoś takiego przyzwyczajeni, więc już po chwili zaczęli szurać stopami i cicho mrużyć jeden do drugiego.

Zarówno pomruk rozmów, jak i wzmacniające się światło wstającego dnia obudziło mieszkańców szopy. Philip usłyszał, jak ktoś w środku kaszlnął i splunął, a potem rozległ się zgrzyt zasuwu u drzwi. Podniósł rękę, by zaległa martwa cisza.

Drzwi skrzypnęły. Przeor trzymał rękę w górze. Jakiś mężczyzna, przecierając oczy, wyszedł z warsztatu. To Harold z Shiring, mistrz kamieniarzy. Z początku Harold nic niezwykłego nie dostrzegł. Oparł się o framugę i znowu zakaszłał, głęboko i charkotliwie, jak zawsze czynią to ludzie mający do czynienia z pyłem kamiennym, który osadza się im w płucach. Philip opuścił rękę. Kantor zaintonował hymn, mnisi niezwłocznie podjęli śpiew. Kamieniołom przesyciły dziwne pienia.

Wrażenie było piorunujące. Głowa Harolda podskoczyła jak na sprężynie. Oczy rozszerzyły się, a usta otwarły na widok widmowego chóru jawiącego się w kamieniołomie jakby za pomocą czarów. Okrzyk przestrawu wyrwał mu się z gardła. Chwiejnie cofnął się do szopy.

Philip pozwolił sobie na lekki śmiech. Początek bardzo dobry.

Jednakże groza przed nadprzyrodzonym nie trwała długo. Philip podniósł rękę i bez odwracania się pomachał nią. W odpowiedzi kamieniarze zaczęli pracę i brzęk żelaza na skale wzbogacił tony pieśni.

Dwie albo trzy twarze wychynęły zza drzwi. Mężczyźni wkrótce przekonali się, że mają do czynienia z normalnymi, żywymi mnichami, a nie z duchami. Wyszli z warsztatu, by lepiej widzieć. Obaj strażnicy wyszli także, dopinając pasy z mieczami. Dla Philipa nastał moment prawdy: co uczynią?

Widok wielkich, brodatych i brudnych mężczyzn, z pasami łączonymi łańcuchem, mieczami i sztyletami, odzianych w ciężkie skórzane kaftany, przeniósł go wstecz, ku wciąż żywemu wspomnieniu dwu żołnierzy, którzy wpadli do jego domu i zabili rodziców, kiedy miał sześć lat. Nieoczekiwanie przeszło go uczucie żalu po rodzicach, których właściwie nie pamiętał. Patrzył z nienawiścią w oczach na zbrojnych mężczyzn hrabiego, nie widząc ich, natomiast mając przed oczyma tego brzydkiego ze złamanym nosem i tego ciemnego z krwią na brodzie. Przepelniała go furia i odraza, pomieszane z gorącym pragnieniem, by zwyciężyć tych bezmyślnych i bezbożnych łotrów.

Przez chwilę nic się nie działo. Stopniowo kamieniarze wychodzili z pracowni. Policzył ich: dwunastu i dwu zbrojnych strażników.

Słońce pojawiło się nad horyzontem.

Kamieniarze z Kingsbridge już wydobywali kamień. Gdyby strażnicy chcieli ich powstrzymać, musieliby odsunąć mnichów. Philip postawił na to, że zbrojni zawahają się przed podniesieniem ręki na modlących się braci.

Na razie miał rację: wahali się.

Pojawili się dwaj nowicjusze, których zostawili z wozem i końmi. Rozglądali się z lękiem. Przeor wskazał im gestem, gdzie mają podjechać. Potem odwrócił się, spotkał wzrok Toma Budowniczego i skinął głową.

Do tej pory wycięto kilka kamieni i Tom polecił paru młodym mnichom pozbierać je i zanieść na wóz. Ludzie hrabiego patrzyli na rozwój sytuacji z za-

interesowaniem. Bloki były za ciężkie, by pojedynczy człowiek mógł je unieść, musiano więc opuszczać je z rusztowania na linach, a potem przenosić do wozu na nosidłach. Kiedy pierwszy kamień został umieszczony na wozie, strażnicy zaczęli się naradzać z Haroldem. Mnisi załadowali kolejny kamień, Philemon, nowicjusz, wspiął się na wóz i usiadł na kamieniach, wyzywająco tocząc wzrokiem. Philip pomyślał, że to dzielny chłopak, ale bał się o niego.

Zbrojni mężowie ruszyli w stronę wozu. Czwórka mnichów osłoniła go niczym żywa zaporą. Philip poczuł wzrastające napięcie. Tamci zbliżyli się do mnichów. Obaj położyli ręce na rękojeściach mieczy. Śpiew umilkł. Wszyscy oczekiwali następných wydarzeń z zapartym tchem.

Philip uważał, że zbrojni w miecze nie poważą się na dobyte ich przeciw bezbronnym zakonnikom. Teraz jednak uświadomił sobie, że dla tych wielkich silnych ludzi, przywykłych do rzezi na polu bitewnym, porwanie się do miecza przeciwko komuś, kogo nie ma potrzeby się bać, kto nie oddałby ciosu, byłoby igraszką. Potem znowu pomyślał, że zbrojni mężowie muszą wziąć pod uwagę karę, na jaką narażają się, mordując sługi boże. Nawet tacy ludzie jak ci zdają sobie sprawę, że w końcu staną na sądzie ostatecznym. Czy jednak bali się wiecznego ognia? Możliwe, że tak, lecz bali się także swego pana, hrabiego Shiring. Przypuszczał, że teraz ich myśli zajęte były poszukiwaniem właściwego wytłumaczenia, dlaczego nie wypełnili rozkazu i dopuścili do kamieniołomu ludzi z Kingsbridge. Obserwował, jak wahali się, trzymając ręce na mieczach. Philip wyobrażał sobie, jak ważą w myślach z jednej strony gniew hrabiego, z drugiej gniew Boga.

Mężczyźni spojrzeli na siebie. Jeden z nich potrząsnął głową. Drugi wzruszył ramionami. Razem wyszli z kamieniołomu.

Kantor zaintonował pieśń i mnisi podjęli ją zgodnym chórem. Zabrzmiał hymn triumfu. Pośród kamieniarzy rozległ się krzyk zwycięstwa. Przeor odechnął z ulgą. Przez chwilę wszystko wyglądało bardzo groźnie. Teraz nie mógł powstrzymać wybuchu radości. Kamieniołom był jego.

Zdmuchnął świeczkę i podszedł do wozu. Objął każdego z czwórki mnichów, którzy stawili czoło zbrojnym strażnikom, potem nowicjuszy, którzy przywiedli wóz.

– Jestem z was dumny. I wierzę, że Bóg też.

Mnisi i kamieniarze ściskali sobie nawzajem ręce w podziękowaniach. Otto Czarnogęby podszedł do Philipa i rzekł:

– Świetnie zrobione, ojcze. Jesteś dzielnym człowiekiem, jeśli wolno mi rzec.

– Bóg nas chronił.

Spojrzał na kamieniarzy hrabiego stojących przy wejściu do warsztatu. Nie chciał mieć z nich wrogów, przecież kiedy zostaną bez pracy, Percy zawsze może ich wykorzystać ponownie, by szkodzić klasztorowi. Philip postanowił z nimi porozmawiać.

Wziął Ottona za ramię i wprowadził do pracowni.

– Dokonała się dzisiaj wola Boga – rzekł do Harolda. – Mam nadzieję, że nie życie wobec nas urazy?

– Nie mamy pracy. To niełatwo zmienić.

Pomyślał nagle, by przeciągnąć ludzi Harolda na swoją stronę.

– Dzisiaj jeszcze możecie wrócić do pracy, jeśli chcecie – powiedział impulsywnie. – Pracujcie dla mnie, całym zespołem, przyjmę was, nie będziecie nawet musieli opuszczać warsztatu.

Na taki obrót wydarzeń Harold nie był przygotowany. Został zaskoczony, ale szybko odzyskał pewność siebie i spytał:

– Za ile?

– Tak jak wszędzie. Dwa pensy dziennie rzemieślnikowi, pens robotnikowi, cztery dla ciebie, a ty płacisz czeladnikom.

Harold odwrócił się i popatrzył na swoich ludzi. Philip wziął Ottona na stronę, by osobiście omówić z nim sprawę. Tak naprawdę to nie stać go było na dwunastu ludzi więcej, a jeśli oni przyjmą te warunki, to będzie musiał przes-

nąć jeszcze dalej w przyszłość termin przyjęcia murarzy do pracy. To zaś oznaczało, że będą szybciej cięli kamień, niż on nadaży go zużywać. Trzeba będzie ułożyć go w sterty, ale to źle wpłynie na bieżące zasoby gotówki. Jednakże przyjęcie do pracy w klasztorze ludzi hrabiego jest doskonałym posunięciem obronnym. Jeśli Percy zechce znowu brać kamień z kamieniołomu, najpierw będzie musiał przyjąć nowych kamieniarzy, co może okazać się trudne, kiedy wieść o dzisiejszych zajściach rozejdzie się po okolicy. A jeśli któregoś dnia Percy znowu wymyśli jakiś sposób, żeby zamknąć kamieniołom, Philip będzie miał już spory zapas kamieni.

Zdawało się, że Harold spiera się o coś ze swymi ludźmi. Po jakimś czasie odłączył się od nich i zbliżył do Philipa.

– A kto będzie wydawał polecenia, kiedy będziemy dla ciebie pracować? Ja czy ten twój mistrz?

– Rządzi Otto – odrzekł Philip bez zastanowienia. Harold nie może być mistrzem, na wypadek gdyby zechciał zachować lojalność wobec hrabiego. – Nadal będziesz rządził swoim zespołem, ale Otto stanie nad tobą.

To Harolda rozczarowało, wrócił znowu do swych ludzi. Dyskusja trwała. Tom Budowniczy dołączył do Philipa i Ottona.

– Ojcie, udało się – powiedział z szerokim uśmiechem.

– Przejeliśmy kamieniołom bez kropli krwi. Jesteś godny podziwu.

Philip już chciał przytaknąć, ale zauważył, że grzeszy pychą.

– To Bóg uczynił ten cud – rzekł, przypominając o tym także sobie.

– Ojciec Philip zaproponował Haroldowi i jego ludziom, żeby pracowali u mnie – oznajmił Otto.

– Doprawdy! – To mistrzowi przysługiwało prawo przyjmowania ludzi, nie przeorowi. – Nie przypuszczałem, że ojca na to stać.

– Bo nie stać – przyznał Philip. – Ale nie chcę, by ci ludzie wałęsali się wokoło, nie mając nic do roboty, i czekali, aż Percy znów coś uknuje, żeby odebrać nam kamieniołom.

Tom zamyślił się, potem skinął głową.

– No i nie zaszkodzi mieć trochę zapasu kamienia, na wypadek gdyby hrabiemu się udało.

Philipa uradowało, że Tom zrozumiał, o co mu chodziło.

Zdawało się, że Harold zaczyna dochodzić do porozumienia ze swymi ludźmi. Wrócił do Philipa i spytał:

– Czy mógłbyś wszystkie pieniądze płacić mnie, zostawić mi rozdzielanie pieniędzy w zespole tak, jak uznam za właściwe?

Philip patrzył z powątpiewaniem. To oznaczało, że mistrz będzie brał więcej, niż mu się należy. Stwierdził jednak:

– Decyzja o tym należy do mistrza budowniczego.

– To nierzadki zwyczaj – rzekł Tom. – Jeśli tego właśnie życzy sobie twój zespół, to proszę bardzo.

– W takim razie, przyjmuję pracę.

Harold i Tom uścisnęli sobie ręce.

– Tak tedy każdy dostał, czego chciał. Dobrze! – skomentował Philip.

– Jest ktoś, kto nie otrzyma tego, na czym mu zależało – dodał Harold.

– Któż taki? – spytał Philip.

– Żona hrabiego Shiring, lady Regan – rzekł ponuro Harold. – Kiedy dowie się o tym, co zaszło, krew ją zaleje.

II

Dziś nie polowano, więc młodzi ludzie w Earlscastle bawili się w jedną z ulubionych zabaw Williama, kamienowanie kota.

Na zamku zawsze żyło mnóstwo kotów i nie miało znaczenia, czy jest jeden więcej, czy mniej. Zamykano drzwi i zakładano okiennice w wielkiej sali twierdzy, sprzęty przystawiano do ścian tak, by kot nie mógł za nimi znaleźć

ukrycia, potem usypywano stosik kamieni na środku pomieszczenia. Kot, którego dzisiaj wybrano, był starym łowcą myszy, o posrebrzonej mocnej sierści. Wyczuwał żądzę krwi w powietrzu, siadł więc przy drzwiach. Miał nadzieję uciec.

Każdy z grających wkładał pensa do garnka za każdy kamień ze stosu. Ten, kto zadał ostateczny cios, zabierał całość.

Kiedy ciągnęli losy o kolejność rzutów, kot zaczął się denerwować, kroczył przed drzwiami tam i z powrotem.

Pierwszy rzucał Walter. Miał szczęście, bo jakkolwiek kot był czujny, nie znał jeszcze zasad gry i można go było zaskoczyć. Stojąc plecami do kota, wybrał kamień ze stosiku, ukrył w dłoni, potem powoli się odwrócił i nagle cisnął.

Chybił. Kamień walnął z hukiem w drzwi, a kot podskoczył i uciekł. Wszyscy ryknęli śmiechem.

Drugi rzut też był pechowy, bo kot ruszał się jeszcze szybko, dopiero później spowolnieje ze zmęczenia i zadanych ran. Pechowcem był młody giermek. Obserwował bieg kota dokoła pokoju i czekał, aż zwolni, wtedy cisnął kamieniem. Rzut był mocny, ale kot go spostrzegł i czmychnął. Jęknęli.

Zwierzę coraz szybciej biegło po komnacie, w panice pomykając po parapetach i blatach stołów zsuniętych pod ścianami, zeskakując czasem na podłogę. Trzeci rzucał starszawy rycerz. Upozorował rzut, by zobaczyć, w którą stronę kot uskoczy, a kiedy już biegł, cisnął kamień, celując nieco przed zwierzęciem. Widzowie nagrodzili oklaskami jego spryt, ale zwierzak dostrzegł kamień i gwałtownie zatrzymał się przed nim.

Przerażony kot spróbował wcisnąć się za dębowy kufer w rogu sali. Następny rzucający dojrzał możliwość i wykorzystał ją; szybko cisnął i trafił w zadek. Nagrodziły go okrzyki uciechy. Kot poddał się i przestał wciskać się za kufer, pobiegł znowu dokoła komnaty, teraz jednak utykał i poruszał się znacznie wolniej.

Następny był Will.

Pomyślał, że jeśli się przyłoży, to zabije kota. Chcąc jeszcze bardziej zmęczyć biedne stworzenie, wrzasnął na nie, powodując, że z przestraszu przez chwilę biegało szybciej. Potem udał rzut, bez efektu. Gdyby kto inny tak uczynił, wykrzyczano by go, ale William to syn hrabiego, tedy cierpliwie czekali. Kot z nadzieją zbliżył się ku drzwiom. Will podniósł rękę. Kot przystanął. William zamachnął się. Zanim kamień opuścił jego dłoń, drzwi zaczęły się uchylać i ksiądz w czerni pojawił się w otwartych wierzejach. Will cisnął kamieniem, ale kot, jakby wystrzelony z procy, skoczył ku wyjściu, triumfalnie miaucząc. Ksiądz krzyknął piskliwie i zarzucił na głowę swe szaty. Młodzieńcy buchnęli śmiechem. Kot walnął w nogi księdza, opadł na łapy i czmychnął za drzwi. Ksiądz zamarł w pozie przerażenia, niczym stara baba bojąca się myszy, a młodzieńcy wyli ze śmiechu.

William rozpoznał duchownego. Był to biskup Waleran.

Zaczął się śmiać jeszcze bardziej; przecież ten przerażony zniewieścialec był jednocześnie wrogiem rodziny.

Biskup szybko odzyskał panowanie nad sobą. Zarumienił się, wyciągnął wskazujący palec oskarżycielsko w stronę Williama i powiedział natchnionym głosem:

– Będziesz cierpieć najgorsze męki w najgłębszym z piekieł.

W Williama jakby piorun strzelił. Matka przyprawiała go o koszmary, kiedy jeszcze był dzieckiem, przekazując mu straszliwe opowieści o tym, co czynią z ludźmi diabły: palą w płomieniach, wyłupują oczy i obcinają intymne części ciała ostrymi nożami. Przez te opowieści noce stały się piekłem. Od tamtej pory nie mógł słuchać o piekle i związanych z nim męczarniach. Nienawidził tego.

– Zamknij się! – wrzasnął do biskupa. Zapadła cisza. Wyciągnął nóż i szedł w jego stronę. – Nie przyszedłeś tutaj głosić kazania, ty wężu. – Biskup nie wydawał się przestraszony, raczej zaintrygowany, jakby odkrył słabość Williama, co tego ostatniego jeszcze bardziej rozwścieczyło. – Chybiłem przez ciebie,

więc pomóż mi...

Był dostatecznie wściekły, żeby pchnąć nożem biskupa, ale zatrzymał go okrzyk, który dobiegł do jego uszu gdzieś ze schodów, z tyłu.

– Williamie, dość!

To Percy, jego ojciec.

Zatrzymał się i po chwili schował nóż do pochwy.

Waleran wszedł do komnaty. Za nim wkroczył i zamknął drzwi drugi ksiądz, Dean Baldwin.

– Jestem zaskoczony, że cię tu widzę, Ekscelencjo – zwrócił się do niego Percy.

– Bo ostatnio, kiedy się widzieliśmy, nakłoniłeś przeora Kingsbridge do oszukania mnie? Tak, rzeczywiście, możesz czuć się zaskoczony. Zazwyczaj nie jestem specjalnie skłonny do wybaczenia. – Na chwilę skierował swe lodowate spojrzenie na Williama, potem popatrzył na jego ojca. – Nie noszę jednak urazy, jeśli jest to wbrew moim interesom. Powinniśmy porozmawiać.

Hrabia skinął głową w zamyśleniu.

– Chodźmy lepiej na górę. Ty też, Williamie.

Biskup Waleran i Dean Baldwin weszli na schody, za nimi Will. Przygnębiła go ucieczka kota. Pomyślał jednak, że z drugiej strony jemu także się udało; gdyby tylko tknął biskupa, powieszono by go. W delikatności i subtelności Walerana było jednak coś, czego młody hrabia nienawidził.

Udali się do komnaty ojca, tam gdzie kiedyś zgwałcił Alienę. Przypominał sobie tę scenę zawsze, kiedy tu wchodził; jej bujne białe ciało, strach na twarzy, jej krzyki, wykrzywioną twarz tego smarkacza zmuszonego do przyglądania się, a potem – majstersztyk Williama – sposób, w jaki oddał ją Walterowi. Chciałby mieć Alienę tutaj, uwięzioną, żeby móc ją brać, kiedy tylko by mu się spodobało.

Od tamtego dnia myślał o niej obsesyjnie. Nawet próbował ją wytropić. Pojmano gajowego, kiedy usiłował sprzedać w Shiring konia bojowego. Na tor-

turach wyznał, że rumaka ukradł dziewczynie. Z opisu podobna była do Alieny. Od dozorca w Winchesterze dowiedział się, że odwiedziła ojca jeszcze przed jego śmiercią. A jego przyjaciółka Kate, właścicielka burdelu, do którego uczęszczał, przyznała się, że zaoferowała jej miejsce w swym domu. Dalej jednak ślad ginął. „Nie pozwól, by załaziła ci za skórę, kochany Willu – mówiła sympatyczna Kate.

– Chcesz wielkich cycków i długich włosów? To weź Betty i Milly naraz, jeszcze dziś wieczór, cztery wielkie piersi tylko dla ciebie”. Ale Betty i Milly nie były niewinne, nie miały białej skóry i nie były przestraszone do nieprzytomności. Nie zadowolilyby go. W rzeczywistości nie osiągał satysfakcji z żadną kobietą od tej nocy z Alieną.

Porzucił myśl o niej. Biskup Waleran mówił do matki:

– Przypuszczam, że wiecie już o tym, iż przeor Philip zajął wasz kamieniołom?

Nie wiedzieli. William był zaskoczony, a matka wściekła.

– Co? Jak?

– Wygląda na to, że wasi strażnicy początkowo pogonili kamieniarzy klasztornych, ale gdy obudzili się następnego dnia, zastali kamieniołom zapełniony mnichami śpiewającymi hymny. Obawiali się podnieść ręce na sługi boże. Przeor Philip przejął waszych kamieniarzy. Teraz pracują z jego ludźmi w doskonałej zgodzie. Dziwi mnie, że wasi zbrojni mężowie nie donieśli wam o tym.

– Gdzie się te tchórze podziewają? – zaskrzeczała Regan. Twarz jej nabiegła krwią. – Popamiętają mnie... obetnę im jaja ich własnymi mieczami...

– Teraz rozumiem, dlaczego nie przyszli – skomentował biskup.

– Zbrojni nie są ważni – rzekł ojciec. – To tylko najemnicy. Odpowiedzialny jest ten podstępny przeor. Nigdy sobie nie wyobrażałem, że może być zdolny do czegoś takiego. Przechytrzył nas i to wszystko.

– Otóż to – podchwycił Waleran. – Mimo tej swojej świętej niewinności

jest chytry jak szczur domowy.

William pomyślał, że biskup sam przypomina szczura; czarnego szczura z tym spiczastym ryjkiem i przylizanymi czarnymi włosami; szczura, który siedzi w kącie ze skórką w łapkach i pochłania swój obiad, rzucając czujne spojrzenia dookoła. Dlaczego go tak ciekawi, kto zajmuje kamieniołom? Podobnie jak przeor Philip, był przebiegły, najwyraźniej coś knuł.

– Nie możemy pozwolić, żeby mu to uszło na sucho. Hamleighowie nie mogą przegrywać. Przeora trzeba zdeptać – odezwała się Regan.

Hrabia nie był tak do końca przekonany.

– To tylko kamieniołom. A król...

– Nie chodzi o kamieniołom! – przerwała Regan. – Tutaj chodzi o honor rodziny! Nieważne, co mówi król.

William zgadzał się z matką. Philip z Kingsbridge rzucił wyzwanie Hamleighom, powinien więc zostać zmiżdżony. Jeśli ludzie nie boją się ciebie, jesteś nic niewart, uważał Will, ale nie rozumiał, na czym w tej sprawie polega problem.

– A dlaczego nie mielibyśmy wziąć po prostu kilku ludzi i wyrzucić kamieniarzy przeora?

– Sprzeniewierzyć się decyzji królewskiej, tak jak to uczyniliśmy wówczas, gdy sami zaczęliśmy wykorzystywać kamieniołom, to jedna sprawa – ojciec potrząsnął głową. – Lecz zupełnie inna byłaby postać rzeczy, gdybyśmy posłali zbrojnych najemników z zadaniem wyrzucenia ludzi, którzy są tam zgodnie z jasno wyrażoną wolą króla. Za takie coś straciłbym hrabiowski tytuł.

Will niechętnie przyjął do wiadomości te słowa. Ojciec zwykle przejawiał ostrożność, na ogół była ona usprawiedliwiona.

– Mam pewną sugestię – odezwał się biskup. William był przekonany, że Waleran coś knuje. – Wierzę, że katedra nie będzie zbudowana w Kingsbridge.

Ta uwaga kompletnie zdezorientowała Williama. Nie rozumiał jej znaczenia. Ojciec też. Natomiast oczy matki rozszerzyły się, na chwilę przestała dra-

pać się po twarzy. W zamyśleniu powiedziała:

– To interesujący pomysł.

– W dawnych czasach katedry budowano w miasteczkach i wsiach takich jak Kingsbridge – ciągnął Waleran.

– Większość z nich przekształciła się w miasta, jakieś sześćdziesiąt czy siedemdziesiąt lat temu, za czasów pierwszego króla Wilhelma. Kingsbridge jest wioseczką na odludziu. Nie ma tam nic poza rozpadającym się klasztorem, który nie jest wystarczająco bogaty, by pozwolić sobie na utrzymanie katedry, nie mówiąc już o wybudowaniu świątyni.

– A gdzie ty, wielebny, chciałbyś zbudować katedrę? – spytała Regan.

– W Shiring. To spore miasto, ludności musi mieć z tysiąc albo i więcej, ma nowoczesny Jarmark Wełniany i stały targ. Leży na głównym trakcie. Shiring – to ma sens. A jeśli razem podejmiemy starania, ja, biskup, i ty, hrabia, to się nam uda!

– Jeśli katedra stanie w Shiring, mnisi z Kingsbridge nie będą mogli się nią zajmować.

– Właśnie o to chodzi – niecierpliwie przerwała Regan. – Bez katedry Kingsbridge będzie niczym, klasztor popadnie w zapomnienie, a Philip znowu stanie się nikim, na co zasłużył.

– No to kto się będzie zajmował katedrą? – upierał się Percy.

– Nowa kapituła kanoników,znaczona przeze mnie.

William był zaskoczony, tak samo jak ojciec, ale teraz zaczynał rozumieć, ku czemu zmierzał Waleran; nad katedrą w Shiring biskup będzie miał pieczę.

– A co z pieniędzmi? – pytał ojciec. – Kto, jeśli nie klasztor Kingsbridge, zapłaci za katedrę?

– Sądzę, że większość własności klasztornej jest przypisana katedrze – rzekł Waleran. – Jeśli zatem następuje przeniesienie katedry, to samo dzieje się z własnością. Król Stefan na przykład podzielił stare hrabstwo Shiring. Dał gospodarstwa na wzgórzach klasztorowi Kingsbridge, o czym aż za dobrze wie-

my, ale uczynił to po to, by sfinansować budowę katedry. Jeśli mu powiemy, że ktoś inny buduje tę świątynię, król będzie oczekiwać, że klasztor odda grunta nowym budowniczym. Mnisi rzucą się do walki, to oczywiste, ale badanie zapisów wykaże, co czynić trzeba.

Wszystko stało się jasne. Waleran dzięki tej strategii nie tylko osobiście przejmie pieczę nad katedrą, ale także położy łapę na znacznej części majątku klasztornego.

– Dla Waszej Ekscelencji to jest doskonały układ, ale co ja z tego będę mieć? – zapytał hrabia.

Odpowiedziała mu Regan.

– Nie rozumiesz? – rzekła zirytowana. – Ty jesteś właścicielem Shiring. Pomyśl, ile dostatku pojawi się w mieście wraz z katedrą. Setki rzemieślników i robotników przez lata budujących kościoł: wszyscy będą musieli gdzieś mieszkać, płacić ci czynsz, zarobisz też na targu, gdzie będą kupować żywność i ubrania. Pojawią się kanonicy, pojawią się wierni, którzy na Wielkanoc i na Zielone Świątki zamiast do Kingsbridge przybędą do Shiring, a jeszcze pielgrzymi, którzy będą czcić święte relikwie... Oni wszyscy zaczną wydawać pieniądze. – Jej oczy płonęły chciwością. William już dawno nie widział matki tak rozentuzjasmowanej. – Jeśli to dobrze rozegramy, może uda nam się przekształcić Shiring w jedno z największych miast w królestwie!

A potem to miasto stanie się jego miastem. Kiedy ojciec umrze, on zostanie hrabią, myślał William.

– W porządku – odparł ojciec. – To zrujnuje Philipa, to da ci władzę, Ekscelencjo, a mnie wzbogaci. Jak można to osiągnąć?

– Teoretycznie decyzja o lokalizacji katedry powinna być podjęta przez arcybiskupa Canterbury.

– Dlaczego „teoretycznie”? – ostro spytała matka.

– Bo właśnie teraz nie ma arcybiskupa. William z Corbeil zmarł na Boże Narodzenie, a król Stefan jeszcze nie mianował następcy. Wiemy jednak, kto

prawdopodobnie zostanie mianowany: nasz stary przyjaciel, biskup Henryk z Winchesteru. Chce tego, zresztą papież dał mu prawo do tymczasowego zarządzania, a jego brat jest królem.

– Czy faktycznie jest przyjacielem? – spytał ojciec. – Nie zrobił dla ciebie, Ekscelencjo, zbyt wiele, kiedy starałeś się o to hrabstwo.

– Pomoże mi w miarę możliwości. – Waleran wzruszył ramionami. – Musimy przedstawić jakieś przekonujące argumenty.

– On nie będzie chciał sobie przysparzać wrogów wśród możnych, kiedy stara się o arcybiskupstwo – zwróciła uwagę matka.

– Właśnie. Ale Philip nie jest dość możny, aby na coś wpływać. Nikt z nim nie będzie konsultował arcybiskupiej kandydatury.

– No to dlaczego biskup Henryk nie da nam po prostu tego, czego chcemy, bez tych wszystkich dodatkowych zabiegów? – spytał William.

– Bo jeszcze nie jest arcybiskupem; on wie, że ludzie przyglądają mu się bardzo uważnie podczas tymczasowego zarządzania. Chce, by widziano, że podejmuje sprawiedliwe decyzje, że nie wyróżnia przyjaciół, którzy mają u niego fawory. Na to będzie miał czas, wiele czasu, ale po objęciu arcybiskupstwa.

– Czyli jedyna rzecz, jaką może dla nas zrobić, to sympatycznie się odnieść do naszych argumentów. A jakie one mają być? – zreflektowała się Regan.

– Takie, że Philip nie może zbudować katedry, a my tak.

– A jak go o tym przekonamy?

– Czy ostatnio byłaś w Kingsbridge?

– Nie.

– A ja byłem na Wielkanoc – Waleran się uśmiechnął. – Nawet nie zaczęli jeszcze budowy. Wszystko, co mają, to płaski plac z kilkoma palikami wbitymi w ziemię i paroma sznurkami zaznaczającymi miejsce, gdzie mają nadzieję budować. Zaczęli kopać fundament, ale skończyli na kilku stopach w głąb. Mają tam murarza, pracującego z pomocnikiem, klasztornego cieślę i od czasu do czasu pomagają mnisi. Taki widok nie robi wrażenia, szczególnie w czasie

deszczu. Chciałbym, aby biskup Henryk to zobaczył.

Matka pokiwała głową. William zrozumiał, że plan jest dobry, mimo że nie umiał nawet myśleć o współpracy z przeklętym Waleranem Bigodem.

A biskup ciągnął swój wywód:

– Musimy najpierw przekonać biskupa Henryka o tym, jak małe i znikome jest Kingsbridge i jak biedny jest klasztor. Potem pokażemy mu plac budowy, na którym zobaczy, co zrobili przez ponad rok pracy. Później zabierzemy go do Shiring i utrwalimy go w przeświadczeniu, że potrafimy szybko zbudować katedrę, gdy wspólnymi siłami przystąpimy do pracy.

– Czy biskup Henryk zechce przybyć? – Matka była zaniepokojona.

– Musimy go o to spytać – odparł Waleran. – Ja zaproszę go na Zielone Świątki, aby przybył w roli arcybiskupa. Powinno go wzruszyć nasze uznanie dla jego osoby.

– Trzeba zachować wszystko w tajemnicy przed przeorem Philipem – powiedział zawsze ostrożny ojciec.

– Nie wydaje mi się, by było to możliwe – rzekł Waleran. – Wizyta biskupa musi być zapowiedziana.

– Ale wtedy Philip może podjąć wszelkie wysiłki, by przyśpieszyć roboty.

– W jaki sposób? Nie ma pieniędzy, zwłaszcza że przyjął dodatkowo twoich ludzi. Kamieniarze nie stawiają ścian. – Waleran potrząsnął głową z uśmiechem pełnym satysfakcji. – W rzeczywistości Philipowi pozostaje tylko mieć nadzieję, że w Zielone Świątki będzie słonecznie. Nic innego zrobić nie może.

Z początku Philipowi zrobiło się przyjemnie na wieść, że biskup Winchesteru przyjedzie do Kingsbridge. Trzeba będzie odprawić mszę połową, ale to nic. Odbędzie się na miejscu starej katedry. Na wypadek deszczu cieśla klasztoru postawi tymczasowy dach w pobliżu ołtarza. Wizyta zdawała się zwyczajnym aktem zaufania biskupa Henryka, jakby podkreśleniem, że w dalszym ciągu uważa Kingsbridge za główne miejsce diecezji, a to, że nie ma kościoła, traktuje jedynie jako przejściowy problem.

A jednak coś popychało przeora do rozważania motywów biskupa Henryka. Zazwyczaj wizytacja biskupa w klasztorze wiązała się z jedzeniem, pićm i spaniem za darmo, ale Kingsbridge słynęło, by nie powiedzieć, że było osławione, z prostoty życia i surowej codzienności. Reformy Philipa zaledwie zdołały wyprowadzić klasztor z ubóstwa, zapewniano jedynie zaspokojenie najprostszych potrzeb. Biskup Henryk poza tym należał do najbogatszych duchownych w królestwie, więc z pewnością nie chodziło mu o jadło i napoje. Philip przypomniał sobie, co pomyślał, kiedy ujrzał biskupa Henryka po raz pierwszy: „ten człowiek nie robi nic bez powodu”.

Im dłużej się nad tym zastanawiał, tym bardziej podejrzewał, że z tą wizytą wiele wspólnego ma biskup Waleran. Początkowo sądził, że w dzień lub dwa po liście Waleran przybędzie do Kingsbridge, by razem wymyślić jakoś organizację nabożeństwa i gościny, aby klasztor zrobił na biskupie wrażenie. Kiedy zaś dni upływały, a Waleran się nie pokazywał, złe przeczucia Philipa nasiliły się.

Mimo wszystko, nawet w momentach największego zwątpienia, nie śniło mu się o zdradzie tak ogromnej, jaką ujawnił list od przeora w Canterbury na dziesięć dni przed Zielonymi Świątkami. Podobnie jak w Kingsbridge, katedrą w Canterbury opiekowali się benedyktyni, a mnisi zawsze pomagali sobie, jeśli tylko mogli. Przeor Canterbury, który naturalnie blisko współpracował z urzędującym arcybiskupem, dowiedział się, że Waleran zaprosił Henryka do Kingsbridge, by udokumentować stanem rzeczy propozycję przeniesienia diecezji, a z nią i nowej katedry, do Shiring.

Dla Philipa to był wstrząs. Serce zaczęło mu łomotać, a ręka, która trzymała list, drżała. Oto szatański ruch Walerana, Philip nawet nie wyobrażał sobie tak piekielnego zagrania.

Denerwował się tym, że nie potrafił przewidzieć zamiarów Walerana. Wiedział przecież, jak bardzo zdradziecki potrafi być Bigod. Biskup próbował go oszukać już rok temu w sprawie hrabstwa Shiring. I nie powinien nigdy zapo-

mnieć, jak się rozgniewał, kiedy Philip go przechytrył. Jak żywa stanęła mu przed oczami ściągnięta w furii twarz Walerana mówiącego: „Przysięgam na wszystko, co święte, że nigdy nie zbudujesz tego kościoła”. Wraz z upływem czasu klątwa przestała przygniatać przeora, a jego czujność osłabła. Teraz zaś otrzymał brutalne przypomnienie o tym, że biskup Waleran nie rzuca słów na wiatr.

„Zdaniem biskupa Walerana masz mało pieniędzy, a właściwie to wcale ich nie masz, a przez piętnaście miesięcy nic nie zbudowałeś – pisał przeor Canterbury. – Mówi też, że biskup Henryk powinien sam zobaczyć i przekonać się, że katedra w Kingsbridge nigdy nie stanie, jeśli budowanie pozostanie w rękach klasztoru. Argumentuje, że wszelkie zmiany powinny nastąpić teraz, kiedy jeszcze nic nie zrobiono i nie wydano żadnych pieniędzy”.

Waleran jest zbyt przebiegły, by dać się złapać na ewidentnym kłamstwie, więc dostarcza wielce przesadzonych wieści. W rzeczywistości Philip osiągnął bardzo wiele. Oczyszczył ruiny, przygotował i zaaprobował projekty, zarysował na gruncie plany, rozpoczął kopanie fundamentów, ścinanie drzew oraz dostawę kamieni. Tyle że wizytatorowi trudno to pokazać. Poza tym pokonał wiele przeszkód, by to wszystko osiągnąć: zreformował finanse klasztoru, mimo trudności otrzymał dotację od króla i zwyciężył hrabiego Percy’ego w sprawie kamieniołomu. Zarzuty są niesłuszne.

Podszedł do okna i popatrzył na plac budowy. Wiosenne deszcze przekształciły go w morze błota. Dwu młodych mnichów w kapturach naciągniętych na głowę wyciągało bal z rzeki. Budowniczy przygotował urządzenie z krążkiem i liną do wyciągania ziemi z wykopu i pracował przy nim, podczas gdy jego syn ładował do beczek mokre błoto. Wyglądali tak, jakby mieli w tym tempie pracować wiecznie i nie zwolnić ani nie przyspieszyć. Tylko fachowiec mógł zaprotestować przeciwko twierdzeniu, na widok tej sceny, że aż do dnia sądu ostatecznego nie stanie tutaj katedra.

Odwrócił się. Co na to można poradzić? Nic nie robi. Niech biskup Hen-

ryk przyjedzie, zobaczy i podejmie decyzję. Jeśli katedra ma być wybudowana w Shiring, niech tak będzie. Niech obejmie ją biskup Waleran i swą władzę użyje dla własnych celów, niech przyniesie dostatek miastu Shiring i podłej rodzinie Hamleighów. Niech się dzieje wola Boga.

Wiedział oczywiście, że to nie tak. Pokładać w Bogu ufność nie znaczy wcale siedzieć i nic nie robić. Ufność to wiara w powodzenie własnych czynów. Jego świętym obowiązkiem jest starać się ze wszystkich sił, aby katedra nie znalazła się w ręku ludzi cynicznych i niemoralnych, ludzi, którzy wykorzystaliby ją dla własnego wywyższenia. Musi pokazać biskupowi Henrykowi, że program budowy postępuje doskonale, a Kingsbridge ma dosyć energii i zdecydowania, by go zrealizować.

Czy to rzeczywiście prawda? Wiedział, że decyzja o budowie katedry była ryzykowna. Przecież niemal został zmuszony do zaniechania prac, gdy hrabia zajął kamieniołom. A jednak miał przekonanie, że w końcu mu się uda, bo Bóg mu pomoże. Skądinąd trudno było wymagać, by własne przeświadczenie Philipa stało się argumentem dla biskupa Henryka.

Postanowił uczynić wszystko, by zrobić na wizytatorze jak najlepsze wrażenie. Wszystkich mnichów skieruje do pracy przez te dziesięć dni, jakie pozostały do Zielonych Świątek. Może uda im się wykopać chociaż w jednym miejscu dziurę właściwej głębokości, by Tom i Alfred mogli kłaść już pierwsze kamienie. Może nawet udałoby się dociągnąć fragment fundamentów do poziomu ziemi; wtedy Tom mógłby zacząć budować ścianę, a to na pewno polepszyłoby wygląd placu. Niewiele, ale zawsze coś. Tak naprawdę to Philip potrzebował setki robotników, a nie miał pieniędzy nawet na dziesięciu.

Biskup Henryk przyjedzie w niedzielę, to jasne, że nikt wówczas pracować nie będzie, niemniej Philip myślał o zaangażowaniu całego zgromadzenia. To by dało stu pracowników. Wyobraził sobie siebie, stojącego przed nimi i ogłaszającego nowy rodzaj nabożeństwa zielonoświątkowego: zamiast śpiewania hymnów i modłów, będziemy kopać rowy i nosić kamienie. Będą zdziwieni.

Zapewne...

Co powinni zrobić bracia w obecnej chwili?

Prawdopodobnie powinni pomóc z całego serca.

Zmarszczył brwi. Albo jestem szalony, albo ten pomysł istotnie zadziała.

Przemyślał to dokładniej. Wstanę pod koniec nabożeństwa i powiem, że dzisiejszą pokutą, zapewniającą rozgrzeszenie z wszystkich grzechów, jest pół dnia pracy na placu budowy. W porze obiadowej dostarczymy chleb i piwo. Zrobią to. Oczywiście, że zrobią – upewniał sam siebie.

Doszedł do wniosku, że musi wypróbować pomysł na kimś jeszcze. Najpierw pomyślał o Miliusie, ale po namyśle stwierdził, że jego sposoby ujmowania rzeczywistości za bardzo przypominają mu własne. Potrzebował kogoś o nieco odmiennym spojrzeniu. Postanowił porozmawiać z Cuthbertem Białogłowym, klucznikiem. Włożył opończę, naciągnął kaptur, żeby deszcz nie zaciął mu w twarz, i wyszedł.

Pośpieszył przez plac budowy. Mijając Toma, pobieżnie kiwnął mu ręką i skierował się do zabudowań kuchennych. Philip kazał tu postawić kurnik, oborę i mleczarnię, bo nie chciał tracić drogocennej gotówki na podstawowe produkty żywnościowe, jak jajka i masło czy mleko, które mnisi sami mogli sobie zapewnić.

Wszedł do spiżarni w piwnicy pod kuchnią. Wdychał suche, delikatnie pachnące powietrze pełne woni ziół i korzeni, które przechowywał tu Cuthbert. Ten zaś właśnie rachował główki czosnku, wpatrując się w nie i półgłosem mrużąc liczby. Z lekkim zaskoczeniem Philip zauważył, że Białogłowy się starzeje; jego ciało w widoczny sposób wiotczało pod skórą, która zaczynała obwisać.

– Trzydzieści siedem – Cuthbert powiedział głośno i zapytał: – Chcesz kubek wina?

– Nie, dziękuję. – Philip przekonał się, że wino w ciągu dnia czyni go leniwym i drażliwym. Bez wątplenia dlatego właśnie święty Benedykt radził mni-

chom umiarkowanie w picciu. – Chcę od ciebie rady, a nie wiktuałów. Chodź tutaj i siadaj. Wynajdując sobie drogę wśród zwałów skrzyń i beczek,

Cuthbert przekroczył jakiś worek i niemal upadł, siadając na trójnożnym stolku przed Philipem. Magazyn nie jest teraz tak uporządkowany jak kiedyś, zauważył przeor. Uderzyła go pewna myśl.

– Cuthbert, czy ty nie masz czasami kłopotów ze wzrokiem?

– Jeszcze nie największe, ale to wkrótce nastąpi.

Jego oczy, prawdopodobnie nadmiernie zmęczone, niepostrzeżenie słabły, a może to właśnie stanowiło przyczynę, że nigdy dobrze nie nauczył się czytać. Jednakże był bardzo drażliwy na tym punkcie, więc Philip nic więcej nie powiedział, lecz zanotował w myśli, że trzeba przygotować następcę klucznika.

– Otrzymałem list od przeora Canterbury. Wiadomości bardzo mnie zmar-twiły – zaczął i opowiedziawszy Cuthbertowi o szatańskim planie biskupa Walerana, zakończył słowami: – Aby stworzyć wrażenie, że plac budowy jest pełen roboty i przypomina ul, trzeba zagonić do pracy całe zgromadzenie. To jedyny sposób. Czy możesz wymyślić jakiś powód, bym tego nie mógł uczynić?

Cuthbert nawet się nad tym nie zastanawiał.

– Przeciwnie, to znakomity pomysł – odrzekł niezwłocznie.

– Trochę kłóci się z zasadami, nie sądzisz?

– Zdarzały się takie rzeczy już dawniej.

– Naprawdę? Gdzie?

– Słyszałem o kilku przypadkach.

– I przynosiły efekty? – Philipa ogarniało podniecenie.

– Czasami. To prawdopodobnie zależy od pogody.

– A jak się to organizuje? Czy należy to ogłosić pod koniec nabożeństwa, czy jakoś inaczej?

– To wymaga lepszej organizacji. Biskup lub przeor rozsyła gońców do parafii, gdzie ogłasza się, że dzięki pracy na placu budowy można uzyskać odpust.

– To wspaniały pomysł – uradował się Philip – moglibyśmy mieć więcej

ludzi niż zwykle, przyciągniętych nowością.

– Albo znacznie mniej – gasił jego entuzjazm Cuthbert. – Niektórzy ludzie wolą raczej dać księdzu pieniądze czy świętemu zapalić świeczkę, niż stracić cały dzień na babraniu się w błocie czy noszeniu ciężkich kamieni.

– Nigdy o tym nie pomyślałem – z Philipa nagle uszło powietrze. – Może to nie jest taki doskonały pomysł, jak myślałem.

– A dużo masz innych?

– Ani jednego.

– No to wypróbuj ten i wierz, że się uda.

– Mam nadzieję, że pójdzie doskonale – odparł Philip.

Przez całą noc poprzedzającą Zielone Świątki Philip nie zmrzął oka.

Upłynął słoneczny tydzień. Gdyby taka pogoda się utrzymała, mogłoby przybyć więcej ochotników, lecz kiedy zapadał sobotni zmierzch, zaczęło kropić. Leżał teraz, nie śpiąc, wsłuchując się, niepocieszony, w uderzenia kropli deszczu i świst wiatru w gałęziach drzew. Pomyślał, że modlił się tak dużo, iż Bóg już zna najdrobniejsze szczegóły jego położenia.

Poprzedniej niedzieli mnisi udali się do różnych parafii i głosili, że wierni mogą uzyskać odpust, jeśli będą pracować w niedzielę na placu budowy katedry. W dzień zesłania Ducha Świętego przebaczy im się grzechy za ubiegły rok, a za każdy następny przepracowany dzień będą mieli darowane grzechy powszednie popełnione w ciągu tygodnia, z wyjątkiem morderstwa i świętokradztwa. Do Shiring Philip udał się osobiście i przemawiał w każdej z jego czterech parafii. Do Winchesteru posłał dwu mnichów, by odwiedzili tyle kościółków, ile tylko im się uda. Winchester leżał co prawda o dwa dni drogi, ale Zielone Świątki obchodzono przez tydzień, a ludzie chętnie podejmowali takie podróże, udając się na jarmarki czy widowiskowe nabożeństwa, więc nic dziwnego nie byłoby w tym, gdyby po odpust także wybrali się w taką drogę. Dzięki ofiarno-

ści mnichów tysiące ludzi usłyszało ten apel. Nie wiadomo tylko, jak wielu przyjdzie.

Przez cały tydzień uwijali się na placu budowy. Sprzyjała im dobra pogoda i długie wiosenne dni. Położono fundamenty pod wschodnią ścianę prezbiterium. Część wykopów pod ścianę północną sięgnęła pełnej głębokości i była już gotowa do kładzenia fundamentów. Tom przygotował i ustawił wystarczająco dużo urządzeń do wyciągania beczek, by zapewnić ich rytmiczne wydobywanie, o ile ludzie przyjdą. Na dodatek na brzegu rzeki leżały pnie i belki spławione przez drzewiarzy i kamienie z kamieniołomu, a wszystko to miało być przeniesione na górę i porządnie ułożone. Pracy było dla setek ludzi.

Lecz czy w ogóle ktoś przyjdzie?

O północy Philip wstał i poszedł do krypty na jutrznię. Kiedy wracał z nabożeństwa, deszcz przestał padać. Nie położył się jednak, lecz czytał przy pulpicie. W ostatnim okresie tylko czas między jutrznią i prymarią mógł wykorzystać na studia i medytacje, bo przez cały boży dzień zajmował się administracją klasztoru.

Tej nocy jednakże miał trudności ze skupieniem się, a jego myśli stale kierowały się ku nadchodzącemu dniu. Jutro może stracić wszystko, czemu poświęcał się przez ponad rok. Uświadomił sobie, że być może z powodu skłonności do fatalizmu, nie powinien pragnąć zwycięstwa. Czyżby rzeczywiście stawką była jego duma? Pycha to grzech najłatwiejszy do popełnienia. Potem pomyślał o tych wszystkich ludziach, którzy byli od niego uzależnieni, o mnichach, sługach klasztornych, kamieniarzach, o Tomie i Alfredzie, mieszkańcach wsi Kingsbridge, o wiernych całego hrabstwa. Biskup nie zajmowałby się nimi tak, jak czyni to on, Philip. Waleran sądził, że może posługiwać się ludźmi w dowolny sposób, bo jest w służbie Boga. Philip zaś uważał, że opieka nad ludźmi właśnie jest tą służbą. To o tym mówiła opowieść dotycząca zbawienia. Na tym właśnie polegało odkupienie. Nie, to niemożliwe, by wygrał biskup Waleran. Wola Boża nie może być taka. Zapewne w grę wchodzi moja duma,

myślał, przyznając się przed sobą, ale na szali leżą także dusze ludzkie.

W końcu brzask przełamał czerń nocy i Philip jeszcze raz poszedł do krypty, teraz na prymarię. Mnisi byli niespokojni i podnieceni; zdawali sobie sprawę, że dzisiaj rozstrzygnie się ich przyszłość. Zakrystian pośpiesznie odprawił nabożeństwo, ale tym razem Philip mu wybaczył.

Kiedy opuścili kryptę i kierowali się do refektarza, było już jasno, a niebo okazało się czyste i błękitne. Bóg zesłał taką pogodę, o jaką się modlili. To dobry początek.

Tom Budowniczy wiedział, że w tę niedzielę rozstrzygną się jego losy.

Philip pokazał mu list od przeora Canterbury. Tom miał pewność, że jeśli katedra będzie budowana w Shiring, to biskup Waleran nie weźmie jego, tylko przyjmie jakiegoś innego mistrza budowniczego. Nie zechce wykorzystać projektów, które on przygotował dla Philipa, nie zechce tym bardziej zatrudnić kogoś, kto mógłby być lojalny wobec przeora. Tak więc dla Toma wszystko stało się jasne: Kingsbridge lub nic. Dla niego była to jedyna możliwość budowania katedry, a ona właśnie dzisiaj znajdowała się w niebezpieczeństwie.

Został poproszony na poranne zebranie kapituły. To czasami się zdarzało, gdy mnisi chcieli omówić program budowy i niezbędny był osąd fachowca, na przykład opinia o projekcie, kosztach czy harmonogramie. Dzisiaj miał wyjaśnić sprawy związane z wykorzystaniem ochotników, jeśli jacyś przyjdą. On także chciał, aby plac budowy stał się ułem wrzącym pracą na przyjazd biskupa.

Przesiedział cierpliwie czytania i modlitwy, nie rozumiejąc ani jednego łacińskiego słowa, pogrążony w myślach o tym, co ma się dokonać tego dnia. Wtem przeor przeszedł na angielski i wezwał go, by przedstawił, jak sobie wyobraża organizację pracy.

– Ja będę budować wschodnią ścianę katedry, a Alfred będzie kłaść kamie-

nie pod fundamenty – zaczął Tom. – Chodzi o to, aby biskup Henryk zobaczył, że już zaczynamy wznosić mury.

– Ilu ludzi potrzebujesz do pomocy? – spytał Philip.

– Alfred musi mieć dwu robotników, żeby mu przynosili kamienie. Wykorzysta kamienie rozbiórkowe. Ktoś musi przygotowywać zaprawę. Ja także będę potrzebował kogoś do zaprawy i dwu robotników. Alfred może brać kamienie zniekształcone, jeśli tylko mają płaskie spody i wierzchy. Ja jednak muszę mieć kamienie dokładnie obrobione, bo będzie je widać nad ziemią. Dlatego potrzebuję także dwu kamieniarzy. Trzeba ich ściągnąć z kamieniołomu.

– To wszystko jest ważne, aby zrobić wrażenie na biskupie Henryku. Jednak większość ochotników będzie kopać fundamenty.

– To prawda. Miejsca, gdzie trzeba kopać, są oznaczone.

Będą to fundamenty pod prezbiterium. Niemal wszystkie są zaledwie na kilka stóp głębokie. Mnisi muszą obsługiwać podnośniki, niektórym już pokazałem, jak to się robi, a ochotnicy będą napełniać beczki ziemią.

– A jeśli przyjdzie więcej ochotników, niż nam potrzeba? – zapytał Remigius.

– Mamy pracę praktycznie dla dowolnej ich liczby – odrzekł Tom. – Jeżeli nie wystarczy podnośników, ludzie mogą wynosić ziemię w kubłach czy koszach. Pod kierunkiem cieśli można robić dodatkowe drabiny, drewna mamy dosyć.

– Musi być jakaś granica, by ludzie kopiąc, nie łazili jeden drugiemu po głowie – upierał się Remigius.

Tom miał wrażenie, że subprzeor po prostu chce się pokłócić. Powiedział więc:

– To duży dół. Pomieści kilka setek.

– Poza kopaniem jest jeszcze sporo innych prac – rzekł Philip.

– To prawda, ojczcie. Drugim ważnym terenem prac jest zbocze, od brzegu rzeki do placu budowy. Tamtędy trzeba nosić belki i kamienie. Mnisi muszą za-

pewnie sprawne przenoszenie materiałów z brzegu i składowanie ich we właściwych miejscach na placu budowy. Kamienie trzeba układać obok wykopów, ale tak, by nie przeszkadzały. Cieśla wskaże miejsce na drewno.

– Czy wszyscy ochotnicy będą niewykwalifikowani? – spytał Philip.

– Niekoniecznie, ojcze. Jeśli przyjdą ludzie z miast, może się trafić między nimi kilku rzemieślników. Mam taką nadzieję. Musimy się o nich wywiedzieć i wykorzystać ich. Cieśle mogą stawiać warsztaty do pracy w zimie. Wszyscy murarze mogą przycinać kamienie i kłaść fundamenty. Jeśli znajdą się kowale, skierujemy ich do kuźni we wsi, niech robią narzędzia. Wszystko to będzie niesłychanie użyteczne.

Brat Milius oświadczył:

– To jest już całkiem jasne. Powinniśmy zacząć pracę. Niektórzy mieszkańcy z naszej wsi już tu przyszli. Czekają, by im powiedzieć, co mają robić.

Tom miał jeszcze coś do powiedzenia mnichom, coś bardzo subtelnego, ale ogromnie ważnego. Szukał właściwych słów. Mnisi mogą być aroganccy i wywyższać się ponad ochotników. Tom zaś pragnąłby, aby dzisiejsza praca toczyła się gładko i w serdecznej atmosferze.

– Już kiedyś pracowałem z ochotnikami – zaczął. – Jest bardzo ważne, żeby... żeby nie odnosić się do nich jak do sług. Możemy wiedzieć, że oni pracują po to, by otrzymać zapłatę w niebie, a przez to powinni pracować ciężiej niż za pieniądze, ale oni przecież niekoniecznie muszą wykazywać taką postawę. Mogą uważać, że czynią nam wielką łaskę, gdyż pracują za darmo. Jeśli w ich oczach będziemy wyglądać na niewdzięcznych, to będą pracować powoli i nieuważnie, zaczną popełniać błędy. Najlepiej kierować nimi bardzo łagodnie.

Spojrzał na Philipa i zauważył, że przeor tłumy uśmiech, jakby rozumiał, jakie złe przecucia kierowały Tomem, gdy wypowiadał te słowa.

– Doskonale, że zwróciłeś nam na to uwagę – rzekł Philip. – Jeśli dobrze się z nimi obejdziemy, to poczują się radośniej, a to stworzy dobrą atmosferę, która wywrze wrażenie na biskupie Henryku. – Popatrzył na zebranych. – Jeśli

nie ma innych pytań, zaczynajmy.

Aliena pod opiekuńczym skrzydłem przeora Philipa przeżyła szczęśliwy rok, czuła się bezpiecznie i dostatnio.

Wszystkie jej plany się udały. Podróżowała z Richardem po hrabstwie, skupując runo od kmieci przez całe lato, a potem sprzedawała je Philipowi za każdym razem, kiedy uzbierała pełny worek. Na koniec sezonu mieli pięć srebrnych funtów.

Ojciec zmarł kilka dni po ich odwiedzinach, chociaż Aliena usłyszała o tym dopiero koło Bożego Narodzenia. Musiała dać sporo srebra, aby się dowiedzieć, gdzie go pochowano. Okazało się, że leży na cmentarzu biedoty w Winchesterze. Płakała gorzko, nie tyle za nim samym, ile za ich dawnym życiem, za bezpiecznym i beztruskim życiem, które już nigdy nie wróci. W jakiś sposób pożegnała go jeszcze przed śmiercią – kiedy wychodziła z więzienia, wiedziała, że już go nie zobaczy. Lecz ojciec wciąż był przy niej, bo przecież przysięgała i postanowiła poświęcić swój los na wypełnienie jego woli.

Zimę spędzili w niewielkim domku przy klasztornej murze w Kingsbridge. Zbudowali wóz, a na wiosnę kupili młodego wołu. Sezon strzyży właśnie ruszył na całego i już zdążyli zarobić więcej, niż ich kosztował zaprzęg. W następnym roku może będzie ją stać na przyjęcie pracownika do pomocy, a Richardowi znajdzie miejsce w domu jakiegoś szlachcica, by mógł rozpocząć naukę rycerskiego rzemiosła.

To wszystko zależało jednak od przeora Philipa.

Jako osiemnastoletnia, samodzielna dziewczyna wciąż jeszcze myślała, że należy być w porządku wobec każdego, zarówno złodzieja, jak i uczciwego kupca. Próbowwała sprzedawać wełnę handlarzom w Shiring i w Gloucesterze, by po prostu sprawdzić, co się stanie, i zawsze dawano jej połowę ceny. Nigdy nie zdarzyło się, by w mieście było więcej kupców, zawsze tylko jeden, więc

nie miała wyboru. Na koniec postanowiła, że kiedyś będzie miała swój magazyn i zacznie sprzedawać runo bezpośrednio flamandzkim kupcom, ale do tego jeszcze miała długą drogę. Tymczasem była zależna od przeora.

A jego sytuacja nagle okazała się zagrożona.

Nauczyła się strzec banitów i złodziei, ale obecną sprawę odczuła jako wstrząs; wszystko układało się gładko, a nagle w tak niespodziewany sposób nad całym życiem, nad zarobkami i planami zawisa niebezpieczeństwo.

Richard wcale nie chciał pracować na placu budowy w niedzielę Zielonych Świątek, co świadczyło co najmniej o niewdzięczności, lecz zmusiła go i teraz we dwójkę szli do furty klasztornej. Słońce dopiero wzeszło. Niemal cała wieś wyległa: trzydziestu czy czterdziestu mężczyzn, niektórzy z żonami i dziećmi. Zaskoczyło to Alienę, ale potem przypomniała sobie, że Philip był ich panem, a kiedy pan woła o ochotników, to prawdopodobnie dość niemądrze jest odmawiać. Przez ostatni rok zyskała całkiem zaskakującą wiedzę o życiu prostych ludzi.

Tom Budowniczy kierował ludzi do poszczególnych robót. Richard natychmiast zaczął rozmawiać z jego synem Alfredem. Byli niemal w tym samym wieku – Richard miał piętnaście, a Alfred może rok więcej – i razem grywali w piłkę z wiejskimi dziećmi co niedziela. Dziewczynka, Martha, też tutaj była, ale kobiety, Ellen, i śmiesznie wyglądającego chłopca nigdy nie widziała. Zniknęli i nikt nie wiedział, gdzie są. Pamiętała, kiedy rodzina Toma przyszła do Earlscastle. Wtedy byli nędzarami. Podobnie jak ją, uratował ich przeor Philip.

Aliena i Richard dostali po łopacie i kazano im robić wykopy. Zaczęła energicznie wyrzucać ziemię. Kiedy nawet kopało pięćdziesiąt osób, to i tak długo trwało, nim pogłębienie rowu stawało się widoczne. Richard dość często odpoczywał, opierając się na łopacie. W końcu mu powiedziała: „Jeśli masz zamiar kiedykolwiek zostać rycerzem, to teraz kop!”. Ale nie dało to efektu.

Aliena schudła, lecz nabrała krzepy dzięki wędrownikom po traktach i dźwiganii ciężkich worków. A jednak przekonała się, że kopanie powoduje silny

ból pleców. Była wdzięczna przeorowi za ogłoszenie przerwy. Mnisi przynieśli z kuchni gorący chleb i podawali słabe piwo. Słońce świeciło mocniej, coraz mocniej. Kilku mężczyzn obnażyło się do pasa.

Nadeszła grupa obcych. Aliena popatrzyła na nich z nadzieją.

Była ich co prawda tylko garstka, ale może stanowili czoło większej grupy. Podeszli do stołu, gdzie stał przeor, doglądając wydawania jedzenia i picia. Powitał ich mile.

– Skąd jesteście? – spytał, kiedy przełknęli z wdzięcznością zawartość ofiarowanych im kubków piwa.

– Z Horsted – odrzekł jeden z nich, wycierając usta rękawem.

Zabrzmiało to obiecująco: Horsted to wioska licząca może dwustu, może trzystu mieszkańców, odległa o kilka mil od Kingsbridge. Jeśli będą mieli szczęście, to z tej wioski może przyjdzie ze stu ludzi.

– A ilu was wszystkich szło? – chciał wiedzieć Philip.

Mężczyzna wyglądał na zaskoczonego pytaniem.

– Nasza czwórka.

Ludzie małym strumykiem napływali do klasztoru przez cały ranek. Doszło do liczby mniej więcej siedemdziesięciu czy osiemdziesięciu ochotników, licząc także mieszkańców przyklasztornej wioski. Potem strumyk znikł.

Przyszło ich za mało.

Philip stał przy wschodnim krańcu i przyglądał się budowniczemu stawiającemu ścianę. Tom zbudował już podstawy pod dwie przypory do poziomu trzeciego rzędu kamieni, a teraz budował ścianę między nimi. Przeor przygnębiony pomyślał, że ta ściana nigdy nie zostanie skończona.

Tom rozpoczął swoją pracę od sprawdzenia, czy bloki kamienne mają kąty proste. Potem szuflą nakładał warstwę zaprawy, kielnią złobił w niej rowki, kładł nowy kamień i zdrapywał nadmiar zaprawy. Podczas układania kierował

się wskazaniai napiętego sznurka, który starannie uprzednio wymierzywszy, rozpiął między przyporami.

Philip zauważył, że kamień wygładzono niemal równie dokładnie z wierzchu i od spodu, gdzie przecież była zaprawa, a także na stronie, którą było widać. Zaskoczony, spytał o powód.

– Kamień, ojczy, nie może, pod żadnym pozorem, dotykać tego pod nim ani tego nad nim. Dlatego kładzie się zaprawę.

– A dlaczego nie wolno im się stykać?

– Bo to powoduje pęknięcia – Tom wyprostował się, by udzielić wyjaśnień. – Jeśli staniesz, ojczy, na dachu z samych dachówek, to noga ci wpadnie do środka, ale jeśli położysz w poprzek dachu tarcicę i pokryjesz deski dachówkami, możesz po płytkach chodzić bez obawy, że je uszkodzisz. Deski przyjmują nacisk, właśnie to czyni zaprawa.

Philip nigdy się nad tym nie zastanawiał. Budowanie to wciągające zajęcie, szczególnie przy kimś takim jak Tom, który potrafi wyjaśnić, co właśnie robi. Przeor uśmiechnął się do siebie.

Najbardziej szorstka była tylna strona kamienia. A przecież, myślał Philip, ta strona będzie widoczna od środka. Wtedy przypomniał sobie, że Tom buduje ścianę podwójną, a między obiema „skorupami” ma zostać wolna przestrzeń. Tył każdego kamienia będzie więc ukryty.

Po ułożeniu kamienia na właściwym miejscu budowniczy brał poziomnicę. Był to żelazny trójkąt, ze szczytu którego zwisał skórzany rzemyk, a na podstawie miał jakieś znaki. Do rzemyka przyczepiono ołowiany ciężarek, dzięki czemu zawsze zwisał pionowo. Tom kładł przyrząd podstawą trójkąta na kamieniu i patrzył, jak układa się ten rzemyk. Jeśli zwisał po którejś stronie znaczka środkowego, Tom stukał młotkiem w kamień, dopóki nie leżał dokładnie poziomo. Potem przesuwiał przyrząd między dwa kamienie przyległe i sprawdzał, czy ich górne płaszczyzny tworzą dokładnie tę samą powierzchnię. Wreszcie przesuwiał poziomnicę na boki i sprawdzał, czy kamień nie ma jakichś odchyłów. Zanim

położył następny blok, strzelał napiętym sznurkiem, by się upewnić, że lica kamieni tworzą dokładnie prostą linię. Do tej pory przeor nie uświadamiał sobie, jak ważne jest, aby kamienny mur był prosty w pionie i poziomie.

Philip przeniósł wzrok na resztę placu budowy. Był on taki rozległy, że osiemdziesiątka ludzi prawie zginęła. Wszyscy pracowali radośnie w promieniach słońca, lecz było ich tak mało, że nad wysiłkami krążyło widmo daremności. Początkowo myślał o setce. Teraz jednak widział, że nawet tylu to nie dosyć.

Kolejna grupka przeszła przez bramę i Philip zmusił się do powitania ich uśmiechem. Nie muszą wiedzieć, że ich wysiłki pójdą na marne. I tak zarobią na odpuszczenie grzechów.

Ta grupa była większa. Może w południe będzie miał swoją setkę, akurat na przyjazd biskupa.

– Niech was wszystkich błogosławi Bóg! – Już miał im wskazywać miejsca, gdzie mają kopać, kiedy przerwał mu okrzyk:

– Philip!

Zmarszczył się z dezaprobatą. Głos należał do brata Miliusa. Nawet kwestarz powinien dodawać „ojcze”, kiedy odzywał się do niego publicznie. Philip spojrzał w kierunku, z którego dobiegł głos. Milius balansował na murze klasztornym w jakiejś niezbyt dostojnej pozie. Spokojnym, lecz stanowczym głosem Philip powiedział:

– Bracie Miliusie, proszę zejść z muru.

Ku swemu zdziwieniu usłyszał w odpowiedzi:

– Właż tutaj i popatrz na to!

Nowo przybyli dostaną kiepski przykład klasztornej posłuszeństwa, pomyślał przeor, ale nie mógł powstrzymać się od zastanawiania nad powodem, dla którego Milius podniecił się aż tak bardzo, że zapomniał o dobrych manierach.

– Zejdź i powiedz mi o tym, bracie Miliusie – rzekł tonem, jaki zwykle re-

zerwował dla niesfornych nowicjuszy.

– Musisz to zobaczyć! – krzyknął Milius.

Lepiej, żeby miał powód, pomyślał rozzłoszczony, ale przecież nie będzie rugał swego przyjaciela na oczach tych ludzi, więc zmusił się do uśmiechu i zrobił, o co go proszono. Zirytowany i już na granicy gniewu przeszedł przez błoto koło stajni i wskoczył na niski mur.

– Co ma znaczyć takie zachowanie? – syknął.

– Tylko spójrz! – Kwestarz pokazywał coś wyciągniętą ręką.

Patrząc za jego gestem, Philip spojrział nad chałupami wioski, wzdłuż rzeki, ku to wznoszącej się, to opadającej drodze. W pierwszej chwili nie wierzył własnym oczom. Między polami, gdzie zieleniły się przysze zbiory, falującą drogę wypełniały setki ludzi, wielka masa zmierzająca do Kingsbridge.

– Co to takiego? – spytał, nie rozumiejąc. – Jakaś armia? – I wtem pojął. Przecież to ochotnicy. Serce podskoczyło mu z radości. – Popatrz tylko! – krzyknął. – Tam będzie z pięć setek... może tysiąc... albo i więcej!

– Tak! – radośnie przytaknął Milius. – Przyszli w końcu!

– Jesteśmy uratowani! – Philipa przejęła radość tak wielka, że zapomniał, iż miał się gniewać na Miliusa.

Ludzka masa wypełniała całą drogę od mostu, sięgała przez wioskę aż do furty. Ludzie, których z takim trudem witał, stanowili czoło wielkiego pochodu. Teraz ta falanga wlewała się przez bramę, a na zachodniej stronie placu budowy roily się tłumy, czekając na kogoś, kto powie im, co mają robić. Radośnie, z lekkim sercem zawołał:

– Alleluja!

Nie wystarczy jednak cieszyć się. Tych ludzi trzeba wykorzystać. Zeskoczył z muru.

– Chodź! – krzyknął do Miliusa. – Odwołaj wszystkich braci od pracy. Musimy zrobić z nich nadzorców. Każ Bernardowi piec tyle chleba, ile zdoła, i niech wytoczy kilka beczek piwa. Będziemy potrzebowali więcej kubłów i ko-

szyków, i łopat. Musimy dać tym wszystkim ludziom robotę, zanim przybędzie biskup Henryk.

Przez następną godzinę przeor był niesłychanie zajęty. Najpierw, aby zrobić trochę miejsca, wyznaczył jakieś setce noszenie materiałów z brzegu rzeki na górę. Skoro tylko kwestarz zebrał grupę nadzorczą, jął kierować ochotników na dół, do kopania fundamentów. Wkrótce zabrakło kubłów i koszyków, nie mówiąc o łopatach. Philip nakazał przynieść z kuchni wszystkie naczynia. Polecił kilku ochotnikom zbijanie prostych skrzynek i platform do noszenia ziemi. Brakowało drabin i podnośników, zrobili więc zejścia na końcu wykopu pod fundamenty i ludzie mogli tamtędy chodzić. Uświadomił sobie, że nie pomyślał o miejscu na ziemię, którą w wielkich ilościach wydobywano z wykopów. Teraz nie było czasu na zajmowanie się tym, podjął więc błyskawiczną decyzję i nakazał ziemię rzucać na spłacheć kamienistego gruntu przy rzece. Może da się przystosować pod uprawę. Kiedy wydawał te polecenia, przybiegł do niego zdenerwowany kuchmistrz Bernard. Oznajmił, że przygotował się na dwie setki ludzi, a tutaj jest przecież ponad tysiąc!

– Rozpal ogień na kuchennym podwórku i gotuj w kadziach zupę. Rozdawaj piwo. Wykorzystaj wszelkie zapasy. Weź kilku ze wsi do pomocy przy przygotowywaniu jedzenia, niech używają własnych palenisk. Myśl sam! – Odwrócił się od kuchmistrza, by zakończyć organizowanie pracy.

Jeszcze wydawał polecenia, kiedy ktoś poklepał go po ramieniu i odezwał się po francusku:

– Przeorze Philipie, czy mogę prosić o chwilę twojej uwagi? – To Dean Baldwin z asysty Walerana Bigoda.

Philip odwrócił się i zobaczył grupę wizytacyjną, wszystkich wierzchem i wspaniale odzianych, ze zdziwieniem wpatrujących się w sceny, jakie się przed nimi rozgrywały. Dojrzał biskupa Henryka, niskiego, tęgawego męża o wojowniczym wyglądem. Jego fryzura duchownego kontrastowała ze zdobioną haftami szkarłatną peleryną. Za nim dostrzegł biskupa Walerana, jak zawsze

na czarno. Rozczarowanie nie do końca kryło się pod maską lodowatej pogardy. Za nimi rozpoznał Percy'ego Hamleigha, a także jego syna Williama i odrażającą żonę Regan. Percy i William wyglądali na otumanionych, ale Regan doskonale pojęła, co Philip osiągnął, i była wściekła.

Przeor skierował wzrok na biskupa Henryka i ze zdziwieniem zauważył, że biskup zaszczycił go zainteresowaniem. Philip odpowiedział szczerym spojrzeniem. Wyraz twarzy biskupa Henryka ukazywał zaskoczenie, ciekawość i rodzaj rozbawionego uznania. Po chwili Philip zbliżył się do biskupa, przytrzymał uźdę jego konia i ucałował wyciągniętą, upierścienioną rękę.

Henryk zsiadł płynnym ruchem, a pozostali podążyli za nim. Philip zawołał kilku mnichów, by zajęli się końmi. Biskup w przybliżeniu był w jego wieku, ale tusza i okazałe szaty powodowały, że wyglądał starzej.

– No cóż, ojcze Philipie, przybyłem, by zweryfikować raporty mówiące, że nie jesteś w stanie budować nowej katedry w Kingsbridge. – Przerwał, rozejrzał się po setkach robotników. – Zdaje się, że zostałem źle poinformowany.

Zamarło mu serce. Henryk nie mógł powiedzieć jaśniej. Wygrał.

Philip zwrócił się do biskupa Walerana. Bez trudu dostrzegł, że jego zwierzchnik hamuje wybuch złości. Znow został pobity. Philip przykląkł, skłaniając głowę, by ukryć wyraz triumfu, i ucałował jego dłoń.

Tom cieszył się budowaniem ściany. Tak dawno tego nie czynił, że zapominał o głębokim spokoju, jaki przychodzi podczas układania jednego kamienia na drugim.

Kiedy ochotnicy zaczęli przybywać setkami i przekonał się, że wszystko się udało, ucieszył się jeszcze bardziej. Te kamienie staną się częścią jego katedry, a ten murek, wysoki na razie na stopę, przy końcu pracy sięgnie nieba. Pomyślał, że to tak jakby znalazł się na początku ostatniego etapu swego życia.

Wiedział, kiedy przybył biskup Henryk. Podobnie jak kamień wrzucony do

stawu powoduje rozchodzenie się fal, tak pojawienie się biskupa spowodowało poruszenie wśród ludzi, którzy na chwilę przerywali pracę, by popatrzeć na bogato odziane postacie ostrożnie przesuujące się przez błoto. Tom w dalszym ciągu kładł kamienie. Biskupa musiał poruszyć widok tysiąca ochotników, radośnie i z zapałem pomagających budować nową katedrę. Teraz kolej na niego, by zrobił podobnie dobre wrażenie. Nigdy nie przychodziło mu z łatwością obcowanie z moźnymi, ale wystarczy, że okaże się kompetentny i mądry, spokojny i pewny siebie, że okaże się człowiekiem, któremu można z ufnością powierzyć funkcję odpowiedzialnego za całość rozległego, kosztownego i kłopotliwego projektu budowlanego.

Zatrzymał spojrzenie na gościach, a kiedy do niego podeszli, opuścił kielnię. Przeor Philip prowadził biskupa Henryka do Toma, a ten ukląkł i ucałował dłoń dostojnego gościa. Przeor go przedstawił:

– Tom jest naszym budowniczym, zesłanym przez Boga w dniu, kiedy spłonął stary kościół.

Tom ponownie przykląkł przed biskupem Waleranem, potem popatrzył na resztę orszaku. Przypomniiał sobie, że jest mistrzem budowniczym i nie powinien okazywać nadmiernej uniżoności. Rozpoznał Percy'ego Hamleigha, dla którego kiedyś zbudował pół domu.

– Witaj, lordzie Percy – rzekł z niewielkim pochyleniem głowy. Spojrzał na jego odrażającą żonę. – Witaj, lady Regan. – Potem jego wzrok spoczął na synu hrabiego. Przypomniiał sobie, jak potężny koń Williama omal nie stratował Marthy i jak William chciał kupić Ellen, wtedy w lesie. Ten młodzik jest zdolny do wszystkiego. Tom jednak przybrał maskę uprzejmości. – I młody lord William. Pozdrawiam.

Biskup Henryk mile spojrzał na Toma.

– Czy sam wykonałeś projekty, Tomie Budowniczy?

– Tak, wielebny biskupie, czy chciałbyś je zobaczyć?

– Jak najbardziej.

– Może więc zechciałbyś wstąpić tam, wielebny ojcze.

Henryk skinął głową, a Tom poprowadził go w stronę szopy, odległej o kilka jardów. Wszedł do środka i wyniósł płaski plan, narysowany na płycie gipsowej w obramowaniu z drewna długim na cztery stopy. Oparł o ścianę i odszedł parę kroków.

Bardzo delikatny moment. Większość ludzi nie umie czytać planów, ale biskupi i lordowie nie lubią się do tego przyznawać, tedy koniecznie trzeba tak wyjaśniać, aby nie wyszła na jaw ich ignorancja. Niektórzy biskupi oczywiście rozumieli plany, a wtedy czuli się urażeni, że instruuje ich rzemieślnik.

Tom nerwowo wskazał na plan i rzekł:

– To tę ścianę buduję.

– Tak, oczywiście, wschodnia ściana – rzekł biskup Henryk. To była odpowiedź; umiał doskonale czytać plany. – Dlaczego transepty nie mają bocznych przejść?

– Z oszczędności, wielebny ojcze. Jednakże nie zaczniemy ich budować wcześniej, niż za pięć lat, a jeśli klasztor będzie prosperował równie dobrze, jak w pierwszym roku urzędowania przeora Philipa, może się okazać, że stać nas będzie na boczne przejścia w transeptach. – Tom był z siebie zadowolony: pochwalił przeora Philipa i jednocześnie odpowiedział na pytanie.

Henryk aprobowo skinął głową.

– Rozsądny plan, skromny, ale zostawia miejsce na rozwinięcie. Pokaż mi elewację.

Tom wyciągnął odpowiedni schemat. Nie komentował, bo już wiedział, że biskup Henryk wyczyta co trzeba.

– Te proporcje radują mnie – rzekł biskup.

– Dziękuję ci, wielebny ojcze. – Zdawało się, że biskupowi podobało się wszystko. – To skromna budowla, ale będzie lżejsza i pełna światła, a także piękniejsza niż stara katedra.

– Ile lat pracy przewidujesz?

– Piętnaście lat, jeśli nie przerwiemy robót.

– Oby tak było. Czy mógłbyś nam pokazać, jak będzie wyglądała... mam na myśli, jak będzie wyglądać dla kogoś na zewnątrz?

Tom zrozumiał, o co chodzi biskupowi.

– Chcesz, ojcze wielebny, zobaczyć szkic?

– Tak.

– No pewnie.

Tom ruszył ku swej ścianie, a grupa gości za nim. Ukłął przy skrzyni z zaprawą, wylał cienką warstwę, wyrównał i wygładził powierzchnię, potem końcem kielni narysował w zaprawie szkic zachodniej części kościoła. Wiedział, że robi to dobrze. Biskup i jego grupa, a także wszyscy mnisi i stojący w pobliżu ochotnicy patrzyli zafascynowani. Rysowanie zawsze wydawało się ludziom, którzy tego nie potrafili, jakimś cudem. W kilka chwil budowniczy stworzył kontur zachodniej fasady, w nim trzy wejścia łukowo zwieńczone, wielkie okna i wieżyczki po bokach. To łatwa sztuczka, ale robiła wrażenie.

– Godne uwagi – rzekł biskup Henryk, kiedy rysunek był skończony. – Niech błogosławieństwo Boże dołączy do twych umiejętności.

Tom uśmiechnął się. Oto coś, co dodatkowo wzmacniało jego pozycję.

Odezwał się przeor Philip:

– Wasza Ekscelencjo, czy zechcesz się odświeżyć przed celebrowaniem mszy?

– Byłbym rad.

Tomowi ulżyło. Egzamin minął. Zdał.

– Zapraszam do siebie, to tuż obok – rzekł Philip do biskupa. Grupa gości ruszyła we wskazaną stronę, a Philip ścisnął ramię Toma i mruknął głosem powstrzymanej radości: – Udało się!

Tom wydał z siebie westchnienie ulgi, kiedy już dostojnicy odeszli. Czuł radość i dumę. Tak, udało się. Wywarli na biskupie Henryku nie tylko wrażenie; był poruszony głęboko mimo swej dumnej postawy. Najwidoczniej Wale-

ran przygotował go na obraz bierności, więc rzeczywistość stała się tym bardziej uderzająca. W efekcie złośliwość Bigoda obróciła się przeciw niemu samemu i zwiększyła jeszcze triumf Philipa i Toma.

Właśnie wtedy, gdy odurzał się uczciwym zwycięstwem i chwałą, usłyszał znajomy głos:

– Dzień dobry, Tomie Budowniczy.

Odwrócił się i zobaczył Ellen.

Wpatrzył się w nią ze szczęściem w oczach. Wyglądała dokładnie tak samo, jak w dniu, kiedy odchodziła: gibka, opalona, o włosach brązowych, układających się w fale, i z tymi głęboko osadzonymi oczyma, jarzącymi się złotem. Uśmiechnęła się do niego pełnymi ustami, co natychmiast nasunęło mu myśl o całowaniu.

Najchętniej pochwyliłby ją w ramiona, ale stłumił to uczucie. Z pewną trudnością udało mu się powiedzieć:

– Witaj, Ellen.

Młody człowiek, który stał za Ellen, zwrócił się do niego:

– Witaj, Tom.

Tom popatrzył z ciekawością.

– Nie pamiętasz Jacka? – spytała.

– Jack! – zawołał zaskoczony. Młodzik się zmienił. Teraz trochę przerastał matkę i miał tę szczupłą budowę ciała, o której babcie mówią, że chłopiec prerósł swą siłę. Jasnorude włosy, blada cera i niebieskie oczy nie zmieniły się, ale rysy stały się wyraziste. Niebawem będzie z niego przystojny mężczyzna.

Tom znowu popatrzył na Ellen. Przez chwilę cieszył się, wpatrując się w nią. Chciał powiedzieć: „Tęskniłem za tobą, nie umiem wyrazić, jak bardzo tęskniłem” i miał to prawie na końcu języka, ale nagle stracił opanowanie.

– No, gdzie się podziewałaś?

– Mieszkaliśmy tam gdzie zawsze, w lesie.

– A co was nakłoniło do przyjscia tutaj, właśnie dzisiaj?

– Słyszeliśmy prośbę o przybycie ochotników i ciekawiło nas, jak sobie z tymi wszystkimi ludźmi poradzisz. I nie zapomniałam, że przyrzekłam wrócić któregoś dnia.

– Rad jestem, że tak zrobiłaś. Tęskniłem za tobą.

– Och! – Spojrzała czujnie.

Właśnie na ten moment czekał, o nim myślał i planował go przez cały rok, a kiedy wreszcie nadszedł, poczuł lęk. Do tej pory mógł żyć nadzieją, ale jeśli dzisiaj ona go odrzuci, straci Ellen i nadzieję na zawsze. Bał się zacząć. Cisza zdawała się trwać wieczność. Wziął głęboki wdech.

– Słuchaj – powiedział. – Chcę, żebyś do mnie wróciła. Proszę, nic teraz nie mów, dopóki nie skończę, dobrze?

– Dobrze – odparła zgodnie.

– Philip jest dobrym przeorem. Klasztor zamożnieje coraz bardziej dzięki jego przewodnictwu. Moja praca tutaj jest pewna. Nie musielibyśmy już nigdy włączyć się po traktach, przyrzekam.

– To nie o to...

– Wiem, ale chcę ci powiedzieć wszystko.

– W porządku.

– Zbudowałem domek we wsi, ma dwie izby i kominek, a mogę go powiększyć. Nie musielibyśmy mieszkać w klasztorze.

– Przeor Philip jest właścicielem wioski.

– Teraz ma wobec mnie dług. – Tom pomachał ręką, wskazując otaczającą ich scenę. – Wiem, że nie osiągnąłby tego beze mnie. Jeśli poproszę go o wybaczenie ci twego czynu i zwrócę mu uwagę na twe roczne wygnanie jako wystarczającą pokutę, zgodzi się. Nie może mi odmówić, właśnie dzisiaj.

– A co z chłopcami? – spytała. – Czy myślisz, że będę przyglądać się, jak Alfred bije do krwi Jacka za każdym razem, gdy poczuje złość?

– Myślę, że i na to już mogę odpowiedzieć, naprawdę. Alfred jest teraz murarzem. Ja wezmę Jacka jako swego terminatora. A ty będziesz mogła nauczyć

Alfreda czytać i pisać, dzięki czemu obaj chłopcy staną się sobie równi. Obaj pracujący, obaj wykształceni.

– Wiele o tym myślałeś, prawda?

– Tak. – Czekał na jej reakcję. Nie umiał przekonywać. Jedyne przedstawił sytuację. Jeśli tylko mógłby jej to narysować! Czuł, że rozwiązał wszelkie możliwe problemy. Musisz się zgodzić! Lecz ona wciąż się wahała.

– Nie jestem pewna – powiedziała.

Przestał nad sobą panować.

– Och, Ellen, nie mów tak! – Znowu bał się, że zacznie płakać na oczach wszystkich, dławiło go tak, że mówił z wielkim trudem. – Tak bardzo cię kocham, nie odchodź, proszę, nie odchodź znowu – żebrał. – Jediną rzeczą, która trzymała mnie tutaj i nie pozwalała odejść, była nadzieja, że wrócisz. Ja nie zniosę więcej życia bez ciebie. Nie zamykaj bram do raju, czyż nie widzisz, że kocham cię całym sercem?

Jej zachowanie zmieniło się natychmiast.

– Dlaczego nie powiedziałeś tego od razu? – wyszeptała i podeszła do niego. Objął ją ramionami. – Ja także ciebie kocham, ty głuptasie.

Oślabł z radości. Kocha mnie, kocha, myślał. Uścisnął ją mocno, potem popatrzył jej w twarz.

– Wyjdiesz za mnie, Ellen?

Łzy kręciły się w jej oczach, ale uśmiechnęła się.

– Tak, Tomie, wyjdę za ciebie – odrzekła. Spojrzała mu w oczy.

Przyciągnął ją do siebie i pocałował. Śnił o tym ponad rok. Zamknął oczy i skupił się na zachwycającym zetknięciu ich ust. Jej wargi były rozchylone i wilgotne. Pocałunek był tak cudowny, że zapomniał się na chwilę. Wtem ktoś obok zawołał:

– Nie połknij jej, człowieku!

Odsunął się i powiedział do Ellen:

– Jesteśmy w kościele!

– A co mnie to obchodzi! – odrzekła wesoło i pocałowała go jeszcze raz.

Przeor Philip znowu ich przechytrzył, myślał młody William, siedząc w domu przeora, popijając rozwodnione wino i zjadając smakołyki przyniesione z kuchni klasztornej. Zajęło mu trochę czasu, by docenić błyskotliwość całkowitego zwycięstwa Philipa. W Waleranowym opisie sytuacji nie było żadnego błędu: Philip nie miał pieniędzy i budował katedrę z niesłychanym trudem, wszystko tutaj wisiało na włosku, a jednak ten przebiegły mnich poczynił widoczne postępy w budowie, przyjął mistrza, zaczął budowę, a potem, z niczego, załatwił sobie ogromną siłę roboczą, żeby omamić biskupa Henryka. A ten dał się omamić, tym bardziej że Waleran przedstawił tak czarną wizję.

Ten przeklęty przeor wiedział, że wygrał. Nie umiał ukryć triumfalnego uśmiechu na twarzy. Teraz zagłębił się w rozmowie z biskupem Henrykiem, rozwijając z zapałem temat hodowli owiec i ceny wełny, a Henryk słuchał uważnie, niemal z szacunkiem, grubiańsko ignorując matkę i ojca Williama, którzy przecież znaczyli o wiele więcej niż jakiś tam przeor.

Philip jeszcze pożałuje tego dnia. Nikomu nie wolno bezkarnie wynosić się nad Hamleighów. Mnisi nie mieli dostatecznie mocnej pozycji, by pozwalać sobie na wszystko. Bartholomew z Shiring obraził ich i zdechł w więzieniu jako zdrajca. Philip dalej nie zawęduje.

Tom Budowniczy to kolejny człowiek, który za włożenie w drogę Hamleighom zapłaci jak należy. William nie zapomniał, jak Tom poniżył go w Durstead, przytrzymując konia i zmuszając do zapłacenia ludziom. A dzisiaj ośmielił się nazwać go bez respektu „młodym lordem Williamem”. Myślał, że złapał pana Boga za nogi, bo buduje katedrę, a nie domostwo. Nauczy się, że lepiej nie zaczynać z Hamleighami i nie przyłączać się do ich wrogów.

William siedział naburmuszony, dopóki biskup Henryk nie wstał i nie oświadczył, że jest gotów do nabożeństwa. Philip machnął w stronę nowicju-

sza, a ten wybiegł z pokoju i po chwili rozległo się bicie dzwonu.

Wszyscy wyszli, najpierw biskup Henryk, za nim biskup Waleran, potem przeor Philip, a dopiero za nimi świeccy. Na zewnątrz czekali mnisi, ustawili się rzędem za przeorem Philipem i sformowali procesję. Hamleigowie musieli zamykać tyły.

Ochotnicy wypełnili całą zachodnią połowę klasztornego dziedzińca, siedząc na dachach i murach. Biskup Henryk wspiął się na piedestał pośrodku placu budowy. Mnisi ustawili się za nim w rzędach, tam gdzie kiedyś staną stalle. Hamleigowie i inni świeccy ustawili się w przyszłej nawie.

Kiedy zajmowali miejsca, William dostrzegł Alienę.

Wyglądała całkiem inaczej, niż zapamiętał. Odziewała ją gruba tania szata, na nogach miała drewniaki. Lecz niewątpliwie była to Aliena i wciąż tak samo piękna. W gardle mu zaschło i wpatrywał się, niezdolny do oderwania od niej oczu, a w tym czasie zaczynało się nabożeństwo i cały klasztorny dziedziniec wypełnił się tysiącem głów powtarzających *Ojcze nasz*.

Zdawało się, że wyczuła jego świdrujące spojrzenie, bo wyglądała na zakłopotaną, przestępowała z nogi na nogę, jakby nie umiała znaleźć sobie miejsca, wreszcie zaczęła się rozglądać dookoła. W końcu napotkała jego wzrok. Wyraz zgrozy i strachu pojawił się na jej twarzy i rzuciła się w tył, mimo że dzieliło ją od niego dziesięć jardów albo i więcej. Jej strach uczynił ją w jego oczach jeszcze bardziej godną pożądania i poczuł, że ciało odpowiada na to wezwanie w sposób, jakiego nie zaznał od roku. Jego pożądanie mieszało się z nienawiścią za czar, jaki na niego rzuciła. Ona zaczerwieniła się i spuściła wzrok, jakby jej było wstyd. Powiedziała coś krótko do chłopca stojącego obok niej. To jej brat, oczywiście, pomyślał Will, przywołując tę twarz w błysku erotycznego wspomnienia. Aliena odwróciła się i zniknęła w tłumie.

Miał ochotę podążyć za nią, ale oczywiście nie mógł, nie w środku nabożeństwa, na oczach rodziców, dwu biskupów, czterdziestu mnichów i tysiąca wiernych. Więc rozczarowany odwrócił się plecami do tłumu. Nie uda mu się

dowiedzieć, gdzie mieszka.

Aczkolwiek uszła, w jego umyśle była wciąż obecna. Zastanawiał się, czy to, że w kościele ma erekcję, to grzech.

Zauważył, że ojciec jest podekscytowany.

– Spójrz! – mówił do matki. – Spójrz na tę kobietę!

W pierwszej chwili pomyślał, że mówi o Alienie. Lecz nie było jej nigdzie w zasięgu wzroku, a kiedy podążył za spojrzeniem ojca, zobaczył kobietę poniżej trzydziestki, nie tak godną pożądania jak Aliena, ale wyglądała na zwinną i nieoswojoną, co czyniło ją interesującą. Stała trochę dalej wraz z Tomem Budowniczym i William pomyślał, że owa kobieta to pewnie jego żona, ta, którą chciał od niego kupić w lesie jakiś rok temu.

Ale dlaczego jego ojciec miałby ją znać?

– Czy to ona? – pytał dalej ojciec.

Kobieta zwróciła ku nim głowę, jakby usłyszała, że o niej mówią, popatrzyła prosto na nich i William znowu zobaczył jej przenikliwe złote oczy.

– To jest ona, na Boga żywego! – syknęła matka. Spojrzenie kobiety wstrząsnęło ojcem. Jego czerwona twarz pobladła, a ręce zaczęły się trząść.

– Jezu Chryste, miej nas w swej opiece. Myślałem, że umarła. Do diabła, o czym oni gadają? – zastanawiał się William.

Jack tego się obawiał.

Przez cały rok widział i czuł, że matka tęskni za Tomem Budowniczym. Nie była tak zrównoważona, często miała rozmarzony, nieobecny wygląd, a w nocy czasami wydawała podniecone okrzyki, jakby jej się śniło, że się kocha z Tomem. Jack wiedział cały czas, że w końcu tu wróci. A teraz zgodziła się zostać.

Nienawidził tego pomysłu matki.

We dwójkę zawsze byli szczęśliwi. Kochał matkę, a matka jego i nikt im

nie przeszkadzał.

To prawda, że życie w lesie było trochę nudne. Tęsknił za fascynującymi tłumami w miastach, które odwiedził podczas wspólnej wędrówki z rodziną Toma. Tęsknił za Marthą. Co gorsza, zapełniał nudę leśnego życia snami na jawie o dziewczynie, którą nazywał Księżniczką, choć znał jej właściwe imię. Aliena. Ciekawiłaby go także praca z Tomem, chciałby wiedzieć, jak są zbudowane domy. Lecz wówczas nie byłby już wolny. Musiałby pracować... musiałby dzielić matkę z całą resztą świata.

Kiedy tak smutno rozmyślając, siedział na murze niedaleko klasztornej bramy, zdumiał się na widok Księżniczki.

Zamrugał powiekami. Przepychała się przez tłum, kierując ku bramie, i wyglądała na zdenerwowaną. Była jeszcze piękniejsza, niż pamiętał. Wtedy miała powabne zaokrąglone kształty, bardzo dziewczęce, i kosztowne szaty. Teraz wyglądała szczuplej i bardziej na kobietę niż na dziewczynę. Przesiąknięte potem płótno, w jakie była ubrana, przywarło do ciała, ukazując pełne piersi, a poniżej żeber, płaski brzuch, wąskie biodra i długie nogi. Twarz miała pomazaną błotem, bujne włosy w nieładzie. Coś ją zmartwiło i przeraziło, rozstroiło nerwy, ale wzburzenie jedynie uczyniło jej twarz bardziej świetlistą. Jacka przejął jej widok. Poczul dziwne skurcze w łędźwiach. Nigdy przedtem to mu się nie przydarzyło.

Ruszył za nią. Nie podjął świadomie tej decyzji, po prostu poszedł. W jednej chwili siedział na murze, w następnej śpieszył za nią. Dogonił ją poza murami klasztoru. Pachniała piżmem, jak gdyby ciężko pracowała. Pamiętał, że kiedyś pachniała kwiatami.

– Czy coś się stało?

– Nie, nic się nie stało – odrzekła krótko i przyspieszyła kroku.

Jack postępował obok niej.

– Nie pamiętasz mnie. Ostatnio, kiedy się widzieliśmy, wyjaśniałaś mi, jak poczyna się dzieci.

– Och, zamknij się i odejdz! – krzyknęła.

Staął i pozwolił jej się oddalić. Poczuł się rozczarowany. Najwidoczniej powiedział nie to, co trzeba.

Potraktowała go jak uprzykrzonego dzieciaka. Miał lat trzynaście, ale to pewnie dla niej, z podniebnej wysokości jej blisko osiemnastu lat, oznaczało, że jest dzieckiem.

Zobaczył, że wchodzi do domku, bierze klucz wiszący na rzemyku u szyi i otwiera drzwi.

A więc mieszka właśnie tutaj!

To zmieniło wszystko.

Nagle perspektywa porzucenia lasu i zamieszkania w Kingsbridge przestała być tak zła, jak mu się wydawało. Mógł widywać Księżniczkę codziennie. To wynagradzało wiele...

Stał przez chwilę, obserwując drzwi, ale nie pojawiła się ponownie. Takie stanie na środku drogi, z nadzieją, że zobaczy kogoś, kto nie chciał go znać, to było dziwaczne zachowanie, które jeszcze mu się nie zdarzyło, ale nie miał najmniejszej ochoty ruszyć się stąd. Przepęłniało go zupełnie nowe uczucie. Nic nie wydawało się dość ważne, by odwrócić jego uwagę. Nic poza Księżniczką. Oczarowała go. Opętała.

Był zakochany.

CZEŚĆ TRZECIA

1140-1142

Rozdział 8

I

Dziwka, którą Will wybrał, nie była urodziwa, ale miała wielkie piersi i burzę wijących się włosów. Podchodziła powoli, kołysząc biodrami, a on dostrzegł, że była nieco starsza, niż przypuszczał, może miała dwadzieścia pięć, może trzydzieści lat. Jej usta uśmiechały się niewinnie, oczy zaś pozostawały twarde i wyrachowane. Walter wybierał jako następny. Wskazał niską wątłą dziewczynę o chłopięcej figurze z płaskimi piersiami. Kiedy obaj dokonali wyboru, przystąpili pozostali czterej rycerze.

William zabrał ich do burdelu, bo potrzebowali trochę odprężenia. Od miesięcy nie było żadnej potyczki i coraz łatwiej popadali w niezadowolenie i stawali się kłótniwi.

Wojna domowa, która rozpoczęła się rok temu między królem Stefanem a jego rywalką Matyldą, zwaną Cesarzową, chwilowo przygasła. William ze swoimi ludźmi podążał za Stefanem przez całą południowo-wschodnią Anglię. Strategia króla była energiczna, ale pełna pomyłek. Mógł z ogromnym entuzjazmem zaatakować jakąś fortecę Matyldy, ale jeśli nie odniósł szybkiego zwycięstwa, łatwo się męczył oblężeniem i odstępował. Ludźmi Matyldy dowodził

jej przyrodni brat, bękart, Robert hrabia Gloucesteru, i jak na razie Stefanowi nie udało się zmusić Roberta do bezpośredniego starcia. Tę wojnę rozgrywano bardzo niezdeterminowanie, wykonywano wiele manewrów, lecz doszło do niewielu bitew i to dlatego ludzie byli niespokojni.

Burdel podzielono zasłonami na nieduże pomieszczenia, w każdym z nich leżał wypchany słomą siennik. Zaprowadzili swe wybranki za przepierzenia. Dziwka Williama zaciągnęła dokładnie zasłony, żeby było zacisznie, potem opuściła w dół górną część koszuli, by pokazać piersi. Były duże, doskonale je widział, ale miały wielkie sutki i widoczne żyły, zawsze wyraźne na piersiach kobiet, które karmiły. Trochę go to rozczarowało, ale przyciągnął ją do siebie i wziął jej piersi w ręce, ściskając i szczypiąc brodawki.

– Łagodnie – powiedziała tonem miękkiego protestu. Objęła go ramionami i wystawiła do przodu biodra, ocierając się o niego. Po kilku chwilach wepchnęła swą dłoń między ich ciała.

Wymruczał przekleństwo. Jego ciało nie reagowało.

– Nie martw się – szeptała mu do ucha. Jej łaskawy głos zezłościł go, ale nic nie powiedział. Ona zaś wyswobodziła się z jego objęć, uklękła, podniosła mu tunikę i zaczęła pracować ustami.

W pierwszej chwili zrobiło mu się przyjemnie i pomyślał, że wszystko pójdzie dobrze, lecz po początkowym ożywieniu znów stracił zainteresowanie. Obserwował jej twarz, co niekiedy go rozpałało, ale teraz tylko przypominało o tym, jak małe zrobił wrażenie. Zaczął się naprawdę złościć, a to skręcało go jeszcze bardziej.

Odsunęła się.

– Spróbuj się odprężyć – rzekła cicho.

Kiedy znowu zaczęła, zrobiła to tak mocno, że go zabolalo. Cofnął się, a jej zęby zadrapały wrażliwą skórę, aż krzyknął. Walnął ją na odlew. Zachłysnęła się i przewróciła do tyłu.

– Niezdarna dziwka! – wrzasnął.

Leżała na sienniku u jego stóp i patrzyła z przestraczem. Kopnął ją niedbale, bardziej z irytacji niż złośliwie. Trafił w brzuch. Uderzył mocniej, niż zamierzał, więc zwinęła się z bólu.

Zauważył, że wreszcie jego ciało reaguje.

Ukląkł, przetoczył ją na plecy. Patrzyła na niego ze strachem i bólem w oczach. Podciągnął dół jej koszuli aż do pasa. Włosy między jej udami były grube i kręcone. Takie lubił. Pieścił się, patrząc na jej ciało, nie był jeszcze gotowy. Lęk stopniowo znikał z jej oczu. Przyszło mu do głowy, że mogła celowo osłabiać jego pożądanie. Ta myśl go rozwścieczyła. Ścisnął pięść i mocno uderzył ją w twarz.

Zakrzyczała i próbowała wydostać się spod niego. Oparł się na niej całym ciężarem, przygniatając do materaca, ale nie przestawała walczyć i wrzeszczeć. Teraz miał erekcję. Spróbował rozewrzeć jej nogi, ale stawiała opór.

Zasłona rozsunała się gwałtownie i pojawił się Walter, jedynie w butach i koszuli, a członek sterczał mu jak maszt. Za nim wkroczyli Gervase zwany Paskudnym i Hugh Topór.

– Przytrzymajcie ją, chłopcy – rzekł do nich William.

Trzej mężczyźni uklękli wokół dziwki i nie pozwolili jej się poruszyć.

William ustawił się odpowiednio, potem znieruchomiał, radując się myślą o tym, co za chwilę zrobi.

– Co się stało, panie? – spytał Walter.

– Zmieniła zdanie, gdy go zobaczyła – odrzekł, wykrzywiając się.

Ryknęli śmiechem. William wszedł. Lubiał to robić, kiedy na niego patrzono. Zaczął się poruszać tam i z powrotem.

– Przerwałeś mi właśnie wtedy, panie, gdy wtykałem mojego – rzekł Walter.

William widział, że jego przyboczny nie był jeszcze zaspokojony.

– No to wetknij jej go do ust. Ona to lubi.

– Spróbuję – odrzekł Walter.

Zmienił pozycję i podniósł głowę kobiety chwytem za włosy. Była tak przestraszona, że zrobiłaby wszystko, więc współpracowała z gotowością. Gervase i Hugh już nie musieli jej przytrzymywać, lecz przyglądali się. Zdawali się zafascynowani; prawdopodobnie nigdy jeszcze nie widzieli, by kobietę brało dwu mężczyzn jednocześnie. Will także tego jeszcze nie widział. W tym było coś interesująco podniecającego. Wydawało się, że Walter odbiera to tak samo, bo po paru chwilach zaczął ciężko oddychać i poruszać się konwulsyjnie. Obserwując go, William „doszedł” w sekundę czy dwie później.

Po chwili wstali. William ciągle czuł podniecenie.

– A dlaczego wy dwaj nie mielibyście sobie z nią użyć? – zwrócił się do Gervase’a i Hugh. Spodobał mu się pomysł takiego przedstawienia.

Oni jednakże byli innego zdania.

– Ja mam jedną taką słodką, która czeka tu na mnie w pobliżu – powiedział Hugh, a jego towarzysz dodał:

– Ja też.

Dziwka wstała i zaczęła poprawiać odzienie. Twarz miała nieprzeniknioną. William odezwał się do niej:

– Nie było tak źle, co?

Stała naprzeciw niego i patrzyła przez chwilę, potem wydeła wargi i splunęła. Poczul, że ma twarz pokrytą ciepłym, lepkim płynem – do tej pory zachowała nasienie Waltera w ustach. Ciecz zalała mu oczy, nic nie widział. Zły podniósł rękę, by ją uderzyć, ale wykonała unik i skryła się między zasłonami. Mężczyźni wybuchnęli śmiechem. Nie uważał, by to było śmieszne, ale nie mógł gonić dziewczyny, z nasieniem na twarzy, i uświadomił sobie, że jedynym sposobem na zachowanie swego dostojenstwa jest udać, że to nic, więc także się zaśmiał.

– No cóż, panie, żywię nadzieję, że nie będziesz miał dziecka Waltera! – powiedział Paskudny i znowu ryknęli śmiechem. Nawet William uznał to za zabawne.

Wyszli, opierając się jeden o drugiego i przecierając oczy. Dziewczyny wpatrywały się w nich z niepokojem: słyszały krzyk dziwki Williama i obawiały się kłopotów. Jeden z klientów, czy może dwaj, wymknęli się cichaczem z innych pomieszczeń. Walter powiedział:

– Pierwszy raz w życiu widziałem, żeby toto wylatywało z dziewczyny! – Zaczęli się śmiać od nowa.

Przy drzwiach stał jakiś giermek. Wyglądał na zaniepokojonego. Jeszcze młodziak, prawdopodobnie nigdy przedtem nie był w burdelu. Nerwowo się uśmiechał, niepewny, czy może przyłączyć się do tej wesołości. Zauważył go William:

– A ty co tu robisz, smutnopyski durniu?!

– Nadeszła wiadomość dla ciebie, panie.

– No to nie trać czasu i przekaz ją!

– Tak mi przykro... O panie... – Wyglądał na bardzo przestraszonego, tak bardzo, że William pomyślał, iż zaraz odwróci się i ucieknie jak najdalej.

– Dlaczego jest ci przykro, ty psie łajno?! – ryknął. – Przekaż mi wiadomość!

– Twój ojciec umarł, panie – wypalił chłopak i zalał się łzami.

William gapił się, otępiały. Zmarł, pomyślał. Zmarł?

– Przecież był całkiem zdrow! – wrzasnął głupio. Co prawda ojciec nie nadawał się na pole bitwy, ale to nic dziwnego u człowieka po pięćdziesiątce. Chłopak wciąż płakał. William przypomniał sobie ojca: krzepki, czerwonogęby, żarłoczny i choleryczny, tak pełen życia, jak tylko może być mężczyzna, tylko... Przypomniał sobie, lekko wstrząśnięty, że nie widział ojca od roku. – Co się stało? – zapytał giermka. – Co mu się stało?

– Miał, panie, atak apopleksji – szlochał.

Apopleksja. Wieść zaczynała do niego docierać. Ojciec nie żyje. Ten wielki, silny, chełpliwy i wybuchowy mężczyzna leży bezradny i zimny na kamiennej płycie gdzieś tam...

– Będę musiał pojechać do domu.

Walter napomknął łagodnie:

– Wpierw, panie, musisz poprosić króla, by cię zwolnił.

– Tak, to prawda – wybelkotał. – Muszę poprosić o pozwolenie. – W głowie miał zamęt.

– Mam dać napiwek? – spytał Walter.

– Tak.

Ktoś narzucił mu opończę na barki. Walter mruknął coś do kobiety prowadzącej dom publiczny i dał jej trochę pieniędzy. Hugh otworzył drzwi przed Williamem. Wyszli wszyscy.

Przeszli ulicami miasteczka w ciszy. William poczuł się jakoś dziwnie odezwany, jakby to wszystko działo się gdzieś poza nim. Nie umiał pogodzić się z faktem śmierci ojca. W miarę zbliżania się do kwatery głównej próbował się pozbierać.

Król Stefan ulokował swój dwór w kościele, w miasteczku bowiem nie było ani zamku, ani domu gildii. Kościół był małym, prostym budynkiem z kamienia, którego wewnętrzne ściany pomalowano na jasnoczerwono, niebiesko i pomarańczowo. Na środku rozpalono ogień, a przystojny, kasztanowatowłosy król siedział przy nim na drewnianym tronie, mając nogi wyciągnięte przed siebie, jak zwykle gdy odpoczywał. Nosił żołnierskie ubranie: wysokie buty i skórzaną tunikę, lecz na głowie zamiast hełmu miał koronę. William i Walter przepchnęli się przez tłumek petentów przed drzwiami kościoła, skinęli głowami straży, która utrzymywała gawieź z daleka, i wkroczyli do środka. Król rozmawiał z nowo przybyłym hrabią, lecz zauważył Hamleigha i przerwał niezwłocznie.

– William, przyjacielu. Dowiedziałeś się.

– Miłościwy królu – William skłonił się.

Stefan wstał.

– Łączę się z tobą w żalobie. – Objął go i trzymał chwilę, zanim puścił.

Współczucie króla wycisnęło Williamowi pierwsze łzy.

– Miłościwy panie, muszę cię prosić o pozwolenie na wyjazd do domu.

– Niechętnie, ale zezwalam – rzekł król. – Będzie nam brakowało twego silnego ramienia.

– Dziękuję ci, miłościwy panie.

– Gwarantuję ci zachowanie tytułu hrabiowskiego i wszystkich dochodów z Shiring, dopóki nie rozstrzygnie się kwestia dziedziczenia. Jedź do domu i pochowaj ojca, a potem wracaj, jak tylko możesz najszybciej.

William skłonił się i wycofał. Król podjął przerwana rozmowę. Dworzanie zebrali się wokół Williama, by mu okazać współczucie. Kiedy przyjmował kondolencje, dotarło do niego znaczenie tego, co powiedział król. Dał mu prawo zachowania hrabstwa „dopóki nie rozstrzygnie się kwestia dziedziczenia”. Jaka kwestia? William był jedynakiem, jaka tu może być kwestia? Rozejrzał się po twarzach, które go otaczały, i zatrzymał wzrok na młodym księdzu, będącym jednym z najlepiej poinformowanych urzędników króla. Wyciągnął go z tłumu i zapytał cicho:

– Co, u diabła, znaczy „kwestia” w sprawie dziedziczenia, Josephie?

– Pojawił się ktoś zgłaszający pretensje do hrabstwa.

– Inny pretendent? – William był zdziwiony. Nie miał naturalnych braci ani braci przyrodnich, ani kuzynów. – Kto taki?

Joseph wskazał postać stojącą opodal, zwróconą do nich tyłem. Ten człowiek stał w grupie nowo przybyłych. Miał na sobie strój giermka.

– Ależ on nawet nie jest rycerzem! – William powiedział głośno: – Mój ojciec przecież był hrabią Shiring!

Giermek usłyszał go i odwrócił się.

– Mój ojciec także był hrabią Shiring.

W pierwszej chwili William go nie poznał. Osiemnastolatek miał szerokie barki, wykwintne szaty giermka, nosił piękny miecz. Postawa jego wyrażała pewność siebie, a nawet arogancję. Wpatrywał się w niego z wyrazem tak czy-

stej nienawiści, że mimo woli przeszył go dreszcz przerażenia.

Ta twarz wydawała mu się nader znajoma, ale zmieniona. Ciągle nie umiał jej umiejscowić. Wtem dojrzał ślad po uchu. W intensywnym przeblýsku zobaczył mały kawałek białego ciała na ciężko dyszącej piersi sterroryzowanej dziewczyny i usłyszał chłopca krzyczącego z bólu. Richard, młodszy brat Alieny, syn zdrajcy Bartholomew. Chłopiec, którego zmuszono do patrzenia na gwałcenie siostry przez dwu mężczyzn, wyrósł na wielkiego mężczyznę, z ogniem zemsty w jasnoniebieskich oczach. William nagle poczuł ogromny strach.

– Pamiętasz, prawda? – rzekł Richard, cedząc wolno słowa, co nie zdołało tak całkiem pokryć zimnej furii.

William skinął głową.

– Pamiętam.

– Ja także, Williamie Hamleigh. Ja także.

William zajmował miejsce u szczytu stołu na wielkim krześle, jak zwykł czynić jego ojciec. Zawsze wiedział, że kiedyś tutaj zasiądzie. Wyobrażał sobie, że poczuje się wtedy niesłychanie potężny, lecz okazało się, że wypełniało go raczej uczucie niepewności niż władzy. Obawiał się, że ludzie będą mówić o nim, iż nie dorównuje ojcu, iż nie jest godny szacunku.

Matka siedziała po prawej. Często, jeszcze kiedy na tym krześle siadywał ojciec, obserwował, jak matka grała na ojcowskich lękach i słabościach, by przeprowadzić swoją wolę.

Postanowił, że nie będzie jej marionetką.

Po lewej siedział Arthur, siwowłosy mąż będący jeszcze za hrabiego Bartholomew sędzią hrabstwa. Kiedy ojciec został hrabią, zatrzymał Arthura ze względu na jego rozległą wiedzę o ziemiach i ludziach zamieszkujących je. William zawsze powątpiewał w taką argumentację. Słudzy czasami pozostają wierni swym poprzednim panom.

– Król Stefan, przypuszczalnie, nie może uczynić Richarda hrabią – gniewnie mówiła matka – bo ten jest zaledwie giermkim!

– Naprawdę nie wiem, jakim cudem udało mu się osiągnąć aż tyle – irytował się William. – Myślałem, że są bez grosza. Tymczasem on miał piękne ubranie i dobry miecz. Skąd wziął pieniądze?

– Wyrósł dzięki temu, że został kupcem handlującym wełną – wyjaśniła matka. – Ma tyle pieniędzy, ile mu potrzeba. A raczej to jego siostra ma. Słyszałam, że Aliena prowadzi interes.

Aliena. Więc to ona za tym stała. Nie zapomniał jej, chociaż nie myślał o niej tak intensywnie od czasu rozpoczęcia wojny domowej. Przynajmniej dopóki nie spotkał Richarda. Od tej pory stale żyła w jego myślach, równie świeża i piękna, wrażliwa i godna pożądania jak dawniej. Nienawidził jej, bo znowu wzięła nad nim górę.

– Czyli Aliena jest teraz bogata? – spytał z udawaną niedbałością.

– Tak. Lecz ty walczyłeś przez ten rok u boku króla. Nie może ci odebrać twojego dziedzictwa.

– Najwidoczniej Richard także dzielnie się bił. Zasięgnąłem języka. Co gorsza, jego odwaga zwróciła uwagę króla.

Gniewna pogarda na twarzy matki ustąpiła miejsca zamyśleniu.

– A więc ma szansę.

– Obawiam się, że tak.

– Dobrze. Musimy go zatem odsunąć.

William mimowolnie zadał pytanie:

– Jak? – Postanowił nie pozwolić matce na objęcie przywództwa, a tym pytaniem sam jej je oddał.

– Musisz wrócić do króla z większą siłą militarną; przywieść mu więcej rycerzy, nową broń, lepsze konie, a także więcej giermków i zbrojnych najemników.

William chciałby się jej sprzeciwić, ale miała rację. W końcu król da hrab-

stwo temu, kto udzieli mu większego poparcia, nie zważając na to, po czyjej stronie leży racja.

– To nie wszystko – ciągnęła matka. – Musisz postarać się o to, by wyglądać i zachowywać się jak przystało hrabiemu.

To go zaciekało.

– A jak powinien wyglądać i zachowywać się hrabia?

– Częściej wypowiadać swoje zdanie. Mieć opinię o wszystkim: jak król powinien prowadzić tę wojnę, jak taktycznie rozegrać każdą bitwę, umieć opisać sytuację polityczną na północy, a także, co specjalnie ważne, znać zdolności i lojalność innych hrabiów. Rozmawiać z jednym o drugim. Powiedz hrabiemu Huntingdonu, że hrabia Warenne jest doskonałym wojownikiem, a biskupowi Ely, że nie wierzysz szeryfowi Lincoln. Jeśli zyskasz opinię mocnego człowieka, król tej mocy jeszcze ci doda. Będzie mu z tym wygodniej.

William nie doceniał znaczenia takich subtelności.

– Myślę, że siła mojej armii będzie się bardziej liczyć. – Odwrócił się ku sędziemu. – Ile jest w moim skarbcu, Arthurze?

– Nic nie ma, panie.

– Co ty, u diabła, gadasz? Coś musi być! Ile?

Arthur roztaczał atmosferę pewnej wyższości, jakby ze strony młodego dziedzica wcale nie miał się czego obawiać.

– Panie, w skarbcu nie ma ani pensa.

William miał ochotę go udusić.

– To jest hrabstwo Shiring! – powiedział wystarczająco głośno, by rycerze i urzędnicy oraz oficjaliści siedzący przy stole podnieśli głowy. – Muszą być pieniądze!

– Pieniądze oczywiście nadchodzą przez cały czas, panie – tłumaczył gładko Arthur. – Ale szybko je wydajemy, szczególnie teraz, w czasie wojny.

William świdrował wzrokiem tę bladą, czysto wygoloną twarz. Arthur stanowczo miał za wiele pewności siebie. Czy był uczciwy? Nie sposób spraw-

dzić. Chciałby mieć oczy mogące zaglądać w głąb ludzkich serc.

Matka zorientowała się, o czym myśli.

– Arthur jest uczciwy – powiedziała, nie zwracając uwagi na jego obecność przy stole. – Jest stary, leniwy i przywykł do własnych metod działania, ale postępuje uczciwie.

William poczuł się dotknięty. Zaledwie usiadł na tym krześle, a już jego władza znikła jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, jakby wisiała nad nim kłątwa. Wygląda na to, że w dalszym ciągu traktuje się go tutaj jak chłopca między dorosłymi, bez względu na to, ile ma lat. Powiedział słabo:

– Jak to się stało?

Wyjaśniła mu matka:

– Twój ojciec chorował przez większą część roku. Widziałam, jak chudnie i jego ubrania coraz bardziej na nim wiszą. Nie mogłam jednak na to nic poradzić.

A to dopiero nowina dla Williama; zawsze uważał matkę za wszechmocną. Nigdy się nie zdarzyło, żeby nie umiała przeprowadzić swojej woli. Zwrócił się do Arthura.

– Mamy jedno z najlepszych ziem uprawnych w królestwie, jakim cudem możemy być bez grosza?

– Niektóre farmy mają kłopoty i część dzierżawców zalega z rentą.

– Ale dlaczego?

– Słyszałem, że młodzi opuszczają gospodarstwa i uciekają do miast. Nie chcą pracować na roli. To jeden z powodów.

– Trzeba ich powstrzymać!

Arthur wzruszył ramionami.

– Kiedy pańszczyźniany przeżyje rok w mieście, staje się wolny. Takie jest prawo.

– A co z dzierżawcami, którzy nie płacą? Co im zrobiłeś?

– A co można zrobić? Jeśli zabierzemy im dobytek, to nie zapłacą nigdy, bo

z czego? Musimy więc być cierpliwi i mieć nadzieję na dobre zbiory, co pozwoli im oddać należności.

Arthur stanowczo za łagodnie podchodzi do tych spraw, nie umie sobie z nimi poradzić, uznał William, lecz powściągnął gniew.

– Zatem, skoro wszyscy młodzi idą do miast, to co się dzieje z rentami z Shiring? Te posiadłości powinny przynosić jakąś gotówkę.

– Dziwna sprawa, ale nie. W Shiring jest wiele pustych domów. Młodzi musieli się gdzieś wynieść.

– Albo ci nałgali. Pewnie powiesz mi jeszcze, że dochody z targu i z Jarmarku Wełnianego także spadły?

– Tak...

– No to dlaczego nie podniosłeś rent i podatków?

– Uczyniliśmy to, panie, zgodnie z rozkazami twego ojca, jeszcze przed śmiercią wydanymi, lecz dochody mimo to spadły.

– Jak Bartholomew mógł się utrzymać, mając tak jałową posiadłość? Może mi wytłumaczysz? – spytał rozdrażniony William.

Arthur i na to pytanie odpowiedział szybko.

– Miał także kamieniołom. W dawnych czasach przynosił sporo pieniędzy.

– Teraz korzysta z niego ten przeklęty mnich. – William trząśł się z gniewu. Właśnie w tej chwili, gdy winien pokazać się nader wystawnie, mówiono mu, że jest bez pieniędzy. To czyniło sytuację bardzo groźną. Król zagwarantował mu jedynie zachowanie hrabstwa. Jeśli wróci na dwór z pomniejszoną armią, może to zostać potraktowane jako niewdzięczność i nielojalność.

Obraz namalowany przez Arthura mógł być nie do końca zgodny z prawdą. William czuł, że ludzie go oszukiwali, a potem śmiali się z niego za jego plecami. Ta myśl jeszcze bardziej go złościła. Nie miał zamiaru tolerować takiej sytuacji. Jeszcze im pokaże. Zanim uzna się za pokonanego, poleje się krew.

– Masz wytłumaczenie na wszystko – powiedział powoli do Arthura – a tak naprawdę to podczas choroby mego ojca pozwoliłeś na upadek posiadłości.

Właśnie wtedy, a powinieśś wówczas być najczujniejszy.

– Ależ, panie...

– Zamknij się albo cię każę wychłostać!

Arthur zbladł, lecz nie odezwał się słowem.

– Wybierzemy się więc na objazd – zdecydował William. – Zaczniemy jutro. Odwiedzimy każdą wioskę w hrabstwie. Potrząśniemy nimi. Wy może nie wiecie, jak należy postępować z jęczącymi, skamlącymi i łgającymi chłopami, ale ja wiem. Wkrótce poznamy, dlaczego zbiedniała moja posiadłość. A jeśli się okaże, że mnie okłamywałeś, to klnę się na Boga, Arthurze, zawiśniesz pierwszy.

Oprócz Arthura William zabrał ze sobą Waltera i czterech rycerzy: Gervase'a, Hugh, Gilberta de Rennes i Milesa. Wszyscy oni odznaczyli się gwałtownością usposobienia, byli skorzy do gniewu i zawsze gotowi do walki. Jechali na swych najlepszych koniach uzbrojeni po zęby, by łatwiej chłopstwo nastraszyć.

Był gorący letni dzień, pszenica na polach stała wysoko. Widok urodzaju zwiększał gniew Williama. On nie miał grosza! Ktoś po prostu musiał go okradnąć, a przecież powinni bać się tak bardzo, by nie śmieć nawet o tym pomyśleć. Jego rodzina zyskała to hrabstwo, kiedy Bartholomew popadł w niełaskę, a teraz on, William, pozostał bez pensa w skarbcu, a syn tego zdrajcy miał mnóstwo pieniędzy! Umacniało się w nim przekonanie, że ludzie okradają go i śmieją się z niego za plecami. Wszystko się w nim skręcało ze złości i jechał coraz bardziej wściekły.

Postanowił zacząć przegląd od miejscowości zwanej Northbrook, małej wioski dosyć odległej od zamku. Wśród jej mieszkańców byli i pańszczyźniani chłopci, i wolni kmiecie. Pańszczyźniani stanowili jego własność, nie mogli nic bez jego zezwolenia czynić. Winni mu byli wiele dni roboczych w określonych porach roku oraz część swych plonów. Wolni kmiecie płacili mu jedynie rentę dzierżawną, czy to w gotówce, czy to w naturze. Pięciu z nich zalegało. Wil-

liam był przekonany, że myślą, iż ujdzie im to na sucho, bo żyją tak daleko od zamku.

Northbrook stanowiło zatem doskonałe miejsce na początek.

Droga była daleka, więc słońce stało wysoko na niebie, kiedy dojechali do wioski – tych dwudziestu czy trzydziestu siedzib otoczonych trzema wielkimi połaciami pól. Na ich skraju, w pobliżu zabudowań, rosły trzy wielkie dęby. Gdy zbliżyli się bardziej, zobaczyli, że pod tymi drzewami siedzą ludzie spożywający w cieniu obiad. Popędził konia, a za nim reszta. Cwałem przebyli ostatnie kilkaset jardów. Przed wieśniaczą grupą stanęli w chmurze pyłu.

Chłopi pośpiesznie wstawali, przecierając oczy z pyłu i przetykając razowic. Podejrzliwe spojrzenie Williama wyłuskało ciekawą scenkę. Czarnobrody mężczyzna w średnim wieku nakazywał coś cicho, ale zdecydowanie, pulchnej, rumianej dziewczynie, trzymającej na rękach dziecko. Podszedł do nich jakiś młodzieniec, natychmiast przez starszego odsunięty. Dziewczyna ruszyła w stronę domów, pełna bardzo widocznego sprzeciwu. Zaintrygowało to Williama. W całej scenie było coś tak ukradkowego, że chciałby, aby obok stała matka i wyjaśniła mu ją.

Postanowił na razie nie drażnić tej sprawy. Zwrócił się do Arthura dostatecznie głośno, by usłyszeli go wieśniacy.

– Pięciu dzierżawców z tej wioski zalega z płatnościami, czyż nie tak?

– Tak, panie.

– Który z nich jest pod tym względem najgorszy?

– Athelstan nie płaci od dwu lat, ale nie powiodło mu się ze świniami...

– Który to Athelstan? – przerwał William Arthurowi, przekrzykując go.

Wysoki, blisko czterdziestopięcioletni mężczyzna o pochylonych ramionach wysunął się do przodu. Włosy mu rzedniały, a oczy miał wilgotne.

– Dlaczego nie płacisz mi renty? – spytał William.

– Panie, to małe gospodarstwo i nie mam nikogo do pomocy, bo teraz moi chłopcy poszli pracować do miasta, a świnie miały różę...

– Chwileczkę, gdzie poszli twoi chłopcy?

– Do Kingsbridge, panie, pracować przy tamtej katedrze, bo oni chcą się żenić, jak to przystoi młodemu, a moja ziemia nie wyżywi trzech rodzin.

William postanowił zapamiętać wiadomość o młodych opuszczających wioskę, by budować katedrę w Kingsbridge.

– Twoja posiadłość jest w każdym razie wystarczająco duża, aby wyżywić jedną rodzinę, a ty i tak nie płacisz!

Athelstan znowu zaczął mówić o świniach. William patrzył na niego zło- wrogo, zupełnie nie słuchając. Już rozumiem, dlaczego nie płacisz, myślał. Wiedziałeś, że twój pan jest chory, i postanowiłeś go oszukać, bo nie mógł wy- musić swych praw. Pozostali czterej pewnie tak samo uważali. Kiedy jesteśmy słabi, to nas grabicie!

Ogarnął go na chwilę żal nad samym sobą. Ta piątka z pewnością śmiała się w kułak, zadowolona z własnej przemyślności. No to teraz dostaną nauczkę.

– Gilbert, Hugh, weźcie tego chłopca i mocno trzymajcie! – rzekł cicho.

Athelstan wciąż mówił. Dwaj rycerze zsiadli z koni i zbliżyli się do niego. Historia o świniach na nic się zdała. Rycerze złapali go za ramiona. Zbielał ze strachu.

William spokojnym i stanowczym głosem przemówił do Waltera:

– Czy wzięłeś swoje rękawice?

– Tak, panie.

– No to je włóż i daj Athelstanowi lekcję. Ale sprawdzaj, czy dyszy wystar- czająco, by coś powiedzieć.

– Tak, panie. – Walter wyjął z juków parę skórzanych rękawic z naszytymi żelaznymi łuskami na grzbiecie dłoni i palców. Powoli je nałożył. Wszyscy wieśniacy patrzyli ze zgrozą, a Athelstan jął pojękiwać ze strachu.

Walter zsiadł z konia, podszedł do chłopca i walnął go pięścią w żołądek. Rozległ się mdląco głośny łomot. Chłop zgiął się wpół, zbyt skurczony, by bo- daj jęknąć. Gilbert i Hugh podnieśli go, prostując z trudem, a Walter strzelił

w twarz. Krew siknęła z nosa i ust. Pośród wieśniaków rozległ się krzyk. Kobieta, pewnie żona, skoczyła do Waltera, wołając:

– Stój! Zostaw go! Nie zabijaj!

Odepchnął ją na bok. Jakieś dwie kobiety złapały nieszczęsną i odciągnęły, ta zaś wiła się, krzyczała i starała wyrwać. Wieśniacy przyglądali się w milczeniu, jak Walter okłada razami biednego dzierżawcę, dopóki jego ciało nie osłabło zupełnie, cała twarz nie pokryła się krwią i nie zamknęły oczy, gdy tracił przytomność.

– Zostaw go – rzekł w końcu William.

Gilbert i Hugh rozluźnili chwyt, Athelstan opadł na ziemię i nie ruszał się. Kobiety puściły jego żonę, a ona podbiegła do leżącego i szlochając, uklękła przy nim. Walter zdjął rękawice i wycierał krew, strącając kawałki ciała, które przyczepiły się do łusek.

Młody dziedzic przestał się interesować pobitym. Rozglądając się po wsi, dostrzegł dwukondygnacyjny budynek z drewna, wzniesiony nad potokiem. Wskazał nań i spytał:

– Co to jest?

– Nie widziałem tego wcześniej, panie – nerwowo odrzekł Arthur.

William domyślił się, że kłamie.

– To młyn wodny, tak?

Arthur wzruszył ramionami, ale jego obojętność nie była przekonywająca.

– Nie wyobrażam sobie, panie, co innego mogłoby stać nad brzegiem strumienia.

Jak on może zachowywać się tak zuchwale, kiedy dopiero co widział chłopca prawie na śmierć pobitego na jego, Williama, rozkaz? Niemal desperacko spytał:

– Czy moi chłopcy mają prawo do budowania młynów bez mego zezwolenia?

– Nie, panie.

– Czy ty wiesz, dlaczego to jest zabronione?

– Dzięki temu, panie, przynoszą ziarno do pańskich młynów i płacą za zmielenie.

– A pan ma zysk.

– Tak, panie – Arthur przybrał nieco mentorski ton, jak ktoś, kto tłumaczy dziecku coś podstawowego. – Jeśli jednak zapłacą grzywnę panu za to, że zbudowali ten młyn, to i tak będzie to zysk dla pana.

William uznał ten sposób tłumaczenia za umyślnie złośliwy.

– Nie, pan nie zarabia „i tak”. Grzywna nigdy nie jest tak wysoka jak opłaty. To dlatego chłopci tak kochają budowę młynów. I dlatego mój ojciec na to nigdy nie wyraził zgody. – Nie pozwalając Arthurowi odpowiedzieć, spiął konia i podjechał do młyna. Rycerze podążyli za nim, a wieśniacy ciągnęli z tyłu.

William zsiadł. Nie było żadnych wątpliwości co do przeznaczenia budynku. Wielkie koło wodne obracało się pod naciskiem szybko płynącej wody i poruszało wał biegnący przez ścianę do środka młyna. Wszystko zostało solidnie zrobione, miało przetrwać długo. Ktokolwiek to budował, musiał być przekonany, że będzie mógł używać tego przez lata.

Młynarz stał przed otwartymi drzwiami. Jego twarz wyrażała zranioną niewinność. W pomieszczeniu za nim leżały poukładane w porządnym stosach worki ziarna. Will podszedł bliżej. Młynarz zgiął się w ukłonie, uprzejmie, czyżby jednak jakiś cień pogardy pojawił się w jego oczach? Jeszcze raz William poczuł boleśnie, że ci ludzie mają go za nic. Niemożność podporządkowania ich swej woli dawała mu przekłętą wrażenie niemocy i bezradności. Wrzasnął z furją:

– Co was skłoniło do myślenia, że coś takiego ujdzie wam na sucho? Uważacie, że ja jestem głupi? Tak? Tak uważacie? – uderzył młynarza w twarz.

Ten wydał przesadzony okrzyk bólu i zupełnie niepotrzebnie upadł na ziemię.

William przekroczył go i wszedł do młyna. Wał koła wodnego za pomocą

szeregu drewnianych przekładni łączył się z wałem żaren, mieszczących się na pięterku. Zmielone ziarno zsuwało się drewnianą rynną na klepisko na parterze. Pięterko, które musiało dźwigać ciężar kamieni młyńskich, podtrzymywały cztery solidne pnie, niewątpliwie samowolnie zabrane z Williamowych lasów. Przecięcie tych pni spowodowałoby zawalenie budynku.

Zwrócił się do Hugh.

– Daj mi topór bojowy. – Rycerz wykonał polecenie. William wrócił do młyna i zaatakował podpory pięterka.

Łomot topora niszczącego tak starannie wykończoną budowlę po to, by oszukiwać jego, Williama, na opłatach młynowych, sprawiał mu wielką satysfakcję. Teraz nie będą się ze mnie śmiać, pomyślał dziko.

Do środka wszedł Walter. William podciął głęboko jeden ze słupów. Platforma utrzymująca ciężar kamienia zaczęła mu nad głową drżeć. Stłumionym głosem powiedział:

– Przynieś powróż.

Walter wyszedł.

William nie przerywał pracy. Wciął głęboko jeszcze dwa słupy. Budynek już mógł się zwalić. Walter wrócił z jakimś sznurem. William zawiązał go wokół jednego słupa, wyszedł na zewnątrz i drugi koniec sznura obwiązał wokół szyi swego konia.

Chłopi przyglądali się w posępnej ciszy.

Kiedy skończył mocowanie powrozu, spytał:

– Gdzie jest młynarz?

Młynarz podszedł, w dalszym ciągu usiłując wyglądać na niesłusznie krzywdzonego.

– Gervase, zwiąż go i wsadź do środka.

Mężczyzna chciał się wymknąć, ale Gilbert podciął mu nogi, a potem usiadł na nim. Gervase związał mu ręce i nogi rzemieniami. Obaj rycerze podnieśli go, choć się wyrywał i błagał o litość.

Wtedy jeden z wieśniaków wysunął się do przodu i powiedział:

– To jest morderstwo. Nie możecie tego zrobić. Nawet pan nie może mordować ludzi.

– Jeśli jeszcze raz otworzysz gębę, wrzucę cię do środka razem z nim! – wrzasnął William.

Mężczyzna przez chwilę wahał się, lecz w końcu się wycofał.

Rycerze wyszli z młyna. William poprowadził konia, dopóki powróż się nie napiął, a potem klepnął koński zad, zwierzę cofnęło się, a sznur naprężył się bardziej. Młynarz w budynku zaczął jęczeć i krzyczeć tak bardzo, że krzepła w żyłach krew. Był to krzyk człowieka w śmiertelnym zagrożeniu, człowieka, który wie, że za parę chwil zostanie zmiażdżony.

Koń rzucił głową, starając się poluzować powróż ściskający mu szyję. William znów uderzył konia w zad, by ciągnął mocniej, i zawołał do swych rycerzy:

– Ciągnijcie linę!

Czwórka rycerzy złapała za naprężony sznur i pociągnęła, pomagając koniowi. Wieśniacy zaczęli protestować, ale za bardzo się bali, by skutecznie przeszkodzić. Arthur stał z boku, mdliło go.

Jęki młynarza brzmiały coraz bardziej przejmująco. William wyobrażał sobie, jak straszna zgroza musi przenikać człowieka oczekującego na tak przerażającą śmierć. Żaden z tych chłopów nie zapomni nigdy zemsty Hamleighów, przemknęło mu przez myśl.

Rozległ się trzask. Słup pękł, a po chwili dał się słyszeć ogłuszający odgłos rozrywania się. Koń skoczył do przodu, a rycerze puścili linę. Runęła narożna część dachu. Kobiety zaczęły zawodzić. Drewniane ściany zdawały się przysiadac i drzeć, jęki młynarza przeszły w przeraźliwy pisk, przebijający się przez potężny łomot. Nagle ziemia zadrżała. Kamień runął na klepisko, ściany przysnęły, dach się zapadł i urwały się przenikliwe jęki. W jednej chwili młyn zamienił się w rumowisko z trupem w środku.

William poczuł się nieco lepiej.

Kilku wieśniaków podbiegło do zawaliska i zaczęło gorączkowo w nim grzebać. Jeśli mają nadzieję znaleźć młynarza jeszcze żywego, to się rozczarują. Jego ciało będzie przedstawiać okropny widok. Tym lepiej... – napawał się William.

Rozejrzawszy się, spostrzegł rumianą dziewczynę z niemowlakiem. Stała z tyłu tłumu, jakby nie chciała być widoczna. Przypomniał sobie tego czarnobrodego, pewnie ojca, który starał się trzymać ją z daleka, kiedy William przybył do wioski. Postanowił rozwiązać zagadkę przed wyjazdem. Pochwycił jej spojrzenie i kiwnął na nią. Obejrzała się; miała nadzieję, że wzywa kogoś innego.

– Ty – rzekł William. – Chodź tutaj!

Czarnobrody zobaczył ją i chrząknął z irytacją.

– Kto jest twym mężem, dziewczuszko? – spytał podejrzenie łagodnym głosem.

– Ona nie ma... – rzekł jej ojciec. Za późno jednakże, bo dziewczyna zdążyła powiedzieć:

– Edmund.

– Więc jesteś mężatką. A kto jest twym ojcem?

– To ja – rzekł czarnobrody. – Nazywam się Teobald.

William odwrócił się do Arthura.

– Czy Teobald jest wolny?

– Jest chłopem pańszczyźnianym, panie.

– A kiedy chłop pańszczyźniany wydaje córkę, czyż nie jest prawem jego pana, jako właściciela, cieszyć się tą córką w noc poślubną?

Dla Arthura był to wstrząs.

– Panie! To prymitywny stary zwyczaj! Nie stosuje się go w tej części świata od niepamiętnych czasów!

– To prawda – rzekł William. – Zamiast tego ojciec płaci grzywnę. Ile za-

płacił Teobald?

– Jeszcze nie zapłacił, panie, ale...

– Nie płacił! A ona ma już takie ładne dziecko!

– My nigdy nie mieliśmy pieniędzy, panie – powiedział Teobald. – A ona zaszła w ciążę z Edmundem i chciała go poślubić. Teraz możemy już zapłacić, bo jużemy zebrali i zwieźli plony.

William uśmiechnął się do dziewczyny.

– Pokaż mi to dziecko.

Popatrzyła na niego z obawą.

– Chodź. Daj mi je.

Bała się, ale nie miała odwagi wykonać polecenia. William podszedł bliżej i delikatnie wziął od niej maleństwo. Oczy jej wypełniała zgroza, lecz nie protestowała.

Dziecko zaczęło kwilić. William trzymał je przez chwilę, pokołysał, potem złapał za kostki i płynnym ruchem rzucił tak wysoko, jak zdołał.

Wrzasnęła boleśnie i wpatrzyła się w niebo, gdzie poleciało jej dziecko.

Ojciec wybiegł i wyciągnął ręce, żeby je ratować.

Dziewczyna, zawodząc, patrzyła w górę, a William szarpnął i zdarł z niej suknię. Ciało miała różowe, zaokrąglone. Młode.

Ojciec bezpiecznie złapał maleństwo.

Odwróciła się, by uciekać, ale William zdążył ją zatrzymać i przewrócił na ziemię.

– Skoro nie dostałem swojego w noc poślubną, a grzywna jeszcze nie została zapłacona, wezmę teraz, co mi się należy – oznajmił.

Ojciec zbliżył się.

William wyciągnął miecz.

Wieśniak się zatrzymał. Will popatrzył na dziewczynę rozciągniętą nago na ziemi, próbującą jakoś zakryć się rękami. Jej strach pobudził go.

– A kiedy ja skończę, wezmą ją moi rycerze – oświadczył zadowolony

z siebie.

II

W trzy lata Kingsbridge zmieniło się nie do poznania.

William nie był tu od Zielonych Świąt, kiedy to Philip wraz ze swoją armią ochotników udaremnił spisek Walerana Bigoda. Wtedy na Kingsbridge składało się czterdzieści czy pięćdziesiąt drewnianych domostw skupionych w pobliżu furty i rozrzuconych wzdłuż błotnistej dróżki do klasztoru, prowadzącej od mostka na rzece. Teraz zaś widział, w miarę zbliżania się do wioski przez falującą płaszczyznę pól, że domów jest ze trzy razy więcej. Kilka z nich wyglądało okazale. Za klasztornym murem dostrzegł nowe kamienne budynki, a ściany kościoła rosły szybko. Oba brzegi rzeki były zagospodarowane. Kingsbridge stało się miastem.

Kiedy znalazł się na miejscu, potwierdziły się jego najgorsze podejrzenia. Narastały one w jego umyśle od czasu objazdu swoich ziem. Ściągał zaległości, siejąc strach wśród nieposłusznych chłopów, a przez cały czas słyszał wzmianki o Kingsbridge. Chłopi bez ziemi, wydziedziczeni kmiecie i ich dzieci przybywali tutaj i pracowali. Zamożniejsze rodziny wysyłały swych synów na naukę w szkole przyklasztornej, a biedniejsze sprzedawały jajka i ser ludziom na placu budowy. Wreszcie każdy, kto tylko mógł, przychodził w niedziele i święta, nie bacząc na to, że jeszcze nie ma katedry. Dziś obchodzono dzień świętego Michała, który tego roku przypadał w niedzielę. Był łagodny wczesnojesienny poranek, pogoda w sam raz do podróżowania, zapewne będzie mnóstwo ludzi. William spodziewał się dowiedzieć, co takiego przyciąga tłumy do Kingsbridge.

Jechało z nim jego pięciu przybocznych. Wykonali solidną robotę. Wiadomości o objazdach Williama rozeszły się z niewiarygodną szybkością i już po

paru dniach ludzie wiedzieli, co ich może spotkać. Na wieść o zbliżaniu się dziedzica wysyłano młode kobiety i dzieci do lasu, by tam szukały schronienia. Radowało go sianie strachu w sercach ludzi; to trzymało ich na swoim miejscu. Z pewnością teraz wiedzieli, kto tu rządzi.

Kiedy jego grupa zbliżała się do Kingsbridge, spiął konia i ruszyli wyciągniętym kłusem. Szybkość robiła większe wrażenie. Ludzie uskakiwali na pobocza traktu albo schodzili na pola, umykając z drogi wielkim koniom.

Ze stukotem kopyt przejechali przez drewniany most, robiąc wielki hałas i nie zwracając uwagi na poborcę myta, ale wąską ulicę przed nimi zablokował wóz z beczkami wapna, ciągnięty przez dwa powoli idące woły, i rumaki musiały gwałtownie zwolnić.

Kiedy jechali za wozem, William rozglądał się dookoła. Każdy kawałek przestrzeni między starymi budynkami wypełniały nowe, pośpiesznie budowane. Zauważył jadalnię, piwiarnię, kuźnię i szewca. Kingsbridge żyło w dostatku. Poczul zazdrość.

Na ulicach nie było zbyt wielu ludzi. Być może wszyscy poszli na górę, do klasztoru.

Jadąc za wozem, William ze swymi rycerzami dotarli do klasztornej furty. Dla niego i eskorty nie był to wjazd, jakiego sobie życzył. Poczul drgnienie niepokoju, że ludzie mogą to zauważyć i śmiać się z niego, ale na szczęście nikt nawet nie spojrział.

Inaczej niż w mieście, za murami klasztoru pełno było wrzawy. William rozglądał się wkoło. Tylu ludzi, tyle się działo, że w pierwszej chwili to go oszołomiło. Potem podzielił scenerię na trzy części.

Najbliżej niego, na zachodniej stronie dziedzińca klasztornego, odbywał się targ. Kramy poustawiano w rzędach według linii północ-południe, a setki ludzi kręciły się w ciasnych przejściach. Kupowali żywność i napitki, kapelusze i buty, noże, pasy, kaczęta, lalki, garnki, nausznice, wełnę, nici, powrozy i tuziny innych rzeczy zarówno niezbędnych, jak i zbytkownych. Targ najwyraźniej

kwitł, a te wszystkie pensy, półpensówki i farthingi, które przechodziły z rąk do rąk, musiały po dodaniu dawać naprawdę sporą sumę.

William gorzko pomyślał, że nic dziwnego, iż targ w Shiring chylił się ku upadkowi, skoro inny kwitł w Kingsbridge. Opłata od kramarzy, myto od dostawców i podatki od sprzedaży, które powinny napępniać skarbiec hrabiego Shiring, wpływały spokojnie do kufrów klasztoru w Kingsbridge. Ale targ musi mieć licencję królewską, o czym wiedział William, wiedział też, że Kingsbridge takowej nie posiada. Prawdopodobnie przeor Philip planuje, podobnie jak młynarz w Northbrook, wykupić licencję, kiedy tylko trochę zarobi. Niestety, Filipa nie uda mu się tak szybko ukarać.

Za targowiskiem była strefa spokoju. Niedaleko krużganków, tam gdzie kiedyś znajdowało się skrzyżowanie transeptów i nawy głównej starego kościoła, stał pod baldachimem ołtarz, przed którym białowłosy mnich coś czytał. Dość daleko od ołtarza stali w rzędach mnisi i śpiewali hymny, aczkolwiek z tej odległości ich głosy tłumiła wrzawa targowa. Na nabożeństwie nie było osób świeckich. William domyślił się jednak, że to nona, modlitwy mnichów o godzinie dziewiątej. Na czas mszy poświęconej patronowi kościoła wszelka praca, a także handel, zostaną oczywiście przerwane.

Po przeciwnej stronie dziedzińca budowano wschodnią część katedry. To tam przeor Philip wydaje to, co zgarnie z handlu, pomyślał ponuro William. Ściany sięgały już wysoko, tak że można było zobaczyć zarysy okien i łuki arkad. Robotnicy roili się na całym placu. Williamowi wydawało się, że w ich wyglądzie jest coś dziwnego, potem uświadomił sobie, że to po prostu kolorowe ubrania ochotników.

Nie spodziewał się, że jest ich aż tylu. Setki mężczyzn i kobiet nosiły kamienie, rozłupywały pnie, toczyły beczki i ciągnęły od rzeki po zboczu wozy załadowane piaskiem, a wszyscy pracowali jedynie za odpuszczenie grzechów.

Zawistnie przyznał, że ten podstępny przeor miał doskonały pomysł. Ludzie, którzy przychodzą do pracy, wydają także pieniądze na targu. Ludzie idą-

cy na targ też popracują przy budowie, aby zasłużyć na odpuszczenie grzechów. Ręka rękę myje.

Popędził konia i ruszył przez cmentarz, by przyjrzeć się placowi budowy.

Osiem masywnych filarów stało w ordynku wzdłuż ścian po obu stronach placu, w czterech parach. Z daleka William przypuszczał, że widzi już łuki łączące te filary, ale teraz, z bliska, dostrzegł, że łuków jeszcze nie zbudowano, a to, co widział, to drewniane szalunki w tym właśnie kształcie – na nich zostaną ułożone kamienie w czasie, gdy zaprawa będzie schła. Te wzorce i rusztowania nie dotykały ziemi, lecz opierały się na wystających gzymsach kapiteli filarów.

Pięły się w górę zewnętrzne ściany naw bocznych. Rusztowania zbudowano z mocnych bali powiązanych linami, a w poprzek ułożono młode pniaki nakryte trzciniowymi plecionkami.

Kupę pieniędzy tutaj wydano, pomyślał William.

Okrzyknął prezbiterium, za nim podążyli rycerze. Pod ścianami stały przybudówki, pracownie i warsztaty rzemieślnicze. Większość z nich była pozamykana, bo nie wszyscy rzemieślnicy wykonywali dziś swoją robotę. Mistrz murarski i mistrz ciesielski, na przykład, kierowali ochotnikami, wskazując miejsca i sposoby składowania kamienia i drewna, piasku i wapna.

Skierowali się na południową stronę, lecz drogę zagroziły im budynki klasztorne. William zawrócił, podziwiając bez przerwy przebiegłość przeora Philipa, który potrafił nakłonić rzemieślników do pracy w niedzielę i zdobyć tylu ochotników, przy czym nikomu nie płacił za ten dzień.

Kiedy tak nad tym rozmyślał, stało się dla niego jasne, że to przeor jest odpowiedzialny za upadek majątków hrabstwa Shiring. Gospodarstwa traciły młodych ludzi, którzy wybierali pracę na placu budowy, a Shiring, perła hrabstwa, było tłamszone przez rosnące nowe miasto Kingsbridge. Tutejsi mieszkańcy płacili Philipowi, nie Williamowi, a ludzie, którzy kupowali i sprzedawali dobra na tym targu, zwiększali dochód klasztoru, a nie jego. Dodatkowo klasztor

mógł korzystać z drewna, owiec i kamieniołomu, które kiedyś tak bogaciły hrabstwo.

William i jego ludzie ponownie zbliżali się ku targowi, aby przyjrzeć mu się bliżej. William wjechał na koniu w tłum. Ludzie nie rozstępowali się ze strachem, nie dawali mu drogi. Kiedy koń ich szturczał, patrzyli na Williama z irytacją lub strapieniem, a nie grozą w oczach, a ustępowali wtedy, kiedy im się chciało, jakby robili mu łaskę. Nikt się go nie bał. To go denerwowało i oniesmiało. Jeśli ludzie się nie boją, to nie wiadomo, do jakich granic mogą się posunąć.

Przejechał wzdłuż jednego rzędu kramów i powrócił wzdłuż drugiego. Rycerze podążali za nim. Powolne przepychanie się przez tłum zaczynało go drażnić. Szybciej już byłoby pewnie na piechotę, ale wtedy ci nieposłuszni mieszkańcy Kingsbridge mogliby okazać się zbyt zuchwali.

W połowie powrotnej drogi dostrzegł Alienę.

Już nie była tą szczupłą, napiętą, przestraszoną dziewczyną w drewniakach, którą zobaczył w niedzielę Zielonych Świątek trzy lata temu. Miała zdrowy, radosny wygląd. Ciemne oczy błyszczały humorem, a kędziory opadały na twarz, kiedy potrząsała głową.

Była tak piękna, że Williamowi zakręciło się w głowie.

Miała na sobie szkarłatną suknię, bogato zdobioną, a jej pełne wyrazu ręce błyszczały od złotych pierścieni. Obok, nieco z tyłu, stała z Alieną jakaś starsza kobieta, jakby służąca. Matka mówiła: „mnóstwo pieniędzy”. To dlatego Richard został giermkim i mógł walczyć dla króla Stefana. A niech ją! Zostawił ją w nędzy, bez grosza, bezsilną i do tego była dziewczyną... jak ona to zrobiła?

Stała przy kramie z kościanymi igłami, jedwabnymi niciami, drewnianymi napastrkami i innymi rzeczami niezbędnymi do szycia. Rozmawiała żywo z niskim, ciemnowłosym Żydem sprzedawcą. Wydawała się stanowcza, odprężona i pewna siebie. Zachowywała się znów jak córka hrabiego.

Wyglądała na znacznie starszą. Oczywiście była starsza: William miał dwadzieścia cztery lata, więc ona musiała mieć dwadzieścia jeden. Nie miała w sobie już nic z dziecka. Dojrzała.

Uniosła głowę i napotkała jego wzrok.

Ostatnio, kiedy wymienili spojrzenia, zaczerwieniła się ze wstydu i uciekła. Tym razem stała prosto i patrzyła na niego.

Spróbował porozumiewawczo się uśmiechnąć.

Na twarzy Alieny pojawił się wyraz jadowitej pogardy.

William poczuł, że tym razem to on się rumieni. Aliena stała wyniosła jak zawsze i gardziła nim tak samo jak pięć lat temu. Poniżył ją i zgwałcił, lecz ona już się go nie bała. Chętnie powiedziałaby jej, że może teraz znów zrobić to samo, co już kiedyś zrobił, ale nie miał ochoty krzyczeć nad głowami tłumu. Jej nieporuszone spojrzenie spowodowało, że czuł się mały, malutki. Spróbował wykrzywić się do niej szyderczo, ale mu to nie wyszło i wiedział, że ma na twarzy głupawy grymas. Nie mogąc znieść zakłopotania i poczucia klęski, zawrócił konia i spał go, lecz nawet wtedy tłum go powstrzymał, a jej wzrok miażdżył go, paląc kark. Oddalał się od niej boleśnie, cał po calu.

Kiedy w końcu wydostał się z targu, spotkał przeora.

Stał, podparłszy się pod boki i śmiało wystawiwszy twarz. Nie był już taki szczupły, jak kiedyś, a nieliczne włosy przedwcześnie mu posiwiały. Teraz nie wyglądał za młodo na urząd przeora. Jego jasne, błękitne oczy jarzyły się gniewem.

– Lordzie Williamie! – krzyknął wyzywająco.

William oderwał myśli od Alieny i przypomniał sobie, w jakim celu tu przybył.

– Jestem rad, że się na ciebie natknąłem, przeorze Philipie.

– Ja również – rzekł Philip gniewnie, ale cień z wątpienia zmarszczył mu brwi.

– Masz tutaj targ, ojczy – oskarżycielsko powiedział William.

– No to co?

– Nie słyszałem, aby król Stefan kiedykolwiek udzielił zezwolenia na targ w Kingsbridge. Ani żaden inny król, jeśli się nie mylę.

– Jak śmiesz?! – krzyknął Philip.

– Czy ktokolwiek inny...

– Ty! – wrzasnął przeor, wyciągając oskarżycielsko palec i przekrzykując go. – Jak śmiesz przychodzić tutaj i mówić mi o zezwoleniu! Ty, który w ciągu ubiegłego miesiąca przejechałeś przez tę krainę, aby podpalać, kraść, gwałcić, a nawet zabijać!

– To nie ma nic...

– Jak śmiesz wchodzić do klasztoru i wspominać o licencji! – Philip krzyczał. Zrobił krok do przodu, wygrażając placem, a koń odstąpił w bok, zdenerwowany. W jakiś sposób głos przeora brzmiał dźwięczniej i przenikliwiej niż Williama. Gromada ludzi zbierała się dookoła, obserwując starcie. Philip ciągnął niepowstrzymanie: – Po tym wszystkim coś uczynił, masz tylko jedną rzecz do powiedzenia: „Ojczy, zgrzeszyłem!”. Powinieneś paść na kolana w tym klasztorze! Powinieneś żebrać o przebaczenie, jeśli chcesz uniknąć ognia piekielnego! William zbladł. Gadanie o piekle zawsze przerażało go.

Rozpaczliwie próbował przerwać potok wymowy Philipa:

– A co z twoim targiem? Co z targiem?

Przeor nie słyszał.

– Błagaj o przebaczenie za to, czego się dopuściłeś! – krzyczał. – Na kolana! Na kolana albo spłoniesz w piekle! William był już dość wystraszony, by uwierzyć, że istotnie będzie cierpiał wszystkie piekielne męki, i to zaraz, jeżeli nie uklęknie i nie ukorzy się. Pomyślał o obowiązku spowiedzi; zabił wielu ludzi na wojnie, a w czasie objeżdżania hrabstwa też się co nieco nazbierało. A co się stanie, jeśli umrze bez spowiedzi? Poczul lęk na myśl o wieczystych płomieniach i diabłach z ostrymi nożami.

Philip znów krzyknął:

– Na kolana!

William wycofał konia. Rozejrzał się rozpaczliwie dookoła. Tłum zamknął go. Jego rycerze byli za nim, wyglądali na zbitych z tropu, nie wiedzieli bowiem, w jaki sposób zachować się wobec groźby nieuzbrojonego mnicha. Nie może pozwolić na takie poniżenie! I jeszcze Aliena... tego już za wiele. Pociągnął wodze, koń niebezpiecznie stanął dęba. Tłum w popłochu rozstał się przed potężnymi kopytami. Kiedy przednie nogi wierzchowca dotknęły ziemi, rumak ruszył do przodu. Ludzie rozbiegli się przestraszeni. Wbił pięty w boki konia jeszcze raz. Pocwałował. Płonąc ze wstydu, wypadł przez bramę klasztoru, a rycerze za nim. Gnali niczym stado dzikich psów, które staruszka wygoniła miotłą.

Wystraszony i roztrzęsiony, wyspowiadał się przed biskupem, klęcząc na zimnych kamieniach kapliczki Waleranowego zamku. Biskup Waleran wysłuchał spowiedzi w skupionej ciszy, skrywając niesmak, gdy młody Hamleigh wymieniał listę swych zabójstw, napaści i gwałtów. Nawet podczas spowiedzi William czuł odrazę do butnego biskupa; czyste białe ręce Walerana nie drgnęły, złożone na sercu, a przezroczyście nozdrza poruszały się lekko, jakby w powietrzu unosił się jakiś zły zapach. Dla Williama błaganie o rozgrzeszenie było torturą, tym bardziej że spowiednikiem był Waleran, ale nie umiał zagłuszyć swojego sumienia i dopuścił się grzechów tak ciężkich, że nie mógł sobie z nimi poradzić zwyczajny ksiądz. Klęczał tedy opętany strachem, lecz biskup kazał mu tylko utrzymywać stale płonące świece w kaplicy w Earlscastle, a potem powiedział, że grzechy zostały mu wymazane.

Strach rozwiął się powoli jako poranna mgła.

Z kaplicy weszli w zadymione powietrze komnaty, zasiedli przed ogniem. Jesień przechodziła w zimę, w wielkim kamiennym domu było chłodno. Kuchcik przyniósł gorącego wina zaprawionego korzeniami i imbirem. Will wreszcie zaczął czuć się dobrze.

Wtedy przypomniał sobie o innych problemach. Richard, syn Bartholo-

mew, dochodził swych pretensji, a on stał się za biedny, aby wystawić dość wielką armię i zrobić na królu wrażenie. Wyskrobał co nieco gotówki przez ostatni miesiąc, lecz miał ciągle za mało. Westchnąwszy, odezwał się do Walerana w te słowa:

– Ten przekłęty mnich wypija krew hrabstwa Shiring.

Bigod sięgnął po kawałek chleba bladą ręką o długich palcach.

Wyglądała szponiasto.

– Zastanawiałem się, ile czasu zajmie ci dojście do takiego wniosku.

Oczywiście Waleran przemyślał te sprawy dużo wcześniej. William zrobiłby lepiej, nie rozmawiając z nim. Chciał jednak usłyszeć jego opinię o stronie prawnej.

– Ekscelencjo, król nie dał licencji na targ w Kingsbridge, prawda?

– O ile wiem, to nie.

– Czyli przeor Philip łamie prawo.

Waleran wzruszył kościstymi ramionami w czerni.

– Jeśli na tym zarabia, to tak.

Mimo demonstrowanego przez biskupa braku zainteresowania William ciągnął:

– Trzeba go powstrzymać.

Waleran uśmiechnął się z grymasem.

– Nie możesz z nim poczynać tak, jak z tym chłopem, który wydał bez zezwolenia córkę za męża.

William poczerwieniał. Bigod odniósł się do jednego z grzechów, które wcześniej wyznał.

– No to jak mam sobie z nim poczynać?

– Targi to przywileje królewskie. W czasie pokoju pewnie król sam by się tym zajął – spokojnie odparł biskup. – Jego pełnomocnikiem w sprawach lokalnych jest szeryf w Shiring.

– Co on mógłby zrobić?

– Mógłby wnieść pismo przeciw klasztorowi do sądu hrabstwa.

William potrząsnął głową.

– To ostatnia rzecz, której bym pragnął. Sąd nakaże grzywnę, klasztor zapłaci, a targ przetrwa. To niemal to samo, co urzędowe zezwolenie.

– Kłopot z tym, że nie ma podstaw do odmowy.

– A właśnie, że tak! – oburzył się William. – Niszczy handel w Shiring!

– Shiring jest o dzień drogi od Kingsbridge.

– Ludzie będą w dalszym ciągu chodzić.

Waleran znów wzruszył ramionami.

– Wedle tradycji, człowiek jedną trzecią część dnia spędza w drodze na targ, następną jedną trzecią na targu, a ostatnią część przeznaczą na powrót do domu. W ten sposób targ służy ludziom mieszkającym w promieniu jednej trzeciej dnia drogi od targu. Przyjmuje się, że to siedem mil. Jeśli dwa targi są odległe od siebie o czternaście mil, ich dziedziny nie nakładają się na siebie. Shiring leży o dwadzieścia mil od Kingsbridge. Zgodnie z tą regułą Kingsbridge ma prawo do targu, a król to potwierdzi.

– Król czyni, co chce – zuchwale palnął William, ale był poruszony. Nie znał tej reguły. Dawała ona przeorowi Philipowi silniejszą pozycję.

– Lecz nie będziemy mieli do czynienia z królem, tylko z szeryfem – kontynuował spokojnie biskup. – Szeryf może po prostu zabronić klasztorowi utrzymywania targu.

– To strata czasu – lekceważąco rzekł William. – Kto zwraca uwagę na polecenie niepoparte realną groźbą?

– Może przeor Philip.

– Jakim cudem?

Kpiący uśmiech pokazał się na bezkrwistych wargach dostojnika kościelnego.

– Nie jestem przekonany, czy zdołam ci to wytłumaczyć. Przeor wierzy, że prawa należy przestrzegać, że prawo obowiązuje wszystkich, jako wola królew-

ska.

– Głupio myśli. Wola króla to wola króla, król to król, gdzie tu prawo?

– Wiedziałem, że nie zrozumiesz.

Pewność siebie biskupa Walerana rozzłościła Hamleigha. Wstał i podszedł do okna. Na szczycie pobliskiego wzgórza widział fragmenty robót ziemnych, znaczących miejsca, gdzie biskup cztery lata temu zaczął budować zamek. Miał wówczas nadzieję, że zapłaci za jego budowę dochodami z hrabstwa Shiring. Philip pokrzyżował jego plany i teraz trawa porosła zwały ziemi. William przypomniał sobie, iż Waleran liczył na to, że będzie brać kamień z kamieniołomu hrabstwa. Ale do wydobycia kamienia miał prawo Philip.

– Jeśli mógłbym użytkować swój kamieniołom – dumał głośno młody dziedzic – to pożyczalbym pieniądze pod jego zastaw i wtedy wyposażyłbym armię.

– To dlaczego tego nie zrobisz? – spytał biskup.

– Raz próbowałem – skrzywił się William.

– I Philip cię przechytrył. Teraz jednak nie ma tam żadnych mnichów. Mógłbyś posłać kilku ludzi, by przegnać kamieniarzy.

– A jak zapobiec, by się to nie powtórzyło?

– Zbuduj wysoki płot wokół kamieniołomu i postaw tam strażę.

To można zrobić. Spodobał mu się pomysł, nawet się doń zapalił. Takie coś od razu zmieniłoby jego sytuację. Jakież jednak powody może mieć Waleran, zachęcając do odbioru kamieniołomu? Matka ostrzegła Williama przed tym biskupem: „O Waleranie Bigodzie wystarczy wiedzieć to, że wszystko, co czyni lub mówi, jest starannie wyliczone. On nic nie robi w sposób nieprzemyślany czy przypadkowy. Nic ponad to, co jest mu niezbędne. A przede wszystkim nie czyni nic szlachetnego”. Ale Waleran nienawidził Philipa i przysiągł przeszkodzić mu w budowie katedry. To wystarczający motyw.

William patrzył w zamyśleniu na biskupa. Jego kariera ugrzęzła. Biskupem został w bardzo młodym wieku, ale Kingsbridge nie stanowiło ważnej diecezji, przeciwnie, straciło na znaczeniu jako urząd biskupa, a Waleran z pewnością

widział w Kingsbridge jedynie szczybel kariery. Natomiast dostatek i sławę zyskiwał przeor. Waleran ginął w cieniu Philipa, podobnie jak William. Obaj mieli wystarczające powody, by dążyć do zniszczenia tego Walijszyka.

William postanowił raz jeszcze przewyciężyć odrazę do Walerana z uwagi na dalsze wspólne zamierzenia.

– W porządku – rzekł. – To może się udać. Lecz przypuśćmy, że tym razem przeor Philip zwróci się ze skargą do króla?

– To powiedz, że zrobiłeś tak ze względu na bezprawny targ Philipa, że w ten sposób chciałeś go ukarać.

– Każda wymówka jest dobra – skinął głową William – a przynajmniej okaże się dobra, jeśli wrócę z dostatecznie wielką armią.

Oczy Walerana błysnęły złowrogo.

– Mam wrażenie, że Philip nie zdoła budować katedry, jeśli będzie musiał kupować kamień na rynku, po normalnych cenach. A kiedy przestanie budować, Kingsbridge ponownie pogrzeże się w niedostatku. To zaś rozwiąże wszystkie twoje problemy, Williamie.

William nie miał zamiaru okazywać wdzięczności.

– Ekscelencjo, ty naprawdę nienawidzisz Philipa, prawda?

– Stoi mi na drodze – rzekł Waleran, a William przez moment dostrzegł złowrogą dzikość pod zimnym i wyrachowanym zachowaniem biskupa.

– Tam musi być ze trzydziestu kamieniarzy, niektórzy z żonami i dziećmi – William wrócił do spraw praktycznych.

– No to co?

– Może dojść do rozlewu krwi.

Waleran podniósł swe czarne brwi.

– Naprawdę? – rzekł. – Wtedy udzielę ci rozgrzeszenia.

III

Wyruszyli, kiedy jeszcze było ciemno, żeby znaleźć się na miejscu o świcie. Mieli ze sobą płonące pochodnie, co denerwowało konie. Poza czterema rycerzami i Walterem William wiódł jeszcze sześciu zbrojnych mężczyzn. Za nimi ciągnął tuzin chłopów, którzy mieli wykopać rów i postawić płot.

William mocno wierzył w staranne wojskowe planowanie, dlatego tak wysoko cenił go król, lecz w tym wypadku nie miał żadnego planu bitwy. Przewidywał, że wszystko odbędzie się gładko, więc przesadą byłoby deliberować nad sytuacją, w której zapewne nie dojdzie do prawdziwej walki. Kilku kamieniarzy i ich rodziny nie zdołają stawić większego oporu. Ponadto William pamiętał, że mistrz kamieniarski, jakże mu było, no, Otto Czarnogęby, odmówił walki, kiedy pierwszego dnia Tom Budowniczy wprowadził swych ludzi do kamieniołomu.

Zimny grudniowy brzask przedarł się poprzez strzępy mgły wiszące na gałęziach drzew. Nie lubił tej pory roku: rano zimno, wieczorem ciemno, a w zamku zawsze wilgotno. Za dużo solonych ryb i mięsa. Matka w złym humorze, a służby krnąbrni. Rycerze stali się kłótlivi. Ta mała potyczka dobrze im zrobi. Jemu zresztą też. Już zapewnił sobie pożyczkę dwu setek funtów od Żydów z Londynu pod zastaw kamieniołomu. Pod koniec dzisiejszego dnia będzie miał pełne zabezpieczenie na przyszłość.

Kiedy znaleźli się o milę od celu, William zatrzymał oddział, wybrał dwu ludzi i wysłał na przód pieszo.

– Może być wartownik albo jakieś psy – ostrzegł.

Nieco dalej droga skręcała w lewo, potem raptownie kończyła się pod urwistą ścianą wzgórza. To kamieniołom. Wokół panował spokój. Przy drodze ludzie Williama trzymali przestraszonego chłopca, pewnie terminatora, stojącego akurat na warcie. U jego stóp leżał pies z gardłem przesytytym strzałą. Grupa najeźdźców zbliżała się bez zachowania szczególnej ciszy. William stanął i rozejrzał się po terenie przyszłej walki. Wielka część wzgórza znikła od czasu, jak ostatnio tutaj był. Rusztowanie podniosło się w górę, a także zeszło w dół,

do głębokiej sztolni otwartej u podnóża skały. Kamienne bloki różnych kształtów i rozmiarów ułożono przy drodze, a dwa masywne drewniane wozy czekały załadowane na wywóz. Wszystko pokrywał pył, nawet trawy i krzewy przybrały szarą barwę. Spory kawał lasu został wycięty. Mój las, pomyślał gniewnie William. Postawiono też dziesięć czy dwanaście drewnianych budynków, przy niektórych założono nawet małe ogródki warzywne, a przy jednym był chlew. Wioseczka.

Wartownik pewnie spał, podobnie jak jego pies.

– Ilu tutaj mieszka?

– Ty jesteś lord William, prawda? – chłopak wyglądał na przestraszonego, ale dzielnego.

– Odpowiadaj na pytania, chłopcze, albo tym mieczem utnę ci łeb!

Zbielał ze strachu, lecz odparł drżącym, upartym głosem:

– Chcesz ukraść ten kamieniołom przeorowi Philipowi?

Co się ze mną dzieje? Nie jestem w stanie przestraszyć bezbronnego chłopaka? Dlaczego ludzie myślą, że wolno im mnie obrażać? – zastanawiał się William.

– To mój kamieniołom! – syknął. – Zapomnij o przeorze Philipie, on już nie jest w stanie nic dla ciebie zrobić! Ilu?

Zamiast odpowiedzieć chłopiec odrzucił głowę do tyłu i krzyknął:

– Na pomoc! Strzeżcie się! Atak! Atak!

Ręka Williama powędrowała do miecza. Zawahał się, popatrzył na domy. Przestraszona twarz wyjrzała z jakichś drzwi. Postanowił zostawić chłopca. Wyrwał pochodnię z rąk jednego ze swych ludzi i spał konia.

Podjechał do domów, dzierząc wysoko pochodnię. Zbrojni mężczyźni jechali za nim. Otworzyły się drzwi najbliższej chaty i człowiek o zaspanych oczach, w koszuli, wyjrzał, by zobaczyć, co się dzieje. William rzucił w tę stronę płonąca pochodnię. Upadła, natychmiast podpalając wyschniętą słomę. Pojechał dalej.

Przejeżdżał wokół zabudowań. Jego ludzie szturmowali chaty, wrzeszcząc i rzucając pochodniami w strzechy, a wszystkie drzwi otwierały się. Przerażeni mężczyźni i kobiety z dziećmi zaczęli wysypywać się na drogę, wrzeszcząc ze strachu i starając się uniknąć ciężkich kopyt najeźdźców. Kręcili się bezładnie, a tymczasem płomienie rozpały się na dobre. Zatrzymał się i przez chwilę spoglądał na dzieło zniszczenia. Zwierzęta domowe zostały wypuszczone: oszalała świnia atakowała ślepo, co popadło, a tymczasem krowa stała w środku, zupełnie oglupiała machała łbem raz w jedną, raz w drugą stronę. Nawet grupa młodych mężczyzn, zwykle najbardziej skłonnych do bitki, okazywała zmieszanie i przestraszenie. Świt jest bezwzględnie najlepszą porą na taki atak – obnażanie zwykle hamuje agresję.

Smagły mężczyzna ze strzechą czarnych włosów wybiegł z jednej z chat i jął wydawać rozkazy. To musi być Otto Czarnogęby, pomyślał William. Nie słyszał jego słów. Domyślał się, że nakazuje kobietom zabrać dzieci i uciekać do lasu, ale cóż on mógł mówić mężczyznom? W chwilę potem dowiedział się. Dwu młodszych pobiegło do warsztatu odległego nieco od pozostałych chat. Weszli do środka, a kiedy pojawili się znowu, nieśli ciężkie młoty kamieniarskie. Otto skierował kolejnych ludzi do tej chaty, najwidoczniej składu narzędzi. Mieli więc zamiar walczyć.

Trzy lata temu Otto nie chciał walczyć za Philipa. Co takiego spowodowało tę zmianę?

To już nieważne, trzeba go zabić. Hamleigh dobył miecza z ponurym uśmiechem.

Teraz już sześciu czy ośmiu mężczyzn uzbroiło się w ciężkie młoty i topory na długich trzonkach. William spał konia i pognął w stronę grupy stojącej przed drzwiami narzędziowni. Rozsypali się przed nim, ale zdołał jednego sięgnąć ostrzem miecza w ramię i mężczyzna wypuścił topór.

Przezalopował jeszcze kawałek, zatrzymał konia i zawrócił. Ciężko oddychał, czuł się znakomicie: w ogniu walki nie było miejsca na strach, jedynie na

podniecenie. Jego ludzie oczekiwali na rozkazy. Machnął, by szli za nim, i znów zaszarżował na kamieniarzy. William powalił dwu. Dostrzegł, że jego ludzie też zaatakowali skutecznie, ale nie wiedział, ilu padło, czy zostali zabici, czy tylko ranieni.

Zawrócił. Otto przegrupował siły. Kiedy rycerze znów zaszarżowali, kamieniarze tym razem rozsypali się między chatami, które płonęły. Taktyka okazała się sprytna. Rycerze ruszyli za nimi, ale tutaj kamieniarzom łatwiej było unikać ciosów. Konie bały się ognia. William gonił za siwowłosym mężczyzną z młotem, lecz ciosy nie dosięgły kamieniarza, który uszedł, wpadając do budynku o płonącym dachu.

Will uświadomił sobie, że musi dostać Ottona. To on wydawał rozkazy i dodawał otuchy swym ludziom. Skoro Otto padnie, pozostali się poddadzą. Stał w strzemionach i rozejrzał się za ciemnoskórym. Większość kobiet i dzieci gdzieś się pochowała. Zauważył tylko dwu pięciolatek, stojących pośrodku pola bitwy; dzieci zasłaniały oczy rączkami i płakały. Rycerze Williama gonili za kamieniarzami. Ku wielkiemu zaskoczeniu spostrzegł jednego ze swych ludzi, leżącego na ziemi i silnie krwawiącego. Bardzo go to zaskoczyło, nie przewidywał żadnych strat.

Zdezorientowana kobieta wbiegała do płonących domów i wybiegała z nich, wołając coś, czego William nie potrafił dosłyszeć. Kogoś szukała. W końcu dostrzegła dwójkę dzieci i złapała każde za rękę. Podczas ucieczki niemal wpadła na Gilberta de Rennes. Ten podniósł już miecz, gdy Otto wyprysnął nagle spoza chaty i machnął kamieniarskim toporem. Jego wprawna dłoń doskonale poradziła sobie z tym ciosem i ostrze przeszło przez nogę rycerza i wbiło się w siodło. Odcięta kończyzna spadła na ziemię, a Gilbert wyjął zleciał z konia.

Nigdy więcej nie będzie walczyć.

Wściekły William popędził rumaka. Kobieta z dziećmi znikła. Otto usiłował wyrwać broń z siodła, ale dostrzegł nadciągającego lorda. Jeśliby uciekł od

razu, udałoby mu się. Został jednak, by odzyskać topór. Wyciągnął go w ostatnim momencie. William wzniósł miecz. Otto stanął mocno i podniósł swoją broń. Nagle William zorientował się, że topór ma być użyty przeciw koniowi. Kamieniarz może okulawić konia, zanim on będzie dość blisko, by sięgnąć mieczem. Poderwał desperacko wodze, ciągnąc ku sobie z całej siły, aż koń zarył kopytami w ziemi i odwrócił łeb od Ottona. Topór trafił w końską szyję, ostrze wbiło się głęboko w potężne mięśnie, krew bluznęła niczym fontanna i rumak padł. William stanął na równych nogach, nim końskie ciało dotknęło ziemi.

Wpadł w furję. Koń bojowy kosztował fortunę, przetrwał z Williamem rok wojny domowej. Było coś irytującego w śmierci tego zwierzęcia zadanej kamieniarskim toporem. Przeskoczył nad jego ciałem i ruszył na Ottona z mieczem.

Kamieniarz nie należał jednak do łatwych przeciwników. Trzymał broń w obu rękach, wykorzystując jej długi trzonek do parowania ciosów miecza. William uderzał wciąż silniej i silniej, zmuszając Ottona do cofania się. Pomimo wieku kamieniarz miał silne mięśnie, mógł więc odierać wściekle ciosy. William ujął broń oburącz i uderzył jeszcze mocniej. Tym razem miecz wbił się w drewno. William zdołał go wyszarpnąć, lecz uświadomił sobie, że to on musi się bronić.

Otto uniósł topór. William zrobił unik, ale zaczepił o coś piętą, zachwiał się i przewrócił na ciało konia. Wylądował w kałuży ciepłej krwi, lecz zdołał utrzymać miecz. Otto stał nad nim z uniesionym toporem. William błyskawicznie przesunął się. Poczul powiew koło twarzy, kiedy ostrze przeszło tuż obok. Poderwał się na nogi i pchnął mieczem w stronę kamieniarza.

Każdy rycerz w podobnej sytuacji uskoczyłby, gdyż człowiek najbardziej jest narażony na trafienie, kiedy uderza i chybia. Ale Otto nie był rycerzem. Usiłując wyciągnąć swoją broń, stanowił łatwy cel. Miecz Williama przebił mu pierś i utkwiał między żebrami. Oczy Czarnogębego wyrażały zaskoczenie, usta otwarły się jakby do krzyku, chociaż nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Wil-

William pchnął jeszcze mocniej i wyciągnął miecz. Mała jasnoczerwona plama szybko się powiększała. Otto upadł.

William okręcił się dookoła, lustrując wzrokiem otoczenie. Dojrzał dwu uciekających kamieniarzy, prawdopodobnie widzieli śmierć swego mistrza. Biegając, wykrzykiwali coś do swoich ludzi. Rycerze ścigali uciekających.

Krocząc wzdłuż płonących chat, liczył ciała. Zauważył trzech leżących bez ruchu kamieniarzy, a także kobietę i dziecko, chyba stratowanych przez konie. Trzej rycerze Williama byli ranni.

Zatrzymał się przy swoim rumaku. Lubił tego konia bardziej niż ludzi. William ogarnęło przygnębienie. To hańba. Powinni po prostu wypędzić bezradnych robotników, a doszło do krwawych starć, w których poniósł straty.

Jego rycerze gonili kamieniarzy do skraju lasu, stamtąd jednak wycofali się. Walter podjechał do Williama i wtedy zobaczył ciało Gilberta. Przeżegnał się i rzekł:

– Gilbert położył więcej ludzi niż ja.

– Nie mam wielu równych jemu. Nie stać mnie na to, by tracić najlepszych ludzi na kłótnię z przeklętym mnichem – gorzko powiedział William. – Nie mówiąc o koniach.

– Niezła potyczka – stwierdził Walter. – Ci ludzie bili się zacieklej niż rebelianci Roberta z Gloucesteru!

William potrząsnął głową z niesmakiem.

– Nie rozumiem – rzekł patrząc na pobojowisko. – O co, u diabła, oni walczyli?

Rozdział 9

I

Tuż po brzasku, kiedy bracia poszli do krypty na prymarię, w dormitorium pozostał jedynie Johnny Osiem Pensów z Jonathanem. Mnich zamiatał w jednym kącie, a chłopczyk bawił się w szkołę w drugim.

Przeor Philip stanął w drzwiach i przyglądał się Jonathanowi, który miał już prawie pięć lat. Ten po dziecięcemu poważny chłopaczek oczarowywał każdego. Johnny stale ubierał go w miniaturowe habity. Dzisiaj malec udawał mistrza nowicjuszy i wykladał wyimaginowanym rzędom uczniów.

– To błąd, Geoffreyu! – mówił strofująco do pustej ławki. – Nie dostaniesz obiadu, jak nie nauczysz się saczowników! – Miał na myśli „czasowniki”.

Philip uśmiechnął się z dumą. Syna nie mógłby kochać mocniej. To dziecko było źródłem czystej, niczym niezmażonej radości, której nie dawały mu żadne inne sprawy.

Chłopiec biegał po klasztorze jak szczeniaczek, był głaskany i rozpieszczany przez mnichów. Dla większości z nich Jonathan stanowił rodzaj ulubionej zabawki, lecz dla Philipa i Johnny’ego był czymś więcej. Johnny kochał chłopca jak matka, a Philip jak ojciec, chociaż starał się to ukrywać. Philip od bardzo

młodego wieku wyrastał w klasztorze, wychowywany przez mądrego opata. Może dlatego odgrywanie tej samej roli wobec Jonathana wydawało mu się najnaturalniejszą rzeczą na świecie. Nie drażnił się z nim ani nie gonił, jak inni mnisi, lecz opowiadał mu biblijne historie i grał w gry wymagające liczenia. Starał się mieć go na oku.

Wszedł do pomieszczenia, uśmiechnął się do Johnny'ego i usiadł na ławce obok wymaginionowanych uczniów.

– Dzień dobry, ojcze – rzekł poważnie chłopczyk. Johnny nauczył malca grzeczności.

– Podobałoby ci się chodzenie do szkoły?

– Ja już znam łacinę – pochwalił się Jonathan.

– Naprawdę?

– Tak. Słuchaj, ojcze. Omniuspluvius buvius tuvius nomine patri amen.

Philip spróbował powstrzymać śmiech.

– To brzmi jak łacina, ale nie jest tak całkiem poprawna. Brat Osmund, mistrz nowicjuszy, nauczyłby cię mówić, jak należy.

Jonathan zasmucił się trochę, kiedy dowiedział się, że jednak nie zna łaciny.

– Za to umiem biegać tak szybko, szybko, popatrz! – Pobiegł, jak mógł najszybciej, z jednej strony komnaty na drugą.

– Wspaniale – uśmiechnął się przeor. – To dopiero prędkość.

– Tak... a ja mogę jeszcze szybciej...

– Nie teraz – rzekł łagodnie Philip. – Posłuchaj mnie przez chwilę. Ja muszę wyjechać na pewien czas.

– Wrócisz jutro?

– Nie, tak szybko to nie.

– Ale dlaczego? – spytał.

– Muszę się zobaczyć z królem.

– Aha. – To także Jonathanowi nic nie mówiło, podobnie jak sprawy czasu.

– No i chciałbym, żebyś zaczął chodzić do szkoły, kiedy ja wyjadę. Podałoby ci się to?

– Tak!

– Masz prawie pięć lat. Twoje urodziny przypadają w przyszłym tygodniu. Przyszedłeś do nas pierwszego dnia roku.

– A skąd przyszedłem?

– Od Boga. Wszystko pochodzi od Boga.

Chłopczykowi to nie wystarczyło.

– Ale gdzie ja byłem przedtem? – upierał się.

– Nie wiem.

Jonathan zmarszczył brewki. Na jego dziecinnej twarzy ten mars wyglądał zabawnie.

– Musiałem gdzieś być.

Któregoś dnia, pomyślał Philip, ktoś będzie musiał powiedzieć Jonathano-
wi, jak rodzą się dzieci. Skrzywił się na tę myśl. No, na szczęście jest jeszcze trochę czasu. Zmienił temat.

– Kiedy mnie nie będzie, chciałbym też, żebyś nauczył się liczyć do stu.

– Ja umiem liczyć – dumnie rzekł malec. – Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem, osiem, dziewięć, dziesięć, jedenaście, dwanaście, trzynaście, czternaście, fernaście, szwernaście, fofnaście...

– Nieźle. Lecz brat Osmund nauczy cię więcej. W klasie musisz siedzieć cicho i robić wszystko, co brat Osmund ci każe.

– Chcę być najlepszy w szkole!

– Zobaczmy – odrzekł Philip. Przez moment badał Jonathana wzrokiem. Zadziwił go rozwój dziecka, sposób, w jaki poznawał rzeczy i sprawy oraz fazy, jakie w tym procesie przechodził. Dziecięce przechwałki, że zna już łacinę, że umie liczyć, że potrafi szybko biegać, ciekawiły przeora. Czyżby stanowiło to konieczne preludium do prawdziwej nauki? Bóg musi mieć w tym jakiś cel. A jaki będzie Jonathan kiedyś, gdy stanie się mężczyzną?

Ta myśl spowodowała, że Philip zaczął się niecierpliwić: chciałby to już zobaczyć. Tymczasem owo dorastanie może trwać przez cały okres budowania katedry.

– Daj buzi i powiedz „do widzenia”.

Jonathan uniósł główkę i Philip pocałował miękki policzek.

– Do widzenia, ojczec.

– Do widzenia, mój synu.

Uścisnął przyjaźnie ramię Johnny’ego Osiem Pensów i wyszedł.

Mnisi wracali już z mszy porannej i kierowali się do refektarza. Philip miął się z nimi, wszedł do krypty, aby pomodlić się o powodzenie swej misji.

Serce mu pękało, kiedy dowiedział się, co zaszło w kamieniołomach. Pięcioro ludzi zabitych, w tym jedna dziewczynka! Zamknął się u siebie i płakał jak dziecko. Znał wszystkich zamordowanych przez Hamleigha i bandę jego zbirów. Harry z Shiring, kiedyś kamieniarz pracujący dla lorda Percy’ego; Otto Czarnogęby, smagły mężczyzna, który kierował pracami w kamieniołomie od samego początku; syn Ottona, przystojny Marek; jego żona, Alwena – wieczorami grała piękne melodie na owczych dzwoneczkach; wreszcie mała Norma, siedmioletnia wnuczka Ottona, jego ulubienica. Bogobojni, ciężko pracujący ludzie, mający prawo oczekiwać pokoju i sprawiedliwości od swoich panów. William dokonał na nich mordy, podobnie jak lis dokonuje rzezi kurcząt w kurniku. Tego było dosyć, by nawet anieli zapłakali.

Przeor, pogrążony w bólu po stracie tych dzielnych ludzi, pojechał do Shiring szukać sprawiedliwości. Szeryf odmówił wszelkiej interwencji.

– Lord William ma przecież małą armię, jakże zdołam go aresztować? – tłumaczył się szeryf Eustace. – Jeśli król potrzebuje rycerzy do walki z Cesarzową, to co powie na wieść, że wsadzam do więzienia jednego z jego najlepszych ludzi? Jeśli zaś sam pozwę Hamleigha do sądu za morderstwo, zostaną natychmiast zabity przez jego rycerzy. Albo powieszony przez króla Stefana nieco później jako zdrajca.

Pierwszą ofiarą wojny domowej, jak zauważył wówczas Philip, była sprawiedliwość.

Potem szeryf powiedział mu, że młody hrabia Shiring złożył urzędową skargę w sprawie targów w Kingsbridge.

Oczywiście niedorzecznością było, że Williamowi uszło na sucho mordowanie, nie mówiąc już o korzystnym dla niego rozpatrzeniu skargi o niedopełnienie targowych formalności. Philip poczuł się jednak bezradny. To prawda, że nie miał zezwolenia na targi i, mówiąc wprost, popełnił wykroczenie. Nie mogło tak jednak pozostać. Był przecież przeorem Kingsbridge i dla niego najważniejszy był autorytet moralny. William mógł zebrać armię rycerzy, biskup Waleran mógł wykorzystywać swoje kontakty w wyższych sferach, szeryf mógł powoływać się na autorytet króla, natomiast on mógł jedynie mówić: to jest dobre, tamto złe. Jeśli straciłby tę pozycję, to stałby się naprawdę bezradny. Rozkazał tedy zamknąć targ.

To zaś spowodowało prawdziwie rozpaczliwą sytuację.

Wpływy klasztoru poprawiły się znacznie od chwili, gdy zastosował nową politykę finansową, związaną ze ścisłą kontrolą dochodów z targu i stałego ich wzrostu, a także wzrostu hodowli owiec. Ale każdego pensa wydawał na budowę, pożyczył ponadto bardzo wiele od Żydów w Winchesterze i musiał jeszcze to spłacać. Teraz jednak utracił zaopatrzenie w darmowy kamień, wysechł strumień dochodów z targu, a ochotnicy, z których wielu przychodziło prosto z targowiska, pojawiali się coraz mniej licznie. Bał się, że stanie wobec konieczności zwalniania murarzy, że będzie musiał zrezygnować z budowy katedry, która nie zostanie ukończona za jego życia. Nie był na to przygotowany.

Zastanawiał się, czy ten kryzys nie stał się faktem za jego przyczyną. Może okazał się zbyt pewny siebie? Zbyt ambitny? Szeryf Eustace coś podobnego mu powiedział.

– Przeorze, uważasz siebie za pępek świata – mówił gniewnie. – Jesteś tylko przeorem małego klasztoru, lecz chcesz rządzić biskupem, hrabią i szeryfem.

No, ale to ci się nie udaje. Jesteśmy dla ciebie za potężni. Powodujesz jedynie kłopoty.

Eustace nosił brudną żółtą szatę, miał bielmo na jednym oku, był brzydki i miał nierówne zęby. Ale spoza tych zębów wypłynęły słowa, które ugodziły Philipa w samo serce. Trafiły w bolesne przeświadczenie, że gdyby nie pokłócił się z Williamem Hamleighem, gdyby nie był jego wrogiem, to ludzie by nie zginęli. A jednak nie mógł nie być jego wrogiem. Jeśliby się poddał, cierpiałoby więcej ludzi, takich jak młynarz, którego William zabił, czy ta córka chłopca, którą zgwałcił wraz ze swymi rycerzami. Musiał walczyć.

A to znaczyło, że trzeba iść do króla.

Nie podobał mu się ten pomysł. Już kiedyś był blisko króla i jakkolwiek dostał, czego chciał, to atmosfera dworu przyprawiała go o mdłości. Króla otaczali ludzie podstępni i bez skrupułów, starający się przyciągnąć uwagę i pazer- ni na królewskie łaski. Takich ludzi uważał za godnych pogardy. Usiłowali dostać majątki i pozycje, na które nie zasługiwali. Tak naprawdę to nie rozumiał zasad tej gry. W jego świecie najlepszym sposobem na otrzymanie nagrody były zasługi, a nie pochlebstwa. Teraz jednak nie miał innego wyjścia. Musiał wejść w ten obcy sobie świat i zagrać tak, jak w tym świecie grają. Tylko król mógł zagwarantować Philipowi zezwolenie na targ. Tylko król mógł ocalić katedrę.

Zakończył modlitwy i wyszedł z krypty. Słońce wznosiło się, a na szarych kamieniach ściany pojawił się różowy blask. Budowniczywie właśnie zaczęli robotę: otwierali warsztaty, ostrzyli narzędzia i mieszały zaprawę. Przepadek kamieniołomu jeszcze nie dotknął budowy, gdyż mieli zapasy kamienia na kilka miesięcy.

Nadszedł czas wyjazdu. Król przebywał w Lincoln. Philip miał wyruszyć w towarzystwie Richarda, brata Alieny. Po tym jak walczył u boku króla przez rok, został pasowany przez samego monarchę. Wrócił do domu, uzupełnił ekwi- punek i teraz wyruszał, by dołączyć do królewskiej armii.

Alienie szło zadziwiająco dobrze. Już nie sprzedawała wełny klasztorowi, lecz pertraktowała bezpośrednio z Flamandami. Doprawdy, w tym roku chciała odkupić całą produkcję wełny od Philipa. Zapłaciłaby mniej niż Flamandowie, ale przeor miałby pieniądze wcześniej. Philip odrzucił jej propozycję, ale miarą sukcesu Alieny była możliwość złożenia takiej oferty.

W tej chwili stała z bratem przed stajniami. Philip spostrzegł ich, idąc przez trawnik. Zebrał się tłumek żegnających. Richard siedział na kasztanowym koniu bojowym, który musiał kosztować ze dwadzieścia funtów. Wyrósł na przystojnego, barczystego młodego mężczyznę, którego gładkie rysy zniekształcała jedynie blizna po odciętej małżowinie prawego ucha, niewątpliwie w jakimś szermierczym starciu. Odziany był w czerwień i zieleń. Miał także nowy miecz, lancę, topór bojowy i sztylet. Jego bagaż dźwigał koń juczny. Richardowi towarzyszyli dwaj przybocznicy na podjezdkach i giermek na kucu.

Aliena płakała, ale Philip nie wiedział, czy powodem łez był wyjazd brata, duma z jego pięknego wyglądu, czy też lęk przed tym, iż brat może nigdy nie powrócić. Możliwe, że wszystkie trzy rzeczy naraz. Kilku mieszkańców wioski przyszło się pożegnać, w tym większość młodych mężczyzn i chłopców. Bez wątplenia Richard był ich bohaterem. Nadeszli również wszyscy mnisi, by życzyć swemu przeorowi bezpiecznej podróży.

Stajenni wyprowadzili dwa konie: wierzchowca osiodłanego dla Philipa i kuca objuczonego jego skromnym bagażem, głównie żywnością na podróż. Budowniczości odłożyli narzędzia i zbliżyli się, prowadzeni przez brodatego Toma i jego czerwonołosego przybranego syna Jacka.

Philip uściskał formalnie swego subprzeora Remigiusa, ciepłej pożegnał się z Miliusem i Cuthbertem i wsiadł na wierzchowca. Uświadomił sobie ponuro, że w tym twardym siodle spędził bardzo wiele czasu. Pobłogosławił wszystkich. Mnisi, budowniczości i wieśniacy machali rękami i wołali słowa pożegnania, kiedy wraz z Richardem ruszyli w stronę bram klasztoru.

Przejechali wąską uliczką w dół, do mostu, przez wioskę, machając do lu-

dzi, którzy żegnali ich w oknach i drzwiach. Kopyta końskie zatętniły na drewnianym moście i znaleźli się na drodze wśród pól. Nieco później Philip, obejmując się przez ramię, zobaczył promienie słońca przedzierające się przez okna w rozpoczętych ścianach wschodniej części kościoła. Jeśli jego misja się nie powiedzie, to pewnie nigdy nie zostaną ukończone. Po wszystkim, czego doświadczył, nie może tak zwyczajnie przegrać. Odwrócił głowę i skupił się na drodze przed sobą.

Lincoln leżało na wzgórzu. Philip i Richard zbliżyli się do miasta od południa, starą i ruchliwą drogą zwaną Traktem Sędziowskim. Z daleka widzieli wieże katedry i blanki zamku. Kiedy mieli do nich ze trzy lub cztery mile, ku zdziwieniu mnicha natknęli się na bramę wjazdową. Przedmieścia muszą być rozległe, pomyślał Philip, a liczba mieszkańców sięgać tysięcy.

W Boże Narodzenie miasto obległ Ranulf z Chesteru, najpotężniejszy z północnych panów i krewny Cesarzowej Matyldy. Król Stefan zdołał je odbić, lecz armia Ranulfa w dalszym ciągu zajmowała zamek. Lincoln było w skomplikowanej sytuacji; w jego murach obozowały jednocześnie dwie wrogie armie.

Przez cztery tygodnie wspólnej podróży mnich nie nabrał cieplejszych uczuć do brata Alieny. Richard nienawidził Hamleighów i pałał żądzą zemsty; młody gniewny człowiek. Z Philipem rozmawiał tak, jakby przeor miał takie same pragnienia jak on. Tymczasem się różnili. Philip nienawidził Hamleighów za ich postępkę wobec swych poddanych. Jego zdaniem uwolnienie się od Hamleighów mogłoby uczynić świat lepszym. Richard zaś nie będzie mógł spać spokojnie, póki ich nie pobije. Motywacja Richarda koncentrowała się na nim samym.

Młodzieniec ten odznaczał się wielką odwagą, zawsze był gotów do walki, ale w wielu sprawach okazywał słabość. Dezorientował swych przybocznych; to traktował ich jak równych, to wydawał im rozkazy, jakby byli sługami. W taavernach usiłował robić wrażenie na ludziach, stawiając zupełnie obcym. Uda-

wał, że zna drogę, choć nie miał pewności, i czasami wiódł ich źle, bo nie umiał się przyznać do pomyłki. Kiedy dojechali do Lincoln, Philip wyrobił sobie zdanie: Aliena warta była dziesięciu Richardów.

Minęli wielkie jezioro, pełne statków, potem u stóp wzgórza przecięli rzekę, która stanowiła naturalną granicę południową właściwego miasta. Lincoln najwyraźniej żyło z żeglugi. Za mostem mieścił się targ rybny. Przejechali przez kolejną strzeżoną bramę. Zostawili za sobą rozrzucone przedmieścia i znaleźli się w rojnym mieście. Wąskie, niemożliwie zatłoczone uliczki biegły stromo w górę. Domy, które cisnęły się po obu stronach ulicy, postawiono częściowo lub w całości z kamienia, co wymownie świadczyło o dużej zamożności mieszkańców. Wzgórze było tak strome, że w większości budynków podłoga na parterze z jednej strony wbijała się w grunt, a z drugiej wystawała nad ziemię, niemal jak piętro. U stóp wzgórza zamieszkiwali rzemieślnicy, tam pracowali, tam także mieściły się sklepy. Jedyne otwarte przestrzenie stanowiły cmentarze przy kościołach, na każdym z nich znajdował się też targ, gdzie handlowano ziarnem, drobiem, wełną, skórą i innymi towarami. Philip i Richard ze swym niewielkim orszakiem torowali sobie drogę w gęstym tłumie mieszczan, rycerzy, zwierząt i wozów. Przeor ze zdumieniem zauważył, że pod stopami ma kamień. Cała ulica została wybrukowana! Jakież bogactwo musi być tutaj, pomyślał, żeby wykładać ulice kamieniem, jak wokół katedry czy na dziedzińcu zamkowym. Wszędzie było ślisko od odpadków i zwierzęcych odchodów, ale ta śliskość okazała się mniej dokuczliwa niż rzeki błota, spływające zimą ulicami większości miast.

Znaleźli się na grzbiecie wzgórza i przekroczyli jeszcze jedną bramę. Teraz wchodzili do miasta środkowego, było ciszej, ale wyczuwało się napięcie. Zaraz na lewo mieli wejście do zamku. Wielka, wzmocniona żelazem brama w łukowatym portalu była zamknięta na głucho. Niewyraźne postacie przesuwwały się za blankami, strzegąc umocnionych murów. Żołnierze w zbrojach widoczni byli w strażnicy; słabe słońce odbijało się od ich lśniących hełmów. Philip ob-

serwował, jak maszerują tam i z powrotem. Nie rozmawiali, nie żartowali, nie śmiali się, nie opierali o balustradę, by gwizdać na przechodzące dziewczęta. Byli wyniośli, o orlim wzroku, straszni.

Po prawej stronie Philipa, nie więcej niż ćwierć mili od bramy, znajdowało się wejście do katedry. Dostrzegł natychmiast, że w kościele mieści się kwatera główna sił królewskich. Szereg wartowników zamykał wąską ulicę, prowadzącą do kościoła między kanoniami. Za wartownikami nieustannie krzatali się rycerze i ich przybocznicy, to wchodząc do kościoła, to wychodząc z niego. Na cmentarzu obozowały wojska; stały namioty i płonęły ogniska, a konie pasły się na murawie. W tym mieście nie było budynków klasztornych. Katedrą w Lincoln opiekowali się księża zwani kanonikami, którzy mieszkali w kanoniach obok kościoła.

Philip i Richard zatrzymali się między katedrą i zamkiem. Nagle przeor zauważył, że na nich jest skupiona uwaga straży królewskiej oraz wartowników z przeciwległych murów zamkowych. Rozejrzawszy się, zobaczył, że znajdują się na ziemi niczyjej, między obozami wrogich sobie armii, prawdopodobnie w najbardziej niebezpiecznym miejscu w mieście. Podążył jak najszybciej za Richardem, który kierował się już w stronę straży królewskiej.

Przepuszczono ich natychmiast, gdyż Richarda dobrze znano. Philip podziwiał zachodnią ścianę katedry. Pośrodku niezmiernie wielki łuk portalu, obok niego niższe o połowę łuki portali mniejszych wejść, ale także wysokie. Zdawały się bramą do niebios, którą w istocie były. Postanowił bez namysłu, że właśnie takie wysokie łuki chce mieć w katedrze w Kingsbridge.

Pozostawiwszy wierzchowce giermkowi, weszli do katedry. Wewnątrz panował przeogromny tłok. Nawy boczne służyły za stajnie i setki koni przywiązano do kolumn arkad. Ubrojeni mężczyźni cisnęli się w nawie głównej, gdzie palono ogień i gotowano potrawy, tutaj także znajdowały się legowiska. Jedni mówili po angielsku, drudzy po francusku, a kilku po flamandzku, gardłowym językiem handlarzy wełny z Flandrii. W katedrze kwaterowali głównie rycerze,

bo zbrojni najemnicy obozowali na zewnątrz. Philipowi zrobiło się przykro na widok grających na pieniądze, a jeszcze bardziej zmartwiła go obecność kilku kobiet, bardzo, jak na zimową porę, skąpo odzianych i najwidoczniej flirtujących z mężczyznami – niemal tak, jakby były kobietami grzesznymi albo nawet, nie daj Boże, ladacznicami.

By uniknąć patrzenia na nie, podniósł wzrok na sufit. Zrobiony z drewna, przepięknie pomalowany, mógł splonąć w pożarze, który tak łatwo mogły spowodować te wszystkie ogniska. Podążał za Richardem przez nawę, przedzierając się przez tłum. Zdawało się, że brat Alieny czuje się tutaj jak u siebie, pozdrawiał i witał różnych panów i baronów, klepał po barkach rycerzy.

Skrzyżowanie naw i wschodnia strona katedry zostały oddzielone sznurami. Tam znajdowała się kwatery króla.

Za sznurami rozstawiono strażę, dalej kłębili się dworzanie aż do kręgu hrabiów, w środku którego na drewnianym tronie siedział król Stefan. Od czasu kiedy Philip go widział – a było to pięć lat temu w Winchesterze – król znacznie się postarzał. Na jego twarzy pojawiły się zmarszczki, a w kasztanowatych włosach srebrne nitki. Schudł. Zdawało się, że spiera się o coś z hrabiami, nie zgadzając się z nimi, ale też nie gniewając się na nich. Richard podszedł tam i skłonił się głęboko, ceremonialnie. Król rzucił okiem, rozpoznał go i rzekł gromkim głosem:

– Richardzie z Kingsbridge! Rad jestem, że mam cię z powrotem!

– Dziękuję ci, miłościwy królu – odpowiedział młodzieniec.

Philip stanął obok niego i także się skłonił.

Stefan zażartował:

– Czyżbyś mnicha przywiódł jako giermka?

Zaśmiali się wszyscy.

– To jest przeor Kingsbridge, miłościwy panie – odrzekł Richard.

Król spojrzał ponownie i Philip zauważył iskierkę rozpoznania w jego oczach.

– Oczywiście, znam przeora... Philipa – powiedział, lecz w jego głosie nie znalazło się tyle ciepła, ile było go w słowach, którymi powitał Richarda. – Przybyłeś, by się dla mnie bić? – Dworzanie śmiali się znowu.

Philip ucieszył się, że król pamięta jego imię.

– Jestem tutaj, bo boże dzieło odbudowy katedry Kingsbridge potrzebuje pomocy królewskiej, miłościwy królu.

– Muszę tego wszystkiego wysłuchać dokładnie – pośpiesznie przerwał mu Stefan. – Przyjdź do mnie rano, jutro, kiedy będę mieć więcej czasu. – Odwrócił się do hrabiów i podjął konwersację cichszym głosem.

Richard uklonił się i wycofał, Philip zrobił to samo.

Przeor jednak czekał kilka dni na rozmowę z królem.

Pierwszą noc spędził w piwiarni, lecz czuł się uciemżony ciągle dobiegającymi zapachami pieczonego mięsa i śmiechem kobiet lekkich obyczajów. Niestety, w tym mieście nie było żadnego klasztoru. Zwykle mógłby liczyć na gościnę w zamku biskupa, lecz tam kwaterował król i wszystkie domy wokół zostały zajęte przez ludzi z królewskiego otoczenia. Drugą noc Philip spędził za miastem, obok przedmieścia Wigford, gdzie mieściło się leprozorium prowadzone przez mnichów. Tam zjadł razowiec i wypił słabe piwo, dostał twarde siennik na podłogę, miał ciszę od zmierzchu do północy, nabożeństwa od wczesnych godzin rannych i śniadanie z cienkiej owsianki bez soli. Tam był szczęśliwy.

Do katedry przychodził co rano bardzo wcześnie, nosząc przy sobie cenny dokument, dający klasztorowi prawo do kamienia z kamieniołomu w Shiring. Dzień po dniu król go nie zauważał. Kiedy zaś inni petenci, podobnie jak on czekający, roztrzęsali, kto ma szansę, a kto nie, Philip trzymał się z daleka.

Wiedział, dlaczego kazano mu czekać. Król Stefan sprzeniewierzył się Kościołowi, gdyż nie dotrzymał swych szlachetnych obietnic złożonych na począt-

ku panowania. Uczynił sobie wroga z biskupa Henryka, oddając arcybiskupstwo Canterbury innemu biskupowi. To posunięcie rozczarowało także Walerana Bigoda, który marzył, że Henryk pociągnie go w górę za sobą. Jednak największym grzechem Stefana – przynajmniej w oczach Kościoła – stało się aresztowanie biskupa Rogera z Salisbury i jego dwu siostrzeńców, będących biskupami Lincoln i Ely, wszystkich jednego dnia, pod zarzutem budowy zamku bez zezwolenia. Fala protestów ogarnęła klasztory i katedry w całym kraju. Króla to zabolalo. Będąc sługami Boga, biskupi nie potrzebują zamków, przekonywał, a jeśli je budują, nie powinni oczekiwać, że będą traktowani jako niewinni słudzy Boga. To było szczere, ale naiwne.

Sprawa jakoś przycichła, lecz monarcha nie miał już zapалу do wysłuchiwania skarg wnoszonych przez duchownych. Philip musiał więc czekać. Wykorzystywał ten czas na medytacje, których mu bardzo brakowało, gdyż zazwyczaj każdą chwilę pochłaniały mu liczne obowiązki. Teraz raptem okazało się, że ma nadmiar czasu, więc przeznaczył go na rozmyślanie.

Któregoś dnia dworzanie rozstąpili się, pozostawiając wolną przestrzeń wokół niego i czyniąc go tak widocznym, że trudno było ignorować jego obecność. Philip trwał zatopiony w kontemplacji wysublimowanej tajemnicy Trójcy Świętej – był to poranek siódmego dnia jego pobytu w Lincoln – kiedy nagle uświadomił sobie, że ktoś stoi na wprost niego, patrzy i mówi do niego. I był to król we własnej osobie.

– Człowieku, ty śpisz z otwartymi oczami? – Stefan mówił na pół zirytowany, na pół rozbawiony.

– Przykro mi, miłościwy królu, zamyśliłem się. – Philip skłonił się przepaszająco.

– Nie szkodzi. Chciałbym pożyczyć twoje ubranie.

– Co? – Philipa to tak zaskoczyło, że zapomniał o manierach.

– Chciałbym przejść się dookoła zamku, a jeśli będę ubrany jak teraz, zaczęną do mnie strzelać z łuków, kiedy zaś włożę na siebie twój habit... Cóż, do

mnichów nie strzelają. No, ruszaj do którejś z kaplic i zdejmij swoją suknię.

Philip pod habitem miał tylko koszulę.

– Ale, miłościwy panie, co ja włożę?

– Zapomniałem, że wy, mnisi, jesteście tacy skromni. – Stefan pstryknął palcami na młodego rycerza. – Robercie, daj mi twoją tunikę, szybko.

Rycerz, który właśnie rozmawiał z jakąś panną, bez namysłu zręcznym ruchem ściągnął swą tunikę i z ukłonem wręczył królowi, a potem zrobił wulgarny gest w stronę dziewczyny.

Król Stefan podał tunikę mnichowi.

Philip wśliznął się do malutkiej kapliczki świętego Dunstana, pośpieszną modlitwą poprosił świętego o wybaczenie, po czym zdjął habit i włożył szkarłatną, krótką tunikę rycerza. Wyglądał doprawdy dziwnie i tak samo się czuł. Przecież od szóstego roku życia nosił mnisie, długie szaty. Wyszedł i podał Stefanowi swój habit, który król natychmiast włożył na siebie i zwrócił się do Philipa, kompletnie go zaskakując.

– Chodź ze mną, jeśli chcesz. Możesz mi wówczas opowiedzieć o katedrze w Kingsbridge.

Philip dał się zaskoczyć. W pierwszym momencie chciał odmówić. Strażnicy na zamkowych blankach mogą strzelać, bo nie będzie miał na sobie szat duchownego. Dostał jednak ofertę całkowitego sam na sam z królem, mnóstwo czasu na wytłumaczenie wszystkich spraw dotyczących kamieniołomu i targu. Może już mu się nie trafić taka okazja.

Stefan podniósł własną pelerynę, purpurową z białym futrzanym obszyciem i kołnierzem.

– Włóż to – rzekł do przeora. – Odciągniesz ich ogień ode mnie.

Dworzanie ucichli, przyglądali się i zastanawiali, co będzie dalej. Król mnie sprawdza, pomyślał Philip. Przez swe zachowanie powiada, że tutaj, w obozie wojennym, nie mam nic do roboty i nie mogę liczyć na żadne przywileje, bo tu są ludzie, którzy dla króla ryzykują swe życie. Czy to w porządku?

Na pewno nie, lecz jednocześnie zdawał sobie sprawę, że jeśli odmówi, to równie dobrze może spakować manatki i porzucić wszelkie nadzieje na odzyskanie kamieniołomu czy ponowne otwarcie targu. Musiał przyjąć wyzwanie. Wziął głęboki wdech i powiedział:

– Może Bóg chce, bym umarł, ratując króla, miłościwy panie. – Potem narzucił na siebie purpurową pelerynę.

Pomruk zaskoczenia przeszedł przez tłum dworzan, a król Stefan wyglądał także na zaskoczonego. Każdy oczekiwał, że Philip się wycofa. Niemal natychmiast pożałował, że tego nie uczynił. Lecz stało się.

Stefan się odwrócił, poszedł w stronę północnych drzwi, Philip za nim. Kilku dworzan chciało dołączyć, ale monarcha kazał im odejść, mówiąc przy tym:

– Nawet mnich zwróci uwagę, jeśli otoczy go cały dwór królewski. – Osłonił twarz kapturem i wyszli na cmentarz.

Kosztowna peleryna Philipa przyciągała spojrzenia, gdy przechodzili przez obozowisko. Ludzie sądzili pewnie, że jest jakimś baronem, i dziwili się, że go nie poznają. Te spojrzenia budziły w nim poczucie winy, jakby stał się jakimś przebierańcem. Na króla nikt nie patrzył.

Nie skierowali się ku głównej bramie zamku, ale płataniną wąskich zaułków doszli do kościoła Świętego Pawła Męczennika, na wprost południowo-wschodniego narożnika zamku. Mury zamkowe zbudowano wzdłuż ziemnego wału, otaczała je sucha fosa. Pusta przestrzeń między skrajem fosy i najbliższymi budynkami miała szerokość pięćdziesięciu jardów. Stefan, wkroczywszy na trawę, zaczął iść na zachód, lustrując mury od północnej strony i trzymając się blisko domów. Philip szedł obok niego. Król kazał mu iść po swojej lewej stronie. Tę wolną przestrzeń pozostawiono celowo, aby łucznicy łatwiej mogli celować. Mnich nie lękał się śmierci, bał się bólu. Ta myśl przenikała całe jego myślenie. Jak bardzo boli trafienie strzałą? – zastanawiał się.

– Boisz się, Philipie?

– Jestem przerażony – szczerze odrzekł zapytany. Nagle, zapominając, że

jest ogarnięty strachem, spytał: – A ty, panie?

Król zachichotał na ten mimowolny dowód odwagi:

– Trochę.

Philip przypomniał sobie, że ma okazję do rozmowy o katedrze. Nie umiał się jednak skupić, gdy jego życie było w niebezpieczeństwie. Oczy nieustannie biegały mu od jednej blanki do drugiej w poszukiwaniu łucznika gotującego się do wypuszczenia strzały.

Zamek zajmował cały południowo-zachodni kraniec śródmieścia. Jego zachodni mur stanowił jednocześnie część murów miejskich i gdyby szli cały czas wokół nich, droga musiałaby wyprowadzić ich poza miasto. Stefan powiódł Philipa przez zachodnią bramę. Przeszli ją, trafiając na przedmieście, gdzie budynki przypominały chaty chłopskie. Zbudowano je z mat trzciniowych na drewnianych ramach, a całość obrzucono zaprawą. Znajdowały się przy nich spore ogródki, wielkością zbliżone do prawdziwych wiejskich warzywników. Ostry, zimny wiatr hulał po pustych zaułkach i poletkach między domami. Stefan skręcił na południe, wciąż trzymając się podnóża zamku. Wskazał na niewielkie drzwi w zamkowym murze.

– Podejrzewam, że tędy wysliznęła się Ranulf z Chesteru, kiedy uciekał po moim przyjściu.

Tutaj Philip nieco się uspokoił. Ścieżką chodzili także inni ludzie, a blanki były słabiej obsadzone. Zajmujący zamek strzegli przede wszystkim tej strony, z której oczekiwali ataku, czyli od strony miasta, nie od pól. Philip zrobił wdech i wypalił:

– Jeśli zostałbym zabity, to czy dasz, miłościwy panie, klasztorowi Kingsbridge prawo targu i czy skłonisz Williama Hamleigha do oddania kamieniołomu?

Stefan nie odpowiedział natychmiast. Szli w dół, wzdłuż południowo-za-

chodniego odcinka muru i przyglądali się twierdzy. Wydawała się wyniosła i nie do zdobycia. Zaraz za rogiem skręcili w kolejną bramę i zeszli niżej, by przejść wzdłuż południowych obwarowań. Philip znowu poczuł zagrożenie. Przecież strażę mogą ich wziąć za zwiadowców! By stłumić narastający lęk, jął badać oczami twierdzę. W murze wybito małe dziury służące jako wyloty z latryn, a odchody i brudy wylewane z zamku leżały na nasypie dopóty, dopóki nie wchłonęła ich ziemia. Nic dziwnego, że wokół cuchnęło. Philip starał się nie oddychać głęboko, a obaj przyśpieszyli kroku.

W południowo-zachodnim narożniku stała mniejsza wieża. Philip zaczął się zastanawiać, czy Stefan przypadkiem nie zapomniał pytania? Już niemal zatoczyli krąg wokół zamku, lecz nie chciał pytać ponownie, by nie obrazić króla.

Doszli do głównej ulicy, biegnącej przez środek miasta, i skręcili ponownie, ale zanim Philip zdążył poczuć ulgę, przeszli przez kolejną bramę z powrotem do śródmieścia. Po kilku chwilach znaleźli się na ziemi niczyjej między zamkiem i katedrą. Ku przerażeniu Philipa tam właśnie zatrzymał się król.

Odwrócił się i stanął tak, by ponad ramieniem przeora widzieć zamek. Wystawione na cel plecy Philipa, w gronostajach i purpurze, były zwrócone w stronę strażnicy, gdzie roilo się od straży i łuczników. Stanął sztywno, jak posąg, w każdej chwili spodziewając się bólu. Zaczął się pocić mimo lodowatego wiatru.

– Jakiś czas temu dałem ci kamieniołom, prawda? – spytał król.

– Niezupełnie – odparł Philip przez zaciśnięte zęby. – Dałeś, panie, kamieniołom lordowi Percy’emu, a nam prawo do brania kamienia na budowę katedry. Formalnie kamieniołom jest Hamleigha. Teraz syn Percy’ego, William, wyrzucił moich kamieniarzy, zabijając przy tym pięcioro ludzi, łącznie z kobietą i dzieckiem, i odmawia nam naszego prawa.

– Nie powinien robić takich rzeczy, szczególnie że chce, bym uczynił go hrabią Shiring – rzekł Stefan zamyślony. Przeorowi dodało to odwagi, po chwili jednak król powiedział: – Niech mnie diabli, jeśli wiem, jak dostać się do

tego zamku.

– Proszę, miłościwy panie, każ Williamowi otworzyć kamieniołom ponownie. On obraża ciebie i okrada Boga.

Stefan zdawał się nie słyszeć.

– Nie przypuszczam, żeby mieli tam więcej ludzi – powiedział w zamyśleniu. – Podejrzewam, że niemal wszyscy są na murach, by pokazać siłę. A z tym targiem, to o co chodziło?

Philip doszedł do wniosku, że to, iż król każe mu stać z plecami wystawionymi na strzały wrogich łuczników, jest częścią próby. Wytrzeł czoło futrzanym mankietem królewskiej peleryny.

– Miłościwy królu, co niedziela z całego hrabstwa przychodzą do Kingsbridge ludzie na modlitwę i bezpłatną pracę na placu budowy. Kiedy zaczynaliśmy, na samym początku, kilkoro przedsiębiorczych mężczyzn i kobiet zaczęło sprzedawać ochotnikom na placu budowy paszteciki, wino, kapelusze i noże. Targ stopniowo się rozrastał. Teraz proszę cię o zezwolenie na niego, panie.

– Zapłacisz mi za to?

Oплата to zwykła rzecz. Philip wiedział o tym, wiedział też, że z powodów religijnych można było jej uniknąć.

– Tak, miłościwy królu, zapłacę. Chociaż może zechciałbyś dać nam swe pozwolenie bez opłaty, dla większej chwały bożej.

Po raz pierwszy Stefan spojrzał Philipowi prosto w oczy.

– Jesteś dzielnym człowiekiem. Stoisz tutaj z wrogiem za plecami i targujesz się.

Philip spojrzał równie szczerze.

– Jeśli Bóg postanowi, że nadszedł kres mego żywota, nic mnie nie uratuje – odpowiedział dzielnie, niż się czuł. – Lecz jeśli Bóg chce, bym żył i zbudował katedrę w Kingsbridge, to nie powali mnie nawet dziesięć tysięcy łuczników.

– Dobrze to ująłeś! – zauważył Stefan i klepnął Philipa w ramię, po czym

ruszył w stronę katedry.

W narastającym odprężeniu Philip podążył za królem, nabierając otuchy z każdym krokiem. Zdawało się, że zdał egzamin. Potrzebne było mu jednak niedwuznaczne pismo króla, jego konkretna deklaracja. W każdej chwili Stefan mógł znaleźć się w otoczeniu dworzan i wtedy koniec rozmowy. Kiedy przechodzili obok straży królewskich, Philip odważył się poprosić:

– Miłościwy królu, gdybyś zechciał napisać list do szeryfa w Shiring...

Przerwano mu. Jeden z hrabiów pośpieszył na spotkanie króla. Wyglądał na zdezorientowanego, mówił szybko:

– Robert z Gloucesteru ciągnie ku nam, miłościwy panie.

– Co? Jak daleko jest od nas?

– Blisko, najwyżej dzień...

– Dlaczego mnie nie ostrzeżono? Rozstawiłem wszędzie czujki!

– Szli Drogą Fosy, potem zbczyli i bezdrożami nadeszli z pól.

– Kto z nim?

– Wszyscy hrabiowie i rycerze, którzy postradali swe ziemie w ciągu ostatnich dwu lat. Wraz z nim jest Ranulf z Chesteru...

– Oczywiście, pies zdradziecki.

– Prowadzi wszystkich rycerzy z Chesteru, a oprócz tego hordę dzikich, drapieżnych Walijszyków.

– Razem ilu?

– Około tysiąca ludzi, miłościwy królu.

– Do licha! To o setkę więcej, niż my mamy.

W tym czasie podeszło kilku baronów. Jeden z nich się odezwał:

– Miłościwy królu, jeśli on idzie polami, to będzie musiał przejść rzekę w bród...

– Dobrze myślisz, Edwardzie! – rzekł Stefan. – Weź swoich ludzi do brodu i sprawdź, czy zdołasz ich zatrzymać. Będziesz potrzebował łuczników, prawda?

– Czy ktoś wie, jak daleko są? – spytał Edward.

Hrabia, który przyniósł tę wieść królowi, odrzekł:

– Bardzo blisko, jak mówił zwiadowca. Mogą tam być przed tobą.

– Ruszam natychmiast, miłościwy panie – zawołał Edward.

– Dobryś! – powiedział król Stefan i złożywszy prawą rękę w pięść, uderzył w lewą dłoń. – Spotkam Roberta z Gloucesteru wreszcie na polu bitwy. Chciałbym mieć więcej ludzi. No, ale przewaga setki to nie tak wiele.

Philip słuchał tego wszystkiego w ponurej ciszy. Miał pewność, że zdobył przychylność Stefana. Król jednak teraz myślał o czym innym. Przeor nie chciał rezygnować. Wciąż miał na sobie szatę królewską. Zsunął ją z ramion i podał ze słowami:

– Może moglibyśmy się ponownie przebrać, miłościwy królu.

Stefan wyglądał na zirytowanego przypomnieniem. Wzruszył ramionami pod habitem i już miał coś powiedzieć, kiedy zabrzmiał nowy głos.

– Miłościwy królu!

Philip rozpoznał go. Serce mu się ścisnęło. Odwrócił się i zobaczył Williama Hamleigha.

– Williamie, chłopcze ty mój! – powiedział król głosem rubasznej bezpośredniości, używanym wobec żołnierzy. – Przybyłeś na czas!

William skłonił się i rzekł:

– Miłościwy królu, przywiodłem ci pięćdziesięciu rycerzy i dwustu żołnierzy z mego hrabstwa.

Nadzieje Philipa rozsypały się w pył.

To króla wprost zachwyciło.

– Dzielny z ciebie rycerz, Williamie – rzekł ciepło. – To daje nam przewagę nad wrogiem. – Objął swym ramieniem barki Williama i poszedł z nim do katedry.

Philip stał i patrzył, jak się oddalają. Już miał nadzieję na powodzenie swej misji, ale na koniec armia wygrała ze sprawiedliwością. Był przybity i gorzkie

myśli błędziły mu po głowie. Dworzanin, który pomógł królowi zdjąć habit, podawał go teraz Philipowi. Mnich wyciągnął po niego rękę, spoglądał na odchodzącego dworzanina. Włożył swą mniśią szatę. Czuł się głęboko rozczarowany. Popatrzył na trzy wielkie łukowate portale katedry. Taką miał nadzieję, że podobne zbuduje w Kingsbridge. Lecz król Stefan wziął stronę Williama Hamleigha. Król stanął przed prostym wyborem: sprawiedliwość przeciw sile uzyskanej dzięki armii Williama. Nie przeszedł próby.

Teraz Philip mógł czekać jedynie na to, że król Stefan zostanie pokonany w zbliżającej się bitwie.

II

Kiedy niebo zaczynało szarzeć, biskup odprawił mszę w katedrze. Konie już osiodłano, rycerze wdziali kolczugi, zbrojni mężowie zjedli, a porządne miarki wina rozdzielono między wszystkich, by dodało ludziom animuszu.

William Hamleigh klęczał w głównej nawie z innymi rycerzami i hrabiami, a konie bojowe parskały i tupały w nawach bocznych. Właśnie otrzymywali rozgrzeszenie za zabijanie, jakiego będą się dzisiaj dopuszczać.

Młody dziedzic czuł lekkie podniecenie, jak zwykle przed walką. Jeśli król dzisiaj wygra, imię Williama na zawsze pozostanie związane z tym sukcesem, bo wszyscy będą mówić, że to on przyprowadził siły, które przeważały szalę zwycięstwa. Jeśli zaś król przegra... Może zdarzyć się wszystko. Poczul zimno bijące od podłogi.

Król znajdował się na przedzie. Odziany w białą szatę, trzymał w ręku zapaloną świecę. Kiedy biskup wznosił hostię, świeca złamała się i zgasła. Will zatrząsł się ze strachu: to zły omen. Jakiś ksiądz przyniósł nową świecę. Stefan uśmiechnął się niedbale, a jednak lęk przed działaniem mocy nadprzyrodzonej zawładnął Williamem, a kiedy się rozejrzał, przekonał się, że inni lękają się

również.

Po nabożeństwie król przy pomocy swego sługi włożył zbroję: kolczugę z żelaznych pierścieni, sięgającą pod brodę, długą do kolan, rozciętą z przodu i z tyłu, aby umożliwić jazdę wierzchem. Na głowę nałożył skórzany czepiec, który przykrywał włosy i chronił szyję. Na czepiec włożył hełm z osłoną na nos. Skórzane buty króla miały żelazne zdobienia i spiczaste ostrogi.

Przy królu zgromadzili się hrabiowie. William, postępując zgodnie z radami matki, zachowywał się, jakby był jednym z nich. Utorował sobie drogę i dołączył do grupy skupionej wokół króla. Posłuchawszy chwilę, zorientował się, że doradzają mu wycofanie się z Lincoln i oddanie tego miasta w ręce buntowników.

– Masz władzę, miłościwy panie, nad większym obszarem kraju niż Matylda, możesz mieć większą armię – mówił starszy mąż, w którym Hamleigh rozpoznał lorda Hugh. – Idź na południe, weź posiłki, wróć i pokonaj wroga.

Przejęty złowróbnym znakiem, William wolałby uniknąć tej bitwy, lecz król na takie rady nie chciał tracić czasu.

– Mamy dość siły, żeby ich pobić od razu. Gdzie twój duch walki? – powiedział dobroduszenie, przypasując z jednej strony miecz, z drugiej sztylet.

– Armie liczą prawie tyle samo ludzi – rzekł wysoki mężczyzna o krótkich, siwiejących włosach i krótko przystrzyżonej brodzie. William znał go. To hrabia Surrey. – To zbyt ryzykowne.

Był to kiepski argument dla króla Stefana.

– „Armie liczą prawie tyle samo ludzi” – powtórzył lekceważąco. – Wolę uczciwe walki. – Naciągnął skórzane kolcze rękawice. Sługa podał mu drewnianą tarczę, obciążoną skórą, którą król zawiesił na rzemieniu przez szyję.

– Wycofując się, niewiele byśmy stracili – upierał się lord Hugh. – Nie mamy nawet zamku.

– Straciłbym jednak okazję bezpośredniego spotkania z Robertem z Gloucesteru na polu bitwy – mrukiwie odparł Stefan. – Dwa lata mnie unika. Teraz

wreszcie chcę rozprawić się z tym zdrajcą na dobre, nie mam zamiaru mu przepuścić tylko dlatego, że stany liczebne naszych armii są podobne.

Giermek przyprowadził osiodłanego konia i król już miał wsiadać, kiedy koło drzwi katedry zrobiło się zamieszanie. Jakiś rycerz, zabłocony i krwawiący, biegł nawą ku królowi. Williama przejęło ponure przeczucie klęski. Ten goniec przynosił złe wieści. Kiedy rycerz składał ukłon królowi, William przypomniał go sobie. Należał do grupy Edwarda, która miała strzec brodu.

– Przybyliśmy za późno, miłościwy królu – wycharczał rycerz. – Wróg przeszedł rzekę.

To drugi ze złych znaków. William nagle ochłódł. Teraz między miastem a atakującymi były jedynie otwarte pola.

Przez chwilę król Stefan zdawał się przybity, ale szybko zyskał energię.

– Nie szkodzi! Prędzej ich spotkamy! – Wsiadł na konia.

Przy siodle miał bojowy topór. Sługa podał mu jeszcze drewnianą włócznię, zakończoną lśniącym żelaznym grotem. Król był kompletnie uzbrojony. Cmoknął na konia, a ten posłusznie ruszył naprzód.

Kiedy jechał nawą ku wyjściu, hrabiowie, baronowie i rycerze wsiadali na swe wierzchowce i ruszali za nim. Pochodem wyjechali z katedry. Na cmentarzu dołączyli żołnierze. Niektórzy zaczęli odczuwać strach i rozglądali się za możliwością wymknięcia się, lecz kroczyli majestatycznie, gdyż podniosły nastroj mieszkańców, którzy przyglądali się zbrojnemu orszakowi, raczej utrudniał ucieczkę zajęczosercych.

Liczba królewskich wojowników została powiększona o ponad setkę mieszczan – grubych piekarzy, krótkowzrocznych tkaczy i czerwonogębich piwowarów – kiepsko uzbrojonych, jadących na kucach i podjezdkach. Ich obecność dowodziła niepopularności Ranulfa.

Zbrojny orszak nie mógł przejść wzdłuż murów zamku, gdyż tam na blankach czekali łucznicy. Opuścił więc miasto wyjściem północnym, zwanym Bramą Nowego Portu, i skręcił na zachód, gdzie miała rozegrać się bitwa.

William obserwował teren dokładnie. Od południa stok wzgórza opadał stromo ku rzece, lecz od zachodu schodził łagodnie ku równinie. Król Stefan wybrał właściwe miejsce, bo bez względu na to, z jakiego kierunku nieprzyjaciel będzie atakować, zawsze znajdzie się niżej.

Kiedy król oddalił się o jakieś ćwierć mili od miasta, na zboczu pojawili się dwaj zwiadowcy. Dostrzegli wodza i podjechali prosto do niego. William zbliżył się do nich, by usłyszeć najświeższe wieści.

– Wróg szybko się zbliża, miłościwy królu – rzekł jeden.

William spojrział przez pola. W oddali, choć z trudem, mógł już wyróżnić ciemną, ruchomą, zbliżającą się powoli masę; to nieprzyjaciel. Przebiegł go dreszcz strachu, otrząsnął się, ale strach był silniejszy. Przejdzie, gdy zacznie się bitwa, pocieszał się William.

– Jakie mają rozkazy? – spytał król.

– Ranulf i jego rycerze z Chesteru idą w środku, miłościwy panie – zaczął zwiadowca. – Pieszko.

William zdziwił się, jak udało się zwiadowcy uzyskać tę wieść. Musiał dostać się pewnie aż do obozu wroga i podsłuchać, kiedy wydawano rozkazy wymarszu. Do czegoś takiego trzeba było mieć naprawdę stalowe nerwy.

– Ranulf w środku? – powtórzył Stefan. – Całkiem, jakby to on dowodził, a nie Robert!

– Robert z Gloucesteru i jego oddział stanowi lewą flankę. Nazywają siebie Wydziedziczonymi – ciągnął zwiadowca. William wiedział, skąd ta nazwa: każdy z nich stracił swe ziemie od czasu wybuchu wojny domowej.

– Robert zdał tedy dowództwo w tej bitwie Ranulfowi – powiedział z zadumą król. – Szkoda. Roberta znam dobrze, dorastałem z nim, łatwiej odgadłbym jego taktykę. Ranulf zaś stanowi dla mnie zagadkę. Nieważne. Kto na prawej?

– Walijszczy, panie.

– Łucznicy, tak? – Ludzie z południowej Walii mieli reputację znakomitych łuczników.

– Nie, miłościwy panie – odrzekł zwiadowca. – To banda dzikich rabusiów: malują twarze, wyją barbarzyńskie pieśni, a walczą młotami i maczugami. Tylko niewielu ma konie.

– Muszą pochodzić z północnej Walii – król się zadumał. – Ranulf obiecał im łupy, jak przypuszczam. Niech Bóg ma w opiece Lincoln, jeśli znajdą się za murami. Ale nie znajdą się tam! Aha, zwiadowco, jak ci na imię?

– Roger, miłościwy panie, zwany Bez Ziemi – odrzekł zapytany.

– Bez Ziemi? Dostaniesz dziesięć akrów za tę robotę.

– Dziękuję ci, miłościwy panie – mężczyzna był poruszony.

– Dobrze. – Stefan odwrócił się i popatrzył na swych hrabiów. Zamierzał wydać polecenia. William czekał w napięciu, zastanawiając się, jaką też rolę wyznaczy mu dzisiaj. – Gdzie podziewa się mój Alan z Bretanii?

Wezwany rycerz wysunął się do przodu. Dowodził najemnikami bretońskimi, ludźmi bez korzeni, walczącymi dla każdego, kto płacił. Byli lojalni jedynie wobec samych siebie.

– Was chcę mieć w pierwszej linii po mej lewej – powiedział do niego król.

William dostrzegł mądrość tego posunięcia: najemnicy bretońscy przeciwko walijskim awanturnikom, niewiarygodni przeciw niesubordynowanym.

– William z Ypres! – krzyknął Stefan.

– Miłościwy królu! – Smagły mężczyzna na czarnym koniu bojowym podniósł włócznię. Dowodził innym oddziałem najemników, Flamandami, nieco bardziej wiarygodnymi od Bretończyków, jak mówiono.

– Ty także po mojej lewej, ale z Bretończykami Alana.

Obaj dowódcy najemników zawrócili i pojechali do oddziałów, by sformować szyki. William zastanawiał się, gdzie będzie jego miejsce. Nie życzył sobie znaleźć się w pierwszej linii. Dosyć już zrobił dla swego wyniesienia, kiedy przyprowadził swoją armię. Dzisiaj odpowiadałaby mu najbardziej bezpieczna, niczym niezakłócona pozycja w straży tylnej.

– Hrabowie Worcesteru, Surrey, Northampton, Yorku i Hertfordu, z wa-

szymi rycerzami staniecie na mej flance prawej! – rozkazał król Stefan.

William znów dostrzegł sens takiego rozporządzenia: hrabiowie i ich rycerze spotkają się twarzą w twarz z Robertem i jego Wydziedziczonymi, w większości będą wierzchem. Wśród wymienionych nie było jego. Czyżby król o nim zapomniał?

– Ja stanę w środku z piechotą – zdecydował monarcha.

W pierwszej chwili William potępił taką decyzję. Zawsze lepiej zostać na koniu, póki można. Ponieważ Ranulf, dowódca przeciwnych wojsk miał dowodzić spieszonym oddziałem, więc król Stefan postanowił zachować się po rycersku i stanąć do boju na równych warunkach.

– Wraz ze mną pójdzie William z Shiring i jego ludzie.

Hamleigh nie wiedział, czy ma drzeć z radości, czy trząść się ze strachu. Walczyć u boku króla to wielki zaszczyt, matka by się ucieszyła, ale stawiało go to w nader niebezpiecznej sytuacji. Co gorsza, musiał zsiąść z konia. Oznaczało to również, że król będzie mógł na niego patrzeć i oceniać zachowanie. Nie może sobie pozwolić na najmniejszy strach i będzie musiał walczyć z wrogiem, a przecież jego taktyka polegała na trzymaniu się z daleka od kłopotów, tak by walczyć tylko wtedy, gdy okaże się to niezbędne.

– Lojalni mieszkańcy Lincoln będą w straży tylnej – orzekł na zakończenie Stefan. Ta decyzja była wyrazem zarówno współczucia, jak i zdrowego rozsądku. Mieszczanie nie nadawali się praktycznie nigdzie, z tyłu zaś nie będą mogli zaszkodzić ani też nie zostaną zbyt pokiereszowani.

William podniósł proporzec hrabstwa Shiring. To kolejny pomysł matki. Nie miał prawa do proporca, bo nie był hrabią, lecz ludzie, których przyprowadził, przywykli do tej chorągwi, a przynajmniej tak mógł argumentować, gdyby go spytano. Przy końcu dnia, jeśli wynik bitwy będzie pomyślny, może nareszcie zostanie hrabią.

Żołnierze Williama zebrali się wokół niego. Jak zwykle Walter był obok. Jego obecność krzepiła i uspokajała. Byli też: Gervase, Hugh i Miles. Gilberta,

który zginął w kamieniołomie, zastąpił Guillaume de St Clair, młodzieniec o świeżej twarzy, ale napiętnowanej występkiem.

William rozejrzał się. Rozwścieczył go widok Richarda z Kingsbridge, który stawił się w nowej zbroi, na wspaniałym koniu bojowym. Stał z hrabią Surrey. Nie przyprowadził królowi armii, jak to uczynił William, ale jego wygląd robił wrażenie. Jeśli dokona dzisiaj wielkich czynów, to wszystko się może zdarzyć. Decyzji króla nie sposób przewidzieć, podobnie jak wyników bitew.

A przecież Richard może także polec. To dopiero byłby szczęśliwy traf. William pożałował jego śmierci bardziej niż jakiegokolwiek kobiety.

Popatrzył na zachód. Wróg nadchodził.

Philip wdrapał się na dach katedry. Stąd widział całe Lincoln. Stare miasto otaczało katedrę na szczycie wzgórza. Były tu proste ulice i schludne ogródki oraz zamek w południowo-zachodnim narożniku. Część nowsza, hałaśliwa i nadmiernie zatłoczona, zajmowała strome zbocze południowe, między starym miastem i rzeką Witham. Ta kupiecka dzielnica zwykle kipiała życiem, ale dzisiaj pokryła ją niczym całun pełna lęku cisza. Mieszkańcy stali na dachach, by przypatrywać się bitwie. Ze wschodu u stóp wzgórza płynęła rzeka, która rozszerzała się w wielki naturalny port, otoczony uliczkami. Stało w nim mnóstwo statków i łodzi.

Na zachód, od basenu portowego aż do rzeki Trent, biegł kanał zwany Rowem Fosy, jak wytłumaczono Philipowi. Patrząc z tej wysokości, podziwiał, jak prosto biegnie on przez te wszystkie mile. Ludzie mówili, że kanał wybudowano wiele lat temu.

Kanał ów stanowił skraj pola walki. Przeor przyglądał się siłom króla Stefana. Widział, jak wymaszerowały z miasta wielobarwnym orszakiem i jak potem, jeszcze na grzbiecie wzgórza, formowały się szyki w trzy porządne kolumny. Philip zorientował się, że prawą flankę stanowią hrabiowie ze swymi oddziałami, bo byli najbardziej kolorowi w swoich czerwonych i żółtych tunikach i mieli barwne proporce. Byli także najbardziej ruchliwi, jeździli w górę

i w dół, wydawali rozkazy, naradzali się i planowali. Grupa po lewej stronie króla, odziana w bure szarości i brązy, miała mniej koni i zachowywała się spokojniej. To musieli być najemnicy.

Daleko, tam gdzie linia kanału rozmywała się, jak rój pszczół pokrywały pola wojska buntowników. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że stały w miejscu. Kiedy jednak Philip spojrzął na nie po dłuższej chwili, znalazły się raptem bliżej, a teraz, jeśli się skupił, to mógł dostrzec ruch. Zastanowił się, ilu ich może być. Wszystko wskazywało na to, że obie strony dysponują podobną siłą.

Nie mógł w żaden sposób wpłynąć na wynik bitwy, nienawidził takiej sytuacji. Spróbował uspokoić się i przygotować na najgorsze rozwiązanie. Jeśli Bóg chce mieć katedrę w Kingsbridge, to powinien sprawić, by Robert z Gloucesteru wygrał z królem Stefanem, jeszcze dzisiaj, a wtedy on, Philip, mógłby poprosić zwycięską Cesarzową o pozwolenie ponownego objęcia w posiadanie kamieniołomu i otwarcia targu. A jeśli Stefan pobije Roberta, Philip będzie musiał pogodzić się z bożą wolą, porzucić swe ambitne plany i pozwolić, by Kingsbridge znów pograżyło się w ciemnocie i upadku.

Nie chciał nawet o tym myśleć. Pragnął, żeby Robert wygrał.

Silny wiatr uderzył w wieże katedry i zagroził co wątlejszym widzom upadkiem z dachu: niektórzy nawet potoczyli się w dół ku cmentarzowi. Ten wiatr był przeraźliwie zimny. Philip zadrżał i ciaśniej owinął się opończą.

Oba wojska dzieliła teraz mniej więcej mila.

Armia rokoszan zatrzymała się na milę przed pierwszą linią wojsk królewskich. Niemożność dopatrzenia się jakichś szczegółów drażniła Williama. Chciał wiedzieć, jak są uzbrojeni, jakie jest ich nastawienie, czy są agresywni, zmęczeni i niechętni, a nawet jakiego są wzrostu. Ciągłe posuwali się do przodu powolnym krokiem.

Królewscy hrabiowie i rycerze ustawili się rzędem na koniach, wysunęli włócznie, jakby gotowali się do turnieju i już stawali w szranki. William niechętnie odesłał konie swego oddziału na tyły. Przykazał giermkom nie prowadzić zwierząt z powrotem do miasta, lecz trzymać je przed murami, by były pod ręką... Kiedy zajdzie konieczność ucieczki, dodał w myślach. Jeśli bitwa okaże się przegrana, to lepiej będzie uciec, niż zginąć.

Nadeszła chwila sennego oczekiwania, wydawało się, że bój nie zacznie się nigdy. Wiatr ustał, konie się uspokoiły, chociaż ludzie nie. Król Stefan zdjął hełm i otarł czoło, podrapał się w głowę. William się strapił. Bicie się było w porządku, ale myślenie o nim mdliło.

Wtem, bez żadnego jasnego powodu, atmosfera stała się napięta. Rozległ się okrzyk wojenny, konie raptem się spłoszyły. Okrzyk się urwał, stłumiony niemal natychmiast gromem kopyt. Rozpoczęło się! William poczuł nagły przypływ strachu.

Rozejrzał się, rozpaczliwie usiłując zrozumieć, co się dzieje. Wszystko zaczęło się mieszać, a on widział tylko najbliższe otoczenie. Hrabiowie po prawej, zdawało mu się, zaczęli bitwę szarżą na wroga. Najprawdopodobniej ich przeciwnicy – armia wydziedziczonych szlachciców hrabiego Roberta – odpowiedzieli takim samym posunięciem, szarżując w szyku. Rozległ się przeraźliwy krzyk z lewej. Najemnicy bretońscy spinali ostrogami swe konie i ruszali w bój. Z szeregów wroga, w mrożącej krew w żyłach kakofonii dźwięków, ozwały się barbarzyńskie wrzaski. To pewnie ci Walińczycy, pomyślał William. Nie widział, czy ktoś zyskał już przewagę.

Richarda stracił z oczu.

Tuziny strzał wyleciały niczym chmara ptaków zza nieprzyjacielskich linii i zaczęły padać dookoła. William podniósł tarczę nad głowę. Gardził strzałami: zabijały przypadkowo.

Król Stefan wykrzyczał zawołanie bojowe i zaszarżował. William podniósł miecz i pobiegł do przodu, wołając swoich, by podążali za nim. Konni po jego

lewej i po prawej tylko mignęli i przemknęli, w jednej chwili znajdując się między nim i wrogiem.

Od prawej dobiegał ogłuszający szcęk żelaza, a powietrze wypełniał metaliczny zapach, który William tak dobrze znał. Hrabiowie i Wydziedziczeni rozpoczęli bój. Jedyne, co mógł dojrzeć, to konie i jeźdźców zderzających się, kółających, wirujących, atakujących i padających. Rżenia zwierząt i krzyki ludzi nie dawały się odróżnić od siebie. Czasami wśród tej dzikiej wrzawy udawało się Williamowi usłyszeć przejmujące do szpiku, przerażające agonalne okrzyki śmiertelnie zranionych. Miał nadzieję, że wśród nich jest także Richard.

Popatrzył w lewo i przeraził się, że Bretończycy ugną się pod maczugami i toporami dzikich Walińczyków, którzy, ogarnięci szałem, wyli, wrzeszczeli i deptali, jeden przez drugiego przedzierając się do wroga. Może tak bardzo śpieszyło im się do złupienia bogatego miasta? Bretończycy, na których nie czekały łupy, a tylko żołąd, cofali się, oddając plac. William poczuł niesmak.

Do tego czasu nie zadał ani jednego ciosu. Był otoczony przez własnych żołnierzy, a przed nimi były się oddziały hrabiów i Bretończyków. Rzucił się naprzód, zostawiając króla z boku. Dookoła, gdzie toczyły się potyczki, widział padłe konie, mężczyźni walczyli oko w oko z zajadłością marcowych kotów, a wszędzie unosił się ogłuszający szcęk mieczy i mdlący zapach krwi. William i król w owej chwili znaleźli się na martwym polu bitwy.

Philip widział wszystko, ale nie rozumiał nic. Nie miał pojęcia, co się dzieje. Wszystko się pomieszało: błyskające ostrza, szarżujące konie, pororce powiewające i padające, odgłosy bitwy niesione przez wiatr, stłumione nieco odległością. Wszystko to szalenie go irytowało. Niektórzy padali i umierali, inni zwyciężali i dalej się bili. Nie potrafił dostrzec, kto wygrywa, a kto przegrywa.

Ksiądz, który stał w pobliżu w futrzanej opończy, popatrzył na mnicha i zapytał:

– Co się tam dzieje?

Philip potrząsnął głową i wyznał:

– Nie umiem powiedzieć.

Kiedy to mówił, zauważył jakiś ruch. Z lewej strony pola bitwy kilku ludzi zaczęło uciekać po zboczu ku kanałowi. Mieli brązową barwę najemników i, na ile Philip się orientował, byli w armii królewskiej, a teraz uciekali przed pościgiem wymalowanych dzikusów. Zwycięskie wycia Walińczyków dawały się słyszeć nawet tutaj. Nadzieje Philipa ożywiły się: rokoszanie już zdobywali przewagę!

Po prawej stronie, gdzie walczyli konni, armia królewska zdawała się cofać. Ten ruch, z początku nieznaczny, potem się nasilił i nawet dla niedoświadczonych oczu przeora stało się jasne, że król i tutaj przegrywa. Cofanie przekształciło się w odwrót, całe grupy wojowników królewskich zawracały konie i podejmowały ucieczkę z pola bitwy.

Philip radował się: oto wola Boga!

Czyżby mogło to naprawdę wydarzyć się tak szybko? Rokoszanie brali górę na obu flankach, ale środek wciąż mocno się trzymał. Ludzie u boku króla Stefana bili się lepiej niż ci na skrzydłach. Czyżby byli w stanie położyć tamę zalewowi nieprzyjaciół? Być może Stefan i Robert z Gloucesteru rozstrzygną bitwę osobiście: pojedynek między dwoma wodzami może czasem zadecydować o wyniku, niezależnie od tego, co się dzieje na polu walki. To jeszcze nie koniec.

Sytuacja odwróciła się z przerażającą prędkością. W jednej chwili obie armie zawzięcie walczyły, a w następnej królewska zaczęła się pośpiesznie wycofywać. William coraz bardziej upadał na duchu. Po lewej Walińczycy gonili do kanału najemników bretońskich, po prawej hrabiowie ze swymi proporcami zawracali konie i uciekali w stronę miasta. Jedynie król Stefan się trzymał: tkwił

w samym gąszczu, kładąc wokół siebie wrogów masywnym mieczem, a ludzie z Shiring walczyli przy nim jak stado wilków. Sytuacja ta jednak nie była stabilna. Jeśli skrzydła nadal będą uciekać, to król znajdzie się w okrążeniu. William pragnął, by król zaczął się wycofywać. Ale monarcha kierował się raczej odwagą niż mądrością i walczył dalej.

Hamleigh zauważył, że bitwa przesuwana się na lewą stronę. Popatrzawszy dookoła, spostrzegł, że Flamandowie nadchodzą z tyłu i uderzają na Walijczyków, zmuszając ich do zaprzestania pogoni za najemnikami bretońskimi i obrony własnej skóry. Na chwilę zrobił się zamęt. Wtedy Flamandów zaatakowali ludzie Ranulfa, którzy z kolei znaleźli się między wojskiem z Chesteru i Walijczykami.

Widząc ponowne skupienie sił przeciwnika, król Stefan naglił swych ludzi do przodu. William pomyślał, że Ranulf popełnił błąd, bo jeśli siły królewskie zdołają teraz go odciąć, to znajdzie się w kleszczach.

Wtem jeden z rycerzy Williama padł i nagle on sam znalazł się w środku bitwy.

Muskularny mężczyzna z północy ruszył na niego z zakrwawionym mieczem. Z łatwością odparował cios; był świeży, a przeciwnik już zmęczony. William ciął go przez twarz, chybił, odparował następne pchnięcie. Podniósł miecz wysoko, oburącz, celowo wystawiając się na uderzenie, a gdy zgodnie z przewidywaniem tamten postąpił do przodu, by pchnąć, wtedy zrobił unik, spuszczając jednocześnie miecz na jego bark. Rąbnął bronią z taką siłą, że przeszła zbroję i zgruchotała obojczyk. Przeciwnik padł.

William, uszczęśliwiony tą chwilą, przeżywał uniesienie. Strach go opuszczał.

– Chodźcie tutaj, psy! – zaryczał.

Zabitego zastąpiło dwóch innych. Zaatakowali równocześnie. Wstrzymał ich, ale oddał kawałek pola.

Z prawej strony zwiększył się nacisk i jeden z przeciwników Williama mu-

siał się odwrócić, aby bronić się przed czerwonogębym mężczyzną z rzeźniczym toporem w rękach. Pozostał mu tylko jeden przeciwnik. Wykrzywił się barbarzyńsko i parł do przodu. Ogarnięty paniką wróg zamachnął się dziko nad głową Williama. Ten zrobił unik i chlasnął go w udo, tuż poniżej kolczugi. Noga wygięła się, a mężczyzna runął.

Hrabia Shiring znowu nie miał z kim walczyć. Stał spokojnie, ciężko oddychając. Przez moment myślał, że armia królewska zostanie zmuszona do odwrotu, ale rycerze zwarli szeregi i zdawało się, że żadna ze stron nie ma przewagi. Popatrzył na prawo, zastanawiając się, co spowodowało tę falę nacisku, która starła napastników. Ku własnemu zdziwieniu zobaczył grupę mieszczan ostro walczących. Może dlatego, że bronili własnych domów? Lecz kto ich przegrupował i pchnął do walki, kiedy hrabiowie uciekli? Odpowiedź przyszła szybko: ku swemu rozczarowaniu ujrzał Richarda z Kingsbridge popędzającego mieszczan. Ścisnęło się serce Williama. Jeśli król zobaczy Richarda tak dzielnie poczynającego, to jego cały wysiłek pójdzie na marne. Popatrzył w stronę króla, który akurat skinął ręką Richardowi, dodając mu odwagi. William zaklął ze złości.

Mieszczanie zmniejszyli trochę napór nieprzyjaciół na króla, lecz tylko na krótko. Po lewej ludzie Ranulfa zmusili Flamandów do odwrotu i teraz zamierzali uderzyć w sam środek broniących się sił. W tym samym czasie Wydziedziczeni przegrupowali się i ruszyli na Richarda i jego mieszczan. Rozgorzała wściekła walka.

Williama zaatakował wielki mąż z toporem bojowym. Rozpaczliwie wykonał unik, w nagłym lęku o swe życie. Za każdym obrotem topora cofał się trochę, ze strachem uświadamiając sobie, że cała armia królewska cofa się mniej więcej tym samym krokiem. Po lewej Walijszczy wrócili na wzgórze i, wprost niewiarygodne, jęli rzucać kamieniami. Było to zabawne, ale skuteczne, bo teraz Will musiał uważać nie tylko na ciosy giganta z bojowym toporem, ale także na kamienie. Zdawało się, że wrogów jest więcej niż przedtem, i zrozumiał

z rozpaczą, że królewscy są w mniejszości na polu bitwy. Histeryczny strach rósł mu w gardle wielką gulą. Bitwa jest już niemal przegrana, a on sam w śmiertelnym niebezpieczeństwie! Król powinien uciekać. Dlaczego on jeszcze walczy? To szaleństwo, przecież może zostać zabity! Oni wszyscy mogą być zabici! Gigant wysoko podniósł topór. Bitewne instynkty Williama na chwilę wzięły w nim górę i, zamiast się cofnąć, rzucił się do przodu, zadając cios w twarz mężczyzny. Czubek miecza trafił w szyję, tuż pod policzkiem. Pchnął mocniej. Oczy przeciwnika zamknęły się. William poczuł ulgę. Wyciągnął miecz i odskoczył przed toporem wypadającym z rąk martwego wroga.

Rzucił okiem na króla, teraz walczącego o kilka jardów po lewej. Król właśnie opuszczał swój miecz na hełm jakiegoś męża. Miecz pękł niczym gałązka. Bitwa skończona, pomyślał Hamleigh. Król powinien uciec... Lecz nadzieja okazała się przedwczesna. William obejrzał się, gotowy do odwrotu, kiedy jakiś mieszczanin podał królowi topór drwała o długim trzonku. Ku rozczarowaniu i niechęci Hamleigha, Stefan porwał broń i walczył dalej.

Will pragnął zerwać się do ucieczki. Zerknąwszy w prawo, zobaczył Richarda, spieszonego, który jak szalony parł do przodu, kładąc wokół siebie przeciwników uderzeniami miecza, bijąc tych przed sobą, tych po prawej i tych po lewej. William nie mógł opuścić pola bitwy, skoro jego rywal ciągle walczył.

Znowu został zaatakowany, tym razem przez lekkozbrojnego, niskiego mężczyznę, poruszającego się tak szybko, że jego miecz tylko migotał w słońcu. Kiedy ich broń się zetknęła, William poczuł, że ma do czynienia ze znakomitym szermierzem. Znowu był w defensywie i bał się o życie, a świadomość przegranej bitwy osłabiała wolę walki. Parował szybkie ciosy i cięcia, marząc o jednym silnym uderzeniu, które powaliłoby przeciwnika. Dostrzegł okazję i puścił miecz w ruch. Tamten zrobił unik i pchnął sztychem, a lewe ramię Williama zdrętwiało.

Był ranny. Zemdliło go ze strachu. Cofał się przed ciągłym atakiem, zdając

sobie sprawę z przeklętego braku równowagi. Miał wrażenie, że ziemia rozsypała się pod nogami. Jego tarcza dyndała luźno na szyi: nie mógł jej użyć, nie mając władzy w ramieniu. Wróg posmakował zwycięstwa i przypuścił nowy atak. Przejętemu grozą Williamowi śmierć zajrzała w oczy.

Raptem u jego boku pojawił się Walter.

Will cofnął się o krok. Przyboczny ciął oburącz mieczem. Niski, wzięty z nienacka, został rozłupany jak szczapa na podpałkę. Williamowi z ulgi zakręciło się w głowie. Oparł rękę na barku Waltera.

– Przegraliśmy! – krzyknął do niego Walter. – Wyośmy się!

Król wciąż walczył, mimo że los bitwy był przesądzony. Jeśliby się poddał i uciekł na południe, to po jakimś czasie wymusztrowałby następną armię. Im dłużej William się nad tym zastanawiał, tym bardziej był przekonany, że króla pojma albo zabiją, a to oznaczało jedno: Matylda będzie królową.

Pan i sługa wsparli się plecami. Dlaczego król tak głupio postępuje? Zgubił to rycerskie zachowanie, którym chce dowieść swej odwagi. William znowu zapragnął porzucić króla. Richard z Kingsbridge wciąż walczył, podpierał prawe skrzydło jak opoka, machając mieczem niczym żeniec i kładąc ludzi pokonem.

– Jeszcze nie! – krzyknął do Waltera. – Osłaniaj króla!

Cofali się krok po kroku. Walka traciła ognistość, skoro walczący uświadomili sobie, że los tej bitwy jest przesądzony i nie ma sensu dalej przesadnie ryzykować. William i Walter krzyżowali miecze z dwoma rycerzami, ale ci zadowoleni byli z tego, że po prostu królewskich pchają do tyłu. Zadawano ciężkie ciosy, lecz nikt nie wystawiał siebie na niebezpieczeństwo.

William, cofając się, spoglądał na króla. Ujrzał, jak wielki kamień przeleciał górą i uderzył w hełm Stefana. Król zachwiał się, zatoczył i opadł na kolana. Przeciwnik Williama przerwał atak i obejrzał się, by zobaczyć, co się stało. Topór wypadł z rąk monarchy. Rycerz podbiegł do niego i zerwał mu hełm.

– To król! – wrzasnął z triumfem. – Złapałem króla!

William, Walter i cała reszta królewskiej armii odwróciła się i wzięła nogi za pas.

Philip radował się ogromnie. Ucieczka zaczęła się w centrum armii królewskiej i błyskawicznie ogarnęła skrzydła. Po kilku uderzeniach serca przeora pierzchała cała armia. To była zapłata za niesprawiedliwość króla.

Napastnicy rozpoczęli pościg. Na tyłach armii królewskiej zostało trzydzieści czy czterdzieści wolnych koni, trzymanyh przez giermków. Niektórzy z uciekinierów rzucili się ku nim, wsiadali i uciekali dalej, kierując się nie ku miastu, ale w stronę otwartej przestrzeni.

Przeor pomyślał o losie króla.

Mieszkańcy Lincoln jęli czym prędzej opuszczać swe punkty obserwacyjne na dachach. Dzieci i zwierzęta zabierano i zamykano. Niektóre rodziny chroniły się w swych chatach, zatraskując okiennice i barykadując drzwi. Inni próbowali uciekać rzeką. Ludzie zaczęli gromadzić się w katedrze, by tam znaleźć azyl.

W wielkim pośpiechu zamykano wielkie okute żelazem wrota bram miejskich. Nagle ludzie Ranulfa z Chesteru wypadli z zamku, podzielili się na oddziały, wyraźnie postępując według wcześniejszych ustaleń, i każdy z oddziałów ruszył ku innej bramie. Mieszali się z mieszczanami, uderzając od środka, bijąc w prawo i lewo, i otwierali dopiero co zamknięte bramy na przyjęcie zwycięzców.

Philip postanowił zejść z dachu katedry. Ci, którzy wraz z nim tam stali, zdecydowali się zrobić to samo. Byli to w większości kanonicy. Wszyscy schylali głowy, wchodząc w niskie drzwi wiodące do wieżyczki. Tam spotkali biskupa z archidiakonami, którzy oglądali bitwę z wieży. Philipowi wydawało się, że biskup Alexander jest przestraszony. A szkoda: on akurat powinien dzielić się odwagą szczególnie dzisiaj, pomyślał przeor.

Ostrożnie zeszli długimi krętymi schodami i wynurzyli się w nawie kościoła blisko wschodniego krańca. Schroniła się tu już ponad setka mieszczan, a jeszcze więcej wlewało się przez trzy wielkie wejścia. Nagle dwaj rycerze z wielką szybkością wjechali na katedralny dziedziniec. Zabłoceni i poplamieni krwią, prosto z pola walki. Nie zsiadając z koni, wtargnęli do kościoła. Kiedy zobaczyli biskupa, jeden z nich krzyknął:

– Pojmali króla!

Przeorowi serce podskoczyło. Król Stefan nie tylko został pobity, został uwięziony! Teraz rojalistów w całym królestwie dotknie ta klęska. W głowie Philipa kłębiły się myśli, zanim jednak zdołał je uporządkować, usłyszał okrzyk biskupa:

– Zamknąć drzwi!

Nie wierzył własnym uszom.

– Nie! – wrzasnął. – Tak nie można!

Pobladły ze strachu biskup wlepił w niego wzrok. Nie miał pewności, kim właściwie jest ten mnich, ale przypomniał sobie.

– Nie jesteś u siebie, przeorze Philipie! Ta katedra jest moja! Zamknąć drzwi!

Kilku księży poszło wypełnić polecenie.

Philipa ogarnęło przerażenie.

– Nie możesz zamykać drzwi przed ludźmi! – krzyknął gniewnie. – Mogą zostać zabici!

– Jeśli nie zamkniemy się, to wszyscy będziemy martwi! – histerycznym tonem wychrypiął w odpowiedzi biskup Alexander.

Philip chwycił go za szatę.

– Pamiętaj, kim jesteś – syknął. – My nie mamy prawa okazywać lęku, zwłaszcza przed śmiercią. Opanuj się!

– Weźcie go ode mnie! – zapiszczał Alexander.

Kilku kanoników odciągnęło Philipa, który wołał:

– Nie widzicie, co on czyni?!

– Jeśli jesteś taki dzielny, to dlaczego nie wyjdiesz stąd i nie zaczniesz bronić ich sam? – rzekł na to kanonik.

Philip wyrwał się z ich rąk.

– Właśnie mam zamiar to zrobić – powiedział normalnym głosem, choć się gotował.

Odwrócił się. Wielkie środkowe drzwi właśnie zamykano. Rzucił się ku nim przez nawę. Trzech księży ciągnęło odrzwia, by domknąć, podczas gdy ludzie wciąż starali dostać się do środka przez zwężającą się szczelinę. Philip wysliznął się tuż przed zatrzaśnięciem.

Przez następne kilka chwil ciżba tłoczyła się jeszcze na ganku. Mężczyźni i kobiety tłukli we wrota i jęcząc, błagali, aby ich wypuścić, lecz z wnętrza nie dobiegała żadna odpowiedź.

Przeor nagle poczuł strach. Panika malująca się na twarzach na widok drzwi zamykających coś, co uważali za bezpieczne schronienie, jemu także zaczęła się udzielać. Drżał. Raz tylko zetknął się ze zwycięską armią, w wieku sześciu lat. Zgroza, którą wówczas przeżył, pojawiła się znów. Chwila kiedy zbrojni mężowie napadli dom jego rodziców, wróciła nagle, jakby to było wczoraj. Stał niczym przymurowany, próbując przestać się trząść, a wokół niego kłębił się tłum. Czas płynął, a jego nękał koszmar. Widział żądzę krwi na twarzach mężczyzn, ruch miecza przybijającego matkę do klepiska, odrażający obraz wnętrza ojca, wypływających z jego brzucha; poczuł na nowo ów nieopisany, wszechobejmujący, szalony strach. Wtedy ujrzał mnicha, który pokazał jemu i jego bratu, jak zamyka się oczy matce i ojcu, by mogli spać wiecznym snem. Przypomniał sobie, że potem już nie był przestraszonym dzieckiem, że nie jest nim teraz, że dorósł i sam został mnichem. Podobnie jak opat Peter, który tego potwornego dnia uratował go wraz z czteroletnim bratem Francisem, powinien pójść pomagać bliźnim lękającym się o swe życie.

Zmusił się do zrobienia pierwszego kroku. Drugi okazał się łatwiejszy,

a trzeci nie sprawiał żadnych trudności.

Kiedy doszedł do ulicy prowadzącej ku zachodniej bramie, o mało nie został stratowany przez tłum uciekających mieszkańców: mężowie i chłopcy biegli, niosąc tobołki z cennymi rzeczami, starcy ledwie łapali oddech, dziewczyny piszczały, kobiety tuliły w ramionach kwilące niemowlęta i małe dzieci. Napór tłumu cofnął go o kilka jardów, potem zaczął walczyć z ogarniającą go falą. Oni kierowali się ku katedrze, on w stronę przeciwną, pod prąd. Chciał powiedzieć im, że katedra jest zamknięta, że powinni zostać spokojnie we własnych domach i zabarykadować drzwi, wszyscy jednak coś wykrzykiwali, a nikt nie słuchał.

Powoli przesuwiał się pod prąd ludzkiej rzeki. Przeszedł zaledwie kilka jardów, kiedy na ulicę wpadła czwórka jeźdźców. Oni to spowodowali ów oszalały bieg tłumu. Teraz część ludzi rozpląszczyła się przy ścianach domów po obu stronach drogi, a ci, którzy nie zdążyli usunąć się na czas, padli stratowani kopytami koni. Philipa przerażała bezsilność, nic nie mógł zrobić; sam musiał uskoczyć w boczne przejście, by nie stać się ofiarą. Konni przemknęli, a ulica opustoszała.

Kilka ciał leżało na bruku. Philip po wyjściu z ukrycia spostrzegł, że jedno z nich się poruszyło. Był to mężczyzna w średnim wieku, odziany w szkarłatną tunikę. Próbował czołgać się mimo zranionej nogi. Philip przeciął ulicę z zamiarem udzielenia pomocy, ale zanim do niego dotarł, pojawiło się dwu żołnierzy w żelaznych hełmach i z drewnianymi tarczami. Jeden z nich powiedział:

– Ten jeszcze żyje, Jake.

Philip zadrzał. Zdało mu się, być może z powodu doznanych poprzednio wizji, że zachowanie, głosy, odzienie, a nawet twarze tych żołnierzy są identyczne z tymi, które mieli zabójcy rodziców.

– On da okup, popatrz na tę czerwoną tunikę – powiedział człowiek imieniem Jake. Odwrócił się, wsadził palce w usta i gwizdnął. Biegiem zbliżył się trzeci mężczyzna. – Zabierz tego czerwonego do zamku i uwięź.

Mężczyzna objął rannego mieszczanina i pociągnął. Ten wrzasnął z bólu, kiedy nogi zaczęły się obijać o kamienie.

– Stój!!! – krzyknął Philip.

Napastnicy zatrzymali się na chwilę, popatrzyli na niego i buchnęli śmiechem, potem wrócili do swych zajęć.

Krzyknął znowu, ale go zignorowali. Kiedy Philip przyglądał się bezradnie, jak ciągnęli rannego, inny uzbrojony mężczyzna wyszedł z jakiegoś domu. Miał na sobie długi futrzany płaszcz i trzymał pod pachą sześć dużych srebrnych talerzy. Jake go zobaczył i jego uwagę przykuł łup.

– Te domy są bogate – rzekł do kompana. – Powinniśmy zajrzeć do któregoś. Może coś znajdziemy.

Podeszli do zamkniętych na klucz drzwi kamiennego domu i zaatakowali je toporami.

Philip czuł, że nie nadaje się do niczego, ale nie chciał się poddać. Jednakże Bóg nie po to zesłał go tu, by bronił własności bogaczy, porzucił tedy Jake'a i jego towarzyszy, śpiesząc ku zachodniej bramie. Na ulicy pojawiło się więcej żołnierzy. Wśród nich biegli niscy smagli mężczyźni o pomalowanych twarzach, ubrani w kozuchy baranie, a uzbrojeni w maczugi. To są ci walijscy barbarzyńcy, pomyślał Philip. Poczul wstyd, że pochodzi z tego samego kraju co te dzikusy. Szedł tuż przy ścianie, starając się nie przyciągać uwagi.

Z kamiennego domu wyszli dwaj mężczyźni, wlokąc za nogi siwobrodego starca w mycce. Jeden z nich przyłożył mu nóż do gardła i zapytał:

– Gdzie pieniądze, Żydzie?

– Nie mam żadnych pieniędzy – odrzekł ten bezdźwięcznie.

Nikt w to nie uwierzył, doszedł do wniosku Philip. Bogactwo lincolnskich Żydów było słynne, a poza tym ten człowiek mieszkał w kamiennym budynku.

Z domu wyłonił się kolejny mężczyzna. Ciągnął za włosy kobietę w średnim wieku, zapewne żonę Żyda. Na jej widok jeden z żołnierzy krzyknął:

– Gadaj, gdzie są pieniądze, albo wsadzę miecz w jej cipę! – Podniósł spód-

nicę, obnażając siwiejące włosy łonowe, i przyłożył długi sztylet, celując w srom.

Philip już miał się wtrącić, ale starzec zrezygnował z oporu.

– Nie rańcie jej, pieniądze są za domem – powiedział pośpiesznie. – Zakopane w ogródku, przy stosie drewna. Proszę, puśćcie ją.

Trójka mężczyzn wbiegła z powrotem do budynku. Kobieta pomogła starcowi wstać. Przez wąską uliczkę przegalopowała następna grupka konnych i Philip czym prędzej uskoczył im z drogi. Kiedy się pozbierał, po parze Żydów nie było śladu, natomiast ujrzał trzech Walińczyków goniących młodego człowieka w zbroi. Dopadli go tuż w pobliżu Philipa. Pierwszy z goniących machnął mieczem i ciął uciekiniera w łydkę. Philip nie sądził, by rana była ciężka, ale cios okazał się dość mocny. Młodziak zatoczył się i upadł. Kolejny Walińczyk zbliżył się do niego i sięgnął po topór.

Z sercem w gardle Philip zrobił krok w przód i krzyknął:

– Stój!

Mężczyzna uniósł broń.

Philip pośpieszył ku niemu.

Nie robiąc sobie nic z Philipa, Walińczyk zamachnął się, ale przeor pchnął go w ostatniej chwili. Ostrze topora brzęknęło o bruk, niemalże obok głowy niedoszłej ofiary. Napastnik odzyskał równowagę i popatrzył na Philipa zdziwiony. Philip spojrzał na niego, próbując się nie trząść, i usiłował przypomnieć sobie jakieś słowo czy dwa po walijsku. Zanim którykolwiek z nich zdążył się ruszyć, na miejsce akcji wkroczyli kompani napastnika, a jeden z nich silnie potrącił Philipa. Przeor potoczył się, niemal fikając koziołka. Chwilę potem uświadomił sobie, że ten upadek prawdopodobnie uratował mu życie. Kiedy się bowiem pozbierał, Walińczycy szlachtowali młodzieńca w zbroi z niewiarygodną dzikością. Philip z trudem podniósł się, lecz było za późno: młoty i topory gruchotały ciało. Przeor popatrzył w niebo i gniewnie krzyknął:

– Skoro nikogo nie mogę uratować, to po coś mnie tu posłał?!

Jakby w odpowiedzi usłyszał krzykliwy jęk z sąsiedniego parterowego budynku z drewna i kamienia, nie tak kosztownego, jak inne na tej ulicy. Drzwi stały otworem. Philip wbiegł do środka. Kobieta z dwojgiem małych dzieci kulila się w rogu jednego z dwu pokoiów, połączonych łukowatym przejściem. Przerażenie było z niej na odległość. Ujrzał trzech zbrojnych, którzy kłócili się z łysym, niskim mężczyzną. Młoda kobieta, może osiemnastoletnia, leżała na podłodze, suknię miała podartą. Jeden z trójki klęczał nad nią, siłą rozwierając jej ściśnięte uda. Łysy człowiek najwidoczniej usiłował przeszkodzić w zgwałceniu córki. Kiedy Philip wchodził, łysy właśnie rzucał się na jednego z napastników. Ten odepchnął go i mężczyzna zachwiał się. Żołnierz wbił mu miecz w brzuch. Kobieta w kącie zawyla niczym potępiona dusza.

– Stój! – wrzasnął Philip.

Spojrzeli na niego, jakby był obłąkany.

Swym najbardziej władczym głosem oznajmił:

– Wszyscy pójdziecie za to do piekła!

Zabójca podniósł miecz, by uderzyć Philipa, lecz ten, co trzymał dziewczynę, powiedział:

– Zaczekaj chwilę. Kim jesteś, mnichu?

– Jestem Philip z Gwynedd, przeor Kingsbridge, i rozkazuję wam, w imię Boga, byście zostawili tę dziewczynę, jeśli zależy wam trochę na swych nieśmiertelnych duszach.

– Przeor. Wart okupu.

Żołnierz wsadził miecz do pochwy i rzekł:

– Idź, mnichu, do kąta, do tej baby, tam jest twoje miejsce.

Philip zawołał:

– Nie waż się podnosić ręki na habit! – Starał się, by to wypadło groźnie, ale usłyszał nutę rozpaczony w swym głosie.

– Zabierz go na zamek, John – rzekł ten z podłogi. Zdawało się, że to on tu rządzi.

– Idź do diabła – odrzekł John. – Chcę ją mieć.

Złapał mnicha za ramię i zanim Philip zdążył stawić opór, pchnął go w kąt. Philip upadł na podłogę obok kobiety z dziećmi.

Mężczyzna nazwany Johnem podniósł przód swej tuniki i opadł na dziewczynę.

Matka odwróciła głowę, szlochając.

– Nie będę na to patrzeć! – krzyknął Philip, wstając, i złapał gwałciciela za włosy, aby odciągnąć go od dziewczyny. Gwałciciel zaryczał.

Trzeci mężczyzna podniósł maczugę. Przeor kątem oka dojrzał ruch, ale było już za późno. Maczuga wylądowała na jego głowie. Poczul potworny ból i natychmiast potem wszystko szerniało, zanim jeszcze upadł i stracił przytomność.

Więźniów zabrano na zamek i pozamykano w niedużych drewnianych klatkach – zrobionych na podobieństwo miniaturowych domów – na sześć stóp długich, a na trzy szerokich. Jedynie odrobinę były wyższe od mężczyzny przeciętnego wzrostu. Zamiast solidnych i jednolitych ścian miały pionowe, ciasno ustawione paliki, pozwalające dozorczy zaglądać do środka. Kiedy umieszczano w tych klatkach złodziei, morderców i heretyków, w każdej siedział jeden więzień, najwyżej dwu. Dzisiaj rokoszanie wsadzali do każdej klatki po osiem lub dziesięć osób, a więźniów wciąż przybywało. Powiązano ich linami i stłoczono w rogu dziedzińca. Mogliby łatwo uciec, ale tego nie czynili, prawdopodobnie dlatego, że na zamku było bezpieczniej niż w mieście.

Philip siedział w rogu klatki i rozmyślał o własnej głupocie. Okazał się tak samo bezużyteczny jak tchórzliwy biskup Alexander. Nie uratował ani jednego życia, nie zapobiegł ani jednemu ciosowi. Mieszkańcom Lincoln nie byłoby gorzej bez niego ani trochę. Nie miał dość siły, by przeciwstawić się przemocy, jak to uczynił opat Peter. Po prostu nie jestem tym człowiekiem, za jakiego

uważał mnie ojciec Peter – myślał.

Co gorsza, w desperackiej próbie niesienia pomocy mieszkańcom miasta prawdopodobnie przegapił możliwość załatwienia sprawy katedry. Teraz był więźniem Cesarzowej. W ten sposób jego obecność zostanie potraktowana jako przynależność do armii królewskiej. Klasztor Kingsbridge będzie musiał zapłacić okup. Całkiem możliwe, że o wszystkim dowie się Matylda i uprzedzi się do niego. Mdlilo go, czuł się rozczarowany, pełen wyrzutów sumienia i żalu.

Tego dnia przywieziono jeszcze więcej jeńców. Napływ skończył się ze zmierzchem, ale łupienie miasta za murami zamku trwało. Philip słyszał okrzyki, jęki i inne odgłosy zagłady. Około północy zgiełk trochę przycichł, pewnie żołnierze spili się skradzionym winem i zadowolili dokonanymi gwałtami i przemocą na tyle, że więcej szkód na razie czynić nie potrzebowali. Kilku pijanych przytoczyło się na zamek, przechwalali się swymi czynami, kłócili między sobą i rzygali na trawę. Wreszcie na koniec padli bez zmysłów i posnęli.

Philip spał także, chociaż nie miał dość miejsca, by się położyć. Musiał zwinąć się w kącie, a plecy oprzeć o pręty stanowiące ścianę klatki. Obudził się o świcie, trzęsąc się z zimna, ale ból głowy osłabł, chwala Bogu, nie przeszywał, stępsiał. Wstał, by wyprostować nogi, i zaczął klepać się ramionami po bokach dla rozgrzewki. Wszystkie budynki zamkowe były przepelnione ludźmi. Bezścienne stajnie ukazywały śpiących w końskich boksach. Pary nóg sterczały z drzwi piekarni zamkowej i kuchennej piwnicy. Znikoma mniejszość trzeźwych żołnierzy rozbiła kilka namiotów. Konie stały wszędzie. W południowo-wschodnim narożniku zamkowego dziedzińca była twierdza, zamek w zamku, zbudowana na wysokim nasypie, a jej mury otaczały także drewniane budynki. Hrabowie i rycerze zwycięskiej armii tutaj właśnie winni spać, odsypiając uroczystości, czyli ucztę zwycięstwa.

Myśli Philipa zwróciły się ku konsekwencjom wczorajszej bitwy. Czy oznaczała koniec wojny? Pewnie tak. Stefan miał żonę Matyldę, która mogła walczyć. Jako hrabina Boulogne, ze swymi francuskimi rycerzami zajęła zamek

Dover na początku wojny, a teraz panowała nad większością Kentu w imieniu męża. Jednakże znalezienie poparcia u baronów, kiedy Stefana wtrącono do więzienia, mogło okazać się trudne. Przez jakiś czas utrzymałaby się w Kencie, ale niedługo, a nic by przez to nie zyskała.

Jednakże problemy Cesarzowej jeszcze się nie skończyły. Musiała umocnić wojskowe zwycięstwo, zyskać poparcie Kościoła i koronować się w Westminsterze. Znając jej zdecydowanie, o ile okaże się dość mądra, pewnie jej się to uda.

Takie rozwiązanie byłoby korzystne dla Kingsbridge, albo raczej mogłoby być, gdyby Philipowi udało się stąd wydostać bez uznania go za poplecznika Stefana.

Słońce było niewidoczne, ale trochę się ociepliło i dzień zrobił się jasny. Współwięźniowie stopniowo się budzili, jęcząc z powodu bólu i ran; większość z nich została co najmniej posiniaczona i obita, a po zimnej nocy poczuli się gorzej, szczególnie że jedyną osłonę stanowiły więzienne kraty. Niektórzy z nich byli możnymi panami, a inni rycerzami wziętymi do niewoli w bitwie. Kiedy już większość z nich wstała, Philip spytał:

– Czy ktoś z was widział, co stało się z Richardem z Kingsbridge? – Ze względu na Alienę, miał nadzieję, że młodzieniec przeżył.

Człowiek z głową zawiniętą poplamioną szmatą powiedział:

– Walczył jak lew, prowadził mieszczan, kiedy zaczęło robić się kiepsko.

– Żyje czy zginął?

Mężczyzna pokręcił powoli głową.

– Nie widziałem go do końca.

– A co z Williamem Hamleighem? – Gdyby padł, byłaby to błogosławiona ulga, pomyślał jednocześnie.

– Walczył przy królu. Pod koniec bitwy jednak uciekł, widziałem go pędzącego przez pole na koniu, dobrze przed goniącą hordą.

– Aha. – Zgasła słaba nadzieja. Problemy Philipa nie rozwiążą się tak ła-

two.

Rozmowa urwała się i w klatce zapadła cisza. Na zewnątrz zaczęli ruszać się żołnierze. Zajmowali się swoimi zragami, sprawdzali łupy, upewniali się, że zakładnicy są wciąż w ich mocy, przynosili z kuchni śniadania. Philip zastanawiał się, czy więźniowie zostaną nakarmieni. Doszedł do wniosku, że raczej tak, bo inaczej mogą umrzeć i wtedy nie dostaną za nich okupu. Ale kto odpowiada za wyżywienie tak wielkiej liczby ludzi? Zaczął rozmyślać o tym, jak długo przyjdzie mu tutaj przebywać. Ci, co go złapali, pošlą kogoś do Kingsbridge z żądaniem okupu. Jeden z braci przybędzie, by wynegocjować jego zwolnienie. Kto to może być? Najlepszy byłby Milius, ale Remigius, który jako subprzeor podczas nieobecności Philipa zarządza klasztorem, może przysłać któregoś ze swych zauszniaków albo nawet sam przyjechać. Remigius jest bardzo powolny. Nie potrafi podejmować właściwych i szybkich decyzji nawet w swoim własnym interesie. To może trwać miesiącami. Philip sposepniał.

Niektórzy więźniowie mieli więcej szczęścia. Niedługo po wschodzie słońca ich żony i dzieci oraz krewni zaczęli chyłkiem przybywać na zamek. Początkowo lękliwie, potem bardziej pewnie rozmawiali o okupie za bliskich. Targowali się trochę, ze względu na brak pieniędzy oferując tanią biżuterię lub inne wartościowe przedmioty, wreszcie osiągnęli porozumienie, wychodzili, a po jakimś czasie wracali z okupem w ustalonej formie, zwykle z gotówką. Stosy łupów rosły, pustoszały zaś szkatuły i klatki.

Około południa połowa więźniów wyszła. To byli miejscowi, przypuszczał Philip. Ci, którzy pozostali, pewnie pochodzą z odleglejszych miast czy wsi. Najpewniej są to rycerze wzięci podczas bitwy. Wrażenie to potwierdziło się, kiedy zamkowy konstabl przeszedł obok klatek i pytał o nazwiska wszystkich tych, którzy pozostali w więzieniu; większość stanowili rycerze z południa. Philip dostrzegł klatkę, w której siedział jeden człowiek, do tego zakuty w dyby, jakby ktoś chciał się podwójnie zabezpieczyć przed jego ucieczką. Przyglądając się bacznie, Philip uświadomił sobie, kim on jest.

– Popatrzcie – zwrócił się do trzech współwięźniów – na tego mężczyznę, który siedzi sam jeden. Czy to naprawdę może być on?

Przyjrzeni się uważnie.

– Na Chrystusa Pana, to król!

Philip przypatrywał się zabłoconemu mężczyźnie w dybach.

W takiej niewygodzie... Taki podobny do wszystkich innych. Wczoraj – król Anglii. Wczoraj nie dał licencji targowej Kingsbridge. Dzisiaj nie mógł stać bez cudzej pomocy. Król dostał to, na co zasługiwał, ale przeor mu współczuł.

Wczesnym popołudniem więźniom dostarczono jedzenie. Stanowiły je odgrzewane resztki po zwycięskich wojownikach, ale wszyscy rzucili się na nie żarłocznie. Philip odchylił się w tył i pozwolił trzem współwięźniom zjeść większość wspólnej porcji, bo uważał głód za rodzaj słabości podstawowej, której od czasu do czasu należy się oprzeć. Poza tym sądził, że odrobina cieleśnego umartwienia jest doskonałym ćwiczeniem.

Kiedy wyskrobywali miskę, w twierdzy zrobił się nagły ruch. Wyszła grupa hrabiów. Philip widział ich, kiedy schodzili schodami i potem przez dziedzińiec. Dwaj kroczyli nieco z przodu i okazywano im rewerencję. Domyślił się, że to musieli być Ranulf z Chesteru i Robert z Gloucesteru, ale nie wiedział, kto jest kim. Zbliżyli się do klatki Stefana.

– Dzień dobry, kuzynie Robercie – rzekł Stefan, silnie akcentując słowo „kuzyn”.

Wyższy z dwu mężów powiedział:

– Nie chciałem wcale, byś spędził noc w dybach. Nakazałem nie krępować cię, ale tego rozkazu nie posłuchano. Widzę jednak, że przetrwałeś.

Człowiek w szatach duchownego odłączył od tej grupy i szedł ku klatce Philipa. Przeor nie zwrócił na niego uwagi, bo starał się słuchać rozmowy ze Stefanem, lecz ksiądz spytał:

– Który z was jest przeorem Kingsbridge?

– Jam jest – rzekł Philip.

Ksiądz zwrócił się do uzbrojonych mężów:

– Uwolnijcie tego człowieka.

Philip był zaskoczony. Nigdy w życiu nie widział tego księdza. Widocznie jego imię wcześniej wskazano na liście sporządzonej przez konstabla. Ale dlaczego? Powinien być rad, że go wypuszczają z więzienia, lecz nie był na to gotowy. Nie wiedział, co się za tym kryje.

– To nasz więzień! – zaprotestowali żołnierze.

– Już nie – odparł duchowny. – Wypuście go.

– Czemu mam go puszczać bez okupu? – buntowniczo spytał jeden z nich.

Ksiądz odpowiedział zdecydowanie:

– Po pierwsze, nie jest wojownikiem walczącym w armii królewskiej ani mieszkańcem tego miasta, więc wiążąc go, popełniłeś przestępstwo. Po drugie, jest mnichem, a ty popełniłeś świętokradztwo, bo podniosłeś rękę na służbę Boga. Po trzecie, sekretarz królowej nakazał ci zwolnić go, a jeśli tego nie uczynisz, zajmiesz jego miejsce szybciej, niż zdołasz mrugnąć, więc zrób to!

– W porządku – warknął żołnierz.

Philip zdenerwował się. Miał iskierkę nadziei, że Matylda nigdy się nie dowie, iż był tutaj więziony. Jeśli się dowiedziała, a jest to raczej pewne, skoro wie o tym jej sekretarz, cała nadzieja przepadła. Czując się tak, jakby walnął głową w mur, wyszedł z klatki.

– Chodź ze mną – polecił ksiądz.

Philip ruszył za nim.

– Czy zostanę uwolniony?

– Tak sobie to wyobrażam – ksiądz to pytanie zaskoczyło. – Czy nie wiesz, z kim idziesz się spotkać?

– Nie mam pojęcia.

Ksiądz się uśmiechnął.

– Pozwolę mu na zrobienie ci niespodzianki.

Przecięli dziedziniec, wspięli się po długich schodach prowadzących nasypem ku bramie twierdzy. Philip szperał w pamięci, ale nie umiał sobie przypomnieć powodu, dla którego sekretarz Matyldy miałby się nim interesować.

Przeszedł za księdzem przez bramę. Okrągła kamienna wieża obramowana była dwoma piętrowymi budynkami przylegającymi do muru. W środku małego podwórka wykopano studnię. Ksiądz powiódł Philipa do jednego z domów.

Przy ogniu, plecami do drzwi, stał inny ksiądz. Zbudowany jak Philip, niewysoki i szczupły, te same czarne włosy, ale głowa niegolona, a włosy srebrzyły się tylko gdzieniegdzie. Bardzo znajome plecy. Philip nie mógł uwierzyć swemu szczęściu. Wielki uśmiech wypłynął mu na twarz.

Ksiądz się odwrócił. Oczy miał równie jasnoniebieskie jak Philip i on także się uśmiechał. Wyciągnął ramiona.

– Philipie!

– No, chwała Bogu! – zawołał uradowany przeor. – Francis!

Bracia się objęli, a oczy Philipa wypełniły się łzami.

III

Królewska komnata wyglądała całkiem odmiennie. Zniknęły psy, a z nimi i płaski drewniany tron króla Stefana, ławy i zwierzęce skóry ze ścian. Zamiast tego zawisły zdobione kotary, pojawiły się bogate kolorowe dywany, miski ze słodyczami i malowane krzesła. Pokój pachniał kwiatami.

Philipowi nigdy nie było łatwo panować nad sobą na dworze królewskim, a damski dwór królewski wystarczył, by trzymać go w stanie drżącego niepokoju. Cesarzowa Matylda stała się jego jedyną nadzieją, ale nie miał żadnej pewności co do zachowania tej wyniosłej kobiety. Mogła podjąć dowolną decyzję.

Cesarzowa siedziała na delikatnie rzeźbionym i złożonym tronie, w sukni koloru dzwonków. Wysoka i szczupła, o dumnych ciemnych oczach i prostych,

lśniących czarnych włosach. Miała na sobie sięgający kolan płaszcz z jedwabiu, dopasowany w talii, szeroki dołem. Dopóki się tutaj nie pojawiła, w Anglii nie znano takiego kroju, teraz zaczęto ją naśladować. Z pierwszym mężem przeżyła jedenaście lat, z drugim czternaście, ale nie wyglądała nawet na czterdziestkę. Ludzie wiele rozwodzili się nad jej urodą, lecz dla Philipa wyglądała raczej kanciasto i nieprzyjaźnie. Przyznawał jednak, że w sprawach kobiecej piękności nie jest dobrym sędzią, był przecież niejako uodporniony.

Philip, Francis, William Hamleigh i biskup Waleran złożyli ukłony i czekali. Przez chwilę ignorowała ich i rozmawiała z jakąś damą do towarzystwa. Rozmowa ta zdaje się była nieco frywolna, bo obie perliście się śmiały.

Francis, który z Matyldą blisko współpracował i widywał ją niemal codziennie, nie zaprzyjaźnił się z nią zbytnio. Jego poprzedni pracodawca, brat królowej, Robert, pozostawił go jej, kiedy przybyła do Anglii, bo potrzebowała dobrego sekretarza. Jednakże nie była to jedyna przyczyna. Francis stanowił także pomost między bratem i siostrą, pilnując porywczej Matyldy. Dla braci i sióstr wzajemne zdradzanie się nie było niczym nadzwyczajnym wśród podstępного życia na królewskim dworze, więc faktyczną rolę Francisca określało lepiej to, że miał utrudniać Matyldzie czynienie czegokolwiek za plecami brata. Ona o tym wiedziała i akceptowała, lecz przez to kontakty z nią nie były ani miłe, ani łatwe, ani spokojne. I dla niej, i dla Francisca.

Upłynęły już dwa miesiące od bitwy pod Lincoln, a przez ten czas wszystko układało się po myśli Cesarzowej. Biskup Henryk powitał ją w Winchesterze (w ten sposób zdradził swego brata Stefana) i zwołał wielki konwent biskupów i opatów, który obwołał Matyldę królową. Teraz omawiała ze wspólnotą londyńską organizację swej koronacji. Król Dawid Szkocki, będący jej wujem, właśnie jechał złożyć jej oficjalną wizytę, taką jaką składa suweren suwerenowi.

Biskup Henryk wspierał biskupa Walerana z Kingsbridge i stanął przeciw przeorowi Philipowi, popieranemu przez Francisca. Waleran nakłonił Williama

Hamleigha do złożenia hołdu Matyldzie. Teraz William zjawił się po zapłacie.

Czterej mężczyźni stali i czekali: William z protegującym go biskupem Waleranem, a przeor Philip z bratem. Philip drżał z niepokoju wiedząc, że Cesarzowa jest kapryśna.

Kiedy Matylda przestała gawędzić, odwróciła się ku nim z triumfującym spojrzeniem, jakby chciała powiedzieć: „Widzicie, jak jesteście mało ważni, nawet moja dama dworu ma przed wami pierwszeństwo”. Przez kilka chwil popatrzyła pewnym wzrokiem na Philipa. Poczul się zażenowany. Potem powiedziała:

– No, Francis. Czyżbyś przywiódł mi swego bliźniaka?

– Oto mój brat, miłościwa pani, przeor Philip z Kingsbridge – Francis skłonił się lekko.

Philip także ponownie się skłonił i rzekł:

– Trochę za stary i zbyt siwy jestem, miłościwa pani, by być bliźniakiem. – Ten rodzaj trywialnych uwag dworzanie zdaje się uznawali za zabawny, ale ona spojrzała na niego lodowato i zignorowała jego słowa. Postanowił porzucić wszelkie próby wdzięczenia się.

Skierowała wzrok na Williama.

– A to sir William Hamleigh, który dzielnie walczył przeciw mej armii pod Lincoln, ale teraz dostrzegł swój błąd.

William skłonił się i, mądrze, trzymał buzię na kłódkę.

Zwróciła się znowu do Philipa:

– Prosisz mnie o łaskę udzielenia ci pozwolenia na targ w Kingsbridge.

– Tak, miłościwa pani.

– Dochód z tego targu zostanie wydany na budowę katedry w Kingsbridge, miłościwa pani – odezwał się Francis.

– W jaki dzień tygodnia miałby się odbywać ten targ?

– W niedzielę, miłościwa pani.

Podniosła wyskubane brwi.

– Wy, święci mężowie, zwykle sprzeciwiacie się niedzielnym targom. Czyż nie odciągają maluczkich od kościoła?

– Nie w tym wypadku – odparł Philip. – Ludzie przychodzą pracować przy budowie i uczestniczyć w nabożeństwie, a jednocześnie mogą w tym dniu zrobić swoje zakupy.

– Więc masz już targ? – ostro spytała.

Philip uświadomił sobie, że się zapędził. Miał ochotę się kopnąć.

Uratował go Francis.

– Nie, pani, obecnie nie ma tam targu – powiedział. – Zaczął działać nieformalnie, ale przeor Philip zakazał handlować, dopóki nie dostanie licencji.

To była prawda, ale niecała. Jak się jednak zdawało, Matylda przyjęła ją. Philip cichutko pomodlił się o wybaczenie dla Francisa.

– Czy w okolicy jest jakiś targ? – pytała dalej królowa.

– Tak, w Shiring. Targ w Kingsbridge odbiera mu klientów – odezwał się William.

– Ale Shiring jest o dwadzieścia mil! – porywczo odparował przeor.

– Miłościwa pani, reguła mówi, że targi powinny być odległe co najmniej o czternaście mil jeden od drugiego. Według tego kryterium oba targi nie konkurują ze sobą – uściślił Francis.

Skinęła głową, wyraźnie chcąc okazać swą wolę uznania prawnego punktu widzenia. Na razie, pomyślał Philip, dobrze.

– Prosiłeś także o prawo do kamienia z kamieniołomu hrabiego Shiring – powiedziała.

– Przez kilka lat mieliśmy to prawo, ale ostatnio William Hamleigh wyrzucił naszych kamieniarzy, zabijając pięcioro...

– Kto wam dał prawo do tego kamienia?

– Król Stefan...

– Uzurpator!

Francis rzekł pośpiesznie:

– Miłościwa pani, przeor Philip naturalnie uznaje wszystkie edykty poprzedniego władcy, pretendenta Stefana, za niebyłe, dopóki sama ich nie ratyfikujesz.

Philip nic takiego nie uznawał, ale pomyślał, że byłoby niemądre się z tym zdradzać.

– Zamknąłem kamieniołom z powodu otwartego targu, tego nielegalnego targu! – William wpadł mu gwałtownie w słowa.

Mnich pomyślał, że to nader dziwne, jak jawna niesprawiedliwość może stać się czymś sprawiedliwszym, kiedy jawi się przed sądem.

– Cała ta kłótnia wynika stąd, że sposób rządzenia Stefana okazał się jak zwykle głupi – stwierdziła Matylda.

Po raz pierwszy odezwał się biskup Waleran.

– W tym miejscu, miłościwa pani, z całego serca się z tobą zgadzam – rzekł słuźalczo.

– Takie rządzenie aż prosiło się o kłopoty; dawanie kamieniołomu jednemu, a prawo do kamienia drugiemu – rzekła. – Kamieniołom i kamień powinien należeć albo do jednego, albo do drugiego.

Philip pomyślał, że to prawda. A jeśli ona zechce postępować zgodnie z duchem początkowego zamiaru Stefana, to kamieniołom powinien przyspaść Kingsbridge.

– Postanawiam, że kamieniołom winien być własnością mego szlachetnego sojusznika, lorda Williama.

Serce Philipa stanęło.

– Dziękuję ci, miłościwa pani – rzekł William.

– Jednakże Kingsbridge powinno mieć takie same prawa targowe jak Shiring – dodała Matylda.

Duch Philipa ożył na nowo. Oznaczało to, że będzie wyskrobywał pieniądze, skąd się da, tak samo jak na początku, ale to już można wytrzymać, wszyscy przywykli do tego. Ponadto dochody z targu mogą stale wzrastać.

Matylda dała każdemu część z tego, czego chciał. Może nie była aż tak pustogłowa, jak się zdawało.

Francis powtórzył dla upewnienia:

– Prawa targowe jak w Shiring, pani?

– Tak powiedziałam.

Philip nie wiedział, dlaczego Francis to powtórzył. Przy licencjach zwykle stosowało się odniesienia do praw sąsiedniego miasta; to wiele upraszczało i oszczędzało pisaniny. Będzie musiał dokładnie sprawdzić, co jest zapisane w karcie Shiring. Może są jakieś ograniczenia albo specjalne przywileje.

– Tak więc obaj coś dostaliście. William kamieniołom, a Philip targ. Z kolei wy wpłaciecie do mej szkatuły po sto funtów każdy. To wszystko. – Odwróciła się.

Philipa to oszołomiło. Sto funtów! Dzisiaj klasztor nie miał nawet stu pensów! Jak można zdobyć tyle pieniędzy? Nawet targ może przynieść taki dochód po roku. To cios! Czekał, wpatrując się w Matyldę, lecz ona najwyraźniej zupełnie zatopila się w rozmowie z damą dworu. Francis szturchnął brata. Philip otworzył usta, by coś powiedzieć, ale brat położył palec na wargach. Philip zdołał jednak wyrzucić z siebie:

– Ale...

Francis ponaglająco potrząsnął głową.

Przeor wiedział, że brat ma rację. Był pokonany, czuł się bezradny. Zgarbiony odwrócił się i oddalił poza zasięg królewskiej obecności.

To, co ujrzał Francis, oglądając Kingsbridge, zrobiło na nim duże wrażenie.

– Kiedy odwiedziłem to miejsce dziesięć lat temu, było tu wilgotno, bagniście i smutno – powiedział bezpośrednio. – Naprawdę, przywróciłeś życie klasztorowi.

Poruszył go głęboko widok skryptorium, którego budowę ukończył Tom

w czasie nieobecności przeora: mały budynek obok kapitułarza. Miał duże okna, palenisko z kominkiem, rząd pulpitów do pisania, wreszcie wielki dębowy kredens na księgi. Czwórka skrybów już pracowała na stojąco przy pulpitych, pisali na pergaminie gęsimi piórami. Jeden kopiował Psalmy Dawidowe, drugi Ewangelię według świętego Mateusza, trzeci Regułę świętego Benedykta. Dodatkowo jeszcze pracował brat Timothy, który postanowił spisać historię Anglii. Ponieważ jednak zaczął od stworzenia świata, Philip obawiał się, że starszek nie zdoła ukończyć swego dzieła przed śmiercią. Pomieszczenie nie było duże, lecz ciepłe, suche i dobrze oświetlone, takie jak trzeba.

– Klasztor ma bardzo mało ksiąg, a nowe są przerażająco drogie, więc jedynie w ten sposób możemy tworzyć nasz zbiór – tłumaczył Philip.

W piwnicy mieściła się pracownia, gdzie stary mnich uczył dwu młodzieńców, jak naciągać skórę przeznaczoną na pergamin, jak robić inkaust i jak oprawiać rękopisy w księgę.

– Będziesz potem także mógł sprzedawać te woluminy – zauważył Francis.

– O, tak, skryptorium przyniesie pieniądze.

Opuścili budynek i poszli ku krużgankom. Był czas studiów. Większość mnichów czytała, kilku medytowało, co nader przypominało drzemkę, jak zauważył sceptycznie Francis. W północno-zachodniej części dwudziestka uczniów recytowała czasowniki łacińskie. Philip przystanął i zapytał:

– Widzisz tego chłopczyka na skraju ławy?

– Piszącego na tabliczce, z wysuniętym językiem? – upewnił się Francis.

– To jest to dziecko, które znalazłeś w lesie.

– Takie duże!

– Ma pięć i pół roku, jest nad wiek rozwinięte.

Francis potrząsnął głową w zadziwieniu.

– Czas płynie tak szybko. Jakże miewa się ten chłopczyk?

– Jest zepsuty przez mnichów, ale przetrzyma to jakoś. Ty i ja też przetrzymaliśmy.

– Kim są pozostali uczniowie?

– Nowicjusze oraz synowie kupców i miejscowej szlachty. Uczą się czytania i pisania, a także liczenia.

Opuścili krużganek i poszli na plac budowy. Mury wschodniej części nowej katedry przekroczyły już połowę planowanej wysokości. Wielki podwójny rząd potężnych kolumn był wysoki na czterdzieści stóp, wszystkie łuki między nimi wykończono, nabierała kształtu galeria. Po obu stronach arkad ściany sięgały już wysokości naw bocznych; zwracały uwagę wystające przypory. Kiedy przechodzili, murarze pracowali nad półkulami, które połączą szczyty przypór z galerią, co wzmocni budowlę, pozwalając na utrzymanie części ciężaru dachu.

Francis był zaskoczony.

– Ty to wszystko osiągnąłeś! Philipie! Skryptorium, szkoła, nowy kościół, te wszystkie nowe domy w miasteczku – to powstało dzięki tobie.

Philip poczuł wzruszenie. Nikt tego mu nie mówił. Gdyby jego samego zapytać, powiedziałby, że to Bóg błogosławi jego wysiłkom, lecz w najcichszym zakątku serca wiedział, że słowa Francisa wyrażają prawdę. Owo bujne, pełne aktywności miasteczko było jego dziełem. Uświadomienie sobie tego wzbudziło iskrę wewnętrznej radości, tym bardziej że pochwałę usłyszał z ust wyrafinowanego, cynicznego młodszego brata.

Zbliżył się Tom Budowniczy.

– Poczyniłeś cudowne wręcz postępy – pochwalił go Philip.

– Tak, ale spójrz, ojcze, na to. – Tom wskazał na północno-wschodni róg dziedzińca klasztornego, gdzie składowano kamień na budowę. Do tej pory leżały tam zawsze zapasy kamienia, teraz zaś zostały jedynie resztki. – Na ten cudowny postęp zużyliśmy zgromadzony tu materiał.

Promienna radość Philipa szybko się ulotniła. Decyzja Matyldy postawiła pod znakiem zapytania dalsze prace budowlane.

Przeszli północnym skrajem placu budowy, gdzie większość murarzy ciosała kamień, nadając mu właściwy kształt za pomocą młotów i dłut. Philip zatrzy-

mał się przy jednym z rzemieślników i przypatrywał jego pracy. Pracował nad kapitelem wieńczącym część kolumny. Lekkim młotkiem i małym dłutem wycinał wzór o formie liściastej. Była to bardzo delikatna robota, a ku zaskoczeniu Philipa wykonywał ją przybrany syn Toma, Jack.

– Myślałem, że Jack ciągle się jeszcze uczy – powiedział przeor.

– Bo tak jest – odrzekł Tom. Poszli dalej, a kiedy wyszli z zasięgu słuchu Jacka, dodał: – Ten chłopiec wart jest zainteresowania. Są mężczyźni, którzy tną kamień dłużej, niż on żyje, ale żaden z nich nie może się z nim równać. – Uśmiechnął się lekko zażenowany. – A on nie jest nawet moim synem!

Prawdziwy syn Toma, Alfred, wykonywał prace mistrza murarskiego i kierował grupą czeladników i terminatorów, ale Philip zdawał sobie sprawę, że ani ta grupa, ani sam Alfred nigdy nie są w stanie wykonać równie subtelnej roboty. Przeor zastanawiał się, jak Tom to odczuwa.

Budowniczy zmienił temat.

– Targ z pewnością przyniesie mnóstwo pieniędzy – rzekł.

– Tak, lecz za mało. Da nam jakieś pięćdziesiąt funtów na początek.

Tom skinął głową ponuro.

– Akurat mniej więcej wystarczy, by zapłacić za kamień.

– Gdybym nie musiał zapłacić sto fantów za licencję.

– A co z wełną?

Wełnę zamierzali sprzedać za kilka tygodni na Jarmarku Wełnianym w Shiring, a powinna przynieść ze sto funtów zysku.

– Właśnie tym chcę zapłacić królowej. Wtedy jednak zabraknie mi pieniędzy dla rzemieślników na następne dwanaście miesięcy.

– A nie mógłbyś, ojcze, skądś pożyczyć?

– Już pożyczyłem. Żydzi nie dadzą mi więcej. Pytałem podczas pobytu w Westminsterze. Nie pożyczą nikomu, jeśli uważają, że ten ktoś może nie spłacić.

– A Aliena, ojcze?

Philip wzdrygnął się. Nigdy o niej nie myślał. Aliena miała więcej wełny od niego w swoich szopach. Po jarmarku może mieć nawet dwieście funtów.

– Ona potrzebuje pieniędzy na życie. A chrześcijanie nie mogą brać procentu. Jeśli mi pożyczysz pieniądze, to nie będzie miała czym handlować. Chociaż... – Nawet w trakcie swej wypowiedzi analizował pomysł, jaki mu nagle wpadł do głowy. Przypomniał sobie, że Aliena chciała kupić jego zapas wełny z całego roku. Może mogliby się nad tym zastanowić... – Myślę, że powinienem z nią porozmawiać. Czy jest teraz w domu?

– Pewnie tak, ojcie. Widziałem ją rano.

– Chodź, Francis, spotkasz zadziwiającą młodą kobietę.

Zostawili Toma i pośpieszyli do miasteczka. Aliena miała dwa domy tuż przy murze zachodnim, otaczającym tereny klasztoru. W jednym mieszkała, drugi przeznaczyła na magazyn. Wzbogaciła się ogromnie. Być może przy jej pomocy uzyska pieniądze na zapłacenie wymuszonych zdierczych należności za licencję. Mglista idea zaczęła nabierać kształtów w umyśle Philipa.

Alienę znaleźli w składzie, gdzie nadzorowała pracę przy nierozładowanym jeszcze wozie zaprzężonym w woły, na którym wysoko w górę pięły się worki z wełną. Miała na sobie brokatowy płaszcz, podobny do tego, jaki nosiła Cesarzowa, a włosy zebrała w biały lniany czepiec. Jak zwykle wyglądała władczo. Dwaj mężczyźni pracujący przy rozładunku bez uwag słuchali jej poleceń. Każdy ją poważał, chociaż, co dziwne, nie miała przyjaciół. Ciepło pozdrowiła Philipa.

– Kiedy usłyszałam o bitwie pod Lincoln, obawiałam się, że mogli cię zabić, ojcie! – W jej oczach widniało prawdziwe zainteresowanie, co go poruszyło i skłoniło do uświadomienia sobie, że inni się o niego martwią. Przedstawił ją Francisowi. – Czy uzyskałeś, ojcie, sprawiedliwą decyzję w Winchesterze?

– Niezupełnie – odrzekł. – Cesarzowa dała nam prawo do targu, ale zabroniła korzystać z kamieniołomu. Jedno, mniej czy bardziej, równoważy drugie. Lecz kazała mi zapłacić za licencję sto funtów.

Alieną wstrząsnęła wysokość sumy.

– To potworne! Powiedziałeś jej, ojcze, że dochód z targu idzie na budowę katedry?

– O, tak.

– Ale skąd klasztor weźmie sto funtów?

– Myślałem, że mogłabyś mi pomóc.

– Ja? – cofnęła się o krok.

– Za parę tygodni, kiedy już sprzedasz swoją wełnę Flamandom, będziesz miała dwieście funtów albo i więcej.

Aliena zdawała się zmartwiona.

– Chętnie ci dam, ojcze, te pieniądze, ale muszę w przyszłym roku kupić więcej wełny.

– Pamiętasz, że chciałaś kupić moją wełnę?

– Tak, ale teraz już za późno. Chciałam kupić na początku sezonu. Poza tym, ojcze, sam możesz wkrótce sprzedać swoją wełnę.

– Myślałem – rzekł Philip – że może zechcesz kupić moją przyszłoroczną wełnę.

– Ale jeszcze jej nie ma – zmarszczyła się.

– Może mógłbym ci ją sprzedać, zanim znajdzie się w szopie?

– Nie wiem jakim sposobem, ojcze?

– Po prostu: ty dajesz mi teraz pieniądze, ja daję ci wełnę w przyszłym roku.

Nie wiedziała, jak odnieść się do tej propozycji: nigdy w ten sposób nie prowadziła interesów. Philip także, właśnie przed chwilą wymyślił coś takiego.

Aliena odezwała się powoli i z namysłem:

– Musiałabym wyznaczyć nieco niższą cenę, niż uzyskałbyś, ojcze, czekając terminu. Co więcej, cena wełny do przyszłego lata może wzrosnąć: tak działo się zawsze, od kiedy jestem w tym interesie.

– Więc ja trochę stracę, a ty trochę zyskasz – odrzekł Philip. – Ale dzięki

temu będę mógł budować przez rok.

– A co będzie później?

– Nie wiem. Może sprzedam ci wełnę z następnego roku.

– To ma sens – skinęła głową.

Philip ujął jej dłonie i spojrzał w oczy.

– Jeśli to zrobisz, Alieno, uratujesz katedrę – powiedział z ogniem.

Aliena wyglądała uroczyście.

– Kiedyś, ojcze, ty mnie uratowałeś, pamiętasz?

– Tak.

– Teraz ja zrobię to samo dla ciebie.

– Boże, błogosław ją! – W gwałtownym przyływie wdzięczności Philip objął Alienę i uściśnął, potem przypomniał sobie, że ona przecież jest kobietą, i oderwał się od niej pośpiesznie. – Nie wiem, jak ci dziękować! Na tym kończyły się wszystkie moje pomysły.

Aliena zaśmiała się.

– Nie przypuszczam, bym zasłużyła na tyle wdzięczności. Prawdopodobnie sporo zarobię na tej umowie.

– Mam nadzieję.

– Wypijmy trochę wina dla przypieczętowania układu – rzekła. – Tylko zapłacę przewoźnikowi.

Wóz został już opróżniony, a wełna porządnie ułożona. Słońce zachodziło, murarze odchodzili z placu budowy do domów. Philip znów się cieszył: pomimo tych przeszkód znalazł sposób na rozwiązanie problemu.

– Dzięki Bogu za Alienę! – powiedział.

– Nie mówiłeś mi, że jest taka piękna – zauważył Francis.

– Piękna? Przypuszczam, że tak.

Francis się zaśmiał.

– Jesteś ślepy, Philipie! Jest jedną z najpiękniejszych kobiet, jakie kiedykolwiek widziałem. Tak piękna, że można dla niej zapomnieć o habicie.

Philip ostro spojrział na Francisa.

– Nie powinieneś tak mówić.

– Przepraszam.

Aliena wyszła ze składu i zamknęła go na klucz. Zaprosiła braci do domu. Był duży na tyle, że zmieściła się oddzielna izba do spania. W rogu stała beczka z piwem, z sufitu zwisała cała szynka, a na stole leżał biały płócienny obrus. Służąca w średnim wieku naląła wina z butelki do srebrnych pucharków. Wygodnie żyła Aliena. Jeśli jest taka piękna, pomyślał Philip, to dlaczego nie ma męża? Nie brakowało starających się, ale odrzucała wszystkich. Czuł tak wielką wdzięczność wobec niej, że chciałby, aby była szczęśliwa.

Jej umysł obracał się wciąż wokół spraw praktycznych.

– Nie będę miała pieniędzy wcześniej jak po Jarmarku Wełnianym w Shiring – powiedziała, kiedy wzniesli toasty za umowę.

Philip odwrócił się do Francisa.

– Czy Matylda poczeka?

– Jak długo?

– Jarmark zaczyna się w trzy tygodnie od środy.

Francis skinął głową.

– Powiem jej, poczeka.

Aliena zdjęła czepiec i potrząsając głową, rozpuściła swoje wijące się, ciemnobrązowe włosy. Westchnęła ze zmęczenia.

– Dnie są zbyt krótkie – stwierdziła. – Nigdy nie nadążam ze zrobieniem wszystkiego. Chcę kupić wełnę, muszę mieć więcej wozów, żeby zawieźć wszystko do Shiring. Chciałabym, żebyśmy mogli ściągnąć Flamandów tutaj, by kupowali w Kingsbridge. Byłoby łatwiej i nie traciłabym czasu na przewóz wełny do Shiring.

– Ależ możecie to zrobić! – wtrącił Francis. Oboje na niego popatrzyli.

– Jak?

– Prowadźcie własny jarmark.

Philip zaczął rozumieć, do czego zmierza jego brat.

– Możemy?

– Cesarzowa dała wam dokładnie takie same prawa, jakie ma Shiring. Pisałem kartę osobiście. Jeśli Shiring ma jarmark, to i wy możecie mieć.

– No, to byłoby wspaniale, nie musielibyśmy płacić za przewóz tych wszystkich wozów do Shiring. Moglibyśmy cały interes robić tutaj i sprzedawać wełnę bezpośrednio Flamandom. I ładować na statki, i wieźć do Flandrii...

– rzekła Aliena.

– To najmniej ważne – przerwał jej podniecony Philip. – Jarmark w tydzień da tyle, ile targ niedzielny przez rok. W tym roku nie możemy tego zrobić. Lecz na Jarmarku Wełnianym w Shiring możemy rozpuścić wiadomość, że będziemy mieli własny targ w przyszłym roku, i możemy się upewnić, że kupcy pamiętają datę...

– To bardzo zaszkodzi jarmarkowi w Shiring – tym razem przerwała Aliena. – Ty, ojczec, i ja jesteśmy największymi dostawcami wełny w hrabstwie, a jeśli my oboje się wycofamy, to jarmark w Shiring zmniejszy swe dochody co najmniej o połowę tego, co ma obecnie.

– William Hamleigh straci pieniądze. Wścieknie się, dostanie szału jak byk – spokojnie rzekł Francis.

Philip poczuł dreszcze. William był naprawdę podobny do szalonego byka.

– No, to co? – odparła Aliena. – Jeśli Cesarzowa dała nam zezwolenie, możemy ruszać. Williamowi nic do tego. Czyż nie tak?

– Mam nadzieję – żarliwie przytaknął przeor.

Rozdział 10

I

W dzień świętego Augustyna pracę przerwano w połowie dnia. Większość budowniczych powitała dzwon na południe z westchnieniem ulgi. Zwykle pracowali od świtu do zmierzchu przez sześć dni w tygodniu, więc w dni świąteczne bardzo potrzebowali wypoczynku. Jack jednak był zbyt pogrążony w swej pracy, by bodaj usłyszeć dzwon.

Zaczarowało go tajemnicze czynienie z twardej skały czegoś miękkiego i okrągłego w kształcie. Kamień miał własną wolę, a jeśli próbowało się mu zrobić coś, czego on nie chciał, to walczył: dłuto się ześlizgiwało, wbijało się za głęboko i ciągle psuła się robota. Ale kiedy kupa kamieni leżała zmarnowana, to stojąca przed nim następna bryła tego samego materiału ujawniała już swe sekrety. Im trudniejsze zadanie, tym bardziej Jacka pociągało. Wydawało mu się, że zwykle wzory zdobnicze stosowane przez Toma stają się zbyt proste. Zygzaki, romby, ząbkowania, spirale i płaskie ślimacznice nudziły go, a nawet te liścianki jawiły mu się jako zbyt sztywne i powtarzalne. Chciał rzeźbić naturalne listowie, naturalnie giętką i nieregularną roślinność, liściankom chciał nadać kształt prawdziwych liści dębu, jesionu, brzozy, lecz Tom nie pozwalał.

A jeszcze bardziej chciał rzeźbić historie i sceny z Biblii: Adama i Ewę, Dawida i Goliata, a najbardziej ze wszystkiego chciał rzeźbić sąd ostateczny, z diabłami i aniołami, i nagimi ludźmi, ale nawet nie śmiał o to prosić.

Dobiegł go głos Toma.

– To święto, chłopcze. Poza tym jesteś jeszcze moim terminatorem i chcę, żebyś mi pomógł posprzątać. Wszystkie narzędzia trzeba zamknąć na klucz jeszcze przed obiadem.

Jack odłożył młotek i dłuto. Kamień, nad którym pracował, ostrożnie schował do szopy Toma, potem obszedł z budowniczym plac. Inni czeladnicy i terminatorzy także sprząkali, układali narzędzia i zmiotali kawałki odlupanych kamieni, piasek, grudy zaschniętej zaprawy i drewniane wióry, wszystko, co zaśmiecało plac. Tom poskładał cyrkle i poziomnice, podczas gdy Jack zebrał przymiary i piony, by zanieść wszystko do szopy.

W szopie Tom trzymał swoje przymiary. Były to długie żelazne pręty, absolutnie proste, z dokładną dziewięćdziesięciostopniową podziałką, przechowywane w zamykanej na klucz skrzyni, cenne niesłychanie, gdyż stanowiły podstawę miar przy budowaniu.

Kiedy szli dalej, dokonując przeglądu placu, zbierając skrzynie na zaprawę, deski i łopaty, Jack stale myślał o przymiarach.

– Jak długi jest przymiar? – spytał.

Kilku murarzy się zaśmiało, usłyszawszy to. Często uważali jego pytania za zabawne. Edward zwany Krótkim, stary, drobny murarz o smagłej cerze i krzywym nosie, oświadczył:

– Przymiar to przymiar. – I znowu się zaśmiali.

Lubili natrzęsać się z terminatorów, szczególnie jeśli pozwalało to wykazać się wyższym wtajemniczeniem. Jacka ogarniała złość, gdy się z niego śmiano, ale tym razem im darował, bo chciał wiedzieć.

– Nie rozumiem – powiedział cierpliwie.

– Cał to cał, stopa to stopa, a przymiar to przymiar – rzekł Edward.

Czyli przymiar to jednostka miary, pomyślał.

– A ile stóp jest w przymiarze? – pytał dalej.

– Aha, to zależy. Osiemnaście w Lincoln, szesnaście we wschodniej Anglii.

Tom przerwał, by dać sensowną odpowiedź.

– Na tym placu stosujemy przymiar długości piętnastu stóp.

– W Paryżu w ogóle nie stosują przymiaru, tylko jardowe paliki – odezwała się kamieniarka, kobieta w średnim wieku.

– Budowa całego kościoła opiera się na przymiarach – zwrócił się Tom do Jacka. – Przynieś mi jeszcze jeden, to ci pokażę. Już czas, byś zaczął pojmować te rzeczy. – Dał mu klucz.

Jack poszedł do szopy i przyniósł przymiar ze schowka. Całkiem ciężki, no, no. Tom lubił tłumaczyć, a Jack lubił słuchać jego wyjaśnień. Organizacja placu budowy tworzyła intrygujący wzór, jak tkanie brokatowego płaszcza, a im więcej rozumiał, tym bardziej go to fascynowało.

Tom stał w nawie bocznej przy na wpół zbudowanym prezbiterium, tam gdzie miało być skrzyżowanie. Wziął przymiar i położył na ziemi tak, by obooma końcami dotykał ścian nawy bocznej.

– Od zewnętrznej ściany do środka filara w arkadzie jest dokładnie jeden przymiar. – Postawił przyrząd pionowo. – Stąd do środka nawy jest także jeden przymiar. – Przewrócił raz jeszcze, a przyrząd sięgnął środka przeciwległego filara. – Nawa ma dwa przymiary szerokości. – Jeszcze jeden obrót i przymiar sięgnął zewnętrznej ściany naprzeciwległej nawy bocznej. – Cały kościół ma cztery przymiary szerokości.

– Tak – odparł Jack. – A każda nisza musi być na przymiar długa.

Tom zdawał się lekko oszołomiony.

– Kto ci to powiedział?

– Nikt. Nisze każdej nawy bocznej są kwadratowe, więc jeśli są szerokie na przymiar, to tyle samo musi mieć ich długość. A nisze głównej nawy i nisze naw bocznych są takie same, to oczywiste.

– Oczywiście – powtórzył Tom. – Powinieneś zostać filozofem. – W jego głosie pojawiła się mieszanka dumy i irytacji. Cieszyło go, że Jack tak szybko pojmuje, irytowało, że tajemnice budowania są tak łatwe do przeniknięcia przez tego wyrostka.

Jacka za bardzo frapowała logika, cudowna, wspaniała logika tego wszystkiego, by poświęcać uwagę odczuciom Toma.

– Z tego wynika, że prezbiterium jest długie na cztery przymiary – oznajmił. – A cały kościół będzie miał dwanaście. – Uderzyła go następna myśl. – A jaka będzie wysokość?

– Sześć przymiarów. Trzy na arkady, jeden na galerię i dwa na poziom okien.

– Ale na czym polega sens mierzenia przymiarami? Dlaczego nie budować na oko, jak dom?

– Po pierwsze, tak jest taniej. Wszystkie łuki arkady są identyczne, możemy więc używać tych samych wzorców. Im mniej potrzebujemy różnych rozmiarów i kształtów wycinanych w kamieniu, tym mniej wzorców musimy wykonywać. I tak dalej. Po drugie, to upraszcza wszystko, co robimy od początkowego planu, bo wszystko opiera się na kwadracie o wymiarach jednego pręta, aż do malowania ścian, bo łatwiej oszacować ilość bielidła. A kiedy wszystko jest proste, robi się mniej błędów. Błędy to najdroższa część budowania. Po trzecie, kiedy wszystko opiera się na jednej mierze, kościół po prostu wygląda porządnie. Proporcja to serce piękna.

Jack kiwał zachwycony głową. Walka o opanowanie tak ambitnej i intrygującej sprawy, jaką jest budowanie katedry, okazywała się nieskończenie fascynująca. Uwaga o proporcjach stanowiła pociągającą ideę. Nie był jednak do końca przekonany, czy proporcja rzeczywiście stanowi serce piękna. Sam gustował w tym, co było dzikie, swobodne, nieuporządkowane: w wysokich górach, starych dębach i włosach Alieny.

Zjadł obiad żarłocznie i szybko, potem opuścił klasztor, kierując się na północ. Szedł boso, dzień bowiem był ciepły, jak to się zdarza wczesnym latem. Nawet mimo tego, że matka zamieszkała w Kingsbridge na dobre, a on został terminatorem, każdym powrotem do lasu bardzo się cieszył. Wracał zaś do lasu czasami. Z początku uwalniał się od nadmiaru rozpierającej go energii bieganiem i skakaniem, włożeniem na drzewa i strzelaniem z procy do kaczek. Tak się działo, kiedy przyzwyczajał się do nowego, wyższego i silniejszego ciała, jakie stało się jego własnością. Teraz już przestało być ono nowością i kiedy chodził po lesie, myślał o różnych sprawach: dlaczego proporcja miałaby być piękna, jak to się dzieje, że postawione budynki stoją, i jeszcze o tym, jak by to było dotknąć piersi Alieny.

Przez całe lata wielił ją żarliwie. Obraz Alieny, który wytworzył się w nim od pierwszego wejrzenia, gdy w ojcowskim zamku schodziła po schodach do wielkiej komnaty, a on pomyślał, że jest księżniczką z bajki, nie zanikł. Wciąż była postacią odległą; rozmawiała z przeorem Philipem, z Tomem Budowniczym i Żydem Malachim, a także z innymi bogatymi i potężnymi ludźmi w Kingsbridge, podczas gdy Jack nie miał żadnego powodu, by się do niej odezwać. Mógł tylko na nią patrzeć, jak modliła się w kościele czy jechała na rumaku przez most albo gdy siedziała przed domem na słońcu, a dzikie włosy okalały jej cudowną twarz. Patrzył na nią w zimie, kiedy okrywały ją drogie futra, patrzył w lecie, kiedy nosiła najcieńsze płótna. Zanim zasnął, marzył o tym, jak by to było zdjąć z niej te wszystkie ubrania i zobaczyć ją nagą, i pocałować łagodnie jej miękkie usta.

W ciągu ostatnich kilku tygodni przez te sny na jawie stał się przybity i niezadowolony, drażniła go ich beznadziejność. Patrzenie na nią z daleka i podsłuchiwanie jej rozmów z innymi, wyobrażanie sobie kochania się z nią już nie wystarczało. Potrzebował czegoś prawdziwego.

Coś namacalnego mógłby dostać od dziewczyn w jego wieku, było takich kilka. Pomiędzy terminatorami wiele mówiło się o pewnych młodych kobietach

z Kingsbridge, które jakoby miały być lubieżne, i o tym, co która mogła dać młodemu mężczyźnie. Większość kobiet w tych rozmowach nazywano dziewczynkami, zgodnie z przykazaniem Kościoła miały być nimi przynajmniej do ślubu, jednakże było kilka takich rzeczy, które można było robić i pozostać dziewicą, przynajmniej tak powiadali terminatorzy. Wszystkie dziewczyny uważały Jacka za dziwnego, ale niektóre z nich uznawały tę dziwność za pociągającą. Myślał, że co do tej dziwności to chyba mają rację. Którejś niedzieli po kościele wdał się w rozmowę z Edith, siostrą jednego terminatora, ale kiedy opowiadał jej, jak kocha rzeźbienie kamieni, zaczęła chichotać. Następnej niedzieli poszedł w pola na spacer z Ann, jasnowłosą córką krawca. Niewiele z nią rozmawiał, tylko ją pocałował, a potem zaproponował, by się położyli na polu zielonego jęczmienia. Pocałował ją jeszcze raz i dotknął jej piersi, a ona pocałowała go z entuzjazmem, po chwili jednak odepchnęła go i spytała: „Kim ona jest?”. Jack w tym momencie myślał o Alienie i poczuł się jak rażony gromem. Chciał zbagatelizować to pytanie i pocałować ją znowu, ale ona odwróciła twarz i powiedziała: „Kimkolwiek jest ta dziewczyna, to ma niesamowite szczęście”. Poszli z powrotem do Kingsbridge, a kiedy się rozstawali, Ann rzekła na pożegnanie: „Nie trać czasu na próby zapomnienia o niej. Przegrana sprawa. Jest jedyną, której chcesz, więc lepiej spróbuj ją dostać. – Uśmiechnęła się do niego i ciepło dodała: – Masz miłą twarz. To nie musi być takie trudne, jak myślisz”.

Jej uprzejmość spowodowała, że poczuł się nie najlepiej, tym bardziej że należała do dziewcząt określanych między terminatorami jako chętne, a on zdążył wszystkim już powiedzieć, że chce jej spróbować. Teraz ich rozmowa wydała mu się tak dziecinna, że pragnął ze wstydu zapaść się pod ziemię. Lecz jeśli ujawniłby jej imię swej wybranki, to pewnie Ann nie miałaby ochoty tak bardzo dodawać mu odwagi. Związek Jacka i Alieny jawił się jako prawie niemożliwy. Aliena miała dwadzieścia dwa lata, a on siedemnaście. Ona miała ojca hrabiego, a on był bastardecem. Ona została zamożnym kupcem, a on był terminatorem bez grosza. A co najgorsze, słynęła z liczby odrzuconych zalotni-

ków. Każdy jako tako prezentujący się młody pan w hrabstwie i każdy najstarszy syn dobrze prosperującego kupca przybywali do Kingsbridge, by złożyć jej hołd, a potem wszyscy wyjeżdżali rozczarowani. Jakież więc szanse mógł mieć Jack, który do zaofiarowania nie miał nic poza „miłą twarzą”?

Łączył ich jedynie las. Oboje lubili las. Odróżniało to ich od innych ludzi, którzy woleli bezpieczeństwo pól i wsi, a od lasu trzymali się z daleka. Aliena często spacerowała po lasach niedaleko Kingsbridge i znalazła tam szczególnie przyjemny zakątek, gdzie chętnie przebywała. Jack widział ją tam raz czy dwa. Ona zaś go nie widziała. Umiał stąpać bezszelestnie, zgodnie z nauką wyniesioną z dzieciństwa, kiedy od tego zależał obiad jego i matki.

Kierował się do jej polanki bez żadnego pomysłu, co zrobi, jeśli ją tam znajdzie. Wiedział, co by chciał uczynić: położyć się obok i dotykać jej ciała. Chciałby z nią rozmawiać, ale cóż ciekawego mógłby jej powiedzieć? Z dziewczyną w jego wieku nie miałby takich trudności. Edith obłaskawił słowami: „Nie wierzę w żadną z tych okropnych rzeczy, jakie wygaduje o tobie twój brat” i oczywiście ona chciała, by jej o tym powiedział. Do Ann zwrócił się po prostu: „Czy zechciałabyś pójść ze mną na spacer w pola dziś po południu?”. Lecz kiedy starał się wymyślić jakiś początek rozmowy z Alieną, w głowie miał pustkę. Ciągle myślał o niej jako o osobie należącej do starszego pokolenia. Była tak poważna i odpowiedzialna. A przecież wiedział, że kiedy miała siedemnaście lat, całkiem chętnie się bawiła. Potem przecierpiała wiele strasznych rzeczy, ale ta chętna do zabawy dziewczynka musi gdzieś w niej być. To go jeszcze bardziej fascynowało.

Zbliżał się do jej polanki. W upale dnia las był cichy. Jack poruszał się po poszyciu bez jednego szmeru. Chciał zobaczyć Alienę, zanim ona dostrzeżenie jego. Nie był pewny, czy zdoła nerwowo wytrzymać próbę zbliżenia się do niej. Najbardziej lękał się, że go z miejsca odrzuci albo sama odejdzie. Przemówił do

niej zaraz po swym przybyciu do Kingsbridge, w niedzielę Zielonych Świątek, kiedy to pierwsi ochotnicy przyszli pracować na budowie katedry, ale powiedział coś niewłaściwego, wskutek czego nie rozmawiał z nią przez cztery lata. Nie miał zamiaru powtórzyć takiej głupoty.

W kilka chwili potem wyglądał zza buka i patrzył na nią. Miejsce wybrane przez Alienę było nadzwyczajnie piękne. Mały wodospad spływał do głębokiego jeziora, otoczonego przez omszałe głazy. Słońce opromieniało brzegi, ale jakiś jard czy dwa dalej pod drzewami zalegał cień. Tam siedziała Aliena i czytała książkę.

Zdumiało to Jacka. Kobieta? Czyta książkę? Na świeżym powietrzu? Jedyne mnisi czytali książki, lecz niewielu z nich czyniło to poza nabożeństwami. Sama książka także nie była zwykła – znacznie mniejsza od tomów z klasztornej biblioteki, zupełnie jakby została wykonana specjalnie dla kobiety albo dla kogoś, kto chciałby tę książkę nosić przy sobie. Tak go to zaskoczyło, że zapomniał, iż ma być przebiegły. Przedarł się przez krzaki i spytał:

– Co czytasz?

Podskoczyła, spojrzała na niego z przerażeniem w oczach. Uświadomił sobie, że musiał ją przestraszyć tym nagłym pojawieniem się. Poczul się niezgrabnie, bał się, że po raz kolejny zaczął niewłaściwie. Prawa ręka Alieny sięgnęła zręcznie do lewego rękawa. Przypomniał sobie, że tam właśnie nosi nóż. Chwilę później poznała go. Wyglądało na to, że rozpoznanie sprawiło jej ulgę i, ku zmartwieniu Jacka, lekko zezłościło. Poczul się intruzem, zapragnął odwrócić się i uciec, ale to jeszcze bardziej utrudniałoby odezwanie się do niej następnym razem, więc został. Powiedział:

– Przepraszam, że cię przestraszyłem.

– Nie przestraszyłeś mnie – odrzekła szybko.

Widział, że to nieprawda, lecz nie miał ochoty na kłótnię. Powtórzył swoje pytanie:

– Co czytasz?

Rzuciła okiem na wolumin na kolanach i wyraz jej twarzy się zmienił; teraz się zadumała.

– Mój ojciec przywiózł tę książkę z ostatniej podróży do Normandii. Przywiózł dla mnie. Kilka dni później znalazł się w więzieniu.

Jack ukradkiem się zbliżył i popatrzył na otwartą stronę.

– To po francusku!

– Skąd wiesz? – spytała zdumiona. – Umiesz czytać?

– Tak, ale myślałem, że wszystkie książki są po łacinie.

– Niemal wszystkie. Ale ta jest inna. To poemat zatytułowany: *Opowieść o Aleksandrze*.

Jack pomyślał: Robię to! Naprawdę z nią rozmawiam! To cudowne! Ale co ja mam teraz powiedzieć? Jak podtrzymać rozmowę? Zapytał:

– Hm... O czym to jest?

– To historia o królu Aleksandrze Wielkim i o tym, jak podbijał ziemie na Wschodzie, gdzie klejnoty rosną na pnączach wina, a rośliny potrafią mówić.

Jacka zaintrygowało to tak bardzo, że zapomniał o niepokoju.

– Jak rośliny mogą mówić? Mają usta?

– Tu się o tym nie wspomina.

– Czy myślisz, że ta opowieść mówi prawdę?

Popatrzyła na niego z zainteresowaniem, a on wpatrzył się w jej ciemne oczy, takie piękne...

– Nie wiem – odrzekła. – Zawsze zastanawiam się, czy te historie są prawdziwe. Większość ludzi nie zauważa, że to tylko opowieści.

– Z wyjątkiem księży. Oni uważają, że święte opowieści są prawdą.

– No, oczywiście, że są.

Jack odnosił się sceptycznie do świętych historii, tak samo jak do wszystkich innych, lecz jego matka, która mu to wpoila, nauczyła go też dyskrecji, więc się nie kłócił. Próbował nie patrzeć na łono Alieny, które znajdowało się na skraju jego pola widzenia. Wiedział, że gdyby spuścił oczy, to ona łatwo zo-

rientowałyby się, na co patrzy. Spróbował wymyślić, co by tu jeszcze powiedzieć.

– Ja znam wiele opowieści – rzekł w końcu. – Znam *Pieśń o Rolandzie* i *Pielgrzymkę Wilhelma Brańskiego*...

– Co masz na myśli, kiedy mówisz, że je znasz?

– Mogę je recytować.

– Jak żongler?

– Co to jest „żongler”?

– Taki człowiek, który chodzi wszędzie i opowiada historie.

To była dla Jacka nowość!

– Nigdy nie słyszałem o takich.

– Jest ich mnóstwo we Francji. Kiedy byłem małym dzieckiem, to jeździłam za morze z ojcem. Uwielbiałam żonglerów.

– Ale co oni robią? Po prostu stają na drodze i recytują?

– To zależy. Przychodzą w święta czy uroczystości do pańskich domów. Dają przedstawienia na targach i jarmarkach. Występują przed kościołami dla pielgrzymów. Wielcy baronowie niekiedy mają własnych żonglerów.

Jack nagle uświadomił sobie, że to nie tylko on do niej mówi, ale ona z nim rozmawia tak, jak nigdy on nie mógłby porozmawiać z jakąkolwiek inną dziewczyną w Kingsbridge. On i Aliena byli jedynymi ludźmi w miasteczku, poza matką, którzy wiedzieli o istnieniu francuskich poetów epickich. Tego był pewny. Mieli wspólne zainteresowanie i dyskutowali o nim. Ta myśl podnieciła go na tyle, że stracił wątek i poczuł się zawstydzony i głupi.

Na szczęście ona mówiła dalej:

– Zwykle żonglerzy przygrywiają na gęślach podczas recytacji. Grają szybko i wysoko, gdy mowa o bitwie, słodko i wolno, gdy mowa o miłości, szarpia zaś struny, kiedy jest część zabawna.

Jackowi spodobał się ten pomysł: podkreślanie muzyką ważnych punktów opowieści.

– Chciałbym umieć grać na gęślach – westchnął.

– Naprawdę umiesz recytować?

Nie mógł uwierzyć, że ona rzeczywiście interesuje się nim, przecież pyta o niego samego! A jej twarz jeszcze piękniała, kiedy ożywiała ją ciekawość.

– Matka mnie uczyła – powiedział. – Kiedyś długo mieszkaliśmy w lesie, tylko we dwoje. Stale opowiadała mi te opowieści.

– Ale jak udało ci się je zapamiętać? Niektóre wymagają całych dni, żeby je opowiedzieć!

– Nie wiem. To jest tak samo, jak poznawać drogę w lesie. Nie znasz przecież całego lasu, ale gdziekolwiek byś poszła, to wiesz, jak iść dalej. – Rzuciwszy okiem na tekst jej książki, zauważył coś uderzającego. Usiadł na trawie obok niej, by się temu przyjrzeć bliżej. – Te rymy są jakieś inne.

Nie była za bardzo pewna, o co mu chodzi.

– Dlaczego?

– Są lepsze. W *Pieśni o Rolandzie* słowo „koń” rymuje się ze słowem „kord”. W twojej książce „koń” rymuje się z „broń” albo „dłoń”, a „kord” z „lord” albo „mord”. To zupełnie inny sposób rymowania. Lecz jest lepszy, znacznie lepszy. Podobają mi się te rymy.

– Czy zechciałbyś... – wyglądała nieśmiało. – Czy zechciałbyś mi coś zarecytować z *Pieśni o Rolandzie*?

Jack poprawił pozycję odrobinę, tak żeby móc patrzeć na nią. Intensywność jej spojrzenia, iskry zapału w czarodziejskich oczach powodowały, iż ścisnęło go w gardle. Przełknął z trudem, po czym zaczął:

– Król Karol, cesarz nasz wielki, siedem pełnych lat zostawał w Hiszpanii, aż po samo morze zdobył tę wyżynę. Nie masz zamku, który by mu się ostał, nie masz muru, który by był cały, nie masz miasta, krom Saragossy stojącej na górze. Włada tam Marsyl, Boga nie miłujący – Mahometowi służy, do Apollina się modli. Nie ustrzeże się nieszczęścia! *.

Jack przerwał, a Aliena zawołała:

– Znasz to! Naprawdę znasz! Tak jak zongler!

– No, teraz widzisz, co miałem na myśli, mówiąc o rymach.

– Tak, ale to opowieść, którą i tak lubię – odrzekła. Jej oczy błyszczały z zachwytu. – Powiedz mi więcej!

Jack poczuł, że zaraz zemdleje ze szczęścia.

– Jeśli to lubisz... – odparł słabym głosem. Popatrzył jej w oczy i zaczął drugą zwrotkę.

II

Pierwszą sobótkową zabawą była gra *Ile chleba*. Podobnie jak w wielu innych, i w tej dawał się wyczuć lekki posmak pogańskiego zabobonu. To niepokoiło Philipa. Gdyby jednak chciał przeciwstawić się każdemu zwyczajowi, w którym pokutowałby cień dawnych wierzeń, połowa ludowych tradycji powinna zostać zabroniona, a ludzie i tak omijaliby zakazy i po kryjomu zachowywali stare obyczaje. Starał się więc zachować dyskretną tolerancję, a tylko wyjątkowo utrzymywał twardą linię postępowania.

Mnisi ustawili stoły na trawie pod klasztornym murem. Pomocnicy kuchenni już nieśli dymiące kotły. Przeor był tutaj panem, do niego zatem należało przygotowanie biesiady dla swych dzierżawców w ważne święta. Polityka Philipa polegała na tym, by szczerze dzielić jedzenie, a podawać mało napitków, przygotował więc słabe piwo i polecił nie podawać wina. Zawsze jednak znalazło się pięciu czy sześciu niepoprawnych, którzy spijali się do utraty zmysłów każdego świątecznego dnia.

Ważni obywatele Kingsbridge siedzieli przy stole Philipa: Tom Budowniczy z rodziną, mistrzowie-rzemieślnicy, w tym syn Toma, Alfred, a także kupcy, wśród których była Aliena. Żyd Malachi miał dołączyć później, po nabożeństwie.

Philip poprosił o ciszę, pomodlił się o błogosławieństwo i podał bochenek do *Ile chleba* Tomowi. Z upływem lat coraz bardziej cenił Toma. Niewielu bowiem jest ludzi, którzy mówią, co myślą, i czynią to, co powiedzieli. Tom reagował na niespodzianki, kryzysy i klęski spokojnie, ważąc konsekwencje, szacując straty i planując najlepsze wyjścia z sytuacji. Philip patrzył na budowniczego z dumą. Zmienił się od czasu, kiedy ponad pięć lat temu przyszedł do klasztoru błagać o pracę. Wtedy był tak wycieńczony i wynędzniały, tak wychudzony, że wydawało się, iż kości za moment przebiją ogorzałą skórę. W miarę upływu lat nabrał ciała; nie utył, ale przyrosło mu mięśni, szczególnie od czasu, gdy wróciła jego kobieta. Z oczu znikł błysk rozpacz. Teraz był ubrany w zieloną, kosztowną tunikę z Lincoln, na nogach miał miękkie skórzane trzewiki, u pasa srebrną klamrę.

Przeor musiał zadać pytanie, na które gra *Ile chleba* miała przynieść odpowiedź. Spytał:

– Ile lat zajmie budowa katedry?

Tom ugryzł kęs chleba, który upieczono z małych, twardych ziaren. Kiedy wypluł je na dłoń, wszyscy liczyli głośno. Bywało, że grający miał w ustach tyle ziaren, iż nikt nie potrafił dobrze policzyć. Dzisiaj jednak nie było takiej obawy, przy tylu kupcach i rzemieślnikach przy stole... Odpowiedź brzmiała: trzydzieści. Philip udał konsternację. Tom powiedział:

– To aż tyle pożyję! – I wszyscy wybuchnęli śmiechem.

Tom podał chleb żonie Ellen. Do tej kobiety Philip odnosił się z wielką ostrożnością. Podobnie jak Cesarzowa, miała ona władzę nad mężczyznami, taki rodzaj władzy, z którym Philip nie mógł współzawodniczyć. Tego dnia, kiedy opuściła klasztor, popełniła niesłychany występki. Przeor założył, że już nigdy nie powróci, ale, ku jego zgrozie, pojawiła się znowu, a Tom błagał go o wybaczenie dla niej. Sprytnie argumentował, że skoro Bóg może ją rozgrzeszyć, to Philip nie ma prawa jej tego odmawiać. Przeor podejrzewał, że ona wcale nie jest taka skruszona. Ponieważ jednak Tom prosił akurat w dniu, kiedy

ochotnicy uratowali katedrę, a przeor był ogromnie wdzięczny za to, jak ich zorganizował, więc spełnił jego życzenie wbrew swoim instynktownym oporom. Tom i Ellen pobrali się w parafialnym kościółku, małym drewnianym budyneczku, starszym niż klasztor. Od tamtej pory Ellen zachowywała się nienagannie i nie dawała żadnego powodu do pożałowania owej decyzji. Mimo to nie czuł się przy niej pewnie.

– Ilu kochasz mężczyzn? – zapytał Tom.

Ugryzła kawałek chleba, co wszystkich skłoniło do śmiechu. W tej grze pytania zawsze zmierzały ku pewnym swobodnym... Philip zdawał sobie sprawę z tego, że gdyby jego tam nie było, pojawiłaby się nieskrępowana rubaszność.

Ellen naliczyła trzy ziarna. Tom udawał oburzenie.

– Mogę wam powiedzieć, kim są ci moi ukochani – rzekła Ellen. Przeor miał nadzieję, że nie powie nic obraźliwego. – Pierwszy to Tom. Drugi Jack. A trzecim jest Alfred.

Rozległ się aplauz dla jej bystrości, a chleb przekazano w inne ręce. Następna z kolei była Martha, córka Toma, płochliwa dwunastolatka. Chleb przepowiedział jej trzech mężów, co wydawało się jak najbardziej niemożliwe. Martha podała chleb Jackowi; Philip dojrzał w jej oczach błysk uwielbienia. Zrozumiał, że dla tej dziewczynki jej przybrany brat jest księciem z bajki.

Jack intrygował Philipa. Z brzydkiego dziecka o marchewkowych włosach, bladej cerze i wybałuszonych oczach wyrósł młody mężczyzna o regularnych rysach i twarzy tak pociągającej, że obcy przystawali, by przyjrzeć się jej dokładniej. Charakter jednak miał dziki, po matce. Był samowolny, nie miał żadnego poczucia posłuszeństwa. Przy pracach murarskich praktycznie nie nadawał się do niczego, bo zamiast zapewniać stały, rytmiczny dopływ zaprawy i kamienia, próbował składać całodzienny zapas, a potem znikał. Któregoś dnia doszedł do wniosku, że żaden z kamieni na placu nie nadaje się do rzeźby, jaką miał wykonać, więc nic nikomu nie mówiąc, poszedł do kamieniołomu i wybrał

odpowiedni według niego kamień. Przytaszczył go do klasztoru dwa dni później, na pożyczonym kucu. Ludzie jednak wybacжали mu te wybryki, bo był wyjątkowym rzeźbiarzem, a poza tym dał się lubić. Tego na pewno nie odziedziczył po matce, uważał Philip, który zastanawiał się czasami nad jego przyszłością. Gdyby wybrał stan duchowny, z pewnością bez trudu zostałby biskupem.

– Za ile lat weźmiesz ślub? – spytała Martha.

Jack ugryzł niedużo: najwyraźniej chciał się ożenić. Philip zastanawiał się przez moment, kim jest ta wybranka. Ku widocznemu rozczarowaniu i oszołomieniu Jacka okazało się, że ma pełne usta ziaren, a kiedy je liczono, jego twarz wyrażała oburzenie. Doszli do trzydziestu jeden.

– Będę miał czterdzieści osiem lat! – zaprotestował.

Wszystkich to rozbawiło z wyjątkiem Philipa, który sprawdził wyliczenie, stwierdził jego prawidłowość i zadziwił się umiejętnością tak szybkiego liczenia. Nawet kwestarz Milius nie umiał rachować tak prędko.

Jack siedział obok Alieny. Philip uświadomił sobie, że kilka razy widywał tych dwoje razem tego lata. Prawdopodobnie dlatego, że oboje byli tak samo bystrzy. Niewielu ludzi mogło rozmawiać z Alieną z uwagi na różnicę poziomów, a Jack, mimo pełnego niejasności postępowania i braku wykształcenia, był dojrzałszy niż inni terminatorzy. Tym bardziej ta przyjaźń ciekawiła Philipa, w ich bowiem wieku pięć lat różnicy to dużo.

Jack podał chleb Alienie i zadał jej to samo pytanie, jakie zadano jemu:

– Za ile lat weźmiesz ślub?

Wszyscy jęknęli ze względu na to samo pytanie. Ta gra przecież służyła ściganiu się w sprycie i kpinach. Lecz Aliena, słynna z dawania kosza, rozśmieszyła wszystkich, ugryzła bowiem potężny kęs, wskazując w ten sposób, że nie chce wychodzić za mąż. Ta próba okazała się niewypałem: wypluła tylko jedno ziarno.

Jeśli ona ma wyjść za mąż w przyszłym roku, pomyślał Philip, to pan młody jeszcze nie pojawił się na scenie. Oczywiście nie wierzył w proroczą moc

chleba. Prawdopodobnie raczej umrze jako stara panna, tyle że ponoć nie była panną, jak głosiły plotki. Ludzie bowiem szeptali, że została uwiedziona czy zgwałcona przez Williama Hamleigha.

Aliena podała chleb bratu, Richardowi, ale Philip nie usłyszał, o co go pytała. W dalszym ciągu o niej myślał. Nieoczekiwanie nie sprzedali wszystkiej wełny w tym roku. Nie udało się. Nadwyżka nie była duża, mniej niż dziesiąta część, jeśli chodzi o Philipa, a jeszcze mniej w wypadku Alieny, lecz w tym było coś deprymującego. Przeor obawiał się, że Aliena wycofa się z wcześniejszej umowy dotyczącej wełny przyszlorocznej, ale dotrzymała swego słowa i zapłaciła mu sto i siedem srebrnych funtów.

Najgłośniejszą wieścią na jarmarku w Shiring była wiadomość, że w przyszłym roku w Kingsbridge będzie osobny jarmark wełniany. Większość ludzi przyjęła tę nowinę ciepło, bo myto i opłaty, jakich żądał William Hamleigh na jarmarku w Shiring, były nadmiernie wysokie, a Philip obiecywał znacznie niższe. Jak na razie hrabia Shiring nie zareagował.

Tak w ogóle to Philipowi wydawało się, że przyszłość klasztoru rysuje się w jaśniejszych barwach niż pół roku temu. Przewyciężył problemy, jakie sprawiło odcięcie go od kamieniołomu, i odparł Williamową próbę zamknięcia przyklasztornego targu. Teraz niedzielny handel na nowo kwitł i było czym płacić za kamień z kamieniołomu koło Marlborough. Przez cały czas budowa katedry postępowała nieprzerwanie, chociaż była taka chwila, w której wydawało się, że trzeba będzie wstrzymać roboty. Philipa dręczyło jedynie to, że Cesarzowa wciąż czekała na koronację. Jakkolwiek niezaprzeczalnie rządziła i zatwierdzała biskupów, to jednak jej władza opierała się na razie na sile oręża. Żona Stefana w dalszym ciągu władała Kentem, a wspólnota londyńska miała do niej niejednoznaczny stosunek. Wystarczył zwykły kaprys pechowego losu, jedna zła decyzja i Cesarzowa Matylda mogła upaść, podobnie jak jedna bitwa o Lincoln zniszczyła Stefana. I wtedy znów zapanuje anarchia.

Przeor doszedł do wniosku, że nie można tak czarno patrzeć w przyszłość.

Spojrzał na siedzących przy stole. Gra się skończyła i zbierali się do obiadu. Goście Philipa to uczciwi, dobrodusznymi ludźmi, którzy pracowali i chodzili do kościoła. W razie czego Bóg się nimi zaopiekuje.

Zjedli jarzynową polewkę, rybę pieczoną z pieprzem i imbirem, kaczkę przyrządzoną na różne sposoby, a na koniec krem z jaj i mleka, apetycznie ozdobiony czerwonymi i zielonymi paskami. Po obiedzie wszyscy przenieśli ławy do niedokończonego kościoła, gdzie mieli się bawić na przedstawieniu.

Cieśle zbudowali dwa parawany umieszczone w bocznej nawie przy wschodniej części, żeby zamknąć przestrzeń między ścianą nawy bocznej i pierwszym filarem arkady. Mnisi, którzy mieli występować w sztuce, już byli za parawanami. Czekali spokojnie. Ten, który miał być świętym Adolphusem, bezbrody nowicjusz o anielskiej twarzy, leżał na stole, przykryty udrapowanym całunem, starając się opanować chichot.

Jeśli chodzi o tę sztukę, to Philip miał uczucia mieszane, podobnie jak przy grze *Ile chleba*. Tak łatwo mogła się przemienić w bezbożność i wulgarność! Lecz ludzie bardzo lubili oglądać przedstawienia i jeśliby na nie nie pozwolił, to zrobiliby własne poza kościołem, bez jego nadzoru. Poza tym najbardziej cieszyli się z przedstawień mnisi, którzy w nich grali. Przebieranie się i udawanie, że jest się kimś innym, a także przedstawianie oburzających rzeczy, nawet świętokradczych, przynosiło im pewną ulgę, może dlatego, że prawie zawsze byli tacy poważni...

Przed przedstawieniem odbyło się nabożeństwo; zakrystian postarał się, by było zwięzłe. Potem Philip pokrótce opowiedział o nieskazitelnym życiu i cudownych dziełach świętego Adolphusa, a następnie zajął swoje miejsce wśród publiczności.

Spoza lewego parawanu wyszła wielka postać w czymś, co w pierwszej chwili wyglądało jak bezkształtne kolorowe ubranie, a co po przyjrzeniu się z bliska okazało się wielobarwnym obrusem, który owinięto wokół aktora i popupinano. Przedstawiała bogatego barbarzyńcę. Postać tę powitał pomruk podzi-

wu, po którym nastąpiła salwa śmiechu, bo rozpoznano aktora – tłustego brata Bernarda, kuchmistrza, którego wszyscy znali i lubili.

Przeparadował tam i z powrotem kilka razy, by pozwolić wszystkim napatrzeć się do syta, gwałtownie nachylił się nad pierwszym rzędem, gdzie siedziały dzieci, i spowodował piski przestachu, potem rzucił się ku ołtarzowi, jakby upewniając się, że jest sam, i schował torbę z pieniędzmi za ołtarzem. Zwrócił się ku publiczności, chytrze łypiąc okiem na obecnych, po czym głośno powiedział:

– Ci głupi chrześcijanie nie ukradną mojego złota, bo im się wydaje, że je chroni święty Adolphus! Ha! – Po czym opuścił scenę, znikając za parawanem.

Z przeciwnej strony weszła na scenę grupa banitów odzianych w łachmany, uzbrojonych w miecze i siekiery (wykonane z drewna na potrzeby spektaklu), o twarzach wysmarowanych sadzą i kredą. Skradali się, wyglądając bojaźliwie do chwili, gdy jeden z nich zobaczył leżącą za ołtarzem torbę pełną pieniędzy. Rozpoczął się spór wśród banitów. Nie było między nimi zgody co do tego, czy ukraść złoto, czy też nie. Uczciwy banita argumentował, że zabranie złota z pewnością przyniesie pecha. Zły banita powiedział na to, że martwy święty nie może zrobić krzywdy. W końcu wzięli pieniądze i oddalili się do kąta, aby je przeliczyć.

Znowu pojawił się barbarzyńca. Rozglądał się wszędzie za swymi pieniędzmi i powoli wpadał we wściekłość. Zbliżył się do grobowca Adolphusa i przeklinał świętego za brak opieki nad skarbem powierzonym jego pieczy.

I nagle święty zaczął wstawać.

Barbarzyńcę przeniknął dreszcz zgrozy. Święty zignorował go i skierował się prosto ku banitom. Uniósł rękę, wskazując palcem obu nieszczęśników, którzy natychmiast dostali drgawek, tocząc się w konwulsjach po ziemi, wykręcając ciała groteskowo i wykrzywiając obrzydliwie twarze.

Święty oszczędził jedynie dobrego banitę, który natychmiast odłożył torbę z pieniędzmi na miejsce. Adolphus zaś zwrócił się ku publiczności i rzekł:

– Strzeżcie się wszyscy, którzy wątpicie w moc świętego Adolphusa!

Widownia wznosiła okrzyki radości i podziwu, klaszcząc z zapalem. Akto-
rzy stali w nawie rzędem i głupekowato się uśmiechali. Wymowa dramatu miała
być oczywiście moralizatorska, lecz Philip zdawał sobie sprawę, że tym, co po-
dobało się najbardziej, były zabawne gesty i miny, wyrazy wściekłości barba-
rzyńcy i śmiertelne drgawki banitów.

Kiedy ucichł aplauz, przeor wstał, podziękował aktorom i ogłosił, że wkrót-
ce rozpoczną się wyścigi nad rzeką.

Tego dnia pięcioletni Jonathan dowiedział się z całą pewnością, że nie jest
najszybszym biegaczem świata, a nawet Kingsbridge. Włączył się do dziecięce-
go biegu, odziany w starannie skrojony habit, i wywołał wycia i okrzyki, kiedy
zadarł szatę do pasa i pobiegł, ukazując całemu światu swój mały tyłeczek.
Współzawodniczył z dziećmi starszymi od siebie, więc ukończył bieg wśród
ostatnich. Kiedy zaś uświadomił sobie, że przegrał, jego twarzyczka przybrała
tak wstrząśnięty i rozczarowany wyraz, że Tomowi o mało serce nie pękło
i wziął chłopczyka na ręce, by go pocieszyć.

Chociaż szczególnie związek między Tomem i klasztornym sierotą stopnio-
wo się zacieśniał, nikt nawet nie pomyślał, by zastanowić się nad tym, czy nie
ma w tym jakiegoś sekretnego powodu. Budowniczy cały dzień spędzał w obrę-
bie klasztoru, gdzie Jonathan swobodnie biegał, więc często widywali się, a że
Tom był już w wieku, kiedy własne pociechy są za duże, by się z nimi pieścić,
a jeszcze nie doczekał się wnuków, więc wydawało się normalne, że okazuje
życzliwe zainteresowanie małymi dziećmi. Na tyle, na ile się orientował, niko-
mu przez myśl nie przeszło podejrzenie, że Jonathan może być jego synem. Na-
tomiaś krążyła pogłoska, że ojcem jest przeor. Philipa ogarnęłaby zgroza, gdy-
by tylko te słuchy do niego doszły.

Jonathan dostrzegł Arona, najstarszego syna Malachiego, i zaczął wiercić

się w ramionach Toma. Chciał bawić się z chłopcem, a o przegranym biegu już zapomniał.

Kiedy ścigali się terminatorzy, Philip usiadł na trawie obok Toma. Budowniczy podziwiał Philipa. Przyglądając się młodym ludziom ścigającym się z zapalem, starszym drzemącym na słoneczku lub w cieniu, dzieciom pluskającym się w rzece, uświadamiał sobie, że to Philip jest tym, który wszystko trzyma razem. Zarządzał wioską, czynił sprawiedliwość, decydował o lokalizacji nowo budowanych domów i rozsądzał spory. Zatrudniał także większość mężczyzn i kobiet, a przede wszystkim zarządzał klasztorem, który był sercem całego organizmu. Zwalczał zachłannych baronów, negocjował z monarchami i usiłował trzymać biskupa z daleka. Wszyscy dobrze odżywieni ludzie, którzy teraz odpoczywali w blasku słońca, w jakiś sposób zawdzięczali swój dostatek Philipowi, a Tom był pierwszym z nich.

Głębokie miłosierdzie Philipa ujawniło się wtedy, gdy wybaczył Ellen. To było naprawdę coś niezwykłego. Kiedy Ellen odeszła, samotność Toma rzuciła cień na radość budowania wymarzonej katedry. Teraz, po jej powrocie, wszystko wydawało się inne. Ellen była samowolna, szalona, kłótniwa i nietolerancyjna, ale jakoś te wszystkie cechy zdawały się drobiazgami. W jej wnętrzu płonęła namiętność, a to opromieniało życie Toma.

Przeor wraz z Tomem oglądali wyścig, w którym chłopcy musieli chodzić na rękach. Wygrał Jack.

– Ten chłopak jest wyjątkowy – stwierdził Philip.

– Niewielu potrafi szybko chodzić na rękach – powiedział Tom.

Philip się zaśmiał.

– Rzeczywiście, aleja nie miałem na myśli jego umiejętności akrobatycznych.

– Wiem.

Inteligencja Jacka od dawna stanowiła źródło dumy Toma, ale także i źródło bólu. Jack żywo interesował się budowaniem, w przeciwieństwie do Alfre-

da. Tom lubił go uczyć, ale Jack był impulsywny i spierał się ze starszymi.

– Chłopca należy kształcić – ciągnął swą myśl Philip.

Tom zmarszczył brwi. Jack już był wykształcony. Doszedł do czeladnika.

– Co masz na myśli, ojczu?

– Powinien uczyć się pisać piękne litery, studiować gramatykę łacińską i czytać starożytnych filozofów.

To jeszcze bardziej zdumiało budowniczego.

– W jakim to celu? On ma zamiar zostać murarzem.

Philip popatrzył mu w oczy.

– Jesteś pewny? Ten chłopak nigdy nie robi tego, czego się po nim oczekuje.

Tom tego nie rozważał. Oczywiście wiedział o młodzieńcach, którzy nie spełniali pokładanych w nich nadziei. Takimi byli synowie hrabiów, którzy odmawiali walki, dzieci królewskie wybierające klasztor, bastardi z gminu, którzy zostawali biskupami. To prawda, Jack należał do ludzi tego rodzaju.

– Cóż, według ciebie, on powinien robić, ojczu?

– To zależy od tego, czego się nauczy. Chciałbym, by służył Kościołowi.

Kolejne zaskoczenie: Jack tak bardzo zdawał się niepodobny do duchownego. Poza tym Tom poczuł się dziwnie zaniepokojony. Myśląc o przyszłości, wyobrażał sobie, że Jack będzie mistrzem budowniczym, więc gdyby stało się inaczej, przeżyłby ogromne rozczarowanie.

– Bóg potrzebuje najbystrzejszych i najlepszych młodych ludzi, by dla niego pracowali na ziemi – ciągnął Philip.

– Popatrz na tych czeladników, jak współzawodniczą. Wszyscy mogą być cieślami, stolarzami, murarzami czy kamieniarzami. Lecz ilu z nich mogłoby zostać biskupami? Tylko jeden – Jack.

Tom pomyślał, że to prawda. Jeśli Jack mógłby zrobić karierę w Kościele, i to jeszcze mając protektora w osobie Philipa, prawdopodobnie powinien skorzystać z tej okazji, bo to dałoby mu znacznie więcej bogactwa i władzy niż ja-

kiekolwiek rzemiosło.

– A co takiego, ojczy, pragniesz podpowiedzieć? – niechętnie spytał Tom.

– Chciałbym, żeby został nowicjuszem.

– Mniczem! – To wydawało się jeszcze bardziej niedorzeczne niż święcenia biskupie. Tego chłopaka przecież irytowała dyscyplina na placu budowy, jakim cudem mógłby się jej poddać w klasztorze?

– Większość swego czasu spędziłby na studiowaniu – mówił przeor – nauczyłby się wszystkiego od mistrza nowicjuszy, a ja także dawałbym mu lekcje.

Kiedy chłopiec miał wstąpić do zakonu, rodzice przekazywali szczodre wiano na rzecz klasztoru. Tom zastanawiał się nad tym, ile ta propozycja miałaby kosztować.

Philip jakby domyślił się, nad czym zastanawia się Tom.

– Nie spodziewałbym się od ciebie żadnego daru dla klasztoru, bo wystarczyłoby, że dajesz Bogu takiego syna.

Przeor nie wiedział jednak, że Tom już jednego syna klasztorowi ofiarował: małego Jonathana, który właśnie taplał się przy brzegu rzeki. Ale nie czas na tego rodzaju uczucia. Propozycja była szlachetna; Philip naprawdę chciał przyjąć Jacka do klasztoru. Taka oferta to niezwykła szansa dla chłopca, a ojciec powinien dać obciąć sobie prawe ramię, by ją dziecku zapewnić. Poczł ukłucie żalu, że to nie Alfreda, prawdziwego syna, tylko Jacka, któremu był ojczymem zaledwie, spotyka takie wyróżnienie, ale szybko stłumił to uczucie. Powinien się cieszyć, dodawać Jackowi odwagi i mieć nadzieję, że chłopiec zdoła podporządkować się klasztorным regułom.

– Powinno to nastąpić wkrótce – dodał Philip – zanim młodzieniec zdąży się zakochać w jakiejś dziewczynie.

Tom pokiwał głową. Pograżony w rozmyślaniu, obserwował zawody kobiece, które właśnie osiągnęły kulminacyjny punkt. Po chwili zauważył, że do przodu wysunęła się Ellen. Aliena następowała jej na pięty, ale kiedy znalazły się na linii końcowej, jego żona była pierwsza. Podniosła ręce w geście zwycię-

stwa.

Tom wskazał na nią.

– To nie mnie trzeba przekonywać, lecz ją, ojczy.

Przeigrana zaskoczyła Alienę. Ellen, jak na matkę siedemnastoletniego syna, była bardzo młoda, ale i tak miała przynajmniej dziesięć lat więcej od Alieny. Uśmiechnęły się teraz jedna do drugiej, stały razem, jeszcze napięte i dyszące. Aliena przyglądała się tej kobiecie: miała gibkie, brązowe nogi i mocną, zwięzłą budowę ciała. Te wszystkie lata w lesie zahartowały ją w trudach.

Jack podszedł, by pogratulować matce zwycięstwa. Bardzo byli z siebie dumni nawzajem, to Aliena mogła powiedzieć. Wyglądali całkiem odmiennie: Ellen – opalona brunetka o głęboko osadzonych złotobrązowych oczach, Jack – rudzielec o oczach błękitnych. Musi być podobny do swego ojca, pomyślała. Nigdy nic nie mówiono o ojcu Jacka. Może się go wstydzi.

Kiedy tak przyglądała się tym dwojgu, przyszło jej do głowy podejrzenie, że Jack przypomina matce męża, którego straciła. To może być także powód, dla którego jest taka dumna z syna. Może, jak się to zdarza, jest jedyną pamiątką po człowieku, którego uwielbiała. Fizyczne podobieństwo mogło pomagać w tym wypadku nadzwyczajnie. Brat Alieny, Richard, czasami przypominał jej ojca jakimś gestem czy spojrzeniem i wtedy czuła piknięcie serca. Choć... nieraz nawet pragnęła, by był bardziej podobny do ojca.

Wiedziała, że nie powinna czuć się zawiedziona Richardem. Poszedł na wojnę i walczył dzielnie, a tego właśnie od niego wymagano. A jednak często czuła dziwny zawód. Miała dostatek i bezpieczeństwo, dom i służki, piękne ubrania, śliczne klejnoty i szacunek w mieście. Gdyby ją ktoś zapytał, powiedziałaby, że jest szczęśliwa. Ale w głębi duszy wciąż czuła niepokojący prąd. Nie straciła entuzjazmu do swej pracy, lecz w niektóre poranki zastanawiała się,

czy to takie ważne, jaką włoży suknię albo czy przyozdobi się biżuterią. Nikogo nie obchodziło, jak wyglądała, więc dlaczego ona sama miałaby się tym przejmować? A jednak stała się bardziej świadoma swego ciała. Kiedy stąpała, czuła, jak poruszają się jej piersi. Kiedy schodziła do kąpieli nad rzekę, była zażenowana nagością. Siedząc na koniu, zwracała uwagę na części ciała dotykające siodła. Osobliwe dziwactwo. To trochę tak, jakby gdzieś w niej, w środku, siedział ktoś wścibski, ktoś, kto się jej stale przygląda i czasem przedziera się wzrokiem przez jej ciało i podgląda ją nagą. A tym kimś była ona sama. Sama dokonywała gwałtu na własnej osobie.

Zmęczona leżała na trawie. Pot spływał jej pomiędzy piersiami i w dół, po wewnętrznej stronie ud. Niecierpliwie skierowała myśli ku bardziej pilnym problemom. Nie udało jej się sprzedać wszystkiej wełny w tym roku. Nie była to jej wina: większość kupców miała ten sam kłopot, nawet przeor. Philip przyjął to ze spokojem, ale Aliena niepokoiła się. Co powinna zrobić z tą wełną? Oczywiście, mogła przetrzymać do przyszłego roku. Ale jeśli znowu nie uda się jej sprzedać? Nie wiedziała, po jakim czasie surowa wełna traci na wartości. A jeśli się zepsuje? Miała wrażenie, że strzyże mogą wyschnąć, stać się zbyt kruche, aby można było je spożytkować.

Jeśli coś się nie uda, to nie będzie w stanie zaopatrywać Richarda. Rycerstwo jest nader drogim zajęciem. Koń bojowy, który kosztował dwadzieścia funtów, po bitwie pod Lincoln stracił swą ognistość i teraz był niemal bezużyteczny. Wkrótce trzeba będzie Richardowi kupić nowego. Stać ją było na taki wydatek, ale spowoduje on wielki uszczerbek w jej zasobach. Richarda żenoowało to, że jest zależny od niej, dla rycerza nie była to zwykła sytuacja. Spodziewał się, że podczas płądrowania zabezpieczy się w takim stopniu, by przynajmniej zaspokajać bieżące potrzeby, ostatnio jednak walczył po stronie przegrywającej. Jeśli miał kiedyś odzyskać hrabstwo, Aliena musiała go zaopatrywać.

W najgorszych koszmarach widziała, jak traci wszystkie pieniądze, oboje

popadają w nędzę i są narażeni na złą wolę nieuczciwych księży, zdradzieckich szlachciców i żądnych krwi banitów, a wreszcie kończą w cuchnącym lochu, w jakim widziała ojca po raz ostatni, i przykuci do ścian łańcuchami umierają z głodu. Czasem przeciwnie, miała sny o szczęściu. W takich snach mieszkali z Richardem na zamku w ich starym domu. Richard rządził mądrze jak ojciec, a ona pomagała mu, tak jak pomagała ojcu, witając ważnych gości i okazując gościnność, siedziała po lewicy brata przy głównym stole podczas kolacji. Ostatnio jednak nawet ten sen pozostawiał ją niezadowoloną.

Poruszyła głową, by otrząsnąć się z tego melancholijnego nastroju. Pomyślała ponownie o wełnie. Najprostszym sposobem byłoby nie robić nic. Mogła zostawić strzyże do przyszłego roku, a gdyby wtedy nie udało się ich sprzedać, po prostu pogodzić się ze stratą. Wytrzymałaby to. A jednak bała się, że taka sytuacja może się powtórzyć, co zrujnuje ją. Dlatego starała się usilnie znaleźć jakieś rozwiązanie. Próbowwała sprzedać wełnę miejscowemu tkaczowi w Kingsbridge, ale ten już kupił wystarczającą ilość na swoje potrzeby.

Kiedy podczas rozważań trochę bezmyślnie przyglądała się kobietom z Kingsbridge, wpadło jej do głowy, że każda z nich wie, jak robi się tkaninę i szyje ubranie z surowej wełny. Zajęcie było żmudne, ale łatwe: chłopcy robili to od czasów Adama i Ewy. Runo należało umyć, potem wyczesać, by usunąć splątania, a potem uprząść i wreszcie sporządzić tkaninę, a ten luźno tkany materiał trzeba było folować lub filcować, by się zbiegł, stał ściśły i grubszy, przekształcając się w coś, z czego już można było robić jakieś odzienie. Mieszkańcy miasta mogliby zechcieć za pensa dziennie wykonywać te czynności. Jak wiele czasu by to zajęło? Ile by kosztowała taka tkanina?

Powinna wypróbować to na małej ilości. Potem, gdyby to się udało, mogłaby przyjąć do pracy kilkoro ludzi, by zarabiali w długie zimowe wieczory.

Usiadła podniecona perspektywą rozwiązania problemu. Ellen leżała obok. Jack siedział nieco dalej. Pochwycił jej spojrzenie, lekko się uśmiechnął i popatrzył gdzie indziej, jakby zażenowało go, że został przyłapany na podglądaniu

jej. Śmieszny chłopiec, z głową pełną dziwnych pomysłów. Aliena pamiętała go jako małego, dziwnie wyglądającego dzieciaka, który nie wiedział, jak poczyną się dzieci. Lecz z czasów mieszkania w Kingsbridge nie pamiętała go wcale. Teraz zaś wyglądał inaczej, wydawał się inną osobą, tak inną, że miało się wrażenie, iż pojawił się znikąd, niczym kwiatek, który znajduje się pewnego ranka na miejscu uprzednio jałowym. Ale trzeba przyznać, że przestał dziwnie wyglądać. Na pewno, myślała przypatrując mu się z lekkim rozbawieniem, dziewczęta uważają, że jest okropnie przystojny. Z pewnością uśmiecha się miło. Ona sama nie zwracała uwagi na jego spojrzenia, ale trochę ją ciekawiła zadziwiająca wyobraźnia chłopca. Odkryła, że on nie tylko zna na pamięć i umie recytować wiele opowieści i poematów – niektóre z nich miały ponad tysiąc wersów – ale potrafi także tworzyć je w miarę mówienia. W ten sposób nigdy nie była pewna, czy on pamięta, czy wymyśla je. Lecz to nie było jedyną jego cechą, która zaskakiwała Aliene. Ciekawiło go i dziwiło niemal wszystko, nawet sprawy, które ludzie brali za oczywiste. Pewnego dnia spytał, gdzie biorą swój początek wszystkie wody rzeki. A mówił mniej więcej tak: „Przez cały czas, tysiące i tysiące galonów wody przepływa obok Kingsbridge, dniem i nocą, przez cały rok. Płynęła ta woda przed naszym urodzeniem, przed urodzeniem naszych rodziców, i przed urodzeniem ich rodziców. Skąd się bierze tyle wody? Czy jest może jakieś potężne jezioro, które zasila rzekę w wodę? Takie jezioro musiałoby być wielkie jak cała Anglia! A co będzie, jeśli któregoś dnia to jezioro wyschnie?”. Zawsze opowiadał takie zabawne rzeczy, niektóre mniej zabawne, a to Alienie uświadomiło, że tęskniła głęboko, usychała z tęsknoty za mądrą rozmową. W Kingsbridge większość ludzi potrafiła mówić jedynie o uprawie ziemi lub cudzołożeniu, a żadna z tych rzeczy jej nie interesowała. Przeor Philip był odmienny, oczywiście, ale on nieczęsto pozwalał sobie na swobodną rozmowę, zawsze zajęty placem budowy, mnichami czy miasteczkiem. Aliena podejrzewała, że Tom Budowniczy także był bardzo rozumny, lecz on raczej był myślicielem niż partnerem do rozmowy. Jack stał się więc jej

pierwszym przyjacielem. Okazał się cudownym odkryciem pomimo młodego wieku. Faktem jest, że kiedy znajdowała się poza Kingsbridge, myślała o powrocie, by móc z nim pomówić.

Zastanawiała się, skąd on czerpie swoje pomysły. Spojrzała na Ellen. Jakąż dziwną kobietą musi być, skoro wychowała dziecko w lesie! Aliena rozmawiała z Ellen i odkryła swe pokrewieństwo duchowe z tą niezależną i samowystarczalną kobietą, nieco pogńiewaną na życie. Teraz odruchowo spytała ją:

– Ellen, a skąd ty znasz te wszystkie opowieści?

– Od ojca Jacka – odrzekła bez zastanowienia Ellen, a potem czujne spojrzenie pojawiło się w jej oczach, a twarz przybrała ostrożny wyraz.

Aliena zrozumiała, że nie powinna zadawać więcej pytań w tej sprawie. Przyszła jej do głowy kolejna myśl.

– Umiesz tkać?

– Oczywiście, a czy ktoś nie umie?

– Czy nie miałybyś ochoty zarobić trochę tkaniem?

– Może. A o co ci chodzi?

Wy tłumaczyła. Oczywiście Ellen nie uskarżała się na brak pieniędzy, ale to były pieniądze, które zarobił Tom, a Aliena podejrzewała, że ona chciałaby sama zarabiać.

Podejrzanie okazało się trafne.

– Tak, mogę spróbować – zgodziła się Ellen.

W tym momencie nadszedł Alfred. Podobnie jak jego ojciec, był typem wielkoluda. Większość twarzy ukrywała gęsta broda, a w wąskich oczach czaiła się przebiegłość. Umiał czytać i pisać, nawet dodawać, ale mimo to pozostał głupcem. Jednakże niezłe mu się wiodło i miał własną grupę murarzy, czeladników i terminatorów. Aliena obserwowała, że nierzadko wysocy, dobrze zbudowani ludzie zdobywają pozycję dającą im władzę, niezależnie od ich mądrości. Jako starszy grupy, Alfred miał kolejną przewagę: zawsze mógł liczyć na pracę, dlatego że jego ojciec kierował całą budową.

Usiadł na trawie przy niej. Miał ogromne stopy, a na nich ciężkie skórzane buty, poszarzałe od kamiennego pyłu. Aliena rzadko z nim rozmawiała. Powinni mieć ze sobą wiele wspólnego, bo byli jedynymi młodymi wśród bogatszych ludzi Kingsbridge, ale Alfred zawsze wydawał się jej taki nudny... Posiedziawszy chwilę, odezwał się nagle:

– To powinien być kamienny kościół.

Najwyraźniej sądził, że pozostali wiedzą, czego dotyczy jego uwaga. Aliena pomyślała chwilę, po czym spytała:

– Czy mówisz o kościele parafialnym?

– Tak – rzekł takim tonem, jakby to było oczywiste.

Kościół parafialny był zniszczonym, starym, drewnianym, krytym strzechą budynkiem, z klepiskiem jako podłogą.

– Masz rację – powiedziała Aliena. – Powinniśmy mieć kamienny kościół.

Alfred patrzył na nią z wyczekiwaniem. Zastanawiała się, czego się spodziewa.

Ellen, która prawdopodobnie przywykła do jego sposobu bycia, zapytała:

– Co masz na myśli, Alfredzie?

– No, jak się zaczyna budować kościoły? No, jak chcemy zbudować kościół, to co musimy zrobić?

– Nie mam pojęcia – Ellen wzruszyła ramionami.

Aliena zastanowiła się.

– Można powołać gildię parafialną – odparła.

Gildia parafialna łączyła ludzi. Zbierali się, przeprowadzali składki zwykle na potrzeby lokalnego kościoła albo na pomoc dla wdów i sierot. W małych wioszczynach nie zakładano gildii, ale Kingsbridge już nie było wsią.

– A co to pomoże? – spytał Alfred.

– Członkowie gildii będą wspomagać budowę kościoła.

– No to róbmy tę gildię – zdecydował.

Aliena zastanowiła się, czy czasami nie oceniała go źle. Nigdy nie ujawniał

swojej pobożności i nagle próbuje znaleźć sposób zdobycia pieniędzy na nowy kościół. Może nie jest pozbawiony głębi. Potem uświadomiła sobie, że Alfred – poza Tomem – był jedynym budowniczym w Kingsbridge, więc miał pewność, że to on dostanie tę robotę. Może nie był mądry, ale za to przebiegły.

Mimo wszystko myśl przypadła jej do gustu. Kingsbridge stawało się miastem, a w miastach zwykle bywało więcej kościołów. Dzięki drugiemu kościołowi nie byłoby już takiej zależności od klasztoru. Na razie jedynym panem i władcą był przeor Philip. To dobry człowiek, ale Aliena potrafiła przewidywać. Może przyjdzie czas, że kupcom w mieście potrzebny będzie inny kościół.

– Czy mogłabyś wytłumaczyć to o gildii innym? – spytał Alfred.

Aliena nie miała ochoty pozbawiać się towarzystwa Ellen i Jacka, ale spodobał jej się pomysł budowy kościoła, a poza tym grubiaństwem byłoby odmówić, więc postanowiła pomóc Alfredowi.

– Będę rada – odparła.

Słońce zachodziło. Mnisi rozpalili ognisko i podawali tradycyjne potrawy, przyprawione imbirem. Jack chciał zadać matce pytanie, kiedy zostali sami, ale nie miał odwagi. Wtem ktoś zaczął śpiewać piosenkę. To ułatwiło mu sytuację.

– Czy mój ojciec był zonglerem?

Spojrzała na niego. Zdziwiła się, ale nie była zaskoczona.

– Od kogo słyszałeś takie słowo? Nigdy w życiu nie widziałeś zonglera.

– Od Alieny. Jeździła kiedyś do Francji z ojcem.

Ellen wpatrzyła się w ognisko.

– Tak. Był zonglerem. Nauczył mnie wszystkich poematów, tak jak ja nauczyłam ciebie. Ty teraz mówisz te wiersze Alienie?

– Tak. – Jack czuł się nieco zawstydzony.

– Zakochałeś się w niej?

– Czy to takie widoczne?

Uśmiechnęła się mile.

– Tylko dla mnie, jak się zdaje. Bardzo przypominasz ojca. Ona jest znacznie starsza od ciebie.

– Pięć lat.

– I tak ją dostaniesz. Twój ojciec też mógł mieć każdą dziewczynę.

Jacka krępowała rozmowa o Alienie, ale bardzo chciał usłyszeć o ojcu jak najwięcej. Ku jego głębokiemu rozczarowaniu właśnie w tym momencie nadzedł Tom i usiadł obok. Natychmiast zaczął mówić:

– Rozmawiałem z przeorem Philipem o Jacku – mówił lekko, ale Jack wyczuwał, że pod tym tonem kryje się napięcie, i domyślał się, że nadchodzą kłopoty. – Przeor uważa, że chłopaka trzeba uczyć.

– Jest wykształcony. Umie czytać po angielsku i francusku, zna liczby, potrafi recytować całe księgi poezji... – odpowiedź matki była celowo wymijająca.

– Nie, nie chciej mnie źle zrozumieć – przerwał jej.

– Philip nie powiedział, że Jack jest nieukiem, przeciwnie. Mówił, że jest tak rozumny, iż powinien rozwijać swoją mądrość.

Jackowi te pochwały nie sprawiły wcale przyjemności. Wraz z matką dzielili podejrzliwy stosunek do duchownych. Na pewno jest w tym jakiś haczyk.

– Rozwijać? – pogardliwie powtórzyła Ellen. – A czegoż więcej może chcieć go nauczyć mnich? Powiem ci: łaciny, retoryki, teologii, metafizyki. Psie łajno.

– Nie odrzucaj tego tak szybko – rzekł Tom łagodnie. – Jeśli Jack przyjąłby ofertę Philipa, poszedłby do szkoły, nauczył się pisać pięknie i szybko, łaciny i teologii i tych rzeczy, co je psim łajnem nazwałaś, a dzięki temu mógłby zostać duchownym, klerykiem przy jakimś możnym czy biskupie, a w końcu stałby się bogatym i potężnym człowiekiem. Nie każdy baron z domu baron, jak mówią.

Oczy Ellen niebezpiecznie się zwężyły.

– Jeśli przyjmie ofertę Philipa, powiedziałeś. A jak ona brzmi? Dokładnie!

– Że Jack zostałby nowicjuszem...

– Po moim trupie! – wrzasnęła, zrywając się na równe nogi. – Ten cholerny Kościół nie dostanie mego syna! Ci przekłeci, załgani księża dostali jego ojca, ale jego nie dostaną.

Wpierw wsadzę Philipowi w brzuch mój sztylet. Pomóżcie mi wszyscy bogowie, na was się klnę!

Tom nieraz widział Ellen w furii, więc nie przejął się tym pokazem tak, jak powinien. Powiedział spokojnie:

– Co za diabeł w tobie siedzi, kobieto? Chłopakowi przedstawiono wspa-
niałą propozycję.

– On nie zostanie mnichem! – krzyknęła.

– Jeśli nie chce być mnichem, to nie musi.

Matka patrzyła rozżłoszczona. Jacka uderzyły wcześniejsze jej słowa: „Ci przekłeci załgani księża dostali jego ojca”. Co ona chciała przez to powiedzieć? Chciał ją zapytać, ale nie dała mu możliwości.

– Ten podstępny przeor umie przeprowadzać swą wolę. Zawsze w końcu wychodzi na jego – dodała nieco spokojniej.

– Mówiono o tobie co nieco – Tom zwrócił się do Jacka – a co ty chciałbyś zrobić ze swoim życiem?

Jack nigdy o tym poważnie nie myślał, lecz pytanie spowodowało natychmiastową odpowiedź, bez zastanowienia, jakby już dawno podjął decyzję.

– Ja będę mistrzem budowniczym, tak samo jak ty. Zbuduję najpiękniejszą katedrę na świecie.

Czerwony rąbek słońca zapadł za horyzont i nastąpiła noc. Przyszedł czas na ostatni obrzęd sobótkowy – pływające życzenia. Jack miał świeczkę i kawałek drewna w pogotowiu. Spojrzał na Ellen i Toma. Oni patrzyli na niego, trochę

oszołomieni, bo jego pewność co do własnej przyszłości zrobiła im niespodziankę. No cóż, nic dziwnego, jego samego to zaskoczyło.

Zobaczywszy, że nie mają mu nic więcej do powiedzenia, wstał i pobiegł przez łąkę do ogniska. Suchą gałązkę odpalił od płomieni, rozmięczył trochę podstawę świeczki i przylepił ją do kawałka drewna, a potem zapalił knot. Większość mieszkańców miasteczka czyniła to samo. Ci, których nie było stać na świeczkę, robili rodzaj łódeczki z wyschniętej trawy i sitowia, a skręcona w środku trawa wystawała jak knot.

Jack dostrzegł Alienę stojącą niedaleko. Jej rysy podkreślał czerwony blask ogniska, wyglądała na zatopioną w myślach.

– Czego będziesz sobie życzyć? – zapytał impulsywnie.

– Pokoju – odpowiedziała mu, trwając w zamyśleniu. Potem wzdrygnąwszy się, jakby się ocknęła, spojrzała na niego.

Jack zastanowił się, czy jego miłość do Alieny nie jest szaleństwem. Ona go lubiła, stali się nawet przyjaciółmi, lecz pomysł, by leżeć nago obok siebie i całować wzajemnie rozgrzaną skórę, zdawał się nieprawdopodobny.

Kiedy wszyscy byli już gotowi, uklękli na brzegu lub weszli do wody. Trzymając zapalone światełka, wypowiedzieli swe życzenia. Jack zacisnął powieki i wyobraził sobie nagą Alienę, leżącą razem z nim w łożu i mówiącą: „Kochaj mnie, mój mężu”. Potem wszyscy ostrożnie puścili swe „stateczki” na wodę. Jeśli któryś zatonął albo światełko zgasło, oznaczało to, że powierzone mu życzenie nigdy się nie spełni. Jack wypuścił z rąk swój stateczek. Popłynął, drewniana podstawa świeczki zniknęła, ale płomyk płonął. Wpatrywał się weń z napięciem, aż zgubił je wśród setek tańczących świateł, odbijających się w lustrze wody. Mrugające „życzenia” płynęły i płynęły, w końcu zniknęły za zakrętem.

III

Przez całe lato Jack opowiadał Alienie historie.

Spotykali się w niedziele, początkowo przypadkowo, potem regularnie, na polanie przy wodospadziku. Opowiedział jej o Karolu Wielkim i jego rycerzach, o Wilhelmie Orańskim i Saracenach. Aliena lubiła przyglądać się jego twarzy i obserwować, jak zależnie od treści historii, zmieniał się jej wyraz. Oburzał się na niesprawiedliwość, gniewał na zdradę, podziwiał dzielność rycerską i okazywał wzruszenie do łez, kiedy ktoś bohatersko umierał. Jego emocje były tak sugestywne, że poruszały także i ją. Niektóre poematy były za długie na jedną recytację i kiedy miał opowiadać jakąś historię w częściach, to zawsze urywał w takim momencie, by Aliena spędzała cały tydzień na zastanawianiu się, co będzie dalej.

Nigdy nikomu nie mówiła o tych spotkaniach, choć sama nie wiedziała dlaczego. Może dlatego, że nikt nie podzielałby jej podziwu dla opowieści. Ani by tego nie zrozumiał. Jakikolwiek ten powód był, pozwalała, by inni wierzyli, że ona wybiera się na zwykle niedzielne włóczęgi, a Jack, nie umawiając się z nią, robił podobnie. Doszło potem do sytuacji, że nie mogli nikomu powiedzieć o tych spotkaniach bez wyznania, że trwają one już jakiś czas, a zresztą żadne nie mogłoby o nich powiedzieć bez poczucia jakiejś dziwnej winy. W ten to mimowolny sposób ich spotkania stały się sekretne.

Pewnej niedzieli, dla odmiany, Aliena czytała Jackowi *Opowieść o Aleksandrze*. W odróżnieniu od poematów o dworskich intrygach, polityce międzynarodowej i nagłych śmierciach w bitwach powieść ta opiewała miłość i magię. Jacka porywały te nowe dla niego wątki i następnej niedzieli zaproponował opowieść, która była owocem jego własnej wyobraźni.

Był gorący sierpniowy dzień. Aliena miała na nogach sandały, a na sobie białą, lekką, płócienną suknię. W lesie szemrał łagodnie wodospadzik i rozbrzmiewał głos Jacka, wznoszący się i opadający. Opowieść Jacka zaczęła się zwyczajnie, opisem dzielnego rycerza, wielkiego i silnego wojownika, uzbrojonego w miecz magiczny. Rycerzowi zlecono trudną misję do spełnienia. Miał

podróżować daleko na Wschód do odległego kraju, by zdobyć winorośl kwitnącą rubinami. Jack jednak zmienił ustalony wzorzec. Rycerz został zabity i bohaterem stał się jego giermek, biedny siedemnastolatek, beznadziejnie zakochany w córce króla, przepięknej księżniczce. Giermek poprzysiągł wykonać zadanie swego pana, nie bacząc na swój młody wiek i niedoświadczenie ani na to, że ma jedynie łuk i łaciatego kucyka.

Inaczej niż to czynili zwykle bohaterowie tego rodzaju historii, giermek po rozpaczliwych walkach przegrywał potyczki, a ratował się jedynie dzięki swej mądrości i pomysłowości, umykając śmierci o włos. Często bał się spotykanych wrogów, co nie zdarzało się nieczującemu strachu rycerzowi Karola Wielkiego, lecz nigdy nie unikał trudów, uparcie zmierzając do spełnienia misji, której sam się podjął. Jednakowoż wyglądało na to, że narzucone sobie posłannictwo oraz nieszczęśliwa miłość nie spełnią się nigdy.

Aliena zauważyła, że bardziej przejmuje się przygodami i odwagą giermka, niż podziwia potęgę jego pana. Gryzła palce z niepokoju, kiedy sługa rycerza jechał w głąb wrogiego kraju; zachłystywała się, kiedy miecz olbrzyma minął go o włos; wzdychała, kiedy giermek skłaniał swą samotną skołataną głowę, by śnić o dalekiej księżniczce. Jego miłość do niej zdawała się źródłem giermekowej nieugiętości.

W końcu młodzieniec przybył z rubinową winoroślą na dwór, zdumiewając wszystkich.

– Jemu jednak nie chodziło o owo zadziwienie – mówił Jack, lekceważąco pstrykając palcami – nie oczekiwał na zachwyty baronów i hrabiów. Chciał wiedzieć, jakie wrażenie zrobił na jednej, jedynej osobie. Tej nocy wkradł się do pokoju księżniczki, oszukując strażę sprytnymi fortelami, jakich nauczył się w czasie swej wędrówki na Wschód. Wreszcie stanął u stóp łoża, by podziwiać jej twarz. – Wypowiadając te słowa, Jack patrzył z miłością na Alienę. – Nagle obudziła się, ale nie była przestraszona. Giermek pochylił się i delikatnie ujął jej dłoń.

– Jack sięgnął po rękę Alieny i pochwycił ją w swoje dłonie. Zahipnotyzowana intensywnością jego spojrzenia i siłą miłości młodego giermka, w ogóle nie zauważyła, że Jack ją trzyma.

– Kocham cię, wyszeptał giermek i pocałował księżniczkę w usta. – Jack pochylił się i pocałował Alienę. Jego wargi dotknęły jej tak subtelnie, że nawet nie poczuła. Zdarzyło się to tak szybko... a Jack podjął opowieść bez zwłoki. – Księżniczka zasnęła – ciągnął. Aliena zastanawiała się, czy to się naprawdę zdarzyło? Czy Jack ją naprawdę pocałował? Nie potrafiła w to uwierzyć, ale przecież nadal czuła dotyk jego warg. – Następnego dnia giermek poprosił króla o rękę księżniczki w nagrodę za przyniesienie obsypanej klejnotami winorośli. – Jack pocałował mnie bezwiednie, myślała Aliena. To była tylko część opowieści. On nawet nie zauważył, że to uczynił. Po prostu o tym zapomnę. – Król odmówił. Serce giermka przepełniła gorycz. Dworzanie pękali ze śmiechu. Tego samego dnia giermek opuścił ów kraj na swym łaciatym kucyku, przysiągł jednak, że któregoś dnia wróci i poślubi księżniczkę.

– A co się stało potem? – spytała Aliena.

– Nie wiem, jeszcze nie wymyśliłem.

Do gildii parafialnej przystąpili wszyscy co znaczniejsi mieszkańcy Kingsbridge. Dla większości z nich było to coś nowego, lecz uzmysłowiło im, że Kingsbridge jest miastem. Schlebiał ich próżności sam fakt, że się do nich zwrócono, by pomogli w budowie kościoła.

W połowie września Aliena i Alfred wybierali członków i organizowali pierwszy wspólny obiad. Nie uczestniczył w nim przeor Philip, który jakby niechętnie odnosił się do tego pomysłu. Poza nim nie przyszli także: Tom Budowniczy, który uchylił się od obecności ze względu na przeora Philipa, i Malachi, którego wykluczono ze względu na religię.

W tym czasie Ellen utkała belę samodziału. Tkanina wyszła szorstka i bura,

ale dość dobra na mnisie habity i kupił ją brat Cuthbert, klucznik klasztorny. Cena była dwukrotnie wyższa niż cena strzyży i nawet po odliczeniu pensa za dzień, po zapłaceniu Ellen, Aliena zarobiła funta. Brat Cuthbert wyraził gotowość nabycia większej ilości wełnianej tkaniny po tej samej cenie, więc Aliena odkupiła surową wełnę od Philipa. Zatrudniła jeszcze kilka kobiet i w ten sposób rozpoczęła prace rękodzielnicze.

Obiad założycielski gildii odbył się w starym drewnianym kościele. Aliena przygotowała produkty, a gotowaniem zajęli się uczestnicy, z których większość miała przynajmniej jedną osobę do posług. Alfred ze swoimi ludźmi zbudowali długi stół z kozłów i blatów. Kupili mocne piwo i beczułkę wina.

Siedzieli po obu stronach stołu, ale nikt nie zajmował miejsca u szczytu, bo w gildii wszyscy byli sobie równi. Na tę okazję Aliena włożyła ciemnoczerwoną jedwabną suknię, ozdobioną złotym wisiosem z rubinami, i ciemnoszarą pelisę z szerokimi rękawami. Proboszcz odmówił modlitwę: oczywiście rad był gildii, bo nowy kościół podniesie prestiż i zwiększy dochody parafii.

Alfred przedstawił przewidywane koszty i plan nowego kościoła. Mówił, jakby to wszystko sam wykonał, ale Aliena wiedziała, że większość była dziełem Toma. Wzniesienie budynku miało kosztować dziewięćdziesiąt funtów, a budowa miała trwać dwa lata. Alfred zaproponował, by członkowie gildii, których było czterdziestu, płacili po sześć pensów tygodniowo. To było nieco więcej, niż niektórzy z nich oczekiwali – Aliena poznała to po ich twarzach. Wszyscy zgodzili się na tę kwotę, lecz przewidywała, że kilku się wycofa.

Ona sama mogła tyle płacić z łatwością. Kiedy rozejrzała się dookoła stołu, uświadomiła sobie, że najprawdopodobniej jest tutaj najbogatszą osobą. Jeśli idzie o kobiety, to oprócz niej była jeszcze piwowarka, słynąca z dobrego mocnego trunku; krawcowa, zatrudniająca dwie szwaczki i kilkoro terminatorów, oraz wdowa po szewcu, która po śmierci męża prowadziła interes. Była wśród zgromadzonych najmłodszą kobietą i w ogóle najmłodszą osobą, poza Alfredem, który był od niej młodszy o rok lub dwa lata.

Aliena tęskniła za Jackiem. Pragnęła usłyszeć kolejną część opowieści o młodym giermku. Było święto i chciała już pójść na spotkanie na polance. Może uda jej się wyrwać.

Przy stole rozmawiano o wojnie domowej. Żona Stefana, Matylda, walczyła lepiej, niż tego po niej oczekiwano: ostatnio zajęła Winchester i pojmała Roberta z Gloucesteru, brata Cesarzowej i naczelnego wodza jej wojsk. Niektórzy nawet mówili, że Cesarzowa jest marionetką, a prawdziwym przywódcą rokoszu jest właśnie Robert. W każdym razie pojmanie Roberta było niemal równie złe dla Cesarzowej, jak dla lojalistów uwięzienie Stefana.

Napitki były znacznie mocniejsze niż te, które zapewniał przeor Philip, toteż w miarę czasu biesiadnicy stawali się coraz bardziej rubaszni, a proboszczowi nie udawało się hamować birbanckich zapędów pewnie dlatego, że pił równo z innymi. Alfred, siedzący obok Alieny, oszczędzał się, ale i jemu zakwitły rumieńce na twarzy. Aliena nie przepadała za mocnymi trunkami. Do obiadu wypila jedynie kubek jabłecznika.

Kiedy zjedzono większość potraw, ktoś zaproponował toast za twórców gildii. Alfred huknął z radości, kiedy wysłuchał tego toastu. Promieniał. Po toaście zaczęły się śpiewania, a Aliena przemyśliwała, jak się po cichu wysliznąć.

– Dobrze to zrobiliśmy – zwrócił się do niej Alfred.

Uśmiechnęła się.

– Zobaczymy, ilu z nich będzie płacić sześć pensów tygodniowo. Przekonamy się o tej samej porze w następnym roku albo i wcześniej.

Alfred nie chciał słuchać o jakichkolwiek przeszkodach i złych przewidywaniach.

– Dobrześmy zrobili – powtórzył z uporem. – Tworzymy dobry zespół. – Wzniósł kubek ku niej i wypił. – A co, nie myślisz, że jesteśmy dobrym zespołem?

– Jesteśmy, jesteśmy – powiedziała, żeby go uspokoić.

– Mnie to cieszyło – ciągnął. – Ta współpraca z tobą, ta gildia.

– Ja też się cieszyłam – odrzekła uprzejmie.

– Tak? To jestem szczęśliwy. Bardzo.

Popatrzyła na niego uważniej. Czemu tak się na tym skupia? Mówił jasno i wyraźnie, nie było po nim widać, by wypił nadmiar trunku.

– Było przyjemnie – zgodnie przytaknęła.

Położył rękę na jej ramieniu. Aliena nienawidziła, kiedy jej dotykano, ale starała się nie uskakiwać, bo mężczyzn to obrażało.

– Powiedz mi – rzekł, zniżając głos – czy rozglądasz się za mężem?

On chyba nie ma zamiaru mi się oświadczyć, pomyślała przygnębiona. Odpowiedziała wymijająco:

– Nie potrzebuję męża, mój brat sprawia mi dosyć kłopotów.

– Ale potrzebujesz miłości – stwierdził Alfred.

Stłumiła jęk. Już miała odpowiedzieć, kiedy podniósł dłoń, by ją powstrzymać – męski zwyczaj, który szczególnie ją drażnił.

– Nie mów mi, że nie potrzebujesz miłości. Każdy jej potrzebuje.

Popatrzyła na niego stanowczo. Wiedziała, że dzieje się z nią coś dziwnego; wszystkie, a przynajmniej znaczna większość kobiet, bardzo chciały wyjść za mąż; jeśli zaś pozostawały samotne, tak jak ona, w wieku dwudziestu dwu lat, to wtedy pożyły małżeństwa desperacko. Co jest ze mną? – zastanawiała się. Alfred przecież jest młody, dobrze mu się powodzi; połowa dziewcząt w Kingsbridge chciałyby go poślubić.

Przez chwilę igrała z pomysłem, by powiedzieć „tak”, lecz myśl o życiu z Alfredem, jedzeniu z nim kolacji, chodzeniu do kościoła i rodzeniu jego dzieci, odpychała ją. Raczej już zostanie samotna. Potrząsnęła głową.

– Zapomnij o tym, Alfredzie – odrzekła twardo. – Nie potrzebuję męża ani dla miłości, ani dla żadnego innego celu.

Nie dał się zbić z tropu.

– Kocham ciebie, Alieno – wyznał. – Kiedy z tobą pracowałem, byłem naprawdę szczęśliwy. Potrzebuję cię. Czy zostaniesz moją żoną?

Powiedział to. Przykro jej się zrobiło, bo teraz musi go odrzucić. Nauczyła się, że nie należy tego czynić delikatnie; mężczyźni przyjmują delikatność za oznakę niezdecydowania i naciskają dalej.

– Nie, nie zostanę twoją żoną – odrzekła. – Nie kocham ciebie i nie radowałam się wspólną pracą z tobą. Nie poślubiłabym cię nawet wtedy, gdybyś był jedynym mężczyzną na świecie.

Zabolało go. Musiał przypuszczać, że ma wielkie szanse. Aliena była przekonana, że nie czyniła nic, by go ośmielić. Traktowała go jak równego sobie partnera, słuchała, kiedy mówił, mówiła do niego szczerze i prosto, wypełniała swoje obowiązki i oczekiwała, że on wypełni swoje.

– Jak możesz tak mówić? – spytał niewyraźnie.

Westchnęła. Zraniła go i zrobiło się jej przykro. Wiedziała jednak, że za chwilę Alfred zacznie się oburzać i zachowywać tak, jakby go niesprawiedliwie oskarżała. Potem przekona sam siebie, że to ona obraziła go bez uzasadnienia, i zacznie nalegać i mieć pretensje. Nie wszyscy odrzuceni zalotnicy tak się zachowywali, ale pewien ich rodzaj na pewno, a Alfred do tego rodzaju należał. Musiała opuścić to miejsce.

Wstała.

– Doceniam twoją propozycję. To dla mnie zaszczyt. Proszę, uszanuj moją odmowę i nie oświadczaj mi się więcej.

– Zdaje się, że zaraz pobiegiesz wycierać noskę memu przybranemu bratu – rzekł podle. – Nie mogę sobie wyobrazić, czym on cię tak podnieca.

Aliena zarumieniła się z zażenowania. Więc ludzie zaczęli zauważać jej przyjaźń z Jackiem. No cóż, ona ma zamiar pójść na spotkanie i nie pozwoli się zatrzymać. Pochyliła się i przysunęła swoją twarz do twarzy Alfreda. Wzdrygnął się. Cicho i z wyrachowaniem powiedziała:

– Idź do diabła. – Odwróciła się i wyszła.

Raz na miesiąc w krypcie odbywał się sąd. Dawnymi laty należało go robić raz na rok, a nawet wtedy rzadko zdarzało się, by trzeba było na to stracić cały

dzień. Kiedy jednak liczba mieszkańców Kingsbridge zwiększyła się trzykrotnie, łamanie prawa wzrosło dziesięciokrotnie.

Rodzaj przestępstw także się zmienił. Poprzednio większość skarg dotyczyła ziemi, plonów i trzody. Chciwy chłop próbował potajemnie przesunąć międzę, by poszerzyć własne pole kosztem sąsiada; wyrobnik kradł worek pszenicy wdowie, u której pracował; biedna kobieta, mająca wiele dzieci, doiła mleko z cudzej krowy. Teraz jednak większość spraw dotyczy pieniędzy, rozmyślał Philip, siedząc na rozprawie pierwszego grudnia. Terminatorzy i czeladnicy kradli pieniądze swych mistrzów; mężczyźni zabierali oszczędności matce lub żonie; kupcy potrafili puszczać fałszywe monety, bogate kobiety oszukiwały prostoduszne sługi, gdyż te nie umiały policzyć zarobionych pensów.

Niemal wszystkie skargi kończyły się wymierzeniem grzywny. Philip mógł skazywać ludzi także na chłostę, zakuwać w dyby lub wsadzać do lochu pod dormitorium, ale takie kary stosował rzadziej, jedynie w wypadku przestępstw łączących się z przemocą. Miał prawo wieszać złodziei, w klasztorze była solidna drewniana szubienica, ale jeszcze nigdy tego nie uczynił i żywił w sercu nadzieję, że nigdy nie będzie do tego zmuszony. Najpoważniejsze zbrodnie, morderstwa, zabicie królewskiego jelenia i rabunek na królewskim gościńcu, należały do jurysdykcji szeryfa, a sprawy toczyły się w królewskim sądzie w Shiring. Szeryf Eustace wieszał aż nadto często.

Dzisiaj Philipa czekało jeszcze siedem spraw o nielegalne mielenie zboża. Zostawił je na koniec, by zająć się nimi jednocześnie. Klasztor wybudował nowy młyn wodny, który pracował obok starego, bo Kingsbridge potrzebowało teraz dwu. Za nowy budynek należało jednak zapłacić, co oznaczało, że każdy musiał do klasztoru przynosić swoje ziarno. Mówiąc prosto, takie prawo obowiązywało zawsze, tak w klasztorze, jak i w każdym dworze w kraju; chłopom nie wolno było mleć w domu, musieli mleć u pana i płacić mu za to. Kiedy miasto się rozrastało i stary młyn nie nadążał i psuł się, przeor patrzył przez palce na coraz częstsze przerabianie zboża w domach. Teraz jednak był nowy młyn

i należało ukrócić tę samowolę.

Imiona przestępców miał wyskrobane na tabliczce łupkowej. Odczytał je głośno, starannie, zaczynając od najbogatszego:

– Richard Longacre, masz wielkie żarna obracane przez dwu mężczyzn, jak mi powiedział brat Franciscus. – Franciscus był klasztornym młynarzem.

Wystąpił zamożnie wyglądający kmięć.

– Tak, ojczec, ale ja już tego nie robię.

– Zapłać sześć pensów. Enid Brewster, piwowarka, masz żarna w browarze. Obraca je Eric Enidson; widziano go, jest także oskarżony.

– Tak, ojczec – odrzekła Enid, rumianolica kobieta o szerokich barkach.

– A gdzie są teraz żarna? – spytał Philip.

– Wrzuciłam je do rzeki, ojczec.

Philip jej nie wierzył, ale nic na to nie mógł poradzić.

– Grzywna dwadzieścia cztery pensy, a dwanaście za syna. Walter Tanner, farbiarz?

Przeor wyczytywał kolejno nazwiska, skazując ludzi na grzywny zależnie od wagi ich przestępstw, dopóki nie doszedł do tych najbiedniejszych.

– Wdowa Goda?

Stara kobieta o różowej twarzy, w wypłowiałych szatach, wystąpiła przed szereg.

– Brat Franciscus widział, jak mielesz ziarno kamieniem.

– Nie miałam pensa na młyn, ojczec – odrzekła niechętnie.

– Miałaś jednak pensa na zakup ziarna. Będziesz ukarana jak wszyscy.

– Chcesz, ojczec, żebym głodowała? – powiedziała buntowniczo.

Philip westchnął. Wolałby, żeby brat Franciscus nie przyłapał Gody na łamaniu prawa.

– A kiedyż to ktoś w Kingsbridge głodował? – spytał. Rozejrzał się po zebranych. – Nikt nie pamięta, kiedy po raz ostatni ktoś w Kingsbridge zmarł z głodu – przerwał na chwilę, jakby czekając na odpowiedź – zanim tutaj nastą-

łem.

– Dick Shorthouse, bezdomny, zmarł tej zimy – oświadczyła Goda.

Philip przypomniał sobie tego mężczyznę, żebraka spijającego w chlewach i stajniach.

– Padł pijany na dworze w środku nocy i zamarł na śmierć w śniegu. Nie głodował, a jeśli byłby dość trzeźwy na to, by móc iść, doszedłby do klasztoru i nie zmarłby wcale. Jeśli jesteście głodni, nie próbujcie mnie oszukiwać, chodźcie, to okażę miłosierdzie. A jeśli jesteście zbyt dumni i wolicie łamać prawo, musicie przyjąć karę, tak jak wszyscy. Słuchasz, co do ciebie mówię?

– Tak, ojcze – ponuro odrzekła stara kobieta.

– Grzywna wynosi jeden farthing. Sądy skończone.

Wstał i wyszedł, wspinając się po schodach prowadzących z krypty.

Roboty na placu budowy przebiegały teraz dużo wolniej, zawsze tak się działo miesiąc przed Bożym Narodzeniem. Szczyty i krawędzie niedokończonych robót murarskich przykryto słomą i nawozem z klasztornej stajni, żeby nowo postawione mury nie zmarzły. Murarze nie pracowali w zimie, jak mówili, właśnie ze względu na mróz. Philip pytał, dlaczego nie mogą odkrywać murów co rano i przykrywać wieczorem, bo przecież nie tak często zdarza się wielki mróz w ciągu dnia. Tom odpowiedział mu, że mury budowane w zimie często się wałą. Przeor uwierzył, ale nie sądził, że za sprawą mrozu. Przypuszczał, że to dlatego, iż zaprawie potrzeba kilku miesięcy, by dobrze związała. Przerwa zimowa pozwalała na porządne stwardnienie. To także tłumaczyło przesąd murarzy, że nie należy budować wyżej niż dwadzieścia stóp na rok, bo wskutek ciężaru wyższych warstw muru niższe mogą się zdeformować, zanim stwardnieje zaprawa.

Zaskoczył go widok wszystkich murarzy na otwartym placu, tam gdzie miało stanąć prezbiterium. Podeszedł sprawdzić, co się dzieje.

Murarze zrobili półkolisty drewniany łuk i postavili go na ziemi, podpierając drewnianymi słupkami. Przeor wiedział, że ten drewniany przedmiot jest

częścią tego, co nazywali wzorcem. Używano go do podtrzymywania kamieni w trakcie układania i schnięcia muru. Teraz jednakże murarze ustawili na ziemi i układali kamienie bez zaprawy, by się upewnić, że poszczególne bloki do siebie pasują. Czeladnicy i terminatorzy umieszczali kamienie na wzorcu, a murarze krytycznie się temu przyglądali.

Philip pochwyił spojrzenie Toma i spytał:

– Po co to?

– To łuk na galerię.

Przypatrzył się uważniej. Arkadę ukończono w ubiegłym roku, a galeria będzie dobudowana w przyszłym. Potem tylko rząd okien – ostatnie, najwyższe piętro przed położeniem dachu. Teraz, kiedy szczyty ścian były okryte na zimę, przycinano kamienie, robiąc zapasy na wiosnę. Jeśli ten łuk okaże się dobry, to wszystkie następne zostaną przycięte według tego wzoru.

Czeladnicy, wśród których był i przybrany syn Toma, Jack, układali kamienie przycięte w klin, zwane klincami. Mimo że łuk ostatecznie miał znaleźć się wysoko, był wyciosany w dekoracyjne ornamenty. Stąd każdy kamień na powierzchni, która będzie widoczna, miał linię ząbkowań, linie małych medalioników i dolną linię prostych falowań. Kiedy kamienie zostaną ułożone obok siebie, rzeźbienia powinny dokładnie pasować, a linie bezbłędnie łączyć, aby powstały trzy idealne łuki: ząbkowań, medalioników i falowań. Będzie to sprawiało wrażenie łuku zrobionego z trzech warstw kamieni położonych kolejno na sobie, podczas gdy w rzeczywistości zbudowany on będzie z klinów układanych obok siebie. Właśnie dlatego kamienie muszą pasować do siebie idealnie, bo inaczej cała praca pójdzie na marne.

Przeor przyglądał się, jak Jack kładzie zamykający środkowy kamień na właściwe miejsce. Łuk był kompletny. Czterech murarzy chwyciło młotki i jęło wybijać kliny podtrzymujące drewniany wzorzec kilka cali nad ziemią. To była chwila pełna napięcia, gdy spadały drewniane szalunki. Pomimo braku zaprawy między kamieniami łuk jednak stał. Tom Budowniczy chrząknął z zadowole-

niem.

Ktoś pociągnął Philipa za rękaw. Odwrócił się i zobaczył młodego mnicha.

– Masz gościa, ojciec. Oczekuje u ciebie w domu.

– Dziękuję ci, synu. – Philip opuścił budowniczych niechętnie. Idąc przez dziedziniec, zastanawiał się, kóż to może być. Jeśli wpuszczono go do mojego domu, by tam czekał, to zapewne ktoś ważny. Wszedł do siebie.

Tym ważnym gościem okazał się jego brat. Philip objął go serdecznie, ale Francis wyglądał na stroskanego.

– Czy zaproponowano ci coś do jedzenia? – spytał gospodarz. – Zdajesz się osłabiony.

– Dali mi chleba i mięsa, dzięki. Spędziłem jesień na drogach, podróżując między Bristol, gdzie był więziony król Stefan, a Rochester, gdzie trzymano hrabiego Roberta.

– Powiedziałaś „był”.

Francis skinął głową.

– Negocjowałem warunki uwolnienia Roberta. Doszło do tego na Wszystkich Świętych. Robert został uwolniony, a król Stefan wrócił do Winchesteru.

To była niespodzianka dla Philipa.

– Mnie się wydaje, że w tej wymianie Cesarzowej przypadło to gorsze: oddała króla za hrabiego.

Francis potrząsnął głową.

– Bez Roberta okazała się bezradna. Nikt jej nie lubi, nikt jej nie ufa. Utraciła poparcie możnych. Musiała odzyskać hrabiego. Żona Stefana okazała się mądrzejsza. Chciała za Roberta jedynie Stefana. Przettrzymała targi i w końcu go dostała.

Philip podszedł do okna i wyjrzał. Zaczynało padać. Zimny, pomieszany ze śniegiem deszcz moczył plac budowy, czyniąc ciemnymi wysokie już mury katedry, i zacinał w kryte strzechą chaty, gdzie mieli swe narzędzia rzemieślnicy.

– Co to oznacza?

– To znaczy, że Cesarzowa po raz kolejny jest tylko pretendentką do tronu. A poza tym Stefan został oficjalnie koronowany, podczas gdy ona nie, przynajmniej niezupełnie.

– Ale to ona udzieliła mi zezwolenia na targ.

– Tak. To może być kłopot.

– Czy moja licencja jest nieważna?

– Nie. Została prawidłowo wydana przez legalnego władcę, na którego zgodę wyraził Kościół. Sprawa koronacji nie ma tu nic do rzeczy. Stefan jednak może cofnąć zezwolenie.

– Targ przynosi pieniądze na kamień – zaniepokoił się Philip. – Nie mogę budować bez kamienia. To naprawdę zła wieść.

– Przykro mi.

– A co z moją setką funtów?

Francis wzruszył ramionami.

– Stefan ci powie, byś je odebrał Cesarzowej.

– Tyle pieniędzy. To były pieniądze od Boga, a ja je straciłem. – Zrobiło mu się słabo.

– Jeszcze ich nie straciłeś – uspokajał go Francis. – Stefan może nie cofnąć tej licencji. Nigdy nie okazywał zainteresowania targami.

– Hrabia William może na niego wywierać nacisk.

– Jak pamiętasz, zmienił barwy. Porzucił swoich na rzecz Cesarzowej. Nie będzie miał żadnego wpływu na Stefana, nigdy więcej.

– Żywię nadzieję, że masz rację – rzekł z nagłym przyływem optymizmu Philip. – W Bogu otucha, że się nie mylisz.

Kiedy zrobiło się za zimno, by siedzieć na polance, Aliena nabrała zwyczaju zachodzenia wieczorami do domu Toma Budowniczego. O tej porze Alfred zwykle przesiadywał w piwiarni, tak więc grupa rodzinna składała się z Toma,

Ellen, Jacka i Marthy. Teraz, kiedy Tomowi dobrze szło, mieli w domu wygodne siedziska, trzaskający ogień i mnóstwo świeczek. Kobiety zajmowały się tkaniem, budowniczy kreślił plany i projekty, wydrapywał rysunki ostrym kamieniem na wypolerowanej tabliczce łupkowej. Jack udawał, że robi pas, ostrzy noże albo plecie koszyk, aczkolwiek tak naprawdę to przyglądał się ukradkiem Alienie. Lubił patrzeć na jej twarz w blasku ognia, na poruszające się wargi, na białą szyję. Tej zimy śmiali się wiele. Lubił ją rozśmieszać. Zawsze była taka opanowana i pełna rezerwy, że radością napawało patrzenie na nią, kiedy przedstawiała trzymać się na wodzy. Było to prawie tak, jakby się na chwilę obnażała. Jack stale myślał, jak by tu ją rozbawić. Udawał rzemieślników pracujących na placu budowy, naśladował akcent paryskiego murarza czy kaczy chód kowala. Kiedyś wymyślił komiczny obrazek z życia mnichów, przypisując każdemu z nich jeden z grzechów głównych: próżność Remigiusowi, obżarstwo kuchmistrzowi Bernardowi, pijaństwo opiekunowi gości, a żądzę bratu Pierre'owi. Martha często aż się pokładała i nawet poważny Tom wybuchał śmiechem.

Któregoś wieczoru Aliena stwierdziła:

– Nie wiem, czy uda mi się sprzedać te tkaniny.

Wszystkich to zaskoczyło.

– No to po co je tkamy? – zapytała Ellen.

– Nie straciłam nadziei. Po prostu martwię się tym.

Tom uniósł wzrok znad swej tabliczki.

– Myślałem, że klasztor chce nabyć wszystko.

– Nie na tym sprawa polega. Nie umiem znaleźć ludzi do folowania, a mni-si nie chcą luźno utkanego materiału. Ani też nikt inny.

– Folowanie to ciężka praca – zauważyła Ellen. – Nie dziwię się wcale, że nikt nie chce tego robić.

– Może mogłabyś zatrudnić jakichś mężczyzn, by to robili?

– Nie w dostatnim Kingsbridge. Wszyscy mężczyźni mają pracę. W wielkich miastach są zawodowi folusznicy, ale większość z nich jest na stałe zwią-

zana z tkaczami i mają zakaz folowania dla konkurencji. Zresztą sam przewóz do Winchesteru i z powrotem kosztowałby za dużo.

– To poważny kłopot – przyznał Tom.

Jacka uderzyła pewna myśl.

– Szkoda, że woły nie mogą tego robić! – wykrzyknął.

Zanieśli się śmiechem. Tom powiedział:

– Równie dobrze możemy spróbować nauczyć woły, jak się kościoły buduje.

– Albo młyn – ciągnął Jack. – Są przecież jakieś sposoby, by ułatwić sobie najcięższe prace.

– Ona chce folować tkaninę, a nie mleć – przypomniał Tom. Jack nie słuchał.

– My używamy urządzeń do podnoszenia ciężarów i obracania kół, żeby wciągać kamienie na wysokie rusztowania – stwierdził.

– Och, gdyby był jakiś pomysłowy mechanizm, który mógłby zostać użyty do folowania, to byłoby cudowne – westchnęła Aliena.

Pomyślał, jaką sprawiłby jej przyjemność, gdyby zdołał ten problem rozwiązać. Postanowił znaleźć sposób.

Tom w zamyśleniu powiedział:

– Kiedyś słyszałem o młynie wodnym, który wykorzystywano do poruszania miechów kowalskich. Lecz sam tego nie widziałem.

– Naprawdę?! – ucieszył się Jack. – To jest przykład!

– Koło młyńskie obraca się dookoła i kamień młyński obraca się, więc jedno może napędzać drugie, ale kijanka folusznicza porusza się w górę i w dół. Nie można zbudować koła młyńskiego, żeby napędzało kijankę foluszniczą w górę i w dół – autorytatywnie oświadczył Tom.

– Ale miechy poruszają się w górę i w dół!

– Prawda, prawda, ale ja nigdy nie widziałem tej kuźni, a tylko słyszałem o niej.

Jack spróbował sobie wyobrazić maszynę młyna. Siła wody obraca koło. Wał koła wodnego łączy się z kołem wewnątrz młyna. Owo wewnętrzne koło, pionowe, miało zęby zachodzące na zęby innego koła, które leżało poziomo. Ono właśnie poruszało koło młyńskie.

– Koło pionowe może poruszać kołem poziomym – mrucał głośno, myśląc.

– Jack, zatrzymaj się! Jeśli młyny mogłyby folować tkaniny, to ludzie już by to wymyślili! – zaśmiała się Martha.

Zignorował ją.

– Kijanki folusznicze powinny być przymocowane do wału koła młyńskiego, a tkanina powinna leżeć poziomo tam, gdzie padałyby kijanki.

– Lecz kijanka uderzy, a potem się zaklinuje i koło się zatrzyma. Powiadam ci: koła się kręcą, a kijanki biją – zauważył budowniczy.

– Musi być sposób – upierał się Jack.

– Nie ma takiego sposobu. – Tom zdecydowanie zakończył rozmowę na ten temat.

– Na pewno jest – buntowniczo mruknął Jack.

Następnej niedzieli Jack przepadł.

Rano poszedł do kościoła, obiad zjadł w domu jak zwykle, ale na kolację już nie przyszedł. Aliena siedziała w kuchni, przygotowując polewkę z tłustej szynki i kapustę z pieprzem, kiedy weszła Ellen w poszukiwaniu syna.

– Nie widziałam go od mszy – powiedziała Aliena.

– Znikł po obiedzie. Myślałam, że poszedł do ciebie.

Poczuła się trochę zażenowana, że Ellen doszła do takiego wniosku.

– Martwisz się?

– Matka zawsze się niepokoi. – Nerwowo poruszyła ramionami.

– Czy pokłócił się z Alfredem?

– Zadałam to samo pytanie. Alfred mówi, że nie. – Ellen westchnęła. – Nie sądzę, żeby zrobił sobie jakąś krzywdę, i myślę, że Alfred też mówi prawdę. Kiedyś się to zdarzyło, ale to przeszłość. Jack często spóźniał się dawniej i przypuszczam, że będzie to czynił nieraz. Nigdy nie umiałam go nauczyć punktualności.

Wieczorem w dalszym ciągu go nie było. Zmartwiona Aliena poszła do łoża. Richard był daleko, w Winchesterze, więc została sama. Prześladowały ją przykre myśli, że Jack wpadł do rzeki i się utopił albo coś w tym rodzaju. Jak okropne byłoby to dla Ellen: przecież to jej jedyny syn. Kiedy wyobraziła sobie żal Ellen, popłynęły jej łzy. Ale to głupie, pomyślała, płacząc z powodu czyjegoś smutku, a możliwe, że nie ma ku temu żadnego powodu. Zebrała się w sobie. Spróbowała skupić myśli na czymś innym. Zwykle potrafiła się kłopotać interesami przez pół nocy, lecz dzisiaj jej umysł wciąż wracał do Jacka. Może złamał nogę i leży teraz w lesie, bezradny.

W końcu zapadła w niespokojny sen. Obudziła się z pierwszym brzaskiem, wciąż zmęczona. Narzuciła na nocną koszulę obszerny płaszcz, wsunęła nogi w buty podbite futrem i wyszła.

Nie było go w ogródku za piwiarnią, gdzie zwykle mężczyźni zasypiali, a przed zamarznięciem chroniło ich ciepło gnojownika. Poszła w dół, w stronę rzeki, i niespokojnie patrzyła wzdłuż brzegów aż do zakrętu, gdzie spływały brudy miasteczka. Kacza rodzina wśród wiórów drewna, znoszonych butów, wyszczerbionych i pordzewiałych noży i gnijących kości wyszukiwała sobie pożywienie. Dzięki Bogu, Jacka tam nie było.

Wróciła i udała się na dziedziniec klasztorny, gdzie rzemieślnicy rozpoczęli swój dzień pracy. Znalazła Toma w jego szopie.

– Jack wrócił? – spytała z nadzieją.

– Jeszcze nie. – Potrząsnął głową.

Kiedy zbierała się do odejścia, wszedł mistrz ciesielski.

– Wszystkie młotki znikły – rzekł do Toma.

– To zabawne – powiedział budowniczy. – Też szukałem młotka i żadnego nie znalazłem.

W tym samym czasie Alfred wsadził głowę do szopy i spytał:

– Gdzie się podziały nasze wszystkie pobijaki?

Tom podrapał się w głowę.

– Wygląda na to, że z placu budowy zginęły wszystkie młotki – mówił stłumionym głosem. Wtem jego twarz zmieniła wyraz i zawołał: – To Jack za tym stoi, założę się!

Oczywiście, pomyślała Aliena. Młotki. Folowanie. Młyn.

Bez słowa odwróciła się, nie mówiąc, co jej przyszło do głowy. Pośpieszyła przez dziedziniec klasztorny w stronę kanału poruszającego dwa młyny, ten stary i ten zupełnie nowy. Tak jak przypuszczała, koło starego młyna się poruszało. Weszła do środka.

To, co zobaczyła, najpierw ją zdumiało. Zdawało się, że powodowane jakąś siłą wewnętrzną, młotki podnosiły łebki, podobnie jak konie dźwigają głowy znad żłobu. Potem wszystkie równocześnie opuściły łebki, uderzając potężnie, a Alienie niemal serce stanęło. Krzyknęła. Młotki podniosły łebki, jakby reagując na jej krzyk, potem znowu walnęły. Biły w płat luźno utkanego materiału, który leżał w wodzie w głębokim na cal czy dwa płaskim korytku, jakiego używano na budowie do mieszania zaprawy. Uświadomiła sobie, że młotki folują materiał. Ale kto to zrobił? Zobaczyła, że pał, do którego były przymocowane, biegł równoległe do wału koła młyńskiego. Deska, zamontowana do wału, obracała się wraz z nim. Podczas obrotu dotykał trzonków młotków, naciskając je w dół, a łebki wówczas się podnosiły. Następny ruch zwalniał trzonki, łebki wtedy opadały, uderzając w tkaninę w korycie. Było dokładnie tak, jak Jack mówił wtedy wieczorem: młyn może folować!

Usłyszała jego słowa:

– Młotki powinny być cięższe, wtedy uderzałyby mocniej. – Odwróciła się i dojrzała go, wyglądał na zmęczonego i triumfującego. – Myślę, że rozwiąza-

łem twój kłopot. – Uśmiechnął się dość głupio.

– Ja, ja się cieszę, że ci się nic nie stało. Wszyscy się o ciebie martwiliśmy!
– powiedziała.

Nie myśląc, co czyni, zarzuciła mu ręce na szyję i pocałowała go. Był to krótki pocałunek, niewiele więcej niż dotknięcie. Gdy ich usta się rozdzieliły, on objął ją w pasie, przytrzymując delikatnie, ale stanowczo, a ona zauważyła, że patrzy mu prosto w oczy. Myślała jedynie o tym, że jest szczęśliwa, iż on jest żywy i zdrowy. Uścisnęła go serdecznie. Nagle poczuła swoje ciało: czuła szorstkość lnianej koszuli i miękkie futro butów, a jej nabrzmiałe sutki wywoływały uczucie mrowienia, kiedy dotykały jego piersi.

– Martwiłaś się o mnie? – zapytał z niedowierzaniem.

– Tak! Nie spałam!

Uśmiechała się, ale on wyglądał na okropnie uroczystego i już po chwili jego nastrój zwyciężył i czuła, że sama jest przedziwnie wzruszona. Słyszała bicie swego serca, a jej oddech przyśpieszył. Za sobą słyszała uderzenia młotków, za każdym razem wstrząsające drewnianą konstrukcją młyna. Te wibracje odczuwała głęboko wewnątrz własnego ciała.

– Nic mi się nie stało. Wszystko w porządku.

– Tak się cieszę – powtórzyła, ale tym razem szeptem.

Zobaczyła, że Jack zamyka oczy i zbliża twarz ku jej twarzy, a potem poczuła jego wargi na swoich. Pocałunek był bardzo delikatny. Jack miał pełne usta i miękką młodzieńczą brodę. Jego usta na jej wargach poruszyły się i zdało się zupełnie naturalne, że rozchyliła swoje. Zamknęła oczy, by skupić się na doznaniach. Jej usta nagle stały się nadwrażliwe, czuła najlżejsze dotknięcie, najdrobniejszy ruch. Czubek jego języka zaczął pieścić jej górną wargę od wewnątrz. Poczowała się przesycona szczęściem. Przycisnęła mocno ciało do niego, miażdżąc piersi o jego twardą klatkę piersiową, czując kości jego bioder wpijające się w jej brzuch. Już nie było tak, że tylko odczuwała ulgę z powodu jego bezpieczeństwa i zadowolenie, że jest tutaj. To zupełnie nowe uczucie. Jego fi-

zyczna bliskość wprawiła ją w jakąś ekstazę, doznała lekkiego oszołomienia. Kiedy tak trzymała jego ciało przy swoim, pragnęła go dotykać, czuć go jeszcze bardziej, znaleźć się jeszcze bliżej... Głaskała plecy Jacka obiema rękami, przywierając coraz mocniej. Chciała dotknąć jego skóry, ale ubranie tak strasznie przeszkadzało... Bez zastanowienia otworzyła usta i wsunęła język między jego wargi. Wydał krótki zwierzęcy dźwięk, skądś z głębi krtani, jak stłumiony jęk rozkoszy.

Drzwiczki młyna uderzyły z impetem. Aliena oderwała się od Jacka. Nagle poczuła się wstrząśnięta tak, jakby mocno spała, a ktoś ją spoliczkował i obudził. Na myśl o tym, co czynili razem, tutaj... Ogarnęła ją zgroza! Całowali się i głaskali nawzajem jak ladacznica i pijak w piwiarni! Cofnęła się o krok i odwróciła, cierpiąc ze wstydu i zmieszania. Intruzem okazał się Alfred, właśnie on, spośród wszystkich ludzi – on! To jeszcze pogorszyło jej odczucia. Trzy miesiące temu Alfred proponował jej małżeństwo, a ona wyniośle go odrzuciła. Teraz widział ją, kiedy zachowywała się niczym suka w czasie ciecarki. Zaczerwieniła się ze wstydu. Alfred wpatrywał się w nią, a wyraz jego twarzy był mieszanką żądy i pogardy, które żywo przypomniały jej Williama Hamleigha. Zła na siebie dlatego, że dała Alfredowi powód do traktowania jej z góry, była wściekła na Jacka, że brał w tym udział.

Odwróciła się od Alfreda i popatrzyła na Jacka. Kiedy ich oczy się spotkały, dostrzegła jego wstrząs. Uświadomiła sobie, że na jej twarzy maluje się gniew, ale nic na to nie mogła poradzić. Oczy Jacka wyrażały nieprzytomne szczęście, a pod wpływem jej wzroku pojawiło się w nich oszołomienie. W normalnych warunkach takie coś przyprawiłoby ją o zmieszanie, ale teraz za bardzo czuła się urażona i gniewna. Nienawidziła go nawet za to, że doprowadził ją do takiego zachowania. Nie zastanawiając się dłużej, wymierzyła mu policzek. Nie poruszył się, a w jego oczach pojawiło się cierpienie. Tego spojrzenia pełnego bólu nie potrafiła znieść. Odwróciła wzrok.

Nie mogła tutaj zostać. Pobiegła ku drzwiom, mając w uszach nasilający się

łomot młotków. Alfred szybko usunął się jej z drogi; wyglądał niemal na przestraszonego. Rzuciła się do wyjścia. Nadchodził właśnie Tom Budowniczy wraz z grupką robotników. Wszyscy kierowali się w stronę młyna, by sprawdzić, co się dzieje. Aliena minęła ich bez słowa. Jeden czy dwu z zaciekawieniem rzuciło za nią okiem, a jej twarz zapłonęła nowym wstydem, ale bardziej interesował ich dudniący dźwięk dochodzący z młyna. Ta zimna i trzeźwa część jej rozumu przypomniała, że Jack rozwiązał problem folowania wełny, ale myśl, że całą noc był na nogach, czyniąc coś wyłącznie dla niej, pogarszała jeszcze jej samopoczucie. Przemknęła obok stajni i przez furtkę klasztoru pobięła do domu.

Kiedy weszła, zastała Richarda. Siedział przy kuchennym stole z bułką i kubkiem piwa.

– Król Stefan wyruszył. Znowu wojna. Potrzebuję nowego konia.

IV

Przez następne trzy miesiące Aliena prawie nie odzywała się do Jacka.

Jego serce było złamane. Całowała go tak, jak całuje się ukochaną osobę, co do tego nie można było się mylić. Kiedy wyszła z młyna, był pewny, że jeszcze będą się tak całować, i to wkrótce. Chodził jak kołowaty, powtarzając sobie: „Aliena mnie kocha! Aliena mnie kocha!”. Przypominał sobie, jak go przyciskała do siebie, jak głaskała jego plecy i wsunęła swój język w jego usta, i przyciskała swe piersi do niego. Kiedy go unikała, w pierwszej chwili myślał, że to po prostu z zakłopotania. Możliwe, że nie udawała swej miłości do niego, nie mogła też udawać, że go nie kocha – po takim pocałunku! Czekał, by przewyciężyła tę wstydlivość. Z pomocą klasztornej cieśli ulepszył mechanizm w starym młynie i teraz Aliena miała już sfolowane wszystkie swoje tkaniny. Szczerze mu dziękowała, ale głosem zimnym, a oczy jej unikały jego wzroku.

Kiedy to trwało przez kilka tygodni, musiał przyznać, że stało się naprawdę coś poważnego. Ogarnęła go fala rozwianych złudzeń, tonął w żalu. Był załamany. Smutnie marzył o tym, by być starszym i mieć więcej doświadczenia z kobietami, aby wiedzieć, czy to, co zaszło, było normalne, czy dziwne, chwilowe czy trwałe, czy powinien ją ignorować, czy starać się rozmówić. Niepewny i lękający się powiedzieć coś niewłaściwego, by nie pogorszyć sprawy, nie robił nic. Poczucie odrzucenia zaczęło niszczyć mu duszę, czuł się bezwartościowy, głupi i słaby. Nie rozumiał, jak mógł mieć nadzieję, że najbardziej godna pożądaniami kobieta w hrabstwie może się zakochać właśnie w nim, chłopaku zaledwie. Przez chwilę ją bawił tymi swoimi opowieściami i żartami, kiedy jednak pocałował ją jak mężczyzna, uciekła. Jakimż był głupcem, licząc na więcej!

Po tygodniu czy dwu wmawiania sobie, jakim to jest durniem, zaczął go ogarniać gniew. Irytował się podczas pracy, tak że ludzie jęli odnosić się do niego ostrożnie. Wobec swej przybranej siostry stał się niemiły, ranił ją niemal tak samo, jak jego zraniła Aliena. W niedzielne popołudnia przegrywał tygodniówkę na walkach kogutów i całkowicie oddał się pracy. Rzeźbił kroksztyny, wystające wsporniki łuków lub trzonów kolumn, podtrzymujące je. Kroksztyny często zdobiono liścianką, a już tradycją stało się wyrzeźbienie człowieka podtrzymującego arkadę na swych barkach. Jack zmienił zwyczajowy wzór tylko odrobinę, a efektem była niepokojąco zgarbiona postać człowieka cierpiącego, skazanego na wieczną mękę podtrzymywania ogromnego ciężaru. Wiedział, jak wspaniale jest jego dzieło; nikt inny nie umiał wyrzeźbić postaci tak, by pokazywała prawdziwy ból. Kiedy zobaczył ją Tom, potrząsnął głową, niepewny, czy podziwiać wyrazistość, czy potępiać za odejście od wzoru. Philipa bardzo przejął widok tej rzeźby. Jacka nie interesowało, co myślą. Uważał, że każdy, komu się to nie podoba, jest ślepy.

Któregoś poniedziałku w czasie Wielkiego Postu, kiedy wszyscy byli rozdrażnieni, bo nie jedli mięsa już przez trzy tygodnie, Alfred przyszedł do pracy z triumfalnym wyrazem twarzy. Poprzedniego dnia był w Shiring. Jack nie wie-

dział, co tam robił, ale najwyraźniej był rozradowany.

Podczas przerwy na drugie śniadanie, kiedy piwowarka odszpuntowała baryłkę w środku przyszłego prezbiterium, sprzedając murarzom i innym pracownikom swoje piwo, Alfred wyciągnął pensa i rzekł:

– Hej, ty Jacku Tomsonie, przynieś mi trochę piwa.

Chodzi pewnie o mojego ojca, pomyślał Jack i zignorował zaczepkę.

Jeden z cieśli, starszy człowiek imieniem Peter, powiedział:

– Lepiej rób, co ci każą, młodziku. – Terminator bowiem zawsze powinien być posłuszny mistrzowi.

– Nie jestem synem Toma – odrzekł Jack. – Jest moim przybranym ojcem, a Alfred o tym wie.

– I tak powinienesz to zrobić – stwierdził Peter tonem rozsądku.

Jack niechętnie wziął pieniądze Alfreda i stanął w kolejce.

– Mój ojciec nazywał się Jack Shareburg – oświadczył głośno. – Możecie do mnie mówić Jack Jackson, dla odróżnienia od Jacka Blacksmitha, kowala.

– Bastard, tak będzie lepiej – Alfred na to.

Jack zawołał głośno, jakby zwracał się do całego świata:

– Czy ktoś kiedyś się zastanawiał, dlaczego Alfred nie sznukuje swoich butów? – Wszyscy spojrzeli na buty Alfreda. Zabłocone, ciężkie, zrobione tak, by je wiązać sznurkami czy rzemieniami na wierzchu, były puszczone luzno. – To z tego powodu, by mógł szybko dosięgnąć do palców stóp, gdyby się zdarzyła potrzeba policzyć ponad dziesięć.

Mistrzowie uśmiechnęli się, a czeladnicy i terminatorzy zarechotali. Jack podał Enid pensa i dostał dzbanek piwa. Zaniósł go Alfredowi i podał z szyderczym ukłonem. Alfred był oszołomiony i dezorientowany, ale nie przejmował się za bardzo, jakby trzymał jakieś nici w ręku. Jack odszedł i popijał swoje piwo z czeladnikami.

Po chwili Alfred poszedł za nim i oznajmił:

– Gdyby Jack Shareburg był moim ojcem, nie przyznawałbym się do tego

tak szybko. Czy ty masz pojęcie, kim on był?

– Był żonglerem. Nie przypuszczam, byś wiedział, kto to taki żongler?

– Był złodziejem!

– Och, zamknij się, kapuściany łbie! – Jack odwrócił się i pociągnął ze swego kubka.

– Nie wiesz, jak umarł? – uparcie ciągnął Alfred.

Więc o to chodzi, pomyślał Jack. Tego dowiedział się wczoraj w Shiring. Dlatego obnosi się ze swoim głupim uśmiechem. Niechętnie odwrócił się twarzą do Alfreda.

– Nie, nie wiem, jak umarł mój ojciec, Alfredzie, ale myślę, że zaraz mi to powiesz.

– Został powieszony, jak należało się przekłębemu złodziejowi, którym był.

Mimowolnie Jackowi wyrwał się okrzyk udręki. Intuicja podpowiadała mu, że to prawda. Alfred był tak pewny siebie, iż nie mógł tego zmyślić. Błyskawicznie pojął, dlaczego matka nie chciała mówić o jego ojcu. Przez lata potajemnie się czegoś takiego lękał. Cały czas udawał, że nie ma o czym mówić, że nie jest bastarden, że miał prawdziwego ojca o prawdziwym nazwisku. W rzeczywistości zawsze się obawiał, że z jego ojcem było coś nie tak, że szyderstwa miały podstawę, że on sam ma się czego wstydzić. Tego było za wiele. Odrzucenie przez Alienę uczyniło go we własnych oczach bezwartościowym i małym. Teraz prawda ujawniona przez Alfreda ugodziła niczym potężny cios.

Alfred stał z uśmiechem, nadzwyczajnie z siebie zadowolony; skutek rewelacji zachwyił go. Wyraz jego twarzy doprowadził Jacka do szaleństwa. Ledwie mógł znieść wiadomość, że jego ojca powieszono, ale świadomości, że Alfred z tego powodu czuł się szczęśliwy, znieść już nie mógł. Nie zastanawiając się, chlusnął swe piwo prosto w ten promienny uśmiech.

Inni czeladnicy, którzy przypatrywali się przybranym braciom i cieszyli się ze starcia, czym prędzej cofnęli się o krok czy dwa. Alfred strząsnął piwo z oczu, zaryczał ze złości i machnął potężną pięścią, zaskakująco szybkim ru-

chem jak na tak wielkiego mężczyznę. Uderzenie trafiło w policzek Jacka tak mocno, że zamroczyło go trochę. Zanim się opamiętał, druga pięść Alfreda trafiła go w korpus. Ten cios zabolął straszliwie, poczuł, że nigdy więcej nie uda mu się złapać powietrza. Zgiął się wpół i padł na ziemię. Kiedy leżał, Alfred kopnął go w głowę ciężkim butem i przez chwilę Jack nie widział nic, jedynie białe światło.

Przetoczył się na oślep i spróbował wstać na nogi. Nagle znalazł się w kleszczowym uchwycie. Zaczął się szarpać. Teraz się już bał. Alfred był bezlitosny. Jeśli nie uda mu się uciec, zrobi z niego miazgę. Przez chwilę chwyt był za silny, by się wyrwać, ale szybko zelżał, bo Alfred podniósł pięść, by zadać kolejny cios. W tym momencie Jack wyśliznął się z jego rąk.

Rzucił się do ucieczki. Przewrócił beczkę z wapnem tak, że zagroziła Alfredowi drogę. Wapno wysypało się na ziemię. Alfred zdołał przeskoczyć beczkę, ale wpadł na kadz z deszczówką i, oczywiście, rozwalił ją. Kiedy woda zetknęła się z wapnem, gwałtownie zawrzało i zasyczało. Kilku budowniczych na widok straty kosztownego surowca zaczęło coś wykrzykiwać tonem nagany, ale Alfred pozostał na to głuchy, a Jack uciekał. Biegł, wciąż zgięty i na pół ślepy po kopnięciu w głowę.

Doganiając Jacka, Alfred wystawił stopę. Jack poleciał głową naprzód. Umrę zaraz, myślał, koziołkując. Zaraz mnie zabije. Zaniósł go pod drabinę opartą o rusztowanie sięgające wysoko w górę. Alfred nachylił się do niego. Jack czuł się niczym zając zagoniony w róg. Uratowała go drabina. Zaczął wdrapywać się na górę.

Wstrząsy drabiny świadczyły o tym, że Alfred wspina się za nim. Gdyby nie oszołomienie i brak tchu, uciekłyby mu na pewno. Dotarł do szczytu drabiny i wszedł na rusztowanie. Zatoczył się i upadł pod ścianę. Kamienie układano rankiem i zaprawa jeszcze była wilgotna. Kiedy Jack gwałtownie oparł się o nie, ściana zaczęła się ruszać, a trzy czy cztery kamienie wyśliznęły się i spadły. Popatrzył w dół, widział, jak leciały i leciały, a potem, po osiemdziesięcio-

stopowym locie, wylądowały w szopach przybudowanych do muru. Żywił nadzieję, że w szopach nikogo nie było.

Alfred śpiesznie biegł po chybotliwym rusztowaniu. Był zaczerwieniony i napięty, jego oczy pałały nienawiścią. Jack nie wątpił, że w tym stanie może zabić. W miarę jak Alfred się zbliżał, Jack się cofał. Wdepnął w coś miękkiego. Zaprawa. Szybko nabrał pełną garść i cisnął celnie w oczy Alfreda.

Oślepiiony chłopak zatrzymał się i potrząsając głową, starał się usunąć zaprawę z oczu. Wreszcie Jack mógł uciec. Pobiegł na przeciwną stronę, licząc na to, że tam uda się mu zejść, a potem ukryje się w lesie. Ku jego przerażeniu okazało się, że nie ma drabiny, a rusztowanie nie sięgało ziemi, zostało wzniesione na poziomych belkach, wystających z otworów w murze. Znalazł się w pułapce.

Obejrzał się. Alfred już się zbliżał.

Jack miał tylko jedną drogę.

Przy niedokończonym murze, tam gdzie prezbiterium miało łączyć się z transeptem, pozostawiono rzędy kamiennych bloków, tworzących wąskie schody, którymi czasami co śmielsi robotnicy wspinali się na platformę. Z sercem w gardle Jack wszedł na nie i ostrożnie, lecz szybko, zaczął schodzić, starając się nie patrzeć, jak daleko polecą, jeśli spadnie. Doszedł do krawędzi schodowanej części, zatrzymał się, obejrzał przez ramię. Czuł lekkie mdłości. Alfred posuwał się za nim.

Nie potrafił zrozumieć, dlaczego tamten się nie boi, przecież nigdy nie był dzielny. To ta nienawiść. To ona stłumiła poczucie zagrożenia. Na przerażająco stromych stopniach Alfred zaczął go doganiać. Mieli jeszcze ponad dwanaście stóp do ziemi, kiedy Jack zauważył, że Alfred już mu prawie siedzi na karku. W rozpaczycy rzucił się na bok, skacząc na strzechę przybudówki cieśli. Stoczył się na ziemię, ale upadł nieszczęśliwie, wykręcając kostkę.

Chwiejąc się i zataczając, próbował wstać, Alfred zaś już biegł ku niemu. Przez moment Jack stał oparty o ścianę, a Alfred zatrzymał się, obserwując,

w którą stronę zacznie uciekać. Jack przeżył chwilę okropnej niepewności i nagle, wpadłszy na pomysł, postąpił w bok i cofnął się do przybudówki.

Nie było tam nikogo, bo wszyscy odpoczywali przy baryłce Enid. Na ławach leżały młotki, piły, dłuta ciesielskie i kawałki drewna, przy których cieśle pracowali. Pośrodku stał wzorzec do budowy łuku, a w głębi, przy samym murze, żarzył się ogień.

Drogi wyjścia nie było.

Znalazł się w pułapce. Przez chwilę sparaliżował go strach. Potem lęk ustąpił miejsca narastającemu gniewowi. Nie dbam o to, czy mnie zabije, myślał, byłem tylko zdołał zobaczyć przed śmiercią jego krew. Nie czekał. Pochylił głowę i runął do przodu, zanadto rozwścieczony, by bodaj pomyśleć o pięściach. Po prostu rozpedził się i wyrznął głową.

To było coś, czego Alfred się nie spodziewał. Czoło Jacka trafiło go w usta. Mimo że był lżejszy i o jakieś dwa czy trzy cale niższy, jego atak zdołał odrzucić Alfreda. Jack poczuł satysfakcję.

Przez moment Alfred był zbyt zaskoczony, by zareagować. W tej samej chwili Jack dojrzał drewniany młot oparty o ławę. Podniósł go i kiedy Alfred oprzytomniał i miał zamiar go dopaść, Jack zaczął wywijać młotem. Alfred zrobił unik i Jack chybił. Nagle okazało się, że to on ma przewagę. Rozogniony poszedł za ciosem, z góry ciesząc się na trzask kości. Tym razem włożył w uderzenie całą siłę. Chybił znowu, ale zaczepił o słup stanowiący podporę dachu przybudówki.

Ta zaś nie była solidnie budowana. Nikt tam nie mieszkał, zapewniała jedynie cieślom miejsca pracy podczas deszczu. Kiedy Jack uderzył, słup się pochylił, a strzecha przysiadła. Alfred spojrzał przestraszony w górę. Cofając się, zawadził o stos drewna i ciężko usiadł. Jack podniósł wysoko młot, by zadać ostateczny cios. Jego ręce mocniej zacisnęły się na trzonku. I wtedy zobaczył przeora. Oczy mnicha ciskały gromy. Philip wyrwał młot z rąk Jacka.

Za plecami przeora zawalił się dach przybudówki. Jack i Philip widzieli,

jak strzecha zajęła się ogniem, a w chwilę później zapaliło się wszystko.

Pojawił się Tom.

– Ty, ty i ty! Przynieście beczkę z deszczówką sprzed kuźni. – Odwrócił się do następnych robotników: – Peter, Rolf, Daniel, pędźcie po wiadra. Wy, czeladnicy, chwytajcie za łopaty i sypcie ziemię na ogień. Szybko!

W czasie gaszenia pożaru chwilowo zapomniano o winowajcach. Jack usunął się z drogi i tylko patrzył, osłupiały i bezradny. Alfred stanął trochę dalej. Czyżbym naprawdę chciał rozwalić Alfredowi głowę? Jack nie dowierzał sam sobie. To wszystko wydawało mu się nieprawdopodobne. Choć woda i ziemia stłumiły ogień, stał wstrząśnięty i oszołomiony.

Przeor Philip obserwował bałagan, ciężko oddychając po wysiłku i przeżyciach.

– Popatrz tylko – powiedział do Toma. Był w furii. – Zniszczona przybudówka. Ciesielska robota przepadła. Beczka wapna zmarnowana. Cały kawał nowej ściany w ruinie.

Jack uświadomił sobie, że budowniczy ma kłopoty; do niego przecież należało utrzymanie porządku na placu budowy i Philip mógł oskarżyć go o szkody. To, że sprawcami byli synowie Toma, obarczało go jeszcze bardziej.

Tom odparł łagodnie:

– To się da naprawić, ojcze.

Philip nie dawał się uspokoić.

– Ja się do tego wezmę – wybuchnął. – Jestem przeorem, a ty pracujesz dla mnie.

– Więc pozwól, ojcze, zastanowić się murarzem, zanim podejmiesz decyzję. – Tom mówił spokojnie i rozsądnie. – Przedstawimy ci naszą propozycję, która może będzie ci odpowiadać. Jeśli nie, i tak będziesz mógł, ojcze, zrobić po swojemu.

Philip widocznie nie chciał wypuścić inicjatywy ze swych rąk, ale Tom postępował zgodnie ze zwyczajem. Murarze dbali sami o swą dyscyplinę. Po

chwili przerwy przeor rzekł:

– Dobrze. Cokolwiek postanowicie, nie chcę, by twoi synowie razem pracowali na tym placu budowy. Jeden z nich musi się usunąć. – Odszedł zagniewany.

Tom odwrócił się, ponuro popatrzył na synów i wszedł do największej z szop murarskich.

Jack zdał sobie sprawę z budzącej niepokój sytuacji. Kiedy murarze musieli kogoś spośród siebie przywołać do porządku, zazwyczaj za pijaństwo w pracy i kradzież materiałów budowlanych, najpospolitszą karą była grzywna. Bójka między czeladnikami zwykle kończyła się wsadzeniem obu w dyby na cały dzień, ale Alfred nie był czeladnikiem. Cech mógł wykluczyć ze swego grona członka, jeśli ten nie wykonywał pracy godnej zapłaty. Mógł także karać członka, który popełnił cudzołóstwo z żoną innego murarza, lecz Jack nigdy o czymś takim nie słyszał. Mógł też skazać czeladnika na karę chłosty.

Mistrzowie murarscy zajęli miejsca na ławach. Kiedy wszyscy weszli, Tom powiedział:

– Nasz pracodawca rozgniewał się i miał po temu słuszny powód. Wydarzenie spowodowało wiele szkód. Co gorsza, to hańba dla murarzy. Musimy stanowczo się rozprawić z tymi, którzy zawinili. Tylko w ten sposób możemy odzyskać reputację dumnych i karnych budowniczych, którzy panują nad sobą równie dobrze, jak nad swoją sztuką.

– Dobrze powiedziane! – zawołał Jack Blacksmith, kowal. Rozległ się pomruk potwierdzenia.

– Ja widziałem tylko zakończenie bójki – rzekł Tom. – Czy ktoś widział jej początek?

– Alfred napadł na Jacka – rzekł Peter Carpenter, cieśla, ten sam, który kazał Jackowi być posłusznym.

Młody murarz imieniem Dan, pracujący z Alfredem, dodał:

– Jack chlusnął piwem Alfredowi w twarz.

– No, ale chłopak został sprowokowany – podkreślił Peter. – Alfred obraził jego ojca.

Tom popatrzył na swojego syna.

– Czy tak?

– Powiedziałem, że jego ojciec był złodziejem – odrzekł Alfred – i że został powieszony za to w Shiring. Wczoraj wyjawiał mi to szeryf Eustace.

– Byłoby niedobrze, gdyby mistrz musiał pilnować języka, by nie powiedzieć czegoś, co mogłoby się nie spodobać czeladnikowi – stwierdził kowal.

Znowu rozległ się pomruk potwierdzenia. Jack zrozumiał, że nie wywinie się łatwo. Może jestem przeklęty i muszę być złoczyńcą jak ojciec, pomyślał. Może ja też skończę na szubienicy?

Peter, który stawał się jego obrońcą, był uparty:

– Uważam, że mistrz, który wykorzystuje swoją pozycję do rozzłoszczenia czeladnika, błądzi.

– Czeladnik i tak powinien zostać ukarany – nie spuszczał z tonu kowal.

– Temu nie przeczę – rzekł Peter. – Myślę tylko, że rzemieślnika także należy ukarać. Mistrzowie powinni wykorzystywać swą mądrość do utrzymywania na placu budowy pokoju i zgody. Jeśli prowokują bójki, to sprzeniewierzają się swym obowiązkom.

Zdawało się, że nastąpi wokół tego zgoda, ale Dan, poplecznik Alfreda, odezwał się znowu:

– To niebezpieczna zasada, by wybaczać czeladnikowi, bo mistrz okazał się niemiły. Czeladnicy zawsze uważają, że mistrzowie są niemili. Jeśli tu pozwolicie na spory, to nigdy nie będziecie mogli wydać żadnego polecenia, by czeladnik was nie palnął za nieuprzejmość.

Ta przemowa spotkała się z ciepłym przyjęciem. Wynikało z niej jedno: władza mistrza musi być utrzymana, nie bacząc na dobre i złe strony. Jack myślał o karze, jaką mu mogą wymierzyć. Nie miał pieniędzy, by zapłacić grzywnę. Na myśl o dybach robiło mu się niedobrze; co by o nim pomyślała Aliena?

Ale jeszcze gorzej byłoby, gdyby zdecydowali się na chłostę. Wpadło mu do głowy, że przebije nożem każdego, kto spróbuje go chłostać.

Odezwał się Tom:

– Nie wolno zapominać, że nasz pracodawca ma także swój ważny pogląd na tę sprawę. Powiada on, że na tym placu budowy nie ma miejsca dla Alfreda i Jacka. Jeden musi odejść.

– Czy dałoby się to wyperswadować przeorowi? – spytał Peter.

Tom zamyślił się. Po chwili powiedział:

– Nie.

To wstrząsnęło Jackiem. Nie brał poważnie ultimatum postawionego przez przeora Philipa. Ale Tom tak.

Dan rzekł:

– Jeśli jeden z nich musi odejść, to wierzę, że nie ma wątpliwości który. – Dan bardziej pracował u Alfreda niż w klasztorze, więc prawdopodobnie, gdyby Alfred odchodził, to i on musiałby także stąd pójść.

Jeszcze raz Tom się zamyślił.

– Nie, nie ma wątpliwości. – Popatrzył na Jacka. – Jack musi odejść.

Jack uświadomił sobie, że straszliwie nie docenił skutków bójki. Nie umiał jednak pogodzić się z myślą, że chcą go wyrzucić. Cóż to będzie za życie, bez pracy na budowie katedry w Kingsbridge? Od kiedy Aliena zamknęła się w swojej skorupie, praca była jedyną sprawą, na której mu zależało. Jak mógł odejść?

Peter powiedział:

– Przeor mógłby zgodzić się na kompromis. Jacka można zawiesić na miesiąc.

Jack pomyślał: Tak, proszę.

– To za mało – odrzekł Tom. – Musimy być widziani jako ludzie działający zdecydowanie. Przeor Philip nie przyjmie żadnych pośrednich rozwiązań.

– Niech więc tak będzie – poddał się Peter. – Ta katedra straci najbardziej

utalentowanego młodego rzeźbiarza, jakiego większość z nas widziała w życiu, tylko dlatego, że Alfred nie umie trzymać gęby na kłódkę. – Kilku murarzy wyraziło głośno swą aprobatę wobec takiego postawienia sprawy, więc Peter ciągnął: – Szanuję cię, Tomie Budowniczy, bardziej niż jakiegokolwiek mistrza, dla którego pracowałem. Muszę ci jednak powiedzieć, że jesteś ślepy, kiedy chodzi o barani łeb twego syna Alfreda.

– Tylko bez obrażania, proszę – rzekł Tom. – Trzymajmy się sprawy.

– W porządku. Mówię tylko, że należy ukarać Alfreda.

– Zgadzam się. – Jack pomyślał, że to wzmianka o ślepotcie przemówiła do Toma. – Alfreda trzeba przywołać do porządku.

– Dlaczego? – spytał Alfred z urazą. – Za pobicie czeladnika?

– Nie jest twoim czeladnikiem, ale moim – stwierdził Tom. – A ty nie tylko go stłukłeś. Gonileś go po całym placu budowy. Gdybyś pozwolił mu uciec, nie stracilibyśmy wapna, nie zniszczyłaby się ściana, a szopa cieśli by się nie spaliła, ty zaś mógłbyś się z nim rozprawić po jego powrocie. Nie było potrzeby gonić go.

Murarze się zgodzili.

Dan, który najwidoczniej stał się rzecznikiem murarzy Alfreda, powiedział:

– Mam nadzieję, że nie zaproponujesz, byśmy wyrzucili Alfreda. Sam stanę przeciw temu.

– Nie – odrzekł Tom. – Wystarczy, że tracimy utalentowanego czeladnika. Nie chcę postradać i dobrego murarza, prowadzącego godną zaufania grupę. Alfred powinien zostać, ale musi zapłacić grzywnę.

Ludzie Alfreda odetchnęli z ulgą.

– Wielką grzywnę – dodał Peter.

– Tygodniówkę – rzucił Dan.

– Miesięczny zarobek – postanowił Tom. – Wątpię, czy przeor Philip zadowolony się mniejszą.

– Aye – przytaknęło kilku murarzy.

– Czy wszyscyśmy tego zdania, bracia? – spytał Tom, używając tradycyjnej formuły.

– Aye – odrzekli wszyscy.

– Więc zaniosę przeorowi naszą odpowiedź. Pozostali niech wracają do pracy.

Jack patrzył żałośnie, kiedy odchodzili. Alfred rzucił mu spojrzenie triumfu. Tom zaczekał, aż wszyscy wyjdą, potem zwrócił się do Jacka:

– Zrobiłem dla ciebie wszystko, com mógł. Mam nadzieję, że twoja matka to doceni.

– Ty nigdy dla mnie nic nie zrobiłeś! – wybuchnął Jack. – Nie umiałeś mnie nakarmić, odziać ani zapewnić dachu nad głową! Zanim do nas przyszedłeś, byliśmy szczęśliwi, a potem głodowaliśmy!

– Ale w końcu...

– Ty nawet nie umiałeś mnie chronić przed tym bykiem bez mózgu, którego nazywasz synem!

– Próbowałem...

– Ty nawet byś nie miał tej pracy, gdybym nie spalił starej katedry!

– Coś ty powiedział?

– Tak, to ja spaliłem katedrę.

Tom zbladł.

– To było od pioruna...

– Żadnej błyskawicy nie było. Noc była piękna. I nikt nie zostawił ognia w katedrze. To ja podpaliłem dach.

– Ale dlaczego?

– Byś mógł dostać pracę. Inaczej moja matka umarłaby w lesie.

– Ona by nie...

– Twoja pierwsza żona umarła, prawda?

Tom zbiałał. Nagle wydał się starszy. Jack uświadomił sobie, że zranił go bardzo głęboko; wygrał spór, ale pewnie stracił przyjaciela. Posmutniał i spo-

sępniał.

– Wyjdź stąd – wyszeptał Tom.

Jack oddalił się posłusznie.

Odchodził od wyniosłych murów katedry, był bliski łez. W kilka chwil zniszczył swe życie. Taka niewiarygodna sprawa: opuszcza na zawsze kościół, ten kościół. Skręcił ku furcie klasztornej i popatrzył za siebie. Tyle chciał zrobić, chciał sam wyrzeźbić cały portal, chciał namówić Toma na kamienne anioły w rzędzie okien, wysoko, miał swój projekt na ślepe arkady w transeptach, tego szkicu jeszcze nikomu nie pokazał. Teraz nie zrobi żadnej z tych rzeczy. To okropne. Oczy wypełniły się łzami.

Do domu doszedł, widząc wszystko jak przez mgłę. Matka i Martha siedziały przy stole w kuchni. Dziewczynka uczyła się pisać ostrym kamieniem na łupkowej tabliczce. Zdziwiły się na jego widok. Martha powiedziała:

– Nie może być jeszcze czas obiadu.

Matka umiała czytać w twarzy Jacka.

– Co się dzieje? – zaniepokoiła się.

– Biłem się z Alfredem i zostałem wyrzucony z pracy.

– Czy Alfreda też wyrzucili? – spytała Martha.

Jack potrząsnął głową przecząco.

– To niesprawiedliwe – rzekła przybrana siostra.

– O co tym razem się biliście?

– Czy mego ojca powieszono za kradzież w Shiring? Martha się zachłysnęła.

Matka posmutniała.

– Nie był złodziejem. Ale tak, powieszono go w Shiring – rzekła.

Jack miał dość tych niewyraźnych zdań na temat ojca. Zapytał brutalnie:

– Dlaczego nigdy nie powiedziałaś mi prawdy?

– Bo to doprowadza mnie do rozpaczki! – wybuchła i, ku przerażeniu Jacka, zaczęła płakać.

Nigdy nie widział, żeby płakała. Zawsze była taka silna. On sam już miał się załamać, ale przełknął z trudem i uparcie pytał dalej:

– Jeśli nie był złodziejem, to dlaczego go powieszono?

– Nie wiem! – krzyknęła matka. – Nigdy nie wiedziałam. On też nie miał pojęcia. Oni mówili, że ukradł puchar zdobiony klejnotami.

– Komu?

– Stąd. Z klasztoru Kingsbridge.

– Kingsbridge! Czy to przeor Philip go oskarżył?

– Nie, nie, to było dużo wcześniej, zanim nastął Philip. – Popatrzyła na Jacka przez łzy. – Nie zaczynaj mnie wypytywać, kto go oskarżał i dlaczego. Nie wpadaj w tę pułapkę. Mógłbyś spędzić całe życie, próbując naprawić zło, które się zdarzyło przed twoim urodzeniem. Nie po to cię wychowywałam, byś teraz szukał zemsty. Nie trać na to życia.

Jack poprzysiągł sobie, że kiedyś dowie się na ten temat więcej, ale teraz chciał, by przestała płakać. Usiadł obok niej na ławie, objął ją ramieniem.

– No cóż, wygląda na to, że to nie katedra będzie moim życiem.

– Co będziesz robić, Jack? – spytała Martha.

– Nie wiem. Nie mogę mieszkać w Kingsbridge, prawda?

– Ale dlaczego nie? – Martha była rozdrażniona.

Jack wzruszył ramionami.

– Jedyne, na której się znam, to budowanie.

– Możesz pracować przy innym kościele.

– Może kiedyś pokocham jakąś katedrę tak, jak kochałem tę – powiedział przygnębiony – niewykluczone. – Myślał jednak: Ale nigdy nie pokocham żadnej kobiety tak, jak kocham Alienę.

– Dlaczego Tom pozwolił, by cię tak potraktowano? – spytała matka.

Jack westchnął.

– Nie wydaje mi się, by chciał tak postąpić. To przeor Philip powiedział, że nie chce mieć na budowie jednocześnie Alfreda i mnie.

– Więc to ten przeklęty mnich jest przyczyną tego wszystkiego! – rozgniewała się matka. – Klnę się...

– Bardzo się zmartwił szkodami, które narobiliśmy.

– Zastanawiam się, czy można byłoby go nakłonić do rozumnego podejścia do tej sprawy.

– Co masz na myśli?

– O Bogu się mówi, że jest miłosierny, może i mnisi powinni tacy być.

– Myślisz, że powinienem poprosić Philipa? – spytał Jack, nieco zaskoczony rozumowaniem matki.

– Myślę, że to ja powinnam z nim pomówić.

– Ty! – To jeszcze bardziej do niej nie pasowało. Jack był zupełnie wstrząśnięty. Żeby matka miała prosić o litość Philipa... nie, musiała naprawdę się przejąć...

– Co o tym myślisz, Jack?

Tom uważał, że Philipa nie da się przebłagać, przypomniał sobie Jack. Ale wtedy Tom kierował się nadrzędną sprawą, chodziło o zdecydowane działanie murarzy. Przrzekłszy Philipowi stanowczość, nie mógł prosić o litość. Matka była w innej sytuacji. Jack zaczął odzyskiwać nadzieję. Może nie zostanie zmuszony do odejścia. Może będzie mógł zostać w Kingsbridge, blisko katedry i Alieny. Nie miał już nadziei na jej miłość, niemniej nie umiał się pogodzić z myślą o tym, że nigdy więcej jej nie zobaczy.

– W porządku – rzekł. – Chodźmy i błagajmy Philipa. Nic prócz naszej dumy nie mamy do stracenia.

Włożyła opończę i wyszli razem, zostawiając niespokojną Marthę przy kuchennym stole.

Jack i matka rzadko chodzili obok siebie. Zaskoczyło go, że jest taka niska. Nagle poczuł się z niej dumny. Gotowa była walczyć zawsze, gdy szło o niego. Objął ją ramieniem i uściskał. Uśmiechnęła się, jakby znała jego myśli.

Klasztornym dziedzińcem udali się do domu przeora. Matka zapukała

w drzwi i weszli do środka. Tam był już Tom. Jack poznał po twarzach, że Philip jeszcze nie wie, iż to on podpalił kiedyś katedrę. Odczuł ulgę. Sekret zachowany.

Tom zaniepokoił się na widok Ellen. Nawet chyba się przestraszył. Jack przypomniał sobie jego słowa: „Zrobiłem dla ciebie wszystko, com mógł. Mam nadzieję, że twoja matka to doceni”. Budowniczy pamiętał o tym, co się zdarzyło, kiedy ostatnio pobili się Jack i Alfred: Ellen odeszła. Bał się, że znowu to zrobi.

Philip już nie wyglądał na tak gniewnego. Może decyzja murarzy go uspokoiła. Może nawet czuje się trochę głupio z powodu swego wybuchu.

– Przeorze Philipie, przyszedliśmy tutaj prosić cię o miłosierdzie – powiedziała matka.

Tomowi natychmiast ulżyło.

– Słucham – rzekł przeor.

– Zaproponowałeś, by odesłać mojego syna daleko od wszystkiego, co kocha: domu, rodziny i pracy.

Jack dodał w duchu, że także od kobiety, którą uwielbia.

– Ja? – zdziwił się przeor. – Myślałem, że on został po prostu zwolniony z pracy.

– On nigdy nie uczył się niczego oprócz budowania. W Kingsbridge nie ma innej budowy, gdzie mógłby pracować. Wyzwanie, jakie stawia przed ludźmi tak wielki kościół, porwało go. On poszedłby wszędzie, gdzie tylko buduje się katedrę. Poszedłby do Jerozolimy, jeśli tam trzeba byłoby rzeźbić w kamieniu anioły i diabły.

Skąd ona to wszystko wie? – zastanowił się Jack. Sam o tym nie myślał, ale to była prawda. Matka dodała:

– Nie zobaczyłabym go więcej. – Jej głos zadrżał trochę przy tych słowach, a Jack znowu się zastanowił, jak też matka musi go kochać. Nigdy w ten sposób nie błagałaby dla siebie, był tego pewny.

Philip patrzył współczująco, ale to Tom odpowiedział:

– Nie możemy pozwolić sobie na to, by obaj pracowali na tym samym placu budowy – mówił, zacisnąwszy zęby. – Znów doszłoby do walki między nimi. Wiesz o tym.

– Może odejść Alfred – rzekła matka.

Tom popatrzył smutno.

– Alfred jest moim synem.

– Ale ma dwadzieścia lat i jest równie słaby jak niedźwiedź! – Chociaż głos matki brzmiał stanowczo, po policzkach ciekły jej łzy. – On nie dba o katedrę bardziej niż ja, zadowolony się budowaniem domów dla rzeźbiarzy i piekarzy w Winchesterze czy Shiring.

– Nie można wyrzucić Alfreda i przyjąć Jacka – odrzekł Tom. – Decyzja została podjęta.

– Ale to zła decyzja!

– Może byłoby inne wyjście – odezwał się Philip.

Wszyscy na niego spojrzeli.

– Mógłby się znaleźć sposób na to, by Jack pozostał w Kingsbridge, a nawet poświęcił się katedrze, bez konieczności spotykania się z Alfredem.

Jack zastanawiał się nad tym, co z tego wyniknie. Brzmiało za dobrze.

– Potrzebuję kogoś, kto by pracował ze mną – ciągnął przeor. – Tracę za wiele czasu na podejmowanie decyzji dotyczących budowy, potrzebuję asystenta, który pełniłby funkcję urzędnika zajmującego się budową. Załatwiałby wszystko sam, a najważniejsze sprawy kierował do mnie. Powinien także pilnować pieniędzy, surowców, dostawców i przewoźników oraz płac. Jack umie czytać i pisać, potrafi dodawać szybciej niż wszyscy znani mi ludzie...

– I zna się na każdym aspekcie budowania – wtrącił się Tom. – Zadbalem o to.

Jackowi zakręciło się w głowie. Mógłby zostać!!! Byłby urzędnikiem. Nie rzeźbiłby, ale nadzorował całość prac w imieniu przeora. Zdumiewająca propo-

zycja! Współpracowałby z Tomem Budowniczym jak równy z równym. Wiedział jednak, że podola. Tom też był tego pewien. Jeszcze tylko jedno. Jack powiedział głośno:

– Nie mogę mieszkać z Alfredem ani chwili dłużej.

– Już czas, by Alfred miał własny dom. Może kiedy nas opuści, to żywiej zabierze się do szukania żony – oświadczyła Ellen.

– Cały czas tylko myślisz o tym, jak się pozbyć Alfreda. Nie mam zamiaru wyrzucać własnego syna z mojego domu! – rzekł gniewnie Tom.

– Nie rozumiecie mnie – przerwał im Philip. – Nie pojęliście istoty mojej propozycji. Jack nie mieszkałby z wami.

– Zamilkł na chwilę.

Chłopak domyślił się, o co mu chodzi. To był największy i ostatni wstrząs tego dnia.

– Powinien mieszkać tutaj, w klasztorze. – Popatrzył na nich, lekko zmarszczywszy czoło, jakby wiedział, że wciąż nie pojmują, o co mu chodzi.

Jack go zrozumiał. Przypomniał sobie, co mówiła matka w sobótkową noc tamtego roku. „Ten podstępny przeor ma talent do osiągnięcia celu”. Miał rację. Philip ponawiał swą ofertę. Tym razem jednak inaczej. Wybór, jakiego miał dokonać Jack, był trudny. Może opuścić Kingsbridge i wszystko, co kocha. Może zostać i stracić swą wolność.

– Mój urzędnik do spraw robót nie może oczywiście być świeckim człowiekiem – Philip kończył wypowiedź takim tonem, jakby wydawał ostateczny wyrok. – Jack musiałby zostać mnichem.

V

W wigilię Jarmarku Wełnianego w Kingsbridge przeor Philip jak zwykle nie kładł się po jutrzni. Tym razem nie czytał i nie medytował, lecz wybrał się

na obchód. Noc, jak to w lecie, była bardzo ciepła, niebo bezchmurne, jasny księżyc. Widział wszystko.

Cały dziedziniec przeznaczono na potrzeby jarmarku, poza klauzurą, gdzie teren był poświęcony. W każdym z rogów, przy murach zewnętrznych, wykopano głębokie i szerokie doły kloaczne, by nie dopuścić do całkowitego zanieczyszczenia terenu. Same zaś latryny osłonięto, by uszanować mniszą skromność. Ustawiono dosłownie setki kramów. Najwięcej było prostych blatów na krzyżakach. Niektóre z nich miały tabliczkę z nazwiskiem właściciela czy dzierżawcy i obrazek informujący o rodzaju towarów, blat na wagę, a także zamykaną skrzynię lub budę na towary. Niektóre kramy wyposażono w daszki i osłony przed deszczem i ludzkimi oczami. Najbardziej wymyślne stragany były po prostu małymi domkami, wyposażonymi w spore pomieszczenia na składy, kilka kantorów, stoły i krzesła dla ważnych klientów, którym kupiec chciał okazać swą gościnność. Philipa bardzo zaskoczyło to, że cieśle wynajęci przez kupców przybyli na tydzień przed targiem i żądali pokazania miejsca, gdzie miały być kramy. Postawienie kramu zajmowało cały tydzień, w tym przycięcie materiału cztery dni, a właściwa budowa – dwa.

Początkowo przeor planował ustawienie kramów w dwa wielkie rzędy, tak jak się to działo w czasie coniedzielnego targu, ale wkrótce przekonał się, że to nie wystarczy. Dwie aleje kramów biegły wzdłuż klasztornego muru od północy, potem zakręcały ku zachodowi aż do domu Philipa, a w nieukończonym jeszcze kościele, w przejściach między filarami, stały kolejne rzędy kramów. Kramarze reprezentowali nie tylko kupców wełnianych: na jarmarku sprzedawano i kupowano wszystko, od razowca po rubiny.

Philip siedł między rzędami kramów oświetlonych księżycem. Wszystkie były przygotowane, dzisiaj nie wolno było już budować. W większości ułożono towary. Klasztor zebrał do tej pory ponad dziesięć funtów w postaci opłat i powinności. Jedyne towary, jakie można było donieść na targ w dniu otwarcia jarmarku, to świeżo przygotowana żywność, chleb i gorące ciasta, a także pieczo-

ne jabłka. Nawet beczki z piwem przytoczono wczoraj.

Kiedy tak sobie spacerował, obserwowało go z pół tuzina półotwartych oczu, z rzadka mamrotano słowa sennych powitań. Kramarze przecież nie mogli zostawić swych cennych towarów niestrzeżonych: większość z nich spała w kramach, bogatsi natomiast zatrudnili do pilnowania sługi.

Nie wiedział jeszcze, ile zarobi, ale spodziewał się powodzenia. Był pewny, że dostanie przewidywane pięćdziesiąt funtów. W ciągu ostatnich kilku miesięcy miał takie chwile, kiedy się obawiał, czy w ogóle ten jarmark dojdzie do skutku. Wojna domowa ciągnęła się bez wyraźnej przewagi którejs z stron: ani Stefan, ani Matylda nie potrafili zdecydowanie przechylić szali na swą stronę, ale licencji nie cofnięto. William Hamleigh próbował różnymi sposobami przeszkodzić, zwrócił się w tej sprawie nawet do szeryfa, ale ten poprosił o upoważnienie od któregoś z rywalizujących monarchów, więc przestano o tym wspominać. Zabronił także swym dzierżawcom sprzedawać wełnę na jarmarku w Kingsbridge, ale wielu z nich i tak wolało sprzedawać swe runo kupcom takim jak Aliena, niż samemu jechać na jarmark. Zakaz ten spowodował zatem, że jeszcze więcej zarobiła. Na koniec William ogłosił, że obniża opłaty i powinności na swoim jarmarku do sum, jakich żądał Philip. To ogłoszenie jednak przyszło za późno i wielcy kupcy i sprzedawcy już poczynili swe plany. Teraz, kiedy na wschodzie niebo jaśniało na znak budzącego się poranka nowego wielkiego dnia, Hamleigh nie mógł już nic zrobić. Sprzedawcy ze swymi towarami byli na miejscu, a wkrótce zaczęły przybywać kupcy. Philip spodziewał się, że William w końcu się przekona, iż jarmark w Kingsbridge nie wpłynie tak źle na jarmark w Shiring, jak hrabia się obawiał. Sprzedaż wełny wzrastała z roku na rok, a towarów starczało na oba jarmarki.

Przeszedł dookoła, aż po narożnik południowo-zachodni, gdzie znajdowały się oba młyny i była sadzawka z rybami. Stał tam chwilę, przyglądając się, jak płynie woda. Jeden z nich wykorzystywano obecnie wyłącznie do folowania, a to dawało mnóstwo pieniędzy. Wdzięczność za to winien był młodemu Jacko-

wi, który został przez Boga wyposażony w niezwykle umysł. Stanie się wkrótce znakomitym nabytkiem klasztoru. Wyglądało na to, że pogodził się z nowicjatem, choć wyraźnie dawał do zrozumienia, że nabożeństwa traktuje jako przeszkodę w budowaniu katedry. Jednakże się uczył. Życie klasztorne miało na niego wpływ uświęcający. Philip uważał, że wobec Jacka Bóg ma pewne własne zamiary. Gdzieś w zakamarku swej duszy pielęgnował nadzieję, że któregoś dnia Jack zajmie jego miejsce jako przeor Kingsbridge.

Jack wstał o świcie i wysliznął się z dormitorium. Jeszcze przed prymarią chciał po raz ostatni sprawdzić plac budowy. Poranne powietrze przesycił chłód i jasność, przypominało czystą wodę ze źródła. Dzień nastanie gorący i słoneczny, dobry do handlu, dobry dla klasztoru.

Obszedł dookoła mury katedry, upewniając się, że wszystkie narzędzia i zaczęte prace są bezpiecznie pozamykane w warsztatach. Tom kazał zbudować przenośne płotki wokół poukładanych materiałów budowlanych, drewna, kamieni i wapna, by ustrzec je przed przypadkowym uszkodzeniem przez kogoś pijanego lub po prostu nieuwważnego. Nikt nie chciał żadnych zuchwałych popisów śmiałków, którzy mogliby się wspinać na ściany, więc wszystkie drabiny zostały pochowane, kręte schody wewnętrzne w ścianach zamknięto tymczasowymi barierami. Niektórzy mistrzowie spośród pracujących na budowie rzemieślników zobowiązali się obchodzić plac w ciągu dnia, by nie dopuścić do żadnych szkód.

Jackowi udawało się w taki czy inny sposób unikać wielu nabożeństw. Na budowie zawsze było co robić. Nie dzielił z matką nienawiści do religii chrześcijańskiej, ale był wobec niej raczej obojętny. Nie pałał namiętnością do wiary, ale podporządkowywał się jej nakazom, jeśli mu to odpowiadało. Starał się być na przynajmniej jednym nabożeństwie dziennie, zwykle na tym, na którym można się było spodziewać przeora Philipa lub mistrza nowicjuszy – ci dwaj

mieli na niego oko i zauważali jego obecność lub jej brak. Nie potrafił jednak wytrzymać na wszystkich nabożeństwach. Bycie mnichem okazywało się najbardziej dziwnym i najbardziej spaczonym rodzajem życia, jakie można sobie wyobrazić. Bracia spędzali połowę swoich dni na dobrowolnym cierpieniu niewygód, których z łatwością mogli uniknąć, a drugą połowę tracili na mruczenie pozbawionych znaczenia murum-burum w pustym kościele, i to codziennie. Rozmyślnie wyrzekli się wszystkiego, co dobre: dziewcząt, zabaw, ucztowania i życia rodzinnego. Jednakże, jak zauważył Jack, najszcześliwsi spośród nich znaleźli sobie jakieś zajęcie, które dawało im głęboką satysfakcję: ilustrowanie manuskryptów, pisanie dzieł historycznych, gotowanie, studia filozoficzne czy też, jak w wypadku przeora, zmienianie Kingsbridge ze śpiącej wioski w pełne życia miasto katedralne.

Jack nie lubił Philipa, ale lubił z nim pracować. Nie miał wobec sług Boga więcej ciepłych uczuć, niż przejawiała jego matka. Pobożność Philipa krępowała go, nie podobała mu się jego prostoduszność i brakowało mu zaufania do upatrywania woli bożej we wszystkim, z czym on, Philip, ma do czynienia. Niemniej warto było z nim współpracować. Polecenia wydawał jasne, pozwalał Jackowi na podejmowanie własnych decyzji i nigdy swoimi błędami nie obciążał podwładnych.

Ponieważ był nowicjuszem dopiero trzy miesiące, więc przez następne dziewięć nikt go nie będzie nakłaniał do składania ślubów. Te śluby były trzy i dotyczyły ubóstwa, celibatu i posłuszeństwa. Ślub ubóstwa nie liczył się wcale. Mnisi nie mieli żadnego osobistego majątku ani żadnych własnych pieniędzy, żyli jednak bardziej jak panowie niż jak chłopci: mieli dobre jedzenie, ciepłe odzienie i kamienne budynki, w których mieszkali. Celibat to nie problem, myślał Jack gorzko. Udało mu się mieć trochę satysfakcji z osobistego powiadomienia Alieny, że wstępuje do klasztoru. Wyglądała na wstrząśniętą i winną. Teraz, kiedy poczuł pewne rozdrażnienie wynikające z braku żeńskiego towarzystwa, myślał o tym, jak go potraktowała Aliena; o ukradkowych spotkaniach

w lesie, zimowych wieczorach, o tych dwóch razach, kiedy ją pocałował, i o tym jak nagle zmieniała się w zimną i twardą skałę. Rozpamiętywanie tego wszystkiego powodowało, że nie chciał mieć nigdy więcej do czynienia z kobietami. Jednakże ślub posłuszeństwa to było coś, czego dotrzymanie mogło okazać się nader trudne, o tym już się przekonał. Od Philipa przyjmował polecenia z radością, bo ten mówił jasno i wiedział, czego chce, był rozumny. Posłuszeństwo wobec Remigiusa, który był głupawy, czy wobec nadętego zakrystiana – nie, to było ponad siły.

Mimo wszystko rozważał złożenie ślubów. Nie musiałyby ich dotrzymywać. Jedyne, na czym mu zależało, to katedra. Problemy zaopatrzenia, konstruowania i kierowania pochłaniały go całkowicie. Jednego dnia pomagał Tomowi wynaleźć metodę sprawdzania, czy liczba kamieni przybywających na plac jest taka sama, jak kamieni opuszczających kamieniołom. Zadanie okazało się skomplikowane, bo podróż ładunku trwała dwa do czterech dni i zwyczajny obrachunek nie wystarczał. Większość spośród wszystkich wyzwań, jakie napotykali budowniczowie, stanowiły takie problemy, jak sprawa podnoszenia całych ton kamieni na wierzchołki ścian za pomocą doraźnie budowanych urządzeń, mocowanych do chwiejnego rusztowania. Tom omawiał te problemy z Jackiem jak z równym. Wydawało się, że wybaczył Jackowi jego gniewne słowa, oskarżające go, że nic dla niego nie zrobił. Poza tym budowniczy postępował tak, jakby Jack nie przyznał się do podpalenia starej katedry. Pracowali razem zgodnie, współpraca układała się serdecznie, upływały dni. Nawet podczas ciągnących się nabożeństw umysł Jacka zajmowały zawile sprawy dotyczące budowy i planów. Jego wiedza rosła szybko. Zamiast spędzać czas na rzeźbieniu, uczył się projektowania katedr. Dla kogoś, kto chciał w przyszłości zostać mistrzem budowniczym, nie było lepszej szkoły. Właśnie wskutek tego Jack ziewał na jutrzniach.

Rąbek słońca ukazał się od wschodu ponad klasztornym murem. Na placu budowy wszystko było w porządku. Kramarze, którzy spędzili noc w swych

kramach, zaczęli rozwijać toboły i otwierać kufry, wykładali na lady towary. Klienci pojawią się niedługo. Piekarz minął Jacka, niósł pod pachą koszyk pełen świeżych bochenków. Jackowi napłynęła ślinka do ust. Odwrócił się i skierował kroki do klasztoru, a konkretnie do refektarza, gdzie wkrótce podadzą śniadanie.

Pierwszymi klientami okazały się rodziny kramarzy i mieszkańcy Kingsbridge, wszyscy ogromnie zaciekawieni, jak też ten pierwszy Jarmark Wełniany w Kingsbridge wygląda, lecz niezbyt skłonni do zakupów. Zapobiegliwi wypełniali brzuch razowcem i owsianką, zanim poszli na jarmark, żeby nie mieć oskomy na ostro przyprawione i bogato barwione przysmaki na straganach z jadem. Dzieci pałętały się między kramami, spoglądając szeroko otwartymi oczyma, kompletnie oszołomione ogromną ilością budzących pożądanie rzeczy. Pełne optymizmu wcześniej wstające dziwki o wymalowanych na czerwono ustach i obute w czerwone sandały włóczyły się tu i tam, uśmiechając się do mężczyzn w średnim wieku, lecz o tej godzinie jeszcze brakowało chętnych.

Aliena przyglądała się temu wszystkiemu ze swego kramu, jednego z największych. W ciągu ostatnich paru tygodni odebrała dostawę całej klasztornej wełny, tej wełny, za którą już zapłaciła sto siedem funtów w srebrze. Oprócz tego kupowała jak zawsze od chłopów, a w tym roku nabyła jeszcze więcej niż zwykle, bo William Hamleigh zabronił swym dzierżawcom sprzedawać na jarmarku w Kingsbridge, a oni na to zareagowali sprzedażą wełny wędrownym handlarzom. Zrobiła największy interes, bo jej skład mieścił się w samym Kingsbridge. Poszło jej tak dobrze, że wydała na zakupy wszystkie pieniądze i pożyczyla czterdzieści funtów od Żyda Malachiego. Teraz w składzie miała sto sześćdziesiąt worków wełny, produkt czterdziestu tysięcy owiec, co kosztowało ją ponad dwieście funtów, ale miała ten towar sprzedać za co najmniej trzysta, co stanowiło sumę wystarczającą na opłacenie dobrego murarza przez ponad wiek. Sama skala jej interesu zdumiewała, zdumiewała nawet ją samą, kiedy zaczynała myśleć o liczbach.

Nabywców nie spodziewała się wcześniej jak w południe. Powinno ich być pięciu lub sześciu. Prawdopodobnie będą się znali, a ona na pewno zna ich z lat poprzednich. Poczęstuje każdego kubkiem wina, przysiądzie przy stole i pogawędzą. Potem pokaże im wełnę. Każdy z nich poprosi o otwarcie worka czy dwu, oczywiście nigdy z wierzchu! Każdy wsadzi głęboko rękę do worka i wyjmie garść kłaków. Będzie rozdzielać na pojedyncze włoski, by określić miękkość, powącha. W końcu zaproponuje, że kupi całość po śmiesznie niskiej cenie, a Aliena odmówi. Poda mu swoją cenę wywoławczą, a on potrząśnie głową. Wypiją po następnym kubku wina.

Przez taki sam rytuał Aliena przejdzie z każdym kupcem. Każdemu, który będzie tu około południa, poda obiad. Jeden z nich zaproponuje, że weźmie sporo za cenę niewiele wyższą od tej, którą ona zapłaciła. Odpowie niewielkim obniżeniem ceny. Wczesnym popołudniem zaczną zamykać transakcje. Pierwsza będzie po najniższej cenie. Inni poproszą, by policzyła im podobnie, ale odmówi. W miarę upływu czasu ceny będą wzrastać. Jeśli wzrosną za szybko, tok interesu się zwolni... Jeśli zażąda ceny niższej, niż sami spodziewali się płacić, pozna to po pośpiechu, z jakim będą chcieli dobić targu. Będą zamykać transakcje po kolei, a ich słudzy zaczną ładować wielkie worki wełny na wozy o ogromnych drewnianych, tarczowych kołach, podczas gdy Aliena będzie wazyć funtowe torby srebrnych pensów lub guldenów.

Niewątpliwie dzisiaj zgarnie tak dużo pieniędzy, jak jeszcze nigdy dotąd. Miała dwa razy tyle do sprzedania, a ceny wełny stały wysoko. Planowała kupić Philipową wełnę na pniu ponownie i pragnęła wybudować sobie kamienny dom, wyposażony w przestronne komory do składowania strzyży, elegancką i wygodną wielką komnatę i ładną komnatkę na górze, swoją sypialnię. Przyszłość miała zabezpieczoną i wierzyła, że uda się jej zaopatrywać Richarda dopóty, dopóki będzie tego potrzebował. Wszystko układało się doskonale.

Minęły niemal cztery lata, od kiedy Ellen wróciła do Kingsbridge, a był to dla Toma najlepszy okres w całym jego życiu.

Ostry ból po śmierci Agnes stępsiał. Wciąż myślał o niej, ale już nie czuł tego krępującego wzruszenia bez żadnego widocznego powodu. W dalszym ciągu prowadził z nią wyimaginowane rozmowy, w których opowiadał jej o dzieciach, o przeorze Philipie, o katedrze, lecz te rozmowy zdarzały coraz rzadziej. Słodka, choć z odcieniem goryczy, pamięć o Agnes nie tłumiała miłości do Ellen. Umiał żyć terażniejszością. Patrzenie na Ellen, dotykanie jej, rozmawianie z nią i spanie stanowiły codzienną radość.

W dniu bójk i Alfreda i Jacka został głęboko zraniony słowami tego drugiego, że nigdy się o niego nie troszczył. To oskarżenie sprawiło, że jakoś nie myślał o podpaleniu starej katedry. Przez wiele tygodni cierpiał ogromnie, ale wreszcie doszedł do wniosku, że Jack się mylił. Tom, według swego rozeznania, robił wszystko, co mógł, i nikt nie potrafiłby zrobić lepiej w tych warunkach. Doszedłszy do tego wniosku, przestał się zamartwiać.

Lęk o to, że znowu znajdzie się na gościńcu bez pracy, bez grosza i nie mogąc wyżywić rodziny, odpływał coraz dalej. Miał tęgi kuferek pełny srebrnych pensów. Zakopał go pod słomą w izbie. Do tej pory przeszywał do dreszcz, gdy wspominał ową zimną noc, kiedy Agnes dawała życie Jonathanowi, oddając swoje. A to się przecież nie powtórzy.

Budowa katedry w Kingsbridge cieszyła go najbardziej ze wszystkiego. Odpowiadał zarówno za projekt, jak i za jego wykonanie. Nikt się do niego nie wtrącał, ale i nie było nikogo innego, kogo można byłoby winić, gdyby coś się nie udawało. Patrząc na potężniejące mury, narastający rytm łuków, wdzięczne ornamenty i drobne rzeźby, coraz częściej spoglądał wokół i mówił sobie: „Ja to wszystko zrobiłem i zrobiłem to dobrze”.

Czasem zastanawiał się, czemu on i Ellen nie mają ze sobą dziecka. Oboje dowiedli swej płodności uprzednio, a przecież nie brakowało możliwości, by zaszła w ciążę: kochali się niemal co noc, nawet teraz, po upływie tych czterech lat. Jednakże nie było to dla niego znaczącą sprawą, bo jego oczkiem w głowie był Jonathan.

Ponieważ uważał, że najwięcej radości sprawi malcowi pójście na jarmark, więc prowadził się z nim przez cały ranek, kiedy zaczynały się gromadzić tłumy. Chłopiec, odziany w miniaturę habitu, rzeczywiście stanowił atrakcję. Ostatnio domagał się, by ogolono mu głowę, a Philip nie umiał się temu sprzeciwić, gdyż był z Jonathana równie dumny jak Tom, czego wynikiem był wygląd chłopca, który przypominał mnicha-karzelka. Na jarmarku popisywało się także kilkoro prawdziwych karłów, pokazując cyrkowe sztuczki i żebrząc. Jonathan był zafascynowany. Tom musiał pośpiesznie wyciągać malucha z tłumu otaczającego karła, który publicznie prezentował swój penis normalnych rozmiarów. Pojawili się także kuglarze, akrobaci i muzykanci, dający przedstawienia, kończące się zawsze obnoszeniem kapelusza. Przybyli wróże i szarlatani, i dziwki szukające zarobku. Odbywały się próby siły, zawody zapaśnicze i gry losowe. Ludzie poubierali się w najlepsze, najbardziej barwne stroje, a ci, których na to było stać, skropili się pachnidłami i natłuszcili włosy. Zdawało się, że każdy ma pieniądze na stracenie, a wokół rozlegał się brzęk srebra.

Szczucie niedźwiedzia miało się już zaczynać. Jonathan, który nigdy nie widział niedźwiedzia, wpatrywał się z zaciekawioną Siwobrazowa sierść zwierzaka w kilku miejscach pokryta była bliznami. Ciężki łańcuch opinający niedźwiedzia przymocowano do głęboko wbitego w ziemię pala. Zwierzę biegło w kółko, obrzucając ludzi gniewnym spojrzeniem. Tom ucieszył się chytrym błyskiem w oczach niedźwiedzia. Gdyby lubił hazard, postawiłby na misia.

Z zaryglowanej klatki znajdującej się w pobliżu dobiegało zajadłe szczekanie. Psy wyczuły zapach swego wroga, który za każdym okrążeniem zatrzymywał się na wysokości klatki, rzucał na nią okiem i warczał.

Niedźwiednik, właściciel wszystkich zwierząt biorących udział w pokazie, stał przy klatce przyjmując zakłady. Jonathan niecierpliwił się i Tom już miał odejść, kiedy wreszcie mężczyzna wypuścił psy. Potężny niedźwiedź stanął na tylnych łapach i zaryczał. Mężczyzna wrzasnął i psy ruszyły.

Pięć chartów zerwało się jak na sprężynie. W rozchylonych pyskach bieleły

się ostre, małe zęby. Błyskawicznie rzuciły się na wroga. Niedźwiedź oganiał się od nich machnięciami potężnych łap. Trafił jednego, pozostałe się cofnęły.

Ludzie stłoczyli się. Tom popatrzył na Jonathana: stał na samym przedzie, ale poza zasięgiem morderczych łap zwierza. Niedźwiedź, krążąc, cofał się, aby nie zostać zaatakowanym z tyłu. Psy także okazały się sprytnie. Już nie rzucały się chaotycznie, ale biegały wkoło, jeden za drugim.

Z dzikim szczekaniem nagle zaatakował pierwszy z chartów. Niedźwiedź obrócił się i machnął łapą. Pies umknął, a pozostałe uderzyły z czterech stron. Zwierzak okręcał się, starał się trafić je łapami, lecz trzem psom udało się zatopić kły w mięśniach. Tłum wznosił okrzyki. Niedźwiedź zaryczał, stanął na tylnych łapach i strząsnął charty z siebie.

Spróbowały ponownie, ale niedźwiedź poradził sobie. Jeden chart się wycofał, drugiego trafił łapą. Tłum gapiów krzyknął na cześć niedźwiedzia, a gwizdami potraktował ucieczkę psa.

Charty krążyły ostrożnie, czając się i niepokojąc przeciwnika. Wtem jeden wyrwał do przodu, prześliznął się pod łapą niedźwiedzia i skoczył do gardła. Tłum oszalał. Pies wbił zęby w masywną szyję. Przystąpiły pozostałe. Niedźwiedź zaryczał, waląc łapami, potem przewrócił się i potoczył. Przez chwilę widać było tylko kłębiące się futra, aż nagle trzy psy odskoczyły i niedźwiedź ustawił się mocno na czterech łapach. Czwarty chart leżał zmiażdżony.

Napięcie tłumu rosło. Niedźwiedź pokonał dwa charty, lecz krew mu ciekła z ran na grzbiecie, szyi i tylnych łapach. Wydawał się przestraszony. Powietrze wypełniał zapach krwi i potu. Psy przestały kłapać i bezgłośnie okrążyły wroga. One także najadły się strachu, ale poczuły krew i chciały zabić.

Zaatakowały znowu. Rzucały się do przodu po kolei, potem uciekały, utrzymując bestię w ciągłym ruchu. Za każdym razem jednak podchodziły odrobinę bliżej, a pazury niedźwiedzia mniej chybiały. Obserwatorzy domyślali się, co będzie dalej. Rosło podniecenie.

Jonathan stał trochę przed Tomem, który odwrócił od niego wzrok w mo-

mencie, gdy pazury bestii zawadziły obok jednego z psów, podczas gdy drugi dobrał się do jej brzucha. Niedźwiedź wydał odgłos podobny do wysokiego jęku, pies uciekł. Dосkoczył następny, wycofał się, i ten, który uciekł, powtórzył swą akcję, tym razem sięgając głębiej i mocno raniąc podbrzusze. Niedźwiedź stanął na tylnych łapach, zaryczał przeraźliwie i znowu opadł na cztery. Przez chwilę Tomowi wydawało się, że to już koniec. Mylił się jednak. Kiedy pies ponownie zaatakował, niedźwiedź udał, że chce go trafić, a potem odwrócił łeb i dojrzał drugiego. Zaskakująco szybko, jednym ciosem, rzucił psa w powietrze. Tłum zaryczał z zachwytem. Chart klapnął niczym kupa mięsa. Tom przez chwilę patrzył na niego. Żył, ale wydawał się niezdolny do ruchu. Niedźwiedź zostawił go, bo był poza zasięgiem jego łap.

Pozostały tylko dwa psy. Oba nacierały kilkakrotnie, aż w końcu zaczęły krążyć coraz szybciej i szybciej. Bestia obracała się tak i siak. Wyczerpana i krwawiąca, stopniowo słabła. Psy, krążąc, zmniejszały odległość. Ziemia pod łapami niedźwiedzia zmieniała się w krwiste błoto. W pewnym momencie psy ruszyły do ataku jednocześnie. Jeden skoczył do gardła, a drugi do brzucha. Ostatnim rozpaczliwym machnięciem niedźwiedź zepchnął psa wiszącego u jego szyi. Buchnęła fontanna krwi. Tłum podniósł wrzask. Tom pomyślał, iż to pies zabił niedźwiedzia, ale okazało się, że chart z rozdartym gardłem padł na ziemię i to z niego sikała ta krew. W tym czasie drugi pies rozpruł brzuch bestii i wnętrzności wylały się na ziemię. Niedźwiedź machnął łapą ku psu, ale ten uniknął ciosu i zaczął szarpać walające się jelita. Wydawało się, że osłabione zwierzę za chwilę runie. Wrzask gapiów zamienił się w ryk. Niedźwiedź zebrał ostatki sił i jeszcze raz uderzył.

Trafił. Pies odskoczył w bok z rozdartym i krwawiącym grzbietem, lecz szybko ponowił atak. Szarpał wnętrzności dopóty, dopóki niedźwiedź nie padł martwy.

Natychmiast podszedł niedźwiedźnik i wziął zwycięskiego psa za obrożę. Rzeźnik z Kingsbridge i jego czeladnik zabrali się do niedźwiedzia. Ci, którzy

wygrali zakłady, domagali się wypłat. Każdy chciał poklepać albo pogłaskać zwycięzcę. Tom rozejrzał się za Jonathanem, ale chłopca nie było w zasięgu wzroku.

Przecież przed chwilą tu stał. Jak mógł zniknąć? To się musiało zdarzyć, kiedy napięcie osiągnęło szczyt, a Tom skupił się na pokazie. Teraz pluł sobie w brodę. Przepatrywał tłum. Przewyższał wszystkich o głowę, a Jonathana łatwo było zauważyć, bo wyróżniał się tym swoim habitem i ogoloną główką. Ale nigdzie nie było go widać.

Rozglądając się, Tom rzucił okiem wysoko, na rusztowanie, i ku swemu przerażeniu zobaczył tam maleńką postać w habicie.

Wpadł w panikę. Chciał wrzasnąć: „Nie ruszaj się, bo spadniesz!”, ale jego krzyk rozplynąłby się w jarmarcznym zgielku. Przepychał się przez tłum w stronę placu budowy. Jonathan biegał po rusztowaniu, nieświadomy niebezpieczeństwa. Przecież może się pośliznąć, spaść, lecieć osiemdziesiąt stóp w dół po swą śmierć...

Tom czuł, jak strach dławi go w gardle.

Jak Jonathan się tam dostał? Drabin nie było, Tom sam tego doglądnął, a Jack sprawdzał raz jeszcze. Dziecko musiało się wspiąć po schodkowym zakończeniu ściany. Dojście co prawda zastawiono drewnem, ale Jonathan mógł się przedostać.

Tom doszedł do muru i popatrzył w górę. Jonathan bawił się radośnie osiemdziesiąt stóp wyżej. Strach ścisnął serce Toma zimnymi palcami. Wrzasnął, najgłośniej jak umiał:

– Jonathan!

Ludzie wokół, zaskoczeni tym krzykiem, zwrócili się w stronę Toma. Kiedy zorientowali się, co się stało, zaczęli wskazywać dziecko sąsiadom. Zebrał się mały tłumek gapiów.

Jonathan nie dosłyszał. Tom zrobił trąbkę z dłoni i krzyknął znowu:

– Jonathan! Jonathan!

Tym razem chłopiec popatrzył w dół, dostrzegł Toma i pomachał mu rączką.

– Zejdź do mnie! – zawołał Tom.

Wydawało się, że Jonathan ma zamiar wykonać polecenie. Popatrzył na strome schody, zawahał się i krzyknął:

– Nie mogę!

Tom uświadomił sobie, że będzie musiał wejść po niego na górę.

– Zostań tam, gdzie jesteś, dopóki nie przyjdę po ciebie! – wrzasnął. Odepchnął drewniany stos z niższych stopni i wlaźł na mur. – Ty głuptasie – rzekł, gdy już tulił chłopca w objęciach.

Tom spojrział w dół ponownie. Zobaczył chyba setkę zwróconych ku niemu twarzy.

– W porządku, schodzimy. – Postawił chłopca na murze.

– Będę szedł za tobą, więc się nie przejmuj.

Jonathan nie był przekonany.

– Boję się – szepnął. Podniósł rączki, a kiedy Tom się zawahał, wybuchnął płaczem.

– Nic nie szkodzi, poniosę cię. – Tom ukląkł przy Jonathanie, podniósł go i wstał.

Dzieciak uczeplił się mocno.

Tom stąpał uważnie. O siebie się nie bał, ale z dzieckiem na rękach czuł się przerażony. Kiedy doszedł do poziomu galerii, a mur poszerzył się do trzech stóp, stanął, by uspokoić rozkołataną serce.

Popatrzył na okolicę: teren klasztorny, Kingsbridge, pola leżące dalej... Zobaczył coś, co go zaskoczyło i zaniepokoiło. Na drodze wiodącej do Kingsbridge, jakieś pół mili dalej, przesuwała się chmura pyłu. Po chwili uświadomił sobie, że patrzy na sporą grupę jeźdźców zbliżających się do miasta szybkim kłusem. Wpatrzył się w dal, próbując rozpoznać, kim są. Z początku myślał, że to muszą być bardzo bogaci kupcy, a może nawet grupa kupców, otoczona świtą.

Było ich jednak zbyt wielu i jakoś nie mieli wyglądu ludzi zajmujących się handlem... Usiłował dostrzec, co mu przeszkadza, by jeźdźców uznać za kupców. Kiedy się zbliżyli trochę, zauważył, że niektórzy jadą na koniach bojowych, większość ma hełmy, a wszyscy są uzbrojeni.

I wtedy się przestraszył.

– Jezu Chryste, kim są ci ludzie? – powiedział głośno.

– Nie mów „Chryste” – napomniął go Jonathan.

Kimkolwiek byli, ich przybycie mogło oznaczać kłopoty.

Pośpieszył w dół. Tłum wznosił okrzyki na ich cześć, kiedy zeskoczyli na ziemię. Nie zwrócił na nie uwagi. Gdzie Ellen i dzieci? Rozejrzał się. Tu ich nie było.

Jonathan spróbował wyrwać się z obejmujących go ramion. Tom objął go ciasniej. Skoro już miał w ramionach swe najmłodsze dziecko, musi znaleźć dla niego jakieś bezpieczne miejsce. Potem poszuka reszty. Przepchnął się przez ciżbę ku wejściu prowadzącemu do krużganku. Było zamknięte od środka. Zamłotał.

– Otworzyć! Otworzyć! – wołał.

Cisza.

Nawet nie miał pewności, czy tam ktoś jest. Nie było czasu na rozważanie tego. Cofnął się o krok, postawił Jonathana na ziemi, podniósł ciężko obutą nogę i kopnął w drzwi. Drewno wokół zamka popękało. Kopnął ponownie, jeszcze mocniej. Drzwi puściły, wejście stanęło otworem. Po drugiej stronie zjawił się jakiś mnich, wydawał się zdumiony.

– Trzymaj go tutaj – powiedział do starego mnicha. – Będą kłopoty.

Zakonnik tępo skinął głową i wziął Jonathana za rączkę.

Tom zamknął drzwi.

Teraz musiał znaleźć resztę rodziny. Nie widział ani jednej znajomej twarzy. Wspiął się na pustą beczkę, by mieć lepszy widok. Południe, jarmark w pełni. Ludzie przesuwali się jak powolna rzeka wzdłuż przejść między kra-

mami, przy stoiskach z żywnością kotłowało się. Przepatrywał tłum, ale nigdzie nie widział nikogo z rodziny. Był zdesperowany. Napastnicy docierali już prawie do mostu. Konie z kłusa przeszły w galop. Jeźdźcy byli zbrojni, mieli ze sobą pochodnie. Ogarnęła go zgroza. Szykował się okrutny napad.

Nagle spostrzegł Jacka tuż obok siebie. Chłopak patrzył na niego z wyrazem rozbawienia w oczach.

– Dlaczego stoisz na beczce? – spytał.

– Nadciągają kłopoty – mówił niecierpliwie Tom. – Gdzie jest twoja matka?

– Przy kramie Alieny. Jakie kłopoty? O co chodzi?

– Będzie źle. Gdzie Alfred i Martha?

– Martha z matką. Alfred przygląda się walkom kogutów. Co jest?

– Sam zobacz. – Tom podał mu rękę i podciągnął go w górę.

Jack stanął niepewnie na brzegu beczki. Jeźdźcy z tętentem pokonywali most i wjeżdżali do Kingsbridge.

– Chryste Panie, kto to jest? – przeraził się Jack.

Tom wpatrywał się w przywódcę na bojowym koniu. Rozpoznał płowe włosy i mocną budowę.

– To William Hamleigh!

Kiedy konni dotarli do domów, zaczęli podpalać strzechy.

– Podpalają miasto! – wybuchnął z oburzeniem Jack.

– Będzie gorzej, niż się spodziewałem – rzekł Tom. – Złaź.

Zeskoczyli obaj.

– Zabiorę matkę i Marthę – powiedział Jack.

– Do krużganków – naglił Tom. – To będzie jedyne bezpieczne miejsce. Jeśli mnisi będą się sprzeciwiać, powiedz im, żeby się pocałowali w dupę.

– A co, jeśli zamkną drzwi na skobel?

– Po prostu go wykopałem. Szybko, przywiode Alfreda. Idź!

Jack ruszył pośpiesznie. Tom skierował się ku arenie walk kogutów, szorst-

ko rozpychając ludzi. Kilku mężczyzn protestowało przeciw takiemu zachowaniu, ale ich zignorował, a oni przestawali wymyślać na widok jego okazałej postaci i stanowczości malującej się na twarzy. Niewiele czasu minęło, gdy śwąd palących się domostw dotarł na teren klasztornej. Tom go wyczuł i zauważył inne osoby, które ze zdziwieniem zaczynały pociągać nosami. Pozostało niewiele czasu do wybuchu paniki.

Arena walk kogutów mieściła się w pobliżu bramy klasztornej. Wokół niej kłębił się hałaśliwy, spory tłum. Tom przepychał się w poszukiwaniu syna. Dwa koguty uderzały się nawzajem dziobami i szarpały pazurami. Krew i pióra były wszędzie. Alfred stał z przodu, z napięciem obserwował ptaki i wrzeszczał przeraźliwie, zachęcając do walki swojego wybrańca. Tom utorował sobie przejście wśród ściśniętych ludzi i pochwycił syna za ramię.

– Chodź! – krzyknął.

– Postawiłem szóstkę na tego czarnego! – odkrzyknął Alfred.

– Musimy się stąd wynosić! – wrzasnął Tom. – Czujesz pożar?

Ci co usłyszeli słowo „pożar” i rozejrzeli się, popatrzyli zadziwieni na Toma. Śwąd nadciągnął znowu, poczuli go, Alfred też.

– Co to jest?

– Miasto się pali!

I nagle wszyscy naraz chcieli się oddalić. Ludzie pierzchali we wszystkich kierunkach, rozpychając się wzajemnie. Na arenie czarny zabił brązowego, ale nikogo to już nie obchodziło. Alfred ruszył, lecz złą drogą. Tom go pochwycił.

– Chodź do krużganków! To jedyne bezpieczne miejsce.

Dym zaczął napływać kłęбами, a w tłumie szerzył się strach. Wszyscy byli podnieceni, nikt nie wiedział, co robić. Ludzie chcieli wydostać się za furkę. Tom z Alfredem musieli przedzierać się pod prąd. A potem nagle coś się zmieniło i każdy przepychał się w inną stronę. Tom się rozejrzał, by zobaczyć, co się stało. Ujrzał pierwszego jeźdźca.

Konni stanowili przerażający widok. Ich wielkie rumaki, przerażone niemal

równie mocno jak ludzie, szarżowały, w dzikim strachu tratując stojących z lewa, prawa i w środku. Jeźdźcy w hełmach bili maczugami i pochodniami, powalali mężczyzn, kobiety i dzieci, podpalali kramy, ubrania i włosy na głowach uciekających. Wszyscy krzyčeli i wyli. Wjeżdżali następni, a pod kopytami ginęli coraz to nowi ludzie. Tom wykrzyknął prosto w ucho Alfreda:

– Pędź do kruzganków, ja muszę się upewnić co do innych! Biegnij! – Pochnął go. Alfred ruszył.

Tom skierował się ku kramowi Alieny. Niemal natychmiast potknął się o kogoś, kto został powalony. Upadł. Klnąc, podnosił się na kolana, ale zanim zdołał się wyprostować, dojrzał konia bojowego pędzącego w jego stronę. Zwierzę miało położone uszy, chrapy rozdęte. Widział nawet białka przerażających oczu. Nad końską głową zobaczył Williama Hamleigha. Przez głowę przemknęła mu myśl, że byłoby nader miło kiedyś objąć Ellen i... Wtedy właśnie masywne kopyto trafiło dokładnie w środek czoła Toma. Poraził go przeraźliwy ból, jakby czaszka nagle się otwarła. Cały świat ogarnęła ciemność.

Kiedy Aliena poczuła dym, pomyślała, że to wyziewy dań, które właśnie podawała.

Trzech kupców flamandzkich siedziało przy stole na świeżym powietrzu. Ci korpulentni czarnobrodzi mężczyźni mówili po angielsku z ciężkim germańskim akcentem, a ubrani byli w lekkie, cieniutkie kosztowne szaty. Wszystko szło jak najlepiej. Spodziewała się, że wkrótce pierwsze transakcje zostaną zawarte, postanowiła więc poczęstować nabywców obiadem, by mieli czas się zaniepokoić. Niemniej ucieszy się, gdy ta potężna fortuna w wełnie będzie już należała do kogoś innego. Przed kupcami położyła tacę z pieczonymi w miodzie wieprzowymi kotletami. Rzuciła na nie okiem: mięso było przyrumienione, krawędzie złociły się i brązowały. Nalała jeszcze wina. Jeden z nabywców pociągnął nosem, potem wszyscy rozejrzeli się z niepokojem. Aliena nagle złękła

się. Pożar to koszmar dla każdego kupca wełny, śni się po nocach. Popatrzyła na Ellen i Marthę, pomagające jej przy podawaniu do stołu.

– Czujecie dym? – spytała.

Zanim zdążyły odpowiedzieć, pojawił się Jack. Aliena nie mogła przywyknąć do jego widoku w habicie i z wygoloną łysiną na czubku głowy, błyskającą pomiędzy ryżymi włosami. Na spoconej twarzy malowało się podniecenie. Zapragnęła nagle zarzucić mu ręce na szyję i przytulić się całym ciałem, tak jak kiedyś... Chciała scałować mu z czoła tego marsa. Wciąż oblewała się rumieńcem wstydu na każde wspomnienie tego wydarzenia.

– Są kłopoty! – krzyknął ponagląco. – Wszyscy musimy szukać schronienia w krużgankach.

Popatrzyła na niego.

– Co się dzieje? Pożar?

– To hrabia William ze swoimi ludźmi!

Nagle ogarnął ją śmiertelny chłód. William. Znowu.

– Podłożyli ogień w mieście, Tom i Alfred idą do krużganków, chodźcie za mną, szybko, no, proszę...

Ellen, nie oglądając się na nic, rzuciła miskę z zieleniną, którą miała zanieść do stołu.

– Dobrze – rzekła. Złapała Marthę za rękę. – Chodźmy.

Aliena rzuciła krótkie, pełne paniki spojrzenie w kierunku składu. Miała tam wełnę wartą setki funtów, które musiała uchronić przed ogniem. Ale jak? Złapała wzrok Jacka. Patrzył na nią wyczekująco.

– Idź. Ja muszę zadbać o mój kram – powiedziała do niego.

– No, chodź, Jack! – ponaglała Ellen.

– Za chwilę – odrzekł i zwrócił się ku Alienie.

Aliena dostrzegła, że Ellen się waha. Widać było, że nie wie, czy uciekać z Marthą, czy czekać na Jacka.

– Jack! Jack! – zawołała Ellen jeszcze raz.

– Mamo, zabierz Marthę!

– W porządku! Ale, proszę, śpiesz się! – Wyszły obie.

– Miasto jest w ogniu. Krużganki będą bezpieczne, bo są z kamienia. No, chodź ze mną, szybko! – wykrzyknął Jack do Alieny.

Aliena słyszała wrzaski i jęki dobiegające od bramy klasztornej. Dym już wciskał się wszędzie. Rozejrzała się dookoła, próbując zorientować się, co się dzieje. Ze strachu żołądek podchodził jej do gardła. Wszystko, co wypracowała przez sześć lat, leżało teraz poukładane w workach w składzie.

– Aliena, chodź do krużganków! Tam będziemy bezpieczni! – przynaglał Jack.

– Nie mogę! Moja wełna!

– Do diabła z twoją wełną!

– To wszystko, co mam!

– Na nic ci się nie zda, gdy zginiesz!

– Łatwo ci mówić, ale ja te wszystkie lata straciłam na osiągnięcie...

– Aliena! Proszę!!!

Nagle ludzie tuż za kramem jęli krzyczeć w śmiertelnym przerażeniu. Jeźdźcy wpadli na dziedziniec klasztorny i szarżowali przez tłum. Nie zwracając uwagi na tratowanych, podpalali kramy. Porażeni strachem ludzie deptali się nawzajem w rozpaczliwych próbach ucieczki od groźących zewsząd kopyt i pochodni. Pod naporem tłumy kram Alieny zawalił się. Ludzie wpadli na stoły, powstał straszliwy zamęt. Na kram szarżowali dwaj konni. Jeden wymachiwał maczugą we wszystkie strony, drugi pochodnią podpalał, co się dało. Jack wysunął się przed Alienę. Maczuga już spadała na jej głowę. Wyciągnął ramię, by ją osłonić. Dostał w przegub. Odczuła uderzenie, ale to Jack zebrał jego siłę. Kiedy Aliena spojrzała w górę, ujrzała twarz drugiego jeźdźca.

Był nim William Hamleigh.

Krzyknęła przeraźliwie.

William popatrzył na nią przez chwilę, pochodnia gorzała mu w rękę,

triumf błyszczał w oczach. Kopnięciem zmusił konia, by ruszył naprzód. Aliena musiała się cofnąć.

– Nie! – wrzasnęła.

Walczyła, by wydostać się spod miażdżącego nacisku tłumu. Biła pięściami, kopała na wszystkie strony, nawet Jacka. Wreszcie wyzwoliła się i rzuciła ku składowi.

– Nie! Nie! – krzyczała, biegnąc.

William przechylił się i podpalił stosy worków wełny. Rzuciła się na niego i próbowała ściągnąć z konia. Odrzucił ją i upadła na ziemię. Wełna zapaliła się z potężnym sykiem. Koń cofnął się i rżał ze strachu przed płomieniami. Jack zdołał ją odepchnąć. William zawrócił. Aliena wstała. Workiem próbowała zdusić płomienie. Jack wrzasnął:

– Aliena, zginiesz!

Gorąco zrobiło się potworne. Aliena chwytala worki, które jeszcze się nie zajęły, i próbowała je wynieść na zewnątrz. Nagle ze zgrozą zdała sobie sprawę, że płoną jej włosy. Chwilę potem Jack rzucił się na nią, obejmując rękoma jej głowę i przyciskając do swego ciała. Oboje upadli na ziemię. Poczula swąd palonych włosów. Widziała, że Jack ma spalone brwi, a twarz osmaloną. Złapał ją i starał się wyciągnąć na zewnątrz, mimo jej oporu.

Spróbowała wstać, ale pochwycił ją i przytrzymał na ziemi.

Walczyła, widząc, jak ogień pożera lata jej pracy i zmartwień, cały majątek i bezpieczeństwo, dopóki nie straciła sił.

Philip usłyszał hałas, kiedy liczył w piwnicy pieniądze. Czynił to w towarzystwie brata Cuthberta. Kiedy zgiełk się nasilił, wstali i poszli do wyjścia, by sprawdzić, co się dzieje.

Za drzwiami ujrzeni oszalałe kłębowisko.

Philipa ogarnął strach. Ludzie biegali we wszystkie strony, popychali się

i szarpali, tratowali wzajemnie. Mężczyźni i kobiety krzyczeli, dzieci płakały. W powietrzu unosił się dym. Zdawało się, że wszyscy naraz chcą wyjść z dziedzińca klasztornego. Poza furtą jedyne wyjście było przy młynie. Prowadziło przez rów z wodą. Philip chciał ostrzec biegnących przed tym rowem, ale nikt go nie słuchał.

Powietrze wypełniło się dymem i sadzą. Philipa przejął lęk. Masakra może się okazać przerażająca. Co robić?

Przede wszystkim musi się dowiedzieć, co się dzieje. Pobiegł po stopniach prowadzących do kuchennych drzwi, by lepiej widzieć. To, co zobaczył, wyparło lęk, a nappełniło go zgrozą.

Całe Kingsbridge stało w ogniu.

Z gardła wyrwał mu się okrzyk przerażenia i rozpacz.

Jak to się mogło stać?

Wtedy ujrzał jeźdźców szarżujących w tłumie, dostrzegł pochodnie. To nie przypadek, pomyślał. W pierwszej chwili wydawało mu się, że to bitwa między stronami w wojnie domowej, która jakimś cudem zabłądziła do Kingsbridge. Lecz... zbrojni mężczyźni atakowali mieszkańców. To nie bitwa, to rzeź.

Zdołał dostrzec muskularnego mężczyznę o blond włosach, jadącego na masywnym koniu bojowym, miażdżącego ludzi stojących mu na drodze. To William Hamleigh.

Zawołał:

– Widzę cię, Williamie Hamleigh!

William usłyszał swoje imię ponad zgiełkiem. Zatrzymał konia i spotkał się wzrokiem z Philipem.

– Pójdiesz za to do piekła! – zawył Philip.

Twarcz Williama skurczyła się. Nawet najstraszniejsza groźba dzisiaj na niego nie działała. Oszał. Pomachał swą pochodnią niczym proporcem.

– To jest piekło, mnichu! – odkrzyknął, zawrócił i pojechał dalej.

Wszyscy nagle zniknęli, jeźdźcy i ciżba. Jack puścił Alienę.

Wstał. Prawa ręka mu zdrętwiała. Przypomnił sobie, że zasłonił Alienę przed ciosem wycelowanym w jej głowę. Rad był z tego bólu. Miał nadzieję, że będzie bolała długo, by miał pamiątkę.

Paliło się wszędzie. Ziemię pokrywały ciała, niektóre się poruszały, niektóre krwawiły, inne leżały cicho i bezwładnie. Motłoch się wyniósł takim czy innym sposobem, zostawiając rannych i zabitych. Jack był oszołomiony. Nigdy nie widział pola bitwy, ale wyobrażał sobie, że właśnie tak musi ono wyglądać.

Aliena płakała. Położył uspokajająco dłoń na jej barku. Odetchnęła. Uratował jej życie, a ona myśli tylko o tej swojej przeklętej wełnie, która teraz poszła z dymem.

Popatrzył na nią przez chwilę, narastał w nim smutek. Włosy Alieny spaliły się, nie była już piękną, lecz on ją miłował i cierpiał, bo nie mógł ukoić jej bólu.

Miał już pewność, że Aliena nie pójdzie do składu, ale martwił się o resztę rodziny. Zostawił więc Alienę i poszedł szukać swych bliskich.

Twarz miał ściągniętą z bólu. Przyłożył rękę do policzka i oparzył go własny dotyk. Pewnie i jego ogień nie oszczędził. Chciał coś z tym poparzeniem zrobić, chciał pomóc rannym, ale nie wiedział, jak się do tego zabrać. Szukał pomiędzy nimi twarzy znajomych, bliskich, a jednocześnie miał nadzieję, że żadnej nie spotka. Matka i Martha pobiegły do krużganków, motłoch wyprzedziły sporo, jak myślał. Czy Tom znalazł Alfreda? Skręcił ku krużgankom. I wtedy zobaczył Toma.

Wielkie ciało ojczyrna leżało rozciągnięte na całą długość na błotnistej ziemi. Twarz dawała się rozpoznać do wysokości brwi. Nie było wcale czoła, a czaszkę miał zupełnie zmiażdżoną. Jack poczuł dreszcz przerażenia. Tom nie mógł umrzeć! Ale w tym ciele nie tliło się życie. Odwrócił oczy, potem spojrział raz jeszcze. To był Tom. I był martwy.

Jack ukląkł przy jego ciele. Czuł, że musi coś zrobić, coś powiedzieć. Po

raz pierwszy w życiu zrozumiał, dlaczego ludzie chcą się modlić za zmarłych.

– Matka będzie strasznie za tobą tęsknić – wyszeptał. Przypomniał sobie swoje gniewne słowa, jakie wypowiedział do Toma w dniu bójk z Alfredem. – Większość z tego nie była prawdą, ojczec. – Łzy spływały mu po twarzy. – Nie zawiodłeś mnie. Karmiłeś, opiekowałeś się mną i uczyniłeś moją matkę szczęśliwą, dałeś jej prawdziwe szczęście. – Ale czuł coś znacznie ważniejszego niż to wszystko, co zawarł w słowach. To, czym Tom go obdarzył, nie było takie codzienne jak jedzenie i schronienie. Tom ofiarował mu coś szczególnego, coś, czego nikt inny nie mógłby mu dać. Tym czymś była pasja, umiejętności, umiłowanie sztuki i sposób na życie. – Dałeś mi katedrę – wyszeptał Jack do martwego mężczyzny. – Dziękuję ci.

CZEŚĆ CZWARTA

1142-1145

Rozdział 11

I

Świętowanie triumfu zostało zrujnowane przepowiednią przeora Philipa. Zamiast poczucia satysfakcji i radości, William czuł przerażenie wywołane wizją piekła.

Dosyć odważnie odpowiedział przeorowi, krzycząc, że piekło jest tutaj, ale wtedy opanowało go podniecenie napadem. Kiedy już było po wszystkim i prowadził swoich ludzi z powrotem do domu, jak najdalej od żarzących się jeszcze zgliszcz, kiedy konie zwolniły, a serca uspokoiły swój rytm, kiedy miał czas myśleć o napadzie, który stał się już przeszłością, i uświadomił sobie, ilu ludzi zostało zranionych i zabitych... wtedy przypomniała mu się gniewna twarz przeora, jego palec, skierowany ku ziemi, i słowa wieszczące zagładę: „Pójdiesz za to do piekła!”.

Całkowite przygnębienie ogarnęło go wieczorem. Żołnierze chcieli pogwarzyć o wyprawie i rozładować silne napięcie, ale szybko zarazili się jego nastrojem i popadli w ponurą ciszę. Całą noc spędzili w domostwie jednego z Williamowych dzierżawców. Przy kolacji mężczyźni popili tego i padli bez zmysłów. Dzierżawca, wiedząc, jak czują się wojownicy po bitwie, przyprowadził parę

dziwek z Shiring, ale nie zarobiły grosza. Hamleigh leżał bezsennie całą noc. Strach przed śmiercią podczas snu był silniejszy od zmęczenia.

Następnego ranka zamiast wracać do Earlscastle, pojechał do biskupa Walerana. Nie zastał go w rezydencji, ale Dean Baldwin powiedział, że spodziewają się biskupa po południu. William czekał więc w kaplicy, patrzył na krzyż na ołtarzu i trząsł się pomimo letniego upału; lodowate kleszcze ścisnęły go za gardło.

Kiedy wreszcie przybył Waleran, miał ochotę całować mu stopy.

Biskup omiótł podłogę kaplicy swymi czarnymi szatami, podchodząc do Williama. Rzekł zimno:

– Co ty tutaj robisz?

William wstał, starając się ukryć za fasadą opanowania swój nikczemny lęk.

– Właśnie spaliłem miasteczko Kingsbridge i...

– Wiem – przerwał Waleran. – O niczym innym nie słyszałem dzisiaj przez cały dzień. Co cię opętało? Zwariowałaś?

Ta reakcja całkowicie zaskoczyła Hamleigha. Nie omawiał napadu z biskupem, bo był pewny jego aprobaty. Waleran nienawidził wszystkiego, co dotyczyło Kingsbridge, szczególnie zaś przeora Philipa. Mógł zatem mieć nadzieję, że wieść o napadzie znajdzie zrozumienie w oczach biskupa. Nie tłumacząc się, rzekł:

– Właśnie zrujnowałem twego największego wroga, Ekscelencjo. Teraz chcę się wyświadczyć z mych grzechów.

– Nie dziwi mnie to – mruknął Waleran. – Mówi się, że ponad setka ludzi spłonęła. – Zadrżał. – Potworny rodzaj śmierci.

– Jestem gotów do spowiedzi – powtórzył Hamleigh.

– Nie wiem, czy mogę ci dać rozgrzeszenie.

Okrzyk strachu wyrwał się z ust Williama.

– Dlaczego?

– Wiesz, że biskup Henryk i ja stanęliśmy po stronie króla Stefana. Nie wiem, czy król zaaprobuje fakt, że dałem rozgrzeszenie poplecznikowi Matyldy.

– Ależ, Ekscelencjo, przecież to ty namówiłeś mnie do tego poparcia!

– No to zmień je – biskup wzruszył ramionami.

William uświadomił sobie, o co chodzi Waleranowi. Biskup chciał, by William znów poparł Stefana. Udał więc zgrozę, żeby uzyskać lepszą pozycję przetargową. Przyniosło to Williamowi wielką ulgę, oznaczało bowiem, że biskup może zmienić stanowisko w sprawie rozgrzeszenia. Lecz czy on sam chce znów zwrócić się w stronę króla? Przez chwilę nic nie mówił, próbował spokojnie to przemyśleć.

– Stefan przez całe lato zwyciężał – ciągnął Waleran. – Matylda błaga swego męża, by przybył z Normandii na pomoc, ale on nie przybędzie. Fala sukcesów sunie w naszym kierunku.

Przed Williamem roztoczyła się nader nieprzyjemna wizja. Kościół odmawia mu rozgrzeszenia za jego zbrodnie, szeryf oskarża go o morderstwo, zwycięski Stefan popiera szeryfa i Kościół, a on sam staje przed sądem i zostaje powieszony...

– Postąp jak ja i za przykładem biskupa Henryka z Winchesteru idź z wiatrem. Biskup wie, skąd wieje – pilił Waleran. – Jeśli wszystko się uda, Winchester zostanie archidiecezją, a Henryk jej arcybiskupem, równym arcybiskupowi Canterbury. A kiedy Henryk umrze, to kto wie? A potem... no, cóż, są już angielscy kardynałowie, może kiedyś będzie angielski papież...

William wpatrywał się w Walerana jak zahipnotyzowany. Mimo swego strachu zdumiał się ambicją widniejącą na zwykle kamiennej twarzy biskupa. Waleran jako papież? Wszystko możliwe. A jednak bezpośrednie konsekwencje tych aspiracji były bardzo ważne. Zrozumiał w końcu, że jest pionkiem w grze. Waleran bowiem, wraz z biskupem Henrykiem, przez pozyskanie Williama i rycerstwa Shiring dla konkretnej strony w wojnie domowej, zyskiwaliby na

znaczeniu. William musiał zapłacić Kościołowi za patrzenie przez palce na popełnione zbrodnie.

– Czy masz na myśli... – Głos Williama ochryplł. Odkasznął i zaczął od nowa: – Czy chodzi ci o to, Ekscelencjo, że wysłuchasz mej spowiedzi, jeśli złożę hołd Stefanowi i znów przejdę na jego stronę?

Błysk zniknął z oczu Walerana i jego twarz odzyskała swój zwykły nieprzenikniony wyraz.

– Dokładnie tak.

William nie miał wyboru, zresztą i tak nie widział powodu do odmowy. Szedł za Matyldą, kiedy wydawało się, że wygrywa, i był gotów do planowanej zmiany barw i walki dla króla Stefana, skoro on teraz był górą. Zresztą zgodziłby się na wszystko, byle tylko uniknąć piekielnych mąk.

– No to zgoda – rzekł bez dalszych wahań. – Tylko wysłuchaj szybko mojej spowiedzi.

– Doskonale. Pomódlmy się.

Szybko poradzili sobie z sakramentem, a William poczuł, jak z barków zsuwa mu się wielki ciężar win. Stopniowo jął odczuwać radość i poczucie sukcesu. Kiedy wyłonił się z kaplicy, ludzie, z którymi tu przyjechał, dostrzegli, jak nabrał ducha, i wznieśli okrzyki. William oznajmił im, że znowu będą się bić za króla Stefana, zgodnie z tym, co o woli Boga powiedział biskup. Waleran zaś kazał podać wino.

– Teraz król Stefan powinien potwierdzić mój hrabiowski tytuł – rzekł William, kiedy czekali na obiad.

– Powinien – zgodził się Waleran. – Nie znaczy to jednak, że zechce.

– Ale przechodzę na jego stronę!

– Richard z Kingsbridge nigdy jej nie opuścił!

William pozwolił sobie na zadowolony z siebie uśmiech.

– Zdaje się, że ze sprawą zagrożenia z jego strony już sobie poradziłem.

– O! Jak?

– Richard nigdy nie miał ziemi. Jedynym źródłem, z którego czerpał na swe rycerskie potrzeby, były pieniądze siostry.

– To niezgodne z przyjętymi zasadami, ale tak się działo do tej pory.

– Teraz jego siostra już nie ma pieniędzy i nie będzie ich mieć. Osobiście podpałilem jej skład. Jest w nędzy. A zatem Richard również.

Skinięciem potwierdził Waleran słusność tego stwierdzenia.

– W takim razie to tylko kwestia czasu, zanim zniknie z oczu. I wtedy, jak sądzę, hrabstwo stanie się twoje.

Podano obiad. Ludzie Williama zajęli miejsca poniżej szczytu stołu i flirtowali z zamkowymi praczkami. William siedział u szczytu stołu z Waleranem i archidiaconami. Odprężony, zazdrościł swym ludziom tych praczek; archidiaconi to nudna kompania.

Dean Baldwin zaproponował Williamowi danie z grochu i powiedział:

– Lordzie Williamie, jak zamierzasz zapobiec, aby ktoś inny nie zrobił tego, co przeor Philip, który otworzył własny jarmark wełny?

Ta kwestia zaskoczyła Williama.

– Nie ośmielą się!

– Jakiś inny mnich może się ośmielić.

– Będzie potrzebować licencji.

– Może dostać, gdyby poparł Stefana.

– Nie w tym hrabstwie.

– Baldwin ma rację, Williamie – rzekł biskup Waleran. – Dokoła granic twego hrabstwa są miasta, które mogłyby mieć także jarmarki: Wilton, Devizes, Wells, Marlborough, Wallingford...

– Spaliłem Kingsbridge! Będzie to groźne ostrzeżenie – zirytowany Will opróżnił puchar wina. Gniewało go pomniejszanie jego zwycięstwa.

Waleran wziął kromkę świeżego chleba, przełamał, ale nie jadł.

– Kingsbridge stanowiło łatwy cel – argumentował. – Bez murów miejskich, bez zamku, a nawet bez kościoła wystarczająco dużego, by mogli się

w nim schronić ludzie. Poza tym to miasto mnichów, którzy nie mają rycerstwa ani żołnierzy. Kingsbridge było, i chyba będzie, bezbronne. Większość miast – nie.

– A kiedy nastanie kres wojny domowej, zwycięzca, kimkolwiek by był, nie pozwoli na bezkarne podpalanie miast.

Taki czyn łamie królewski pokój. Żaden król w czasie pokoju tego nie przeoczy – dodał Dean Baldwin.

Rozzłoszczony William musiał przyznać mu rację.

– Czyli cała sprawa mogła pójść na marne. – Odłożył nóż.

– Oczywiście Aliena jest zrujnowana, co pozwala na pewien ruch – rzekł Waleran.

– O co ci chodzi, wielbny?

– Większość wełny w tym roku w hrabstwie została sprzedana właśnie jej. Co będzie w przyszłym?

– Nie wiem.

– Poza przeorem Philipem – ciągnął Waleran z tym samym zamysłem – na całe mile wokoło wszyscy producenci wełny są albo dzierżawcami biskupa, albo dzierżawcami hrabiego. Ty jesteś hrabią, ja biskupem. Jeśli zmusimy wszystkich naszych dzierżawców do sprzedawania wełny wyłącznie nam, opanujemy dwie trzecie handlu strzyżą w hrabstwie. My zatem będziemy sprzedawać na Jarmarku Wełnianym w Shiring. Oznacza to, że nie ma potrzeby tworzenia drugiego jarmarku, jeśli nawet ktoś będzie dysponować licencją.

William dostrzegł natychmiast zalety tego pomysłu.

– I zarobimy tyle pieniędzy, ile zarabiała Aliena – zauważył.

– Zaiste. – Waleran delikatnie odgryzł kawałek mięsa i żuł je powoli. – Tak więc spaliłeś Kingsbridge, zrujnowałeś swego największego wroga i zdobyłeś dla siebie nowe źródło dochodu. Nieźle, jak na jeden dzień pracy.

William pociągnął potężny łyk wina, a w brzuchu poczuł żar. Obrzucił spojrzeniem stół i zatrzymał oko na pulchnej, ciemnowłosej dziewczynie, ko-

kieteryjnie uśmiechającej się do dwu jego ludzi. Może zechce mu się ją dzisiaj mieć. Wiedział, że tak. Weźmie ją do kąta, rzuci na ziemię, zadrze spódnicę, przypomni sobie Alienę, wyraz przerażenia i rozpacz na jej twarzy, kiedy widziała swoją wełnę puszczaną z dymem. Wtedy będzie mógł to zrobić. Uśmiechnął się podniecony tą perspektywą i uciał kolejny płat z sarniego udźca.

Spalenie Kingsbridge wstrząsnęło Philipem do głębi. Nieprzewidzenie ruchu Williama, brutalność napadu, pełne grozy sceny w tłumie ogarniętym paniką, potworna rzeź i jego własna całkowita bezradność ogłuszyły go jak uderzenie obuchem.

Najgorszą ze wszystkiego była śmierć Toma. Budowniczy u szczytu swych możliwości, w każdym calu mistrz. Wszyscy się spodziewali, że to on doprowadzi budowę katedry do końca. Dla Philipa był także najbliższym przyjacielem. Rozmawiali w końcu co najmniej raz dziennie, wspólnie starali się znaleźć rozwiązanie niekończącej się różnorodności problemów, z którymi mieli do czynienia podczas urzeczywistniania olbrzymiego przedsięwzięcia. Toma charakteryzowało rzadkie połączenie mądrości i pokory, co współpracę z nim czyniło radosną. To, że odszedł, zdawało się niemożliwe.

Przeor miał wrażenie, że już nic nie rozumie, że stracił swą moc i władzę, że nie jest zdolny prowadzić czegokolwiek, nawet obory, a tym bardziej rządzić Kingsbridge. Zawsze uważał, że jeśli będzie pędził życie uczciwe i pełne ufności do Boga, wszystko w końcu ułoży się dobrze. Spalenie miasta zdawało się dowodzić, że się mylił. Stracił chęć do pracy i całymi dniami siedział w domu, patrzył, jak pali się świeczka na ołtarzyku, i nic nie robił, pozwalając płynąć oderwanym, żalonym myślom.

To młody Jack dostrzegł, co trzeba czynić. Ułożył trupy w krypcie, zaprowadził rannych mnichów do dormitorium, urządził z ludźmi tymczasowe miej-

sce do spożywania posiłków na łące po drugiej stronie rzeki. Było ciepło, a każdy i tak sypiał na powietrzu. Następnego dnia po masakrze Jack zorganizował oszołomionych mieszkańców w zespoły robocze i skierował do oczyszczania dziedzińca klasztoru z popiołów i zgliszcz, podczas gdy Cuthbert Białogłowy i kwestarz Milius zamawiali zaopatrzenie w sąsiednich gospodarstwach. W dwa dni po pożarze pochowali swych zmarłych w stu dziewięćdziesięciu trzech nowych grobach na północnej stronie dziedzińca, pod murem.

Philip ograniczał się do zatwierdzania tych czynów. Jack powiadomił go, że większość ocalałych z pożaru ludzi straciła raczej niewiele ze swych zasobów, najczęściej tylko chatę i kilka sprzętów. Plony były na polach, trzody na pastwiskach, a oszczędności ludzie mieli tam, gdzie je zwykle chowali: zakopane w ziemi wewnątrz domu, nietknięte przez szalejący na górze pożar. Najbardziej ucierpieli ci kupcy, których towary były w składach i spłonęły. Niektórzy byli zrujnowani, jak Aliena. Innym zostało trochę majątku w zakopanym srebrze, mogli zaczynać handel od nowa. Jack proponował nie zwlekać z rozpoczęciem odbudowy miasta.

Zgodnie z tą sugestią Philip wydał nadzwyczajne zezwolenie na zgromadzenie drewna budowlanego z klasztornych lasów, ale tylko na tydzień. Wskutek tego Kingsbridge opustoszało na siedem dni; każda rodzina wybierała i ścięła drzewa na budowę nowego domu. W ciągu tego tygodnia Jack poprosił Philipa, by narysował plan nowego Kingsbridge. Ten pomysł poruszył wyobraźnię przeora i wyrwał go z depresji.

Cztery dni zajęło mu opracowanie planu. Wokół murów klasztoru powinny być duże domy przeznaczone dla bogatych rzemieślników i kupców. Przypominał sobie układ ulic w Winchesterze i zaplanował podobnie. Proste ulice, szerokie na dwa wozy, miały biec ku rzece. Węższe ulice miały przecinać je pod kątem prostym. Plac pod budowę domów winien być szeroki na dwadzieścia cztery stopy, co w zupełności wystarczało na fasadę miejskiego domu, a długi na sto dwadzieścia stóp, by było miejsce na ustęp, ogródek warzywny i stajnię,

oborę czy chlew. Most spłonął, więc nowy można postawić w bardziej odpowiednim miejscu, na początku głównej ulicy. Miała ona bieć przez całe miasto, obok katedry, a wychodzić po drugiej stronie wzgórza, jak to widział w Lincoln. Inna szeroka ulica miała wieść do klasztoru, dalej zgodnie z biegiem rzeki aż poza zakręt. Dzięki temu przewóz towarów związany z zaopatrzeniem klasztoru będzie mógł się odbywać bez tamowania ruchu na kupieckiej ulicy. Przy nabrzeżu zaplanował także zupełnie nową dzielnicę małych domków, by biedota znalazła się poniżej klasztoru, a ich nie najczystsze obyczaje nie przeszkadzały w zaopatrywaniu mnichów i miasta w czystą wodę.

Planowanie odbudowy wyrwało co prawda Philipa z transu bezradności, jednakże każde pełne nadziei i radości spojrzenie sponad rysunków na to, co pozostało po Kingsbridge, wywoływało myśl o żalobie po straconych ludziach. Zastanawiał się, czy William Hamleigh nie jest w rzeczywistości wcieleniem diabła; spowodował tyle nędzy i bólu, że wydawałoby się to niemożliwe dla zwykłego człowieka. Tę samą mieszaninę nadziei i żalu widział Philip w twarzach ludzi wracających z lasu z ładunkami drewna. Jack z pomocą innych mnichów dzielił ziemię pod nowe Kingsbridge za pomocą palików i sznurów, a kiedy ludzie wybierali swe działki, mówili: „Jaki jest cel tego wszystkiego? Mogą nas spalić za rok”.

Jeśli istniała jakaś nadzieja na to, że złoczyńcy zostaną ukarani, to może ludzie nie byliby tak niepokieszeni. Przeor pisał i do Stefana, i do Matyldy, i do biskupa Henryka, i do arcybiskupa Canterbury, i do papieża, lecz wiedział, że w czasie wojny raczej niemożliwe było to, by tak silnego i ważnego człowieka jak hrabia Shiring doprowadzić przed sąd.

Zaznaczone na Philipowym planie duże place cieszyły się największym powodzeniem mimo wysokich czynszów, więc zmienił plan tak, by zwiększyć ich liczbę. Niemal nikt nie chciał budować w dzielnicy biedoty, ale Philip postanowił pozostawić to bez zmian, by zabezpieczyć się na później. Dziesięć dni po pożarze pierwsze drewniane domy zaczęły się pojawiać na działkach, a w ty-

dzień później większość była gotowa. Kiedy ludzie kończyli budować swoje domy, podjęto od nowa prace przy katedrze. Budowniczy otrzymali zapłatę i chcieli wydawać swoje pieniądze, więc otwierano sklepy, a ludzie zaczęli przynosić jajka i cebulę na sprzedaż. Pomywaczki i praczki znowu zaczęły pracować u rzemieślników i kupców, i tak, dzień po dniu, życie Kingsbridge wracało do normy.

Było jednak zbyt wielu zmarłych i wydawało się, że jest to miasto duchów. Każda rodzina straciła przynajmniej po jednym ze swoich bliskich: dziecko, matkę, ojca, siostrę lub brata. Ludzie nie nosili żałobnych opasek, ale rysy ich twarzy mówiły o żalobie tak wyraziście, jak nagie drzewa mówią o zimie. Sześćioletni Jonathan włóczył się wokół klasztornych murów jak dusza potępiona i w końcu Philip zrozumiał, że tęskni on za Tomem.

Przeor złożył ślubowanie, że codziennie poświęci chłopcu uczciwą godzinę, aby opowiadać mu historie, grać w gry rachunkowe czy słuchać opowiadań chłopca, głoszonych poważnie brzmiącym dziecinnym głosikiem.

Philip wysłał pisma do wszystkich ważniejszych opatów zakonu benedyktynów w Anglii i Francji z prośbą o polecenie jakiegoś mistrza budowniczego na miejsce Toma. Przeor o pozycji Philipa winien się w takiej sprawie konsultować ze swoim biskupem, bo biskupi, którzy przecież często i daleko podróżowali, znali doskonałych mistrzów, a co najmniej słyszeli o nich. Biskup Waleran nie pomagał Philipowi. Fakt, że oni obaj stale byli skłócenii, czynił Philipa jeszcze bardziej samotnym, niż powinien być.

Kiedy przeor czekał na odpowiedź od opatów, rzemieślnicy instynktownie patrzyli na Alfreda jak na budowniczego. Syn Toma, choć nie miał inteligencji ojca, potrafił czytać i pisać i miał autorytet, więc stopniowo wślizgiwał się w lukę, jaka powstała po śmierci Toma.

Wydawało się jednak, że na placu budowy znacznie wzrosła ilość kłopotów i bójek, a Alfred ośmielał się pytać tylko wtedy, gdy w zasięgu wzroku nie było Jacka. Niewątpliwie to naturalne, skoro przybrani bracia nienawidzili się wza-

jemnie, ale skutkiem ubocznym stało się to, że Philip został wciągnięty w sam środek niekończących się drobiazgów.

Wraz z upływem tygodni Alfred zyskiwał pewność siebie, aż wreszcie któregoś dnia przyszedł do Philipa i spytał:

– Czy nie chciałbyś, ojcze, kamiennego sklepienia w miejsce drewnianego stropu?

Projekt Toma przewidywał drewniany strop nad centralną nawą kościoła, a kamienne sklepienia miały kryć nawy boczne, węższe od głównej.

– Tak, chciałbym – odrzekł przeor – ale zdecydowaliśmy się na drewniany strop dla oszczędności.

– Kłopot z tym, że drewniany może spłonąć. Kamienny jest na ogień odporny.

Philip przez chwilę patrzył na niego. Może go nie doceniał. Wnosić poprawki do ojcowskiego projektu... tego raczej można było oczekiwać od Jacka. Pomysł ognioodpornego stropu silnie do niego przemawiał, szczególnie po pożarze miasta.

Jakby przewidując jego myśli, Alfred powiedział:

– Jedynym budynkiem, który ostał się w mieście po pożarze, okazał się nowy kościół parafialny.

Nowy kościół parafialny, zbudowany przez Alfreda, miał kamienne sklepienie.

– Czy te ściany, które już stoją, wytrzymają tak wielkie obciążenie?

– Będziemy musieli wzmocnić przypory. Będą wystawać tylko trochę więcej. To wszystko.

On to naprawdę przemyślał, zdał sobie sprawę Philip.

– A koszta?

– W dłuższym czasie oczywiście będą większe, a do całkowitego zakończenia prac trzeba będzie dodać dwa lub trzy lata. Roczne wydatki jednak się nie zmieniają.

Philipowi ten pomysł podobał się coraz bardziej.

– Ale czy to nie oznacza, że przyjdzie nam czekać jeszcze rok, zanim będziemy mogli odprawiać nabożeństwa bodaj w prezbiterium?

– Nie. Niezależnie od tego, czy położymy kamień czy drewno, nie możemy zaczynać wcześniej niż w przyszłym roku na wiosnę. A to dlatego, że ściany z najwyższym rzędem okien muszą stwardnieć, zanim będzie można oprzeć na nich jakiś ciężar. Prezbiterium otrzymałoby sklepienie pod koniec roku.

Philip zaczął rozważać tę propozycję; z jednej strony uniknięcie zagrożenia pożarowego, z drugiej dodatkowe cztery lata budowy i kosztów. Ten dodatkowy koszt zdawał się odległy w czasie, a zysk w postaci bezpieczeństwa natychmiastowy.

– Myślę, że muszę pomówić o tym z braćmi na posiedzeniu kapituły. Ale wydaje mi się, że to dobry pomysł.

Alfred mu podziękował i kiedy wyszedł, Philip jął się zastanawiać, czy w istocie potrzebuje nowego mistrza budowniczego.

Święto Chleba w Kingsbridge odbyło się jak należy. Żniwa trwały, mąka była tania i było jej mnóstwo. Rano w każdym gospodarstwie w mieście pieczono chleb. Ci, którzy nie mieli własnego pieca, piekli u sąsiadów albo w wielkich piekarniach klasztornych czy w dwu piekarniach w mieście, należących do Peggy Baxter i Jacka-atte-Novena. W południe powietrze wypełniały już takie zapachy świeżego pieczywa, że każdy odczuwał wilczy głód. Bochenki rozkładano na stołach na łące nad rzeką i wszyscy chodzili je podziwiać. Nie znalazłoby się dwu podobnych. Wiele wypieczono z dodatkiem korzeni czy owoców w środku lub na zewnątrz: był chleb śliwkowy, rodzynekowy, cukrowy, cebulowy, czosnkowy i jeszcze wiele innych rodzajów. Niektórzy barwili wypieki na zielono – pietruszką, na żółto – żółtkiem jajka, czy purpurowo – słonecznikiem. Bochenki miały dziwne kształty, niespotykane na co dzień: trójkąty, stożki, kule, gwiazdy, owale, piramidy, były żłobkowane, zwijane albo też skręcane w ósemki. Niektórzy okazali się nader ambitni i popiekli bochenki

w kształcie królików, niedźwiedzi, a nawet całe domy z chleba, nawet zamki. Lecz najokazalszy, co wszyscy zgodnie stwierdzili, był chleb zrobiony przez Ellen i Marthę, przedstawiający katedrę taką, jaka będzie po ukończeniu budowy według projektu Toma, zmarłego męża Ellen.

Trudno było patrzeć na żałobę Ellen. Noc w noc zawodziła jak pokutująca w piekle dusza i nikt nie był zdolny jej ukoić. Nawet teraz jeszcze, choć minęły miesiące, miała zmizerowaną twarz i głęboko wpadnięte oczy. Wydawało się jednak, że ona i Martha pomagają sobie nawzajem, a samo przygotowanie chleba w kształcie katedry dało im coś w rodzaju pocieszenia.

Aliena spędziła wiele czasu, patrząc, jak Ellen buduje katedrę z ciasta. Strata majątku przygnębiła ją bardzo. Czuła się wypalona, tak jak zgliszcza jej domostwa. Nawet nie miała ochoty na stawianie nowego domu, ale po interwencji przeora zmusiła się do pracy. Alfred przyniósł jej drewno i wyznaczył kilku ludzi do pomocy. W dalszym ciągu jadała w klasztorze, o ile przypomniawszy sobie, że powinna coś zjeść. Nie miała siły na nic. Jeśli przyszło jej do głowy, by coś dla siebie zrobić, na przykład ławę kuchenną, czy wykończyć ściany, a nawet założyć sidła na ptaki, to natychmiast wracała myślą do tego, jak ciężko pracowała, by rozwinąć handel wełną, i jak szybko wszystko poszło z dymem, a to wystarczyło, aby straciła zapał do zrobienia czegokolwiek. I tak przeżywała dzień po dniu. Wstawała późno, chodziła na obiad do klasztoru, jeśli poczuła głód, spędzała dzień na przyglądaniu się przepływającym falom rzeki i wreszcie układała się do snu na słomie na podłodze jej nowego domu.

Mimo swej bierności orientowała się, że to święto jest jedynie wyrazem zachowania pozorów. Miasto było odbudowywane, ludzie chodzili wokół swoich interesów jak przedtem, ale masakra sprawiła, że stali się podejrzliwi. Aliena wyczuwała, że pod powłoką dobrego samopoczucia kryje się strach towarzyszący każdemu. Większość współmieszkańców znacznie lepiej od niej udawała, że wszystko zaczyna układać się jak należy, ale w rzeczywistości wszyscy czuli się tak samo jak ona i obawiali się, że cokolwiek zbudują, to i tak zostanie

zniszczone.

Kiedy tak stała nieobecna duchem pośród stosów chleba, wrócił jej brat Richard. Walcząc po stronie Stefana, daleko od Kingsbridge, nic nie wiedział o napadzie i pożarze. Był zaskoczony obrazem miasta.

– Co się tutaj stało? – spytał. – Nie mogę znaleźć naszego domu, a całe miasto się zmieniło!

– William Hamleigh przybył tu w dniu jarmarku z grupą zbrojnych mężczyzn i spalił miasto – odpowiedziała Aliena, nie czując radości z jego powrotu.

Richard zbladł, a blizna po uciętym prawym uchu zsiniała.

– William! – złapał oddech. – Ten szatan!

– No, ale mamy nowy dom – mówiła Aliena bez wyrazu. – Zrobili go dla mnie ludzie Alfreda. Jest znacznie mniejszy i mieści się niżej, tam, przy tym nowym nabrzeżu.

– Co tobie się stało? – spytał, wpatrując się w nią. – Jesteś prawie łysa i nie masz brwi.

– Moje włosy? Spaliły się.

– On nie...

– Nie tym razem – pokręciła głową.

Jakaś dziewczyna podała Richardowi kawałek chleba do spróbowania. Ugryzł kęs, ale nie mógł przełknąć. Stał jak osłupiały.

– Cieszę się, że jesteś bezpieczny, wiesz – powiedziała Aliena.

Kiwnął głową.

– Stefan maszeruje na Oksford, gdzie trzyma się Matylda. Wojna wkrótce się skończy. Muszę jednak mieć nowy miecz i potrzebuję trochę pieniędzy. – Zjadł kawałek chleba. – Boże, smakuje wyśmienicie. Możesz mi później ugotować trochę mięsa.

Nagle zaczęła się go bać. Wiedziała, że wścieknie się na nią, a ona nie ma dość siły, by się mu przeciwstawić.

– Ja... ja nie mam ani kawałka mięsa.

– No, to przynieś trochę od rzeźnika!

– Nie złość się, Richard – zaczęła drzeć.

– Nie złoścę się – rzekł zirytowany. – Co się z tobą dzieje?

– Cała moja wełna spłonęła w pożarze – powiedziała, patrząc na niego z lękiem i czekając, kiedy wybuchnie.

Zmarszczył się i popatrzył na nią.

– Doszczętnie?

– Tak.

– Ale musisz mieć jeszcze jakieś pieniądze.

– Żadnych.

– Dlaczego? Zawsze miałaś wielki kufer pełny pensów, zakopany pod podłogą...

– Nie w maju. Każdego pensa wydałam na wełnę.

I pożyczyłam jeszcze czterdzieści funtów od Malachiego, których nie mogę oddać. Ja z pewnością nie kupię ci nowego miecza. Ja nawet nie mogę kupić kawałka mięsa na kolację dla ciebie. Nie mamy nic.

– No, to jak ja mam działać? – krzyknął gniewnie. Jego koń zastrzygł uszami i zaczął przestępować z nogi na nogę.

– Nie wiem – odrzekła ze łzami w oczach. – Nie krzycz, przestraszyłeś konia. – Zaczęła płakać.

– To William Hamleigh uczynił – wysyczał Richard. – Któregoś dnia wyopatroszę go jak tłustą świnię, przysięgam na wszystkich świętych.

Podszedł do nich Alfred. W bujnej brodzie miał pełno okruszyn chleba, a piątkę śliwkowego bochenka trzymał jeszcze w ręku.

– Spróbuj tego – zwrócił się do Richarda.

– Nie jestem głodny – odrzekł niegrzecznie.

Alfred popatrzył na Alienę i spytał:

– O co chodzi?

– Właśnie powiedziała mi, że jesteśmy bez pieniędzy.

– Każdy coś stracił, ale Aliena wszystko.

– Czy rozumiesz, co to dla mnie znaczy? – Richard mówił do Alfreda, ale patrzył oskarżycielsko na Alienę. – Jestem skończony. Jeśli nie zdołam wymienić broni, zapłacić moim ludziom i kupić koni, to nie będę mógł walczyć dla króla Stefana. Już nie będę rycerzem i nigdy nie zostanę hrabią Shiring.

– Aliena mogłaby poślubić bogatego człowieka – oświadczył Alfred.

Richard roześmiał się pogardliwie.

– Wszystkich odpaliła.

– Jeden z nich mógłby poprosić ją znowu.

– Tak. – Twarz Richarda wykrzywiła się w okrutnym uśmiechu. – Możemy rozesłać listy do odrzuconych zalotników.

Napisać, że straciła wszystkie pieniądze i teraz jest gotowa przemyśleć ponownie...

– Dosyc – rzekł Alfred, kładąc rękę na ramieniu Richarda. – Czy pamiętasz, Alieno, co ci powiedziałem na pierwszym obiedzie gildii parafialnej?

Serce Alieny ścisnęło się. Nie mogła uwierzyć, że Alfred znowu zaczyna... Nie miała siły, by dalej walczyć.

– Pamiętam i mam nadzieję, że ty pamiętasz moją odpowiedź.

– Ja wciąż cię miłuję.

Richard wyglądał na zaskoczonego.

– I chcę się z tobą ożenić. Alieno, czy zechcesz mnie poślubić? – ciągnął Alfred.

– Nie! – rzekła Aliena. Chciała powiedzieć więcej, dodać coś, co by uczyniło tę odpowiedź ostateczną i nieodwołalną, ale czuła się zbyt zmęczona. Przenosiła wzrok z Richarda na Alfreda i z powrotem i nagle już nie mogła tego wytrzymać. Odwróciła się i zeszła z łąki, kierując się do miasta.

Miała powyżej uszu Alfreda za powtórzenie swej propozycji w obecności Richarda. Wolałaby, żeby brat tego nie słyszał. Minęły trzy miesiące od pożaru, ale Alfred dopiero teraz ponowił swoją propozycję. Wyglądało na to, że czekał

na Richarda i wykonał ruch, kiedy on przybył.

Przechodziła opustoszałymi ulicami nowego miasteczka. Wszyscy poszli popróbować chleba. Dom Alieny znajdował się w biedniejszej dzielnicy, w dole rzeki. Nie wiedziała nawet, czy będzie mogła zapłacić czynsz, chociaż był niski.

Richard dogonił ją, jadąc na wierzchowcu, zsiadł i ruszył pieszo obok.

– Całe miasto pachnie drewnem – rzekł tonem pogawędki. – Wszystko wygląda tak czysto!

Aliena przywykła do nowego wyglądu miasta, lecz on przecież widział je po raz pierwszy. Było nienaturalnie czyste. Pożar strawił wilgotne, brudne i nadgniłe drewno starszych budynków, strzechy pełne sadzy, brud starych stajni i śmierdzące gnojowniki. Pachniało nowością: nowe drewno, nowe strzechy, nowe plecionki na podłogach, a w mieszkaniach bogatszych nawet zapach świeżego bielzenia. Pożar jakby wzbogacił glebę, bo w każdym zakątku kwitły dzikie kwiaty. Ktoś zauważył, że bardzo niewielu mieszkańców chorowało od czasu pożaru, co zdawało się potwierdzać zdanie niektórych filozofów uważających, że choroby są powodowane przez cuchnące wyziewy.

Jej myśli błędziły. Richard coś powiedział.

– Co?

– Mówię, że nie wiedziałem, iż proponował ci małżeństwo.

– Miałeś ważniejsze sprawy na głowie. To było mniej więcej wtedy, gdy Robert z Gloucesteru został wzięty w niewolę.

– To miło z jego strony, że wybudował ci dom.

– Tak, miło. To ten domek. – Obserwowała brata. Był przygnębiony. Rozumiała jego smutek: wyszedł z hrabiowskiego zamku i nawet wielki dom, jaki mieli przed pożarem, uwłaczał jego godności. Teraz zaś musiał przywyknąć do schroniska w rodzaju tych, w jakich mieszkali wyrobnicy i wdowy.

Aliena wzięła konia za uzdę.

– Chodź. Z tyłu jest miejsce dla konia.

Przeprowadziła wielkie zwierzę przez jednopokojowy dom i tylne drzwi. Tam postawiono niskie płotki, które oddzielały podwórka poszczególnych domów. Przywiązała wodze do poręczy i zaczęła zdejmować siodło. Trawy i zioła wyrastały zewsząd, rozsiewając się jakoś same po pożarze.

Richard obejrzał izbę i wyszedł na podwórko.

– Dom jest pusty, nie ma sprzętów, garnków, misek...

– Nie mam pieniędzy – odrzekła Aliena apatycznie.

– Z ogródkiem też nic nie zrobiłaś. – Rozglądał się dokoła z niesmakiem.

– Nie miałam siły – rzekła przygnębiona. Podała mu wielkie siodło i weszła do izby.

Usiadła na podłodze, opierając się o ścianę. Było jej zimno. Słyszała Richarda zajmującego się koniem. Po kilku chwilach zobaczyła węszącego szczura z nosem wystawionym ponad ściółkę. Tysiące szczurów i myszy spaliło się w pożarze, ale teraz zaczynały pokazywać się znowu. Rozejrzała się za czymś, czym można byłoby zabić gryzonia, ale nic nie znalazła pod ręką, a zresztą stworzenie i tak już zniknęło.

Co ja mam zrobić? – zastanawiała się. Nie mogę przecież spędzić w ten sposób reszty życia. Nawet sama myśl o tym, by coś postanowić, wyczerpywała ją. Już raz uratowała siebie i brata od nędzy, ale ten trud zabrał jej wszystkie siły i nie była w stanie próbować jeszcze raz. Musi znaleźć jakiś sposób na życie. Najlepiej, gdyby ktoś zajął się nią, bo ona nie chce już decydować i nie chce niczego zaczynać. Pomyślała o Kate z Winchesteru, która całowała jej usta, ścisnęła piersi i mówiła: „Moja droga, nigdy nie musisz martwić się o pieniądze ani cokolwiek innego. Jeśli będziesz pracować dla mnie, będziesz bogata”. Nie, tylko nie to, wzdrygnęła się. Nigdy.

Wszedł Richard, niosąc juki.

– Jeśli nie umiesz się sama sobą zająć, lepiej znajdź sobie kogoś.

– Zawsze miałam ciebie.

– Nie mogę ci pomóc – sprzeciwił się.

– Dlaczego nie? – wybuchnęła gniewem. – Opiekowałam się tobą przez sześć lat!

– Kiedy ja walczyłem, ty tylko sprzedawałaś wełnę!

I zaszytowałam banitę, rzuciłam nieuczciwego księdza na podłogę, karmiłam i chroniłam cię, gdy ty tylko gryzłeś paluchy i patrzyłeś przestraszony, pomyślała. Z trudem panując nad sobą, powiedziała z goryczą:

– Żartowałam oczywiście.

Chrząknął niepewny, czy nie obrazić się za tę uwagę, potem potrząsnął zirytowany głową i stwierdził:

– Zresztą nie powinnaś tak szybko odrzucać Alfreda.

– Och, na miłość boską, zamknij się!

– A o co ci chodzi?

– Nie o Alfreda. Nie rozumiesz? Chodzi o mnie!

Odłożył siodło i wyciągnął palec w jej stronę.

– To prawda i ja wiem dlaczego. Jesteś skończoną egoistką. Myślisz tylko o sobie.

To było tak potwornie niesprawiedliwe. Nawet nie umiała się rozgniewać. Łzy popłynęły same.

– Jak możesz tak mówić? – zaprotestowała żałośnie.

– Wszystko byłoby dobrze, gdybyś poślubiła Alfreda, a ty ciągle odmawiasz.

– Według mnie mój ślub z Alfredem nic ci nie da.

– Da, da.

– Jak to?

– Alfred powiada, że pomoże mi dalej walczyć, jeśli będzie moim szwagrem. Musiałbym się trochę ograniczyć, bo on nie mógłby opłacić moich żołnierzy, ale obiecał dać na nowego konia bojowego i nową broń, a także na mojego giermka.

– Kiedy? – spytała zdumiona Aliena. – Kiedy ci zdążył to wszystko powie-

dzieć?

– Przed chwilą.

Aliena poczuła się poniżona, a Richard miał jeszcze na tyle wstydu, że spuścił oczy. Ci dwaj mężczyźni targowali się o nią, jakby była konikiem na sprzedaż. Wstała. Bez słowa wyszła z domu.

Udała się z powrotem do klasztoru i weszła na dziedziniec od południa, przeskakując przez rów obok starego młyna. Kiedy był czynny, nie chodziła tędy, bo hałas młotków podczas folowania przyprawiał ją o ból głowy.

Klasztor był opustoszały, jak się spodziewała. Plac budowy stał w ciszy. O tej porze mnisi mieli godzinę studiów, a wszyscy inni znajdowali się na łące. Przeszła przez cmentarz po północnej stronie placu budowy. Starannie zadbane groby, o porządnym drewnianym krzyżu, z wiązkami świeżych kwiatów, powiedziały jej prawdę o mieście: ono jeszcze nie przetrwało masakry. Zatrzymała się przed kamiennym grobem Toma. Upiększał go mały, prostokątny aniołek z marmuru wyrzeźbiony przez Jacka. Siedem lat temu mój ojciec, myślała, zaplanował i przygotował rozsądne małżeństwo dla mnie. William Hamleigh nie był stary, nie był brzydki i nie był biedny. Inna dziewczyna w tej sytuacji przyjęłaby go, a ja odrzuciłam. I proszę, jakie potem nastąpiły komplikacje: nasz zamek zaatakowano, ojca uwięziono, mego brata i mnie uczyniono nędzarzami. Nawet spalenie Kingsbridge i śmierć Toma to skutki mojego uporu.

W jakiś sposób śmierć Toma wydała jej się gorsza niż pozostałe smutki; może dlatego, że kochało go tak wielu ludzi, może dlatego, że był on drugim ojcem, którego stracił Jack.

A teraz znowu nie przyjmuję następnej rozsądnej propozycji, myślała. Czy mam prawo do takiej małostkowości? Moje wymagania spowodowały już dosyć kłopotów. Powinnam zgodzić się na Alfreda i dziękować, że nie muszę pracować dla Kate.

Odwróciła się od grobu i poszła na plac budowy. Stała w miejscu przyszłego skrzyżowania i popatrzyła w stronę prezbiterium. Było na ukończeniu,

jeszcze tylko dach. Budowniczkowie gotowali się do następnej fazy, do transeptów – palikami i sznurkiem oznaczyli wszystko na ziemi, a ludzie już zaczęli kopać fundamenty. Stojące przed nią ściany rzucały w późnopołudniowym słońcu długie cienie. Mimo ciepłego dnia w cieniu katedry było chłodno. Aliena długo patrzyła na rzędy krągłych łuków. W ich regularnym rytmie było coś kojącego: łuk, filar, łuk, filar, łuk, filar.

Jeśli Alfred faktycznie chce sfinansować Richarda, to będzie miała szansę na wypełnienie przysięgi danej ojcu. Przysięgała przecież, że zajmie się Richardem, dopóki on nie odzyska hrabstwa. W głębi duszy wiedziała, że musi pośłużyć Alfreda. Po prostu nie mogła się z tym pogodzić.

Przeszła wzdłuż nawy południowej, ciągnąc ręką po ścianie, wyczuwając szorstką fakturę kamienia, przebiegając paznokciami płytkie żłobienia zostawione przez dłuto kamieniarza. Tutaj, w nawie bocznej pod oknami, ścianę ozdabiały płasko rzeźbione ślepe arkady, przypominające rząd wypełnionych łuków. Takie „arkadowanie” nie miało użytecznego sensu, ale dodawało harmonii. Wszystko w katedrze Toma wyglądało dokładnie tak, jak powinno, jakby wszystko musiało być właśnie tak, a nie inaczej. Może i jej życie właśnie tak wyglądało, jakby przewidziane i zdecydowane w wielkim projekcie, a ona zachowywała się jak głupi budowniczy, życzący sobie wodospadu w prezbiterium.

W południowo-wschodnim rogu kościoła niskie drzwi wiodły do wąskich, spiralnych schodów. Odruchowo skręciła i wspięła się po stopniach. Kiedy straciła z oczu drzwi, a jeszcze nie widziała wylotu schodów, doznała dziwnego uczucia, jakby te schody ciągnęły się w górę w nieskończoność. Wtem dostrzegła światło dzienne i wyszła na szeroką galerię nad nawą boczną. Galeria nie miała okien wychodzących na zewnątrz, ale Aliena mogła się przyglądać niezadaszonemu kościołowi. Usiadła i oparła się o filar. Zimny kamień pieścił jej policzki. Zastanawiała się, czy to Jack rzeźbił akurat ten filar. Zdawała sobie sprawę z tego, że gdyby stąd spadła, mogłaby się zabić. Lecz nie, nie było na to

dość wysoko. Mogłaby tylko połamać nogi i leżeć w bólach, dopóki nie przyszliby mnisi.

Postanowiła wspiąć się do rzędu okien, tego najwyższego piętra kościoła. Wróciła do schodków i zaczęła się wspinać. Serce jej dudniło, kiedy wreszcie dotarła do szczytu. Wkroczyła w pasaż okienny, będący wąskim tunelem w ścianie. Przesuwała się bokiem po tym przejściu, póki nie doszła do wewnętrznego parapetu jednego z okien. Przytrzymała się filarka dzielącego okno na połowy, ale kiedy spojrzała na siedemdziesięciostopową przepaść, zaczęła się trząść.

Usłyszała czyjeś kroki. Czyżby Alfred? Zauważyła, że ciężko oddycha, jakby długo biegła. Ktoś się za nią skradał, próbując ją śledzić? W zasięgu wzroku nikogo nie było. Puściła filarek i trzęsąc się, stała na samym skraju. Jakaś postać pojawiła się w zasięgu jej wzroku. To Jack. Serce biło jej tak głośno, że słyszała jego uderzenia.

– Co ty tu robisz? – zapytał ostrożnie.

– Ja... patrzyłam, jak postępuje budowa katedry.

Wskazał na kapitel nad jej głową.

– Ja go zrobiłem.

Popatrzyła. Kamień przedstawiał mężczyznę podtrzymującego cały ciężar łuku na swych plecach. Jego ciało skręcało się z bólu. Aliena wpatrzyła się w figurę. Nigdy nie widziała niczego podobnego. Bez zastanowienia powiedziała:

– Tak właśnie się czuję.

Kiedy znowu spojrzała na niego, był tuż przy niej, trzymał ją za ramię delikatnie, lecz stanowczo.

– Wiem – szepnął.

Zerknęła w dół. Myśl o upadku stąd przyprawiła ją o mdłości.

Pociągnął ją za rękę. Pozwoliła zaprowadzić się do pasażu.

Zeszli po wąskich schodach. Czowała się słabo. Jack odwrócił się ku niej i po-

wiedział lekkim tonem:

– Czytałem na krużganku. Kiedy popatrzyłem w górę, zobaczyłem ciebie w tym rzędzie okien.

Spojrzała na jego młodą twarz, tak pełną przejęcia i czułości, i przypomniała sobie, że przyszła tutaj w poszukiwaniu samotności, że chciała uniknąć kontaktu z kimkolwiek. Pragnęła go pocałować i w jego oczach widziała taką samą tęsknotę. Musiała siłą woli powstrzymać się przed rzuceniem mu się w ramiona, stłumić uczucia i milczeć, choć w głowie kołatała się myśl: „Kocham ciebie jak burza, jak bezsilna furia”. Stojąc nieruchomo jak posąg, usłyszała swoje słowa:

– Myślę, że poślubię Alfreda.

Spojrzał na nią szeroko otwartymi oczami, osłupiały. Potem twarz mu posmutniała, w oczach pojawił się bezbrzeżny smutek. Pomyślała, że Jack się rozpłaczę, ale nie. Otworzył usta, by coś powiedzieć, zawahał się, zmienił zdanie i jednak się odezwał. Głosem jak lodowaty północny wiatr wyrzekł:

– Lepiej byłoby, gdybyś wyskoczyła przez to okno.

Odwrócił się plecami i odszedł z powrotem do klasztoru.

Straciłam go na zawsze, pomyślała; poczuła, że serce jej pęka.

II

Jacka widziano, jak wymyka się ukradkiem z krużganku. Nie było to ciężkie uchybienie, ale zdarzyło mu się to już kilka razy, a na dodatek wyszedł, by porozmawiać z niezamężną niewiastą. Z tego powodu sprawa stała się poważna, tak poważna, że omówiono ją na zgromadzeniu kapituły i ukarano go ograniczeniem swobody. To oznaczało, że może chodzić jedynie po klasztornych budynkach, krużgankach i krypcie, a podczas przejścia z jednego miejsca do drugiego musi mieć towarzystwo.

Nie przeszkadzało mu to. Słowa Alieny wprawiły go w takie przygnębienie, że wszystko przestało się liczyć. Wolne popołudnia spędzał na czytaniu. Gdyby zamiast ograniczenia ruchów skazali go na chłostę, też by go to nie obezszło.

Jeśli chodzi o jego pracę przy budowie katedry, to wszystko układało się dobrze, ale znaczna część przyjemności znikła, odkąd Alfred zaczął kierować. Jack robił wielkie postępy w łacinie, mógł już czytać wszystko, chociaż powoli, a ponieważ uważano, że lektura ma poprawić jego łacinę, więc mógł brać dowolne książki. Chociaż biblioteka nie była wielka, znajdowały się w niej prace filozoficzne i matematyczne i Jack pogrążył się w nich z zapalem.

Większość tekstów rozczarowywała go. Całe strony genealogii, zbiory cudów dokonywanych przez zmarłych świętych i niekończące się spekulacje teologiczne. Pierwszą książką, która naprawdę przemówiła do Jacka, okazała się historia świata od jego stworzenia do założenia klasztoru w Kingsbridge. Kiedy ją skończył, wydawało mu się, że wie wszystko, co kiedykolwiek się zdarzyło. Po pewnym czasie uświadomił sobie, że deklaracja, jakoby księga mówiła o wszystkich wydarzeniach, jest niewiarygodna, bo, tak w ogóle, różne sprawy się działy wszędzie przez cały czas, nie tylko w Kingsbridge i Anglii, ale i w Normandii, Anjou, Paryżu, Rzymie, i Jerozolimie, więc autor musiał wiele pominąć. Niemniej ta księga dała Jackowi uczucie, jakiego jeszcze nigdy nie zaznał. Zrozumiał mianowicie, że historia jest niczym opowieść, w której jedna sprawa prowadzi do drugiej, a świat nie jest ciągiem niepowiązanych ze sobą tajemnic, lecz ma swoją logikę, którą można poznać i pojąć.

Jeszcze bardziej intrygujące okazały się zagadki. Jeden z filozofów pytał, dlaczego słaby człowiek potrafi podnieść ciężki kamień za pomocą dźwigni. Samo zjawisko nigdy nie wydawało się Jackowi dziwne, ale teraz pytanie to zaczęło go dręczyć. Kiedyś spędził kilka tygodni w kamieniołomie i przypominał sobie, że kiedy kamienia nie dawało się ruszyć łomem długim na stopę, rozwiązaniem zwykle okazywało się użycie łomu dwustopowego. Dlaczego ten sam

człowiek, niemogący poruszyć kamienia krótką dźwignią, może to uczynić dźwignią dłuższą? To pytanie prowadziło do następnych. Budowniczy katedry używali wielkiego koła wyciągowego, by podnosić duże, ciężkie głazy i belki. Ładunek na końcu liny znacznie przekraczał możliwości udźwigu rąk jednego człowieka, ale ten sam człowiek potrafił obracać koło, na które nawijała się lina, i ładunek się podnosił. Jak to było możliwe?

Skupienie się na takich rozważaniach przynosiło ulgę, ale jego myśli wciąż wracały do Alieny. Stał na krużganku przed pulpitem, na którym leżała rozłożona ciężka księga, ale miast czytać, wspominał ten ranek, kiedy ją pocałował. Potrafił przywołać na pamięć każdy moment tego pocałunku, od pierwszego delikatnego zetknięcia się warg, do przejmującego dreszczem odczucia jej języka w jego ustach. Rozpamiętywał zetknięcie się ich ciał, kształt jej piersi i bioder. Wspomnienie było tak intensywne, że przeżywał to zawsze od nowa.

Dlaczego się zmieniła? Wciąż wierzył, że ten pocałunek był prawdziwy, a jej późniejsze postępowanie – fałszywe. Czuł, że ją poznał. Była kochająca, zmysłowa, romantyczna, pełna wyobraźni i ciepła. Była jednocześnie bezmyślna i wyniosła, nauczyła się także być twarda, lecz nie była zimna, nie była okrutna, nie była bez serca... Nie leżało w jej charakterze poślubienie mężczyzny dla pieniędzy, mężczyzny, którego nie kochała. Będzie nieszczęśliwa, będzie żałować, będzie chorować z żalu. Zdawał sobie z tego sprawę i wiedział, że ona także musi to wiedzieć.

Któregoś dnia, kiedy siedział w skrytorium, sługa klasztorny zamiatający podłogę zatrzymał się dla odpoczynku; oparty na miotle powiedział:

– Wielkie święto szykuje się w waszej rodzinie, co?

Jack studiował mapę świata narysowaną na wielkiej płachcie welinu. Podniósł wzrok. Stał przed nim zgrzybiały starzec, za słaby do ciężkiej pracy. Prawdopodobnie pomylił Jacka z kimś innym.

– A dlaczegóż to, Josephie?

– Nie wiedziałeś? Twój brat się żeni.

– Nie mam brata – odrzekł odruchowo, ale w sercu miał chłód.

– No, przybrany.

– Nie, nie wiedziałem. – Jack zacisnął zęby, że też musiał zadać to pytanie.

– Z kim się żeni?

– Z Alieną.

A więc postanowiła. Jack pielęgnował skrycie nadzieję, że ona zmieni zdanie. Odwrócił wzrok, by Joseph nie zobaczył rozpacz na jego twarzy.

– No, no – rzekł, starając się, by zadźwięczało to bez emocji.

– Tak. Właśnie z tą, co tak zadzierała nosa, dopóki nie straciła majątku podczas pożaru.

– Czy, czy mówiłeś kiedy?

– Jutro. Mają zamiar wziąć ślub w tym nowym kościele parafialnym, co go budował Alfred.

Jutro!

Aliena wychodzi za Alfreda. Jutro. Aż do tej pory Jack nie wierzył, że to się stanie. Teraz prawda uderzyła w niego jak grom. Aliena wychodzi jutro za mąż. Jutro skończy się dla niego życie.

Popatrzył na mapę rozłożoną na pulpicie. Jakie to ma znaczenie, czy ten środek świata jest w Jerozolimie, czy w Wallingfordzie? Czy stanie się szczęśliwszy, jeśli się dowie, że jego dźwignie działają? Powiedział Alienie, że powinna raczej skoczyć z tamtego okna, niż wyjść za Alfreda. To, co powiedział, znaczyło, że równie dobrze to on, Jack, z tego okna może skoczyć.

Pogardzał klasztorem, w każdym razie go nie cenił. Bycie mnichem to głupi sposób na życie. Jeśliby nie mógł zajmować się budową katedry, a Aliena miała poślubić kogoś innego, to on nie ma po co żyć.

Całe wydarzenie pogarszało jeszcze to, że Jack zdawał sobie w pełni sprawę z tego, jak bardzo żalosne będzie jej życie z Alfredem. Uważał tak nie dlatego, że nienawidził Alfreda. Było kilka dziewcząt, które mogłyby znaleźć mniejsze czy większe zadowolenie w małżeństwie z Alfredem, na przykład Edith, ta,

która chichotała, kiedy Jack opowiadał jej, jak lubi rzeźbić kamienie. Edith nie oczekiwałaby zbyt wiele po Alfredzie i rada by mu się poddawała i była posłuszna, dopóki Alfred by prosperował, kochałaby ich dzieci. Ale Aliena będzie nienawidzić każdej minuty. Będzie przeklinała szorstkość Alfreda, będzie nim gardziła za jego skłonność do tyranizowania, będzie czuła wstręt do jego małostkowości. Małżeństwo z Alfredem to jej piekło.

Dlaczego ona tego nie rozumie? Co się dzieje w jej umyśle? Z pewnością wszystko byłoby lepsze dla niej niż małżeństwo z człowiekiem, którego nie kocha. Wywołała sensację odrzuceniem Williama Hamleigha siedem lat temu, a teraz biernie podporządkowuje się propozycji od kogoś równie nieodpowiedniego. Co jej chodzi po głowie?

Jack musiał się dowiedzieć.

Musi z nią porozmawiać, do diabła z klasztorem!

Zwinął mapę i ruszył do drzwi. Joseph wciąż opierał się na kijku miotły.

– Myślałem, że masz być tutaj, dopóki brat Pierre po ciebie nie przyjdzie.

– Brat Pierre może się wypchać! – krzyknął Jack i wyszedł.

Zobaczył przeora wracającego z placu budowy i odwrócił się szybko, ale Philip zawołał:

– Jack! Co ty czynisz? Masz zakaz opuszczania klasztoru!

Do klasztornej dyscypliny Jack nie miał teraz cierpliwości.

Zignorował Philipa i poszedł w swoją stronę, kierując się do przejścia prowadzącego ku domkom przy nowym nabrzeżu. Ale nie miał szczęścia. W tej właśnie chwili brat Pierre wyszedł z pasażu, a za nim kroczyli jego dwaj zastępcy. Zobaczyli Jacka i zamarli. Wyraz zdumionego oburzenia zaczął rozlewać się na księżycowatej twarzy mnicha.

– Powstrzymaj tego nowicjusza, bracie! – zawołał Philip.

Pierre podniósł rękę, by zatrzymać Jacka, ale ten go odepchnął.

Oburzony mnich poczerwieniał i złapał Jacka za ramię. W tym momencie poczuł uderzenie w nos i krzyknął – bardziej ze zdziwienia niż bólu.

Jack walczył jak maniak, prawie się uwolnił, ale kiedy do Pierre'a dołączyli zastępcy, we trójkę zdołali przycisnąć go do ziemi. Jack nie przestawał się wyrywać, wściekły, że te cholerne klasztorne gnoje przeszkadzają mu w zrobieniu czegoś naprawdę ważnego – w rozmowie z Alieną. Powtarzał cały czas:

– Puszczajcie mnie, głupie durnie!

Dwu zastępców w końcu siadło na nim. Pierre wyprostował się, wycierał rękawem krwawiący nos. Philip pojawił się obok niego.

Mimo napadu furii Jack zauważył, że Philip jest wściekły, bardzo wściekły.

– Nie będę tolerować takiego zachowania u nikogo! – powiedział żelaznym głosem. – Jesteś nowicjuszem, więc będziesz mi posłuszny. Wsadź go do celi pokutnej – zwrócił się do Pierre'a.

– Nie! – krzyknął Jack. – Nie możesz!

– Z pewnością mogę! – ostro uciął przeor.

Celę stanowiło małe, pozbawione okien pomieszczenie w piwnicy, pod dormitorium, przy południowym krańcu, blisko latryn. Zamykano w niej przestępców czekających na sąd przeora lub na przekazanie szeryfowi w Shiring. Czasem jednak służyła jako miejsce izolacji dla mnichów, którzy popełnili poważne wykroczenia przeciw dyscyplinie, takie jak czyny nieczyste ze sługami klasztorными.

Samotność nie przerażała Jacka, wychowanego w lesie. Przerażała go myśl, że nie zobaczy Alieny.

– Ty nic nie rozumiesz! – wrzasnął do Philipa. – Muszę pomówić z Alieną!

– To za rozmowę z nią zostałeś ostatnio ukarany! – Philip krzyknął zdecydowanie.

– Ale ja muszę!

– Musisz nauczyć się bojaźni bożej i posłuszeństwa wobec przełożonych.

– Nie jesteś moim przełożonym, głupi ośle! Jesteś niczym! Puszczajcie mnie, wy przekłęci!

– Zabierzcie go – powiedział Philip ponuro.

Do tej pory zebrał się tłumek. Kilku mnichów podniosło Jacka. Rzucił się jak ryba na haczyku, ale było ich zbyt wielu. Nie chciał uwierzyć w to, co się działo. Kopiącego i wrywającego się ze wszystkich sił, niesiono wzdłuż pasażu do drzwi celi. Ktoś je otworzył. Brat Pierre powiedział mściwym głosem:

– Wrzucicie go tam!

Machnęli nim. Poleciał. Wylądował biodrem na kamiennej podłodze przy-sypanej słomą. Jakoś się podniósł, otępiąły nieco od uderzeń, i ruszył do drzwi, ale trzasnęły zamykane właśnie w chwili, kiedy w nie łupnął ciałem. Później usłyszał, jak ciężka sztaba żelazna dudni z drugiej strony i chrobocze zamykany skobel.

Jack walił w drzwi z całej siły.

– Wypuście mnie! – wrzeszczał histerycznie. – Muszę ją powstrzymać przed tym ślubem! Wypuście mnie! – Z drugiej strony nie dobiegał żaden dźwięk. Wołał i wołał, aż jego żądania przeszły w prośby, a głos zelżał do pis-sku, a następnie do szeptu; wreszcie popłynęły mu łzy bezsilnej wściekłości.

W końcu łzy wyschły i już nie mógł płakać.

Odwrócił się od drzwi. W celi nie było zupełnie ciemno, gdyż odrobina światła spod drzwi rozjaśniała nieco czerń, i potrafił z grubsza zorientować się w otoczeniu. Przeszedł wzdłuż ścian, macając je rękami. Izba wydawała się bezkształtna. Miała około sześciu stóp kwadratowych powierzchni, kolumnę w jednym rogu i wyginający się ku górze strop – najwyraźniej kiedyś było to większe pomieszczenie, a ścianę wybudowano, by wydzielić celę. W jednej ścianie było coś, co mogło kiedyś służyć jako wąskie okienko oświetleniowe, ale teraz zostało szczelnie zamknięte okiennicą. I tak byłoby za małe dla kogoś, kto chciałby przez nie wydostać się na zewnątrz. Kamienna podłoga wyglądała na wilgotną. Jack słyszał monotony szmer, dobiegający spod posadzki. Po zastanowieniu się doszedł do wniosku, że pewnie pod spodem znajduje się kanał. To by wyjaśniało, dlaczego podłoga jest kamienna, a nie z ubitej ziemi.

Poczuł się wyczerpany. Usiadł, oparłszy się plecami o ścianę, i skupił uwa-

gę na smudze światła pod drzwiami, drażniące przypomnienie o miejscu, gdzie chciał być. Jak do tego doszło? Nigdy nie miał zaufania do klasztoru, nigdy nie chciał poświęcać życia Bogu, tak naprawdę to nawet nie wierzył w Boga. Stał się nowicjuszem, bo tego wymagało doraźne rozwiązanie pilnego problemu: pozostania w Kingsbridge, blisko tego, co kochał. Myślał wówczas: zawsze mogę odejść, jeśli zechcę. Teraz jednak chciał odejść, chciał bardziej, niż kiedykolwiek sobie wyobrażał, a nie mógł. Był więźniem. „Uduszę Philipa, jak tylko stąd wyjdę – powiedział sobie – choćbym nawet miał za to zawisnąć”.

W tym momencie zastanowił się nad tym, kiedy go uwolnią? Usłyszał dzwon na kolację. Z pewnością zechcą go tutaj zatrzymać przez całą noc. Pewnie teraz naradzają się w jego sprawie. Najgorsi z mnichów będą domagać się co najmniej tygodnia w celi i tyleż milczenia; już widział, jak Pierre i Remigius żądają surowej kary. Inni, ci, co go lubili, może powiedzą, że jedna noc wystarczy. Co zrobi Philip? Lubił Jacka, ale teraz będzie strasznie zagniewany, szczególnie po tych słowach, jakimi go zelżył: „Nie jesteś moim przełożonym, ty głupi ośle, jesteś niczym”. Przeor przychylił się do tego, by obejść się z nim ostro. Jedyną nadzieją było to, że zechcą wyrzucić go jak najszybciej, według nich byłoby to najgorszą karą. Wtedy mógłby porozmawiać z Alieną jeszcze przed ślubem. Lecz Philip się temu sprzeciwił, tego akurat Jack był pewien. Przeor uważałby wyrzucenie Jacka za przyznanie się do porażki.

Światło pod drzwiami zbladło. Na zewnątrz się ściemniało. Jack pomyślał o tym, jak mają się tutaj załatwiać więźniowie. W celi nie było żadnego naczynia. To nie pasowało do mnichów: przeoczenie tego detalu nie było możliwe. Sprawdził podłogę raz jeszcze, cal po calu i znalazł małą dziurkę blisko jednego z kątów. Hałas czyniony przez wodę tutaj był głośniejszy, więc się domyślił, że dziura wiedzie do podziemnego kanału. Prawdopodobnie to miał być jego ustęp.

Krótko po tym, jak Jack dokonał swego odkrycia, otwarła się mała klapka judasza. Jack poderwał się na nogi. Miska i kromka chleba pojawiły się na pro-

gu. Jack nie widział twarzy człowieka.

– Kto to? – spytał.

– Nie wolno mi z tobą rozmawiać. – Jack rozpoznał ten głos, należał do starego brata Luke’a.

– Luke, czy oni mówili, jak długo tutaj będę?! – krzyknął.

– Nie wolno mi z tobą rozmawiać – powtórzył formułę.

– Błagam, powiedz mi, jeśli wiesz – prosił Jack.

– Pierre żądał tygodnia, ale Philip skrócił do dwu dni – szeptem odrzekł Luke. Trzasnęła klapka.

– Dwa dni! – powtórzył Jack z rozpaczą. – Ależ ona już zostanie mężatką!

Odpowiedzi nie było.

Jack stał spokojnie, nie patrząc na nic. Światło dochodzące przez szparę było silne w porównaniu z mrokiem wewnątrz i przez chwilę nie mógł nic zobaczyć, dopóki wzrok nie dostosował się ponownie do ciemności. Ale wtedy oczy wypełniły mu się łzami i znów nic nie widział.

Położył się na podłodze. Nic więcej nie można było zrobić. Zamknięto go tutaj do poniedziałku. W poniedziałek Aliena już będzie żoną Alfreda, obudzi się w jego łóżu, z jego nasieniem w sobie. Na tę myśl go zemdlilo.

Wkrótce zrobiło się ciemno choć oko wykol. Wymacał ręką miskę i napił się z niej. Zawierała czystą wodę. Ułamał kawałek chleba i włożył do ust, ale nie potrafił przełknąć. Wypił resztę wody i położył się znowu.

Nie spał, ale zapadł w jakiś rodzaj półsnu, w który się osunął z ulgą, jakby w marzenie czy wizję tych niedzielnych popołudni, jakie ostatniego lata spędzał z Alieną, kiedy opowiadał jej wymyśloną przez siebie historię o giermku, który kochał księżniczkę i udał się na poszukiwanie winorośli kwitnącej rubinami.

Dzwon o północy wyrwał go z tej drzemki-nie-drzemki. Przywykł już do mnisiego rozkładu czasu i budził się zawsze, chociaż często potrzebował drzemki popołudniowej, szczególnie kiedy na obiad było mięso. Mnisi właśnie będą wstawać z łóżek i ustawiać się w rzędek na procesję z dormitorium do ko-

ściola. Znajdowało się bezpośrednio nad jego głową, ale nic nie słyszał: cela jakby nie przepuszczała dźwięków. Bardzo szybko potem rozległ się dzwon na hymny, czyli w godzinę po północy. Czas biegł szybko, za szybko, bo jutro Aliena wychodzi za mąż.

Nad ranem, pomimo swego przygnębienia, zasnął.

Obudził się ze wzdrygnięciem. W celi był ktoś oprócz niego.

Ogarnęło go przerażenie.

Panowała smolista ciemność. Dźwięk wody zdawał się głośniejszy.

– Kto to? – spytał drżącym głosem.

– To ja, nie bój się.

– Matka! – Omal nie zemdlął z ulgi. – Skąd się dowiedziałas, że jestem tutaj?

– Stary Joseph przyszedł do mnie i powiedział, co się stało – wyjaśniła, nie ścisząc głosu.

– Cicho, mnisi usłyszą.

– Nie, nie usłyszą. Możesz tutaj śpiewać albo krzyczeć bez obawy, że cię na gorze usłyszą. Wiem, bo sprawdziłam.

Jego głowę wypełniało tyle pytań, że nie wiedział, które zadać jako pierwsze.

– Jak się tutaj dostałaś? Czy drzwi są otwarte? – Poruszył się w jej stronę, wyciągając przed siebie ręce. – Jesteś mokra!

– Kanał wodny biegnie dokładnie pod spodem. W podłodze jest luźny kamień.

– Skąd to wiesz?

– Twój ojciec w tej celi spędził dziesięć miesięcy. – Brzmienie jej głosu zdradzało udrękę.

– Mój ojciec? W tej celi? Dziesięć miesięcy?

– Tak, wtedy mnie nauczył tych wszystkich opowieści.

– Ale dlaczego się tutaj znalazł?

– Nigdy się nie dowiedzieliśmy – powiedziała niechętnie. – Został porwany czy aresztowany, nie zorientował się nigdy, w Normandii, a potem przywieziono go tutaj. Nie mówił ani po angielsku, ani po łacinie, nie miał pojęcia, gdzie się znalazł. Pracował w stajniach jakiś rok, tam go spotkałam. – Głos jej zmięczyła tęsknota. – Pokochałam go od pierwszego wejrzenia. Taki łagodny, wyglądał na przestraszonego i nieszczęśliwego, ale śpiewał jak ptak. Nikt z nim nie rozmawiał od miesięcy. Tak się ucieszył, kiedy odezwałam się po francusku, myślę, że zakochał się we mnie, już za samo to... – Gniew spowodował ponowne stwardnienie jej głosu. – Po krótkim czasie wsadzili go do tej celi. To wtedy odkryłam, jak się można tu dostać.

Jack zdał sobie sprawę, że został poczęty na tej podłodze. Zmieszał się na tę myśl, był rad, że jest ciemno i że nie mogą się widzieć nawzajem.

– Ale mój ojciec musiał coś zrobić, że go wsadzono tutaj.

– On nie mógł nic zrobić, o niczym takim nie potrafił nawet pomyśleć! Właśnie to oni wymyślili ten podstęp. Ktoś dał mu ozdobny kielich i powiedział, że może odejść. Milę czy dwie dalej został pojmany i oskarżony o kradzież tego kielicha. Za to go powiesili. – Rozpłakała się.

– Kto to wszystko uczynił?

– Szeryf z Shiring, przeor Kingsbridge... nie ma znaczenia kto.

– A... rodzina mego ojca? Musiał mieć rodziców, braci, siostry...

– Tak, miał wielką rodzinę, tam, we Francji.

– Dlaczego nie uciekł i nie wrócił do swoich?

– Raz próbował, złapali go i przywiedli z powrotem. To wtedy go zamknęli w tej celi. Mógłby spróbować jeszcze raz, kiedy już znaleźliśmy sposób na to, by się stąd wydostać. Lecz on nie znał drogi do domu, nie mówił po angielsku i nie miał pieniędzy. Szansa na powodzenie ucieczki była znikoma. Wszystko jedno, mógł uciec, teraz to wiem, ale wtedy nie przypuszczaliśmy, że go powieszają.

Jack objął matkę, by ją ukoić. Drżała przemoczona do nitki. Musi stąd

wyjsć i wysuszyć się. I wtedy dotarło do niego, że skoro ona może stąd wyjść, to on też.

– Pokaż mi, jak stąd wyjść – powiedział raptownie.

Pociągnęła nosem i przelknęła łzy.

– Trzymaj mnie za rękę i idź za mną. Poprowadzę.

Przesunęli się przez celę i nagle poczuł, że ona jest niżej.

– Po prostu opuść się do kanału – rzekła – weź głęboki wdech i wsadź głowę pod spód. Potem pełnij pod prąd, nie z prądem, bo wylądujesz w mniszej latrynie. Zacznie ci brakować oddechu, gdy już będziesz niemal na miejscu, ale spokojnie posuwaj się dalej, to wyjdiesz.

Zeszła jeszcze niżej i stracił z nią kontakt. Znalazł dziurę i opuścił się w nią. Stopy sięgnęły wody niemal natychmiast. Kiedy stanął na dnie kanału, głowę miał jeszcze w celi. Zanim się bardziej opuścił, namacał kamień i ustawił go ponownie na miejscu, złośliwie myśląc, jak bardzo zdumieją się mnisi, kiedy znajdą pustą celę.

Woda była zimna. Wziął głęboki wdech, opuścił się na ręce i kolana, popęzłał pod prąd. Ruszał się najszybciej, jak umiał. Podczas drogi wyobrażał sobie budynki nad sobą. Przełaził pod alejką, potem pod refektarzem, potem pod kuchnią i pod piekarnią. To niedaleko, ale wydawało się wiecznością. Spróbował wychylić się, ale uderzył głową o strop tunelu. Przeraził się, lecz przypomniał sobie słowa matki. Był już prawie na miejscu. Kilka chwil potem zobaczył światło nad sobą. Musiało zacząć świtać. Kiedy światło znalazło się dokładnie nad jego głową, wtedy wstał i z wdzięcznością wciągnął świeże powietrze. Poczekał, aż uspokoi mu się oddech, i wylazł z rowu.

Matka zmieniła suknie. Miała na sobie czystą i suchą, a wykręcała tę mokrą. Dla niego też przyniosła suche rzeczy. Leżały poukładane porządnie na brzegu, nie nosił ich od pół roku: płócienna koszula, zielona wełniana tunika, szare nogawice i skórzane buty. Matka się odwróciła, a Jack zrzucił ciężki habit i szybko ubrał się we własne rzeczy.

Cisnął habit do rowu. Nie miał zamiaru nigdy więcej go wkładać.

– Co teraz zrobisz? – spytała matka.

– Idę do Alieny.

– Od razu? Jest wcześniej.

– Nie mogę czekać.

Pokiwała głową.

– Bądź łagodny. Jest... rozbita.

Jack pochylił się, aby pocałować matkę, potem impulsywnie objął ją i uści-
skał.

– Wyrwałaś mnie z więzienia – powiedział i zaśmiał się. – Co za matka!

Uśmiechnęła się, ale oczy jej się zaszkliły.

Uściskał ją na pożegnanie i odszedł.

Mimo że już było jasno, nikogo nie dostrzegł. W niedzielny poranek nikt nie musiał pracować, więc wszyscy wykorzystywali możliwość spania po wschodzie słońca. Jack nie wiedział, czy powinien unikać spotkania z ludźmi. Czy przeor Philip miał prawo ścigać zbiegłego nowicjusza? Czy mógł go zmusić do powrotu? A jeśli nawet miałby takie prawo, to czy chciałby z niego skorzystać? Jack nie potrafił sobie odpowiedzieć. W Kingsbridge jednakże Philip był prawem, więc mógł spowodować kłopoty, tak czy inaczej. Z drugiej strony Jack nie myślał o przyszłości. Dla niego ważne były najbliższe chwile.

Doszedł do domku Alieny. Pomyślał, że może Richard jest z nią. Miał nadzieję, że nie, ale akurat na to nic nie mógł poradzić. Podeszedł do drzwi i zapukał cicho.

Nasłuchiwał. W środku nic się nie ruszało. Zastukał znowu, mocniej, tym razem nagroził go szelest słomy pod czyimiś nogami.

– Aliena? – powiedział głośno.

Usłyszał jej przestraszony głos.

– Tak?

– Otwórz drzwi!

– Kto tam?

– Ja, Jack.

– Jack!

Cisza. Jack czekał.

Aliena zamknęła oczy w rozpacz i przywarła do drzwi, przyciskając policzek do szorstkich desek. Nie Jack, pomyślała, nie dziś, nie teraz.

– Proszę, otwórz drzwi, szybko! – usłyszała nagłą szept. – Jeśli mnie złapią, wsadzą z powrotem do celi!

Wiedziała, że został zamknięty, całe miasto o tym mówiło. Widocznie uciekł. I przyszedł prosto do niej. Serce jej przyspieszyło! Nie mogła go odpchnąć.

Podniosła sztabę i otworzyła drzwi.

Rude włosy przylepiły mu się do głowy, mokre. Miał na sobie zwykłe rzeczy, nie habit. Uśmiechnął się do niej, jakby jej widok stanowił najlepszą rzecz, jaka mu się przytrafiła w życiu. Potem się zmarszczył i rzekł:

– Płakałaś.

– Dlaczego tu przyszedłeś?

– Musiałem cię zobaczyć.

– Dzisiaj wychodzę za mąż.

– Wiem. Mogę wejść?

Nie powinna go wpuścić, wiedziała o tym, ale zdała sobie także sprawę z tego, że jutro będzie żoną Alfreda, więc to jest ostatni raz, kiedy może porozmawiać z Jackiem sama. Pomyślała:

Nie dbam, czy to źle. Otworzyła drzwi szerzej. Jack wszedł, zamknęła za nim i założyła sztabę.

Stali twarzą w twarz. Teraz poczuła się zmieszana. Patrzył na nią z rozpaczliwą tęsknotą, jak umierający z pragnienia patrzy na wodospad.

– Nie patrz tak na mnie – powiedziała i odwróciła się.

– Nie wychodź za niego – rzekł.

– Muszę.

– Będziesz żałować, będziesz nieszczęśliwa.

– Już jestem nieszczęśliwa.

– Spójrz na mnie, proszę.

– A to dlaczego?

Odwróciła się i spotkała jego oczy.

– Proszę, powiedz mi, dlaczego to czynisz?

– Pamiętam, jak całowałaś się ze mną we młynie.

Spuściła oczy i poczuła, że pieką ją policzki. Pozwoliła sobie wtedy na chwilę słabości i sama się siebie wstydziła do tej pory. Teraz używał tego przeciw niej. Nic nie odrzekła. Nie miała nic na swoją obronę.

– Potem stałaś się taka zimna.

Nie podniosła na niego oczu.

– Byliśmy przyjaciółmi – ciągnął nielitościwie – przez całe lato, na twojej polanie przy wodospadziku... moje opowieści... byliśmy tacy szczęśliwi. Pocałowałem cię tam raz, pamiętasz?

Pamiętała, oczywiście, chociaż udawała przed sobą, że tego nie było. Teraz wspomnienia mieszały jej myśli i popatrzyła na niego oczyma pełnymi łez.

– Potem udało mi się uczynić tak, by młyn pracował dla ciebie, folując twoje tkaniny. Tak mi było przyjemnie, że ci mogłem pomóc w twoich interesach. Byłaś poruszona do głębi, kiedy to zobaczyłaś. Wtedy się znowu pocałowaliśmy, ale to już nie był zwykły pocałunek, jak ten pierwszy. Tym razem był... namiętny. – O Boże, tak, pomyślała i zaczerwieniła się znowu. Zaczęła szybciej oddychać. Chciała, żeby przestał, ale on mówił dalej. – Trzymaliśmy się w objęciach, bardzo mocno. Całowaliśmy się długo... Otwarłaś usta...

– Przestań! – krzyknęła.

– Dlaczego? – spytał brutalnie. – Co w tym złego? Dlaczego stałaś się taka

zimna?

– Bo się wystraszyłam! – powiedziała, nie myśląc, i wybuchnęła płaczem. Schowała twarz w dłoniach i szlochała. Chwilę później poczuła jego ręce na swoich pochylonych ramionach. Odjęła dłonie od twarzy i płakała w jego zieloną tunikę.

Po chwili objęła go w talii.

Położył policzek na jej włosach, jej brzydkich, krótkich, strzępiastych włosach, które jeszcze nie zdążyły odrosnąć po spaleniu, i głaskał jej plecy jak dziecku. Chciała tak stać wiecznie. Lecz on się odsunął trochę, by widzieć ją, i zapytał:

– Dlaczego się wystraszyłaś?

Wiedziała, ale nie umiała mu tego powiedzieć. Potrząsnęła głową i odstąpiła o krok, lecz trzymał ją blisko i nie pozwalał się oddalić.

– Słuchaj, Aliena, chcę, byś wiedziała, jak straszne to było dla mnie. Wydawało mi się, że mnie kochasz, potem wydawało mi się, że mnie nienawidzisz, a teraz masz zamiar poślubić mego przybranego brata. Nie rozumiem. Nic nie wiem o tych sprawach, nigdy dotąd się nie zakochałem. To wszystko takie bolesne. Brak mi słów, by wypowiedzieć, jak mi źle. Czy nie sądzisz, że w końcu powinnaś spróbować mi wyjaśnić, dlaczego ja muszę przez to wszystko przechodzić?

Poczuła się pełna skruchy. I pomyśleć tylko, że kocha tak bardzo, a rani tak mocno... Zrobiło jej się wstyd, że potraktowała go w taki sposób. Wobec niej zawsze starał się być jak najlepszy, czynił dobre rzeczy dla niej, a ona zrujnowała mu życie. Miał prawo do wytłumaczenia. Nakazała sobie, że będzie twarda jak gład.

– Jack, stało się coś ze mną. Dawno temu, coś naprawdę okropnego, coś, o czym pragnęłam zapomnieć. Nie chciałam nigdy o tym myśleć, ale kiedy mnie pocałowałeś w ten sposób, wszystko wróciło i nie mogłam wytrzymać.

– Co to było?

– Po uwięzieniu mego ojca mieszkaliśmy w zamku. Richard, ja i sługa imieniem Matthew. Pewnej nocy przybył William Hamleigh i wyrzucił nas.

Zwężyły mu się oczy.

– I?

– Zabili biednego Matthew.

Wiedział, że nie mówi całej prawdy.

– Dlaczego?

– Co masz na myśli?

– Dlaczego zabili sługę?

– Bo chciał ich powstrzymać. – Łzy płynęły strumieniem po jej twarzy, a w gardle dławiło, jakby dusiły ją słowa, które wypowiadała. Potrząsnęła bezradnie głową i spróbowała się odwrócić, ale Jack jej nie puścił.

– Powstrzymać przed czym? – zapytał głosem miękkim jak pocałunek.

Nagle zrozumiała, że jemu może to wyjawić, i powiedziała w pośpiechu:

– Zmusili mnie, giermek mnie trzymał, a William wlaźł na mnie, ale ja go nie puszczałam i potem odcięli kawałek ucha Richardowi i zagrozili, że będą ciąć dalej. – Teraz szlochała z ulgą, wdzięczna, że mogła w końcu to z siebie wyrzucić. Popatrzyła Jackowi w oczy i dodała: – Więc rozłożyłam nogi i William mi to zrobił, a giermek zmuszał Richarda do patrzenia.

– Tak mi przykro – wyszeptał Jack. – Słyszałem plotki, ale nigdy nawet nie pomyślałem... Aliena, kochanie, jak oni mogli?

Musiała wyznać mu wszystko.

– Potem, kiedy William skończył, giermek też to zrobił.

Jack zamknął oczy. Twarz miał napiętą i pobladłą.

Mówiła dalej:

– A potem, rozumiesz, kiedy ty i ja się całowaliśmy, zapragnęłam, żebyś ty mi to zrobił, ale przypomniałam sobie Williama i jego giermka i poczułam się tak okropnie i tak się przestraszyłam, że uciekłam. To dlatego byłam wobec ciebie niedobra i uczyniłam cię nieszczęśliwym. Tak mi przykro.

– Wybaczam ci – rzekł szeptem Jack. Przyciągnął ją do siebie, pozwoliła mu się objąć. To było takie kojące.

Drżał. Spytała z niepokojem:

– Nie czujesz do mnie odrazy?

Spojrzał na nią.

– Uwielbiam cię. – Pochylił głowę i pocałował ją w usta.

Zamarła. Tego nie oczekiwała. Odsunął się na chwilę, potem pocałował znowu. Dotknięcie jego warg było miękkie. Trochę z wdzięczności, a trochę z odzyskanej przyjaźni, podała mu swoje usta, potem je rozchyliła, w odległym wspomnieniu dawnego pocałunku. To dodało mu odwagi. Czowała ciepło jego oddechu na twarzy. Jack otwarł odrobinę swoje usta. Odsunęła się szybko.

Wyglądał, jakby go zraniła.

– Tak źle?

Nie bała się już tak jak kiedyś. Powiedziała mu całą potworną prawdę o sobie, a on nie wstrząsnął się z obrzydzeniem, był czuły i miły jak zawsze. Przynęła głowę, a Jack pocałował ją znowu. To nie było takie straszne. Nic w tym nie było groźnego, żadnej gwałtownej przemocy, żadnej żądz, nienawiści... Przeciwnie... ten pocałunek był przyjemnością dzieloną we dwoje.

Jej usta się otworzyły i od razu poczuła czubek jego języka. Pieścił jej rozchyłone usta. Odprężyła się nieco. Delikatnie ssal jej dolną wargę. Czowała się lekko oszołomiona...

– Czy zrobiłabyś to co ostatnio? – spytał.

– A co ja zrobiłam?

– Pokażę ci. Otwórz usta, tylko troszkę.

Uczyniła, jak prosił, i poczuła znów jego język, jak dotyka jej ust, przepycha się między zębami i błądzi w jej ustach w poszukiwaniu jej języka. Odsunęła się.

– Tak – powiedział – tak wtedy zrobiłaś.

– Naprawdę? – Była wstrząśnięta.

– Tak. – Uśmiechnął się, potem znów wyglądał poważnie. – Jeśli tylko zrobisz to jeszcze raz, to wszystkie smutki ostatnich dziewięciu miesięcy pójdą w zapomnienie.

Przybliżyła swoją twarz i zamknęła oczy. Po chwili poczuła jego usta. Otworzyła je, zawahała się, potem nerwowo wsunęła swój język między jego wargi. I wtedy przypomniała sobie, jak się czuła w starym młynie... Ekstacyczne uczucie wróciło. Wypełniła ją chęć trzymania go, dotykania jego skóry i włosów, czucia jego mięśni i kości. Zapragnęła być w nim i pragnęła, by on był w niej. Ich języki się zetknęły i zamiast poczuć zmieszanie i odrazę, czuła się przejęta, poruszona głęboko nastrojem intymności.

Oboje teraz ciężko oddychali. Jack trzymał jej głowę w swoich dłoniach. Ona głaskała jego ramiona, plecy, potem biodra, czując twarde, napięte mięśnie. Serce waliło jej mocno. W końcu przerwała pocałunek, straciła oddech.

Popatrzyła na niego. Miał twarz płonąca pożądaniem. Po chwili pochylił się nad nią, ale zamiast pocałować usta, uniósł jej brodę i pocałował delikatną skórę poniżej szyi. Usłyszała swój jęk. Opuścił głowę niżej i przesunął ustami po wypukłości jej piersi. Jej sutki nabrzmiały pod szorstką tkaniną, stały się nieznośnie wrażliwe. Wargi Jacka pochwyliły brodawkę. Czuła ciepło jego oddechu na skórze.

– Delikatnie – wyszeptła z obawą.

Pocałował brodawkę przez płótno i chociaż był delikatny, doznała gwałtownej rozkoszy. Zachłysnęła się.

Osunął się przed nią na kolana.

Przycisnął twarz do jej łona. Do tej pory jej wrażliwość mieściła się w piersiach, teraz nagle przesunęła się niżej. Znalazł skraj jej koszuli nocnej i uniósł ją do pasa. Przyglądała mu się, obawiając się jego reakcji: zawsze wstydziła się, że jest tam taka owłosiona. Lecz na Jacka nie podziałało to odpychająco, przeciwnie, przybliżył się i pocałował ją delikatnie dokładnie tam, jakby to była najmiłsza rzecz na świecie.

Upadła na kolana naprzeciw niego. Jej oddech stał się urywany, jakby przebiegła milę. Pragnęła go, ogromnie pragnęła. Gardło jej zaschło z pożądania. Położyła ręce na jego kolanach, potem wsunęła jedną pod tunikę. Nigdy dotychczas nie dotykała męskiego członka. Był gorący, suchy i twardy jak drewno. Kiedy badała jego długość, Jack odchylił się trochę do tyłu i jęknął w głębi krtani. Aliena podniosła jego tunikę, schyliła się i pocałowała go tam, tak jak on ją pocałował. Delikatne dotknięcie wargą...

Nagle opętała ją chęć pokazania mu swoich piersi. Wyprostowała się. Jack otworzył oczy. Patrząc na niego, szybko się rozebrała. Stała przed nim całkiem naga i świadoma swego ciała, ale to było radosne uczucie, zachwycający bezwstyd. Jack zahipnotyzowany wpatrywał się w jej piersi.

– Są takie piękne – rzekł.

– Naprawdę tak myślisz? Zawsze mi się wydawało, że są za duże.

– Za duże! – powiedział tonem, jakby taka sugestia była oburzająca.

Sięgnął i dotknął jej lewej piersi prawą dłonią. Głaskał skórę czubkami palców, delikatnie. Obserwowała go. Po chwili chciała, by był bardziej stanowczy. Swoimi rękami nakryła jego ręce i przycisnęła do swych piersi.

– Mocniej – szepnęła chrapliwie – chcę czuć więcej.

Jej słowa rozplomieniły go. Ścisnął piersi, potem wziął w palce sutki i lekko uszczypnął, aby troszeczkę zabolalo. To wrażenie wyzwoliło w niej szaleństwo. Wszystkie myśli pierzchnęły jej z głowy, opętała ją chęć czucia swego ciała i jego ciała.

– Zdejmij ubranie – poprosiła. – Chcę cię widzieć.

Ściągnął swoją tunikę i koszulę, zrzucił buty i nogawice, ukląkł przed nią znowu. Jego rude włosy w miarę wysychania skręcały się w niesforne kędziory. Ciało miał szczupłe i białe, o kościstych barkach i biodrach, zwinne i żyłaste. Wyglądał młodo i świeżo, a jego członek sterczał jak pień drzewa pośród kasztanowatych włosów podbrzusza. Nagle zapragnęła całować jego piersi. Pochyliła się w przód i przesunęła wargami po małych męskich sutkach. Stwardniały,

podobnie jak jej. Possała je lekko, chcąc, by doznał takiej samej przyjemności, jakiej doznała ona. Gładził ją po włosach.

Tak chciała, by znalazł się w niej, i to szybko.

Wiedziała, że Jack czuje się niepewnie.

– Jack, czy ty to pierwszy raz?

Kiwnął głową, minę miał trochę głupią.

– Cieszę się, cieszę się bardzo.

Wzięła go za rękę i wsunęła ją między swe uda. Nabrzmiała tam, uwrażliwiła się bardzo, więc jego dotknięcie przejęło ją dreszczem.

– Wycuj mnie – powiedziała. Poruszył palcami. – Wycuj w środku. – Z wahaniem wsunął powoli palec. Pożądanie uczyniło ją śliską. – To tam – wyszeptwała z westchnieniem zadowolenia. – To tam to musi wejść. – Odsunęła jego dłoń i położyła się na plecach na słomie.

Położył się nad nią, opierając się na łokciu i pocałował ją w usta. Poczuła, że w nią wchodzi, tylko trochę, a potem się zatrzymuje.

– Co się stało? – spytała.

– To jest takie małe, ja... Boję się, żeby cię nie bolało.

– Pchnij mocniej. Tak bardzo cię pragnę, że nieważne, czy zaboli.

Poczuła pchnięcie. Zabolało bardziej, niż się spodziewała, ale tylko przez chwilę, a potem stała się cudownie wypełniona. Wycofał się na chwilę i pchnął znowu. Poruszyła biodrami. Uśmiechnęła się do niego.

– Nie wiedziałam, że to może być takie miłe – powiedziała z niedowierzaniem.

Zaczął się poruszać rytmicznie. Ciągłe głaskania wyzwały gdzieś w jej głębi rozkosz. Usłyszała, że oddycha krótkimi zachłyśnięciami za każdym razem, kiedy ich ciała są najbliżej siebie. Wcisnęła palce w twarde grzbiet. Jej regularne zachłyśnięcia przeszły w okrzyki. Zanurzyła dłonie w jego włosach i przycisnęła głowę do swojej. Pocałowała go mocno, potem wcisnęła swój język w jego usta i poruszała nim coraz szybciej. Przestała myśleć. Czuła wielki

spazm radości. Otworzyła oczy i spotkała jego wzrok, wypowiedziała jego imię, a potem ogarnęła ją następna fala i następna; poczuła, że jego ciało skręca się konwulsyjnie, usłyszała, że on też krzyczy, i rozlało się w niej jakieś gorąco... Zadrżała z rozkoszy jeszcze, i jeszcze, tyle razy, że straciła rachubę, dopóki w końcu to uczucie nie zaczęło przygasać i stopniowo opadła bezwładnie i cicho.

Była zbyt wyczerpana, by ruszać się czy coś mówić, ale poczuła, że cały ciężar Jacka opada na nią; jego kościste biodra na jej biodrach, jego płaska pierś rozpląszcza jej biust, jego usta przy jej uchu, jego palce zanurzone w jej włosy. Tak właśnie powinno się dziać z mężczyzną i kobietą, to dlatego wszyscy tyle się nad tym rozwodzą, to dlatego mężowie i żony miłują się tak bardzo – myślała.

Oddech Jacka stał się lekki i regularny, a jego ciało rozluźniało się aż do zupełnej bezwładności. Zasnął.

Obróciła głowę i pocałowała jego twarz. Nie był za ciężki. Chciała, by tak został na wieczność, by stale tak na niej spał.

I wtedy przypomniała sobie.

Dzisiaj wychodzi za mąż.

Dobry Boże, pomyślała, co ja narobiłam?

Zaczęła płakać.

Po chwili Jack się obudził.

Scałował łyzy na jej policzkach z czułością nie do zniesienia.

– Och, Jack, ja chcę wyjść za ciebie – wyszeptała.

– I właśnie to zrobimy. – W jego głosie usłyszała bezmierną satysfakcję.

Nie zrozumiał, a to jeszcze gorzej.

– Nie możemy – rzekła i łyzy popłynęły szybciej.

– Ale po tym...

– Wiem...

– Po tym ty musisz wyjść za mnie!

– My nie możemy się pobrać – powiedziała. – Straciłam cały majątek, a ty nie masz nic.

Podniósł się na łokciach.

– Mam ręce – oświadczył z zapalem. – Jestem najlepszym rzeźbiarzem na całe mile dokoła.

– Zostałeś zwolniony...

– To nieważne. Mogę dostać pracę na każdej budowie świata.

Potrząsnęła żałośnie głową.

– To nie wystarczy. Ja muszę myśleć o Richardzie.

– Dlaczego? – spytał z oburzeniem. – Co to wszystko ma wspólnego z Richardem? Może sam się sobą zająć.

Uprzytomniła sobie dzielącą ich różnicę wieku. On miał pięć lat mniej od niej i ciągle myślał, że ma prawo być szczęśliwy.

– Kiedy mój ojciec umierał, przysięgam opiekować się Richardem, dopóki nie odzyska hrabstwa Shiring.

– Ale to może oznaczać nigdy!

– Lecz przysięga to przysięga.

Jack był zakłopotany. Stoczył się z niej. Jego miękki penis wysliznął się i doświadczyła uczucia bolesnej straty. Miała wrażenie, że nigdy więcej nie poczuje go w sobie ponownie. Zrobiło się jej z tego powodu bardzo smutno.

– Nie możesz tak uważać. Przysięga to tylko słowa. W porównaniu z tym to jest nic! Tylko ty i ja. – Popatrzył na jej piersi, potem pogłaskał kędziory na jej łonie. Skutek okazał się tak silny, że miała wrażenie smagnięcia batem. Spozstrzegł jej grymas i cofnął rękę.

Tak bardzo chciała powiedzieć: „No to dobrze, w porządku, ucieknijmy razem, natychmiast” i pewnie gdyby ją tak głaskał, powiedziała by to, ale teraz rozum już podpowiadał coś innego.

– Poślubię Alfreda.

– Nie bądź śmieszna.

– To jedyna możliwość.

Patrzył na nią szeroko otwartymi oczyma.

– Ja ci po prostu nie wierzę.

– To prawda.

– Ja nie pozwolę na to, by ktoś mi cię zabrał. Nie mogę, nie mogę... – Głos mu się załamał, stłumił narastający szloch.

– Jaki cel miałyby łamanie przysięgi złożonej umierającemu ojcu? Taki, by złożyć małżeńską przysięgę tobie? Jeśli złamałam pierwszą przysięgę, to ta druga jest bez wartości – przekonywała zarówno jego, jak i siebie.

– Nie dbam o to. Nie chcę twoich przysięg. Ja po prostu chcę, byśmy byli cały czas razem i byśmy się kochali, kiedy tylko nam na to przyjdzie ochota.

Oto jak osiemnastolatek widzi małżeństwo, pomyślała, ale tak nie powiedziała. Chętnie by przyjęła ten pogląd za swój, gdyby tylko nie była związana przysięgą.

– Ja nie mogę robić tego, co chcę – rzekła smutno. – Chciałabym, ale taki już jest mój los.

– To, co ty robisz, jest błędne. To znaczy złe. Oddawać szczęście, takie jak to, to tak jak rzucać klejnoty w ocean. To daleko gorsze od najcięższego grzechu.

Nieoczekiwanie pomyślała, że jej matka zgodziłaby się z takim rozumowaniem. Nie miała pewności, skąd to wie, ale była pewna. Odsunęła tę myśl.

– Ja nigdy nie mogłabym być szczęśliwa, nawet z tobą, gdybym musiała żyć ze świadomością, że złamałam przysięgę złożoną ojcu.

– Bardziej dbasz o swego brata niż o mnie. – Jack stawał się lekko rozdrażniony.

– Nie...

– No, to co?

On po prostu chciał się pokłócić, ale ona rozważała tę sprawę poważnie.

– Przypuszczam, że chodzi o to, iż moja przysięga złożona ojcu jest dla

mnie ważniejsza niż moja miłość do ciebie.

– Tak? – spytał niedowierzająco. – Naprawdę?

– Tak – odrzekła z ciężkim sercem, a słowa zadźwięczały jej we własnych uszach jak pogrzebowy dzwon.

– No, to już nic więcej mówić nie trzeba.

– Tylko... tak mi przykro.

Wstał, odwrócił się tyłem i podniósł koszulę. Przyglądała się jego długiemu, gibkiemu ciału. Na nogach miał mnóstwo krótkich, kręconych rudozłoty włosów. Prędko włożył koszulę i tunikę, potem naciągnął nogawice i obuł się. To wszystko działo się tak szybko.

– Będziesz strasznie nieszczęśliwa – powiedział.

Próbował jej dokuczyć, ale to mu nie wyszło, bo usłyszała współczucie w jego głosie.

– Tak będę... – przerwała na chwilę. – Czy powiesz... na pożegnanie... – jej głos rwał się, a w krtani narastał szloch. – Czy powiesz, że szanujesz mnie... i moją decyzję?

– Nie – odparł bez wahania. – Nie powiem. Gardzę tobą za to.

Siedziała nago, patrzyła na niego, wreszcie zaczęła płakać.

– Równie dobrze mogę sobie pójść – stwierdził, lecz jego głos znów się załamał.

– Tak, idź – zaszlochała.

Poszedł do drzwi.

– Jack!

Zawrócił.

– Czy możesz życzyć mi szczęścia?

Podniósł rygiel.

– Dobrze... – przerwał, niezdolny do mówienia. Popatrzył na podłogę, potem na nią. Tym razem udało mu się wyszeptać. – Powodzenia.

Wyszedł.

Zbudowany przez Toma dom stanowił teraz własność Ellen, ale był także domem Alfreda, więc tego ranka kręciło się w nim sporo ludzi przygotowujących uroczystość weselną. Wszystkiego doglądała Martha, trzynastoletnia siostra Alfreda. Matka Jacka, niepokieszona, wciąż patrzyła w okno. Alfred też tam był, z ręcznikiem w ręku, właśnie wybierał się nad rzekę (kobiety kąpały się raz na miesiąc, a mężczyźni na Wielkanoc i na świętego Michała), bo tradycja nakazywała wykąpać się przed ślubem. Ucichło wszystko, kiedy wszedł Jack.

– Czego chcesz? – zapytał Alfred.

– Odwołaj ślub!

– Wynoś się!

Jack uświadomił sobie, że źle zaczął. Nie powinien od razu dążyć do kłótni. To, co zamierzał powiedzieć, leżało także w interesie Alfreda, jeśli tylko właściwie mu to wyłoży.

– Alfredzie, przecież ona cię nie kocha – zaczął znowu, jak tylko umiał łagodnie.

– Nic o tym nie wiesz, chłopczyku.

– Wiem – rzekł Jack. – Ona ciebie nie kocha. Wychodzi za ciebie za mąż ze względu na Richarda. Tylko jemu to małżeństwo przyniesie zadowolenie.

– Wracaj do klasztoru – rzucił Alfred pogardliwie. – A dokąd to wybierał się twój habit?

Jack wziął głęboki oddech. Nie mógł zrobić już nic poza powiedzeniem mu całej prawdy.

– Alfred, ona mnie kocha.

Spodziewał się wybuchu wściekłości, ale zamiast tego na twarzy Alfreda zobaczył cień przebiegłego uśmiechu. Tego nie oczekiwał. Co to miało znaczyć? – zdumiał się. Stopniowo jednak zaczynała do niego docierać motywacja brata, świtało mu rozwiązanie.

– Ty już wiesz o tym! – Nie dowierzał. – Wiesz, że ona mnie kocha, i nie

dbasz o to! Chcesz jej niezależnie od tego, czy cię kocha, czy nie! Ty po prostu chcesz ją mieć!

Ukradkowy uśmiech Alfreda stał się bardziej widoczny i bardziej złośliwy. Jack utwierdził się, że jego domysły są słuszne. Lecz w twarzy Alfreda było coś jeszcze, coś, co dawało się wytłumaczyć. Niewiarygodne podejrzenie zrodziło się w duszy Jacka.

– Dlaczego chcesz jej? Czy to... Czy mógłbyś ją wziąć tylko z tego powodu, by nie była moja? – W jego głosie narastał gniew. – Chcesz ją poślubić po prostu na złość? – Wyraz przebiegłego triumfu wypełził na głupią twarz Alfreda, a Jack zrozumiał, że ma rację. Mąciło mu się w głowie. Świadomość, że Alfred nie robi tego wszystkiego ze zrozumiałej chęci posiadania Alieny, ale tylko z czystej złośliwości, nie, tego za wiele, tego się nie da znieść... – Cholera, lepiej, żebyś ją dobrze traktował! – zawołał.

Alfred się roześmiał.

Krańcowa złośliwość przybranego brata wstrząsnęła Jackiem, to było jak uderzenie obuchem w głowę. Alfred nie miał najmniejszego zamiaru dobrze jej traktować. Chciał ożenić się z Alieną po to, by ją unieszczęśliwić, by znęcać się nad nią tak, jak prześladował Jacka. To miała być ostateczna zemsta na Jacku.

– Ty śmieciu – rzekł gorzko – ty gadzie oślizgły. Ty plwocino. Ty gówno. Ty paskudny, głupi, ohydny, glistowaty robaku.

Jego pogarda dotarła wreszcie do Alfreda. Upuścił ręcznik i zbliżał się do Jacka z ręką zaciśniętą w pięść. Jack już się przygotował i zrobił krok do przodu, by uderzyć pierwszy. Nagle jego matka wkroczyła między nich i, pomimo swego małego wzrostu, zatrzymała ich jednym zdaniem:

– Alfred, idź się wykąpać.

Alfred szybko się uspokoił. Zdał sobie sprawę z tego, że zapewnił sobie wygraną bez walki z Jackiem, a jego rozumowanie objawiło się zadowolonym uśmiechem. Wyszedł z domu.

– Co masz zamiar zrobić, Jack? – spytała matka.

Roztrzęsiony, oddychał ciężko przez chwilę, zanim zdołał się odezwać. Wiedział już, że ślub się odbędzie, i wiedział też, że nie mógłby patrzeć na tę ceremonię.

– Muszę opuścić Kingsbridge.

Zobaczył, jak smutek ścina twarz matki, ale kiwnęła głową.

– Obawiałam się tego, ale myślę, że masz rację.

Dobiegł ich dźwięk klasztorного dzwonu.

– Lada chwila zorientują się, że uciekłem.

– Idź szybko – ściszyła głos – ale schowaj się tak, żebyś miał most w zasięgu wzroku. Przyniosę ci trochę rzeczy.

– W porządku. – Odwrócił się do wyjścia.

Martha stanęła między nim i drzwiami, a łzy spływały jej po twarzyczce. Objął ją, uścisnął. Ona przytuliła go najmocniej jak mogła! Jej dziewczęce, płaskie i kościste ciało przypominało chłopca.

– Wróc kiedyś – poprosiła żarliwie.

Szybko ją pocałował i odszedł.

Dokoła kręciło się teraz mnóstwo ludzi; nosili wodę i cieszyli się łagodnym jesiennym porankiem. Większość z nich wiedziała, że został nowicjuszem, miasteczko było jeszcze wystarczająco małe, aby wszyscy znali sprawy wszystkich, więc jego świeckie odzienie wywoływało zaskoczone spojrzenia, chociaż nikt go o nic nie pytał. Zbiegł w dół wzgórza, przeszedł przez most i wzdłuż brzegu rzeki udał się w stronę kępy sitowia. Tam przykucnął i obserwował most w oczekiwaniu na matkę.

Nie miał najmniejszego pojęcia, gdzie pójść. Może powinien ruszyć prosto przed siebie i iść, póki nie znajdzie miasta, gdzie stawiają katedrę. Naprawdę uważał, że jest dosyć dobry, by go wszędzie zatrudniono. Wystarczy, że pokaże, jak rzeźbi, i każdy mistrz budowniczy go przyjmie. Lecz teraz nie wydawało się to ważne. Nigdy nie pokocha innej kobiety oprócz Alieny, a w sprawie katedry miał podobne odczucia. Chciał budować tutaj, a nie gdzieś tam.

Może po prostu pójdzie do lasu, położy się i umrze. Wydało mu się to całkiem miłym pomysłem. Pogoda była łagodna, a drzewa stały zielone i złote, miałby tedy piękny koniec. Żałował tylko, że nie dowiedział się niczego więcej o swoim ojcu, o tym, co się z nim działo, zanim umarł.

Widział już siebie, jak leży na łożu jesiennych liści i osuwa się powoli i łagodnie w ramiona śmierci, kiedy zobaczył matkę idącą przez most. Prowadziła konia.

Wstał i pobiegł do niej. Kasztanowata klacz, na której zawsze jeździła.

– Chcę, żebyś zabrał moją klacz.

Podziękował jej uściskiem ręki.

Łzy napłynęły jej do oczu.

– Nigdy nie dbałam o ciebie najlepiej. Urodziłam cię w dzikim lesie i wychowywałam cię dziko. Potem pozwoliłam, byś umierał z głodu przy Tomie. A potem spowodowałam, że mieszkałeś z Alfredem.

– Nie. Dbałaś o mnie cudownie, mamó. Wiesz, kochałem się z Alieną dzisiaj rano. Teraz mogę umrzeć szczęśliwy.

– Ty głuptasie. Jesteś tak do mnie podobny... Jeśli nie możesz mieć tego, kogo kochasz, nie chcesz nikogo innego.

– To ty taka jesteś?

Pokiwała głową.

– Po śmierci twego ojca mieszkałam sama, nie chciałam nikogo innego, póki w jedenaście lat później nie zobaczyłam Toma. – Wyswobodziła się z jego objęć. – Opowiadam ci to nie bez powodu. To może trwać jedenaście lat, ale znajdziesz kogoś takiego, kogo pokochasz. To mogę ci przyrzec.

Potrząsnął głową.

– Nie wydaje mi się to możliwe.

– Wiem. – Obejrzała się nerwowo przez ramię w stronę miasta. – Lepiej już idź.

Podszedł do konia. Juki były wypchane.

– Co jest w jukach?

– Trochę jedzenia i pieniędzy, bukłak pełen wina, to w tym. – Wskazała na jeden z juków. – Pozostałe zawierają narzędzia Toma.

Wzruszyło go to. Matka uparła się, by zatrzymać te narzędzia jako pamiątkę. A teraz przekazywała je właśnie jemu. Objął ją.

– Dziękuję ci.

– Gdzie pojedziesz?

Znowu pomyślał o ojcu.

– Gdzie żonglerzy opowiadają swoje historie? – odpowiedział pytaniem.

– Na drodze pielgrzymek do Composteli.

– Jak myślisz, czy żonglerzy mogą jeszcze pamiętać Jacka Shareburga?

– Mogą. Mów im, że wyglądał jak ty.

– A gdzie jest Compostela?

– W Hiszpanii.

– No to pojedę do Hiszpanii.

– To daleko, Jack.

– Mam czas.

Zarzuciła mu ramiona na szyję i objęła jak najmocniej. Zastanowił się, ile razy to czyniła przez osiemnaście lat, kojąc go po rozbiciu kolana, zgubieniu zabawki, po chłopięcych rozczarowaniach. A teraz z żalu, że jest już zbyt dorosły. Pomyślał o wszystkich sprawach, jakie dla niego zrobiła, od wychowania w lesie po wyciągnięcie go z celi pokutnej. Zawsze była gotowa walczyć o swego syna jak kocica. Pozostawienie jej było bolesne.

Puściła go, a on wskoczył na konia.

Obejrzał się na Kingsbridge. Kiedy przybył tu pierwszy raz, miasteczko było senne, chylące się ku ruinie, katedra na pół zwalona. Podpalił tę starą katedrę, nikt poza nim o tym nie wiedział. Wraz z budową nowej świątyni Kingsbridge się zmieniło, teraz to było ruchliwe miasto, mające znaczenie. Cóż, są inne miasta. Rozstanie z Kingsbridge było przykre, ale Jack znajdował się na

skraju nieznanego, tuż-tuż czekała przygoda, więc to łagodziło ból rozstania z tym, co ukochał.

– Wróc któregoś dnia, proszę, Jack.

– Wrócę.

– Przyrzekasz?

– Przyrzekam.

– Jeśli braknie ci pieniędzy, zanim znajdziesz pracę, sprzedaj konia, a nie narzędzia.

– Kocham cię, mamó.

Oczy jej się zamgliły.

– Uważaj na siebie, synu.

Spiął konia i ruszył. Odwrócił się i pomachał jej ręką. Matka podniosła dłoń. Popędził konia i kiedy już jechał kłusem, nie obejrzał się więcej.

Richard wrócił do domu tuż przed ślubem.

Król Stefan szczerze udzielił mu dwóch dni urlopu, tak to wyjaśnił. Armia królewska stała w Oksfordzie, oblegając zamek, w którym dopadli Matyldę, i rycerze mieli niewiele do roboty.

– Nie mogę opuścić ślubu mej siostry – rzekł Richard na przywitanie, a Aliena gorzko pomyślała, że tak naprawdę to on pragnie się ostatecznie upewnić, że umowa doszła do skutku i otrzyma to, co mu Alfred obiecał.

No, ale i tak cieszyła się, że był tutaj i odprowadzał ją do kościoła i że to on ją wydawał za mąż.

Włożyła nową płócienną koszulę i białą suknię według najnowszego kroju. Ze swymi zniszczonymi włosami zbyt wiele nie mogła zrobić, więc najdłuższe części splotła w warkocze i okryła białym jedwabiem. Wczesnoranne igraszki z Jackiem, późniejsze rozmyślenia i brak snu sprawiły, że była blada, przemęczona. Cóż, nic na to nie mogła poradzić. Richard ją obserwował. Wydawał się

nerwowy i niespokojny, jakby czuł się winny. Pilnował jej. Obawiał się, że Aliena może odwołać wszystko w ostatnim momencie.

A były takie chwile, kiedy chciała to zrobić. Wyobrażała sobie siebie i Jacka, jak ręka w rękę odchodzą z Kingsbridge, by dotrzeć tam, gdzie można uczciwie pracować, wieść życie proste, niezwiązane łańcuchem starych przysięg złożonych rodzicom, którzy już pomarli. Lecz to tylko niemądre marzenie. Nigdy nie byłaby szczęśliwa, gdyby porzuciła swego brata.

Kiedy doszła do tego wniosku, wyobraziła sobie siebie schodzącą w dół wzgórza, stojącą na brzegu i rzucającą się do rzeki. Ujrzała swe bezwładne ciało oblepione ślubną suknią, spływające z prądem rzeki, twarzą do góry, z włosami falującymi wokół głowy. I wtedy pomyślała, że małżeństwo z Alfredem jest czymś lepszym niż utonięcie... że to najlepsze z możliwych rozwiązań większej części jej codziennych kłopotów.

Jack gardziłby nią za takie rozumowanie...

Odezwał się kościelny dzwon.

Aliena wstała.

Nigdy, przenigdy nie wyobrażała sobie swego ślubu w ten sposób. Kiedy myślała o tym dniu jako dziewczynka, sądziła, że to ojciec będzie jej służył ramieniem, odprowadzając ją z twierdzy przez most zwodzony do kaplicy na niższym dziedzińcu, a ojcowscy rycerze, dzierżawcy i słudzy będą stać wszędzie, gdzie im się uda wcisnąć, żeby wiwatować i życzyć jej szczęścia. Tego młodego człowieka, który miał czekać w kaplicy, w swoich snach i marzeniach widziała raczej niejasno, ale wiedziała, że ją uwielbia i rozśmiesza, a ona uważa go za cudownego. No, cóż. Nic w jej życiu nie ułożyło się tak, jak oczekiwała. Kiedy wychodziła, Richard przytrzymał drzwi małego, jednoizbowego domu.

Ku jej zaskoczeniu kilkoro sąsiadów czekało na zewnątrz, aby zobaczyć, jak wychodzi. Kilku zawołało: „Bóg cię błogosławi!” albo „Powodzenia!”. Poczowała wobec nich ogromną wdzięczność. Obsypano ją deszczem pszenicy, kiedy szła ulicą. Ta pszenica to życzenie płodności. Powinna mieć dzieci, a one

powinny ją kochać.

Kościół parafialny mieścił się po drugiej stronie miasta, w bogatej dzielnicy, gdzie zacznie od dzisiaj mieszkać. Minęli klasztor. Teraz właśnie mnisi odprawiają swe nabożeństwo w krypcie, ale przeor Philip obiecał, że znajdzie czas, by przyjść na ucztę weselną i pobłogosławić młodej parze. Aliena miała nadzieję, że to zrobi. On okazał się ważną osobą w jej życiu, szczególnie od tego dnia sześć lat temu, kiedy sprzedał jej wełnę w Winchesterze.

Przybyli do nowego kościoła, zbudowanego przez Alfreda przy pomocy Toma. Na zewnątrz stał tłum. Ślub miał być udzielony na ganku, po angielsku, po nim miała nastąpić rzymska msza, już w środku. Zjawili się wszyscy, którzy pracowali z Alfredem, a także ci, którzy tkali dla Alieny w tamtych dawnych czasach przed pożarem. Wszyscy zaczęli wiwatować na jej widok.

Alfred czekał na nią wraz z Marthą i murarzem Danem. Miał na sobie nową szkarłatną tunikę i czyste buty. Aliena zauważyła, że brakuje Ellen. Rozczarowało ją to. Chciała zapytać Marthę, gdzie jest jej macocha, lecz pojawił się ksiądz i zaczęła się uroczystość.

Pomyślała, że jej życie zaczęło się toczyć w określony sposób po tym, jak złożyła ojcu przysięgę. Teraz nowe koleje losu mają swój początek w przysiędze składanej kolejnemu mężczyźnie. Jej życie było pasmem ofiar, tak rzadko mogła zrobić coś dla siebie. Dzisiejszy poranek z Jackiem stanowił wstrząsający wyjątek. Kiedy przypomniała sobie, co uczyniła, nie umiała w to wierzyć. Zdawało się jej to marzeniem albo jedną z baśniowych opowieści Jacka, historii o czymś, co z prawdziwym życiem nie miało nic wspólnego. Nie powie o tym nikomu. To zachwycający sekret, który będzie pielęgnować wyłącznie ona, i przypominać sobie raz na jakiś czas, jak to czyni nędzny skąpiec, liczący swoje skarby w samym środku nocy.

Nadszedł czas przysięgi. Aliena powtarzała słowa wypowiedane przez księdza:

– Alfredzie, synu Toma Budowniczego. Biorę sobie ciebie za męża i przy-

sięgam ci wierność na wieki. – Miała chęć się rozplakać.

Alfred przysięgał następny. Kiedy zaczął mówić, podniósł się jakiś zgiełk, ludzie zaczęli się oglądać. Aliena złapała wzrok Marthy, a ona wyszeptwała:

– To Ellen.

Ksiądz ponuro zmarszczył brwi.

– Alfred i Aliena, od tej pory poślubieni są sobie w obliczu Boga i niech błogo...

Nigdy nie dokończył tego zdania. Przerwał mu donośny głos:

– Przeklinam ten ślub!

To Ellen.

Tłum zachłysnął się ze zgrozy.

– I niech błogosławieństwo... – ksiądz próbował zakończyć ceremonię. Nagle przerwał, zbladł i zrobił znak krzyża.

Aliena odwróciła się. Tuż za nią stała Ellen. Tłum skurczył się, zostawiając wokół niej wolne miejsce. W ręce trzymała koguta z podciętą szyją.

– Przeklinam ten ślub smutkiem. – Te słowa zmroziły serce Alieny. – Przeklinam ten ślub bezpłodnością. Przeklinam go goryczą, nienawiścią i żalem. Przeklinam go niemocą. – Wypowiadając słowo „niemoc”, rzuciła zakrwawionego ptaka w powietrze. Kilkoro ludzi krzyknęło i cofnęło się w popłochu. Aliena stała jak wrośnięta. Kogut leciał w górę, tryskając krwią, i spadł na Alfreda, który odskoczył do tyłu, ogarnięty zgrozą. Sflaczały krwawiący trupek klapnął na ziemię.

Kiedy wszyscy podnieśli wzrok, Ellen zdążyła zniknąć.

Martha położyła czyste płócienne prześcieradła i nową wełnianą derkę na wielkim puchowym posłaniu należącym do Toma i Ellen, a teraz przechodzącym na własność i użytek Alfreda i Alieny. Od ślubu nie widziano jej macochy. Uczta weselna była ponura, a goście opuścili dom weselny bez zwyczajnych

w takich razach żartów o nocy poślubnej. Richard wrócił do domku Alieny na nabrzeżu, który teraz stał się jego własnością.

Alfred myślał o wybudowaniu kamiennego domu, nowego, tylko dla nich, z nastaniem przyszłego lata. Przechwalał się tym przed Richardem w trakcie uczyty.

– Będzie tam komnata sypialna, wielka izba i piwnica. Kiedy żona Johna Silversmitha, srebrnika, go zobaczy, zechce mieć taki dla siebie. Niedługo wszyscy zamożni w mieście zechcą mieć kamienne domy.

– Czy masz już projekt? – spytał Richard, a Aliena usłyszała w jego głosie cień niedowierzania, choć, jak się wydawało, nikt inny tego nie zauważył.

– Mam kilka starych projektów ojca, rysowanych inkaustem na welinie. Na jednym z nich jest dom, jaki budowaliśmy dla Alieny i Williama Hamleigha wiele lat temu. Oprę się na nim.

Aliena odwróciła się z obrzydzeniem. Jak ktokolwiek mógł być tak tępy, tak beznadziejnie głupi, żeby wspominać o tym akurat w dzień ślubu? Alfred tego popołudnia buchał samochwalstwem i zadowoleniem z siebie, nalewał wino i opowiadał dowcipy, wymieniał chytne grymasy ze swymi towarzyszami pracy. Sprawiał wrażenie szczęśliwego.

Teraz siedział na skraju łoża i ścigał buty. Aliena zdjęła wstążki z włosów. Nie wiedziała, co sądzić o przekleństwie Ellen. Wstrząsnęło to nią, ale nie obawiała się tego przekleństwa tak, jak bała się go większość ludzi.

O Alfredzie nie można było tego powiedzieć. Kiedy zabity kogut upadł na niego, przeraził się tak, że mógł jedynie wydawać z siebie nieartykułowane dźwięki. Aby przywrócić mu zmysły, Richard szarpał nim, popychając do tyłu i ciągnąc do przodu, na przemian. Doszedł do siebie dosyć szybko, to prawda, i jedynym znakiem jego niepokoju były nerwowe poklepywania się po plecach z wszystkimi pijącymi piwo za zdrowie młodej pary i pana młodego.

Aliena była dziwnie spokojna. Wiedziała, czego będzie domagać się jej mąż, i choć to może okazać się obrzydliwe, nie stanie się poniżające. Zrobi to

tylko jeden mężczyzna, a nikt nie będzie się przyglądać.

Zdjęła suknię.

– Chryste, ale długi nóż – zauważył Alfred.

Odpięła pasek przytrzymujący nóż przy jej lewym przedramieniu i w koszuli weszła do łóża.

Alfred wreszcie zdjął buty. Ściągnął spodnie i wstał. Spojrzał na nią lubieżnie.

– Zdejmij bieliznę – powiedział. – Mam prawo do oglądania cycków mojej żony.

Aliena zawahała się. Posłusznie usiadła i ściągnęła koszulę przez głowę, tłumiąc wspomnienie żarliwości, z jaką czyniła to samo wczesnym rankiem dla Jacka.

– Ależ to para ślicznotek – rzekł Alfred.

Podszedł, złapał i przytrzymał jej prawą pierś. Jego wielkie łapy miały zaczerwienioną skórę, twardą od pracy, i brudne paznokcie. Ścisnął mocno, aż się skrzywiła. Zaśmiał się i puścił. Zrobiwszy krok w tył, ściągnął tunikę i odwiesił na haku. Potem wrócił do łóżka i zerwał z niej prześcieradło.

Aliena przełknęła ślinę z trudem. Składała ofiarę z własnego życia.

– Na Boga, to ta z tych włochatych. – Sięgnął i pomacał między jej nogami. Zesztywniała, lecz potem zmusiła się do rozluźnienia, choć odrobinę, swoich ud. – Dobre dziecko – powiedział, a potem wepchnął palec do środka. Zabolało, była tam sucha. Nie rozumiała, co się stało; przecież z Jackiem była mokra i śliska. Alfred chrząknął i wcisnął palce głębiej.

Miała chęć zapłakać. Wiedziała, że nie sprawi jej to radości, lecz nie spodziewała się, że Alfred okaże się aż tak nieczuły. Nawet jej nie pocałował. On mnie nie kocha, pomyślała, on mnie nawet nie lubi. Jestem tylko pięknym, młodym koniem, na którym pojeździ. W rzeczywistości konia traktowałby lepiej, poklepałby i pogłaskał, by koń się do niego przyzwyczaił, mówiłby do konia łagodnie i miękko, aby był spokojny. Stłumiła łzy. Sama to wybrała, więc musi

przez to przejść.

– Sucha jak piła – mrucał Alfred.

– Przepraszam – wyszeptwała.

Wycofał rękę, splunął dwa razy i wtarł plwocinę między jej nogi. To było ohydne, ponizające. Zagryzła wargę i popatrzyła gdzieś w dal.

Rozsunął jej uda szeroko. Zamknęła oczy, potem je otworzyła i zmusiła się do patrzenia na niego. Przywyknij do tego, masz to robić przez resztę twego życia, nakazywała sobie. Alfred uklęknął na łóżku między jej nogami. Ściągnął brwi, marszcząc czoło. Wsadził jedną rękę między jej nogi, torując sobie drogę, a drugą wsunął pod swoją koszulę. Widziała, jak ta ręka rusza się pod płótnem. Zmarszczył się jeszcze bardziej.

– Jezu Chryste – mrucał. – Jesteś jak nieżywa, to mnie osłabia, to jakby macać trupa.

– Ja nie wiem, co mam robić – odpowiedziała łzawo.

– Niektóre dziewczyny to lubią – rzekł.

Lubić to! Niemożliwe! Potem przypomniała sobie, jak jęczała i krzyczała z rozkoszy, ale przecież nie było najmniejszego związku między tym, co czyniła wtedy, a tym, co działo się teraz.

To było głupie. Usiadła. Alfred masturbował się pod koszulą.

– Pozwól mi – powiedziała i wsunęła rękę między jego nogi. „To” było bezwładne i bez życia. Nie wiedziała, co z „tym” należy zrobić. Ścisnęła, lekko, a potem pogłaskała czubkami palców. Przyglądała się jego twarzy w oczekiwaniu na reakcję. Wydawał się po prostu zły. Nie przestawała poruszać ręką, ale nic się nie zmieniło.

– Mocniej – przykazał.

Zaczęła pracować żywiej. „To” pozostawało miękkie, ale Alfred poruszał biodrami, jakby mu się podobało. Nagle krzyknął z bólu i gwałtownie odsunął się do tyłu. Za mocno.

– Głupia krowa! – zawołał i uderzył ją na odlew. Tak się zamachnął, że

uderzenie odrzuciło ją na bok.

Leżała na łóżku, pojękując z bólu i strachu.

– Ty nicdobrego, ty przeklęta! – wysyczał wściekły.

– Robiłam, co mogłam!

– Wiesz, co ty jesteś? Ty jesteś martwa – splunął. Złapał ją za ramiona, uniósł nieco i wypchnął z łóżka. Upadła na słomę na podłodze. – O to chodziło tej wiedźmie Ellen. Zawsze mnie nienawdziła.

Aliena przetoczyła się i uklękła. Nie patrzył na nią. Obserwowała go. Nie wściekał się już, zgorzkniał.

– Tam, tam możesz zostać. Jako żona nie nadajesz się dla mnie, więc musisz trzymać się z dala od mojego łóżka. Będziesz psem, będziesz spać na ziemi. – Przerwał. – Nie wytrzymam, przestań tak na mnie patrzeć! – krzyknął z nutą paniki w głosie. Rozejrzał się za świeczką i zgasił ją jednym uderzeniem, zrzucając na podłogę.

Aliena leżała w ciemności. Słyszała męża na puchowym pościeliu. Poruszał się niespokojnie, przesuwał się i obracając, ale się do niej nie odezwał. W końcu ucichł, oddech mu się wyrównał. Kiedy upewniła się, że śpi, popęzła przez pokój, starając się, by słoma nie szeleściła. Zwinęła się w kłębek w kącie. Leżała, nie śpiąc. Zaczęła płakać. Próbowwała się powstrzymać, ale nie zdołała pohamować łez. Jeśli jej szloch go obudził, to nie dał o tym znać. Leżała na słomie w kącie, cicho płacząc, dopóki wreszcie nie zmorzył jej sen.

Rozdział 12

I

Przez całą zimę Aliena chorowała.

Źle spała, leżąc na podłodze w nogach Alfredowego łóżka, przez dzień czuła się beznadziejnie znużona. Często miała nudności, więc jadła niewiele, ale mimo to wydawało jej się, że przybiera na wadze, że jej piersi i biodra urosły, a talia pogrubiała.

Powinna była prowadzić Alfredowi dom, jednak to Martha wykonywała większość prac. Żyli we trójkę w smutnym gospodarstwie. Martha nigdy nie lubiła swego brata, a Aliena teraz nienawidziła go z pasją, więc spędzał wiele czasu poza domem: w ciągu dnia w pracy, a wieczorem w piwiarni.

Pocieszała się myślą o Richardzie. Dostał dziarskiego czarnego rumaka, nowy miecz i giermka na kucu. Walczył dla króla Stefana, nie bacząc na zmniejszoną świętę. Wojna przeciągnęła się na nowy rok. Matylda uciekła z oksfordzkiego zamku, wyslizgując się kolejny raz z rąk Stefana, a jej brat, Richard z Gloucesteru odebrał Wareham. Stara huśtawka działała jak dawniej, kiedy to jedna strona trochę zyskiwała, a potem szybko ten zysk traciła. Aliena jednak dochowała przysięgi i z tego właśnie czerpała satysfakcję.

W pierwszym tygodniu nowego roku Martha po raz pierwszy zaczęła krwawić. Aliena podała jej gorący, posłodzony miodem napar z ziół, który miał złagodzić skurcze i dodać otuchy oraz odpowiedziała na pytania na temat kobiecego okresu, po czym poszła po kuferek ze szmatami, gdzie przechowywała szarpie na własny użytek. Nie mogła go odszukać i w końcu uświadomiła sobie, że nie przeniosła go do tego domu po ślubie.

A przecież to było trzy miesiące temu.

To oznaczało, że nie krwawiła od trzech miesięcy.

Od dnia ślubu.

Zostawiła Marthę siedzącą przy stole, siorbiącą swój miodowy napar i rozgrzewającą przemarznięte palce u stóp. Poszła do domu brata. Richarda nie było, ale miała klucz. Kufer znalazła bez kłopotu. Zamiast wracać, usiadła przy zimnym palenisku, owinęła się w opończę i zamyśliła.

Poślubiła Alfreda na świętego Michała. Teraz już dawno było po Bożym Narodzeniu. To oznaczało, że minął kwartał. Pokazały się trzy nowe księżycy. Powinna krwawić trzy razy. Jej kuferek z szarpami stał na wysokiej półce, zaraz obok kamienia szlifierskiego, którego używał Richard do ostrzenia broni, a także kuchennych noży. Teraz trzymała go w rękach. Przesunęła palcem po szorstkim drewnie. Palec się ubrudził. Kuferek pokryty był grubą warstwą kurzu.

Najgorsze było to, że ona nigdy nie kochała się z Alfredem.

Po tamtej okropnej nocy Alfred próbował jeszcze trzy razy: nazajutrz, w tydzień później i jeszcze raz za miesiąc, kiedy pojawił się w domu szczególnie pijany. Ale zawsze okazywał się zupełnie niezdolny. Z początku Aliena dodawała mu odwagi, nie z poczucia obowiązku, ale ze strachu, bo każde niepowodzenie czyniło go bardziej zagniewanym. Bezpieczniej było schodzić mu z drogi, nosić workowate odzienie i mieć pewność, że nigdy nie zobaczy jej rozebranej, aby o niej zapomniał. Teraz zastanawiała się, czy nie powinna starać się bardziej. Ale czy to by coś zmieniło? Wszystko okazało się takie beznadziejne. Nie miała

pewności dlaczego – może to przez tę klątwę Ellen, może Alfred w ogóle cierpiał na niemoc, albo może z powodu Jacka – lecz była pewna, że Alfred nigdy nie będzie się z nią kochał.

A zatem będzie przekonany, że to nie jego dziecko.

Patrzyła na zimny, stary popiół w palenisku, zastanawiając się, dlaczego nigdy nie ma szczęścia. Przecież próbowała postępować jak najlepiej w złym małżeństwie, a tu miała nieszczęście zajść w ciążę z kimś innym, i to po jednym jedynym współżyciu.

Nie miało sensu rozczulanie się nad sobą. Musiała postanowić, co czynić.

Oparła ręce na żołądku. Teraz już wiedziała, dlaczego przybiera na wadze, dlaczego miewa często mdłości, dlaczego stale jest taka zmęczona. Tam w środku jest mała istota. Jak to będzie miło mieć dziecko.

Potrząsnęła głową. Wcale nie będzie miło. Alfred wpadnie w szal jak wściekły byk. Nie wiadomo, co zrobi: zabije ją, wyrzuci czy uśmierci dziecko... Nagle tknęło ją okropne przeczucie: Alfred zechce zabić dziecko kopnięciem w brzuch. Wytarła czoło pokryte zimnym potem.

Postanowiła, że mu nie powie.

Czy może się jej udać utrzymać to w tajemnicy? Może. Już przywykła do noszenia bezkształtnych, workowatych ubrań. Może nie pogrubi się tak bardzo jak inne kobiety, bo niektóre nie tyją. Alfred był najgorszym obserwatorem wśród mężczyzn. Bez wątplenia co mądrzejsze kobiety w mieście domyślą się, ale prawdopodobnie można na nich polegać, że zachowają to dla siebie, a już na pewno nie będą o tym rozmawiać z mężczyznami. Tak. Postara się ukryć przed nim ciążę do porodu, powinno to okazać się możliwe.

A potem co? No cóż, w końcu ta drobinka pojawi się na świecie. Alfred nie będzie mógł zabić dziecka. Będzie jednak wiedział, że to nie jego. Na pewno znienawidzi maleństwo, bo ono stanie się żywą, trwałą plamą na jego męskości.

Czy to będzie chłopczyk czy dziewczynka? – zastanawiała się, wspominając ów poranek spędzony z Jackiem. W końcu przypomniała sobie, po co tu

przyszła. Wzięła kuferek z czystymi szarpkami dla Marthy. Żał mi ciebie, Martho, pomyślała. Jeszcze wszystko przed tobą.

Kłopoty nie opuszczały Philipa przez całą zimę.

Pogańska klątwa Ellen, rzucona na ganku kościoła w trakcie ceremonii zaślubin, przeraziła go. Bez wątpienia ta kobieta była czarownicą. Żałował, że wybaczył jej obrazę Reguły świętego Benedykta wiele lat temu. To było z jego strony nieroztropne. Powinien wiedzieć, że niewiasta zdolna do takiego postępku nigdy nie potrafi poczuć prawdziwej skruchy i pozostanie grzeszna. Sprawa ta miała jedną dobrą stronę: Ellen opuściła Kingsbridge i od tej pory nie pojawiła się tu ani razu. Philip żywił nadzieję, że tak pozostanie i Ellen nie wróci już nigdy do miasta.

Aliena, żona Alfreda, była nieszczęśliwa, wiedzieli to wszyscy, chociaż przeor nie wierzył, że to owa klątwa była tego przyczyną. Philip niewiele wiedział o małżeństwie, był jednak na tyle przewidujący, by mieć pewność, że tak żywa osoba jak Aliena będzie nieszczęśliwa w pożyciu z kimś o tak ciasnym umyśle jak Alfred. Nieważne, czy będą dla siebie mężem i żoną, czy kimś innym.

Aliena widocznie powinna poślubić Jacka, teraz to zrozumiał. Czuł się winny, że wskutek forsowania własnych planów co do tego chłopca nie zauważył, czego on naprawdę potrzebuje. Jack nie nadawał się do życia w klauzurze, a Philip źle zrobił, że go do takiego życia popychał. Teraz energia i inteligencja Jacka zostały dla Kingsbridge stracone.

Zdawało mu się, że od czasu tragicznego pożaru wszystko szło źle. Klasztor popadł w większe długi niż kiedykolwiek. Philip musiał zwolnić ponad połowę pracowników budowlanych, bo nie miał pieniędzy, by im płacić. W konsekwencji zmniejszyła się liczba mieszkańców miasta, co spowodowało, że niedzielny targ był mniejszy, wskutek czego spadły dochody. Kingsbridge zaczęło

podupadać.

Istotą wszystkiego okazało się morale mieszkańców. Choć ludzie odbudowali swoje domy i zabrali się do pracy, to obawiali się przyszłości. Cokolwiek planowali, cokolwiek zechcieliby zbudować, William Hamleigh mógł zniszczyć, gdyby tylko zachciało mu się napaść ponownie. Zły zasiew niepewności kielkował w myśleniu każdego mieszkańca i paraliżował jego przedsięwzięcia.

Przeor doszedł do wniosku, że musi coś zrobić, by przeciwdziałać takiemu upadkowi ducha. Potrzebował jakiegoś dramatycznego gestu, by pokazać światu w ogóle, a mieszkańcom miasta w szczególności, że Kingsbridge się dźwiga, nabiera sił. Modlił się i medytował, aby wyprosić oświecenie w tej sprawie.

Tak naprawdę to mógłby mu pomóc jedynie cud. Gdyby prochy świętego Adolphusa zdołały uzdrowić księżniczkę z zarazy albo spowodować, by słona woda zamieniła się w słodkawą, ludzie płynęliby do Kingsbridge pielgrzymkami. Tyle że święty już od dawna nie zrobił żadnego cudu. Przeor przypomniał sobie słowa ojca Petera, opata klasztoru Gwynedd, który zwykł mawiać: „Módl się o cuda, ale kapustę sadź!”.

Symbolem życia Kingsbridge była katedra. Gdyby tak w cudowny sposób zostały rozwiązane wszystkie kłopoty z budową świątyni. Modlił się nawet o taki cud przez całą noc, ale raniem prezbiterium w dalszym ciągu nie miało dachu, a w miejscach zejścia się bocznych ścian z murami transeptów ciągle sterczały kamienie.

Philip jeszcze nie przyjął mistrza budowniczego, który zastąpiłby Toma. Zaskoczyły go żądania wysokich wynagrodzeń. Teraz dopiero zrozumiał, jak tanio pracował Tom. Jak na razie roboty organizował Alfred i nie miał z tym większych trudności. Od ślubu stał się nieco markotny, jak ktoś, kto pokonał wielu konkurentów, by zostać królem, a potem się przekonał, że życie monarchy jest bardzo uciążliwe i nużące. Pozostał jednak władczy i zdecydowany, a ludzie słuchali i szanowali jego polecenia.

Śmierć Toma dotknęła przeora boleśnie. Brakowało mu go, i to nie tylko jako mistrza budowniczego. Tom interesował się wiedzą o budowie kościołów i rozważał wszelkie problemy, a Philipa cieszył udział w jego spekulacjach o tym, co sprawia, że jedne budynki stoją długo, a inne się rozpadają. Tom nie był specjalnie pobożny, ale czasami zadawał Philipowi pytania teologiczne, które wskazywały, że religii poświęca tyle samo miejsca w swym myśleniu, ile budownictwu. Umysł Toma mniej lub bardziej odpowiadał umysłowości przeora, mogli się porozumieć nawet bez słów. W życiu Philipa takich ludzi było niewielu. Jack okazał się jednym z nich pomimo swego młodego wieku. Aliena też do nich należała, ale ona pogrzyżyła się całkowicie w swoim smutnym małżeństwie. Cuthbert Białogłowy starzał się, a kvestarz Milius niemal cały czas przebywał poza klasztorem, objeżdżając gospodarstwa hodujące owce, licząc akry, jagnięta i worki wełny. W swoim czasie, dodawał sobie otuchy Philip, bujne i dostatnie życie klasztoru w zamożnym mieście katedralnym przyciągnie studentów i uczonych, podobnie jak zwycięska armia zdobywców przyciąga chętnych do wojaczki. Wypatrywał tego czasu, ale wiedział, że nie nadejdzie on nigdy, jeśli on, Philip, nie znajdzie sposobu na tchnięcie nowego ducha w mieszkańców Kingsbridge.

– Zima była łagodna – powiedział Alfred pewnego ranka po Bożym Narodzeniu. – Możemy zacząć wcześniej niż zwykle.

Te słowa dały początek rozważaniom Philipa. Sklepienie miało być budowane tego lata. Kiedy zostanie ukończone, prezbiterium będzie można wykorzystywać do nabożeństw, a Kingsbridge przestanie być miastem katedralnym bez katedry. Prezbiterium stanowiło najważniejszą część kościoła; mieściło główny ołtarz i relikwie świętego, a także stalle, gdzie siedzieli mnisi podczas wszystkich nabożeństw. Tylko w niedzielę i święta wykorzystywano całą świątynię. Kiedy prezbiterium zostanie poświęcone, wówczas to, co było placem budowy, stanie się kościołem, aczkolwiek niezupełnie skończonym.

Szkoda, że trzeba czekać jeszcze niemal rok do tego czasu. Alfred przy-

rzekł zrobić dach w tym sezonie budowlanym, a ten zasadniczo kończył się w listopadzie, co zależało od pogody. Lecz kiedy Alfred mówił, że są zdolni do wcześniejszego rozpoczęcia, Philip zaczął się zastanawiać, czy również wcześniej zdołają skończyć. Ludzie byliby poruszeni, gdyby kościół otwarto jeszcze tego lata. I o to właśnie Philipowi chodziło, bo coś takiego zaskoczyłoby całe hrabstwo i uświadomiłoby wszystkim, że Kingsbridge żyje, że nie można go na długo przytłumić.

– Czy mógłbyś skończyć na Zielone Świątki?

Alfred wciągnął powietrze przez zęby, a na jego twarzy pojawił się wyraz powątpiewania.

– Sklepienie wymaga najwyższych umiejętności. Nie wolno się śpieszyć i nie można dopuścić terminatorów do jego budowy.

Tom Budowniczy odrzekłby „tak” lub „nie”, pomyślał z irytacją Philip.

– Przypuśćmy, że dałbym ci dodatkowych robotników, mnichów. Czy to przyspieszy prace?

– Troszkę. Potrzebujemy raczej więcej murarzy.

– Może udałoby mi się dodać ci jednego lub dwu – powiedział przeor zachowato. Łagodna zima oznaczała wcześniejsze strzyże, więc mógł mieć nadzieję, że sprzeda wełnę wcześniej niż zwykle.

– Nie wiem – Alfred spoglądał pesymistycznie.

– Przypuśćmy, że zaproponuję murarzom dodatkową tygodniówkę, jeśli dach będzie gotów na Zielone Świątki?

– Nigdy o czymś takim nie słyszałem – stwierdził Alfred. Wyglądał tak, jakby mu uczyniono nieprzyzwoitą propozycję.

– No cóż, zawsze jest jakiś pierwszy raz – Philipa denerwowała ostrożność Alfreda. – Co ty na to?

– Nie mogę powiedzieć ani tak, ani nie – flegmatycznie rzekł Alfred. – Przedstawię to ludziom.

– Dzisiaj?

– Dzisiaj.

Philip musiał się tym zadowolić.

William Hamleigh i jego rycerze przybyli na zamek biskupa Walerana, tuż za wozem zaprzężonym w woły, a wyładowanym workami wełny. Nowy sezon strzyży właśnie się rozpoczął. Podobnie jak William, biskup skupował wełnę od gospodarzy po cenach zeszłorocznych i spodziewał się sprzedać znacznie korzystniej. Nie mieli trudności z nakłonieniem swych dzierżawców do takich transakcji. Kilku chłopów, którzy się nie podporządkowali, wyrzucili, a ich gospodarstwa spalono. Po tym nie było już żadnych buntów.

Przejeżdżając przez bramę, popatrzył na szczyt wzgórza. Zaczęte wały i fosy zamku, którego biskup nie wybudował, widoczne były już od siedmiu lat. Dowód chytrłości przeora Kingsbridge. Skoro tylko Waleran zacznie zarabiać na wełnie, prawdopodobnie rozpocznie od nowa prace budowlane. W czasach starego króla Henryka biskupia siedziba mogła być otoczona płotem z drewnianych palików za niedużym rowem. Teraz, po pięciu latach wojny domowej, nawet ludzie niebędący hrabiami czy biskupami budowali potężne warownie.

Dla Walerana sprawy dobrze się toczą, pomyślał posępnie William, kiedy zsiadał z konia przy stajniach. Bigod zachowywał lojalność wobec biskupa Henryka z Winchesteru podczas wszystkich zmian w trakcie wojny domowej, w wyniku czego stał się jednym z zauszników Henryka. Przez te lata Waleran wciąż bogacił się, otrzymując nowe posiadłości i przywileje, a także dwukrotnie odwiedził Rzym.

William nie miał takiego szczęścia i stąd jego posępność. Mimo że we wszystkich zmianach trzymał z biskupem i wystawiał pokaźne armie dla obu stron konfliktu, w dalszym ciągu nie potwierdzono jego prawa do hrabstwa Shiring. Wydeptywał tytuł w czasie zawieszania działań wojennych, borykał się tak długo... Wreszcie nie wytrzymał i postanowił skontaktować się z Waler-

nem.

Wszedł po schodach do sali przyjęć, a Walter i pozostali rycerze szli za nim. Wewnętrznych drzwi strzegł uzbrojony zarządzający – kolejny znak czasów. Biskup Waleran siedział na wielkim krześle pośrodku komnaty. Baldwin, teraz już archidiakon, stał obok biskupa. Waleran patrzył w płomienie, głęboko zamyślony, ale kiedy William się zbliżył, gwałtownie podniósł wzrok.

Hamleigh poczuł znajomą odrazę podczas powitania. Miękką skórą dłoni Walerana, jego gładkie, przylizane czarne włosy, śmiertelnie blada cera i jasne, jadowite spojrzenie powodowały u Williama gęsią skórkę. Biskup był uosobieniem cech, których William nienawidził: zбочony, słaby fizycznie, arogancki i sprytny.

Jednocześnie wiedział, że Waleran myślał o nim dokładnie to samo. Biskup nigdy nie umiał do końca ukryć wstrętu na jego widok. Wyprostował się na krześle i złożył ręce, usta nieco mu się ściągnęły, trochę się zmarszczył, a wszystko to przypominało skurcze niestrawności.

Przez chwilę mówili o wojnie. Niezgrabną, sztywną konwersację przerwał gońiec, który przyniósł pismo z woskową pieczęcią. Waleran odesłał gońca do kuchni, by coś zjadł. Nie rozpieczętował listu.

William skorzystał z możliwości zmiany tematu.

– Nie przyjechałem tutaj, by wymieniać wieści o bitwach. Przybyłem, by ci powiedzieć, wielebny, że straciłem cierpliwość.

Waleran podniósł brwi, nie mówiąc nic. Milczenie to jego odpowiedź na nieprzyjemne tematy.

– Już niemal trzy lata minęły od śmierci mego ojca, ale król Stefan nie potwierdził mego tytułu hrabiowskiego. To oburzające.

– Z niczym bardziej nie mógłbym się zgodzić – odrzekł Waleran omdlewając. Bawił się listem, oglądając pieczęć i przesuwając tasiemkę tam i z powrotem.

– To doskonale – rzekł William – bo w takim razie coś zrobisz w tej spr-

wie, Ekscelencjo.

– Mój drogi, nie mogę uczynić cię hrabią.

William spodziewał się takiej odpowiedzi, ale nie miał zamiaru zadowolić się nią.

– Ty masz przyjaźń królewskiego brata.

– Ale cóż ja mu mogę powiedzieć? Że William Hamleigh dobrze służył królowi? Jeśli to prawda, król o tym wie, a jeśli nie, to wie o tym także.

William nie mógł przeciwstawić się rozumowaniu Walerana, więc po prostu zignorował wypowiedź.

– Jesteś mi to winien, Waleranie Bigodzie.

Biskupa zdawało się to lekko gniewać. Wymierzył listem w Williama.

– Nic ci nie jestem winien, zawsze służyłeś własnym celom, nawet kiedy robiłeś to, co chciałem. Między nami nie ma żadnych długów wdzięczności.

– Powiedziałem ci, że nie chcę czekać ani chwili dłużej.

– A co takiego zrobisz? – spytał biskup z odcieniem szyderstwa.

– No cóż, po pierwsze pojedę zobaczyć się osobiście z biskupem Henrykiem.

– I?

– Powiem mu, że na moje prośby byłeś głuchy i w konsekwencji musiałem znowu przejść na stronę Cesarzowej. – Dostrzegł zmianę wyrazu twarzy Walerana; stał się o cień bledszy i wyglądał na trochę zaskoczonego.

– Znów zmiana?

– Tylko o raz więcej niż ty, Ekscelencjo – odrzekł śmiało William.

Wyniosłe lekceważenie Walerana jakby osłabło, ale niewiele. Jego kariera w wielkim stopniu wynikała z umiejętności umieszczania Williama i jego rycerzy po tej stronie wojny, którą popierał biskup Henryk. Nagła samodzielność Williama nie była wskazana. Hamleigh uważnie obserwował twarz biskupa. Wiedział, że Waleran chciał mieć w nim sprzymierzeńca i teraz zastanawiał się, jak postąpić.

Waleran złamał pieczęć, chcąc zyskać na czasie. W miarę czytania lekki rumieniec gniewu jął barwić mu lica.

– Przeklęty! – syknął.

– Co się stało? – spytał William.

Biskup podał mu pismo.

William, wpatrując się w litery, sylabizował:

– „Do naj-świę-to-bliw-sze-go i naj-łas-kaw-sze-go bis-ku-pa...”.

Gwałtownie wyrwał list z rąk Williama.

– To Philip. Informuje, że prezbiterium nowego kościoła zostanie ukończone na Zielone Świątki i ma czelność proszenia mnie o celebrowanie mszy! – zniecierpliwiony biskup przerwał duki hrabiego.

William był zaskoczony.

– Jakże on mógł sobie dać z tym radę. Myślałem, że zwolnił połowę budowniczych!

– Nieważne, bo bez względu na to, z której strony go uderzysz, on i tak wstanie. – Rzucił pełne zastanowienia spojrzenie na Williama. – On cię nienawidzi. Uważa, że jesteś wcieleniem szatana.

– No to co?

– Dla Philipa byłoby strasznym ciosem, gdyby w Zielone Świątki ogłosić, że masz tytuł hrabiego Shiring!

– Dla mnie byś tego nie zrobił, ale na złość Philipowi, chętnie. – William powiedział to zgryźliwie, ale w duszy zaczął mieć nadzieję.

– W ogóle nie mogę nic zrobić, ale porozmawiam z biskupem Henrykiem. – Popatrzył wyczekująco na Williama.

William się wahał. W końcu wymruczał niechętnie:

– Dziękuję, Ekscelencjo.

Wiosna tego roku była zimna i melancholijna, a o poranku w Zielone Świątki lało. Aliena obudziła się w nocy z bólem krzyża, który od paru tygodni stale ją męczył. Usiadła w izbie, splatając w warkocz włosy Marthy, podczas

gdy Alfred jadł śniadanie złożone z białego chleba, miękkiego sera i mocnego piwa. Ostry skurcz zmusił ją do wyprostowania się na chwilę. Martha spostrzegła jej wykrzywioną bólem twarz i spytała:

– Co ci się stało?

– Krzyż mnie boli – odparła krótko. Nie chciała o tym mówić. Przyczyną dolegliwości było widocznie spanie na zimnej podłodze w pełnej przeciągów izdebce na tyłach domu, o tym zaś nikt nie wiedział, nawet Martha.

Aliena usiadła. Dziewczyna wzięła gorący kamień z paleniska, który zawinęła w kawałek przepalanej skóry, i przytrzymała przy bolących plecach Alieny. Przyniosło to natychmiastową ulgę. Martha zaczęła z kolei zaplatać odrośnięte włosy Alieny.

Po odejściu Ellen zbliżyły się do siebie. Nieszczęsna Martha straciła matkę, a niedługo i macochę. Aliena nie uważała, że może zastąpić jej matkę, a poza tym była od niej dziesięć lat starsza. Starła się być dla niej jak siostra. Dość dziwne było to, że Martha najbardziej tęskniła za swym przybranym bratem Jackiem.

Obie za nim tęskniły.

Aliena zastanawiała się, gdzie przebywa ojciec jej dziecka. Może jest całkiem blisko, może buduje katedrę w Gloucesterze lub Salisbury. Bardziej jednak prawdopodobne, że udał się do Normandii. Lecz oczywiście mógł wybrać się jeszcze dalej: do Paryża, Rzymu czy Jerozolimy. Wspominając opowieści pielgrzymów, Aliena wyobrażała sobie Jacka w tych odległych krainach, jak wędruje po pustyni lub rzeźbi kamienie na saraceńską twierdzę, a słońce świeci oślepiająco... Czy myśli o niej teraz?

Jej rozmyślania przerwał tętent kopyt. W chwilę potem wszedł Richard, prowadząc za sobą konia. I pan, i zwierzę byli mokrzy i pokryci błotem. Aliena zaczerpnęła z kociołka wiszącego nad paleniskiem trochę gorącej wody, by Richard mógł umyć twarz i dłonie. Następnie przygotowała mu pościel, a Martha odprowadziła konia na podwórko.

– Jakież nowiny z wojny? – spytał Alfred.

Richard wytarł twarz ścierką i usiadł do śniadania.

– Pobili nas pod Wilton.

– Stefan tam był? Wzięli go do niewoli?

– Nie, uciekł, jak Cesarzowa z Oksfordu. Teraz król jest w Winchesterze, a Matylda w Bristolu, oboje liżą rany i pocieszają się ziemiami, nad którymi panują.

Wieści z wojny zawsze wydają się takie same. Jedna lub druga strona odnosi jakieś małe zwycięstwo albo cierpi wskutek niewielkiej przegranej, ale końca wojny nie widać.

Richard spojrzał na siostrę i rzekł:

– Pogrubiałaś!

Skinęła głową bez słowa. To już ósmy miesiąc, ale nikt o tym nie wiedział. Miała szczęście, że utrzymywała się chłodna pogoda, dzięki której mogła stale chodzić w workowatych, zimowych szatach, doskonale kryjących jej kształty. Za kilka tygodni dziecko przyjdzie na świat, a prawda wyjdzie na jaw.

Dzwon zaczął zwoływać mieszczan na mszę. Alfred włożył buty i popatrzył wyczekująco na Alienę.

– Nie wydaje mi się, żebym mogła pójść. Czuję się strasznie.

Obojętnie wzruszył ramionami i zwrócił się do jej brata.

– Ty powinieneś przyjść, Richard. Wszyscy tam będą. To pierwsze nabożeństwo w nowym kościele.

– Zdążyłeś już zrobić sklepienie? Myślałem, że to zajmie cały sezon – zdziwił się Richard.

– Przyspieszyliśmy roboty. Przeor Philip zaproponował ludziom większą zapłatę w postaci dodatkowej tygodniówki, o ile skończą do dziś. Zdumiewające, jak szybko pracowali, a i tak ledwie zdążyliśmy. Dopiero dzisiaj rano zdjęliśmy szalunki.

– Muszę to zobaczyć – stwierdził Richard. Wepchnął ostatnie kęsy chleba

i mięsa do ust. Wstał.

– Chcesz, żebym z tobą została? – zapytała Martha.

– Nie, dziękuję, dam sobie radę. Idź. Ja się położę.

Cała trójka narzuciła opończe i wyszła. Aliena poszła do izdebki, zabierając ze sobą gorący kamień zawinięty w skórę. Położyła się w łóżku Alfreda, umieściwszy kamień pod plecami. Od czasu ślubu stała się okropnie ospała. Poprzednio prowadziła dom i była najbardziej zajęтым kupcem w hrabstwie, teraz zaś miała trudności ze wszystkim.

Leżała tak chwilę, starając się zasnąć. Nagle poczuła dziwną wilgoć po wewnętrznej stronie uda. Przestraszyła się. To było tak, jakby oddawała mocz, ale przecież tego nie czyniła. Po chwili strumyczek przemienił się w powódź. Usiadła wyprostowana. Wiedziała, co to znaczy. Wody odchodzą. Dziecko w drodze.

Przestraszyła się. Potrzebowała pomocy. Najgłośniejszym głosem, jak umiała, zawołała na sąsiadkę:

– Mildred! Mildred, przyjdź do mnie! – Potem przypomniała sobie, że przecież nikogo nie ma, bo wszyscy poszli do kościoła.

Wody przestały odchodzić, ale łóżko Alfreda było przemoczone. Wścieknie się, pomyślała ze strachem, a po chwili uzmysłowiła sobie, że i tak wpadnie w gniew, bo zorientuje się, że to nie jego dziecko.

– O mój Boże, co ja mam teraz zrobić? Bóle powróciły. Boże, to już się zaczyna.

Zapomniała o Alfredzie. Będzie rodzić. Nie miała odwagi być teraz sama. Chciała, żeby ktoś jej pomógł. Postanowiła pójść do kościoła.

Zsunęła nogi z łóżka. Złapał ją kolejny skurcz, ból wykrzywił jej twarz. Wstała jednak i wyszła z domu. W głowie jej się kręciło, kiedy szła po błotnistej ulicy. Przy bramie klasztoru poczuła kolejny atak bólu. Musiała oprzeć się o mur i odpocząć.

Większość mieszkańców stłoczyła się w wysokim przejściu do prezbite-

rium i dwóch nieco niższych nawach bocznych. Ołtarz znajdował się przed nimi. Nowy kościół sprawiał osobliwe wrażenie: zaokrąglone kamienne sklepienie, które miało otrzymać trójkątny dach, teraz przypominało łysą głowę.

Kiedy Aliena przechodziła w głąb kościoła, biskup Waleran Bigod akurat wstawał, by coś powiedzieć. Ujrzała, jak w nocnym koszmarze, że obok niego stoi William Hamleigh. Słowa biskupa zabrzmiały niczym wyrok.

– ...z wielką dumą i przyjemnością mam zaszczyt wam ogłosić, że król Stefan, nasz pan, raczył przyznać lordowi Williamowi tytuł hrabiego Shiring.

Mimo bólu i strachu Alienę ogarnęła zgroza. Przez sześć lat, od chwili kiedy spotkała się z ojcem w więzieniu w Winchesterze, poświęcała swe życie odzyskaniu własności rodzinnej. Ona i Richard przetrwali grabieżców i gwałcicieli, pożogę i wojnę domową, kilka razy sprawiedliwość zdawała się w zasięgu ręki, a teraz tracili swe hrabstwo.

Zgromadzeni ludzie gniewnie zamruczeli. Z rąk Williama ucierpieli wszyscy, wciąż żyli w strachu przed nim. Nikomu nie podobało się, że król honoruje Williama, podczas gdy oni oczekiwali, że król winien bronić ich przed nim. Aliena rozejrzała się za Richardem, lecz nie dostrzegła go.

Przeor Philip wstał. Na jego twarzy malowało się wzburzenie. Zaintonował hymn. Zgromadzeni niechętnie podjęli pieśń. Alienę dopadł kolejny skurcz. Oparła się o kolumnę. W jakiś sposób uspokoiła się. Ja tylko będę miała dziecko, to się zdarza codziennie. Muszę odszukać Marthę lub Richarda, a oni już wszystkim się zajmą, dodawała sobie otuchy.

Kiedy ból minął, zaczęła przepychać się przez tłum w poszukiwaniu Marthy. W niskim korytarzu nawy północnej dostrzegła grupkę kobiet i skierowała się ku nim. Tymczasem uwagę zgromadzonych zaczęły przyciągać jakieś dźwięki przypominające trzeszczenie i dudnienie... Z początku trudno było je wyodrębnić pośród śpiewu, ale ludzie zamilkli, kiedy łomot stał się wyraźniejszy.

Aliena zbliżyła się do grupki kobiet, które rozglądały się niespokojnie

w poszukiwaniu źródła hałasu. Dotknęła ramienia jednej z nich i spytała:

– Czy nie widziałaś Marthy, mojej szwagierki?

– Myślę, że jest po drugiej stronie – odpowiedziała Hilda, żona farbiarza, lecz łomot stał się ogłuszający i skierowała wzrok gdzie indziej.

Aliena podążyła spojrzeniem w tę samą stronę. Ludzie stojący pośrodku spoglądali na strop. Ci w nawach bocznych wyciągali szyje, by dojrzeć przez filary i łuki arkad, co też się dzieje. Ktoś krzyknął. Aliena spostrzegła pęknięcie między dwoma otworami najwyższego rzędu okien. I nagle kilka kamieni odpało od ściany. Rozległy się krzyki i wszyscy zaczęli uciekać.

Ziemia zadrżała pod stopami Alieny. Mimo że uwagę skupiła na wydostaniu się z tłoku i z kościoła, widziała, jak pęka krągłe sklepienie. Hilda zawadziła o jakąś przeszkodę i przewracając się, potrafiła Alienę. Upadły obie. Kiedy próbowała się podnieść, deszcz małych kamieni posypał się jej na plecy. Potem niskie sklepienie nawy bocznej pękło i osunęło się. Aliena straciła przytomność.

Philip rozpoczął nabożeństwo z uczuciem dumy i wdzięczności. Niewiele brakowało, by nie udało się wykończyć sklepienia na czas. Tak naprawdę, to wykonano tylko trzy z czterech przęseł, bo czwarte można będzie przykryć dopiero po skończeniu budowy skrzyżowania naw i połączenia ścian z transeptami. Jednakże trzy przęsła wystarczą. Materiały budowlane z grubsza uprzątnięto. Zebrano narzędzia, przeniesiono stosy drewna i kamieni, usunięto belki i plecionki ruszowań, zamieciono gruz i śmieci. Mnisi pobielili kamienie, a czerwoną farbą pociągnęli zaprawę, czyniąc wrażenie większego porządku. Ołtarz i tron biskupa wyniesiono z krypty, prochów świętego jednak nie ruszano. Ich przeniesienie wymagało uroczystej ceremonii, która miała stanowić najważniejszy moment dzisiejszego nabożeństwa. Kiedy msza się zaczęła, biskup zasiadł na tronie, mnisi w nowych habitach stanęli w szeregu za ołtarzem,

a mieszkańcy miasta zgromadzili się w nawie głównej i nawach bocznych. Philip poczuł, że wypełnił pierwszą część swej pracy, i dziękował Bogu za to, że pozwolił mu na ukończenie pierwszego i najważniejszego etapu odbudowy katedry.

Gdy Waleran ogłosił tę wieść o Williamie, Philipa w pierwszej chwili ogarnęła wściekłość. Oczywiście było, że rzuca to cień na uroczystość oraz przypomina mieszczanom, że stale są na łasce pana-barbarzyńcy. Przeor toczył wokół błędnym wzrokiem w poszukiwaniu właściwej odpowiedzi. W chwilę później sklepienie zaczęło pękać.

Stało się dokładnie to, co czasami widywał w swych koszmarach, kiedy wchodził bardzo wysoko na rusztowanie, czując się całkiem bezpiecznie. I nagle dostrzegał dyndający koniec liny, która powinna wiązać belki rusztowania. Postanawiał więc zawiązać linę, lecz płyta pod jego stopami zaczynała się lekko chwiać, by raptem osunąć się w otchłań prezbiterium.

Początkowo trzeszczenie i dudnienie zmyliło go. Pomyślał, że to grom, lecz potem nasiliło się tak, że ludzie przestali śpiewać. Philip myślał, że to dziwne zjawisko wkrótce się wyjaśni, a najgorszym skutkiem okaże się przerwa w nabożeństwie.

Wtedy spojrział w górę.

W trzeciej niszy, skąd szalunki zdjęto dzisiaj rana, wysoko na murze, na poziomie rzędu świetlików pojawiły się pęknięcia, posuwające się błyskawicznie od jednego świetlika do drugiego, niczym atakujące węże. Jego pierwszą reakcją było rozczarowanie. Tak cieszył się z ukończenia prezbiterium, a teraz przyjdzie mu podejmować naprawy, ludzie, na których takie wrażenie zrobiło tempo robót, będą gadać: „Więcej pośpiechu, mniejsza szybkość”. Wtem szczyty ścian zaczęły odchyłać się na zewnątrz. Philip w przerażeniu uświadomił sobie, że oto nadciąga katastrofa.

Na krągłym sklepieniu także pojawiły się rysy. Z precyzyjnej murarskiej roboty uwolnił się wielki kamień i powoli osunął się w dół. Ludzie z krzykiem

rzucili się do ucieczki. Zanim Philip zdołał się zorientować, czy ktoś nie został poważnie zraniony, zaczęło spadać coraz więcej kamieni. Wszyscy wpadli w popłoch, szturchali i tratowali się nawzajem, chcąc uniknąć gradu kamieni. Philipowi wpadła do głowy szalona myśl, że to, co tu się dzieje, jest kolejnym atakiem, który jakimś sposobem zaplanował William Hamleigh. Nagle ujrzał lorda, jak ogarnięty paniką przedziera się przez tłum w kierunku wyjścia. Wtedy zrozumiał, że William sam sobie czegoś takiego by nie zgotował.

Większość ludzi starała się uciekać od ołtarza, by wydostać się przez niezamknięty kraniec zachodni. Ale to właśnie waliła się ta najbardziej na zachód wysunięta część kościoła, budowana ostatnio. Wszystko zaczęło się od trzeciego przęsła. W drugim, gdzie Philip właśnie się znajdował, sklepienie trzymało, a za nim, w przęśle pierwszym, sklepienie zdawało się nie poddawać i wyglądało solidnie. Z tej strony przeciwległe ściany podpierała dodatkowo fasada wschodnia.

Dostrzegł małego Jonathana wraz z Johnnym Osiem Pensów, obu skulonych w rogu po przeciwległej stronie północnej nawy. Philip uznał, że tam są bezpieczniejsi niż tutaj, i wówczas pomyślał o reszcie swej trzódki.

– Chodźcie tędy! – krzyknął do mnichów, ale nikt nie zwrócił uwagi na jego słowa.

W trzecim przęśle działo się źle. Ściany odchylały się na zewnątrz, sklepienie waliło się do środka, kamienie niczym śmiercionośny grad uderzały w ludzi. Przeor rzucił się do przodu i pochwycił jakiegoś człowieka.

– Wracaj! – krzyknął i popchnął go w stronę wschodniej części kościoła.

Zaskoczony mężczyzna zobaczył stłoczonych pod ścianą mnichów i rzucił się, by do nich dołączyć. Philip skierował tam jeszcze dwie kobiety. Ludzie w pobliżu zorientowali się, o co chodzi, i już bez popychania uciekali w stronę tej ściany. Dostrzegli to inni i rozpoczął się ogólny ruch ku wschodowi. Mimo woli spojrzął w górę i zdrętwiał. Dostrzegł, że drugie przęsło także runie: węzowate rysy zaczynały pojawiać się między świetlikami, a potem wystąpiły na

sklepieniu, dokładnie nad jego głową. W dalszym ciągu zaganiał ludzi ku wschodniej części kościoła, wiedząc, że każdy człowiek, którego tam skieruje, to jedno ocalone życie. Na огоłonej głowie poczuł deszcz skruszonej zaprawy. Wkrótce potem posypały się kamienie. Ludzie zaczęli uciekać w różne strony. Niektórzy szukali schronienia w nawach bocznych. Biskup Waleran kulił się pod wschodnią ścianą. Wierni tłoczyli się także w zachodniej części, torując sobie drogę wśród powalonych ciał i gruzów. Jakiś kamień uderzył Philipa w ramię. Musnął go tylko, ale zabolalo. Przykrył głowę dłońmi i potoczył błędnym wzrokiem. Stał pośrodku drugiego przęsła. Sam. Wszyscy zdołali stłoczyć się poza obszarem zagrożenia albo na jego skraju. Zrobił wszystko, co mógł. Po biegł ku ścianie wschodniej.

Gdy znalazł się w bezpiecznym miejscu, odwrócił się i rozejrzał. Rząd okien drugiego przęsła właśnie się zapadał, a sklepienie waliło się na prezbiterium. Ofiar było jednak mniej, ludzie bowiem zdołali schronić się, a poza tym sklepienia naw bocznych tutaj się trzymały. Nieco uspokojony, obserwował uważnie konstrukcję pierwszego przęsła. Pęknie czy nie... myślał nerwowo. Łomot przycichł nieco, ale chmura pyłu i odprysków wypełniała powietrze i przez kilka chwil nikt nic nie widział.

Pył opadł. Wszystko ucichło. Philip patrzył w oszołomieniu na ruiny kościoła. Jedyne pierwsze przęsło pozostało nietknięte. Ściany drugiego stały do wysokości galerii, a w trzecim i czwartym ocalały tylko nawy boczne, ale były bardzo uszkodzone. Podłoga kościoła zamieniła się w gruzowisko. Wśród kamieni leżały bez ruchu lub poruszały się z trudem ludzkie ciała. Siedem lat pracy i setki funtów w srebrze zostały zaprzepaszczone. Tuziny ludzi – a może nawet setki – zabite w ciągu kilku przerażających chwil. Serce Philipa zamarło na widok zmarnowanej pracy i ofiar, na myśl o wdowach i sierotach. Oczy wypełniły się łzami.

– To właśnie efekt twojej arogancji, Philipie! – usłyszał chrapliwy głos.

Odwrócił się. Biskup Waleran spoglądał na niego z triumfem. To były

gorzkie słowa, spowodowały ból nie do zniesienia. Philip próbował powiedzieć: „Ja przecież chciałem jak najlepiej!”, lecz żaden dźwięk nie zdołał wydobyć się z jego ściśniętego gardła.

Wzrok przeora padł na Johnny’ego Osiem Pensów i małego Jonathana, wyłaniających się ze schronienia, jakie znaleźli w nawie bocznej. Przypomniawszy sobie o obowiązkach. Na oskarżenia odpowie później. Teraz było mnóstwo rannych i wielu przysypanych gruzem. Musiał ratować ludzi. Rzucił przeszywające spojrzenie biskupowi.

– Zejdź mi z drogi! – krzyknął, a zaskoczony Waleran odstąpił. Philip ruszył w stronę ołtarza. – Słuchajcie mnie! – zawołał najgłośniej, jak umiał. – Musimy zająć się rannymi, ratować zasypanych, a potem pochować zabitych i pomodlić się za ich dusze. – Popatrzył po twarzach, sprawdzając, kto przetrwał i jest w dobrym stanie. Dostrzegł Alfreda. – Alfred będzie kierować usuwaniem gruzów i ratowaniem zasypanych, potrzebuje więc wszystkich murarzy i innych mistrzów, by mu pomagali. – Popatrzawszy na mnichów, z ulgą dostrzegł, że kwestarz Milius, jego zaufany, ma się dobrze. – Milius odpowiada za wyniesienie zmarłych i rannych z kościoła, będzie potrzebował młodych i silnych pomocników. Brat Randolf zajmie się rannymi, kiedy tylko zostaną wyniesieni, a starsze kobiety będą mu pomagać. Zaczynajmy. – Zeskoczył ze stopni ołtarza. Rozległ się gwar. Ludzie zaczęli wydawać polecenia i zadawać pytania.

Philip podszedł do Alfreda, który wyglądał na wstrząśniętego i przestraszonego. Jeśli ktokolwiek miałby zostać oskarżony o to, co się stało, to właśnie Alfred, mistrz budowniczy, ale nie był to czas na oskarżenia.

– Podziel swoich ludzi na grupy i wyznacz im prace – rozkazał mu Philip.

Przez chwilę Alfred wyglądał, jakby nie rozumiał, co się do niego mówi, a potem twarz mu się rozjaśniła.

– Tak. Racja. Zaczniemy od zachodniego krańca i wyrzucimy gruzy na zewnątrz.

– Dobrze.

Philip poszedł przez tłum ku Miliusowi. Usłyszał, jak kwestarz mówi: „Zabierajcie rannych jak najdalej od kościoła i kładźcie na ziemi. Ciała zabitych układajcie od strony północnej”. Odszedł rad, że jak zwykle może zaufać Miliusowi. Dojrzał brata Randolfa. Potykając się, szedł ku niemu. Obaj z trudem przedzierali się przez rumowisko. Za kościołem po zachodniej stronie stał tłum ludzi, którzy zdołali ujść wcześniej, zanim nadeszło najgorsze, i w ten sposób uniknęli ran.

– Wykorzystaj tych ludzi – zwrócił się Philip do Randolfa. – Poślij kogoś do infirmerii, by ci przyniósł sprzęt i medykamenty. Wyślij kilku do kuchni, niech zadbają o gorącą wodę. Upewnij się, że martwi i ranni leżą w osobnych rzędach, by twoi ludzie nie potykali się o trupy, kiedy żyjącym będą nieść pomoc.

Rozejrzał się. Ci, którzy przeżyli, zabierali się do roboty. Wielu spośród tych, którzy uchronili się pod wschodnią ścianą, poszło w ślady przeora. Przełazili przez gruzy, po drodze wyciągając ciała. Niektórzy, oszołomieni jedynie wskutek upadku, stawali właśnie na nogi bez pomocy. Philip dojrzał jakąś starszą kobietę, która, całkowicie zagubiona, rozglądała się dokoła. Rozpoznał ją, to Maud, wdowa po złotniku. Pomógł jej wstać i wyprowadził z ruin.

– Co się stało? – spytała, nie patrząc na niego. – Nie wiem, co się stało...

– Ja też nie wiem, Maud.

Kiedy wracał, by pomóc komuś następnemu, dźwięczały mu w głowie słowa biskupa Walerana: „To właśnie efekt twojej arogancji, Philipie”. To oskarżenie ugodziło go do żywego, bo podejrzewał, że może być słuszne. Zawsze naciskał na więcej, lepiej, szybciej... Żądał od Alfreda, by jak najszybciej skończył sklepienie, chciał mieć jarmark wełniany, domagał się kamieniołomu hrabiego Shiring. Zawsze kończyło się to tragedią: rzezią kamieniarzy, spalaniem Kingsbridge, a teraz zawaleniem się kościoła. Najwyraźniej to z powodu jego ambicji. Mnisi powinni żyć w pokorze, przyjmując utrapienia i problemy tego

świata jako lekcje cierpliwości, zadawane przez Wszechmocnego.

Kiedy Philip pomagał przenosić rannych i martwych z kościoła, postanowił zostawić Bogu ambicję i naciskanie: on, Philip, od tej pory będzie wszystko przyjmował biernie, cokolwiek go spotka. Jeśli Bóg zechce katedry, to załatwi kamieniołom; jeśli miasto zostanie spalone, należy to traktować jako znak, że Bóg nie chce wełnianego jarmarku; teraz z kolei, skoro zawalił się kościół, to znaczy, że Bóg nie życzy sobie, by on, przeor klasztoru w Kingsbridge, go odbudowywał.

Jak tylko powziął owo postanowienie, zobaczył Williama Hamleigha.

Hrabia Shiring siedział na podłodze w trzecim przęśle w pobliżu północnej nawy. Jęczał z bólu; stopę miał uwięzioną pod wielkim kamieniem. Philip, odsuwając kamień, zastanawiał się, jaki też cel miał Bóg, skoro pozwolił zginąć tak wielu porządnym ludziom, a zostawiał przy życiu takie bydło.

Hamleigh czynił wokół siebie wielkie zamieszanie, pozując na cierpiętника. Pomogli mu się podnieść. Oparł się na ramieniu człowieka solidnej postury i pokuśtykał na zewnątrz. Wtedy zapłakało dziecko.

Płacz usłyszeli wszyscy. W zasięgu wzroku nie było jednak małych dzieci. Zmyleni zupełnie, rozglądali się we wszystkich kierunkach. Płacz rozległ się ponownie i Philip zorientował się, że dochodzi spod wielkiej kupy kamieni w nawie bocznej.

– Tam! – krzyknął. Pochwycił wzrok Alfreda i machnął ku niemu ręką. – Tam, tam jest żywe dziecko!

Wszyscy wsłuchiwali się w płacz. To było kwilenie maleństwa.

– Masz rację, ojczy – stwierdził Alfred. – Przesuńmy te wielkie kamienie.

Wraz z pomocnikami zaczęli odgarniać gruzy. Dołączył do nich Philip. Nie przypominał sobie, aby w ostatnich tygodniach urodziło się jakieś dziecko w Kingsbridge. Oczywiście narodziny mogły ujść jego uwagi. Co prawda miasto ostatnio zmalowało, ale w dalszym ciągu było dość duże, by mógł nie zauważyć tak zwykłego wydarzenia.

Nagle płacz ucichł. Wszyscy zamarli i nasłuchiwali, ale niemowlę nie zapłakało więcej. Posępnie przystąpili do usuwania kamieni. To było niebezpieczne zajęcie, dlatego Philip wyznaczył Alfreda. Lecz nie był on tak ostrożny, jak tego życzył sobie przeor, i zdawało się, że pozwala każdemu pracować według własnego uznania, bez jakiegoś całościowego planu. Nagle stos zaczął drżeć.

– Czekajcie! – wrzasnął przeor.

Wszyscy się zatrzymali.

Alfred jest zbyt wstrząśnięty, by dobrze zorganizować ludzi – uświadomił sobie Philip.

– Jeśli pod tymi kamieniami jest ktoś żywy, to znaczy, że coś go chroni. Jeżeli ta kupa się poruszy, to ten ktoś straci ochronę i ratując, możemy go zabić. Weźmy się do tego ostrożniej. – Wskazał grupę murarzy stojących razem. – Wy trzej, włączcie na górę i podawajcie kamienie, a my będziemy je odnosić dalej.

Zaczęli pracę od nowa, pod kierownictwem Philipa. Posuwała się szybciej i bezpieczniej.

Kiedy ucichł płacz niemowlęcia, nie mieli pewności, czy oczyszczają właściwe miejsce, więc pracowali prawie na całej szerokości niszy. Część gruzu pochodziła ze sklepienia, ale częściowo runął także strop nawy bocznej; stąd w gruzie były też belki.

Philip pracował, nie czując zmęczenia. Chciał, by to dziecko przeżyło. Chociaż wiedział, że zginęły tuziny ludzi, to uratowanie dziecka wydawało mu się jakoś szczególnie ważne. Czuł, że gdyby się udało, byłaby jakaś nadzieja na przyszłość. Na pół ślepy od pyłu, podnosił ciężkie kamienie, modląc się, by dziecko znaleziono żywe.

W końcu mógł już dojrzeć pod usypkiem gruzu zewnętrzną ścianę nawy bocznej i kawałek okna. Wydawało się, że za tą kupą jest trochę wolnego miejsca. Może tam jest ktoś żywy. Jakiś murarz sprawnie wspiął się na górę i spojrział.

– Jezu! – krzyknął.

Tym razem Philip nie zwrócił uwagi na błuznierstwo.

– Wszystko w porządku? – spytał z drzeniem w głosie.

– Nie umiem powiedzieć – odrzekł murarz.

Z większym zapalem przystąpili do pracy. Poziom gruzu obniżał się szybko. Tuż nad ziemią tkwił wielki kamień – trzeba było trzech ludzi, by go podnieść. Kiedy go przetaczano, Philip dojrzał dziecko.

Było nagie, dopiero co urodzone. Jego jasną skórę pokrywała krew i pył, ale można było dostrzec, że ma włosy koloru marchewkowego. Przyjrząwszy się bliżej, przeor zobaczył, że to chłopiec. Leżał na kobiecej piersi i ssał. Widział, że dziecko jest żywe, i serce podskoczyło mu z radości. Popatrzył na kobietę. Żyła także. Spotkali się wzrokiem, a ona uśmiechnęła się do niego zmęczonym, szczęśliwym uśmiechem.

To była Aliena.

Aliena nie wróciła do domu swego męża.

Alfred powiedział wszystkim, że niemowlę nie jest jego dzieckiem, a jako dowód wskazywał rude włosy maleństwa, dokładnie takie, jakie miał Jack. Nie próbował jednak zrobić krzywdy ani Alienie, ani dziecku, nie chciał ich tylko w swoim domu.

Aliena przeniosła się z powrotem do jednoizbowego budynku w dzielnicy biedoty i zamieszkała razem z bratem. Cieszyła się, że zemsta męża okazała się tak łagodna. Rada też była, że nie musi już spać jak pies na podłodze, przy łożu męża. Przede wszystkim jednak czuła dumę i głębokie wzruszenie z powodu swego prześlicznego dziecka. Miało czerwone włosy, bladą skórę i niebieskie oczy, co żywo przypominało jej Jacka.

Nikt nie wiedział, dlaczego kościół się zawalił. Niektórzy twierdzili, że Alfred nie ma dość zdolności, by kierować budową. Inni oskarżali Philipa, że przyspieszał roboty, by skończyć na Zielone Świątki. Niektórzy murarze mówi-

li, że szalunki zostały zdjęte, zanim zaprawa dobrze się związała. Jeden ze starszych murarzy oświadczył, że tych ścian nie budowano z myślą o kamiennym sklepieniu.

Zginęło siedemdziesięcioro dziewięcioro ludzi, łącznie z dwojgiem zmarłych później z powodu ran. Mieszkańcy Kingsbridge twierdzili, że ofiar byłoby znacznie więcej, gdyby przeor Philip nie zagonił wszystkich pod wschodnią ścianę. Coraz częściej rozchodziły się pogłoski, że nad katedrą wisi klątwa.

Kilka tygodni później Alfred zabrał swoich ludzi do Shiring, by tam bogatym mieszczanom budować kamienne domy. Inni rzemieślnicy także uciekali z Kingsbridge. W niedzielę nie przychodzili już żadni ochotnicy, targ zmalął do kilku kulejących straganów, a Żyd Malachi zapakował swą rodzinę i majątek na wielki, ciągniony przez cztery woły wóz i opuścił miasto w poszukiwaniu zielniejszych pastwisk.

Richard wynajął swego czarnego ogiera jakiemuś kmieciowi i z tego utrzymywali się z Alieną. Bez pomocy Alfreda nie mógł już być rycerzem walczącym u boku króla, a poza tym i tak nie miało to sensu teraz, kiedy William został zatwierdzony jako hrabia Shiring. Aliena w dalszym ciągu czuła się związana przysięgą złożoną ojcu, lecz nic nie mogła uczynić na rzecz jej dochowania. Richard popadał w apatię. Wstawał późno, siedział na słońcu przez większość dnia, a wieczory spędzał w piwiarni.

Martha mieszkała samotnie w wielkim domu brata, choć miała do pomocy i towarzystwa służącą. Większość czasu spędzała jednak z Alieną; uwielbiała zajmować się dzieckiem, tym bardziej że wyglądał jak jej kochany Jack. Chciała, by nadano mu to imię.

Przez całe lato Aliena była przejęta swoim macierzyństwem. Lecz kiedy zaczęły się żniwa i nieco się ochłodziło, a wieczory nadchodziły szybciej, poczuła narastające niezadowolenie.

Każda myśl o przyszłości wskrzeszała w jej pamięci Jacka. Poszedł, a ona nie wiedziała dokąd, ale stale był obecny w jej myślach, dominował w nich, był

tak pełen życia i energii, tak prawdziwy i wyraźny, jakby widziała go zaledwie wczoraj. Kochając się z Jackiem w dniu ślubu z Alfredem, popełniła największy grzech swego życia. Wiedziała, że za ten grzech teraz pokutuje, lecz nic nie mogła poradzić na to, iż jednocześnie uważała, że to była najlepsza rzecz, jaka jej się w życiu przytrafiła. Każde spojrzenie na dziecko utwierdzało ją w tym przekonaniu. Mimo to była jednak niespokojna. Czuła jakiś niedosyt. Dom wydawał się jej za mały, Kingsbridge na pół obumarłe, a życie zbyt monotonne. Stała się niecierpliwa wobec dziecka i obojętna w stosunku do Marthy. Pod koniec lata kmieć przyprowadził konia z powrotem i nagle Aliena i Richard utracili swoje małe dochody. Któregoś dnia wczesną jesienią Richard poszedł do Shiring sprzedać zbroję. Kiedy go nie było, a Aliena siedziała, jedząc jabłko, na progu stanęła matka Jacka.

– Ellen! – zawołała Aliena. Była nie tylko zaskoczona. W głosie jej zabrzmiała konsternacja, bo przecież to Ellen przeklęła jej małżeństwo z Alfredem, a na dodatek przeor Philip mógł ją pojmać i ukarać.

– Przyszłam zobaczyć wnuka – powiedziała Ellen spokojnie.

– Ale skąd się dowiedziałaś...?

– Słyszysz się różne rzeczy, nawet w lesie. – Podeszła do kołyski stojącej w rogu i popatrzyła na śpiące dziecko. Twarz jej złagodniała. – No, no, nie ma żadnych wątpliwości, czyj to syn. Dobrze się miewa?

– Nigdy mu się nic nie przytrafiło, jest mały, ale mocny – odrzekła Aliena z dumą. – Jak jego babka – dodała. Przyglądała się Ellen. Wyszczupiała, zbrązowiała i nosiła skórzaną tunikę odkrywającą łydki. Stopy miała bose. Wyglądała młodo i dzielnie: życie w lesie zdawało się jej służyć. Aliena wyliczyła, że powinna mieć trzydzieści pięć lat. – Bardzo dobrze wyglądasz – stwierdziła.

– Tęsknię za wami wszystkimi – rzekła Ellen. – Tęsknię za tobą i za Marthą, a nawet za twoim bratem Richardem. Tęsknię za moim Jackiem. I za moim Tomem. – Posmutniała.

– Czy ktoś widział, jak tu szłaś? Mnisi wciąż mogą chcieć cię ukarać – za-

niepokoila się Aliena.

– Nie ma takiego mnicha w Kingsbridge, który miałby dość odwagi i siły, by mnie uwięzić. – Skrzywiła się. – Ale i tak byłam ostrożna, nikt mnie nie widział. – Ellen zamilkła i twardo spojrzała na Alienę. – Tracisz czas, życie marnujesz.

– O co ci chodzi? – spytała spokojnie, chociaż te słowa uderzyły w jej czułą strunę.

– Powinnaś pójść i odnaleźć Jacka.

Aliena poczuła przypływ zachwycającej nadziei.

– Chciałabym, ale nie mogę.

– Dlaczego?

– Po pierwsze, nie wiem, gdzie on się podziewa.

– Ja wiem.

Serce Alieny zaczęło bić szybciej. Myślała, że nikt nie wie, dokąd poszedł Jack. Wydawało się, że znikł z powierzchni ziemi. A teraz raptem mogła go sobie wyobrazić w jakimś konkretnym miejscu. To zmieniało wszystko. Mógł być gdzieś w pobliżu, mogłaby mu pokazać jego dziecko.

– Przynajmniej wiem, dokąd się kierował – dodała Ellen.

– Dokąd? – ponagląco pytała Aliena.

– Do Santiago de Compostela.

– O Boże! – Serce się jej ścisnęło. Poczła się rozpaczliwie rozczarowana. Compostela to miasto w Hiszpanii, gdzie pochowano apostoła Jakuba. Podróż tam musiałaby trwać wiele miesięcy. Jack mógł równie dobrze znaleźć się na końcu świata.

– On miał nadzieję, że spotka tam zonglerów i dowie się czegoś o swoim ojcu.

Aliena pokiwała głową. To miało sens. Jack zawsze żałował, że tak mało wie o swym ojcu. Ale przez to mógł nigdy nie wrócić. Na pewno znajdzie jakąś katedrę w budowie, gdzie chciałby pracować, a potem się tam osiedli. W poszu-

kiwaniu ojca Jack straci syna.

– To daleko – powiedziała. – Chciałabym móc pójść za nim.

– To dlaczego się wahasz? Na pielgrzymki wyrusza tysiące ludzi. Dlaczegoż nie ty?

– Złożyłam ojcu przysięgę, że będę pomagać Richardowi, dopóki nie odzyska hrabstwa. Nie mogę go zostawić.

Ellen zdawała się podchodzić do tego sceptycznie.

– A jak w tej chwili możesz mu pomóc? Jesteś bez pensa, a hrabią został William. Richard stracił wszelkie szanse na odzyskanie tytułu i majątku. Nie możesz mu pomóc ani tutaj, ani w Composteli. Poświęciłaś życie na dotrzymanie tej nieszczęsnej przysięgi, ale teraz nic nie możesz uczynić. Nie wiem, jakim cudem twój ojciec z za grobu mógłby cię za to obwiniać. Jeśli pytasz o moje zdanie, to powiem ci, że wyświadczysz największą przysługę Richardowi, opuszczając go na jakiś czas. Może wtedy nauczy się samodzielności.

Aliena pomyślała, że to prawda, że rzeczywiście teraz nie jest mu potrzebna. Czyżby mogła czuć się wolna? Czyżby mogła szukać Jacka? Sama myśl o tym wywołała kołatanie serca.

– Ale nie mam pieniędzy na pielgrzymkę.

– A co się stało z tym wielkim koniem?

– Wciąż go mamy i...

– Sprzedaj go.

– Jakżebym mogła? Jest Richarda.

– Na miłość boską, a kto, u diabła, go kupił? – gniewnie rzekła Ellen. – Czy Richard ciężko pracował przez sześć lat, budując interes wełniany? Czy to Richard targował się ze skąpymi kmieciami i chciwymi Flamandami? Czy Richard zwoził wełnę, przechowywał ją, układał na kramie i sprzedawał? Nie gadaj bzdur, że to koń Richarda!

– On będzie zły, rozgniewa się na...

– Dobrze. Miejmy nadzieję, iż rozgniewa się tak, że weźmie się do roboty

po raz pierwszy w życiu.

Aliena otworzyła usta, żeby zaprotestować, potem je zamknęła. Ellen miała rację. Richard opierał się na niej we wszystkim. Kiedy walczył o ojcowiznę, wtedy miała obowiązek go zaopatrywać. Lecz teraz nie walczył o nic. Nie mógł nic więcej od niej wymagać.

Wyobraziła sobie ewentualne spotkanie z Jackiem. Ujrzała jego twarz, jego uśmiech. Pocałują się. Poczują przyjemne mrowienie w łądźwiach. Zdała sobie sprawę, że tam, w dole, robi się miękka i wilgotna na samą myśl o nim. Starła się ukryć zmieszanie.

– Podróż oczywiście jest pełna niebezpieczeństw – dodała Ellen.

Aliena uśmiechnęła się.

– To jedyna sprawa, o którą się nie martwię. Podróżowałam i wędrowałam od siedemnastego roku życia. Potrafię o siebie zadbać.

– Na drodze do Composteli chodzą setki ludzi. Możesz dołączyć do jakiejś grupy pielgrzymów. Nie musisz podróżować sama.

– Wiesz, gdybym nie miała dziecka, to nawet bym się nie zastanawiała – westchnęła.

– Ależ musisz, właśnie z jego powodu! On potrzebuje ojca.

Aliena nie myślała dotąd w ten sposób; dokuczała jej głównie samotność. Teraz nagle uświadomiła sobie, że dziecko potrzebowało Jacka tak samo jak ona. Spędzając dzień w dzień z dzieckiem, nigdy nie myślała o jego przyszłości. Raptem zrozumiała, że to maleństwo zostanie skrzywdzone, jeśli będzie rosło, nie znając tego błyskotliwego, jedyne w swym rodzaju, uwielbianego, genialnego człowieka, jakim był jego ojciec.

Zorientowała się, że przekonuje sama siebie do wyruszenia w drogę, i poczuła dreszcz niepokoju.

– Nie mogę wziąć dziecka do Composteli.

Ellen wzruszyła ramionami.

– Nie wydaje mi się, by zauważył różnicę między Hiszpanią i Anglią. Ale

nie musisz brać go ze sobą.

– A co z nim zrobię?

– Zostawisz go ze mną. Wykarmię go kozim mlekiem i miodem dzikich pszczoł.

Aliena potrząsnęła głową.

– Nie zniosłabym rozłąki z nim. Za bardzo go Kocham.

– Jeśli go Kochasz, to idź i znajdź jego ojca.

II

W Wareham Aliena znalazła statek. Kiedy przepływała kanał z ojcem, jeszcze jako dziewczynka, płynęli jednym z normandzkich okrętów wojennych. Były to długie, wąskie łodzie, z rufą i dziobem mocno wygiętymi ku górze i ostro zakończonymi. Po obu burtach miały rzędy wiosła, a na maszcie wielki, skórzany, kwadratowy żagiel. Statek, którym miała płynąć teraz, przypominał tamten, ale był szerszy i głębszy, aby pomieścić ładunek. Przypłynął z Bordeaux. Przyglądała się, jak bosonodzy żeglarze wyładowują wielkie beczki z winem, przeznaczone do piwnic ludzi zamożnych.

Aliena wiedziała, że powinna zostawić dziecko, ale serce jej na to nie pozwalało. Za każdym spojrzeniem na maleństwo przypominała sobie wszystkie argumenty, aż wreszcie postanowiła wyruszyć z nim; przynajmniej w pierwszą część podróży. Nie chciała rozstawać się z maleństwem.

Ellen przybyła do Wareham razem z Alieną, która tutaj dołączyła do dwu mnichów z opactwa Glastonbury, udających się do posiadłości swego klasztoru w Normandii. Na statku płynęło jeszcze trzech pasażerów: młodzieniec, który spędził cztery lata u swego angielskiego krewniaka, a teraz wracał do rodziców w Tuluzie, oraz dwu murarzy, którzy słyszeli, że za wodą płacą lepiej, a dziewczyny są tam ładniejsze. Mieli wypłynąć o poranku, wszyscy tedy czekali w pi-

wiarni, póki załoga nie załaduje statku ciężkimi sztabami kornwalijskiej cyny. Murarze wypili po kilka kubków piwa, lecz nie wyglądało na to, by się upili. Aliena tuliła dziecko i cichutko popłakiwała.

Wreszcie statek był gotów do drogi. Krępa siwa klacz, którą Aliena kupiła w Shiring, nie widziała nigdy morza i nie chciała przejść po trapie. Jednakże młodzieniec i murarze, pomagając sobie z zapalem, wciągnęli wreszcie kobyłę na pokład.

Aliena, z oczyma spuchniętymi od płaczu, podawała dziecko Ellen. Ta jednak zmieniła poprzednią decyzję.

– Nie możesz tak uczynić. Myliłam się, kiedy ci to zaproponowałam.

Aliena rozpląkała się jeszcze bardziej.

– Ale tam jest Jack – zaszlochała. – Nie mogę żyć bez niego, wiem, że nie mogę. Muszę go znaleźć.

– Och, tak! – rzekła Ellen. – Nie mówię, byś nie jechała. Ale nie możesz zostawić dziecka. Zabierz je ze sobą.

Aliena w przyływie wdzięczności i wzruszenia zaczęła szlochać.

– Naprawdę myślisz, że tak będzie dobrze?

– Przez całą drogę tutaj miał się jak najlepiej, jechał cały czas z tobą. Reszta twej podróży będzie raczej taka sama. A on nie przepada za mlekiem kozy.

Rozległ się głos kapitana:

– No, moje damy, pływ się zmienia.

Aliena uściskała Ellen.

– Dziękuję. Jestem taka szczęśliwa.

– Powodzenia – odrzekła Ellen na pożegnanie.

Odbili natychmiast. Machała ręką, dopóki jeszcze można było dostrzec matkę Jacka, aż stała się malutkim przecinkiem na nabrzeżu. Kiedy przepływali przez Poole Harbour, zaczęło padać. Na górze nie postawiono żadnego schronienia, więc Aliena zeszła pod pokład i tam usiadła. Częściowa osłona, jaką dawały siedziska wioślarzy, nie chroniła jej całkowicie przed deszczem, ale stano-

wiła wystarczające zabezpieczenie, by móc dziecko utrzymać suche pod opończę. Kołysanie statku zdawało się maleństwu odpowiadać, bo zasnęło. Kiedy zapadła ciemność i statek rzucił kotwicę, dołączyła do modlących się mnichów. Potem zdrzemnęła się trochę, siedząc przy burcie i trzymając dziecko na kolanach.

Do Barfleur przybili następnego dnia, a Aliena znalazła nocleg w sąsiednim mieście, w Cherbourgu. Przez cały dzień pytała napotykanych ludzi, czy nie przypominają sobie młodego angielskiego murarza o płomiennie rudych włosach. Nikt go nie widział. Rudowłosych Normanów przewijało się wielu, mogli po prostu nie zauważyć. Albo może wysiadł w innym porcie.

Aliena nie oczekiwała, że od razu natknie się na ślady Jacka, lecz to niepowodzenie nie dodało jej otuchy. Następnego dnia wstała i wyruszyła na południe. Podróżowała w towarzystwie sprzedawcy noży i jego dobrodusznej, tęgiej żony oraz czwórki ich dzieci. Jechali dość wolno, z czego Aliena była zadowolona, bo to pozwalało jej oszczędzać konia, co było konieczne z uwagi na czekającą ją długą podróż. Zabrała ze sobą swój ostry sztylet o długim ostrzu. Nie wyglądała na bogatą. Ubranie miała ciepłe, ale niezbyt wykwintne, a jej koń był raczej chabetą niż rumakiem. Starła się, by w sakiewce mieć tylko kilka monet na bieżące potrzeby, i dbała o to, by nigdy nikomu nie pokazać mieszka, który nosiła na ciele, pod tuniką. Dziecko karmiła dyskretnie, aby obcy nie mogli oglądać jej piersi.

Tej nocy spotkało ją nadzwyczaj szczęśliwe wydarzenie, które podtrzymało gasnącą nadzieję na odnalezienie Jacka. Zatrzymali się na nocleg w małej wiosce zwanej Lessay, a tam Aliena spotkała mnicha pamiętającego młodego angielskiego murarza, którego zafascynowało nowoczesne sklepienie żebrowe w kościele opactwa. Mnich zapamiętał nawet i to, że Jack mówił, iż przyплыł do Honfleur, co wyjaśniało brak śladów w Cherbourgu. Chociaż upłynął rok, ten człowiek mówił o Jacku ze swadą, najwyraźniej nim oczarowany, a Aliena rozmawiała z nim długo, uszczęśliwiona, że znalazła się na drodze, którą Jack

podążył.

Wreszcie dała mnichowi spokój i położyła się spać na podłodze w domu gościnnym opactwa. Zasypiając, tuliła swoje maleństwo i szeptała mu w różowe uszko:

– Znajdziemy twego tatusia.

Dziecko zachorowało w Tours.

To miasto okazało się bogate, brudne i zatłoczone. Szczury biegały stadami wokół wielkich spichlerzy zbożowych, stojących wzdłuż brzegów Loary. Było tu mnóstwo pielgrzymów, bo Tours stanowiło tradycyjny przystanek na drodze pielgrzymek do Composteli. Na dodatek zbliżał się dzień świętego Marcina, pierwszego biskupa Tours, i wielu przybywało do miasta, by pokłonić się grobowi świętego. Marcin zasłynął z tego, że przeciął na pół swój płaszcz i jedną część oddał nagiemu żebrakowi. Z powodu święta gospody i domy noclegowe w mieście były przepelnione. Aliena musiała brać, co dają, i stanęła w rozchwierutanej tawernie przy nabrzeżu. Prowadziły ją dwie starszawe siostry, które nie były w stanie utrzymać obejścia w czystości.

Na początku nie spędzała tu zbyt wiele czasu. Z dzieckiem na ręku chodziła ulicami i pytała o Jacka. Wkrótce zorientowała się, że w tak dużym mieście właściciele gospód czy domów noclegowych nie są w stanie zapamiętać kogoś z zeszłego tygodnia, a co dopiero z ubiegłego roku. Jednakże przy każdym placu budowy zatrzymywała się, by zapytać, czy nie zatrudniali młodego rudego angielskiego murarza imieniem Jack. Nikt go nie zatrudniał.

Rozczarowała się. Od Lessay nie usłyszała o nim żadnej wieści. Jeśli trzymał się wcześniej przyjętego planu podróży do Composteli, to na pewno musiał zahaczyć o Tours. Zaczęła się lękać, czy Jack nie zmienił zdania.

Poszła do kościoła Świętego Marcina, jak wszyscy. Tam spotkała sporą grupę murarzy wykonujących prace naprawcze. Odszukała mistrza budowni-

czego, niskiego, naburmuszonego mężczyznę o rzadziejących włosach, i zapytała go, czy przyjmował do pracy młodego murarza z Anglii.

– Nie zatrudniam Anglików – rzekł mistrz oschle, zanim Aliena mogła skończyć zdanie. – Angielscy murarze to nicdobrego.

– Ten jest bardzo dobry – powiedziała. – Mówi dobrze po francusku, więc mogłeś nawet nie poznać, że jest Anglikiem. Jest rudy.

– Nie, nigdy takiego nie widziałem – przerwał szorstko, po czym odszedł od niej.

Aliena wróciła trochę przygnębiona do domu noclegowego. Takie nieuprzejme traktowanie bez żadnego powodu nie dodawało ducha.

Tej nocy cierpiała na bóle brzucha i prawie wcale nie spała. Nazajutrz czuła się zbyt chora, by wyjść, więc spędziła cały dzień w łóżku. Przez okno dolatywał smród rzeki, a zapachy korzennego wina i oleju używanego w kuchni wpadały przez drzwi. Następnego ranka zachorowało dziecko.

Obudził ją płacz. Ten płacz nie był zwykłym domaganiem się o jedzenie. Przypominał cichutką skargę, smutną i przejmującą. Bolał go brzusek, tak samo jak Alienę, ale u niego pojawiła się jeszcze gorączka. Zazwyczaj szeroko otwarte, błękitne oczka teraz były przymrużone, a piąstki zaciśnięte. Skórę miał zaczerwienioną i pojawiły się na niej plamy.

Nigdy nie chorował, więc Aliena nie wiedziała, co robić. Dała mu pierś. Przez chwilę ssał, spragniony, potem zapłakał, potem znowu ssał. Mleko przepłynęło przez niego.

W tawernie pracowała miła młoda służąca. Aliena poprosiła ją o pójście do opactwa i kupienie wody święconej.

Służąca wróciła z matką, która spaliła wiązkę ziół w żelaznej misce. Gryzący dym wydawał się wchłaniać zapachy tego miejsca.

– Dziecko będzie miało pragnienie. Dawaj mu piersi, gdy tylko zechce. Sama pij dużo, żebyś miała dużo mleka. To wszystko, co możesz dla niego zrobić.

– Wyzdrowieje? – spytała zaniepokojona Aliena.

Kobieta spojrzała współczująco.

– Nie wiem, kochanie. Kiedy są takie małe, to nigdy nie wiadomo. Zwykle takie rzeczy, jak ta, przeżywają, ale czasami nie. To twoje pierwsze?

– Tak.

– No to po prostu pamiętaj, że zawsze możesz mieć więcej. Aliena pomyślała, że przecież to dziecko Jacka, a ona Jacka straciła. Zatrzymała to jednak dla siebie, podziękowała kobiecie i zapłaciła za zioła.

Kiedy odeszły, Aliena mieszała wodę święconą ze zwykłą wodą, umoczyła w niej szmatkę i zrobiła chłodzący okład na główkę.

Wraz z upływem dnia wydawało się, że dziecku się pogarsza. Aliena dawała pierś, kiedy tylko zakrzyczało, śpiewała, gdy usypiało, i chłodziła główkę święconą wodą. Maleństwo stale ssało, lecz na szczęście mleka miała dużo. Sama także była chora i jadła jedynie suchy chleb, popijając rozwodnionym winem. Z upływem czasu zaczynała nienawidzić izby, w której się znajdowała, tych ścian pełnych szpar, szorstkiej podłogi z desek, źle dopasowanych drzwi i brudnego małego okienka. W tym pokoju umieszczono cztery sprzęty: rozchwierutane łóżko, stół na trzech nogach, kij jako wieszak i świecznik z trzema szpikulcami, ale tylko jedną świeczką.

Kiedy zapadła ciemność, przyszła służąca i zapaliła świeczkę. Popatrzyła na leżące na łóżku dziecko, machające rączkami i nóżkami i gaworzące coś monotonnie.

– Biedactwo – powiedziała. – Nie rozumie, dlaczego tak się czuje.

Zostawiła zapaloną świeczkę, dzięki czemu Aliena mogła widzieć dziecko. W nocy trochę się zdrzemnęli. Przed świtem oddech maleństwa stał się płytki, przestało się ruszać i płakać.

Aliena rozplakała się. Straciła ślad Jacka, a dziecko umiera w tym miejscu pełnym obcych, w mieście dalekim od domu. Nigdy już nie będzie innego Jacka i ona już nigdy nie będzie miała innego dziecka. Może też powinna

umrzeć...

Zaczęło świtać, więc zdmuchnęła świecę. Wycieńczona zapadła w sen. Nagle obudził ją zgiełk dochodzący z dołu. Słońce stało wysoko, zza okna dobiegały odgłosy ożywionej pracy. Dziecko leżało cichutko, buzię nareszcie miało spokojną. Zimny strach, ścisnął Alienę za gardło. Dotknęła jego piersi. Ani ciepła, ani zimna. Zachłysnęła się ze strachu. Wtedy dziecko westchnęło, a potem otwarło oczy. Szaleńcza ulga ogarnęła Alienę.

Porwała je w ramiona i przycisnęła do siebie, a maleństwo zaczęło płakać z głodu. Czuło się dobrze, jak zauważyła, bo ciepłotę miało normalną, a objawy rozstroju także minęły. Przystawiła dziecko do piersi, a ono żarłocznie zaczęło ssać. Zamiast po kilku łykach się odwrócić, jak to czyniło poprzedniego dnia, ssało długo, a kiedy opróżniło jedną pierś, zabrało się do drugiej. Potem zapadło w głęboki, pokrzepiający sen.

Aliena uświadomiła sobie, że jej objawy chorobowe także ustąpiły, chociaż czuła się zupełnie wycieńczona. Spała obok dziecka do południa, potem nakarmiła je znowu, a później zeszła na dół, do sali ogólnej, i zjadła na obiad koziego sera, świeżego chleba i odrobinę boczku.

Może to ta święcona woda pomogła dziecku. Tegoż popołudnia poszła do grobu świętego Marcina i dziękowała mu.

Kiedy modliła się w kościele opactwa, przyglądała się budowniczym przy pracy i myślała o Jacku, który powinien zobaczyć swe dziecko. Zastanawiała się, czy istotnie zmienił cel swej planowanej podróży. Może pracował w Paryżu i tam ciął kamienie na nową katedrę. Rozmyślając tak, ujrzała budowniczych zamocowujących nowy kroksztyn. Wyrzeźbiono go w postaci człowieka, który trzymał ciężar filara na swym grzbiecie. Wciągnęła głośno powietrze. Bez najmniejszego cienia wątpliwości natychmiast rozpoznała tę zgarbioną, cierpiącą z bólu postać. Rzeźbił ją Jack. Był tutaj!

Z sercem bijącym z podniecenia zbliżyła się do ludzi wykonujących tę pracę.

– Ten kroksztyn... – powiedziała, tracąc oddech. – To Anglik rzeźbił ten kroksztyn, prawda?

Stary robotnik o złamanym nosie odpowiedział:

– To prawda, Jack Jackson to robił. Nigdy nic podobnego w życiu nie widziałem.

– Kiedy był tutaj? – spytała. Wstrzymywała oddech, gdy stary człowiek drapał się w siwą głowę przez zasypaną pyłem czapkę.

– Musi z rok temu. Od dziś. Zważ, że nie był tu długo. Mistrz go nie lubił. – Ściszył głos. – Jack był za dobry, jak chcesz wiedzieć prawdę. No to musiał odejść. – Położył palce na ustach w geście zaufania.

– A nie mówił, dokąd pójdzie?

Stary człowiek popatrzył na małeństwo.

– To jego dzieciak, nie? O ile włosy ma po ojcu.

– Tak, jego.

– Myślisz, że Jack ucieszy się, jak cię zobaczy?

Aliena uświadomiła sobie, że robotnik podejrzewają, iż Jack uciekł od niej i od dziecka. Zaśmiała się:

– O tak, ucieszy się, kiedy mnie zobaczy!

Wzruszył ramionami.

– Mówił, jeśli można temu wierzyć, że idzie do Composteli.

– Dziękuję ci – powiedziała uszczęśliwiona Aliena i ku zdumieniu oraz zachwytowi starego człowieka, ucałowała go siarczyście.

Pielgrzymie szlaki przez Francję łączyły się u stóp Pirenejów w Ostabat. Grupa, w której podróżowała Aliena, stopniowo urosła do blisko siedemdziesięciu osób. Stanowili wesołą kompanię, mimo obolałych stóp. Było w niej paru zamożnych mieszczan, kilku takich, którzy prawdopodobnie uciekali przed sprawiedliwością, trochę pijaków, trochę mnichów i księży. Słudzy Boga

uczestniczyli w pielgrzymce z powodu pobożności, lecz większość szukała raczej dobrej zabawy. Mówiono kilkoma językami, włącznie z flamandzkim, niemieckim i południowofrancuskim, lecz porozumiewali się między sobą doskonale, a kiedy szli przez Pireneje, śpiewali, grali w różne gry, opowiadali swoje historie, a także romansowali.

Niestety od Tours Aliena nie spotkała nikogo, kto widziałby Jacka. No, ale po drodze przez Francję nie spotkała też tak wielu zonglerów, jak się spodziewała. Jeden z flamandzkich pielgrzymów, człowiek, który już kiedyś przebył tę drogę, mówił, że po hiszpańskiej stronie Pirenejów będzie można częściej spotykać wędrownych śpiewaków.

Jak się okazało, miał rację. W Pampelunie Aliena przejęła się głęboko rozmową z zonglerem, który pamiętał spotkanie z młodym rudowłosym Anglikiem, wypyującym o swego ojca.

Znużeni pielgrzymi szli przez północną Hiszpanię, powoli kierując się ku wybrzeżu. Spotkali na tej drodze kilku śpiewaków, a większość z nich pamiętała Jacka. Uświadomiła sobie ze wzrastającym podnieceniem, że wszystkim mówił, iż kieruje się ku Composteli, a nikt z pytanych nie spotkał go w drodze powrotnej.

To mogło znaczyć, że przebywa tam w dalszym ciągu. Choć coraz bardziej odczuwała zmęczenie, duchem była silniejsza. Z trudem udało jej się hamować nastrój optymizmu przez ostatnie kilka dni podróży. Nastął środek zimy, ale pogoda utrzymywała się łagodna i słoneczna. Dziecko, teraz już półroczne, trzymało się dzielnie i zdrowo. Aliena zaś była pewna, że odnajdzie Jacka w Composteli.

Dotarli tam na Boże Narodzenie.

Całą kompanią poszli prosto do katedry na mszę. Kościół naturalnie był zatłoczony. Aliena zaglądała ludziom w twarze, ale nie widziała Jacka. Cóż, nie był zbyt pobożny, właściwie do kościoła chodził tylko pracować. Ściemniało się, kiedy znalazła nocleg. Położyła się, ale nie mogła zasnąć. Myśl o tym, że

Jack może się znajdować o kilka stóp od miejsca, gdzie ona leży, że jutro pewnie go zobaczy i pocałuje, i pokaże mu dziecko, wprowadzała ją w coraz silniejsze podniecenie.

Wstała o pierwszym brzasku. Dziecko wyczuło niecierpliwość matki i niespokojnie ssało, gryząc dziąsłami sutki.

Kiedy przechodziła pełnymi pyłu ulicami, spodziewała się, że Jack wyłoni się zza każdego rogu. Jakże się zdziwi na jej i dziecka widok! I jak ucieszy! Jednakże nie znalazła go na ulicach, zaczęła więc pytać w domach noclegowych. Skoro tylko ludzie zaczęli wychodzić do roboty, przeszła wszystkie place budów i rozmawiała z murarzami. Znała słowa, jakimi w dialekcie kastylijskim określano „murarza” i „rudowłosego”, a mieszkańcy Composteli przywykli do obcych, więc udawało się jej porozumiewać, ale nie znalazła ani śladu Jacka. Zaczęła się martwić. Nie był przecież osobą łatwą do przeoczenia, a musiał mieszkać tutaj przez kilka miesięcy. Przyglądała się również pracom rzeźbiarskim, ale nie dostrzegła żadnej, która mogłaby być dziełem Jacka.

Późnym rankiem spotkała niechlujną, czerwonicą kobietę w średnim wieku, właścicielkę tawerny, która mówiła po francusku i pamiętała Jacka.

– Przystojny chłop, twój? Żadna z tutejszych dziewcząt i tak nic u niego nie zyskała. Był tu w połowie lata, ale długo nie został, tym bardziej szkoda. No, nie mówił też, dokąd się wybiera. Lubiłam go. Jak znajdziesz Jacka, pocałuj go ode mnie mocno.

Aliena wróciła do swej kwatery i położywszy się na łóżku, wpatrywała się w sufit. Dziecko gaworzyło, ale tym razem nie poświęcała mu uwagi. Czuła się wyczerpana, rozczarowana i tęskniła za domem. To okropne! Prześledziła jego drogę do Composteli, a on musiał pójść gdzieś indziej. Od tamtej pory nie przeszedł z powrotem przez Pireneje, a że na zachód od Composteli znajdował się tylko wąski pasek wybrzeża, a potem jedynie ocean sięgający końca świata, to znaczy, że Jack musiał podążyć na południe. Ona także powinna wybrać się za nim na swej siwej kobyle, z dzieckiem na rękach, ku sercu Hiszpanii.

Zastanawiała się, jak daleko będzie od domu, kiedy jej pielgrzymka dobiegnie końca.

Wigilię Bożego Narodzenia Jack spędził z przyjacielem Raschidem Alharounem w Toledo. Raschid był Saracenen, lecz się ochrzcił. Zrobił fortunę, przywożąc przyprawy ze Wschodu, zwłaszcza pieprz. Spotkali się na mszy południowej w wielkiej katedrze, a potem kroczyli z powrotem w ciepłym zimowym słońcu wąskimi uliczkami i przez pachnący bazar ku dzielnicy zamożnych.

Dom Raschida zbudowano z oślepiąco białego kamienia wokół dziedzińca z wodotryskiem. Cieniste arkady przypominały Jackowi wirydarz klasztoru w Kingsbridge. W Anglii krużganki dawały osłonę przed deszczem i wiatrem, a tutaj ich rolą była osłona przed gorącymi promieniami słońca.

Goście Raschida zasiedli na poduszkach na podłodze i obiadowali przy niskim stoliku. Na mężczyzn oczekiwały żony i córki oraz służebne, których rola i miejsce w pałacu wydawały się trochę wątpliwe: jako chrześcijanin Raschid winien mieć tylko jedną żonę, ale Jack podejrzewał, że on spokojnie pomija nieprzychylny stosunek Kościoła do konkubinatu.

Kobiety stanowiły największą atrakcję gościnnego domu Raschida. Wszystkie fascynowały pięknnością. Żona gospodarza była posągową, pełną wdzięku kobietą o gładkiej, opalanej skórze, błyszczących czarnych włosach i słodkich brązowych oczach. Ich trzy córki przypominały urodą matkę. Najstarsza była zaręczona z innym uczestnikiem obiadu, synem kupca handlującego jedwabiem.

– Moja Raya jest wspaniałą córką – rzekł Raschid, kiedy obchodziła stół dookoła z miską pachnącej wody, by goście mogli w niej zanurzyć dłonie. – Jest uważna, posłuszna i obowiązkowa. Josef ma szczęście. – Narzeczony skłonił głowę na potwierdzenie tych słów i swojego wielkiego szczęścia.

Druga córka była dumna, a nawet wyniosła. Wydawało się, że niechętnie słuchała pochwał kierowanych pod adresem swej siostry. Popatrzyła na Jacka, kiedy nalewała mu napój z miedzianego dzbanka do pucharka.

– Co to jest? – zapytał Jack.

– Kordiał miętowy – odrzekła lekceważąco. Nie podobało się jej, że musi czekać, bo to ona jest przecież córką wielkiego człowieka, a on włóczęgą bez grosza.

Aisza zaś, trzecia córka, podobała się Jackowi i ją w ciągu trzech miesięcy polubił najbardziej. Miała piętnaście czy szesnaście lat, była niewysoka, ruchliwa i zawsze uśmiechnięta. Chociaż ustępowała mu wiekiem o jakieś trzy czy cztery lata, nie wydawała się dziecinna. Miała żywy, dociekliwy umysł. Zadawała mu niekończące się pytania o Anglię i wszystkie odmienności egzotycznego dla niej tamtejszego życia. Często wyśmiewała zwyczaje toledańczyków: snobizm Arabów, kapryśność Żydów i zły smak nowobogackich chrześcijan, czasami doprowadzając Jacka do paroksyzmów śmiechu. Chociaż najmłodsza, zdawała się najmniej niewinna spośród trzech sióstr: było coś w sposobie, w jaki patrzyła na Jacka, kiedy pochylała się nad nim, układając na stole korzenne krewetki, co nieomylnie wskazywało na rozpustne skłonności. Złapała jego wzrok i rzekła: „Kordiał miętowy”, doskonale naśladowując wyniosłe manieiry siostry, a Jack zachichotał. W towarzystwie Aiszy potrafił zapomnieć o Alienie nawet na godzinę.

Kiedy jednak znajdował się z dala od tego domu, Alienie nie schodziła mu z myśli, zupełnie jakby rozstał się z nią dopiero wczoraj. Wspomnienia były boleśnie żywe, chociaż nie widział jej od ponad roku. Mógł przywoływać wspomnienia każdego wyrazu jej twarzy: śmiechu, zamyślenia, podejrzliwości, niepewności, przyjemności, zdumienia i przede wszystkim – namiętności. Nie zapomniał jej ciała, wciąż widział wypukłość jej piersi, czuł miękką skórę wnętrza ud, smak pocałunku i zapach jej rozbudzenia. Często za nią tęsknił.

Aby jakoś uwolnić się spod tego bezowocnego pożądania, czasami wyobra-

zał sobie, co Aliena może robić teraz. Oczyma duszy widział, jak ściąga Alfredowi buty po jego powrocie do domu, siada z nim do posiłków, całuje go, kocha się z nim i podaje pierś ich dziecku, ono zaś wygląda dokładnie jak mały Alfred. Wizje te były dla niego torturami, ale nie zabiły jego tęsknoty do niej.

Dzisiaj, w Wigilię, Aliena pewnie upiecze łabędzia, przygotuje napój z gorącego mleka i piwa, zaprawiony korzeniami... Posiłek, który spożyje za chwilę Jack, nie będzie się za bardzo różnić. Pojawią się dania z ostro przyprawionego jagnięcia, ryż mieszany z orzechami, sałata z dodatkiem soku cytrynowego i oliwy. Jackowi trzeba było trochę czasu, żeby przywyknąć do hiszpańskiej kuchni. Nigdy nie podawano tutaj wielkich kawałów wołowiny, wieprzowych nóg czy udźców dziczyzny, bez których nie obeszlaby się uczta w Anglii, nie jadano tutaj także wielkich kromek chleba. Nie mieli bujnych pastwisk, by wypasać wielkie stada, ani bogatych gleb, na których uprawiano by łąny zbóż. Niedostatek mięsa wynagradzano sobie wyszukаныmi sposobami przyrządzania go z różnymi przyprawami, a zamiast wszechobecnego na północy chleba mieli wielką różnorodność jarzyn i owoców.

Jack mieszkał w Toledo z grupką angielskich kleryków. Stanowili oni część wielonarodowej wspólnoty scholarów, w skład której między innymi wchodził Żydzi, muzułmanie i arabscy chrześcijanie. Anglicy zajmowali się głównie przekładami prac matematycznych z arabskiego na łacinę, by można je było czytać w świecie chrześcijańskim. Panowała między nimi atmosfera gorączkowego podniecenia, kiedy odkrywali i badali zawartość skarbcza nauki arabskiej. Jacka powitali zdawkowo, włączyli go do swego kółka, jak przyjmowali każdego, kto rozumiał ich pracę i dzielił ich zapał dla niej. Byli oni jak biedni chłopci, którzy przez lata harowali, wydzierając słaby plon z lichej gleby, a nagle znaleźli się na żyznej dolinie. Jack porzucił budowanie na rzecz matematyki. Jeszcze nie musiał pracować dla pieniędzy – klerycy zgodnie z panującym tu obyczajem dawali mu miejsce do spania i jedzenie, podobnie jak zapewniali odzienie i sandały, gdy tego potrzebował.

Raschid był jednym z ich dobrodziejów. Jako kupiec załatwiający interesy w różnych krajach posługiwał się wieloma językami i miał poglądy kosmopolityczne. W domu mówił po kastylijsku, językiem Hiszpanii chrześcijańskiej, chętniej niż mozarabikiem, językową mieszanką hebrajskiego i arabskiego w sosie łacińsko-germańskim. Rodzina Raschida mówiła także po francusku, językiem Normanów, będących niezłymi handlowcami. Sam Raschid, mimo że zajmował się głównie handlem, dysponował niebagatelnym umysłem i miał rozległe zainteresowania. Uwielbiał prowadzić rozmowy ze scholarami. Jacka polubił natychmiast i zapraszał go często na obiady.

Teraz, kiedy zaczęli jeść, Raschid zapytał Jacka:

– A czegoż to filozofowie uczą w tym tygodniu?

– Czytałem Euklidesa.

– *Elementy geometrii* Euklidesa były jedną z pierwszych jego przetłumaczonych prac.

– Euklides to śmieszne imię, jak dla Araba – stwierdził Ismael, brat Raschida.

– Euklides był Grekiem – wyjaśnił Jack. – Żył przed narodzeniem Chrystusa. Jego prace zaginęły w Rzymie, ale zachowały się w Egipcie, stąd też dotarły do nas po arabsku.

– A teraz Anglicy tłumaczą je na łacinę – dodał Raschid. – To dopiero zabawne.

– Ale czego się nauczyłeś? – spytał Josef, narzeczony Rai.

Jack zawahał się. To było trudne do wyjaśnienia. Próbował posłużyć się przykładami.

– Mój ojczym, budowniczy, nauczył mnie wykonywania pewnych operacji geometrycznych: jak dzielić odcinek dokładnie na połowę, jak narysować kąt prosty i jak narysować jeden kwadrat w środku drugiego, tak by jego powierzchnia była dokładnie połową powierzchni pierwszego.

– A jaki jest cel tych umiejętności? – przerwał Josef. W jego tonie pojawiła

się nutka pogardy. Uważał Jacka za parweniusza, a także był zazdrosny o przyjaźń Raschida.

– Te operacje stanowią podstawę planów budowlanych – odpowiedział Jack uprzejmie, udając, że nie zauważył cienia pogardy. – Spójrz na ten dziedziniec. Powierzchnia przykryta arkadami jest dokładnie taka sama, jak otwarty teren w środku. Większość małych dziedzińców właśnie tak się buduje, nawet krużganki w klasztorach, a to dlatego, że proporcje są wówczas najprzyjemniejsze. Gdyby wewnątrz było większe, wyglądałoby jak plac targowy; gdyby było mniejsze, wyglądałoby po prostu jak dziura w dachu. By jednak dokładnie to wymierzyć, budowniczy musi umieć narysować wewnętrzną powierzchnię tak, by stanowiła dokładnie połowę całej powierzchni.

– Nigdy o tym nie wiedziałem! – wykrzyknął Raschid triumfalnie.

Niczego tak nie lubił, jak dowiadywać się czegoś nowego.

– Euklides wyjaśnia sposób takiego mierzenia – ciągnął Jack. – Na przykład: dwie części podzielonego odcinka są równe, bo tworzą odpowiednie boki trójkątów przystających.

– Przystających? – spytał Raschid.

– To znaczy dokładnie takich samych.

– Aha, teraz rozumiem.

Jednakże poza nim nikt – skonstatował Jack w duchu.

– Lecz te operacje geometryczne potrafiłeś wykonywać, zanim jeszcze dowiedziałeś się o Euklidesie, a co dopiero mówić o czytaniu. Nie widzę więc, jakież z tego czytania pożytek – rzekł Josef.

Raschid sprzeciwił się:

– Człowiek staje się lepszy, gdy coś zrozumie!

– Poza tym – powiedział Jack – teraz, kiedy już pojąłem zasady geometrii, mogę rozwiązywać problemy, z którymi borykał się mój ojczym. – Ta rozmowa denerwowała go. Euklides był dla niego niczym światło w ciemności, ale nie potrafił przekazać doniosłości jego odkryć. Zmienił odrobinę temat. – Najbar-

dziej jednak interesująca jest metoda Euklidesa. Przyjmuje pięć aksjomatów, które same przez się są zrozumiałe, po czym wszystko logicznie z nich dedukuje.

– Podaj przykład aksjomatu – poprosił Raschid.

– Linia jest nieskończona.

– Nie, to niemożliwe – wtrąciła się Aisza, podająca miskę z figami.

Goście poczuli się nieco zaskoczeni, że dziewczyna wtrąca się do rozmowy, ale Raschid zaśmiał się pobłaźliwie, bo Aisza była jego ulubienicą.

– A to dlaczego?

– Kiedyś musi się skończyć – odrzekła.

– Ale w wyobraźni możesz przecież ciągnąć linię nieskończenie – stwierdził Jack.

– W mojej wyobraźni woda może płynąć pod górę, a psy mogą mówić po łacinie – odparła.

Matka Aiszy właśnie weszła i usłyszała tę replikę.

– Aiszo! – powiedziała twardym tonem. – Wyjdź!

Wszyscy mężczyźni roześmiali się. Aisza zrobiła minę i wyszła. Ojciec Josefa oświadczył:

– Ktokolwiek ją poślubi, będzie miał pełne ręce roboty!

Znow się roześmiali. Jack śmiał się też, potem zauważył, że wszyscy się mu przyglądają, jakby ten żart do niego skierowano.

Po obiedzie Raschid pokazywał gościom kolekcję zabawek mechanicznych. Wśród nich był pojemnik, w którym można było mieszać wodę i wino, a płyny te wypływały z niego oddzielnie; zadziwiający zegar wodny, pokazujący upływ godzin z fenomenalną dokładnością; dzban, który można było napełniać, a nigdy nie przepelnąć, wreszcie małą drewnianą figurkę kobiety, o oczach zrobionych z pewnego kryształu, który wchłaniał wodę w ciągu ciepłego dnia, a potem wilgoć parowała w chłodzie wieczoru, co wyglądało tak, jakby owa postać płakała. Jack podzielał Raschidową fascynację tego typu zabawkami, ale

najbardziej ciekawiła go owa płacząca figurka. Mechanizmy innych zabawek, raz wyjaśnione, stawały się zupełnie proste, natomiast tego, co działo się z płaczącą figurką, nikt nie potrafił do końca wytłumaczyć.

Po południu zasiedli pod arkadami wokół dziedzińca, bawiąc się grami, drzemiąc lub gawędząc leniwie. Jack marzył o tym, by przynależeć do równie licznej rodziny jak ta, z wieloma siostrami, szwagrami, teściami i wujami, z domem rodzinnym. Pragnął też zajmować pozycję pełną szacunku w jakimś małym mieście. Nagle przypomniał sobie rozmowę, jaką prowadził z matką tej nocy, kiedy uwolniła go z celi. Pytał wówczas o krewnych ojca, a ona odrzekła: „Tak, miał sporą rodzinę we Francji”. Jack pomyślał sobie, że przecież gdzieś ma taką rodzinę. Bracia i siostry ojca są jego wujami i ciotkami. Uświadomił sobie także, że może mieć kuzynów i kuzynki w swoim wieku. Czy kiedykolwiek ich odnajdzie?

Poczuł się jak dryfujący przedmiot. Mógł przetrwać wszędzie, ale nigdzie nie należał. Był już rzeźbiarzem, budowniczym, mnichem i matematykiem, a wciąż nie wiedział, kim właściwie jest. Czasem zastanawiał się, czy może zostać żonglerem, jak ojciec, czy banitą, jak matka. Skończył dziewiętnaście lat, nie miał domu, nie miał korzeni, nie miał rodziny ani celu życia.

Grał w szachy z Josefem i wygrał. Potem przyszedł Raschid i powiedział:

– Daj mi two krzesło, Josefie. Chciałbym usłyszeć więcej o Euklidesie.

Josef posłusznie ustąpił swemu przyszłemu teściowi, potem odszedł gdzieś dalej, bo, jego zdaniem, o Euklidesie usłyszał wszystko, co go interesowało. Raschid usiadł i spytał Jacka:

– Dobrze się bawisz?

– Twoja gościnność jest nieporównana – odrzekł gładko Jack. W Toledo nauczył się dwornych manier.

– Dziękuję, ale ja pytałem o Euklidesa.

– Tak, ale nie sądzę, by udało mi się wyjaśnić ważność tej książki. Rozumiesz...

– Myślę, że rozumiem. Podobnie jak ty, lubię wiedzę dla niej samej.

– Tak.

– Lecz w takiej sytuacji mężczyzna powinien myśleć o zapewnieniu sobie środków do życia.

Jack nie dostrzegł w tej uwadze żadnego związku z tematem, więc czekał na dalsze słowa Raschida. Jednakże ten siedział wygodnie oparty, z półprzy-
mkniętymi oczyma, najwyraźniej ciesząc się z przyjacielskiego milczenia. Jack
jął się zastanawiać, czy Raschid czasami go nie gani za brak zainteresowania
handlem. W końcu powiedział:

– Myślę, że pewnego dnia wrócę do budownictwa.

– Dobrze.

Jack uśmiechnął się.

– Kiedy opuszczałem Kingsbridge, jadąc na kłaczy mej matki, z narzędzia-
mi mego ojczyma w jukach, myślałem, że jest tylko jeden sposób budowania
kościółów: grube ściany, okrągłe łuki i małe okienka, drewniany dach albo ko-
lebkowe sklepienie. Katedry, które widziałem po drodze z Kingsbridge do So-
uthampton, nie nauczyły mnie niczego nowego. Normandia jednak zmieniła
moje życie.

– Mogę to sobie wyobrazić – powiedział sennie Raschid.

Nie interesowało go to zbyt, więc Jack snuł wspomnienia bezgłośnie.
W kilka godzin po wylądowaniu w Honfleur patrzył na kościół opactwa w Ju-
mieges. Był to najwyższy z napotkanych przez niego kościołów, chociaż, z dru-
giej strony, dach miał drewniany i te wszechobecne łuki. Wyjątek stanowił tyl-
ko budynek kapituły, gdzie opat Urso zbudował nowatorskie kamienne sklepie-
nie. Zamiast gładkiej jednolitej kolebki albo załamane go stropu, ten sufit miał
żebra wychodzące ze szczytów kolumn i spotykające się na środku sklepienia.
Mnich zajmujący się tą budowlą wytłumaczył Jackowi, że w ten sposób łatwiej
budować; najpierw robi się konstrukcję z żeber, a wtedy jest już łatwo zrobić
wypełnienia między nimi. Ten rodzaj sklepień zwiększa wrażenie lekkości.

Mnich spodziewał się, że od Jacka dowie się czegoś o nowościach budowlanych z Anglii, ale Jack musiał go rozczarować. Jednakże zachwyty, z jakim słuchał wyjaśnień o sklepieniu żebrowym, sprawił mnichowi przyjemność, więc powiedział mu o kościele w Lessay, którego wewnątrz przykryto żebrowym sklepieniem.

Jack następnego dnia udał się do Lessay i całe popołudnie spędził w kościele, przyglądając się konstrukcji. Wreszcie doszedł do wniosku, że tym, co go najbardziej zafascynowało w zwieńczeniu budowli, jest dramatyczne wrażenie rozkładu sił, uzyskane przez sposób, w jaki żebra zbiegają się ku kapitelom kolumn. Ciężar sklepienia koncentruje się w miejscach spływu na naroża.

Jack podróżował na południe, ku hrabstwu Anjou, gdzie dostał pracę w Tours przy naprawie kościoła opactwa. Z nakłonieniem mistrza do przyjęcia go na próbę nie miał trudności, narzędzia w torbie wskazywały, że jest murarzem, a po dniówce mistrz widział, że dobrym murarzem. Pewność siebie, z jaką Jack powiedział Alienie, że może pracować wszędzie, nie była tylko próżnym samochwalstwem.

Wśród narzędzi, które odziedziczył, znajdował się stopowy przymiar Toma. Takowe mieli jedynie mistrzowie budowniczcy, więc kiedy dowiedziano się, że Jack go ma, pytano, jakim cudem w tak młodym wieku osiągnął ten wysoki stopień umiejętności. Początkowo chciał wyjaśnić, że wcale nie jest mistrzem, ale potem, przemyślawszy, postanowił nie zaprzeczać. W końcu przecież faktycznie nadzorował budowę katedry jako nowicjusz, a przy Tomie nauczył się rysować plany. Lecz mistrza, który go zatrudnił, przestraszyło to, że być może przyjął do pracy rywala, zatem... Któregoś dnia Jack zaproponował jakąś modyfikację mnichowi, który doglądał budowy, i narysował na desce szkic, aby wyjaśnić, o co mu chodzi. To okazało się początkiem kłopotów. Mistrz budowniczcy był przekonany, że Jack chce zająć jego miejsce. Zaczął wyszukiwać dziury w całym i kazał Jackowi ciosać proste bloki, najbardziej monotonne zajęcie dla murarza.

Wkrótce więc Jack ruszył w dalszą drogę. Poszedł do opactwa Cluny, głównej siedziby zakonnego imperium rozprzestrzeniającego się na całe chrześcijaństwo. Tu narodziło się wezwanie, które zainicjowało i podtrzymywało zainteresowanie pielgrzymkami do Composteli. Cała droga do Composteli usiana została kościołami ku chwale świętego Jakuba i klasztorami goszczącymi pielgrzymów. Skoro ojciec Jacka był żonglerem na drodze pielgrzymek do Composteli, to z pewnością musiał odwiedzić Cluny.

Jednakże okazało się, że nie. W Cluny nie było żadnych żonglerów. Nic się tam nie dowiedział o swym ojcu.

A jednak ta podróż nie okazała się stracona. Wszystkie łuki, które do tej pory widział Jack, zanim doszedł do Cluny, były półokręgami, a każdy kościół miał ten sam korytarzowy kształt i takież kształt miały sklepienia: długi ciąg łuków albo też kanciaste załamania, kiedy schodziły się tunele naw i transeptów, czyli w miejscu łączenia się dwu lub więcej tuneli. Łuki w Cluny natomiast nie były półokrągłe.

Zbiegały się w szpic.

Łuki ostre były w głównych arkadach, żebrowane sklepienia naw bocznych też miały takie łuki, a najbardziej zaskakujące było to, że nad nawą główną znajdowało się sklepienie, które można było określić jedynie jako zaostrzoną kolebkę. Jacka zawsze uczono, że okrag jest silny, bo jest doskonały, a łuk półkolisty jest mocny, bo jest częścią okręgu. Wydawałoby się, że ostre łuki są słabe. W rzeczywistości, jak mu powiedzieli mnisi, są one znacznie silniejsze niż półokrągłe. Potwierdzał to kościół w Cluny, bo pomimo wielkiego ciężaru kamieni użytych na sklepienie był bardzo wysoki.

Jack nie został długo w Cluny. Podążył dalej na południe drogą pielgrzymów, zbaczając za każdym razem, gdy miał taki kaprys. Tego wczesnego lata na drodze pojawiała się wielu żonglerów, szczególnie w większych miastach i przy klasztorach. Recytowali wiersze tłumom pielgrzymów przed wejściami do kościołów i świątyń, czasami akompaniując sobie na wioli, tak jak opowia-

dała Ellen. Jack podchodził do każdego z nich i pytał, czy znali Jacka Shareburga. Wszyscy odpowiadali: „Nie”.

Kościoły, jakie widział w południowo-zachodniej i w północnej Hiszpanii, potrafiły go zadziwić. Wszystkie były znacznie wyższe od angielskich katedr. Niektóre miały sklepienie kolebkowe wzmocnione gurtami. Biegły one w poprzek sklepienia do filara, dzieląc sklepienie na przęsła. Przez takie łuki jarzmowe można było budować przęsło po przęsle, a nie wszystko od razu. Zmieniały one także wygląd kościoła. Podkreślając oddzielność każdej części, ujawniały konstrukcję budowli jako ciągu jednakowych członów, jakby bochenka pociętego na kromki, a to nadawało logikę i porządek ogromnej wewnętrznej przestrzeni.

W Composteli znalazł się w środku lata. Do tej pory nie miał pojęcia, że są na świecie miejsca, gdzie jest tak gorąco. Kościół w Santiago także miał zapierającą dech w piersiach wysokość, a nawa główna, wciąż jeszcze w budowie, kryta była sklepieniem na gurtach. Potem ruszył dalej na południe.

Królestwa Hiszpanii jeszcze do niedawna znajdowały się pod panowaniem Saracenów. Co więcej, większość krain na południe od Toledo w dalszym ciągu podlegała muzułmanom. Wygląd saraceńskich budowli szczególnie zafascynował Jacka: wysokie chłodne wnętrza, półkolisty arkady, kamień oślepiający białą w świetle słońca. Najbardziej jednak interesujące okazało się, że w tej architekturze były także łuki złożone z odcinków prostych. Może to na nich wzorowali się Francuzi.

Tutaj nigdy by nie mógł pracować w kościele podobnym do katedry w Kingsbridge, nawet o czymś takim nie mógł marzyć, myślał, siedząc w ciepłym hiszpańskim popołudniu i mimowolnie nasłuchując śmiechów kobiet, dobiegających gdzieś z głębi chłodnego domostwa. Wciąż pragnął zbudować najpiękniejszą katedrę świata, ale teraz już nie widział jej jako masywnej, zwartej budowli, podobnej do fortecy. Chciał wykorzystać nowe techniki, żebrowanie sklepienia i łuki ostre. Myślał jednak zastosować je zupełnie inaczej. Żaden

z dotychczas oglądanych przez niego kościołów nie wykorzystywał możliwości stwarzanych przez nowości techniczne. Obraz kościoła w jego umyśle zaczynał nabierać swoistych kształtów. Szczegóły jeszcze jawiły się mgliście, ale wyraźnie dostrzegał już wygląd ogólny: kościół miał być przestronny, pełen powietrza, ze światłem słonecznym wlewającym się przez ogromne okna, a ostrołukowe sklepienie miało czynić wrażenie, że sięga do nieba.

– Josefowi i Rai będzie potrzebny dom – odezwał się nagle Raschid. – Gdybyś to ty go budował, posypałyby się następne zamówienia.

Jack był zaskoczony i zdziwiony. Nigdy nawet nie pomyślał o budowaniu domów.

– Przypuszczasz, że chcieliby, bym wybudował im dom?

– Mogliby sobie tego życzyć.

Tu nastąpiło długie milczenie, a Jack zastanawiał się, jak też może wyglądać życie budowniczego domów w Toledo.

W końcu Raschid uniósł głowę i otworzył szeroko oczy.

– Lubię cię, Jack. Jesteś uczciwym człowiekiem, warto z tobą rozmawiać, czego nie można powiedzieć o większości ludzi, których spotkałem. Mam nadzieję, że zawsze będziemy przyjaciółmi.

– Ja także. – Jack czuł się zakłopotany tym nieoczekiwanym wyrazem sympatii i szacunku.

– Jestem chrześcijaninem, więc nie trzymam mych kobiet w zamknięciu, jak wielu moich muzułmańskich braci. Z drugiej strony jestem Arabem, co oznacza, że ja nie całkiem daję im. przepraszam za wyrażenie, swobodę, do jakiej inne kobiety przywykły. Pozwalam na rozwój przyjaźni, nie tylko na rozmowy i spotkania z męskimi gośćmi mego domu. Lecz przychodzi moment, gdy przyjaźń przeradza się w coś większego, jak to naturalnie się dzieje między młodymi ludźmi. Wtedy powinienem oczekiwać od mężczyzny jakiegoś gestu formalnego. W innym wypadku takie zachowanie byłoby obrażą.

– Oczywiście.

– Wiedziałem, że zrozumiesz. – Raschid wstał i położył z uczuciem rękę na ramieniu Jacka. – Nie zostałem pobłogosławiony synem, ale gdyby mnie to spotkało, to chciałbym, aby był podobny do ciebie.

Powodowany impulsem, Jack stwierdził:

– Ale trochę ciemniejszy, jak mi się zdaje.

Raschid przez chwilę wyglądał na osłupiałego, potem ryknął śmiechem, strasząc i przyprawiając o drżenie gości wokół całego dziedzińca.

– Tak – powtarzał rozbawiony – ciemniejszy! – I wszedł do domu, zanosząc się rubasznym śmiechem.

Starsi goście zaczęli wychodzić, Jack siedział sam, zastanawiając się nad tym, co mu powiedziano. Robiło się chłodno. Zaproponowano mu umowę, nie wątpił w to. Jeśli poślubi Aiszę, Raschid uczyni z niego wziętego budowniczego domów dla bogaczy w Toledo. W słowach Raschida pojawiło się także ostrzeżenie: jeśli nie ma zamiaru się z nią żenić, niech się trzyma z daleka. Mieszkańcy Hiszpanii mówili bardziej wyszukany językiem i mieli bardziej wyrafinowane maniery, ale w razie potrzeby potrafili zupełnie jasno dać do zrozumienia, o co im chodzi.

Kiedy Jack myślał o swej sytuacji, dochodził do wniosku, że jest niewiarygodna. Czyż to ja? Czy to Jack Jackson, nieślubny syn powieszzonego, wychowany w lesie, czeladnik murarski, zbiegły mnich? Czy to mnie rzeczywiście proponowano piękną Arabkę, córkę bogatego arabskiego kupca, oraz dano zapewnienie funkcji budowniczego w tym mieście? To brzmi zbyt pięknie, by było prawdą! Ja nawet lubię tę dziewczynę! – stwierdził w duchu.

Słońce się zniżało, a dziedziniec krył cień, pod arkadami zostało tylko dwu ludzi: Josef i Jack. Zastanawiał się, czy potrafi poradzić sobie z tą niezwykłą sytuacją, kiedy pojawiły się Raya i Aisza, dowodząc tym samym, że powinien sobie poradzić. Matka tych dziewcząt doskonale wiedziała, co się dzieje, a Raschid zapewne tak samo. Podarowali zakochanym kilka chwil słodkiej samotności, a potem, zanim dojdzie do czegoś poważniejszego, pewnie na dziedzi-

niec wkroczy matka i, udając oburzenie, każe dziewczynom wracać do domu.

Po przeciwnej stronie dziedzińca Raya i Josef natychmiast zaczęli się całować. Kiedy Aisza się zbliżyła, Jack wstał. Miała na sobie długą do ziemi białą suknię z egipskiej bawełny, materiału, który Jack po raz pierwszy zobaczył w Hiszpanii. Bawełna była bardziej miękka niż wełna i cieńsza niż płótno, oblepiała kończyny Aiszy podczas ruchu, a biel zdawała się jarzyć w mroku. Czyniło to jej brązowe oczy niemal czarnymi. Stała blisko niego i uśmiechała się szelmowsko.

– Co ci nagadał?

Jack domyślił się, że chodzi jej o ojca.

– Proponował mi, bym został budowniczym domów.

– Ależ wiano! – rzekła pogardliwie. – Nie mogę uwierzyć! W końcu mógł ci zaproponować pieniądze!

Nie ma cierpliwości, by tradycyjnie po saraceńsku mówić okrężnie, pomyślał Jack. Jej szczerość podziałała na niego.

– Nie wydaje mi się, żebym bardzo chciał budować domy.

Nagle spoważniała.

– Lubisz mnie?

– Wiesz, że tak.

Dała krok do przodu, uniosła twarz, zamknęła oczy, stanęła na palcach i pocałowała go. Pachniała piżmem i ambłą. Rozchyliła usta, a jej język dosłownie wskoczył między jego wargi, jakby rozbawiony. Niemal bezwiednie jego ramiona objęły ją. Dłonie spoczęły na jej talii. Bawełna była taka cienka... miał wrażenie, że dotyka nagiej skóry. Wzięła jego rękę i położyła na swej piersi. Ciało miała szczupłe i jędrne, piersi jak małe sprężyste pagórki z twardymi sutkami na wierzchołkach. W miarę jak czuła coraz większe podniecenie, jej piersi zaczynały się poruszać w górę i w dół. Jacka wielce zaskoczyło, kiedy poczuł jej rękę poruszającą się między jego nogami. Ścisnął sutkę palcami. Zachłysnęła się i oderwała od niego, z trudem chwytając powietrze. Opuścił ręce.

– Czy cię zabolalo? – wyszeptal.

– Nie! – odrzekla.

Pomyślal o Alienie i poczul się winny, potem uświadomił sobie, że to głupie. Dlaczego niby ma mieć poczucie winy z powodu kobiety poślubionej innemu?

Aisza popatrzyła na niego przez chwilę. Zapadła prawie ciemność, lecz dostrzegal jej twarz ściagniętą pożądaniem. Uniosła jego rękę i ponownie położyła na swej piersi.

– Zrób to jeszcze raz, ale mocniej! – ponagliła go.

Znalazł jej sutkę i pochylił się do przodu, by ją pocałować, ale ona odchyliła głowę i śledziła wzrokiem jego twarz, kiedy ją pieścił. Ściszał jej sutkę delikatnie, potem posłusznie uszczypnął mocniej. Wygięła się do tyłu, jej płaskie piersi wyprężyły się i sterczały ponad napiętą powierzchnią cienkiego materiału, a sutki utworzyły twarde wypukłości. Jack schylił ku nim głowę.

Jego usta objęły sutkę w bawełnie, potem impulsywnie chwycił ją zębami i ugryzł. Usłyszał, jak Aisza gwałtownie wciągnęła powietrze.

Poczul jej drzenie. Przysunęła się bliżej i przywarła całym ciałem do niego. Całowała go zapamiętale, jakby chciała pokryć całą jego twarz swymi ustami, i tuliła się do niego, gdzieś z głębi krtani wydając nieartykułowane dźwięki. Jack był pobudzony, oszołomiony, a jednocześnie lekko przestraszony: nigdy nie słyszał o niczym podobnym. Myślał, że ona za chwilę osiągnie najwyższą rozkosz. Wtedy im przerwano.

– Raya! Aisza! Natychmiast do domu! – od drzwi dobiegł głos jej matki.

Aisza, ciężko dysząc, popatrzyła na niego. Po chwili pocałowała go znowu, przyciskając swe usta do jego warg tak mocno, że go zraniła. Odsunęła się gwałtownie.

– Kocham cię – szepnęła. Potem wbiegła do domu.

Obserwował, jak się oddala. Raya podążyła za siostrą bardziej dostojnym krokiem. Matka rzuciła jemu i Josefowi spojrzenie, pełne nagany, a potem we-

szła za dziewczętami, zdecydowanym ruchem zamykając za sobą drzwi. Jack wstał, wpatrując się w te drzwi i rozmyślając o tym, co się stało.

Josef przeszedł przez dziedziniec i przerwał to zapatrzenie.

– Ależ piękne dziewczyny! – powiedział, mrugając porozumiewawczo.

Jack w roztargnieniu kiwnął głową i skierował się ku wyjściu, a Josef wraz z nim. Kiedy minęli łuk bramy, z cienia wysunął się służący, który zamknął za nimi wrota.

– Główne zmartwienie w narzeczeństwie polega na tym, że pozostawia wiele bólu między nogami – stwierdził Josef. Jack nie odpowiedział. Josef mówił dalej: – Można byłoby pójść do i Fatimy, by złagodzić ten ból. – Dom Fatimy to burdel. Pomimo saraceńskiego imienia niemal wszystkie dziewczęta w tym domu publicznym miały jasną skórę, a tych kilka dziwek arabskich kosztowało bardzo słono. – Chcesz tam pójść? – Josef zakończył swą wypowiedź konkretnie.

– Nie. Ja cierpię na inny rodzaj bólu. Dobrej nocy! – Szybko odszedł. Josef nawet w najlepszych momentach nie stanowił dla niego przyjemnego towarzystwa, a dziś wieczór na dokładkę Jack nie był w pobłażliwym nastroju.

Nocne powietrze robiło się coraz chłodniejsze, kiedy kierował się ku kolegiom, gdzie czekało na niego twarde łóżko w dormitorium. Czuł, że znalazł się w punkcie zwrotnym. Zaoferowano mu życie pełne spokoju i dostatku, a w zamian wymagano zapomnienia o Alienie i porzucenia aspiracji zbudowania najpiękniejszej katedry świata.

Tej nocy śnił, że przyszła do niego Aliena, jej nagie ciało było śliskie od pachnącego olejku. Ocierała się o niego, ale nie pozwoliła się kochać.

Obudził się z konkretnym postanowieniem.

Służba nie chciała wpuścić Alieny do domu Raschida Alharouna. Pewnie dlatego, że wyglądała jak żebraczka, pomyślała, stojąc pod bramą – znoszone buty, zakurzona tunika, dziecko na ręku.

– Powiedz Raschidowi Alharounowi, że poszukuję jego przyjaciela Jacka Jacksona z Anglii – odezwała się po francusku, zastanawiając się, czy sługa zrozumiał bodaj jedno słowo. Po mruczanej wymianie zdań jeden ze sług odszedł w głąb domu. Był to wysoki mężczyzna o skórze koloru węgla i włosach jak runo czarnego barana.

Aliena poprawiła niespokojnie tunikę i ułożenie dziecka, a pozostali słudzy przyglądali się jej otwarcie. Ciągłe jeszcze nie nauczyła się cierpliwości, nawet podczas tej pielgrzymki wlokącej się nieskończenie. Po rozczarowaniu w Composteli podążyła drogą w głąb Hiszpanii, ku Salamance. Tam nikt nie pamiętał rudowłosego młodziana interesującego się katedrami i zonglerami, ale uprzejmy mnich powiedział jej, że w Toledo może znaleźć wspólnotę angielskich scholarów. Niewielka to była nadzieja, lecz Toledo znajdowało się w pobliżu. Zdecydowała, że tam podąży.

Kolejnym drażniącym rozczarowaniem było oczekiwanie przed tym domem. Tak, Jack był tu – co za szczęśliwy traf! – ale, niestety, już wyjechał. Doganiała go; tutaj był miesiąc temu. Jednakże znowu nikt nie wiedział, dokąd podążył.

W Composteli potrafiła domyślić się, że ruszył na południe, bo skoro ona przybyła ze wschodu, a na północ i zachód rozciągało się morze, nie było innego kierunku. Tutaj natomiast możliwości było bez liku; mógł wrócić do Francji, idąc na północny wschód, pójść na zachód do Portugalii, na południe do Granady, a z wybrzeża Hiszpanii mógł udać się statkiem do Rzymu, Tunisu, Aleksandrii czy Bejrutu.

Aliena postanowiła zaprzestać poszukiwań, jeśli tutaj nie otrzyma właściwych wskazówek, dokąd podążył i kiedy opuścił to miasto. Była doszczętnie wyczerpana, a stopy pokaleczyła do kości. Zostało jej tak niewiele zdecydowa-

nia i sił, że potrafiłaby iść dalej jedynie za jakimś cieniem nadziei. Gotowa była zawrócić, jechać do Anglii i próbować zapomnieć o Jacku na zawsze.

Z białego domu wyszedł jakiś inny służący. Ten miał na sobie droższe szaty i mówił po francusku. Popatrzył na Alienę badawczo, ale odezwał się do niej uprzejmie:

– Ty jesteś przyjaciółką pana Jacka?

– Tak, starą przyjaciółką z Anglii. Chciałabym rozmawiać z Raschidem Alharounem.

Sługa rzucił spojrzenie na dziecko.

– Jestem jego krewną – powiedziała Aliena. Nie było to nieprawdą; pozostawała przecież odrzuconą żoną przybranego brata Jacka, to jakieś powinowactwo.

Służący szerzej uchylił bramę i poprosił, by podążyła za nim.

Aliena weszła do środka z wdzięcznością. Jeśli będzie musiała tutaj zawrócić, to chociaż nastąpi to w cieniu.

Podążała za sługą przez przyjemny dziedziniec, mijając pluskającą fontannę. Zastanawiała się, co Jacka przyciągnęło do tego domu bogatego kupca. Nie mogła to przecież być przyjaźń. Czyżby Jack deklamował tutaj wiersze?

Weszli do wnętrza domu. Miał wysokie chłodne komnaty, podłogi z kamienia i marmuru, było tu bogactwo przepięknie rzeźbionych mebli o wspaniałych obiciach. Minęli dwie arkady i drewniane drzwi, a wtedy Aliena doznała wrażenia, że wchodzi do części dla kobiet. Służący gestem ręki polecił jej czekać, po czym lekko zakaszła.

Chwilę później Saracenka w czerni wpłynęła do komnaty, osłaniając rogiem swej szaty twarz, w geście, który dla każdego może być obrazą. Popatrzyła na Alienę.

– Kimże ty jesteś? – spytała po francusku.

Aliena wyprostowała się na całą wysokość.

– Jestem lady Aliena, córka ostatniego hrabiego Shiring – rzekła tak wynio-

śle, jak potrafiła. – Przyjmuję, że mam przyjemność mówić z żoną Raschida, sprzedawcy pieprzu. – Umiała grać komedię, jak każdy.

– Czego tutaj chcesz?

– Przyszłam zobaczyć się z Raschidem.

– On nie przyjmuje kobiet.

Aliena uświadomiła sobie, że nie ma nadziei na to, by uzyskać pomoc od tej kobiety. Ponieważ nie miała żadnej innej możliwości, więc próbowała dalej.

– Może przyjmie krewnego Jacka.

– Czy Jack jest twoim mężem?

– Nie. – Zawahała się. – Jest moim szwagrem.

Kobieta spoglądała bez przekonania. Podobnie jak większość ludzi myślała, że Jack zapłodnił ją, a potem porzucił, a teraz ona go ściga, by zmusić do ślubu i zabezpieczenia bytu dziecka.

Kobieta odwróciła się i powiedziała coś w języku, którego Aliena zupełnie nie знаła. Chwilę później trzy dziewczyny weszły do pokoju. Kobieta przemówiła do nich w tym samym języku. Oczywiście było, że to jej córki. Wszystkie patrzyły na Alienę. Potem rozmawiały ze sobą w tymże języku, powtarzając często imię Jacka.

Aliena czuła się poniżona. Miała coraz większą ochotę obrócić się na pięcie i wyjść, ale to oznaczałoby poddanie się i rezygnację z poszukiwań. Ci okropni ludzie byli jej ostatnią nadzieją. Podniosła głos, przerywając ich rozmowę.

– Gdzie jest Jack? – Pragnęła, by zabrzmiało to natarczywie, ale, ku jej konsternacji, w głosie pojawiła się żalosna nuta.

Córki umilkły.

– Nie wiemy, gdzie on jest – odpowiedziała matka.

– Kiedy go widziałyście po raz ostatni?

Matka się zawahała. Nie chciała odpowiadać, ale nie mogła udawać, że nie wie, kiedy to było.

– Opuścił Toledo dzień po Bożym Narodzeniu – odpowiedziała niechętnie.

Aliena zmusiła się do uprzejmego uśmiechu.

– Czy przypominasz sobie, co mówił o celu swojej wędrówki?

– Powiedziałam ci, że nie wiemy, gdzie on jest!

– Może coś mówił twemu mężowi?

– Nie, nie mówił.

Ogarnęła ją rozpacz. Przeczynała, że ta kobieta coś wie. Było też jasne, że nie ma zamiaru tego ujawniać. Aliena poczuła się słaba i wycieńczona. Ze łzami w oczach powiedziała:

– Jack jest ojcem mego dziecka. Czy nie sądzicie, że chciałby zobaczyć swego syna?

Najmłodsza z córek zaczęła coś mówić, ale matka jej przerwała. Nastąpiła krótka wymiana słów: matka i córka miały ten sam ognisty temperament. W końcu jednak córka zamilkła.

Aliena czekała, ale nic więcej nie zostało powiedziane. Cztery Saracenki wpatrywały się w nią w milczeniu. Nie miała wątpliwości: były wrogie, ale były też ciekawe, więc nie śpieszyły się z odesłaniem jej. No cóż, czekanie nie miało sensu. Równie dobrze mogła wyjść, wrócić do domu noclegowego i przygotować się do długiej podróży do Kingsbridge. Wzięła wdech i postarała się, by jej głos brzmiał chłodno i godnie:

– Dziękuję za waszą gościnność.

Matka wydawała się trochę zawstydzona.

Aliena wyszła z pokoju.

Sługa krążył w pobliżu. Zajął miejsce o krok za nią, by odprowadzić ją do drzwi. Mrugała oczyma, powstrzymując łzy. Do szaleństwa doprowadzała ją bezsilność: tak długa i męcząca podróż kończyła się niepowodzeniem wskutek złościwości jednej kobiety.

Sługa prowadził ją przez dziedziniec. Kiedy dochodzili do bramy, Aliena usłyszała za sobą szybkie kroki. Odwróciła się i zobaczyła najmłodszą córkę. Zatrzymała się i zaczęła. Sługa wyglądał na zaniepokojonego.

Dziewczyna była niska, gibka i bardzo ładna, miała złotą skórę i oczy tak ciemne, że zdawały się czarne. Nosiła białą sukienkę, której widok sprawił, że Aliena poczuła się zakurzona i niemyta.

– Kochasz go? – zapytała łamaną francuszczyzną.

Aliena zawahała się. Uświadomiła sobie, że nie ma nic do stracenia.

– Tak. Kocham go.

– A czy on cię kocha?

Aliena już miała powiedzieć, że tak, ale przecież nie widziała go ponad rok.

– Kiedyś mnie kochał – odrzekła.

– Myślę, że cię kocha – stwierdziła dziewczyna.

– Dlaczego tak myślisz?

– Chciałam go dla siebie. I niemal go dostałam. – Popatrzyła na dziecko. – Czerwone włosy i niebieskie oczy. – Łzy pociekły po gładkich opalonych policzkach.

Aliena uważnie ją obserwowała. To wyjaśniało wrogie przyjęcie. Matka chciała, by Jack poślubił jej córkę. Ta zaś nie mogła mieć więcej niż szesnaście lat, ale zmysłowy wygląd dodawał jej wieku. Aliena zastanawiała się, co właściwie między nimi zaszło.

– „Niemał” go dostałaś?

– Tak – wyzywająco odpowiedziała dziewczyna. – Wiedziałam, że mnie lubił. Kiedy odszedł, myślałam, że serce mi pęknie. Ale teraz rozumiem. – Straciła wyniosłą minę, twarz jej skurczyła się w żalu.

Aliena potrafiła współczuć kobiecie, która kochała Jacka i utraciła go. Dotknęła jej ramienia kojącym gestem. Chodziło jednak o coś ważniejszego niż współczucie.

– Słuchaj – rzekła natarczywie. – Wiesz, gdzie on poszedł?

Dziewczyna podniosła wzrok i pokiwała głową.

– Powiedz mi!

– Do Paryża!

Paryż!

Alienę przeniknęła wielka radość. A więc trafiła na ślad! Do Paryża daleko, ale podróż odbędzie drogą już częściowo znaną. A Jack ma tylko miesiąc przewagi. Poczuli się odmłodzona. W końcu go znajdzie.

– Czy wyruszasz do Paryża?

– O, tak – odrzekła Aliena. – Doszłam tak daleko, nie mogę teraz się zatrzymać. Jestem wdzięczna, że mi powiedziałaś. Dziękuję.

– Chcę, żeby był szczęśliwy – odrzekła po prostu.

Stojący obok sługa zaczynał się niepokoić. Wyglądało na to, iż wskutek tej pogawędki będzie miał kłopoty. Aliena zwróciła się do dziewczyny:

– Czy mówił coś jeszcze? Jaką drogą wyruszy albo cokolwiek, co mogłoby mi pomóc?

– Udał się do Paryża, bo ktoś mu powiedział, że tam budują piękne kościoły.

Aliena skinęła głową. Tego mogła się domyślić.

– I zabrał płaczącą panią.

Aliena nie wiedziała, o co jej chodzi.

– Płaczącą panią?

– Mój ojciec dał mu płaczącą panią.

– Panią?

Dziewczyna potrząsnęła głową.

– Nie znam dobrych słów na to. Pani. Płacze. Z oczu.

– Masz na myśli obraz? Namalowaną panią?

– Nie rozumiem. – Dziewczyna popatrzyła z niepokojem przez ramię. – Muszę już iść.

– Dziękuję ci, że mi pomogłaś – odrzekła Aliena. Dziewczyna pochyliła się i pocałowała dziecko w czółko. Łzy padły na puchowate policzki. Popatrzyła na Alienę.

– Chciałabym być tobą – powiedziała, odwróciła się i uciekła do domu.

Jack nocował przy rue de la Boucherie, na przedmieściu na lewym brzegu Sekwany. Konia osiodłał o świcie. Przy końcu ulicy skręcił w prawo i przejechał przez bramę pod wieżą, jaka strzegła Petit Pont, mostu prowadzącego na wyspę z miastem na środku rzeki.

Drewniane domy wyrastały po obu brzegach drogi. Między nimi stały drewniane ławy, na których, nieco później, sławni nauczyciele prowadzili lekcje na świeżym powietrzu. Most zawiódł go do Juiverie, głównej ulicy na wyspie. Piekarnie z obu stron ulicy wypełniali studenci, kupujący właśnie śniadania. Jack poprosił o pasztecik z gotowanym wędzorem.

Naprzeciw synagogi skręcił w lewo, potem w prawo przy zamku królewskim i przeciął Grand Pont, most wiodący na prawy brzeg rzeki. Małe, solidnie zbudowane sklepy złotników i kantory, które znajdowały się po obu stronach, właśnie otwierano. Przy końcu mostu przejechał przez drugą bramę i znalazł się prosto na targu rybnym, gdzie interesy szły już pełną parą. Przepchnął się przez tłum i ruszył błotnistą ulicą prowadzącą do miasteczka Saint-Denis.

Jeszcze kiedy był w Hiszpanii, słyszał od podróżującego murarza o opacie Sugerze i nowym kościele budowanym w Saint-Denis. Kiedy tej wiosny jechał przez Francję i czasami pracował po kilka dni, gdy zabrakło mu pieniędzy, to słyszał, jak często wspomniano Saint-Denis. Z opowieści i wzmianek wynikało, że we wznoszonym tam kościele stosuje się obie nowe techniki, ostrołuki i sklepienia żebrowe, i że te konstrukcje robią duże wrażenie.

Już ponad godzinę jechał przez pola i winnice. Ta droga nie została wybrukowana, ale miała kamienie milowe wyznaczające odległość. Trakt omijał wzgórze Montmartre, gdzie na szczycie stały ruiny rzymskiej świątyni, następnie przechodził przez wieś Clignancourt, a trzy mile za nią docierał do murów miasta Saint-Denis.

Denis, Dionizy, był pierwszym biskupem Paryża. Został ścięty na Montmartre, a potem, trzymając swą obciętą głowę w rękach, szedł i szedł, aż w końcu upadł. W tym miejscu zbudowano opactwo, nazwane potem jego imieniem.

Pochowała go pobożna niewiasta. Wokół grobu wzniesiono klasztor. W klasztornej kościele chowano później królów Francji. Obecny opat Suger był potężnym i ambitnym człowiekiem, który zreformował klasztor, a teraz modernizował kościół.

Jack wjechał do miasta i zatrzymał konia na środku placu targowego, by od razu przyjrzeć się zachodniej ścianie kościoła. Nie widział w niej nic rewolucyjnego. Zwyczajna, staromodna fasada o bliźniaczych wieżach i trzech łukowatych wejściach. Bardziej już przypadł mu do gustu agresywny sposób, w jaki wystawały filary ze ściany, ale nie musiał jechać pięciu mil, by to zobaczyć.

Przywiązał konia do barierki przed kościołem i podszedł bliżej. Rzeźby na wszystkich trzech portalach były całkiem interesujące, żywo zaprojektowane, wyrzeźbane dobrym dłutem. Wszedł.

Wewnątrz natychmiast dostrzegł zmianę. Przed główną nawą znajdowała się kruchta, niski przedsionek. A gdy Jack spojrział w górę, ogarnęło go podniecenie. Budowniczowie zastosowali tutaj kombinację ostrołuków i żebrowego sklepienia, a Jack w mgnieniu oka uświadomił sobie, że te techniki doskonale ze sobą współgrają. Wdzięk łuku ostrego był podkreślony żebrowaniem.

Zauważył coś więcej. W miejscach między żebrami zamiast zwykłej pajęczej sieci z zaprawy i gruzu ułożono cięte kamienie, jak w murze. Warstwa kamienia zapewne była silniejsza i cieńsza, a przez to lżejsza – Jack od razu doznał to rozwiązanie.

Kiedy tak wpatrywał się w górę, wykręcając szyję aż do bólu, zrozumiał znaczenie tego połączenia. Dwa łuki ostre o różnych szerokościach mogą sięgnąć tej samej wysokości, wystarczy tylko dostosować krzywą łuku. To nadało bardziej regularny wygląd. Nie można było tego osiągnąć przy łukach kołowych, to oczywiste: wysokość takiego łuku była ściśle powiązana z szerokością – każdy szerszy musiał być wyższy niż łuki wąskie. To zaś znaczyło, że w prostokątnej niszy te wąskie muszą wychodzić z punktu umieszczonego wyżej na ścianie niż te szerokie, aby ich szczyty osiągały tę samą wysokość, a sufit

mógł być równy.

Jack opuścił głowę i dał odpocząć mięśniom szyi. Czuł się tak radośnie, jakby go właśnie ukoronowano na króla. To jest sposób na budowanie katedr, pomyślał.

Popatrzył na kościół. Sama nawa najwyraźniej była stara, chociaż względnie długa i szeroka: zbudowana wiele lat temu, całkiem zwyczajna. Ale nieco dalej, przy skrzyżowaniu nawy z transeptami, znajdowały się schody wiodące w dół, bez wątplenia do krypty z grobami świętych i królów, a także schody biegnące w górę, do prezbiterium. Dzięki temu wydawało się, że prezbiterium unosi się ponad ziemią. Oślepiające światło słoneczne wpadało przez wschodnie okna. Tego słońca było tyle, że Jack zaczął podejrzewać, iż tamta ściana jeszcze nie została ukończona i stąd ten blask.

Południową nawą poszedł w stronę skrzyżowania. W miarę jak zbliżał się do prezbiterium, narastało w nim uczucie bliskości czegoś znaczącego. Tak było w istocie. Słoneczne światło wlewało się do środka, ale sklepienie było ukończone, a w ścianach nie widział żadnych dziur. Kiedy doszedł do skrzyżowania, zobaczył, że światło wlewa się przez rząd wielkich okien – niektóre miały kolorowe szyby – a blask wypełnia wnętrze kościoła ciepłem i światłem. Jack nie potrafił pojąć, jakim cudem udało się stworzyć tak wielką powierzchnię okien; wydawało mu się, że więcej jest okien niż ścian. Był oszołomiony. Taki efekt można osiągnąć za pomocą magii, pomyślał.

Poczuł dreszcz zabobonnego lęku, kiedy wchodził po schodach do prezbiterium. Zatrzymał się na ich szczycie i patrzył w zmieszaniu na kolorowe tafle światła i kamienia. Powoli zaczynał sobie uświadamiać, że taki obraz już kiedyś widział, ale jedynie w wyobraźni. Tak właśnie wyglądał kościół jego marzeń, te wielkie okna, bijące w niebo sklepienia, cała budowla ze światła i powietrza.

Po chwili zobaczył to inaczej. Nagle wszystko zajęło swoje miejsca, a w przeblysku oświecenia Jack pojął, jak opatowi Sugerowi i jego budowniczemu udało się to osiągnąć.

Konstrukcję żebrową budowano w ten sposób, że układano kilka mocnych żeber, a pole sklepienia między nimi wypełniano jakimś lekkim materiałem. Oni tę zasadę zastosowali w całym budynku, pomyślał. Ściany prezbiterium tworzyło kilka mocnych filarów, połączonych oknami. Arkada oddzielająca prezbiterium od naw bocznych nie była ścianą, ale rzędem filarów połączonych ostrołukami, co zostawiało przestrzeń, przez którą światło z okien mogło swobodnie wpadać do wnętrza kościoła. Nawę boczną zaś przedzielono w połowie rzędem cienkich kolumn.

Ostrołuki i sklepienie żebrowe zostały połączone, podobnie jak w kruchcie, ale teraz wiedział już na pewno, że kruchta była jedynie ostrożną wprawką do zastosowania nowej technologii. W porównaniu z tym tutaj, wydawała się przysadzista, a jej żebra i wypełnienia za ciężkie, łuki zaś za małe. Tutaj wszystko miało lekkość, szczupłość, delikatność i przestronność. Proste profile wolut były wąskie, a kolumnienki długie i cienkie.

Żebra wskazywały jednoznacznie, jak rozkłada się ciężar budynku na kolumny i filary. Stanowiły naoczny dowód, że wielki budynek nie musi być postawiony z grubych murów i masywnych filarów, a okna niekoniecznie powinien mieć malutkie. Takie rozwiązanie sprowadzało ciężar na narożniki i wystarczyło je podeprzeć, by całą konstrukcję wzmocnić, a wolne pola wypełnić lekkim kamieniem, szkłem lub po prostu przestrzenią. Urzekło to Jacka. To prawie tak, jak się zakochać. Euklides okazał się rewelacją, ale to była nie tylko rewelacja, to było również i piękno. Wyobrażał sobie taki kościół, a teraz naprawdę go widział, dotykał, stał pod lekkim jak niebo sklepieniem.

W oszołomieniu przeszedł wokół zaokrąglonego wschodniego krańca kościoła, przypatrując się sklepieniu podwójnej nawy bocznej. Żebra wyginały się nad jego głową jak konary w lesie doskonałych kamiennych drzew. Tutaj, podobnie jak w kruchcie, wypełnienie między żebrami sufitu wykonano z płatów kamienia łączonego zaprawą zamiast łatwiejszego, choć cięższego, wypełnienia z gruzu i zaprawy. Zewnętrzna ściana nawy bocznej została wyposażona w pa-

rzyste okna o zaokrąglonych szczytach, by współgrały z ostrołukami arkady. Tę rewolucyjną architekturę znakomicie uzupełniało kolorowe szkło w oknach. Jack nigdy nie widział w Anglii kolorowego szkła, ale we Francji zobaczył parę przykładów. Jednakże w małych okienkach starego stylu kolory nie ukazałyby swojej potęgi. Tutaj zaś poranne słońce wlewające się przez bogato barwione okna dawało efekt bardziej niż piękny, po prostu porywający.

Ze względu na to, że kościół miał kształt kolisty, nawy boczne skręcały także, by spotkać się przy wschodnim krańcu, tworząc półlukowy krużganek czy też przejście. Jack przeszedł przez tę połowę okręgu, potem się obejrzał, wciąż zachwycony. Wrócił do punktu wyjścia.

Tam zobaczył kobietę.

Poznał ją.

Uśmiechała się.

Serce w nim zamarło.

Aliena przymknęła oczy. Wpadające przez okna wschodniej ściany kościoła słoneczne światło oślepiło ją i oszołomiło. Ku niej poprzez lunę kolorowego światła szedł jakiś człowiek, jak postać ze snu. Wyglądał, jakby jego włosy płonęły. Podeszedł bliżej.

To był Jack.

Aliena poczuła się bliska omdlenia.

Podeszedł do niej, stanął naprzeciw. Szczupły, strasznie wychudły, ale oczy promieniały natężeniem uczuć. Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu.

Kiedy się odezwał, głos jego z trudem wydostawał się z krtani.

– To naprawdę ty?

– Tak – powiedziała. Jej głos okazał się szeptem. – Tak, Jack. To naprawdę ja.

Napięcie okazało się zbyt wielkie, zaczęła płakać. Objął ją ramionami i uścisnął, maleństwo na jej ręku znalazło się między nimi. Poklepał Alienę po plecach.

– No, no, już dobrze – powiedział jak do dziecka.

Oparła się o niego, wdychając znajomy zapach pyłu, słuchając kochanego głosu, który koił, pozwalając łzom wsiąkać w jego kościste ramię.

Wreszcie popatrzył jej w twarz i spytał:

– Co ty tu robisz?

– Szukam ciebie.

– Szukasz mnie? – nie dowierzał. – To... jak ci się udało mnie znaleźć?

Wytarła oczy i pociągnęła nosem.

– Wędrowałam za tobą.

– Jak?

– Pytałam ludzi o ciebie. Przeważnie murarzy, ale też kilku mnichów i właścicieli domów noclegowych.

Oczy mu się rozszerzyły.

– To znaczy... byłaś w Hiszpanii?

Skinęła głową.

– Compostela, potem Salamanca, następnie Toledo.

– Jak długo tak wędrujesz?

– Trzy kwartały.

– Ale dlaczego?

– Bo cię miłuję.

Uczucie przepełniło mu serce. Do oczu napłynęły łzy.

– Ja też cię miłuję.

– Naprawdę, ciągle jeszcze?

– O, tak.

Wiedziała, że to prawda. Podniosła twarz do góry. Pochyliła się ponad dzieckiem, a on delikatnie ją pocałował. Samo dotknięcie jego ust przyprawiało ją o zawrót głowy.

Dziecko zapłakało.

Przerwała pocałunek i trochę pokołysała maleństwem, uspokoiło się.

Jack spytał:

– Jak ma na imię?

– Jeszcze nie dałam mu imienia.

– Dlaczego? Pewnie ma już rok!

– Chciałam uzgodnić z tobą.

– Ze mną? – Jack zmarszczył brwi. – A co z Alfredem? To należy do ojca... – Urwał. – Dlaczego... Czy... czy ono jest moje?

– Spójrz tylko.

Jack popatrzył.

– Rudy... To musiało być trzy kwartały od...

Aliena skinęła głową.

– Dobry Boże! – zawołał Jack. Zdawało się, że osłupiał. – Mój syn. – Przeklął z trudem.

Patrzyła z niepokojem na jego twarz, kiedy starał się ochłonąć po tej wieści. Czy on zdaje sobie sprawę, że to koniec jego młodości i wolności? Wyraz twarzy Jacka stawał się uroczysty. Zwykle mężczyzna ma dziewięć miesięcy na to, by przywyknąć do myśli, że zostanie ojcem. Popatrzył na dziecko jeszcze raz i w końcu się uśmiechnął.

– Nasz syn. Tak się cieszę.

Aliena westchnęła ze szczęścia. Wszystko w końcu jest w porządku.

– A co z Alfredem? Czy on wie?....

– Wystarczyło, że spojrzał na dziecko. Poza tym... – Poczowała zażenowanie.

– Poza tym twoja matka przeklęła małżeństwo i Alfred, wiesz, nigdy nie mógł, no wiesz co.

Jack zaśmiał się chrapliwie.

– Oto prawdziwa sprawiedliwość.

Alienie nie spodobała się ulga, z jaką to powiedział.

– Dla mnie to było bardzo trudne – rzekła z lekką naganą. Jego twarz szybko zmieniła wyraz.

– Przepraszam, co on zrobił?

– Kiedy zobaczył dziecko, wyrzucił mnie.

– Zrobił ci co złego?

– Nie.

– Tak czy inaczej to świnia.

– A ja jestem rada, że nas wyrzucił. To z tego powodu poszłam ciebie szukać. A teraz cię znalazłam. Tak się cieszę.

– Jesteś bardzo dzielna – odrzekł Jack. – Stale nie mogę w to uwierzyć. Taki szmat drogi za mną!

– Zrobiłabym to jeszcze raz! – powiedziała żarliwie.

Pocałował ją znowu. Jakiś głos odezwał się po francusku:

– Jeśli już chcecie zachowywać się lubieżnie w kościele, to, proszę, pozostaniecie w nawie głównej.

To młody mnich.

– Przepraszam, ojcie – rzekł Jack. Ujął Alienę pod ramię. Zeszli po schodach do transeptu południowego. – Przez jakiś czas byłem mnichem, wiem, jak ciężko patrzeć na kochanków, kiedy się całują. Zwłaszcza na szczęśliwych kochanków.

Szczęśliwi kochankowie, oto, kim jesteśmy, pomyślała Aliena.

Wyszli na pełen ruchu plac targowy. Wciąż nie bardzo wierzyła, że stoi obok Jacka w blasku słońca. To niemal za dużo szczęścia.

– No cóż – rzekł. – Co zrobimy?

– Nie wiem. – Uśmiechnęła się.

– Weźmy bochenek chleba, flaszkę wina i pojedźmy w pole zjeść razem obiad.

– To tak jakbyśmy się znaleźli w raj.

Poszli do piekarza, potem wstąpili do winiarza, a potem kupili od mleczarki na targu gomółkę sera. Z miasta wyjechali niemal natychmiast w pola. Aliena nie mogła oderwać wzroku od Jacka, musiała upewniać się, że to on, że jest tu-

taj, że jedzie tuż przy niej, że oddycha i że się uśmiecha.

– Jak radził sobie Alfred przy budowie? – zapytał.

– Och, przecież ci jeszcze nie powiedziałam! – Aliena już zapomniała, jak dawno go nie było w Kingsbridge. – Była straszna katastrofa. Strop się zapadł.

– Co?! – okrzyk Jacka przestraszył konie, zatańczyły nerwowo. Uspokoił je. – Jak to się stało?

– Nikt nie wie. Pokryli kamiennymi sklepieniami trzy przęsła na Zielone Świątki, a w czasie nabożeństwa zawaliły się. To była zgroza. Zginęło siedemdziesiąt dziewięć osób.

– Przerażające. – Wstrząsnęło nim. – Jak przyjął to przeor Philip?

– Kiepsko. Załamał się. Zupełnie przestał budować. Zdaje się, że postradał całą swoją siłę i zapał. Nic nie robi.

Jack nie umiał sobie wyobrazić Philipa w takim stanie. Wydawał się przecież zawsze tak pełen dobrej myśli i zdecydowania.

– A co z rzemieślnikami?

– Powoli wszyscy się rozeszli. Alfred mieszka w Shiring i buduje domy.

– To Kingsbridge opustoszało?

– Staje się wioską, jak dawniej.

– Co on zrobił nie tak, gdzie się pomylił? – Jack mówił na wpuł do siebie. – Kamienna konstrukcja stropu nigdy nie pojawiała się w planach Toma, ale Alfred pewnie pogrubiał przypory, by mogły unieść ciężar, powinno być w porządku.

Wieści go otrzeźwiły, jechali w milczeniu dalej. Jakąś milę za Saint-Denis przywiązali konie w cieniu wiązu i usiedli na skraju pola pokrytego zielonym zbożem, obok strumyka, by zjeść obiad. Jack pociągnął łyk wina i powiedział:

– Anglia nie ma nic do zaoferowania, co mogłoby się równać z francuskim winem. – Przełamał chleb i podał kawałek Alienie.

Aliena wstydliwie rozpięła przód sukni, by dziecko mogło ssać. Zobaczyła, że Jack przygląda się temu, i zarumieniła się. Odchrząknęła, i kryjąc zawsty-

dzenie, zapytała:

– Wiesz już, jak chcesz go nazwać? Może Jack?

– Nie wiem – wydawał się zamyślony. – Jack to imię mego ojca, którego nigdy nie poznałem. Może okazać się nieszczęśliwe. Najbliższym mi mężczyzną, jakiego znałem, był Tom. Właściwie on był dla mnie jak ojciec.

– Chcesz dać mu na imię Tom?

– Myślę, że powinienem.

– Tom był takim wielkim mężczyzną. Może lepiej Tommy?

Jack skinął głową.

– A zatem ma na imię Tommy.

Zupełnie obojętny na doniosłość tej chwili, Tommy zasnął. Aliena położyła go na ziemi, pod główkę wetknęła złożoną chustkę jako poduszkę. Potem popatrzyła na Jacka. Poczowała się jakoś niezręcznie. Chciała, żeby się z nią kochał, zaraz, tutaj na trawie, ale przypuszczała, że byłby wstrząśnięty, gdyby go poprosiła, więc tylko patrzyła na niego i miała nadzieję.

– Jeśli coś powiem, to czy przyrzekniesz, że nie będziesz o mnie źle myśleć? – odezwał się Jack.

– Dobrze, przyrzekam.

Wydawał się zażenowany.

– Od momentu kiedy cię zobaczyłem, ciągle widzę twoje nagie ciało.

Uśmiechnęła się.

– Nie myślę źle o tobie. Radam...

Spojrzał na nią głodnym wzrokiem.

– Uwielbiam, kiedy tak na mnie patrzysz – powiedziała.

Przełknął z trudem.

Wyciągnęła ramiona. Minęły prawie dwa lata od czasu, kiedy ten jeden, jedyny raz się kochali. A teraz po prostu byli dwojgiem kochanków w polu. Tego ranka żal został zmyty przez pożądanie. Aliena nagle poczuła niepokój. Źle by się stało, gdyby coś nie wyszło... teraz, po tak długim czasie...

Położyli się na trawie obok siebie i pocałowali. Zamknęła oczy i rozchyliła usta. Poczwała jego niecierpliwą rękę, która nagląco badała jej ciało. Jej łono zaczęło pulsować rytmicznie. On całował jej powieki, a potem czubek nosa.

– Cały ten czas tęskniłem do ciebie, aż do bólu, co dzień... – szepnął.

Przytuliła go mocniej.

– Tak się cieszę, że cię znalazłam.

Kochali się na otwartym polu powoli, łagodnie, pod słońcem grzejącym coraz bardziej, nad strumykiem szmerzącym monotonnie, choć wesoło. Tommy spał cały czas, obudził się, gdy skończyli.

Drewniana postać kobiety przestała ociekać łzami, gdy opuścił Hiszpanię. Jack nie wiedział, na czym to polega, nie był więc pewny, czy poza rodzinnym krajem zachowa swoje umiejętności. Skądinąd podejrzewał niejasno, że lzy kapiące o zmierzchu mogą mieć coś wspólnego z nagłym ochłodzeniem powietrza, a, jak zdążył zaobserwować, zachody słońca w krajach północnych następowały wolniej niż na południu. Sądził tedy, że sprawa ta musi mieć coś wspólnego z zapadaniem zmierzchu. Mimo że figurka nie stanowiła najwygodniejszego bagażu, zachował ją, bo była pamiątką z Toledo, przypominała mu o Raschidzie i (choć tego Alienie nie powiedział) o Aiszy. Lecz kiedy pewien kamieniarz potrzebował modelu do posągu Dziewicy, Jack przyniósł mu ją i zostawił w murarskiej pracowni.

W opactwie dano mu prace przy przebudowie kościoła. Nowe prezbiterium, które wywarło na nim tak potężne wrażenie, niezupełnie było skończone, a musiało być gotowe na uroczystość poświęcenia w połowie lata. Energiczny opat chciał ponadto przebudować nawę w tym samym rewolucyjnym stylu. Jacka najęto do przycinania kamienia.

Wynajęto dla niego dom na przedmieściu, do którego wprowadził się z Alieną i synem. Pierwszej nocy kochali się pięciokrotnie. Wspólne życie

w roli męża i żony uznali za najnormalniejszą rzecz pod słońcem. Po kilku dniach Jackowi się wydawało, że mieszkają tak od dawna. Nikt nie pytał, czy kościół pobłogosławił ich związek.

Budowniczy w Saint-Denis okazał się największym mistrzem, jakiego Jack kiedykolwiek spotkał. Kiedy kończyli prezbiterium i zabierali się do nawy głównej, Jack przyglądał się uważnie jego pracy i uczył się wszystkiego. Owe techniczne nowości były rozwiązaniami mistrza, a nie opata. Suger doceniał nowinki, ale bardziej ciekawiły go zdobienia niż budowa. Najważniejszymi i ulubionymi jego projektami były groby: świętego Dionizego i jego dwu towarzyszy, kapłana Rustyka i Eleuteriusza. Relikwie przechowywano w krypcie, ale opat planował przeniesienie ich do nowego prezbiterium, by mógł z nimi obcować cały świat. Trzy urny miały być złożone w sarkofagu wyciętym z czarnego marmuru. Wieko sarkofagu kazał wyrzezać w drewnie w kształcie połączonej miniatury kościoła Saint-Denis, a w nawie głównej i w nawach bocznych postanowił ustawić trzy puste trumny, po jednej dla każdego męczennika. Sarkofag miał stać pośrodku nowego prezbiterium. Zarówno ołtarz, jak i podstawa sarkofagu zostały już umieszczone na wybranych miejscach, a miniatura kościoła znajdowała się w pracowni snycerskiej, gdzie mistrz polichromii uważnie wykonywał złocenia bezcenną złotą farbą. Suger niczego nie czynił połowicznie.

Opat był także świetnym organizatorem, co Jack zaobserwował podczas pośpiesznych przygotowań do uroczystości poświęcenia. Suger zaprosił ważne osobistości i większość chętnie przyjęła zaproszenie, a, co szczególnie warte uwagi, swoje przybycie potwierdzili król i królowa Francji oraz dziewiętnastu arcybiskupów i biskupów, łącznie z arcybiskupem Canterbury. Pogłoski takie krążyły wśród rzemieślników. Jack często widywał samego Sugera, zawsze w samodzielnym habicie; kręcił się wokół klasztoru, pouczając mnichów, podążających za nim jak kaczęta za kaczką. Jackowi przypominał Philipa z Kingsbridge. Podobnie jak Philip, Suger wywodził się z biednego domu i wychowany został w klasztorze. Tak jak on, zreformował finanse klasztoru i zarządzanie

majątkiem opactwa, a wszystkie zyski przeznaczał na budowę. Trzeba także dodać, że, podobnie jak Philip, był pracowity, energiczny i zdecydowany.

Tylko że przeor Philip te wszystkie cechy utracił, tak twierdziła Aliena.

Jack nie mógł sobie tego wyobrazić. Zobojętniały przeor to było coś równie nieprawdopodobnego, jak miły Waleran Bigod. Trzeba jednakże przyznać, że Philipa spotkało wiele straszliwych rozczarowań. Zaczęło się od pożaru Kingsbridge. Jack drżał na samo przypomnienie tego dnia. Dym, okropni jeźdźcy z pochodniami i ślepa panika rozhisteryzowanego tłumu. Może to wtedy Philip stracił serce. Z pewnością po tym doświadczeniu mieszkańcy postradali swój wigor. Jack pamiętał doskonale: atmosfera strachu i niepewności unosiła się nad miastem niczym delikatna, lecz nieomylnie rozpoznawalna woń rozkładu. Przeor pragnął, aby ceremonia otwarcia kościoła stała się symboliczna i budziła nadzieję. Skoro uroczystość przekształciła się w kolejną katastrofę, musiał się poddać.

Teraz zaś prace zamarły, targ upadł, budowniczowie odeszli a liczba ludności malała. Młodzi zaczęli przenosić się do Shiring, tak mówiła Aliena. Zabrakło ducha. Klasztor miał przecież swoje posiadłości, łącznie z wielkimi stadami owiec, przynoszącymi setki funtów rocznie. Gdyby chodziło tylko o pieniądze, Philip z pewnością poradziłby sobie z podjęciem prac budowlanych. Nie byłoby to łatwe, bo murarze bywali przesądni i obawiali się pracować przy budowie kościoła, który już raz się zawalił. Mogły być też kłopoty z ponownym rozbudzeniem entuzjazmu wśród miejscowej ludności, lecz, zgodnie z tym, co mówiła Aliena, wszystko rozbijało się o to, że Philip stracił wolę działania.

Tymczasem biskupi, arcybiskupi, diukowie i hrabiowie zaczęli przybywać do Saint-Denis, na dwa, trzy dni przed uroczystością. Wszystkich najważniejszych dostojników Suger osobiście oprowadzał po kościele, a pomniejszych zajmowali się mnisi lub rzemieślnicy. Goście byli zafascynowani lekkością nowej konstrukcji i słonecznym efektem wielkich okien i kolorowego szkła. Kiedy Jack zorientował się, że niemal każdy francuski dostojnik, a szczególnie

przedstawiciele hierarchii kościelnej, oglądał to cudo, zrozumiał też, że budowle na wzór Saint-Denis rozprzestrzenią się po całej Francji, a wówczas każdy, kto będzie mógł o sobie powiedzieć, że pracował w Saint-Denis, okaże się pożądanym pracownikiem. A więc wyprawa do tego miasta okazała się pociągnięciem mądrzejszym, niż się spodziewał, i znakomicie zwiększała szanse na projektowanie i budowę jego wymarzonej katedry.

W sobotę, w towarzystwie matki i żony, przybył król Ludwik i wprowadził się do rezydencji opata. Godzinki śpiewano od zmierzchu do świtu. Kiedy tylko słońce pojawiło się nad horyzontem, przed kościołem zaczęły zbierać się tłumy chłopstwa i paryskich mieszczan, oczekujących na potężnych i świętych mężów, których większość ludzi nigdy nie widziała. Jack i Aliena z Tommym dołączyli do wszystkich. Jack cieszył się na myśl, że kiedyś powie synowi: „Nie pamiętasz tego, ale jak miałaś roczek, widziałeś króla Francji”.

Kupili chleba i cydru na śniadanie i zjedli w czasie oczekiwania na początek uroczystości. Gawiedzi, oczywiście, nie pozwolono wejść do kościoła, a królewscy zbrojni mężowie trzymali tłum z daleka. Wszystkie drzwi były jednak otwarte, a ludzie tłoczyli się, by przez nie zaglądać. Nawę główną wypełniali przedstawiciele szlachty, na szczęście jednak prezbiterium znajdowało się kilka stopni wyżej, więc można było śledzić przebieg uroczystości.

W nawie zaczął się ruch, a potem szlachta pokłoniła się. Nad ich głowami Jack dojrzał, jak król wchodzi do kościoła od strony południowej. Nie widział jego twarzy, ale purpurowa tunika stanowiła żywą plamę koloru, przesuwaną się przez środek skrzyżowania do ołtarza, przed którym król ukląkł.

Zaraz za monarchą weszli arcybiskupi i biskupi. Wszyscy byli odziani w oślepiająco białe, zdobione złotem szaty i każdy niósł uroczysty pastorał. Właściwie pastorał powinien być prostym kijem pasterskim, ale pastorały biskupów wysadzano klejnotami jak z bajki, więc cała procesja błyszczała niczym górski strumień w słońcu.

Przesuwali się wolno przez kościół, a potem powoli po schodach wchodzili

na prezbiterium i zajmowali wcześniej ustalone miejsca. Przed nimi znajdowały się pojemniki z całymi galonami święconej wody. Nastąpiła cisza, poczęto śpiewać hymny i modlitwy. Tommy się nudził, a tłum zaczął być niespokojny. Potem biskupi ponownie wyruszyli procesją.

Opuścili kościół południowym wejściem i zniknęli w krużgankach, co nader rozczarowało widzów. Później jednak pojawili się po drugiej stronie klasztornej zabudowań i jeden za drugim przeszli przed głównym wejściem do kościoła. Każdy biskup niósł małe kropidło i naczynie ze święconą wodą. Krocząc ze śpiewem, zanurzali kropidła w wodzie i pryskali na ściany kościoła. Motłoch rzucił się do przodu, ludzie prosili o błogosławieństwo i próbowali dotknąć śnieżnych szat świętych mężów. Królewskie straże odpędzały tłum kijami. Jack stał w głębi. Nie chciał żadnych błogosławieństw i wołał trzymać się z daleka od kijów.

Procesja ostatecznie posuwała się wzdłuż północnej ściany kościoła, tłum postępował za nią, deptając po grobach na cmentarzu. Kilku gapiów, bardziej przewidujących, znalazło tam się wcześniej i teraz sprzeciwili się napływowi innych. Wszczęły się bójki.

Biskupi minęli ganek północny i zakręcili wokół nowej części wschodniej. Tam właśnie stały warsztaty rzemieślników. Tłum wdarł się między chaty, zagrożając im zniszczeniem, bo przecież były to tylko lekkie drewniane szopy. Kiedy wiodący procesję docierali już do opactwa, co bardziej rozhisteryzowani zaczęli rozpaczać i z determinacją naciskać ku przodowi. Królewscy odpowiedzieli nasileniem przemocy.

Jack zaczynał się tym niepokoić.

– Nie podoba mi się to – rzekł do Alieny.

– Miałam właśnie powiedzieć to samo – odrzekła.

– Chodźmy stąd.

Zanim zdolali wyruszyć, wszczęła się bójka między królewskimi i grupką młodzików stojących na przodzie. Królewscy bili kijami bez miłosierdzia, ale

młodzi, zamiast się cofać, oddawali, jak mogli. Ostatni biskupi pośpieszyli do krużganków, bardziej pobieżnie kropiąc pozostałą część kościoła. Jak tylko świątobliwi dostojnicy zniknęli, uwaga tłumu skierowała się ku królewskim. Ktoś rzucił kamieniem i trafił żołnierza prosto w czoło. Kiedy ten upadł, podniosły się okrzyki. Szybko doszło do walki wręcz. Straże z zachodniego skrzydła przybiegły na pomoc.

Zaczęła się kotłowanina.

Jack wiedział, że król i biskupi schodzą teraz do krypty po święte relikwie, by potem przenieść je przez całe krużganki, ale nie wyniosą ich na zewnątrz. Dostojnicy nie pokażą się aż do końca uroczystości i nabożeństwa. Opat Suger nie przewidział takiego tłumu widzów ani nie przedsięwziął nic, co by mogło skupić uwagę ludzi. Teraz gawieź czuła się zawiedziona, wszystkim było gorąco, bo słońce stało już wysoko, i wszyscy chcieli dać ujście swoim emocjom.

Królewscy żołnierze byli w zbrojach i mieli broń, a ludzie nie, na początku więc wzięli górę, ale w chwilę później ktoś wpadł na wspaniały pomysł poszukiwania broni w budach rzemieślników. Dwu młodzików wyważyło drzwi warsztatu murarzy i po chwili wyszli z drewnianymi trzonkami w rękach.

Jack i Aliena chcieli jakoś wydostać się z tego tłoku, ale ci, co byli za nimi, napierali silnie, okazało się przeto, że znaleźli się w pułapce. Jack mocno przyciskał Tommy'ego do piersi, ramionami chroniąc ciało dziecka, a dłońmi głowę. Jednocześnie wywalczał sobie i Alienie drogę przez tłum. Nagle zobaczył niskiego człowieka, spoglądającego ukradkiem na wszystkie strony sponad bujnego czarnego zarostu. Wychodził z warsztatu cieśli, trzymając w rękach figurkę płaczącej pani. Jackiem szarpnął żal, że nigdy jej pewnie już nie odzyska, za bardzo był jednak zajęty staraniami o wydostanie się z tłoku, żeby kłopotać się o to, że go grabią.

Drugim rozwalonym warsztatem była szopa ciesielska. Rzemieślnicy przestali bronić swych pracowni w obliczu przemożnego naporu tłumu. Kuźnia okazała się niedostępna, ale motłoch zdołał wdrzeć się przez dach do pracowni de-

karskiej, a tam zaopatrzył się w ciężkie, groźne ostre narzędzia, służące zwykle do naciągania, mocowania i przybijania ołowianych blach... Jack zaczął się obawiać, że zanim się to skończy, ktoś zginie.

Pomimo jego wysiłków pchano go do przodu, ku północnemu gankowi, tam gdzie zaciekle walczone. To samo działo się z czarnobrodym złodziejem. Jack zdołał dostrzec, że tamten próbuje uciec ze swym łupem, przytulając drewnianą figurkę do piersi. Jednakże wszystkich wciągał wir kłębiącego się motłochu.

Nagle Jacka olśniło. Podał syna Alienie, każąc jej trzymać się blisko. Pochwytał złodzieja, by odebrać mu posążek. Złodziej chwilę się opierał, ale Jack, wyższy i silniejszy, nie miał specjalnych trudności, a poza tym złodziej i tak wolał ratować skórę. Szybko oddał figurkę.

Jack uniósł ją wysoko i krzyknął:

– Uszanujcie Madonnę! – Z początku nikt nie zwrócił uwagi. Potem dwójka ludzi obejrzała się na niego. – Nie tykać Matki Najświętszej! – wrzasnął najgłośniej, jak umiał. – Grzechem jest kalać świętą postać Dziewicy! – Trzymał posążek nad głową i parł do przodu, ku kościołowi. Pomyślał, że może się uda, istniała mała iskierka nadziei. Coraz więcej osób przerywało walkę, by zobaczyć, co się dzieje.

Rzucił okiem za siebie. Aliena podążała za nim. Niepokoje powoli słabły, bo tłum posuwał się za Jackiem, a ludzie zaczęli powtarzać jego słowa, pomrukując niewyraźnie:

– To jest Matka Najświętsza... Zdrowaś Maryjo... Zróbcie drogę dla wizerunku Błogosławionej Dziewicy...

Tym ludziom potrzebne było widowisko, a skoro Jack im je dawał, to i walki ustały prawie zupełnie, z wyjątkiem dwu czy trzech bójek na obrzeżach tłumu. Jack szedł uroczyście. Zaskoczyła go łatwość, z jaką uspokoił tumult. Ludzie robili mu przejście, a on doszedł do północnego ganku kościoła. Tam z wielką pieczołowitością postawił posążek na ziemi w chłodnym cieniu porta-

lu. Posązek miał nieco ponad dwie stopy, więc kiedy stał na ziemi, nie czynił wielkiego wrażenia.

Ludzie stanęli dokoła w oczekiwaniu. Jack nie miał pojęcia, co dalej robić. Prawdopodobnie tłum pragnął usłyszeć kazanie. Jack przecież wystąpił jak duchowny, uroczyście głosząc ostrzeżenia i dzierżąc wysoko posązek, ale na tym kończyły się jego umiejętności. Poczłł odrobinę lęku.

Naraz wszyscy się zachłysłnęli.

Jack spojrzł za siebie. Niektórzy spośród szlachty zgromadzonej w północnym transepcie wyglądali na zewnątrz, ale Jack nie widział w tym nic, co by usprawiedliwiałoz zadziwienie tłumoz.

– Cud! – ktoś zawołał, a ludzie zaczęli powtarzać, aż powstał jeden wielki krzyk: – Cud! Cud!

Wzrok Jacka spoczął na posązku i wtedy zrozumiał. Z oczu figurki płynęła woda. Z początku osłupiał, podobnie jak tłum, ale natychmiast przypomniał sobie swoje przypuszczenie, że pani płacze, gdy raptem ciepło zmieni się w chłód, jak to zwykle się dzieje w południowych krajach. On sam przeniósł posązek z upału dnia w chłód portalu północnego wejścia do kościoła. To by tłumaczyło pojawienie się łez. Motłoch oczywiście nie miał o tym pojęcia. Widział tylko figurkę, która płakała, patrzył na cud.

Kobieta stojąca na samym przodzie cisnęła francuskiego srebrnego pensa do stóp płaczącej pani. Jack miał ochotę roześmiać się na głos. Jakież cel w dawaniu pieniędzy kawałkowi drewna? Ludzie jednak byli tak silnie ukształtowani przez Kościół, że odruchowo dawali pieniądze na widok czegoś, co uznali za święte. Idąc za przykładem kobiety, jeszcze kilka osób rzuciło swoje pieniądze.

Jackowi nigdy nie przyszło do głowy, że zabawka Raschida może przynieść pieniądze. Wiedział, że jemu nikt nie dałby ani pensa, gdyż ludzie sądziliby, że pieniądź trafi do jego kieszeni. Lecz dla każdego kościoła taka figurka to fortuna.

Kiedy zdał sobie z tego sprawę, wiedział już, co ma czynić.

Uświadomił sobie to w przebiegu intuicji i zanim pomyślał, jakie to może mieć dalekosiężne skutki, zaczął mówić:

– Płacząca Madonna nie należy do mnie, ale do Boga.

– Słowa same cisnęły mu się na usta. W tłumie zapadła cisza. Oto kazanie, na które czekali. – Przez setki lat cierpiała w kraju Saracenów – ciągnął Jack. Nie miał najmniejszego pojęcia, jaka była faktycznie historia figurki, ale nie wydawało mu się to ważne; sami księża nigdy nie wglębiali się w opowieści o cudach i świętych relikwiach. Za nim stało już kilku biskupów, większość świątobliwych mężów śpiewała w kościele, ale na zewnątrz nikt na to nie zwracał uwagi. – Wędrowała wiele mil, lecz jej droga jeszcze się nie zakończyła. Musi dotrzeć do kościoła katedralnego w Kingsbridge, w Anglii.

Pochwycił wzrok Alieny. Patrzyła na niego oczarowana. Musiał powstrzymać z całej siły chęć porozumiewawczego mrugnięcia, aby dać jej znać, że wie, co robi.

– Moją świętą misją jest dostarczenie jej do Kingsbridge. Tam znajdzie ona miejsce swego odpoczynku, tam znajdzie pokój. – Kiedy jeszcze raz spojrzął na Alienę, przyszło mu do głowy ostatnie, ale najbardziej zaskakujące stwierdzenie. – Zostałem wyznaczony na mistrza budowniczego nowego kościoła w Kingsbridge.

Zaskoczona tym stwierdzeniem, Aliena mimo woli otworzyła szeroko usta i zastygła w niemym milczeniu. Jack nie patrzył na nią.

– Wołą Płaczącej Madonny jest, by nowy kościół, pełen chwały i sławy, został dla niej postawiony w Kingsbridge, a z jej pomocą będę mógł stworzyć świątynię równie piękną, jak nowe prezbiterium, które właśnie zostało wzniesione tutaj. – Spojrzął w dół, na kilka monet leżących u stóp figurki. To dało mu pomysł do zakończenia słowami: – Wasze pensy zostaną wykorzystane na budowę tego kościoła. Madonna daje błogosławieństwo każdemu, mężczyźnie, kobiecie czy dziecku, kto ofiaruje dar, dzięki któremu będzie miała swój nowy dom.

Na chwilę zapadła cisza. Potem słuchacze jęli rzucać pensy na ziemię wokół statuetki, wykrzykując przy tym: „Alleluja! Chwalcie Boga!”. Niektórzy prosili o konkretne błogosławieństwa: „Niech Robert wyzdrowieje!”, „Niech Anna pocznie!”, „Obyśmy mieli szczęśliwe żniwa!”. Jack przyglądał się twarzom: podnieconym, szczęśliwym, uradowanym... Ludzie przedzierali się do przodu gorączkowo, jak najszybciej chcieli dać swe pensy płaczącej Madonnie. Jack opuścił oczy i tak zastygł, obserwując, jak pieniądze niczym metalowy śnieg sypią się wokół jego stóp, tworząc małe kopczyki.

Płacząca Madonna wywierała takie samo wrażenie w każdym mieście i wsi, mijanych w drodze do Cherbourga. Kiedy szli, głosząc swą misję, główną ulicą jakiejś miejscowości, zbierały się tłumy. Potem zatrzymywali się przed wejściem do kościoła i czekali na mieszkańców. Później wstawiali posązek w chłód budynku, żeby płakał, a wówczas ludzie prześcigali się wzajemnie w okazywaniu żarliwości religijnej – i dawali pieniądze na budowę katedry w Kingsbridge.

Już na samym początku los posążka został przesądzony. Biskupi i arcybiskupi uznali, że sprawa jest prawdziwa, nie ma w niej oszukaństwa, więc posązek został przez nich ogłoszony jako cudowny. Oczywiście opat Suger chciał, żeby został w Saint-Denis. Początkowo zaproponował za niego funta, potem dziesięć, a w końcu pięćdziesiąt. Kiedy zrozumiał, że Jacka nie interesują pieniądze, zagroził, iż odbierze posązek siłą, lecz przeszkodził mu w tym arcybiskup Teobald z Canterbury. Teobald także dostrzegł dochodotwórczą moc posążka i chciał, aby dostał się do Kingsbridge, bo klasztor ten leżał w jego diecezji. Suger ustąpił niechętnie, po prostaku podając w wątpliwość prawdziwość cudu.

Jack powiedział rzemieślnikom w Saint-Denis, że przyjmie dowolną ich liczbę do pracy w Kingsbridge, jeśli za nim pójdą. To także nie sprawiło Suge-

rowi przyjemności. Większość i tak pozostała, bo przecież lepszy wróbel w rękę niż gołąb na sęku, ale kilku murarzy i innych rzemieślników, którzy pochodzili z Anglii, wyraziło chęć powrotu, inni zaś rozgłaszali tę wieść, gdyż obowiązkiem rzemieślnika należącego do murarskiego bractwa było powiadamiać braci o nowych placach budowy. Po upływie kilku tygodni mistrzowie z całego świata chrześcijańskiego zaczęli napływać do Kingsbridge. Aliena pytała Jacka, co pocznie, jeśli klasztor Kingsbridge nie zatrudni go jako mistrza budowniczego, ale Jack nie zastanawiał się nad tym. Ogłosił to pod wpływem chwili i nie miał żadnych planów na wypadek niepowodzenia.

Arcybiskup Teobald, ogłosiwszy Płaczącą Madonnę jako cudowny posążek należący do Anglii, nie miał zamiaru puścić Jacka samopas. Dał mu do „towarzystwa” dwu księży ze swej świty, Reynolda i Edwarda. Początkowo Jack wcale się z tego nie cieszył, ale potem szybko ich polubił. Reynold okazał się młodym człowiekiem o świeżej twarzy, rozumnym i bardzo zainteresowanym matematyką, jaką Jack poznał w Toledo. Edward zaś był łagodny w obejściu, nieco starszy i odrobinę żarłoczny. Oczywiście ich zadanie polegało na tym, by żaden z datków nie trafił do kieszeni Jacka. W rzeczywistości zaś obaj księża swobodnie wykorzystywali „dotacje”, by opłacać swe wydatki podróżne.

Gdy przybyli do Cherbourga, Jack wyczuł, że dzieje się coś dziwnego. Ludzie nie patrzyli na Madonnę.

Patrzyli na niego.

Po chwili księża też to zauważyli. Nieśli Madonnę na drewnianym postumencie, jak zwykle przed wejściem do miasta, więc kiedy za nimi zaczął podążać tłumek ciekawskich, Reynold syknął do ucha Jackowi:

– Co się dzieje?

– Nie wiem.

– Bardziej ty ich ciekawisz niż figurka! Byłeś tu kiedy?

– Nigdy.

– Kilku starszych spogląda na Jacka, a młodszy patrzy na figurę – zauważyła

Aliena.

Miała rację. Ci w średnim wieku też patrzyli na Jacka. Spróbował się im przypatrzeć, ale wyglądali na przestraszonych i spuszczaali wzrok. Jeden nawet zrobił znak krzyża.

– Co oni mają przeciw mnie? – zastanawiał się Jack głośno.

Procesja przyciągała ludzi równie szybko jak zazwyczaj, więc gdy dotarli do rynku, była już całkiem spora. Postawili Madonnę przed wejściem do kościoła. Powietrze pachniało słoną wodą i rybami. Kilkoro mieszczan weszło do kościoła. Zwykle było tak, że miejscowy duchowny wychodził i rozmawiał z Reynoldem i Edwardem. Toczyły się dyskusje i wyjaśnienia, potem wnoszono posążek do środka, a wtedy pojawiały się łyzy. Madonna tylko raz zawiodła; stało się to zimowego dnia, kiedy Reynold upierał się, by przejść całą procedurę mimo ostrzeżeń Jacka. Teraz już respektowano jego rady.

W Cherbourgu pogoda była dobra, ale przeszkadzało coś innego. Jakiś przesądny lęk marszczył te osmagane wiatrem, mocne twarze żeglarzy i rybaków otaczających placyk przed wejściem do kościoła. Młodzi wyczuwali niepokój starszych, cały tłum stał się podejrzliwy i jakoś niewyraźnie wroggi. Stali w lekkim oddaleniu, mówili między sobą po cichu i czekali, aż coś się wydarzy. Nie podchodzili do Jacka i jego grupki, by zadawać pytania o posążek.

W końcu z kościoła wyszedł ksiądz. W innych miastach księża zbliżali się w nastroju ostrożnej ciekawości, ale ten podchodził niczym egzorcysta, krzyż przed sobą trzymał jak tarczę, a w drugiej ręce dzierżył pucharek ze święconą wodą. Reynold zastanawiał się głośno:

– A temu co przyszło do głowy? Ma zamiar odpędzać demony?

Ksiądz podszedł, zaintonował coś po łacinie, zbliżył się do Jacka i powiedział po francusku:

– Rozkazuję tobie, duchu zły, wrócić do piekielnej otchłani! W imię...

– Nie jestem duchem, przeklęty głupcze! – przerwał mu Jack. Trochę go to zdenerwowało.

– ...Ojca i Syna, i Ducha Świętego... – ciągnął ksiądz.

– Ależ my przybyliśmy na polecenie biskupa Canterbury – protestował Reynold. – Zostaliśmy przez niego pobłogosławieni!

– On nie jest duchem! Ja go znam od czasów, kiedy miał dwanaście lat! – powiedziała Aliena.

Ksiądz zaczął czuć się niepewnie.

– Jesteś duchem człowieka, który mieszkał w tym mieście dwadzieścia cztery lata temu i potem umarł – oświadczył duchowny.

Kilkoro ludzi z tłumu wymruczało potwierdzenie, a ksiądz swoje zaklęcia.

– Ja mam tylko dwadzieścia lat – odrzekł Jack. – Może jestem podobny do tego, co umarł.

Ktoś z tłumu wyszedł na przód.

– Ty nie tylko go przypominasz, ty wyglądasz dokładnie tak jak on, kiedy umarł. Jesteś nim.

Tłum zaszemrał w zabobonnej zgromadzeniu. Jack, zdenerwowany, popatrzył na mówcę: czterdziestolatek o siwej brodzie, odziany w szaty zamożnego rzemieślnika lub kupca, wcale nie wyglądał na histeryka. Jack zwrócił się do niego, a głos mu nieco drżał:

– Moi towarzysze mnie znają. Dwu jest księżmi. Ta kobieta jest moją żoną. To niemowlę jest moim synem. Czy oni także są duchami?

Tamten stracił swą pewność.

Białowłosa kobieta wystąpiła o krok i stanęła przy nim.

– Nie znasz mnie, Jack?

Jack podskoczył, jakby go kto dźgnął.

– Skąd znasz moje imię?

– Bo jestem twoją matką.

– Nie jesteś! – wykrzyknęła Aliena, a w jej głosie zabrzmiała nuta paniki. – Znam jego matkę, a to nie ty! Co się tutaj dzieje?

– Złe czary! – powiedział miejscowy ksiądz.

– Chwilę – wtrącił się Reynold. – Może Jack jest spokrewniony z tym, co umarł. Czy on miał dzieci?

– Nie – odpowiedział siwobrody.

– Jesteś pewny?

– Nigdy się nie ożenił.

– To nie to samo.

Ktoś zachichotał. Ksiądz rzucił przenikliwe spojrzenie w tamtą stronę.

– Ale on zmarł dwadzieścia cztery lata temu, a ten ma tylko dwadzieścia – upierał się siwobrody.

– Jak umarł tamten? – pytał dalej Reynold.

– Utonął.

– Widzieliście ciało?

Zapadła cisza. W końcu siwobrody oznajmił:

– Nie, nigdy nie widziałem trupa.

– Czy ktoś w ogóle widział trupa? – głos Reynolda stał się pewniejszy.

Nikt się nie odezwał.

Reynold zwrócił się do Jacka.

– Czy twój ojciec żyje?

– Zmarł przed moim urodzeniem.

– Kim był?

– Żonglerem.

Zgromadzeni zareagowali dziwnym pomrukiem.

– Mój Jack był żonglerem – rzekła białowłosa kobieta.

– Ale ten Jack jest murarzem – oświadczył Reynold. – Ja widziałem jego prace. Lecz mógłby być synem Jacka Żonglera. – Spojrzała na Jacka. – Jak zwano twego ojca, może Jack Żongler?

– Nie. Zwano go Jack Shareburg.

– Jacques Cherbourg? – powtórzył ksiądz, wymawiając nieco inaczej.

Jack osłupiał. Nigdy nie rozumiał imienia swego ojca, ale teraz mu się roz-

jaśniło. Jak wielu podróżujących, ojca nazywano od miejscowości, z której pochodził.

– Tak – powiedział Jack z zastanowieniem. – Oczywiście. Jacques Cherbourg. – W końcu długo po tym, jak przestał mieć nadzieję, odnalazł ślady swego ojca. Przeszedł całą drogę do Hiszpanii, a to, czego chciał, znajdowało się tutaj, na normandzkim brzegu. Wypełnił swe zadanie. Poczł znużone zadowolenie, jakby zrzucił z ramion wielki ciężar dźwigany od lat...

– Więc wszystko się wyjaśniło – powiedział Reynold, rzucając tłumowi triumfalne spojrzenie. – Jacques Cherbourg nie utonął, ale przeżył. Udał się do Anglii, żył tam jakiś czas, poczał jakiejś dziewczynie dziecko, potem zmarł. Dziewczyna dała życie chłopcu, nazwała go Jack, po ojcu. Jack ma teraz dwadzieścia lat i wygląda dokładnie jak jego ojciec dwadzieścia cztery lata temu. – Reynold popatrzył na miejscowego księdza.

– Nie ma potrzeby egzorcyzmować, ojcze. To tylko ponowne połączenie rodziny.

Aliena uścisnęła Jacka. Ten zaś stał ogłupiały. Miał sto pytań, ale nie wiedział, jak zacząć. Zadał jedno, całkiem przypadkowo wybrane:

– Dlaczego byliście tacy pewni, że zmarł?

– Wszyscy z *Białego Korabia* zginęli – odrzekł siwobrody.

– Z Białego Korabia?

– Ja pamiętam *Białego Korabia* – rzekł Edward. – Wiele mówiło się o katastrofie. Utonął wówczas następca tronu. Wtedy pretendentką stała się Matylda i dlatego mamy Stefana.

– Ale dlaczego... skąd się wziął na tym statku? – spytał Jack.

Kobieta, która przedstawiła się jako matka Jacka, odezwała się znowu:

– Miał zabawiać szlachtę podczas podróży. – Popatrzyła na Jacka. – Tak, ty musisz być jego synem, chłopcze. A zatem i moim wnukiem. Przepraszam, że wzięłam cię za ducha. Tak bardzo jesteś do niego podobny...

– Twój ojciec był moim bratem – przerwał jej siwobrody. – Jestem twym

stryjem, mam na imię Guillaume.

Jack z przyjemnością uzmysławiał sobie, że to jest rodzina, którą pragnął odnaleźć. Krewni jego ojca. Już nie był sam na świecie. W końcu znalazł swe korzenie.

– No tak, a to jest mój syn, Tommy. Popatrzcie na jego rude włosy.

Białowłosa kobieta popatrzyła z dumą na dziecko, a potem zawołała wstrząśnięta:

– Och, na mą duszę, jestem prababką!

Wszyscy się roześmieli.

– Zastanawiam się, w jaki sposób mój ojciec dostał się do Anglii? – to pytanie Jacka zawisło w powietrzu.

Rozdział 13

I

– I rzekł Pan do szatana: „Przypatrzyłeś się słudze memu Hiobowi? Nie masz mu równego na ziemi...”. – Philip przerwał dla efektu. Nie było to wierne tłumaczenie, opowiadał tę przypowieść swoimi słowami. – „Czyż nie jest to mąż doskonały i szczery, bojący się Boga i odstępujący od złego?”. A szatan na to: „Oczywiście, że cię wysławia, dałeś mu przecież wszystko, tylko popatrz: ma synów siedmiu i córki trzy. Siedem tysięcy owiec i trzy tysiące wielbłądów, pięć setek par wołów i pięćset osłów. To dlatego jest tak dobrym człowiekiem”. Odrzekł na to Bóg: „Dobrze więc. Zabierz mu to wszystko i zobacz, co nastąpi”. I szatan tak uczynił.

Kiedy przeor głosił kazanie, jego myśli pobiegły do dziwnego listu, jaki otrzymał tego ranka od arcybiskupa Canterbury. List zaczynał się od gratulacji z powodu jakiejś Płaczącej Madonny, którą Philip ponoć otrzymał. Nie wiedział nic o żadnej płaczącej madonnie, pewny był jedynie, że jej nie ma. Biskup wyrażał swe zadowolenie, że Philip jakoby podejmuje od nowa budowę katedry. A przecież nic takiego nie czynił. Czekał na znak od Boga, by do czegoś się zabrać, a w trakcie oczekiwania odprawiał nabożeństwa w małym kościółku

parafialnym. Na zakończenie arcybiskup Teobald gratulował mu przebiegłości, w związku z назначeniem na mistrza budowniczego kogoś, kto pracował przy budowie prezbiterium w Saint-Denis. Philip słyszał, oczywiście, o opactwie Saint-Denis, słyszał też o sławnym opacie Sugerze, wielkim człowieku Kościoła we Francji, ale nie wiedział nic o nowym prezbiterium ani też nie назначał żadnego mistrza budowniczego. Pomyślał więc, że ten list miał być skierowany do kogoś innego, a do niego trafił przez pomyłkę.

– No, cóż powie Hiob teraz, gdy swe dostatki utracił, a jego dzieci zmarły? Czy Boga przeklinać będzie? Czy do szatana się modlić? Nie! Hiob powiada: „Nagim się urodziłem, nagim także umrę. Bóg dał, Bóg wziął, niech będzie imię Pańskie błogosławione”. Tak powiedział Hiob. A wtedy Bóg rzekł do szatana: „Czyżem ci nie mówiłem?”. A na to szatan: „Dobrze, lecz i zdrowie ma jeszcze! Człowiek może wszystko odzyskać, gdy ma zdrowie i siły”. I Bóg zobaczył wtedy, że musi pozwolić Hiobowi cierpieć, by swej słuszności dowieść, więc powiedział: „Zabierz mu tedy zdrowie, szatanie, i patrz, co nastąpi”. Więc szatan zaraził Hioba wrzodem, ciągnącym się od głowy do stóp jego.

Kazania głoszone coraz częściej. Kiedy Philip był chłopcem, zdarzały się znacznie rzadziej. Stary pogląd na tę sprawę był taki, że zgromadzeni w kościele mają być jedynie świadkami tajemniczych świętych obrzędów, w milczeniu wysłuchującymi łacińskich słów, bez ich rozumienia, ślepo wierzącymi w skuteczność pośrednictwa księdza. Idee jednak się zmieniły. Współcześni postępowi myśliciele nie uważali już zgromadzenia wiernych za milczących obserwatorów świętych ceremonii. Kościół według nich miał stawać się częścią codziennego życia wiernych. Kościół znaczył kamienie milowe na drodze ich żywota, od chrztu przez małżeństwo i urodziny dzieci, po ostatnie namaszczenie i pochówek w poświęconej ziemi. Kościół mógł stać się ich panem lennym i dziedzicem, pracodawcą czy klientem oraz sędzią. Wzrastało oczekiwanie Kościoła, by ludzie okazywali się chrześcijanami na co dzień, nie tylko w niedziele. Potrzebowali tedy więcej nie tylko obrzędów, według tego nowoczesnego poglą-

du, potrzebowali objaśnienia zasad wiary, dodawania ducha i napominania.

– Teraz myślę, że szatan rozmawiał z Bogiem o Kingsbridge – mówił Philip. – Wierzę, że Bóg rzekł do niego: „Popatrz na mych wyznawców w Kingsbridge. Czyż nie są dobrymi chrześcijanami? Popatrz, jak ciężko pracują cały tydzień w swych warsztatach i na polach, a potem całą niedzielę trawią na budowaniu dla mnie nowej świątyni. Rzeknij, jeśli potrafisz, że nie są ludźmi dobrymi?”. A szatan na to: „Dobrzy są, bo dobrze robią, bo dobrze im się dzieje. Daleś im żniwa dobre, pogodę piękną, klientów do warsztatów i sklepów, ochronę przed hrabiami złymi. Zabierz im to jednak, a oni na moją stronę przejdą”. Wtedy Bóg spytał: „Cóż uczynić pragniesz?”. Odpowiedział szatan: „Spalić miasto”. Wtedy Bóg odrzekł: „Dobrze, spal je i patrz, co nastąpi”. Wówczas szatan przysłał Williama Hamleigha na nasz jarmark wełniany.

Philip sam czerpał pociechę z przypowieści o Hiobie. Podobnie jak biblijny Hiob, on także całe życie pracował dla Boga ze wszystkich sił; podobnie jak Hioba i jego nagrodzono nieszczęściem, zawodem i podłością. Lecz celem kazania było dodanie otuchy mieszkańcom miasta, a Philip widział, że niezbyt mu to wychodzi. Jednakże przypowieść jeszcze się nie skończyła.

– I wtedy Bóg rzekł do szatana: „Teraz spójrz! Spaliłeś miasto do gołej ziemi, a oni i tak budują dla mnie katedrę. Teraz powtórz, że to źli ludzie!”. Lecz szatan powiedział: „To dla nich za mało. Większość przed ogniem uszła. Drewniane domy szybko można odbudować. Pozwól mi zesać kłękę prawdziwą, wtedy zobaczysz, co się stanie”. A dobry Bóg westchnął i rzekł: „Co teraz chcesz zrobić?”. Odpowiedział szatan: „Spuszczę dach ich nowego kościoła na ich własne głowy”. Tak też i uczynił, jak to dobrze wiemy.

Rozglądając się po zgromadzonych, Philip dostrzegł tylko kilkoro ludzi, którzy nie stracili nikogo z krewnych podczas zawalenia się dachu. Była w kościele wdowa Meg, której dobry mąż i trzech udanych synów zginęło, a ona sama słowa od tamtej pory nie przemówiła, włosy zaś jej pobielaly. Wielu innych uległo okaleczeniom. Prawa noga Petera Pony'ego została przygnieciona,

a on, zamiast jak poprzednio zajmować się łapaniem i ujeżdżaniem koni, teraz, kulawy, musiał pracować u brata przy wyrobie siodeł. W miasteczku nie było chyba rodziny, która nie ucierpiałaby w tej katastrofie. Na podłodze w pierwszym rzędzie wiernych siedział człowiek, który stracił władzę w nogach. Philip zmarszczył brwi: któż to taki? Ten człowiek nie stracił władzy w nogach w czasie zawalenia się dachu, tego był pewien. Potem przypomniał sobie, że w mieście był jakiś kaleka, który zebrał po ulicach, a sypiał w ruinach katedry. Philip nakazał dać mu posłanie w domu gościnnym.

Umysł znów mu zboczył na manowce. Wrócił do kazania:

– Cóż wówczas uczynił Hiob? Jego żona radziła mu: „Przeklnij Boga i umrzyj”. Ale czyż on to uczynił? Nie. Czy stracił swą wiarę? Nie. Szatan był rozczarowany postawą Hioba. A ja wam powiadam... – Philip dramatycznie podniósł głos i zawiesił na moment, by szczególnie podkreślić ten punkt. – Powiadam, że szatan co do ludzi w Kingsbridge także się rozczaruje! Bo my zawsze do jedynego prawdziwego Boga modlić się będziemy, jak Hiob we wszystkich swych mękach!

Przerwał znowu, by mieli czas na rozpatrzenie tej myśli, ale już mógł stwierdzić, że nie udało mu się porwać słuchaczy. Twarze zwrócone ku niemu wyrażały zaciekawienie, ale nie natchnienie. Po prawdzie, to nie był nigdy poryjającym mówcą. Zajmował się przyziemnymi sprawami, nie umiał przemawiać do ludzi. Ci zaś zaczęli czuć się lojalni wobec niego, to prawda, ale nie wskutek jego płomiennej osobowości, lecz powoli, z upływem czasu, po zrozumieniu, jak żył i co osiągnął. Ludzie czerpali pokrzepienie z jego pracy, a raczej: kiedyś czerpali, nie dziś, nigdy jednak nie czerpali natchnienia z jego słów.

No, ale najlepsza część historii nadchodziła dopiero teraz.

– A co się z Hiobem stało, kiedy szatan wobec niego dopuścił się najgorszej rzeczy? Cóż, Bóg dał mu wszystkiego w dwójnasób! Tam, gdzie siedem tysięcy owiec się pasło, pasło się teraz tysiący czternaście. Na miejsce straco-

nych trzech tysięcy wielbłądów miał sześć. I stał się ojcem kolejnych siedmiu synów i córek trzech.

Patrzyli obojętnie. Philip brnął dalej.

– I Kingsbridge któregoś dnia nam rozkwitnie. Wdowy wyjdą znowu za mąż, a wdowcy znajdą żony, ci, których dzieci zginęły, poczną nowe, nasze ulice znowu się zapełnią, a kramy będą się uginać pod ciężarem bochenków chleba i butli wina, skór i brązu, zapinek i butów, i któregoś dnia odbudujemy katedrę.

Kłopot z tym, że on sam w to nie za bardzo wierzył i nie umiał powiedzieć tego z dostatecznym przekonaniem. Nic dziwnego, że zgromadzenie trwało nieporuszone.

Spojrzał na księgę leżącą przed nim i przetłumaczył z łaciny na angielski:

– I żył Hiob jeszcze lat sto i czterdzieści, i synów swych widział, i synów synów swoich, aż do czwartego pokolenia. A potem zmarł, wypełniwszy dni swoje. – Zamknął księgę.

W głębi kościoła wszczęło się jakieś zamieszanie. Philip popatrzył tam z irytacją. Zdawał sobie sprawę, że kazanie nie wywarło oczekiwanego wrażenia, chciałby jednak, aby przez chwilę po jego słowach trwała cisza. Drzwi kościoła stały otworem, wszyscy zaś, co znajdowali się przy nich, wyglądali na zewnątrz. Tam z kolei Philip dostrzegł całkiem sporą grupę ludzi, w której pewnie znaleźli się wszyscy, którzy nie przyszli na mszę. Co też tam się dzieje?

Przez myśl przebiegło mu kilka podejrzeń: jakaś walka, może pożar, ktoś umiera, zbliża się gromada jeźdźców. Nie był jednak przygotowany na to, co nastąpiło. Najpierw dwóch księży wniosło lektykę z posążkiem, ustawionym na ołtarzowym obrusie. Powaga, z jaką ją nieśli, wskazywała, że wyobraża postać świętej, prawdopodobnie Najświętszej Maryi Zawsze Dziewicy. Za księżmi weszły dwie następne osoby, a ich widok zaskoczył Philipa jeszcze bardziej; to byli Aliena i Jack.

Philip patrzył na Jacka z mieszaniną czułości i rozdrażnienia.

Co za chłopak, myślał. Tego dnia, kiedy przybył do klasztoru, stara katedra spłonęła, a od tamtej pory to, co się z nim wiązało, nie toczyło się normalnie. Bardziej jednak cieszyło go, niż zasępiąło to przybycie. Pomimo kłopotów, jakich przysparzał, a może dzięki nim, życie stawało się ciekawsze. Chłopak? Philip przyjrzał mu się raz jeszcze. To już nie chłopak. Nie było go dwa lata, ale postarzał się o dziesięć, spojrzenie miał zmęczone i mądre. Gdzież się podziewał? I jak go Aliena odnalazła?

Procesja szła środkiem kościoła. Philip postanowił nic nie czynić i obserwować bieg wypadków. Szmer podniecenia rozprzestrzenił się po zgromadzonych, w miarę jak coraz więcej osób poznawało Jacka i Alienę. Nagle rozległ się głos przypominający pomruk zarazem zgrozy i zachwytu:

– Ona płacze! Płacze!

Inni powtarzali, jak litanię:

– Ona płacze! Płacze!

Philip wlepił swe spojrzenie w posązek. Z oczu bez wątpienia ciekła woda. Nagle przypomniał mu się ten dziwny list od arcybiskupa o cudownej Płaczącej Madonnie. Więc o to chodziło. Widział oczy, które zdawały się wykonane z kamienia, może jakiegoś kryształu, podczas gdy reszta posązku była z drewna; może to miało coś wspólnego z tymi łzami.

Księża odwrócili się i postawili lektykę na podłodze, tak że Madonna zwracała się twarzą do zgromadzenia.

– Płacząca Madonna przyszła do mnie, kiedy przebywałem daleko stąd, w bardzo odległym kraju – zaczął mówić Jack. Przeor był niezadowolony z potraktowania nabożeństwa tak, jakby już się skończyło, ale nie mógł okazać się zbyt formalistą, musiał pozwolić Jackowi powiedzieć to, co ten miał do powiedzenia. Zresztą samego go to ciekawiło. – Dał mi ją ochrzczony Saracen – ciągnął Jack. Zgromadzenie aż zaszemrało ze zdziwienia: Saracenów utożsamiano tutaj z wrogimi ciemnogębymi barbarzyńcami z opowieści o walkach chrześcijańskich rycerzy i misjonarzy. Tylko niewielu wiedziało, że niektórzy

Saraceni byli chrześcijanami. – Z początku dziwiłem się, dlaczego mi ją dano. Niemniej jednak niosłem ją wiele mil. – Jack panował nad całym zgromadzeniem. Jest lepszym kaznodzieją niż ja, pomyślał Philip dosyć zawistnie. Napięcie rosło. – W końcu zacząłem sobie uświadamiać, że płacząca pani chce wrócić do domu. Lecz gdzie był jej dom? Wreszcie to do mnie dotarło, chciała wrócić do Kingsbridge.

Wśród zgromadzonych wybuchła wrzawa. Philip podchodził do tych rewelacji sceptycznie. Między sposobem działania Boga i sposobem działania Jacka była pewna różnica, a to, co się działo, miało wyraźne piętno osobowości Jacka. W dalszym ciągu przeor milczał.

– Lecz pomyślałem: Ku czemu ją przywiodę? Jakąż świątynię znajdzie w Kingsbridge? W jakimż kościele spocznie? – Rozejrzał się dokoła po prostych, bielonych ścianach wnętrza kościoła parafialnego, jakby chciał powiedzieć: oczywiście nie o to chodzi. – I tak właśnie do mnie głośno powiedziała: „Ty, Jacku Jacksonie, dasz mi świątynię; zbudujesz mi nową katedrę”.

Przeor zaczął rozumieć cel tego działania. Madonna miała stać się zapłonem, który spowoduje wybuch zapалу do budowy nowej katedry. To samo chciał osiągnąć swoim kazaniem, lecz jemu się nie udało. Zapytał samego siebie, czy jest wolą Boga, czy tylko Jacka, by właśnie teraz zabierać się do budowy.

– Zastanawiałem się więc za co? Nie ma przecież pieniędzy na budowę. A ona odrzekła: „Ruszmy tedy z błogosławieństwem Teobalda, arcybiskupa Canterbury”. – Jack rzucił okiem ku Philipowi, kiedy wymieniał nazwisko arcybiskupa. Chce mi zapewne dać znać, pomyślał Philip, że ma mocne poparcie.

Jack wrócił spojrzeniem do zgromadzonych.

– I całą drogę od Paryża, przez Normandię i przez morze, a potem całą drogę do Kingsbridge, pobożni chrześcijanie dawali pieniądze na budowę świątyni dla Płaczącej Madonny. – Mówiąc te słowa, Jack przyzywał kogoś z zewnątrz.

Chwilę później dwu Saracenów w turbanach uroczyście wmaszerowało do

kościół, dzierżąc w ramionach okuty żelazem kufer.

Mieszkańcy w strachu odsuwali się jak najdalej od przechodzących. Nawet Philip się zdumiał. Teoretycznie wiedział, że Saraceni mają skórę brązową, ale nigdy jeszcze żadnego nie widział, rzeczywistość zaś go oszołomiła. Ich powłóczyste, kolorowe szaty szokowały na równi z ich skórą. Kroczyli wśród osłupiałych ludzi, przed Madonną zaś uklękli z szacunkiem, składając kufer u jej stóp.

Wszyscy wstrzymywali oddech, gdy Jack otwierał zamek kufra i podnosił wieko. Ludzie wyciągnęli szyje, by doń zajrzeć. Raptem Jack podniósł kufer i odwrócił go do góry dnem.

Rozległ się jakby szum wodospadu, gdy z kufra począł się wylewać strumień srebrnych pensów, setki i tysiące srebrnych monet. Ludzie stłoczyli się, by je podziwiać: nikt z nich nie widział naraz takiej ilości pieniędzy.

Jack podniósł głos, by przekrzyczeć tłum.

– Przeprowadziłem Ją do domu, a teraz przekazuję to na budowę nowej katedry dla Niej. – Wtedy się odwrócił, popatrzył w oczy przeorowi i skłonił lekko głowę, jakby chciał powiedzieć:

„Teraz twoja kolej”.

Philip nie znosił, gdy nim manipulowano, a szczególnie w ten sposób, ale jednocześnie zdawał sobie sprawę, że to, co się stało, doprowadziło do skutku, po mistrzowsku, jego zamierzenia. Lecz to wcale nie znaczyło, że ma ochotę się poddać. Wszyscy ludzie mogli przyjąć Madonnę Płaczącą, ale tylko on mógł zdecydować, czy stanie ona w katedrze obok szczątków świętego Adolphusa. A jeszcze nie był przekonany.

Niektórzy mieszkańcy zaczęli wypytywać Saracenów. Philip zbliżył się, by posłuchać rozmów.

– Ja pochodzę z bardzo dalekiego kraju – wyjaśnił jeden z nich.

Philipa zaskoczyło, że mówił z akcentem rybaka z Dorset, ale większość mieszkańców nawet nie miała pojęcia o tym, że Saraceni mówią własnym języ-

kiem.

– A jak się nazywa twój kraj? – spytał ktoś z tłumu.

– To Afryka – odrzekł Saracen.

W Afryce było więcej krajów, Philip doskonale o tym wiedział, chociaż zwyczajni ludzie nie zdawali sobie z tego sprawy. Ależ byłoby podniecające, gdyby się okazało, że przybył z kraju, który wymienia Biblia, z Egiptu czy Etiopii.

Jakaś dziewczynka wyciągnęła ciekawie paluszek, aż drżący z przejęcia, i dotknęła ciemnobrązowej ręki. Saracen uśmiechnął się do niej. Poza kolorem skóry, pomyślał Philip, nie różni się od nas wyglądem. Dziewczynka spytała:

– A jak wygląda Afryka?

– Są tam wielkie pustynie i drzewa figowe.

– A co to figa?

– To... to owoc, który wygląda jak truskawka, a smakuje jak gruszka.

Philipa nagle ogarnęło przerażające podejrzenie. Odezwał się:

– Powiedz mi, Saracenie, gdzie się urodziłeś?

– W Damaszku – odrzekł mężczyzna.

Posądzenia Philipa potwierdziły się. Zaczął go ogarniać gniew. Dotknął ramienia Jacka i odciągnął na bok. Z tłumioną furią pytał:

– W co ty się bawisz?

– O co ci chodzi, ojczy? – udawał niewiniątko.

– Ci dwaj to nie Saraceni. To pofarbowani rybacy z Wareham.

Jack nie wydawał się specjalnie przejęty odkryciem swej mistyfikacji. Uśmiechnął się i spytał:

– Jak się domyśliłeś, ojczy?

– Nie sądzę, by ten człowiek w życiu widział figę, a Damaszek nie leży w Afryce. Co ma znaczyć ta nieuczciwość?

– To nieszkodliwe kłamstwo – uśmiechnął się.

– Nie ma czegoś takiego, jak „nieszkodliwe kłamstwo” – stwierdził zimno

Philip.

– W porządku – Jack zauważył gniew Philipa. Spoważniał. – Służy tej samej sprawie, co iluminowane inicjały w Biblii. To nie rzeczywistość, ale ilustracja. Moi pomalowani na brązowo Saraceni z hrabstwa Dorset potwierdzają fakt pochodzenia Madonny z kraju Saracenów.

– Obraz węża w Biblii nie przestrasza czytelnika. Ilustracja nie jest kłamstwem. Twój Saraceni nie są ilustracjami, są szalbierzami.

– Od czasu kiedy mamy Saracenów, zebraliśmy znacznie więcej.

Philip popatrzył na pensy rozsypane na podłodze.

– Mieszkańcy miasta pomyślały, że tych monet wystarczy na cały kościół. Dla mnie to wygląda na jakieś sto funtów. Wiesz, że tego nawet na rok nie wystarczy.

– Te pieniądze są równie symboliczne jak Saraceni. Teraz wiesz, ojczyste, że mamy pieniądze na początek budowy.

To była prawda. Teraz nic nie hamowało Philipa. Madonna była cudem, jakiego potrzebował, by przywrócić Kingsbridge życiu. Przyciągnie do miasta ludzi, tak pielgrzymów, jak i scholarów i zwyczajnych ciekawskich. Wleje nową otuchę w serca mieszkańców. Wszyscy przyjmą ją jako dobry znak. Philip czekał na znak od Boga i bardzo chciał uwierzyć, że właśnie Bóg mu go zesłał, lecz poczucia, że to znak boży – nie miał. Miał za to wrażenie, że Jack go przeraża.

Młodszy z księży powiedział:

– Jestem Reynold, a to jest Edward, pracujemy dla arcybiskupa Canterbury. Przysłał nas, byśmy towarzyszyli Płaczącej Madonnie.

– Jeśli mieliście błogosławieństwo arcybiskupa, do czego tedy byliście wam potrzebni ci bajkowi Saraceni? – spytał Philip.

Edward był zawstydzony, Reynold natomiast wyznał:

– Pomysł był Jacka, ale przyznaję, że nie dostrzegłem w nim nic złego. Z pewnością jednak Madonna nie budzi twoich wątpliwości?

– Możesz zwracać się do mnie „ojcze”, jak wszyscy – wypalił Philip. – Praca dla arcybiskupa nie daje ci prawa do tego, byś przełożonych traktował jak równych sobie. Odpowiedzią na twe pytanie jest słowo „tak”. Powątpiewam w tę Madonnę. Nie mam zamiaru umieszczać tej figurki w kościele, dopóki nie zostaną przekonany o tym, że jest to prawdziwy cud.

– Drewniana figurka płacze – odrzekł Reynold. – Ilu jeszcze cudów ci potrzeba, ojcze?

– To jeszcze nie czyni cudu, nie jest wyjaśnione. Nie umiemy sobie wytłumaczyć, dlaczego woda zamienia się w lód, a tego przecież nie uznajemy za cud.

– Arcybiskup będzie ogromnie rozczarowany, gdy się dowie, że odmówiłeś przyjęcia Madonny, ojcze. Stoczył bitwę, by przeszkodzić opatowi Sugerowi, których chciał zatrzymać ją w Saint-Denis.

Philip wyczuł groźbę. No, młody Reynold musi trochę popracować, jeśli chce naprawdę uczynić mnie sobie posłusznym, pomyślał. Odrzekł gładko:

– O, jestem zupełnie pewny, że arcybiskup nie zechciałby wcale, abym przejął Madonnę bez kilku zupełnie zwyczajnych prób dotyczących jej prawdziwości.

U ich stóp zrobił się jakiś ruch. Philip spojrzał w tamtą stronę i dostrzegł kalekę, którego zauważył na mszy. Nieszczęśliwy mężczyzna ciągnął się ku posążkowi, jego sparaliżowane nogi wlokły się za nim, próbował znaleźć się przy Madonnie jak najbliżej. Gdzie się zwrócił, napotykał tłum. Philip odruchowo odstąpił, czyniąc mu miejsce. Saraceni powstrzymywali wiernych, koniecznie chcących dotknąć posążka, ale kaleka umknął ich uwagi. Dotknął figurki. Przeważnie nie zgadzał się, by obcy dotykali świętych przedmiotów czy relikwii, ale nie uznał jeszcze świętości posążka. Kaleka wciąż trzymał rękę na figurce. Nagle wydał okrzyk triumfu.

– Czuję je! Czuję je! – wołał.

Wszyscy na niego spojrzeli.

– Czuję, jak mi wraca siła do nóg!

Philip patrzył z niedowierzaniem, wiedząc już, co będzie dalej. Mężczyzna zgiął jedną nogę, potem drugą. Wśród widzów rozległy się odgłosy gwałtownego wciągania powietrza. Podniósł rękę, którą ktoś ujął. Z widocznym wysiłkiem kaleka wstał na obydwie nogi.

Tłum wydał głos przypominający jęk namiętności.

Ktoś krzyknął:

– Spróbuj chodzić!

Trzymając rękę pomocnika, mężczyzna zrobił jeden niepewny, próbny krok. Potem następny. Wszyscy obserwowali go w śmiertelnej ciszy. Przy trzecim kroku zachwiał się. Westchnęli. Lecz on odzyskał równowagę i poszedł dalej.

Tłum wiwatował.

Poszedł wzdłuż nawy, a wszyscy za nim. Po kilku krokach ruszył biegiem. Wiwaty wzmogły się, kiedy zbliżał się do wyjścia, a wtedy wybiegł przez drzwi w blask słoneczny, a za nim podążyła większość wiernych.

Przeor popatrzył na obu księży. Reynold zbaraniał, a Edwardowi łzy leciały strumieniem po twarzy. Najwyraźniej nie brali w tym udziału. Odwrócił się do Jacka i spytał z wściekłością:

– Jak śmiałeś odważyć się na taką sztuczkę?

– Sztuczkę? Jaką sztuczkę?

– Tego człowieka po raz pierwszy w tym hrabstwie ujrzano kilka dni temu. Za dzień lub dwa zniknie, nigdy go się tutaj nie zobaczy, a kieszenie będzie miał pełne pieniędzy. Ja wiem, jak się robi takie rzeczy, Jack. Niestety, nie jesteś pierwszą osobą, która próbuje pozorować cuda. Nigdy mu nic nie było w nogi, prawda? Taki kolejny rybak z Wareham.

Oskarżenie zostało potwierdzone przez pełen poczucia winy wzrok Jacka. Odezwała się Aliena:

– Jack, mówiłam ci, żebyś tego nie próbował.

Dwaj księża wyglądali na rażonych gromem. Zostali nabrani. Reynold wpadł we wściekłość. Wykonał obrót w stronę Jacka.

– Nie miałeś prawa! – wypalił.

Philip czuł tyleż wściekłości, ileż smutku. Głęboko w sercu żywił nadzieję, że Madonna jednak okaże się prawdziwa, bo już widział, jak mogłaby ożywić miasto i klasztor. Lecz tak nie mogło się stać. Rozejrzał się po kościółku parafialnym. Pozostała w nim tylko garść wiernych, wciąż wpatrujących się w Madonnę. Philip zwrócił się do Jacka:

– Tym razem posunąłeś się za daleko.

– Jej łzy są prawdziwe, w tym nie ma żadnej sztuczki – rzekł Jack. – A jeśli chodzi o kalekę, to była pomyłka, przyznaję.

– To było gorsze niż pomyłka – rzekł na to ze złością przeor. – Kiedy ludzie dowiedzą się prawdy, może to podważyć ich wiarę we wszystkie cuda.

– A dlaczego mieliby poznać prawdę?

– Bo będę musiał wyjaśnić, dlaczego Madonna nie zostanie umieszczona w kościele katedralnym w Kingsbridge. Nie ma już chyba wątpliwości co do mojego zdania w tej sprawie.

– Myślę, że to zbyt pośpieszne... – wtrącił się Reynold.

– Kiedy zechcę poznać twoją opinię, poproszę o nią, młody człowieku – przywołał go do porządku przeor.

Reynold zamilkł, ale Jack wciąż się upierał.

– Czy jesteś pewny, ojcze, że masz prawo pozbawiać twoich ludzi Madonny? Popatrz tylko na nich.

Wskazał tę garstkę wiernych, którzy zostali. Między nimi znajdowała się wdowa Meg. Klęczała przed Madonną, a łzy strumieniem ciekły jej po twarzy. Jack nie wiedział dlaczego, ale Philip tak. Meg straciła całą rodzinę pod gruzami katedry. Jej wzruszenie spowodowało drgnienie serca Philipa, który zastanowił się, czy jednak Jack nie ma trochę racji. Dlaczego zabierać ją ludziom? Bo to nieuczciwe, napomniał się ostro. Wierzą w posążek, bo widzieli sfalszowany

cud. Zebrał się w sobie mocniej.

Jack ukląkł przed Meg i zapytał ją:

– Dlaczego płaczesz?

– Ona jest niema – rzekł Philip.

Wtedy Meg powiedziała:

– Madonna cierpiała, tak jak ja cierpiałam. Ona rozumie.

W Philipa jakby piorun trzasł.

– Rozumiesz, ojczy? Posązek łagodzi jej cierpienia. Czemu się tak przyglądasz? – nie rozumiał Jack.

– Ona była niema – powtórzył Philip. – Od zawalenia Alfredowego dachu nie wymówiła ani słowa.

– Ta kobieta? – rzekł Jack. – Ale przecież...

Reynold wyglądał na całkowicie zdezorientowanego.

– To znaczy, że to cud? Prawdziwy cud?

Philip uważnie popatrzył na Jacka. Ten był bardziej wstrząśnięty niż ktokolwiek. W tym nie było sztuczki.

Przeor był do głębi poruszony. To palec boży. Trząśł się lekko.

– Dobrze, Jack – odezwał się niepewnym głosem. – Mimo tego, coś uczynił, by umniejszyć znaczenie Płaczącej Madonny, zdaje się, że Bóg poprzez nią i tak przemawia.

Pierwszy raz Jackowi zabrakło słów.

Philip odwrócił się od niego i podszedł do Meg. Ujął jej rękę i delikatnie podniósł.

– Bóg uczynił cię znowu sprawną, Meg – mówił głosem drżącym od emocji. – Teraz możesz rozpoczynać nowe życie. – Przypomniał sobie swe kazanie o Hiobie. Własne słowa do niego wróciły. – Bóg tedy bardziej błogosławił upadkowi Hioba niż jego początkom... – Mówił mieszkańcom Kingsbridge, że te słowa się do nich stosują. Patrząc na zachwyty malujący się na twarzy Meg, zastanawiał się, czy to jest właśnie początek nowego życia Kingsbridge.

W kapitularku podniósł się zgiełk, kiedy Jack przedstawił swój projekt nowej katedry.

Przeor ostrzegwał Jacka, że mogą być kłopoty. Obejrzał wcześniej plan i elewację, wyrysowane na gipsowej płaszczyźnie ujętej w drewniane ramki. Powiedział wtedy:

– Jack, to będzie najpiękniejszy kościół w całej Anglii, ale będziemy mieli kłopoty z mnichami.

Jack wiedział, jeszcze z czasów swego dziwnego nowicjatu, że brat Remigius i jego poplecznicy zazwyczaj stawali okoniem wobec każdego planu, jaki był bliski sercu przeora Philipa. Rzadko zdarzało się, by mieli poparcie, lecz w takiej sprawie Philip pewności nie miał. Mnisi byli przecież nader konserwatywnym stadkiem, a tak rewolucyjny projekt mógł ich po prostu przestraszyć. Cóż, nic innego nie można było zrobić, jedynie pokazać im rysunki i spróbować ich przekonać. Z pewnością nie mógł sobie pozwolić na budowę bez szczerego poparcia jego planów przez znakomitą większość społeczności klasztornej.

Następnego dnia Jack uczestniczył w obradach kapituły i pokazał swe projekty. Rysunki umieszczono na ławie i oparto o ścianę, a mnisi stłoczyli się, by je obejrzyć. Kiedy wglębiali się w szczegóły, szemranie szybko przerodziło się we wrzawę. To Jackowi odbierało odwagę; dostrzegał w niej niezadowolenie, a nawet oburzenie. Zgiełk jeszcze wzrósł, kiedy zaczęli się spierać między sobą, jedni projekt atakowali, drudzy go bronili.

Po chwili Philip poprosił o ciszę. Kwestarz Milius zadał uprzednio uzgodnione pytanie.

– Dlaczego łuki są ostre?

– To nowa technika, stosowana i sprawdzona we Francji – odpowiedział Jack. – Widziałem je w kilku kościołach. Łuk ostry jest silniejszy. Dlatego można budować tak wysokie kościoły. To prawdopodobnie byłaby najwyższa nawa w całej Anglii.

Jack zauważył, że to im się spodobało.

– Te okna są takie duże – dziwił się ktoś inny.

– Grube ściany są niepotrzebne. Dowiedziono tego we Francji. Kościół utrzyma się na filarach, szczególnie że sklepienie będzie zbudowane z żebra krzyżowego. Efekt tych wielkich okien zapiera dech w piersi. W Saint-Denis opat kazał wprawić w okna kolorowe szkło z obrazami. Kościół stał się miejscem pełnym słonecznego blasku i przestrzeni zamiast posepności i mroku.

Kilku mnichów kiwało głowami w aprobachie bez słów.

Przemówił zakrystian Andrew.

– Dwa lata temu byłeś wśród nas, byłeś nowicjuszem. Zostałeś ukarany za znieważenie przeora i umknąłeś przed karą. Teraz zaś wracasz i chcesz, abyśmy budowali kościół według twego projektu.

Zanim Jack zdążył się odezwać, sprzeciwił się jeden z młodszych mnichów.

– To nie ma nic do rzeczy. Omawiamy projekt, a nie przyszłość Jacka!

Kilku braci zaczęło mówić jednocześnie, niektórzy krzyczeli. Philip kazał im zamilknąć i poprosił Jacka o odpowiedź.

Jack się spodziewał czegoś takiego, więc był przygotowany.

– Odbyłem pielgrzymkę do Composteli, do świętego Jakuba, jako pokutę za mój grzech, ojcie Andrew, i mam nadzieję, że przyniesienie tutaj Płaczącej Madonny można mi policzyć jako zadośćuczynienie za me złe postęпки – powiedział potulnie. – Nie jest mi przeznaczone być mnichem, nie nadaję się, ale mam nadzieję, że mogę służyć Bogu w inny sposób: jako budowniczy.

Zdawało się, że to akceptują.

Brat Andrew okazał się jednak dociekliwy.

– Ile masz lat? – spytał, chociaż doskonale znał odpowiedź.

– Dwadzieścia.

– To bardzo młody wiek, by zostać mistrzem budowniczym.

– Wszyscy tutaj mnie znają. Zamieszkałem w Kingsbridge, kiedy byłem chłopcem. – W duchu dodał: Kiedy spaliłem stary kościół. – Odsłużyłem termi-

natorstwo i czas czeladniczy u pierwszego mistrza budowniczego. Widzieliście moje prace w kamieniu. Podczas nowicjatu pracowałem z przeorem Philipem i Tomem Budowniczym jako nadzorca robót. Pokornie proszę, bracia, byście mnie sądzili po mej pracy, a nie po mym wieku.

Ta mowa była także uprzednio przygotowana. Jack dojrzał grymas uśmiechu na obliczu jednego z mnichów na dźwięk słowa „pokornie” i uświadomił sobie, że użycie tego określenia mogło być błędem. Oni wszyscy wiedzieli, że różne cechy można było mu przypisać i mniej lub bardziej uzasadnić, ale nie należała do nich pokora.

Zakrystian szybko wykorzystał nadarzającą się okazję.

– Pokornie? – spytał. Jego twarz zaczynała się czerwienić z oburzenia, udawanego tym razem. – Nie było zbyt pokorne ogłoszenie trzy miesiące temu murarzom w Paryżu, że jesteś już wybrany na mistrza budowniczego w Kingsbridge.

Znowu rozległa się wrzawa oburzenia. Jack jęknął. Jakiż diabeł powiedział Andrew o tej drobnej przesadzie? To Reynold lub Edward musiał okazać się niedyskretny. Spróbował go zbyć.

– Miałem nadzieję na przyciągnięcie kilku tamtejszych rzemieślników tutaj, do Kingsbridge – powiedział, kiedy się uciszyło. – Będą użyteczni niezależnie od tego, kogo ustanowicie mistrzem. Nie wydaje mi się, by moje słowa przyniosły wielką szkodę. – Spróbował swego ujmującego uśmiechu. – Ale przepraszam, że nie byłem pokorniejszy. – To już tak dobrze nie przeszło.

Z kłopotu wyciągnął go kwestarz Milius kolejnym pytaniem, także wcześniej przygotowanym.

– Co proponujesz zrobić z naszym prezbiterium, które częściowo się zawaliło?

– Przyjrzałem mu się uważnie – powiedział Jack. – Można je naprawić. Jeśli dzisiaj ustanowicie mnie mistrzem budowniczym, to mogę przygotować je do ponownego użytku w ciągu roku. Co więcej, będziecie mogli korzystać

z niego w czasie, kiedy ja będę budował transepty i nawę według projektu. Kiedy nawa zostanie ukończona, proponuję rozebranie prezbiterium i zbudowanie nowego, które współgrałoby z resztą nowego kościoła.

– Ale skąd możemy być pewni, że stare prezbiterium nie zawali się ponownie? – zaniepokoił się brat Andrew.

– Zawalenie nastąpiło wskutek tego, że Alfred zbudował kamienne sklepienie, czego w oryginalnych planach nie było. Ściany nie były dość mocne, by je udźwignąć. Ja proponuję powrót do starego planu Toma, i zbudowanie drewnianego stropu.

Zaszemrali zaskoczeni. Problem przyczyn zawalenia był przedmiotem sporów. Andrew powiedział:

– Ale Alfred powiększył rozmiary przypór, by polepszyć udźwig.

To zaskoczyło z kolei Jacka, lecz myślał, że znalazł na to odpowiedź.

– Za mało zostały powiększone, szczególnie u szczytu. Jeśli zbada się ruiny uważnie, można zobaczyć, że ciężaru nie wytrzymał rząd świetlików. Na tym poziomie wzmocnienie okazało się niewystarczające.

Zdawali się zadowoleni z tego wyjaśnienia. Jack wierzył, że jego pewne odpowiedzi pomogą mu w osiągnięciu statusu mistrza budowniczego.

Wstał subprzeor Remigius.

– Chciałbym przeczytać braciom kilka wersów z Pisma Świętego – powiedział teatralnie. Popatrzył na Philipa, który skinął głową.

Remigius podszedł do pulpitu i otworzył wielką Biblię. Jack przyglądał mu się uważnie. Wąskie usta poruszały się nerwowo, a rozwodniony niebieski kolor nieco wytrzeszczonych oczu nadawał twarzy trwałe wyraz oburzenia. Wyglądał jak uosobienie niechęci. Lata temu uwierzył, że jego przeznaczeniem jest przewodzić ludziom, ale w rzeczywistości miał na to za słaby charakter, więc teraz marnował swe życie na wywoływanie rozczarowań i sprawianie kłopotów lepszym od siebie.

– *Druga księga Mojżesza, Exodus* – zaintonował objaśniająco, kiedy prze-

wracał pergamin w poszukiwaniu właściwej stronicy. – Rozdział dwudziesty, werset czternasty. – Jack zastanawiał się, o co, u licha, mu chodzi... Remigius przeczytał: – „Nie będziesz cudzołożyl”. – Zamknął księgę z hukiem i wrócił na swoje miejsce.

Tonem łagodnego rozdrażnienia Philip zapytał:

– Może zechciałbyś, bracie Remigiusie, powiedzieć nam, dlaczego wybrałeś do czytania ten krótki werset akurat w środku naszej dyskusji o planach budowy?

Remigius wyciągnął oskarżycielsko wskazujący palec w stronę Jacka.

– Ponieważ mężczyzna, który chce budować nasz kościół, żyje w stanie grzechu! – zagrzmiął.

Jack nie potrafił uwierzyć, że mówi on poważnie. Rzekł z oburzeniem:

– Prawdą jest, że nasz związek nie został pobłogosławiony przez Kościół z powodu pewnych okoliczności, ale jak tylko będzie to możliwe, my się pobierzemy!

– Nie możecie. Aliena jest już zamężna.

– Lecz tamten związek nigdy nie został skonsumowany!

– Niemniej para owa została zaślubiona w kościele.

– Lecz jeśli nie pozwolicie mi jej poślubić, to jakim cudem uda mi się uniknąć cudzołóstwa? – gniewnie pytał Jack.

– Dosyć tego! – To Philip stracił cierpliwość. Kiedy Jack spojrział na przeora, zauważył, że ogarnęła go wściekłość. – Jack, czy ty żyjesz w grzechu z żoną twego brata?

Teraz zdumiał się Jack.

– Nie wiedziałeś, ojcze?

– Oczywiście, że nie wiedziałem! Naprawdę myślisz, że milczałbym, gdybym wiedział?

Zapadła cisza. Żeby Philip wrzeszczał... to niezwykle. Jack zorientował się, że ma prawdziwy kłopot. Zawinił wskutek zaniedbania formalności, to

oczywiste, mnisi musieli być surowi w takich sprawach... Niestety to, że przeor nie wiedział o jego pożyciu z Alieną, znacznie pogarszało sprawę. Umożliwiło to atak na niego i wystawienie go na pośmiewisko. Teraz Philip został zmuszony do przyjęcia zdecydowanej postawy, aby dowieść, że jest w porządku.

Jack powiedział żałośnie:

– Ale przecież nie będziecie budowali kiepskiego kościoła tylko dlatego, że chcecie mnie ukarać.

Remigius powiedział, smakując słowa:

– Powinieneś opuścić tę kobietę.

– Odczep się, Remigiusie, ona ma moje dziecko, a ono ma rok.

Remigius usiadł, wygodnie opierając plecy, minę miał zadowoloną.

– Jack, jeżeli będziesz się w ten sposób wyrażać wobec kapituły, to nas opuścisz – ostrzegł go Philip.

Wiedział, że powinien się uspokoić, ale nie umiał.

– Przecież to śmieszne! Każecie mi porzucić moją kobietę i nasze wspólne dziecko! To nie jest moralność, to dzielenie włosa na czworo!

Gniew Philipa nieco osłabł i Jack dojrzał znajome światełko sympatii w rozjaśnionych błękitnych oczach przeora.

– Jack, ty możesz sobie pozwolić na pragmatyczne podejście do praw bożych, ale my musimy być rygorystyczni – oświadczył Philip. – Jesteśmy mni-chami. Nie zostaniesz mistrzem budowniczym tej katedry, skoro żyjesz w stanie grzechu cudzołóstwa.

Jack przypomniał sobie werset z Pisma:

– Jezus powiedział: „Który z was jest bez grzechu, niech rzuci kamieniem”.

– Tak, ale cudzołożnicy Jezus rzekł: „Idź i nie grzesz więcej” – oświadczył zdecydowanie Philip i odwrócił się do Remigiusa. – Przyjmuję, że jeśli skończy się cudzołóstwo, wycofasz swój sprzeciw.

– Oczywiście – odrzekł zapytany.

Pomimo gniewu Jack dostrzegł, że przeor zgrabnie wyprowadził Remigiusa

w pole. Uczynił cudzołóstwo zasadniczą przeszkodą, a w ten sposób sprawa przyjęcia projektu jakby się sama rozwiązała. Ale Jack nie chciał wcale tak tego zostawić.

– Nie mam zamiaru jej porzucić!

– Tak nie musi być – rzekł Philip.

Jack zamilkł. To go zaskoczyło.

– Co masz na myśli, ojcze?

– Gdyby unieważniono małżeństwo Alieny, moglibyście się pobrać.

– Cóż zatem mam czynić?

– Zgłoś się do sądu kanonicznego. Zwykle to sąd biskupa Walerana, ale w tym wypadku powinieneś udać się prosto do arcybiskupa w Canterbury.

– A czy arcybiskup wyrazi zgodę?

– Jeśli wniosek jest sprawiedliwy, to tak.

Ta odpowiedź nie była całkiem jednoznaczna.

– A tymczasem musimy żyć oddzielnie?

– Jeśli chcesz być ustanowiony mistrzem budowniczym katedry w Kingsbridge, to tak.

– Każesz mi wybierać między dwiema sprawami, które najbardziej ukochałem w życiu.

– Nie na długo.

– Co to znaczy?

– To może zająć z rok.

– Rok!

– Nie musicie mieszkać w innych miastach, możesz widywać Alienę i dziecko.

– Czy ty wiesz, ojcze, że ona dotarła aż do Hiszpanii, żeby mnie znaleźć? Czy możesz sobie to wyobrazić? – Ale mnisi przecież nie mieli pojęcia o miłości. Powiedział gorzko: – A teraz mam jej oświadczyć, że musimy żyć osobno.

Philip wstał i położył rękę na ramieniu Jacka.

– Czas minie szybciej, niż przypuszczasz, przyrzekam ci to. A ty będziesz miał zajęcie: będziesz budować nową katedrę!

II

Przez te osiem lat las bardzo się zmienił. Jack uważał, że nie mógłby się zgubić w okolicy, którą niegdyś znał jak własną kieszeń, ale okazało się, że nie miał racji. Stare ścieżki zarosły, wydeptano nowe, strumyki i potoki płynęły innymi korytami, stare drzewa się zwały i na ich miejscu wyrosły młode, a dawne młode drzewka pogrubiały i strzeliły wwyż. Wszystko jakby uległo zmniejszeniu: wzgórza nie wydawały się takie strome, a wszędzie było bliżej. Najbardziej zaś uderzało owo uczucie obcości, jakie miał teraz, krocząc po dawniej znajomych ścieżkach. Kiedy przestraszony jelonek wpatrzył się w niego z drugiej strony polanki, Jack nie umiał już powiedzieć, do którego stada należy. Kiedy raptem przeleciało kilka kaczek, już nie potrafił natychmiast określić, gdzie i dlaczego poderwały się do lotu. Denerwował się, bo nie wiedział, gdzie teraz obozują banici.

Większość drogi z Kingsbridge przebył wierzchem, ale wkrótce po opuszczeniu głównego traktu musiał zsiść, bo zahaczał o gałęzie, siedząc wysoko w siodle. Wracając do zakątków swego dzieciństwa, czuł niewytłumaczalny smutek. Nigdy nie doceniał, bo nie był świadom, prostoty prowadzonego wówczas życia. Największą namiętnością były poziomki, a każdego lata wiedział, że przyjdzie parę takich dni, gdy pojawi się ich w leśnym poszyciu tyle, że będzie mógł je jeść, jeść i jeść... Później wszystko stało się skomplikowane: wojownicza przyjaźń z przeorem, miłość do Alieny, wybujała ambicja zbudowania najpiękniejszej katedry na świecie, paląca potrzeba poznania prawdy o ojcu.

Zastanawiał się, jak też matka się zmieniła przez ostatnie dwa lata jego nieobecności. Tęsknił gorąco do spotkania z nią. Oczywiście dawał sobie znako-

micie radę samodzielnie, ale też bardzo podnosiło na duchu uczucie pewności, że jest ktoś, kto w każdej chwili stanie przy twym boku i będzie o ciebie walczyć. Mocno tego pragnął.

Dotarcie do tej części lasu, gdzie kiedyś wiedli życie z matką, zajęło mu cały dzień. Szybko zapadający zmierzch przedzimia pogarszał widoczność. Wkrótce musi zaniechać poszukiwań starej jaskini i skupić się na znalezieniu schronienia na noc. Zrobi się zimno. Czemu się niepokoję? Kiedyś często spędzałem noce w lesie, rozmyślał.

W końcu to ona go znalazła.

Już miał się poddać. Wąska, niemal zupełnie niewidoczna ścieżka wiła się w gąszczu, służąc prawdopodobnie lisom i borsukom. Nie zostało mu nic innego, jak wracać po własnych śladach. Zawrócił konia i omal jej nie stratował.

– Już zapomniałeś, jak należy cicho poruszać się po lesie. Słyszałam to twoje stąpanie chyba z odległości mili.

Jack uśmiechnął się. Nie zmieniła się ani trochę.

– Witaj, mamó. – Pocałował ją w policzek, a potem w przypływie czułości uścisnął.

Dotknęła jego twarzy.

– Zeszczuplałeś, synku.

Popatrzył na nią. Opalona na brązowo, wyglądała jak okaz zdrowia, a w jej włosach nie wiła się ani jedna srebrna nitka. Oczy zachowały ten sam złoty kolor i wciąż zdawały się patrzeć na przestrzał.

– Jesteś taka sama jak zawsze – stwierdził.

– Dokąd się udałeś?

– Przebyłem całą drogę pielgrzymów do Composteli, a nawet dalej, do Toledo.

– Aliena poszła cię szukać...

– Znalazła mnie. Dzięki tobie.

– Cieszę się. – Zamknęła oczy, jakby w cichej modlitwie dziękczynnej. –

Bardzo się cieszę.

Poprowadziła go do jaskini, od której dzieliło go kilkaset jardów. Jego pamięć nie okazała się więc taka najgorsza. Dorzuciła polan do ognia i zapaliła smolne łuczywo. Dała mu kubek cydru, który zrobiła sama z dzikich jabłek i miodu dzikich pszczół. Jack pamiętał, czego mieszkaniec lasu nie może zrobić sam, więc przywiózł matce noże, sznurek, mydło i sól. Matka zaczęła obdzierać królika za skóry. Jack spytał:

– Jak się miewasz, mamó?

– Doskonale – odrzekła, potem popatrzyła na niego i zrozumiała, że pytał poważnie. – Żałuję Toma Budowniczego. Ale on umarł i ja już nie myślę wychodzić za nikogo.

– A czy tak w ogóle to ci tutaj dobrze?

– Tak i nie. Przyzwyczyłam się do życia w lesie. Lubię być sama. Nigdy nie przywykłam do wścibskich mnichów, którzy mi mówią, jak mam się zachowywać. Ale tęsknię do ciebie, Marthy i Alieny, chciałabym też widywać wnuka. – Uśmiechnęła się. – Nigdy jednak nie wrócę do Kingsbridge, aby tam mieszkać, zwłaszcza że przeklęłam chrześcijański ślub. Przeor Philip mi tego nie wybaczy. Cieszę się, że dzięki mnie jesteś razem z Alieną. – Popatrzyła znad swej roboty z przyjemnym uśmiechem. – Jak ci się podoba życie małżeńskie?

– No cóż, jeszcze nie mamy ślubu. W oczach Kościoła Aliena jest wciąż żoną Alfreda.

– Nie mów głupstw. Co może Kościół o tym wiedzieć?

– Wiedzą, komu dali ślub, a komu nie. Nie pozwolą mi budować nowej katedry, dopóki żyję z cudzą żoną.

Gniew błysnął w jej oczach.

– Więc ją porzuciłeś?

– Tak, dopóki jej małżeństwo nie zostanie unieważnione.

Matka odłożyła na bok skórę i jęła ciąć króliczą tuszę, a części wrzucała do

garnka, gdzie bulgotała woda.

– Kiedyś przeor Philip zrobił to samo ze mną, kiedy byłam z Tomem – mówiła, a jednocześnie dzieliła nożem mięso. – Wiem, czemu tak się wścieka, kiedy widzi ludzi, którzy się kochają. To dlatego, że jemu nie wolno tego robić, a on zazdrości ludziom swobody czynienia tego, czego jemu nie wolno. Oczywiście, kiedy są poślubieni wobec Boga, to nic im nie może zrobić. Ale kiedy nie są, to ma okazję, żeby zepsuć im życie, i to mu dobrze robi. – Obcięła stopy królika i wrzuciła do drewnianego cebrzyka pełnego odpadków.

Jack skinął głową. Pogodził się z tym, co było nieuniknione, ale za każdym razem, kiedy mówił Alienie „dobranoc” i odchodził od jej drzwi, czuł złość na Philipa i rozumiał uporczywą niechęć matki.

– Jak znosi to Aliena?

Jack skrzywił się.

– Nie najlepiej. Ale myśli, że to jej wina, przede wszystkim dlatego, że poślubiła Alfreda.

– Więc to tak. A twoja wina, bo ty chcesz przede wszystkim budować kościoły.

Przykro mu było, że nie podziela jego wizji.

– Mamo, nie warto budować nic mniejszego. Kościoły są okazalsze, wyższe i piękniejsze, i trudniejsze w budowie, i mają więcej zdobień i rzeźb niż jakikolwiek inny rodzaj budowli.

– A ciebie nie zadowoli nic mniejszego.

– To prawda.

Zakłopotana potrząsnęła głową.

– Nie wiem, skąd u ciebie to przekonanie, żeś przeznaczony do największych rzeczy. – Wrzuciła resztę królika do garnka i zaczęła czyścić spód ściągniętej skórki. Futerko królicze może się przydać. – Z pewnością nie odziedziczyłeś tego po przodkach.

Oto pretekst, na który czekał.

– Mamo, udało mi się dowiedzieć co nieco o przodkach.

Przestała skrobać i spojrzała na niego.

– Wielkie nieba, co masz na myśli?

– Znalazłem rodzinę ojca.

– Dobry Boże! – Upuściła skórkę. – Jak ci się to udało? Gdzie oni są? Jacy są?

– Jest takie miasteczko w Normandii, zwie się Cherbourg. Stamtąd się wywodzą, on stamtąd przyszedł.

– Jak możesz być tego pewny?

– Jestem do niego tak podobny, że uznali mnie za jego ducha.

Matka ciężko usiadła na stołku. Jack patrzył zmartwiony, gdyż nie spodziewał się, że tak mocne wrażenie zrobią na niej jego słowa.

– Jack... jacy oni są?

– Jego ojciec umarł, ale matka żyje. Była miła, kiedy przekonała się, że nie jestem duchem swego ojca. Starszy brat ojca jest cieślą, ma żonę i troje dzieci. To moi kuzyni. – Uśmiechnął się. – To miłe, prawda? Mamy krewnych.

To stwierdzenie jakby ją zaniepokoiło. Była jakaś rozstrojona.

– Och, Jack, tak mi przykro, że nie dałam ci normalnego wychowania.

– A mnie nie jest przykro – powiedział lekko. Wyrzuty sumienia u matki żenowały go, tak bardzo nie pasowały do jej charakteru. – Ale cieszę się, że poznałem kuzynów. Jeśli nawet nigdy więcej ich nie spotkam, dobrze jest wiedzieć, że są.

Pokiwała smutno głową.

– Tak, rozumiem.

Jack wziął głęboki wdech.

– Oni myśleli, że mój ojciec utonął w katastrofie morskiej dwadzieścia cztery lata temu. Płynął wtedy statkiem o nazwie *Biały Korab*, który zatonął przy Barfleur. Uważano, że zginęli wszyscy przebywający na pokładzie. Najwyraźniej mojemu ojcu udało się uratować. Ale oni nigdy się o tym nie dowie-

dzieli, pewnie dlatego, że on nigdy tam nie wrócił.

– Udał się do Kingsbridge – powiedziała matka.

– Ale dlaczego?

Westchnęła.

– Uczepił się jakiejś baryłki i wraz z nią został wyrzucony na brzeg blisko pewnego zamku. Poszedł tam, by powiedzieć o zatonięciu statku. W zamku było kilku potężnych baronów, których zaskoczył widok twego ojca. Wzięli go do więzienia, skuli i wywieźli do Anglii. Po kilku tygodniach czy miesiącach – twój ojciec za bardzo tym wszystkim był oszołomiony i zmieszany – znalazł się w stajniach w Kingsbridge.

– Czy mówił coś jeszcze o tej katastrofie?

– Tylko to, że statek szedł na dno bardzo szybko, jakby go przedziurawiono.

– Można przypuszczać, że przede wszystkim chcieli go usunąć ze swej drogi.

Skinęła głową.

– A potem, kiedy zrozumieli, że nie mogą go na stałe uwięzić, zabili go.

Jack ukląkł przed matką i zmusił ją do spojrzenia mu w oczy. Głosem drżącym z napięcia i emocji spytał:

– Ale kim oni byli, mamo?

– Już mnie o to pytałeś.

– Ty jednak mi nigdy nie odpowiedziałaś.

– Bo nie chcę, żebyś strawił życie na poszukiwaniu zemsty! W dalszym ciągu traktowała go jak dziecko, zatrzymując wiadomości, które mogą okazać się niebezpieczne dla niego. Wyczuwał to. Spróbował uspokoić się i rozmawiać rozsądnie.

– Mam zamiar poświęcić życie budowaniu katedry w Kingsbridge i robić z Alieną dzieci. Lecz także chcę wiedzieć, dlaczego powieszono mego ojca. Jedynymi zaś ludźmi, którzy mogą mi to powiedzieć, są ci, którzy złożyli fałszy-

we zeznania przeciw niemu. Więc muszę się dowiedzieć, kim są.

– Wtedy nie znałam ich nazwisk.

Wiedział, że się wykręca, a to go złościło.

– Ale teraz znasz!

– Tak – potwierdziła ze łzami w oczach i uświadomił sobie, że ją to boli tak samo jak jego. – I powiem ci, bo widzę, że nie przestaniesz pytać nigdy, jeśli nie dowiesz się, kim byli.

– Pociągnęła nosem i wytarła oczy.

Czekał w napięciu.

– Było ich trzech: mnich, ksiądz i rycerz.

Jack spojrzał twardo jej w oczy.

– Ich nazwiska.

– Chcesz ich zapytać, dlaczego kłamali pod przysięgą?

– Tak.

– I spodziewasz się, że ci odpowiedzą?

– Może nie. Popatrzę im w oczy, kiedy będę pytać, a to mi powie, co chcę wiedzieć.

– Nawet i to może być niemożliwe.

– Chcę spróbować, mamo!

Westchnęła.

– Mniczem był przeor Kingsbridge.

– Philip!

– Nie, nie on. To było, zanim on tu nastał. Jego poprzednik, James.

– Ale on nie żyje.

– Mówiłam ci, że możesz nie móc ich spytać.

Jackowi się oczy zwężyły.

– Kim byli pozostali?

– Rycerzem był Percy Hamleigh, późniejszy hrabia Shiring.

– Ojciec Williama!

– Tak.

– On także nie żyje!

– Tak.

Zaczął ogarniać go straszne uczucie, że zaraz okaże się, iż wszyscy już nie żyją, tajemnicę zaś zdołali zabrać ze sobą do grobu.

– Kim był ksiądz? – zapytał niecierpliwie.

– Nazywał się Waleran Bigod. Teraz jest biskupem Kingsbridge.

Jack westchnął zadowolony.

– I jeszcze żyje – rzekł.

Zamek biskupa Walerana ukończono na Boże Narodzenie. Zaraz na początku nowego roku, wczesnym pięknym rankiem jechali ku niemu William Hamleigh i jego matka. Widzieli go już zza doliny. Stał naprzeciw nich na szczycie wzgórza, obejmując otaczającą krainę surowym spojrzeniem.

Przejeżdżając dolinę, minęli stary zamek, teraz wykorzystywany na skład surowej wełny. Dochód z niej pokrył znakomitą większość wydatków poniesionych na budowę nowego zamku.

Konie szły lekkim truchtem w górę łagodnego zbocza, potem przez lukę w ziemnym wale suchą fosą w kierunku bramy w kamiennym murze. Zamek stanowił miejsce zabezpieczone doprawdy lepiej niż rezydencja Williama i większość zamków królewskich.

Nad wewnętrznym dziedzińcem górowała wysoka na trzy piętra masywna i kwadratowa twierdza. Stojący obok kamienny kościół wyglądał przy niej jak karzeł. William pomógł matce przy zsiadaniu. Powierzyli swe konie opiece rycerzy i wspięli się po schodach prowadzących do wielkiej komnaty.

Dochodziło południe, w sali służy Walerana przygotowywali stół. Kilku archidiaconów, ludzi będących tu na służbie i tych czepiających się jego kłamki stało pod ścianami w oczekiwaniu na posiłek. William z matką stanęli pośrodku

komnaty, a zarządca poszedł powiadomić o ich przybyciu.

William trawiła zazdrość. Aliena była zakochana. Urodziła dziecko miłości, a jej mąż wyrzucił ją z domu. Poszła szukać swego ukochanego z dzieckiem na rękę – i znalazła go po przejściu połowy chrześcijańskiego świata. Tę historię opowiadano i opowiadano, wzruszyła się nią cała południowa Anglia. Kiedy William ją usłyszał po raz pierwszy, aż go skręciło z nienawiści. Potem, przy kolejnych zetknięciach z tą opowieścią, nie przestawał reagować równie mocno. Lecz obmyślił już sposób zemsty.

Zaprowadzono ich po schodach do komnaty Walerana. Siedział przy stole z Baldwinem, obecnie archidiakonem. Dwu kleryków liczyło pieniądze na obrusie w szachownicę, ustawiając srebrne pensy w stosiki po dwanaście i przesuwając je z czarnych pól na białe. Baldwin wstał i skłonił się lady Regan, po czym szybko zabrał obrus i pieniądze.

Waleran wstał od stołu i przeszedł do fotela przy ogniu. Ruszał się szybko jak pająk, Williama ogarnęło znajome obrzydzenie. Postanowił być obłudny. Ostatnio słyszał o pewnym lordzie, który pokłócił się z biskupem Herefordu i został poddany ekskomunice. Kiedy zmarł, jego ciało pogrzebano w niepoświęconej ziemi. William trząsał się ze strachu na myśl, że po śmierci mógłby stać się pastwą wszystkich mar i upiorów, zamieszkujących podziemny świat. Nigdy się nie pokłóci ze swoim biskupem.

Waleran się nie zmienił; był blady i szczupły, a czarne szaty wisały na nim jak na kijku. William zaś o sobie wiedział, że się zmienił. Jedzenie i wino stanowiły główne przyjemności, jakim się oddawał, toteż tył mimo czynnego życia; kolczuga, którą dostał na dwudzieste pierwsze urodziny, w ciągu kolejnych siedmiu lat musiała już być dwukrotnie wymieniona na większą...

Waleran właśnie wrócił z Yorku. Nie było go ponad pół roku, więc William zapytał go uprzejmie:

– Czy twoja podróż, Ekscelencjo, okazała się owocna?

– Nie – padła odpowiedź. – Biskup Henryk wysłał mnie, bym spróbował

załagodzić czteroletni spór o to, kto ma być biskupem Yorku. Zawiodłem. Spór trwa w dalszym ciągu.

– Kiedy cię tu nie było, zaszło wiele zmian. Szczególnie w Kingsbridge.

– W Kingsbridge? – Waleran był zaskoczony. – Myślałem, że ten problem został rozwiązany raz na zawsze.

William potrząsnął głową.

– Mają Płaczącą Madonnę.

Waleran wyglądał na zirytowanego.

– O czymże, u licha, gadasz?

– To drewniana figurka Matki Boskiej, którą noszą w procesjach – odpowiedziała matka Williama. – Czasami z jej oczu płynie woda. Ludzie myślą, że to cud.

– To jest cudowne! – rzekł William. – Posązek płacze!

Waleran spojrział pogardliwie.

Regan mówiła dalej.

– Cudowne czy nie, tysiące ludzi przybywało w ostatnich miesiącach, żeby to zobaczyć. W tym czasie Philip podjął na nowo prace przy budowie katedry. Naprawiają prezbiterium, kładą nad nim nowy drewniany dach i zaczęli prace przy reszcie kościoła. Wykopano już fundamenty pod skrzyżowanie, a nawet zdążyło już przybyć kilku murarzy z Paryża.

– Z Paryża? – zdziwił się Waleran.

– Ten kościół ma być w stylu Saint-Denis, cokolwiek to znaczy – wyjaśniła Regan.

Biskup skinął głową.

– Łuki ostre. Słyszałem, jak mówili o tym w Yorku.

Williama nie obchodziło, w jakim stylu ma być katedra w Kingsbridge.

– Chodzi o to, że młodzi ludzie z moich gospodarstw idą pracować przy budowie, targ w Kingsbridge znowu działa co niedziela i jak dawniej zabiera klientów Shiring... Ta sama historia! – Niespokojnie popatrzył na duchownych,

czy odczytują jego ukryte zamiary, ale nic nie podejrzewali.

– Największą moją pomyłką było to, że pomogłem Philipowi zostać przeorem – westchnął biskup.

– Musi dostać nauczki. Musi się dowiedzieć, że nie wolno im tak postępować – Hamleigh powtarzał swoje.

Waleran popatrzył na niego w zamyśleniu.

– Co chcesz zrobić?

– Mam zamiar znów uderzyć na miasto. – Zamierzał przy okazji zabić Alienę i jej kochanka.

– Nie jestem pewny, czy możesz – odparł Bigod.

– Raz już to zrobiłem, dlaczego niby teraz nie mogę?

– Ostatnio miałeś dobry powód: jarmark wełniany.

– Tym razem chodzi o targ. Od króla Stefana nigdy nie dostali licencji.

– To nie jest całkiem to samo. Philip próbował szczęścia z tym jarmarkiem, a ty zareagowałeś natychmiast. Targ niedzielny zaś trwa od sześciu lat w Kingsbridge, poza tym jest o dwadzieścia mil od Shiring, więc może powinien dostać pozwolenie.

William stłumił swój gniew. Chciał powiedzieć Waleranowi, żeby przestał się zachowywać jak stara baba, ale tego właśnie nie wolno mu było zrobić.

Kiedy przełykał sprzeciw, wszedł zarządca i cicho stanął przy drzwiach. Biskup spojrzał na niego.

– O co chodzi?

– Przyszedł pewien człowiek, który nalega, by z Waszą Ekszelencją zobaczyć się osobiście. Nazywa się Jack Jackson. Czy mam go odesłać? To ten budowniczy z Kingsbridge.

Serce Williama zabiło mocniej. Kochanek Alieny. Jak się to stało, z jakiej też przyczyny znalazł się tutaj akurat w chwili, kiedy on starał się zawiązać intrygę, wskutek której budowniczy miał zginąć? Może to skutek jakichś nadprzyrodzonych zdolności? Williama ogarnęło przerażenie.

– Z Kingsbridge? – spytał Waleran, okazując zainteresowanie.

– Jest tam nowym mistrzem budowniczym. To on przywiózł Płaczącą Madonnę z Hiszpanii – wyjaśniła Regan.

– Interesujące. Przyjrzyjmy mu się. – Zwrócił się do zarządcy: – Wpuść go.

William z zabobonnym lękiem wlepił wzrok w drzwi. Spodziewał się wysokiego, budzącego strach męża w czarnym płaszczu, który wkroczy do komnaty i oskarżycielskim palcem wskaże prosto na niego. Kiedy jednak Jack wszedł, zaskoczyła go młodość tego człowieka. Przecież nie mógł mieć więcej niż dwadzieścia lat. Miał rude włosy, czujne niebieskie oczy, którymi powiódł po Williamie, zatrzymał chwilę na Regan (jej wrzody na twarzy zatrzymywały wzrok wszystkich nieprzywykłych) i spoczęły na Waleranie. Nie, ten człowiek nie wydawał się ani trochę onieśmielony obecnością dwu najpotężniejszych ludzi w hrabstwie. Pominąwszy jego zaskakującą niedbałość w tej sprawie, nie czynił jednak wrażenia kogoś wzbudzającego lęk.

Waleran, podobnie jak William, wyczuł niepokorną naturę przybysza i zareagował na nią lodowato wyniosłym tonem:

– No, młodzieńcze, cóż cię do mnie sprowadza?

– Prawda – odrzekł Jack. – Ilu widziałeś powieszonych?

William wstrzymał oddech. Pytanie było wstrząsające i bezczelne. Popatrzył po pozostałych. Matka nachylała się do przodu, z natężeniem marszcząc czoło i wpatrując się w Jacka. Tak jakby już go widziała i chciała sobie przypomnieć, gdzie i kiedy to było. Waleran zaś wyglądał chłodno, choć nieco rozbaawiony.

– To jakiś żart? – odezwał się. – Widziałem więcej powieszonych, niż chciałoby mi się liczyć, a zobaczę kolejnego, o ile nie zaczniesz wyrażać się z należytych szacunkiem.

– Proszę o wybaczenie, Ekscelencjo – odrzekł Jack, lecz dalej nie wyglądał na przestraszonego. – Pamiętasz każdego z nich?

– Przypuszczam, że tak – stwierdził Waleran, który mimo woli zaczął od-

czuć rosnące zdenerwowanie. – Zdaje się, że o kogoś ci chodzi.

– Dwadzieścia dwa lata temu w Shiring przyglądałeś się wieszaniu człowieka nazwiskiem Jack Shareburg.

Regan stłumiła westchnienie.

– Był zonglerem – ciągnął Jack. – Pamiętasz go?

William czuł, jak nagle tężeje atmosfera. W Jacku Jacksonie istotnie musiało być coś nadprzyrodzonego, budzącego lęk, bo podziało na Walerana Bigoda i matkę.

– Może i pamiętam – rzekł biskup, a w jego głosie wyczuwało się napięcie.

– Wyobrażam sobie, że pamiętasz – powiedział Jack dość wyzywającym tonem. – Ten człowiek został skazany na śmierć na podstawie zeznań trzech ludzi. Dwaj z nich nie żyją. Ty byłeś tym trzecim.

Waleran skinął głową.

– Ukradł wysadzany klejnotami kielich z klasztoru w Kingsbridge.

Z oczu Jacka posypały się skry jak z uderzonego żelazem kamienia.

– On nic takiego nie zrobił.

– Złapałem go osobiście, a on miał ten kielich.

– Skłamałeś.

Zapadła chwila ciszy. Kiedy Waleran przemówił znowu, głos miał łagodny, ale twardy wyraz twarzy.

– Mogę ci wyrwać język za takie słowo.

– Ja tylko chcę wiedzieć, dlaczegoś to zrobił – powiedział Jack, jakby nie słyszał ponurej groźby. – Tutaj możesz być szczery. William nie stanowi dla ciebie zagrożenia, a jego matka wie o wszystkim od dawna.

William popatrzył na matkę. To prawda, zdawała się wiedzieć. On zaś czuł się zupełnie zagubiony. Trudno było mu uwierzyć w to, że Jack nie przyszedł tutaj w związku z jego sekretnym planem.

– Oskarżasz biskupa o krzywoprzysięstwo! – warknęła Regan.

– Nie powtórzę oskarżeń publicznie – chłodno odrzekł Jack. – I tak nie

mam żadnego dowodu, poza tym nie interesuje mnie zemsta. Chciałbym po prostu zrozumieć, dlaczego powiesiłeś niewinnego człowieka.

– Wynoś się stąd – lodowato rozkazał Waleran.

Jack skinął głową, jakby niczego innego się nie spodziewał. Mimo że na zadane pytanie nie dostał odpowiedzi, na jego twarzy malował się wyraz satysfakcji.

William nie rozumiał wymiany zdań. Powiedział impulsywnie:

– Chwileczkę?

Jack odwrócił się od drzwi i spojrzał na niego kpiącymi niebieskimi oczyma.

– Na co... – William przełknął i zapanował nad głosem. – Na co liczysz, pytając o to? Dlaczego tutaj przyszedłeś i zadałeś te pytania?

– Bo człowiekiem, którego powiesili, był mój ojciec – odparł Jack i opuścił komnatę.

Zapanowała cisza. Kochanek Alieny, mistrz budowniczy katedry w Kingsbridge, był synem złodzieja powieszonoego w Shiring, ale co to ma do rzeczy? William nie rozumiał niepokoju matki ani poruszenia widocznego w zachowaniu biskupa.

W końcu Waleran odezwał się gorzko:

– Ta kobieta prześladowuje mnie od ponad dwudziestu lat. – Zwykle tak doskonale nad sobą panował, że William sam poczuł się wstrząśnięty tym nieoczekiwanym okazaniem uczuć...

– Ona znikła po zawaleniu się katedry – rzekła Regan. – Miałam nadzieję, że wtedy widzieliśmy ją ostatni raz.

– Teraz przyszedł jej syn, żeby nas dręczyć. – W głosie biskupa pojawił się autentyczny lęk.

– Dlaczego nie kazałeś go zakuć za słowa o krzywoprzysięstwie? – zapytał William.

Waleran spojrzał na niego z pogardą.

– Twój chłopak jest cholernym durniem, Regan.

William uświadomił sobie, że oskarżenie musiało być uzasadnione. A skoro on mógł do tego dojść, to mógł i Jack.

– Czy ktoś jeszcze wie o tym?

– Przeor James przed śmiercią wyznał to na spowiedzi subprzeorowi Remigiusowi – powiedziała Regan. – Ale Remigius i tak zawsze był po naszej stronie, więc nie stanowi niebezpieczeństwa. Wie trochę matka Jacka, ale nie wszystko, bo użyłaby tego już wcześniej. Jack wiele podróżował, mógł pozbiierać różne wieści, których matka jego nie знаła.

William szybko się połapał, że ta dziwna historia z przeszłości może posłużyć jego celom, rzucił więc impulsywnie:

– No to zabijmy Jacka Jacksona.

Waleran potrząsnął głową pogardliwie, a Regan stwierdziła:

– To właśnie mogłoby przyciągnąć uwagę do jego oszczerstw, którymi kala nasze imiona.

William był rozczarowany. To niemal opatrnościowe zrzączenie, pomyślał. W komnacie zapadła cisza. Wtem przyszło mu coś do głowy.

– Niekoniecznie – oznajmił.

Spojrzeli na niego z niedowierzaniem.

– Można go zabić bez przyciągania uwagi na niego samego – powiedział zawzięcie.

– W porządku, ale jak to zrobić? – spytał biskup.

– Mógłby zostać zabity w napadzie na Kingsbridge – oświadczył i poczuł zadowolenie na widok respektu malującego się na ich twarzach.

Późnym popołudniem Jack obchodził plac budowy. Towarzyszył mu Philip. Ruiny prezbiterium usunięto, a gruz usypano w dwa stosy na północnej

stronie klasztornej dziedzińca. Nowe rusztowanie już stało i murarze odbudowywali zwalone mury. Przy infirmerii ułożono drewno.

– Szybko się posuwasz – z uznaniem powiedział Philip.

– Nie tak szybko, jak bym chciał, ojcze.

Przyjrzeni się fundamentom pod transepty. Czterdziestu czy pięćdziesięciu robotników w wykopie ładowało łopatami w kubły wilgotną ziemię, podczas gdy pracujący na górze wyciągali je na powierzchnię. Niedaleko złożono przycięte z grubsza kamienie na fundamenty.

Jack udał się z Philipem do swej pracowni, znacznie większej od dawnego warsztatu Toma. Z jednej strony nie było ściany, aby wpadało więcej światła. Połowę podłogi zajmowały plany i gipsowe tablice do robienia szkiców. Na maty w ramkach dwucalowej szerokości wylewał gips. Po stwardnieniu stanowił on odpowiednią powierzchnię do wydrapywania rysunków ostrym kawałkiem żelaza. W ten sposób Jack projektował poszczególne detale. Używał także cyrkli, linijek i węgielnicy. Świeże kreski były białe, potem szybko szarzały, dzięki czemu na tej samej tablicy można było rysować wkrótce coś innego, bez obawy, że rysunki się pomylą. Ten pomysł przywiózł z Francji.

Większą część pracowni zajmował blat, na którym obrabiał drewno, wykonując szablony wskazujące murarzom, jak trzeba obrabiać kamień. Światło powoli ginęło, więc więcej drewna dzisiaj nie mógł już obrobić. Zaczął powoli składać narzędzia.

Philip podniósł jeden ze wzorców.

– Po co to?

– Plinta pod bazę filara.

– Zdaje się, że przygotowujesz wszystko naprawdę z dużym wyprzedzeniem.

– Po prostu nie mogę się doczekać, kiedy zaczniemy budowę.

Ich rozmowy były zwięzłe i rzeczowe.

Philip odłożył wzorzec.

– Muszę iść na kompletę. – Odwrócił się.

– A ja muszę pójść odwiedzić moją rodzinę – powiedział Jack.

Zamknął na klucz skrzynkę z narzędziami. Głupia uwaga. Zaakceptował warunki Philipa i przyjął pracę, nie było sensu teraz się skarżyć. Nie umiał jednak całkiem stłumić gniewu.

O zmierzchu wyszedł z dziedzińca klasztornego i ruszył w kierunku małego domu w dzielnicy biedoty, gdzie ze swym bratem Richardem mieszkała Aliena. Uśmiechnęła się z radością na jego widok, ale nie pocałowali się. Nawet się nie dotykali z obawy, że to ich rozpali, a wtedy oboje złamaliby przyrzeczenie dane Philipowi.

Tommy bawił się na podłodze. Miał już półtora roku i fascynowało go teraz wkładanie jednych rzeczy w drugie. Przed sobą ustawił cztery czy pięć kuchennych naczyń i bez przerwy wsadzał te mniejsze w te większe, ale próbował także czynić odwrotnie. Jack ze zdziwieniem spostrzegł, że Tommy nie ma instynktownego pojęcia o tym, co jest większe, a co mniejsze. Uświadomił sobie, że istoty ludzkie muszą się dopiero nauczyć tego, że nie jest im to dane. Tommy zmagał się z wielkościami przestrzennymi, podobnie jak musiał to robić Jack, gdy chciał wyobrazić sobie kształt kamienia w wygiętym stropie.

Jack był zafascynowany Tommym, a jednocześnie dziecko było powodem niepokoju. Do tej pory nie przejmował się zaopatrzeniem, w miarę możliwości pracował lub nie, umiał sobie poradzić. By przemierzyć Francję, wyruszył bez zastanowienia i nie zadawał sobie pytania, czy będzie miał środki do życia, czy będzie głodował, nie brał w ogóle tego pod uwagę. Teraz jednak wszystko się zmieniło. Zapewnienie bezpieczeństwa dziecku przewyższało potrzebę zatroszczenia się o samego siebie. Pierwszy raz w życiu miał poczucie odpowiedzialności.

Aliena podała na stół dzban wina i przyprawione korzeniami ciasto. Usiadła naprzeciw Jacka. Ten nalał sobie wina do kubka i wypił łyk z przyjemnością. Aliena położyła kawałek ciasta przed Tommym, ale mały nie był głodny i roz-

rzucał okruszki wśród słomy na podłodze.

– Jack, potrzeba mi więcej pieniędzy – rzekła Aliena.

– Jak to? Daję ci dwanaście pensów tygodniowo, a sam zarabiam dwadzieścia cztery.

– Przykro mi – rzekła Aliena. – Ty mieszkasz sam, nie potrzebujesz aż tyle.

– Ale robotnik zarabia tylko sześć pensów tygodniowo, a niektórzy z nich mają po sześcioro dzieci!

Aliena spuściła wzrok.

– Nie wiem, jak radzą sobie żony robotników z prowadzeniem domów, nigdy się tego nie uczyłam. I nie wydaję pieniędzy na siebie. Codziennie jadasz z nami obiady. I jest Richard...

– No, a co Richard? – spytał gniewnie. – Dlaczego on nie utrzymuje się sam?

– Nigdy tego nie robił.

– Nie wiedziałem, że mam troszczyć się także o niego!

– Ale ja za niego odpowiadam – spokojnie odpowiedziała Aliena. – Kiedy wzięłeś mnie, dostałeś także i jego.

– Nie przypominam sobie, byśmy się tak umawiali!

– Nie złość się.

Za późno, Jack już był rozsierdzony.

– Richard ma dwadzieścia trzy lata, trzy lata więcej ode mnie. Jak ja mam go utrzymać? Dlaczego ja mam jeść suchy chleb, a on bekon?

– Jack... jestem znowu w ciąży. – Zmieniła temat.

– Co?

– Będę mieć drugie dziecko.

Gniew Jacka wyparował. Wyciągnął do niej rękę.

– To wspaniale! – zawołał.

– Rad jesteś? – zapytała. – Bałam się, że się rozżościsz.

– Złościć się? Ależ jestem wzruszony! Nie widziałem Tommy'ego, jak się

narodził, a teraz dowiem się, co straciłem!

– A co z większą odpowiedzialnością i pieniędzmi?

– Och, do diabła z pieniędzmi! Po prostu mam zły humor, bo musimy żyć oddzielnie. Wystarczy nam pieniędzy. Drugie dziecko! Mam nadzieję, że będzie dziewczynka. – Pomyślał o czymś, zmarszczył brwi. – Ale kiedy?

– To musiało się stać tuż przed tym, jak przeor Philip nas rozdzielił.

– Może w wigilię Wszystkich Świętych... – Uśmiechnął się. – Pamiętasz tamtą noc? Ujeżdżałaś mnie jak konia...

– Pamiętam – ucięła, płonąć rumieńcem.

Popatrzył na nią z miłością.

– Chciałbym, żebyś zrobiła to teraz.

– Ja też bym chciała – uśmiechnęła się.

Trzymali się za ręce, siedząc po przeciwnych stronach stołu.

Wszedł Richard. Pchnął drzwi na oścież i kroczył rozgrzany i zakurzony, wiodąc za sobą spoconego konia.

– Złe wieści – powiedział, sapiąc.

Aliena podniosła Tommy'ego, żeby nie dostał się pod kopyta. Jack zapytał:

– Co się stało?

– Musimy wszyscy wynieść się jutro z miasta.

– Ale dlaczego?

– William Hamleigh w niedzielę znowu chce spalić Kingsbridge.

– Nie! – krzyknęła z płaczem Aliena.

Jacka przejął chłód. Widział, co się działo trzy lata temu, kiedy William wtargnął na jarmark wełniany. Przypomniawszy sobie płonące pochodnie i groźne maczugi. Przypomniawszy sobie panikę, zgiełk, zapach palonych ciał. Znowu zobaczył trupa swego ojczy, jego rozbitą czaszkę. Serce mu się ścisnęło.

– Skąd się dowiedziałeś?

– Byłem w Shiring i widziałem jednego z ludzi Williama, jak kupował u płatnerza broń.

– To jeszcze nie znaczy...

– Wiem więcej. Poszedłem za nim do piwiarni i słyszałem, jak rozmawiał z innymi ludźmi Williama. Jeden z nich pytał, jakie umocnienia obronne ma Kingsbridge, a drugi powiedział, że żadne.

– O Boże, to prawda! – krzyknęła Aliena. Popatrzyła na Tommy'ego, a jej ręka powędrowała do brzucha. Podniosła oczy i spotkała się ze wzrokiem Jacka. Oboje myśleli o tym samym.

– Później pogadałem z jednym z młodszych – ciągnął Richard – takim, co mnie nie znał. I jeszcze paru innych tam było. Opowiadałem im o bitwie o Lincoln i tak dalej, i powiedziałem, że mógłbym znów walczyć, a oni na to, bym poszedł do Earlscastle, jeszcze dzisiaj, bo jutro wyruszają. Atak ma być w niedzielę.

– Niedziela – wyszeptał z obawą Jack.

– Pojechałem do Earlscastle, by jeszcze i to sprawdzić.

– Richard, to było już niebezpieczne – zmartwiła się Aliena.

– Tam się upewniłem. Gońcy wyjeżdżali i przyjeżdżali, ostrzono broń, ćwiczyli konie, szykowano żywność... Nie ma wątpliwości. – Głosem pełnym nienawiści Richard kończył swój wywód: – Żadne złe uczynki nie zaspokoją tego diabła. William zawsze chce więcej i więcej. – Ręka nerwowym gestem powędrowała mu bezwiednie do blizny na prawym uchu.

Jack patrzył przez chwilę na Richarda. Niedbaluch, leń i nicpoń, ale w jednej sprawie jego zdanie było warte uwagi. Jeśli mówi, że William planuje najazd, na pewno ma rację.

– To katastrofa – na wpół do siebie powiedział Jack. Kingsbridge właśnie zaczynało się podnosić z upadku. Trzy lata temu spalono jarmark, dwa lata temu zwałił się dach na wiernych w kościele, a teraz to. Ludzie zaczną mówić, że Kingsbridge nie ma szczęścia albo że ciąży na nim klątwa. Jeśli nawet uda się uniknąć rozlewu krwi, bo ucieczka powinna się udać, to Kingsbridge zostanie zrujnowane. Nikt tutaj nie zechce mieszkać, przychodzić na targ ani pracować.

wać. To może nawet doprowadzić do wstrzymania budowy katedry.

– Musimy natychmiast powiedzieć o tym przeorowi – odezwała się Aliena, przerywając milczenie.

Jack skinął głową.

– Mnisi będą na kolacji. Chodźmy.

Aliena wzięła Tommy’ego i udali się do klasztoru.

Czekali przed wejściem do refektarza. Młody mnich czytał głośno po łacinie. Jack rozpoznał fragment księgi Apokalipsy. Stanął w drzwiach. Widok Jacka zaskoczył Philipa, ale wstał od stołu i natychmiast ruszył w jego stronę.

– Złe wieści – rzekł ponuro Jack. – Niech ci Richard opowie, ojcze.

Rozmawiali w jaskiniowym mroku prezbiterium. Richard przekazał przeorowi w kilku słowach szczegóły, kiedy zaś skończył, Philip powiedział:

– Przecież nie mamy już jarmarku wełnianego, tylko malutki targ!

– Cóż, przecież jutro mamy jeszcze czas, by wyprowadzić mieszkańców z miasta. Nikt nie będzie musiał się narażać.

A potem odbudujemy nasze domy, jak ostatnio.

– Tylko wtedy, kiedy William nie wpadnie na pomysł, by polować na uciekinierów – powiedział pośpnie Richard. – Stać go na to.

– Jeśli nawet uciekniemy, oznacza to koniec targu – równie ponuro stwierdził Philip. – Po czymś takim ludzie nie zechcą stawiać kramów w Kingsbridge.

– To może znaczyć koniec budowy – włączył się Jack. – W ciągu ostatnich dziesięciu lat kościół raz spłonął i raz się zawalił, a w czasie pożaru miasta zginęło wielu murarzy. Następna katastrofa będzie ostatnia, jak mi się zdaje. Ludzie powiedzą, że na kościół spadła klątwa.

Philip wyglądał na pokonanego. Nie miał jeszcze czterdziestu lat, ale twarz zdążyła mu się pokryć zmarszczkami, a resztki włosów posiwieć. Lecz w jego czystych błękitnych oczach pojawił się niebezpieczny błysk, kiedy wypowiadał te słowa:

– Nie przyjmę tego. Nie sądzę, by to była wola Boga.

Jack nie wiedział, o co mu chodzi. Jak mógł „nie przyjmować” napadu? Kurczęta też mogą „nie przyjmować” lisa, ale to nie zmieni ich przeznaczenia.

– To co myślisz zrobić, ojcze? – zapytał sceptycznie. – Modlić się, by William wypadł dziś w nocy z łóżka i skręcił sobie kark?

Richarda podniecił pomysł stawienia oporu.

– Zatem walczymy? Są nas setki, a William przyprowdzi może z pięćdziesięciu ludzi, moglibyśmy ich pokonać samą przewagą liczebną.

– A ilu naszych ludzi zostanie zabitych? Ilu rannych, okaleczonych? – zaprotestowała Aliena.

Philip potrząsnął głową.

– Mnisi nie walczą – rzekł z żalem. – A ja nie mogę prosić mieszczan, by złożyli swe życia w ofierze, kiedym nie jest gotów złożyć własnego.

– Nie licz także na moich murarzy; to nie należy do ich obowiązków – dodał Jack.

Philip popatrzył na Richarda, który przecież jako jedyny wśród nich miał zaprawę w wojowaniu.

– Czy jest jakiś sposób obrony miasta bez otwartej bitwy?

– Nie. Jeśli miasto nie ma murów obronnych, chronią je tylko ciała obrońców. My mamy tylko ciała.

– Mury obronne – powtórzył zamyślony Jack.

– Moglibyśmy wyzwąć Williama do załatwienia sprawy pojedynkiem, walką między przywódcami. Ale nie wydaje mi się, by na to przystał – dodał Richard.

– Mury załatwiłyby sprawę? – spytał Jack.

– Mogłyby nas uratować następnym razem, ale nie teraz. Nie możemy zbudować murów przez jedną noc! – rzekł Richard niecierpliwie.

– Nie możemy?

– Oczywiście, że nie, nie bądź...

– Ucisz się, Richardzie – przerwał mu z naciskiem Philip. Popatrzył wycze-

kująco na Jacka. – O co ci chodzi?

– Mur buduje się najprościej.

– No i?!

W głowie Jacka kłębiły się myśli. Pozostali wpatrywali się w niego z zapa-
tym tchem.

– Nie trzeba łuków, nie ma sklepień, żadnego dachu... ani okien... Mur
może być zbudowany przez noc, jeśli jest wystarczająca ilość budulca i ludzi.

– Az czego mielibyśmy budować?

– Rozejrzyj się, ojczy – rzekł Jack. – Są przycięte bloki na fundamenty. Jest
sterta bali wyższa niż dom. Na cmentarzu leży kupa gruzu. Niżej, przy brzegu,
jest następny potężny stos kamienia. Materiałów nie brakuje.

– A w mieście pełno murarzy – dokończył Philip.

Jack skinął głową.

– Mnisi mogą zająć się organizacją. Murarze robotą wymagającą umiejęt-
ności. A do pomocy mamy mieszczan. – Myślał coraz szybciej. – Mur powi-
nien biec wzdłuż brzegu rzeki. Most byśmy rozebrali... Potem w górę, do muru
klasztornego, wzdłuż dzielnicy biedoty... na północ... potem w dół wzgórza,
znow do rzeki. Nie wiem, czy wystarczy na to kamienia...

Richard wpadł mu w słowo:

– Nie musi być z kamienia. Prosty rów z ziemnym wałem zupełnie dobrze
spełni swe zadanie, zwłaszcza tam, gdzie wróg będzie atakował pod górę.

– Kamień z pewnością jest lepszy – powiedział Jack.

– Lepszy, ale nie aż tak bardzo. Celem muru jest zahamowanie działań
przeciwnika, zatrzymanie go w odsłoniętej pozycji, gdy obrońca jest w ukryciu,
co umożliwi mu obrzucanie wroga.

– Obrzucanie? – powtórzyła Aliena. – Czym?

– Kamieniami, wrzącym olejem, strzałami, tutaj w obejściach łuków nie
brakuje...

Aliena zadrżała.

– W końcu jednak wychodzi na to, że będzie walka, czy chcemy, czy nie chcemy.

– Ale nie wręcz.

Jack nie wiedział, co robić. Najbezpieczniej byłoby, według wszelkiego prawdopodobieństwa, poszukać schronienia w lesie, z nadzieją, że William nie wpadnie na pomysł ścigania ich i zadowolony się jedynie zniszczeniem miasta. Zawsze jednak istniała możliwość, że wyruszy na to polowanie. Czy niebezpieczeństwo za murami, podczas obrony, będzie większe od tego, że można stać się ofiarą polowania? Jeśli coś pójdzie nie tak, a William i jego ludzie znajdą sposób na przedarcie się do miasta, rzeź i zniszczenia, jakie nastąpią, pewnie nie są możliwe do ogarnięcia umysłem. Jack popatrzył na Alienę i synka, pomyślał o dziecku poczętym.

– Czy mamy jakąś pośrednią drogę? Może moglibyśmy wyprowadzić kobiety i dzieci, a mężczyźni zostaliby do obrony murów?

– Nie, dziękuję – twardo odrzekła Aliena. – To najgorsze ze wszystkiego. Nie miałybyśmy ani murów miasta, ani mężczyzn do obrony. Byłybyśmy zdane na siebie, na łaskę Williama.

Miała rację. Mury nie dawały nic, gdy nie miał ich kto bronić, a kobiety i dzieci nie mogły zostać bez ochrony.

– Jack, ty jesteś budowniczym – rzekł Philip. – Powiedz, czy możemy podołać budowie muru w jedną noc?

– Nigdy nie budowałem murów miejskich – odrzekł. – Jeśli chodzi o plany, to nie są potrzebne. Musielibyśmy tylko wyznaczyć majstra na każdy odcinek i zdać się na jego osąd. Zaprawa nie zdoła stwardnieć do niedzielnego ranka. Ten mur będzie najgorszym murem w Anglii. Ale damy radę go zbudować.

Teraz przeor zwrócił się do Richarda:

– Widziałeś bitwy. Jeśli wybudujemy mur, czy uda nam się powstrzymać Williama?

– Z pewnością. Przybędzie on przygotowany na błyskawiczny napad, a nie

na oblężenie. Gdy znajdzie miasto obwarowane, nic nie poradzi.

Philip popatrzył na Alienę.

– Jesteś jedną z tych najbardziej zagrożonych, a na dodatek masz pod opieką dziecko. Co o tym myślisz? Czy mamy uciekać do lasu i mieć nadzieję, że William za nami nie pójdzie, czy zostać i zbudować mur, by trzymać go od nas z daleka?

Jack wstrzymał oddech.

– To nie jest tylko sprawa bezpieczeństwa – odpowiedziała Aliena po chwili milczenia. – Ojciec, ty poświęciłeś całe swoje życie klasztorowi. Jack, ta katedra jest twoim marzeniem... Jeśli uciekniemy, to stracicie wszystko, co stanowi istotę waszego życia. Ja zaś... No, cóż, ja mam własny powód, by chcieć zobaczyć złamanie potęgi Williama Hamleigha. Opowiadam się za pozostaniem.

– Dobrze zatem – rzekł Philip – budujemy mur.

Kiedy zapadła noc, Jack, Philip i Richard szli opłotkami, by określić, które dy ma biec obwarowanie. Miasto znajdowało się na łagodnym wzgórzu, a rzeka opływała je z dwóch stron. Brzegi jej były za słabe, by utrzymać mur bez solidnych fundamentów, więc Jack zaproponował, by postawić wzdłuż nich drewnianą palisadę. Richarda to zupełnie zadowalało. Wróg nie mógł z tej strony atakować inaczej niż z wody, co było prawie niemożliwe.

Z dwu dalszych stron niektóre odcinki murów miały być po prostu umocnieniami ziemnymi nad rowem. Richard twierdził, że tam, gdzie teren opada, a wróg musi atakować pod górę, takie wały dość dobrze spełniały swoje zadania. Jednakże tam, gdzie teren był płaski, kamienny mur okazał się niezbędny.

Następnie Jack obszedł wioskę i pozbierał swoich murarzy, niektórych wyciągając z łóżek, a niektórych z piwiarni. Wy tłumaczył pilność sprawy oraz to, jak miasto postanowiło sobie z nią poradzić. Potem obszedł z nimi obrzeża i wyznaczył każdemu pracę; umocnienia drewniane cieślom, mury kamienne murarom, a wały ziemne czeladnikom i terminatorom. Poprosił każdego, by zaznaczył swój odcinek palikami i sznurkiem i by przemyślał przed pójściem

spać, jak zamierza sobie z robotą poradzić. Wkrótce cały obwód miasta został oznaczony przerywaną linią mrugających światełek, kiedy rzemieślnicy przy świetle latarni wbijali paliki. Kowale porozpalali paleniska, aby nocą robić łopaty. Ten niezwykły ruch po zmierzchu zakłócał nocne przyzwyczajenia większości mieszkańców, więc rzemieślnicy tracili sporo czasu na wyjaśnianie przyczyn takiego zachowania. Jedynie mnisi, którzy poszli do łóżek o zmierzchu, spali słodko w błogiej nieświadomości.

Lecz o północy, kiedy majstrowie kończyli przygotowania, a większość mieszczan już sobie poszła, mnisi się obudzili. Ich nabożeństwo zostało skrócone do minimum, dano im chleba i piwa w refektarzu, a Philip wyłożył krótko, o co chodzi. Mieli przecież jutro zawiadywać całością robót. Tak tedy zostali podzieleni na grupy, a każdy z tych zespołów miał pomagać jednemu z budujących. Pierwszą ich powinnością, jak podkreślał w swej mowie Philip, było czuwanie nad tym, by budujący miał materiał, jakiego potrzebował, to znaczy kamienie, zaprawę, bale i narzędzia.

Kiedy Philip ich pouczał, Jack zastanawiał się, co też czyni William Hamleigh. Earlscastle znajdowało się o dzień dobrej jazdy od Kingsbridge, ale William raczej nie będzie próbował pokonać tej odległości na jeden raz, bo wówczas jego żołnierze przybędą na miejsce zmęczenia. Wyruszą prawdopodobnie rankiem, o wschodzie. Nie będą jechać wszyscy naraz, tylko w oddzielnych grupach, i raczej ukryją broń i zbroje podczas jazdy, by nie spowodować wczesnego alarmu. Zapewne po południu zgromadzą się chyłkiem w jakimś dworku jednego z dzierżawców Williama. Wieczorem będą pić piwo i opowiadać sobie nawzajem krwawe i żartobliwe historie o własnych lub cudzych przewagach bitewnych oraz miłosnych, o okaleczonych młodych ludziach, stratowanych starcach, zgwałconych dziewczynach i kobietach, pozbawionych główek dzieciach i niemowlętach nabijanych na miecze wśród pisku matek oszalałych z rozpaczy. Potem, następnego dnia rano, zaatakują. Jack zadrzał z lęku. Tym razem musimy ich powstrzymać, myślał. Bał się.

Każdej grupie przypadał kawałek muru, a także odpowiadające mu miejsce, skąd mieli brać materiał. Potem, kiedy już niebo na wschodzie poblądło, obeszlili przydzielone odcinki, pukali do drzwi, budzili mieszkańców, a dzwon klasztorny bił na trwogę.

O wschodzie słońca praca już wrzała. Młodszy mężczyźni i kobiety pomagali, podczas gdy starsi przygotowywali zapasy jedzenia i picia, a dzieci biegały z poleceniami i roznosiły wieści. Jack stale doglądał całości budowy, z niepokojem śledząc postępy. Kazał przygotowującym dodawać mniej wapna, by zaprawa wiązała się szybciej. Dojrzał cieślę, który robił palisadę z elementów rusztowania, więc wskazał jego pomocnikom miejsce, skąd brać pocięte bale. Upewniał się, czy poszczególne odcinki muru zejdą się dokładnie. Śmiał się, żartował i dodawał ducha bez przerwy.

Słońce wspinało się w górę po czystym, błękitnym niebie. Szykowało się gorący dzień. Z kuchni klasztornej wytoczono beczki piwa, ale Philip nakazał je rozwadniać, a Jack takie polecenie pochwalił, bo ludzie, co ciężko pracują, przy takiej pogodzie będą dużo pić, a nie chciał, by posnęli.

Pomimo grożącego niebezpieczeństwa wśród ludzi panowała zupełnie nieśtosowna atmosfera radości. W powietrzu czuło się coś w rodzaju święta, kiedy to całe miasto coś razem tworzy; może piecze chleb z nowego ziarna, może puszcza sobótkowe ognie... Wszyscy zdawali się zapominać o zagrożeniu, o tym, co było przyczyną ich wspólnej pracy. Jednakże Philip dostrzegł paru ludzi ukradkiem opuszczających gród. Widocznie woleli skryć się w lesie lub u jakichś krewnych w odleglejszych wioskach. Ale to byli nieliczni.

Pracę przerwano na obiad. Philip z Jackiem obeszlili mur, a wszyscy pozostali w tym czasie jedli. Pomimo ogromnego ruchu postęp był niewielki. Mury kamienne dopiero sięgały poziomu gruntu, wały ziemne były zaledwie niskimi nasypami, a palisada straszyla szczyrbami.

Pod koniec obchodu Philip zagadnął:

– Skończymy o czasie?

Jack, który celowo udawał pełnego otuchy przez cały ranek, teraz jednak zmusił się do odpowiedzi zgodnej z prawdą.

– Nie przy tym tempie. – Był zniechęcony.

– Co możemy zrobić, by przyspieszyć?

– Aby budować szybciej, można jedynie budować gorzej.

– No to budujmy gorzej, ale jak?

– Teraz mistrzowie murarscy budują mur, cieśle budują palisadę, terminatory i czeladnicy kopią rowy i sypią wały, a mieszczenie pomagają. Lecz większość cieśli umiałaby budować prosty mur, a większość czeladników – palisadę. Więc przesunmy cieśli do pomocy murarzom, weźmy czeladników do budowy palisady, a mieszczenie niech kopią. Jak tylko wszystko zacznie iść gładko, niechaj młodzi mnisi przestaną się zajmować organizacją i pomogą przy pracy.

– Zróbmy tak.

Wydali nowe polecenia pod koniec obiadu. Jack pomyślał, że to będzie nie tylko najgorzej zbudowane umocnienie w całej Anglii, ale i prawdopodobnie będzie także miało najkrótszy żywot. Jeśli to wszystko zdoła utrzymać się przez tydzień, to będzie cud.

Po południu wszyscy zaczęli już odczuwać zmęczenie, szczególnie ci, którzy wstali jeszcze nocą. Atmosfera święta wyparowała, a twarze pracujących stały się ponure i zawzięte. Przerwali zajęcia na kolację, a potem znów wzięli się do pracy.

Zapadła noc, a umocnienia nie były jeszcze gotowe.

Philip wystawił warty i przykazał ludziom przespać się kilka godzin. O północy miał uderzyć w dzwon.

Jack podążył do domu Alieny. Ani ona, ani Richard nie spali jeszcze.

– Chcę, byś wzięła Tommy’ego i poszła się ukryć – zwrócił się do Alieny.

– Zostanę – rzekła twardo.

– Aliena, nie wiem, na ile będzie skuteczny ten mur; nie chcę, żebyś tu była, kiedy William Hamleigh przedrze się do miasta!

Ta myśl męczyła go przez cały dzień. Początkowo odrzucał ją, ale w miarę upływu czasu coraz częściej stawał mu przed oczyma pełen zgrozy obraz poprzedniego najazdu. Wreszcie doszedł do wniosku, że Aliena i dziecko muszą się ukryć.

– Jakże to, ty przygotowujesz wszystkich do obrony, a ja miałabym uciekać? – powiedziała rezolutnie.

Jack już dawno przestał myśleć o rozsądku w tej sprawie.

– Jeśli ruszysz teraz, nikt nie będzie wiedział.

– W końcu się dowiedzą.

– Wtedy już będzie po wszystkim.

– Pomyśl jednak o wstydzie.

– Do diabła ze wstydem! – wrzasnęła. Doprowadzało go do szału to, że Aliena mu się opiera, brak mu było słów, które by na nią podziałały. – Chcę, żebyś była bezpieczna!

Jego gniewny głos obudził Tommy'ego, który zaczął płakać. Aliena wzięła chłopca na ręce i pokołysała.

– Ale ja nie jestem taka pewna tego leśnego schronienia.

– William nie będzie przeszukiwał lasu. Interesuje go miasto.

– Może jednak to ja go interesuję.

– Ukryj się na tej twojej polance.

– Można ją znaleźć przypadkiem.

– Słuchaj, co ci powiem. Tam będziesz bardziej bezpieczna niż tu. Ja to wiem. Wierz mi.

– Zostaję tutaj.

– Nie chcę cię tu – powiedział szorstko.

– No cóż, zostaję i tak – odrzekła z uśmiechem, ignorując jego rozmyślne grubiaństwo.

Jack zmełł w ustach przekleństwo. Kiedy już coś postanowiła, spór z nią nie miał sensu. Była uparta jak muł. Zaczął więc błagać.

– Aliena, boję się tego, co może się jutro zdarzyć.

– Ja też się tego boję. I uważam, że powinniśmy się bać razem.

Wiedział, że należało ustąpić, ale za bardzo się martwił.

– No to niech cię szlag! – rzucił ze złością i z hałasem wypadł za drzwi.

Na zewnątrz stanął i wdychał nocne powietrze. Po kilku chwilach się uspokoił. Ogromnie był zmartwiony, ale głupio przecież złościć się na nią; oboje mogli rano zginąć.

Wrócił do środka. Stała, jak ją zostawił. Minę miała smutną.

– Kocham cię – powiedział. Objęli się i tak trwali długą chwilę.

Kiedy opuścił chatę, księżyc już wzeszedł. Uspokajał się myślą, że może i Aliena miała rację: bardziej będzie bezpieczna tutaj niż w lesie. W końcu w ten sposób dowie się od razu, że coś jej zagraża, i będzie mógł ruszyć na pomoc.

Wiedział, że nie zaśnie, jeśli się położy. Dręczyła go obawa, że o północy nikt nie wstanie, wszyscy zaśpią do rana, kiedy William i jego ludzie wjadą, tratując, siekąc i paląc. Niespokojnie wędrował po obrzeżach miasta. Czuł się dziwnie, bo do tej pory Kingsbridge nigdy nie było opasane. Kamienny mur sięgał mu do pasa, a to za mało. Palisada była wysoka, ale miała szczyrby, przez które najeźdźcy mogli wjechać bez wielkiego trudu. Umocowania wałowe też nie były wysokie na tyle, by dobry koń nie dał rady przeskoczyć nad nimi. Jeszcze wiele było do zrobienia.

Zatrzymał się w miejscu, gdzie był most. Rozebrano go na części, a te złożono w klasztorze. Popatrzył na księżycową poświatę na rzece i nagle dojrzał podobną do ducha postać zbliżającą się wzdłuż linii palisady. Przebiegł go dreszcz zabobonnego lęku, ale okazało się, że to Philip; nie mógł zasnąć, podobnie jak on.

Jego żal do Philipa przesłoniła chmura wspólnego zagrożenia ze strony Williama, więc nie odczuwał wrogości do przeora.

– Jeśli to przetrwamy, to powinniśmy przebudować ten mur, kawałek po

kawałku, ojczy.

– Zgadzą się – gorliwie przytaknął przeor. – Będziemy dążyć do tego, by mieć kamienny mur w ciągu roku.

– Dokładnie w miejscu, gdzie most przecina rzekę, postawiłbym bramę i barbakan, byśmy mogli się bronić bez rozbierania mostu.

– Organizowanie obrony miasta nie jest sprawą, na której my, mnisi, znamy się najlepiej.

Jack skinął głową.

– Jeśli wy nie weźmiecie się do organizowania obrony, to kto?

– A co myślisz o bracie Alieny, Richardzie?

Ten pomysł zaskoczył Jacka, ale po chwili zastanowienia dostrzegł wszystkie jego zalety.

– Poradziliby sobie z tym znakomicie, poza tym miałby zajęcie i nie musiałbym już o niego dbać! – mówił z entuzjazmem. Popatrzył na Philipa z niechętnym podziwem. – Ty, ojczy, nigdy nie ustajesz, prawda?

Philip wzruszył ramionami.

– Chciałbym, by wszystkie nasze kłopoty można było równie łatwo rozwiązać.

Myśli Jacka wróciły do muru.

– Przypuszczam, że Kingsbridge będzie już teraz zawsze ufortyfikowane.

– Nie zawsze, lecz tylko do dnia, kiedy ponownie Chrystus zstąpi na ziemię.

– Nigdy nie wiadomo, ojczy – rzekł w zamyśleniu Jack.

– Mogą przyjść czasy, gdy barbarzyńcy podobni Williamowi nie będą mieli dość władzy, kiedy prawo będzie chroniło słabych, zamiast ich niewolić, kiedy królowie będą czynić pokój, a nie wojnę. Pomyśl tylko: czasy gdy miasta w Anglii nie będą potrzebować murów!

Philip potrząsnął głową.

– Ależ wyobraźnia! Takie coś się nie zdarzy przed dniem sądu ostatecznego.

go.

– Nie uważam tak.

– Musi być koło północy. Trzeba zaczynać.

– Ojczy Philipie... – Jack nabrał powietrza. – Jeszcze czas, żeby zmienić plan. Jeszcze zdążymy ewakuować miasto.

– Boisz się?

– Tak, ale nie o siebie, a o moją rodzinę.

– Popatrz na to tak. Jeśli pójdziesz teraz, pewnie będziesz bezpieczny – jutro. Ale William może przyjść innego dnia. Jeśli jutro pozwolimy mu na przeprowadzenie swej woli, to zawsze będziemy żyć w strachu. Ty, ja, Aliena i mały Tommy, który będzie dorastać w atmosferze strachu przed Williamem, a także jemu podobnymi.

To racja, pomyślał Jack. Jeśli dzieci takie jak Tommy miały wyrastać w poczuciu wolności, to ich rodzice powinni przestać uciekać przed Williamem. Westchnął.

– No, dobrze.

Philip poszedł uderzyć w dzwon. On tu jest władcą, rozważał Jack. Utrzymuje pokój, wymierza sprawiedliwość i nie uciska poddanych mu ludzi. Ale czy po to naprawdę trzeba żyć w celibacie?

Odezwał się dzwon. Za okiennicami domów zapalały się światełka, a rzemieślnicy wstawali, przeciągając się i przecierając oczy. Pracę zaczynali powoli, wywiązało się nawet kilka sprzeczek spowodowanych złym humorem. Philip jednak wprowadził w ruch klasztorną piekarnię, a po dostarczeniu świeżego chleba kłótnie ustały.

O świcie Jack i Philip odbyli wspólnie obchód. Obaj niespokojnie przebiegali oczyma horyzont. Palisada przy rzece została niemal ukończona, a wszyscy cieśle pracowali wspólnie nad wypełnieniem pozostałych kilku luk. Wał ziemny urósł do wysokości człowieka, a głębokość rowu dodawała mu jakieś trzy, cztery stopy. Tak więc mógłby się przez niego przedrzeć człowiek, wdrapując

się nań z trudem, ale przedtem musiałyby zleźć z konia. Mur miał taką samą wysokość, ale ostatnie trzy czy cztery rzędy kamienia były jeszcze zupełnie słabe, bo zaprawa nie zdążyła ich związać. By się jednak o tym dowiedzieć, wróg musiałby podejść bardzo blisko, a przecież mur mógł go zmylić.

Poza palisadą pracę właściwie skończono, więc Philip wydał nowe rozkazy. Starszym i dzieciom polecił udać się do klasztoru i przebywać w dormitorium, dopóki się wszystko nie skończy. Jack się ucieszył, bo dzięki temu Aliena i Tommy byli poza linią frontu. Rzemieślnicy mieli w dalszym ciągu budować, ale ich pomocników przeor skierował pod dowództwo Richarda. Każda grupa była odpowiedzialna za obronę tego odcinka muru, który budowała. Mieszkańcy, zaopatrzeni w łuki, winni stać w gotowości za murami, by strzałami razić wrogów. Tym, którzy broni nie mieli, Philip kazał zbierać kamienie i przygotowywać wrzątek w wielkich kotłach ustawionych w strategicznych punktach. Było kilku mieszczan z mieczami, ale tę broń myślano użyć tylko wtedy, gdyby przyszło do starcia wręcz, a to oznaczałoby, że wrogowi udało się wdrzeć do miasta... że mury postawiono na próżno.

Jack był na nogach już dokładnie czterdzieści osiem godzin. Bolała go głowa, pod powiekami czuł piasek. Usiadł na strzecie domu stojącego przy rzece i wyglądał na pola, a w tym czasie cieśle śpiesznie kończyli budować palisadę. Nagle uświadomił sobie, że przecież ludzie Williama mogą strzelać płonącymi strzałami ponad murem i w ten sposób wzniecić pożar w mieście, nie starając się nawet przedzierać przez umocnienia. Zmęczony zszedł z dachu i podreptał do klasztoru. Tam okazało się, że Richard wpadł na ten sam pomysł i kazał mniuchom ustawić beczki z wodą i kubły w kilku miejscach wokół zewnętrznego obwodu miasta.

Jack wychodził z zabudowań klasztornych, kiedy usłyszał coś, co zabrzmiało jak ostrzegawczy okrzyk.

Poczuł skurcz serca. Wlaził na dach stajni i popatrzył na pola. Po zachodniej stronie chmura pyłu zdradzała zbliżanie się sporej grupy jeźdźców.

Do tej pory obraz sytuacji wydawał się jakiś nierzeczywisty. Teraz jednak, gdy owa grupa jeźdźców zbliżała się do Kingsbridge z zamiarem ponownego spalenia miasta, zagrożenie stało się nagle przeraźliwie prawdziwe.

Jack najchętniej odszukałby Alienę, ale nie miał na to czasu. Zeskoczył z dachu i pobiegł ku brzegowi. Grupa ludzi kończyła wypełniać ostatnią szczerbę w palisadzie. Większość mieszkańców zgromadziła się właśnie tutaj, oprócz tych, którzy schronili się w klasztorze. Wraz z Jackiem przybiegł zadyszany Richard.

– Po drugiej stronie nie ma nikogo! Wracać na stanowiska! – krzyczał.

Ludzie zaczęli się kierować na swe pozycje, a Richard coś mruzczał o braku jakiegokolwiek karności.

Jack wpatrywał się w pola. W miarę zbliżania się chmury pyłu można było dostrzec poszczególne sylwetki jeźdźców. Pojawili się jak szatani z piekła, myślał, powodowani żądzą zabijania i niszczenia. Istnieli, bo tego właśnie potrzebowali hrabiowie i królowie. Przeor Philip może być kompletnym durniem w sprawach miłości i małżeństwa, ale przecież znalazł sposób na to, by wieść tę ich wspólnotę bez takich barbarzyńców, jak ci najeźdźcy.

Wzdrygnął się. Chyba nie był to najlepszy moment na takie rozmyślenia. Czy to o tych sprawach powinien myśleć człowiek, kiedy grozi mu śmierć?

Konni byli coraz bliżej. Okazało się, że jest ich więcej niż pięćdziesięciu, jak przewidywał Richard. Jack szacował, że raczej około stu. Kierowali się do miejsca, gdzie dotąd stał most, zwalniali. Kiedy Jack zobaczył, jak zatrzymują się na łące po tamtej stronie rzeki, zrobiło mu się trochę lżej na duchu. Ktoś blisko Jacka zaczął się śmiać, ktoś inny dołączył, a potem gruchnął śmiech rozprzestrzeniający się niczym pożar. Wkrótce pięćdziesięciu, stu, dwustu ludzi zarykiwało się ze śmiechu, a zaskoczeni zbrojni mężowie stali za wodą, nie mając z kim się bić.

Sporo jeźdźców zsiadło z koni i zebrało się razem. Wpatrując się w nich poprzez lekką poranną mgiełkę, Jack miał wrażenie, że odróżnia żółte włosy

i czerwoną twarz Williama Hamleigha w środku zgrupowania, ale mógł się mylić.

Po chwili znów dosiedli koni, przegrupowali się i odjechali. Lud Kingsbridge wzniósł potężny okrzyk radości. Jack jednak nie przypuszczał, żeby William tak szybko dał spokój. Przecież pojechali w górę rzeki.

– Szukają brodu – powiedział Richard do Jacka. – Tam przejdą rzekę i uderzą na nas z innej strony. Przekaż dalej.

Jack poszedł szybko wzdłuż muru i powtarzał słowa Richarda.

Od północy i wschodu umocnienia miejskie stanowił kamienny mur i wał ziemny, ale po tamtej stronie nie było rzeki. Do umocnień tych włączono mury klasztorne, odległe jedynie o kilka kroków od miejsca, gdzie schroniła się Alien z Tommym. Na dachu infirmerii Richard ustawił Oswalda, handlarza koni, i Dicka Richardsa, syna farbiarza, którzy byli najlepszymi łucznikami w mieście. Jack doszedł do północno-wschodniego rogu umocnień i stanął na wale. Wpatrywał się w las, z którego oczekiwał wyłonienia się najeźdźców.

Słońce wspinało się na niebo coraz wyżej. Nastawał kolejny bezchmurny i słoneczny dzień. Mnisi chodzili wokół umocnień z piwem i chlebem. Jack zastanawiał się, jak daleko w górę strumienia pojechał William. Jakąś milę od miasta było miejsce, gdzie dobry koń mógłby przepłynąć, ale ten bród obcemu może wydać się niebezpieczny, więc William pewnie pojedzie parę mil dalej, gdzie znajdzie całkiem płytkie przejście.

Pomyślał o Alienie. Pragnął pójść do dormitorium i zobaczyć ją, ale jednocześnie nie chciał opuścić swego posterunku na wale, gdyby bowiem to uczynił, inni mogliby go naśladować.

Kiedy tak walczył ze swymi pragnieniami, usłyszał krzyk i pojawili się jeźdźcy.

Wynurzyli się spomiędzy drzew na wschodzie. Po chwili zauważył, że wrogowie nie tylko się zbliżają, lecz szarżują. Musieli wcześniej zatrzymać się w lesie, zbadać teren i dopiero potem zaplanować atak. Strach napiął wszystkie

mięśnie Jacka. Tamci wcale nie mieli zamiaru sprawdzać, jakie są umocnienia; oni chcieli je przerwać.

Konie galopowały przez pola. Jeden czy dwu mieszczan wypuściło strzały. Richard wrzasnął:

– Za wcześniej! Za wcześniej! Czekaście, aż zbliżą się do rowu, wtedy nie chybiecie!

Tylko kilku go usłyszało, więc lekki deszcz strzał spadł na pole. Jako siła zbrojna, jesteśmy beznadziejni, pomyślał Jack, ocalić nas może jedynie mur.

Miał w jednej ręce kamień, w drugiej procę, podobną do tej, jakiej używał na kaczki. Zastanawiał się, czy jeszcze umie dobrze celować. Zdawał sobie sprawę, że ścisną swą broń z całej siły, zmusił się do rozluźnienia. Kamienie były skuteczne przeciw kaczkom, ale wyglądały żałośnie słabo przeciw uzbrojonym ludziom na wielkich koniach, grzmiących kopytami coraz bliżej. Przełknął. Kilku konnych miało łuki i płonące strzały, chwilę później zauważył, że ci kierują się w stronę muru, a pozostali ku wałowi. To znaczyło, że William postanowił nie atakować kamiennego muru; nie wiedział, iż zaprawa nie miała czasu związać kamiennych bloków jak należy, i mur można zwalić ręką. Dał się oszukać. Jack miał swą chwilę triumfu.

Napastnicy byli już u wałów.

Mieszczanie strzelali wściekle, a napastliwe strzały posypały się jak grad. Mimo niewprawnych oczu i rąk kilku trafili. Konie sięgnęły rowu. Kilka się potknęło, ale inne przeszły i atakowały wał. Tuż na wprost stanowiska Jacka wielki mąż w kutej łuskowej zbroi przeskoczył na koniu rów i wspinał się pod górę. Jack naładował procę i rozkręcił. Nie stracił oka; trafił konia dokładnie w nos. Koń zarył się w sybkim piasku, zarżał z bólu i zawrócił. Zerwał się do galopu, ale jego jeździec zsunął się z siodła i, dobywszy miecza, ruszył ku wałowi.

Większość koni zawróciła, czy to z własnej woli, czy to kierowana przez jeźdźców, ale paru napastników kontynuowało atak pieszo, a i pozostali zaczęli wracać, gotowi do następnej szarży. Rzuciwszy okiem przez ramię, Jack

dojrzał kilka strzech płonących pomimo wysiłków najmłodszych kobiet w mieście, gaszących pożar. Zaświtała mu przerażająca myśl, że im się nie uda. Że pomimo heroicznych zmagañ ostatnich trzydziestu sześciu godzin ci barbarzyńcy jednak przedrą się przez umocnienia, spalą miasto i poszlachtują mieszkańców.

Możliwość walki wręcz przeraziła go. Nigdy nie uczył się walki, nigdy nie używał miecza, nawet nigdy nie miał go w ręku, jedynymi zaś jego doświadczeniami w tej dziedzinie były bójki z Alfredem. Poczłł się całkiem bezradny.

Jeźdźcy szarżowali znowu. Ci, którzy stracili konie, wspinali się pieszo. Kamienie i strzały posypały się na nich deszczem. Jack raz po raz strzelał z procy: ładowanie, strzał, ładowanie, strzał, ładowanie, strzał. Kilku najeźdźców padło pod gradem pocisków. Dokładnie przed Jackiem jeden z napastników zachwiał się i upadł, tracąc przy tym hełm. Rozsypały się złote włosy; oto sam William Hamleigh.

Żaden koń nie dotarł do wierzchołka wału, ale udało się to kilku spiesznym i, ku przerażeniu Jacka, mieszkańcy musieli podjąć z nimi bezpośrednią walkę, żerdziami i siekierami dając odpór lancom i mieczom. Chociaż kilku mieszczan zostało rannych, napastników szybko zabito. Szarża się załamała. Ci, którzy zachowali konie, kręcili się w kółko, nie wiedząc, co dalej czynić, choć kilku bardziej zapamiętałych wdzierało się uparcie na wały. Jack, ciężko dysząc, wdzięczny za chwilę przerwy, ze zgrozą czekał na kolejny ruch wroga.

William podniósł miecz, wrzasnął, by przyciągnąć uwagę swych ludzi. Zakręcił mieczem nad głową, zwołując ich w ten sposób do siebie, a potem wskazał na wał. Przegrupowali się do następnego uderzenia.

Jack dostrzegł okazję.

Wybrał kamień, przygotował procę i starannie wycelował w Williama. Kamień poleciał prościutko jak po sznurku i trafił go dokładnie w środek czoła.

William padł.

Jego ludzie zawahali się. Szarża utknęła.

Wielki, ciemny mężczyzna zeskoczył z konia i podbiegł do leżącego. Jackowi wydawało się, że rozpoznaje w nim Waltera, który zawsze jeździł z Williamem. Trzymając w ręku wodze swego konia, przyboczny klęknął przy bezwładnym ciele pana. Przez moment Jack miał nadzieję, że Hamleigh nie żyje. Wtem William się poruszył, a Walter pomógł mu wstać. Hrabia zdawał się oszołomiony. Wszyscy, po obu stronach, przyglądali się tej dwójce. W jednej chwili grad kamieni i strzał przestał padać.

William z trudem dosiadł konia. Czy będzie zdolny do dalszej walki? Walter zatoczył mieczem nad głową i, ku niewymownej uldze Jacka, wskazał na las.

Napastnicy zaczęli się wycofywać.

Mieszczanie wzniesli okrzyk.

Jack w oszołomieniu rozejrzał się po nich. Czyżby się skończyło? Nie umiał w to uwierzyć. Płomienie zaczynały przygasać, tłumione przez kobiety. Mężczyźni tańczyli na wałach, ściskali się nawzajem. Richard podszedł i klepnął go w plecy z rozmachem:

– To dzięki wałowi, Jack! Twojemu wałowi!

Mieszczanie i mnisi stłoczyli się wokół nich, a wszyscy chcieli pogratulować Jackowi i sobie wzajemnie.

– Czy oni odstąpili na dobre? – spytał Jack.

– O, tak – zapewnił go Richard. – Nie wrócą, skoro przekonali się, że będziemy bronić wałów. William wie, że nie weźmie miasta bronionego przez mieszkańców, w każdym razie nie bez wielkiej armii i półrocznego oblężenia.

– Więc to koniec.

Aliena przepychała się do niego z Tommym w ramionach. Jack czule ją objął. Przeżyli i byli razem, czuł za to wielką wdzięczność.

I nagle ogarnęło go potworne zmęczenie. Zapragnął się położyć. Ale tak nie miało się stać. Dwu młodych murarzy pochwyciło go i posadziło na ramionach. Rozległy się wiwaty. Ruszyli, a za nimi tłum. Jack chciał im powiedzieć, że to

nie on ich uratował, że sami to uczynili, ale wiedział, że go słuchać nie będą, bo chcą mieć bohatera. W miarę jak wieść się rozchodziła i wszyscy zdali sobie sprawę z tego, że wygrali, wiwaty grzmiały coraz głośniej. Całe lata żyli w strachu przed Williamem, a dzisiaj wywalczyli sobie wolność. Jacka niesiono w triumfalnym pochodzie dokoła miasta, wszyscy machali rękami i uśmiechali się, a on tęsknił do momentu, gdy wreszcie będzie mógł złożyć gdzieś głowę i spokojnie zasnąć.

III

Jarmark Wełniany w Shiring tego roku był większy i lepszy niż zwykle. Plac przed kościołem parafialnym, gdzie zazwyczaj miały miejsce targi i egzekucje oraz doroczne jarmarki, teraz wypełniały kramy i stragany, między nimi zaś kłębili się ludzie. Głównym towarem była wełna, lecz na kramach można było zobaczyć wszystko, co ówczesna Anglia oferowała do sprzedaży: lśniące nowością miecze, ozdobnie rzeźbione siodła, tłuste prosiaki, imbirowe ciasteczka i słomiane kapelusze. William kroczył w towarzystwie biskupa Walerana, w duchu licząc pieniądze, jakie w tym roku przyniesie jarmark. Wychodziło mu, że zarobi więcej niż kiedykolwiek. A jednak nie sprawiało mu to przyjemności takiej, jak powinno.

Nie mógł znieść upokorzenia, jakiego doznał w Kingsbridge. Przewidywał, że wystarczy napaść na bezbronne miasto, by je spalić, tymczasem stracił konie i ludzi, a poza tym został zmuszony do odwrotu, bez pomyślnego rezultatu. Najbardziej dręczyło go to, że wykonanie wału wokół miasta było dziełem Jacka Jacksona, kochanka Alieny.

Nie udało mu się zabić Jacka, ale wciąż pragnął się zemścić.

Waleran także myślał o Kingsbridge, kiedy powiedział:

– Zupełnie nie wiem, jakim cudem tak szybko zbudowali te umocnienia.

– Najpewniej nie był to szczególnie mocny mur – stwierdził William.

Biskup pokiwał głową.

– Jeśli tak, to jestem przekonany, że przeor Philip jest bardzo zajęty jego wzmocnianiem. Gdybym był na jego miejscu, zrobiłbym umocnienia wyższe i mocniejsze, zbudowałbym barbakan i postawił straż nocną. Twoje najazdy na Kingsbridge już się skończyły, Williamie.

William zgadzał się z tym, ale udawał, że nie.

– Zawsze mogę oblegać miasto.

– A, to już inna sprawa. Szybki napad może król przeoczyć, lecz przedłużające się oblężenie, w trakcie którego mieszczanie będą słać wieści i błagania o ochronę do króla... Byłoby niezręczne.

– Król nic mi nie robi – rzekł William. – On mnie potrzebuje. – Mimo że zgadzał się Waleranowym punktem widzenia, przeciągał sprawę, chciał, aby biskup bardziej się nad tym zastanowił, a przez to poczuł się nieco zobowiązany względem Williama. Potem będzie mógł wyłuszczyć swe żądanie, a to ciężko leżało mu na duszy.

Jakaś chuda, brzydka kobieta zastąpiła im drogę, wypychając przed siebie śliczną dziewczynkę w wieku około trzynastu lat, pewnie córkę. Matka odchyliła trochę podartą suknię dziewczyny i ukazała młode, niedojrzałe piersi.

– Sześćdziesiąt pensów – syknęła.

William poczuł w łędźwiach wzbierające pożądanie, ale odmownie potrząsnął głową.

Dziwka-dziecko przypomniała mu Alienę. Była niewiele starsza, kiedy ją zgwałcił. Stało się to prawie dziesięć lat temu, ale nie mógł jej zapomnieć. Może już nie zdoła mieć jej dla siebie, ale zawsze może przeszkodzić komuś innemu, kto chciałby się nią cieszyć.

Waleran się zamyślił. Wcale nie patrzył, dokąd idzie, ludzie jednak ustępowali mu z drogi, jakby obawiali się nawet otarcia o jego czarne szaty. Po chwili spytał:

– Słyszałeś, że król wziął Faringdon?

– Byłem tam. – To zwycięstwo, jak dotychczas, liczyło się najbardziej w dziejach wojny domowej. Stefan pojmał setki rycerzy, zdobył wiele broni i gonił Roberta z Gloucesteru przez całą drogę do jego włości na zachodzie. Ta wiktoria okazała się na tyle decydująca, że Ranulf z Chesteru, stary wróg Stefana na północy, poddał się i złożył hołd królowi.

– Teraz król jest w dużym stopniu bezpieczny i nie będzie już aż tak tolerancyjny wobec baronów, którzy prowadzą swoje prywatne wojny – powiedział Waleran.

– Może i tak – stwierdził z pozorną obojętnością William. Zastanawiał się, czy jest to właściwy moment na to, by zgodzić się z Waleranem i jednocześnie wyłuszczyć swoje sprawy. Jeszcze nie był zdecydowany. Wypowiadając życzenie, musiał się odsłonić, a tego nie znosił, szczególnie wobec kogoś tak bezwzględnego jak biskup.

– Powinieneś zostawić Kingsbridge własnemu losowi, przynajmniej na jakiś czas – ciągnął Waleran. – Masz swój jarmark, masz cotygodniowy targ, nie szkodzi, że trochę mniejszy niż kiedyś. I masz najurodzajniejsze grunta w hrabstwie, zarówno te pod twoim zarządem, jak i wydzierzawione. Moja sytuacja także jest lepsza niż kiedyś. Rozszerzyłem moje posiadłości i usprawniłem gospodarowanie. Zbudowałem zamek. Zwalczenie działań przeora Philipa przestało być tak istotne, tym bardziej że właśnie w tym momencie jest to politycznie niebezpieczne.

Na całym targowisku ludzie gotowali lub sprzedawali jedzenie, powietrze wypełniały różne zapachy: pikantnych zup, świeżego chleba, słodczy, gotowanej szynki, pieczonego boczku, jabłecznika... Williama zaczynało mdlić...

– Chodźmy na zamek – zaproponował.

Opuścili plac targowy i poszli w górę wzgórza. Szeryf miał poczęstować ich obiadem. W bramie zamku William stanął.

– Może miałeś rację z tym Kingsbridge, Ekscelencjo – powiedział.

– Jestem rad, że to dostrzegłeś.

– Lecz pragnę zemsty na Jacku Jacksonie, a tę możesz mi dać, o ile chcesz.

Waleran podniósł jedną brew. Wyraz jego twarzy mówił, że interesuje go, co William chce powiedzieć, ale nie czuje się zobowiązany do niczego i niczego też nie obiecuje.

William brnął dalej:

– Aliena zwróciła się o unieważnienie ślubu.

– Tak, wiem.

– Jak myślisz, co jej odpowiedzą?

– Najwyraźniej jej małżeństwo nie zostało nigdy skonsumowane.

– I to wystarczy?

– Zapewne tak. Zgodnie z Gracjanem, a to mąż uczony, poznałem go kiedyś osobiście, tym, co uprawomocnia małżeństwo, jest obopólna zgoda, ale także uwzględnia i to, że akt fizyczny „ukompletnia” czy też „udoskonala” małżeństwo. W szczególności zaś mówi, że jeśli mężczyzna poślubia kobietę, ale z nią nie współżyje, a potem poślubia inną kobietę, z którą współżyje fizycznie, to owo drugie małżeństwo jest ważne i ono się liczy, czyli owo skonsumowane jest małżeństwem prawdziwym. Czarująca Aliena bez wątpienia wspomni o tym w swojej prośbie, jeśli otrzymała dobre rady, a wyobrażam sobie, że przeor Philip takowych jej udzielił.

William niecierpliwł się tymi wszystkimi dywagacjami.

– To znaczy, że oni mogą dostać to unieważnienie.

– Chyba, że ktoś wniesie sprzeciw; jeden teologiczny i jeden praktyczny. Argument teologiczny przywołuje małżeństwo Józefa i Marii, teza Gracjana bowiem powoduje obniżenie jego doskonałości, jako że nie zostało skonsumowane. Argument praktyczny polega na racjach politycznych lub racjach dotyczących dwu majątków, kiedy to, całkiem często, wiąże się małżeństwem dwoje dzieci, fizycznie niezdolnych do spełnienia małżeństwa. Jeśli jedno z nich, czy

to pan młody, czy panna młoda, umrze przed osiągnięciem dojrzałości, małżeństwo mogłoby być uznane za nieważne właśnie wskutek warunków Gracjana w jego definicji zawartych, co mogłoby spowodować okropne skutki.

William nie potrafił nadażyć za tymi wszystkimi pokrętnymi wyjaśnieniami, ale zrozumiał, że może nie dojść do unieważnienia małżeństwa Alieny.

– Sądziś, Ekscelencjo, że na dwoje babka wróży?

– Tak.

– A to jak wróży, zależy od tego, kto bardziej naciska.

– Tak. W tym wypadku nie ma żadnych komplikacji majątkowych czy politycznych – żadnych posiadłości, żadnych hołdów i zależności lennych, żadnych sojuszy militarnych. Jednakże jeśli pojawi się coś więcej, a ktoś (powiedzmy, archidiakon) będzie naciskał usilnie na sprzeciw wobec tez Gracjana, prawdopodobnie suplika o anulowanie zostanie odrzucona. Zdaje się, że wiem, o co chcesz mnie prosić.

– Chcę, żebyś sprzeciwił się unieważnieniu.

Waleran zmrużył oczy.

– Nie mogę odgadnąć, czy ty tę nieszczęsną kobietę kochasz, czy nienawidzisz.

– Tak – odrzekł William. – Ja też nie wiem.

Aliena siedziała w trawie, w zielonym cieniu potężnego buka. Wodospad pryskał małymi podobnymi do łez kropelkami na kamienie u jej stóp. To na tej polanie Jack opowiadał jej swoje historie. To tutaj pocałował ją pierwszy raz, tak subtelnie i szybko, że udawała, iż nigdy to się nie zdarzyło. To tutaj zakochała się w Jacku i nie chciała się do tego przyznać, nawet sama przed sobą. Teraz z całego serca chciałaby, żeby czas się cofnął, by mogła wówczas dać mu siebie, mieć z nim dzieci, poślubić go, by teraz, cokolwiek działałoby się w tym czasie, być jego prawowitą żoną. Położyła się, by dać trochę odpoczynku swo-

im bolącym plecóm. Był środek lata, upalne powietrze stało nieruchomo. Jej brzuch był już bardzo ciężki, a jeszcze sześć tygodni brakowało do rozwiązania. Myślała, że może to bliźnięta, ale kopanie czuła tylko w jednym miejscu.

Tego niedzielnego popołudnia Tommy'ego doglądała Martha, dzięki czemu Aliena i Jack mogli się spotkać w lesie i pobycć trochę sami, a także porozmawiać o przyszłości. Arcybiskup odmówił unieważnienia ślubu, najwyraźniej wskutek sprzeciwu biskupa Walerana. Philip powiedział, że mogą od nowa się starać, ale tymczasem muszą żyć osobno. Przeor zgodził się, że odmowa była niesprawiedliwa, ale stwierdził też, że musiała to być wola Boga. Alienie przypominało to raczej złą wolę.

Gorycz zawodu stanowiła ciężar, który musiała nosić, podobnie jak ten brzuch. Czasem była go bardziej świadoma, czasem niemal zapominała, ale istniał zawsze. Często doskwierał, lecz był znajomy. Żałowała, że rani Jacka, żałowała siebie, żałowała nawet godnego pogardy Alfreda, który cierpiał, żałowała go, chociaż mieszkał w Shiring i nie pokazywał się w Kingsbridge. Alfreda poślubiła jedynie z tego powodu, by zapewnić Richardowi wyposażenie i umożliwić mu walkę o hrabstwo. Nie udało się osiągnąć tego celu, a jej jedyna prawdziwa miłość, miłość do Jacka, na tym ucierpiała. Miała dwadzieścia sześć lat i zrujnowane życie.

Myślała tęsknie o pierwszych dniach znajomości z Jackiem. Kiedy go spotkała, był jeszcze małym chłopcem, chociaż już wtedy niezwykłym. Kiedy dorósł, ciągle myślała o nim jako o chłopcu. To dlatego udało mu się przed nią uchronić. Odrzucała każdego zalotnika, ale o Jacku jako o starającym się nie myślała, dlatego pozwoliła mu zbliżyć się do siebie. Zastanawiała się, dlaczego tak długo opierała się miłości. Uwielbiała Jacka i nie miała większej w życiu radości, jak z nim leżeć, a przecież dawniej nie przyjmowała do wiadomości takiej możliwości szczęścia.

Kiedy we wspomnieniach cofała się w przeszłość, jej życie bez Jacka zdawało się puste. Miała mnóstwo zajęć, budowała swoje wełniane przedsiębior-

stwo, ale teraz tamte wypełnione pracą dni jawiły się jako pozbawione radości, przypominały pusty plac albo zastawę stołową o srebrnych talerzach i złotych kubkach, ale bez strawy.

Usłyszała kroki i szybko usiadła. Pojawił się Jack. Był szczupły i pełen wdzięku, jak chudy kot. Usiadł obok i pocałował ją lekko. Pachniał potem i kamiennym pyłem.

– Ale gorąco – rzekł. – Chodźmy się wykąpać w strumieniu.

Pożądanie było nie do wytrzymania.

Jack zdjął ubranie. Przyglądała się, pożerając go głodnym wzrokiem. Od miesięcy nie widziała go nagiego. Na nogach miał wiele rudych włosów, ale żadnego na piersi. Popatrzył na nią, czekając, aż się rozbierze. Zawstydzila się, on przecież nigdy nie widział jej ciała w okresie ciąży. Rozwiązała powoli Inianą sukienkę przy szyi, potem ściągnęła ją przez głowę. Przypatrywała się wyrazowi jego twarzy, obawiała się, że znienawidzi jej nabrzmiałe ciało, ale on nie tylko nie okazał odrazy, wprost przeciwnie: jego twarz przybrała wyraz dumy i radości. Pomyślała, że powinna znać go lepiej, powinna wiedzieć, jak bardzo ją kocha.

Szybkim ruchem przyklęknął przed nią i pocałował napiętą skórę brzucha. Zaśmiała się z zażenowaniem. Dotknął jej pępka.

– Ten twój guzik na brzuchu zaczyna sterczeć.

– Wiedziałam, że to powiesz!

– Zwykle był dołkiem, a teraz jest wzgórkiem.

Zawstydzila się znów.

– Wykąpmy się – poprosiła. W wodzie nie będzie aż tak świadoma samej siebie.

Jeziorko przy wodospadzie miało ze trzy stopy głębokości. Aliena wśliznęła się do wody, która cudownie chłodziła jej skórę. Poczula dreszcz przyjemności. Jack stał tuż przy niej. Na pływanie nie starczało miejsca, jeziorko miało tylko kilka stóp w poprzek. Jack zanurzył się w wodzie, potem podsunął się pod

wodospad, by obmyć się i wypłukać pył z włosów. Aliena w wodzie czuła się dobrze; woda przynosiła ulgę i zmniejszała ciężar brzucha. Zanurzyła głowę pod wodę, by umyć włosy.

Kiedy wychynęła, by zaczerpnąć powietrza, Jack pocałował ją. Aliena za-
bełkotała coś i zaśmiała się, pozbawiona oddechu wycierała wodę z oczu. Poca-
łował ją znowu. Wyciągnęła ręce, by utrzymać równowagę, a jedna z jej rąk
złapała sterczące, twarde prącie.

– Tęskniłem za tym – wyszeptał jej do ucha, a głos miał ochryply z pożąda-
nia i jakiegoś innego uczucia, smutku może.

Gardło Alieny wyschło z żądz.

– Czy mamy złamać obietnicę?

– Teraz i zawsze.

– Co to ma znaczyć?

– Nie będziemy żyć oddzielnie. Opuszczamy Kingsbridge.

– Ale co ty będziesz robić?

– Pójdę do innego miasta i zbuduję inną katedrę.

– Ale nie będziesz mistrzem budowniczym. To nie będzie twój projekt.

– Kiedyś dostanę jakąś inną szansę. Jestem młody.

To możliwe, ale była na to mała nadzieja. Aliena zdawała sobie z tego sprawę. Jack także o tym wiedział. Takie poświęcenie dla niej poruszyło ją do łez. Nikt jej tak nie kochał i nikt nigdy nie pokocha. Lecz nie chciała, żeby poświęcał wszystko.

– Nie uczynię tego.

– O co ci chodzi?

– Nie opuszczę Kingsbridge.

Obruszył się.

– Dlaczego? Gdzieś indziej będziemy mogli żyć jak mąż z żoną, i nikogo to nie będzie obchodzić. Możemy nawet wziąć ślub w kościele.

Dotknęła jego twarzy.

– Za bardzo cię kocham, by zabierać ci katedrę w Kingsbridge.

– O tym postanowię ja!

– Jack, kocham cię za to postanowienie. To, że jesteś gotowy porzucić dzieło swego życia dla życia ze mną... wzrusza mnie do głębi, tak bardzo mnie kochasz... Ale nie chcę być tą, która cię odciąga od ukochanej pracy. Nie chcę być z tobą w ten sposób. To rzuciłoby cię na nasze późniejsze życie. Ty byś mi to wybaczył, ale ja sama nie potrafiłabym darować sobie.

Posmutniał.

– Ja wiem, że lepiej nie walczyć, gdy już coś postanowisz. Ale co możemy zrobić?

– Spróbujemy jeszcze raz prosić o unieważnienie. Będziemy żyć osobno.

Minę miał żalostną.

– I będziemy przychodzić tutaj co niedziela i łamać przyrzeczenie – dokończyła.

Przycisnął się do niej i wyczuwała, że jego podniecenie od nowa wzrasta.

– Co niedziela?

– Tak.

– Możesz znowu zająć w ciążę.

– Zaryzykujemy. A ja poza tym chcę jak niegdyś wyrabiać tkaniny. Znowu kupiłam od Philipa jego niesprzedaną wełnę i mam zamiar zorganizować mieszczan do przędzenia i tkania. Potem będę folować w młynie.

– Jak zapłaciłaś Philipowi? – spytał zaskoczony.

– Jeszcze nie zapłaciłam. Zapłacę mu w belach tkaniny, kiedy już je będę mieć.

Jack skinął głową. Powiedział z goryczą:

– Zgodził się, bo wiedział, że dzięki temu ty zostaniesz, a jeśli ty tu zostaniesz, to i ja nie odejdę.

– No, poza tym będzie miał dość taną tkaninę – dodała Aliena.

– Przebiegły Philip, zawsze dostaje to, czego chce.

Aliena dostrzegła swe zwycięstwo. Pocałowała go i powiedziała:

– Kocham cię.

Pocałował ją. Rękami przebiegł przez jej ciało, zachłannie dotykając intymnych miejsc. Nagle zatrzymał się.

– Ale ja chcę być z tobą co noc, a nie tylko w niedzielę.

Pocałowała go w ucho.

– Któregoś dnia tak będzie – szepnęła. – To ci przyrzekam.

Przesunął się pod nią, unosząc w wodzie, przyciągnął ją do siebie tak, że jego nogi znalazły się pod jej nogami. Rozchyliła uda i spłynęła w dół, spadając delikatnie w jego objęcia. Głaskał jej pełne piersi, jego palce igrały nabrzmiałymi sutkami. Wreszcie wniknął w nią, a ona zadrżała z rozkoszy.

Kochali się delikatnie i łagodnie w chłodnym jezioru, a w uszach mieli szum wodospadu. Jack obejmował Alienę poniżej brzucha, jego mistrzowskie ręce dotykały jej krocza, głaskały i naciskały, gdy wychodził i wchodził. Nigdy tego przedtem nie robili, nie kochali się w ten sposób, więc mógł pieścić jej najwrażliwsze miejsca jednocześnie, dawać rozkosz inną niż do tej pory przeżywała; tak jak ból kłujący jest odmienny od bólu przytępionego, ale może to dlatego, że czuła się tak smutna. Po chwili oddała się odczuwaniu. Intensywność narastała tak szybko, że orgazm ją zaskoczył, niemal przestraszył, przebiegały ją spazmy rozkoszy tak wstrząsające, aż krzyczała.

Został w niej, twardy, niezaspokojony, a ona łapała oddech. Trwał w niej, już się nie poruszał, ale zdała sobie sprawę, że nie osiągnął orgazmu. Po chwili zaczęła dodawać mu odwagi, ale nie odpowiadał. Odwróciła głowę i ponad swoim barkiem pocałowała go. Woda na jego twarzy okazała się ciepła. Płakał.

CZEŚĆ PIĄTA
1152-1155

Rozdział 14

I

Po siedmiu latach Jack ukończył budowę transeptów – dwu ramion krzyża, na którego planie budował kościół. Były dokładnie takie same, o jakich marzył. Rozwinął i ulepszył pomysły z Saint-Denis, czyniąc wszystko wyższe i węższe: okna, łuki i samo sklepienie. Wiązki trzonów kolumn wdzięcznie rosły przez galerię i stawały się żebrami sklepienia, wyginając się ku spotkaniu u szczytu stropu, a ostrołukowe okna zalewały wnętrze światłem. Profilowania gzymsów były cienkie i delikatne, a rzeźbione dekoracje tworzyły wybujałe kamienne liścianki.

W rzędzie świetlików pojawiły się pęknięcia.

W jasnym wiosennym poranku Jack stał wysoko, w pasie świetlnym, i spoglądał nad przepaścią północnego transeptu. Rysy wstrząsnęły nim i wprawiły w zakłopotanie. Według całej murarskiej wiedzy konstrukcja powinna być mocna, a rysa świadczy o słabości. Sklepienie, które zbudował, sięgało wyżej niż wszystkie, które widział, ale nie było za wysokie... Nie powtórzył błędu Alfreda i nie kładł kamiennego sklepienia na konstrukcji, która mogła nie wytrzymać jego ciężaru; ściany, które stawiał, zaprojektowane zostały do dźwignia

kamiennego sklepienia. Tymczasem rysy pojawiły się z grubsza w tych samych miejscach, co w murze Alfreda. Alfred źle wyliczył, ale Jack był pewny, że tego błędu nie popełnił. Pęknięcia w budowie Jacka musiały mieć inną przyczynę, ale on jej nie znał.

Rysy wypełniono zaprawą i jak dotąd nie pojawiły się ponownie. Budynek był bezpieczny. Lecz Jackowi przeszkadzała myśl, że w jego budowlę wkradła się jakaś niedoskonałość. Chciał, by jego kościół dotrwał do dnia sądu ostatecznego.

Zszedł krętymi schodami wewnętrznymi na galerię, gdzie w kącie zrobił sobie blat do kreślenia, miał tu bowiem doskonale światło z jednego z okien nad portalem północnym. Zabrał się do rysowania plinty pod filary nawy. Zaczął od rombu, potem kwadrat wpisany w pierwszą figurę, a wreszcie okrąg wpisany w kwadrat. Główne trzony filarów miały wychodzić z wierzchołków rombu i trzymać całą kolumnę, rozdzielając się na północ, południe, wschód i zachód, by stać się żebrami sklepienia. Trzony pomocnicze, wychodzące z wierzchołków kwadratu, będą przerastać w żebra sklepienia, biegnąc ukośnie, po przekątnej, sklepieniem nawy z jednej strony, a z drugiej sklepieniem nawy bocznej. Okrąg w środku przedstawiał rdzeń filara.

Wszystkie projekty Jacka opierały się na prostych figurach geometrycznych i kilku nie tak prostych proporcjach, jak na przykład kwadratowy pierwiastek z dwu do kwadratowego pierwiastka z trzech. W Toledo nauczył się wyliczania pierwiastków kwadratowych, ale większość budowniczych nie umiała tego robić i dlatego stosowali proste konstrukcje geometryczne. Wiedzieli, że jeśli okrąg został wpisany w kwadrat, to średnica okręgu była większa od boku kwadratu w stosunku pierwiastek kwadratowy z dwu do jedności. Ten stosunek, pierwiastek kwadratowy z dwu do jedności, był najstarszą formułą murarską, bo w zwykłym budynku oznaczało to stosunek szerokości zewnętrznej do szerokości wewnętrznej i w ten sposób dawało grubość ściany.

Zadanie Jacka komplikowała dodatkowo symbolika religijna niektórych

liczb. Przeor Philip postanowił zmienić nazwę kościoła. Chciał, aby katedra była pod wezwaniem Maryi Zawsze Dziewicy, bo Płacząca Madonna uczyniła więcej cudów niż grobowiec świętego Adolphusa. Wskutek tych zamierzeń życzył sobie, by Jack wykorzystywał przy budowie liczby dziewięć i siedem, będące właśnie symbolami Maryi. Tak tedy Jack zaprojektował nawę na dziewięć przęseł, a nowe prezbiterium, które zostanie zbudowane po zakończeniu wszystkich prac, na siedem przęseł. Ślepe arkady w nawach bocznych miały mieć po siedem łuków w przęśle, a w zachodniej fasadzie zaprojektował dziewięć ostrołukowych okien. Na temat teologicznego znaczenia liczb Jack nie miał zdania, lecz czuł instynktownie, że konsekwentne wykorzystanie symboliki liczbowej w efekcie doda harmonii ukończonemu budynkowi.

Zanim udało mu się skończyć rysunek, przybył mistrz dekarz z prośbą o pomoc w przewyciężeniu niespodziewanych trudności.

Jack poszedł krętymi schodkami na górę, minął świetliki i dostał się na poddasze. Przeszli po zaokrąglonych kopułach tego, co od spodu było sklepieniem żebrowym. Nad nimi dekarze rozwijali wielkie płachty ołowiu i przybijali je do krokwi. Zaczynali od dołu i przybijali je tak, by każda kolejna zachodziła na poprzednią. Dawało to dobre zabezpieczenie przed deszczem.

Problem, jaki napotkał mistrz dekarz, został natychmiast dostrzeżony przez Jacka. Chodziło o to, że Jack zaprojektował ozdobny pinakiel między dwoma spadami dachu, a mistrz murarski wykonując jego pomysł, zapomniał o miejscu na rynnę. Woda deszczowa powinna spływać obok wieżyczki lub pod nią, lecz nie było niczego do jej odprowadzania. Jack wydał stosowne polecenia, a potem wrócił do swojej deski.

Zdumiało go, kiedy zobaczył, że czeka tam na niego Alfred. Nie rozmawiał z Alfredem od dziesięciu lat. Widywał go z daleka, czasami, w Shiring lub w Winchesterze, a Aliena przez te dziewięć lat nie widziała go ani razu, chociaż według kościelnych zasad wciąż byli mężem i żoną. Martha odwiedzała brata w Shiring, w jego tamtejszym domu, mniej więcej raz w roku. Przynosiła zwy-

kle te same wieści: dobrze mu się wiedzie, buduje domy bogatym mieszczanom, mieszka sam, nic się nie zmienia.

Alfred jednak nie wyglądał na człowieka, któremu dobrze się powodzi. Jack pomyślał, że wydaje się raczej zmęczony i załamany. Zawsze był wysoki i silny, a teraz zeszcupłał, twarz mu wychudła, ręka zaś, którą odgarniał włosy przed oczu, zamiast dawnych mięśni ukazywała kości.

– Witaj, Jack – odezwał się.

Spoglądał jak zwykle agresywnie, ale ton jego głosu był przymilny. Niezbyt pociągające połączenie.

– Witaj, Alfredzie – ostrożnie odpowiedział Jack. – Ostatnio, kiedy cię widziałem, miałeś na sobie jedwabną tunikę i zaczynałeś tyć.

– To było trzy lata temu, przed pierwszymi kiepskimi zbiorami.

– Więc to tak. – Trzy kiepskie żniwa pod rząd spowodowały głód. Chłopi pańszczyźniani głodowali, wielu dzierżawców gospodarstw popadło w nędzę, a bogatych mieszczan w Shiring prawdopodobnie nie było stać na wspaniałe kamienne domy. Alfreda też to dotknęło boleśnie. – Co przywiodło cię do Kingsbridge po tak długim czasie?

– Usłyszałem o twoich transeptach i chciałem popatrzeć. – Jego głos wyrażał hamowaną admirację. – Gdzieś się nauczył tak budować?

– W Paryżu – rzekł krótko Jack. Nie chciał rozmawiać o tym okresie z Alfredem, który był przyczyną jego wygnania.

– Chciałbym tutaj popracować trochę, nauczyć się tych nowych sztuczek.

Te słowa zaskoczyły Jacka. Czyżby Alfred naprawdę miał czelność, by po tym wszystkim jeszcze prosić o pracę? Chcąc zyskać na czasie, zapytał:

– A co z twoimi ludźmi?

– Jestem sam – odrzekł Alfred, usiłując być uprzejmym.

– Tam nie było dość pracy dla moich ludzi.

– My i tak nie przyjmujemy – powiedział Jack, równie uprzejmie. – Mamy pełną obsadę.

– Ale dobrego murarza zawsze możesz wykorzystać, no nie? Jack usłyszał w jego głosie nutę błagania i uświadomił sobie, że musi być w desperacji. Postanowił pomówić z nim uczciwie.

– Po tym wszystkim, co było między nami, Alfredzie, jestem ostatnią osobą, do której powinienes się zwrócić o pomoc.

– Tak, jesteś ostatnią osobą – odpowiedział szczerze. – Próbowałem wszędzie, nikt nie zatrudnia. Jest głód.

Jack pomyślał o tych wszystkich czasach, kiedy Alfred go źle traktował, tyranizował, bił i szykanował. Alfred doprowadził do tego, że wstąpił do klasztoru, a potem do tego, że opuścił dom i rodzinę. Nie miał żadnego powodu, by Alfredowi pomagać, przeciwnie, miał okazję, by radować się jego nieszczęściem.

– Nie wzięłbym cię, nawet gdybym potrzebował ludzi.

– Myślałem, że mógłbyś – odrzekł Alfred z tępyim uporem. – W końcu, przyznaj, to mój ojciec nauczył cię wszystkiego, co umiesz. To dzięki niemu jesteś mistrzem budowniczym. Czy ze względu na to mi nie pomożesz?

Dla Toma. Nagle w Jacku odezwało się sumienie. Tom, na swój sposób, starał się być dobrym ojczymem, nie umiał być miły i wyrozumiały, ale traktował swe dzieci mniej więcej tak samo, jak traktował Jacka, a w przekazywaniu swych umiejętności i swej wiedzy był cierpliwy i hojny. Poza tym sprawił, że matka Jacka prawie cały czas była z nim szczęśliwa. No proszę, oto ja, zamożny mistrz u szczytu powodzenia, na drodze do spełnienia swego marzenia i zaspokojenia ambicji, czyli zbudowania najpiękniejszej katedry świata, i oto Alfred, biedny, głodny i bez pracy, myślał Jack. Czyż nie jest to wystarczająca zemsta?

– W porządku, przyjmuję cię ze względu na Toma.

– Dziękuję ci – odrzekł Alfred z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. – Mogę zacząć od razu?

Jack skinął głową.

– Kładziemy fundamenty pod nawę. Dołącz.

Alfred wyciągnął dłoń. Jack przez chwilę się zawahał, potem ją uściskał. Uścisk Alfreda był mocny jak dawniej.

Oddalił się. Jack stał i wpatrywał się w rysunek plinty. Wymiary były rzeczywiste, więc mistrz ciesielski będzie mógł wykonać wzorzec bezpośrednio z projektu. Będą go używać murarze przy znaczeniu kamienia do cięcia.

Czy ta decyzja okaże się dobra? Przypomniał sobie, że zrobione przez Alfreda sklepienie się zawaliło. Nie chciał jednak wykorzystywać Alfreda przy trudniejszych pracach, takich jak wykonywanie sklepień lub łuków. Domeną Alfreda były proste mury i podłogi.

Kiedy tak błędził myślami, zabrzmiał dzwon na obiad. Jack odłożył zaostrzony drut, służący mu do rysowania, i zszedł krętymi schodami.

Żonaci murarze szli na obiad do domu, a kawalerowie i wdowcy jedli w warsztacie. Na niektórych placach budów zapewniało wyżywienie, aby zapobiegać popołudniowym spóźnieniom, bumelanctwu i pijaństwu, ale wikt u mnichów nader często był spartański, przez co większość pracowników wolała żywić się sama. Jack mieszkał z Martha w dawnym domu Toma Budowniczego. Kiedy Aliena była zajęta, Martha zajmowała się także Tommym i drugim dzieckiem Jacka, córeczką imieniem Sally. Martha zwykle przygotowywała obiad dla niego i dzieci, a Aliena czasami do nich dołączała.

Jack opuścił klasztor i szybkim krokiem zmierzał ku domowi. Po drodze zdał sobie sprawę, że Alfred może wprowadzić się do domu z powrotem i zamieszkać ze swą siostrą. O tym nie pomyślał, kiedy dawał mu pracę.

Głupie obawy, doszedł do wniosku, kiedy już zbliżał się do domu. Przecież lata, kiedy Alfred go tyranizował, są odległą przeszłością. To on jest szefem budowy katedry w Kingsbridge i on decyduje o wszystkim.

Na pół oczekiwał, że zastanie go już przy kuchennym stole, więc kiedy okazało się, że go tam nie ma, poczuł ulgę. Aliena pilnowała, by dzieci zjadły jak należy, a Martha mieszała w garnku stojącym na ogniu. Gulasz jagnięcy tak

pięknie pachniał, że Jackowi pociekła ślinka.

Szybko pocałował Alienę. Miała teraz trzydzieści trzy lata, ale wyglądała jak dziesięć lat temu: jej bujne włosy były masą kasztanowatych loków, usta miała tak samo pełne, a oczy piękne. Jedynie nagość ujawniała skutki podwójnego macierzyństwa; jej cudowne pełne piersi nieco obwisły, biodra się poszerzyły, a brzuch nigdy nie wrócił do swej pierwotnej sprężystej płaskości.

Jack z czułością patrzył na dwa owoce ciała Alieny: dziewięcioletniego Tommy'ego i siedmioletnią Sally. Tommy, zdrowy rudzielec nad wiek wyróżniony, ładował gulasz do ust, jakby nie jadł od tygodnia; Sally miała ciemne kędziorzy jak matka, a kiedy się radośnie uśmiechnęła, pokazywała szczerbę w przednich zębach dokładnie taką samą, jaką Jack zobaczył u Marthy, kiedy ją poznał siedemnaście lat temu. Tommy każdego ranka chodził do szkoły przyklasztornej, by nauczyć się czytać i pisać, a że mnisi nie przyjmowali dziewczynek, więc Aliena sama uczyła córkę.

Jack usiadł, a Martha zdjęła garnek z ognia i postawiła na stole. Dziwna dziewczyna z tej Marthy, pomyślał Jack. Minęło jej już dwadzieścia lat, ale nie wykazywała żadnej chęci do zamążpójścia. Zawsze przywiązana do Jacka, teraz zdawała się w pełni kontentować rolę jego gospodyni.

Bez wątpienia przewodził on najdziwniejszej rodzinie w całym hrabstwie. On i Aliena byli ważnymi przedstawicielami społeczności miejskiej; on jako szef budowy katedry, a ona jako największa producentka tkanin wełnianych poza Winchesterem. Wszyscy traktowali ich, jakby byli mężem i żoną, mimo że wspólne spędzanie nocy było im wzbronione i mieszkali w oddzielnych domach, Aliena z bratem, a Jack z przybraną siostrą. W każdą niedzielę i święto po południu oboje znikali i wszyscy wiedzieli, w jakim celu. Oczywiście z wyjątkiem przeora Philipa. Tymczasem matka Jacka mieszkała w jaskini w lesie, bo uważano ją za czarownicę.

Ciągle jeszcze nie mógł poślubić Alieny. Często leżał bezsennie, słyszał pochrapywanie Marthy, dolatujące z sąsiedniego pokoju, i myślał, że ma dwa-

dzieńca osiem lat i dlaczego, u licha, musi spać sam! Po takiej nocy był w złym humorze, który okazywał przeorowi Philipowi, odrzucał wszystkie uwagi kapituły jako niepraktyczne lub nadmiernie kosztowne. Odmawiał nawet podejmowania dyskusji nad rozwiązaniami i kompromisami, jakby jedyną metodą zbudowania katedry był wyłącznie jego, Jacka, sposób. W takich okresach Philip starał się schodzić mu z drogi i przeczekiwać, aż burza przejdzie bokiem.

Aliena także była nieszczęśliwa, ale odgrywała się na Jacku. Stawała się niecierpliwa i nieznośna, ganiła wszystko, co zrobił, kładła dzieci do łóżka, kiedy tylko wchodził do domu, mówiła, że nie jest głodna, gdy on jadł. Po jednym czy dwóch dniach takiego zachowania wybuchała płaczem i powtarzała, że jest jej przykro, przepraszała, a potem już byli znowu szczęśliwi razem, dopóki napięcie ponownie nie okazywało się dla niej za wielkie.

Jack napełnił swą miskę gulaszem i zaczął jeść.

– Zgadnijcie, kto zawitał dzisiaj na plac budowy? – Nie czekając na odpowiedź, sam przekazał nowinę: – Alfred.

Martha z głośnym brzękiem upuściła żelazną pokrywkę garnka na obmurowanie paleniska. Jack spojrzał na nią; na jej twarzy malował się lęk. Odwrócił się do Alieny i zobaczył, że pobladła.

– A cóż on robi w Kingsbridge?

– Szuka pracy. Głód zubożył kupców w Shiring, jak się domyślam, i teraz nie budują już domów z kamienia. Alfred zwolnił swoich ludzi, a sam też nie może znaleźć pracy.

– Mam nadzieję, żeś mu zdrowo popędził kota – powiedziała Aliena.

– Stwierdził, że muszę mu dać pracę ze względu na Toma – przyznał się zdenerwowany Jack. Nie przewidywał tak ostrej reakcji obu kobiet. – W końcu Tomowi zawdzięczam wszystko.

– Gównu – syknęła Aliena, a Jack pomyślał, że takich wyrażen nauczyła się pewnie od jego matki.

– No cóż, i tak go przyjąłem.

– Jack! –jęknęła Aliena. – Jak mogłeś? Nie możesz temu diabłu pozwolić na powrót do Kingsbridge!

Sally zaczęła płakać. Tommy szeroko otwartymi oczyma wpatrywał się w matkę.

– Alfred nie jest diabłem – odparł Jack. – Jest głodny i bez grosza. Uratowałem go przez wzgląd na jego ojca.

– Nie powinienes mu współczuć, nie żałowałbyś go na pewno, gdyby ci kazał sypiać na podłodze u stóp swego łóżka jak psu przez dziewięć miesięcy.

– Pomyślałem, że patrzeć na niego, kiedy jest w takim stanie jak teraz, to wystarczająca zemsta – powiedział Jack.

– Ale dla mnie nie jest to zemsta wystarczająca – wybuchnęła Aliena. – Na Chrystusa, jesteś przeklętym durniem, Jacku Jacksonie! Czasem dziękuję Bogu, że nie jestem ci poślubiona!

Zabolało go to. Odwrócił wzrok. Wiedział, że naprawdę nie miała na myśli nic złego, ale gniewne słowa dotknęły go. Wziął łyżkę i zaczął jeść. Przełykanie nie bardzo mu szło.

Aliena poklepała Sally po główce i wsadziła jej do buzi kawałek marchewki. Dziewczynka przestała płakać.

Jack spojrział na Tommy'ego, który szeroko otwartymi oczyma ciągle patrzył na Alienę ze strachem.

– Jedz, Tommy – powiedział do niego. – To dobre.

Obiad dokończyli w milczeniu.

Na wiosnę tego roku, kiedy transepty były gotowe, przeor Philip wybrał się na objazd południowych posiadłości klasztoru. Po trzech latach nieurodzaju dobre żniwa były mu bardzo potrzebne, chciał więc sprawdzić, w jakim stanie znajdują się folwarki.

Zabrał ze sobą Jonathana. Sierota klasztorny teraz zmieniał się w wysokiego, niezgrabnego, rozumnego szesnastolatka. Podobnie jak w jego wieku Philip, ani przez moment nie cierpiał na niepewność związaną z wyborem swej ży-

ciowej drogi; ukończył już nowicjat i złożył śluby, teraz nosił imię brata Jonathana. Podobieństwo do Philipa przejawiało się także i w tym, że interesowała go bardziej materialna strona służenia Bogu, więc pracował jako zastępca Cuthberta Białogłowego, wiekowego klucznika. Philip był z chłopaka dumny: Jonathan okazał się pobożny, pracowity i wszyscy go lubili.

Ich eskortę stanowił Richard, brat Alieny. W końcu odnalazł swoje miejsce w Kingsbridge. Po wybudowaniu umocnień wokół miasta Philip zasugerował gildii parafialnej, by wyznaczyła Richarda na dowódcę straży, odpowiedzialnego za bezpieczeństwo miasta. Zaprowadził on warty nocne i dbał o utrzymanie murów miejskich, a w dni targowe i święta miał prawo aresztować awanturników i pijaków. Te zadania, nader ważne, od kiedy wieś stała się miastem, nie mogły być wykonywane przez mnichów; gildia parafialna tedy, którą początkowo Philip traktował jako zagrożenie dla swego autorytetu, okazała się wielce użyteczna. A Richard się cieszył. Miał teraz około trzydziestki, ale aktywne życie trzymało go w formie i wyglądał bardzo młodo.

Philip pragnął, by siostra Richarda również jakoś odnalazła swoje miejsce w życiu. Jeśli kiedykolwiek kogoś Kościół zawiódł, to tą osobą była właśnie Aliena. Kochała Jacka, ojca jej dzieci, ale Kościół upierał się, że jest poślubiona Alfredowi, mimo iż nie miała ona z nim nic wspólnego cieleśnie. Unieważnienia małżeństwa dostać nie mogła z powodu złej woli biskupa. To hańba, Philip wstydził się za to, choć to nie on odpowiadał za taki stan rzeczy.

Już pod koniec podróży, kiedy jasnym wiosennym porankiem jechali przez las do domu, młody Jonathan powiedział:

– Zastanawiam się, dlaczego Bóg dopuszcza, żeby ludzie głodowali.

Oto pytanie, które każdy młody mnich zadaje wcześniej czy później, a odpowiedzi na nie jest mnóstwo.

– Nie składaj odpowiedzialności za ten głód na Boga – odrzekł więc przeor.

– Ale to Bóg czyni pogodę, a ta ma wpływ na złe zbiory.

– Głód niekoniecznie jest skutkiem niedobrej pogody i złych zbiorów. Co

kilka lat zdarzają się marne zbiory, ludzie nie głodują. Tym, co wyróżnia kryzys, jaki przeżywamy teraz, jest to, że nastąpił on zaraz po długoletniej wojnie domowej.

– A dlaczego to powoduje różnicę? – pytał niestrudzony Jonathan.

Odpowiedział mu Richard.

– Wojna źle wpływa na gospodarzenie. Bydło wycinają armie, by się karmić, plony bywają palone na pniu, by nie dostał ich nieprzyjaciel, a dobra pustoszeją, kiedy rycerze idą walczyć.

– Myśmy nie wstrzymali tego typu robót – zauważył Jonathan.

– Klasztory różnią się od innych gospodarstw. Lecz podczas walk większość spośród zwykłych gospodarzy pozwala na rujnację swych ziem i zabudowań, a gdy potem zdarzy się jeszcze zła pogoda, nie mają dość sił, by jakoś przetrwać. Mnisi są bardziej przezorni, umieją patrzeć. My jednak mamy inny kłopot. Spadła cena wełny, a przyczyną tego jest głód.

– Nie widzę związku – stwierdził Jonathan.

– Przypuszczam, że z tego powodu ludzie przestali kupować ubrania. – Po raz pierwszy za pamięci Philipa zdarzyło się, że cena wełny nie urosła z roku na rok. Wskutek tego został zmuszony do zwolnienia tempa budowy katedry, przestał przyjmować do nowicjatu, a z pożywienia mnichów usunął mięso i wino. – Na nieszczęście oznacza to, że musimy jeszcze bardziej oszczędzać, właśnie teraz, kiedy coraz więcej popadłych w nędzę ludzi przychodzi do Kingsbridge w poszukiwaniu pracy.

– A zatem to dlatego przed klasztorem ustawiają się ludzie po czarny chleb i polewkę.

Philip ponuro skinął głową. Pękało mu serce, kiedy widział silnych mężczyzn zmuszonych do zebrania o chleb, bo nie mogli znaleźć pracy.

– Pamiętaj jednak, że przyczyną tego jest wojna, a nie zła pogoda.

Z młodzieńczym zapałem Jonathan powiedział:

– Mam nadzieję, że w piekle mają specjalne miejsce dla hrabiów i królów,

którzy powodują wojny, a przez nie taką nędzę!

– Mam też taką nadzieję. Wszyscy święci, nie opuszczajcie nas! A to co?

Z krzaków poszycia leśnego wypadła jakaś postać i na oślep runęła w kierunku mnicha. Ubranie w strzępach, włosy zmierzwione, a twarz czarna od brudu. Philip pomyślał, że ten nieszczęśnik zapewne ucieka przed rozwścieczonym zwierzęciem albo nawet niedźwiedziem.

Wtedy ów człowiek rzucił się na Philipa, który spadł z konia.

Atakujący wziął go pod siebie. Śmierdział jak jakieś zwierzę i głośno wydawał bezustannie nieartykułowane pochrząkiwania. Philip wił się i kopał. Napastnik próbował wyrwać mu sakwę, którą miał przewieszoną przez ramię. Przeor zdał sobie sprawę, że tamten chce go obrabować. W sakwie, poza książką z Salomonową *Pieśnią nad Pieśniami*, nie było nic. Philip rozpaczliwie chciał się uwolnić, nie tyle z tego powodu, że jakoś specjalnie był do książki przywiązany, ile dlatego, że tamten był ohydnie brudny.

Sakwa była jednak przywiązana rzemieniem, więc grabieżca nie mógł jej odczepić. Turlali się po ziemi, Philip próbował mu się wyśliznąć, a rabuś starał się nie wypuścić sakwy.

Nagle złodziej został poderwany do góry i zaczął wić się w uścisku Richarda. Philip przetoczył się, a potem przez chwilę zbierał się, by wstać. Zajęło mu to trochę czasu. Wdychał świeże powietrze, był wyczerpany i nieco oszołomiony. Czuł wielką ulgę, że już jest wolny od niezdrowego uścisku napastnika. Pomacał bolące miejsca. Nic sobie nie połamał. Popatrzył, co się dzieje.

Richard przydusił złodzieja płasko do ziemi i oparł jedną stopę między łopatkami mężczyzny, a czubek miecza u nasady jego karku. Jonathan trzymał dwa konie i wyglądał na przestraszonego.

Philip chwiał się na nogach, czuł się bardzo słaby. Pomyślał, że w wieku Jonathana mógłby spaść z konia i od razu wskoczyć z powrotem.

– Gdybyś przypilnował przez chwilę tę pluskwę, to złapałbym twego konia—powiedział Richard, podając przeorowi miecz.

– Dobrze – zgodził się Philip i ręką dał znak, że nie chce miecza. – Nie będę tego potrzebował.

Richard zawahał się, potem schował miecz do pochwy. Niedośzły grabieżca leżał spokojnie. Nogi wystające spod tuniki były cienkie jak patyki. Okazało się, że przeor wcale nie znalazł się w poważnym niebezpieczeństwie, bo ten człowiek był zbyt słaby, by stawać przeciw kurczakowi.

Złodziej zobaczył, że rycerz odchodzi, i spiął się. Philip poznał, że chce uciec. Odezwał się do niego:

– Chcesz jeść?

Podniósł głowę i popatrzył na mnicha jak na szaleńca. Philip podszedł do konia Jonathana i otworzył juki. Wyjął chleb i przełamał go, potem połowę dał grabieżcy. Ten niedowierzająco chwycił i natychmiast wsadził większość do ust.

Philip usiadł na ziemi i przyglądał się niedoszłemu złodziejowi. Ten człowiek jadł jak zwierzę, próbował połknąć, ile się da, zanim mu ktoś odbierze. Początkowo myślał, że to ktoś starszy, ale teraz, gdy mu się przyjrzał lepiej, zorientował się, że to człowiek młody, około dwudziestu pięciu lat.

Wrócił Richard, prowadząc konia. Oburzył go widok jedzącego napastnika.

– Dlaczego dałeś mu nasze jedzenie, ojcze?

– Bo umiera z głodu.

Richard nie powiedział nic, ale wyraz jego twarzy objawiał z wątpienie w umysłowe zrównoważenie mnichów.

Kiedy grabieżca zjadł chleb, Philip go spytał:

– Jak ci na imię?

Mężczyzna popatrzył ostrożnie. Wahał się. Przeor w jakiś sposób pojął, że tamten od dłuższego czasu nie używał ludzkiej mowy. W końcu powiedział:

– David.

Jeszcze nie oszalał, pomyślał Philip.

– Co ci się przydarzyło, Davidzie?

– Straciłem gospodarstwo po zeszłorocznych zbiorach.

– Kim był twój pan?

– To hrabia Shiring.

William Hamleigh. Nie było to zaskoczeniem dla Philipa.

Tysiące dzierżawców straciło zdolność płacenia swych należności po trzech kolejnych nieurodzajach. Swoim dzierżawcom Philip po prostu darował spłaty, bo jeśli jego ludzie popadną w nędzę, to i tak do klasztoru przyjdą po łaskę. Inni panowie, a szczególnie William Hamleigh, wykorzystywali nieurodzaje, by dzierżawców wyrzucać i odbierać im gospodarstwa. Skutkiem takich posunięć był wzrost liczby banitów w lasach i napadów na traktach. Dlatego Philip zawsze brał ze sobą Richarda jako przyboczną straż.

– A co z twoją rodziną?

– Moja żona zabrała dziecko i wróciła do matki. Ale dla mnie nie starczyło miejsca.

Znana historia.

– Grzechem jest podnosić rękę na mnicha, Davidzie, i źle jest żyć z kradzieży.

– Ale jak inaczej mam żyć?

– Jeśli zamierzasz zostać w lesie, lepiej łap ptaki i ryby.

– Ale ja nie wiem jak!

– Nie powiodło ci się jako rabusiowi, bo przecież nie miałeś szans, skacząc na nas trzech, wśród których jeden jest uzbrojony po zęby.

– Byłem w rozpacz.

– No cóż, następnym razem, gdy znajdziesz się w takim położeniu, to idź do klasztoru. Tam zawsze jest coś do jedzenia dla biednych. – Philip wstał. Gorzki smak obłudy wykręcał mu język. Wiedział, że klasztory prawdopodobnie nie byłyby w stanie wykarmić wszystkich banitów. Dla większości z nich jedynym możliwym wyjściem okazywała się kradzież. Tymczasem jego rola w życiu polegała na doradzaniu cnotliwego zachowania i rozgrzeszania.

Nic więcej dla tego nieszczęśnika nie mógł uczynić. Wziął wodze z rąk Richarda i wspiął się na siodło. Wiedział, że siniaki spowodowane upadkiem i bójką będą go bolały jeszcze kilka dni.

– Jedź i nie grzesz więcej – rzekł, posługując się słowami Jezusa, po czym popędził konia.

– Jesteś za dobry, ojcze, wiesz? – oświadczył Richard.

Philip smutnie potrząsnął głową.

– Prawdziwy kłopot z tym, że nie jestem dość dobry.

Którejś niedzieli przed Zielonymi Świątkami William Hamleigh ożenił się. To był pomysł jego matki.

Nakłaniała go latami, by znalazł sobie żonę i spłodził dziedzica, ale zawsze to odkładał. Kobiety go nudziły, a także jakimś sposobem, którego nie rozumiał, niepokoiły. Nie chciał nawet o tym myśleć. Zawsze powtarzał matce, że wkrótce się ożeni, ale nigdy się nawet nie starał.

W końcu to ona znalazła mu narzeczoną.

Miała na imię Elizabeth. Była córką Harolda z Weymouth, zamożnego rycerza i potężnego poplecznika Stefana. Matka wytłumaczyła Williamowi, że niewielkim wysiłkiem może dobrze się ożenić, bo chociaż mógłby poślubić hrabiankę, to skoro nic w tej sprawie nie czyni, to Elizabeth wystarczy.

William widział ją na dworze królewskim w Winchesterze, a matka zauważyła, jak spoglądał na nią. Elizabeth miała ładną buzię, masę jasnych kasztanowatych kędziorów, duże piersi i wąskie biodra; właśnie w typie Williama.

Miała czternaście lat.

Kiedy William przyglądał się jej, wyobrażał sobie, jakby to było, gdyby ją spotkał nocą i wziął siłą, gdzieś wśród ciemnych uliczek Winchesteru; myśl o małżeństwie nawet mu nie zaświtała. Matka jednakże szybko ustaliła, że jej ojciec nie byłby przeciwny, a sama dziewczynka jest posłusznym dzieckiem,

które zrobi, co się jej każe. Zapewniła syna, że nie spotka go żadne upokorzenie – czego doznał od Alieny – i urządziła spotkanie.

William denerwował się. Ostatni raz, kiedy się starał o rękę panny, był nie-doświadczonym dwudziestolatkiem, synem rycerza, i oświadczał się córce hrabiego, aroganckiej lady. Teraz zaś stał się okrzepłym w bitwach trzydziestolatkiem, który od dziesięciu lat był hrabią Shiring. Głupotą było denerwować się oświadczyniami czternastoletniej panience.

Skądinąd ona niepokoiła się jeszcze więcej. Rozpaczliwie chciała mu sprawić przyjemność. Podniecona opowiadała o domu i rodzinie, o swych koniach i psach, o krewnych, przyjaciółach i przyjaciółkach. Siedział w milczeniu, obserwował jej twarz i wyobrażał sobie, jak też wygląda nago.

Biskup Waleran dał im ślub w kaplicy na zamku, a potem nastąpiła wielka uczta, ciągnąca się przez resztę dnia. Zwyczajowo należało na taką uroczystość zaprosić wszystkich znaczących ludzi, bo William straciłby twarz, gdyby nie przygotował sutego poczęstunku. Sprawiono tedy trzy całe woły, całe tuziny owiec i świń; piekło się to wszystko na niższym dziedzińcu w trakcie fety, by jadła nie brakło i było świeże. Goście osuszali beczki wina, cydru i piwa. Rej wodziła matka Williama, a na swej zeszpeconej twarzy miała wyraz triumfu. Waleran stwierdził, że te prostackie zabawy są – jak dla niego – zbyt niesmaczne. Opuścił towarzystwo, kiedy stryj panny młodej zaczął opowiadać zabawne historyjki o nowożeńcach.

Panna młoda i pan młody o zmierzchu wycofali się do osobnej izby, zostawiając gości, by dalej bawili się sami. William bywał na tak wielu weselach, że wiedział, jakie pomysły mogą powstawać w głowach młodych gości, którzy nie skąpili sobie mocnych trunków. Postawił więc Waltera na straży przed drzwiami, które dodatkowo zamknął na sztabę, by im nie przerywano.

Zdenerwowana Elizabeth stała w komnacie.

– Ja nie wiem, co mam robić – powiedziała po prostu. – Będziesz musiał mi pokazać.

To nie było tak, jak sobie wyobrażał. Podeszedł do niej. Uniosła twarz, pocałował ją w miękkie usta. Jakoś ten pocałunek nie wywołał żadnego podniecenia.

– Rozbierz się i połóż na łóżku – rozkazał.

Przyglądał się jej, kiedy zdejmowała szaty. Okazała się całkiem pulchna. Jej spore piersi miały małe sutki, teraz naprężone. Baranek jasnokasztanowatych włosów tworzył piękny trójkąt. Podeszła posłusznie do łóżka i położyła się na plecach. William zrzucił z nóg buty. Usiadł na łóżku obok niej i ścisnął jej piersi. Miała miękką skórę. Ta słodka, posłuszna i uśmiechająca się dziewczyna w niczym nie przypominała wyobrażenia, które wysuszyło mu gardło pożądaniem kobiety w uścisku namiętności, jęczącej i pocącej się pod nim. Poczul się oszukany.

Wsadził rękę między jej uda, a ona rozchyliła je natychmiast. Wsunął palec do środka. Zachłysnęła się z bólu, po czym szybko powiedziała:

– Nie szkodzi. Nie mam nic przeciwko temu.

Zastanowił się, czy czasami nie zabiera się do tego źle. Mignęła mu w umyśle wizja całkowicie odmiennej sceny: leżeli oboje blisko siebie, dotykali się i rozmawiali, poznając się stopniowo. Jednakże, kiedy zachłysnęła się z bólu, wzbudziło to w nim pożądanie, więc wymiółł wątpliwości z myśli i jeszcze bardziej grubiańsko potraktował ją palcami. Przyglądał się jej twarzy, kiedy usiłowała w milczeniu znieść ból.

Wszedł na łóżko i ukląkł między jej nogami. Jeszcze nie w pełni się podniecił. Masował członek, by bardziej stwardniał, ale dało to niewielki efekt. To ten jej przeklęty uśmiech, to on robił z niego impotentą, tego był pewny. Wsadził jej drugi palec, a ona wydała lekki okrzyk bólu. Tak lepiej. Potem ta głupia suka znowu zaczęła się uśmiechać. Uświadomił sobie, że musi zetrzeć jej z twarzy ten durny uśmiech. Bez ostrzeżenia walnął ją z całej siły. Krzyknęła, a na wardze pokazała się krew. To było lepsze.

Uderzył ją znowu.

Zaczęła płakać.

Wtedy już było bardzo dobrze.

W następną niedzielę przypadały Zielone Świątki, kiedy to do katedry zwykle przychodziły tłumy. Nabożeństwo miał odprawiać biskup Waleran. Spodziewano się jeszcze więcej ludzi, bo pewnie każdy chciałby popatrzeć na nowe, dopiero co ukończone, transepty. Mówiono o nich – zachwycające. William zaś chciał pokazać małżonce lud, a temu ludowi – ją. Od czasu kiedy zbudowano mur, jego stopa nie postąpiła w Kingsbridge, ale Philip nie mógł go powstrzymać przed pójściem do kościoła.

Na dwa dni przed Zielonymi Świątkami zmarła matka Williama.

Miała około sześćdziesięciu lat. Zmarła nagle. Po piątkowym obiedzie zabrakło jej oddechu, poszła więc wcześniej do łóżka. Służąca obudziła go tuż przed świtem, by powiedzieć, że matka nie może oddychać. Wstał i zataczając się, poszedł do niej, przecierał twarz, by się dobudzić. Znalazł ją, gdy z wysiłkiem łapała ustami powietrze, nie radząc sobie z oddechem. Nie mogła mówić, a w oczach miała przerażenie.

Williama przestraszyły jej urywane zachłystywania i wytrzeszczone oczy. Patrzyła na niego, jakby pragnęła mu coś przekazać, a jednocześnie, jakby chciała, by coś zrobił. Bał się tak, że postanowił wyjść z jej komnaty. Odwrócił się i wtedy zobaczył służącą, która stała przy wejściu, i zawstydził się swego strachu. Zmusił się do ponownego spojrzenia na matkę. Jej twarz zdawała się ciągle zmieniać kształt w migającym świetle świecy. Chrapliwy, urywany oddech stawał się coraz głośniejszy, aż zaczęło mu się zdawać, że wypełnia mu całą głowę. Nie rozumiał, jakim sposobem ten oddech nie obudził całego zamku. Zatkął uszy rękoma, ale i tak słyszał. Miał wrażenie, że krzyczała, wylewając na niego szalone, pełne furii strofujące tyrady, podobnie jak wtedy, kiedy był chłopcem. Usta miała otwarte, oczy wytrzeszczone, włosy rozczochrane...

Przekonanie, że ona się czegoś domaga, rosło w nim, a on sam zaczynał czuć się coraz młodszy i mniejszy, dopóki nie opętało go to ślepe przerażenie, którego od dzieciństwa nie doświadczał, a które polegało na tym, że jedyna kochana osoba stawiała się wściekłym potworem. Zawsze tak było: mówiła mu, by przyszedł do niej albo żeby odszedł, albo żeby wsiadł na kuca, albo zsiadł. Kiedy zaś uznała, że podporządkowuje się jej zbyt wolno, zaczynała wrzeszczeć, a wtedy bał się za bardzo, by zrozumieć, o co jej chodzi, popadając w histeryczne osłupienie; ona wrzeszczała coraz głośniejsze, a on ślepił, głuchł i martwił ze strachu.

Tym razem było inaczej.

Tym razem to ona umierała.

Najpierw zamknęły się jej oczy. Wtedy William zaczął się uspokajać. Stopniowo jej oddech stawał się płytszy, a twarz szarzała mimo zaognionych wrzodów. Nawet świeca zdawała się płonąć słabiej, a poruszające się cienie już go nie straszyły. W końcu jej oddech po prostu się zatrzymał.

– Cóż – rzekł William – już jej dobrze, prawda?

Służąca wybuchnęła płaczem i wybiegła z komnaty.

Usiadł obok łóżka i patrzył w spokojną teraz twarz. Służąca przyprowadziła księdza, który gniewnie zapytał:

– Dlaczegoście mnie wcześniej nie wołali?

William zaledwie go dosłyszał. Został przy niej do wschodu słońca, potem służące poprosiły go, by wyszedł, bo one muszą „ułożyć ją”. Zszedł do wielkiej sali, gdzie rycerze, przybocznicy, duchowni i słudzy właśnie jedli śniadanie. Usiadł przy stole obok żony i wypił trochę wina. Jeden czy dwu rycerzy odezwało się do niego, powiedział też coś zarządca, ale William nie odezwał się w ogóle. W końcu nadszedł Walter i usiadł obok. Walter był z nim tyle lat, że orientował się, kiedy trzeba siedzieć cicho.

Po chwili William spytał:

– Konie gotowe?

Walter zdawał się zaskoczony.

– Po co?

– Na wyjazd do Kingsbridge. Zabierze nam to dwa dni, musimy wyruszyć dzisiaj rano.

– Nie przypuszczałem, że ruszymy, w tej sytuacji...

Z jakiegoś powodu zeźliło to Williama.

– Czy powiedziałem, że nie pojedziemy?

– Nie, panie.

– A zatem jedziemy.

– Tak, panie. – Walter wstał. – Natychmiast tego przypilnuję.

Wyruszyli późnym rankiem. William, Elizabeth i zwykły orszak rycerzy i przybocznych. William odbierał wszystko jak we śnie. Wydawało mu się, że krajobraz przesuwa się obok, zamiast dokoła. Posiniaczona i cicha Elizabeth jechała przy nim. Kiedy się zatrzymali, Walter zajmował się wszystkim. Przy każdym posiłku William skubał trochę chleba i wypijał kilka kubków wina. W nocy trochę podrzemał.

Katedrę zobaczyli z daleka ponad zielonymi polami. Tamta stara była niska, przysadzista, o okienkach małych jak zapuchłe oczy pod półokrągłymi łukami brwi. Ten nowy kościół wyglądał całkowicie odmiennie, chociaż jeszcze nie był ukończony. Wysoki, smukły, a okna zdawały się niemożliwie wielkie. Kiedy się zbliżyli, William dostrzegł, że przy tym nowym kościele budynki klasztorne jakoś skarłały, czego dawna katedra nie zdołała uczynić.

Trakt wypełniali jeźdźcy i piesi, wszyscy kierowali się do Kingsbridge. Na bożeństwo zielonoświątkowe cieszyło się powszechnym zainteresowaniem, wszyscy, którzy mogli, chętnie na nie przybywali. Przypadało przecież wczesnym latem, kiedy pogoda była piękna, a drogi suche. W tym roku gromadzili się tłumnie, przywabieni nowością budynku.

William i jego świta ostatnią milę pokonali kłusem, roztrzając na boki nieostrożnych pieszych, z tupotem przejechali zwodzony most. Kingsbridge we-

szło do grona najlepiej ufortyfikowanych miast Anglii. Otaczał je solidny kamienny mur z blankami, a tam, gdzie poprzednio z mostu wjeżdżało się prosto w główną ulicę, drogę zagraadzał kamienny barbakan z niezwykle ciężkimi, okutymi żelazem wrotami, teraz akurat otwartymi, ale niewątpliwie zamykano je na noc. Williamowi mgliście przemknęło przez myśl, że już nigdy nie uda mu się spalić tego miasta.

Kiedy jechał główną ulicą ku klasztorowi, przechodnie przyglądali mu się z natężeniem. Ludzie zawsze na niego patrzyli, nic dziwnego, był hrabią. Dziś jeszcze dodatkowo interesowali się młodą lady, jadącą u jego lewego boku. Po prawej był Walter, jak zawsze.

Wjechali na dziedziniec klasztorny i zsiadli przy stajniach. William zostawił konia Walterowi i odwrócił się, by spojrzeć na kościół. Wschodnia część, wierzchołek krzyża, znajdowała się po przeciwległej stronie dziedzińca i nie była widoczna. Część zachodnia jeszcze nie została wybudowana, ale jej kształt znaczyły na ziemi paliki i sznurki, a także fragmenty położonych już fundamentów. Pomiedzy tymi dwiema częściami stała owa nowość, ramiona krzyża, czyli transepty północny i południowy. Skrzyżowanie stanowiło jeszcze pustą przestrzeń. Okna naprawdę były tak wielkie, jak się wydawały z daleka. William nigdy w życiu nie widział czegoś podobnego.

– To fantastyczne – powiedziała Elizabeth, zazwyczaj milcząca.

William żałował, że ją wziął ze sobą.

Nieco oszołomiony, ruszył wzdłuż nawy, między palikami i sznurkami. Elizabeth podążała za nim. Pierwsze przęsło nawy już częściowo stało i wydawało się podtrzymywać wielki zaostrowany łuk, który tworzył zachodnie wejście do skrzyżowania. William przeszedł pod tym niewiarygodnym kątem i znalazł się w zatłoczonym skrzyżowaniu.

Nowy budynek zdawał się nierzeczywisty: za wysoki, zbyt smukły, zbyt wdzięczny i kruchy, by w ogóle mógł stać. Miało się wrażenie, że brakuje ścian, że nie ma nic, co by mogło w ogóle podtrzymywać sklepienie, poza deli-

katnymi filarami, które strzelały radośnie w górę. Podobnie jak wszyscy, William odchyłał głowę do tyłu, by patrzeć na filar biegnący wygiętym sklepieniem, by spotkać się z innym w zworniku, niczym nadmiernie wyrosłe gałęzie starych buków w lesie.

Rozpoczęło się nabożeństwo. Ołtarz ustawiono pośrodku prezbiterium, mnisi stanęli za ołtarzem, dzięki czemu całe skrzyżowanie i oba transepty zostały dla zgromadzenia, ale i tak tłum wylewał się na miejsce przyszłej nawy. William przepychał się przez ciżbę ku przodowi – gdyż przysługiwało mu miejsce tam właśnie – aż stanął przed ołtarzem wśród reszty wielmożów hrabstwa. Ci kiwali głowami i szeptali coś między sobą.

Polichromowany drewniany sufit starego prezbiterium wyglądał nader niezgrabnie w zestawieniu z wysokim wschodnim łukiem skrzyżowania. Widać było, że budowniczy zamierza rozebrać prezbiterium i przebudować tak, by pasowało do reszty świątyni.

Jak tylko ta myśl przebiegła przez głowę Williama, zobaczył Jacka Jacksona, mistrza budowniczego. Przystojny diabeł, przyznał w duchu. Z tą grzywą rudych włosów, w ciemnoczerwonej tunice, zdobionej haftem na skrajach i koło szyi, wyglądał jak arystokrata. Wydawał się zadowolony z siebie, bez wątplenia dlatego, że tak szybko wybudował te transepty i że wszyscy czuli się oszołomieni jego projektem. Za rękę trzymał chłopca, mniej więcej dziewięciolatka, podobnego do niego jak dwie krople wody. Wstrząśnięty William uświadomił sobie, że to musi być dziecko Alieny, i aż skręciło go z zawiści. W chwilę potem zobaczył samą Alienę. Stała odrobinę dalej, z boku za Jackiem, lekki uśmiech dumy błakał się na jej twarzy. Serce ścisnęło się Williamowi; piękna jak zawsze. Elizabeth to nędzna namiastka, blada imitacja pełnokrwistej Alieny. Dopiero teraz dostrzegł, że Aliena trzyma na ręku dziewczynkę. Przypomniał sobie, że przecież miała z Jackiem drugie dziecko, chociaż żyli bez ślubu.

William przyjrzał się jej uważnie. A jednak niezupełnie zachowała swą piękność: pojawiły się wyostrome linie koło oczu, a za uśmiechem dumy krył

się cień smutku. No tak, po tych wszystkich latach wciąż nie może poślubić Jacka, pomyślał z zadowoleniem. Biskup Waleran dotrzymywał obietnicy i stale sprzeciwiał się unieważnieniu jej małżeństwa. Ta myśl często pocieszała Williama.

W tym momencie biskup wznosił hostię. Zgromadzenie uklękło i spuściło głowy. To właśnie teraz chleb staje się Ciałem Chrystusowym; przemiana, która zawsze budziła w Williamie zgrozę, mimo iż nie miał pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi.

Skupił się przez chwilę na nabożeństwie, przyglądał się tajemniczym czynnościom księży, przysłuchiwał nic niemówiącym łacińskim frazom i mrucał znajome odpowiedzi. Owo trzymające go w zamgleniu uczucie trwało, a magiczny nowy kościół, gdzie słońce igrało blaskiem na niemożliwych kolumnach, sprzyjało wzmaganiu się odurzenia. Miał wrażenie, że jest we śnie.

Nabożeństwo zbliżało się ku końcowi. Biskup Waleran odwrócił się i skierował słowa do zgromadzonych.

– Pomódlmy się teraz za duszę hrabiny Regan Hamleigh, matki hrabiego Shiring, która zmarła piątkowej nocy.

Zaszumiało, kiedy ludzie usłyszeli tę nowinę, ale William ze zgrozą patrzył na biskupa. Zrozumiał, co matka próbowała mu przekazać w chwili śmierci. Prosiła, by sprowadził księdza, ale William nie posłał po niego. Patrzył, jak słabnie, widział, jak zamykają się jej oczy, słyszał, jak zamiera jej oddech, i zostawił ją, pozwolił jej umrzeć bez rozgrzeszenia. Jak mógł dopuścić do czegoś takiego? Już od piątku jej dusza była w piekle, cierpiała te wszystkie katusze, jakie matka opisywała mu tak obrazowo tyle razy. Nie doczekała się żadnych modlitw, które mogłyby jej pomóc! Serce Williama wypełniło poczucie winy, wydawało mu się, że przestaje bić. Przeraził się, że i on może skończyć bez księdza. Jak mógł dopuścić, by dusza matki trafiła do tego straszliwego miejsca, zniekształcona grzechami niczym jej twarz pokancerowana przez wrzody, podczas gdy tak tęskniła do pokoju niebieskiego?

– Cóż mam czynić? – powiedział głośno, a zaskoczeni ludzie w pobliżu odwracali w jego stronę głowy, dziwiąc się jego słowom.

Kiedy msza się skończyła, a mnisi wyszli procesją, William pozostał na kolanach przed ołtarzem. Reszta wiernych wychodziła z kościoła, ignorując hrabiego; wyszli wszyscy z wyjątkiem Waltera, który, jak zwykle, trwał obok, czuwając i oczekując. William modlił się z całej mocy, mając przed oczyma duszy obraz matki podczas *Ojciec nasz* i wszystkich strzępów modlitw i litanii. Po chwili zdał sobie sprawę, że są jeszcze inne rzeczy do zrobienia, które mogą pomóc jej duszy. Mógł zapalić świece, mógł zapłacić księżom i mnichom, by regularnie odprawiali msze w jej intencji, mógł nawet w tym celu postawić specjalną kaplicę. Ale wszystko, o czym myślał, wydawało mu się niewystarczające. Czuł, że matka potrzęsa głową, wygląda na zbolałą i niezadowoloną, rozczarowaną nim. Był pewien, że skarży się, pytając, jak długo ma tak cierpieć.

Poczuł rękę na swym barku i spojrzał w górę. Stał przed nim biskup Waleran, ciągle jeszcze odziany we wspaniałe szaty, które włożył na zielonoświątkową niedzielę. Czarne oczy wniknęły głęboko w duszę Williama, a on zrozumiał, że przed tym przeszywającym spojrzeniem nie ma żadnych tajemnic.

– Dlaczego płaczesz?

William zauważył, że ma mokrą twarz.

– Gdzie ona teraz jest?

– Odeszła, oczyszcza ją ogień.

– Czy to boli?

– Okropnie. Ale możemy skrócić męki naszych ukochanych w tym straszliwym miejscu.

– Zrobię wszystko! – zaszlochał William. – Tylko powiedz co?

Oczy Walerana błysnęły z chciwości.

– Zbuduj kościół. Taki sam jak ten. Zbuduj go w Shiring.

Ilekróć jechała przez dawne posiadłości ojca, zawsze ogarniała ją zimna furia. Wszystkie zaniedbane rowy, połamane płoty, opustoszałe i zwalone obory złościły Alienę; łąki, które niegdyś zasiewano, smuciły, a opustoszałe wsie łamały jej serce. Tego, co widziała teraz, nie powodowały wyłącznie nieurodzaje. Hrabstwo mogło wyżywić swych mieszkańców, nawet w tym roku, o ile rządzono by nim właściwie. Lecz William Hamleigh nie miał pojęcia o gospodarowaniu na powierzonych mu ziemiach. Hrabstwo dla niego było po prostu prywatną szkatułą, a nie posiadłością, mającą wykarmić tysiące ludzi. Kiedy jego poddani nie mieli żywności, przymierali głodem. Kiedy jego dzierżawcy nie mogli płacić czynszów, wyrzucał ich. Od czasu gdy nastał William, pola uprawne skurczyły się, bo ziemie wyrzuconych dzierżawców wracały do swej pierwotnej postaci. A on nie miał dosyć rozumu, by dostrzec, że takie działania kiedyś obrócą się przeciwko niemu.

Najgorsze zaś było to, że Aliena czuła się za to częściowo odpowiedzialna. Przecież to był majątek ojca, a jej i Richardowi nie udało się przywrócić go rodzinie. Gdy się poddali, a stało się to po mianowaniu Williama hrabią, i po tym, jak straciła wszystkie pieniądze, nic już nie można było zrobić, lecz uczucie zawodu doskwierało, bo nie zapomniała przysięgi danej ojcu.

Jechała wozem wyładowanym przędzą, traktem z Shiring do Winchesteru. Powoził krzepki woźnica z mieczem u boku, a ona przypominała sobie podróż tą właśnie drogą w towarzystwie ojca. Ojciec stale powiększał powierzchnię gruntów uprawnych, karczował lasy, osuszał mokradła. W złych latach zawsze odkładał ziarno siewne dla tych, którym się nie powiodło albo po prostu byli zbyt głodni, by zachować własne. Nigdy nie zmuszał dzierżawców do sprzedawania zwierząt czy pługów na spłaty, zdawał sobie bowiem sprawę, że jeśli to uczyni, w następnym roku nie będą mieli jak gospodarować. Ziemię szanował, dbając o jej urodzajność tak samo, jak dobry gospodarz dba o dobrą mleczną krowę.

Kiedykolwiek myślała o tamtych dniach, gdy był przy niej jej mądry, dum-

ny, surowy ojciec, poczucie straty powodowało ból niczym otwarta rana; kiedy ojca zabrakło, wszystko zaczęło iść źle. Wszystko, co czyniła po tym, jak zabrakło ojca, wydawało się puste, podobnie jak owo życie z Matthew na zamku, w urojonym świecie, jak wędrownica do Winchesteru, w próżnej nadziei zobaczenia się z królem, a nawet walka o zaopatrzenie Richarda, kiedy ten bił się w czasie wojny domowej. Osiągnęła to, co inni zwali powodzeniem; handlowała wełną i została zamożnym kupcem, lecz to dało jej tylko pozór szczęścia. Znalazła jedynie sposób na życie, zapewniający bezpieczeństwo i stabilizację, ale w głębi duszy pozostała zraniona i zagubiona. Póki w jej życiu nie pojawił się Jack.

Niemożność poślubienia Jacka rzucała cień na wszystko, zaczęła nawet nienawidzić przeora Philipa, którego kiedyś ceniła wysoko. To przecież on ją uratował, on pouczał. Od lat nie rozmawiała z nim przyjaźnie. Oczywiście nie było jego winą, że nie otrzymywała unieważnienia małżeństwa, lecz to on upierał się przy osobnym życiu jej i Jacka, a tego nie mogła mu wybaczyć.

Kochała dzieci, ale martwiła się o nie, bo wyrastały w tak nienaturalnej rodzinie – ojciec wychodził, gdy przychodziła pora kładzenia się do łóżek. Na szczęście nie objawiały niedobrych skutków takiej sytuacji. Tommy był dryblasowatym, dobrze wyglądającym chłopakiem, lubił grać w piłkę, ścigać się i chętnie bawił się w wojnę. Sally rosła jak słodka, rozważna dziewczynka, opowiadała różne historie swym lalkom i uwielbiała przyglądać się pracy ojca w jego warsztacie w kościele. Dla Alieny ich codzienne potrzeby i ich prosta miłość stanowiły jedyną normalność w jej dziwnym życiu.

Aliena oczywiście pracowała. Handlowała przez większą część swego dorosłego życia. Obecnie miała w różnych wioskach tuziny ludzi, którzy dla niej przędli i tkali. Kilka lat temu były ich setki, ale Aliena również odczuwała skutki głodu; nie miało sensu wytwarzanie większych ilości tkanin, niż można było sprzedać. Jeśli kiedyś poślubi Jacka, będzie chciała mieć własną pracę.

Przeor Philip twierdził, że anulowania mogą się spodziewać w każdej chwili.

li, ale oni czekali już siedem długich lat, w czasie których jedli wspólnie i wspólnie wychowywali dzieci, ale sypiali oddzielnie.

Nieszczęście Jacka odczuwała bardziej boleśnie niż własne. Uwielbiała go. Nikt o tym nie wiedział, może jedynie jego matka, która wiedziała wszystko. Aliena kochała go, bo przywrócił ją życiu; była jak poczwarka w kokonie, a on pokazał jej, że jest motylem. Spędziłaby całe życie, nie znając kwiatów i cierni miłości, gdyby nie przyszedł na jej tajemną polankę i nie podzielił się z nią swymi opowieściami i poematami, i nie pocałował jej tak lekko, a potem, gdyby tak powoli, delikatnie nie obudził jej miłości drzemiącej w głębi zboląłego serca.

Okazał się taki cierpliwy, taki wyrozumiały, pomimo swego młodego wieku. Za to kochać go będzie zawsze.

Kiedy tak podróżowała przez las, zastanawiała się, czy nie odwiedzić Ellen. Czasami ją widywała na jarmarkach w różnych miastach, a raz do roku Ellen wślizgiwała się ukradkiem do Kingsbridge o zmierzchu i spędzała noc ze swymi wnukami. Aliena czuła jakieś pokrewieństwo z nią; obie nie pasowały do ogólnie przyjętych wzorów. Jednakże minęła las, nie zobaczywszy się z Ellen.

Teraz jechała wśród uprawnych gruntów. Przyglądała się dojrzewającym na polach zbożom. Zbiory oszacowała jako niezłe. Lato nie było najlepsze, często padało i było chłodno, ale nie przydarzyły się powodzie, które poniszczyły ostatnie trzy zbiory. Aliena czuła za to wdzięczność. Tysiące ludzi żyło na granicy śmierci głodowej i następna sroga zima zabiłaby wielu z nich.

Woły napoiła w stawku pośrodku wioski zwanej Monksfield, Mnisze Pole, należącej do włości hrabiego. Leżała na najurodzajniejszych ziemiach, miała własnego księdza i kamienny kościół. Jednakże zaledwie połowa żywnych pól okalających wioskę została obsiana w tym roku – pokrywała je teraz żółta pszenica – a na reszcie gruntów rosły wybujałe chwasty.

Przy stawie zatrzymało się dwoje innych podróżnych; poili swe konie. Aliena popatrywała na nich ostrożnie. Czasem dobrze było stowarzyszyć się

z obcymi w celu wspólnej obrony, ale dla kobiety mogłoby to się okazać ryzykowne. Aliena zauważyła już, że kiedy była sama z woźnicą, ten ulegle wykonywał jej polecenia, ale gdy jakiś inny mężczyzna pojawiał się przy nich, skłonny był do nieposłuszeństwa.

Okazało się, że jedną z osób pojących konie w stawie Monksfield była kobieta. Aliena poznała ją. To lady Elizabeth, żona Williama Hamleigha.

Była przestraszona i wyglądała żałośnie. Towarzyszył jej zbrojny mąż, najwyraźniej jej straż przyboczna. Taki byłby mój los, gdybym wyszła za Williama Hamleigha, pomyślała Aliena. Dzięki Bogu, że się zbuntowałam.

Przyboczny krótko odklonił się woźnicy i zignorował Alienę. Postanowiła nie proponować wspólnego odpoczynku.

Tymczasem niebo zaciągnęło się czarnymi chmurami, a ostry wicher sma-gnął raz i drugi.

– Letnia burza – zwięźle rzekł woźnica Alieny.

Spojrzała z niepokojem na niebo. Nie miała ochoty zmoknąć, ale burza mogła zwolnić jazdę tak, że o zmroku znaleźliby się w otwartym polu. Spadły pierwsze krople deszczu. Muszę poszukać schronienia, zdecydowała niechętnie.

Lady Elizabeth zwróciła się do swego strażnika.

– Lepiej zostańmy tutaj jakiś czas.

– Nie możemy – odrzekł grubiańskim tonem. – Taki jest rozkaz hrabiego.

Alienę oburzył sposób, w jaki zwracał się do dziewczyny.

– Nie bądź durniem! – rzekła. – Masz opiekować się swą panią!

Mężczyzna popatrzył na nią zaskoczony.

– Co cię to obchodzi?

– Zbliża się oberwanie chmury, idioto – oznajmiła swym najbardziej arystokratycznym tonem. – Nie możesz pozwolić swej pani, by odbywała podróż w taką pogodę; za taką głupotę twój pan każe cię wychłostać. – Aliena zwróciła się do lady Elizabeth, która przyglądała się jej z ożywieniem, wyraźnie ucieszona, że ktoś stanął w jej obronie. Zaczęło padać coraz bardziej. Aliena podjęła

szybką decyzję. – Chodź ze mną, pani.

Zanim strażnik zdołał coś powiedzieć, wzięła ją za rękę i obie skierowały się w stronę domostwa. Młodziutka hrabina szła chętnie, zadowolona jak dzieciak zwolniony z lekcji. Alienie przyszło na myśl, że strażnik może ruszyć za nimi i porwać swą panią, lecz właśnie w tej chwili błysnęło, a deszcz zamienił się w ulewę. Aliena puściła się biegiem, ciągnąc Elizabeth za sobą, i tak przebiegły podwórzec drewnianego domu, stojącego obok kościoła.

Drzwi stały otworem. Aliena sądziła, że to plebania, i nie myliła się. Kiedy weszły, stanął przed nimi zrzędlawy mężczyzna z nieprzystępnym wyrazem twarzy. Zdawała sobie sprawę z tego, że obowiązek gościnności dla wielu księży parafialnych był ciężarem, szczególnie teraz. Przewidując jego opór, powiedziała twardo:

– Moi towarzysze i ja potrzebujemy schronienia.

– Witam was – wycedził ksiądz.

Dom był dwuizbowy z przybudówką dla zwierząt. Chociaż zwierzęta trzymano w osobnym pomieszczeniu, nie lśnił czystością. Na stole stała baryłka wina. Mały pies jazgotał zaciekle, kiedy siadały, krzyż na piersi księdza dyndał spokojnie.

Elizabeth ścisnęła ramię Alieny.

– Dziękuję ci bardzo. – W jej oczach pojawiły się łzy wdzięczności. – Ranulf zmusiłby mnie do dalszej jazdy, nigdy mnie nie słucha.

– To drobiazg. Ci wielcy, silni mężczyźni zwykle są w duszy tchórzami. – Aliena przypatrywała się uważnie tej nieszczęsnej dziewczynie, trochę do niej podobnej.

– Jestem Elizabeth z Shiring. A ty?

– Na imię mi Aliena. Jestem z Kingsbridge. – Wstrzymała oddech, zastanawiając się, czy Elizabeth zna to imię i czy zdaje sobie sprawę, że to ona była tą kobietą, która odrzuciła Williama.

Lecz hrabina okazała się za młoda, by takie rzeczy pamiętać, i nie wiedzia-

ła o skandalu, rzekła tylko:

– Ależ niezwykle imię!

Niechlujna kobieta o płaskiej twarzy i gołych pulchnych rękach, w których trzymała kubki, z wyzywającą miną zaproponowała wino. Aliena domyśliła się, że to gospodyni księdza, a właściwie jego żona. Pewnie nazywał ją gospodynią, skoro formalnie małżeństwa duchownych były zakazane. Zmuszanie mężczyzn, by odpychali swoje kobiety, było okrutne i przynosiło hańbę Kościołowi. Choć większość ludzi uważała, że księża powinni żyć w czystości, to w konkretnych sytuacjach ci sami ludzie traktowali takie sprawy z pobłażliwością, najczęściej ze względu na to, że znali ową kobietę. Kościół także musiał przymykać oko na takie związki. Aliena pomyślała, że ta kobieta powinna być wdzięczna losowi, że mieszka ze swym mężczyzną.

Strażnik i woźnica weszli, włosy mieli mokre. Ranulf stanął przed Elizabeth i powiedział:

– Nie możemy się tu zatrzymać.

– Dobrze – powiedziała hrabina, pośpiesznie wstając.

– Siadaj. – Aliena pociągnęła ją z powrotem. Stała przed Ranulfem i grożąc mu przed nosem palcem, powiedziała:

– Jeśli usłyszę od ciebie jedno tylko słowo, zwołam mieszkańców wioski i każę im bronić przed tobą hrabinę Shiring. Oni wiedzą, jak odnosić się do swej pani, a ty nie.

Widziała, jak Ranulf waży szanse. W razie starcia, z Alieną i Elizabeth by sobie poradził, gdyby nawet dołączyli woźnica i ksiądz. Ale wmieszanie się wieśniaków mogłoby sprawić kłopoty... Na koniec rzekł:

– A może hrabina wolałaby ruszyć. – Popatrzył napastliwie na Elizabeth.

Dziewczyna wyglądała na przestraszoną.

– No cóż, wasza miłość, Ranulf pokornie prosi, byś wyraziła swą wolę – ironicznie mruknęła Aliena.

Elizabeth popatrzyła na nią.

– Po prostu powiedz mu, czego sobie życzysz – dodawała jej odwagi. – Jego obowiązkiem jest spełnić twoje życzenie.

Taka postawa Alieny rzeczywiście dodała Elizabeth odwagi. Wzięła głęboki oddech i powiedziała:

– Odpocznijemy tutaj. Idź zająć się końmi, Ranulfie.

Chrząknął potwierdzająco i wyszedł.

Elizabeth przyglądała się temu wyjściu w osłupieniu.

– Leje jak z kutasa – oznajmił woźnica.

Ksiądz zmarszczył się na wulgarnie wyrażenie.

– Jestem przekonany, że skończy się po prostu zwykłym deszczem – stwierdził z przesadną skrupulatnością.

Odgłos deszczu przeszedł w głośnie dudnienie. Aliena wyjrzała przez otwarte drzwi. Kościół znajdował się tylko o kilka jardów dalej, ale ulewa już zasłoniła jego widok. Wyglądało to na nawałnicę.

– Czy wóz jest pod dachem? – zwróciła się do woźnicy.

– Razem ze zwierzętami – przytaknął.

– Dobrze. Nie chciałabym, by mi się przedza sfilcowała.

Ranulf wrócił, ociekał wodą.

Błysnęło, a zaraz potem rozległ się grzmot.

– Dla zbiorów to nic dobrego – ponuro powiedział ksiądz.

Miał rację. Zbiory potrzebowały trzech tygodni słońca, nie ulewy. Niebo przecięła kolejna błyskawica i rozległ się przeciągły grom, a poryw wiatru wstrząsnął drewnianym budynkiem. Zimne krople upadły Alienie na głowę, spojrzała w górę i zobaczyła przeciekającą strzechę. Przesunęła się. Deszcz zacinał przez otwarte drzwi, ale wyglądało na to, że nikt nie kwapi się do ich zamknięcia; Aliena wołała patrzeć, jak pada, a chyba inni też.

Zerknęła na Elizabeth. Miała pobladłą twarz. Aliena objęła ją ramieniem. Drżała, choć nie było zimno.

– Boję się – szepnęła dziewczyna.

– To tylko burza – rzekła Aliena.

Na zewnątrz zrobiło się bardzo ciemno. Pomyślała, że pewnie zbliża się pora kolacji, a potem uświadomiła sobie, że jeszcze nie jadła obiadu, było dopiero południe. Wstała i podeszła do drzwi. Niebo przybrało kolor ołowianoszary. Nigdy takiej dziwnej pogody nie doświadczyła w lecie. Wicher gnał silnymi porywami. Światło błyskawic pozwalało ujrzeć liczne przedmioty, które przelatywały niesione wiatrem przed wejściem do domu: derka, mały krzak, drewniana miska, pusta baryłka.

Odwróciła się ze zmarszczonymi brwiami i usiadła ponownie. Zaczynała się trochę niepokoić. Dom zatrzęsł się znowu. Główny słupek, który podtrzymywał więźbę dachu, giął się. Ten dom był jednym z najlepiej zbudowanych domów w wiosce, jeśli więc on się chwiał, to biedniejsze pewnie były już o krok od zawalenia. Popatrzyła na księdza.

– Jeśli się jeszcze pogorszy, to będzie ksiądz musiał zebrać wszystkich i schronić się w kościele.

– Nie wyjdę na tę nawałnicę – powiedział duchowny z krótkim uśmiechem.

Aliena popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

– To twoja trzódka, ty jesteś ich pasterzem.

Ksiądz zmierzył ją wzrokiem bezczelnie.

– Odpowiadam przed biskupem Kingsbridge, nie przed tobą, więc nie będę robić z siebie durnia tylko dlatego, że ty tego chcesz.

– To przynajmniej schroń sprzężaj.

Najcenniejszym majątkiem we wsi takiej jak ta był zaprzęg orny, składający się z ośmiu wołów ciągnących pług. Bez nich chłopci nie byliby w stanie uprawiać swej ziemi. Nikt z pojedynczych chłopów nie mógłby utrzymać własnego sprzężaju, stanowił on wspólną własność. Ksiądz z pewnością doceniał jego znaczenie, bo przecież ten sprzęt stanowił podstawę jego zamożności.

– Tu nie ma sprzężaju.

– Dlaczego? – Zdziwiło ją to.

– Musieliśmy sprzedać woły, by zapłacić czynsz. Sprzedaliśmy cztery, a potem zabiliśmy pozostałe, by mieć w zimie mięso.

To tłumaczyło, dlaczego obsiano tylko połowę pól. Mogli uprawiać jedynie lżejsze gleby, wykorzystując konie lub ludzi jako siłę pociągową. Ta sytuacja ją rozgniewała. Ze strony Williama takie postępowanie było zarówno okrutne, jak i głupie, ponieważ chłopci musieli sprzedać sprzężaj, by zapłacić należności, nie mogli uprawić dość ziemi i nie zdołaliby uiścić czynszu, gdyby nawet pogoda okazała się dobra. Zastanawiając się nad tym, Aliena najchętniej udusiłaby Williama, tak była zagniewana.

Kolejne potężne uderzenie wiatru runęło na dom. Raptem jedna część dachu drgnęła, potem podniosła się o kilka cali, oderwała od ściany. Przez powstałą szczelinę Aliena zobaczyła czarne niebo i zygzak błyskawicy. Kiedy tylko podmuch osłabł, zerwała się na równe nogi. W tym samym momencie strzacha trzasnęła i odłączyła się od podpierających ją słupków. Robiło się niebezpiecznie. Aliena zwróciła się do księdza, przekrzykując huk nawałnicy:

– Przynajmniej otwórz drzwi kościoła!

Niechętnie się jej podporządkował. Wyjął klucz z kufierka, włożył opończę, wyszedł i zniknął w strumieniach deszczu. Aliena jęła organizować pozostałych.

– Woźnico, zaprowadź wóz i woły do kościoła. Ranulf, weź konie. Elizabeth, ty idziesz ze mną.

Włożyły opończe i wyszły. Dał potężny wicher, więc trzymały się za ręce, by utrzymać równowagę. Jakoś przeszły przez cmentarz. Deszcz zamienił się w grad, wielkie czarne grudy lodu rozbijały się o nagrobne kamienie. Aliena dostrzegła jabłoń nagą jak w zimie, bo zawierucha zerwała jej liście i owoce. Tego roku nie będzie wiele jabłek, pomyślała.

Wkrótce dotarli do kościoła i weszły do środka. Nagła cisza spowodowała, że poczuli się tak, jakby ogłuchli. Wiatr wciąż wył, a deszcz czy grad bębnił

o dach, co chwila uderzał grom, ale to działo się teraz gdzie indziej. Niektórzy wieśniacy byli już w kościele, przemoczone opończe lepiły się do ciał. Swój dobytek wzięli ze sobą: kurczęta w workach, powiązane świniaki, krowy na postronkach... W kościele było ciemno, lecz wewnątrz wystarczająco oświetlały błyskawice. Po kilku chwilach woźnica wprowadził do kościoła zaprzęg Alieny, a za nim wszedł Ranulf z końmi.

– Zaprowadźmy zwierzęta do zachodniego skrzydła, a ludzie niech gromadzą się we wschodnim, zanim kościół zamieni się w stajnię – Aliena zwróciła się do księdza.

Wyglądało na to, że wszyscy akceptują przywództwo Alieny, więc ksiądz podporządkował się, kiwając głową. Oboje ruszyli, duchowny poszedł rozmówić się z mężczyznami, a Aliena z kobietami. Stopniowo ludzie i zwierzęta się rozdzielili. Kobiety wzięły dzieci do niewielkiego prezbiterium, a mężczyźni przywiązywali zwierzęta do kolumn nawy. Konie się ploszyły, toczyły oczami i stawały dęba. Wszystkie krowy pokładły się na ziemi. Wieśniacy skupili się rodzinami i zaczęli podawać sobie jedzenie i napitki. Przyszli przygotowani na dłuższy pobyt.

Taka silna burza, pomyślała Aliena, musi szybko przejść. Tymczasem nawałnica wciąż się nasilała. Podeszła do okna. Oczywiście, nie było w nim szkła, ale jakaś tkanina, teraz zwisająca w strzępach. Aliena podciągnęła się do parapetu i wyjrzała, lecz zobaczyła jedynie deszcz.

Wiatr stawał się coraz silniejszy, zawodził i jęczał tak, że zaczęła się zastanawiać, czy ten kościół na pewno jest bezpiecznym miejscem. Dyskretnie go obeszła. Spędziła dostatecznie dużo czasu z Jackiem, by wiedzieć, która murarska robota jest zła, a która dobra. Ulżyło jej, gdy przekonała się, że ta tutaj wykonana została starannie. Nie było pęknięć. Budowlę wzniesiono z ciętego kamienia, a nie z gruzu.

Gospodyni księdza zapaliła świeczkę. Było tak ciemno, że wydawało się, iż zapadła noc. Dzieci, zmęczone bieganiem tam i z powrotem po nawach bocz-

nych, zwijały się w kłębek pod opończami, by zasnąć. Kury chowały łebki pod skrzydła.

Elizabeth i Aliena usiadły obok siebie na podłodze i oparły się o ścianę.

Alienę pożerała ciekawość; intrygowała ją dziewczyna, która przyjęła na siebie rolę żony Williama, rolę, którą ona odrzuciła siedemnaście lat temu. Nie mogąc się powstrzymać, zapytała:

– Kiedyś, jako mała dziewczynka, znałam Williama. Jaki jest teraz?

– Brzydę się nim – odpowiedź była krótka. – Jak go poznałaś?

Aliena uświadomiła sobie, że sama wywołała to pytanie.

– Byłam mniej więcej w twoim wieku, kiedy miałam zostać jego żoną.

– Niemożliwe! Jak tego uniknęłaś?

– Odmówiłam i mój ojciec mnie poparł. Potem było wielkie zamieszanie...

Spowodowałam niechcący okropny rozlew krwi. No, ale to przeszłość.

– Odmówiłaś mu! – Elizabeth wyraźnie to poruszyło.

– Jesteś taka odważna! Chciałabym być do ciebie podobna.

– Nagle znowu zaczęła wyglądać na załamana. – Lecz ja nie umiem nawet przeciwstawić się sługom.

– Mogłabyś, wiesz?

– Ale jak? Oni po prostu nie zwracają na mnie uwagi, bo mam tylko czternaście lat.

Aliena starannie przemyślała sprawę, potem odpowiedziała możliwie zrozumiale:

– Na początek musisz zacząć przekazywać wolę twego męża. Rankiem pytaj, czego sobie życzy na śniadanie i na pozostałe posiłki, kogo chce widzieć, z kim się spotykać, na którym koniu jeździć, w ogóle, co tylko wymyślisz. Potem idź do kucharza, zarządcy, stajennego, przekaż im rozkazy hrabiego. Twój mąż będzie ci za to wdzięczny, a zły na każdego, kto ośmieli się ciebie zlekceważyć. Potem zapamiętaj, kto ze służby spełniał twoje polecenia z zapalem, a kto niechętnie. Powoli ludzie przywykną do ciebie i tego, że mają robić, co im

kazesz. Wtedy postaraj się, by ci, co chcieli pomóc, mieli się lepiej, na przykład dawaj im te prace, które lubią, i postaraj się, by tym niechętnym przypadła cała brudna robota. Wówczas służba przekona się, że warto pomagać hrabinie. Poza tym bardziej będą kochać ciebie niż Williama, którego i tak trudno lubić. Ostatecznie zyskasz możliwość przeprowadzenia swojej woli. Większość hrabin tak czyni.

– Kiedy mówisz, to wydaje się łatwe.

– Nie, to nie jest łatwe, lecz jeśli będziesz cierpliwa i nie będziesz tracić odwagi, zdołasz to zrobić.

– Myślę, że mi się uda – powiedziała stanowczo Elizabeth.

– Naprawdę, powinno mi się udać.

Wreszcie się zdrzemnęły. Wicher wył i budził Alienę co chwila. Wtedy rozglądała się dokoła. Widziała, że większość dorosłych czyni to samo co ona, czyli siedzi pod ścianami i drzemie, co jakiś czas podrywając głowy.

Musiało być około północy, kiedy się przebudziła pełna niepokoju. Uświadomiła sobie, że pospała tym razem z godzinę. Niemal wszyscy wokół zasnęli mocno. Położyła się na podłodze i ciasno owinęła opończą. Burza nie ustawała, ale potrzeba snu przytłumiła lęk. Odgłosy deszczu zacinającego w ściany kościoła przypominały fale przyboju, ale zamiast ją rozbudzić, ukołysały do snu.

Jeszcze raz obudziła się z gwałtownym drgnieniem. Zaczęła się zastanawiać, co ją wyrwało ze snu. Nastawiła uszu: cisza. Koniec burzy. Przez okno wpadło szare światło. Wszyscy wieśniacy mocno spali.

Aliena wstała. Ten ruch obudził Elizabeth, która natychmiast oprzytomniała.

Obie pomyślały o tym samym. Podeszły do drzwi kościoła, otworzyły je i wyszły na zewnątrz.

Deszcz ustał, a wiatr zelżał do słabych podmuchów. Słońce jeszcze nie świeciło, a niebo przybrało perłowoszarą barwę świtu. Aliena i Elizabeth rozejrzały się w czystym, wilgotnym powietrzu.

Wioski nie było.

Poza kościołem nie widziały żadnego stojącego budynku. Cały teren stał się płaski. Kilka ciężkich bali opierało się o ścianę kościoła, a poza tym jedynie obmurówki palenisk wskazywały miejsca, gdzie były kiedyś domy, tylko one bowiem wyróżniały się w morzu błota. Na brzegach tego, co kiedyś było wioską, sterczało kilka starych drzew, pięć czy sześć dębów i kasztanowców, choć widać było, że i im brakuje konarów. Młode drzewka zniknęły.

Oślupiałe na widok tak doszczętnego zniszczenia, ruszyły tym, co przedtem było drogą. Na ziemi leżały szczątki drewna i martwe ptaki. Podeszły do najbliższego pola pszenicy. Wyglądało tak, jakby niesamowicie wielkie stado bydła tratowało je i tarzało się w nim przez całą noc. Dojrzewające źdźbła pszenicy zostały położone, połamane, powyrywane i wymyte. Gleba przesiąknięta wodą stała się po prostu błotem.

Alienę ogarnęło przerażenie.

– O Boże – wymamrotała. – Co ludzie będą jeść?

Torowały sobie drogę przez ten łąn. Szkody wszędzie były takie same. Weszły na niskie wzgórze i przyjrzały się polom wokół. Gdziekolwiek skierowały wzrok, widziały zrujnowane domy, zniszczone łąny, martwe owce, połamane i powyrywane drzewa, zalane wodą łąki... To zniszczenie było przerażające, wypełniło Alienę poczuciem tragedii. To tak jakby ręka Boga sięgnęła ziemi i uderzyła w Anglię, niszcząc wszystko, co zrobili ludzie, poza kościołami – pomyślała.

– To okropne – odezwała się Elizabeth. – Nie potrafię uwierzyć, że to prawda. Nic nie zostało.

Aliena ponuro kiwnęła głową.

– Nic – powtórzyła. – W tym roku nie będzie żadnych żniw.

– Co ci ludzie zrobią?

– Nie wiem. – Czując mieszaninę współczucia i strachu, powiedziała na pół do siebie: – Ta zima będzie krwawa.

II

Jakieś cztery tygodnie po tej wielkiej burzy Martha poprosiła Jacka o pieniądze. Dla niego było to zaskoczeniem. Do tej pory dawał jej sześć pensów na dom, wiedział też, że Aliena dawała jej tyle samo. Za tuzin pensów miała wyżywić przez tydzień czworo dorosłych i dwoje dzieci, a także zaopatrzyć dwa domy w opał i sitowie. Wiedział jednak, że wiele dużych rodzin miało na wszystko tylko sześć pensów. Zapytał więc, na co potrzebuje więcej pieniędzy.

To pytanie zakłopotало ją.

– Wszystko podrożało. Piekarz chce pensa za czterofuntowy bochenek, a...

– Pensa! Za czterofuntowca? – Jack był oburzony. – Możemy zrobić piekarnik i piec sobie sami!

– Wiesz, ja czasami i tak piekę chleb w rynce...

– No, właśnie – Jack uświadomił sobie, że ostatnio w ciągu dwóch czy trzech tygodni jedli chleb z własnego wypieku, może nawet dłużej.

– Cena mąki... – powiedziała Martha – też wzrosła, więc nie mogliśmy przez to wiele oszczędzić.

– Możemy kupować pszenicę w ziarnach i mleć w domu.

– Tego robić nie wolno. Powinniśmy korzystać z młyna klasztornego. Zresztą to także kosztuje.

– Tak, oczywiście. – Zrozumiał, że zachował się głupio. Chleb zdrożał, bo podrożała mąka, a mąka podrożała, bo zdrożała pszenica. Wszystko dlatego, że burza zniszczyła zbiory i nic na to nie można było poradzić. Widział, że Martha się tym martwi. Zawsze wyglądała na zmartwioną, kiedy uważała, że on jest niezadowolony. Uśmiechnął się, by pokazać, że wszystko jest w porządku, i poklepał ją po ramieniu.

– To nie twoja wina – powiedział.

– Jesteś przygnębiony – zauważyła.

– To naprawdę nie twoja wina. – Czuł się skrępowany. Wiedział, że Martha raczej obciąłaby sobie rękę, niż go oszukała. Tak naprawdę to nigdy nie zrozumiał do końca, dlaczego ona tak się dla niego poświęca. Jeśli to z miłości, to jej uczucie powinno umrzeć śmiercią naturalną, bo zarówno Martha, jak i cały świat wiedzieli, że miłością jego życia jest Aliena. Kiedyś rozważał nad tym, jak nakłonić ją do zmiany sposobu życia; może gdyby gdzieś wyjechała, znalazłaby kogoś odpowiedniego. W głębi duszy czuł jednak, że nie powinien tego robić, gdyż uczyniłby ją rozpaczliwie nieszczęśliwą. Zostawił więc rzeczy ich własnemu biegowi.

Sięgnął pod tunikę i wydobyl sakiewkę, wyjął z niej trzy srebrne pensy.

– Spróbuj z dwunastoma pensami tygodniowo, może uda ci się za to pogospodarzyć. – Dwanaście pensów to sporo, zarabiał przecież tylko dwadzieścia cztery na tydzień, chociaż dostawał ponadto świece, suknie i buty.

Dopił resztę piwa z kubka i wyszedł. Jak na wczesną jesień było wyjątkowo chłodno. Pogoda była dziwna. Przeszedł szybko ulicę i wkroczył na klasztorny podwórzec. Do wschodu słońca jeszcze trochę brakowało, na placu budowy zjawilo się tylko kilku rzemieślników. Przeszedł nawą, przyglądając się fundamentom. Były już niemal ukończone, na szczęście, bo ze względu na chłód trzeba będzie wcześniej przerwać roboty z zaprawą.

Popatrzył na transepty. Radość z tego, co stworzył, gasiły pęknięcia. Pojawiły się na nowo następnego dnia po wielkiej burzy. To go zdenerwowało. Fakt, nawałnica była niesamowita, ale jego kościół miał przetrwać setki takich. W zamęcie myśli potrząsnął głową, krętymi schodami wszedł na galerię. Chciałby poradzić się kogoś, ale w Anglii nie było nikogo, kto budowałby taki kościół, a nawet we Francji nie budowano tak wysoko.

Nie zatrzymał się na swoim podeście, ale odruchowo wspiał się pod sam dach. Ołów był już przybity, sterczynę zaś, która wcześniej tamowała odpływ deszczówki, teraz wyposażono w rynienkę, przebiegającą przez podstawę. Na dachu wiało i zawsze starał się czegoś trzymać, kiedy znajdował się blisko skra-

ju; nie byłby pierwszym murarzem zdmuchniętym z dachu przez poryw wiatru. Wyżej powiew zawsze wydawał się mocniejszy niż na dole. Faktycznie, w miarę jak się wspinał, wiatr niewspółmiernie się wzmaczał...

Zamarł ze wzrokiem wbitym w przestrzeń. Siła wiatru rośnie wraz ze wzrostem wysokości. Oto rozwiązanie tej zagadki. To nie ciężar spowodował rysy, lecz wysokość. Zbudował kościół wystarczająco mocny, by wytrzymał obciążenie, tego był pewny, ale o wietrze nie pomyślał.

Ściany budowli zawsze są wystawione na uderzenia wiatru, a że sięgały aż tak wysoko, jego siła była wystarczająca, by powodować pęknięcia. Kiedy tak stał na dachu, czując moc podmuchu, wyobrażał sobie skutki, jakie miały podmuchy na ściśle wyważoną konstrukcję pod nim. Tak doskonale znał ten budynek, że niemal namacalnie odczuwał napięcia, jakby ściany były częścią jego ciała. Wiatr uderzał w kościół z różnych stron, tak samo jak uderzał w niego, a ponieważ kościół nie mógł się wyginać, pękał.

Był pewny, że znalazł wytłumaczenie, ale jak temu zaradzić? Należałoby wzmocnić poziom świetlików, by wytrzymały napór wiatru. Jak to zrobić? Zbudowanie masywnych przypór zepsułoby oszałamiający efekt lekkości i wdzięku, który tak świetnie udało mu się osiągnąć.

Jeśli jednak przypory wzmocnią budowlę, trzeba to uczynić.

Zszedł. Już nie czuł się tak radosny, mimo że w końcu rozwiązał problem; wyglądało bowiem na to, że owo rozwiązanie popsuje jego marzenie. Może byłem zbyt pewny siebie, pomyślał. Uwierzyłem w to, że umiem wybudować najpiękniejszą katedrę świata. Dlaczego wydawało mi się, że mogę więcej niż ktokolwiek inny? Co upoważniło mnie do myślenia, że jestem kimś nadzwyczajnym? Powiniennem wiernie skopiować projekt jakiegoś innego mistrza i być zadowolony.

Na podeście czekał Philip. Jego czoło marszczyła troska, a podcięta grzywka była nieuczesana. Wyglądał, jakby całą noc spędził na nogach.

– Musimy ograniczyć nasze wydatki – oznajmił bez wstępu. – Po prostu nie

mamy pieniędzy, by dalej budować w tym tempie.

Tego właśnie lękał się Jack. Huragan zniszczył zbiory prawie w całej południowej Anglii, a to musiało wpłynąć na finanse klasztoru. Kolejne rozmowy o oszczędnościach zawsze wprawiały go w niepokój. W głębi duszy obawiał się, że budowa może trwać tak długo, iż nie dożyje ukończenia katedry. Nie mógł jednak okazać swego lęku.

– Nadchodzi zima – powiedział ostrożnie. – Tempo prac znacznie osłabnie. W tym roku zima będzie wczesna.

– To nie wystarczy – posępnie odparł Philip. – Muszę natychmiast obciąć wydatki o połowę.

– O połowę! – Brzmiało to niewiarygodnie.

– Zwolnienia zimowe zaczynamy od dzisiaj.

Było gorzej, niż Jack przewidywał. Pracownicy najęci na lato zwykle odchodzili na początku grudnia. Zimowe miesiące spędzali na budowaniu drewnianych domów, robieniu pługów lub wozów, czy to na własne potrzeby, czy dla zarobku. W tym roku rodziny nie ucieszą się na ich widok.

– Zdajesz sobie sprawę, że odsyłasz ich do domów, gdzie już panuje głód, ojczy? – zwrócił się do przeora.

Philip gniewnie popatrzył na niego.

– Oczywiście, że o tym wiesz – powiedział Jack. – Przepraszam za to pytanie.

– Jeśli nie uczynię tego teraz, to którejś soboty w połowie zimy wszyscy robotnicy ustawią się w kolejce po wypłatę, a ja pokażę im pusty kufer – Philip odrzekł z naciskiem.

Jack bezradnie wzruszył ramionami.

– Z tym nie można się spierać.

– To jeszcze nie wszystko – przestroga zabrzmiała w głosie przeora. – Od tej pory nie będziemy nikogo przyjmować do pracy, nawet na zastępstwa.

– Nie przyjmowaliśmy od miesięcy.

– Przyjąłeś Alfreda.

– To inna sprawa – Jack stropił się. – W każdym razie nie będę nikogo przyjmować do pracy.

– I nie będzie żadnych podwyżek.

Jack skinął głową. Cały czas terminatorzy starali się o wyzwolenia, a czeładnicy o uprawnienia murarza czy kamieniarza. Jeśli inni rzemieślnicy uznawali ich umiejętności za wystarczające, to te żądania spełniano, a klasztor miał obowiązek płacić im więcej.

– Awansowanie jest przywilejem braci murarskiej – dodał Jack.

– Nie mam najmniejszego zamiaru tego zmieniać – powiedział Philip. – Chcę tylko prosić murarzy, by wstrzymali nadawanie uprawnień do czasu, kiedy ustanie głód.

– Przekażę im to – powiedział wymijająco Jack. Miał przeczucie, że wynikną z tego jakieś kłopoty.

– Od dzisiaj nie będzie także pracy w dni świąteczne – podkreślił stanowczo Philip.

Świąt w ogóle nie było za dużo. Zasadniczo były wolne, ale za pracę czy jej brak w takie dni należało płacić, skoro tak uzgodniono. W Kingsbridge przyjęto zasadę, że jeśli w tygodniu przypadały dwa dni świąteczne, za pierwszy płacono bez pracy, a drugi był wolny i bezpłatny. Większość wolała pracować w taki dzień. Teraz jednakże miało się to zmienić. Ten drugi dzień świąteczny obowiązkowo stawał się bezpłatnym, wolnym od pracy.

Jackowi na samą myśl o przekazaniu takich wieści w warsztacie zrobiło się nieprzyjemnie.

– Wszystko byłoby łatwiejsze, gdybym mógł przekazać im to jako sprawę do dyskusji, a nie jako coś już postanowione.

Philip potrząsnął głową.

– Wtedy pomyślą, że można się spierać i negocjować, a niektóre polecenia złagodzić. Będą proponowali pracę choć przez połowę dnia wolnego i będą się

domagać pewnej części awansów.

Oczywiście miał rację.

– Ale czy to nie jest rozsądne, ojcze?

– Jasne, że rozsądne – powiedział z irytacją Philip. – Tyle że nie mamy możliwości manewru. Już teraz obawiam się, że te pociągnięcia okażą się niewystarczające. Nie mogę iść na żadne ustępstwa.

– Dobrze. – Philip najwyraźniej nie miał nastroju na kompromis. – Jeszcze coś? – spytał ostrożnie Jack.

– Tak. Nie kupuj już materiałów. Zużywaj zapasy kamienia, żelaza i drewna.

– Bala mamy darmo! – sprzeciwił się Jack.

– Musimy jednak płacić za transport.

– Prawda. Zgoda. – Jack podszedł do okna i popatrzył na kamienie i pnie drzew, złożone na klasztorным dziedzińcu. Był to odruch, bo dokładnie wiedział, ile ma wszystkiego. – To nie sprawi kłopotu – powiedział po chwili. – Ze zmniejszoną liczbą pracowników mamy dosyć surowca, by przetrwać do lata.

Philip westchnął ze znużeniem.

– Nie ma gwarancji, że w lecie zaczniemy przyjmować pracowników. To zależy od ceny wełny. Lepiej ich ostrzeż.

Jack skinął głową.

– Jest aż tak źle?

– Jest gorzej niż kiedykolwiek, o ile mi wiadomo. Kraj potrzebuje trzech lat dobrej pogody. I nowego króla.

– Amen – zakończył Jack.

Philip poszedł do siebie. Jack przez cały ranek myślał, jak uporać się z wprowadzeniem tych wszystkich zmian. Nawę można było budować dwoma sposobami. Albo przęśło po przęśle i począwszy od skrzyżowania, kierować się na zachód, albo warstwa po warstwie i układać najpierw podstawę całej nawy, a potem ruszyć ku górze. Jack chciał pracować właśnie w ten sposób. Teraz

musiał to zmienić. Ta metoda wymagała większej liczby pracowników, była też szybsza. Do budowania przęśla za przęsłem trzeba mniej ludzi. Jack dostrzegł jeszcze jedną korzyść – wszystkie modyfikacje, jakie wprowadzi do projektu, by wzmocnić odporność ścian na wiatr, będzie można sprawdzić na jednym czy dwu przęsłach, zanim wykorzysta się w całej budowlu.

Zastanawiał się nad dalszymi skutkami kryzysu finansowego. Robota przeciągnie się o lata. Posepnie wyobrażał sobie, jak siwieje, starzeje się, słabnie, nie osiągnąwszy swego życiowego celu, w końcu spocznie na cmentarzu klasztornym w cieniu ciągle jeszcze nieukończonych katedry.

Kiedy zabrzmiał dzwon na południe, udał się do pracowni murarzy. Ludzie porozsiadali się, by zjeść ser i wypić piwo. Po raz pierwszy dostrzegł, jak wielu spośród nich nie miało chleba. Poprosił tych murarzy, którzy zwykle jedli obiad w domu, by zaczekali chwilę.

– Klasztorowi zaczyna brakować pieniędzy – zaczął.

– Nie widziałem jeszcze klasztoru, który prędzej czy później nie miałby takich kłopotów – powiedział jeden ze starszych.

Jack popatrzył na niego. Zwali go Edward Dwunosy, bo miał na twarzy brodawkę wielką niemal jak nos. Dobrze rzeźbił, miał świetne oko do krzywizn i Jack często mu powierzał wykonanie trzonów i tamburów.

– Musicie przyznać, że tutaj zarządza się pieniędzmi lepiej niż gdziekolwiek. Ale burze i złe zbiory nie zależały od przeora Philipa. Teraz musi ograniczyć wydatki. Powiem wam o całej sprawie, zanim zjecie obiad. Przede wszystkim nie kupujemy więcej kamienia ani drewna.

Rzemieślnicy z innych pracowni przychodzili, by posłuchać. Jeden z cieśli, Peter, zauważył:

– Tego drewna, co mamy, nie starczy na całą zimę.

– Wystarczy – oświadczył Jack. – Zwalniamy roboty, to będziemy mieli mniej pracowników. Zwolnienia zimowe zaczynają się od dziś.

Natychmiast spostrzegł, że źle to przekazał. Ze wszystkich stron rozległy

się sprzeciwy, ludzie mówili jednocześnie. Pomyślał, że powinien powiedzieć im to wszystko łagodniej, ale nie miał w tym doświadczenia. Mistrzem był już od siedmiu lat, ale dotąd nie zetknął się z kryzysem finansowym.

Głos, który wyróżniał się we wrzawie, należał do Pierre' a Parisa, jednego z murarzy przybyłych z Saint-Denis. Po sześciu latach wciąż kiepsko mówił po angielsku, a gniew jeszcze pogłębiał jego zły akcent, ale to nie odbierało mu odwagi.

– Nie możesz zwalniać ludzi od wtorku!

– Właśnie – przytaknął mu Jack Blacksmith, kowal. – Musisz dać im czas przynajmniej do końca tygodnia.

Przybrany brat Jacka, Alfred, przyklasnął jego słowom.

– Pamiętam, że kiedy mój ojciec budował dom hrabiego Shiring, a Will Hamleigh przyjechał zwolnić wszystkich, to mój ojciec kazał mu zapłacić każdemu tygodniówkę i trzymał jego konia za uzdę, póki tego nie zrobił.

Dziękuję ci, Alfred, pomyślał Jack.

– Możecie równie dobrze wysłuchać wszystkiego do końca – powiedział wymijająco. – Od tej pory nie ma pracy w dni świąteczne i nie ma podwyższania wynagrodzeń.

To ich jeszcze bardziej rozgniewało.

– Nie do przyjęcia – powiedział któryś, a kilku powtórzyło za nim:

– Nie do przyjęcia. Nie do przyjęcia.

– O czym wy w ogóle mówicie? Jeśli klasztor nie ma pieniędzy, to nie dostaniecie wypłat. Jaki ma cel owo chóralne wyśpiewywanie „nie do przyjęcia, nie do przyjęcia”? Jesteście w klasie na lekcji łaciny, czy co? – wściekł się Jack.

Ponownie odezwał się Edward zwany Dwunosym.

– Nie jesteśmy uczniakami, lecz należymy do cechu. To on ma prawo wyzwalania i nadawania uprawnień i nikt nie może mu tego zabronić.

– A jeśli nie ma pieniędzy na wynagrodzenia?

– Ja w to nie wierzę – powiedział Dan Bristol, murarz, pracownik sezonowy.

Jack zwrócił się do niego:

– Jak możesz mówić, że nie wierzysz? Co w ogóle wiesz o finansach klasztoru?

– Wiem, co widzę. Czy oni głodują? Nie. Są świece w kościele? Są. Czy w spiżarni mają wino? Tak. Czy przeor chodzi na bosaka? Nie. Czyli pieniądze są. On tylko nie chce ich nam dać.

Jego osąd poparło kilku zgromadzonych. W rzeczywistości mylił się co najmniej w jednym wypadku, mianowicie w sprawie wina. Teraz jednak nikt już nie uwierzyłby Jackowi. Stał się dla nich przedstawicielem klasztoru. To nie było w porządku: nie mógł przecież odpowiadać za decyzje Philipa.

– Słuchajcie, ja tylko przekazuję wam to, co mi powiedział przeor. Nie mogę ręczyć, że to prawda. Ale jeśli mówi nam, że nie ma pieniędzy, a my mu nie wierzymy, to co możemy zrobić?

– Możemy wszyscy przerwać pracę – rzekł Dan. – Natychmiast.

– To prawda! – Ktoś go poparł.

Jack uświadomił sobie ze strachem, że przestaje panować nad sytuacją.

– Poczekajcie chwilę. – Rozpaczliwie szukał czegoś, co by ich trochę ostudziło. – Wróćmy teraz do pracy, a ja po południu spróbuję przekonać przeora o konieczności zmiany planów.

– Uważam, że nie powinniśmy podejmować pracy – upierał się Dan.

Jack nie mógł uwierzyć własnym uszom.

– Dlaczego mielibyśmy nie pracować? – spytał z niedowierzaniem. – W jakim celu?

– Skoro tak się rzeczy mają – odparł Dan – połowa z nas nie ma pewności, czy dostanie wypłatę do końca tygodnia.

– Co jest wbrew zwyczajowi i przyjętej praktyce – dodał Pierre. Zwroty „zwyczaj” i „przyjęta praktyka” pachniały sądem.

Jack odezwał się desperacko:

– To przynajmniej pracujcie, póki ja nie przekonam Philipa.

– Jeśli będziemy pracować, to czy nam zagwarantujesz, że dostaniemy pensje w całości? – spytał Edward.

Jack wiedział, że nie może dać takiej gwarancji. Pomyślał przez moment, że mógłby im obiecać, a w razie czego zapłacić ze swoich pieniędzy, gdyby okazało się to konieczne, ale natychmiast zauważył, że jego oszczędności nie wystarczą na tygodniową wypłatę dla wszystkich. Powiedział więc:

– Zrobię wszystko, co w mej mocy, by go przekonać. Myślę, że się zgodzi.

– To mi nie wystarczy – upierał się Dan.

– Ani mnie – dorzucił Pierre.

– Nie ma gwarancji, nie ma pracy – podsumował Dan.

Ku przerażeniu Jacka wszyscy się z nimi zgodzili. Zrozumiał, że jeśli teraz się im przeciwstawi, to straci tę resztkę autorytetu, jaka mu jeszcze została.

– Musimy działać jak jeden mąż – powiedział, używając najpopularniejszej formuły. – Czyśmy wszyscy zgodni co do przerwania pracy?

Przytaknęli chórem.

– Niech tak będzie – powiedział ponuro. – Powiem przeorowi.

Biskup Waleran wjechał do Shiring z niewielką armią jako orszakiem. William czekał na niego w portalu kościoła, zastanawiając się nad celem takiej oficjalnej wizyty, szczególnie że z biskupem jechał jakiś obcy na kasztanowatym wałachu.

Był to wysoki i barczysty mąż, miał czarne brwi i wielki, zakrzywiony nos. Zdawało się, że pogardliwy wyraz stale gości na jego twarzy. Jechał obok Walerana, jakby byli sobie równi, ale nie nosił biskupich szat.

– Lordzie Williamie, oto Peter z Wareham, archidiakon w służbie arcybiskupa Canterbury – przedstawił go Waleran.

Archidiakon skłonił się.

– Biskup powiedział mi o twojej szczodrości dla Świętej Matki Naszej, Kościoła, lordzie Williamie.

Zanim ten zdołał odpowiedzieć, Waleran wskazał na kościół parafialny.

– To ten budynek ma zostać wyburzony, a na jego miejscu stanie nowy kościół.

– Czy już wybrałeś mistrza budowniczego? – spytał Peter.

– Nie, jeszcze nie znalazłem – odparł Waleran. – Teraz wielu budowniczych poszukuje pracy, ale nie udało mi się znaleźć nikogo z Paryża. Zdaje się, że cały świat chce budować kościoły na wzór Saint-Denis, a mistrzowie, którzy wiedzą, jak to czynić, są nader poszukiwani.

– To dość ważne – rzekł Peter.

William nie mógł zrozumieć, dlaczego to takie ważne, by budować w stylu Saint-Denis.

– Nowy kościół oczywiście musi być większy. Zajmie jeszcze sporą część placu targowego – stwierdził autorytatywnie biskup.

Williamowi nie podobało się, że Waleran poczyna sobie, jakby był tutaj właścicielem.

– Nie mogę pozwolić na to – wtrącił się.

Nieoczekiwana uwaga hrabiego zirytowała Bigoda.

– A dlaczegożby nie?

– Bo każdy cal tego placu przynosi mi pieniądze w każdy dzień targowy.

Waleran popatrzył, jakby już, już miał się zacząć spierać, ale w tym momencie archidiakon powiedział z uśmiechem:

– Nie wolno zabijać kury znoszącej złote jajka.

– Otóż to – przytaknął William. Przecież to on płaci za ten nowy kościół. Mimo złych zbiorów, już po raz czwarty, jego dochody nie zmniejszyły się. Po mniejsi kmiecie płacili mu w naturze, wielu z nich oddawało ostatni worek ziarna czy stadko gęsi, chociaż sami żyli na wodziance. Teraz te rzeczy warte były

dziesięć razy więcej i ta wartość wynagradzała straty, na które narazili go dzierżawcy niewywiązujący się ze swych obowiązków i pomarli z głodu poddani.

Przeszli na tyły kościoła.

– Możemy budować tutaj, wyburzywszy te domy – stwierdził William.

– Ależ większość z nich to domostwa duchownych – sprzeciwił się biskup.

– Znajdziemy im inne domy.

Nie zadowoliło to Walerana, ale nie odezwał się więcej. Przy północnej ścianie kościoła czekał na nich barczysty człowiek w wieku jakichś trzydziestu lat. Na ich widok skłonił się lekko. Po odzieniu William poznał, że to rzemieślnik. Archidiakon Baldwin, bliski współpracownik biskupa, powiedział:

– To ten człowiek, o którym ci mówiłem, wielbny biskupie. Nazywa się Alfred z Kingsbridge.

Na pierwszy rzut oka nie prezentował się najlepiej, wyglądał jak wół: wielki, silny i tępy. Po bliższym przyjrzeniu się jego twarz ujawniała jednak jakiś spryt, wyglądał raczej jak lis, albo podstępny pies.

Archidiakon Baldwin tłumaczył dalej:

– Alfred jest synem Toma Budowniczego, pierwszego mistrza w Kingsbridge. Sam też przez jakiś czas był mistrzem, dopóki nie pojawił się uzurpator w osobie jego przyrodniego brata.

Syn Toma Budowniczego. To on poślubił Alienę, ale nie skonsumował tego małżeństwa, uświadomił sobie William. Popatrzył na niego z większym zainteresowaniem. Nigdy by nie pomyślał, że to impotent. Wyglądał zdrowo i normalnie, ale Aliena mogła wywierać na mężczyźnie dziwne wrażenia.

– Czy pracowałeś w Paryżu, czy znasz styl Saint-Denis? – spytał archidiakon Peter.

– Nie...

– Ale my musimy mieć kościół w tym nowym stylu!

– Teraz pracuję w Kingsbridge, gdzie mistrzem jest mój brat. To on przyniósł nowy styl z Paryża, a ja uczyłem się od niego.

William zastanawiał się, jak biskup Waleran zdołał nagiąć Alfreda, ale przypomniał sobie, że subprzeor Remigius był Waleranowym narzędziem. To on zapewne wykonał pierwszy ruch.

Przypomniał sobie coś jeszcze na temat Kingsbridge.

– Lecz twój dach się zawalił.

– To nie była moja wina. Przeor Philip nalegał na zmianę projektu.

– Znam Philipa – rzekł archidiakon Peter, a w jego głosie pojawiła się zła nuta. – Uparty, arogancki człowiek.

– Jak go poznałeś, wielebny? – spytał William.

– Wiele lat temu byłem mnichem w klasztorze Świętego Jana z Lasu, wówczas kierował nim Philip – Peter mówił z goryczą. – Krytykowałem jego niedbały sposób zarządzania, więc ustanowił mnie jałmużnikiem, bym mu zszedł z drogi. – Żał nadal go piekło, to było widać. Niewątpliwie na tym właśnie opierał swe plany Waleran.

– Niech będzie, jak mówisz, ale ja nie chcę budowniczego, któremu wałą się dachy, nieważne, jak się usprawiedliwia – sprzeciwił się William.

– Jestem w Anglii, poza Jackiem Jacksonem, jedynym budowniczym, który pracował przy kościele wznoszonym w nowym stylu – zaatakował Alfred.

– Ale mnie nie obchodzi Saint-Denis. Wierzę, że dusza mej matki zostanie zbawiona także dzięki kościołowi w starym stylu.

Biskup Waleran i archidiakon Peter wymienili spojrzenia.

Po chwili Waleran przemówił do Williama ściszym głosem.

– Kiedyś ten kościół zostanie katedrą w Shiring.

Teraz wszystko dla Williama stało się jasne. Już wiele lat temu Waleran planował przeniesienie katedry i siedziby diecezji do Shiring, ale Philip go przechytrył. Teraz biskup wrócił do starego planu. Wydawało się, że tym razem jednak bardziej pokrętnie. Chciał zacząć od postawienia kościoła wystarczająco wielkiego i wspaniałego, by mógł być katedrą, a jednocześnie starał się pozyskać sojuszników, takich jak Peter, w otoczeniu arcybiskupa, zanim jesz-

cze poczyni wstępne starania. To wszystko bardzo piękne, ale William chciał po prostu zbudować kościół poświęcony pamięci matki, by złagodzić jej cierpienia w ogniu czyścicowym. Czuł też niechęć do Waleranowych prób wykorzystywania jego uczuć do własnych celów. Z drugiej strony, katedra w Shiring to niesłychany awans, a on, dzięki temu, zarobiłby jeszcze więcej pieniędzy.

– Jest jeszcze coś – odezwał się Alfred.

– Tak? – spytał Waleran.

William spojrział na obu mężczyzn. Alfred był większy, silniejszy i młodszy od Walerana i mógłby zapewne z jedną ręką przywiązaną za plecami łatwo położyć biskupa, ale zachowywał się, jakby to on był słabszy. Wiele lat temu Williama oburzyłoby, że taki wymoczek góruje nad silnym chłopem, ale teraz na takie sprawy już nie zwracał uwagi: tak toczył się ten świat.

Alfred zniżył głos i powiedział:

– Mogę wziąć ze sobą całą siłę roboczą z Kingsbridge, wielbny biskupie.

Nagle trzech słuchacze poczuli dreszcz.

– Powtórz – zażądał Waleran.

– Jeśli przyjmiecie mnie na mistrza budowniczego, przyprowadzę rzemieślników z Kingsbridge.

– Skąd mamy wiedzieć, że mówisz prawdę? – ostrożnie zapytał Waleran.

– Nie proszę o zaufanie, wielbny biskupie. Dajcie mi robotę warunkowo. Jeśli nie dotrzymam obietnicy, to odejdę bez zapłaty.

Wszyscy trzech, choć z różnych powodów, nienawidzili przeora Philipa. Okazja do zadania tak mocnego ciosu natychmiast ich zachwyliła.

– Kilku spośród tych rzemieślników pracowało w Saint-Denis – dodał Alfred.

– Ale jakim sposobem chcesz to osiągnąć? – spytał Waleran.

– A czy to ważne? Powiedzmy, że wolą mnie od Jacka.

William pomyślał, że Alfred kłamie, a Waleran chyba uważał tak samo, bo odchylił głowę do tyłu i spojrział zdziwiony na Alfreda. Jednakże Alfred, bez

względu na to, jakie były jego pobudki, mógł spełnić swą obietnicę.

– Jeśli oni faktycznie podążą za tobą, w Kingsbridge będą musieli przerwać roboty – stwierdził William.

– Tak – potwierdził Alfred. – Tak będzie.

William popatrzył na Walerana i Petera.

– Musimy o tym jeszcze porozmawiać. Niech on zje z nami obiad.

Waleran gestem wyraził zgodę i zwrócił się do Alfreda:

– Idź za nami do mego domu. Jest po przeciwnej stronie targu.

– Wiem – rzekł Alfred. – Wybudowałem go.

Przez dwa dni Philip nie chciał rozmawiać z murarzami. Był niesamowicie wzburzony, a kiedy tylko dostrzegł Jacka, odwracał się i szedł inną drogą.

Drugiego dnia przybyły trzy wozy załadowane mąką pochodzącą z jednego z odległych młynów klasztornych. Wozów strzegli strażnicy; mąka w tych czasach była cenna jak złoto. Kiedy brat Jonathan liczył worki, Jack dostrzegł w jego twarzy coś dziwnie znajomego. Przypomniała mu kogoś, kogo dobrze znał. Jonathan był wysoki, zwinny i miał jasnobrązowe włosy, w niczym nie przypominał niskiego, szczupłego i czarnowłosego Philipa. Dał się poznać jako młodzieniec o mocnych zasadach moralnych, zdecydowany i ambitny, i dzięki tym cechom bardzo przypominał tego, który zastępował mu ojca.

Ponieważ Philip nie chciał podjąć rozmowy, pozostawało jedynie porozumienie się z Jonathanem.

Jack przyglądał się, jak mnich płaci strażnikom i woźnicom. Rachował, zachowując całkowity spokój i zdecydowanie, a kiedy woźnice zażądali więcej, niż im się należało, co zresztą czynili zawsze, odmówił im stanowczo.

Obserwując Jonathana, Jack pomyślał, że wychowanie w klasztorze doskonale przygotowywało do przewodzenia.

Przywództwo. Jego niedostatki u Jacka stały się nader widoczne. Pozwolił,

by problem przerodził się w kryzys na skutek złego przeprowadzenia rozmowy z ludźmi. Za każdym razem, kiedy przypominał sobie tamto spotkanie w pracowni, klął swą niedorzeczną postawę. Postanowił, że musi wszystko naprawić.

Kiedy woźnice z sarkaniem opuścili dziedziniec, Jack podszedł i ostrożnie zagadnął Jonathana:

– Przeor jest wściekły za przerwanie robót, prawda, bracie Jonathanie?

Przez moment mnich wyglądał, jakby miał na końcu języka jakąś nieprzyjemną odpowiedź, najwidoczniej sam też był wściekły, ale w końcu napięcie odpłynęło z jego twarzy i rzekł:

– Wydaje się zły, ale tak naprawdę to czuje się boleśnie dotknięty.

Jack kiwnął głową.

– Wziął to do siebie.

– Tak. Jego zdaniem w godzinie próby ludzie odwrócili się od niego.

– W jakimś stopniu tak się stało. Ale największym błędem przeora Philipa była próba zmiany starych zwyczajów.

– A jakże inaczej mógł postąpić? – zareplikował Jonathan.

– Mógł porozmawiać z nimi o kryzysie, zanim podjął decyzję. Oni wówczas mogliby nawet sami podsunąć mu jakieś pomysły na oszczędności. No, ale ja nie mogę ganić przeora Philipa, bo popełniłem taki sam błąd.

– Jak to? – Oczy Jonathana błysnęły ciekawością.

– Powiedziałem od razu o wszystkim otwarcie i równie nietaktownie, jak przeor Philip poinformował mnie.

Jonathan chciał się oburzyć, ale był zmuszony dostrzec z niechęcią i drugą stronę medalu. Jack postanowił nie mówić nic więcej. Ziarno zostało zasiane.

Zostawił Jonathana i poszedł do swego warsztatu. Kiedy brał przyrzędy do rysowania, uświadomił sobie, że przecież mężem pokoju w mieście zawsze był Philip. Zazwyczaj to on osądzał złoczyńców i rozstrzygał spory. To, że raptem okazał się stroną konfliktu, burzyło poczucie normalności. Przeor jako strona w kłótni, zły, zgorzkniały i niechętny do pojednania... Ktoś inny musiał uczy-

nić pokój. Tym kimś mógł być tylko on sam. Jako mistrz budowniczy jest pomostem między obiema stronami, a jego motywacja nie budziła wątpliwości: chce budować dalej.

Resztę dnia spędził na łamaniu sobie głowy nad sposobami rozwiązania tego problemu i wciąż na nowo zadawał sobie to samo pytanie: „Co uczyni Philip?”

Następnego dnia postanowił stawić czoło przeorowi.

Dzień nastał zimny i wilgotny. Wczesnym popołudniem Jack kręcił się po placu budowy. Naciągnąwszy kaptur opończy, by zachować odrobinę ciepła, udawał, że przygląda się rysom na poziomie świetlików, i czekał, aż dojrzy Philipa śpieszącego do swego domu. Kiedy Philip tam wszedł, Jack podążył za nim.

Drzwi stały zawsze otworem. Jack zastukał i wszedł. Philip klęczał przy małym ołtarzyku w kącie. No cóż, pewnie jeszcze mu mało tego modlenia się w kościele przez cały dzień i większość nocy, pomyślał Jack. W pomieszczeniu nie palono, bo Philip oszczędzał. Jack czekał cicho, a kiedy przeor skończył, podniósł się i odwrócił, wtedy powiedział:

– Tak nie może być dłużej, ojczcie.

Rysy zwykle przyjaznej twarzy Philipa nagle stwardniały.

– Nie widzę żadnych przeszkód – rzekł zimno. – Mogą wrócić do pracy, kiedy tylko zechcą.

– Na twoich warunkach.

Philip jedynie popatrzył na niego.

– Oni na twoich warunkach nie wrócą, ojczcie, a nie mogą czekać wiecznie, aż ty sięgniesz po rozum do głowy – powiedział Jack. – To znaczy do tego, co oni uważają za rozum – dodał pośpiesznie.

– Nie będą czekać wiecznie? A gdzież pójda, jak znudzi im się czekanie? Nigdzie nie znajdą pracy. Czy oni myślą, że tu, u nas, jest jedyne miejsce dotknięte głodem? Tak jest w całej Anglii. Na każdym placu budowy są cięcia.

– Masz tedy, ojcze, zamiar poczekać, aż przypelzną na czworakach do ciebie, błagając o wybaczenie?

Philip odwrócił wzrok.

– Nie chcę, by ktokolwiek pełzał. Nie uważam, bym dał ci asumpt do takiej oceny mnie jako człowieka.

– Nie, i właśnie dlatego do ciebie przyszedłem. Wiem, że tak naprawdę wcale nie chciałeś nikogo poniżyć, to nie leży w twojej naturze, ojcze. Poza tym, jeśli wrócą pokonani i pełni żalu, przez następne lata będą kiepsko pracować. Więc z mojego punktu widzenia należałoby pozwolić im na zachowanie twarzy. To zaś oznacza pójsie na ustępstwa.

Jack wstrzymał oddech. Oto wygłosił wielką mowę i nastał moment przełomu. Jeśli Philip teraz nie wykona ruchu, będzie niewesoło.

Twarde spojrzenie przeora powoli zaczęło mięknąć, a na jego obliczu rozsądek zmagał się z emocjami. W końcu twarz mu się rozluźniła i powiedział:

– Lepiej usiądźmy.

Kiedy Jack siadał, z trudem udało mu się stłumić westchnienie ulgi. Myślał, co ma czynić dalej, nie chciał powtórzyć nietaktu, który popełnił wobec budowniczych.

– Nie ma potrzeby, ojcze, zmieniać twojej decyzji w sprawie wstrzymania zakupu materiałów. Tak samo można utrzymać zakaz nowych przyjęć. Wydaje mi się, że dadzą się przekonać do niepracowania w święta, jeśli uzyskają ustępstwa w innych kwestiach. – Przerwał, aby to, co do tej pory powiedział, miało czas zapaść w myślach Philipa. Jak na razie dawał wszystko, a nie żądał niczego.

Philip skinął głową.

– Jakie ustępstwa masz na myśli?

– To ci daje znacznie więcej. Oszczędzasz pieniądze, które trzeba wydać na materiały, na podwyżki i na płace za pracę w święta.

– Takie coś, to tylko uniki.

Jack, przygnębiony, wyprostował się. Zrobił, co mógł. Nie miał nic więcej na poparcie swych słów, żadnych argumentów. Wystrzelał cały kołczan. A przeor ciągle się opierał. Trudno. Jack był gotów przyjąć porażkę. Patrzył na kamienną twarz Philipa i czekał.

Przeor zaś przez długą chwilę wpatrywał się w ołtarzyk w kącie. W końcu spojrzał na Jacka i rzekł:

– Muszę porozmawiać z kapitułą.

Jackowi poczucie ulgi odebrało siły. To nie zwycięstwo, oczywiście, ale już blisko. Philip nie miał zwyczaju prosić mnichów o rozważenie tego, czego sam przedtem nie zaaprobował, a mnisi znacznie częściej spełniali jego wolę, niż się jej sprzeciwiali.

– Mam nadzieję, że się zgodzą – powiedział słabo Jack.

Philip wstał i położył rękę na jego ramieniu. Uśmiechnął się po raz pierwszy.

– Jeśli będę równie przekonywający jak ty, to się zgodzą.

Taka nagła zmiana nastroju zaskoczyła Jacka.

– Im prędzej się to skończy, tym lepszy będzie skutek, ojcze.

– Wiem. Wyprowadziło mnie to z równowagi, ale nie chcę się z tobą kłócić. – Nieoczekiwanie wyciągnął dłoń. Jack potrząsnął nią i poczuł się dobrze.

– Czy mam kazać budowniczym przyjść do warsztatu rano, by usłyszeli postanowienie kapituły? – zapytał.

– Tak, proszę.

– Powiem im to teraz. – Odwrócił się do wyjścia.

– Jack?

– Tak?

– Dziękuję ci.

Jack z wdzięcznością skinął głową i wyszedł. Choć padał deszcz, nie okrył głowy kapturem. Czuł się szczęśliwy.

Tego popołudnia chodził po domach rzemieślników i powiadamiał ich

o porannym zebraniu. Ci, których nie było w domu, w większości nieżonaci i sezonowi, znaleźli się w piwiarni. Jednakże byli trzeźwi, bo cena piwa podskoczyła jak wszystkie inne ceny i nikogo nie było stać na to, żeby się upić. Jedynym rzemieślnikiem, którego nie zdołał odszukać, okazał się Alfred, nie widziano go zresztą od paru dni. Znalazł się o zmierzchu. Wkroczył do piwiarni z triumfalnym uśmiechem na swej bawolej twarzy. Nie powiedział, gdzie się podziewał, a Jack go nie pytał. Zostawił go popijającego z innymi i poszedł na kolację z Alieną i dziećmi.

Następnego ranka zebranie rozpoczęło się przed przyjściem przeora Philipa do warsztatu. Jack chciał przygotować grunt. Kolejny raz przemyślał starannie to, co miał powiedzieć, by nie zaszkodzić sprawie brakiem taktu.

Wszyscy rzemieślnicy przybyli wcześniej. Ważyła się sprawa ich środków do życia. Jeden czy dwu młodszych miało zaczerwienione oczy; Jack domyślił się, że piwiarnie były długo otwarte, a kilku spośród nich udało się na chwilę zapomnieć o swej biedzie. Właśnie ci młodszy i sezonowi mogli sprawić najwięcej kłopotu. Starsi byli już bardziej przewidujący. Jeśli chodzi o kobiety trudniące się rzemiosłem, to one przyjmowały postawę ostrożną i zachowawczą, chętnie popierały każdy układ.

– Przeor Philip chce nas prosić o powrót do pracy i proponuje nam kompromis – zaczął Jack. – Zanim nadejdzie, powinniśmy ustalić, na co możemy się zgodzić, co ostatecznie odrzucamy, a na jakie tematy możemy rozmawiać. Powinniśmy pokazać przeorowi Philipowi naszą jedność. Myślę, że się zgadzacie.

Niektórzy mężczyźni skinęli głowami.

Starając się nadać swemu głosowi nieco gniewny ton, rzekł:

– Według mnie powinniśmy najpierw odrzucić natychmiastowe zwolnienia. – Uderzył pięścią w ławę, by podkreślić swoje zdecydowanie w tej materii. Kilku głośno dało wyraz swej zgodzie. Jack wiedział, że akurat tego Philip z pewnością nie odpuści. Chciał jednak, by gorąco głowi skupili się na obronie dawnych zwyczajów i praktyk w tej sprawie, kiedy więc Philip częściowo ustąpi, to

ich żagle stracą wiatr.

– Poza tym musimy strzec praw cechów do przyznawania uprawnień, bo tylko rzemieślnik jest w stanie określić, czy człowiek ma jakieś umiejętności, czy ich nie ma. – Znow był obłudny. Skupiał uwagę na tym, co nie miało związku z pieniędzmi w nadziei, że jeśli wygra, to łatwiej będzie ich nakłonić do kompromisu w sprawach finansowych.

– W kwestii pracy w święta nie mam jasnego zdania. Zwykle święta są przedmiotem umowy osobnej, nie utrwalili się zwyczaj przyjęty wszędzie, o ile wiem. – Zwrócił się do Edwarda zwanego Dwunosym i spytał: – A co ty o tym sądzisz?

– Praktyka zmienia się zależnie od placu budowy.

– Edwarda radowało, że jest pytany o zdanie. Jack skinął głową, dodając mu odwagi, by mówił dalej. Edward zaczął opowiadać o tym, jak można normować pracę w święta. Zebranie przebiegało dokładnie po myśli Jacka. Dyskusja dotycząca niezbyt kontrowersyjnego punktu znudzi uczestników i wyczerpie ich energię.

Jednakże monolog Edwarda został przerwany.

– To wszystko jest nieważne.

To Dan Bristol, pracownik sezonowy, wypowiedział te słowa.

– Niech najpierw Edward dokończy, co ma do powiedzenia – oświadczył Jack.

Dan nie pozwolił jednak na kontynuowanie wypowiedzi.

– To jest nieważne. Nam chodzi o podwyżkę.

– Podwyżkę? – Jacka zirytowała głupota tego żądania.

Ku swemu zaskoczeniu przekonał się, że Dan ma poparcie.

Odezwał się Pierre:

– Właśnie tak, podwyżkę. Posłuchaj. Czterofuntowiec kosztuje pensa, kura, którą przedtem dostałeś za osiem pensów, teraz kosztuje dwadzieścia cztery! Założę się, że żaden z nas od tygodni nie miał w ustach mocnego piwa. Wszyst-

ko idzie w górę, a większość z nas ma te same pensje, co wtedy, kiedy godzili się do pracy, czyli dwanaście pensów na tydzień.

I musimy za to wyżywić rodziny.

Jack zmartwił. Już tak dobrze szło, ale takie postawienie sprawy zniweczy wszystko. Powstrzymał się od sprzeciwienia Danowi i Pierre'owi, bo zdał sobie sprawę, że jego wpływ będzie większy, gdy się przekonają, że jest otwarty na różne zdania.

Powiedział więc:

– Zgadzam się z wami. Problem polega na tym, czy mamy szansę na to, by przekonać przeora Philipa do podwyższenia nam wynagrodzeń w czasie, gdy klasztor wypruwa się z gotówki?

Nikt się nie odezwał, Dan natomiast, nie udzielając mu odpowiedzi, stwierdził:

– Musimy mieć dwadzieścia cztery pensy, by utrzymać się przy życiu, a nawet wówczas będzie gorzej niż poprzednio.

Jack poczuł się odrażony i oszołomiony. Jak do tego doszło?

– Dwadzieścia cztery pensy tygodniowo – powtórzył Pierre, a kilku innych pokiwało głowami. Okazało się, że nie tylko Jack przygotował się do tego zebrania. Spojrzawszy twardo na Dana, spytał:

– Czy już wcześniej o tym rozmawialiście?

– Tak, tej nocy w piwiarni – odparł wyzywająco Dan. – Czy to coś złego?

– Z pewnością nie. Lecz dla dobra tych z nas, którzy nie byli tam wówczas, czy zechciałbyś powiedzieć, co uradziliście?

– Zgoda.

Ludzie, którzy nie byli w piwiarni, wydawali się niechętni, ale Danowi to nie przeszkadzało. Właśnie w chwili, kiedy otwierał usta, wszedł przeor Philip. Jack rzucił mu szybkie, badawcze spojrzenie. Wyglądał na zadowolonego. Spotkał się ze wzrokiem Jacka i niezauważalnie skinął głową. Jack ucieszył się: mnisi przyjęli kompromis. Otworzył usta, by przeszkodzić Danowi w jego prze-

mowie, ale się spóźnił.

– My chcemy po dwadzieścia cztery pensy tygodniowo dla rzemieślnika – rzekł głośno Dan – dwanaście dla pomocnika, a czterdzieści osiem dla mistrza.

Jack znowu spojrział na Philipa. Na twarzy przeora pojawił się wyraz gniewu.

– Chwileczkę – rzekł Jack. – To nie jest pogład cechu. To jakieś głupie żądanie wysmażone przez podpitych warcholów w piwiarni.

– Nieprawda – rozległ się nowy głos. To Alfred. – Myślę, że przekonasz się za chwilę, gdy większość rzemieślników poprze żądanie podwojenia płacy.

Jack popatrzył na niego z furją.

– Kilka miesięcy temu zebrałeś u mnie o pracę, a teraz domagasz się podwójnej płacy. Powinienem zostawić cię na śmierć głodową!

– A to przydarzy się wam wszystkim, jeśli nie odzyskacie rozsądku! – wtrącił przeor.

Jack rozpaczliwie pragnął uniknąć tych wszystkich wyzywających uwag, ale nie było sposobu; jego strategia uległa załamaniu.

– Nie wrócimy do pracy za mniej niż dwadzieścia cztery pensy tygodniowo i tyle – oświadczył Dan.

– Nie ma o czym mówić. To głupie mrzonki. Nawet nie będę się z tym spierać – rzekł z gniewem Philip.

– A my nie będziemy mówić o niczym innym. Pod żadnym pozorem nie będziemy pracować za mniej i już.

– Ależ to głupota – stwierdził Jack. – Jak możesz tu siedzieć i gadać, że za mniej nie będziesz pracować? No to w ogóle nie będzie pracy, durniu! Nie masz gdzie iść!

– Naprawdę? – spytał Dan.

W pracowni zapadła cisza.

O Boże! Zrozpaczony Jack nagle zrozumiał. Mają wybór.

– Mamy gdzie pójść. – Dan wstał. – Ja idę od razu.

– O czym ty mówisz?

– Zaproponowano mi pracę na nowym placu budowy, w Shiring. Budowa nowego kościoła. Dwadzieścia cztery dla rzemieślnika – oznajmił Dan z triumfem.

Jack rozejrzał się dookoła.

– Czy komuś jeszcze to zaproponowano?

W całym warsztacie widać było zawstydzone twarze.

– Wszystkim nam zaproponowano – oświadczył Dan.

Jack poczuł się zdruzgotany. Wszystko było zorganizowane.

To zdrada. Czuł się głupio, a zarazem źle. Całkiem błędnie ocenił sytuację. Ból przekształcił się w gniew.

– Który to? – wrzasnął. – Który jest zdrajcą? – Patrzył po nich wszystkich. Zaledwie kilku odważyło się spojrzeć mu w oczy. Ich wstyd nie dawał mu żadnej satysfakcji. Czuł się jak oszukany kochanek. – Kto przyniósł z Shiring te propozycje? – Jego wzrok przebiegał po zebranych, aż zatrzymał się na Alfredzie. No jasne. Zemdlilo go z obrzydzenia. – Alfred? – spytał pogardliwie. – Opuszczacie mnie, by pracować z Alfredem?

Cisza trwała. W końcu odezwał się Dan:

– Tak, idziemy z nim.

Jack uznał się za pokonanego.

– Niech więc tak będzie – rzekł gorzko. – Znacie mnie i znacie mego brata, wybraliście jego. Znacie przeora Philipa i znacie lorda Williama, wybraliście hrabiego. Pozostaje mi tylko stwierdzić, że zasłużyliście sobie na to, co was spotka.

Rozdział 15

I

– Opowiedz mi coś – poprosiła Aliena. – Ostatnio przestałeś w ogóle opowiadać mi historie, a tak to kiedyś lubiłeś, pamiętasz?

– Pamiętam – odrzekł Jack.

Siedzieli na swojej sekretnej polance w lesie. Lato chyliło się już ku końcowi, więc zamiast poszukiwać cienia przy strumieniu, rozpalili małe ognisko w pobliżu skalnego nawisu. Popołudnie było chłodne, szare i mroczne, ale kochanie rozgrzało ich, ogień zaś trząskał wesoło. Poza opończami nie mieli nic na sobie.

Jack rozchylił opończę Alieny i dotknął jej piersi. Ona uważała, że są za duże, martwiło ją, że nie mają już dawnej jędrności i że nieco obwisły po wykarmieniu dwojga dzieci. Jack jednak uwielbiał je, co było dla niej wielką ulgą.

– Opowieść o księżniczce mieszkającej w wysokim zamku. – Delikatnie dotknął sutki. – I o księciu, który żył w innym zamku. – Dotknął drugiej. – Codziennie spoglądali na siebie z okien wież, marząc, by móc się przedostać przez dolinę dzielącą zamki... – Jego dłoń spoczęła na rowku między piersiami, potem nagle ruszyła w dół. – Lecz co niedziela spotykali się w lesie! – Pisnęła za-

skoczona, a potem zaśmiała się z siebie.

Te niedzielne popołudnia były jedynymi chwilami radości w życiu, które gwałtownie się pogarszało.

Złe żniwa i spadająca cena wełny spowodowały załamanie gospodarcze. Kupcy zostali zrujnowani, mieszczenie nie mieli pracy, a rolnicy głodowali. Jack na szczęście zarabiał i wraz z garstką ludzi stawiał pierwsze przęsło nawy. Natomiast Aliena niemal całkowicie wstrzymała wytwarzanie tkanin. W hrabstwie Shiring sprawy miały się jeszcze gorzej, a to z powodu metod, jakimi William radził sobie z głodem.

To sprawiało Alienie najwięcej bólu. Hamleigh wyciskał każdy grosz, by budować nowy kościół w Shiring, ten kościół, który miał być poświęcony pamięci jego ziejącej nienawiścią, na wpół szalonej matki. Do tej pory wyrugował już wielu spośród swych dzierżawców za zaległości czynszowe, skutkiem czego część najżyźniejszej ziemi w hrabstwie leżała odłogiem, co dodatkowo zmniejszało ilość zebranego zboża. Ponadto przetrzymywał ziarno, by jego cena rosła jeszcze wyżej. Miał tylko kilka sług i nikogo na utrzymaniu, więc zyskiwał na tym nadzwyczajnie. Na dłuższą metę jednak czynił nieodwracalne szkody w posiadłościach i uniemożliwiał uprawę podległych mu ziem. Aliena pamiętała hrabstwo pod rządami swego ojca, wspominała, jak bardzo było bogate, jak dobrze rodziły pola i jak zamożne były miasta, więc obecna sytuacja łamała jej serce.

Na kilka lat zapomniała o przysięgach złożonych ojcu przez nią i przez brata. Od czasu kiedy William Hamleigh został mianowany hrabią, a ona miała rodzinę, sprawa odzyskania hrabstwa wydawała się mrzonką. Richard został dowódcą straży. Nawet ożenił się z jakąś miejscową dziewczyną, córką cieśli. Niestety okazało się, że była słabego zdrowia i w zeszłym roku zmarła, nie zostawiając mu dzieci.

Od kiedy zapanował głód, myśl o hrabstwie zajmowała coraz więcej miejsca w umyśle Alieny. Wiedziała, że gdyby hrabią był Richard, to z jej pomocą

mógłby wiele uczynić, by złagodzić cierpienia powodowane głodem. Cóż, to tylko marzenia; William był w łaskach u króla Stefana, zwycięzcy w wojnie domowej, i nie było widoków na zmianę.

Te wszystkie smutne myśli opuszczały ją, gdy z Jackiem kochali się na trawie sekretnej polanki. Teraz zaś jego żartobliwa opowieść przyniosła zachwycającą pieśczętę i Aliena przesunęła swą twarz do niego, pragnąc pocałunku. Nagle rozległ się jakiś głos.

Zamarli. Polanka znajdowała się w pewnej odległości od drogi i była dobrze ukryta w zaroślach. Nikt poza przypadkowym jeleniem czy lisem nigdy im nie przeszkodził. Wstrzymali oddechy i nasłuchiwali. Głos nadleciał znowu, a za nim jakiś inny. Kiedy wyteżyli słuch, dobiegły ich dźwięki przedzierania się przez gąszcz, jakby lasem szła spora grupka ludzi.

Jack odszukał buty. Wziął jeden do ręki i, poruszając się cicho, wszedł do wody. Napełnił but wodą i zalał ognisko. Płomień zgasł z sykiem wśród kłębow dymu. Jack bezszelestnie wniknął w gęstwinę.

Aliena włożyła koszulę, tunikę i buty, potem ponownie owinęła się w opończę.

Jack wrócił równie cicho, jak odszedł.

– Banici.

– Ilu? – spytała szeptem.

– Mnóstwo. Nie widziałem wszystkich.

– Gdzie idą?

– Do Kingsbridge. – Podniósł rękę. – Słuchaj.

Aliena wyciągnęła szyję. Z daleka usłyszała dzwon klasztorny, który bił szybko i natarczywie, ostrzegając o niebezpieczeństwie. Serce jej drgnęło.

– Jack! Dzieci!

– Możemy wrócić przed banitami, jeśli przetniemy Błotnisty Dołek i przejdziemy rzekę koło kasztanów.

– Śpieszmy zatem!

Jack powstrzymał ją, położywszy jej rękę na ramieniu, przez chwilę nasłuchiwał.

W lesie zawsze słyszał więcej niż ona. To dzięki temu, że tutaj wyrósł. Czekala. W końcu powiedział:

– No, chyba już wszyscy przeszli.

Wkrótce znaleźli się na trakcie. W zasięgu wzroku nie było nikogo. Przebiegli trakt, zagłębili się w las, stąpając po ledwie widocznym szlaku. Aliena zostawiła Tommy'ego i Sally z Martha. Kiedy wychodziła, oni właśnie grali przed wesoło buzującym paleniskiem. Nie miała pojęcia, o jakie zagrożenie chodzi, ale przerażała ją, że może się coś w ogóle stać, a jej przy dzieciach nie będzie. Kiedy tylko mogli, biegli, lecz, ku zmartwieniu Alieny, grunt rzadko się do tego nadawał. Tędy szło się trudniej niż drogą, ale było też o wiele bliżej.

Zsunęli się po zboczu wiodącym do Błotnistego Dołka. Nieostrożni ludzie nieraz ginęli w tym bagnie, lecz gdy ktoś znał drogę, nie było niebezpieczeństwa. A jednak błoto wciągało stopy Alieny, co zwalniało bieg do Tommy'ego i Sally. Po przeciwnej stronie Błotnistego Dołka był bród na rzece. Zimna woda splukala błoto.

Stąd droga wiodła prosto. W miarę jak zbliżali się do miasta, dzwon na trwogę brzmiał coraz głośniejszy. Cokolwiek zagrażało miastu, zostało ono ostrzeżone, myślała, chcąc podnieść się na duchu. Kiedy wyłonili się z lasu, na łące nad rzeką jakichś dwudziestu czy trzydziestu młodych ludzi, którzy grali tu w piłkę, właśnie zbierało się do miasta. Pokrzykiwali ochryple, spoceni mimo chłodnego powietrza.

Pośpieszyli przez most. Bramę już zamykano, ale ludzie na murach poznali ich i wpuścili do środka. Wejście do miasta przed banitami sprawiło wielką ulgę Alienie.

Zdyszani pośpieszyli główną ulicą. Mieszczanie dążyli ku murom z włóczniami, łukami i workami kamieni. Dzieci zebrano i prowadzono do klasztoru. Martha powinna już tam być razem z Tommym i Sally. Poszli z Jackiem prosto

do klasztoru.

W klasztornej kuchni Aliena ujrzała, ku swemu wielkiemu zdumieniu, matkę Jacka. Ellen, gibka i opalona jak zawsze, ale z posiwiałymi włosami i zmarszczkami wokół czterdziestoczteroletnich oczu, żywo mówiła coś do Richarda. Przeor Philip stał nieco dalej, kierował dzieci do budynku kapituły. Zdawało się, że nie zauważa obecności Ellen.

Dostrzegła Marthę z dziećmi i podbiegła do nich.

– Mamo, skąd tu się wzięłaś? – spytał Jack na powitanie.

– Przyszłam was ostrzec przed bandą banitów, którzy się tu wybierali. Chcą napaść na miasto.

– Widzieliśmy ich w lesie – powiedział Jack.

Richard nastawił uszu.

– Widziałeś? Ilu ich jest?

– Nie mam pewności, ale sądząc po odgłosach, jest wielu, około setki, może więcej.

– Jaka broń?

– Maczugi. Noże. Głównie kije.

– A kierunek?

– Idą od północy.

– Dzięki. Popatrzę z murów.

– Martho, zabierz dzieci do budynku kapituły – zawołała Aliena. Sama podążyła za Richardem, podobnie jak Ellen i Jack.

Kiedy szli ulicami, ludzie zwracali się do Richarda, aby dowiedzieć się, co się dzieje.

– Banici – odpowiadał zwięźle, nie zwalniając kroku.

Aliena uświadomiła sobie, że właśnie w takich sytuacjach Richard był najlepszy. Jego życiowa niezaradność zniknęła w chwilach napięcia i w żołnierskich działaniach stawał się zimny, zrównoważony i sprawny.

Doszli do północnego muru i po drabinie wspięli się na jego koronę. W re-

gularnych odstępach ułożono tam stosy kamieni przeznaczonych do zrzucania na głowy napastników. Mieszczanie z łukami i strzałami pozajmowali stanowiska za blankami. Jakiś czas temu Richard zdołał przekonać ich do odbywania raz do roku ćwiczeń obronnych. Przeciw temu pomysłowi początkowo wysuwano wiele zastrzeżeń, ale ćwiczenia stały się po pewnym czasie zwyczajem, podobnym do zabaw sobótkowych, podobały się wszystkim. Ich rzeczywiste dobrodziejstwo objawiło się dzisiaj, kiedy mieszczanie szybko i sprawnie reagowali na wezwanie dzwonu i zajmowali wyznaczone miejsca.

Aliena popatrzyła ponad polami na las, ale nikogo nie dostrzegła.

– Musieliście ich sporo wyprzedzić – stwierdził Richard.

– Ale dlaczego oni idą tutaj?

– Spichlerze klasztorne. Na wiele mil dookoła są one jedynym miejscem, gdzie w ogóle jest jakaś żywność – odpowiedziała Ellen.

– To prawda.

Banitami byli ludzie wywłaszczeni przez Williama, ludzie, którzy nie mieli innego sposobu na przeżycie jak kradzież. W bezbronnych osadach nie mieli nic do zabrania, bo chłopom i kmieciom wiodło się niewiele lepiej od banitów. Tylko stodoły właścicieli ziemskich zawierały pewne zapasy żywności.

Kiedy tak o tym rozmyślała, dostrzegła ich.

Szybko podążali przez pola, zmierzając w stronę murów Kingsbridge; dwudziestu, trzydziestu, pięćdziesięciu, stu – mała armia. Pewnie mieli nadzieję na zaskoczenie miasta i przedostanie się do środka przez bramy i furtki, lecz kiedy usłyszeli bicie dzwonów, zorientowali się, że nic z tego. Ale i tak szli na miasto, z całą rozpaczliwą odwagą umierających z głodu. Któryś z miejskich łuczników za wcześniej strzelił, a Richard wrzasnął:

– Czekać! Nie marnować strzał!

Kiedy ostatni raz atakowano Kingsbridge, Tommy miał osiemnaście miesięcy, a Aliena była w ciąży z Sally. Wówczas znalazła schronienie w klasztorze, wraz ze staruszkami i dziećmi. Tym razem chciała stać na murach i wspie-

rać walczących. Większość kobiet miała podobne uczucia i dlatego też tu przyszły. Wprawdzie stała niedaleko klasztoru, ale gdyby banici przedarli się w jakimś innym miejscu obrony, to mogliby dostać się do klasztoru szybciej, niż ona zdążyłaby dobiec. Mogła też zostać ranna w trakcie walki i być niezdolna do pomocy dzieciom. Na murach był Jack, była Ellen: gdyby ich wszystkich zabito, dzieciom pozostałaby jedynie Martha. Aliena wahała się, nie wiedziała, co robić.

Banici zbliżyli się. Przywitał ich grad strzał, tym razem Richard nie kazał żadnemu łucznikowi czekać. Strzały zdziesiątkowały napastników. Nie mieli przecież broni. Nie byli też zorganizowani. Nikt nie dowodził atakiem. Zachowywali się jak oszalałe zwierzęta, ślepo bijące głową w mur. Kiedy dotarli do umocnień, nie wiedzieli, co dalej czynić. Mieszczanie obrzucali ich kamieniami ciskanymi zza blanków. Kilku banitów maczugami zaatakowało północną bramę. Aliena знаła grubość okutych żelazem wrót z dębowego drewna: żeby tędy się przebić, musieliby stracić całą noc. W tym czasie Alf Butcher, rzeźnik, z Arthurem Saddlerem, siodlarzem, starali się wnieść na górę kocioł wrzątku wzięty z jakiejś kuchni.

Dokładnie pod Alieną grupka atakujących próbowała formować piramidę. Jack i Richard natychmiast zaczęli ciskać w nich kamieniami. Aliena, ciągle myśląc o dzieciach, uczyniła to samo, a Ellen dołączyła do nich. Zdesperowani banici wytrzymywali ten deszcz kamieni, dopóki któryś nie oberwał w głowę. Wówczas piramida rozpadła się i dali za wygraną.

W chwilę później spod bramy północnej rozległy się okrzyki bólu; to ukrop sięgnął głów banitów atakujących wrota. Potem któryś zauważył, że zabici i rani kamraci są łatwym łupem, więc poczęli obdzierać ich ciała. Ci lżej ranni zaczęli się bronić. Wywiązały się bójki między rannymi i łupiącymi, a potem także między łupiącymi. Było to bezwstydne, odrażające. Obraz obrzydliwej degeneracji i hańby. Skoro atak się załamał, a napastnicy jęli walczyć między sobą jak psy gryzące się nad rzuconą kością, mieszczanie przestali ciskać ka-

mienie.

Aliena zwróciła się do Richarda:

– Są za mało zorganizowani, aby mogli stać się prawdziwym zagrożeniem.

Skinął głową.

– Z niewielką pomocą będą naprawdę groźni, bo są zrozpaczeni. Ale nie mają wodza.

Alienie przyszedł do głowy pewien pomysł.

– Armia czekająca na wodza – rzekła.

Richard nie zareagował, ale ją podnieciła ta myśl. Richard przecież był doskonałym przywódcą, lecz nie miał armii. Banici byli armią niemającą wodza. Hrabstwo zaś chyliło się ku upadkowi.

Niektórzy mieszczanie zaczęli znowu rzucić kamienie i strzelać z luków, a z bramy północnej wypadła gromada młodzików. Błyskając mieczami i toporami, natarli na wroga. To ostatecznie odebrało napastnikom ducha i zaczęli uciekać niczym stado psów, które umykają z podwiniętymi ogonami i tylko od czasu do czasu z żalem się oglądają. Banici uciekli, ale kilku zginęło.

Ellen odwróciła się z wyrazem wstrętu na twarzy.

– Powinieneś powstrzymać tych chłopców przed polowaniem – powiedziała do Richarda.

– Młodzi ludzie powinni zobaczyć trochę krwi po takiej wprawce jak dzisiejsza. Poza tym im więcej zabijemy teraz, tym mniej ich zostanie na później.

Oto wojskowa filozofia, pomyślała Aliena.

Kiedyś, gdy codziennie coś zagrażało jej życiu, prawdopodobnie mogłaby zachowywać się jak ci młodzi ludzie i gonić banitów, by ich zabić. Teraz natomiast pragnęła wymazać przyczyny banicji i właśnie rozmyślała nad sposobem wykorzystania ich siły i liczebności.

Richard kazał uderzyć w klasztorny dzwon, odwołując alarm, po czym wydał rozkazy dotyczące podwojenia warty nocnej i patrolowania murów i ulic. Aliena poszła do klasztoru i zabrała Marthę i dzieci. Wszyscy spotkali się zno-

wu w domu, w którym mieszkał Jack.

Alienę ogarnęła radość. Oto ona i Jack, jego matka, jej brat i Martha. Przypominało to zwyczajną rodzinę, tak bardzo przypominało, że niemal udało się jej zapomnieć o śmierci ojca w lochu, o tym, że prawnie jest poślubiona przybranemu bratu Jacka, że Ellen jest banitką, że...

Potrząsnęła głową. Nie mogła udawać, że są zwyczajną rodziną. Jack dzbankiem zaczerpnął piwa z baryłki i napełnił spore kubki. Wszyscy odczuwali napięcie i podniecenie po bitwie. Ellen rozpałała ogień, a Martha pokroiła rzepę do garnka, zaczynając przygotowywać na kolację jarzynową zupę. Dawno, dawno temu przy takiej okazji upiekliby pół świni.

Richard wypił swoje piwo jednym długim łykiem, wytarł usta i rzekł:

– Zanim skończy się zima, zobaczymy jeszcze wiele takich wydarzeń.

– Powinni zaatakować spiżarnie lorda Williama, a nie przeora Philipa.

Przecież to właśnie William większość z tych ludzi doprowadził do takiej nędzy – powiedział Jack.

– Przeciw Williamowi nie powiodłoby im się bardziej niż przeciwko nam, chyba że poprawiliby taktykę. Bardziej przypominają stado psów niż ludzi chcących coś zdobyć.

– Potrzeba im przywódcy – odezwała się Aliena.

– Módl się lepiej, by nigdy żadnego nie mieli – sprzeciwił się Jack. – Wtedy dopiero staliby się groźni!

– Tak, ale wówczas mogliby uderzyć na Williama, a nie napadać na wioski czy miasta – replika była przemyślana.

– Nie nadążam za tobą. Czy naprawdę przywódca dałby radę to uczynić?

– Gdyby to był Richard, to tak.

Zapadła cisza.

Ten pomysł rozwijał się w głowie Alieny i teraz już była przekonana, że można go urzeczywistnić. Wtedy mogliby dotrzymać przysięgi – Richard zniszczyłby Williama i stał się hrabią, a hrabstwo... Hrabstwo by zyskało pokój i do-

statek... Im dłużej o tym myślała, tym bardziej się tym ekscytowała.

– W dzisiejszym napadzie brało udział ponad stu ludzi. – Odwróciła się do Ellen. – Ilu ich jeszcze może być po lasach?

– Niezliczona ilość. Setki. Tysiące.

Aliena nachyliła się nad kuchennym stołem i spojrzała Richardowi prosto w oczy.

– Ty zostaniesz ich wodzem – rzekła z naciskiem. – Zorganizujesz ich. Nauczysz, jak walczyć, przygotujesz plany ataków. Potem wyślesz do boju. Przeciw Williamowi.

Mówiąc to, uświadomiła sobie, że wystawia jego życie na niebezpieczeństwo. Przecież zamiast hrabstwa mógł znaleźć śmierć.

Richard jednak nie miał takich obaw.

– Na Boga, Allie, może i masz rację! Miałbym własną armię, którą mógłbym poprowadzić przeciw niemu!

Aliena dostrzegła w jego twarzy długo ukrywaną i tłumioną, a teraz ujawnioną nienawiść, widziała bliznę na uchu, gdzie odcięto kawałek małżowiny. Otrząsnęła się, by pozbyć się przerażających wspomnień.

– Mógłbym najeżdzać stada Williama – Richard zapalał się do tego pomysłu – kraść jego owce, polować na jego jelenie, rozwalać składy, rabować młyny. Mój Boże, mogę tej glistie przysporzyć sporo cierpienia, jeśli będę miał armię.

Zawsze żołnierz, pomyślała Aliena, takie jego przeznaczenie. Mimo lęku o jego życie możliwość wypełnienia ślubu przejęła ją do głębi.

– Ale jak ich znajdę? Oni się ukrywają – zaniepokoił się Richard.

– Na to mogę ci odpowiedzieć – odezwała się Ellen. – Przy odgałęzieniu traktu winchesterskiego jest zarośnięta droga wiodąca do nieużywanego już kamieniołomu. To ich kryjówka. Kiedyś to miejsce znano jako Kamieniołom Sally.

– Ale ja nie mam kamieniołomu! – siedmioletnia Sally była zdziwiona.

Zaśmiali się wszyscy.

Richard, podniecony i zdecydowany, wyszeptał:

– Doskonale. Kamieniołom Sally.

– Pamiętam, że cały dzień ciężko pracowaliśmy, karczując masywny pień na szczycie wzgórza – mówił Philip. – Kiedy wróciliśmy, mój brat Francis stał właśnie tam, w zagrodzie dla kóz, i trzymał ciebie w ramionach. Miałeś wtedy jeden dzień.

Jonathan słuchał z powagą. Dla niego był to uroczysty moment. Philip przyjrzał się klasztorowi Świętego Jana. Teraz w zasięgu wzroku nie zostało zbyt wiele drzew, w minionych latach bowiem mnisi oczyścili wiele akrów lasu i wokół klasztornych zabudowań ciągnęły się pola. Przybyło kamiennych budynków: kapituła, refektarz i dormitorium, a i drewnianych nie było mało – sporo niedużych stodół i obory. Miejsce, które dziś zastał w lesie, bardzo się różniło od tego, które zostawił siedemnaście lat temu. I ludzie też się zmienili. Kilku spośród tamtych młodych mnichów pełniło obecnie odpowiedzialne funkcje w Kingsbridge. William Beauvis, który narobił kłopotów w czasie mszy, bo ciskał gorącym woskiem w łysinę mistrza nowicjuszy, teraz został przeorem Świętego Jana z Lasu. Inni odeszli, jak Peter z Wareham, który przebywał obecnie w Canterbury i współpracował z młodym ambitnym archidiakonem nazwiskiem Tomasz Becket.

– Zastanawiam się, jacy byli moi rodzice – odezwał się Jonathan.

W Philipie budziło się współczucie. On sam stracił rodziców, ale miał wtedy sześć lat i dobrze ich pamiętał: kochającą łagodną matkę i ojca, wysokiego i czarnobrodego, a także, przynajmniej według niego, dzielnego i silnego. Jonathan zaś nie miał żadnych wspomnień. Pewne było tylko to, że go nie chcieli.

– Możemy jedynie snuć domysły na ich temat – powiedział Philip.

– Naprawdę? – żarliwie spytał Jonathan.

– Byli biedni. Bogaci nie mają powodów, by porzucać dzieci. Nie mieli przyjaciół; ci zawsze wiedzą, czy i kiedy kobieta spodziewa się dziecka, a potem zadają pytania. Musieli być w rozpaczliwym położeniu, że zdecydowali się porzucić dziecko.

Twarz Jonathana błyszczała od nieskrywanych łez. Philip chciał zapłakać nad losem tego chłopca, który, jak mówili wszyscy, był tak do niego samego podobny. Chciałby także dać mu trochę pociechy i ukojenia, powiedzieć coś ciepłego i podnoszącego na duchu, coś serdecznego o rodzicach, ale jak mógł mówić, że kochali swe dziecko, skoro zostawili je, by zmarło?

– Jak Bóg może dopuścić do takich rzeczy? – zapytał Jonathan.

– Odpowiadając na takie pytania, można pogubić się w odpowiedzi. Tym razem jednak myślę, że sprawa jest jasna. Bóg chciał ciebie dla siebie.

– Naprawdę tak myślisz?

– Czyżbym ci nigdy tego nie mówił? Zawsze w to wierzyłem. Właśnie tak powiedziałem mnichom: Bóg, przysyłając ciebie, miał jakiś cel, a skoro tak, to obowiązkiem bożych sług jest wychować cię, byś mógł wypełniać zadanie, jakie on ci przeznaczył.

– Zastanawiam się, czy moja matka o tym wiedziała. Czy teraz wie.

– Jeśli jest z aniołami, w niebie, to wie.

– A jak myślisz, jakie ja mam zadanie?

– Bóg chce, by mnisi pisali, iluminowali, komponowali i wykonywali muzykę, by gospodarzyli. Potrzebuje ludzi, którzy sprawowaliby ważne urzędy biskupa, przeora, klucznika. Potrzebuje także i tych, którzy handlują wełną, potrafią uzdrawiać chorych, uczyć i budować kościoły.

– Trudno mi to sobie wyobrazić, by przykładał jakąś miarę akurat do mnie.

– A mnie się wydaje, że gdyby było inaczej, to nie zadawałby sobie tyle trudu przy twym chowaniu i nauce. – Philip uśmiechnął się. – Skądinąd byłoby dobrze, gdybyś zdał sobie sprawę z tego, że w ludzkim wymiarze rola wyznaczona ci przez Niego nie musi być wielka i wybitna. Być może Bóg chce, byś

został jednym z cichych mnichów, pokornym człowiekiem, który całe życie poświęcił modlitwie i medytacji.

Jonathanowi twarz się wydłużyła.

– Przypuszczam, że może tak być.

– No, ale ja tak nie uważam – przekornie powiedział przeor. – Bóg nie chce, by nóż był z drewna czy kobieca koszula ze skóry zdatnej na buty. Ty nie jesteś dobrym materiałem na kogoś, kto żyje w cichości, a On o tym doskonale wie. Domyślam się, że Bóg chce, byś dla niego walczył, a nie śpiewał.

– Uff, mam nadzieję.

– Teraz jednak z pewnością Bóg niewątpliwie sobie życzy, byś zobaczył się z bratem Leonem i dowiedział się, ile przeznaczył serów dla klasztoru w Kingsbridge.

– Dobrze.

– Ja zaś chcę porozmawiać z moim bratem w budynku kapituły. I, pamiętaj, proszę, jeśli ktokolwiek zapyta cię o Francisca, mów jak najmniej.

– Nic nie powiem.

– Możesz już iść.

Jonathan szybko przeszedł przez dziedziniec. Już opuścił go uroczysty nastrój. Philip przyglądał mu się, póki nie zniknął w budynku. Pomyślał, że kiedyś on był taki sam jak Jonathan, no, może nie aż tak mądry.

Poszedł w drugą stronę, ku kapitule. Francis sekretnie dał mu znać, że chce się z nim tutaj spotkać bez świadków. Mnisi z Kingsbridge wiedzieli, że dokonuje rutynowej wizytacji w klasztorze Świętego Jana. Spotkania przed tutejszymi mnichami oczywiście nie udało się ukryć, lecz z kolei oni pozostawali w takiej izolacji, że nie mieli komu o tym powiedzieć. Jediną osobą przyjeżdżającą do Kingsbridge był ich przeor, ale on przysiągł Philipowi milczenie.

Zarówno Philip, jak i Francis przybyli rano i chociaż nie było możliwe udawać, że ich spotkanie to dzieło przypadku, mogli jednak zachować pozór, że spotykają się powodowani tęsknotą braterską. Obaj uczestniczyli w sumie,

a potem zjedli z mnichami obiad. Wreszcie mieli okazję porozmawiać ze sobą sam na sam.

Francis czekał, siedząc na kamiennej ławie pod ścianą. Philip niemal nigdy nie widywał własnego odbicia, w klasztorze nie miał lustra, więc mierzył swoje postępy w starzeniu się, przyglądając się swemu zaledwie dwa lata młodszemu bratu. Czterdziestodwuletni Francis w czarnej grzywie miał kilka białych kosmyków, a wokół oczu siatkę zmarszczek.

Usiadł obok Francis'a i zapatrzył się przed siebie, gdzieś w ośmiokątny pokój. Usłyszał pytanie brata:

– Jak idą sprawy?

– Barbarzyńcy zwyciężają. Klasztor już prawie nie ma grosza, niemal zahamowała się budowa katedry, Kingsbridge podupada, połowa hrabstwa umiera z głodu, a podróże stały się niebezpieczne.

– W całej Anglii to samo. – Francis pokiwał głową.

– Może barbarzyńcy już na zawsze zapanują – ponuro wróżył Philip. – Może chciwość zawsze już będzie ważyć więcej od mądrości wśród doradców możnych; może strach już na stałe przewycięży miłosierdzie człowieka z mieczem w ręku.

– Zwykle nie okazywałeś aż takiego czarnowidztwa.

– Kilka tygodni temu napadli na nas banici. Ich wysiłek był żaloszny. Skoro tylko mieszczenie zabili kilku z nich, zaczęli się bić między sobą. Lecz kiedy już uciekali, młodzi ludzie z naszego miasta pogonili za nimi. Polowali na te nieszczęsne ludzkie wraki i zabijali, ilu tylko się udało. To było obrzydliwe.

– Trudno to zrozumieć. – Francis potrząsnął głową.

– Myślę, że rozumiem. Bali się i jedynie rozlew krwi banitów mógł usunąć źródło owego strachu. Ja widziałem to samo w oczach tych, którzy zabili naszych rodziców. Zabili, bo się bali. Lecz kto może zniszczyć ich strach?

– Pokój, sprawiedliwość, zamożność... – Francis westchnął. – Wszystkie rzeczy tak trudne do osiągnięcia.

Philip skinął głową.

– Tak. A co ciebie przywiodło?

– Pracuję dla syna Cesarzowej Matyldy. Na imię ma Henryk.

Philip słyszał jakieś pogłoski o tym Henryku.

– A jaki on jest?

– To bardzo zdecydowany i mądry młodzieniec. Jego ojciec nie żyje, więc jest hrabią Anjou. Jednocześnie jest diukiem Normandii, bo to najstarszy wnuk starego króla Henryka, któremu przysługiwał tytuł króla Anglii i diuka Normandii. A żonaty jest z Eleonorą Akwitańską, więc jest także diukiem Akwitanii.

– Rządzi tedy większymi terytoriami niż król Francji.

– Właśnie.

– Ale jaki jest?

– Wykształcony, pracowity, szybki, niespokojny. Ma silną wolę i budzący przerażenie temperament.

– Czasem sam chciałbym mieć taki budzący przerażenie temperament – rzekł Philip. – To pozwala na trzymanie ludzi w napięciu i zmusza ich do pracy na najwyższych obrotach. Tyle że wszyscy wiedzą, iż zawsze jestem rozsądny, więc nikt nie jest mi posłuszny z taką gotowością, z jaką słucha poleceń przeora mogącego w każdej chwili wybuchnąć.

Francis zaśmiał się.

– Pozostań, jakim jesteś. – Spoważniał. – Dzięki Henrykowi zrozumiałem, jak ważna jest osobowość króla. Popatrz na Stefana: jego osąd jest kiepski; zdecydowanie wypala się szybko w jego działaniach, łatwo się poddaje; jest odważny do głupoty, a wrogom wybacza bez przerwy. Ci, którzy go zdradzają, niewiele ryzykują, wiedzą, że mogą liczyć na jego miłosierdzie. I dalej, wskutek takiego charakteru walczy już osiemnaście lat, by odzyskać ziemie, które już były zjednoczone w jednym królestwie w chwili, gdy je obejmował. Henryk do tej pory ma pod sobą więcej uprzednio niezawisłych księstw i hrabstw, niż

Stefan miał kiedykolwiek.

Philip zrozumiał.

– Dlaczego Henryk wysłał cię do Anglii? – zapytał.

– Bym się przyjrzał królestwu.

– I coś zobaczył?

– Że jest pełne bezprawia i głodowej śmierci, zniszczone burzami i zgnęcone wojną.

Philip w zamyśleniu pokiwał głową. Młody Henryk był diukiem Normandii jako najstarszy syn Matyldy, jedyne dziecko Henryka z prawego łoża.

A zatem mógł domagać się korony Anglii.

Jego matka pragnęła korony dla siebie, a sprzeciwiano się jej, bo przecież była kobietą, to raz, a dwa, bo jej mąż był Andegawenem. Natomiast młody Henryk miał dodatkowy atut. Był Normanem (po matce) i Andegawenem (po ojcu).

– Czy Henryk będzie próbował sięgnąć po koronę Anglii? – spytał Philip.

– To zależy od mego raportu – odrzekł Francis.

– Co tam napiszesz?

– Że nigdy nie zdarzy się lepsza okazja.

– Chwała Bogu – zakończył westchnieniem ulgi Philip.

II

Po drodze do zamku biskupa Walerana hrabia Hamleigh zatrzymał się we własnym młynie w Cowford Mill. Młynarz Wulfric, uparty mężczyzna w średnim wieku, miał prawo mielenia ziarna z jedenastu pobliskich wsi. Jako zapłatę przyjmował dwa worki z każdej dwudziestki: jeden dla siebie, drugi dla swojego pana.

William przybył tutaj, by odebrać swoją należność. Zazwyczaj osobiście

tego nie czynił, ale czasy nie były normalne. Dziś musiał zapewnić uzbrojoną straż każdemu wozowi z mąką czy jakąkolwiek żywnością. Chcąc wykorzystywać swych ludzi jak najoszczędniej, nabrał zwyczaju zabierania ze sobą jednego czy dwu wozów, kiedy tylko wyruszał ze switą rycerzy i przybocznych, i przy okazji zwoził wszystko, co mógł.

Jego twarda polityka wobec dzierżawców przyniosła dodatkowe skutki w postaci szybkiego wzrostu przestępstw, nawet zbrodni, karanych banicją. Wywłaszczeni i pozbawieni ziemi ludzie skłaniali się często ku złodziejstwu. Właściwie to kraść umieli tak samo jak i gospodarzyć, więc William spodziewał się, że większość z nich wymrze w czasie zimy. Z początku jego oczekiwania znajdowały potwierdzenie: banici napadali na pojedynczych podróżnych, których nie bardzo było z czego okradać, lub podejmowali źle zorganizowane napady na doskonale bronione miasta. Ostatnio jednakże ich taktyka uległa poprawie. Teraz atakowali zawsze, mając podwójną przewagę liczebną nad siłami obrony. Przychodzili, gdy składy były pełne, co oznaczało, że mają znakomite rozpoznanie. Atakowali z nagłą i szybko, z odwagą, jaką wyzwala rozpacz. Ponadto nie dotrzymywali pola, nie walczyli, lecz każdy z banitów natychmiast po tym, jak porwał owcę, szynkę, ser, worek mąki czy sakwę z pieniędzmi, uciekał. Nie było sposobu ich gonić ani tropić, bo znikali w lesie, rozpraszali się na wszystkie strony. Ktoś nimi dowodził.

Udane ataki banitów upokarzały Williama. Czyniły z niego błazna, który nie umie zarządzać własnym hrabstwem. A co gorsza, rzadko zdarzało się im kraść u kogoś innego. Zdawało się, że celowo chcą go zgłębić. Dla Williama nie było nic bardziej znienawidzonego od wrażenia, że za jego plecami ktoś śmieje się z niego. Całe życie spędził na zmuszaniu ludzi do szacunku wobec siebie i swej rodziny, a ta bandycka hołota psuła mu robotę.

Najbardziej rozwścieczyła go fala szerzących się pogłosek o tym, że sam sobie dogodził, bo skoro tak ostro traktował swych dzierżawców i chłopów, to teraz oni się mszczą. Taka gadanina raziła go niczym apopleksja.

Mieszkańcy Cowford Mill wzdrygali się ze strachu na widok nadciągającego orszaku hrabiego. Ten zaś patrzył spode łba na pojawiające się w oknach i drzwiach chat i znikające natychmiast wychudłe oblicza wieśniaków. Ci tutaj ośmielili się wysłać księdza do niego, z prośbą, by zezwolił im w tym roku mleć u siebie własne ziarno, bo nie stać ich na dziesięcinę u młynarza. William, oburzony taką bezczelnością, chciał wyrwać księdzu język.

Było zimno, a przy brzegach młyńskiego stawu lód ściał wodę. Koło wodne stało, a kamień młyński nie hałasował. Jakaś kobieta wyszła z domu w pobliżu młyna. Na jej widok William poczuł spazm pożądania. Miała około dwudziestu lat, ładną twarz i burzę ciemnych kędziorów na głowie, wielkie piersi i silne uda. Kiedy wychodziła z domu, na jej obliczu malowała się radość, która zniknęła na widok rycerzy Williama, ona sama zaś wskoczyła z powrotem do chaty.

– Nie podobamy się jej – oświadczył Walter. – Pewnie dojrzała Paskudnego. – Był to jeden ze starych żartów, ale i tak ich rozbawił.

Przywiązali konie. Świta Williama nieco się zmieniła od tej, którą miał na początku wojny domowej. Oczywiście w dalszym ciągu towarzyszył mu Walter. Byli również Gervase, zwany Paskudnym, i Hugo, lecz Gilbert zginął w potyczce w kamieniołomie i zastąpił go Guillaume. Natomiast Miles stracił ramię w bójce podczas gry w kości i jego miejsce zajął Louis. Byli dorośli, lecz zachowywali się i mówili jak młodzieńcy; śmiali się, pili, hazardowali przy kartach i kościach, chodzili razem na dziwki. William dawno już nie mógł zliczyć piwiarni porozbijanych w burdach, Żydów, których storturowali, i dziewic, jakie rozprawiczyli.

Wyszedł młynarz. Bez wątpienia ponury wyraz jego twarzy wypływał z niewysychającego źródła niechęci do chłopów trudniących się jego rzemiosłem. Tym razem ową ponurość przysłonił cień niepokoju. To akurat było w porządku: William lubił, kiedy jego przybycie budziło niepokój.

– Nie wiedziałem, że masz córkę, Wulfric – powiedział z krzywym uśmiechem. – Ukrywałaś ją przede mną.

– To Maggie, moja żona – wyjaśnił młynarz.

– Bzdura! Twoja żona to poźółkła starucha, pamiętam ją.

– Moja May zmarła latoś, panie. Znów zem się ożenił.

– Ty stary brudny capie! – William uśmiechał się drwiąco. – Ta musi być ze trzydzieści lat młodsza od ciebie!

– Dwadzieścia pięć...

– Dostyc tego. Gdzie moja mąka? Worek z dwudziestu! Pamiętaj!

– Wszystko jest tutaj, panie. Racz wejść.

Wejście do młyna prowadziło przez dom. William i jego rycerze podążyli za młynarzem do izby. Młoda żona klęczała przed ogniem, dokładała polana. Kiedy się pochylała, tunika opinała jej ciało i hrabia wyobraził sobie mięsiste pośladki.

William zatrzymał się, by lepiej obejrzeć jej tyłek. Rycerze śmiali się cicho, a młynarz się zdenerwował. Kobieta rozejrzawszy się, wstała. Pojęła, że na nią patrzą, i zarumieniła się ze wstydu.

William łypnął ku niej i rzekł:

– Przygotuj nam trochę piwa, Maggie, jesteśmy bardzo spragnionymi mężczyznami...

Przeszli do młyna. Mąka w workach została poukładana w stosy wokół drewnianej obudowy kamienia młyńskiego. Niewiele jej było. Zwykle stos przewyższał dorosłego męża.

– To wszystko? – spytał William rozeźlony tym widokiem.

– Panie, te zbiory tak bardzo źle poszły...

– Gdzie moja część?! – wrzasnął hrabia.

– Tutaj, panie – Wulfric wskazał osiem czy dziewięć worków.

– Co!?! – William poczuł, że twarz mu poczerwieniała. – To ma być moje?!

To ja tu ciągnę dwa wozy, a ty mi pokazujesz ptasie gówienko?

Twarz Wulfrica przybrała jeszcze bardziej żaloszny wyraz.

– Panie, tak mi przykro...

William policzył starannie.

– To tylko dziewięć worków!

– Tyle jest – Wulfric niemal płakał. – Widzisz, panie, moje stoją obok twoich, a jest ich tyle samo...

– Ty załgany psie! – William był już wściekły. – Sprzedawałeś mąkę...

– Nie, panie – upierał się młynarz. – Tyle było.

Weszła Maggie. Na tacy niosła sześć glinianych kubków z piwem. Podała każdemu rycerzowi po jednym. Ci wzięli i łapczywie pili. William zignorował ją, za bardzo był zdenerwowany, by pić. Stała w oczekiwaniu z jednym kubkiem na tacy.

– Co to wszystko znaczy? – pytał William, wskazując palcem na ułożone worki pod ścianą, jakieś dwadzieścia pięć czy trzydzieści.

– To czeka na odbiór, panie, widać znak właściciela...

To prawda. Każdy worek był zaznaczony literą lub symbolem. Oczywiście mógł się spodziewać podstępu, lecz nie wiedział, jak to sprawdzić. To przyprawiło go o szaleństwo.

– Nie wierzę ci. Obrabowałeś mnie.

Wulfric z całym szacunkiem upierał się przy swoim, głos mu drżał.

– Jestem uczciwy, panie.

– Uczciwy młynarz jeszcze się nie narodził.

– Panie... – Wulfric z trudem przelykał. – Nigdy nie oszukałem cię nawet o ziarenko pszenicy...

– Założę się w ciemno, że mnie okradałeś!

Pot na twarzy Wulfrica płynął już strumieniami, mimo że dzień był chłodny. Wytarł go rękawem.

– Gotówem przysiąc na Jezusa Chrystusa i wszystkich świętych...

– Stul pysk!

Ucichł.

William pozwalał sobie na coraz większą, coraz bardziej szaleńczą wście-

kłość, ale wciąż jeszcze nie był zdecydowany, co zrobić. Chciał zostawić Wulfricowi naprawdę bolesną pamiątkę. Może by tak żelazna rękawica Waltera... a może zabrać część albo całą mąkę młynarza... Potem jego wzrok padł na Maggie, która trzymała tacę z jedynym kubkiem piwa. Twarz jej ściągał strach, wielkie młode piersi przeżyły się pod umączoną tuniką. Wymyślił doskonałą nauczkę.

– Złap żonę – rozkazał Walterowi. Do Wulfrica zwrócił się słowami: – Dam ci pewną lekcję.

Maggie zobaczyła, że zbliża się ku niej zbrojny mąż, ale już było za późno na ucieczkę. Kiedy się odwracała, Walter pochwycił ją za ramię i pociągnął. Taca upadła z trzaskiem, a z rozbitego kubka polało się piwo. Żołnierz wykręcił jej rękę i przytrzymał na plecach. Trzęsła się ze strachu.

– Nie, zostawcie ją, błagam! – skamlał Wulfric.

William kiwnął głową z zadowoleniem. Młynarz zobaczy, jak kilku mężczyzn gwałci jego żonę, i nic nie będzie mógł na to poradzić. Następnym razem postara się mieć dostateczną liczbę worków dla swego pana. Odezwał się:

– Twoja żona nabrała ciała na kradzonej mące, podczas gdy inni musieli zaciskać pasa. Zobaczmy więc, jak bardzo przytyła, dobrze? – Kiwnął na Waltera.

Ten chwycił karczek tuniki Maggie i mocno szarpnął. Ubranie trzasnęło i opadło. Pod tuniką miała płócienną, sięgającą kolan koszulę. Jej krągłe piersi wznosiły się i opadały, gdy dyszała ze strachu. William stanął przed nią. Walter mocniej wykręcił jej ramię, wygięła się z bólu w łuk, a jej piersi sterczały teraz jeszcze bardziej. William popatrzył na młynarza, a potem położył ręce na jej piersiach i obmacywał. Miękkie i ciężkie...

Wulfric zrobił krok do przodu i z bezsilną wściekłością wycharczał:

– Ty diable...

– Trzymać go! – rozkazał hrabia, a Louis pochwycił młynarza.

William rozdarł koszulę dziewczyny. Na widok ciała budzącego pożądanie

zaschło mu w gardle.

– Nie, błagam... – zaczął znowu Wulfric.

– Przytrzymajcie ją! – wrzasnął William.

Maggie zaczęła pojękiwać.

Hamleigh odpiął pas z mieczem i rzucił go na podłogę, a jego przybocznicy chwycili Maggie za ręce i nogi. Nie miała żadnej szansy oprzeć się czterem silnym mężczyznom, ale próbowała się wić i wykręcać, krzycząc przy tym z całej siły. William to lubił. Jej piersi podskakiwały, gdy tak się miotła, a uda to rozwierały, to ścisnęły, na przemian ukazując i ukrywając płeć. Czterech rycerzy przygwoździło ją do desek podłogi.

William ukląkł między jej nogami i podniósł dół swej tuniki. Popatrzył na młynarza. Wulfric był zdruzgotany. W przerażeniu toczył wzrokiem i bełkotał błagania o łaskę, które zagłuszało wycie przerażonej żony. Hrabia smakował chwilę: sterroryzowana kobieta, trzymający ją rycerze, mąż, który musi się przyglądać.

Wtem oczy Wulfrica pobiegły gdzie indziej.

William wyczuł niebezpieczeństwo. Wszyscy w izbie patrzyli na niego i kobietę. Jedyłą rzeczą, która mogłaby odwieść uwagę Wulfrica od tego, co tu się działo, było nadejście pomocy. William odwrócił twarz ku drzwiom.

W tejże chwili coś ciężkiego i twardego spadło mu na głowę. Zaryczał z bólu i padł na dziewczynę. Nagle usłyszał krzyk ludzi, wielu ludzi, całego mnóstwa. Kątem oka zobaczył, że Walter także pada, jakby i jego trafiono maczugą. Rycerze puścili dziewczynę. William ujrzał na jej twarzy wyraz zaskoczenia i ulgi. Maggie zaczęła wysuwać się spod niego. Pozwolił jej na to, a sam odtoczył się szybko.

I wtedy zobaczył stojącego nad nim mężczyznę o dzikim wyglądzie, z potężnym toporem. Na Boga żywego, któż to może być? Ojciec tej dziewczyny, przemknęło mu przez głowę. Dostrzegł Guillaume'a, jak wstaje i odwraca się, a w następnym momencie topór spada na jego bezbronny kark. Żołnierz padł

martwy, a jego krew zbryzgała tunikę Williama.

Hamleigh odepchnął trupa. Kiedy już był w stanie coś dojrzeć, zorientował się, że na młyn dokonano napaści. Tymi, którzy to sprawili, byli obdarci, rozczochrani, niemyci mężczyźni, zbrojni jedynie w maczugi i topory. Mrowiło się ich mnóstwo, mnóstwo. William zdał sobie sprawę, że tym razem jest w poważnych kłopotach. Czy to wieśniacy przyszli, zastanawiał się, na pomoc Maggie? Jak śmieli?! Postara się, by jeszcze przed wieczorem było we wsi kilka egzekucji.

Rozwścieczony, podniósł się jakoś na nogi i sięgnął po miecz.

Nie było go na miejscu. Zrzucił pas, by gwałcić dziewczynę.

Hugo, Gervase i Louis walczyli wściekle przeciw czemuś, co wyglądało na wielką bandę włóczęgów. Na ziemi leżało kilku martwych chłopów, jednak trójka rycerzy stale była spychana za młyński kamień. William dostrzegł nagą Maggie, jak usiłowała, wciąż wrzeszcząc, przecisnąć się przez kłęb ludzki ku drzwiom. Nawet w tym momencie, mimo swej konfuzji i strachu, na widok jej nagich krągłości poczuł skurcz pożądania. Potem dostrzegł Wulfrica walczącego wręcz z jakimś napastnikiem. Dlaczego młynarz bił się z tymi, którzy uratowali jego żonę? Co się, u licha, dzieje?

Zdezorientowany William rozglądał się za swym pasem i mieczem. Okazało się, że leży na podłodze u jego stóp. Podniósł wszystko i wyjął miecz z pochwy, potem cofnął się o trzy kroki, by na razie nie brać udziału w tym zamieszaniu. Przyjrzawszy się kotłowaninie, stwierdził, że większość atakujących wcale nie walczy, tylko porywa worki z mąką i wybiega z nimi. Nagle zrozumiał: to nie sąsiedzka pomoc oburzonych wieśniaków, lecz napad ludzi z zewnątrz. Maggie w ogóle ich nie interesowała, nie zdawali sobie także sprawy z tego, że on i jego rycerze byli w środku. Obchodziła ich wyłącznie mąka, także ta należąca do niego.

Już wiedział, z kim mają do czynienia. To banici.

Zrobiło mu się gorąco. Oto okazja, by zemścić się na tych wściekłych

psach, które terroryzowały hrabstwo i rabowały jego składy.

Rycerze walczyli z co najmniej dwudziestką. Williama zdumiewała odwaga banitów: chłopci zazwyczaj szli w rozsypkę, kiedy mieli stanąć twarzą w twarz z rycerzami, nawet gdy mieli liczebną przewagę, choćby dziesięciokrotną. Tymczasem ci tutaj walczyli twardo i nie tracili ducha, kiedy padali kamraci. Wyglądało na to, że są gotowi zginąć. Może dlatego, że i tak pisana im była śmierć z głodu, jeżeli nie ukradną tej mąki.

Louis walczył przeciwko dwom, kiedy trzeci zakradł się od tyłu i uderzył go ciesielskim młotem o żelaznej główce. Rycerz padł. Napastnik rzucił młot i podniósł miecz Louisa. Raptem pozostało tylko dwóch rycerzy przeciwko dwudziestu banitom. A jednak Walter zdołał się ocknąć po uderzeniu w głowę. Natychmiast dobył miecza i runął w wir walki. William z bronią w ręku stanął obok niego.

We czwórkę spychali banitów, którzy desperacko parowali ciosy maczugami i toporami. Wtem któryś krzyknął:

– Prawowity hrabia!

Okrzyk przetoczył się wśród walczących. Powtarzali go kolejni banici i zaczęli bić się ze zwiększonym zapalem. W ogniu walki o życie te powtarzające się słowa „prawowity hrabia, prawowity hrabia” przejęły chłodem serce Williama. Oznaczały bowiem, że kimkolwiek jest dowódca armii banitów, ma pretensje do jego tytułu. Zdwoił siłę ciosów, jakby ta potyczka miała zadecydować o przyszłości hrabstwa.

Z rycerzami walczyła teraz jedynie połowa banitów. Reszta wynosiła mąkę. Bitwa zmieniła się w stałą, pozycyjną wymianę cięć i natarć, pchnięć i uników. Zupełnie jak żołnierze, którzy orientują się, że niedługo zatrąbią na odwrót, banici jęli walczyć bardziej ostrożnie.

A za plecami walczących inni banici wynosili z młyna resztki mąki. Zaczęli się wycofywać w stronę drzwi prowadzących od młyna do izby. William wiedział, że cokolwiek teraz nastąpi, napastnicy i tak już mają większość zapa-

sów. Całe hrabstwo dowie się wkrótce, że zabrano mu mąkę sprzed nosa. Na długo stanie się przedmiotem powszechnych żartów. Ta myśl rozwścieczyła go tak, że ruszył gwałtownie do ataku i przebił serce banity klasycznym pchnięciem.

W tej samej chwili inny napastnik dosięgnął prawego ramienia Hugona i wyłączył go z dalszej walki. Nagle okazało się, że trzech rycerzy walczy przeciwko dwu banitom, którzy bronią dostępu do drzwi. To było poniżające, lecz na dokładkę jeden z nich w drzwiach pomachał swoim, by odchodzili, bo on sobie poradzi i jeszcze trochę przytrzyma rycerzy. Nieprawdopodobna buta. Jego towarzysz zniknął, a on cofnął się o krok do izby młynarza.

Tylko jeden rycerz mógł walczyć, stojąc w drzwiach. W napadzie bitewnej furii hrabia odepchnął na boki Waltera i Gervase'a. Tego pyszałka chciał mieć dla siebie. Gdy zderzyły się ich miecze, William natychmiast zrozumiał, że tym razem nie walczy z wywłaszczonym kmieciem, lecz z mężem okrzepłym w walce, jak on sam. Po raz pierwszy spojrzał w twarz przeciwnika. Zdumienie, jakie go ogarnęło, spowodowało, że niemal wypuścił miecz.

Przed nim stał Richard z Kingsbridge.

Twarz Richarda pałała nienawiścią. William dostrzegł jego bliznę na pokancerowanym uchu. Siła nienawiści bijąca z Richarda przerażała bardziej niż miecz błyskający w jego ręku. Hamleigh był pewny, że wykończył go ostatecznie, a tymczasem on wraca na czele bandy oberwańców i robi z niego durnia.

Richard zaatakował, wykorzystując chwilowe zaskoczenie Williama. Ten odstąpił w bok, unikając pchnięcia, podniósł miecz, parując cięcie, i cofnął się o krok. To było ostre natarcie, ale teraz framuga częściowo chroniła Williama i Richard mógł atakować jedynie pchnięciami. Mimo to zmuszał przeciwnika do cofania się przez całe przejście między domem i młynem, aż William znalazł się przy młyńskim kole. Jednakże teraz na Richarda ruszyli i Gervase, i Walter. Pod ich naporem wycofał się. Skoro tylko znalazł się w przejściu, Walter i Gervase znów odstąpili i William ponownie sam stanął przeciw Richardowi.

Hrabia zorientował się, że jego przeciwnik jest w paskudnej sytuacji. Jak tylko zyskiwał pole, stawał przeciwko trzem. Kiedy William się zmęczy, odstąpi miejsca Walterowi, a na koniec do walki wkroczy Gervase. Jeden nie może powstrzymać trzech w nieskończoność. Richard toczy bitwę, którą musi przegrać. Może dzień dzisiejszy nie zakończy się jednak poniżeniem. Może William uśmierci swego najdawniejszego wroga.

Myśli Richarda musiały krążyć tym samym śladem i pewnie doszedł do tego samego wniosku. A jednak nie było po nim widać wyraźnego ubytku energii. Niespodziewanie Williama przejął strach o to, że może zginąć, a resztki odwagi odebrało mu spojrzenie w twarz przeciwnika, naznaczoną straszliwym grymasem zemsty. W tym momencie Richard runął do przodu z błyskawicznym pchnięciem. Hrabia z trudem wykonał unik i potknął się. Walter rzucił się, by osłonić swego pana przed *coup de grâce*, ciosem ostatecznym, ale Richard, miast ruszyć do przodu, obrócił się na pięcie i podał tył.

William zerwał się, a Walter wpadł na niego, podczas gdy Gervase próbował się precyzyjnie obok nich. Jakiś czas zajęło im przepychanie się, ale Richard zdążył już przejść przez izbę, wyjść i zatrzaskać za sobą drzwi. William pobiegł za nim i otworzył je kopnięciem. Banici uciekali, a dodatkowym upokorzeniem było to, że uciekali wierzchem na koniach jego rycerzy. Kiedy hrabia wypadł na dwór, ujrzał swojego wierzchowca, wspaniałego konia bojowego, który kosztował go wręcz królewską sumę, podrywającego się z Richardem. Koń najwyraźniej został wcześniej odwiązany i był trzymany w pogotowiu. Ponownie tracił wspaniałego rumaka i ponownie przez Richarda, który już raz uciekł na jego koniu. Zauważył kunszt jeździecki swojego wroga, który bez widocznego wysiłku poskramiał wierzchowca. W tejże chwili William rzucił się do przodu i pchnięciem zaatakował Richarda. Koń jednak bryknął, nie bardzo chcąc się podporządkować nowemu jeźdźcowi, więc William chybił, wbijając czubek ostrza w drewnianą ramę siodła. Rumak wyrwał z miejsca i pomknął między wiejskimi zabudowaniami.

William patrzył za nimi. W głowie huczały mu słowa: „Prawowity hrabia. Prawowity hrabia”.

Odwrócił się. Walter i Gervase stali za nim. Hugo i Louis byli ranni, nie wiedział jeszcze, jak ciężko, a Guillaume poległ. Upokorzono go zupełnie. Nie umiał unieść głowy.

Na szczęście wioska opustoszała, bo kmiecie uciekli, nie czekając na gniew Williama. Oczywiście młynarz z żoną także zniknęli. Banici zabrali wszystkie konie, pozostawiając jedynie wozy i zaprzężone do nich woły.

William popatrzył na Waltera.

– Widziałeś, kim był ten ostatni?

– Tak. – W chwilach kiedy jego pan był wściekły, miał zwyczaj używania jedynie absolutnie niezbędnych słów.

– To Richard z Kingsbridge – powiedział William.

Przyboczny potwierdził.

– A oni nazywają go prawowitym hrabią.

Walter nic nie powiedział.

William poszedł z powrotem przed dom młynarza.

Siedział tam Hugo, lewą rękę przyciskając do prawego barku. Wyglądał blade.

– Jak tam? – spytał William.

– To nic – odrzekł Hugo – ale kto to był?

– Banici – krótko odpowiedział mu William. Rozejrzał się. Na podłodze leżało siedmiu czy ośmiu zabitych bądź rannych banitów. Zobaczył Louisa leżącego na wznak z otwartymi oczyma. Początkowo myślał, że jest martwy, ale nagle... – Louis! – zawołał William.

Żołnierz uniósł głowę, ale było widać, że nie bardzo wie, gdzie się znajduje. Jeszcze całkiem nie oprzytomniał.

– Hugo, pomóż Louisowi wdrapać się na jeden z tych wozów – nakazał William. – Walter, ty połóż Guillaume’a do drugiego. – Zostawił ich i wyszedł

na zewnątrz.

Żaden z wieśniaków nie miał konia, ale nad rzeką pał się na resztkach wymarzniętej trawy kuc młynarza. William odnalazł siodło i zarzucił na kuca.

Chwilę później opuszczał Cowford, a za nim Walter i Gervase powozili wolimi zaprzęgami.

W drodze do zamku biskupa Walerana wściekłość Williama nie osłabła. Nawet przeciwnie, im bardziej rozpamiętywał to, co się wydarzyło, tym bardziej się wściekał. Upokarzające było to, że banici skutecznie go pobili, jeszcze bardziej poniżał fakt, że dowodził nimi Richard, ale nie do zniesienia okazała się myśl, że Richarda nazywali prawowitym hrabią. Jeśli nie rozprawi się z nimi zdecydowanie, niedługo Richard może ich pchnąć bezpośrednio na niego, na Williama. Taka droga przejścia hrabstwa byłaby zupełnie poza prawem, to oczywiste. Jednakże William miał przecucie, że jego skarga na nielegalne przejście włości i tytułu nie spotkałaby się z życzliwym uchem. Fakt, że złapano go w pułapkę, że pokonali go banici, że został przez nich obrabowany, a całe hrabstwo śmiać się będzie z jego upokorzenia, raptem okazał się mniej ważny od tego, że jego posiadłości i tytuł były poważnie zagrożone.

Oczywiście Richarda trzeba zabić. Pytanie tylko, gdzie go szukać. Całą drogę do zamku biskupa roztrząsał ten problem, kiedy zaś dojeżdżał, doszedł do wniosku, że klucz ma w ręku biskup.

Sunęli do Waleranowej siedziby jak w komicznej paradzie na jarmarku; hrabia na kucu, a jego rycerze powożący wołami. William wyryczał rozkazy ludziom biskupa, posyłając jednego po cyrulika dla Hugona i Louisa, a innego po księdza dla Guillaume'a. Gervase i Walter udali się do kuchni napić się piwa, William natomiast poszedł do prywatnych kwater w twierdzy. Nienawidził prosić Walerana o cokolwiek, ale musiał szukać pomocy, aby zlokalizować Richarda.

Biskup czytał właśnie zwój z rachunkami, niekończące się rzędkie liczb. Podniósł wzrok i zobaczył wściekłą twarz Williama.

– Cóż to się stało? – spytał irytującym tonem łagodnego rozbawienia.

William zacisnął zęby.

– Odkryłem, kto organizuje i prowadzi tych przeklętych banitów.

Biskup milcząco podniósł brew.

– To Richard z Kingsbridge.

– Aha. – Waleran skinął głową na znak, że pojmuje. – Oczywiście, to zrozumiałe.

– To jest także groźne – odrzekł gniewnie William. Nie znosił, kiedy Waleran zachowywał chłód i rezerwę wobec rzeczy, które go denerwowały. – Nazywają go „prawowity hrabia”. – Wyciągnął wskazujący palec ku Waleranowi.

– Z pewnością nie chciałbyś, wielebny, by tamta rodzina odzyskała hrabstwo. Nienawidzą cię i są przyjaciółmi przeora Philipa, twego starego wroga, wielebny.

– Już dobrze, uspokój się – łagodząco powiedział Waleran. – Masz rację, nie mogę pozwolić Richardowi z Kingsbridge na odzyskanie hrabstwa.

William usiadł. Zaczynało go boleć całe ciało. Ostatnio odczuwał pobitewne urazy w sposób, w jaki dawniej nigdy mu się to nie zdarzało. Miał bez przerwy napięte mięśnie, obolałe ręce, siniaki i stłuczenia w miejscach, gdzie go trafiano lub na które upadał.

Mam zaledwie trzydzieści siedem lat, pomyślał, czy to w tym wieku zaczyna się starość?

– Muszę zabić Richarda. Kiedy jego zabraknie, banici znów się staną bezładną gromadą włóczęgów.

– Zgoda.

– Zabicie go nie będzie trudne. Problem jednak w tym, by go znaleźć. I do tego potrzebna mi twoja pomoc, biskupie.

Waleran potarł kciukiem ostry czubek swego nosa.

– Nie wiem jak?

– Jeśli oni są zorganizowani, to muszą być w jednym miejscu.

– Nie rozumiem cię, przecież są w lesie.

– Tam nie znajdziesz banitów, bo zazwyczaj są rozproszeni po całym lesie. Większość z nich nie spędza dwu nocy pod rząd w tym samym miejscu, rozpalają ogniska byle gdzie i śpią na drzewach. Jeśli ci ludzie stają się potrzebni, to trzeba ich zebrać wszystkich w jednym miejscu. Musi być taka stała kryjówka.

– A zatem musimy tę stałą kryjówkę znaleźć.

– Właśnie.

– Jak proponujesz zabrać się do tego?

– To twoja rola, biskupie.

Waleran popatrzył sceptycznie.

– Założę się, że połowa mieszkańców Kingsbridge zna to miejsce – dodał William.

– Nie powiedzą nam tego. Wszyscy tam nienawidzą i ciebie, i mnie.

– Nie wszyscy – odrzekł hrabia. – Nie wszyscy.

Sally uważała, że Boże Narodzenie jest cudowne.

Specjalne bożonarodzeniowe potrawy w większości były słodkie: kukielki z chleba imbirowego, kasza pszenna na mleku z jajkami i miodem, słodziutkie gruszkowe wino, które ją rozweselało, a jeszcze bożonarodzeniowa potrawa z długo gotowanych jelenich flaczek, potem zapiekanych w słodkim cieście. Tego wszystkiego w tym roku, ze względu na głód, było znacznie mniej, ale Sally i tak bardzo się na to cieszyła, tak samo jak zawsze.

Radowało ją ozdabianie domu ostrokrzewem i zawieszanie gałązki jemioli, chociaż samo całowanie wywoływało u niej chichot jeszcze większy niż gruszkowe wino. Pierwszy człowiek, który przestępował próg i miał czarne włosy, przynosił szczęście, dlatego ojciec Sally musiał cały ranek czekać przed domem, bo jego ruda czupryna mogła sprowadzić nieszczęście. Uwielbiała oglądać misterium Narodzenia wystawiane w kościele. Podobało się jej, kiedy mnisi

przebierali się za królów Wschodu, aniołów i pasterzy, zaśmiewała się w kułak, aż do upadku z ławy, kiedy po przybyciu świętej rodziny do Egiptu wszystkie bałwany fałszywych bogów padały i rozbijały się.

Najlepiej jednak było, kiedy zaczynało się święto małego biskupa. Trzeciego dnia po Bożym Narodzeniu mnisi przebierali najmłodszego nowicjusza w biskupie szaty, a wszyscy musieli mu być posłuszni.

Kiedy „biskup” wychodził z klasztoru, większość mieszczan czekała na dziedzińcu, a on nakazywał co starszym i dostojniejszym obywatelom wykonywać najgorsze prace, jak przynoszenie drewna lub czyszczenie chlewów. Robił różne przesadne miny, przybierał rozmaite pozy i znieważał wszystkich tych, którzy mieli jakąś władzę.

W zeszłym roku kazał zakrystianowi skubać kurczęta i było bardzo śmiesznie, bo zakrystian nie miał pojęcia, jak się do tego zabrać, i wszędzie fruwało pierze.

Mniej więcej dwunastoletni chłopiec, o psotnym uśmiechu, był niesiony przez dwóch mnichów, a inni bracia podążali za nimi. Wszyscy klaskali i wiwatowali. Mały „biskup” wskazał palcem na przeora Philipa.

– Hej, chłopcze! Idź do stajni i zajmij się osłem! – rozkazał.

Ci, co to słyszeli, zanieśli się śmiechem. Stary osioł zawsze był w złym humorze i nie dawał się dotknąć, nigdy więc go nie czyszczono.

– Tak jest, wielebny biskupie – posłusznie odparł przeor Philip, robiąc stosowną minę, po czym ruszył do wyznaczonej pracy.

– Naprzód! – zakomenderował biskupek.

Orszak wyszedł z klasztornego dziedzińca, a mieszczanie za nim. Niektórzy pochowali się w domach i pozamykali drzwi, by uniknąć nieprzyjemnych zadań. Tyle że tracili zabawę. Rodzina Sally przyszła w komplecie: mama, tata, braciszek Tommy, ciotka Martha i nawet wujek Richard, który nieoczekiwanie zjawił się ostatniej nocy.

Najpierw mały „biskup” poprowadził ich do piwiarni, jak to było w zwy-

czaju. Zażądał piwa dla siebie i dla nowicjuszy. Karczmarz usłużył im chętnie.

Do Sally przysiadł się brat Remigius, jeden z najstarszych mnichów. Nigdy nie rozmawiała z tym wysokim mężczyzną, który teraz uśmiechał się do niej przymilnie.

– To miło, że wujek Richard przyszedł do domu na Boże Narodzenie.

– Dał mi drewnianego kiciusia, sam go wyrzezał nożem.

– O, jak ładnie. A długo zostanie?

– Nie wiem – zmarszczyła czołko.

– Zdaje mi się, że musi szybko wracać do siebie.

– Tak. On teraz mieszka w lesie.

– A wiesz, gdzie?

– Tak. Nazywają to Kamieniołomem Sally. Tak mam na imię! – zaśmiała się.

– Ach tak – powiedział brat Remigius. – To bardzo ciekawe.

Kiedy wszyscy się napili, biskupek oznajmił:

– A teraz zakrystian Andrew i brat Remigius zrobią pranie za wdowę Poll.

Sally aż piszcziała ze śmiechu i klaskała w dłonie. Wdowa Poll była okrągłą, czerwonicą praczką. Grymaśni mnisi nienawidzili prania cuchnącej bielizny i skarpet, zmienianych przecież co pół roku.

Tłum wyszedł z piwiarni i wszyscy udali się do jednoizbowego domku wdowy Poll, stojącego na nadbrzeżu. Wdowa lubiła się pośmiać i kiedy jej powiedziano o decyzji biskupa, policzki poczerwieniały jej jeszcze bardziej.

Andrew i Remigius przenieśli ciężki kosz z brudną odzieżą na brzeg rzeki. Andrew zdjął pokrywę z kosza, a Remigius z wyrazem głębokiego obrzydzenia na twarzy wyciągnął pierwszą sztukę bielizny. Młoda kobieta zawołała zuchwale:

– Ostrożnie z tym, bracie Remigiusie, noszę to na cycuszkach!

Mnich poczerwieniał, a wszyscy wybuchnęli śmiechem. Bracia zrobili dobre miny do tej niezbyt czystej gry i jęli prać ubrania w rzece, a mieszczanie

wykrzykiwali im dobre rady i słowa otuchy. Andrew wyraźnie miał dość, sądząc po jego minie, ale twarz Remigiusa przybrała dziwnie zadowolony wyraz.

Wielka żelazna kula na łańcuchu zwisała z drewnianego rusztowania, jak stryczek z szubienicy. Do kuli przywiązano także linę. Biegła ona przez blok na prostopadłym polu i zwisała do ziemi, gdzie trzymali ją dwaj pomocnicy. Kiedy pociągnęli za linę, ta podciągała kulę do bloku, aż łańcuch układał się poziomo, wzdłuż ramienia rusztowania.

Przyglądała się temu większość mieszkańców Shiring.

Puścili linę. Żelazna kula opadła i rozpędziwszy się, uderzyła w ścianę kościoła. Rozległ się przerażający huk, ściana zadrżała, a William poczuł ów wstrząs pod stopami. Och, gdyby gdzieś tam znalazł się Richard. Rozgniotłoby go jak muchę.

Pomocnicy znów pociągnęli za linę. Puścili. Kula śmignęła. Tym razem wybiła dziurę w kamiennym murze. Tłum zaklaskał.

Sprytne urządzenie.

Williama radowało oglądanie postępu robót na placu budowy nowego kościoła, ale dzisiaj miał wiele pilnych spraw na głowie. Rozejrzał się za biskupem Waleranem. Rozmawiał z Alfredem Budowniczym. Zbliżył się do nich i poprosił biskupa o chwilę rozmowy.

– Czy ten człek jeszcze tu jest? – spytał William, gdy zostali sami.

– Może być – odrzekł Waleran. – Chodźmy do mnie.

Przeszli przez plac targowy. Waleran spytał:

– Masz swoich ludzi pod ręką?

– Oczywiście. Dwie setki. Czekają w lasach tuż za miastem.

Weszli do budynku. William poczuł gotowaną szynkę i zachciało mu się jeść. Większość ludzi oszczędzała na żywności, ale Waleran zdawał się nie zwracać na to uwagi, jakby dając do zrozumienia, że do niego głód nie ma do-

stępu. Biskup nigdy nie jadł wiele, ale chciał, by wszyscy wiedzieli, że jest zbyt bogaty i potężny, by jakieś marne żniwa mogły wpłynąć na jego sposób bycia.

Rezydencja była typowym miejskim budynkiem o wąskiej fasadzie. Wielka komnata znajdowała się od frontu, a kuchnia z tyłu, za domem zaś było podwórko z kloaką, chlewem i ulem. Williamowi ulżyło, kiedy zobaczył mnicha czekającego w sieni.

– Witaj, bracie Remigiusie – przywitał go Waleran.

– Witaj, Ekscelencjo. Witaj, lordzie Williamie – odrzekł mnich.

William natarczywie popatrzył na zakonnika. Tego niespokojnego człowieka o aroganckiej twarzy i nieco wytrzeszczonych jasnych oczach widywał na nabożeństwach w Kingsbridge. Od lat słyszał o nim jako o szpiegu Walerana w klasztorze, lecz po raz pierwszy mówił z nim.

– Czy masz dla mnie wieści?

– Możliwe – odrzekł Remigius.

Waleran rzucił opończę podbitą futrem, podszedł do ognia ogrzać ręce. Sługa przyniósł gorące wino z czarnego bzu w srebrnych pucharkach. William wziął jeden i zaczął pić, niecierpliwie czekając, aż sługa wyjdzie.

Waleran siorbnął i twardo spojrzał na Remigiusa. Kiedy sługa wyszedł, zwrócił się doń:

– Jak usprawiedliwiłeś oddalenie się z klasztoru, ojcze?

– Nie usprawiedliwiłem.

Waleran swym zwyczajem uniósł pytająco brew.

– Nie wracam tam – wyzywająco odpowiedział Remigius.

– Jak to?

– Budujesz tutaj katedrę, Ekscelencjo – subprzeor wciągnął głęboko powietrze.

– To tylko kościół.

– Będzie wielki, bardzo wielki. Chcesz, by w końcu stał się katedrą.

Waleran zawahał się, potem rzekł:

- Przypuśćmy, dla dobra dyskusji, że masz rację. Co z tego wynika?
- Katedrę prowadzi będzie kapituła, czy to mnichów, czy to kanoników.
- Cóż tedy?
- Chcę stać na jej czele.

William pomyślał, że to ma sens.

– A ty, ojcze, jesteś tak pewny, że dostaniesz to, czego pragniesz, iż opuściłeś Kingsbridge bez Philipowego zezwolenia i bez żadnego usprawiedliwienia – powiedział cierpko biskup.

Remigius poczuł się nieswojo. William mu współczuł; ironiczny ton Walerana każdego denerwował.

- Mam nadzieję, że nie przesadziłem, Ekscelencjo.
- Prawdopodobnie mógłbyś nas doprowadzić do Richarda.
- Tak.

William przerwał podniecony:

- Człowieku! Gdzie on jest?

Remigius milczał i pytająco spoglądał na biskupa.

– No, biskupie, uczyni go przeorem, na miłość boską! – hrabia ponaglał rozkazująco.

William wiedział, że biskup nie lubi, delikatnie mówiąc, by go naciskano. Ten wahał się jakiś czas, lecz w końcu powiedział:

- Dobrze. Otrzymasz ten urząd.
- No to już, gdzie jest Richard? – niecierpliwił się William.

Remigius w dalszym ciągu spoglądał na biskupa.

- Od dzisiaj?
- Od dzisiaj.

Teraz mnich zwrócił się do Williama.

– Klasztor to nie tylko kościół i dormitorium. Potrzebuje ziem, gospodarstw i kościołów, które płacą dziesięcinę.

- Powiedz mi, gdzie jest Richard, mnichu, a dam ci pięć wsi z kościołami

parafialnymi, żebyś miał na początek.

– Nowy klasztor powinien mieć nadane przywileje.

– Dostaniesz, nie obawiaj się, ojczcie – rzekł Waleran.

– No, mnichu, moja armia czeka za miastem. Gdzie jest kryjówka Richarda? – ponaglał William.

– W miejscu zwanym Kamieniołomem Sally, tuż przy drodze winchester-skiej.

– Znam to miejsce! – William musiał się powstrzymać od wydania okrzyku triumfu. – To stary kamieniołom. Tam nikt już nie zagląda.

– Przypominam sobie – rzekł Waleran. – Nie używa się go od lat. To doskonała kryjówka, ale nie wiadomo na pewno, że tam jest, póki się nie wejdzie.

– To zarazem pułapka. – William mówił z barbarzyńską uciechą. – Ściany wyrobiska są strome i otaczają kamieniołom z trzech stron. Nikt nie zdoła uciec. Ja zresztą nie będę brać jeńców. – W miarę jak wyobrażał sobie tę scenę, rosło jego podniecenie. – Wyrznię ich wszystkich, jak kurczęta w kurniku.

Duchowni spojrzeli na niego dziwnie.

– Masz zapewne lekką chęć na wymioty, bracie Remigiusie – pogardliwie powiedział William. – Czy myśl o masakrze ściska żołądek wielbnego biskupa? – W obu wypadkach miał rację, widział to na ich twarzach. Ci religijni ludzie byli znakomitymi intrygantami, ale kiedy przychodziło do rozlewu krwi, musieli opierać się na ludziach czynu.

– Wiem, że pomodlicie się za mnie – rzekł sarkastycznie i wyszedł.

Konia miał zaraz przy wejściu, czarnego ogiera, który zastąpił, chociaż mu nie dorównywał, tamtego rumaka, ukradzionego przez Richarda. Wsiadł i poгнаł za miasto. Stłumił podniecenie i starał się na zimno opracować taktykę.

Zastanawiał się, ilu banitów może znajdować się w Kamieniołomie Sally. Na wypady chodzili nawet setkami. Tam mogło ich być ze dwie setki, a może i pięć. Siły Williama okazałyby się wówczas mniej liczne, ale i tak miałby przewagę. Po pierwsze, zaskoczenie. Po drugie, broń; większość banitów posługi-

wała się kijami, maczugami, młotami, w najlepszym wypadku toporami, a żaden z nich nie miał zbroi. Po trzecie, konie. Banici mieli mało koni i nie było prawdopodobne, by wiele akurat czekało osiodłanych. Postanowił także posłać trochę łuczników bokiem na wzgórze, by stamtąd, z trzech stron, zaczęli pruć z luków w dół na kilka chwil przed głównym atakiem.

Najważniejszą sprawą było zapobieżenie ucieczce bodaj jednego banity, przynajmniej do czasu, aż przekona się, że Richard został pojmany lub zabity. Postanowił wyznaczyć garść zaufanych ludzi, by pozostali nieco z tyłu i wygnietli wszystkich spryciarzy, którzy chcieliby się wymknąć.

Walter w milczeniu jechał obok hrabiego. Była to jedna z jego największych zalet: umiał zachować milczenie. William zauważał, że wielu ludzi stale do niego coś mówi, kiedy nawet nic nie mają do powiedzenia, pewnie z nerwów. Walter szanował go, ale nie denerwował się przy nim, przecież tak długo już byli razem.

William czuł w duszy znajomą mieszaninę żarliwej nadziei i lęku. Napad. Tę jedyną rzecz na świecie robił dobrze, a za każdym razem, kiedy się do niej brał, ryzykował własne życie. Tym razem jednak napad miał wyjątkowe znaczenie. Dzisiaj bowiem miał okazję zniszczyć człowieka, który od piętnastu lat był mu cierniem w oku.

Około południa stanęli we wsi wystarczająco dużej, by była w niej piwiarnia. William kupił dla swych ludzi chleba i piwa, napoili także konie. Zanim ruszyli, wydał ludziom rozkazy.

Kilka mil dalej zeszli z traktu. Ścieżka, którą teraz się poruszali, była ledwie widoczna i gdyby nie wskazówki zdrajcy Remigiusa, hrabia pewnie by ją przeoczył. Kiedy już na nią trafił, mógł śledzić jej bieg: w promieniu czterech czy pięciu jardów nie było dużych drzew.

Wysłał łuczników przodem, reszcie dał znak, by zwolnili. Dzień był jasny, styczniowy, a bezlistne drzewa nie zasłaniały zimnego słońca. William od lat nie był w tym kamieniołomie, nie miał więc pewności, jak daleko jeszcze trze-

ba jechać. Lecz kiedy przejechali jakąś milę od traktu, zaczynał dostrzegać oznaki używania drogi: stratowaną roślinność, połamane gałęzie, rozdeptane błoto. Był rad. To potwierdzało doniesienia Remigiusa.

Napięty był jak cięciwa łuku. Ślady stawały się coraz bardziej wyraziste – skotłowana trawa, końskie łajno, odchody ludzkie. Tak głęboko w lesie banici nie zadawali sobie trudu, by ukrywać swą obecność. Nie miał żadnych wątpliwości. Banici tutaj byli. Wkrótce zacznie się krwawa bitwa... nie, jatka.

Kryjówka musiała być bardzo blisko. William wyteżył słuch. Lada chwila łucznicy mieli zacząć swój atak, powinny rozleć się krzyki i przekleństwa, jęki konania i rzenie przerażonych koni. Tropy wiodły ku rozległej polanie, a w chwilę później zobaczył wejście do Kamieniołomu Sally. Nie słyszał żadnego zgiełku. Coś nie tak. Łucznicy nie strzelali. Poczłł dreszcz zaniepokojenia. Co się dzieje? Czyżby jego łuczników złapano i po cichu usunięto? Na pewno nie wszystkich.

Nie było jednak czasu na rozważania, już niemal wjeżdżał do kamieniołomu. Zmusił konia do galopu. Jego konni z tętentem podążyli za nim w stronę kryjówki. Radosna szarża rozwiała wszelkie obawy.

Droga wjazdowa do kamieniołomu wiodła wąskim, krętym wąwozem, więc William nie mógł widzieć jego wnętrza, dopóki się nie zbliżył. Rzucając wzrokiem przed siebie, dojrzał kilku łuczników stojących na skraju wyrobiska i patrzących w dół. Dlaczego oni nie strzelają? Ogarnęło go dziwne przeczucie kłęski. Chciał wstrzymać atak, ale niełatwo powstrzymać szarżujące konie. Z mieczem w prawej ręce, wodzami w lewej, z tarczą objającą mu plecy galopował do kamieniołomu.

Nikogo tam nie było.

To rozczarowanie odczuł jak cios, o mało co nie wybuchnął płaczem. Te wszystkie znaki, taką miał pewność... Uczucie zawodu ścisnęło mu wnętrzności aż do bólu.

Kiedy konie zwalniały, zauważył, że banici opuścili kryjówkę całkiem nie-

dawno. Pozostały tymczasowe schronienia z gałęzi i trzciny, resztki ognisk, kloaka. Tu i tam William widział dowody obecności ludzi: kurze kości, puste worki, znoszony but, dziurawy garnek. Jedno z ognisk jeszcze dymiło. Nagle ogarnęła go nadzieja, że być może dopiero co odjechali i jeszcze zdoła ich dogonić! Wtedy zauważył jakąś postać przykucniętą na ziemi przy ogniu. Zbliżył się do niej. Postać podniosła się. Okazało się, że to kobieta.

– No, no, William Hamleigh – rzekła. – Jak zwykle pojawiaasz się za późno.

– Bezczelna krowo, jeśli zechcę, mogę wyrwać ci język.

– Nie dotkniesz mnie – powiedziała spokojnie.

– Przeklinałam już lepszych od ciebie. – Przysunęła swą dłoń do twarzy w trójpalcowym geście rzucania uroku, całkiem jak wiedźma. Rycerze się cofali, zbijając w gromadę, a William na wszelki wypadek przeżegnał się. Parą przenikliwych złotych oczu kobieta patrzyła na Williama bez strachu. – Nie poznajesz mnie, Williamie? Kiedyś chciałeś mnie kupić za funta. – Zaśmiała się. – Na szczęście dla ciebie, nie powiodło ci się wtedy.

William przypomniał sobie te oczy. To wdowa po Tomie Budowniczym, matka Jacka Jacksona, wiedźma, co mieszkała w lesie. Rzeczywiście, rad był, że nie powiodło mu się owo kupno. Chciał uciec od niej, najszybciej jak umiał, ale wpierw musiał jej zadać jedno pytanie.

– Powiedz, wiedźmo – rzekł – czy Richard z Kingsbridge tutaj był?

– Jeszcze dwa dni temu.

– A gdzie wyruszył, możesz mi powiedzieć?

– Ależ oczywiście, że mogę. On i banici poszli bić się za Henryka.

– Henryka? – spytał William. Miał okropne uczucie, że wie, o którego Henryka chodzi. – Syna Matyldy?

– Zgadłeś.

Przeszedł go zimny dreszcz. Energiczny młody diuk Normandii mógł zyskać powodzenie tam, gdzie nie udało się jego matce. Jeśli zaś tym razem Stefan zostałby pobity, to los Williama stałby się niepewny.

– A co się stało? – spytał natarczywie. – Cóż uczynił ten Henryk?

– Przepłynął kanał i przybił do Wareham. Na trzydziestu sześciu statkach przyprowadził trzy tysiące ludzi, jak powiadają. Zostaliśmy najechani – odrzekła Ellen.

III

W Winchesterze panowała napięta atmosfera, było tłoczno i groźnie. Stały tu obie armie: wojska króla Stefana zajmowały garnizon zamkowy, siły diuka Henryka, łącznie z Richardem i jego banitami, obozowały za miejskimi murami, na Saint Giles's Hill, gdzie odbywały się doroczne jarmarki. Żołnierzom obu stron zabroniono wstępu do samego miasta, ale wielu z nich nic sobie nie robiło z tego zakazu i spędzali wieczory w piwiarniach, na walkach kogutów i w burdelach, gdzie się upijali, nadużywali kobiet, bili się i ginęli podczas różnych gier. Wszystkie walki skończyły się dla Stefana w lecie, w chwili śmierci jego najstarszego syna. Stefan siedział wtedy w zamku królewskim, diuk Henryk w rezydencji biskupa, a rozmowy pokojowe prowadzili ich przedstawiciele – arcybiskup Teobald z Canterbury w imieniu króla, a stary rzecznik silniejszego, biskup Henryk z Winchesteru w imieniu diuka Henryka. Arcybiskup i biskup naradzali się co rano, a każdego popołudnia diuk Henryk wraz z orszakiem dowódców swych wojsk, wśród których był Richard, ulicami miasta udawał się na obiad do zamku.

Kiedy Aliena po raz pierwszy zobaczyła diuka Henryka, nie mogła uwierzyć, że to właśnie jest ten człowiek, który rządzi imperium wielkości Anglii. Piegowaty i ogorzały jak chłop, miał zaledwie dwadzieścia lat. Ubierał się w proste ciemne tuniki bez ozdób, a rudawe włosy podcinał krótko. Wyglądał jak ciężko pracujący syn zamożnego wolnego kmiecia. Jednakże po pewnym czasie dostrzegła jakąś aurę władzy, mocy, która go otaczała. Krępy i muskular-

ny, o szerokich barkach i wielkiej głowie sprawiał wrażenie przede wszystkim silnego fizycznie. Odczucie to łągodziło żywe, uważne spojrzenie szarych oczu. Ludziom z jego otoczenia nigdy nie udało się do niego zanadto zbliżyć, traktował ich z przyjazną rezerwą, a oni odpłacali podobnym zachowaniem, jakby obawiając się, że w każdej chwili może zacząć rzucać dookoła siebie czym popadnie.

Aliena sądziła, że obiadom na zamku z pewnością towarzyszy atmosfera napięcia, skoro są obecni wodzowie wrogich armii. Zastanawiała się, jak Richard znosi zasiadanie przy jednym stole z hrabią Williamem. Ona sama wzięłaby nóż do krajania mięsa i tym poczęstowała Williama. Widziała go raz, z daleka i bardzo krótko. Był niespokojny i w złym humorze, co uznała za dobry znak.

Podczas gry hrabiowie, biskupi i opaci spotykali się w twierdzy, drobniejsza szlachta zbierała się na podwórku zamkowym: byli tam rycerze i szeryfowie, pomniejsi baronowie, najwyżsi sędziowie i kasztelanowie, byli to bowiem ludzie, którzy nie mogli pozostawać daleko od stolicy, gdy decydowała się przyszłość całego królestwa. Często widywała przeora Philipa. Codziennie słyszała tuzin nowych plotek. Jednego dnia hrabiowie popierający Stefana mieli zostać pozbawieni tytułów i włości, co oznaczałoby koniec Williama, drugiego natomiast wszyscy mieli zachować majątności, co oznaczało koniec nadziei Richarda. Raz zamki co do jednego miały zostać zniszczone, kiedy indziej tylko zamki buntowników, potem wszystkie, a wreszcie żaden. Któraś z plotek głosiła, że każdy, kto popiera Henryka, będzie pasowany i dostanie sto akrów. Richard zaś wcale tego nie potrzebował, bo pragnął hrabstwa.

Zmienność wieści przyprawiała jej brata o ból głowy i powodowała zamęt w jego myślach. Nie miał najmniejszego pojęcia, które z nich mogą być prawdziwe. Chociaż na polu bitwy był zaufanym pomocnikiem Henryka, diuk nie zasięgał jego opinii w trakcie negocjacji politycznych. Dobrą orientację w zachodzących sprawach wykazywał przeor, nie mówił jednak, skąd ma te wiado-

mości. Aliena zdołała sobie przypomnieć, że miał brata, który czasami odwiedzał Kingsbridge, a który pracował dla Roberta z Gloucesteru i Cesarzowej Matyldy, a teraz, być może, dla diuka Normandii.

Mówił tedy Philip, że negocjatorzy zbliżają się ku końcowej zgodzie. Umowa miała polegać na tym, że Stefan pozostanie królem, a po jego śmierci tron obejmie Henryk. Zaniepokoiło to Alienę. Stefan może żyć jeszcze i dziesięć lat. I co wtedy? Hrabiów nie będzie można wywłaszczyć, dopóki rządy będą w jego rękach. Cóż więc się stanie z popierającymi Henryka, takimi jak Richard? Jak zostaną nagrodzeni i jak zdołają odebrać owe nagrody? Mają czekać.

Któregoś późnego popołudnia Philip poznał decyzje i zaraz wysłał do Alieny i Richarda młodego nowicjusza. Było to w jakiś tydzień po przybyciu do Winchesteru. Rodzeństwo szło zatłoczonymi ulicami, Richard był pełen nieokreślonej radości, a Aliena drżała z obawy.

Słońce już zachodziło. Philip czekał na nich na cmentarzu.

– Osiągnęli porozumienie. To dobrze, ale jest w nim trochę niejasności.

Aliena nie mogła znieść dłużej napięcia.

– Czy Richard odzyska hrabstwo? – spytała ponaglącym tonem.

Philip zakołysał rękoma w geście mającym oznaczać „może tak, a może nie”.

– To skomplikowane. Osiągnęli kompromis. Ziemie zabrane uzurpatorom winny być zwrócone ludziom, którzy nimi władali za starego króla Henryka, ale...

– To dla mnie najważniejsze – przerwał Richard. – Mój ojciec był hrabią za czasów króla Henryka.

– Zamknij się, Richard! – rzuciła ostro Aliena i zwróciła się do przeora Philipa: – Co to za komplikacja?

– W umowie nie było stwierdzenia, że Stefan jest zobowiązany uczynić to jak najszybciej. Prawdopodobnie nie należy się spodziewać żadnych zmian, dopóki on żyje.

Radość Richarda nagle zniknęła.

– Ale to zaprzecza...

– Niezupełnie – rzekł Philip. – To oznacza, że jesteś prawowitym hrabią.

– Lecz muszę żyć jako banita, dopóki Stefan nie umrze, a ten bydlak William zajmuje mój zamek! – zawołał gniewnie.

– Nie tak głośno – zaprotestował Philip, bo właśnie przechodził jakiś ksiądz. – To wszystko jest jeszcze tajemnicą.

– Ja się na to nie zgadzam, nie mam ochoty czekać na śmierć Stefana. Czekałam już siedemnaście lat i mam dość – oznajmiła gniewnie Aliena.

– A co na to można poradzić? – pytająco odparł Philip.

Aliena zwróciła się do Richarda:

– Większość wsi uznaje cię za prawowitego hrabiego. Stefan i Henryk uznali cię za prawowitego hrabiego. Powinieneś więc zająć zamek i rządzić jako prawowity hrabia.

– Nie mogę tego zrobić. Na pewno jest dobrze strzeżony.

– A ty masz armię, nieprawdaż? – Złość i uczucie zawodu coraz bardziej ją ponosiły. – Masz prawo do zamku i masz siłę, by go przejąć.

Richard potrząsnął głową.

– Po piętnastu latach wojny domowej mogę cię zapytać: czy wiesz, ile widziałem zamków wziętych frontalnym atakiem? Odpowiem ci: żadnego. – Jak zwykle, gdy poruszano sprawy dotyczące wojska, odzyskiwał pewność siebie i dojrzałość osądów. – Taki plan nie ma żadnych szans powodzenia. Czasami można wziąć miasta, ale nigdy zamek. Mogą się poddać po oblężeniu albo zostać uwolnieni przez odsiecz, widywałem także zamki zajmowane z powodu tchórzostwa, podstępny czy zdrady, ale nigdy na skutek ataku.

Aliena mimo wszystko nie chciała się z tym pogodzić. Była przekonana, że to rozpacz przemawia przez brata. Nie umiała już zrezygnować, nie chciała skazywać się bodaj na rok czekania i nadziei.

– A co się stanie, gdy przyprowadzisz armię pod zamek Williama?

– Podniosą most i zamkną nam przed nosem wrota. My rozłożymy się obozem. Potem na pomoc przyjdzie William ze swoją armią i zaatakuje obóz. Jeśli nawet go pobijemy, to i tak będziemy poza zamkiem. Zamki ciężko zdobywać, a łatwo bronić, po to są budowane.

Kiedy to mówił, w umyśle Alieny zakiełkowało ziarenko pomysłu.

– Powiadasz: „tchórzostwo, podstęp lub zdrada”?

– Co?

– Widziałeś zamki zdobywane wskutek tchórzostwa, podstępu lub zdrady?

– Aha. Tak.

– A którą z tych możliwości wykorzystał William, wtedy gdy zajął nasz zamek?

– Czasy były inne – wtrącił się Philip. – W całym kraju panował pokój. Za starego króla Henryka było tak przez trzydzieści pięć lat. William zaskoczył waszego ojca.

– On wziął nas sposobem – odpowiedział Richard. – Ukradkiem dostał się na zamek z paroma ludźmi, zanim podniesiono alarm. Przeor Philip jednak ma rację; w czasach jakie dzisiaj mamy, taka sztuczka się nie uda. Teraz wszyscy nabrali czujności.

– Ja bym mogła wejść do środka – oświadczyła Aliena z przekonaniem, choć kiedy to mówiła, serce kołatało jej ze strachu.

– Oczywiście, bo jesteś kobietą – rzekł Richard. – Ale kiedy już znajdziesz się za murami, to nie będziesz wiedziała, co robić. Dlatego właśnie wpuszczą cię bez problemu, bo nie stanowisz zagrożenia.

– Nie bądź taki pewny – wybuchnęła. – Zabiłam, by cię bronić, a to więcej, niż kiedykolwiek ty zrobiłeś dla mnie, niewdzięczniku, więc nie waż się mówić, że nie jestem niebezpieczna.

– W porządku, jesteś niebezpieczna – odrzekł gniewnie Richard. – Cóż więc uczynisz, kiedy już będziesz w środku? – ironiczny ton był kąśliwy.

Gniew Alieny wyparował. Co zrobię? Do diabła! W końcu mam przynajm-

niej tyle samo odwagi i pomysłowości, co ten wieprz William.

– Co zrobił William? – odpowiedziała pytaniem.

– Utrzymał opuszczony zwodzony most i otwarte wrota, dopóki główne siły napastników nie wdarły się do środka.

– No to ja uczynię to samo – rzekła Aliena z sercem w gardle.

– Ale jak? – spytał sceptycznie.

Aliena przypomniała sobie, jak w czasie burzy opiekowała się czternastoletnią przestraszoną dziewczyną.

– Hrabina jest mi winna przysługę, a przy tym nienawidzi swego męża.

Aliena i Richard z pięćdziesiątką wybranych ludzi jechali całą noc, a o świcie znaleźli się w okolicy Earlscastle. Zatrzymali się na skraju lasu i pól ciągnących się aż do zamku. Aliena zsiadła z konia, zdjęła opończę z flamandzkiej wełny i ściągnęła buty z miękkiej skóry. Zamiast tych rzeczy wdziała na siebie szorstką, grubą płachtę, w jaką odziewali się chłopci, nogi zaś wsadziła w drewniaki. Jeden z ludzi dał jej koszyk ze świeżymi jajkami ułożonymi w słomie. Przewiesiła go przez ramię.

Richard zmierzył ją od stóp do głów.

– Doskonale. Chłopka przynosząca żywność do zamkowej kuchni.

Aliena z trudem przełknęła ślinę. Wczoraj przepełniała ją odwaga i zapał, a teraz, kiedy już miała wykonać swój własny plan, bała się.

Brat pocałował ją w policzek.

– Kiedy usłyszę dzwon, odmówię powoli jeden raz *Ojcie nasz*, a wtedy wyruszy straż przednia. Ty masz jedynie uspić czujność wartowników, by moi ludzie mogli przebyć pola, nie wzbudzając podejrzeń.

Aliena skinęła głową.

– Mam po prostu upewnić się, że przedni oddział dostanie się do środka na zwodzony most.

Uśmiechnął się.

– Ja poprowadzę siły główne. Nie martw się. Powodzenia.

– Wzajemnie.

Rozstali się.

Wyszła z lasu i przez odkryte pola zmierzała ku zamkowi, który opuściła szesnaście lat temu, tamtego okropnego dnia. Wracały żywe, pełne grozy wspomnienia wilgotnego po burzy poranku i koni, które szarżowały przez bramę na przesiąknięte deszczem pola; Richard na koniu bojowym, a ona na tym mniejszym wierzchowcu, oboje śmiertelnie przerażeni. Wmawiała sobie wtedy, że to, co się stało, nie wydarzyło się wcale, a w takt uderzeń kopyt powtarzała jak modlitwę: „Nic nie pamiętam, nic nie pamiętam, nic, nic, nic...”. Podziałało to wtedy. Jeszcze długo potem umiała unikać wspomnienia gwałtu, pamiętając tylko, że przydarzyło jej się coś strasznego. W jej pamięci nie było miejsca na szczegóły owej potworności. Wszystko wróciło, kiedy zakochała się w Jacku, a wtedy wspomnienie przestraszyło ją tak bardzo, że nie była w stanie odpowiedzieć miłością na jego miłość. Bogu dzięki, okazał się tak cierpliwy... Poznała trwałość jego uczucia: tak wiele musiał przejść, a ciągle kochał.

W miarę jak zbliżała się do zamku, przywoływała miłe wspomnienia, by uspokoić nerwy. Spędziła tu dzieciństwo z ojcem i Richardem. Byli wtedy bogaci i bezpieczni. Na wałach bawiła się z bratem, pałętała się wokół kuchni i podkradała słodkie bułeczki, podczas kolacji siadywała obok ojca w wielkiej komnacie. Nie domyślałam się wówczas, jaka byłam szczęśliwa, nie wiedziałam, jakie to szczęście, gdy nie trzeba się bać – rozważała.

Postanowiła zrobić wszystko, by te dobre czasy nastąpiły znowu, od dzisiaj. Musi tylko właściwie wykonać to, co jej powierzono.

Z wielką pewnością siebie stwierdziła wczoraj, że hrabina winna jest jej przysługę i że nienawidzi swego męża. Podczas nocnej jazdy myślała jednak o wszystkim, co mogło sprawić, że pojawią się trudności. Po pierwsze, może w ogóle nie dostać się na zamek; mogło przecież wydarzyć się coś, co postawi-

ło załogę w stan gotowości, wzmogło podejrzliwość strażników. Po drugie, kiedy już znajdzie się na zamku, może mieć trudności z nakłonieniem Elizabeth do zdrady Williama. Od ich spotkania minęło półtora roku, a kobiety po pewnym czasie potrafią przywyknąć do najbardziej zwyrodniałych mężów i Elizabeth do tej pory mogła już pogodzić się ze swym losem. Po trzecie wreszcie, jeśli nawet Elizabeth pragnęłaby pomóc Alienie, mogło jej brakować władzy lub opanowania, by zrobić to, czego ona zażąda.

Przez zwodzony most przechodziła z niesłychaną czujnością; wszystko, co widziała i słyszała, docierało do niej niezwykle wyraźnie. Załoga zamku właśnie wstawiała. Kilku strażników o zaspanych oczach objęło się po wałach, ziewając i pokaszując, stary pies siedział w bramie i zawzięcie się drapał. Aliena naciągnęła kaptur, by lepiej ukryć twarz, na wypadek gdyby ktoś próbował ją rozpoznać, i przeszła pod łukiem bramy.

Na warcie siedział niechlujny strażnik. Oparłszy się wygodnie, zajadał wielki kawał chleba. Odzienie miał rozchełstane, pas z mieczem wisiał za nim na kołku. Aliena mijала go z sercem w gardle, uśmiechem pokrywając strach. Pokazała koszyk z jajkami. Przepuścił ją, niecierpliwie machając ręką.

Pierwsza przeszkoda pokonana.

Nie przestrzegano dyscypliny. Nic dziwnego, pozostawione na zamku siły były niewielkie, najlepszych wzięto na wojnę. Ważne wydarzenia rozgrywały się gdzie indziej.

Do dzisiaj.

Aliena przeszła przez pierwszy podwórzec, mając nerwy napięte jak struny. Dziwnie się czuła, wchodziła jako obca tam, gdzie kiedyś miała prawo rozkazywać. Rozejrzała się, starając się jednocześnie nie okazywać ciekawości, która mogłaby wydać się podejrzana. Większość drewnianej zabudowy zmieniono – stajnie były większe, kuchnię przemieszczono, na jej miejscu postawiono teraz kamienną zbrojownię. Całość była brudniejsza niż kiedyś. Kaplica jednak stała tam, gdzie przedtem, ta sama kaplica, w której ona i Richard przesiadali tamtą

okropną burzę, wstrząśnięci i otępiali, przejęci do szpiku kości.

Garść zamkowej służby rozpoczęła codzienne roboty. Dwu zbrojnych mężów szło dziedzińcem. Wyglądali groźnie, ale może tak się jej wydawało, bo zdawała sobie sprawę, że zabiliby ją w jednej chwili, gdyby dowiedzieli się, kim jest i co ma zamiar zrobić.

Jeśli jej plan się powiedzie, to jeszcze dziś wieczorem będzie panią tego zamku. Ta myśl przejmowała ją dreszczem, ale jednocześnie wydawała się niemożliwa do spełnienia, jak piękny sen. Weszła do kuchni. Jakiś chłopak rozpałał ogień, a dziewczyna obierała i kroїła marchew. Aliena uśmiechnęła się do nich i rzekła:

– Dwa tuziny świeżych jajek.

– Kucharza jeszcze nie ma. Musisz poczekać na pieniądze – odezwał się chłopiec.

– Czy mogłabym dostać kawałek chleba?

– W wielkiej sali.

– Dziękuję.

Przeszła przez podwórzec ku bramie na wyższy dziedziniec, minęła zwozdzony most. Uśmiechnęła się do strażnika w drugiej bramie. Nie uczesał włosów, a oczy miał nabiegłe krwią. Obejrzał ją od stóp do głów.

– Gdziez to się wybierasz? – zapytał wesoło zaczepnym tonem.

– Nie miałam nic w ustach. Chcę coś przegryźć – odrzekła, nie zatrzymując się.

Łypnął pożądliwie.

– Miałbym coś dla ciebie – zawołał za nią.

– Mogłabym to odgryźć, pomyśl o tym – rzuciła mu przez ramię.

Nie podejrzewali jej ani przez chwilę. Nie wpadli na pomysł, że kobieta mogłaby im zagrozić. Ale durnie. Kobiety mogą wykonywać większość z tych rzeczy, które robią mężczyźni. Któż rządzi podczas wyjazdów mężczyzn na wojny czy krucjaty? Były także kobiety cieśle, farbiarki, garbarki, piekarki i pi-

wowarki. Sama Aliena była przecież jednym z najważniejszych kupców w hrabstwie. Obowiązki przeorowsy klasztoru były identyczne jak te, które miał przeor. Poza tym to kobieta, Cesarzowa Matylda, rozpętała wojnę domową trwającą piętnaście lat! A te zakute łby tylko z tego powodu, że zwykle tak nie bywało, nie podejrzewają nawet, że kobieta może być nieprzyjacielskim szpiegiem.

Wbiegła po schodach do wielkiej sali. Przy drzwiach nie było zarządcy. Pewnie dlatego, że pan domu był nieobecny. W przyszłości dopilnuję, by zarządca stał u drzwi, pomyślała. Nieważne, czy będę w domu, czy nie.

Jakieś piętnaście czy dwadzieścia osób jadło śniadanie wokół małego stołu. Jedna czy dwie spośród nich spojrzały na Alienę, poza tym nikt nie zwrócił uwagi. Komnata wydawała się czysta, widać było także oznaki kobiecej troski: świeżo wybielone ściany, a w wyścielających podłogę plecionkach pachniały wonne zioła. Elizabeth w jakiś sposób zaznaczyła swą obecność. To dawało nadzieję.

Aliena obeszła stół i skierowała się do schodów prowadzących na górę. Nie powiedziała ani słowa do siedzących przy stole, starała się wyglądać jak najnaturalniej w tym pomieszczeniu, jakby miała wszelkie prawa, by tutaj przebywać. Spodziewała się jednak, że w każdej chwili może zostać zatrzymana. Aż do podnóża schodów nie przyciągnęła niczyjej uwagi, lecz kiedy już szła po nich, usłyszała czyjeś wołanie:

– Hej, ty na schodach, tam nie wolno!

Nie zwróciła na nie uwagi. Usłyszała, że ktoś za nią idzie. W napięciu doszła do szczytu schodów. Czy Elizabeth sypia w głównej komnacie, tej, którą niegdyś zajmował ojciec? Czy może ma własne łóżko w dawnej sypialni Alieny? Na sekundę się zawahała, serce jej waliło jak młotem. Domyślała się, że do tej pory William zapewne znudził się żoną i nie chciał z nią spać w tym samym łóżu co noc, pewnie więc miała własną sypialnię. Aliena zapukała do mniejszej komnaty i otworzyła drzwi.

Miała rację. Elizabeth siedziała przy ogniu i czesała włosy, jeszcze miała na sobie koszulę nocną. Podniosła wzrok, zmarszczywszy brwi, potem rozpoznała Alienę, rozpogodziła się i powiedziała:

– Ach, to ty! Co za niespodzianka! – Wydawała się naprawdę zadowolona.

Aliena usłyszała ciężkie kroki za plecami.

– Czy mogę wejść?

– Oczywiście! Witam cię!

Weszła do środka i szybko zamknęła drzwi. Podeszła do siedziska Elizabeth. Jakiś mężczyzna wpadł do pokoju ze słowami:

– Hej, ty! Kim jesteś? Co ty sobie myślisz? – Ruszył w stronę Alieny.

– Zatrzymaj się! – odezwała się Aliena swym najbardziej władczym głosem. – Przyszłam zobaczyć się z lady Elizabeth, mam wiadomości od lorda Williama, ty zaś powinienes już się nauczyć, że masz pilnować drzwi, a nie napychać gęby razowcem!

Minę miał skwaszoną.

– W porządku, Edgarze, znam tę damę – odezwała się Elizabeth.

Wyszedł, zamykając drzwi.

Udało się, pomyślała Aliena. Weszłam do środka.

Kiedy jej serce odzyskiwało normalny rytm, rozglądała się dookoła. Pokój niezbyt się zmienił od jej czasów. W misce leżały suche płatki kwiatów, na ścianach wisiały ładne tkaniny, było tu trochę książek i kufer na ubrania. To samo łóżko stało na dawnym miejscu, a na poduszce leżała lalka-szmacianka, taka sama, jaką miała Aliena. Na ten widok poczuła się staro.

– Kiedyś to był mój pokój.

– Wiem.

To Alienę zaskoczyło. Nie mówiła Elizabeth o swej przeszłości.

– Dowiedziałam się wiele o tobie po naszym spotkaniu – rzekła Elizabeth.

– Bardzo cię podziwiam – dodała. Istotnie, w oczach miała mgiełkę uwielbienia.

To dobry znak.

– A William? – spytała Aliena. – Czy twoje pożycie z nim się poprawiło?

Elizabeth odwróciła wzrok.

– No, cóż. Mam teraz swój pokój, a jego często nie ma w domu. Rzeczywiście, jest znacznie lepiej. – Potem zaczęła płakać.

Aliena usiadła na łóżku, objęła dziewczynę. Elizabeth rozdzierająco łkała, a łzy strumieniami płynęły jej po policzkach. Między jednym szlochem a drugim zachłystywała się słowami:

– Ja... go... nienawidzę... ja... bym... chciała... żeby... umarł!...

Jej udręka była tak żalosna, a ona tak młoda, że Aliena sama miała ochotę zapłakać. Jakże bolesna była świadomość, że mogła również żyć w takim udręczeniu... Poklepywała kojąco plecy Elizabeth, tak samo jak klepałaby plecki Sally.

W końcu Elizabeth opanowała płacz i nieco się uspokoiła. Wytarła twarz rękawem nocnej koszuli.

– Tak się boję, że mogłabym mieć dziecko – powiedziała zgnębiona. – Jestem tym przerażona, bo on doprowadziłby do poronienia.

– Rozumiem – odrzekła Aliena. Kiedyś drżała ze strachu, że mogłaby nosić jego dziecko.

Elizabeth spojrzała na Alienę szeroko otwartymi oczyma.

– Czy... czy to prawda, co mówią... o tym... co on ci zrobił?

– Tak, to prawda. Miałam tyle lat co ty, kiedy to się stało.

Popatrzyły sobie w oczy, wspólne obrzydzenie do Williama jeszcze bardziej je zbliżyło do siebie. Raptem Elizabeth przestała wydawać się dzieckiem.

– Jeśli chcesz, możesz się od niego uwolnić. Jeszcze dzisiaj – rzekła Aliena. Elizabeth wpatrzyła się w nią z napięciem.

– Naprawdę? – zapytała tak żarliwie, że budziło to dodatkowe współczucie.

– Naprawdę?

Aliena skinęła głową.

– Tak. To mnie tutaj przywiodło.

– I mogłabym pójść do domu? – spytała, a jej oczy znowu wypełniły się łzami. – Mogłabym pójść do domu do Weymouth, do mamy? Dzisiaj?

– Tak. Ale musiałabyś być bardzo dzielna.

– Wszystko zrobię, wszystko! Tylko mi powiedz co!

Aliena przypomniała sobie, jak tłumaczyła Elizabeth, w jaki sposób ma okazać swą władzę wobec służących męża. Ciekawiło ją, w jakim stopniu jej rady poskutkowały.

– Czy służący wciąż nie chcą cię słuchać? – spytała wprost.

– Próbują.

– Ale im nie pozwalasz.

Zakłopotowała się.

– Czasami tak. Ale ja mam tylko szesnaście lat, a hrabiną jestem niecałe dwa lata... starałam się robić, jak mi mówiłaś, i to skutkuje!

– Pozwól mi wytłumaczyć, o co chodzi. Król Stefan zawarł pakt z diukiem Henrykiem. Wszystkie ziemie mają być zwrócone tym, co nimi władali za staro króla Henryka. To znaczy, że hrabią zostanie kiedyś mój brat. Chciałby jednak być hrabią już teraz.

Elizabeth znowu otwarła szeroko oczy.

– To Richard chce wojny z Williamem?

– Richard jest bardzo blisko. Ma ze sobą trochę ludzi. Jeśliby zajął zamek dzisiaj, uznano by go za hrabiego, a William byłby skończony.

– Nie mogę w to uwierzyć – powiedziała Elizabeth. – Nie umiem uwierzyć, że to mogłoby się stać. – Ten nagły optymizm łamał serce bardziej niż poprzednia udręka i płacz.

– Aby to osiągnąć, trzeba spokojnie wpuścić tu Richarda. Potem, kiedy już wszystko się skończy, zabierzemy cię do domu.

Elizabeth znowu miała przestraszoną minę.

– Nie jestem pewna, czy załoga mnie posłucha.

Tego właśnie obawiała się Aliena.

– Kto jest dowódcą straży?

– Michael Armstrong, Silnoręki. Nie lubię go.

– Poślij po niego.

– Dobrze. – Elizabeth wytarła nos, wstała i podeszła do drzwi. – Madge! – zawołała cienkim głosem. Alienę dobiegła daleka odpowiedź. – Idź i przyprawdź Michaela. Każ mu przyjść natychmiast, pilnie chcę go widzieć. Pośpiesz się, proszę.

Wróciła i jęła szybko się odziewać. Narzuciła tunikę na nocną koszulę i zasznurowała trzewiki. Aliena zwięźle ją poinstruowała.

– Poleć Michaelowi uderzyć w dzwon. Niech dopilnuje, żeby wszyscy zebrali się na dziedzińcu. Powiedz, że dostałaś wiadomość od lorda Williama i w związku z tym chcesz przemówić do całej załogi, do żołnierzy i służby. Załadaj, by na warcie zostało trzech czy czterech, a wówczas ty przekażesz reszcie, co masz do powiedzenia. Musi się dowiedzieć, że oczekujesz dziesięciu czy dwunastu jeźdźców, którzy pojawią się lada moment z dalszymi wieściami, więc trzeba natychmiast ich przyprowadzić. Niech się wszyscy zbiorą na niższym dziedzińcu.

– Mam nadzieję, że to wszystko spamiętam.

– Nie martw się, jeśli o czymś zapomnisz, przypomnę ci.

– No, trochę mi ulżyło.

– Jaki jest ten Michael?

– Cuchnie, jest ponury i zbudowany jak wół.

– Mądry?

– Nie.

– Tym lepiej.

Chwilę później wspomniany człowiek wszedł do komnaty. Miał odpychającą minę, szerokie barki i krótką, masywną szyję. Wniósł ze sobą odór chlewa. Wyzywająco popatrzył na Elizabeth, dając poznać, że nie podoba mu się jej we-

zwanie.

– Otrzymałam wiadomość od hrabiego – rzekła Elizabeth.

Michael wyciągnął rękę.

Aliena przeraziła się. Nie przygotowała listu dla Elizabeth. Wszystko mogło nie wyjść na samym początku przez głupie niedopatrzenie. Elizabeth rzuciła jej desperackie spojrzenie. Aliena gorączkowo zastanawiała się nad wyjściem z tej nieprzewidzianej sytuacji.

– Umiesz czytać? – spytała łagodnym tonem.

Popatrzył niechętnie.

– Książd mi przeczyta.

– Twoja pani umie czytać.

Elizabeth znowu wyglądała na przestraszoną. Powiedziała jednak dzielnie:

– Przekażę tę wiadomość osobiście całej załodze. Uderz w dzwon i zbierz wszystkich na dziedzińcu. Ale dopilnuj, by trzech czy czterech strażników pozostało na murach.

Michael nie lubił, gdy mu w ten sposób rozkazywano. Zrobił buntowniczą minę.

– A dlaczego to nie ja miałbym im przekazać wieści?

Aliena zaczęła się obawiać, że tego mężczyzny mogą nie pokonać; może się okazać za głupi. Powiedziała więc:

– To ja przywiozłam wieści z ostatniej chwili. Hrabina chce je przekazać sama.

– Lecz ja muszę wiedzieć, jakież to wieści.

Aliena nie odpowiedziała i popatrzyła na Elizabeth. Wciąż wydawała się przestraszona, a ponieważ nie wiedziała, jaka ma być ta wiadomość, nie była zatem w stanie przekazać jej Michaelowi. W końcu postanowiła zachować się tak, jakby nic nie powiedział.

– Przekaż strażom, by wyglądały grupy dziesięciu, dwunastu jeźdźców. Ich dowódca będzie miał najświeższe nowiny od lorda Williama, muszą więc mi

być dostarczone natychmiast. Teraz uderz w dzwon.

Michael najwyraźniej miał ochotę na klótnię. Stał, marszczył czoło, a Aliena wstrzymywała oddech.

– Jeszcze więcej gońców? – Mówił to tak, jakby czegoś takiego nie można było wprost pojąć. – Ta kobieta z jedną wieścią, a dwunastu z następną.

– Tak. A teraz czy zechciałbyś pójść uderzyć w dzwon? – Aliena usłyszała załamywanie się jej głosu.

Mężczyzna wyglądał na pokonanego. Nie rozumiał, co się dzieje, ale też nie mógł sprzeciwić się żądaniu pani. W końcu niechętnie podporządkował się.

Aliena odetchnęła.

– Co teraz będzie? – spytała Elizabeth.

– Kiedy już zbiorą się na dziedzińcu, powiesz im o pokoju zawartym między królem Stefanem i diukiem Henrykiem. To wszystkich zaskoczy. Kiedy ty będziesz mówić, Richard przyśle dziesięciu ludzi jako straż przednią. Twoi ludzie pomyślą, że to gońcy, których miał przysłać William, więc nie podniosą mostu i nie zamkną wrót. Ty musisz zainteresować wszystkich, aby nikt nie odszedł, dopóki ludzie Richarda nie zajmą bramy i mostu. Rozumiesz?

– A co potem? – Elizabeth była zdenerwowana.

– Kiedy dam ci znak, oznajmisz, że poddajesz zamek prawowitemu hrabiemu, Richardowi. Wtedy jego ludzie wyjdą z ukrycia i uderzą. Michael zorientuje się, co się dzieje, ale reszta nie będzie wiedziała, komu winna jest posłuszeństwo, bo ty im każesz się poddać i nazwiesz Richarda prawowitym hrabią, a straż przednia już będzie na miejscu i zapobiegnie zamknięciu bram. – Dzwon zaczął bić. Aliena poczuła strach. – Wychodzimy, już czas. Jak się czujesz?

– Boję się.

– Ja też. Chodźmy.

Zeszły po schodach. Dzwon nad strażnicą bił tak samo jak wówczas, gdy Aliena była jeszcze beztroską dziewczynką. Ten sam dzwon, ten sam dźwięk, lecz inna Aliena, przemknęło jej przez myśl. Wiedziała, że głos dzwonu będzie

się niósł nad polami aż na skraj lasu. Richard teraz powoli odmawia *Ojciec nasz*, by na czas wysłać straż przednią.

Kobiety przeszły zwodzonym mostem na niższy dziedziniec. Elizabeth zbladła ze strachu, ale wargi miała zaciśnięte, minę zdecydowaną. Aliena uśmiechnęła się do niej, by jej dodać otuchy, potem znowu naciągnęła kaptur. Na razie nie widziała na zamku znajomej twarzy, ale ją dobrze znano w hrabstwie, i mogła zostać rozpoznana. Wcześniej czy później na pewno tak się stanie. Jeśliby Michael Armstrong dowiedział się, kim ona jest, na pewno wyczułby zagrożenie mimo swej niewątpliwej tępoty. Dostrzegła kilka zaciekawionych spojrzeń, ale nikt się nie odezwał.

Dotarły na środek niższego dziedzińca. Stok lekko opadał. Aliena mogła patrzeć nad głowami zebranych i obserwować, co się dzieje na polach. Straż przednia powinna już wyjeżdżać z lasu, ale nie było ich. Ani śladu.

O Boże, pomyślała przerażona, mam nadzieję, że nie pojawiła się żadna przeszkoda.

Elizabeth musiała stanąć wyżej, aby jej mowa była dobrze słyszana. Aliena kazała służącemu przynieść ze stajni schodki do wsiadania na konie. Podczas gdy czekali na nie, jakaś starsza kobieta odezwała się ze zdumieniem:

– No, no, przecież to lady Aliena! Jak miło cię zobaczyć, pani!

Serce Alieny zamarło. Poznała ją, to była kucharka, która pracowała na zamku, jeszcze zanim nastali tu Hamleighowie. Aliena zmusiła się do uśmiechu i powiedziała:

– Witaj, Tilly, jak się miewasz?

Kucharka szturchnęła sąsiadkę.

– Hej, to lady Aliena! Wróciła, po tylu latach. Czy będziesz, pani, znowu naszą panią?

Obawiała się, że mógł to usłyszeć dowódca straży. Rozejrzała się z niepokojem. Na szczęście nie było go w zasięgu głosu. Lecz jeden z jego ludzi słyszał wszystko i teraz patrzył na nią spod zmarszczonych brwi. Aliena niewinnie

spoglądała mu w oczy. Ten strażnik miał tylko jedno oko, co zapewne było powodem, dla którego został w zamku, zamiast iść na wojnę z Williamem; raptem Alienie wydało się zabawne, że patrzy w oczy jednookiemu, i musiała chrząknąć, by ukryć śmiech. Powoli ogarniała ją lekka histeria.

Służący przyniósł schodki. Dzwon przestał bić. Aliena trochę się uspokoiła, Elizabeth stanęła na swoim „podeście”. Zapadła cisza.

– Król Stefan i diuk Henryk uczynili pokój – powiedziała Elizabeth.

Przerwała, zgromadzeni zaczęli wiwatować. Aliena patrzyła na pola i powtarzała w duszy: „Teraz, Richardzie, teraz nie możesz się spóźnić!”.

Po małej przerwie Elizabeth mówiła dalej:

– Stefan pozostanie dożywotnio królem, po nim nastąpi Henryk.

Aliena obrzuciła wzrokiem strażników na wieżach i w bramie. Byli rozluźnieni i spokojni. Gdzie ten Richard?

– Traktat pokojowy wniesie w nasze życie wiele zmian.

Nagle strażnicy zeszywnieli. Jeden z nich podniósł rękę, by osłonić oczy przed blaskiem i wpatrywał się w pola, a drugi odwrócił się i patrzył na dziedzińiec, zapewne poszukując wzrokiem swego dowódcy. Michael jednak słuchał w napięciu słów Elizabeth.

– Obecny król i jego następca zgodzili się, by wszystkie ziemie wróciły do swych poprzednich właścicieli, do tych, którzy je posiadali za czasów króla Henryka.

Po tych słowach dał się słyszeć ogólny pomruk. Aliena dostrzegła wreszcie przez otwór w bramie konnych Richarda. „Szybciej, szybciej” – poganiała ich w myślach. Oni jednak zbliżali się równym kłusem, by nie wzbudzać czujności strażników.

– Wszyscy musimy dziękować Bogu za ten traktat pokojowy – ciągnęła Elizabeth. – Powinniśmy modlić się, by król Stefan mądrze rządził w swych ostatnich latach i by młody książę dotrzymywał pokoju, dopóki Bóg nie powoła króla Stefana do siebie... – Radziła sobie wspaniale, ale już zaczynało brako-

wać jej słów.

Strażnicy bacznie spoglądali na zbliżających się jeźdźców. Wiedzieli, że właśnie tej grupy mają oczekiwać, polecono, by dowódcę natychmiast przyprowadzić do hrabiny, nie mieli więc właściwie nic do roboty i gapili się po prostu z ciekawości.

Jednooki odwrócił się i popatrzył w świetlik bramy, potem znowu spojrzął na Alienę, która domyśliła się, że szuka on związku między jej obecnością a nadjeżdżającą grupą.

– Ta wojna – ciągnęła Elizabeth – zaczęła się w roku mego urodzenia. Podobnie jak wielu młodych ludzi w królestwie, chciałabym się dowiedzieć, jak wygląda życie w pokoju.

Strażnik z murów pojawił się u stóp wieży, przeszedł przez dziedziniec i zatrzymał się przy Michaelu, dowódcy straży.

Aliena, wpatrująca się bez przerwy w otwór w bramie, widziała jeźdźców jeszcze – a może wciąż – odległych o kilkaset jardów. Za daleko. Miała ochotę wyc z bezsilności i niepokoju. Nie wiedziała, co można jeszcze zrobić, by zyskać na czasie i nie wywołać żadnych podejrzeń.

Michael Armstrong popatrzył przez bramę na konnych, zmarszczył brwi. Jednooki pociągnął go za rękaw i coś powiedział, wskazując przy tym na Alienę.

Obawiała się, że może on kazać zamknąć bramę i podnieść zwodzony most, zanim Richard dostanie się do środka, ale nie miała pojęcia, jak temu przeciwdziałać. Zastanawiała się, czy wystarczy jej determinacji, by rzucić się na dowódcę, zanim padnie rozkaz obrony. Miała przy sobie swój sztylet, mogłaby go nawet zabić. On zaś zdecydowanie się odwrócił. Aliena dotknęła łokcia Elizabeth.

– Zatrzymaj Michaela! – syknęła.

Elizabeth otwarła usta, by przemówić, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Skamieniała ze strachu. Wtem wyraz jej twarzy się zmienił. Wciągnęła

głęboko powietrze w płuca, potrząsnęła głową, podniosła ją wysoko i przemówiła władczy tonem:

– Michael Armstrong!

Wezwany odwrócił się.

Aliena wiedziała, że to ostatnie sekundy. Richard nie był dość blisko, ale brakowało czasu. Zwróciła się do Elizabeth:

– Już! Powiedz im to teraz!

– Poddałam zamek Richardowi z Kingsbridge, prawowitemu hrabiemu Shiring – rzekła Elizabeth.

Michael patrzył na nią niedowierzająco.

– Nie możesz tego zrobić! – wrzasnął.

– Rozkazuję wam wszystkim złożyć broń. Nie będzie rozlewu krwi! – odpowiedziała stanowczo.

Dowódca straży obejrzał się i zawołał:

– Podnieść most! Zamknąć wrota!

Żołnierze ruszyli wykonać polecenie, ale było już za późno. Kiedy jego ludzie zbliżyli się do wieży, by na głucho zamknąć łukowato sklepioną bramę, straż przednia Richarda właśnie wjeżdżała. Większość obrońców nie miała zbroi, a część nawet mieczy, więc przed konnymi poszli w rozsypkę.

– Zachowajcie spokój! Ci gońcy potwierdzą mój rozkaz! – krzyknęła Elizabeth.

Z blank rozległ się krzyk:

– Michael! Atak! Atakują nas! Kupa ich!

– Zdrada! – wrzasnął dowódca straży i dobył miecza.

Natychmiast pojawiło się przy nim dwu uzbrojonych ludzi Richarda. Błysnęły ostrza i w chwilę później dowodzący obroną zamku padł. Aliena odwróciła wzrok.

Wojownicy Richarda zajęli strażnicę i pojмали ostatnich strażników na blankach.

Siły główne zbliżały się do zamku. Otucha zaczęła wypełniać duszę Alieny. Elizabeth krzyczała najgłośniejszym głosem, jak umiała:

– To pokojowe poddanie się! Nikt nie będzie ranny, przysięgam! Zostańcie, gdzie jesteście!

Wszyscy stanęli jak wryci, słuchając grzmotu kopyt jazdy Richarda. Uzbrowieni wartownicy byli zmieszani i niepewni, ale żaden z nich nie uczynił nic; padł ich dowódca, a hrabina kazała się poddać. Słudzy zamkowi nie ruszali się z miejsc, sparaliżowani nagłośnią wypadków.

I wtedy w bramie pojawił się Richard.

Był to wspaniały moment, Aliena z dumą patrzyła, jak jej brat wjeżdżał na koniu bojowym, był przystojny, uśmiechnięty i triumfujący. Wyglądał pięknie. Krzyknęła:

– Prawowity hrabia!

Konni, którzy wjeżdżali do zamku za Richardem, podchwycili okrzyk, a część zgromadzonych na dziedzińcu zaczęła im wtórować; widać większość z nich nie kochała Williama. Richard stępa przejechał przez dziedziniec, skinieniem ręki odpowiadając na okrzyki.

Aliena zaś myślała o tym wszystkim, przez co musiała przejść, by doczekać się tego momentu. Miała trzydzieści cztery lata. Przez połowę swego życia musiała walczyć. Przypomniła sobie pakowanie wełny do worków, opuchnięte, czerwone i spływające krwią ręce. Przed jej oczyma przewinęły się twarze spotykane na gościńcach, chciwe i okrutne, pełne pożądliwości, twarze mężczyzn, którzy zabiliby ją, widząc najmniejszą oznakę słabości. Pomyślała o tym, jak bezlitośnie potraktowała swego najdroższego Jacka i jak poślubiła Alfreda zamiast niego, a potem noc w noc spała na podłodze przy łóżku, jak pies; a wszystko dlatego, że przysięgła zdobyć pieniądze, wyposażyć Richarda i odzyskać zamek.

– Oto masz go, ojczyźnie – powiedziała na głos. Nikt jej nie słyszał, za głośno wiwatowano. – Oto masz, czego chciałeś – mówiła do zmarłego ojca głosem,

w którym gorycz mieszała się z triumfem. – Przyrzekłam ci to i dotrzymałam słowa. Zajęłam się Richardem, walczyłam przez te wszystkie lata. Teraz jesteśmy znowu w domu, a Richard jest hrabią... – Głos jej stopniowo, przechodził w krzyk, ale nikt go nie słyszał, bo krzyczeli wszyscy. Nikt też nie zauważył łez, jakie spływały po jej policzkach. – Teraz, ojcze, jesteśmy kwita, więc spoczywaj w swym grobie i pozwól mi spokojnie żyć!

Rozdział 16

I

Życie w ubóstwie nie zmieniło Remigiusa, który w dalszym ciągu zachowywał się arogancko. Do drewnianego dworku we wsi Hamleigh wszedł z podniesioną głową i lekceważąco popatrywał na grubo ciosane podpory dachu, ściany z plecionki obrzuconej zaprawą i palenisko bez kominka, gdzie ogień płonął bezpośrednio na klepisku.

William przyglądał się wchodzącemu. Zauważył sandały wymagające reperacji, szorstki, gruby habit, nieogolone policzki i rozczochrane włosy. Remigius nigdy nie należał do grubych, ale teraz schudł jeszcze bardziej. Wyniosły wyraz twarzy nie mógł ukryć zmarszczek wyrzeźbionych przez wyczerpanie ani czerwonych obwódok wokół oczu. Remigius jeszcze się nie poddał, ale był przegranym człowiekiem.

– Błogosławię cię, mój synu – rzekł.

William niczego takiego nie potrzebował.

– Czego chcesz, Remigiusie? – z wyrachowaniem obraził mnicha, nie dodając zwyczajowego tytułu „brata” czy „ojca”.

Remigius drgnął, jakby go ktoś uderzył. William domyślił się, że musiało

już wielokrotnie spotkać go takie traktowanie, od czasu jak sprzeniewierzył się klauzurze klasztornej.

– Ziemie, które dałeś mi jako dziekanowi kapituły w Shiring, zostały przejęte z powrotem przez hrabiego Richarda.

– To mnie nie dziwi. Własność należy zwrócić tym, do których należała za czasów starego króla Henryka.

– Ale w ten sposób nie mam środków.

– Tak samo jak inni – beztrąsko rzekł William. – Musisz wrócić do Kingsbridge.

Remigius pobrał z gniewu.

– Nie mogę tego uczynić – powiedział cicho.

– Dlaczego nie? – William dręczył go pytaniami.

– Wiesz, dlaczego nie mogę.

– Bo Philip ci powie, że nie wolno wyciągać sekretów od małych dziewczynek? A może myśli, że go zdradziłeś, ujawniając mi kryjówkę banitów? A może zezłości się, bo chciałeś zostać dziekanem kościoła, który miał zastąpić katedrę Kingsbridge? No, cóż, jeśli tego się spodziewasz, to faktycznie nie możesz tam wrócić.

– Daj mi cokolwiek – prosił Remigius. – Jedną wioskę. Gospodarstwo. Kościółek!

– Dla przegrywających nie ma nagród, mnichu – szorstko odpowiedział William. Cieszyła go ta sytuacja. – Na świecie poza murami klasztorów nikt się tobą nie będzie zajmować. Kaczki połykają robaki, lisy zabijają kaczki, a ludzie strzelają do lisów. Diabeł zaś pluje na ludzi.

– To co ja mam czynić? – głos Remigiusa osłabł do szeptu.

William uśmiechnął się i rzekł:

– Żebrać.

Remigius odwrócił się na pięcie i wyszedł.

Jeszcze dumny, pomyślał William, ale to się wnet skończy. Pójdiesz na

żebry.

Radowało go, że miał przed sobą kogoś, kto upadł jeszcze niżej niż on. Nie mógł zapomnieć męki – chyba takiej samej, jaką przeżywał Chrystus na krzyżu – którą musiał znosić, stojąc przed bramą swego zamku, kiedy nie wpuszczono go do środka. Jak tylko się dowiedział, że Richard z częścią swych ludzi opuścił Winchester, zaczął coś podejrzewać, a potem, po ogłoszeniu warunków traktatu pokojowego, niepokój przerodził się w trwogę, więc bezzwłocznie poprowadził swój oddział do Earlscastle. Twierdzy strzegła niewielka załoga, spodziewał się jednak, że Richard będzie oblegał zamek. Zobaczywszy, że nie ma wojsk oblężniczych, w pierwszej chwili poczuł ulgę i ganił siebie za niepotrzebny lęk.

Kiedy się zbliżył do murów, ujrzał podniesiony most. Stanął na skraju fosy i krzyknął:

– Otworzyć hrabiemu!

A wtedy Richard pojawił się na blankach.

– Hrabia jest już na zamku! – zawołał.

Czuł, że ziemia usuwa mu się spod stóp. Zawsze obawiał się Richarda jako groźnego konkurenta, dotąd jednak specjalnie mu nie zagrażał. Wprawdzie przypuszczał, że prawdziwe niebezpieczeństwo może się pojawić, kiedy umrze Stefan, a tron obejmie Henryk, ale to wydawało się takie odległe. Teraz, siedząc w ubogim domostwie, myślał o popełnionych błędach.

Z goryczą stwierdził, że nie docenił przeciwnika, który w rezultacie okazał się nader sprytny. Nie można było go oskarżyć o łamanie królewskiego pokoju, skoro wojna wciąż jeszcze trwała, gdy zajmował zamek. Jego pretensje do hrabstwa potwierdził traktat pokojowy. Stefan zaś, postarzały, zmęczony i pokonany, nie miał dość siły, by dalej się bić.

Richard wspaniałomyślnie pozwolił odejść tym, którzy chcieli służyć Williamowi. Waldo zwany Jednookim opowiedział ekshrabiemu, jak wzięto zamek. Zdrada Elizabeth przyprawiała go o szaleństwo, ale najbardziej upokarzał

udział Alieny. Ta bezbronna, mała dziewczynka, którą niegdyś gwałcił i dręczył, a potem wyrzucił z jej własnego domu, teraz wzięła odwet. Za każdym razem, kiedy o tym pomyślał, paliło go w żołądku, jakby się napił octu.

Początkowo miał zamiar kontynuować walkę. Mógł utrzymać armię, zamieszkać poza hrabstwem i nękać rywala, ściągając podatki i daniny z chłopów. Richard jednak miał zamek, a czas pracował na jego korzyść, bo król Stefan, który wspomagał Williama, był stary i załamany, a popierający Richarda diuk Henryk był młody i miał zostać królem.

William postanowił tedy zmniejszyć straty. Powrócił do wioski Hamleigh, gdzie się urodził i wychował. Ta posiadłość, jak i przyległe wsie zostały przekazane jego ojcu trzydzieści lat temu i nie należały do ziem hrabstwa. William miał nadzieję, że Richard zadowolony dotychczasowym odwetem i zostawi go w spokoju. Na razie udawało mu się, jednakże nie cierpiał tej wioski. Nie znosił małych, schludnych domków, płochliwych kaczek na stawie, bladoszarego kościoła, puciołowatych dzieci, szerokobiodrych kobiet i silnych, posępnych mężczyzn. Nienawidził ich za pokorę, prostotę i biedę... Przyglądał się chłopom, jak mozolą się z wiosennymi orkami, i szacował, jaki będzie jego udział w tegorocznych zbiorach. Wychodziło na to, że ubogi. Wybrał się na polowanie, na tych kilku akrach lasu, jakie mu zostały, i nie udało mu się nawet pogonić jelenia. Leśniczy powiedział: „Teraz możesz, panie, polować na borsuki, nie trafisz na jelenia, bo banici zjedli wszystkie w czasie głodu”.

Sprawy rozszadzał w wielkiej sali, gdzie wiatr gwizdał w szparach. Wyroki ferował surowe, wyznaczał wysokie grzywny według swego kaprysu, ale nie sprawiało mu to tak wielkiej satysfakcji, jak oczekiwał.

Porzucił myśl o budowaniu wielkiego nowego kościoła w Shiring, to oczywiste, bo nie stać go było nawet na wybudowanie sobie kamiennego domu. Budowniczy przerwali pracę w chwili, gdy przestał im płacić, a co z nimi się działo, nie miał pojęcia; być może wszyscy wrócili do Kingsbridge, aby pracować z powrotem dla przeora Philipa.

Znowu miewał koszmary.

Zawsze takie same. Widział matkę w świecie umarłych. Krwawiła z oczu i uszu, a kiedy otwierała usta, by coś powiedzieć, buchała z nich krew. Te senne zmory przejmowały go śmiertelnym przerażeniem. Nie umiał powiedzieć, czego właściwie się bał, bo w tym śnie matka przecież mu niczym nie groziła. W nocy jednak, kiedy upiorny sen powracał, ogarniał go ślepy, nierozumny, histeryczny strach. Kiedyś, jeszcze jako chłopiec, brodził po stawie, i nagle znalazł się pod wodą, tracąc oddech. Pamiętał przemożną potrzebę zaczerpnięcia powietrza, lecz teraz wspomnienie z dzieciństwa uporczywie go prześladowało. Tym razem jednak czuł się dziesięciokrotnie gorzej. Próby ucieczki przed krwawiącą twarzą matki przypominały bieg po grząskim piachu. Budził się w nocy potłuczony, wstrząśnięty, spocony i jęczał skurczony w bolesnej udręce. Walter w takich chwilach stawał ze świecą przy jego łóżku. William bowiem spał w wielkiej sali, oddzielony od reszty zasłoną, w dworku przecież nie miał komnaty sypialnej.

– Krzyczałeś głośno, panie – mruczał Walter, a William z trudem łapał oddech, wpatrując się w łóżko, ścianę, Waltera.

Władza koszmaru stopniowo słabła, aż wreszcie przestawał się bać. Mówił wtedy:

– To nic, tylko sen, odejdz. – Lecz obawiał się ponownie zasnąć. Następnego dnia ludzie patrzyli na niego podejrzliwie, jakby ktoś rzucił na niego zły urok.

Kilka dni po rozmowie z Remigiusem siedział na tym samym twardym drewnianym krześle, przy tak samo dymiącym palenisku, kiedy do izby wszedł biskup Waleran.

Zaskoczyło go to; słyszał konie, ale uznał, że to Walter wrócił z młyna. Widok biskupa zupełnie zbił go z tropu. Waleran, zawsze arogancki i wyniosły, za każdym razem pogłębiał w Williamie poczucie głupoty, niezgrabności i niezręczności. Tym razem jednak warunki, w jakich biskup go oglądał, same w so-

bie były upokarzające.

Nie raczył wstać na powitanie gościa.

– Czego chcesz? – spytał zwięźle i obcesowo. Nie miał powodu, by być uprzejmym, przeciwnie, chciał, aby Waleran wyniósł się stąd jak najszybciej.

Biskup zignorował grubiaństwo.

– Szeryf nie żyje – oświadczył.

W pierwszej chwili William nie zorientował się, o co może chodzić biskupowi.

– No to co? Co ja mam z tym wspólnego? – warknął.

– Trzeba będzie wyznaczyć nowego szeryfa.

William już miał powtórzyć „No to co?”, lecz się powstrzymał. Osoba nowego szeryfa nie była obojętna dla Walerana. Aby o tym porozmawiać, przyszedł do niego, do Williama. To mogło oznaczać tylko jedno. Błysnął mu promyk nadziei, ale szybko stłumił to uczucie; tam, gdzie jest zamieszany Waleran, wielkie oczekiwania kończą się rozczarowaniem i bezsilną złością. Zapytał tedy:

– Kogo masz na myśli?

– Ciebie.

O takiej odpowiedzi William nie odważył się nawet marzyć. Chciał w to uwierzyć. Mądry i bezwzględny szeryf mógł być równie wpływową osobistością jak biskup czy hrabia. Oto możliwość powrotu do władzy i bogactwa. Zmusił się do rozważenia przeszkód.

– Dlaczego król Stefan miałby mnie wyznaczyć?

– Popierałeś go przeciw diukowi Henrykowi, przez co straciłeś swoje hrabstwo. Zdaje się, że chce ci się odwdziaczyć!

– Nikt nigdy nie czyni niczego z wdzięczności – sceptycznie powtórzył powiedzonko swej matki.

– Stefana nie może cieszyć to, że hrabią Shiring jest człowiek, który walczył przeciw niemu. Może chce mieć swojego szeryfa dla przeciwwagi wpły-

wów Richarda.

To miało więcej sensu. William ożywił się. Powoli zaczynał wierzyć, że może wydostać się z tej dziury, którą nazywają wsią Hamleigh. Miałby liczącą się siłę rycerzy i zbrojnych pacholców zamiast tej żalostnej garstki, z jaką został teraz. Przewodniczyłby sądowi hrabstwa w Shiring.

– Znowu byłbyś bogaty – podszeptował Waleran.

– Tak. – Właściwie wykorzystywane stanowisko szeryfa mogło przynosić potężne zyski. Zgarniałby niemal tyle pieniędzy, ile miał jako hrabia. Zastanowił się jednak, dlaczego Waleran o tym wspomniał.

Chwilę później usłyszał odpowiedź.

– Mógłbyś wówczas sfinansować budowę nowego kościoła.

Więc o to chodziło. Waleran nigdy niczego nie czynił bez jakiegoś głębszego motywu. Chciał, by on został szeryfem tylko dlatego, że zależało mu na budowie nowego kościoła. Williamowi zaś odpowiadało pójście owym wyznaczonym szlakiem. Jeśliby udało mu się zbudować kościół, to może skończyłyby się jego koszmary.

– Myślisz, że to naprawdę może się udać? – spytał gorliwie.

Waleran skinął głową.

– Tak. Będzie sporo kosztowało, to jasne, ale uważam, że uda się załatwić.

– Kosztowało? – spytał William z nagłym niepokojem. – Ile?

– Trudno powiedzieć. W miastach takich jak Lincoln czy Bristol zapewne jakieś pięć czy sześć setek funtów, ale też szeryfowie są tam bogatsi niż kardynałowie. Natomiast w Shiring, jeśli na dodatek będziesz kandydatem popieranym przez króla, o co się zatroszczę, wystarczy jakieś sto funtów.

– Sto funtów! – Wszystkie nadzieje Williama runęły. Tego rozczarowania właśnie bał się od samego początku. – Gdybym miał sto funtów, nie mieszkałbym tak jak teraz! – rzekł gorzko.

– Możesz je mieć!

– Od kogo? Ty mi dasz?

– Nie bądź głupi – rzekł Waleran z budzącym złość lekceważeniem. – Od tego są Żydzi.

Ze znajomą mieszaniną niechęci i nadziei William zauważył, że Waleran znowu ma rację.

Minęły dwa lata, od czasu gdy po raz pierwszy na ścianach wystąpiły rysy, a Jack wciąż nie znalazł sposobu na rozwiązanie tego problemu. Co gorsza, podobne pęknięcia pojawiły się w pierwszym przęśle nawy. To utwierdziło go w przekonaniu, że w projekcie musiał popełnić poważny błąd, wskutek czego konstrukcja okazała się nie dość silna, by wytrzymać porywy wiatru.

Zatopiony w myślach stał na rusztowaniu wysoko nad ziemią, przyglądając się z bliska szczelinom. Zastanawiał się nad sposobem wzmocnienia górnej części ścian tak, by się nie poddawały podmuchom.

Niższą część murów wzmocniono grubymi filarami po zewnętrznej stronie ścian naw bocznych. Łączyły się one z nawą główną za pomocą półluków ukrytych w dachach naw bocznych. Półluki i filary podpierały ścianę, tworząc swoisty system przyporowy, tyle że ta konstrukcja była niewidoczna, dzięki czemu nawa miała lekki i wdzięczny wygląd.

Przydałby mu się podobny system wzmacniający wyższe partie ścian. Oczywiście mógłby powtórzyć tę operację i zbudować dwupiętrowe nawy boczne z ukrytymi łukami odporowymi, ale w ten sposób zaprzepaściłby cały sens nowego stylu – oblanie wnętrza światłem dziennym – gdyż zasłoniłby światło padające przez świetliki.

Naturalnie to nie nawy dźwigały ciężar. Całą budowę utrzymywały masywne filary na zewnętrznych ścianach i łączące je półluki. Nawy boczne osłaniały jedynie te elementy konstrukcji. Jeśliby tylko mógł zbudować filary i półluki podpierające poziom świetlików bez wbudowywania ich w nawy boczne, od razu miałby rozwiązanie problemu.

Nagle ktoś go zawołał.

Zmarszczył brwi. Już, już dotykał sedna sprawy, a tu mu przerwano i wszystko się rozwiało. Popatrzył w dół. Stał tam przeor Philip.

Krętymi schodami Jack zszedł do niego. Przeor aż gotował się z wielkiego gniewu.

– Richard mnie zdradził! – krzyknął bez wstępów.

– Jak?

Philipa aż zatykało z oburzenia, wyrzucał z siebie gniew, nie udzielając odpowiedzi.

– Po tym wszystkim, co dla niego zrobiłem. Kupowałem wełnę od Alieny, gdy wszyscy ją oszukiwali. Gdyby nie ja, to ona nigdy by nawet nie zaczęła tego interesu. Potem dałem Richardowi robotę jako dowódcy straży. A w listopadzie uprzedziłem go o treści traktatu pokojowego, co umożliwiło mu zajęcie zamku. Teraz zaś, kiedy już wystąpił w całym majestacie i rządzi hrabstwem, odwraca się do mnie plecami!

Jack nigdy jeszcze nie widział Philipa tak wzburzonego. Ogolona głowa przeora zaczerwieniła się z oburzenia, a kiedy mówił, pryskał śliną.

– Jakim sposobem Richard cię zdradził, ojcze? – spytał Jack.

Philip ponownie zignorował pytanie.

– Zawsze wiedziałem, że Richard ma słaby charakter. Dawał Alienie naprawdę bardzo niewiele. Przez te wszystkie lata tylko od niej brał i nigdy nie zastanawiał się, czego ona potrzebuje. Nie myślałem jednak, że jest zupełnym łajdakiem!

– Ale co on konkretnie zrobił?

– Odmówił nam kamienia z kamieniołomu! – wykrztusił w końcu Philip.

Ta wiadomość wstrząsnęła Jackiem. Oto przykład zdumiewającej niewdzięczności.

– A jak to tłumaczy?

– Własność miała być zwrócona tym, do których należała za króla Henryka.

A kamień mieliśmy z łaski króla Stefana.

Wyszła na jaw chciwość Richarda, ale Jack nie potrafił aż tak się tym rozgniewać. Do tej pory zbudowali połowę katedry, w większości z kamienia, za który musieli płacić. Mogli więc jakoś ciągnąć budowę dalej.

– Cóż, przypuszczam, że Richard jest po prostu do tego uprawniony – powiedział rozsądnie.

Philipa to oburzyło.

– Jak możesz tak mówić?

– To trochę tak jak ty, ojczy, postąpiłeś ze mną. Przywiozłem tutaj Płaczącą Madonnę, przygotowałem wspaniały projekt nowej katedry i zbudowałem wał dla obrony miasta przed Williamem, ty zaś ogłosiłeś, że nie wolno mi mieszkać z moją żoną i dziećmi. To też niewdzięczność.

To porównanie z kolei wstrząsnęło Philipem.

– Ależ to zupełnie co innego! – zaprotestował. – Ja nie chcę, byście żyli oddzielnie. To Waleran wstrzymuje unieważnienie małżeństwa Alieny, a boskie przykazanie zakazuje życia w cudzołóstwie.

– Jestem pewny, że Richard powiedziałby coś zupełnie podobnego – upierał się Jack. – To nie on nakazał zwrot własności. On tylko przestrzega prawa.

Uderzył dzwon na południe.

– Jest wielka różnica między prawami boskimi a ludzkimi.

– Ale żyć musimy według obu – odrzekł Jack. – A teraz idę zjeść obiad z matką moich dzieci.

Odszedł, zostawiając zmartwionego Philipa. Tak naprawdę, to nie uważał wcale, że przeor jest tak samo niewdzięczny jak Richard, ale udawanie, że tak jest, sprawiło mu pewną ulgę. Postanowił zapytać Alienę o kamieniołom. Może Richarda da się przekonać i zmieni swoje postanowienie. Aliena powinna to wiedzieć.

Opuścił dziedziniec i poszedł do domu, w którym mieszkał z Marthą. Aliena z dziećmi była w kuchni, jak zwykle. Głód skończył się wraz z dobrymi

zbiorami w tym roku, więc jedzenie nie było już tak rozpaczliwie wydzielane; mieli pszenny chleb i pieczoną baraninę na stole.

Jack ucałował dzieci. Sally pocałowała go dziecinnie, miękko, ale Tommy, jedenastolatek, który szybko rósł, nadstawił policzek i wyglądał przy tym na zakłopotanego. Jack uśmiechnął się, ale nic nie powiedział. Pamiętał, że był czas, gdy uważał całowanie za głupią i wstydliwą czynność.

Aliena była zmartwiona. Jack usiadł na ławie obok niej i powiedział:

– Philip się wścieka, bo Richard nie chce mu dać kamieniołomu.

– To nie w porządku – rzekła Aliena łagodnie. – Ze strony mego brata jest to czarna niewdzięczność.

– Nie wydaje ci się, że może udałoby się go przekonać do zmiany zdania?

– Naprawdę nie wiem – Aliena sprawiała wrażenie roztargnionej.

– Nie wydajesz się szczególnie poruszona tą kwestią – zauważył Jack.

Popatrzyła na niego wyzywająco.

– Nie, nie interesuje mnie ona.

Znał ten nastrój.

– Lepiej mi powiedz, co cię dręczy.

Wstała.

– Chodźmy do tylnej izby.

Rzuciwszy tęskne spojrzenie na udziec barani, niechętnie podniósł się i podążył za Alieną do sypialni. Drzwi zostawili otwarte, jak zwykle, by uniknąć podejrzeń, gdyby do domu wszedł ktoś obcy. Aliena usiadła na łóżku i splotła ręce na piersi.

– Podjęłam ważną decyzję – zaczęła.

Miała tak poważny wyraz twarzy, że Jack z niepokojem zaczął zastanawiać się, o co jej chodzi.

– Na większej części mego dorosłego życia kładły się dwa cienie. Jednym z nich była przysięga, jaką złożyłam umierającemu ojcu. Drugim zaś mój związek z tobą.

Jack wpadł jej w słowo:

– Przysięgi danej ojcu już dotrzymałaś.

– Tak. A teraz chcę pozbyć się reszty ciężaru. Postanowiłam cię opuścić.

Poczuł, jak w piersi zamiera mu serce. Wiedział, że takich rzeczy Aliena nie mówi tak sobie, była poważna. Wpatrywał się w nią bez słowa. Jej oświadczenie zdezorientowało go całkowicie, nigdy nie przyszło mu do głowy, że potrafiłaby go kiedykolwiek opuścić. Jak mogło mu się coś tak okropnego przydarzyć? Mgliste podejrzenie przemknęło mu przez głowę i zanim to przemyślał, słowa same wydobyły się z jego ust.

– Jest ktoś inny?

– Nie bądź szalony.

– To dlaczego?

– Bo dłużej tego nie zniosę. – Jej oczy wypełniły się łzami. – Na unieważnienie czekamy dziesięć lat. Nigdy go nie otrzymamy, Jack. Jesteśmy skazani na takie życie, chyba że się rozdzielimy.

– Ale... – Gorączkowo myślał, co by tu powiedzieć.

To, co mu oznajmiła, było dla niego tak druzgoczące, że jakakolwiek kłótnia nie miała sensu. To tak, jakby chciało się spacerkiem uciec przed huraganem. Postanowił jednak spróbować.

– Czy to, co jest, nie jest lepsze niż nic, niż całkowita separacja?

– W ostatecznym rozrachunku... Nie, nie jest lepsze.

– Ale co to zmieni, gdy odejdiesz?

– Może spotkam kogoś innego i zakocham się znowu, i będę wieść normalne życie – powiedziała z płaczem.

– Nadal będziesz poślubiona Alfredowi.

– Ale nikt nie będzie o to dbał. Mogę wziąć ślub przed jakimś księdzem w odległej parafii, takim, co nic nie słyszał o Alfredzie Budowniczym i który nie zacznie rozważać ważności małżeństwa, jeśli nawet będzie o wszystkim wiedzieć.

– Nie wierzę, że to ty tak mówisz. Nie zgadzam się na to.

– Dziesięć lat, Jack. Czekałam dziesięć lat, by wieść z tobą normalne życie. Nie będę czekać dłużej.

Te słowa padały jak potężne ciosy. Ona mówiła dalej, ale Jack nic nie rozumiał, nic do niego nie docierało.

– Wiesz, że nigdy nie kochałem nikogo innego – przerwał jej.

Skrzywiła się, jakby ją zabolalo, ale ciągnęła swoją myśl:

– Potrzebuję kilku tygodni na uporządkowanie wszystkich spraw. Wynajmę dom w Winchesterze. Chciałabym, aby dzieci przywykły do tego, że będziemy osobno, zanim się zacznie to ich nowe życie...

– Chcesz mi zabrać moje dzieci – powiedział oszołomiony. Skinęła głową.

– Przykro mi. – Po raz pierwszy jej zdecydowanie zaczęło się chwiać. – Wiem, że będą za tobą tęsknić. Ale one także potrzebują normalnego życia.

Jack nie umiał znieść już ani odrobiny więcej. Odwrócił się.

– Nie odchodź tak ode mnie. Musimy jeszcze porozmawiać. Jack...

Wyszedł bez odpowiedzi.

Usłyszał, jak woła za nim:

– Jack!

Przeszedł przez główną izbę, nie patrząc na dzieci, i opuścił dom. W oszołomieniu kroczył do katedry, nie wiedząc, gdzież indziej mógłby pójść. Budowniczo wie jeszcze nie wrócili z obiadu. Nie był zdolny do płaczu; to było zbyt złe, by po prostu zapłakać. Bezmyślnie wspiął się po schodach na transept północny, wyszedł na dach.

Tutaj, wysoko, podmuchy były silne, choć na poziomie ziemi wiatr wyczuwało się ledwie ledwie. Spojrzał w dół. Gdyby stąd spadł, to wylądowałby na przylegającym do ściany dachu bocznego przejścia przy transepcie, może by się zabił, ale to nie było pewne. Przeszedł do skrzyżowania i stanął w miejscu, gdzie dach się urywał i otwierała przepaść. Jeśli ten nowy styl mu nie wychodzi, a Aliena go opuszcza, to nie ma po co żyć.

Oczywiście jej decyzja nie była taka nagła. Od wielu lat oboje nie czuli się zadowoleni ze swej sytuacji. Pogodzili się jednak z nieszczęściem. Odzyskanie zamku i tytułu wyrwało Alienę z odrętwienia i przypomniało jej, że to ona sama kształtuje swoje życie. To zachwiało niepewną sytuacją, tak jak burza spowodowała rysy w murach katedry.

Popatrzył na ścianę transeptu i dach nawy bocznej. Widział wystające ciężkie przypory, mógł wyobrazić sobie bieg arkady łączącej przyporę z podstawą poziomu świetlików. To, co mogłoby rozwiązać problem, miał w głowie w chwili, gdy zawołał go Philip. Myślał wtedy o przyporach może ze dwadzieścia stóp wyższych, z drugim półłukiem sięgającym aż do miejsc, gdzie pojawiły się szczeliny. Łuk i wysoka przypora wzmocniłyby górną część kościoła i uodporniły na porywy wiatru.

To zapewne rozwiązałyby problem. Kłopot jednak z tym, że wybudowanie dwupiętrowej nawy bocznej w celu ukrycia wystających przypór i kolejnego łuku uniemożliwi dostęp światła, a jeśli nie wybuduje...

Właśnie, jeśli nie wybuduje, to co?

Opętało go przemożne uczucie, że skoro jego życie się wali, to nic nie jest ważne, a w tym nastroju nie umiał dostrzec niczego złego w nagich przyporach. Stojąc tutaj, na dachu, z łatwością mógł sobie to wszystko wyobrazić: rząd solidnych kamiennych kolumn wyrasta z zewnętrznej ściany nawy bocznej, z wierzchołka każdej kolumny wystrzela półłuk, biegnący otwartą przestrzenią do poziomu świetlików. Może nawet dodałby jeszcze ozdobny pinakiel na szczycie każdej kolumny, pinakiel sięgający nawet wyżej niż łuk. Tak, tak wyglądałoby lepiej.

Pomysł budowania elementów wzmacniających w miejscach, gdzie będą one od razu rzucać się w oczy, był rewolucyjny. Lecz nieodzowną cechą nowego stylu było pokazywanie, jakim sposobem budowla się trzyma.

Intuicja podpowiadała mu, że to rozwiązanie jest doskonałe. Im więcej o nim myślał, tym bardziej mu się podobało. Wyobraził sobie widok kościoła

od zachodu. Półluki będą przypominać skrzydła zrywających się do lotu ptaków, wszystkie w rzędzie, pięknie. Nie ma potrzeby, by były masywne. Jeśli tylko będą dobrze postawione, mogą być smukłe i pełne wdzięku, lekkie, ale silne, jak skrzydło ptaka. Skrzydlate przypory, pomyślał, aby ten lekki kościół mógł wznieść się do nieba. Zastanawiam się – rozważał – zastanawiam się, czy się uda.

Podmuch wiatru nagle zachwiał nim. Zaczął dreptać w miejscu, na skraju dachu, aby nie stracić równowagi. Przez chwilę myślał, że polecą na spotkanie śmierci, ale udało mu się jakoś utrzymać postawę i cofnął się o krok. Serce mu łomotało.

Powoli i ostrożnie wracał po dachu ku krętym schodom i zszedł na ziemię.

II

Na budowie kościoła w Shiring zupełnie wstrzymano prace. Philip przyłapał się na tym, że z tego powodu odczuwa radość. Po tym jak zmuszony był patrzeć na opustoszały plac swojej budowy, teraz cieszyło go, gdy widział, że to samo przytrafiło się jego wrogom. Alfred Budowniczy zdążył jedynie kierować rozbiórką starego kościoła i położeniem fundamentów pod nowe prezbiterium, a potem wywłaszczonego Williama i wyszło źródło pieniędzy. Philip napominał sam siebie, że jest grzechem uczucie zadowolenia na widok ruin kościoła, ale one świadczyły także dowodnie o woli Boga, zgodnie z którą katedra miała być w Kingsbridge, a nie w Shiring. Los projektu biskupa Walerana wydawał się objawieniem boskich intencji.

Teraz, kiedy największy kościół w mieście został zrównany z ziemią, sądy hrabstwa odbywały się w wielkiej sali na zamku. Philip z Jonathanem wjeżdżali na wzgórze. Po zamieszaniu, jakie nastąpiło z powodu zdrady Remigiusa, uczynił Jonathana osobistym zastępcą. Remigiusowe wiarołomstwo wstrząsnęło

Philipem ogromnie, ale rad był, że subprzeor pokazał plecy. Od czasu kiedy przegrał w wyborach, Remigius stale starał się pokrzyżować plany Philipa, utrudniając przeorowi życie. Po tym jak odszedł, klasztor stał się znacznie miłszym miejscem.

Nowym subprzeorem został Milius. Skądinąd w dalszym ciągu wypełniał obowiązki kwestarza, mając do swej dyspozycji trzech pomocników. Po odejściu Remigiusa nikt nie potrafił powiedzieć, co takiego właściwie robił on po całych dniach.

Ze współpracy z Jonathanem Philip czerpał głęboką satysfakcję. Był szczęśliwy, gdy wyjaśniał mu zasady działania klasztoru, gdy wskazywał drogi postępowania i gdy pouczał, jak należy postępować z ludźmi. Młodzieńca ogólnie lubiano, choć czasem niemiłym mu ludziom umiał zaleźć za skórę. Musiał się więc nauczyć, że ci, którzy traktują go wrogo, czynią to z powodu jego słabości, gdyż Jonathan na wrogość odpowiadał gniewem. Powinien zatem poznać słabą stronę swego charakteru i powściągnąć gniew.

Jonathan myślał szybko, zadziwiając często łatwością, z jaką pojmował różne sprawy. Czasem Philip przyłapywał się na grzechu próżności, gdy myślał o tym, jak bardzo Jonathan jest do niego podobny.

Dzisiaj wziął go ze sobą, by pokazać mu sąd hrabstwa i przybliżyć zasady jego działania. Philip chciał zwrócić się do szeryfa z prośbą o wydanie Richardowi nakazu w sprawie udostępnienia kamieniołomu klasztorowi, był bowiem przekonany, że zgodnie z literą prawa hrabia nie może mu tego zabronić. Zwrócenie dóbr tym, którzy je mieli we władaniu za króla Henryka, nie powinno mieć wpływu na sprawy klasztoru. Istotą tego nowego prawa było ułatwienie diukowi Henrykowi zastąpienia hrabiów Stefana swoimi, by w ten sposób nagrodzić stronników. Nie miało to nic wspólnego z klasztorami. Philip był przekonany, że racja leży po jego stronie i wygra sprawę, kłopotliwe było jednak to, że stary szeryf umarł, a następcę miano właśnie dziś przedstawić. Nikt nie miał najmniejszego pojęcia, kto nim zostanie, ale wszyscy zakładali, że to będzie

któryś z czołowych obywateli Shiring: David Merchant, kupiec, sprzedawca jedwabiu, Rees Welsh, Walińczyk – ksiądz, który pracował w sądzie królewskim, Giles Lionheart, Lwie Serce – rycerz, którego ziemie przylegały do miasta, albo też Hugh Bastard – nieprawy syn biskupa Salisbury. Philip miał nadzieję, że szeryfem zostanie Rees, nie dlatego, że to ziomek, ale dlatego, że mógłby zrobić przysługę kościołowi. Nie kłopotał się tym zbytnio: uważał, że każdy z tej czwórki rozsądzi sprawę po jego myśli.

Wjechał na zamek. Nie był on zanadto umocniony. Ze względu na to, że hrabia Shiring miał swój obronny zamek za miastem, od kilku pokoleń miastu udawało się unikać bitew. Zamek był tedy bardziej ośrodkiem zarządzania, mieszczącym kwatery szeryfa i jego ludzi, a także lochy dla przestępców. Philip i Jonathan zostawili konie w stajni, po czym weszli do największego budynku z wielką komnatą.

Stoły z desek zwykle ustawiano w kształcie litery „T”. Teraz zmieniono ich ustawienie: góra „T” pozostała, wyniesiona nieco ponad poziom sali dzięki podium, pozostałe zaś stoły ustawiono wzdłuż ścian tak, by strony w sporach mogły siedzieć twarzami do siebie, a bokiem do sędziego. Odległość między nimi była spora, by przeciwdziałać chęciom wyrażania czynem swych racji.

Sala była już pełna. Na podium siedział biskup Waleran. Wyglądał złowrogo. Ku zaskoczeniu Philipa obok biskupa zajmował miejsce William Hamleigh, półgębkiem wymieniając z Waleranem jakieś uwagi na widok ludzi wchodzących do sali. Co on tutaj robi? Prawie przez dziewięć miesięcy nie wychylał nosa ze swej wioski, a Philip wraz z wielu innymi mieszkańcami hrabstwa pielęgnowali w sercu nadzieję, że nigdy się stamtąd nie ruszy. A jednak był tutaj, siedział na ławie rozparty, jakby ciągle był hrabią. Przeor zastanawiał się, jakąż to podła intryga przywiodła dzisiaj do sądu żądnego władzy Williama.

Philip i Jonathan siedli w kącie sali, czekając na rozpoczęcie procesów. W sądzie panowała optymistyczna atmosfera pośpiechu. Teraz, gdy wojna się skończyła, elita hrabstwa zajęła się z powrotem tworzeniem zamożności. Ten

kraj był żyzny i płodny, szybko płacił za wysiłki poświęcone uprawie ziemi. W tym roku oczekiwano wspaniałych zbiorów. Cena wełny wzrosła. Philip ponownie przyjął większość dawnych budowniczych, którzy w czasie głodu opuścili plac budowy. Wszędzie było widać, że ci, którzy przetrwali ciężkie czasy, wyglądali młodziej, zdrowiej i silniej. Tutaj, w wielkiej sali sądu hrabstwa Shiring, poprawę losu i nadzieje na lepszą przyszłość można było poznać po tym, jak trzymali głowy, po tonie wypowiedzi, blasku nowych butów mężczyzn i zabawnych stroikach na głowach kobiet. Już sam fakt, że byli właśnie w sądzie, świadczył o tym, że mieli bogactwo wystarczająco wielkie, by właśnie tutaj spierać się o nie.

Wstali wszyscy, kiedy zastępca szeryfa wszedł wraz z Richardem, hrabią Shiring. Obaj wstąpili na podium, a wtedy zastępca jął odczytywać pismo królewskie wyznaczające nowego szeryfa. Kiedy przedzierał się przez wstępne formuły, Philip rozglądał się po sali w poszukiwaniu przewidywanych kandydatów. Miał nadzieję, że nowo wybrany będzie odważny. Musi taki być, by móc stawić czoło lokalnym potęgom, jak biskup Waleran, hrabia Shiring, czy lord William. Ten z kandydatów, którego ustanowiono, zapewne już o tym wiedział, nie było przecież powodu, by trzymać to w sekrecie, ale żaden z czwórki nie wydawał się jakoś szczególnie podniecony. Zwykle wybrany stał przy zastępcy w trakcie czytania proklamacji, ale przecież na podium oprócz zastępcy byli tylko Richard, Waleran, William. Przeorowi zaświtała przerażająca myśl, że może to Walerana mianowano szeryfem. Potem, kiedy zastępca przeczytał: „... wyznaczam na szeryfa Shiring sługę mego Williama Hamleigha i polecam wszystkim, by mu służyli...”, Philipa ogarnęła jeszcze większa zgroza.

Popatrzył na Jonathana i powiedział:

– William?

Pośród mieszczan rozległy się głosy zaskoczenia i sprzeciwu.

– Jak mu się to udało? – zapytał Jonathan.

– Musiał zapłacić.

– A skąd wziął pieniądze?

– Prawdopodobnie pożyczył.

William ruszył ku drewnianemu tronowi, uśmiechał się. Kiedyś był przystojnym młodym człowiekiem, pomyślał Philip. Teraz nie miał jeszcze czterdziestki, ale wyglądał staro. Ciało miał za ciężkie, a cerę czerwoną od wina. Jurność, która czyni pięknymi młode oblicza, zniknęła; na jego twarzy odzwierciedlało się zepsucie.

Kiedy William usiadł, Philip wstał.

Jonathan powstał także, pytając szeptem:

– Wychodzimy?

– Za mną – syknął przeor.

W komnacie zapadła cisza. Wszystkie oczy wpatrywały się w nich, kiedy przechodzili, a gdy zamykały się za nimi drzwi, rozległy się niewyraźne szemrania.

– Nie mieliśmy żadnych szans, kiedy William zasiadł za stołem – rzekł Jonathan.

– Gorzej jeszcze – odparł Philip. – Gdybyśmy przedłożyli sprawę, moglibyśmy stracić resztę naszych praw.

– Na mą duszę, nie pomyślałem o tym.

Philip ponuro pokiwał głową.

– Skoro William jest szeryfem, Waleran biskupem, a niewdzięczny Richard hrabią, klasztor Kingsbridge nie może liczyć na sprawiedliwość w tym hrabstwie. Mogą z nami zrobić, co im tylko przyjdzie do głowy.

Kiedy stajenny siodłał ich konie, Philip powiedział:

– Wniosę do króla petycję, by nadał prawa miejskie Kingsbridge. W ten sposób mielibyśmy własny sąd, a podatki płacilibyśmy bezpośrednio królowi. Dzięki temu także nie podlegalibyśmy jurysdykcji szeryfa Shiring.

– W przeszłości zawsze się takim pomysłem przeciwstawiałeś.

– Byłem temu przeciwny, bo wówczas miasto byłoby równie silne jak

klasztor. Teraz jednak uważam, że musimy to przyjąć za cenę niezależności. Alternatywą jest William.

– Czy król Stefan nada nam prawa miejskie?

– Jeśli zapłacimy, to tak. Jeśli nie wskóramy nic u Stefana, to może Henryk da, gdy zostanie królem.

Wsiedli na konie. Zdeprymowani przejechali przez miasto.

Wyjechali za bramę i mijali kupy śmieci na ugorach. Kilkoro wynędzniałych ludzi wybierało w odpadkach to, co można było zjeść, włożyć na siebie lub użyć na opał. Philip rzucił na nich okiem bez zainteresowania, ale jedna z postaci przyciągnęła jego uwagę. Znajoma wysoka figura pochylała się nad stertą szmat, przebierając w nich rękoma. Philip zatrzymał konia. Jonathan stanął za nim.

– Popatrz – rzekł Philip.

Jonathan podążył za jego spojrzeniem. Po chwili rzekł wolno:

– Remigius.

Philip przyglądał się. Najwidoczniej Waleran i William już jakiś czas temu, kiedy skończyły się fundusze na nowy kościół, wyrzucili Remigiusa. Nie potrzebowali go. Remigius zdradził Philipa, zdradził klasztor. Zdradził Kingsbridge, a wszystko po to, by zostać dziekanem w Shiring. Jego nagroda jednak obróciła się w popiół.

Philip zjechał z drogi i skierował konia w kierunku eks-subprzeora. Jonathan za nim. Paskudny opar unosił się z ziemi jak mgła. Kiedy byli już blisko, zobaczyli, że z Remigiusa została tylko skóra i kości. Habit miał brudny, był boso.

Miał sześćdziesiąt lat, całe dorosłe życie spędził w klasztorze Kingsbridge, nikt nigdy nie uczył go twardego życia. Philip patrzył, jak starzec usiłuje naciągnąć jakieś dwa stare buty, znalezione w śmieciach. W podeszwach miały wielkie dziury, ale Remigius patrzył na nie z wyrazem człowieka, który właśnie znalazł zakopany skarb. Już miał je obuć, kiedy dostrzegł mnichów.

Wyprostował się. Jego twarz stała się na chwilę areną walki wstydu z prze-
korą. Po chwili powiedział:

– No co, przyszedłeś nacieszyć swe serce?

– Nie – powiedział miękko Philip. Stary wróg był w tak kiepskim stanie, że
preor nie czuł nic poza współczuciem. Zsiadł z konia i wyciągnął z juków
flaszkę. – Przyszedłem zaproponować ci łyk wina.

Remigius nie chciał przyjąć napitku, ale zbyt cierpiał z głodu, by udało mu
się oprzeć. Wahał się tylko chwilę, a potem porwał flaszkę. Podejrzliwie pową-
chał i przyłożył szyjkę do ust. Kiedy zaczął pić, nie mógł przerwać. W butelce
było tylko pół pinta, więc osuszył ją w kilka chwil. Odjął flaszkę od ust i lekko
się zatoczył.

Philip wyjął mu ją z rąk i schował z powrotem do juków.

– Równie dobrze możesz coś zjeść. – Podał mu niewielką bułkę.

Remigius złapał ją i wepchnął do ust. Najwyraźniej nie jadł od wielu dni,
a prawdziwego, ciepłego posiłku od tygodni. Wkrótce by umarł, pomyślał ze
smutkiem Philip, jeśli nie z głodu, to ze wstydu.

Bułka zniknęła. Preor łagodnie spytał:

– Chcesz wrócić?

Odgłos gwałtownego wciągnięcia powietrza dobiegł go z miejsca, gdzie
stał Jonathan. Podobnie jak większość mnichów Kingsbridge, on także miał na-
dzieję, że już nigdy więcej nie zobaczy Remigiusa. Pewnie uważał, że w tej
chwili preor nie był przy zdrowych zmysłach.

Na moment ukazał się dawny Remigius; padło pytanie:

– Wrócić? A na jakie stanowisko?

Philip potrząsnął smutno głową.

– W moim klasztorze już nigdy nie będziesz zajmował żadnych stanowisk.
Wróć jako pokorny mnich. Proś Boga o wybaczenie przewin i spędź resztę swe-
go czasu na modlitwie i medytacji, przygotowując duszę dla nieba.

Remigius zadarł głowę, Philip już, już oczekiwał pogardliwej odmowy, ale

ta nie nastąpiła. Remigius otworzył usta, by przemówić, a potem je zamknął i popatrzył w dół. Przeor spokojnie przyglądał się, zastanawiał, co się stanie. Cisza trwała długo. Philip wstrzymał oddech. Kiedy starzec podniósł głowę, miał twarz mokrą od łez.

– Tak, ojcze, proszę. Chciałbym wrócić do domu.

Philip poczuł wybuch wewnętrznej radości.

– No to chodź. Wsiadaj na mego konia.

Zaskoczył tym Remigiusa.

Jonathan rzekł:

– Ojcze, co ty robisz?

– Wsiadaj, zrób, jak proszę – powiedział Philip do Remigiusa.

– Ależ ojcze, jak ty będziesz podróżować? – przeraził się Jonathan.

– Pójdę pieszo – radośnie odrzekł Philip. – Jeden z nas musi.

– To niech idzie Remigius! – Jonathan był pełen oburzenia.

– On niech jedzie! Uradował dzisiaj Boga.

– A ty? Czy ty nie ucieszyłeś dzisiaj Boga bardziej niż Remigius, ojcze?

– Jezus mówił, że w niebie więcej jest radości z jednego skruszonego grzesznika niż z dziewięćdziesięciu dziewięciu sprawiedliwych – odparował Philip. – Pamiętasz przypowieść o synu marnotrawnym? Kiedy wrócił do domu, ojciec zabił na jego cześć tuczne cielę. Anieli śpiewają hymny radości dzięki łzom Remigiusa. Koń to najmniej, co mogę mu dać.

Chwytał uzdę i wyprowadził konia z ugoru na gościniec. Jonathan na koniu podążał za nim. Po dojściu do gościńca Jonathan zsiadł.

– Proszę, ojcze, weź mego konia i pozwól mnie iść pieszo – powiedział.

Philip odwrócił się ku niemu i rzekł strofująco:

– Wsiadaj zaraz na konia, nie spieraj się ze mną, przemyśl dokładnie to, co dzisiaj zaszło.

Jonathan był zdezorientowany, ale wsiadł bez słowa. Skręcili w stronę Kingsbridge. Przed nimi było dwadzieścia mil. Philip szedł. Czuł się cudownie.

Powrót Remigiusa nagroził mu stratę kamieniołomu. Przegrałem w sądzie, pomyślał, ale to tylko kamienie. To, co wygrałem dzisiaj, jest nieskończenie więcej warte. Wygrałem dzisiaj duszę człowieka.

III

Dojrzałe jabłka pływały w beczce, pobłyskiwały czerwienią i żółcią w odbitych od wody promieniach słońca. Uradowana dziewięcioletnia Sally opierała się o brzeg beczki i mając ręce założone za plecami, próbowała pochwycić w zęby któreś z jabłek. Te zaś odpływały, twarz jej zanurzała się, a wtedy odchyłała głowę do tyłu, wypluwając wodę i piszcząc ze śmiechu. Aliena uśmiechnęła się nieznacznie i wytarła twarz córce.

W owo ciepłe letnie popołudnie dnia nie tylko wolnego, ale także świątecznego, większość mieszkańców Kingsbridge zebrała się na łąkach nad rzeką, by bawić się łapaniem jabłek. Takimi okazjami Aliena zawsze się cieszyła, lecz świadomość, że to święto było dla niej ostatnim, ciążyła bardzo. Chciała odejść od Jacka, ale od kiedy tę decyzję podjęła, zaczął doskwierać jej ból przyszłego rozstania.

Tommy okrążał beczkę, a Jack zawołał:

– No już, Tommy, ruszaj!

– Jeszcze nie – odrzekł syn.

Jedenastoletni Tommy już wiedział, że jest sprytniejszy od siostry, i uważał, że jest zręczniejszy także od większości ludzi. Jakiś czas obserwował tych, którym udało się zębami chwycić jabłko, badając w ten sposób ich technikę. Aliena patrzyła, jak on się przygląda. Kochała go w szczególny sposób. Kiedy po raz pierwszy spotkała Jacka, miał on mniej więcej tyle lat, co teraz Tommy, który ogromnie przypominał swego ojca w tym wieku. Owo przyglądanie się zbudziło w niej tęsknotę za dzieciństwem. Jack chciał, by Tommy został bu-

downicznym, lecz syn nie wykazywał na razie zainteresowania konstruowaniem. No, ale jeszcze ma wiele czasu.

W końcu Tommy podszedł do beczki. Pochylił się i powoli opuszczał twarz nad powierzchnią wody, a usta trzymał szeroko otwarte. Wybrane jabłko wepchnął ostrożnie pod wodę, zanurzając przy tym całą buzię, a potem wyprostował się triumfalnie, z jabłkiem w zębach.

Tommy będzie odnosić sukcesy we wszystkim, do czego się weźmie. Trochę przypominał w tym swego dziadka, Bartholomew. Miał bardzo silną wolę i niezłomne przekonanie o tym, co dobre, a co złe.

Sally odziedziczyła po ojcu niefrasobliwość i lekceważenie reguł tworzonych przez ludzi. Kiedy Jack opowiadał dzieciom swoje historie, Sally współczuła pokonanym, podczas gdy Tommy chętnie dokonywał osądów. Dzieci odziedziczyły cechy po rodzicach, ale każde z nich miało charakter po jednym, a wygląd po drugim.

Radosna Sally rosła na piękną pannę o regularnych rysach Alieny i jej ciemnych, wijących się włosach, a zdecydowany Tommy odziedziczył po ojcu rude włosy, białą skórę i błękitne oczy.

– Nadciąga wujek Richard! – zawołał Tommy.

Aliena odwróciła się szybko i podążyła wzrokiem w kierunku wskazanym przez syna. Istotnie, jej brat, hrabia, jechał przez łąkę w otoczeniu rycerzy i giermków. Alienę ogarnął wstyd za brata. Jak on śmie pokazywać się tutaj, po tym co zrobił Philipowi w sprawie kamieniołomu?

Richard zatrzymał się przy nich, uśmiechnął się do wszystkich, ścisnął dłonie.

– Spróbuj chwycić jabłko, wujku Richardzie, na pewno umiesz! – powiedział Tommy.

Nie namyślając się, Richard zanurzył głowę i wyjął ją z jabłkiem w silnych białych zębach, a jego blond broda ociekała wodą. Aliena pomyślała, że jej brat zawsze był lepszy w grach niż w realnym życiu.

Nie miała najmniejszego zamiaru pozwolić, by mu uszło na sucho to, co zrobił, nie mogła dopuścić do tego, by zachowywał się, jakby nic się nie stało. Kto inny może obawiał się zwrócić mu uwagę, bo przecież to hrabia, ale dla niej to tylko niemądry młodszy braciszek. Podeszedł do niej, by pocałować ją na powitanie, ale Aliena odsunęła głowę i rzekła:

– Jak śmiałeś ukraść klasztorowi kamieniołom?

Jack, widząc, że szykuje się kłótnia, zabrał dzieci i odszedł.

Richard był urażony.

– Cały majątek miał wrócić do tych, do których należał...

– Ze mną nie rozmawiaj w ten sposób – przerwała mu. – Po tym wszystkim, co Philip zrobił dla ciebie!

– Kamieniołom należy mi się od urodzenia. – Odszedł z nią na stronę i jął mówić przyciszonym głosem, by nikt nie mógł się przysłuchiwać. – Poza tym potrzebuję pieniędzy ze sprzedaży kamienia – zakończył.

– Bo umiesz tylko polować i puszczać sokoły!

– A co powinienem robić?

– Powinieneś postarać się, by ziemie rodziły bogactwo! Tyle jest do zrobienia: trzeba naprawić szkody spowodowane wojną i głodem, wprowadzić nowe sposoby gospodarowania, karczować, osuszać bagna. To powoduje wzrost za-
możności! A nie kradzież kamieniołomu, który król Stefan dał klasztorowi Kingsbridge!

– Nie zabrałem niczego, co do mnie nie należało.

– Nieprawda! Nigdy nie czyniłeś niczego innego! – wybuchnęła. Rozgniewała się na tyle, by wypowiedzieć słowa, których lepiej było nie wypowiadać. – Nigdy na nic nie zapracowałeś. Brałeś ode mnie pieniądze na swoje głupie uzbrojenie, Philip dał ci pracę, wziąłeś hrabstwo, gdy ci je podałam na talerzu. A teraz nawet nie umiesz go prowadzić bez zabierania tego, co do ciebie nie należy! – Odwróciła się i odeszła wzburzona.

Richard ruszył za nią, ale ktoś zastąpił mu drogę, pokłonił się i zapytał, jak

się miewa. Aliena usłyszała, jak Richard uprzejmie odpowiada, a potem wdaje się w rozmowę. Tym lepiej; powiedziała swoje i nie miała najmniejszej ochoty kłócić się z nim. Doszła do mostu i popatrzyła za siebie. Ktoś następny rozmawiał z Richardem, który pomachał do niej, wskazując, że chce z nią jeszcze pomówić, ale ona się uparła. Zobaczyła Jacka, Tommy'ego i Sally, jak zaczynają grać w piłkę. Patrzyła, jak razem bawią się w słońcu, i czuła, że nie zniesie rozstania. Pomyślała jednak, że inaczej nie uda jej się wieść normalnego życia.

Przeszła przez most i ruszyła do miasta. Chciała trochę pobyć sama.

Wynajęła w Winchesterze wielki dom ze sklepem na parterze i pokojami mieszkalnymi na piętrze, z oddzielną sypialnią i wielkim składem na zapleczu, który miał pomieścić jej tkaniny. Im bardziej jednak zbliżał się czas przeprowadzki, tym mniej jej pragnęła.

Ulice były puste i pełne kurzu, a w powietrzu krążyło mnóstwo much, żywiących się i rozmnażających w niezliczonych kupach odpadków. Wszystkie sklepy i domy pozamykano. Miasto opustoszało, bo wszyscy wybrali się na łakę.

Poszła do domu Jacka. Tam też przyjdzie rodzina, gdy skończy się zabawa z jabłkami. Drzwi stały otworem. Z irytacją zmarszczyła czoło. Kto mógł tak zostawić dom? Zbyt wiele osób miało klucze: ona, Jack, Richard i Martha. Nie wiele można było ukraść. Aliena nie trzymała tutaj pieniędzy. Od lat przeor Philip przechowywał je w klasztorным skarbcu. No, ale cały dom obsiadą muchy.

Weszła do izby. Była ciemna i chłodna, muchy tańczyły w powietrzu, dwie robaczki laziły po obrusie, parę os gniewnie bzyczało przy pokrywce garnka z miodem.

Przy stole siedział Alfred.

Wyrwał jej się cichy okrzyk przestrawu, ale szybko opanowała się i pogardliwie zapytała:

– Jak tu wszedłeś?

– Miałem klucz.

Długo go zachowywał, pomyślała. Popatrzyła na niego. Szerokie barki stały się kościste, a twarz skurczona.

– Co tutaj robisz?

– Przyszedłem się z tobą zobaczyć.

Drżała, lecz nie ze strachu, a z gniewu.

– Nie chcę cię widzieć ani teraz, ani nigdy – prychnęła. – Traktowałeś mnie jak psa, a kiedy Jack okazał ci litość i przyjął do pracy, zawiodłeś zaufanie i zabrałeś jego rzemieślników do Shiring.

– Potrzebuję pieniędzy – powiedział z mieszaniną prośby i wyzwania w głosie.

– To idź do pracy.

– Budowa w Shiring stanęła. W Kingsbridge nie dostanę pracy.

– To szukaj w Londynie albo w Paryżu!

– Myślałem, że mi pomożesz – upierał się jak wół.

– Tu dla ciebie nic nie ma. Lepiej się wynoś.

– Nie masz litości? – W jego głosie zostały tylko błagalne tony.

Oparła się o stół, by zachować równowagę.

– Alfred, czy ty nie rozumiesz, że ja cię nienawidzę?

– Dlaczego? – Wydawało się, że jej słowa zraniły go i zaskoczyły.

Dobry Boże, ale on jest głupi, pomyślała. Nawet nie próbuje się usprawiedliwić.

– Idź do klasztoru po jałmużnę – rzekła znużona. – Miłosierdzie przeora Philipa jest nadludzkie, moje nie.

– Ale ty jesteś moją żoną – powiedział Alfred.

Tego już za wiele.

– Nie jestem twoją żoną – wycedziła. – A ty nie jesteś moim mężem. Nigdy nim nie byłeś. A teraz się wynoś.

Ku jej zaskoczeniu złapał ją za włosy.

– Jesteś moją żoną – powtórzył. Przyciągnął ją do siebie nad stołem, a wolną ręką sięgnął do jej piersi i mocno ścisnął.

Zaskoczył ją całkowicie. Była to ostatnia rzecz, jakiej się spodziewała od mężczyzny, z którym spała w tym samym pokoju przez dziewięć miesięcy na podłodze w nogach łóżka, który przez cały ten czas nie starał się podejmować żadnych prób współżycia. Krzyknęła i szarpnęła się do tyłu, ale jego chwyt okazał się mocny. Szybko przyciągnął ją z powrotem do siebie.

– Nie ma nikogo, kto by mógł usłyszeć twoje krzyki – powiedział. – Wszyscy są nad rzeką.

Zaczęła się potwornie bać. Byli tu sami. Po tylu latach, gdy ryzykowała życie w podróży, ale przeżyła bezpiecznie wiele mil, teraz, we własnym domu, napadł na nią człowiek, któremu została poślubiona!

Dostrzegł przerażenie w jej oczach.

– Masz stracha, co? Może lepiej bądź miła – wycharczał i pocałował ją w usta.

Ugryzła jego wargę z całej siły. Krzyknął z bólu.

Nie zauważyła zbliżającej się pięści. Nagle poczuła silne grzotnięcie w szczękę. Na chwilę przestała widzieć i straciła równowagę. Osunęła się na stół, a potem niżej. Maty na podłodze złagodziły upadek. Potrząsnęła głową, by odzyskać orientację, jednocześnie sięgnęła po przypięty do ramienia sztylet. Zanim zdołała go wyciągnąć, oba jej przeguby znalazły się w uchwycie i usłyszała głos Alfreda:

– Wiem o tym twoim sztyleciku, widziałem, jak się rozbierałaś, pamiętasz?

– Rozluźnił chwyt, przytrzymując jej nadgarstki jedną ręką, uderzył ją pięścią w twarz i złapał za sztylet.

Aliena próbowała się wywinąć. Usiadł na jej nogach i przyłożył lewą rękę do jej gardła. Wyrwała dłonie z jego uścisku. Nagle szpic sztyletu pojawił się tuż przed jej okiem.

– Nie ruszaj się, bo wydrę ci oczy.

Zamarła. Na myśl o oślepieniu ogarnęła ją zgroza. Widziała już takich, których oślepieno za karę. Żebrali na ulicach, puste oczodoły patrzyły przerażająco na przechodniów. Mali chłopcy dokuczali im, klując, szczypiąc i podkładając przeszkody pod nogi, by się potykali, a ci nieszczęśnicy wpadali we wściekłość i na próżno starali się złapać któregoś z małych katów, a to czyniło zabawę jeszcze lepszą. Zwykle po roku czy dwu latach ślepcy umierali.

– Wiedziałem, że to cię uspokoi.

Dlaczego on to robi? Przecież nigdy mnie nie pożytał. Czy to dlatego, że poniósł porażkę i jest zły, a ja bezbronna? Czy mam zastąpić mu ten świat, który go odrzucił? – pomyślała przerażona.

Usiadł na niej okrakiem, pochyliwszy się do przodu, kolana miał po obu stronach jej bioder, a nóż trzymał przy oczach. Kolejny raz przysunął swą twarz do jej twarzy.

– Teraz – powiedział – bądź miła. – Pocałował ją znowu. Poczula nieprzyjemne drapanie. Jego oddech miał zapach piwa i cebuli. Usta trzymała ściśnięte.

– Tak nie jest miło. Ty też masz mnie całować.

Pocałował ją znowu, przysunąwszy ostrze jeszcze bliżej.

Kiedy musnął nim powieki, poruszyła ustami. Smak jego ust przyprawił ją o mdłości. Wepchnął swój szorstki język między jej wargi. Poczula, że za moment zwymiotuje, rozpaczliwie starała się stłumić to uczucie, bo bała się, że ją zabije.

Odsunął się od niej, ale sztylet wciąż trzymał przy jej twarzy.

– Teraz – powiedział – pomacaj. – Wziął jej rękę i wsadził pod swoją tunikę. Dotknęła jego członka. – Trzymaj go. – Uchwyciła. – A teraz łagodnie pocieraj.

Była mu posłuszna. Myślała, że jeśli uda jej się zadowolić go w ten sposób, to być może nie będzie w nią wchodził. Patrzyła z obawą na jego twarz. Zaczerwienił się, oczy miał przymknięte. Głaskała go po całej długości, aż do podstawy, przypominając sobie, że Jacka doprowadzało to do szaleństwa.

Bała się, że nigdy już nie będzie tym się cieszyć, łzy napłynęły jej do oczu.
Poruszył groźnie sztyletem.

– Nie tak mocno!

Nagle drzwi się otwały.

Serce jej podskoczyło w nadziei. Smuga jasnego światła wpadła do izby i błysnęła oslepiająco w jej łzach. Alfred zamarł. Cofnęła rękę.

Oboje spojrzeli ku drzwiom. Kto to? Aliena nie widziała. Byle tylko nie dzieci, błagam, Boże, modliła się w duchu. Byłoby mi tak bardzo wstyd... Usłyszała ryk wściekłości. Męski głos. Wymrugła z oczu łzy i wtedy rozpoznała swego brata.

Biedny Richard, to nawet gorzej, niż gdyby wszedł Tommy. Przecież to właśnie Richard miał bliznę zamiast ucha, przypominającą o potwornej scenie, jakiej był świadkiem w wieku czternastu lat. Teraz był świadkiem następnej takiej potworności. Czy potrafi to znieść?

Alfred zaczął się podnosić, ale Richard był szybszy. Aliena widziała, jak przemknął przez pokój i dostrzegła ruch jego buta trafiającego Alfreda w szczękę. Ten gruchnął plecami o stół. Richard nacierał, przydepnął Alienę, lecz nawet tego nie zauważył, bił Alfreda pięściami i kopał. Aliena odczołgała się z drogi. Twarz Richarda zastygła w wyrazie furii. Na Alienę nawet nie spojrzął. Zrozumiała, że chodzi mu nie tylko o nią. Ogarnęła go wściekłość nie tylko za to, co Alfred zrobił jej dzisiaj. Brał na nim odwet za to, co jemu, Richardowi, zrobili William i Walter osiemnaście lat temu. Wtedy był młody, słaby i bezradny, teraz zaś stał się wielkim, silnym mężczyzną, sprawnym zabijaką, który wreszcie może odplacić za doznane krzywdy, dać ujście zemście pielęgowanej w sercu przez te wszystkie lata. Grzmotnął Alfreda raz, jeszcze raz, jeszcze, jeszcze... obiema pięściami. Alfred zataczał się wokół stołu, słabo próbując się osłaniać. Richard trafił go wreszcie w szczękę potężnym ciosem, po którym Alfred upadł w tył.

Przerażony leżał na macie, spoglądając w górę. Aliena, wylękniona gwał-

townością brata, powiedziała:

– Wystarczy już, Richard, dosyć!

Brat zignorował ją jednak. Zrobiwszy krok do przodu, kopnął Alfreda, który nagle uświadomił sobie, że ma w ręku sztylet Alieny. Zrobił unik, zręcznie powstał na nogi i dźgnął sztyletem. Zaskoczony Richard odskoczył do tyłu, ale Alfred nacierał na niego, wypychając z izby. Obaj byli tej samej budowy i podobnego wzrostu. Richard był wojownikiem, ale Alfred miał broń; raptem okazało się, że siły są wyrównane. To ją denerwowało. Nagle zaczęła się bać o brata. Co będzie, jeśli Alfred weźmie nad nim górę? Wtedy ona musiałaby walczyć z Alfredem.

Rozejrzała się za jakąś bronią. Wzrok padł na stos drewna koło paleniska. Złapała za ciężkie polano.

Alfred znów rzucił się na Richarda, ten zrobił unik i w chwili gdy ramię Alfreda było wyciągnięte na całą długość, złapał za jego przegub i pociągnął. Alfred stracił na moment równowagę. Richard uderzył go szybko kilka razy pięściami, trafiając w tułów i w twarz. Na jego twarzy pojawił się dziki wyraz; skrzywienie ust, będące uśmiechem człowieka, który wreszcie się mści. Alfred zaczął pojękiwać, podniósł ramiona, by się osłonić.

Richard na chwilę przerwał, oddychał z trudem. Aliena pomyślała, że teraz już powinni skończyć... Nie! Kolejny atak, nad wyraz szybki, zakończył się połowicznym sukcesem. Tym razem czubek sztyletu zadrapał policzek Richarda. Trafiony odskoczył. Alfred ruszył ze sztyletem wysoko wzniesionym. Aliena widziała, że może zabić jej brata. Podbiegła do Alfreda, zamachnęła się polanem z całej mocy. Nie trafiła w głowę, ale rąbnęła w prawy łokieć. Ramię Alfreda zdrętwiało od uderzenia i sztylet upadł na ziemię.

W ten sposób wszystko skończyło się przerażająco szybko.

Richard schylił się, porwał z ziemi sztylet i szybkim ruchem z potworną siłą wbił go w pierś przeciwnika.

Sztylet wszedł aż po rękojeść.

Aliena patrzyła przerażona. Potworny cios. Alfred kwiknął jak zabijana świnia, Richard wyciągnął nóż, krew bluznęła z dziury w piersi. Raniony otworzył usta, by krzyknąć ponownie, ale żaden dźwięk nie wydobył się z nich. Twarz mu zbladła, potem zszarzała, oczy zamknęły się, upadł. Krew plamiła trzciniowe maty.

Aliena uklękła przy nim. Powieki Alfreda drżały. Jeszcze oddychał, ale życie z niego uciekało. Podniosła wzrok na brata, który stał nad nimi, ciężko dysząc.

– Umiera – rzekła.

Richard skinął głową. Nie był tym zbytnio wzruszony.

– Widziałem śmierć lepszych od niego. Zabijałem takich, co mniej od niego na to zasłużyli.

Taka gruboskórność wstrząsnęła Alieną, lecz nic nie powiedziała. Przypomniała sobie właśnie scenę, kiedy pierwszy raz Richard zabił człowieka. To było po tym, jak William zajął zamek, a ona i brat szli gościńcem do Winchesteru. Zaatakowali ich dwaj złodzieje. Aliena pchnęła jednego z nich, ale zmusiła Richarda, piętnastolatka, by go dobił. Jeśli jest bez serca, pomyślała teraz z poczuciem winy, to któż go takim uczynił?

Popatrzyła znów na Alfreda. Otworzył oczy i spojrzał na nią. Poczowała wstyd, że ma tak niewiele litości dla umierającego. Myślała, spoglądając w jego oczy, że on sam nie współczuł nikomu, nie wybaczał ani nie był szlachetny. Pielęgnował swe żale i nienawiści przez całe życie, czerpał radość z czynów złośliwych i z zemsty. A przecież jego życie mogło być inne. Mógł być miły dla siostry, pobłażliwy wobec przybranego brata, który okazał się od niego mądrzejszy. Mógł ożenić się z miłości, a nie z zemsty. Mógł pozostać lojalny wobec przeora Philipa. Mógł być szczęśliwy.

Oczy Alfreda otwały się bardzo szeroko.

– Boże, ależ to boli – wyszeptał.

Pragnęła, aby w końcu umarł.

Zamknął oczy.

– No i po wszystkim – rzekł Richard.

Alfred przestał oddychać.

Aliena wstała.

– Jestem wdową – stwierdziła.

Pochowano go na cmentarzu klasztornym, na życzenie jego siostry Marthy. Była jedyną żyjącą krewną. Była też jedyną osobą smutną. Alfred nigdy nie traktował jej dobrze, zawsze zwracała się do Jacka, przybranego brata, o pomoc, o obronę, o miłość. A jednak chciała, by pochowano go blisko, by mogła bez trudu odwiedzać jego grób. Kiedy opuszczano trumnę, tylko ona płakała.

Jack odczuł posępną ulgę, że Alfreda już nigdy nie będzie. Stojący przy Alienie Tommy przyglądał się wszystkiemu bystro, to był pierwszy pogrzeb w rodzinie, więc ceremonie związane ze śmiercią były dla niego nowe. Sally, blada i przestraszona, ścisnęła rękę Marthy.

Przyszedł i Richard. Powiedział Alienie w czasie nabożeństwa, że prosi Boga o wybaczenie zabójstwa swego szwagra. Nie dlatego, że uczynił coś złego, pośpieszył dodać, po prostu modlił się na wszelki wypadek.

Aliena, której twarz wciąż jeszcze była opuchnięta i posiniaczona po uderzeniach Alfreda, przypominała sobie, jakim był, kiedy go po raz pierwszy zobaczyła. Przybył na zamek ze swym ojcem, Tomem Budowniczym, z Martha, Ellen i Jackiem. Już wtedy tyranizował rodzeństwo. Był duży, silny i brutalny, podstępny, przebiegły i skłonny do podłości. Gdyby wówczas Aliena pomyślała, że zostanie jego żoną, rzuciłaby się z wałów. Nie wyobrażała sobie nawet, że kiedykolwiek zobaczy tę rodzinę, kiedy już opuścili zamek, lecz zarówno ona, jak i owa rodzina zakończyły tułaczkę zamieszkaniem w Kingsbridge. To ona, Aliena, wraz z Alfredem zapoczątkowali istnienie gildii parafialnej, która teraz miała wielkie znaczenie w życiu miasta. Wtedy, gdy tę gildię zakładali, Alfred się jej oświadczył. Nawet jej się nie śniło, że kierował się bardziej chęcią pokonania przybranego brata niż pożądaniem jej. Odmówiła mu wówczas, ale potem

odkrył, jak można nią manipulować, i przekonał do ślubu, obiecując wyposażyć Richarda na wojnę. Kiedy spoglądała w przeszłość, dochodziła do wniosku, że Alfred zasłużył sobie na rozczarowanie i upokorzenie, jakie spotkały go w tym małżeństwie. Był pozbawiony serca, za karę nikt go nie kochał.

Aliena nie mogła pohamować uczucia szczęścia. Już nie istniała potrzeba opuszczenia Kingsbridge i zamieszkania w Winchesterze; pobiorą się z Jackiem jak najszybciej. Na pogrzebie starała się wyglądać poważnie i myśleć o poważnych sprawach, ale jej serce pałało radością.

Philip, który zapewne dysponował bezgraniczną zdolnością do wybaczenia tym, którzy go zdradzili, zgodził się na pogrzebanie Alfreda na cmentarzu klasztornym.

Kiedy nad grobem stało pięcioro dorosłych i dwoje dzieci, przybyła Ellen.

Philip nie bardzo wiedział, jak zareagować. Ellen przeklęła chrześcijańskie małżeństwo, niechętnie ją widziano w obrębie klasztoru, ale nie mógł przecież zabronić jej uczestniczyć w pogrzebie przybranego syna. Zresztą ceremonia już się skończyła, więc po prostu odwrócił się i odszedł.

Alienie zrobiło się przykro. Oboje, Ellen i Philip, byli przecież dobrymi ludźmi, to wstyd, że stali się wrogami. Tyle że byli dobrzy inaczej, a każdemu brakowało tolerancji wobec konkurencyjnej etyki.

Matka Jacka wyglądała starzej, przybyło jej zmarszczek i siwizny, ale złote oczy zachowały swą urodę. Miała na sobie prostą, skórzaną tunikę i nic poza tym, nawet butów. Jej ramiona i nogi były opalone i muskularne. Tommy i Sally pobiegli, by ją ucałować. Jack podążył za nimi i mocno uściskał matkę.

Ellen nadstawiła policzek Richardowi i powiedziała:

– Dobrze zrobiłeś, nie czuj się winny.

Stała na skraju grobu, zajrzała do środka i rzekła:

– Byłam jego przybraną matką. Żałuję, że wtedy nie wiedziałam, jak uczynić go szczęśliwym.

Kiedy odwróciła się od grobu, Aliena objęła ją i uściskała.

Powoli odchodzili.

– Zostaniesz na trochę, zjesz z nami obiad? – zapytała Aliena.

– Chętnie. – Potarosiła włosy Tommy’ego. – Chciałabym pogadać z moimi wnuczkami. Tak szybko rosną. Kiedy po raz pierwszy spotkałam Toma Budowniczego, Jack był w wieku Tommy’ego. – Zbliżali się do furty klasztornej. – Jak człowiek się starzeje, lata płyną szybciej. Wierzę... – Urwała w pół zdania. Stała.

– Co się stało? – spytała Aliena.

Ellen patrzyła na bramę. Wierzeje były otwarte na oścież. Po drugiej stronie ulicy stała zbita grupka małych dzieci patrzących z napięciem na coś, czego nie było widać z dziedzińca.

– Richard! – zawołała ostro Ellen. – Nie wychodź!

Wszyscy stanęli. Aliena już wiedziała, co zaalarmowało Ellen. Dzieci przyglądały się czemuś lub komuś ukrytemu za murem klasztornym, tuż za furką.

Richard zareagował natychmiast.

– To zasadzka! – rzekł, zawrócił i zaczął uciekać.

Chwilę później zza furty wyjrzała głowa w hełmie. Należała do wielkiego, uzbrojonego pacholka. Zobaczył Richarda biegnącego ku kościołowi, coś wrzasnął i wtargnął na teren klasztorny. Za nim wpadło trzech, czterech, pięciu ludzi.

Uzbrojeni mężczyźni zignorowali uczestników pogrzebu i pośpieszyli za Richardem. Aliena była przestraszona, a zarazem zdezorientowana; któż śmiał napadać na hrabiego Shiring tak otwarcie, do tego na terenie klasztornym? Wstrzymała oddech, patrząc na goniących po dziedzińcu. Richard przeskoczył murek, budowany właśnie przez murarzy. Uzbrojeni mężczyźni zrobili to samo, nie bacząc, że właśnie naruszają teren kościoła. Rzemieślnicy zamarli w bezruchu, z podniesionymi młotkami i kielniami, obserwując najpierw Richarda, a potem goniących go ludzi. Jeden z młodszych i bystrzejszych czeladników wystawił łopatę, któryś napastnik potknął się o nią i poleciał, ale nikt inny się

nie włączył. Richard dobiegł do drzwi wiodących na wirydarz. Pachołek, który był najbliżej, wznosił rękę z mieczem wysoko nad głowę. Przez jedną przerażającą chwilę Aliena bała się, że drzwi okażą się zamknięte i... Te jednak się otworzyły. Richard wśliznął się do środka, a miecz uderzył w drewno, kiedy drzwi się zatrzasnęły.

Aliena odetchnęła.

Napastnicy zebrali się przed zamkniętym wejściem, bezradnie rozglądając się wokoło. Nagle zrozumieli, gdzie się znajdują. Rzemieślnicy patrzyli na nich wrogo, ważyli w rękach młoty i siekiery. Była ich prawie setka, a uzbrojonych pachołków tylko pięciu.

– Kimże, u licha, są ci ludzie? – gniewnie spytał Jack.

– To ludzie szeryfa – odpowiedział mu głos zza pleców. Aliena, ogarnięta zgrozą, odwróciła się. Ten głos znała przerażająco dobrze. W bramie, na narowistym czarnym ogierze, uzbrojony i odziany w kolczugę, siedział William Hamleigh. Jego widok przyprawił ją o zimny dreszcz.

– Wynoś się stąd, ohydny nędzniku! – zawołał Jack.

William poczerwieniał z obrazy, ale nie poruszył się.

– Przybyłem, aby aresztować hrabiego.

– No dalej! Jego ludzie rozerwą cię na strzępy.

– Kiedy znajdzie się w więzieniu, nie będzie mieć żadnych ludzi.

– Myślisz, że kim jesteś? Szeryf nie może wsadzić hrabiego do więzienia!

– Za morderstwo może.

Aliena zachłysnęła się. Natychmiast zrozumiała pokrętnie poczynania Williama.

– Nie było żadnego morderstwa! – krzyknęła.

– Było. Hrabia Shiring zamordował Alfreda Budowniczego. A teraz muszę uświadomić przeora Philipa, że przechowuje zabójcę.

William uderzył konia piętą i skierował się w stronę kuchennego dziedzińca, gdzie przyjmowano świeckich. Aliena patrzyła za nim z niedowierzaniem.

Był tak zły, że nie mieściło się to w głowie. Biedny Alfred, którego właśnie pochowali, wyrządził wiele krzywd wskutek głupoty i słabości charakteru; jego zło było przede wszystkim jego nieszczęściem. Ale William był sługą diabła. Aliena zastanawiała się, kiedy wreszcie uwolnią się od tego potwora.

Pachołki dołączyli do Williama na dziedzińcu kuchennym, a jeden z nich załomotał rękojeścią miecza w drzwi kuchni. Budowniczkowie stłoczyli się i przypatrywali intruzom. Wyglądali groźnie, wciąż mieli ciężkie młoty, ostre dłuta i oskardy w rękach. Aliena kazała Marcie zabrać dzieci do domu, potem wraz z Jackiem dołączyli do rzemieślników.

Przeor Philip podszedł do kuchennych drzwi. Stojąc w letnim habicie naprzeciw odzianego w zbroję ogromnego jeźdźca na koniu, przeor wydawał się niepozorny, ale wielki ogień sprawiedliwego gniewu, płonący w jego oczach, czynił go potężnym.

– Przechowujesz tutaj uciekiniera...

Philip przerwał mu, krzycząc głośno:

– Opuść to miejsce!

– Popołniono morderstwo... – spróbował znowu William.

– Wynoś się z mojego klasztoru! – wrzasnął Philip.

– Jestem szeryfem...

– Nawet król nie może wprowadzać ludzi z bronią w rękę do klasztoru.

Wynoś się! Wynoś!

Budowniczkowie gniewnie szemrali między sobą. Pachołki spoglądali ku nim nerwowo. William rzekł:

– Nawet przeor Kingsbridge musi odpowiadać przed szeryfem.

– Nie w takich warunkach! Wyprowadź swych ludzi za bramę, broń zostaw w stajni. Kiedy będziesz już gotowy zachowywać się jak pokorny grzesznik w domu bożym, możesz wejść do klasztoru, a dopiero potem przeor będzie odpowiadał na twoje pytania.

Philip wycofał się o krok i zatrzasnął drzwi.

Budowniczowie wzniesli okrzyki radości.

Aliena stwierdziła, że krzyczy z innymi. William skrzywdził ją boleśnie, swoją władczością i bestialstwem budził grozę. Kiedy zobaczyła, że przeor Philip zdołał go pokonać, jej serce podskoczyło z radości.

William jednak jeszcze nie dojrzał do tego, by uznać swą porażkę. Zsiadł z konia. Powoli odparował miecz i podał jednemu ze swych ludzi. Powiedział do nich cicho kilka słów i wycofali się poza dziedziniec klasztoru, zabierając miecz swego pana ze sobą. William przyglądał się, póki nie znaleźli się za furcią, wtedy odwrócił się i stanął ponownie przed wejściem do kuchni.

– Otworzyć szeryfowi! – krzyknął.

Po chwili drzwi się otwały i stanął w nich przeor. Popatrzył władczo na Williama, stojącego tym razem bez broni na dziedzińcu, potem rzucił okiem na pachołków zgromadzonych za furcią, wreszcie spojrzął znowu na Williama i rzekł:

– Słucham?

– W swym klasztorze przechowujesz mordercę. Wydaj mi go.

– W Kingsbridge nie było żadnego morderstwa.

– Hrabia Shiring zamordował Alfreda Budowniczego cztery dni temu.

– Nieprawda. Richard zabił Alfreda, ale nie było to morderstwo. Alfreda przyłapano na usiłowaniu gwałtu, wywiązała się bójka.

Aliena zadrżała.

– Gwałtu? – powtórzył szeryf. – A na kimże to?

– Na Alienie.

– Ależ to jego żona! – oznajmił triumfalnie William. – Jak to możliwe, by mąż gwałcił żonę?

Aliena wiedziała, w jakim kierunku zacierają indagacje Williama, i zakłamała w niej wściekłość.

– To małżeństwo nigdy nie zostało skonsumowane, a ona stale prosi o unieważnienie – odparł Philip.

– Ale jeszcze go nie otrzymała. Poślubieni zostali w kościele. Wciąż są małżonkami wobec prawa. To nie był gwałt. Przeciwnie. – William nagle się odwrócił i wskazał palcem Alienę. – Od lat chciała się pozbyć męża, w końcu przekonała swego brata, by pomógł jej usunąć go z drogi... i to zabijając go sztyletem należącym do niej!

Zimna dłoń strachu ścisnęła serce Alieny. Ta opowieść była zaplanowanym oburzającym kłamstwem, ale dla każdej postronnej osoby tak przedstawione fakty będą się zgadzały. A to oznaczało, że Richard jest w poważnym kłopotcie.

– Szeryf nie może aresztować hrabiego – rzekł Philip.

To prawda, uświadomiła sobie Aliena.

William wyciągnął zwój.

– Mam królewskie pismo. Aresztuję go w imieniu króla.

Aliena poczuła się zdruzgotana. Szeryf pomyślał o wszystkim.

– Jakim cudem udało mu się to wszystko zorganizować? – mruknęła.

– Pośpieszył się – odrzekł Jack. – Musiał wyruszyć do Winchesteru, by spotkać się z królem natychmiast po usłyszeniu wieści.

– Pokaż mi to pismo – Philip wyciągnął dłoń.

Stali w odległości kilku jardów od siebie. Przez chwilę żaden z nich się nie poruszył; potem William poddał się i podszedł te kilka kroków, by podać pismo.

Philip przeczytał je i oddał.

– To nie daje ci prawa najazdu na klasztor.

– Daje mi prawo aresztowania Richarda.

– On poprosił o azyl.

– Ach! – William wydawał się zaskoczony. Pokiwał głową, jakby natknął się na coś nieprzewidzianego, i cofnął się o dwa lub trzy kroki. Kiedy przemówił, jego głos dźwięczał tak, by każdy mógł go doskonale usłyszeć: – Powiadom go tedy, że zostanie aresztowany w chwili, gdy opuści klasztor. Moi ludzie zostaną w mieście, otoczą także jego zamek. Pamiętajcie... – przerwał i obrzu-

cił wzrokiem zgromadzonych. – Pamiętajcie, że każdy, kto uczyni krzywdę zastępcy szeryfa, krzywdzi sługę króla. – Zwrócił się ponownie do Philipa: – Powiedz mu, że może korzystać z azylu, jak długo chce, ale kiedy zapragnie się wydostać, stanie twarzą w twarz ze sprawiedliwością.

Zapadła cisza. William powoli zszedł ze stopni, a potem równie wolno ruszył przez dziedziniec. Jego słowa brzmiały w uszach Alieny jak wyrok skazujący na więzienie. Tłum rozstępował się przed nim. Mijając Alienę, rzucił jej dumne, zadowolone spojrzenie. Przyglądała mu się, gdy podchodził do bramy i potem, kiedy dosiadał konia. Wydał rozkazy i opuścił klasztor. Dwu zastępców pozostało na straży.

Kiedy Aliena się odwróciła, Philip stał już obok niej i Jacka. – idźcie do mego domu – powiedział spokojnie. – Musimy o tym porozmawiać. – Wrócił do kuchni.

Aliena miała wrażenie, że przeor w głębi duszy jest ucieszony. Emocje opadły, budowniczości wrócili do pracy, rozmawiali między sobą z ożywieniem. Ellen poszła do domu z wnukami.

Aliena i Jack przeszli przez cmentarz, omijając plac budowy, i weszli do domu przeora. Jego samego jeszcze nie było. Jack wyczuwał niepokój Alieny i przytulił ją uspokajającym gestem.

Rozejrzała się dokoła i stwierdziła, że z roku na rok mieszkanie Philipa staje się coraz bardziej wygodne. W porównaniu z prywatnymi pokojami na hrabiowskim zamku było puste, ale nie tak surowe jak niegdyś. Przed ołtarzykiem leżał teraz mały dywanik, chroniący przed zimnem kolana przeora podczas długich nocnych modlitw i medytacji, na ścianie zaś, za ołtarzykiem, wisiał zdobiony klejnotami srebrny krucyfiks, będący zapewne kosztownym podarkiem. Pomyślała, że Philipowi wcale nie zaszkodzi trochę wygody na starość. Może dzięki temu będzie w stosunku do innych łagodniejszy.

Wszedł Philip, a za nim wzburzony Richard, który zaraz zaczął mówić:

– William nie może tego zrobić, to szaleństwo! Zastałem Alfreda gwałcące-

go moją siostrę, miał w ręku nóż, on mnie omal nie zabił!

– Uspokój się – rzekł Philip. – Porozmawiajmy o tym spokojnie, spróbujmy też zastanowić się nad tym, co ci może grozić. Dlaczego nie mielibyśmy usiąść?

Richard usiadł, ale nie przestał mówić.

– Grozić? Nie widzę żadnych zagrożeń. Szeryf nie może aresztować hrabiego nawet za morderstwo.

– On chce spróbować – rzekł Philip. – Zostawił ludzi oczekujących przed klasztorem.

– Ludzie Williama to nie problem. Jack może czekać na mnie z koniem za murami miasta.

– A jak dotrzesz do Earlscastle? – spytał Philip.

– Tak samo. Przemknę obok nich. Albo wezwę swoich ludzi, by wyszli mi na spotkanie.

– Brzmi to zadowolająco – stwierdził przeor. – A potem?

– Nic – odrzekł Richard. – Co może zrobić William?

– Cóż, ma on pismo królewskie, które nakazuje ci odpowiedzieć na oskarżenie o morderstwo. Będzie próbował cię aresztować, kiedy ty zechcesz opuścić zamek.

– Mogę poruszać się z eskortą.

– A jak będziesz odbywał sądy, czy to w Shiring, czy gdzie indziej?

– Tak samo.

– Lecz czy ktokolwiek posłucha twych wyroków sądowych, skoro będzie ogólnie wiadomo, że ty sam uchylasz się przed sprawiedliwością?

– Lepiej dla nich, jak posłuchają – odparł ponuro Richard. – Bo inaczej przypomną sobie, jak wymuszał posłuch William, gdy był hrabią.

– Może ciebie nie będą się tak bać jak Williama. Może będą uważać, że ty nie jesteś aż tak krwiożerczy i zły jak on. Mam nadzieję, że się nie pomylą – rzekł Philip.

– Nie licz na to.

Aliena zmarszczyła brwi. Taki pesymizm nie pasował do Philipa. Chyba że miał jakiś ukryty cel. Podejrzewała, że prowadząc tę rozmowę, przeor kładzie fundamenty pod swój plan, by w ostatecznym momencie wyciągnąć kartę z rękawa. Założę się nawet o pieniądze, pomyślała, że w jakiś sposób wyjdzie z tego kamieniołom.

– Martwię się królem, to zasadniczy kłopot – rozważał Philip. – Uchylenie się od odpowiedzi na oskarżenie to lekceważenie Korony. Jeszcze rok temu powiedziałbym ci, byś tak postąpił. „Idź i lekceważ”. Teraz jednak jest już po wojnie i hrabiowie nie mogą pozwalać sobie na samowolę.

– Wychodzi na to, że jednak będziesz musiał na to oskarżenie odpowiedzieć – zwrócił się Jack do Richarda.

– Nie może – wtrąciła się Aliena. – Nie ma nadziei na sprawiedliwość.

– Aliena ma rację – oświadczył Philip. – Sprawę rozpatrywać będzie sąd królewski. Fakty są już znane: Alfred próbował siłą wymusić posłuszeństwo na Alienie, gdy wszedł Richard. Walczyli i Richard zabił Alfreda. Wszystko zależy od interpretacji. Mając zaś jako oskarżyciela Williama, stronnika króla Stefana, w sprawie przeciw Richardowi będącemu jednym z największych zwolenników diuka Henryka sąd prawdopodobnie uzna Richarda za winnego. Dlaczego król Stefan podpisał pismo? Prawdopodobnie chce zemścić się na Richardzie za wystąpienie przeciw niemu. Śmierć Alfreda stwarza mu świetną po temu okazję.

– Musimy prosić o interwencję diuka Henryka – powiedziała Aliena.

– Nie chciałbym się na nim opierać. On jest w Normandii. Mogę napisać list ze sprzeciwem, ale cóż ponadto? Musiałby przyplłynąć z armią przez kanał, ale wtedy złamałby traktat pokojowy. Nie sądzę, by się na to poważył z mojego powodu – powątpiewał Richard.

Aliena poczuła żal i lęk.

– Och, Richard, zostałeś złapany w okropną sieć, a wszystko dlatego, że

mnie uratowałeś.

Uśmiechnął się do niej najbardziej ujmująco, jak umiał.

– Allie, gdyby było trzeba, zrobiłbym to jeszcze raz.

– Wiem. – Była pewna, że tak by postąpił. Pomimo swoich wad był dzielny. Wydawało się to tak niesprawiedliwe, że stanął przed tym zawikłanym problemem w tak krótkim czasie po odzyskaniu hrabstwa. Jako hrabia nie spełniał oczekiwań Alieny, ale na takie traktowanie nie zasłużył.

– No cóż, wybór jest następujący: albo zostanę w klasztorze, dopóki Henryk nie zasiądzie na tronie, albo zawisnę za morderstwo. Zostałbym mnichem, gdybyście nie jedli tyle ryb, ojcze.

– Jest jeszcze inne wyjście z tej sytuacji – odezwał się Philip. Aliena spojrzała na niego z ożywieniem. Podejrzewała, że mota jakąś intrygę, i byłaby wdzięczna, gdyby mu się udało rozwiązać ten problem.

– Mógłbyś odbyć pokutę za zabójstwo – ciągnął przeor.

– Czy w tej pokucie mieści się jedzenie ryb, ojcze? – spytał Richard nonszalancko.

– Myślę o Ziemi Świętej.

Wszyscy zamarli. Palestyną rządził król Jerozolimy, Baldwin III, chrześcijanin, z pochodzenia Francuz. Stale zagrażali mu muzułmanie z sąsiednich krajów: od południa z Egiptu, a od wschodu z Damaszku. Podróż tam mogła trwać od pół roku do roku. Potem trzeba dołączyć do walczących w obronie chrześcijańskiego królestwa... Tak, to byłaby pokuta, która oczyściłaby duszę człowieka z grzechu zabójstwa. Aliena poczuła ukłucie niepokoju: nie wszyscy wracali z Ziemi Świętej. Z drugiej jednak strony martwiła się o Richarda przez tyle lat wojny domowej, a wojna w obronie Ziemi Świętej pewnie okaże się nie bardziej niebezpieczna. Po prostu będzie się denerwować o los brata. Do tego już przywykła.

– Król Jerozolimy zawsze potrzebuje ludzi – rzekł Richard. Co kilka lat papiescy emisariusze objeżdżali kraj, opowiadając o bitwach i chwalebnej walce

za wiarę, starając się nakłonić młodych rycerzy do wzięcia udziału w walce o Ziemię Świętą. – Ale ja dopiero co odzyskałem hrabstwo – mówił Richard – i kto będzie nim rządził po moim wyjeździe?

– Aliena – odparł Philip.

Alienie zaparło dech. Przeor proponował, by ona zajęła miejsce hrabiego i władała jak jej ojciec... Ta propozycja na moment ją oszołomiła, ale wnet odzyskała równowagę, wiedziała, że Philip ma rację. Kiedy mężczyzna udawał się do Ziemi Świętej, jego dobrami zwykle zarządzała żona. Nie było żadnych powodów, dla których siostra nie mogłaby pełnić tych obowiązków, skoro hrabia nie miał żony. A ona prowadziłaby hrabstwo we właściwy sposób, sprawiedliwie, z wyobraźnią i planem. Mogłaby odrobić wszystko, co zaniedbał jej brat. Kiedy analizowała ten pomysł, serce jej zaczęło bić mocniej. Wypróbowałaby nowe pomysły, na przykład orkę końmi zamiast wołami, uprawę jarego owsa i grochu na ugorach. Oczyszczałaby nowe tereny pod uprawę, ustanawiała nowe targi i wreszcie otwarła kamieniołom dla Philipa...

On o tym oczywiście myślał. Ze wszystkich sprytnych planów, jakie przeor wydumał przez ostatnie lata, ten zapewne był najbardziej genialny. Za jednym zamachem rozwiązał trzy kwestie: uwalniał Richarda z haczyka, na który go złapano, przekazywał zarząd hrabstwem w fachowe ręce i w końcu odbierał swój kamieniołom.

– Jestem przekonany, że król Baldwin cię przyjmie – zwrócił się Philip do Richarda. – Zwłaszcza że przywiedziesz mu ludzi, których twa wyprawa zachęci i podążą za tobą: rycerzy, zbrojnych najemników i ciury obozowe. Byłaby to twoja mała krucjata. – Przerwał na chwilę, by ta myśl utkwiała mocno w głowie Richarda. – Wówczas William nie mógłby cię tknąć, to oczywiste. A wróciłbyś jako bohater. Nikt by nie ośmielił się grozić ci stryczkiem.

– Ziemia Święta – rzekł Richard, a w oczach zapaliło mu się światło „chwała lub śmierć”.

Aliena pomyślała, że to jest dla niego odpowiednie zajęcie. Nie nadawał się

do zarządzania hrabstwem. Był żołnierzem i pragnął walczyć. Widziała, jak jego twarz przybiera nieobecny wyraz. Myślami już tam był, bronił piaszczystej reduty z mieczem w ręku i czerwonym krzyżem na tarczy, walczył w słonecznej spiekocie przeciw pogańskim hordom.

Już był szczęśliwy.

IV

Na ślub przyszli wszyscy mieszkańcy Kingsbridge. Dziwiło to Alienę, większość ludzi i tak uważała ją i Jacka za małżeństwo, spodziewała się tedy, że ślub potraktują jako zwykłą formalność. Oczekiwała niewielkiej grupki przyjaciół, głównie ludzi w ich wieku, oraz kilku rzemieślników. A jednak przybyli wszyscy: każdy mężczyzna, każda kobieta i każde dziecko mieszkające w Kingsbridge. Ich obecność wzruszyła Alienę. Wszyscy cieszyli się jej szczęściem. Dopiero teraz zrozumiała, że współczuli jej w kłopotliwym położeniu przez tamte lata, chociaż taktownie nie wspominali o tym. Teraz zaś byli zadowoleni, że w końcu poślubi tego, którego kochała od tak dawna. Szła ulicą wsparta na ramieniu Richarda, oszołomiona kierowanymi do niej zewsząd uśmiechami, pijana szczęściem.

Richard wyjeżdżał następnego dnia do Ziemi Świętej. Król Stefan zaaprobował takie rozwiązanie – z ulgą pozbywał się Richarda. Oczywiście szeryf William wpadł w furię, jego celem bowiem było zagarnięcie hrabstwa, a w ten sposób tracił okazję, by to uczynić. Sam Richard zaś wyglądał na nieobecnego, nie mógł się doczekać chwili wyjazdu.

Ojciec nie spodziewał się, że sprawy przybiorą taki obrót, myślała Aliena, wchodząc na klasztorny dziedziniec. Richard walczący dla króla jerozolimskiego, a Aliena spełniająca obowiązki hrabiego. Jednakże nie czuła się już zmuszona do życia ściśle według życzeń ojca. Nie żył już od siedemnastu lat,

a poza tym wiedziała coś, czego ojciec nie mógłby zrozumieć – ona będzie znacznie lepszym hrabią od Richarda.

Zarządzać zaczęła natychmiast. Zamkowi służący rozleniwili się przez te lata nieporządku, więc zmusiła ich do właściwego zachowania się. Zaprowadziła ład w spiżarni, kazała wymalować wielką komnatę, oczyściła piekarnię i browar. Kuchnia była tak zapaskudzona, że trzeba było ją spalić i zbudować nową. Tygodniówki wypłacała osobiście, na znak, że to ona rządzi. Zwolniła też trzech zbrojnych najemników za nieustanne pijaństwo.

Rozpoczęła również budowę drugiego zamku o godzinę drogi od Kingsbridge. Earlscastle leżało za daleko od klasztoru. Jack przygotował plany nowej rezydencji, do której mieli się przeprowadzić, skoro tylko będzie gotowa, a na razie krążyli między Earlscastle i Kingsbridge.

Udało im się spędzić kilka nocy wspólnie w dawnym łóżku Alieny, z dala od potępiającego spojrzenia Philipa. Czuli się jak nowożeńcy podczas miodowego miesiąca, zatopieni w nieustającej cielesnej namiętności. Może dlatego, że po raz pierwszy mieli komnatę, którą mogli zamknąć na klucz. Odosobnienie nawet u możliwych było ekstrawagancją: przecież wszyscy mieszkali, spali i kochali się w wielkiej sali na dole. Nawet pary małżeńskie, które mieszkaly we własnych domach, zawsze mogły być widziane przez dzieci, krewnych czy sąsiadów. Ludzie zamykali drzwi, tylko gdy wychodzili. Aliena przywykła do tego, ale teraz odkryła ten szczególny dreszcz towarzyszący świadomości, że można robić wszystko, co się chce, nie będąc skazanym na spojrzenia świadków.

Pomyślała o kilku rzeczach, jakie z Jackiem robili w ciągu ostatnich dwu tygodni, i zarumieniła się na samo wspomnienie.

Jack czekał na nią w częściowo zbudowanej nawie katedry. Wraz z nim była Martha, Sally i Tommy. Zwykle na ślubach bywało tak, że para młoda składała przysięgę w przedsionku, a potem wchodziła do kościoła, by wysłuchać mszy. Dzisiaj przedsionkiem była pierwsza nisza nawy. Alienę cieszyło,

że biorą ślub w kościele stawianym przez Jacka. Był on taką samą częścią Jacka, jak jego ubranie czy sposób, w jaki się z nią kochał. Ta katedra będzie podobna do niego: wdzięczna, pełna fantazji, podnosząca na duchu i zupełnie niepodobna do niczego, co było przedtem.

Popatrzyła na niego z miłością. Miał trzydzieści lat, był bardzo przystojny; ta ruda czupryna i iskrzące się niebieskie oczy! Kiedyś był brzydkim chłopcem, pamiętała to, uważała wówczas, że jest kimś niegodnym jej uwagi. On mówił, że zakochał się w niej od samego początku, i wciąż się krzywił, kiedy wspominali, jak dokuczali mu, bo powiedział, że nigdy nie miał ojca. To było prawie dwadzieścia lat temu. Dwadzieścia lat...

Gdyby nie przeor Philip, właśnie wchodzący do kościoła, z szerokim uśmiechem na twarzy, mogłaby Jacka nigdy nie zobaczyć. Philip uśmiechał się, a to jedynie powierzchownie odzwierciedlało głęboko poruszającą go radość, że wreszcie może im udzielić ślubu. Przypomniała sobie pierwsze spotkanie z przeorem. Żywo pamiętała swą rozpacz, kiedy handlarz wełną chciał ją oszukać, a ona przecież włożyła tyle wysiłku i serca, by zgromadzić worek wełny... Potem przemożna wdzięczność do młodego czarnowłosego mnicha ożyła w jej sercu, w uszach zabrzmiały ponownie jego słowa: „Zawsze kupię twoją wełnę...”. Jego włosy dzisiaj posiwiały.

Wtedy ją uratował, a potem o mało nie pogrążył, zmuszając Jacka do wyboru między nią i katedrą. W sprawach dobra i zła przeor stawał się twardy jak skała, trochę podobny do jej ojca. Jednakże sam chciał prowadzić ślubną ceremonię i celebrować następującą po niej mszę.

Ellen przeklęła pierwsze małżeństwo Alieny i klątwa okazała się skuteczna. To Alienę cieszyło. Gdyby ta klątwa nie zadziałała, jej małżeństwo z Alfredem mogłoby zostać skonsumowane, a wskutek tego być może musiałyby do dzisiaj z nim żyć. Myślenie o tym, co mogłoby się zdarzyć, budziło dziwne, nie najlepsze uczucia, przyprawiło ją o zimny dreszcz, jak nocny koszmar. Przypomniała sobie śliczną, atrakcyjną Arabkę, która zakochała się w Jacku; a gdyby tak on ją

poślubił? Aliena mogła przecież przybyć do Toledo z dzieckiem w ramionach, by znaleźć Jacka zadomowionego, dzielącego duszę i ciało z kimś innym... Ta myśl przeraziła ją.

Słuchała, jak Jack mruczy *Ojciec nasz*. Teraz dziwiło ją, że kiedy przybyła, by osiedlić się w Kingsbridge, nie poświęciła mu więcej uwagi niż kotu kupca. A on ją zauważył i potajemnie kochał przez tyle lat. Ileż miał cierpliwości! Przyglądał się, jak młodszy synowie miejscowej szlachty uderzali do niej w konkury i odchodzili z kwitkiem, rozczarowani, urażeni i zbuntowani. On przyglądał się temu – jakże mądrym był chłopcem – wiedział, że nie podbije jej serca zalotami, dotarł do niej okreśną drogą; podszedł ją, bardziej jako przyjaciel niż kochanek, opowiadał historie, spotykał się z nią w lesie i doprowadził do tego, że bezwiednie zakochała się w nim. Przypominała sobie ten pierwszy pocałunek, tak lekki i przelotny, ale przecież palący jej wargi przez długie tygodnie. Drugi pocałunek pamiętała także, nawet bardziej żywo. Za każdym razem, kiedy słyszała dudnienie młyna foluszniczego, przesywało ją wspomnienie tamtej ślepej, nieznanej i nieoczekiwanej żądz, jaką wówczas poczuła.

Złym wspomnieniem było to, jak stała się zimna wobec Jacka po owym pocałunku w młynie. On kochał ją szczerze całym sobą, ona zaś bała się tego tak bardzo, że odwróciła się od niego, udając, że ją nic nie obchodzi. Zraniła go tym głęboko, a chociaż nie przestał jej kochać i rana powoli się zagoiła, pozostała blizna, jak to bywa po głębokich ranach. Owa blizna ujawniała się czasami, widziała ją w jego wzroku, gdy w jakiejś kłótni zwracała się do niego chłodno. Wówczas jego oczy mówiły: „Tak, to już znam, umiesz być zimna, wiem też, że umiesz mnie zranić, muszę się strzec”.

Czy owo ostrożne spojrzenie miały teraz jego oczy, kiedy ślubował jej miłość i wierność na resztę życia? Myślała o tym, wiedząc, że Jack ma dość powodów, by wątpić w nią, bo przecież poślubiła Alfreda, a jakąż mogła być większa zdrada.

Ale przecież to naprawiłam, myślała, przecież przeżyłam pół chrześcijań-

skiego świata, by go odnaleźć.

Takie rozczarowania, zdrady, przeprosiny i radości stanowiły zwykłą treść małżeńskiego pożycia, lecz ona i Jack przeszli przez nie jeszcze przed ślubem. Teraz w końcu była go pewna. Była też pewna, że go zna i nic, jak sądziła, nie mogło jej zaskoczyć z jego strony. Miło było się kochać, ale może lepiej, że wpierw się poznali, a potem przysięgali, niż gdyby najpierw się pobrali, a potem dopiero nawzajem poznawali siebie. Księża oczywiście na to by się nie zgodzili, Philip na pewno dostałby apopleksji, gdyby wiedział, co roi się w jej głowie; no, ale księża o miłości wiedzą mniej niż ktokolwiek inny.

Złożyła swą ślubną przysięgę, powtarzając ją za przeorem, wskazując samej sobie, jak piękne są słowa „całym swym ciałem wielbię ciebie”. Philip nigdy by tego nie zrozumiał.

Jack wsunął jej obrączkę. Pomyślała, że całe życie czekała na tę chwilę. Popatrzyli sobie w oczy. Coś w nim się zmieniło. Do tej pory nigdy nie mógł być jej pewny tak naprawdę. Teraz wydawał się głęboko zadowolony.

– Kocham cię – powiedział. – Zawsze będę cię kochał.

To była jego przysięga. Reszta to religia. Teraz składał jej swoje przyrzeczenie; raptem zdała sobie sprawę, że ona także do tej pory nie mogła być go całkowicie pewna. Za chwilę przejdą dalej, do skrzyżowania, gdzie Philip odprawi mszę, a po niej będą przyjmować życzenia i gratulacje od ludzi, których potem poproszą do domu i poczęstują jedzeniem i piwem, i będą się wszyscy weselić. Lecz ta mała chwila należała tylko do nich. Spojrzenie Jacka mówiło: „Tylko ty i ja, razem, na zawsze”, Alieny zaś odpowiadało: „Wreszcie”.

Ogarnął ich wielki spokój.

CZEŚĆ SZÓSTA
1170-1174

Rozdział 17

Kingsbridge stale rosło. Już dawno przekroczyło pierwsze mury, między nimi mieściła się prawie połowa obecnych domów. Gildia zbudowała nowe mury jakieś pięć lat temu, otaczając nimi przedmieścia, które wyrosły wokół starych murów dawnego miasta; teraz za nowymi murami rosły nowe przedmieścia. Łąki po drugiej stronie rzeki, gdzie mieszkańcy miasta tradycyjnie obchodzili Święto Chleba i Sobótkę, przekształciły się w niewielką wioskę zwaną Newport, Nowy Port.

W niedzielę wielkanocną przez Newport przejeżdżał szeryf William Hamleigh i kamiennym mostem zmierzał w kierunku starego Kingsbridge. Minął wspaniałą bramę miasta i ruszył w górę głównej ulicy, która została ostatnio wybrukowana. Po obu stronach była zabudowana kamiennymi domami ze sklepami w dolnej kondygnacji i mieszkaniami wyżej. Kingsbridge jest większe, bardziej ruchliwe i dostatnie, niż kiedykolwiek było Shiring, myślał William gorzko.

Dotarł do końca ulicy, skręcił na klasztorny dziedziniec i tu przed jego oczyma pojawiła się przyczyna rozwoju Kingsbridge i upadku Shiring – katedra.

Zapierała dech.

Niewiarygodnie wysoka nawa była wspomagana rzędem wspaniałych

skrzydlatych przypór. Wschodni szczyt miał trzy portyki, wielkie jak wejścia dla olbrzymów, i rzędy wysokich, wysmukłych ostrołukowych okien z wieżyczkami po bokach. Taką koncepcję zapowiadały ukończone osiemnaście lat temu transepty, jednak jej realizacja była zadziwiająca. Nigdzie w Anglii nie było dotychczas takiej budowli.

Zwykle w niedziele odbywał się targ, więc łąka przed kościołem była wypełniona straganami. William zsiadł z konia, zostawił Walterowi troskę o wierzchowca. Pokuśtykał przez łąkę w stronę kościoła; miał już pięćdziesiąt cztery lata, był otyły i cierpiał na bolesną podagrę w nogach. Z powodu tego bólu stale był mniej lub bardziej gniewny.

Wnętrze kościoła robiło jeszcze większe wrażenie. Nawa kontynuowała styl transeptów, ale tu budowniczy udoskonalił swój projekt – kolumny były smuklejsze, okna większe. William słyszał o jeszcze jednej innowacji. Podobno Jack Jackson wprawił kolorowe szkło w okna. Pomysł przywiózł z Paryża. Zastanawiał się, dlaczego robi się tyle hałasu wokół tego szkła. Wydawało mu się, że kolorowe okna to coś w rodzaju obicia czy malowania ścian, ale teraz pojął, co mieli na myśli. Światło przenikało przez barwne szyby, które zmieniały je w niezmierną poświatę, efekt zgoła magiczny. Kościół był pełen ludzi wykręcających szyje, by wpatrywać się w wysokie okna. Obrazy przedstawiały biblijne historie: raj i piekło, świętych, proroków i apostołów, a także niektórych obywateli Kingsbridge. Najprawdopodobniej tych, którzy zapłacili za witraże, na których zostali przedstawieni: piekarz niosący kosz bochenków chleba, garbarz ze skórami, murarz z cyrklami i poziomnicą. Założę się, że Philip nieźle na tym zarobił, ponuro pomyślał William.

Na nabożeństwie wielkanocnym w kościele panował tłok. Targ wciskał się nawet do wnętrza świątyni, jak zawsze zresztą. Nim szeryfowi udało się przejść nawę, zaoferowano mu zimne piwo, imbirowy chleb, a nawet szybką zabawę pod ścianą i to wszystko tylko za trzy pensy. Księża wciąż ponawiali próby wypędzenia handlarzy z kościołów, ale te działania były bezskuteczne. William

wymienił pozdrowienia z kilkoma znaczniejszymi obywatelami hrabstwa. Uświadomił sobie, że jego oczy i myśli stale są zwrócone ku pełnym rozmachu rzędom arkad. Łuki i okna, filary z połączonych trzonów kolumn, żebra i segmenty ożebrowanego sklepienia, wszystko dążyło w stronę niebios, przywołując na myśl cel istnienia tej budowli.

Podłoga była wyłożona kamieniem, filary malowane, a każde okno oszkłone; Kingsbridge i jego klasztor opływały w dostatek, a katedra była świadectwem ich bogactwa. W małych kaplicach transeptów stały złote świeczniki i klejnotami zdobione krzyże. Obywatele także popisywali się swą zamożnością, nosili kolorowe tuniki, srebrne zapinki i złote pierścienie.

Jego oczy natknęły się na Alienę.

Jak zwykle serce Williama zatrzymało się na jedno uderzenie. Była piękna jak zawsze, mimo że musiała już przekroczyć pięćdziesiątkę. Jej włosy stanowiły nadal masę kędziorów, choć teraz, przycięte trochę krócej, jakby nieco spłowiały. W kącikach oczu pojawiły się pociągające zmarszczki. Jej figura poszerzyła się trochę, ale nie straciła nic z atrakcyjności. Wciąż była godna pożądania. Miała na sobie niebieski płaszcz oblamowany czerwonym jedwabiem, a na nogach czerwone, skórzane buty. Wokół niej zgromadziło się wiele osób, okazujących jej szacunek. Aczkolwiek była zaledwie siostrą hrabiego, który osiedlił się w Ziemi Świętej, to ją wszyscy traktowali jak hrabinę. Ona zaś nosiła się jak królowa.

Widok Alieny rozpałił w trzewiach Williama ogień nienawiści. Zrujnował jej ojca, ją zgwałcił, zabrał ich zamek, spalił jej wełnę w pamiętnym pożarze i spowodował wygnanie brata, ale za każdym razem, gdy myślał, że raz na zawsze ją zmiażdżył, ona wracała, umiejąc po klęsce dźwignąć się na nowe szczyty potęgi i bogactwa. Podstarzały, otyły i cierpiący na podagrę William zdał sobie sprawę z tego, że stracił swe życie z mocy straszliwego uroku.

Za nią stał wysoki rudowłosy mężczyzna, którego William w pierwszej chwili wziął za Jacka. Po bliższym przyjrzeniu się jednak zrozumiał, że jest on

oczywiście za młody, i domyślił się, że to musi być jego syn. Młodzieniec ubrany był jak rycerz i nosił miecz. Jack zaś stał obok syna, cal lub dwa niższy, jego rude włosy przerzedziły się nieco na skroniach. Był młodszy od Alieny, naturalnie, jakieś pięć lat, jeśli William dobrze pamiętał, lecz i on także miał zmarszczki wokół oczu. Rozmawiał z ożywieniem z młodą kobietą, która zapewne była jego córką. Przypominała Alienę, i była równie piękna, ale jej nieposłuszne włosy zostały gładko ściągnięte z tyłu głowy. Odziana była w skromne szaty. Jeśli pod ziemistobrązową tuniką było jakieś godne pożądanego ciała, nie chciała, by o tym wiedzano.

Złość paliła mu wnętrzności, gdy widział Alienę wśród dostatku, dostojęstwa i rodzinnego szczęścia. Wszystko, co mieli oni, powinno być jego. Ale jeszcze nie stracił nadziei na zemstę.

Głosy kilkuset mnichów wzniosły się pieśnią, tłumiąc gwar rozmów i wrzaski kramarzy, a przeor Philip wkroczył do kościoła na czele procesji. William pomyślał, że nigdy tu nie było tylu mnichów. Klasztor rozrastał się wraz z miastem. Philip, który ukończył już sześćdziesiąt lat, prawie całkiem wyłysiał i przytył tak, iż jego szczupła dawniej twarz stała się niemal okrągła. Nic dziwnego, że wyglądał na zadowolonego z siebie: poświęcenie tej katedry było celem, do którego dążył przez trzydzieści cztery lata.

Rozległ się pomruk komentarzy, kiedy odziany w najwspanialsze szaty pojawił się biskup Waleran. William wiedział, że mimo sztywnego wyrazu obojętności na bladym kanciastym obliczu, wszystko się w nim w środku gotuje. Ta katedra była symbolem zwycięstwa Philipa. William także nienawidził Philipa, ale jednocześnie radowało go oglądanie butnego biskupa Walerana, który poniósł klęskę.

Walerana rzadko można było spotkać w Kingsbridge. W Shiring w końcu zbudowano nowy kościół, ze specjalną kaplicą upamiętniającą matkę Williama, i chociaż nawet w przybliżeniu nie można go było porównać ze wspaniałą katedrą, Waleran uczynił z niego swoją główną siedzibę.

W ciągu trwającej niemal przez trzy dekady wojny Waleran zrobił wszystko, co w jego mocy, by Philipa zniszczyć, w końcu jednak przeor triumfował, a kościół w Kingsbridge był katedrą. William pomyślał, że Waleran i Philip przypominają jego i Alienę. Zarówno w jednym, jak i w drugim wypadku moralne skrupuły pokonały siłę i bezwzględność. Czuł, że nigdy tego nie potrafi zrozumieć.

Trudno byłoby zrozumieć nieobecność biskupa na poświęceniu katedry; powitanie gości zaproszonych na uroczystości konsekuracyjne obligowało Walerana do przybycia. Byli przecież biskupi kilku sąsiednich diecezji, a także dostojni opaci i przeorzy.

Arcybiskup Canterbury, Tomasz Becket, nie mógł przybyć. Trwał w ferworze kłótni ze swym starym przyjacielem, królem Henrykiem. Kłótnia ta była przykra i tak gwałtowna, że arcybiskup został zmuszony do opuszczenia kraju i schronienia się we Francji. Konflikt króla i arcybiskupa dotyczył długiej listy kwestii prawnych, lecz jego sedno było całkiem jasne i proste: czy król może robić, co mu się podoba, czy też ma jakieś ograniczenia?

Taki sam konflikt występował między przeorem Philipem i Williamem, który wyznawał pogląd, że hrabia może robić wszystko – taki jest sens bycia hrabią. Przeor Philip i Tomasz Becket chcieli ograniczać władzę panujących.

Biskup Waleran należał do tej części duchowieństwa, która opowiedziała się po stronie panujących. „Władza jest po to, by jej używać” – twierdził.

Trzy dekady klęsk nie wstrząsnęły jego przekonaniem, że jest narzędziem woli Boga, ani też nie osłabiły jego bezwzględnej determinacji do wykonywania tego świętego obowiązku. William był przeświadczony, że nawet teraz, prowadząc nabożeństwo konsekuracyjne w katedrze Kingsbridge, biskup postara się jakoś zepsuć Philipowi moment chwały.

William był w ruchu przez całe nabożeństwo. Stanie było dla jego nóg gorsze niż chodzenie. Do kościoła w Shiring Walter wnosił mu krzesło.

Na uroczystość przybyło wielu ludzi, z którymi należało porozmawiać,

a sporo zgromadzonych wykorzystywało czas do prowadzenia interesów. William przechodził – uniżony wobec możnych, onieśmiałający dla słabych – zbierał informacje o wszystkim i o wszystkich. Już nie wywoływał przerażenia w sercach ludności, jak to było w dawnych dniach, lecz jako szeryf wciąż budził respekt i ustępowano mu z drogi.

Nabożeństwo wlokło się w nieskończoność. Właśnie nastąpiła długa przerwa, kiedy mnisi obchodzili katedrę z zewnątrz, kropiąc ściany święconą wodą. Pod koniec przeora Philip ogłosił, że nominację na subprzeora otrzymał brat Jonathan, klasztorny sierota. Był to mnich niezwykle wysoki, miał około trzydziestu pięciu lat, a Williamowi przypominał starego Toma Budowniczego, który także był kimś w rodzaju olbrzyma.

Kiedy uroczystości nareszcie dobiegły końca, dostojni goście udali się do transeptu południowego, a pomniejsi mieszkańcy hrabstwa stłoczyli się za nimi, by pogapić się na nich. William pokuśtykał im na spotkanie. Dawno, dawno temu traktował biskupów jak równych, ale teraz musiał giąć grzbiet i płaszczyć się na równi z rycerzami i pomniejszymi ziemianami.

Biskup Waleran wziął Williama na stronę i spytał:

– Kto to, ten nowy subprzeor?

– To sierota klasztorny. Zawsze był ulubieńcem Philipa.

– Młodo wygląda, jak na kogoś, kto ma zostać zastępcą przeora.

– Jest starszy, niż był Philip, kiedy został wybrany.

– Sierota. Przypomnij mi szczegóły. – Waleran zamyślił się.

– Kiedy Philip został przeorem, przybył tu wraz z dzieckiem.

– Na krzyż, to prawda! – Twarz Walerana rozjaśniła się. – Zapomniałem o dziecku Philipa. Jak mogłem czemuś takiemu pozwolić wymknąć się z pamięci?

– Minęło trzydzieści lat. Kogo to obchodzi?

Waleran posłał Williamowi spojrzenie, którego szeryf nienawidził: „Tępy wole, jak takiej prostej sprawy nie potrafisz pojąć?”. Ból przeszywał stopy Wil-

liama, więc przestępował z nogi na nogę w próżnej próbie ulżenia sobie.

– No tak, a skąd to dziecko pochodzi?

– Znalaziono je porzucone niedaleko starego klasztoru Philipa, w lesie, jeśli dobrze sobie przypominam. – William przelknął obrazę.

– Jeszcze lepiej! – Waleran miał coraz więcej zapału.

William w dalszym ciągu nie potrafił się zorientować, do czego zmierza biskup.

– No to co? – spytał markotnie.

– Czy mógłbyś powiedzieć, że zachowanie Philipa wobec dziecka było takie, jakby przyniósł własnego syna?

– Tak.

– A teraz robi go subprzeorem.

– Przypuszczam, że został wybrany przez mnichów. Zdaje się, że jest bardzo lubiany.

– Każdy, kto w wieku trzydziestu pięciu lat zostaje subprzeorem, jest potencjalnym kandydatem na urząd przeora.

William nie miał zamiaru powtarzać „No to co?”, więc milczał. Miał wrażenie, że jest durnym uczniakiem. Waleran wreszcie wyjaśnił:

– Jonathan jest oczywiście dzieckiem Philipa.

William wybuchnął śmiechem. Spodziewał się naprawdę głębokiej myśli, natomiast Waleran wypowiedział coś bardzo zabawnego. Z uczuciem satysfakcji zauważył, że ten śmiech spowodował lekkie zaczerwienienie woskowej cery Walerana.

– Nikt, kto zna Philipa, nie uwierzy w coś takiego. On się urodził jako wyschnięty pień, też pomysł! – Znowu się zaśmiał. Waleran mógł się uważać za sprytnego, ale tym razem stracił poczucie rzeczywistości.

– Powiadam, że Philip miał kochankę, w czasie kiedy prowadził tę małą wspólnotę w lesie – rzekł z chłodną wyrozumiałością Waleran. – Potem został przeorem Kingsbridge i musiał ją zostawić. Ona zaś nie chciała dziecka, nie

mając dla niego ojca, no i zwała ten ciężar na niego. Philip, litościwa dusza, poczuł się zobowiązany do opieki nad dzieckiem, więc wprowadził je do klasztoru jako znajdę.

– Niewiarygodne. – William pokręcił głową. – Każdy, ale nie Philip.

– Jeśli dziecko zostało porzucone, to jak dowiedzie, skąd się wzięło? – upierał się Waleran.

– Nie uda mu się tego dowieść – uświadomił sobie William. Patrzył przez transept południowy na stojących razem Philipa i Jonathana, pograżonych w rozmowie z biskupem Herefordu. – Oni nawet nie są do siebie podobni.

– Ty też nie jesteś podobny do swej matki, Bogu dzięki.

– Ale co z tego? Co masz zamiar z tym zrobić?

– Oskarżę go przed sądem kościelnym.

To zmieniało postać rzeczy. Nikt, kto znał Philipa, nawet przez chwilę nie wierzyłby w oskarżenia Walerana, ale sędzia, któremu Kingsbridge było obce, mógł uznać je za wiarygodne. William niechętnie zauważył, że ten pomysł nie był taki głupi. Biskup wyglądał na irytująco zadowolonego z siebie. Jak zwykle był bardziej przebiegły. Ale William już ucieszył się myślą, że w perspektywie można będzie pognębić Philipa.

– Na Boga – rzekł z zapałem – myślisz, że się uda?

– To zależy od sędziego. Może uda mi się jednak coś przedsięwziąć w tej sprawie. Zastanawiam się...

William patrzył przez transept na Philipa, uśmiechającego się i triumfującego, za którym stał jego protegowany. Rozległe witraże rzucały na nich radosne światło, wyglądali jak obrazy ze snu.

– Cudzołóstwo i nepotyzm – rzekł rozradowany William. – Mój Boże.

– Jeśli dobrze to rozegramy, nadejdzie koniec tego przekłętą przeora – wycodził biskup, smakując każde słowo, jakby jadł świeże bułeczki.

Niemożliwe, by jakikolwiek mądry sędzia dowiódł winy Philipowi.

Philip nie musiał nigdy jakoś szczególnie walczyć ze swoją zmysłowością. Wiedział z wysłuchanych spowiedzi, że niektórzy mnisi rozpaczliwie borykali się z cielesną żądzą, ale to jego nie dotyczyło. Będąc młodym mnichem, cierpiał z powodu nieczystych snów, ale ta faza nie trwała długo. Przez większość życia zachowanie czystości przychodziło mu z łatwością. Nigdy nie odbył aktu płciowego, a teraz był prawdopodobnie na to za stary.

Kościół jednakże brał poważnie takie oskarżenia. Philip musiał stanąć przed sądem kościelnym. Obecny miał być archidiakon z Canterbury.

Waleranowi zależało, by sąd odbył się w Shiring, ale przeor nie wyrażał na to zgody i zdołał wywalczyć proces w Kingsbridge. W końcu to było miasto katedralne. Teraz wynosił ze swego domu osobiste rzeczy, opróżniając go dla archidiakona.

Philip wiedział, że nie ciąży na nim cudzołożenie, a, co za tym idzie, także nepotyzm. Mąż nie może faworyzować swego syna, jeśli takowego nie posiada. W głębi duszy zastanawiał się jednak, czy wyróżnianie Jonathana nie było czymś złym. Podobnie bowiem jak myśli nieczyste były jakby cieniem poważniejszego i cięższego grzechu, tak możliwe, że faworyzowanie kochanej sieroty stanowiło cień nepotyzmu. Zakładano, że mnisi są pozbawieni życia rodzinnego, lecz Jonathan był dla niego jak rodzony syn. Philip uczynił go klucznikiem zakonnym w bardzo młodym wieku, a teraz promował na subprzeora. Zapytywał siebie, czy nie zrobił tego dla własnej dumy i przyjemności?

No cóż, tak, pewnie tak było, rozliczał się sam z sobą.

Uczenie Jonathana, obserwowanie, jak dorasta i zdobywa wiedzę o prowadzeniu klasztoru, sprawiało mu nadzwyczajną przyjemność. Mimo to jednak, jeśliby nawet Philipowi te sprawy nie sprawiały takiej przyjemności, to i tak Jonathan pozostałby najzdolniejszym młodym administratorem w klasztorze. Był inteligentny, pobożny, sumienny i miał wyobraźnię. Dorastał i wychowywał się w klasztorze, nie znał innego życia i nigdy nie tęsknił za wolnością. Philip także

dorastał w opactwie. Pomyślał, że sieroty stają się najlepszymi zakonnikami.

Włożył do kalety *Ewangelię według świętego Łukasza*; to taka mądra książka.

Traktował Jonathana jak syna, ale nie popełnił żadnych grzechów wymagających procesu sądowego. Zarzuty były absurdalne.

A jednak sam fakt oskarżenia był szkodliwy. Podważało ono, a nawet mogło zniszczyć, jego autorytet moralny. Znajdą się ludzie, którzy zapamiętają oskarżenie, a zapomną treść wyroku. A kiedy Philip wstanie i powie: „Przykazanie zabrania pożądać żony bliźniego swego”, ktoś ze zgromadzonych może pomyśleć: „Ale tyś miał uciechę za młodu”.

Wbiegł Jonathan, zadyszany. Philip zmarszczył brwi. Subprzeor nie powinien wpadać do komnaty z zadyszką. Już miał napomnieć go, że trzeba pamiętać o dostojności urzędników zakonnych, gdy Jonathan rzekł:

– Archidiakon Peter już przybył!

– Dobrze, już dobrze – uspokajał Philip. – Już prawie kończyłem. – Podał kaletę Jonathanowi. – Zabierz to do dormitorium i nie miotaj się tak wszędzie. Klasztor jest miejscem spokoju i ciszy.

Jonathan wziął kaletę i przyjął naganę, ale powiedział:

– Nie podoba mi się wygląd archidiakona.

– Jestem pewny, że będzie sprawiedliwym sędzią, to wszystko, czego od niego oczekujemy – odrzekł Philip.

Drzwi otworzyły się ponownie i wszedł archidiakon. Był wysokim, długonogim mężczyzną mniej więcej w wieku Philipa, o nieco rzadziejących siwych włosach i wyrazie wyższości na twarzy. Wyglądał znajomo.

Philip wyciągnął dłoń do powitalnego uścisku ze słowami:

– Jestem przeor Philip.

– Znam cię – szorstko odrzekł archidiakon. – Nie przypominasz mnie sobie?

Ton głosu pomógł. Serce Philipa zamarło na moment. To był jego pierwszy

wróg.

– Archidiakon Peter. Peter z Wareham – powiedział ponuro.

– Był intrygantem – tłumaczył Philip Jonathanowi kilka minut później. – Skarżył się, że nie pracujemy wystarczająco ciężko, że za dużojemy... i za dobrze... albo że nabożeństwa są za krótkie. Mawiał, że jestem zbyt pobłażliwy. Uczyniłem go jałmużnikiem, by połowę czasu spędzał poza klasztorem. Zrobiłem tak po to, by się go pozbyć. To było najlepsze dla niego i dla klasztoru, ale jestem pewny, że za to nienawidzi mnie nawet teraz, po trzydziestu pięciu latach. – Westchnął. – Kiedy ty i ja wizytowaliśmy klasztor Świętego Jana z Lasu, słyszałem, to było po wielkim głodzie, że Peter odszedł do Canterbury. A teraz zasiądzie, by wydać na mnie wyrok.

Rozmawiali w wirydarzu. Pogoda była ciepła i słońce grzało przyjemnie. Pięćdziesięciu chłopców, z trzech różnych klas, uczyło się czytać i pisać na krużganku północnym, a przytłumiony pomruk lekcji przepływał przez prostokątny plac. Philip pamiętał czasy, kiedy szkoła składała się z pięciu chłopców i zgrzybiałego mistrza nowicjatu. Pomyślał o tym wszystkim, czego dokonał: budynek katedry – to raz; przekształcenie zubożałego i chylącego się do upadku klasztoru w zamożną i wpływową instytucję działającą z rozmachem – to dwa; wreszcie rozwój miasta Kingsbridge. Co do kościoła, to w nabożeństwach uczestniczyła teraz setka mnichów.

Z miejsca, gdzie siedział, mógł nad nawami bocznymi widzieć zadziwiająco piękny rząd witrażowych okien nawy głównej. Za sobą miał zbudowaną z kamienia bibliotekę, zawierającą setki ksiąg teologicznych, astronomicznych, etycznych, matematycznych – zaprawdę, dotyczących wszystkich dziedzin ludzkiej wiedzy. Ziemie klasztoru były zarządzane przez oświeconych urzędników zakonnych – karmiły one nie tylko mnichów, ale i setki ludzi zatrudnionych w gospodarstwach. Czy to wszystko miałyby zostać zniszczone wskutek

pomówienia? Czyżby dostatni i bogobojny klasztor miał być darowany komuś innemu, jakiemuś pionkowi biskupa Walerana, takiemu jak na przykład służalczy i obleśny archidiacon Baldwin? Albo zadufanemu w sobie błaznowi, jak Peter z Wareham, aby doprowadził wszystko do ruiny szybciej, niż Philip budował? Czy te ogromne stada mają skurczyć się do garstki chudych owiec, gospodarstwa mają wrócić do stanu jałowych ugorów, biblioteka zatonać w kurzu wskutek nieużywania, a piękna katedra popaść w ruinę? Bóg pomógł mi osiągnąć tak wiele, że nie może się zgodzić na to, by wszystko obróciło się wniwecz, pomyślał.

– Wszystko jedno, ojcze, i tak archidiacon nie może uznać cię za winnego – rzekł Jonathan.

– Może – ciężko stwierdził Philip.

– Z ręką na sercu, jakim cudem, ojcze?

– Myślę, że pielęgnował urazę do mnie przez całe życie, a teraz ma sposobność, by wykazać, że to ja byłem grzesznikiem, a on cały czas był tym prawym. W jakiś sposób Waleran dowiedział się o tym, a potem dopilnował, aby Peter został mianowany sędzią w tej sprawie.

– Ale nie ma żadnego dowodu!

– On nie potrzebuje dowodu. Wysłucha oskarżenia, wysłucha obrony, potem pomodli się o przewodnictwo boże, wreszcie ogłosi wyrok.

– Bóg może poprowadzić to sprawiedliwie.

– Peter nie będzie słuchał Boga. Nigdy nie lubił słuchać.

– To co się stanie?

– Zostanę usunięty – Philip był ponury. – Mogą pozwolić mi pozostać tutaj jako zwykłemu mnichowi, bym czynił pokutę za swój grzech, ale na to nie wygląda. Bardziej prawdopodobne jest, że wykluczą mnie z zakonu, by zapobiec memu ewentualnemu dalszemu wpływowi na tutejsze sprawy.

– Co będzie potem?

– Wybory oczywiście. Na nieszczęście w tym momencie w grę zaczyna

wchodzić polityka królewska. Król Henryk spierał się z arcybiskupem Canterbury, Tomaszem Becketem, który jest na wygnaniu we Francji. Połowa jego archidiakonów przebywa tam z nim. Ci, co stali z boku, wzięli stronę króla przeciw swemu arcybiskupowi. Najwidoczniej Peter należy do tej grupy. Biskup Waleran także. To on wysunie kogoś na urząd przeora, a będzie popierany przez archidiakonów z Canterbury i króla. Mnisi nie będą mogli się opierać.

– A jak sądzisz, ojcze, kto zostanie przeorem?

– Waleran na pewno już kogoś ma, bądź spokojny. To może być archidiakon Baldwin. To może być nawet Peter z Wareham.

– Musimy coś zrobić, by do tego nie dopuścić!

– Wszystko jest przeciw nam. – Philip pokiwał głową. – Nie możemy zmienić sytuacji politycznej. Jediną możliwością jest...

– Co? – niecierpliwiał się Jonathan.

Sprawa wydawała się tak beznadziejna, że Philip poczuł, iż nie ma sensu igrać rozpaczliwymi pomysłami; to mogłoby tylko rozbudzić nadzieję Jonathan, by potem bardziej go rozczarować.

Odrzekł:

– Nic.

– Co chciałeś powiedzieć, ojcze?

Philip przemyślał.

– Jeśli byłby jakiś niepodważalny dowód mej niewinności, Peter nie miałby możliwości uznania mnie za winnego.

– Ale co to by musiało być?

– Właśnie o to chodzi. Nie możesz przedstawić dowodu, który nie istnieje, możesz przedstawić tylko to, co istnieje. Musielibyśmy znaleźć twego prawdziwego ojca.

Jonathan natychmiast wpadł w entuzjazm.

– Tak! Właśnie tak! Tak uczynimy!

– Nie tak prędko – rzekł Philip. – Kiedyś już próbowałem. Nie wydaje się,

by po latach było łatwiej.

– Czy nie było jakichś punktów zaczepienia, by dowiedzieć się, skąd się mogłem wziąć? – Jonathan nie pozwalał pozbawić się zapалу.

– Obawiam się, że nie. – Philip martwił się, iż nie zaspokoi nadziei Jonathana, tak nierozważnie rozbudzonych. Aczkolwiek Jonathan nie miał żadnych wspomnień rodziców, fakt porzucenia zawsze go zasmucał. Teraz pomyślał, że mógłby poznać tę tajemnicę i znaleźć jakieś wyjaśnienie, jakiś dowód, że był jednak przez nich kochany. Philip czuł, że to z pewnością Jonathana rozczaruje.

– A pytałeś ludzi, którzy mieszkali niedaleko?

– Nie było nikogo, kto żyłby w pobliżu. Nasz mały klasztor był położony głęboko w lesie. Twój rodzice prawdopodobnie musieli przyjść z bardzo daleka, może z Winchesteru. Całą okolicę zdołałem już sprawdzić.

– A nie widziałeś, ojcze, żadnych podróżnych w pobliżu w tym czasie? – Jonathan był uparty.

– Nie. – Philip zmarszczył brwi. Czy na pewno? Jakaś zabłąkana myśl podrażniła pamięć. W dniu znalezienia dziecka Philip opuścił klasztor i wyjechał do rezydencji biskupa, po drodze rozmawiał z jakimiś ludźmi. Nagle sobie przypomniał. – No cóż, Tom Budowniczy z rodziną akurat przechodzili tamtędy.

– Nigdy mi nie mówiłeś, ojcze – Jonathan był zdziwiony.

– Bo nigdy nie wydawało mi się to ważne. Spotkałem ich dzień czy dwa później. Wypytywałem, ale mówili, że nie widzieli nikogo, kto mógłby być ojcem lub matką porzuconego dziecka.

Jonathan był zdruzgotany. Philip martwił się, że to poszukiwanie dowodów było dla Jonathana podwójnie bolesne: nie mógł niczego dowiedzieć się o rodzicach i stracił możliwość obrony Philipa. Ale nic nie mogło go powstrzymać. Upierał się:

– Swoją drogą, co oni robili w lesie?

– Tom szedł do zamku biskupa, szukał pracy. W ten sposób trafili tutaj.

– Chcę ich jeszcze raz przepytąć.

– Cóż, Tom i Alfred nie żyją. Ellen mieszka w lesie, a tylko Bóg wie, kiedy się znów pojawi. Ale możesz pogadać z Jackiem lub Martha.

– Warto spróbować, ojczu.

Być może Jonathan miał rację. Był pełen tego młodzieńczego zapału. Philip był pesymistyczny i zniechęcony.

– No to do dzieła – rzekł do Jonathana. – Ja się starzeję i jestem coraz bardziej zmęczony, inaczej sam bym o tym pomyślał. Porozmawiaj z Jackiem. To zbyt słaby kołek, by cokolwiek na nim zawiesić, ale to jedyna nadzieja.

Projekt okna był narysowany i pomalowany. Wielka drewniana płyta prze-myta piwem – by zapobiec płowieniu kolorów – ukazywała Drzewo Jezusa, genealogię Chrystusa w obrazowej formie. Sally wybrała mały kawałek grubego rubinowego szkła i umieściła na projekcie nad ciałem jednego z królów Izraela – Jack nie był pewny, którego; nie czuł się pewnie w zawikłanej symbolice teologicznej.

Sally zanurzyła czysty pędzelek w miseczce z rozmieszaną w wodzie kredą i namalowała kontur ciała na szkłe – ramiona, barki i fałdy sukni.

W palenisku na podłodze obok stołu, przy którym pracowała, tkwił żelazny pręt z drewnianą rączką. Wyjęła pręt z ognia, a potem szybko, lecz uważnie, poprowadziła rozpalony do czerwoności pręt po namalowanych konturach. Szkło pękło dokładnie według linii. Jej pomocnik podniósł ten kawałek szkła i jął wygładzać pilnikiem krawędzie.

Jack uwielbiał patrzeć na córkę podczas pracy. Była szybka i dokładna, a jej ruchy niezwykle oszczędne. Jeszcze jako mała dziewczynka z zafascynowaniem przyglądała się pracy szklarzy, których ojciec przywiózł ze sobą z Paryża. Zawsze też chciała robić to, co oni, kiedy już dorośnie. Pozostała wierna swemu marzeniu. Każdy, kto pierwszy raz oglądał katedrę w Kingsbridge, bar-

dziej był przejęty szkłem Sally niż, jak ponuro myślał Jack, architekturą stworzoną przez jej ojca.

Pomocnik podał wyglądzone szkło Sally, a ona zaczęła pokrywać je farbą zrobioną z rudy żelaza, uryny i, dodanej dla lepkości, gumy arabskiej. Płaskie szkło raptem zaczęło wyglądać jak miękka, starannie ułożona szata. Sally była bardzo zdolna. Skończyła pracę, potem włożyła pomalowaną szybkę obok innych do żelaznej rynki, której dno pokryte było wapnem. Kiedy rynka będzie pełna, znajdzie się w piecu. Żar wtopi farby w szkło.

Popatrzyła na Jacka, posłała mu krótki, olśniewający uśmiech, po czym sięgnęła po następny kawałek szkła.

Odsunął się. Mógłby patrzeć na nią cały dzień, ale miał wiele rzeczy do zrobienia. Był, jak zwykła mawiać Aliena, zwariowany na punkcie swej córki. Kiedy na nią patrzył, często miał uczucie zdziwienia, że jest odpowiedzialny za zaistnienie tej mądrej, niezależnej, dojrzałej młodej kobiety. Był do głębi poruszony jej umiejętnościami.

Jak na ironię, zawsze nakłaniał Tommy'ego, by został budowniczym. Zmusał chłopca do pracy na placu budowy przez parę lat, on jednak bardziej interesował się gospodarowaniem, jazdą konną, polowaniem i fechtunkiem, tymi sprawami, które dla Jacka były obojętne. Wreszcie Jack dał za wygraną. Tommy służył jako giermek u jednego z okolicznych panów i w końcu został pasowany. Aliena podarowała mu małą posiadłość złożoną z pięciu wiosek. Sally natomiast okazała się utalentowana. Tommy już się ożenił z młodszą córką hrabiego Bedford, mieli troje dzieci. Jack był dziadkiem. Sally jednak była samotna, choć miała dwadzieścia pięć lat. Miała wiele wspólnego ze swoją babką Ellen. Była agresywna i lubiła polegać na samej sobie.

Jack obszedł katedrę od wschodu i popatrzył na bliźniacze wieże, niemal ukończone. Wielki brązowy dzwon był w drodze z ludwisarni w Londynie do Kingsbridge. W tych dniach Jack już prawie nie miał dla siebie pracy. Tam, gdzie niegdyś dowodził armią muskularnych kamieniarzy i cieśli, gdzie leżały

stosy kamiennych bloków i stały rusztowania, teraz kręcili się rzeźbiarze i malarze wykonujący precyzyjne i pracochłonne prace przy statuach do nisz, budowie ozdobnych pinakli i złoceniu skrzydeł kamiennych aniołów. Nie było już zbyt wiele do projektowania. Jeszcze tylko plany dodatkowych budowli dla klasztoru – biblioteki, kapitułarza oraz domu gościnnego, stawianego dla zwiększenia wygody pielgrzymów. Planowano także powiększenie zabudowań gospodarczych, nową pralnię i mleczarnię. Między tymi niewielkimi zamówieniami Jack, po raz pierwszy od wielu lat, rzeźbił trochę dla siebie. Niecierpliwił się, gdyż chciał jak najszybciej rozebrać stare prezbiterium, zbudowane jeszcze przez Toma Budowniczego, i postawić nowe, według swego projektu. Przeor Philip jednak pragnął nacieszyć się nowym kościołem, już ukończonym, przynajmniej przez rok, zanim rozpocznie następną kampanię budowlaną. Philip odczuwał już swój wiek. Jack obawiał się, że staruszek może nie dożyć czasu, kiedy będzie mógł obejrzeć prezbiterium po przebudowie.

Na widok nadzwyczaj wysokiej postaci brata Jonathana Jack pomyślał, że budowa zapewne będzie kontynuowana po śmierci Philipa. Jonathan zmierzał ku niemu od strony kuchni. Jack uważał, że Jonathan na pewno będzie dobrym przeorem, być może nawet tak dobrym jak sam Philip.

Jack cieszył się, że sukcesja została zapewniona; to pozwalało mu na spokojne planowanie przyszłości.

– Niepokoję się o ten sąd kościelny, Jack – bez ogródek rzekł Jonathan.

– Myślałem, że to tylko wiele hałasu o nic.

– Ja też, okazało się, że archidiakon jest starym wrogiem przeora Philipa.

– Do diabła! No, ale nawet i w takim wypadku nie może uznać go za winnego.

– Może zrobić, co zechce.

Jack potrząsnął głową z niesmakiem. Czasami zastanawiał się, w jaki sposób taki człowiek jak Jonathan może tak wierzyć w Kościół, gdy ta instytucja jest tak bardzo zepsuta.

– Co masz zamiar zrobić?

– Jedynym sposobem na potwierdzenie jego niewinności jest odnalezienie moich prawdziwych rodziców.

– Trochę na to za późno!

– To nasza jedyna nadzieja.

Jack był nieco poruszony. Wyglądało na to, że sytuacja jest rozpaczliwa.

– Od czego masz zamiar zacząć?

– Od ciebie. Byłeś w okolicy klasztoru Świętego Jana z Lasu w czasie, kiedy się urodziłem.

– Naprawdę? – Jack nie rozumiał, o co Jonathanowi chodzi. – Mieszkałem tam, dopóki nie skończyłem jedenastu lat. No, no muszę być jedenaście lat starszy od ciebie...

– Przeor Philip powiada, że spotkał cię wraz z twoją matką, Tomem Budowniczym i jego dziećmi w dzień po tym, jak mnie znalaziono.

– Pamiętam to. Zjedliśmy całą żywność Philipa. Byliśmy bardzo głodni.

– Przypomnij sobie. Czy widziałeś gdzieś w okolicy kogoś z dzieckiem albo jakąś ciężarną młodą kobietę?

– Zaraz, zaraz – Jack był zaskoczony. – Czy chcesz mi powiedzieć, że zostałeś znaleziony niedaleko klasztoru Świętego Jana z Lasu?

– Tak. Nie wiedziałeś o tym?

Jack nie wierzył własnym uszom.

– Nie, nie wiedziałem o tym – mówił powoli. Zakręciło mu się w głowie od tego odkrycia. – Kiedy przybyliśmy do Kingsbridge, ty już tu byłeś, a mnie wydawało się naturalne, że skoro zostałeś znaleziony, to gdzieś w tej okolicy. – Nagle poczuł, że powinien usiąść. Opadł na znajdujący się w pobliżu stosik gruzu z budowy.

– No, dobrze, tak czy siak, mów, czy widziałeś kogoś w tym lesie.

– O, tak, nie wiem jednak, jak ci to powiedzieć.

– Ty coś wiesz na ten temat, prawda? Co widziałeś? – Jonathan zbladł.

– Widziałem ciebie, Jonathanie. Widziałem właśnie ciebie.

Jonathanowi opadła szczęka.

– Co... Jak...?

– To był świt. Polowałem na kaczki. Usłyszałem płacz. Znalazłem noworodka zawiniętego w starą obciętą opończę, leżącego niedaleko resztek gasnącego ogniska.

– Coś jeszcze? – Jonathan wpatrywał się w niego.

Jack skinął głową.

– Dziecko leżało na świeżym grobie.

– Moja matka? – Jonathan niecierpliwił się.

Jack przytaknął.

Jonathanowi zaczęły płynąć łzy, ale dalej pytał:

– Co zrobiłeś?

– Przyprowadziłem moją matkę. Ale kiedy tam wróciliśmy, zobaczyliśmy księdza na wierzchovcu, z dzieckiem na ręku.

– Francis – powiedział Jonathan ściśniętym głosem.

– Co?

– Zostałem znaleziony przez księdza Francisa, brata przeora Philipa – Jonathan z trudem przełknął ślinę.

– A co on tam robił?

– Jechał do Świętego Jana z Lasu, aby spotkać się z Philipem. Zobaczył mnie i zabrał ze sobą.

– Boże mój. – Jack patrzył na wielkiego mnicha, któremu łzy strumieniem ciekły z oczu. Myślał o tym, czego Jonathan jeszcze nie usłyszał.

– Czy nie widziałeś nikogo – pytał Jonathan – kto mógłby być moim ojcem?

– Tak. – Jack był uroczysty. – Wiem, kto to był.

– Powiedz mi – wyszeptał Jonathan.

– Tom Budowniczy.

– Tom Budowniczy? – Jonathan ciężko usiadł na ziemi. – Tom Budowniczy był moim ojcem?

– Tak. – Jack z zastanowieniem potrząsnął głową. – Teraz wiem, kogo mi przypominasz. Ty i on to najwyżsi ludzie, jakich kiedykolwiek spotkałem.

– Jack, kiedy byłem dzieckiem, on często bawił się ze mną. Interesował się mną. Widywałem go równie często jak przeora Philipa. – Nie wstrzymywał łez. – To był mój ojciec. Mój ojciec. – Spojrzał na Jacka. – Czemu mnie porzucił?

– Myśleli, że i tak umrzesz. Nie mieli mleka, by cię karmić. Sami głodowali. Byli o mile od czegokolwiek. Nie wiedzieli, że niedaleko jest klasztor. Nie mieli do jedzenia nic poza rzepą, a rzepa by cię zabiła.

– Więc mimo wszystko mnie kochali.

Jack ujrzał to wszystko, jakby zdarzyło się wczoraj. Gasnące ognisko, świeży grób i malutkie, różowe dziecko, kopiące rączkami i nóżkami w starej, szarej materii. Ta kruszyna wyrosła na wysokiego mężczyznę, który teraz siedział na ziemi i płakał.

– Tak, kochali cię.

– Jak się to stało, że nikt o tym nie mówił?

– Tom oczywiście wstydział się – tłumaczył Jack. – Moja matka musiała o tym wiedzieć, a my, dzieci, przeczuwaliśmy coś, tak przypuszczam, ale oczywiście nigdy nie wiązaliśmy tego dziecka z tobą.

– Tom musiał powiązać – powiedział Jonathan.

– Tak.

– Zastanawiam się, dlaczego nigdy mnie nie zabrał?

– Moja matka zostawiła go niedługo po naszym przyjściu tutaj. – Jack uśmiechnął się smutno. – Nie była łatwa w pożyciu, jak Sally. Zresztą Tom musiałby wówczas wynająć dla ciebie opiekunkę. Przypuszczam, że pomyślał, dlaczego by nie zostawić ciebie w klasztorze? Dobrze się tobą opiekowano.

– Dzięki staremu Johnny’emu Osiem Pensów, niech Bóg ma jego duszę w opiece.

– W ten sposób Tom prawdopodobnie spędzał z tobą więcej czasu. Całymi dniami kręciłeś się po terenie klasztornym, a on tam pracował. Jeśliby cię zostawił w domu z opiekunką, nie byłbyś blisko i faktycznie rzadziej by się z tobą widywał.

I wyobrażam sobie, że w miarę upływu lat... w miarę twego wzrastania w charakterze klasztornej sieroty, a wydawałeś się szczęśliwy... bardziej naturalne było cię zostawić. I tak często oddaje się dzieci Bogu, prawda?

– Przez wszystkie te lata wiele myślałem o swych rodzicach – rzekł Jonathan, a Jack szczerze mu współczuł. – Próbowałem sobie wyobrazić, jacy są, błagałem Boga, by pozwolił mi ich poznać, spotkać się z nimi, zastanawiałem się, czy mnie kochali, pytałem, dlaczego mnie zostawili. Teraz wiem, że matka zmarła, dając mi życie, a mój ojciec był zawsze blisko mnie, aż do swej śmierci. – Uśmiechnął się przez łzy. – Nie potrafię wyrazić, jaki jestem szczęśliwy.

Jack poczuł, że za chwilę sam zacznie płakać. Żeby pokryć zakłopotanie, powiedział:

– Wyglądasz jak Tom.

– Naprawdę? – Jonathanowi było przyjemnie.

– Nie pamiętasz, jaki był wysoki?

– Wtedy wszyscy dorośli byli wysocy.

– Miał regularne rysy, jak ty. Dobrze wyrzeźbione. Gdybyś kiedyś zapuścił brodę, ludzie by się domyślili.

– Pamiętam dzień, kiedy umarł. Wziął mnie, by pokazać jarmark. Oglądaliśmy walkę niedźwiedzia. Potem wspiąłem się na ścianę prezbiterium. Byłem zbyt przerażony, by zejść, więc musiał wejść sam i znieść mnie na dół. Wtedy zobaczył zbliżających się ludzi Williama. Zaprowadził mnie do krążganków i tam ukrył. To był ostatni raz, kiedy widziałem go żywego.

– Pamiętam. Obserwowałem go, kiedy schodził z tobą w ramionach.

– Postarał się, bym był bezpieczny – Jonathan zamyślił się.

– Potem zajął się innymi – dodał Jack.

– Naprawdę mnie kochał.

– To już coś daje w sprawie procesu Philipa – Jacka uderzyła ta myśl.

– Zapomniałem o tym – rzekł Jonathan. – Tak, to jest coś. Mój Boże.

– Czy jednak mamy niepodważalny dowód? – zastanowił się Jack. – Widziałem dziecko, księdza, ale nie widziałem faktycznego przekazania dziecka klasztorowi.

– Francis widział. Przekazał. Tyle że on jest bratem Philipa, więc jego zeznanie może być odrzucone.

– Tego ranka moja matka i Tom wychodzili razem. – Jack natężył pamięć. – Mówili, że chcą przypatrzeć się księdzu. Założę się, że poszli do klasztoru upewnić się, że z dzieckiem jest wszystko w porządku.

– Gdyby zechciała to wszystko powiedzieć w sądzie, to załatwiłoby sprawę. – Jonathan odzyskał energię.

– Philip uważa ją za czarownicę – zauważył Jack. – Pozwoliliby jej zeznawać?

– Możemy go nacisnąć. Ale ona też go nienawidzi. Czy ona zechce zeznawać?

– Nie wiem. Musimy ją spytać.

– Cudzołóstwo i nepotyzm – zawołała matka Jacka. – Philip? – Zaczęła się śmiać. – To naprawdę zbyt głupie.

– Mamo, to poważne – upomniał ją Jack.

– Philip nie potrafiłby cudzołożyć nawet wtedy, gdybyś wsadził go do beczki z trzema ładacznkami – odrzekła. – Nie wiedziałby, co robić.

Jonathan był trochę zakłopotany.

– Przeor Philip ma prawdziwe kłopoty, jeśli nawet to oskarżenie jest bezsensowne.

– A dlaczego ja miałabym pomagać Philipowi? – zapytała. – Poza dostar-

czaniem mi strapien nic dla mnie nie zrobił. Jack bał się właśnie takiego postawienia sprawy przez matkę.

Nigdy nie wybaczyła Philipowi rozdzielenia jej i Toma.

– Philip zrobił mi to samo. Skoro ja mogłem mu wybaczyć, ty też możesz.

– Ja nie jestem z tych wybaczących.

– Jeśli nie dla Philipa, to zrób to dla mnie. Chcę dokończyć budowę w Kingsbridge.

– Dlaczego? Kościół już jest zbudowany.

– Chciałbym rozebrać prezbiterium Toma i wznieść je w nowym stylu.

– Och, na miłość boską!...

– Matko, Philip jest dobrym przeorem, a po nim będzie Jonathan, o ile przyjdiesz do Kingsbridge i powiesz prawdę na procesie.

– Nienawidzę sądów – oświadczyła. – Nic dobrego z nich nie ma.

To było irytujące. Miała klucz do sprawy Philipa, mogła wykazać jego niewinność, ale była starą, upartą kobietą. Jack poważnie się obawiał, że może jej nie przekonać.

Postanowił uderzyć w czułą strunę.

– No tak, przypuszczałem, że dla kogoś w twoim wieku to zbyt długa podróż – powiedział przebiegle. – Ile masz lat, sześćdziesiąt osiem?

– Sześćdziesiąt dwa, i nie próbuj mnie prowokować! – wybuchnęła. – Jestem w lepszej formie niż ty, chłopcze. To nawet może być prawda, pomyślał Jack. Włosy miała śnieżnobiałe i twarz poraną głębokimi zmarszczkami, ale jej jarzące się złote oczy patrzyły bystro jak zawsze; gdy tylko spojrzała na Jonathaną, od razu wiedziała, kim jest, i powiedziała: „Cóż, nie ma potrzeby pytać o powód twego przybycia. Dowiedziałeś się o swoim pochodzeniu, prawda? Na Boga, jesteś równie wysoki jak twój ojciec i niemal tak barczysty”. Ona także była niezależna i samowolna jak zawsze.

– Sally jest do ciebie podobna – oświadczył Jack.

– Naprawdę? – Uśmiechnęła się szeroko. – W czym?

– W oślim uporze.

– Ha! – Matka wyglądała na niezadowoloną. – No to będzie się jej nieźle żyło.

– Matko, proszę, idź z nami do Kingsbridge i powiedz prawdę.

– Nie jestem przekonana – odrzekła.

– Chciałbym cię jeszcze o coś zapytać – odezwał się Jonathan.

Jack zaczął się zastanawiać, o cóż takiego może mu chodzić. Obawiał się, że Jonathan może powiedzieć coś, co nastawi matkę wrogo.

– Czy możesz mi pokazać, gdzie leży moja matka?

Jack cichutko odetchnął. W tym nie kryło się nic złego. Faktycznie, żeby ją ułagodzić, Jonathan nie mógłby wymyślić lepszej rzeczy.

Ellen porzuciła swój szyderczy sposób bycia.

– Oczywiście, że ci wskażę. Jestem zupełnie pewna, że znajdę.

Jack nie chciał tracić czasu. Proces miał zacząć się nazajutrz rano, a droga była daleka. Ale wyczuwał, że musi zostawić sprawę własnemu biegowi.

Matka zwróciła się do Jonathana:

– Chcesz tam iść teraz?

– Tak, proszę, jeśli to możliwe.

– W porządku.

Wstała, wzięła krótką pelerynkę z zajęczych skórek i narzuciła ją na ramiona. Jack już miał powiedzieć, że będzie jej w tym za ciepło, ale powstrzymał się. Przypomniawszy sobie, że starsi ludzie zwykle marzną.

Opuścili pachnącą jabłkami i dymem jaskinię, przepychając się przez rośliny, ukrywające wejście do niej, i wynurzyli się na wiosenne słońce. Matka szła, nie zatrzymując się, a Jack i Jonathan odwiązali konie i podążyli za nią. Musieli prowadzić wierzchowce, bo grunt w lesie był zbyt porośnięty, by jechać. Jack zauważył, że matka idzie wolniej, niż miała w zwyczaju dawniejszymi czasy. Nie była już w takiej doskonałej formie, jak udawała.

Jack nie potrafiłby znaleźć tego miejsca sam. Kiedyś poruszał się po tym

lesie tak swobodnie, jak dziś poruszał się po Kingsbridge. Teraz jednak polanki wydawały się podobne do siebie, tak samo jak komuś obcemu podobne wydałyby się domy w Kingsbridge. Matka podążała ścieżkami, które zwierzęta wydeptały w gęstym lesie. Teraz Jack znów rozpoznawał miejsca zapamiętane z dzieciństwa: prastary dąb, gdzie kiedyś znalazł ucieczkę przed dzikiem; królicza łąka, która zapewniała tyle razy obiad; strumyk z pstrągami, w którym, jak to we wspomnieniach, łapał natychmiast wielką rybę. Przez moment wiedział, gdzie jest, w chwilę później gubił się ponownie. Zdumiewało go, że kiedyś czuł się całkiem u siebie w tych miejscach, gdzie strumyki i zarośla były tak niezrozumiałe dla niego, tak obce, jak jego klince, zworniki i szablony były niezrozumiałe dla chłopów. Gdyby w tamtych czasach kiedykolwiek zastanawiał się, jak też może zmienić się jego życie, domysły nawet nie zbliżyłyby się do prawdy.

Przeszli kilka mil. Był ciepły, wiosenny dzień i Jack spociał się, ale jego matka wciąż miała pelerynkę na ramionach. Dobrze po południu wyszła na niewielką, cienistą polankę. Jack zauważył, że jest zadyszana i nieco poszarzała na twarzy. To już najwyższy czas, by opuściła jaskinię i zamieszkała z nimi. Uświadomił sobie, że będzie musiał bardzo się starać, by przekonać ją do tego pomysłu.

– Dobrze się czujesz? – spytał.

– A dlaczegoż by nie – wybuchnęła. – Jesteśmy na miejscu.

Jack rozejrzał się. Nie mógł się zorientować.

– To tu? – zapytał Jonathan.

– Tak – odpowiedziała matka.

– Gdzie jest droga? – upewniał się Jack.

– O, tam.

Kiedy Jack ustawił się według drogi, polana zaczęła wyglądać znajomo. Porwała go fala wspomnień. Tam stał wielki kasztanowiec; wtedy nie miał liści i pełno kasztanów leżało na ziemi. Teraz jednak drzewo kwitło, wielkie białe kwiaty podobne do świec pokryły je w całości. Płatki zaczęły już opadać i co

kilka chwil biała chmura szybowiała miękko w dół.

– Martha powiedziała mi, co się stało – przypomniał sobie Jack. – Zatrzymali się tutaj, bo twoja matka nie mogła iść dalej. Tom rozpałił ogień i zagotował wodę z rzepą na kolację. Nie było mięsa. Matka urodziła cię dokładnie tutaj, na ziemi. Byłeś zupełnie zdrowy, ale z nią coś się stało i umarła. – Kilka stóp od pnia drzewa było niewielkie wzniesienie. Jack wskazał na nie. – Popatrz, widzisz to?

Jonathan skinął głową, jego twarz była ściągnięta tłumionymi uczuciami.

– To jest ten grób.

Jonathan uklęknął i jął się modlić.

Jack stał cicho. Przypomniał sobie, jak się czuł, kiedy w Cherbourgu odnalazł swych krewnych; takie doświadczenie jest druzgoczące. To, przez co przechodził teraz Jonathan, musiało być stokroć intensywniejsze.

W końcu Jonathan wstał.

– Kiedy będę przeorem – oświadczył uroczyście – wybuduję tutaj niewielki klasztor z kaplicą i gospodą, by w przyszłości żaden podróżny na tym kawałku drogi nie musiał spędzać mroźnych zimowych nocy, śpiąc na ziemi pod gołym niebem. Poświęcę tę kaplicę mojej matce. – Popatrzył na Jacka.

– Nie przypuszczam, byś znał jej imię. – Agnes – miękko powiedziała Ellen. – Imię twojej matki brzmiało Agnes.

Mowa biskupa Walerana była bardzo przekonująca. Rozpoczął swój wywód od przedstawienia sądowi drogi Philipa w zdobywaniu coraz wyższych urzędów w posłudze zakonnej – klucznik w klasztorze w wieku dwudziestu jeden lat, przeor małej wspólnoty Świętego Jana z Lasu w wieku dwudziestu trzech lat, przeor Kingsbridge w znacząco młodym wieku dwudziestu ośmiu lat. Stale podkreślał młodość Philipa i zdołał tak pokierować mową, by zasugerować swoistą arogancję zakonnika, który w tak młodym wieku przyjmował na

siebie dużą odpowiedzialność. Potem odmalował klasztor Świętego Jana z Lasu, podkreślił jego oddalenie i odizolowanie i mówił o swobodzie i niezależności każdego, ktokolwiek był tam przeorem.

– Któż mógł się dziwić – rzekł – że po pięciu latach ten niezależny, słabo nadzorowany, niedoświadczony i krewki młody człowiek ma dziecko?

Brzmiało to tak, jakby taka kolej rzeczy była nieunikniona. Biskup przygotował swoje wystąpienie tak przekonywująco, że aż budził wściekłość – Philip najchętniej by go udusił.

Waleran opowiadał następnie o tym, jak Philip przywiózł do Kingsbridge Johnny’ego Osiem Pensów z Jonathanem. Mnisi byli zaskoczeni, gdy ich nowy przeor pojawił się z dzieckiem i niańką. To była prawda. Przez chwilę Philip oddał się wspomnieniom i jego napięcie opadło, musiał stłumić uśmiech nostalgii.

Philip bawił się z małym Jonathanem, uczył go, a potem uczynił osobistym asystentem. Waleran zaznaczył, że tak właśnie wielu ludzi czyni z własnymi synami, tyle że mnisi nie są mnichami po to, by mieć synów.

– Jonathan, podobnie jak Philip, także przedwcześnie zaczął zajmować urzędy klasztorne – Waleran kontynuował opowieść. – Kiedy zmarł brat Cuthbert zwany Białogłowym, Philip mianował Jonathana jego następcą, nie bacząc na to, że miał on zaledwie dwadzieścia jeden lat. Czy naprawdę w klasztorze liczącym ponad stu mnichów nie było nikogo innego, kto mógłby zostać klucznikiem, nikogo poza dwudziestojednoletnim chłopcem? A może Philip wolał kość ze swej kości i krew z krwi swojej? Kiedy Milius odszedł, by zostać przeorem w Glastonbury, Philip uczynił Jonathana kwestarzem. Ma trzydzieści cztery lata. Czy jest najmądrzejszy i najpobożniejszy ze wszystkich tutejszych mnichów? Czy może po prostu jest faworytem Philipa?

Philip rozejrzał się. Posiedzenie sądu odbywało się w południowym transepcie katedry Kingsbridge. Archidiakon Peter siedział na wielkim, ozdobnie rzeźbionym krześle, jak na tronie. Wszyscy ludzie Walerana nie omieszkali

przybyć, byli także obecni niemal wszyscy mnisi z Kingsbridge, zjawily się wszystkie osoby związane z kościołem w hrabstwie, pofatygowali się nawet niektórzy księża z odległych parafii, a nawet przedstawiciele sąsiednich diecezji. Praktycznie cała kościelna wspólnota południowej Anglii oczekiwała na wyrok tego sądu. Oczywiście cnotą Philipa lub jej brakiem zbytnio się nie interesowali – śledzili ostatnią próbę sił między przeorem Philipem i biskupem Waleranem.

Kiedy Waleran usiadł, Philip złożył przysięgę, potem ją opowiadać, co zaśzło tego zimowego poranka przed laty. Rozpoczął od kłopotów spowodowanych przez brata Petera z Wareham; Philip chciał, by wszyscy wiedzieli, że archidiakon jest do niego uprzedzony. Potem poprosił Francisca, by opowiedział, jak dziecko zostało znalezione.

Jonathan oddalił się. Zostawił wiadomość, że jest na tropie nowych wieści o rodzicach. Jack także zniknął, z czego Philip wyciągnął wniosek, że wyprawa ma coś wspólnego z Ellen, jego matką. Przypuszczał, że Jonathan obawiał się, iż gdyby opowiedział wszystko jemu, Philipowi, to on by go powstrzymał. Mieli wrócić do dzisiejszego ranka, ale jeszcze ich nie było. Philip zresztą nie spodziewał się, by Ellen mogła coś dodać do tego, co opowiadał Francis.

– To nie było moje dziecko – rzekł po prostu. – Przysięgam, że nie było moje, na duszę moją nieśmiertelną. Nigdy zmysłowo nie poznałem żadnej kobiety i do dziś w stanie czystości pozostaję, zgodnie z przykazaniem Pawła Apostoła. Wielebny biskup pyta, dlaczegoś ty wtedy traktował dziecię, jakby moim było?

Rozejrzał się po słuchaczach. Postanowił, że powie prawdę i w ręce Boga złoży sprawę, bo to jedyna szansa. Może Bóg przemówi przez niego wystarczająco głośno, by przebić się przez duchową głuchotę archidiakona.

– Moi rodzice umarli, kiedy miałem sześć lat. Zostali zabici przez żołnierzy starego króla Henryka, to było w Walii. Mój brat i ja zostaliśmy uratowani przez opata klasztoru leżącego opodal. Od tego dnia opiekowali się nami mnisi.

Byłem klasztorным sierotą. Wiem, co to znaczy. Rozumiem, kiedy sierota tęskni do matczynego dotyku, nawet jeśli kocha braci, którzy się nim opiekują. Wiedziałem, że Jonathan czuł się jak ktoś nienormalny, dziwny, bezprawny. Ja też miałem to wrażenie, odczuwałem, że jestem inny niż wszyscy, bo oni mieli ojca i matkę, a ja nie. Wstyd mi było, że stałem się ciężarem dla ludzkiego miłosierdzia, zastanawiałem się, czym zawiniłem, że jestem pozbawiony tego, co inni mają zapewnione. Dlatego wiedziałem, że marzył w nocy o ciepłym łonie i miękkim głosie matki, której nie znał, kimś, kto kochałby go bezgranicznie.

Twarz archidiakona była kamienna. To najgorszy rodzaj chrześcijanina, uświadomił sobie Philip, dostrzega wszelkie złe strony, forsuje każdy zakaz, opiera się na wszelkich formach odmowy i domaga się surowej kary za każde uchybienie. Jednocześnie ignoruje całe współczucie chrześcijańskie, wypiera się łaski i litości, jawnie narusza etykę miłości i otwarcie wyszydza szlachetne prawa Jezusa. Tacy byli faryzeusze. Nic dziwnego, że Pan wołał jadać z plebem i grzesznikami.

Mówił dalej, aczkolwiek ze ściśniętym sercem rozumiał, że nic, co powie, nie przeniknie przez pancerz sprawiedliwości widzianej oczami Petera.

– Nikt nie opiekowałby się chłopcem tak, jak ja. Chyba że rodzice, a tych nie potrafiliśmy nigdy odnaleźć. Jakaż jaśniejsza wskazówka woli bożej... – urwał. Do kościoła właśnie weszli Jonathan z Jackiem. Między nimi szła ta wiedźma, Ellen, matka Jacka.

Postarzała się; jej włosy zupełnie zbielały, a twarz poorały zmarszczki. Wchodziła jednak jak królowa, z wysoko podniesioną głową, a jej dziwne złote oczy błyszczały wyzwaniem. Philip był zbyt zaskoczony, by protestować.

Kiedy weszła do nawy bocznej i stanęła twarzą w twarz z archidiakonem, wszystko ucichło. Odezwała się głosem dźwięcznym jak surmy, a echo odbijało się od okien kościoła wybudowanego przez jej syna.

– Przysięgam na wszystko, co święte, że Jonathan jest synem Toma Bardowniczego, mego zmarłego męża, i jego pierwszej żony.

Pośród zaskoczonego duchowieństwa wzniosła się wrzawa. Philip był zupełnie ogłupiały. Gapił się na Ellen z otwartymi ustami. Tom Budowniczy? Jonathan synem Toma Budowniczego? Kiedy popatrzył na Jonathana, zrozumiał, że to prawda: byli do siebie podobni, nie tylko wzrostem, ale i rysami twarzy. Gdyby Jonathan nosił brodę, byłoby to widoczne.

W pierwszej chwili ogarnęło go uczucie straty. Aż do tej pory był Jonathanowi najbliższy, jak ojciec. Okazało się jednak, że jego prawdziwym ojcem był Tom i jakkolwiek już nie żył, to odkrycie zmieniało wszystko. Już nie mógł w tajemnicy myśleć o sobie jako o ojcu Jonathana, a Jonathan już nigdy nie będzie mógł się czuć jak jego syn. Jonathan był teraz synem Toma. Philip go stracił.

Usiadł ciężko. Kiedy tłum trochę się uspokoił i gwar cichł, Ellen zaczęła opowiadać. Mówiła, że to Jack usłyszał płacz dziecka i znaleźli noworodka. Philip, oszołomiony, słuchał, jak wspominała, iż ukryli się z Tomem w zaroślach i obserwowali powrót Philipa z mnichami po porannej pracy i widzieli Francisa czekającego na nich z noworodkiem, i Johnny'ego Osiem Pensów próbującego nakarmić oseska szmatką maczaną w kubku koziego mleka.

Philip przypomniał sobie wyraźnie zainteresowanie Toma, dzień czy dwa później, kiedy przypadkiem spotkali się na drodze i opowiedział mu o porzuconym dziecku. Wówczas wydawało się to normalnym zaciekawieniem wzruszającą historią, podczas gdy naprawdę było to dowiadywanie się o losy własnego dziecka.

A kiedy Jonathan zaczął chodzić i stawał się psotnikiem, Tom bardzo się do niego zbliżył. Nikt tego nie zauważał, każdy traktował Jonathana jako maskotkę w owych czasach, a Tom cały swój czas spędzał w pobliżu klasztoru. Jego ciepłe zainteresowanie nie wyróżniało się niczym, teraz jednak we wspomnieniach Philip zdołał dostrzec, że w opiece, jaką Tom otaczał dziecko, było coś niezwykłego.

Ellen usiadła, a Philip zorientował się, że właśnie dowiedziono jego nie-

winności. Rewelacje Ellen były tak niespodziewane i druzgoczące, że niemal zapomniał, iż to jego proces. Opowiedziana przez nią historia o położu i śmierci, rozpacz i nadziei, dawnej tajemnicy i trwałej miłości sprawiła, że pytanie o niewinność Philipa wydawało się bez znaczenia. W rzeczywistości nie była to sprawa błaha, zależała od niej przyszłość klasztoru, lecz Ellen tak dramatycznie rozwiązała kwestię czystości Philipa, że kontynuowanie procesu wydawało się niemożliwe. Nawet Peter z Wareham nie może mnie ogłosić winnym przy takich dowodach, rozważał Philip. Waleran znów przegrał.

Skądinąd Waleran niezupełnie był gotów przyjąć porażkę. Wskazujący palec wyciągnął oskarżycielsko w stronę Ellen.

– Rzekłaś, że Tom Budowniczy powiedział ci, iż dziecko przyniesione do leśnego klasztoru było jego.

– Tak – potwierdziła ostrożnie Ellen.

– Lecz dwoje innych ludzi, którzy mogliby potwierdzić ten stan rzeczy, jego dzieci, nie towarzyszyły wam do klasztoru.

– Nie.

– A Tom nie żyje. Więc mamy tylko twoje słowo, że Tom tak ci powiedział. To, co mówisz, nie może być sprawdzone.

– Ile dowodów ci potrzeba, biskupie? – zapytała Ellen śmiało. – Jack widział porzucone dziecko. Ksiądz je wziął ze sobą. Jack i ja spotkaliśmy Toma z Alfredem i Marthą. Ksiądz zawiózł dziecko do klasztoru. Tom i ja podglądaliśmy klasztor. Ile świadectw cię zadowoli?

– Nie wierzę ci – powiedział Waleran.

– Ty mi nie wierzysz? – zawołała Ellen, a Philip nagle zorientował się, że jest rozzłoszczona, ogarnięta gwałtownym gniewem. – Ty mi nie wierzysz? Ty, Waleran Bigod, o którym wiem, że jest krzywoprzysięzcą?

Co się, u licha, dzieje? Philip miał przecucie zbliżającego się kataklizmu. Waleran zbiegał. W tym jest coś więcej, pomyślał przeor, coś takiego, czego Waleran się boi. Poczul ucisk w żołądku. Z nagłą Waleran zaczął wyglądać na

bezbronniego.

Philip zwrócił się do Ellen:

– Jak dowiedziałas się o krzywoprzysięstwie biskupa?

– Czterdzieści siedem lat temu, w tym właśnie klasztorze, był więzień, którego zwano Jack Shareburg – zaczęła wyjaśniać Ellen.

– Ten sąd nie jest zainteresowany wydarzeniami mającymi miejsce tak dawno temu – przerwał jej Waleran.

– Ależ jest zainteresowany – odparował przeor. – Oskarżenie przeciwko mnie wskazywało na akt cudzołóstwa sprzed trzydziestu pięciu lat, wielbny biskupie. Żądałeś, bym ja udowodnił swą niewinność. Sąd nie może mniej się spodziewać po tobie. – Zwrócił się do Ellen. – Mów dalej.

– Nikt nie wiedział, dlaczego był więźniem, a najmniej on sam. Przyszedł jednak czas, gdy go wypuszczono i dano mu zdobny klejnotami puchar, wiadomo, do niczego mu się nie mógł przydać i nie nadawał się do sprzedaży na rynku, bo był zbyt cenny. Zostawił go tedy, tutaj, w starej katedrze w Kingsbridge. Wkrótce został aresztowany. Przez Walerana Bigoda, który wówczas był prostym wiejskim księdzem, skromnym, lecz ambitnym. A puchar tajemniczo pojawił się ponownie w torbie Jacka. Jacka Shareburga fałszywie oskarżono o kradzież. Został osądzony na podstawie przysięgi, jaką złożyli trzej ludzie: Waleran Bigod, Percy Hamleigh i przeor James z Kingsbridge. I został powieszony.

Na moment zapadła napięta cisza, potem Philip zapytał:

– Skąd wiesz to wszystko?

– Byłam jedyną przyjaciółką Jacka Shareburga, a on był ojcem mego syna Jacka Jacksona, mistrza budowniczego tej katedry.

Wybuchła wrzawa. Waleran i Philip próbowali coś mówić w tym samym czasie, ale żaden z nich nie mógł być słyszany w tym pełnym zadziwienia i zaskoczenia zgietku zgromadzonego duchowieństwa. Przyszli, by ujrzyć pogębienie, pomyślał Philip, ale nie tego się spodziewali.

Wreszcie Peter zdołał wszystkich przekrzyczeć.

– Dlaczego trzech zachowujących prawo obywateli miałoby spiskować w celu fałszywego oskarżenia jakiegoś niewinnego obcokrajowca? – zwrócił się do Ellen.

– Dla zysku – odrzekła. – Waleran Bigod został archidiakonem. Percy dostał dwór Hamleigh i kilka innych wsi, stał się dostatnym człowiekiem. Nie wiem, co w nagrodę przypadło przeorowi Jamesowi.

– Na to ja mogę odpowiedzieć. – To był jakiś nowy głos.

Philip spojrział zaskoczony; mówiącym był brat Remigius. Już dobrze po siedemdziesiątce, białowłosy i skłonny do chaosu w mówieniu, teraz jednak miał błysk w oku i napięty wyraz twarzy. Rzadko można było go słyszeć publicznie; od czasu swego upadku i późniejszego powrotu do klasztoru prowadził pokorne i ciche życie. Przeor zastanawiał się, co będzie dalej. Czyją stronę weźmie Remigius? Czy wykorzysta tę ostatnią okazję, by wbić nóż w plecy swemu dawnemu wrogowi?

– Mogę wam powiedzieć, jaką nagrodę wziął przeor James – rzekł Remigius. – Klasztor otrzymał wsie Northwold, Southwold i Hundredacre oraz las Oldean.

Philip osłupiał. Czy to możliwe, by stary przeor dał fałszywe świadectwo, pod przysięgą, po to tylko, by dostać kilka wsi?

– Przeor James nigdy nie był dobrym gospodarzem – ciągnął Remigius. – Klasztor miał kłopoty, a on pomyślał, że dodatkowy dochód nam pomoże. – Remigius przerwał, a potem rzekł zjadliwie: – A to przyniosło mało dobrego, za to spowodowało wiele zła. Dochód pomógł na krótko, lecz przeor James nigdy nie odzyskał szacunku dla samego siebie.

Słuchając Remigiusa, Philip przypomniał sobie aure, jaką zawsze roztaczał ten pochylony i pokonany człowiek. Wreszcie mógł to zrozumieć.

– James właściwie nie składał fałszywych zeznań – kontynuował Remigius – bo przysięgał jedynie, że kielich należał do klasztoru, ale wiedział o niewin-

ności Jacka Shareburga, a pozostawał cicho. To milczenie zaciążyło na jego dalszym życiu.

Zapewne, pomyślał Philip, grzech sprzedajności dla mnicha jest straszny. Zeznanie Remigiusa potwierdziło historię opowiedzianą przez Ellen i... potępiło Walerana.

Remigius mówił dalej:

– Kilku spośród obecnych tutaj starszych braci pamięta, jak wyglądał klasztor czterdzieści lat temu: upadek, brak pieniędzy, ruina i demoralizacja. Stało się tak za przyczyną winy ciężącej na przeorze. Kiedy umierał, wyjaśnił mi to w ostatniej spowiedzi. Chciałem... – Przerwał. Wokół wyczuwało się milczące oczekiwanie. Remigius westchnął i oświadczył: – Chciałem przejąć jego stanowisko i naprawić szkody. Lecz Bóg wybrał innego do tego celu. – Znów zamilkł na chwilę, a twarz jego wyrażała bolesną walkę o siłę, by zakończyć. – Powinienem powiedzieć: Bóg wybrał lepszego. – Usiadł raptownie.

Philip był wstrząśnięty, oszołomiony i wdzięczny. Ellen i Remigius, dwoje starych wrogów, uratowali go. Odkrycie dawnych tajemnic sprawiło, że poczuł się tak, jakby dotychczas żył z jednym okiem zamkniętym. Biskup Waleran posiniał z wściekłości. Musiał czuć się bezpieczny po tych wszystkich latach. Nachylał się nad Peterem, mówiąc mu coś do ucha, podczas gdy pomruk komentarzy narastał.

Archidiakon wstał i krzyknął:

– Milczeć! – Zapanaowała cisza. – Rozprawa zakończona!

– Czekaj chwilę! – zawołał ktoś. Był to Jack Jackson. – To nie wystarczy! – wołał namiętnie. – Ja chcę wiedzieć dlaczego!

Ignorując go, Peter wyszedł w stronę drzwi prowadzących do krużganków, a Waleran postępował za nim.

Jack ruszył ich śladem.

– Dlaczego to zrobiliście? – krzyknął do Walerana. – Zełgałeś pod przysięgą i umarł człowiek, a teraz chcesz stąd wyjść bez słowa?

Blady biskup z zaciśniętymi ustami patrzył wprost przed siebie, jego twarz była maską tłumionej wściekłości. Kiedy przechodził przez drzwi, Jack wrzasnął:

– Odpowiedz mi, ty kłamliwy, sprzedajny, nikczemny tchórze! Dlaczego zabiłeś mego ojca?

Waleran wyszedł z kościoła i drzwi zatrzasnęły się za nim.

Rozdział 18

I

List od króla Henryka nadszedł w czasie posiedzenia kapituły.

Jack zbudował nowy kapitularz, by mógł pomieścić stu pięćdziesięciu mnichów – największą liczbę członków zakonnego zgromadzenia w jednym klasztorze w całej Anglii. Okrągły budynek miał kamienne sklepienie, a wewnątrz kamienne stopnie jako siedziska dla zgromadzonych. Urzędnicy klasztorni siadywali na kamiennych ławach pod ścianami, nieco wyżej niż pozostali, a Philip i Jonathan mieli dwa rzeźbione kamienne krzesła pod ścianą na wprost wejścia.

Młody mnich czytał siódmy rozdział Reguły świętego Benedykta.

– Szósty stopień pokory jest osiągnięty przez mnicha, który zadowala się wszystkim, co liche i nikczemne...

Philip zorientował się, że nie pamięta imienia lektora. Czy to dlatego, że się starzeje, czy może dlatego, że klasztor się tak rozrósł?

– Siódmy stopień pokory jest osiągnięty wówczas, gdy człowiek nie tylko językiem swym wyznaje, że jest najniższym i najpośledniejszym wśród innych, lecz i w głębi swego serca w to wierzy.

Philip wiedział, że tego stopnia pokory jeszcze nie osiągnął. Zrobił już wie-

le w tym kierunku przez swoje sześćdziesiąt dwa lata, osiągnął wiele dzięki odwadze i zdecydowaniu oraz wykorzystaniu swego rozumu. Musiał stale przypominać sobie, że prawdziwą przyczyną jego sukcesów było oparcie w Bogu, liczenie na Jego pomoc, bez czego wszystkie wysiłki skazane byłyby na niepowodzenie.

Jonathan niespokojnie poruszył się obok niego. Miał więcej trudności z zachowaniem cnoty pokory niż Philip. Arogancja jest wadą dobrych przywódców. Jonathan był już przygotowany do przejścia klasztoru jako jego przeor, z tego powodu niecierpliwił się. Rozmawiał z Alieną i był pełen zapału, chciał wypróbować jej innowacje rolnicze, takie jak orka za pomocą koni czy sianie jarego owsa i grochu na ugorach. Byłem taki sam w sprawie hodowli owiec. To było trzydzieści pięć lat temu, pomyślał Philip.

Doskonale wiedział, że powinien się odsunąć i przekazać klasztor Jonathnowi, a sam spędzić ostatnie lata na modlitwie i medytacji. To był sposób życia, który często proponował innym. Teraz jednak, kiedy był już wystarczająco stary, by odejść, taka perspektywa go odstręczała.

Był zdrow jak ryba, a umysł miał żywy jak zawsze. Życie modlitwą i medytacją doprowadziłoby go do oblędu.

Inna sprawa, że Jonathan nie mógł czekać wiecznie. Bóg obdarzył go umiejętnościami do prowadzenia dużej wspólnoty, a Jonathan nie miał zamiaru zmarnować swojego talentu. Odwiedził w ostatnich latach liczne klasztory, wszędzie zostawiając po sobie dobre wrażenie. Któregoś dnia, gdy umrze jakiś opat, mnisi mogą poprosić Jonathana, by stanął do wyborów, a Philipowi niezwykle trudno byłoby nie wyrazić na to zgody.

Mnich, którego imienia nie potrafił sobie przypomnieć, właśnie skończył czytanie rozdziału, kiedy rozległo się pukanie do drzwi i odzwierny wszedł do środka. Brat Steven zmarszczył na niego brwi: furtian nie powinien przeszkadzać kapitule. Brat Steven był odpowiedzialny za dyscyplinę i bardzo pedantycznie przestrzegał norm zachowania.

– Przybył goniec od króla! – powiedział cicho furtian.

Philip nachylił się do Jonathana.

– Zobacz, o co chodzi, dobrze?

Goniec mógł mieć polecenie, by przekazać list do rąk starszego urzędnika zakonnego. Jonathan wyszedł. Mnisi zaczęli szeptać między sobą.

– Będziemy kontynuować modlitwy za zmarłych – rzekł Philip pewnym głosem.

Kiedy rozpoczęto modlitwy, Philip jął się zastanawiać, co takiego król Henryk II miał do powiedzenia klasztorowi w Kingsbridge, że aż musiał wysłać list. Nie wyglądało na to, by była to dobra nowina. Henryk trwał w niezgodzie z Kościołem od sześciu lat. Klótnię zapoczątkował spór o jurysdykcję sądów kościelnych, lecz zła wola króla i porywczosć arcybiskupa Canterbury, Tomasa Becketa, uniemożliwiały jakikolwiek kompromis, aż spór przeszedł w kryzys. Becket został zmuszony do opuszczenia kraju.

Niestety Kościół nie był jednomyślny w popieraniu arcybiskupa. Niektórzy biskupi, tacy jak Waleran Bigod, wzięli stronę króla, chcąc zyskać jego łaskę. Skądinąd papież naciskał Henryka, by pogodził się z Becketem. Chyba najgorszą konsekwencją całego sporu było to, że z powodu potrzeby popierania poczynań królewskich przez Kościół Anglii żądni władzy biskupi typu Walerana zwiększali swoje wpływy na dworze. Z takiej to przyczyny królewski list wydał się przeorowi bardziej złowieszczy niż zazwyczaj.

Jonathan wrócił i podał Philipowi zwój welinu zapieczętowanego woskiem, w którym była odcisnięta olbrzymia pieczęć królewska. Wszyscy mnisi wpatrywali się weń natarczywie i przeor zdecydował, że byłoby przesadą nakłanianie ich do skoncentrowania się na modlitwach za zmarłych w chwili, gdy ma taki list w ręku.

– Dobrze – rzekł. – Modlitwy dokończymy później. – Złamał pieczęć i otworzył list. Spojrzał na pozdrowienia powitalne, po czym podał list Jonathanowi, którego młodsze oczy były sprawniejsze. – Przeczytaj nam to, proszę.

Po zwyczajowych pozdrowieniach król pisał:

– „...Nowym biskupem Lincoln ustanawiam Walerana Bigoda, dotychczasowego biskupa Kingsbridge...”.

Głos Jonathana został przygłuszony gwarem komentarzy. Philip potrząsnął głową z niesmakiem. Waleran stracił całą swą wiarygodność w tej okolicy od czasu rewelacji ujawnionych w procesie Philipa i niewskazane było, by w dalszym ciągu pozostawał tutejszym biskupem. Przekonał tedy króla, by mianował go biskupem Lincoln – jednego z najbogatszych biskupstw świata. Lincoln było trzecią co do ważności diecezją w królestwie, po Canterbury i Yorku. Z tego miejsca był tylko krok do zostania arcybiskupem. Henryk mógł nawet zmusić Walerana do przejścia funkcji Tomasza Becketa. Myśl o Waleranie jako arcybiskupie Canterbury, głowie angielskiego Kościoła, była tak odstręczająca, że Philipa zemdliło z niepokoju.

Kiedy mnisi uspokoili się, Jonathan ciągnął:

– „...i polecam Dziekanowi i Kapitulie Lincoln jakoby wybranym został”.

Łatwiej powiedzieć, niż zrobić, pomyślał Philip. Zalecenie królewskie to niemal rozkaz, ale niezupełnie: gdyby kapituła Lincoln wystąpiła przeciw Waleranowi albo miała swojego kandydata, mogłaby sprawić królowi kłopoty. Prawdopodobnie król przeprowadziłby swoją wolę, ale nie było to takie pewne.

– „Rozkazuję wam, Kapitulie klasztoru w Kingsbridge, przygotować i przeprowadzić wybory nowego biskupa Kingsbridge; i zalecam wam na to stanowisko sługę mego,

Petera z Wareham, archidiakona Canterbury” – zakończył czytanie Jonathan.

Mnichom zebranych w kapitułarzu wyrwał się zbiorowy okrzyk protestu. Philipa przejął chłodny dreszcz. Arogancki, zawzięty i samowolny archidiakon Peter jako królewski wybraniec na biskupa Kingsbridge! Peter był dokładnie takim samym rodzajem człowieka jak Waleran. Obydwaj zasadniczo pobożni i bogobojni, nie mieli poczucia własnej grzeszności, więc swoje życzenia trak-

towali jako wolę Boga, wskutek tego przeprowadzali swe zamierzenia w sposób bezwzględny. Przy Peterze jako biskupie Jonathan pędziłby swe życie przeora, walcząc o sprawiedliwość i obyczajność w diecezji rządzonej żelazną ręką przez człowieka bez serca. Jeśliby na dodatek Waleran został arcybiskupem, nie byłoby żadnej nadziei, że ktoś go wesprze.

Dalekowzroczny Philip przewidywał ponure czasy, podobne do najgorszego okresu wojny domowej, kiedy hrabiowie w rodzaju Hamleigha wyczyniali, co tylko im się podobało. Kiedy butni księża będą lekceważyli swych parafian, klasztor znów popadnie w ubóstwo i stanie się słabym cieniem tego, czym jest teraz. Na tę myśl złość ogarnęła przeora.

Nie był jedynym rozzłoszczonym na sali. Z poczerwieniałą z gniewu twarzą wstał brat Steven.

– Nie może być! – krzyknął najgłośniejszym, jak potrafił, pomimo iż Philip zarządził, by w kapitułarzu mówić cicho i spokojnie.

Mnisi chórem poparli Stevena, a Jonathan potwierdził swą mądrość, zadając pytanie podstawowe:

– Co możemy zrobić?

Brat Bernard, otyły jak zawsze, rzekł:

– Musimy odmówić posłuszeństwa królowi!

Kilku mnichów głośno wyraziło zgodę.

– Powinniśmy napisać Henrykowi, że wybierzemy, kogo nam się spodoba!
– oświadczył brat Steven i po chwili dodał zakłopotany: – Pod bożym przewodnictwem ma się rozumieć.

– Nie zgadzam się, żebyśmy odmawiali od razu – odrzekł Jonathan. – Im szybciej przeciwstawimy się królowi otwarcie, tym szybciej jego gniew spadnie na nasze głowy.

– Jonathan ma rację – powiedział Philip. – Człowiek, który przegrywa bitwę z królem, może spodziewać się przebaczenia, człowiek, który jest zwycięzcą w bitwie... nigdy.

– Ależ w ten sposób od razu się poddajecie! – wybuchnął Steven.

Philip tak samo był pełen obaw i tak samo się kłopotał, ale musiał zachować spokój.

– Bracie Stevenie, powściągnij swój temperament – napomniwał mnicha. – Oczywiście, że musimy przeciwstawić się tej okropnej nominacji, ale trzeba to czynić sprytnie i ostrożnie, starannie unikając otwartej konfrontacji.

– W takim razie, co mamy robić?

– Nie jestem pewny – odrzekł Philip.

W pierwszej chwili zdominowała go bezsilność, lecz teraz przechodził do ataku. W tej wojnie walczył ciągle, znów i znów, przez całe życie. Wojował tutaj, w klasztorze, kiedy zwyciężył Remigiusa i został przeorem, wojował w hrabstwie przeciwko Williamowi Hamleighowi i Waleranowi Bigodowi, a teraz podejmował walkę na skalę kraju. Miał zwyciężyć króla.

– Myślę, że muszę pojechać do Francji – powiedział. – Powiniennem zobaczyć się z arcybiskupem Tomaszem Becketem.

Kiedy Philip stawał twarzą w twarz z kolejnym kryzysem, zazwyczaj miał jakiś plan. Zawsze gdy jemu samemu, jako przeorowi klasztoru, czy jego miastu zagrażały siły bezprawia i okrucieństwa, wymyślał jakąś formę obrony lub kontrataku. Nigdy nie był pewny powodzenia, ale też nigdy nie był tak zupełnie bez pomysłu jak dzisiaj.

Jeszcze dokuczała mu konfuzja, mimo że docierał do Sens, miasta leżącego w królestwie francuskim na południowy wschód od Paryża.

Katedra w Sens była najszerszym budynkiem, jakie dotąd oglądał. Nawa musiała mieć z pięćdziesiąt stóp szerokości. W porównaniu z Kingsbridge, katedra ta dawała raczej wrażenie przestrzeni niż światła.

Podczas podróży przez Francję po raz pierwszy w życiu Philip uświadomił sobie, że stylów budowy kościołów jest o wiele więcej, niż kiedykolwiek to so-

bie wyobrażał. Zrozumiał też, jak rewolucyjny wpływ na sposób myślenia Jacka miała jego podróż. Philip przekonał się o tym podczas wizyty w Saint-Denis, kiedy przejeżdżał przez Paryż. Zobaczył też, skąd Jack wziął niektóre swoje pomysły. Widział również dwa inne kościoły ze skrzydlatymi przyporami, podobnymi do tych w Kingsbridge; najwidoczniej mistrz budowniczy miał podobne problemy, jakie napotkał Jack, i znalazł to samo rozwiązanie.

Philip poszedł złożyć wyraz uszanowania biskupowi Sens, Wilhelmowi Whitehands, Białołękiemu, błyskotliwemu młodemu duchownemu, który był siostrzeńcem króla Stefana. Arcybiskup zaprosił Philipa na obiad, i chociaż przeor czuł się zaszczycony, zrezygnował jednak z tego zaproszenia. Przebył długą drogę, by spotkać się z Tomaszem Becketem i teraz, gdy był już tak blisko, zaczął się niecierpliwić. Po wysłuchaniu mszy w katedrze udał się z biegiem rzeki Yonne na północ.

Jak na przeora jednego z najzamożniejszych klasztorów w Anglii podróżował skromnie. Miał w orszaku tylko dwu zbrojnych strażników i do pomocy młodego mnicha, brata Michaela z Bristolu. Juki były wypełnione świętymi księgami, skopiowanymi i pięknie iluminowanymi w skryptorium w Kingsbridge. Przeznaczył je na prezenty i robił dzięki nim spore wrażenie, szczególnie w zestawieniu ze skromnym otoczeniem. To było zamierzone: chciał, by ludzie czuli szacunek dla klasztoru, nie do przeora.

Tuż za północną bramą Sens, pośród słonecznych łąk nad rzeką Yonne, znalazł czcigodne opactwo Sainte-Colombe, gdzie arcybiskup Tomasz mieszkał już od trzech lat. Jeden z jego księży powitał ciepło Philipa, przywołał sługi, by zajęli się końmi i bagażami, po czym uroczyście wprowadził go do klasztornego domu gościnnego, gdzie przebywał arcybiskup. Philipowi przyszło na myśl, że wygnańcy, nie tylko z powodów sentymentalnych, muszą bardzo się cieszyć, gdy odwiedza ich ktoś z ojczyzny, jest to bowiem także znak poparcia.

Philip i jego towarzysze otrzymali pożywienie i wino i zostali zapoznani z domownikami Tomasza. Byli to księża, wszyscy w większości młodzi i jak

Philip osądził, niegłupi. Już po krótkiej chwili Michael spierał się z jednym z nich na temat transsubstancjacji. Philip upił wina i słuchał, nie włączając się. W końcu jeden z księży zwrócił się do niego:

– A jaki jest twój pogląd, ojcze Philipie? Dotychczas jeszcze nic nie powiedziałeś.

– Zawile kwestie teologiczne są dla mnie teraz najmniejszym zmartwieciem. – Uśmiechnął się.

– Dlaczego?

– Bo wszystkie będą i tak rozwiązane w bliższej czy dalszej przyszłości, a tymczasem można je spokojnie odłożyć.

– Dobrze powiedziane! – odezwał się nowy głos, a przeor, spoglądając w górę, zobaczył arcybiskupa Tomasza.

Philip natychmiast odczuł obecność człowieka znaczącego. Tomasz był wysoki, smukły i wyjątkowo przystojny, o szerokim czole, jasnych oczach, jasnej cerze, ciemnych włosach. Mógł mieć dziesięć lat mniej od Philipa, czyli jakieś pięćdziesiąt czy pięćdziesiąt jeden. Pomimo nieszczęść zachował żywy, dobrotliwy wygląd. Jak Philip natychmiast zauważył, Tomasz budził sympatię, a to częściowo tłumaczyło jego szybką karierę jako duchownego, mimo że nie wywodził się z arystokracji.

Philip ukląkł i pocałował arcybiskupa w rękę.

– Bardzo się cieszę z poznania ciebie, ojcze! Zawsze chciałem odwiedzić Kingsbridge. Wiele słyszałem o waszym klasztorze i przepięknej nowej katedrze – rzekł arcybiskup.

Były to miłe słowa uznania.

– Wasza Ekszelencjo, przybyłem zobaczyć się z tobą, bo to, cośmy osiągnęli, jest zagrożone przez decyzję króla.

– Opowiesz mi wszystko, ojcze. Chodź ze mną. – Tomasz odwrócił się i ruszył do wyjścia.

Philip zadowolony, a zarazem skrępowany podążył za nim.

Arcybiskup wprowadził go do mniejszej komnaty. Znajdowało się tam kosztowne łóżko z drewna i skóry, zaścielone płachtami cienkiego płótna i puchową haftowaną kołdrą. Przeor jednak zauważył również cieniutki siennik zwinięty w kącie i przypomniał sobie opowieści, że Tomasz nigdy nie używa wspaniałych mebli przygotowanych dla niego przez jego gospodarzy. Philip wspomniawszy swe wygodne łoże w Kingsbridge i zaczęło mu doskwierać poczucie winy na myśl, że kiedy on chrapie w puchach, prymas Anglii śpi na podłodze.

– Wracając do katedry – rzekł Tomasz. – Co myślisz o Sens?

– Zdumiewająca – odrzekł Philip. – Kto był mistrzem budowniczym?

– William z Sens. Mam nadzieję przywabić go kiedyś do Canterbury. Powiedz mi, co się dzieje w Kingsbridge. Usiądź.

Philip opowiedział o biskupie Waleranie i archidiakonie Peterze. Tomasz objawił głębokie zainteresowanie wszystkim, co Philip mówił, i zadał kilka wnikliwych pytań. Obok ujmującego sposobu bycia, odznaczał się otwartym, błyskotliwym umysłem. Potrzebował obu właściwości, by zająć tak wysoko i sprzeciwiać się woli jednego z najsilniejszych królów, jakich Anglia kiedykolwiek miała. Plotkowano, że pod szatą arcybiskupią Tomasz nosił włosiennicę, Philip zaś uświadomił sobie, że pod czarującą powierzchownością kryła się żelazna wola.

Arcybiskup słuchał w skupieniu. Kiedy Philip skończył, rzekł:

– Nie wolno do tego dopuścić.

– Zapewne – odpowiedział Philip. Zdecydowany ton Tomasza dodawał odwagi. – Czy mógłbyś temu zapobiec, Ekscelencjo?

– Tylko wtedy, gdy byłbym ponownie wprowadzony na arcybiskupstwo Canterbury.

To nie była odpowiedź, na jaką Philip liczył.

– Ale czy teraz możesz, Ekscelencjo, napisać do papieża w tej sprawie?

– Napiszę – powiedział Tomasz. – Dziś jeszcze. Papież nie uzna Petera jako biskupa Kingsbridge, to ci przyrzekam. Ale nie możemy powstrzymać go

przed zajęciem miejsca w pałacu biskupim i nie możemy wysuwać innego kandydata.

Philip był wstrząśnięty i rozczarowany zdecydowaną odmową Tomasza. Przez całą drogę pielęgnował nadzieję, że arcybiskup nadrobi to, czego on sam nie dopatrzył, i znajdzie wyjście, które pozwoli pokrzyżować plany Walerana. Lecz błyskotliwy Tomasz był także przyciśnięty do muru. Wszystko, co mógł zaproponować, to nadzieję na powrót do Canterbury. Potem, oczywiście, miałby dosyć władzy, by przeciwstawić się mianowaniu biskupa. Zdeprimowany Philip zapytał:

– Czy jest jakaś nadzieja na twój rychły powrót, Ekscelencjo?

– Jakaś nadzieja zawsze istnieje, jeśli się jest optymistą – odpowiedział Tomasz. – Papież obmyślił traktat pokojowy i popycha mnie i Henryka do zgody. Warunki są dla mnie do przyjęcia; traktat daje mi to, o co walczyłem. Henryk twierdzi, że i jemu traktat odpowiada. Zasugerowałem, by wykazał swą szczerłość, dając mi znak pokoju. Odmawia. – Ton Tomasza zmienił się. Naturalne wznoszenie i opadanie głosu ustąpiło miejsca natrętnej monotonii. Całe ożywienie znikło i jego oblicze przybrało wyraz, jaki ma fizjonomia księdza wygłaszającego kazanie wobec nieuważnego gremium. Philip dojrzał w tej twarzy upór i dumę, fundamenty walki toczonej przez te wszystkie lata. – A odmowa oznacza, że król planuje zwabić mnie z powrotem do Anglii, a potem odstąpić od warunków umowy.

Philip skinął głową. Pocałunek pokoju, będący częścią rytuału mszy, symbolizował zaufanie i żaden kontrakt, poczynając od ślubu, a kończąc na zawieszeniu broni, nie był spełniony bez pocałunku pokoju.

– Co mam zatem czynić? – powiedział tyleż do Tomasza, co do siebie.

– Wracaj do Anglii i walcz o mnie – odrzekł Tomasz. – Pisz listy do przyjaźnionych opatów i przeorów. Wyślij delegację z Kingsbridge do papieża. Petycję do króla. Wygłaszaj kazania w swej sławnej katedrze, mówiąc ludowi twego hrabstwa o tym, jak ich najwyższy kapłan został odtracony przez króla.

Philip skinął głową. Nie miał zamiaru robić niczego w tym rodzaju. Tomasz chciał, by on dołączył do opozycji przeciw królowi. To na pewno podniosłoby morale arcybiskupa, ale nie dałoby nic klasztorowi w Kingsbridge.

Stary przeor miał lepszy pomysł. Jeśli Henryk i Tomasz byli tak blisko zgody, to nie trzeba było wiele, by ich do niej popchnąć. Pomyślał z nadzieją, że może mógłby coś w tej sprawie zrobić. Ten pomysł natchnął go optymizmem. Daleki strzał, ale nie miał nic do stracenia.

W końcu klócili się tylko o pocałunek.

Philip był wstrząśnięty na widok tak bardzo postarzałego brata. Włosy Francisca były siwe, pod oczami miał worki, a skóra wyglądała na zupełnie wysuszoną. Jednakowoż skończył sześćdziesiąt lat i może ten obraz nie powinien zaskakiwać. Oczy miał przecież jasne i był dziarski.

Oglądanie brata, jak zwykle, przywodziło mu na myśl, że sam się starzeje. Nie patrzył w lustro od lat. Zastanowił się, czy też ma worki pod oczami. Dotknął twarzy. Trudno powiedzieć.

– Jak się pracuje u Henryka? – spytał Philip, jak każdy ciekawy, jakimi są królowie prywatnie.

– Jest lepszy niż Matyllda – odpowiedział Francis. – Ona była sprytniejsza, ale nieszczerza. Henryk jest bardzo otwarty. Zawsze wiesz, co myśli.

Siedzieli na krużganku klasztoru w Bayeux, gdzie zatrzymał się Philip. Dwór króla Henryka był niedaleko, w pobliskim zamku. Francis wciąż pracował dla Henryka, już od dwudziestu lat. Teraz stał na czele kancelarii prawnej, urzędu, który sporządzał wszystkie królewskie listy i statuty. Było to poważne stanowisko, dające ogromną władzę.

– Otwarty? Henryk? Arcybiskup Tomasz tak nie uważa.

– Proszę, oto kolejny duży błąd arcybiskupa – pogardliwie rzekł Francis.

Philip pomyślał, że Francis nie powinien być taki lekceważący.

– Tomasz to wielki człowiek – zauważył.

– Tomasz chce być królem – warknął Francis.

– I wygląda na to, że Henryk chce być arcybiskupem – odparował Philip.

Patrzyli z napięciem na siebie przez chwilę. Jeśli my już zaczynamy się kłócić, pomyślał Philip, to nic dziwnego, że Henryk i Tomasz walczą z takim zacięciem. Uśmiechnął się i powiedział:

– No cóż, ty i ja nie powinniśmy się o to kłócić.

Twarz Francis rozluźniła się.

– Nie, oczywiście, że nie. Pamiętaj, ten spór jest zmorą mego życia już od sześciu lat. Nie potrafię być tak obojętny jak ty.

Philip skinął głową.

– Dlaczego jednak Henryk nie przyjmuje pokojowego planu papieża?

– Przyjmie. Jesteśmy o włos od pojednania. Tyle że Tomasz chce więcej.

Nalega na znak pokoju.

– Jeśli król jest szczerzy, z pewnością mógłby przekazać znak pokoju jako rękojmię.

– Tego nie ma w planie! – rozdrażniony Francis podniósł głos.

– A swoją drogą, dlaczego nie? – drażył Philip.

Francis westchnął.

– Rad by to zrobił. Jednak kiedyś zaklął się publicznie, że nigdy nie przekazuje Tomaszowi znaku pokoju.

– Wielu królów łamało takie publiczne przysięgi – Philip naciskał.

– Słabi królowie. Henryk nie złamie publicznej przysięgi. To jedna z tych rzeczy, które odróżniają go od tego żalostnego króla Stefana.

– No to Kościół prawdopodobnie nie powinien próbować go przekonywać, bo i tak nic to nie da – rzekł niechętnie Philip.

– Dlaczego jednak Tomasz tak nalega na ten pocałunek? – Francis wciąż był rozdrażniony.

– Bo nie wierzy Henrykowi. Cóż miałyby przeszkodzić królowi w odstąpie-

niu od umowy? Cóż mógłby Tomasz zrobić przeciw temu? Znów udać się na wygnanie? Jego poplecznicy są wierni, ale słabi i zmęczeni. Tomasz nie przeżyłby tego wszystkiego jeszcze raz. Zanim tedy odda się w ręce króla, musi otrzymać żelazne gwarancje.

Francis ze smutkiem potrząsnął głową.

– Tak więc stało się to kwestią dumy. Wiem, że Henryk nie ma intencji oszukania Tomasza. Ale nie może być zniewalany. Nienawidzi tego uczucia.

– Sądzę, że z Tomaszem jest tak samo – rzekł Philip. – Prosił o ten znak i nie może się teraz wycofać. – Wyczerpany potrząsnął głową. Myślał, że Francis mógłby zasugerować sposób doprowadzający do spotkania obu mężów ze sobą, lecz takie zadanie wyglądało na niemożliwe.

– Jak na ironię wiem, że Henryk rad pocałuje Tomasza po pojednaniu – rzekł Francis. – On po prostu nie akceptuje tego jego wstępu.

– Powiedział to? – spytał Philip.

– Tak.

– Ależ to zmienia wszystko! – Philip się ożywił. – Co dokładnie powiedział?

– „Pocałuję go w usta, ucałuję jego stopy i wysłucham mszy przez niego celebrowanej – ale po jego powrocie”. Słyszałem to osobiście.

– Przekażę to Tomaszowi.

– Myślisz, że może to zaakceptować? – zapytał z zapalem Francis.

– Nie wiem. – Philip nie śmiał mieć nadziei. – Wygląda to na małe ustępstwo. Dostanie swój pocałunek, ale trochę później, niż tego żąda.

– Ze strony Henryka ustępstwo też niewielkie. – Francis mówił z rosnącym podnieceniem. – Daje pocałunek, ale dobrowolnie, nie pod przymusem. Na Boga, to może się udać.

– Mogliby pojednać się w Canterbury. Ugoda powinna być ogłoszona wcześniej, by żaden z nich nie mógł nic w ostatniej chwili zmienić. Tomasz odprawiłby mszę w katedrze, a król Henryk mógłby go tam pocałować. – A po-

tem, dodał w myśli, Tomasz mógłby powstrzymać diabelski plan Walerana.

– Idę oznajmić to królowi – rzekł Francis.

– A ja Tomaszowi.

Uderzył klasztorny dzwon. Obaj bracia wstali.

– Staraj się go przekonać – rzekł Philip. – Jeśli to się uda, Tomasz wróci do Canterbury, a jeśli on wróci, to Waleran Bigod jest skończony.

Spotkali się na ślicznej łące nad brzegiem rzeki na granicy między Normandią i królestwem Francji, niedaleko miast Fréteval i Vievy-le-Raye. Król Henryk wraz ze swą świtą już tam był, kiedy przybył Tomasz w towarzystwie arcybiskupa Williama z Sens. Philip, znajdujący się w orszaku Tomasza, dostrzegł swego brata Francisca w świcie króla, na odległym skraju łąki.

Henryk i Tomasz osiągnęli porozumienie teoretycznie.

Obaj zaakceptowali kompromis, w którym ustalono, że pocałunek pokoju zostanie przekazany podczas mszy pojednania po powrocie Becketa do Anglii. Jednakże ugoda nie będzie faktem dopóty, dopóki się nie spotkają.

Tomasz wyjechał na środek pola, pozostawiając za sobą swoich ludzi, Henryk uczynił to samo, a wszyscy wpatrywali się z zapartym tchem.

Rozmawiali wiele godzin.

Nikt poza nimi samymi nie wiedział, o czym mówili, ale wszyscy mogli zgadywać. Rozmawiali zapewne o zakusach Henryka wobec Kościoła, o tym jak angielscy biskupi okazali się nieposłuszni Tomaszowi, o kontrowersyjnych konstytucjach clarendońskich, o wygnaniu Tomasza, o roli papieża... Początkowo Philip obawiał się, że zaczną się gorzkie wypominania i pokłócą się tak, że będą jeszcze zacieklejszymi wrogami niż przedtem. Kiedyś byli już tak samo bliscy porozumienia, potem się spotkali i nagle coś się stało, jakiś punkt uraził dumę któregoś z nich lub obu, obrzucili się szorstkimi słowami i rozstali, jeden drugiego oskarżając o nieprzejednanie. Im dłużej jednak rozmawiali, tym więk-

szą nadzieję żywił Philip. Jeśli któryś z nich byłby skłonny do awantury, to z pewnością wybuch już wcześniej by nastąpił.

Gorące letnie popołudnie ochładzało się, a cienie wierzchołków wydłużyły się przez rzekę. Napięcie było nie do wytrzymania.

Nareszcie coś się zaczęło dziać. Tomasz ruszył.

Czyżby miał zamiar odjechać? Nie. Zsiadł z konia. Co to znaczy? Philip obserwował wszystko, wstrzymując oddech. Tomasz zsiadł, zbliżył się do Henryka i uklęknął u stóp króla.

Król zsiadł z konia i objął Tomasza.

Dworzanie po obu stronach wznosili okrzyki i rzucali kapelusze w górę.

Philip poczuł, że łzy napływają mu do oczu. Konflikt został zażegnany dzięki rozsądkowi i dobrej woli. Tak właśnie powinno być.

Może to dobry znak na przyszłość.

II

Był dzień Bożego Narodzenia, a król był wściekły.

William Hamleigh bał się. Znał tylko jedną osobę o temperamencie podobnym do Henrykowego, a była to jego matka. Henryk był niemal tak samo przerażający jak ona. Onieśmiał swoim wyglądem – szerokimi ramionami, zapadniętą pierś i wielką głową – lecz kiedy napadła go złość, jego szaroniebieskie oczy nabiegały krwią, pocętkowana twarz czerwieńiała, a zwykły niepokój przeradzał się w furię i zaczynał miotać się jak niedźwiedź w pułapce.

Przebywali w Burle-Roi, domku myśliwskim Henryka, w parku niedaleko normandzkiego wybrzeża. Król powinien być szczęśliwy. Polowanie kochał ponad wszystko, a to było jedno z jego ulubionych miejsc. Ale był wściekły. Przyczyną zaś był arcybiskup Tomasz z Canterbury.

– Tomasz, Tomasz, Tomasz! Tylko tyle słyszę od was, zarazo prałacka!

Tomasz robi to! Tomasz robi tamto! Tomasz się obraził! Tomasz był niesprawiedliwy wobec ciebie! Rzygać mi się chce od tego Tomasza!

William ukradkiem rozejrzał się po twarzach hrabiów, biskupów i innych dygnitarzy siedzących wokół świątecznego stołu w wielkiej komnacie. Większość wyglądała na zdenerwowanych. Tylko jedna miała wyraz zadowolenia – twarz Walerana Bigoda.

Waleran przepowiedział, że Henryk wkrótce znów pokłóci się z Tomaszem. „Tomasz wygrał zbyt zdecydowanie – mawiał. – Papieski plan pokojowy zmuszał króla do ustąpienia w zbyt wielu sprawach, więc przyjdą dalsze awantury, jak tylko Tomasz zechce zbierać owoce królewskich obietnic”. Waleran jednak nie spoczął na laurach, czekając, aż coś się stanie, lecz pracował na rzecz urzeczywistnienia swej przepowiedni. Przy pomocy Williama stale przynosił Henrykowi wieści o tym, co wyczyniał Tomasz od czasu swego powrotu do Anglii: a to, że objeżdża prowincje z armią rycerzy, odwiedzając swych serdecznych przyjaciół, a to przygotowuje niezliczone ilości zdradzieckich projektów, a to srogo karze tych duchownych, którzy podczas jego wygnania popierali króla. Waleran ubarwiał te raporty, zanim je królowi podsunął, lecz w niektórych jego słowach znajdowały się okruchy prawdy. Inna sprawa, że rozdmuchiwał ognisko, które już się dobrze paliło. Wszyscy ci, którzy opuścili Tomasza podczas sześcioletniego sporu, a teraz żyli w strachu przed porachunkiem, byli chętni do oczerniania go przed królem.

Waleran tedy wyglądał na szczęśliwego, kiedy Henryk się wściekał. I za prawdę miał powody. Zniósł wiele cierpień od powrotu Tomasza. Arcybiskup nie aprobował nominacji Walerana na biskupa Lincoln. Ponadto wysunął na urząd biskupa Kingsbridge kandydaturę przeora Philipa. Jeśli Tomasz przeprowadziłby swoją wolę, to Waleran straciłby Kingsbridge i nie zyskał Lincoln. Byłby zrujnowany.

Pozycja Williama ucierpiałaby także. Byłby zupełnie osamotniony – Philip biskupem, niewątpliwie Jonathan przeorem Kingsbridge, no i Aliena zastępują-

ca hrabiego Shiring – pozostałby bez bodaj jednego sprzymierzeńca w hrabstwie. Oto dlaczego przybył na dwór królewski, by współpracować w podkopywaniu chwiejnej zgody między królem Henrykiem i arcybiskupem Tomaszem.

Choć na stole kusiły wzrok łabędzie, gęsi, pawie i kaczki, nikt nie jadł wiele. William, który zazwyczaj pochłaniał jedzenie i pił do rozpuku, teraz kruszył chleb i popijał napój z grzanego mleka zaprawianego piwem, jajkami i gałką muszkatołową, by uspokoić swoje trzewia.

Do dzisiejszej furii doprowadziły Henryka wieści, że Tomasz wysłał delegację do Tours, gdzie przebywał papież Aleksander, by skarżyć się, że król nie dotrzymuje umowy. Jeden z dawniejszych doradców królewskich, Enjuger de Bohun, rzekł:

– Nie będzie żadnego pokoju, dopóki nie wykończysz Tomasza.

William był wstrząśnięty.

– To prawda! – ryknął Henryk.

William przypuszczał, że Henryk uznał tę uwagę za wyraz pesymizmu, bynajmniej nie za poważną radę. Jednakże czuł, że Enjuger nie mówił tak sobie.

William Malvoisin odezwał się leniwie:

– Podczas mojej podróży powrotnej z Jerozolimy byłem czas jakiś w Rzymie; usłyszałem tam opowieści o papieżu, który za karygodną zuchwałość został ścięty. Niech mnie diabli, jeśli pomnę dziś jego imię.

– Wygląda na to, że nie można z Tomaszem zrobić nic innego – oświadczył arcybiskup Yorku. – Póki żyw, podżegać będzie do buntu w kraju i za granicą.

W uszach Williama te trzy głosy zabrzmiały tak, jak gdyby były uprzednio przygotowane. Popatrzył na Walerana. Ten właśnie zaczynał mówić:

– Nie ma powodu, by odwoływać się do Tomaszowego poczucia przyzwoitości...

– Cicho tam, zgrajo! – wrzasnął król. – Dość już usłyszałem! Jedno, co umiecie, to skarżyć, ale żeby ruszyć tyłki i coś zrobić, to żadnego nie ma! Kiedy coś zrobicie? – I pociągnął z czary spory łyk piwa. – To piwo smakuje jak

siki! – ryknął. Odepchnął plecami krzesło i kiedy wszyscy hurmem zaczęli się podnosić, on już był na nogach i z hukiem wypadł z komnaty.

W niespokojnej ciszy, jaka po tym zapadła, Waleran odezwał się pierwszy:

– Nie można się jaśniej wyrazić. Mamy wstać i zrobić coś z Tomaszem.

William Mandeville, hrabia Essex, rzekł:

– Myślę, że jakaś delegacja spośród nas powinna zobaczyć się z Tomaszem i przywołać go do porządku.

– A co zrobisz, jeśli odmówi wysłuchania racji? – zapytał Waleran.

– Wtedy powinniśmy aresztować go w imieniu króla.

Kilku naraz zaczęło coś mówić. Zgromadzenie rozpadło się na mniejsze grupki. Ci wokół hrabiego Essex, jeśli planować deputację do Canterbury. William spoglądał na Walerana rozmawiającego z dwoma czy trzema rycerzami. Biskup pochwycił jego spojrzenie i przywołał go.

– Ta delegacja Williama Mandeville’a nic dobrego nie osiągnie – oznajmił.

– Tomasz odeprze ich, mając nawet jedną rękę skrepowaną.

Reginald Fitzurse twardo spojrzał na Williama i powiedział:

– Niektórzy z nas uważają, że przyszedł czas na bardziej surowe oceny.

– Co masz na myśli? – spytał William. – Słyszałeś, co rzekł Enjuger.

Richard le Bret, osiemnastoletni chłopiec, wygadał się:

– Egzekucja.

To słowo zmroziło serce Williama. A zatem to na poważnie. Spojrzał na Walerana.

– Czy poprosisz króla o błogosławieństwo?

– Niemożliwe – odpowiedział mu Reginald – król nie może sankcjonować takich spraw przed ich wykonaniem. – Wykrzywił się złośliwie. – Lecz może nagrodzić zaufane sługi po fakcie.

– No to jak, Williamie, jesteś z nami? – spytał młody Richard.

– Nie jestem pewny – odrzekł William. Czuł się jednocześnie podniecony i przestraszony. – Muszę to przemyśleć.

– Nie ma czasu na myślenie. Powinniśmy zaraz ruszyć. Musimy być w Canterbury przed Williamem Mandeville’em, bo inaczej wejdzie nam w paradę – oświadczył Reginald.

Teraz Waleran zwrócił się do Williama.

– Potrzebuję kogoś doświadczonego, kto by nimi pokierował i zaplanował tę operację.

William rozpaczliwie chciał się zgodzić. Nie tylko dlatego, że to by rozwiązało wszystkie jego problemy: prawdopodobnie król dałby mu za to hrabstwo. Powiedział jednak:

– Przecież morderstwo arcybiskupa to straszliwy grzech!

– O to się nie martw – rzekł Waleran. – Dam ci rozgrzeszenie.

Potworność tego, co zamierzali zrobić, zawisła nad Williamem jak chmura burzowa, gdy oddział spiskowców ciągnął do Anglii.

O niczym innym nie potrafił myśleć, nie mógł jeść ani spać, działał w otumanieniu i mówił roztargniony. W chwili gdy statek dobijał do Dover, był gotów zaniechać projektu.

Dotarli do zamku Saltwood w Kent w trzy dni po Bożym Narodzeniu, w poniedziałkowy wieczór. Zamek ten należał do arcybiskupa Canterbury, podczas wygnania jednak okupował go Ranulf de Broc, który nie chciał słyszeć o oddaniu go. Zaprawdę, jedną ze skarg skierowanych przez Tomasza do papieża było i to, że król Henryk nie dotrzymał przyrzeczenia zwrotu tego zamku.

Postępowanie Ranulfa dodało Hamleighowi ducha.

De Broc najechał i zniszczył Kent, gdy arcybiskup był na wygnaniu. Kompensował sobie brak autorytetu w taki sam sposób, w jaki dawniej czynił to William. Był gotów na wszystko, aby zapewnić sobie swobodę robienia tego, co mu się podoba.

Do planu zabójstwa odniósł się entuzjastycznie, z radością powitał możli-

wość przyłączenia się i znajdował szczególną przyjemność w roztrząsaniu szczegółów mordy. Jego rzeczowe podejście rozwiało mgłę zabobonnych lęków, które zasnuły myśli Williama. Znow zaczął wyobrażać sobie, jak to zostanie hrabią i będzie robił co zechce, i nikt nie będzie miał nic do gadania.

Prawie całą noc spędzili na omawianiu strategii. Ranulf narysował plan katedry i jej otoczenia oraz plan rezydencji arcybiskupa. Wydrapał je na stole czubkiem noża. Budynki klasztorne były na północ od kościoła, a nie jak zazwyczaj od południowej strony, podobnie jak w Kingsbridge. Zamek arcybiskupi przylegał do północno-zachodniego krańca kościoła. Wchodziło się tam przez dziedziniec kuchenny. Podczas gdy planowali swoje działania, Ranulf wysłał konnych gońców do swych wojsk w Dover, Rochester i Bletchingley. Jego rycerze otrzymali rozkaz spotkania się z nim na drodze do Canterbury o poranku. Tuż przed świtem spiskowcy położyli się, by złapać trochę snu.

Po długich jazdach nogi Williama paliły żywym ogniem. Miał nadzieję, że to ostatnia wyprawa wojenna, którą podejmuje. Wkrótce skończy pięćdziesiąt pięć lat i gdyby jego rachuby na ostateczne załatwienie spraw zawiodły, to na kolejną wyprawę byłby po prostu za stary.

Pomimo zmęczenia – i Ranulfa napawającego otuchą – William nie mógł zasnąć. Myśl o zabiciu arcybiskupa była zbyt przerażająca, by się uspokoić, mimo że nawet został już rozgrzeszony. Obawiał się, że gdy zaśnie, będą dręczyć go koszmary.

Wymyślili dobry plan ataku. Mogło coś pójść źle, to oczywiste, zawsze mogło się coś wydarzyć. Najważniejsze być tak przygotowanym, by poradzić sobie z nieoczekiwanymi okolicznościami. Cokolwiek jednak się zdarzy, grupa zaprawionych w boju mężczyzn nie powinna mieć trudności z garstką zniewieściałych mnichów.

Zamglone światło szarego zimowego poranka przeniknęło do komnaty przez otwory strzelnicze. William wstał po chwili. Spróbował odmówić poranne pacierze, ale nie potrafił.

Pozostali także wcześniej wstali. W wielkiej sali zjedli wspólnie śniadanie. Poza Williamem i Ranulfem do stołu zasiedli: Reginald Fitzurse, którego William uczynił dowódcą grupy atakującej; William Tracy, najstarszy w tej grupie; Richard le Bret, najmłodszy z nich; a także Hugh Morville, z nich wszystkich najwyżej postawiony.

Włożyli zbroje i wsiedli na konie Ranulfa. Mróz szczypał, niebo pociemniało od niskich, szarych chmur i wyglądało na to, że będzie padać śnieg. Podążali starym traktem zwanym Kamienną Drogą. Podczas dwuipółgodzinnej podróży dołączyło do nich więcej rycerzy.

Miejszem spotkania było opactwo Świętego Augustyna, pod miastem. Opat był starym wrogiem Tomasza, jak zapewniał Ranulf Williama, jednakże ten zdecydował, że opatowi powiedzą, iż mają zamiar uwięzić arcybiskupa, a nie zabić. Postanowili utrzymywać ten pozór. Prawdziwego celu wyprawy aż do ostatniej chwili nie miał poznać nikt, poza Williamem, Ranulfem i czterema rycerzami przybyłymi z Francji.

Do opactwa dotarli w południe. Rycerze wezwani przez Ranulfa czekali. Opat dał im obiad. Miał doskonałe wino, więc sporo go wypili. Ranulf zwięźle polecił żołnierzom, by otoczyli zabudowania przyległe do katedry i uniemożliwili Tomaszowi ucieczkę.

William miał nieustanne dreszcze, trząsał się nawet stojąc przy ogniu w domu gościnnym opactwa. Ta operacja powinna być prosta, ale w przypadku niepowodzenia karą najprawdopodobniej będzie śmierć. Król znajdzie jakiś sposób na usprawiedliwienie zabójstwa Tomasza, ale nigdy nie poprze usiłowania mordy: zaprzeczy, że cokolwiek o tym wiedział, i powiesi sprawców. William jako szeryf Shiring powiesił wielu ludzi, ale myśl o własnym ciele dyndającym na stryczku wciąż wywoływała dreszcze.

Jął marzyć o hrabstwie, którego spodziewał się w nagrodę za powodzenie wyprawy. Nie ma co, przyjemnie byłoby znów zostać hrabią pod koniec życia, być otoczonym szacunkiem, uległością i posłuszeństwem. Być może brat Alie-

ny, Richard, zginie w Ziemi Świętej i król Henryk zechce przywrócić Williamowi jego dawne posiadłości. Ta myśl ogrzała go bardziej niż ogień na kominię.

Opuszczając opactwo, tworzyli już niewielką armię. Po drodze do Canterbury nie napotykali żadnych trudności. Ranulf na tym terenie panował sześć lat i nie dopuścił do osłabienia swej władzy. Zarządzał większym obszarem niż Tomasz, co niewątpliwie stanowiło przyczynę, dla której arcybiskup tak gorzko żalił się papieżowi. Kiedy tylko wjechali, żołnierze otoczyli katedrę i zamknęli wszystkie wyjścia.

Operacja się zaczęła. Do tego momentu właściwie można było wszystko odwołać, bez żadnej szkody dla nikogo, ale teraz, myślał William z dreszczem lęku, śmierć zarzuciła sieci.

Polecił Ranulfowi przejąć dowództwo oblężenia, dla siebie zachowując niewielką grupkę rycerzy i żołnierzy. Większość z nich wprowadził do domu na przeciw głównej bramy prowadzącej na dziedziniec katedry. Z pozostałymi przeszedł przez bramę. Reginald Fitzurse i trzech spiskowców wjechało na dziedziniec kuchenny, jak gdyby byli oficjalnymi gośćmi, a nie uzbrojonymi intruzami. William zaskoczył furtiana, terroryzując go przyłożeniem sztychu do gardła.

Atak się rozpoczął.

William kazał żołnierzom związać furtiana, po czym zebrał resztę swych ludzi i zamknęli bramę. Nikt nie mógł wejść ani wyjść. William zbrojnie zajął klasztor.

Wraz z czterema spiskowcami udał się na dziedziniec kuchenny. Stajnie były na północnym krańcu podwórca, ale spiskowcy przywiązali swoje konie do drzewa morwy, rosnącego pośrodku. Zdjęli hełmy i pasy z mieczami: to pozwoli nieco dłużej zachować pozór pokojowej wizyty.

Reginald spojrzał pytająco.

– Wszystko w porządku – oświadczył William. – Teren odcięty.

Przeszli dziedziniec i wkroczyli na ganek. William kazał Richardowi stanąć w tym miejscu na warcie. Reszta weszła do wielkiej sali.

Słudzy zamkowi siedzieli przy obiedzie, to oznaczało, że już usłużyli Tomaszowi oraz księżom i mnichom, którzy mu towarzyszyli. Jeden ze służących wstał. Reginald oznajmił:

– Przychodzimy od króla.

W komnacie zapadła cisza, a służący, który wstał, rzekł:

– Witajcie, panowie. Jestem gospodarzem tej sali, nazywam się William Fitzneal. Wejdźcie, proszę. Czy chcielibyście coś zjeść?

William pomyślał, że zarządca jest bardzo przyjacielski, mimo że jego pan i król waśnili się. Prawdopodobnie podporządkuje się.

– Nie będziemy jeść, dziękujemy – odrzekł Reginald.

– Kubek wina może, po podróży?

– Mamy dla twego pana wiadomość od króla – niecierpliwie odparł Reginald. – Proszę nas natychmiast zaanonsować.

– Służę panom – zarządca skłonił się. Byli nieuzbrojeni, nie miał więc powodów, by odmówić. Odszedł od stołu i udał się do schodów na końcu sali.

William i jego czwórka ruszyli za nim. Śledziły ich oczy milczących sług. William drżał i, jak zwykle przed bitwą, chciał, by walka już się zaczęła, by mieć już to wszystko za sobą.

Na wyższe piętro wspięli się po schodach.

Znaleźli się w przestronnej sali audiencyjnej, będącej także poczekalnią, z ławami przy ścianach. Pośrodku jednej ze ścian stał wielki tron. Kilku czarno odzianych księży siedziało na ławach, ale tron był pusty.

Zarządca przeszedł przez salę i otworzył drzwi.

– Gońcy z wieściami od króla, wielbny arcybiskupie – powiedział głośno.

Nie usłyszeli odpowiedzi, ale arcybiskup pewnie skinął głową, bo gospodarz ruchem ręki skierował ich do środka.

Mnisi i księża rozszerzonymi oczyma obserwowali kroczących rycerzy.

Tomasz Becket siedział na brzegu łoża, odziany w arcybiskupie szaty. Poza nim w pokoju była tylko jedna osoba, mnich, siedzący u stóp Tomasza. William zetknął się ze wzrokiem mnicha i z przerażeniem rozpoznał przeora z Kingsbridge. Co on tutaj robi? Stara się o jakieś fawory, niewątpliwie. Philip miał objąć urząd biskupa Kingsbridge, ale jeszcze nie został zatwierdzony. Teraz, pomyślał z dziką uciechą, na pewno nie zostanie.

Philip był także zaskoczony widokiem Hamleigha... Arcybiskup Tomasz nie przerwał rozmowy, udając, że nie zauważył rycerzy, którzy usiedli na niskich stołeczkach i ławkach. To drobna, umyślna i złośliwa nieprzyjemność, pomyślał William, ale był niezadowolony; taki układ stwarzał wrażenie wizyty bardziej towarzyskiej, a ponadto przez to w jakiś sposób stracili impet. Być może właśnie na tym zależało arcybiskupowi.

Wreszcie spojrzął na nich. Nie wstał, by ich pozdrowić. Znał ich wszystkich, z wyjątkiem Williama. Jego wzrok spoczął na Hugh Morville'u, najwyżej postawionym.

– O, Hugh! – rzekł.

William wyznaczył Reginalda na dowódcę operacji, więc to Reginald, a nie Hugh przemówił do arcybiskupa.

– Przybyliśmy z Normandii od króla. Czy chcesz wiadomości od niego wysłuchać publicznie, czy prywatnie?

Tomasz popatrzył zirytowany na Reginalda i na Hugh, potem z powrotem na Reginalda, jakby nie odpowiadało mu prowadzenie rozmowy z młodszym członkiem deputacji. Westchnął i powiedział:

– Zostaw mnie, Philipie.

Philip wstał i przeszedł obok rycerzy, wyglądał na zmartwionego.

– Ale nie zamykaj drzwi – zawołał za nim Tomasz.

Kiedy Philip wyszedł, Reginald rzekł:

– Żądam w imieniu króla, byś udał się do Winchesteru odpowiedzieć na zarzuty, jakie ci się stawia.

Widok blednącego Tomasza sprawił Williamowi satysfakcję.

– Więc to tak – arcybiskup mówił spokojnie. Rozejrzał się. Zarządca kręcił się koło drzwi. – Przyślij tutaj wszystkich – powiedział mu. – Chcę, by to usłyszeli.

Mnisi i księża wypełnili pokój, wśród nich Philip. Niektórzy usiedli, inni stali pod ścianami. William nie protestował, przeciwnie, im więcej ludzi, tym lepiej. Będą świadczyć, że Tomasz odmówił podporządkowania się królewskiemu rozkazowi.

Kiedy wszyscy zajęli miejsca, Tomasz spojrział na Reginalda.

– Co teraz?

– W imieniu króla żądam, byś udał się do Winchesteru, aby odpowiedzieć na stawiane ci zarzuty – powtórzył Reginald.

– Jakie zarzuty? – spokojnie zapytał arcybiskup.

– Zdrady!

Tomasz potrząsnął głową.

– Nie będę sądzony przez Henryka – rzekł łagodnie. – Nie popełniłem żadnej zbrodni, Bóg świadkiem.

– Ekskomunikowałeś królewskie sługi.

– Nie ja to uczyniłem, ale papież.

– Zawieszałeś biskupów.

– Proponowałem im zajęcie poprzednich stanowisk w dogodnym terminie. Odmówili. Moje propozycje pozostają w mocy.

– Zagrozałeś sukcesji tronu przez lekceważenie koronacji królewskiego syna.

– Wcale nie lekceważyłem. Arcybiskup Yorku nie miał prawa nikogo koronować, a papież udzielił mu reprimendy za ten afront. Nikt jednak nie powiedział, że koronacja jest nieważna.

Reginald był rozdrażniony.

– Jedna sprawa łączy się z drugą, ty cholerny głupcze!

– Dosyć tego! – powiedział Tomasz.

– To my mamy ciebie dosyć, Tomaszu Beckecie! – krzyknął Reginald. – Na rany boskie, mamy dosyć twojej arogancji, intryg i zdrady!

– Zamki arcybiskupie są pozajmowane przez ludzi króla – Tomasz także podniósł głos. – Dochody należne arcybiskupowi są zbierane przez króla. Arcybiskupowi rozkazano opuścić Canterbury. I ty mi mówisz, że wy mnie macie dosyć?

Jeden z księży spróbował interweniować, mówiąc do Tomasza:

– Ekscelencjo, podyskutujemy o tych sprawach prywatnie...

– Po co? – wybuchnął Tomasz. – Żądają ode mnie czegoś, czego mi nie wolno i czego nie zrobię.

Krzyki ściągnęły wszystkich i wejście do komnaty wypełniło się słuchaczami o szeroko otwartych oczach. Kłótnia trwała już dość długo: teraz nikt nie mógł zaprzeczyć, że Tomasz odmówił wykonania królewskiego rozkazu. William dał Reginaldowi znak. Był to nieznaczny gest, ale Philip zdołał go zauważyć i podniósł brwi w zaskoczeniu, że to nie Reginald, ale William jest przywódcą tej grupy.

Reginald powiedział oficjalnym tonem:

– Arcybiskupie Tomasz, od tej pory nie jesteś już pod królewską ochroną. – Odwrócił się i skierował słowa do zgromadzonych. – Opuścić komnatę! – rozkazał.

Nikt się nie ruszył.

– Mnisi, rozkazuję wam w imieniu króla, byście strzegli arcybiskupa i nie pozwolili mu uciec – oświadczył Reginald.

Na pewno nie podporządkują się takiemu rozkazowi, to oczywiste. William zresztą właśnie na to liczył. Przeciwnie, chciałby, aby Tomasz spróbował ucieczki, bo to ułatwiłoby zabicie go.

Reginald odwrócił się do zarządcy, Williama Fitzneala, który, praktycznie rzecz biorąc, był osobistym strażnikiem arcybiskupa.

– Aresztuję cię – oświadczył i wyprowadził go z komnaty. Mężczyzna nie stawiał oporu. William i reszta rycerzy podążyli w ślad za nimi.

Pośpiesznie zeszli schodami i przebiegli przez wielką salę. Richard wciąż stał na ganku na straży. William zastanowił się, co zrobić z zarządcą. Zapytał go:

– Jesteś z nami?

– Tak, jeśli jesteście za królem! – odrzekł przerażony człowiek.

Był zanadto ogarnięty strachem, by stanowić jakieś niebezpieczeństwo, po czyjejkolwiek byłby stronie. William powiedział do Richarda:

– Uważaj na niego. Niech nikt nie opuszcza budynku. Drzwi na ganek trzymaj zamknięte.

Wraz z resztą przebiegli dziedzińcem do drzewka morwowego. Szybko nakładali hełmy i przypasywali miecze. Mamy to zrobić zaraz, lękliwie pomyślał William. Wrócimy tam i zabijemy arcybiskupa Canterbury, mój Boże. Mnóstwo czasu zajęło mu nałożenie hełmu i kaptura kolczego, który ochraniał kark i ramiona. Sklął niezgrabne palce. Już nie miał czasu na guzdranie się. Zauważył chłopca przyglądającego mu się z otwartymi ustami i wrzasnął do niego:

– Hej, ty! Jak się nazywasz?

Chłopiec spojrzał w tył, w stronę kuchni, niepewny, czy uciekać czy odpowiedzieć.

– Robert, panie – odpowiedział po chwili. – Zwą mnie Robert Pipe.

– Chodź tutaj, Robercie Pipe, i pomóż mi z tym.

Chłopiec zastanowił się jeszcze chwilę.

William stracił cierpliwość.

– Chodź tutaj albo, klnę się na krew Chrystusa, obetnę ci ręce tym mieczem!

Niechętnie, ale podszedł. William pokazał mu, jak trzymać nakarczek, kiedy on będzie nakładał hełm. W końcu uporał się ze wszystkim, a chłopiec umknął.

Będzie wnukom o tym opowiadać, przemknęło Williamowi przez głowę.

Helm był wyposażony w zasłonę na usta, która mogła być przeciągnięta w poprzek i przywiązana rzemieniem. William przez chwilę pozostawił usta nieosłonięte, ale jego ludzie mieli już twarze zakryte. Każdy z nich trzymał w jednej ręce miecz, w drugiej topór.

– Gotowi? – zapytał.

Wszyscy skinęli głowami.

Od tej pory nie będzie rozmów. Żadne rozkazy nie będą konieczne. Po prostu mają wrócić do budynku i zabić Tomasza.

William wsadził dwa palce w usta i wydał przeciągły gwizd, a potem zawiązał osłonę.

Żołnierze rzucili się do otwierania głównej bramy.

Rycerze, których William zostawił w domu naprzeciw, obstawiali dziedzińiec, krzycząc tak, jak było wcześniej ustalone:

– Ludzie króla, ludzie króla!

William pobiegł z powrotem na zamek.

Richard i zarządca William Fitzneal rzucili się, by otworzyć przed nim drzwi.

Okazało się jednak, że dwom sługom arcybiskupa udało się w tym momencie zatrzasnąć drzwi między przedsionkiem a salą.

William uderzył w nie całym ciężarem, ale było już za późno:

zabezpieczyli je sztabą. Zaklął. Przeszkoda, i to na samym początku. Rycerze jęli rąbać toporami, ale niewiele osiągnęli – wrota były zrobione także po to, by wytrzymać takie ataki. Poczul, że traci panowanie nad sytuacją. Tłumiąc rozdający się w sercu lęk, wybiegł z przedsionka i rozejrzał się za innymi drzwiami. Reginald ruszył za nim.

Obiegli zachodnie skrzydło wzdłuż przylegającej kuchni, aż do ogrodu po stronie południowej.

William chrząknął z satysfakcją; dojrzał schody prowadzące na wyższe pię-

tro. Wyglądało to na boczne wejście do komnat arcybiskupa. Uczucie paniki ustąpiło.

Wraz z Reginaldem podbiegli do schodów. Były one uszkodzone mniej więcej w połowie wysokości, ale kilka sztuk narzędzi i drabina, porzucone przez robotników naprawiających stopnie, leżały obok. Reginald podniósł drabinę i oparł ją z boku schodów, po czym zaczął się wspinać, omijając połamane stopnie. Drzwi prowadziły na wykusz, niewielki obudowany balkonik. William obserwował Reginalda próbującego otworzyć drzwi. Zamknięte. Obok było okno zasłonięte okiennicami. Reginald rozbił je jednym uderzeniem topora. Sięgnął ręką, pogmerzał trochę, otworzył drzwi i wszedł do środka.

Teraz William zaczął wspinać się po drabinie.

Philip bał się od chwili, gdy zobaczył Williama Hamleigha. Księża jednak i mnisi z otoczenia Tomasza w pierwszym momencie nie myśleli o zagrożeniu. Potem, kiedy usłyszeli łomotanie do drzwi, przestraszyli się i kilku z nich zaproponowało, by poszukać schronienia w katedrze.

– Szukać kryjówki? – Tomasz rzekł z pogardą. – Przed kim? Przed tymi rycerzami? Arcybiskup nie może umykać przed kilku krewkami ludźmi.

Philip pomyślał, iż prawdą jest niewątpliwie, że arcybiskupi tytuł nic by nie znaczył, gdyby noszącego go człowieka można było nastraszyć rycerzami. Sługa boży, pewny, że grzechy są mu odpuszczone, postrzega śmierć jako szczęśliwe przejście do lepszego świata, nie lęka się mieczy. Lecz nawet arcybiskup nie powinien być tak nieostrożny, by wystawić się na atak. Co więcej, Philip już miał okazję zapoznać się bliżej z zaciętością i okrucieństwem Williama Hamleigha. Kiedy więc usłyszeli dźwięk rozbijanych okiennic wykuszowego okna, Philip zdecydował się na przejście dowodzenia.

Przez okno zobaczył, że zamek jest otoczony przez rycerzy.

Ten widok przestraszył go jeszcze bardziej. Było oczywiste, że napad jest

pieczołowicie przygotowany, a sprawcy są gotowi użyć przemocy. Z pośpiechem zatrzasnął drzwi komnaty i zamknął je na sztabę. Inni patrzyli na niego, zadowoleni, że ktoś zdecydowany objął przywództwo. Arcybiskup Tomasz spoglądał pogardliwie, ale nie próbował mu przeszkadzać.

Philip nasłuchiwał. Usłyszał kogoś wchodzącego przez wykusz i do sali audiencyjnej. Zastanowił się nad wytrzymałością drzwi komnaty. Jednakże ten ktoś nie zaatakował drzwi, lecz zaczął schodzić po schodach. Philip domyślił się, że poszedł otworzyć drzwi wejściowe od środka i wpuścić resztę rycerzy.

To dawało zebrany w komnacie trochę czasu.

W przeciwległym rogu pokoju, częściowo zakryte przez łoże, były inne drzwi. Philip wskazał je i spytał ponaglącym tonem:

– Dokąd prowadzą?

– Do krużganku – padła odpowiedź. – Ale są zamknięte na klucz.

Philip podszedł do nich i szarpnął. Zamknięte.

– Czy masz ten klucz? – spytał Tomasza, dodając po namyśle: – wielebny arcybiskupie.

Tomasz potrząsnął głową.

– To przejście nie było używane, jak tylko sięgam pamięcią. – Jego spokój był denerwujący.

Drzwi nie wyglądały na zbyt mocne, ale Philip miał już sześćdziesiąt trzy lata, a przemoc nigdy nie była jego specjalnością. Odstąpił i kopnął. Stopa go zaboląła, ale drzwi zatrzeszczały, pokazując swoją kruchość. Philip zgrzytnął zębami i kopnął mocniej. Rozleciały się, otwierając drogę.

Philip spojrzał na Tomasza. Arcybiskup w dalszym ciągu nie zdradzał chęci do ucieczki. Być może nie uświadomił sobie tego, co już dotarło do Philipa, że zarówno liczba rycerzy, jak i to, co się do tej pory stało, wskazują na śmiertelnie poważny zamiar wyrządzenia mu krzywdy. Lecz przeor intuicyjnie wyczuwał, że w żaden sposób nie nakłoni Tomasza do ucieczki, powiedział więc po prostu:

– Czas na nieszpory. Nie powinniśmy pozwolić na to, by kilku krewkich ludzi zakłóciło porządek nabożeństw.

Tomasz uśmiechnął się, widząc, że jego własny argument został wykorzystany przeciw niemu.

– Bardzo dobrze – powiedział i podniósł się.

Philip prowadził, czując zarówno ulgę, że udało mu się poruszyć arcybiskupa, jak i lęk, że arcybiskup wciąż może ruszać się zbyt wolno. Przejście prowadziło w dół długim ciągiem stopni. Światło dobiegało jedynie z komnaty arcybiskupa. Na końcu przejścia były kolejne drzwi. Philip potraktował je tak jak poprzednie, ale te okazały się znacznie silniejsze i nie poddały się. Zaczął się do nich dobijać, wołając:

– Pomocy! Otwórzcie drzwi! Szybciej, szybciej! – Usłyszał we własnym głosie nutę paniki. Uczynił wysiłek, by uspokoić się choć trochę, ale serce mu waliło. Wiedział, że rycerze Williama są blisko.

Reszta go dogoniła. Bił w drzwi i krzyczał. Usłyszał, jak Tomasz mówi:

– Godniej, Philipie, proszę.

Philip jednak nie zwrócił na to uwagi. Chciał ratować godność arcybiskupa, jego własna nie wchodziła w rachubę.

Zanim Tomasz zdążył po raz kolejny zaprotestować, rozległ się dźwięk podnoszonej sztaby i przekręcanego klucza. Drzwi się otworzyły. Philip chrząknął z ulgą. Dwu zadziwionych mnichów stało, wpatrując się w wejście.

– Nie wiedziałem, że te drzwi gdzieś prowadzą – powiedział jeden z nich.

Philip niecierpliwie przepchnął się między nimi. Zorientował się, że to spiżarnie. Poprzesuwał baryłki i worki, by dotrzeć do następnych drzwi i wyjść na otwarty plac.

Ściemniało się. Okazało się, że wyszedł na południowy krużganek. Na przeciwległym końcu przejścia dostrzegł z ulgą drzwi prowadzące do północnego transeptu katedry Canterbury.

Byli prawie uratowani.

Musiał zaprowadzić Tomasza do wnętrza świątyni, zanim William i jego rycerze dogonią ich. Reszta grupy wynurzyła się ze schodów. Philip zaczął poganiać:

– Do kościoła, szybko, szybko!

– Nie, Philipie, nie szybko. Wejdziemy do katedry z godnością – rzekł arcybiskup.

Philip chciał zawyć, ale opanował się i rzekł:

– Oczywiście, Ekscelencjo. – Słyszał już złowieszczy odgłos ciężkich kroków w nieużywanym przejściu: rycerze musieli wdrzeć się do komnaty i zorientowali się, którędy umknęli. Doskonale wiedział, że najlepszą ochroną arcybiskupa jest godność, ale nic nie zaszkodzi, gdy zejdzie się z drogi kłopotom.

– Gdzie mój krzyż? – spytał Tomasz. – Nie mogę pozwolić sobie na wejście do mego kościoła bez krzyża.

Philip jęknął z rozpacz.

Jeden z księży oznajmił:

– Przyniosłem. Oto on.

– Nieś go przede mną, jak zwykle, proszę – polecił arcybiskup. Ksiądz podniósł krzyż i począł iść w stronę drzwi kościoła z powściąganym pośpiechem.

Tomasz podążał za nim.

Świta arcybiskupa poprzedzała go przy wchodzeniu do katedry, tak nakazywała etykieta. Philip wszedł ostatni. W momencie kiedy Tomasz wchodził do wnętrza kościoła, dwu rycerzy wypadło ze składów klasztornych i pobiegło wzdłuż południowej nawy.

Philip zatrzasnął drzwi transeptu. Znalazł sztabę umieszczoną w załomie muru obok framugi. Zamknął na nią drzwi i odetchnął z ulgą.

Tomasz przecinał wąski transept w kierunku stopni prowadzących do prezbiterium, lecz kiedy usłyszał dźwięk ryglowanych drzwi, nagle zatrzymał się i odwrócił.

– Nie, Philipie – powiedział.

– Wielebny arcybiskupie... – Serce przeora na moment zamarło.

– To jest kościół, nie zamek. Podnieś sztabę.

Drzwi wstrząsnęły się pod naporem rycerzy, którzy właśnie usiłovali wtargnąć do kościoła.

– Obawiam się, że oni chcą cię zabić! – zawołał Philip.

– To im się prawdopodobnie uda, niezależnie od tego czy zaprzesz drzwi, czy nie. Wiesz, ile innych drzwi prowadzi do tego kościoła? Otwórz.

Nastąpiła seria głośnych uderzeń, jakby rycerze atakowali drzwi toporami.

– Mógłbyś się schować – odparł Philip zrozpaczony. – Tu są tuziny możliwości, miejsc, gdzie mógłbyś... wejście do krypty, o właśnie tam... robi się coraz ciemniej...

– Philipie, schować się? W moim własnym kościele? Czy ty chowałbyś się w swoim?

Philip patrzył na Tomasza długą chwilę. W końcu rzekł:

– Nie.

– Otwórz drzwi.

Z ciężkim sercem Philip zdjął sztabę.

Rycerze wpadli do środka. Było ich pięciu. Twarze mieli ukryte, w rękach miecze i topory. Wyglądali na emisariuszy piekła.

Philip wiedział, że nie powinien się bać, ale widok ich broni przyprawił go o dreszcze.

Jeden z rycerzy krzyknął:

– Gdzie podziewa się Tomasz Becket, zdrajca króla i królestwa?

– Gdzie jest zdrajca, gdzie jest arcybiskup? – zakrzyknęli pozostali.

Ściemniło się już zupełnie, a wielki kościół był słabo oświetlony przez świece. Wszyscy mnisi byli czarno odziani, a pole widzenia rycerzy ograniczone przez osłony hełmów. Philipa ogarnęła nagle fala nadziei: może przeoczą Tomasza w ciemności? Tomasz jednak niezwłocznie zburzył tę nadzieję zejściem ze stopni w stronę rycerzy.

– Oto jestem, nie zdrajca króla, lecz kapłan, sługa boży. Czego chcecie?

Kiedy stanął naprzeciw pięciu mężów z obnażonymi mieczami, Philip zrozumiał, że Tomaszowi przyjdzie tu dziś zginąć.

Ludzie ze świty arcybiskupa musieli mieć to samo przekonanie, bo nagle większość z nich szybko się oddaliła. Niektórzy zniknęli w mroku prezbiterium, kilku wmieszało się w gromadę mieszczan oczekujących na nabożeństwo, a jeden z nich otworzył niewielkie drzwi i pobiegł na górę po spiralnych schodkach. Przeor poczuł niesmak.

– Powinieneś się modlić, nie uciekać! – krzyknął za nim. Wiedział, że i on może być zabity, jeśli nie ucieknie. Nie potrafił jednak porzucić arcybiskupa.

Jeden z rycerzy powiedział do Tomasza:

– Wyznaj swą zradę! – Philip poznał głos Reginalda Fitzurse’a, ten sam, który słyszał już wcześniej.

– Nie mam nic do wyznania – odparł arcybiskup. – Nie popełniłem zdrady.

Był śmiertelnie spokojny, lecz jego twarz pobraźniała. Philip zorientował się, że, tak samo jak wszyscy, Tomasz uświadomił sobie, że przyjdzie mu oddać życie.

Reginald wrzasnął do arcybiskupa:

– Uciekaj, jesteś już trupem!

Tomasz stał spokojnie.

Oni chcą, by uciekał, pomyślał Philip. Nie potrafią się przemóc, by zabić go z zimną krwią.

Być może arcybiskup zrozumiał to również, bo niezachwianie stał przed nimi, wyzywając ich w ten sposób. Trwali tak, zmrożeni sytuacją pełną dramatycznego napięcia – rycerze niemający ochoty wykonać pierwszego ruchu, kapłan zbyt dumny, by uciec.

To Tomasz pierwszy oparł się temu szatańskiemu urokowi.

– Jestem gotów umrzeć, ale nie możecie tknąć żadnego z mych ludzi, księży, mnichów czy świeckich.

Reginald ruszył do przodu. Podniósł swój miecz na Tomasza, kołyszającym ruchem przesuwając sztych coraz bliżej do jego twarzy. Tomasz stał jak kamień, oczy miał wpatrzone w rycerza, nie w miecz. Nagle szybkim ruchem nadgarstka Reginald strącił kapelusz z głowy arcybiskupa.

Philip znowu poczuł przypływ nadziei. Pomyślał, że oni nie potrafią zmusić się do czegoś takiego, obawiają się go dotknąć.

Mylił się jednak. Zdecydowanie rycerzy widocznie wzmocniło się po tym głupim geście strącenia arcybiskupiego nakrycia głowy. Zupełnie tak, jak gdyby podejrzewali, że od razu zostaną porażeni ręką Boga, a ponieważ uszło im to na sucho, nabrali odwagi.

– Zabierzcie go stąd – polecił Reginald.

Pozostali rycerze schowali miecze do pochew i zbliżyli się do arcybiskupa. Jeden z nich pochwycił Tomasza w pól i spróbował go podnieść.

Philip wpadł w rozpacz. W końcu go dotknęli, przyszedli tu z zamiarem podniesienia ręki na sługę bożego. Odwaga Philipa zachwiała się, gdy pojął, jak wielka jest otchłań ich zła. Wydawało mu się, że spogląda znad krawędzi w bezdenną przepaść. Oni musieli w głębi być przekonani, że niezawodnie pójdą za to do piekła, a jednak to robili.

Tomasz stracił równowagę, zamachał rękami i zaczął się opierać. Teraz wszyscy napastnicy usiłowali wynieść Tomasza.

Tylko Philip i ksiądz nazwiskiem Edward Grim, jedyni, którzy pozostali ze świty arcybiskupa, rzucili się Tomaszowi na ratunek. Edward chwycił sutannę Tomasza i trzymał kurczowo. Któryś z rycerzy odwrócił się i palnął Philipa pięścią w kolczej rękawicy. Uderzenie trafiło w bok głowy i przeor upadł ogluszony.

Kiedy się ocknął, arcybiskup stał z pochyloną głową i rękami złożonymi jak do modlitwy. Jeden z rycerzy podniósł miecz.

Philip, wciąż jeszcze na podłodze, wydobył z siebie długi, bezsilny jęk protestu:

– Neeeeeeee!...

Edward Grim podniósł rękę, by powstrzymać uderzenie.

– Ducha mego oddaję w ręce Bo... – zdołał wyrzec Tomasz.

Miecz opadł.

Uderzył obu, Tomasza i Edwarda. Philip usłyszał własny jęk. Miecz ciął w czaszkę arcybiskupa i odciął rękę księdza. Krew gwałtownie wypłynęła z ramienia Edwarda, Tomasz runął na kolana.

Oślupiały Philip patrzył na przerażającą ranę w głowie Tomasza.

Arcybiskup powoli opadł w przód, na ręce, oparł się na nich przez chwilę, potem zwałił się twarzą na kamienną podłogę.

Inny rycerz podniósł miecz. Philip wydał bezwolne żalosne wycie. Drugie uderzenie trafiło tam, gdzie pierwsze, i odcięło czubek czaszki Tomasza. Cios był tak silny, że miecz uderzył w posadzkę i pękł, a rycerz odrzucił ułomek.

Trzeci rycerz zrobił coś, czego Philip do końca życia nie mógł wymazać z pamięci – wetknął koniec miecza w otwartą głowę arcybiskupa i wygrzebał mózg na ziemię.

Philipowi nogi odmówiły posłuszeństwa, opuścił się na kolana, sparaliżowany przerażeniem.

– Już nie wstanie! Chodźmy stąd! – powiedział rycerz.

Wszyscy odwrócili się i odeszli.

Philip patrzył na nich, jak szli nawą, płazując wokół, by zrobić sobie przejście w ciżbie mieszczan.

Po odejściu zabójców zapadła chwila ciszy mrożącej krew w żyłach. Ciało arcybiskupa leżało głową w dół, a odcięta część czaszki z włosami spoczywała obok głowy niby pokrywka garnka. Philip ukrył twarz w dłoniach. Oto koniec wszystkich nadziei, myślał. Barbarzyńcy wygrali. Doznawał jakiegoś zawrotu głowy, uczucia nieważkości, stanu podobnego do tonięcia w głębokim jeziorze. Pogrzyżył się w rozpacz. Już nie było żadnego oparcia, wszystko, co do tej pory wydawało się pewne i trwałe, nagle runęło.

Całe życie strawił na walce z przemocą i bezprawiem nikczemników, a teraz, w ostatecznym rachunku, okazało się, że został pobity. Przypomnił sobie, że kiedy William Hamleigh wybierał się drugi raz podpalić Kingsbridge, mieszczanie w ciągu doby zbudowali mur wokół miasta. Jakaż to była wiktoria! Pokojowa siła setek prostych ludzi pobiła nagie okrucieństwo lorda Williama, hrabiego Shiring. Przypomnił też sobie Walerana Bigoda, kiedy ten próbował budować katedrę nie w Kingsbridge, lecz w Shiring, by móc osiągać własne cele. Philip zwołał wtedy ludzi z całego hrabstwa. Setki ich, więcej niż tysiąc, ściągnęły do Kingsbridge w ten zachwycający poranek świątecznej niedzieli, trzydzieści trzy lata temu, a siła ich gorliwości pobiła Walerana. Teraz jednak nie było już skąd czerpać nadziei. Wszyscy prości ludzie z Canterbury, a nawet cały chrześcijański świat nie przywróci Tomaszowi życia.

Kłęcząc na kamiennych płytach podłogi północnego transeptu katedry w Canterbury, Philip znowu zobaczył tych ludzi, którzy wpadli do jego domu i na jego oczach zamordowali matkę i ojca pięćdziesiąt sześć lat temu. Tamte uczucia powróciły znowu, uczucia sześciolatniego chłopca. To nie był strach ani smutek, to była furia. Zbyt bezsilny, by powstrzymać tamtych wielkich, czerwonogębych, żądnych krwi mężczyzn, zapłonął ambicją skrupowania wszystkich takich szermierzy, zapragnął stępić ich miecze, rozsiodłać bojowe konie i poddać władzy odmiennej, stopień wyższej od rządów przemocy. A chwilę później, kiedy jego rodzice leżeli nieżywi na klepisku, wszedł opat Peter i pokazał mu drogę. Bezbronny opat w jednej chwili powstrzymał rozlew krwi, nie mając nic poza autorytetem swego kościoła i siłą swej dobroci. Ten fakt inspirował Philipa całe życie.

Dotąd wierzył, że tacy ludzie jak opat Peter zwyciężają. Przez ostatnie pół wieku osiągnęli przecież kilka znaczących zwycięstw. Teraz jednak, przy końcu jego życia, wrogowie dowiedli, że nic się nie zmieniło. Triumfy były chwilowe, a postęp iluzoryczny. Wygrano kilka bitew, ale sprawa jest całkowicie bezna-
dziejna. Ludzie podobni do tych, którzy zamordowali jego matkę i ojca, teraz

zabili arcybiskupa w katedrze, jakby chcieli wykazać bez żadnych wątpliwości, że nie ma dość wielkiej mocy, by zapanować nad potęgą człowieka z mieczem.

Nigdy nawet nie pomyślał, że odważą się zabić arcybiskupa Tomasza, a tym bardziej w kościele. Jednakże nigdy też nie przypuszczał, że mogą zabić jego ojca. Tymczasem tacy sami żądni krwi zbrojni ludzie w obu okolicznościach objawili mu ponurą prawdę. Przerazającą prawdę, jak to leżące przed nim ciało Tomasza Becketa. W wieku sześćdziesięciu dwu lat czuł się ogarnięty dziecięcą, nierozumną, wszechobejmującą furią sześciolatka, któremu zabito ojca.

Wstał. Atmosfera w kościele była gęsta od emocji ludzi gromadzących się wokół ciała zabitego arcybiskupa. Księża, mnisi i mieszkańcy miasta powoli podchodzili bliżej, osłupiali i przejęci grozą. Philip wyczuł, że wstrząśnięte twarze kryją gniew, tak samo jak on. Jeden czy dwu mruczało modlitwy, czy tylko mamrotało coś na pół słyszalnie. Jakaś kobieta osunęła się na kolana, po czym dotknęła martwego ciała, jakby na szczęście. Kilka innych osób powtórzyło ten gest. Potem Philip zobaczył tę pierwszą kobietę, jak zbiera krople krwi do małej flaszeczki, jakby Tomasz był męczennikiem.

Duchowieństwo zaczęło przychodzić do siebie. Szambelan arcybiskupa imieniem Osbert, ze łzami płynącymi po twarzy, odciął kawałek własnej koszuli, potem ukląkł przy ciele Tomasza i niezgrabnie, makabrycznie, starał się jakoś przyłożyć odcięty kawałek czaszki do głowy, w patetycznym dążeniu do przywrócenia bodaj minimalnie godności potwornie okaleczonej osoby arcybiskupa. Kiedy mu się to jakoś udało, przez tłum przebiegł chóralny pomruk.

Kilku mnichów przyniosło nosze. Delikatnie podnieśli arcybiskupa i położyli. Wiele rąk wyciągnęło się do pomocy. Philip mógł już zobaczyć przystojną twarz arcybiskupa. Wydawała się spokojna, a jedyną oznaką dokonanej przemocy była cienka strużka krwi, spływająca od prawej skroni przez nos na lewy policzek.

Gdy podniesiono nosze, Philip wziął kawałki złamanego miecza, którym

zabito Tomasza. Wciąż myślał o kobiecie zbierającej krople krwi arcybiskupa, jakby był on świętym. W tym niewielkim czynie tkwiło potężne znaczenie, ale Philip nie wiedział jakie.

Ludzie podążali za noszami przyciągani jakąś niewidzialną siłą. Przeor szedł z tłumem, dzieląc niezwykle uczucie przepajające wszystkich. Mnisi przenieśli ciało przez prezbiterium i delikatnie opuścili na ziemię przed ołtarzem głównym. Tłum, w którym wielu modliło się na głos, przyglądał się księdzu, który przyniósł czyste szarpie i pieczołowicie owinął głowę, po czym większość opatrunku przykrył nowym biretem.

Jakiś mnich naciął szatę arcybiskupa i oderwał tę część, która była zalana krwią. Nie wiedział jednak, co ma uczynić z oderwanym kawałkiem. Odwrócił się, jakby chciał to odrzucić gdzieś na bok. Jakiś mieszczanin szybko wystąpił i zabrał materię od mnicha, jak gdyby to było coś cennego.

Myśl, która snuła się niepewnie Philipowi po głowie, teraz ucieleśniła się w przeblasku natchnienia. Mieszczanie traktowali Tomasza jako męczennika, chcąc zachować dla siebie jego krew i ubranie, zupełnie jakby miały nadnaturalną moc świętych relikwii. Philip potraktował morderstwo jako polityczną porażkę Kościoła, ale tutejsi mieszkańcy nie odnosili się do tego w ten sposób: oni widzieli męczeństwo. A śmierć męczennika, gdyby nawet była porażką, nigdy nie zawodziła jako duchowny budulec potęgi Kościoła.

Philip znowu pomyślał o setkach ludzi, którzy ściągnęli do Kingsbridge, by budować katedrę, o mężczyznach, kobietach i dzieciach, pracujących cały dzień i pół nocy, by postawić mury wokół miasta. Jeśli teraz takich ludzi można byłoby zmobilizować, myślał ze wzrastającym podnieceniem, to ci ludzie mogliby wznieść tak głośny krzyk, że wieść o gwałcie usłyszałby cały świat.

Spoglądając na postaci zebrane wokół ciała, z widocznym smutkiem i przerażeniem na twarzach, uświadomił sobie, że trzeba im tylko przewodnika.

Czy to możliwe?

W tej sytuacji było coś znajomego. Poranione ciało, tłum patrzących i jacyś

żołnierze w oddali: gdzie on to już widział? Czuł, że to, co ma się wydarzyć, jest powtórzeniem tego, co już się kiedyś stało... niewielka grupa następców martwego człowieka ustawi się przeciwko sile i władzy potężnego imperium.

Oczywiście. Taki był początek chrześcijaństwa.

A kiedy to zrozumiał, wiedział już, co ma zrobić.

Stanął przed ołtarzem i zwrócił twarz ku zgromadzonym. Wciąż trzymał złamany miecz w rękach. Przyciągnął uwagę wszystkich. Poczul nagle zwątpienie. Czy potrafię? Czy zdołam zapoczątkować tu i teraz ruch, który wstrząśnie tronem Anglii? Popatrzył na ich twarze. Poza żalością i gniewem w jednej czy dwu dojrzał ślad nadziei.

Wzniósł wysoko miecz.

– Ten miecz zabił świętego – zaczął.

Odpowiedział mu pomruk potwierdzenia.

Pokrzepiony nim na duchu dodał:

– Oto dzisiejszego wieczoru byliśmy świadkami męczeństwa. Mnisi i księża wyglądali na zaskoczonych. Podobnie jak Philip, nie od razu się zorientowali w znaczeniu morderstwa, którego byli świadkami. Mieszkańcy miasta, niewiedzący nic o polityce, zrozumieli wszystko natychmiast. Głośno to potwierdzili.

– Każdy z nas musi iść i mówić, co widział.

Kilku z obecnych pokiwało głowami z zapalem. Słuchali, ale Philip żądał od nich więcej. Chciał zaszcześcić w ich duszach owo „coś”. Nigdy nie był dobrym kaznodzieją. Nie potrafił robić z tłumem, co chciał, nie umiał go porwać, rozśmieszyć i doprowadzić do płaczu, ani przekonać, by wszędzie za nim szedł. Nie wiedział, jak wprawić w drzenie swój głos i jak zapalić światło chwały w oczach. Był człowiekiem przyziemnym, a teraz właśnie potrzebował wzniosłości.

– Wkrótce każdy mąż, każda niewiasta i każde dziecko w Canterbury dowie się, że królewscy ludzie zamordowali arcybiskupa Tomasza w katedrze. To jednak tylko początek. Ta hiobowa wieść musi rozejść się w całej Anglii, a po-

tem w całym chrześcijańskim świecie.

Wyczuwał, że ich traci. Na kilku twarzach pojawiło się zaniepokojenie i ślady rozczarowania. Ktoś zawołał:

– Ale co mamy robić?

Philip zrozumiał, że oni potrzebują jakiegoś konkretnego posunięcia, i to natychmiast. Nie można nawoływać do krucjaty, a potem posyłać do łóżek. Krucjata! To jest pomysł!

– Jutro zabiorę ten miecz do Rochester. Pojutrze do Londynu. Pójdziecie ze mną?

Większość patrzyła bez wyrazu, lecz z tyłu ktoś zawołał:

– Tak! – Potem jeden czy dwa głosy się przyłączyły. Philip podniósł nieco głos.

– O tym, co tu widzieliśmy, opowiemy w każdej wsi i w każdym mieście w Anglii. Pokażemy ludziom miecz, który zabił świętego Tomasza. Pokażemy plamy krwi na jego kapłańskich szatach. – Te słowa go rozgrzały i pozwolił swemu gniewowi wybuchnąć. – Wzniesiemy krzyk, który będzie słyhać w całym chrześcijańskim świecie, tak, usłyszą go nawet w Rzymie! Zwrócimy cały cywilizowany świat przeciwko barbarzyńcom, którzy popełnili tę potworną, świętokradczą zbrodnię!

Tym razem już większość wykrzyknęła na znak zgody. Oczekiwali sposobu na wyrażenie uczuć, które ich przejmowały, a teraz właśnie dawał im taką możliwość.

– Ta zbrodnia – mówił powoli, wznosząc głos do krzyku – nigdy, przenigdy nie może być zapomniana!

Ryknęli w potwierdzeniu.

Nagle już wiedział, dokąd iść.

– Zaczniemy naszą krucjatę już teraz!

– Tak!

– Ponieśmy ten miecz przez ulice Canterbury!

– Tak!

– I każdemu powiemy, cośmy dziś widzieli!

– Tak!

– Weźcie świece i podążajcie za mną!

Trzymając miecz wysoko, pomaszerował środkiem katedry.

Szli za nim.

Nie posiadając się z radości, przeszedł przez prezbiterium, skrzyżowanie i nawę główną. Niektórzy mnisi i księża szli obok niego. Nie musiał się oglądać, słyszał kroki ludzi podążających w ślad za nim. Wyszedł przez główną bramę.

Tu na chwilę ogarnął go niepokój. Przez drzewa w ogrodzie mógł dojrzeć uzbrojonych mężczyzn rabujących dom biskupi. Jeśli procesja natknie się na tych żołnierzy, krucjata może przekształcić się w bójkę, zanim jeszcze się rozpocznie. Pełen obaw skręcił gwałtownie i wyprowadził ludzi przez najbliższą furtkę na ulicę.

Jeden z mnichów zaintonował hymn. Mieszkańcy domów otwierali okna i drzwi, by zobaczyć, co się dzieje. Niektórzy zaczepiali idących. Niektórzy się przyłączali.

Philip minął zakręt i ujrzał Williama Hamleigha.

Stał przed stajnią i wyglądał tak, jakby właśnie przed chwilą zdjął hełm i kolczugę, szykując się do drogi. Miał przy sobie garść ludzi. Wszyscy oni spoglądali w oczekiwaniu, bo prawdopodobnie słyszeli śpiew i zastanawiali się, co się dzieje.

Kiedy oświetlona świecami procesja zbliżyła się, William w pierwszej chwili wydał się zaskoczony. Potem spostrzegł w rękach Philipa złamany miecz i zrozumiał. Patrzył jeszcze chwilę, wreszcie wy dobył z siebie głos.

– Zatrzymajcie się! – wrzasnął. – Rozkazuję wam rozejść się!

Nikt nie zwrócił najmniejszej uwagi. Ludzie Williama zaniepokoiłi się. Chociaż uzbrojeni, wobec stuosobowego tłumu zdeterminowanych żałobników

nie mieli wielkich szans.

William zwrócił się wprost do Philipa.

– W imieniu króla, rozkazuję ci powstrzymać ich!

Philip przesunął się obok niego, popychany przez tłum.

– Za późno, Williamie! – krzyknął przez ramię. – Za późno.

III

Na egzekucję chłopcy przyszli wcześniej.

Gdy nadeszła Aliena, oni już byli na rynku w Shiring, rzucali kamieniami w koty, wymyślali żebrazkom i darli się między sobą. Aliena przyszła pieszo, odziana w ubogi płaszcz z kapturem, by ukryć, kim jest.

Stała z dala i spoglądała na szubienicę. Nie miała chęci tu przychodzić. Była świadkiem wielu wyroków w okresie, kiedy pełniła obowiązki hrabiego. Teraz zaś, gdy nie była już obciążona tą odpowiedzialnością, przypuszczała, że będzie szczęśliwa, jeśli nigdy więcej nie ujrzy wieszanych ludzi. Tym razem jednak chodziło o kogoś wyjątkowego.

Nie pełniła już obowiązków hrabiego, bo jej brat Richard zginął w Syrii, o ironio, nie w bitwie, ale podczas trzęsienia ziemi. Pół roku upłynęło, nim wieść dotarła do Alieny. Nie widziała go od piętnastu lat, a teraz nie ujrzy go już nigdy.

Wysoko na wzgórzu otwały się bramy zamku, więzień wyszedł pod strażą, a za nimi pojawił się nowy hrabia Shiring, syn Alieny, Tommy.

Richard nigdy nie miał dzieci, dlatego dziedziczył po nim siostrzeniec. Król oszołomiony i osłabiony skandalem wywołanym morderstwem Becketa, poszedł po linii najmniejszego oporu i rychło zatwierdził Tommy'ego jako hrabiego. Aliena z gotowością przekazała wszystko młodszej generacji. To, czego pragnęła dla hrabstwa, zdołała już osiągnąć. Po raz kolejny kraina ta stała się

bogata, kwitnącą ziemią, pełną tłustych owiec, zielonych pól i mocnych młynów. Niektórzy z bogatszych i bardziej otwartogłowych właścicieli ziemskich w okolicy, wolnych kmieci i rycerzy naśladowali jej przykład w orce z użyciem koni, w karmieniu ich owsem zebrany z pól uprawianych systemem trójpólówki. Dzięki temu kraina ta mogła wyżywić nawet więcej ludzi niż pod światłymi rządami jej ojca.

Tommy powinien być dobrym hrabią. Do tego się urodził. Jack długo nie chciał się z tym pogodzić, gdyż pragnął, by jego syn był budowniczym.

W końcu jednak musiał przyjąć do wiadomości, że Tommy nie potrafił przyciąć prosto kamienia, ale za to wydawał się urodzonym przywódcą. W wieku dwudziestu ośmiu lat był stanowczy, zdecydowany, mądry i rozważny. Teraz zwykle zwracano się do niego Thomas.

Kiedy przejmował władzę, oczekiwano, że Aliena pozostanie na zamku, by łajać synową i bawić się z wnukami. Ale ona wyśmiała takie pomysły. Lubiła żonę Tommy'ego, była to śliczna dziewczyna, jedna z młodszych córek hrabiego Bedfordu, a wnuki uwielbiała. Miała ich troje. A jednak w wieku pięćdziesięciu dwu lat nie chciała się jeszcze wycofywać z czynnego życia. Zamieszkali z Jackiem w kamiennym domu niedaleko Kingsbridge – w miejscu, które niegdyś było dzielnicą biedoty, aczkolwiek teraz już na pewno nie – i wróciła do swego wełnianego przedsiębiorstwa. Kupowała, sprzedawała i targowała się, z całą energią „robiąc” pieniądze bez opamiętania.

Grupa egzekucyjna wjechała na plac i Aliena obudziła się z zadumy. Przypatrzyła się bliżej więźniowi, potykającemu się, ciągniętemu na powrozie ze związanymi na plecach rękami. Był to William Hamleigh.

Ktoś z przodu gawiedzi splunął na niego. Zebrany tłum był wielki, mnóstwo ludzi chciało zobaczyć koniec Williama Hamleigha. Nawet tych, którzy osobiście nie mieli nic do niego, ciekawił widok wieszania byłego szeryfa. William ponadto brał udział w najbardziej osławionym morderstwie, o jakim ktokolwiek słyszał.

Aliena nigdy nie umiałaby wymyślić ani wyobrazić sobie czegoś takiego, co nastąpiło po śmierci arcybiskupa Tomasza. Wieść szerzyła się jak pożar po całym chrześcijańskim świecie, od Dublina do Jerozolimy, od Toledo do Oslo. Papież przywdział żałobę. Ziemie na kontynencie będące pod panowaniem króla Henryka zostały obłożone klątwą, co oznaczało zamknięcie kościołów i zakaz odprawiania nabożeństw, z wyjątkiem chrztów. Rozpoczęły się pielgrzymki do Canterbury, zupełnie jakby to było miejsce święte, jak Santiago de Compostela. I zdarzyły się cuda. Woda zmieszana z kroplą krwi męczennika i strzępy szat, w które był odziany w chwili śmierci, przywracały zdrowie ludziom nie tylko w Canterbury, ale i w całej Anglii.

Ludzie Williama próbowali ukraść te święte szczątki z katedry, lecz mnisi zostali uprzedzeni i ukryli je. Teraz były bezpieczne w kamiennej krypcie, a pielgrzymi musieli przykładać głowę przez otwór w ścianie, jeśli chcieli pocałować marmurowy sarkofag.

To była ostatnia zbrodnia Williama. Wrócił do Shiring galopem, ale Tommy aresztował go i oskarżył o świętokradztwo. W sądzie pod przewodnictwem biskupa Philipa został uznany za winnego. Zazwyczaj nikt nie odważyłby się skazać szeryfa, bo był urzędnikiem królewskim, w tej jednak sprawie stało się na odwrót: nikt, nawet król, nie odważyłby się bronić jednego z zabójców Tomasza Becketa.

William musiał skończyć marnie.

Oczy miał dzikie i wytrzeszczone, otwarte usta ociekały śliną, jęczał coś bez ładu i składu, a mokra plama na przodzie tuniki świadczyła, że się zmoczył.

Aliena przyglądała się swemu staremu wrogowi, jak zatacza się ślepo w stronę szubienicy. Przypomniła sobie młodego, aroganckiego i bezlitosnego młodzieńca, który zgwałcił ją trzydzieści pięć lat temu. Nie potrafiła uwierzyć, że stał się tym jęczącym, przerażonym stworzeniem, na które teraz patrzyła. Nawet tłusty i podagryczny stary rycerz, jakim był w ostatnich latach, nie przypominał tego stworzenia. Kiedy zbliżył się do szubienicy, zaczął się miotać

i zawodzić. Żołnierze powlekli go, podobnie jak to się robi ze świnią ciągniętą do rzeźni. Aliena nie znalazła w sercu ani odrobiny litości, czuła jedynie ulgę. William nigdy już nikogo nie sterroryzuje.

Kopał i krzyczał, kiedy wciągano go na wózek zaprzężony w woły. Wyglądał jak zwierzę, czerwonopyski, dziki i plugawy; dźwięki, które wydobywał z siebie, przypominały jednak głos dziecka, gdy mamrotał, jęczał czy płakał. Trzeba było czterech mężczyzn, by go przytrzymać, kiedy piąty zakładał mu pętlę na szyję. Szarpał się tak bardzo, że pętla zacisnęła się, zanim upadł, dusił się więc sam, usiłując się uwolnić. Strażnicy odstępili. William wił się i dławił, a jego tłusta twarz stawała się purpurowa.

Aliena patrzyła z odrazą. Nawet w porywie furii i nienawiści nie chciała dla Williama takiej wstrętnej śmierci.

Nie było słyhać nic oprócz jego charkotu, tłum stał w milczeniu. Nawet chłopcy ucichli w obliczu tak przerażającego widoku.

Ktoś smagnął witką bok wołu i zwierzę poczłapało do przodu. William wreszcie zawisł, ale nie złamał karku i dyndał na końcu sznura, dusząc się powoli. Jego oczy pozostały otwarte. Aliena poczuła, że patrzy na nią. Kiedy tak wisiał, wijąc się w agonii, grymas na jego twarzy wydał się Alienie znajomy. Uświadomiła sobie, że wygląda jak wtedy, kiedy ją gwałcił, tuż przed osiągnięciem szczytu. To wspomnienie przeszło ją niczym ostrze sztyletu, ale nie pozwoliła sobie na odwrócenie wzroku.

Choć wszystko trwało długo, tłum przyglądał się w ciszy. Twarz Williama ciemniała coraz bardziej. Agonalne konwulsje stały się tylko skurczami. Wreszcie gałki pobiegły w głąb czaszki, powieki opadły, stał się spokojny, cichy, a potem jego język, czarny i nabrzmiąły, obrzydliwie wysunął się spomiędzy zębów.

Umarł.

Aliena poczuła się pusta. William zmienił jej życie – niegdyś była skłonna mówić, że zrujnował – teraz był martwy, niezdolny zranić ją czy kogokolwiek.

Tłum zaczął się rozchodzić. Chłopcy popisywali się jeden przed drugim, naśladując agonalne ruchy, przewracając oczami i wystawiając języki. Żołnierze wspięli się na podest i odcięli ciało.

Pochwyciła wzrok syna. Wydawał się zaskoczony jej widokiem. Nie zwlekając, podjechał do niej i zsiadł, by ją pocałować. Mój syn, pomyślała, mój duży syn. Syn Jacka. Pamiętała swój strach, że może mieć dziecko Williama. Cóż, jednak jej los obrócił się na lepsze.

– Myślałem, że nie zechcesz tu dzisiaj przyjść – powiedział Tommy.

– Musiałam – odrzekła. – Musiałam zobaczyć go martwego.

Wyglądał na zdziwionego. Naprawdę nie rozumiał. Była temu rada. Miała nadzieję, że nigdy nie będzie musiał rozumieć takich rzeczy.

Otoczył ją ramieniem i odeszli z placu razem.

Aliena nie obejrzała się za siebie.

Pewnego upalnego dnia w środku lata Jack jadł obiad z Alieną i Sally. Siedzieli w chłodzie północnego transeptu, wysoko na galeryjce, przy porysowanym blacie jego deski kreślarskiej. Odgłosy seksty odmawianej przez mnichów w prezbiterium tutaj docierały niczym pomruk odległego wodospadu. Jedli zimne kotlety jagnięce ze świeżym żytnim chlebem i popijali złote piwo z kamiennego dzbanka. Jack spędził cały poranek, szkicując plan nowego prezbiterium, które chciałby zacząć budować w przyszłym roku. Wgryzając się białymi zębami w kotlet, Sally przyglądała się pracy ojca. Za chwilę go skrytykuje, wiedział o tym. Popatrzył na Alienę. Ona także umiała czytać w twarzy córki i wiedziała, co nastąpi. Wymienili rodzicielskie porozumiewawcze spojrzenia i uśmiechnęli się.

– Dlaczego chcesz zrobić okrągłą wschodnią część? – zapytała Sally.

– Oparłem się na projekcie Saint-Denis – odparł Jack.

– A czy to coś daje?

– Tak. Utrzymuje ruch pielgrzymów.

– A ty masz tutaj tylko rząd małych okienek.

Jack spodziewał się, że wkrótce będzie mowa o oknach, bo Sally przecież była szklarzem.

– Małe okienka? – rzekł, udając oburzenie. – Te okna będą wielkie! Kiedy po raz pierwszy wsadziłem okna tej wielkości w swoim kościele, to ludzie myśleli, że cały budynek się zawali z braku konstrukcyjnego oparcia.

– Jeżeli prezbiterium będzie kwadratowe, to ścianę będziesz miał ogromnie monotonną – upierała się Sally. – Mógłbyś wsadzić naprawdę wielkie okna.

Miała trochę racji. W przypadku rozwiązania półkolistego całe prezbiterium będzie musiało mieć taką samą jednolitą elewację, podzieloną na tradycyjne trzy poziomy: arkad, galerii i okien w rzędach, dookoła tak samo. Kwadratowe zakończenie budowli dawało możliwość zmiany projektu.

– Może byłby inny sposób na utrzymanie pielgrzymów w ruchu – rzekł w zamyśleniu.

– A wschodzące słońce świeciłoby przez wielkie okna – dodała Sally.

– Mógłby być rząd wysokich ostrołukowych okien jak włócznie w stojaku.

– Jack potrafił sobie to wyobrazić.

– Albo jedno wielkie okrągłe okno jak róża – podsunęła Sally.

To był oszałamiający pomysł. Komuś stojącemu w nawie i patrzącemu przez całą długość kościoła na wschód takie okrągłe okno wydałoby się ogromnym słońcem wybuchającym niezliczonymi odpryskami wspaniałych kolorów. Jack właśnie tak to zobaczył.

– Zastanawiam się, jaki temat zechcieliby mnisi.

– Przykazania i proroków – odpowiedziała Sally.

– Ty szczywana lisico! – Zmarszczył brwi, wpatrując się w nią. – Już przedyskutowałaś ten pomysł z przeorem Jonathanem, tak?

Wyglądała na winną, ale została wybawiona od odpowiedzi pojawieniem się Petera, młodego snycerza. Jack lubił tego nieśmiałego i niezgrabnego męż-

czyznę o jasnych włosach spadających na oczy, bo jego rzeźby wychodziły przepięknie.

– Czym ci mogę służyć, Peterze? – spytał.

– W tej chwili szukam Sally – odparł.

– Cóż, no to ją znalazłeś.

Sally właśnie wstawiała, strzepując z tuniki okruszki chleba.

– Zobaczymy się później – powiedziała i wyszli z Peterem przez niskie odrzwia, a potem po spiralnych schodach zeszli na dół.

Jack i Aliena spojrzeli po sobie.

– Czy ona się zarumieniła? – zaciekawiał się Jack.

– Mam nadzieję – odpowiedziała Aliena. – Na miłość boską, to już czas, żeby na kogoś trafiła. Ma już dwadzieścia sześć lat!

– No, no, no... Ja już straciłem nadzieję. Myślałem, że ma zamiar zostać starą panną.

– Nie Sally. Tak samo ją do tego ciągnie jak każdego. Tylko że ona jest wybredna. – Aliena pokręciła głową.

– Naprawdę? – rzekł Jack. – Dziewczyny z hrabstwa nie ustawiają się w kolejce, by poślubić Petera.

– Dziewczęta z hrabstwa ustawiają się w kolejce do wysokich przystojnych mężczyzn, podobnych do Tommy’ego, którzy mają płaszcze lamowane czerwonym jedwabiem. Sally jest inna. Chce kogoś niegłupiego i wrażliwego. Peter jest dla niej w sam raz.

Jack skinął głową. Nigdy o tym nie myślał, ale intuicyjnie czuł, że Aliena ma rację.

– Jest podobna do swojej babki – stwierdził. – Moja matka też niełatwo się zakochiwała.

– Sally jest podobna do twojej matki, a Tommy do mego ojca – rzekła Aliena.

Jack uśmiechnął się do niej. Była piękniejsza niż kiedykolwiek. Włosy

przyprószyła jej siwizna, a skóra na szyi nie była już tej marmurowej gładkości jak kiedyś, lecz wraz z wiekiem i utratą macierzyńskich krągłości kości policzkowe uwydatniły się w jej pięknej twarzy i osiągnęła urodę oszczędną, niemal strukturalną. Jack sięgnął i przesunął po linii jej szczęki.

– Jak moje skrzydlate przypory – powiedział.

Uśmiechnęła się.

Przesuwał rękę dalej, wzdłuż szyi i piersi. One również się zmieniły. Pamiętał, kiedy sterczały ponad jej klatkę piersiową, jakby były nieważkie... Potem, kiedy była w ciąży, stały się jeszcze większe, a sutki się rozrosły. Teraz stały się miększe i opadły nieco, a kiedy szła, zachwycająco kołysały się z jednej strony na drugą. Kochał je w każdej ich postaci. Zastanawiał się, jakie będą, kiedy się zestarzeje. Czy staną się pomarszczone i wyschnięte? Prawdopodobnie i tak będą je kochać, pomyślał. Wyczuł, że sutki pod jego dotykiem twardnieją. Pochylił się do przodu, by pocałować ją w usta.

– Jack, jesteś w kościele – zamruczała.

– Nie szkodzi – odmruknął i przesunął rękę przez brzuch do łona.

Na schodach dał się słyszeć odgłos kroków.

Odsunął się szybko, jak winowajca.

Skrzywiła się na widok wyrazu jego twarzy.

– Oto kara boska – rzekła bez szacunku.

– Potem się z tobą policzę – powiedział z udawaną groźbą.

Kroki dotarły do szczytu schodów i pojawił się przeor Jonathan. Z powagą przywitał się z nimi. Wyglądał bardzo uroczyście.

– Jest coś, co chciałbym, abys usłyszał. Czy mógłbyś zejść na krużganek?

– Oczywiście – Jack wstał.

Jonathan wrócił na spiralne schody.

Jack zatrzymał się na chwilę w drzwiach i groźnie wyciągnął wskazujący palec w stronę Alieny.

– Później – rzekł.

– Przyniesiesz? – odrzekła z uśmiechem.

Jack podążał za Jonathanem po schodach i przez kościół do drzwi w południowym transepcie, które wiodły na wirydarz. Przeszli wzdłuż północnego przejścia, mijając uczniów z woskowymi tabliczkami i zatrzymali się w narożniku. Lekkim ruchem głowy Jonathan wskazał Jackowi mnicha siedzącego na występie muru w połowie długości wschodniego przejścia. Kaptur zakrywał jego twarz, lecz kiedy się zatrzymali, siedzący odwrócił się, spojrzął, a potem szybko opuścił wzrok.

Jack bezwolnie cofnął się o krok.

Mnichem był Waleran Bigod.

– Co ten diabeł tu robi? – ze złością zapytał Jack.

– Przygotowuje się na spotkanie ze swym Stwórcą – odrzekł Jonathan.

– Nie rozumiem. – Jack zmarszczył brwi.

– Jest załamany – wyjaśnił Jonathan. – Utracił pozycję, nie ma władzy ani przyjaciół. Zrozumiał, że Bóg nie uważa go za swoje narzędzie, że Bóg nie chce, by Waleran Bigod był wielkim i wszechwładnym biskupem. Ujrzał błędy, jakie popełnił w czasie swej drogi. Przyszedł tutaj pieszo i zebrał u nas, abyśmy go przyjęli jako pokornego zakonnika, by mógł resztę swoich dni spędzić na błaganii Boga o wybaczenie grzechów.

– Wydaje mi się to niewiarygodne – stwierdził Jack.

– Z początku myślałem podobnie. W końcu jednak uświadomiłem sobie, że on zawsze był bogobojny.

Jack spoglądał sceptycznie.

– Naprawdę myślę, że był oddany Bogu. Tylko popełnił jeden podstawowy błąd: uwierzył, że w służbie bożej cel uświęca środki. To pozwoliło mu czynić, co chciał.

– Łącznie z zamachem na arcybiskupa.

Jonathan obronnym gestem podniósł rękę.

– Za to ukarze go Bóg. Nie ja.

Jack wzruszył ramionami. To było coś, co mógłby powiedzieć Philip.

Jack nie widział żadnego powodu, by pozwolić Waleranowi przebywać w klasztorze. Jednakże był to mnisi sposób na życie.

– Dlaczego chcecie, bym się z nim spotkał?

– Chce ci opowiedzieć, dlaczego powiesili twego ojca.

Jackowi nagle zrobiło się zimno.

Waleran siedział nieporuszenie jak kamień, patrzył w przestrzeń. Był bosy. Delikatne, białe kostki starca wystawały spod rąbka samodiałowego habitu. Jack uświadomił sobie, że Waleran już nie budzi lęku. Jest słaby, załamany i smutny.

Jack powoli poszedł naprzód i usiadł na ławie o jard od Walerana.

– Stary król Henryk był zbyt silny – powiedział bez wstępu Waleran. – Niektórym baronom to się nie podobało, byli znanadto ograniczani. Chcieli, by następny król był słabszy. Henryk jednak miał syna Williama.

– To było przed moim urodzeniem – rzekł Jack.

– Twój ojciec umarł przed twoim urodzeniem – odparł Waleran ze śladem dawnej wyniosłości.

– Mów dalej – Jack skinął głową.

– Grupa baronów postanowiła zabić syna Henryka. Ich pomysł polegał na tym, że kiedy nastąpią spory o sukcesję, będzie można zyskać większy wpływ poprzez wybór nowego króla.

Jack przyglądał się wyschniętej i pobladłej twarzy Walerana, chcąc wyczytać na niej podstęp. Starzec jednak wyglądał na skruszzonego, zmęczonego i pokonanego. Jeśli miał jakieś ukryte zamiary, Jack nie potrafił dojrzeć niczego, co mogłoby o tym świadczyć.

– William przecież zginął podczas katastrofy *Białego Korabia* – rzekł.

– To zatonięcie nie było przypadkowe – oświadczył Waleran.

Jack był wstrząśnięty. Czy to mogła być prawda? Następca tronu został zamordowany, ponieważ grupa baronów pragnęła mieć słabego króla? To było

niemniej wstrząsające niż zabójstwo arcybiskupa.

– Dalej – przynaglił.

– Ludzie baronów przedziurawili statek i ratowali się ucieczką na łodzi. Wszyscy inni utonęli, z wyjątkiem jednego człowieka, który uczepił się jakiejś belki i dopłynął do lądu.

– To był mój ojciec – powiedział Jack. Już zaczynał pojmować, dokąd zmierza ta opowieść.

Twarz Walerana była blada, a wargi bezkrwiste. Mówił dalej bez emocji, nie podnosząc wzroku na Jacka.

– Wszedł na brzeg w pobliżu zamku, który należał do jednego ze spiskowców, i został pojmany. Człowiek ten nie miał zamiaru wydawać ich. Naprawdę nie wiedział, że statek został umyślnie uszkodzony. Jednakże był świadkiem wydarzeń, które mogły ujawnić prawdę innym, gdyby pozwolono mu odejść i opowiadać o swoich przeżyciach. Zatem go uwięzili, przywieźli do Anglii i oddali pod opiekę kilku ludzi, którym mogli zaufać.

Jacka ogarnął głęboki smutek. „Tym, co zawsze pragnął robić twój ojciec, było zabawianie ludzi”, mówiła jego matka. Ale to byłoby czymś obcym w opowieści Walerana.

– Dlaczego nie zabili go od razu? – zapytał.

– Powinni byli to zrobić – odrzekł Waleran beznamiętnie. – Lecz był to człowiek prostoduszny, minstrel, ktoś, kto daje wszystkim radość. Nie mogli się na to zdobyć. – Skrzywił wargi w pozbawionym wesołości uśmiechu. – W końcu nawet najbardziej bezwzględni ludzie mają pewne skrupuły.

– Dlaczego później zmienili swoje zdanie?

– Albowiem z czasem i tu stał się niebezpieczny. Na początku nie zapowiadało się na to, nie mówił nawet po angielsku. Ale oczywiście nauczył się i zaczął nawiązywać przyjaźnie. Wobec tego umieścili go w celi pokutnej pod dormitorium. Wtedy ludzie zaczęli pytać, dlaczego jest on zamknięty. Stał się niewygodny. Zrozumieli, że nie zaznają spokoju, dopóki będzie pozostawał przy

życiu. Aż w końcu kazali nam go zabić.

Tak po prostu! – pomyślał Jack i zapytał:

– Dlaczego wykonaliście ich polecenie?

– Wszyscy trzej byliśmy ambitni – wyznał Waleran i po raz pierwszy jego twarz objawiła jakieś uczucie, gdy wargi wygięły się z żalu. – Percy Hamleigh, przeor James i ja. Twoja matka powiedziała prawdę, wszyscy trzej otrzymaliśmy nagrodę. Ja zostałem archidiakonem i kariera w Kościele stanęła przede mną otworem. Percy Hamleigh został potężnym właścicielem ziemskim. Przeor James powiększył własność klasztoru.

– A baronowie?

– W ciągu następnych trzech lat po katastrofie Henryk odpierał napaści Fulka z Anjou, Williama Clito w Normandii i króla Francji. Przez jakiś czas wydawało się, że będzie łatwym celem. Ale pobił wrogów i rządził jeszcze dziesięć lat. Jednakże baronowie doczekali się w końcu anarchii, kiedy Henryk zmarł bez męskiego potomka, a na tronie zasiadł Stefan. Podczas kolejnych dwu dekad w trakcie wojny domowej baronowie na swoich obszarach rządzą jak królowie, nie mając żadnej zwierzchniej władzy, która mogłaby ująć ich w karby.

– I za to zginął mój ojciec.

– Nawet i to obróciło się na złe. Większość z tych baronów padła w walkach, podobnie niektórzy z ich synów. A kłamstewka, które opowiadaliśmy w tej części kraju, by zabić twego ojca, w końcu powróciły, by nas prześladować. Twoja matka po egzekucji przeklęła nas, była to skuteczna klątwa. Pamięć o tym, co uczynił, zniszczyła przeora Jamesa, jak to rzekł Remigius na procesie o nepotyzm. Percy Hamleigh zmarł, zanim prawda wyszła na jaw, ale jego syna powieszono. I spójrz na mnie: moje krzywoprzysięstwo uderzyło we mnie pięćdziesiąt lat później i moja kariera legła w gruzach. – Waleran miał poszarzałą twarz i wyglądał na wyczerpanego, jego uparte panowanie nad sobą opierało się na straszliwym napięciu. – Wszyscy obawialiśmy się twojej matki, bo nie byli-

śmy pewni, co wie. Okazało się, że niewiele, ale i tego było dosyć.

Jack czuł się tak, jak Waleran wyglądał – pusty. Wreszcie dowiedział się prawdy o swym ojcu, czego pragnął przez całe życie. Nie odczuwał już gniewu ani żądz zemsty. Nigdy nie znał swego ojca, ale miał Toma, który nauczył go miłować budowanie, co stanowiło drugą pasję jego życia.

Wstał. Te wydarzenia były zbyt odległe w czasie, by wywołać płacz. Wiele się potem działo, a przeważająca część jego losu była dobra.

Stary, smutny człowiek siedział na kamiennej ławie. Jak na ironię to Waleran teraz odczuwał żal, cierpiał gorycz. To straszne być starym i wiedzieć, że zmarnowało się życie. Waleran skurczył się i odwrócił, jakby został spoliczkowany. Przez chwilę Jack miał moc czytania w cudzej duszy. Uświadomił sobie, że Waleran w jego oczach dojrzał litość.

A dla Walerana litość ze strony wrogów była najgorszym upokorzeniem.

IV

Philip w pełnej gali stał przy Wschodniej Bramie starego ośrodka chrześcijańskiego Canterbury. Odziany we wspaniałe barwne szaty i insygnia angielskiego biskupa, dzierżył zdobny klejnotami pastorał wart bająnskiej sumy. Lało.

Miał sześćdziesiąt sześć lat, ulewa przejmowała dreszczem chłodu jego stare kości. Ostatni raz pozwolił sobie na wyprawę tak daleko od domu. Nie mógł jednak opuścić tego dnia, za nic na świecie. Poza tym dzisiejsza ceremonia uwieńczy dzieło jego całego życia.

Od morderstwa na arcybiskupie Tomaszu upłynęło trzy i pół roku. W ciągu tak krótkiego czasu mistyczny kult Tomasza Becketa objął cały świat. Philip nawet w najmniejszym stopniu nie wyobrażał sobie, co rozpoczyna, kiedy prowadził ulicami Canterbury niewielką procesję ze świecami. Papież ogłosił To-

masza świętym z niemal nieprzyzwoitym pośpiechem. W Ziemią Świętą powstał nawet nowy zakon rycerski zwany Rycerze Świętego Tomasza z Akry. Król Henryk nie miał dość mocy, by się temu przeciwstawić. Ruch był zbyt silny i żaden pojedynczy człowiek nie mógłby go powstrzymać.

Dla Philipa waga owego zjawiska tkwiła jednak w tym, że ukazywała faktyczną potęgę państwa. Śmierć Tomasza udowodniła, że w konflikcie między Kościołem i Koroną monarcha używający brutalnej siły ostatecznie przegra, może jedynie chwilowo osiągnąć pozorne zwycięstwo. Władza króla nie jest absolutna, bo wola ludzi jest w stanie ją skruszyć. Ta zmiana dokonała się w ciągu życia Philipa. Nie tylko był jej świadkiem, ale także miał w niej swój udział. Dzisiejsza ceremonia to upamiętni.

Krępy mąż o wielkiej głowie, idący w stronę miasta, wyłonił się z deszczowej mgły. Nie miał ani butów, ani kapelusza. W pewnej odległości podążała za nim spora grupa ludzi na koniach.

Mężem tym był król Henryk.

Tłum stał cicho jak na pogrzebie, podczas gdy król sponiewierany ulewą brnął przez błoto do bramy miasta.

Philip wyszedł na drogę, zgodnie z uprzednio ustalonym planem, i szedł przed bosym królem, otwierając drogę do katedry. Henryk postępował za nim z opuszczoną głową. Zwykle prędkość kroku króla był powściągliwie odmierzany, a postawa wyrażała żal za grzechy. Przejęci grozą mieszczanie wpatrywali się w milczeniu w swego monarchę, który poniża się na ich oczach. Świta królewska postępowała za królem w pewnym oddaleniu.

Philip wprowadził go powoli przez wrota katedry. Potężne drzwi wspaniałego kościoła były szeroko otwarte. Weszli w uroczystej dwuosobowej procesji, która stanowiła kulminację największego kryzysu politycznego tego wieku. Nawa była przepelniona. Tłum rozsunał się, by ich przepuścić. Szeptem dzieleno się wrażeniami na temat widoku najdumniejszego z królów chrześcijaństwa, ociekającego wodą, wchodzącego do kościoła jak żebrak.

Powoli weszli do krypty. Tam, obok nowego grobu męczennika, oczekiwali duchowni Canterbury wraz z największymi i najpotężniejszymi biskupami i opatami królestwa.

Król ukląkł na podłodze.

Dworzanie królewscy weszli do krypty za nim. W obecności wszystkich Henryk Angielski, drugi tego imienia, wyznał swe grzechy i oświadczył, że nieświadomie przyczynił się do zamordowania świętego Tomasza.

Kiedy się wyspowiadał, zdjął płaszcz. Pod nim miał zieloną tunikę i włościanicę. Ukląkł ponownie, zginając grzbiet.

Biskup Londynu ujął trzcinę.

Król będzie wychłostany.

Miał dostać po pięć uderzeń od każdego obecnego księdza i symbolicznie po trzy od mnichów; zakonników było osiemdziesięciu, więc razy wymierzone przez każdego z nich zabiłyby króla.

Biskup Londynu pięciokrotnie dotknął trzcina pleców monarchy. Potem odwrócił się i podał ją Philipowi, biskupowi Kingsbridge.

Philip wystąpił, by chłostać króla. Rad był, że dożył tego. Po dniu dzisiejszym, pomyślał, świat już nie będzie taki sam.